

ROBERT JORDAN

ŚCIEŻKA  
SZTYLETÓW



**Robert Jordan**

# **ŚCIEŻKA SZTYLETÓW**

**(PRZEŁOŻYŁA KATARZYNA KARŁOWSKA)**

**SCAN-DAL**

# Spis treści

<u>STRONA TYTUŁOWA</u>	
<u>PROLOG ZWODNICZE POZORY</u>	
<u>ROZDZIAŁ 1 WYWIĄZAĆ SIĘ Z UMOWY</u>	
<u>ROZDZIAŁ 2 ROZPLĄTANY SPLOT</u>	
<u>ROZDZIAŁ 3 MIŁA PRZEJAŻDŻKA</u>	
<u>ROZDZIAŁ 4 CICHE, SPOKOJNE MIEJSCE</u>	
<u>ROZDZIAŁ 5 NARODZINY BURZY</u>	
<u>ROZDZIAŁ 6 WĄTKI</u>	
<u>ROZDZIAŁ 7 ZAGRODA DLA KÓZ</u>	
<u>ROZDZIAŁ 8 PROSTA WIEJSKA KOBIETA</u>	
<u>ROZDZIAŁ 9 GALIMATIAS</u>	
<u>ROZDZIAŁ 10 ZMIANY</u>	
<u>ROZDZIAŁ 11 PYTANIA I PRZYSIĘGA</u>	
<u>ROZDZIAŁ 12 NOWE SOJUSZE</u>	
<u>ROZDZIAŁ 13 NICZYM PŁATKI ŚNIEGU NA WIETRZE</u>	
<u>ROZDZIAŁ 14 WIADOMOŚĆ OD M'HAELA</u>	
<u>ROZDZIAŁ 15 PRAWO SILNIEJSZE OD SPISANEGO</u>	
<u>ROZDZIAŁ 16 DZIWNE NIEOBECNOŚCI</u>	
<u>ROZDZIAŁ 17 POŚRÓD LODÓW</u>	
<u>ROZDZIAŁ 18 PRZEDZIWNE WEZWANIE</u>	
<u>ROZDZIAŁ 19 PRAWO</u>	
<u>ROZDZIAŁ 20 DO ANDORU</u>	
<u>ROZDZIAŁ 21 ODPOWIEDŹ NA WEZWANIE</u>	
<u>ROZDZIAŁ 22 GROMADZĄ SIĘ CHMURY</u>	
<u>ROZDZIAŁ 23 ĆMA WOJNY, NAWAŁA BITWY</u>	
<u>ROZDZIAŁ 24 CZAS ŻELAZA</u>	
<u>ROZDZIAŁ 25 NIEPOŻĄDANY POWRÓT</u>	
<u>ROZDZIAŁ 26 DODATKOWY EFEKT</u>	
<u>ROZDZIAŁ 27 TARG</u>	
<u>ROZDZIAŁ 28 SZKARŁATNY CIEŃ</u>	
<u>ROZDZIAŁ 29 KUBEK SNU</u>	
<u>ROZDZIAŁ 30 POCZĄTKI</u>	
<u>ROZDZIAŁ 31 POTEM</u>	
<u>GLOSARIUSZ</u>	

*Kto z możliwymi zwyczajny wieczerzać, podążać musi ścieżką sztyletów.*

Anonimowa adnotacja atramentem na marginesie rękopisu (datowanego na czasy Artura Hawkinga) przedstawiającego schyłek epoki Konklawe Tovańskich

*Na wysokościach nie masz innych ścieżek, jak tylko wiodące po ostrzach sztyletów.*

Stare porzekadło Seanchan

*Dla Harriet, mojego światła,  
mojego życia, mojego serca – na zawsze*

# PROLOG

## ZWODNICZE POZORY

Ethenielle widywała już w życiu formacje skalne, które pyszniły się mianem gór, mimo iż w istocie były znacznie niższe od tego masywu zwanego, nie wiadomo dlaczego, skromnie Czarnymi Wzgórzami i straszącego wysokimi, pochyłymi gołoborzami na poły wbitych pod ziemię głazów, oplecionymi siecią stromych i krętych przełęczy. Nawet kozica stanęłaby na ten widok. Trzy dni można było jechać przez te uwiędłe od upału lasy i porośnięte zbrązowiałą trawą łąki, nie napotkawszy ni śladu ludzkiej siedziby, po czym zniecka okazało się, że w odległości zaledwie pół dnia drogi znajduje się kolejne siedem czy osiem maleńkich wiosek, zapomnianych przez świat. Pośród oddalonych od wszelkich szlaków handlowych Czarnych Wzgórz ludziom zawsze żyło się ciężko, teraz było im jeszcze trudniej. Wychudły lampart, który zazwyczaj umyka na widok ludzi, przyglądał się spokojnie ze stromego zbocza, oddalonego nie więcej niż o czterdzieści kroków, jak przejeżdżała obok w towarzystwie zbrojnej eskorty. Na zachodzie, niczym zły omen, uporczywie kołowały sępy. Nawet pojedynczy obłoczek nie szpecił krwistoczerwonej tarczy słońca, jednakże nieba nie sposób było nazwać czystym. Każdy podmuch ciepłego wiatru wzbijał wysoko gęste chmury kurzu.

Ethenielle jechała powoli, czując się bezpiecznie – wzięła przecież ze sobą pięćdziesięciu najlepszych ludzi. W przeciwieństwie do Surasy, swej na poły legendarnej antenatki, nie łudziła się, że pogoda podporządkuje się jej oczekiwaniom tylko dlatego, że zasiadała na stolcu zwanym Tronem Chmur, co do pośpiechu zaś... Porządek marszruty uzgodniony został w drodze wymiany listów, pieczołowicie zaszyfrowanych i powierzanych najbardziej zaufanym posłańcom; warunek był jeden – pod żadnym pozorem nie ściągać na siebie uwagi podczas podróży. Niełatwe zadanie. Niektórzy twierdzili, że wręcz niemożliwe.

Początkowo zaszępiła, ucieszyła się teraz ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, który, nie narzucając konieczności zabijania nikogo, pozwolił dotrzeć tak daleko i ominąć te wszystkie wioski (niczym musze kropki na mapie), choć często oznaczało to wydłużenie podróży nawet o kilka dni. Nieliczne *stedding* Ogirów nie nastroczały problemów – Ogirowie z zasady niewiele uwagi poświęcali ludzkim sprawom, a ostatnimi czasy stronili od nich chyba jeszcze bardziej – za to mieszkańcy wiosek... Wiosek zbyt małych, by mogli się w nich ukrywać informatorzy Białej Wieży tudzież człowieka, mieniącego się Smokiem Odrodzonym – może nawet nim był naprawdę, nie umiała orzec, co jest gorsze – nie takich jednak małych, by nie docierali do nich handlarze. A handlarze wymieniali nie tylko towary, rozmawiali z ludźmi, którzy z kolei rozmawiali z innymi ludźmi, i tym sposobem plotki rozprzestrzeniały się niczym wody nieskończenie rozwidlającej się rzeki, pokonując Czarne Wzgórze i szerząc po całym świecie. Kilka przypadkowych słów i samotny pasterz, o którego istnieniu nikt dotąd nie wiedział, mógł stać się zarzewiem pożaru alarmującego wszystkich w odległości pięciuset lig. Pożaru trawiącego lasy i stepy. Trawiącego miasta. Całe kraje.

– Seraila, czy naprawdę dokonałam właściwego wyboru? – Ethenielle skrzywiła się, zirytowana własnymi słowami. Z pewnością nie była już jakąś młódką, jednak nieliczne siwe włosy nie stanowiły usprawiedliwienia dla starszej paplaniny. Decyzja zapadła. Mimo to nie potrafiła przestać analizować stojących za nią racji. Światłość świadkiem, że daleko jej było do bez troski, którą z pozoru zdradzała.

Pierwsza Doradczyni Ethenielle podjechała na gniadej klaczy, zajmując miejsce przy boku

smukłego karego wierzchowca królowej. Lady Serailla, z krągłą, spokojną twarzą i bystrymi ciemnymi oczyma, równie dobrze mogła być żoną pierwszego lepszego chłopca, tyle że wbitą w suknię, jaką szlachcianki wkładały do konnej jazdy – jednak umysł ukryty za pospolitymi, teraz na dodatek zlanymi potem rysami, był równie przenikliwy, jak rozum Aes Sedai.

– Inne możliwości pociągały za sobą wcale nie mniejsze ryzyko, aczkolwiek odmiennej natury – odparła zgrabnie. Choć nieco przysadzista, Serailla wszystko robiła zgrabnie. W siodle była równie pełna gracji jak w tańcu, mówiła zawsze gładką, potoczystą frazą. Bez śladu fałszu czy obłudy, po prostu niewzruszenie zgodną z normami stylu. – Niezależnie od tego, jak jest naprawdę, Wasza Wysokość, Białą Wieżę najwyraźniej tknął paraliż, jeśli wręcz nie została obrócona w ruinę. Niemniej; oczywiście, ty mogłabyś trwać dalej ze wzrokiem wbitym w Ugór, niepomna, że świat wali się za twoimi plecami. Mogłabyś, gdybyś była kimś innym.

Zwykła potrzeba zrobienia czegoś. Czy to przez nią właśnie znalazła się tutaj? Cóż, jeśli Biała Wieża nie chce albo nie może zrobić tego, co należy, w takim razie ktoś inny robi to za nią. Jaki pożytek z warty na przedmurzu Uguru, jeśli świat rzeczywiście wali się jej za plecami?

Ethenielle zerknęła na szczupłego mężczyznę, który jechał u jej drugiego boku; siwe pasma na skroniach wywoływały wrażenie buty, podkreślane dodatkowo przez Miecz Kirukan w zdobnej pochwie, ułożony w zgięciu łokcia. Szumna nazwa, niewykluczone jednak, że królowa Aramaelle, sławiona legendami wojowniczką, rzeczywiście się nim posługiwała. Klingę wykuto w czasach starożytnych, jak twierdzili niektórzy, przy użyciu Mocy. Zgodnie z tradycją, oburęczna rękojeść była skierowana w jej stronę, aczkolwiek Ethenielle nawet by przez myśl nie przyszło po nią sięgnąć, nie była przecież jakąś tam krewką Saldaeaną. Królowa miała myśleć, świecić przykładem i rozkazywać – nie podołałaby temu zadaniu, zajmując się równocześnie rzeczami, które każdy żołnierz potrafił wykonać lepiej.

– A ty, Mieczniku? – spytała. – Cóż cię trapi o tak późnej porze?

Lord Baldhere obrócił się w okutym złotym siodle, zerkając w stronę jadących za nimi żołnierzy, dzierżących sztandary chronione futerałami z wytłaczanej skóry i haftowanego jedwabiu.

– Nie lubię kryć, kim jestem, Wasza Wysokość – oznajmił zrzędlwym tonem, patrząc z powrotem przed siebie. – Już niebawem świat się dowie o nas i o tym, czego dokonaliśmy albo próbowaliśmy dokonać. Przyszłość przyniesie śmierć albo miejsce w historii, względnie jedno i drugie, niech więc wiedzą od razu, z kim mają do czynienia. – Baldhere miał cięty język i zachowywał się, jakby interesowały go tylko stroje i muzyka – ten doskonale skrojony, niebieski kaftan był już trzecim, jaki dziś włożył – ale, podobnie jak w przypadku Serailli, pozory myliły. Miecznik Tronu Chmur dźwigał obowiązki znacznie cięższe niż miecz ukryty w wysadzanej klejnotami pochwie. Od śmierci króla małżonka, przed mniej więcej dwudziestu laty, to Baldhere dowodził w imieniu królowej armiami Kandoru i większość żołnierzy poszłaby za nim aż do Shayol Ghul. Nie zaliczał się do najwybitniejszych dowódców, ale wiedział, kiedy podjąć bój, kiedy zeń zrezygnować, umiał też zwyciężać.

– Dotarliśmy chyba już na miejsce spotkania – odezwała się nagle Serailla, dokładnie w tym samym momencie, gdy Ethenielle spostrzegła zwiadowcę wysłanego naprzód przez Baldhere'a, bojaźliwego mężczyznę o imieniu Lomas, kryjącego głowę hełmem z godłem lisiego łba – ścigał właśnie wodze na szczycie przełęczy. Pochylił lancę i wykonał gest oznaczający: „Umówione miejsce w zasięgu wzroku”.

Baldhere zawrócił swego okazałego wierzchowca i wrzasnął do eskortujących żołnierzy, że mają się zatrzymać – a zaiste potrafił wrzeszczeć, kiedy zechciał – po czym spiął siwka ostrogami, by dogonić ją i Seraillę. Miało to być spotkanie odwiecznych sojuszników, jednak kiedy mijali po

drodze Lomasa, Baldhere wydał mężczyźnie o szczupłej twarzy zwięzły rozkaz: „Miej wszystko na oku”. Jeśli coś pójdzie nie tak, Lomas da sygnał eskorcie, która natychmiast otoczy królową.

Ethenielle westchnęła cicho, kiedy Serailla przytaknęła, aprobując rozkaz. Odwieczni sojusznicy – a jednak w tych czasach wzajemne podejrzania były tak częste jak muchy nad kupą gnoju. Ich poczynania miały taki skutek, jakby ktoś zamieszał gnojówkę i spłoszył robactwo. Zbyt wielu władców południa zmarło albo zaginęło zeszłego roku, aby Ethenielle mogła ufać noszonej koronie. Zbyt wiele krain wdeptano w ziemię w sposób, jakiego nie powstydziałaby się armia trollów. Ten al’Thor – kimkolwiek się okaże – będzie musiał odpowiedzieć na wiele pytań. Bardzo wiele.

Za plecami Lomasa przełęcz otwierała się na płytką nieckę, za małą, by można nazwać ją doliną, podobnie jak porastające ją z rzadka drzewa nie zasługiwały na miano choćby zagajnika. Na drzewach skórzanych, niebieskich jodłach, trójglastych sosnach, a także niektórych dębach została jeszcze odrobina zieleni, ale rośliny innych gatunków pokrywał zeschnięty brąz albo sterczały ku niebu ich bezlistne gałęzie. Za to w południowej części niecki znajdowało się coś, co czyniło ją znakomitym miejscem na wyznaczenie spotkania. Smukła iglica z połyskliwej, złotej koronki, choć częściowo zagrzebana w nagim zboczu i tak górowała dobre siedemdziesiąt kroków ponad korony sąsiadujących drzew. Wiedziało o niej każde dziecko z Czarnych Wzgórz, które było wystarczająco duże, by się wyrwać spod opieki rodziców, jednak przez cztery dni podróży od niecki nie spotkali żadnej wioski, nikt też z własnej woli nie podszedłby do niej bliżej niż na dziesięć mil. Krążyły opowieści o obłąkańczych wizjach, o żywych trupach, o tym, że każdego, kto dotknął iglicy, czekała rychła śmierć.

Ethenielle poczuła przeszywający ją lekki dreszcz, choć przecież nie uważała siebie za osobę obdarzoną szczególnie wybujałą wyobraźnią. Nianh powiadała, że iglica stanowi nieszkodliwą pozostałość po Wieku Legend. Na całe szczęście Aes Sedai nie miała powodu, by wspomnieć rozmowę sprzed tylu lat. Szkoda, że martwych nie dawało się zmusić, by ożyli, choćby tylko tutaj. Zgodnie z legendą Kirukan własnoręcznie ścięła głowę jakiemuś fałszywemu Smokowi i urodziła dwóch synów innemu mężczyźnie, który potrafił przenosić. A może to był ten mężczyzna. Kirukan zapewne wiedziała, jak zrealizować swój cel i przeżyć.

Zgodnie z przewidywaniami, dwóch uczestników spotkania już na nich czekało, każdemu towarzyszyła dwójka dworzan. Pociągłą twarz Paitara Nachimana przecinały znacznie liczniejsze zmarszczki niż zapamiętane oblicze tamtego oszałamiająco przystojnego starszego mężczyzny, który tak się podobał młodej dziewczynie, nie mówiąc już o tych przerzedzonych i przetkanych siwizną włosach. Na szczęście przestał splatać je w warkoczyki na arafeliańską modłę i ścinał teraz krótko. W siodle jednakże siedział sztywno wyprostowany, a ramion jego haftowanego kaftana z zielonego jedwabiu z pewnością nie trzeba było wypychać wata; Ethenielle I wiedziała ponadto, że wciąż zręcznie i skutecznie potrafi władać j mieczem. Drugi, Easar Togita, obdarzony kanciastą twarzą i z siwą kitą pozostawioną na czubku wygolonej czaszki, w prostym f, kaftanie barwy starego spizu, był nie tylko niższy o głowę od króla Arafel, ale także znacznie smuklejszy – jednak w porównaniu z nim Paitar wyglądał niemalże na słabeusza. Oczu Easara, króla Shienaru, nie rozplómił gniew – zdawało się wręcz, że smutek na stałe osiadł w jego spojrzeniu – ale zdawał się on wykuty z tego samego metalu co jego długi miecz przypasany do pleców. Ethenielle ufała obu mężczyznom – i miała nadzieję, że ich rodzinne koneksje dodatkowo utrzymują owo zaufanie. Ludzi Pogranicza w takim samym stopniu trzymały więzy małżeńskie, co wspólna wojna z Ugorem – jej córka poślubiła trzeciego syna Easara, syna wydała za ukochaną wnuczkę Paitara, a brat i dwie siostry również wżenili się w shienarańskie Domy.



Adiutanci różnili się między sobą tak samo jak ich władcy. Ishigari Terasian, odziany w przedni, a jednak potwornie wymięty czerwony kaftan, wyglądał jak zawsze, jakby właśnie ocknął się z otępienia po pijackiej biesiadzie – zamglone oczy, nie ogolone policzki. Dla odmiany Kyril Shianri, słuszny wzrostem, szczupły i niemal równie elegancki jak Baldhere, gdyby nie twarz okryta kurzem i potem, ze srebrnymi dzwoneczkami przy wysokich butach, rękawicach, a także wplecionymi w warkoczyki, jak zwykle miał niezadowoloną minę i na wszystkich, z wyjątkiem Paitara, zdawał się patrzeć z góry. Shianriego doprawdy pod wieloma względami należało określić mianem głupca – arafeliańscy królowie rzadko kiedy udawali, że słuchają swoich doradców, polegając w zamian na swych żonach – ale on był głupcem jeszcze większym, niż to się wydawało na pierwszy rzut oka. Z kolei Agelmar Jagad był jakby lepszą wersją Easara – niczym się nie wyróżniający, prosto odziany mężczyzna, jakby wykuty ze stali i kamienia, mający więcej broni niż Baldhere, przypominający nagłą śmierć, która czeka, aż ją spuszczą z uwięzi; natomiast Alesune Chulin była tak szczupła, jak Serailla krępa, tak piękna, jak Serailla pospolita i tak zapalczywa, jak Serailla opanowana. Alesune wyglądała, jakby od razu urodziła się w tych wspaniałych niebieskich jedwabiach. Należało jednak pamiętać, że osądzanie Serailli po pozorach też było błędem.

– Oby Pokój i Światłość obdarzyły cię swą łaską, Ethenielle z Kandoru – zagaił szorstkim tonem Easar, kiedy Ethenielle ściągnęła przed nimi wodze, a Paitar, wchodząc mu w słowo, zaintonował: – Oby Światłość przyjęła cię w swe objęcia, Ethenielle z Kandoru. – Paitar nadal mówił głosem, od którego kobiecie serce biło zwawiej. Miał on jednak żonę, która wiedziała, że należy do niej aż po podeszwy butów; Ethenielle wątpiła, by Menuki kiedykolwiek przeżyła bodaj jedną chwilę zazdrości czy przynajmniej miała ku temu cień powodów.

Sama przywitała ich w równie zwięzły sposób, na koniec tylko dodała obcesowo:

– Mam nadzieję, że pokonaliście taki szmat drogi niezauważenie.

Easar parsknął głośno i wsparłszy dłonie o łęk siodła, obrzucił ją ponurym spojrzeniem. Ten twardy mężczyzna owdowiał przed jedenastu laty i nadal opłakiwał żonę, dla której zwykł ongiś pisywać wiersze. Zawsze było coś więcej oprócz tego, co widziało się na powierzchni.

– Gdyby stało się inaczej, Ethenielle – odburknął – to równie dobrze moglibyśmy od razu wracać.

– Już mówisz o odwrocie? – W tonie, jakim Shianri wypowiedział te słowa, wsparte gwałtownym szarpnięciem ozdobionych frędzlami wodzy, lekka uprzejmość maskowała pogardę ledwie na tyle, by nie poczytać ich za obrazę. Agelmar jednak dalej przyglądał mu się zimno, ledwie dostrzegalnie poprawiwszy się w siodle – wcielenie człowieka, który przypomina sobie, gdzie też schował swoją broń. Dawni sojusznicy w rozlicznych bitwach na pograniczu Ugoru, a jednak ta świeżo zrodzona podejrzliwość wciąż podnosiła łeb.

Wierzchowiec Alesune, siwa klacz wielka jak rumak bojowy, zaczęła wierzgać. Cienkie siwe pasma w długich czarnych włosach Alesune nagle zdały się niczym pióropusz hełmu, a ten, kto teraz napotkałby jej wzrok, mógłby od razu zapomnieć, że shienarańskie kobiety bynajmniej nie uczą się posługiwać bronią, ani nie walczą w pojedynkach. Nosila prosty tytuł *shatayan* domu królewskiego, ale ten, kto uważał, że wpływy *shatayan* kończą się na wydawaniu rozkazów kucharzom, pokojowym i dostawcom żywności, popełniał wielki błąd.

– Głupota to nie to samo co odwaga, lordzie Shianri. Zostawiamy Ugór całkiem bez dozoru i jeśli nam się nie powiedzie, a może tak być również wtedy, gdy wygramy, głowy niektórych z nas będą zatknięte na grotach pik. Być może nawet wszystkich. Jeśli nie al’Thor, to Biała Wieża z pewnością tego dopilnuje.

– Ugór wygląda jak pogrążony we śnie – mruknął Terasian i kiedy potarł się po mięsistym

podbródka, rozległo się głośne zgrzytanie porastającej go szczeciny. – W życiu nie widziałem, by panował tam taki spokój.

– Cień nigdy nie śpi – wtrącił cicho Jagad, a Terasian przytaknął, jakby i to było godne zastanowienia. Agelmar był najlepszym dowódcą wojskowym z nich wszystkich, jednym z najlepszych na całym świecie, ale Terasian zajmował miejsce po prawicy Paitara wcale nie dlatego, że dobrze się sprawdzał jako kompan od kieliszka.

– Straż, jaką zostawiłam przy Ugorze, poradzi sobie... chyba że znowu wybuchną Wojny z Trollokami – oświadczyła stanowczo Ethenielle. – Ufam, że wszyscy postąpiliście równie roztropnie. Ale nie to akurat jest istotne. Czy ktoś naprawdę uważa, że jeszcze możemy się wycofać? – Zadała to pytanie oschłym tonem, nie spodziewając się odpowiedzi, która jednak padła.

– Wycofać się? – zabrzmiał za jej plecami władczy głos młodej kobiety. Tenobia z Saldaeï podjechała galopem do zgromadzonych, po czym ściągnęła wodze tak gwałtownie, że jej biały wierzchowiec stanął dęba. Wzdłuż ciemnoszarych rękawów jej sukni do konnej jazdy umieszczone były grube sznury pereł, a gęste zwoje czerwono-złotego haftu podkreślały smukłość kibici i krągłość łona. Była wysoka, jak na kobietę, i jakimś sposobem sprawiała wrażenie ładnej, jeśli nawet nie pięknej, mimo bardzo wydatnego nosa. Wrażenie to podkreślały nie tylko wielkie, skośne oczy granatowej barwy, ale również pewność siebie, tak wielka, że aż promieniowała z całej jej postaci. Jak się należało spodziewać, królowej Saldaeï towarzyszył jedynie Kalyan Ramsin, jeden z jej rozlicznych wujów, naznaczony wieloma bliznami szpakowaty mężczyzna o orlim nosie, z okalającymi usta sumiastymi wąsami. Tenobia Kazadi tolerowała wyłącznie rady pochodzące od żołnierzy. – Ja się nie cofnę – ciągnęła zapalczywym tonem – niezależnie od tego, co robi reszta z was. Posłałam mojego drogiego wuja Davrama, by przywiózł mi głowę fałszywego Smoka Mazrima Taima, a tymczasem on wraz z Taimem zaciągnął się pod sztandar al'Thora, jeśli można wierzyć choć w połowę wieści, które do mnie docierają. Mam blisko pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy i cokolwiek postanowicie, nie zrezygnuję, dopóki mój wuj i al'Thor nie popamiętają sobie raz na zawsze, kto włada Saldaeą.

Ethenielle wymieniła spojrzenia z Serailłą i Baldhere, gdy tymczasem Paitar i Easar zaczęli zapewniać Tenobię, że również nie zamierzają rezygnować. Serailła nieznacznie pokręciła głową i lekko wzruszyła ramionami. Natomiast Baldhere wyraźnie przewrócił oczami. Wprawdzie nie sposób było, rzecz jasna, przypisać Ethenielle szczerego pragnienia, by Tenobia w ostatniej chwili zrezygnowała, jednak całkiem poważnie obawiała się kłopotów, których mogła przysporzyć im dziewczyna.

Saldaeanie byli dziwnym narodem – Ethenielle często się zastanawiała, jak to się stało, że małżeństwo jej siostry, Einone, z kolejnym wujem Tenobii okazało się tak udane – jednakże w przypadku Tenobii owa dziwaczność przekraczała wszelkie granice. Wszyscy Saldaeanie lubili zwracać na siebie uwagę, ale Tenobia wprost uwielbiała wprawiać Domani w osłupienie i sprawiać, że w porównaniu z nią Altaranie sprawiali wrażenie bezbarwnych. O temperamentach mieszkańców Saldaeï krążyły legendy, jej temperament zaś przypominał otwarty ogień na porywistym wietrze – człowiek nie był w stanie przewidzieć, co może go rozniecić. Ethenielle nie miała nawet ochoty się zastanawiać, jak, wbrew jej woli, zmusić tę kobietę do posłuchania głosu rozsądku – tego dokonać potrafił jedynie Davram Bashere. Pozostawała też sprawa jej zamążpójścia.

Tenobia była jeszcze młoda, ale już dawno weszła w wiek stosowny do zamążpójścia – małżeństwo stanowiło obowiązek każdego członka panującego Domu, a tym bardziej władcy; należało przypieczętować sojusze, zadbać o następcę tronu – a jednak sama Ethenielle nigdy nie brała dziewczyny pod uwagę jako ewentualnej partnerki dla swych synów. Kandydatowi na męża

Tenobia stawiała równie wysokie wymagania, jak wszystkiemu, co ją otaczało. Musiałby sam dać radę dziesięciu Myrddraalom, rzecz jasna, wycinając ich wszystkich w pień. A równocześnie przygrywać na harfie i układać wiersze. Wprawiać uczonych w zdumienie, zjeżdżając przy tym konno ze stromego urwiska, czy też wjeżdżając na nie. I oczywiście we wszystkim jej ulegać – ostatecznie była królową – od czasu do czasu jednak, w stosownym momencie, zignorować to, czego chciała, i raczej postawić na swoim. Ta dziewczyna naprawdę tego właśnie chciała! Światłości, dopomóż takiemu, który stawiałby na swoim wtedy, gdy ona chciałaby uległości albo był uległy wtedy, gdy ona by chciała inaczej. Tenobia nigdy wprawdzie nie powiedziała tego wszystkiego wprost, ale każda rozumna kobieta, która słyszała, co ona wygaduje na temat mężczyzn, potrafiła poskładać to w całość. Tenobia miała umrzeć w stanie panieńskim – tak jej było widocznie pisane. Co oznaczało, że tron odziedziczy jej wuj Davram – jeśli Tenobia pozwoli mu dożyć – a jeśli nie, to jego spadkobierca. Podchwyciła jakieś słowo, wyprostowała się gwałtownie w siodle. Powinna uważać, o nazbyt ważne rzeczy tutaj chodzi.

– Aes Sedai? – powtórzyła ostro. – Jakie Aes Sedai? -Wszystkie doradczynie z Tar Valon, z wyjątkiem towarzyszącej Paitarowi, zareagowały na pierwsze słowo o kłopotach w Białej Wieży; przydzielone jej Nianh i Aisling Easara przepadły bez śladu. Jeśli Aes Sedai bodaj domyślały się, jakie są ich plany... Cóż, Aes Sedai zawsze miały własne plany. Zawsze. Kiepska sprawa, gdyby miało się okazać, że wbrew przewidywaniom nie tylko wsadza rękę w gniazdo szerszeni, ale że gniazda są aż dwa.

Paitar wzruszył ramionami, cokolwiek zakłopotany. Niebłaha osiągnięcie w jego przypadku, podobnie jak Seraila nie dawał się łatwo wytrącić z równowagi.

– Chyba się nie spodziewałaś, że zostawię Coladarę w domu, Ethenielle – powiedział uspokajającym tonem – nawet gdybym był w stanie zataić przed nią przygotowania. – Nie spodziewała się. Kiruna, jego ukochana siostra, sama była Aes Sedai i zaszczepiła w nim moc ciepłych uczuć wobec Wieży. Nie spodziewała się, ale po cichu na to liczyła. – Coladara miała gości – ciągnął. – Aż siedem sióstr. Mając na względzie okoliczności, wydało mi się, że postąpię roztropnie, jeśli wszystkie zabiorę ze sobą. Na szczęście nie musiałem ich długo przekonywać. Tak naprawdę, to w ogóle nie musiałem.

– Oby Światłość opromieniła i zachowała nasze dusze – wyszeptała Ethenielle, a jak echo zawtórowali jej Seraila i Baldhere. – Osiem sióstr, Paitar? Osiem? – Biała Wieża z pewnością znała już dokładnie każdy zamierzony przez nich krok.

– A ja przywiozłam ze sobą jeszcze pięć – wtrąciła Tenobia takim tonem, jakby oznajmiała, że zabrała parę nowych pantofli. – Spotkały mnie tuż przed wyjazdem z Saldaei. Przypadkiem, tego jestem pewna, bo wyglądały na równie zdziwione jak ja. Kiedy się domyśliły, co zamierzam... nadal nie wiem, jak im się to udało, a jednak... no więc, kiedy się domyśliły, oczekiwałam, że natychmiast pognają na poszukiwanie Memary. – Zmarszczyła brwi w przelotnym grymasie. Elaida mocno się przeliczyła, przysyłając siostrę, której zadaniem było okpienie Tenobii. – A tymczasem – skończyła – Illeisien i pozostałym jeszcze bardziej niż mnie zależało na utrzymaniu rzeczy w tajemnicy.

– No i co z tego! – upierała się Ethenielle. – Trzyście sióstr. I teraz trzeba tylko, by któraś znalazła sposób na przesłanie wiadomości. Choćby kilku linijek listu. Zastraszą jakiegoś żołnierza albo pokojówkę. Czy któremuś z was się wydaje, że potrafi je powstrzymać?

– Kości zostały rzucone – orzekł lakonicznie Paitar. Co się stało, to się nie odstanie. W oczach Ethenielle Arafelianie byli niemal równie dziwni jak Saldaeanie.

– Dalej na południu – dodał Easar – towarzystwo trzynastu Aes Sedai może się okazać jak najbardziej wskazane. – Po tym stwierdzeniu zapadło milczenie, brzemienne w nie wypowiedziane

wnioski. Nikt nie miał ochoty formułować ich na głos. To wszystko dalece odbiegało od zwykłych zmagania z Ugorem.

Za to Tenobia wprowadziła wszystkich w zdumienie, bo ni stąd, ni zowąd wybuchnęła śmiechem. Jej wierzchowiec usiłował stanąć dęba, ale osadziła go ostro.

– Ja zamierzam dotrzeć na południe tak szybko, jak tylko się da, tymczasem jednak zapraszam wszystkich na wieczerzę w moim obozie. Będziecie mogli porozmawiać z Illeisien oraz jej przyjaciółkami i sami się przekonać, czy wasz osąd zgadza się z moim. A jutrzejszej nocy spotkamy się w obozowisku Paitara i wypytamy przyjaciółki Coladary. – Propozycja była tak sensowna i oczywista, że zyskała natychmiastową akceptację. A potem Tenobia dodała jeszcze, jakby po namyśle: – Mój wuj Kalyan będzie zaszczycony, jeśli pozwolisz mu usiąść obok siebie, Ethenielle. Bardzo cię podziwia.

Ethenielle popatrzyła na Kalyana Ramsina, który siedział na koniu, za Tenobią i dotąd ani razu się nie odezwał, sprawiał wręcz wrażenie, jakby nawet nie oddychał. Ich spojrzenia spotkały się i posiwiały orzeł przelotnie spojrzawszy jej głęboko w oczy. Przez chwilę dostrzegła w jego wzroku coś, czego nie widziała od śmierci Brysa – zobaczyła męczyznę patrzącego nie na królową, lecz na kobietę. Odczuła to jak cios, który potrafi pozbawić tchu. Tenobia przeniosła spojrzenie z wuja na Ethenielle, a towarzyszył temu źle skrywany uśmiezek satysfakcji.

Ethenielle poczuła wzbierającą w sobie wściekłość. Uśmiech tam– tej był przejrzysty niczym źródło, jakby już samego wzroku Kalyana nie wystarczyło. Ta dzierlatka wymyśliła sobie, że ich ożeni? To dziecko sądzi?... Całkiem nagle furię zastąpił smutek. Sama była jeszcze młodsza, kiedy swatała swą owdowiałą siostrę Nazelle. I choć wbrew początkowym protestom siostry o małżeństwie zdecydowała wyłącznie racja stanu, ostatecznie Nazelle pokochała lorda Ismicia. Ethenielle od tak dawna aranżowała już tylko cudze małżeństwa, że nigdy się nie zastanowiła, czy sama byłaby zdolna do stworzenia nowego, trwałego związku. Raz jeszcze przyjrzała się Kalyanowi, tym razem dokładniej. Na jego ogorzałej twarzy nie było nic prócz należytego szacunku, jednak wyobraźnia podsuwała wyraz jego oczu, jaki widziała przed chwilą. Oblubieniec, którego wybrałaby dla siebie, musiałby być silnym mężczyzną, ale własnym dzieciom przynajmniej, jeśli już nie rodzeństwu, nigdy nie odbierała szansy na miłość – dla siebie też nie żądałaby mniej.

– Zamiast marnować dzień na czczą gadaninę – powiedziała, głosem bardziej ściśniętym, niżby sobie życzyła – zajmijmy się tym, po co tu przybyliśmy. – Niech Światłość strawi jej duszę, jest przecież dorosłą kobietą, nie zaś młodą dziewczyną, która po raz pierwszy w życiu spotyka potencjalnego kandydata do swej ręki. – No i jak będzie? – spytała podniesionym, tym razem odpowiednio stanowczym tonem.

Wszystko zostało już uzgodnione w ostrożnych słowach tamtych listów, teraz jednak, w miarę jak będą się posuwali coraz dalej na południe, plany miały podlegać modyfikacjom, stosownie do okoliczności. Spotkaniu zaś tak naprawdę przyświecał jeden tylko cel: odnowienie pewnego prostego, starożytnego rytuału Ziemi Granicznych, który inicjowano zaledwie siedmiokrotnie przez wszystkie lata, jakie upłynęły od Pęknięcia. Prosty obrządek, który jednak zwiąże ich silniej, niżli potrafiły słowa, jakkolwiek by były wielkie. Władcy podjechali bliżej siebie, a towarzyszące im osoby usunęły się na bok.

Ethenielle syknęła, gdy nóż przeciął skórę na wnętrzu jej lewej dłoni. Tenobia przejechała ostrzem po swojej dłoni i zaśmiała się. Paitar i Easar równie dobrze mogli wyjmować sobie drzazgi. Cztery dłonie spotkały się i w uścisku zmieszały krew płynącą z serca, która kapiała na ziemię, wsiąkając w kamienistą glebę.

– Aż po śmierć, jesteśmy jednością – rzekł Easar i wszyscy powtórzyli formułę zgodnym

chórem: – Aż po śmierć, jesteśmy jednością. – Tak związali się przysięgą na krew i ziemię. Teraz musieli znaleźć Randa al'Thora. I zrobić, co trzeba. Niezależnie od ceny, jaką przyjdzie zapłacić.

Gdy już nabrała pewności, że wsparta na poduszkach Turanna jest w stanie usiąść bez pomocy, Verin wstała i pozostawiła skuloną Białą siostrę, popijającą wodę. Czy raczej usiłującą popijać. Zęby Turanny szczękały o brzeg srebrnego kubka, czemu zresztą bynajmniej nie należało się dziwić. Wejście do namiotu było tak niskie, że nawet ona musiała się pochylić, by móc wytknąć głowę na zewnątrz. A wtedy poczuła, jak ból umęczonego grzbietu przeszywa ją do głębi. Nie bała się odwrócić plecami do rozdygotanej kobiety w szacie ze zgrzebnej czarnej wełny. Wcześniej Verin otoczyła ją silną tarczą, a nie podejrzewała, by Turannie zostało dość sił na podjęcie próby rzucenia się na nią od tyłu, nawet gdyby tak niedorzeczna myśl przyszła jej do głowy. Białe nie miały takich pomysłów. A skoro już o tym mowa, stan Turanny zapewne w ogóle nie pozwalał jej przenosić, nawet gdyby nie była oddzielona od Źródła.

Aielowie rozbili swój obóz na wzgórzach, wśród których kryło się Cairhien; niskie namioty barwy ziemi wypełniały przestrzenie między drzewami, których nie było tu wiele ze względu na bliskość miasta. W powietrzu unosiły się nieznaczne tumany pyłu, ale ani kurz, ani skwar, ani też wściekły blask słońca nie przeszkadzały Aielom. Obozowisko tętniło życiem, upodabiając się do dowolnego miasta. Verin ze swego miejsca obejmowała wzrokiem mężczyzn uprawiających upolowaną zwierzynę i latających namioty, ostrzających noże i szyjących te charakterystyczne miękkie, buty noszone przez wszystkich Aielów, oraz kobiety, które coś gotowały albo piekły na otwartych paleniskach, tkwały na małych krosnach, opiekowały się nielicznymi dziećmi. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzała, widziała odzianych na biało *gai'shain*, którzy coś targali, trzepali dywaniki względnie doglądali juczych koni i mułów. Żadnych domokrażców ani sklepikarzy. Żadnych fur i powozów. Miasto? Bardziej to przypominało tysiąc wiosek zgromadzonych w jednym miejscu, tyle że mężczyzn było tu znacznie więcej niż kobiet i niemal wszyscy ci mężczyźni, z wyjątkiem kowali dźwięcznie uderzających w swoje kowadła oraz ludzi w bieli, pozostawali uzbrojeni. Zresztą większość kobiet też była uzbrojona.

Zgromadzona tu rzesza dorównywała liczebnością populacjom wielkich miast, z pewnością zaś trudno było w niej rozróżnić wzięte do niewoli Aes Sedai, a jednak Verin zauważyła, w odległości nie większej niż pięćdziesiąt kroków, ubraną na czarno kobietę, która szła z wielkim trudem, wlokąc stertę kamieni ułożonych na bydłowej skórze, stertę, która sięgała jej aż do pasa. Choć twarz miała skrytą w cieniu kaptura, nikt w obozie, z wyjątkiem uwięzionych sióstr, nie nosił takich czarnych szat. Równoległe do skórzanej płachty szła spacerowym krokiem jakaś Mądra w poświacie Mocy, świadczącej o tym, że więźniarka jest odcięta tarczą od Źródła, a dwie Panny towarzyszyły siostrze z obu stron i poganiały ją różgami, gdy tylko zwolniła kroku. Verin zastanawiała się, czy to widowisko nie jest przypadkiem przeznaczone specjalnie dla niej. Tego ranka spotkała już Coiren Saeldain, w towarzystwie Mądrej i pod eskortą dwóch wysokich Aielów; z szaleństwem w oczach i twarzą zalaną potem wspinała się chwiejnie na zbocze, uginając pod brzemieniem ogromnego kosza po brzegi wypełnionego piaskiem. Wczoraj podobne szykany spotkały Sarene Nemdahl. Kazali jej garściami przenosić wodę z jednego skózanego bukłaka do drugiego, najpierw ćwicząc różgami, by robiła to żwawiej, a potem chłuszcząc za każdą rozlaną kroplę. Sarene skorzystała z chwili nieuwagi tamtych, by zapytać Verin, po co to wszystko, aczkolwiek z tonu głosu odgadła, że raczej nie spodziewa się odpowiedzi. Verin z pewnością nie była w stanie żadnej udzielić, zanim Panny zagnały Sarene z powrotem do jej bezsensownej harówki.

Słumiała westchnienie. Z jednej strony doprawdy nie podobał jej się widok sióstr traktowanych w taki sposób – niezależnie już od racji, jakie za tym przemawiały, a także celowości takiego postępowania – z drugiej zaś było oczywiste, że wiele Mądrych chciało... No właśnie, czego? Dowieść, że status Aes Sedai nic tutaj nie znaczy? Niedorzeczność. To akurat nazbyt jasno dano jej do zrozumienia już wiele dni temu. Przypomnieć, że i ją można oblec w czarną szatę? Przypuszczała, że to jej raczej nie grozi, choć pewności nie miała – Mądre skrywały wiele tajemnic, które należało odkryć, a najmniej ważna dotyczyła obowiązującej wśród nich hierarchii. I choć był to zdecydowanie najmniej ważny ich sekret, mimo to odeń właśnie zależało życie i całość skóry. Kobiety, które wydawały rozkazy, niekiedy przyjmowały je od tych samych kobiet, którymi wcześniej komenderowały, a później to wszystko znowu ulegało odwróceniu; nie do rymu, nie do taktu, według niej zupełnie bez sensu. Nikt wszelako nie rozkazywał Sorilei i być może to właśnie stanowiło gwarancję bezpieczeństwa. Do pewnego stopnia.

Nie umiała zdławić przepełniającego ją poczucia satysfakcji. Wczesnym rankiem, w Pałacu Słońca, Sorilea chciała koniecznie się dowiedzieć, co jest największą hańbą w oczach mieszkańców mokradeł. Kiruna i pozostałe siostry nie rozumiały, nie podjęły żadnych realnych wysiłków zrozumienia, co się tu naprawdę dzieje – może z obawy przed tym, czego mogłyby się dowiedzieć i jaki wpływ taka wiedza mogłaby wywrzeć na konieczność dochowywania przysięg. Nadal mozolnie szukały usprawiedliwienia dla drogi, na którą pchnął je ślepy los, w odróżnieniu od Verin, która знаła już racje i cel drogi, jaką sama obrała. W sakwie przy pasie nosiła szczegółową listę przysiężnych udręk, gotowa wręczyć ją Sorilei, gdy tylko znajdą się sam na sam. Tamte nie musiały o niej wiedzieć. Wśród pojmanych było kilka sióstr, których wcześniej nie znała, jednak ostatecznie – nie miała większych wątpliwości – udało jej się ująć większość słabych punktów, których poszukiwała Sorilea. Życie kobiet w czerni stanie się znacznie bardziej nieprzyjemne. A jej własne starania, jeśli szczęście dopisze, znajdą bezgranicznie oddanego sprzymierzeńca.

Przed namiotem siedziało dwóch zwalistych Aielów, każdy z trzonem topora wzdłuż pleców. Z pozoru pochłaniała ich gra w kocią kołyskę, ale obejrzeni się natychmiast, kiedy wytknęła głowę między kłapami wejścia. Coran wyprostował się gibkim ruchem, a Mendan stracił jedynie tyle czasu, ile trzeba, by schować sznurek. Wyprostowana ledwie sięgałaby głową piersi każdego z nich. Owszem, potrafiłaby obu unieść do góry nogami w powietrze i porządnie obić. Gdyby się tylko ośmieliła. Od czasu do czasu nachodziły ją takie pokusy. Zostali wyznaczeni na jej przewodników, mieli ją chronić w razie nieporozumień w obozie. I bez wątplenia donosili o wszystkim, co powiedziała bądź uczyniła. Pomyślała, że lepiej byłoby mieć przy sobie Tomasa, ale po zastanowieniu nie była już taka pewna. Dochowanie sekretów wobec własnego Strażnika było o wiele trudniejsze niż wobec obcych.

– Proszę, przekaz Colindzie, że już skończyłam z Turaną Norill – powiedziała Coramowi. – I poproś ją, by przysłała do mnie Katerine Alruddin. – Pragnęła najpierw załatwić sprawę z tymi siostrami, które nie miały Strażników. Skinął głową i natychmiast, słowem się nie odezwawszy, pobiegł. Mężczyźni Aielów nie grzeszyli uprzejmością.

Mendan przycupnął, obserwując ją tymi zaskakująco niebieskimi oczyma. Jeden zawsze zostawał przy niej, gdyby jeszcze czegoś chciała. Mendan przewiązywał czoło paskiem czerwonej tkaniny, ze starożytnym symbolem Aes Sedai. Podobnie jak inni mężczyźni, którzy nosili te przepaski, podobnie jak Panny, Mendan zdawał się tylko czyhać na jej najmniejszy błąd. Cóż, nie tylko oni, a i do najgroźniejszych przeciwników wiele im brakowało. Minęło siedemdziesiąt jeden lat, odkąd po raz ostatni popełniła jakiś poważny błąd.

Obdarzyła Mendana rozmyślnie niejasnym uśmiechem i już zaczęła się wycofywać w głąb

namiotu, gdy nagle coś przykuło jej wzrok, koląc w oczy niczym złowieszczy omen. Gdyby Aielowie zechcieli w tym momencie poderżnąć jej gardło, mogłaby nic nie zauważyć.

Niedaleko jej namiotu klęczało w szeregu dziewięć, może dziesięć kobiet, obracały płaskie, kamienne żarna, podobnych do tych, jakie zauważyła na opustoszałych farmach. Inne kobiety przynosiły ziarno w koszykach i zabierały grubo mieloną mąkę. Klęczące były ubrane w ciemne spódnice i jasne bluzki, a włosy miały przewiązane zrolowanymi chustkami. Jedna z nich, wyraźnie niższa od pozostałych, jedyna, której włosy nie sięgały przynajmniej do pasa, nie miała na sobie ani jednego naszyjnika czy bransolety. Zadarła głowę i gdy jej oczy napotkały wzrok Verin, niechęć wyostrzyła rysy poróżowiałej od słońca twarzy. Ale tylko na krótką chwilę, potem pospiesznie zgarbiła się nad swoją robotą.

Verin wycofała się prędko do wnętrza namiotu, czując, że przewraca jej się w żołądku. Irgain była Zieloną Ajah. Przynajmniej ongiś była, dopóki Rand al'Thor jej nie ujarzmił. Tarcza osłabiała i rozluźniała więź zobowiązań ze Strażnikiem, natomiast ujarzmienie przerywało tę więź, nieodwracalnie niczym śmierć. Jeden ze Strażników Irgain zmarł ponoć od przeżytego wstrząsu, drugi poległ w walce z tysiącem Aielów, nawet nie spróbował ucieczki. Irgain zapewne żałowała, że sama nie umarła. Ujarzmiona. Verin przycisnęła dłonie do łona. Nie będzie wymiotowała. Widywała już gorsze rzeczy niż ujarzmione kobiety. O wiele gorsze.

– Nie ma żadnej nadziei, nieprawdaż? – mruknęła Turanna zdławionym głosem. Łkała cicho, ze wzrokiem wbitym w dno srebrnego kubka, drżącego w jej dłoniach, jakby widziała tam coś odległego i przerażającego. – Żadnej nadziei.

– Zawsze jest jakieś wyjście, pod warunkiem że go poszukasz – odrzekła Verin, roztargnionym ruchem poklepując kobietę po ramieniu. – Zawsze trzeba szukać.

W głowie wirowało jej od myśli, z których żadna nie obejmowała Turanny. Światłość jedna wie, że widok ujarzmionej Irgain wywołał w niej wrażenie, jakby miała żołądek pełen zjełczanego tłuszczu. Tylko dlaczego ta kobieta meła ziarno? I czemu była ubrana jak kobieta Aielów?! Czyżby tylko po to zagnano ją tutaj do roboty, aby Verin mogła to zobaczyć? Głupie pytanie, zwłaszcza skoro w odległości kilku mil przebywał *ta'veren* tak silny jak al'Thor, niemniej istniała jakaś graniczna liczba zbiegów okoliczności, którą gotowa była zaakceptować. Czyżby się przeliczyła? W najgorszym razie skutki błędu nie powinny okazać się skrajnie groźne. Tyle że niekiedy drobne pomyłki okazywały się równie fatalne jak wielkie. Jak długo wytrzyma, jeśli Sorilea postanowi ją złamać? Podejrzała, że czas ten może okazać się niepokojąco krótki. Pod pewnymi względami Sorilea zaliczała się do najtwardszych osób, jakie w życiu spotkała. I nic nie można zrobić, by temu zapobiec. Ale zamartwiać się będzie, kiedy przyjdzie na to czas. Nie ma sensu wyprzedzać wydarzeń.

Uklękła i próbowała pocieszyć Turannę, jednak bez większego przekonania. Uspokajające słowa brzmiały dla niej równie pusto, jak i dla tamtej, przynajmniej sądząc po apatycznym wyrazie oczu. Nikt nie mógł odmienić losu Turanny prócz samej Turanny, a to nastąpi dopiero wówczas, gdy naprawdę tego zapragnie. Biała siostra rozsłochała się jeszcze żałośniej, spazmatyczne, nieme łkania targały ramionami, twarz zalewały strumienie łez. Wejście dwóch Mądrych oraz dwóch młodych Aielów chyba nieco rozładowało sytuację. W każdym razie tak odebrała to Verin. Wstała i dygnęła wdzięcznie, jednak żadne z nowo przybyłych nie poświęciło jej osobie szczególnej uwagi.

Daviena miała zielone oczy i jasnorude włosy, Losaine szare oczy i ciemne włosy i tylko na słońcu przebłyskiwały wśród nich rude pasma; obie były ponad głowę wyższe od Verin, obie też miały takie miny, jakby wyznaczono im jakieś paskudne zadanie, którym wołałyby obarczyć kogoś innego. Żadna nie potrafiła przenosić dostatecznie silnie, by mieć pewność, że utrzymają Turannę w

pojedynkę, ale łączyły się z taką wprawą, jakby od urodzenia potrafiły uformować krąg, a otaczające je łuny *saidara* zdawały się stapiać ze sobą, mimo dzielącej je pewnej odległości. Gdzie one się tego nauczyły? Gotowa była założyć się o wszystko, co posiada, że jeszcze kilka dni temu pozostawało to poza zasięgiem ich możliwości.

Wszystko poszło szybko i sprawnie. Kiedy pochyleni mężczyźni wzięli Turannę za ramiona i podnieśli, srebrny kubek poleciał na podłogę. Na szczęście dla niej był pusty. Turanna nie opierała się, co było całkiem rozsądne, zważywszy na to, że każdy z nich mógłby ją wynieść pod pachą niczym worek ziarna. Jedyne z jej otwartych szeroko ust wydobył się bezgłośny jęk. Aielów nic to nie obeszło. Daviena, skupiona na podtrzymywaniu kręgu, utworzyła tarczę, a Verin uwolniła Źródło. Żadna z Mądrych nie ufała jej dostatecznie, by bez usprawiedliwionego powodu pozwolić na objęcie *saidara*, niezależnie od przysięg, jakie złożyła. Z pozoru nic nie zauważyły, z pewnością jednak zachowywałyby się inaczej, gdyby postąpiła wbrew ich oczekiwaniom. Mężczyźni wyciągnęli Turannę na zewnątrz, wlokąc jej nagie stopy po warstwach dywaników ułożonych na podłodze namiotu, a Mądre wyszły zaraz za nimi. I na tym koniec. Wszystko, co można było zrobić z Turanną, zostało zrobione.

Wypuściwszy długo wstrzymywany oddech, Verin opadła na jedną z kolorowych, wykończonych frędzlami, poduszek. Na dywanikach tuż obok niej spoczywała taca ze złotej plecionki. Napelniła jedną z nie dopasowanych srebrnych filiżanek herbatą z cynowego dzbana i wypita łąpczywie. To zajęcie męczyło, pobudzało pragnienie. Pozostało jeszcze wiele godzin do zmierzchu, a już czuła się, jakby przez dwadzieścia mil targała ciężką skrzynię. Po górach. Kubek powędrował z powrotem na tacę, a Verin wyciągnęła z za pasa małą, oprawioną w skórę książeczkę. Zawsze to trochę trwało, zanim przyprawdzili siostrę, którą akurat wybrała. Kilka chwil spędzonych na przeglądaniu notatek – i sporządzaniu nowych – nie zawadzi.

Nie prowadziła zapisków na temat sióstr pojmanych w niewolę, natomiast niespodziane pojawienie się Cadsuane Melaidhrin przed trzema dniami dawało dość powodów do niepokoju. Do czego zmierzała Cadsuane? Jej towarzyszki można było zbagatelizować, ale sama Cadsuane stanowiła legendę, której tylko choćby w miarę wiarygodne elementy czyniły z niej osobę doprawdy bardzo groźną. Groźną i nieprzewidywalną. Verin wyjęła pióro z małego drewnianego piórnika, który zawsze miała przy sobie, odkorkowała stanowiący jego część kałamarz. I w tym momencie kolejna Mądra weszła do namiotu.

Verin poderwała się na równe nogi tak szybko, że aż upuściła notatnik. Aeron w ogóle nie potrafiła przenosić, ale Verin dygnęła przed posiwiąłą kobietą równie głęboko jak przed Davieną i Losaine. Kończąc ukłon, puściła spódnice, chcąc podnieść notes, ale palce Aeron dosięgły go prędzej. Verin wyprostowała się, spokojnie patrząc, jak tamta wertuje stronicę.

Niebieskie jak niebo... jak zimowe niebo... oczy spojrzały w jej oczy.

– Kilka pięknych rysunków i mnóstwo słów na temat roślin i kwiatów – stwierdziła chłodno Aeron. – Nie widzę tu pytań, które polecono ci zadać. – Notatnik wcisnęła jej raczej, niż podała.

– Dziękuję ci, Mądra – odparła potulnie Verin, chowając notatnik w bezpieczne miejsce za pasem. Dygnęła nawet powtórnie dla lepszego efektu, równie głęboko jak za pierwszym razem. – Mam obyczaj notowania wszystkiego, co zauważę. – Któregoś dnia będzie musiała opisać szczegółowo klucz do szyfru, jakim posługiwała się w swych notatnikach... zawierały pracę całego jej życia, pomieszczone w licznych kredensach i kufrach jej izb nad biblioteką Białej Wieży... któregoś dnia, ale miała nadzieję, że niezbyt rychło. – A co do... mhm... więźniarek... jak dotąd wszystkie powtarzają wariacje na ten sam temat. *Car'a'carn* miał zostać umieszczony w Wieży i czekać tam na nadejście Ostatniej Bitwy. A... mhm... znęcano się nad nim... bo usiłował uciec. Ale



o tym naturalnie już wiesz. Nie ma obawy, z pewnością dowiem się więcej. – Wszystko to prawda, nawet jeśli nie cała, jednak zbyt wiele sióstr zmarło na jej oczach, by mogła ryzykować, że pośle inne do grobu, nie mając po temu wystarczającego powodu. Problem zaś polegał na zrozumieniu kwalifikacji konkretnego czynu w oczach Aielów. Podstępny sposób porwania młodego al'Thora przez misję poselską, która rzekomo z nim paktowała, rozwścieczył ich do tego stopnia, że byli bliscy mordu, natomiast to, co określała jako „znęcanie się”, ledwie ich rozgniewało, przynajmniej jak potrafiła się zorientować.

Bransolety ze złota i kości słoniowej zaszczękały cicho, kiedy Aeron poprawiła swój ciemny szal. Patrzyła z wysoka, jakby usiłowała czytać w myślach Verin. Aeron zdawała się zajmować jakieś poczesne miejsce w hierarchii Mądrych i choć Verin zdarzało się niekiedy widywać uśmiech marszczący te ogorzałe policzki, uśmiech ciepły i niewymuszony, nie był on nigdy przeznaczony dla żadnej Aes Sedai.

„Nawet nie podejrzewałyśmy, że w ogóle możecie przegrać”, wyjaśniła nieco mętnie na użytek Verin. Niemniej ciąg dalszy był całkiem zrozumiały. „Aes Sedai nie mają honoru. Spraw, by padł na ciebie choć cień podejrzenia, a własnymi rękoma zwiążę cię tak; że nie dasz rady się wyprostować. Niech cień się pogłębi, a rzucę cię na pożarcie sępom i mrówkom”.

Verin zamrugnęła, starając się patrzeć na nią tak szczerze, jak tylko potrafiła. I potulnie; nie wolno zapominać o pokorze. Uległa i posłuszna. Nie czuła strachu. W swoim czasie znosiła twardsze spojrzenia kobiet – a i mężczyzn – których wcale nie musiały wspierać równie żalosne groźby, jakie wygłaszała Aeron. Z drugiej strony jednak włożyła sporo wysiłku w zdobycie pozwolenia na prowadzenie tych przesłuchań. Nie mogła sobie teraz pozwolić na jego zmarnowanie. Żeby jeszcze oblicza tych Aielów cokolwiek zdradzały.

Nagle dotarło do niej, że już nie są same w namiocie. Weszły do niego dwie Panny o włosach barwy lnu, z odzianą na czarno kobietą, niższą od nich na szerokość dłoni. Musiały ją podtrzymywać, żeby nie chwiała się na nogach. Po jednej stronie stała Tialin, szczupła i rudowłosa, z ponurą miną wyzierającą zza łunysaidara, odgradzającego tarczą więźniarkę. Włosy siostry opadały przepoconymi puklami na ramiona, kilka pasem przylgnęło do twarzy tak brudnej, że Verin z początku jej nie poznała. Nieco wydatne kości policzkowe, lekko zakrzywiony nos i te odrobinę skośne piwne oczy... Beldeine. Beldeine Nyram. Jej uczennica z wykładów dla nowicjuszek.

– Jeśli wolno spytać – zagaiła ostrożnie – po co ją tu sprowadzono? Prosiłam o inną. – Wprawdzie, mimo przynależności do Zielonych, Beldeine nie miała Strażnika, ponieważ została wyniesiona do szala zaledwie trzy lata temu, a Zielone często bywały wybredne przy wyborze pierwszego. Jeśli jednak zechcą kierować się własnym uznaniem, następna będzie miała dwóch albo trzech Strażników. Verin była przekonana, że poradzi sobie tego dnia jeszcze z dwiema siostrami, wszakże nie wtedy, gdy któraś będzie miała choćby tylko jednego Strażnika. A wątpiła, by dały jej potem drugą szansę.

– Katerine Alruddin uciekła ubiegłej nocy – niemalże wypluła z siebie Tialin, a Verin nie potrafiła powstrzymać głośnego westchnienia.

– Pozwoliłyście jej uciec?! – wybuchnęła bezmyślnie. Zmęczenie nie było żadną wymówką, ale słowa jakby same wymknęły się z ust. – Jak mogliście być takie głupie? Toż ona należy do Czerwonych! I nie brakuje jej ani odwagi, ani siły posługiwania się Mocą! *Car'a'carnowi* może grozić niebezpieczeństwo! Dlaczego nam nic nie powiedziano, zaraz kiedy się to stało?

– Wszystko wyszło na jaw dopiero dziś rano – odwarknęła jedna z Panien. Jej oczy przypominały dwa wypolerowane szafiry. – Jedna Mądra i dwóch *Cor Darei* zostało otrutych, a *gai'shain*, który przyniósł im napoje, znaleziono z poderżniętym gardłem. I

Aeron spojrzała na Pannę, jej brwi wygięły się w łuk.

– Pozwolono ci z nią rozmawiać, Carahuin? – Obie Panny stały się nagle bardzo zajęte utrzymaniem Beldeine w pozycji pionowej. Aeron ledwie zerknęła na Tialin, za to rudowłosa Mądra spuściła wzrok. Następnie cała uwaga skupiła się na Verin.

– Twoja troska o Randa al'Thora przynosi ci... zaszczyt i jest oznaką honoru – stwierdziła posępnym tonem Aeron. – *Car'a'carn* będzie strzeżony. Więcej wiedzieć nie musisz. Ani nawet tyle. – Naraz głos jej stwardniał. – Uczennice nie przemawiają takim tonem do Mądrych, Verin Mathwin Aes Sedai. – Ostatnie dwa słowa zostały wypowiedziane przez zaciśnięte zęby.

Stłumiwszy westchnienie, Verin jeszcze raz głęboko dygnęła, trochę żałując, że nie jest już tak szczupła jak wtedy, gdy po raz pierwszy przybyła do Białej Wieży. Doprawdy nie była odpowiednio zbudowana do gięcia karku i pleców.

– Wybacz mi, Mądra – odparła pokornie. Uciekła! Okoliczności ucieczki były, dla niej przynajmniej, jeśli już nie dla Aielów, całkowicie jasne. – Ze zdenerwowania musiałam się zapomnieć. – Szkoda, że wcześniej nie znalazła sposobu na to, by Katherine spotkał śmiertelny wypadek. – Dołożę wszelkich starań, aby się to już nigdy nie powtórzyło. – Na twarzy Aeron nie drgnął nawet jeden mięsień na znak, że przyjmuje jej wyjaśnienia. – Czy mogę przejąć jej tarczę, Mądra?

Aeron skinęła głową, ale nawet nie spojrzała na Tialin; Verin prędko objęła Źródło, przejmując uwolnioną przez Tialin tarczę. Nigdy nie przestało jej zdumiewać, że kobiety, które nie potrafiły przenosić Mocy, tak swobodnie wydawały rozkazy tym, które dysponowały talentem. Tialin była prawie tak silna jak Verin, a jednak obserwowała Aeron niemal równie czujnie jak Panny, a kiedy te wyszły pospiesznie z namiotu, odprawione gestem Mądrej, pozostawiając chwiejącą się Beldeine tam, gdzie stała, ruszyła w ślad za nimi.

Sama Aeron jednak zwlekała z opuszczeniem wnętrza.

– Nie mów nic *Car'a'carnowi* o Katherine Alruddin – przykazała. – Dość ma kłopotów, by jeszcze zaprzętać mu głowę jakimiś głupstwami.

– Nic nie powiem – obiecała prędko Verin. Głupstwa? Czerwona siostra, na dodatek tak silna jak Katherine, to nie są żadne głupstwa. Chyba trzeba będzie rzecz odnotować. Cała sprawa wymagała przemyślenia.

– Pamiętaj, pilnuj swego języka, Verin Mathwin, bo inaczej przekonasz się, jaki jest przydatny, gdy wyje się z bólu.

Nie bardzo mogąc stosownie zareagować na tę ostatnią uwagę, Verin starała się sprawiać wrażenie potulnej i uległej, jeszcze raz dygając. Miała wrażenie, że jej kolana zaraz głośno zaprotestują.

Dopiero po wyjściu Aeron odetchnęła z ulgą. Już się bała, że Mądra postanowiła zostać przy przesłuchaniu. Uzyskanie pozwolenia na przebywanie sam na sam z więźniarkami kosztowało ją niemal tyleż samo wysiłku co wymuszenie na Sorilei i Amys decyzji o samej konieczności przesłuchania, i to przez osobę związaną z Białą Wieżą. Jeśli się kiedyś dowiedzą, że zostały do tego nakłonione... To zmartwienie również należało odłożyć na później. Odwlekanych spraw było coraz więcej.

– Wody jest dość, byś mogła umyć przynajmniej twarz i dłonie – powiedziała łagodnie do Beldeine. – Uzdrowię cię, jeśli chcesz. – Na ciałach wszystkich sióstr, z którymi przeprowadziła rozmowy, znajdowała pręgi. Aielowie bili więźniarki choćby tylko za rozlewanie wody albo opieszałość w wykonaniu zleconego zadania; butne słowa oporu wywoływały co najwyżej wzgardliwy śmiech, a odziane na czarno kobiety poganiano niczym bydło. Jedno smagnięcie biczem na

znak, że mają iść, zawrócić albo się zatrzymać, następnie, mocniejsze, gdy nie usłuchały dostatecznie prędko. Zresztą Uzdrawianie ułatwiało również wiele innych rzeczy.

Brudna, spocona i chwiejąca się niczym trzcina na wietrze, Beldeine wydeła wargi.

– Wolałabym raczej wykrwawić się na śmierć, niż być Uzdrawiana przez ciebie! – wycodziła. – Być może powinnam oczekiwać, że będziesz się płaszczyła przed tymi barbarzyńskimi dzikuskami, ale nigdy bym nie pomyślała, że upadniesz tak nisko i zdradzisz sekrety Wieży! To jest równoznaczne ze zdradą, Verin! Z buntem! – Prychnęła pogardliwie. – Ale skoro na to było cię stać, to przypuszczalnie okażesz się zdolna do wszystkiego! Czego jeszcze nauczyłyście je oprócz łączenia?

Verin z irytacją mlasnęła językiem, ale nie miała ochoty czegokolwiek tłumaczyć. Bolał ją kark od zadzierania głowy, by móc patrzeć Aielom w twarz – skoro już o tym mowa, nawet Beldeine była od niej wyższa na szerokość dłoni albo i więcej – bolały ją kolana od dygania, a na dodatek jeszcze ta pogarda i bezrozumna duma tych kobiet, które naprawdę powinny mieć lepszą wiedzę. Czyż to nie Aes Sedai nauczały, że siostra ukazuje światu rozmaite oblicza? I że nie zawsze ludzi da się nastraszyć albo pokonać brutalną przemocą. A poza tym znacznie mądrzej udawać nowicjuszkę, niż znosić kary stosowne dla nowicjuszki, zwłaszcza jeśli niesie to jedynie ból i upokorzenie. Nawet Kiruna musi w końcu dostrzec logikę takiego postępowania.

– Usiądź, zanim się przewrócisz – powiedziała, pierwsza stosując się do własnych słów. – Niech no zgadnę, co dzisiaj robiłaś. Jesteś brudna, więc pewnie kopałaś dziurę w ziemi. Gołymi dłońmi, czy też pozwoliły ci użyć łyżki? Kiedy skończysz, każą ci na powrót ją zasypać, wiesz o tym? No dobrze, sama sprawdzę. Wszystkie odsłonięte części ciała masz brudne, a jednak twoja szata jest czysta, a zatem kazały ci kopać nago. Jesteś pewna, że nie chcesz zostać Uzdrawiona? Od słońca można dostać oparzeń. – Napełniła jeszcze jedną filiżankę wodą i na strumieniu Powietrza przeniosła ją na drugi koniec namiotu; filiżanka zatrzymała się przed twarzą Beldeine. – Zapewne gardło wyschło ci na wiór.

Młoda Zielona przez chwilę wpatrywała się niepewnie w filiżankę, po czym nagle ugięły się pod nią nogi i z gorzkim śmiechem opadła ciężko na jedną z poduszek.

– One... często mnie poją. – Znowu się zaśmiała, choć Verin nie potrafiła pojąć, co w tym śmiesznego. – Wlewają we mnie tyle wody, ile chcę, dopóki jestem w stanie przełykać. – Urwała, przyglądając się Verin gniewnym wzrokiem, po czym ciągnęła dalej zdławionym głosem: – Do twarzy ci w tej sukni. Moją spaliły, sama widziałam. Zabrały wszystko, oprócz tego. – Dotknęła Wielkiego Węża, lśniącego złościście na tle brudu, pokrywającego całą powierzchnię lewej dłoni. – Podejrzewam, że na to zabrakło im czelności. Wiem, co one chcą osiągnąć, Verin, ale im się nie uda. Nie ze mną ani z żadną z nas!

Nadal miała się na baczności. Verin postawiła filiżankę na kwiecistym dywaniku, tuż obok Beldeine, ujęła swoje naczynie, upiła łyk i dopiero potem przemówiła.

– Ach tak? Cóż więc chcą osiągnąć?

Tym razem śmiech Beldeine brzmiał słabo, ale zarazem ostro.

– Chcą nas złamać, sama dobrze wiesz! Chcą nas zmusić, abyśmy złożyły przysięgę al'Thorowi, tak samo jak wy. Och, Verin, jak mogłaś? Przysięgłaś lojalność! Co gorsza, mężczyźnie! Temu mężczyźnie! Zbuntowałyście się przeciwko Zasiadającej na Tronie Amyrlin, przeciwko Białej Wieży, no dobrze... – Powiedziała to w taki sposób, jakby obie rzeczy były równoznaczne. -...ale jak mogłyście to zrobić?

Verin przez chwilę zastanawiała się, czy sprawy wyglądałyby lepiej, gdyby kobietyzymane w obozie Aielów trafiły do niewoli w takich samych okolicznościach jak ona – miała wrażenie, jakby była źdźbłem trawy pochwyconym wirem trąby powietrznej szalejącej wokół *ta'veren*, wokół Randa

al'Thora, przypomniała sobie, jak z jej ust zaczął się wylewać potok słów, których nawet nie zdążyła należycie uporządkować w głowie. Nie były to słowa, których nie wypowiedziałyby nigdy z własnej woli – moc *ta'veren* nie przejawiała się w taki sposób – ale szanse na coś takiego w ówczesnych okolicznościach nie były większe niżli jedna na tysiąc, jedna na dziesięć tysięcy. I choć spory w sprawie tego, czy winno się dotrzymywać przysięg złożonych w taki sposób, wiedziono długo i żarcie, a dyskusje, jak to zrobić, trwały do dziś, nie potrafiła bez reszty wyprzeć się swych słów. Zresztą, niewykluczone, że lepiej się stało. Roztargnionym gestem pogładziła twardego kształtu ukryty w mieszk przy pasie, niewielką broszkę z przezroczystego kamienia wyrzeźbionego w kształt przypominający lilie o zbyt licznych płatkach. Nigdy tej broszki nie przypięła, ale od blisko pięćdziesięciu lat zawsze nosiła ją przy sobie.

– Jesteś *da'tsang*, Beldeine. Pewnie już o tym słyszałaś. – W istocie nie potrzebowała nieznacznego przytaknięcia tamtej; konieczność poinformowania osoby skazanej stanowiła wymóg prawa Aielów, była równoznaczna z ogłoszeniem wyroku. Tyle już wiedziała, ale tak naprawdę niewiele więcej. – Twoje ubrania i wszystkie inne przedmioty, które dało się spalić, trafiły w płomień, gdyż żaden Aiel nie chciałby posiadać niczego, co kiedyś należało do *da'tsang*. Resztę, włącznie z biżuterią, pocięto na kawałki lub zmiażdżono, a potem pogrzebano w dole przeznaczonym na odchody.

– Co z moim?... Co z moim koniem? – spytała z niepokojem Beldeine.

– Oni nie zabijają koni, ale nie wiem, gdzie go trzymają. – Zapewne otrzymał go któryś z mieszkańców miasta, albo może jakiś Asha'man. Gdyby podzieliła się swoimi przypuszczeniami, mogła wyrządzić więcej szkody niż pożytku. Verin przypominała sobie bowiem niejasno, że Beldeine była jedną z tych młodych kobiet, które bardzo przywiązują się do swych koni. – Pozwolili ci zachować pierścień, abyś pamiętała, kim byłaś, i jeszcze głębiej przeżywała swą hańbę. Ale nie sądzę, byś mogła liczyć na szansę złożenia przysięgi panu al'Thorowi, choćbyś je nawet błagała. A to wydaje mi się zupełnie nieprawdopodobne.

– Nie zrobię tego! Przenigdy! – Słowa te zabrzmiały jednak pusto i bez przekonania, Beldeine zaś zwiesiła ramiona. Była wstrząśnięta, wciąż jednak nie dość dogłębnie.

Verin uśmiechnęła się ciepło. Pewien mężczyzna powiedział kiedyś, że jej uśmiech przywodzi mu na myśl ukochaną matkę. Może przynajmniej w tej jednej sprawie nie kłamał. Nieco później próbował wsunąć jej nóż między zębra i ten uśmiech był ostatnią rzeczą, jaką w życiu zobaczył.

– Jakoś nie potrafię wymyślić powodów, które mogłyby cię przekonać. W takiej sytuacji należy się obawiać, że jedyne, co cię czeka, to ta bezsensowna harówka. Dla nich to hańba. Hańba, której nie sposób zmyć. Oczywiście, jeśli się zorientują, że ty tak na to nie patrzysz... Ale, ale! Założę się, że nie podobało ci się, gdy rozebrana do naga kopałaś dziurę, mimo iż strzegły cię wyłącznie Panny, wyobraź sobie jednak, że, powiedzmy, stoisz tak w namiocie pełnym mężczyzn? – Beldeine wzdrygnęła się, a Verin paplała dalej; umiejętność tę rozwinęła w sobie niemal na miarę Talentu. – Ma się rozumieć, każą ci tylko tak stać. *Da'tsang* nie może robić nic użytecznego, chyba że zaistnieje naprawdę rozpaczliwa potrzeba, mężczyzna Aielów prędzej zaś objąłby gnijące truchło niż... Cóż, nie jest to przyjemna myśl, nieprawdaż? Ale niestety, na coś takiego właśnie powinnaś być przygotowana. Wiem, że będziesz się opierała tak długo, jak się da, nie bardzo wszakże rozumiem, przeciwko czemu się buntujesz. Nie będą chcieli wyciągnąć z ciebie żadnych informacji, nie wykorzystają, jak to zazwyczaj ma miejsce w przypadku więźniów. A jednak nie zwrócą ci wolności, przynajmniej dopóki się nie upewnią, że nurzasz się w tak głębokiej hańbie, że oprócz niej nic ci już więcej nie zostało. Choćby miało to zabrać resztę życia.

Beldeine bezdźwięcznie poruszyła ustami, ale równie dobrze mogła wymówić te słowa na głos.

„Resztę życia”. Poprawiła się niespokojnie na poduszce i natychmiast skrzywiła. Oparzenia, rany od bata albo ból nienawykłych do wysiłku mięśni.

– Odbiją nas – odparła w końcu. – Amyrlin nie zostawi nas tak... Przyjdą nam z pomocą albo... Odbiją nas! – Porwała stojący obok srebrny kubek i odchyliwszy głowę w tył, wypila do dna, po czym wyciągnęła rękę po jeszcze. Verin uniosła strumieniem Powietrza cynowy dzban i postawiła na ziemi w zasięgu jej ręki, by Beldeine sama mogła sobie dolać.

– Albo uciekniecie? – spytała Verin, a dłonie Beldeine niespokojnie zadrżały, roniąc nalewana wodę. – Ależ zastanów się. Szanse macie mniej więcej takie, jak na uzyskanie odsieczy. Otacza was armia Aielów. No i al’Thor w każdej chwili może przywołać kilkuset Asha’manów, którzy na pewno was znajdą. – Beldeine dygotała, słuchając tych słów, sama Verin zaś tylko z najwyższym trudem potrafiła zachować panowanie nad sobą. Należało od razu zrobić z tym porządek. – Nie, obawiam się, że sama będziesz musiała sobie z tym jakoś poradzić. Spójrz prawdzie w oczy. Nikt ci nie pomoże. Mowy nie ma, by choć pozwoliły ci porozmawiać z innymi siostrami. Jesteś zupełnie sama – westchnęła na koniec. Szeroko otwarte oczy Beldeine patrzyły na nią z takim wyrazem, jakby nagle zmieniła się w czerwoną zmiję. – Po co dodatkowo pogarszać własną sytuację? Pozwól mi się Uzdrawić.

Właściwie nie czekając na żalosne, przyzwalające skinienie głowy, Verin podeszła, uklękła obok i położyła dłonie na głowie Beldeine. Najwyższy czas. Otworzyła się, by zaczerpnąć więcej *saidara*, uplotła strumienie Uzdrawiania i już po chwili Zielona siostra westchnęła głęboko i zadygotała. Do połowy napełniony kubek wypadł jej z rąk i w sekundę później po ziemi potoczył się dzbanek, potrącony nie kontrolowanym, spazmatycznym ruchem łokcia. I to była właśnie najlepsza chwila.

Podczas gdy Beldeine wciąż jeszcze mrugała oczami i starała się oprzytomnieć, Verin – korzystając z pomieszczenia, jakie zawsze ogarniało każdego podczas Uzdrawiania – za pośrednictwem rzeźbionego *angreala* ukrytego w sakwie, zaczerpnęła więcej ze Źródła. *Angreal* nie był szczególnie potężny, jakoś tam jednak wystarczał, a do realizacji jej zadania przyda się każde dodatkowe pasemko Mocy. Sploty, które zaczęła tkąć, w niczym nie przypominały używanych do Uzdrawiania. Wcześniej przeważał Duch, ale były jeszcze Wiatr, Woda, Ogień i Ziemia; nie tylko z tą ostatnią miała trochę trudności, również pasma Ducha splatała z wątków tak drobnych, opartych na osnowie tak skomplikowanej, że tkacz najprzedniejszych dywanów wytrzeszczyłby oczy ze zdumienia. Gdyby teraz jakaś Mądra wsunęła głowę do namiotu, i tak trzeba by doprawdy prawdziwego pecha, by dysponowała rzadkim Talentem, niezbędnym do zrozumienia tego, co robiła Verin. Nie oczekiwała, że będzie jej łatwo, przygotowana była na najbardziej nawet bolesne trudności, jednak prawdziwa katastrofa nastąpiłaby dopiero wówczas, gdyby ją odkryto.

– Co?... – spytała sennym głosem Beldeine. Gdyby nie uścisk Verin, pewnie osunęłaby się bezwładnie na poduszki, powieki jej się zamykały. – Co ty?... Co się dzieje?

– Nic ci nie będzie – zapewniła ją Verin. Oczywiście w wyniku jej działań tamta może umrzeć... za rok, za dziesięć lat... ale sam splot nie mógł jej wyrządzić żadnej krzywdy. – To jest tak bezpieczne, zapewniam cię, że nawet dziecku nic by się nie stało. – Rzecz jasna, w zależności od sposobu wykorzystania splotu.

Musiała umieścić każde pasmo na swoim miejscu, włókno po włóknie, jednak mówienie pomagało się skupić. Ponadto przeciągająca się chwila milczenia mogłaby wzbudzić podejrzenia jej bliźniaczo do siebie podobnych Strażników. Gdyby tamci podsłuchiwali. Pragnęła uzyskać kilka odpowiedzi, którymi nie zamierzała się dzielić. Odpowiedzi, których żadna z wypytywanych kobiet nie chciała udzielić po dobroci. Poza tym splot miał jeszcze drobny efekt uboczny – silniej niż

jakikolwiek ze znanych ziół rozwiązywał język i likwidował mentalne bariery. A na efekt nie trzeba było czekać długo.

Zniżywszy głos niemalże do szeptu, kontynuowała.

– Młody al’Thor zdaje się wierzyć, że ma w Białej Wieży jakieś zwolenniczki, Beldeine. Które, rzecz jasna, działają w tajemnicy, to oczywiste. – Nawet gdyby ktoś przycisnął ucho do materii namiotu, usłyszałby jedynie niewyraźny szmer głosów. – Opowiedz mi wszystko, co wiesz na ich temat.

– Zwolenniczki? – wymamrotała Beldeine, usiłując się skrzywić, co jednak wykraczało poza sferę jej możliwości. Wykonała jakiś ruch, tak jednak słaby i nie skoordynowany, że ledwie zasługiwał na miano gestu. – Jego zwolenniczki? Wśród sióstr? To niemożliwe. Chyba że wśród tych z was, które... Jak mogłaś, Verin? Dlaczego się nie opierałaś?

Verin syknęła z irytacją. Jej powodem nie była jednak wcale głupia chęć przeciwstawienia się wpływowi *ta’veren*. Chodziło o to, że chłopak wydawał się taki pewny siebie. Na jakiej podstawie? Nadal mówiła cichym głosem:

– Nie masz żadnych podejrzeń, Beldeine? Nie słyszałaś żadnych pogłosek, zanim opuściłaś Tar Valon? Żadnych szeptów? Żadna nie sugerowała innego sposobu rozwiązania problemu? Powiedz mi.

– Nikt. Któż mógłby?... Żadna by... Tak podziwiałam Kirunę. – W ospałym głosie Beldeine dźwięczał odległy ton świadomości przegranej, a łzy ciekące z oczu złościły ślady w smugach brudu. Gdyby nie ręce Verin, nie byłaby w stanie usiedzieć prosto.

Verin nadal nakładała włókna splotu, zerkając nieustannie to na swoją pracę, to na wejście do namiotu. Dziwne, że sama jeszcze nie zaczęła się pocić. Wszak Sorilea może zniecka do wniosku, że przyda się jej pomoc przy przesłuchaniu. Sprowadzić którąś z sióstr mieszkających w pałacu. Gdyby dowiedziały się o jej poczynaniach, niewykluczone, że powinna się liczyć z karą ujarzmienia.

– A więc zamierzałyście dostarczyć go Elaidzie, schludnie umytego i grzecznego – powiedziała nieco głośniejszym głosem. Cisza ciągnęła się już zbyt długo. Nie chciała, aby Strażnicy donieśli o prowadzonych szeptem konferencjach z więźniarkami.

– Nie mogłam... sprzeciwić się... decyzjom Galiny. Ona dowodziła... z rozkazu Amyrlin. – Beldeine znów omdlewającym ruchem zmieniła pozycję na poduszkach. Jej głos wciąż brzmiał sennie, ale słychać w nim było odległe nerwowe akcenty. – Jego trzeba... trzeba było... zmusić do posłuchu! Trzeba było! Nie należało... traktować tak surowo. Jak na przykład... poddawać... przesłuchaniu. To było złe.

Verin parsknęła. Złe? Raczej katastrofalne. Od samego początku była to katastrofa. Teraz każda Aes Sedai będzie w jego oczach wyglądała tak, jak dla Aeron. A gdyby dotarły do Tar Valon? *Ta’veren*, silny jak Rand al’Thor, w Białej Wieży? Na taką myśl i kamień nie potrafiłby zachować spokoju. Czymkolwiek by się wszystko skończyło, „katastrofa” byłaby z pewnością określeniem zbyt łagodnym. Cena, jaką pod Studniami Dumai zapłacono za uniknięcie takiego finału, była doprawdy stosunkowo niska.

Wciąż zadawała pytania głosem, który wyraźnie było słychać na, zewnątrz namiotu. Pytania, na które znała już odpowiedzi, wystrzegając się tych niebezpiecznych. Niewiele więc uwagi poświęcała słowom, które padały z jej ust tudzież odpowiedziom Beldeine. Skupiła się przede wszystkim na tkaniu.

Od lat interesowała się różnymi rzeczami, wśród nich byto wiele nie do końca aprobowanych przez Wieżę. Niemal każda dzikuska przybywająca do Białej Wieży po nauki –

zarówno prawdziwa dzikuska, która już wcześniej samodzielnie ćwiczyła przenoszenie, jak i dziewczyna tylko pchana wrodzoną iskrą do dotykania Źródła; niektóre siostry zresztą w ogóle ignorowały zasadność takiego rozróżnienia – znała co najmniej jedną wymyśloną sztuczkę wcześniej na prywatny użytek, sztuczkę prawie zawsze należącą do jednej z dwóch kategorii. Chodziło albo o metodę podsłuchiwania cudzych rozmów, albo o sposób zmuszania innych ludzi, by robili to, co chciałaś.

Tymi pierwszymi dokonaniem Wieża niespecjalnie się przejmowała. Nawet dziewczyna, która na własną rękę zdobyła znaczną kontrolę nad Mocą, prędko się uczyła, że dopóki nosi biel nowicjuszek, nie wolno jej nawet dotykać *saidara* bez opieki siostry albo Przyjętej. Co miało ten skutek między innymi, że raczej drastycznie ograniczało możliwość podsłuchiwania. Z kolei sztuczki z drugiej kategorii za bardzo przypominały zakazany Przymus. Och, najczęściej chodziło tylko o zmuszenie ojca, by kupił suknie albo błyskotki, o których normalnie nie byłoby mowy, albo nakłonienie matki, by zaaprobowała młodzieńca, którego najchętniej przepędziłaby bez namysłu, i podobne rzeczy, niemniej Wieża z całą bezwzględnością wykorzeniła te praktyki. Sporo dziewcząt i kobiet, z którymi Verin rozmawiała na przestrzeni lat, nie potrafiło tknąć tych splotów, a co dopiero posługiwać się nimi, niejedna nawet nie potrafiła sobie przypomnieć, jak to się robi. Ale z uzyskanych od nich okrucich wiedzy, ze szczątków i strzępków na poły zapomnianych splotów, tkanych przez niewyszkolone dziewczęta dla bardzo ograniczonych celów, Verin zrekonstruowała coś, co było zakazane od chwili założenia Wieży. Na początku wiodła ją zwykła ciekawość.

„Ciekawość – pomyślała kwaśno, pracując nad splotem opasującym Beldeine – już nie raz pakowała mnie w tarapaty”. Korzyści pojawiły się później.

– Jak przypuszczam, Elaida zamierzała go trzymać w otwartej celi – stwierdziła tonem zachęcającym do podjęcia rozmowy. Cele z kratami zamiast ścian zaprojektowano specjalnie dla tych, których należało pojmać i odciąć od Źródła: przenoszących męczyzn, aresztowanych pełnoprawnych mieszkanki Wieży, dzikusów mieniących się Aes Sedai. – Niezbyt wygodne lokum dla Smoka Odrodzonego. Żadnej prywatności. Czy ty w ogóle wierzysz, że on jest Smokiem Odrodzonym, Beldeine? – Tym razem urwała na chwilę, ponieważ odpowiedź rzeczywiście ją interesowała.

– Tak... – Słowo zabrzmiało jak przeciągły syk, a Beldeine zaraz powiodła zalęknionym wzrokiem w stronę twarzy Verin. – Tak... ale jego trzeba... chronić. A... świat... należy... chronić... przed nim.

Ciekawe. Że świat przed nim trzeba chronić, tak twierdziły wszystkie, ciekawe wszelako, iż zdarzały się wśród nich zwolenniczki poglądu, w myśl którego on sam również potrzebował ochrony. A już zupełnym zaskoczeniem okazywało się często, czyje usta głośniły takie słowa.

Splot wyglądał niczym płatanina lekko rozjarzonej, przezroczystej przedzy, owiniętej wokół głowy Beldeine; z kłębowiska wystawały cztery pasma Ducha. Pociągnęła za dwa z nich, naprzeciwko siebie, i płatanina zapadła się nieznacznie do środka, ukazując jakby ślad uporządkowania. Beldeine zamarła z szeroko rozwartymi oczami, patrząc niewidzącym wzrokiem w dal.

Verin wydawała jej polecenia głosem cichym i jednocześnie stanowczym. Były to w rzeczy samej raczej sugestie, ujęte jednak w formie rozkazów. Beldeine, by się do nich zastosować, będzie musiała znaleźć własne, wewnętrzne powody, w przeciwnym razie cały wysiłek pójdzie na marne.

Przy ostatnich słowach Verin pociągnęła za dwa pozostałe pasma Ducha i płatanina zapadła się jeszcze głębiej. Tym razem jej oczom ukazał się porządek wręcz idealny, strukturą, precyzją i komplikacją wzoru prześcigający najzawilszą koronkę, kompletny już, podwiązany samym aktem

zadziernięcia. Dalej zapadał się w sobie, równomiernie wnikając do wnętrza głowy Beldeine. Lekko rozjarzone pasma zagłębiły się w środku, zniknęły. Zielona siostra przewróciła oczyma, a potem zaczęła się rzucać. Jej kończyny podrygiwały bezładnie. Verin przytrzymywała ją tak delikatnie, jak potrafiła, ale Beldeine nadal miotła głową, bębniąc o dywaniki bosymi piętami. Wkrótce tylko precyzyjne Sondowanie będzie zdolne ustalić, że cokolwiek miało miejsce, z pewnością jednak nikt nie odtworzy splotu. Verin bardzo starannie zbadała ten efekt, a nie przesadzała, twierdząc, że nikt jej nie prześcignie w Sondowaniu.

Rzecz jasna, cały ten zabieg nie był Przymusem w takim sensie, w jakim opisywały go starożytne księgi. Tkanie postępowało z bolesną powolnością, zwłaszcza przez tę dłubaninę, a do tego wymagało współwystępowania wewnętrznego przekonania podmiotu. Pomocna okazywała się kruchość emocjonalna poddawanego operacji, jednak rzeczą absolutnie podstawową było zaufanie. Wzięcie z zaskoczenia na nic by się nie zdało, gdyby taka osoba pierwszej nie pozbyła się podejrzliwości. Warunek ten znacznie ograniczał przydatność całej sztuczki w przypadku mężczyzn, mało który bowiem żywił całkowite zaufanie do Aes Sedai.

Pomijając sprawę braku zaufania, mężczyźni, niestety, w ogóle byli raczej niepodatni. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Przecież te wszystkie dziewczyny opracowywały sploty przeważnie z myślą o mężczyznach, swoich ojczymach lub innych. A chociaż silnej osobowości nietrudno było zacząć kwestionować podpowiedziane czyny – albo wręcz nawet zaniechać ich wykonania, co z kolei prowadziło do kolejnych problemów – ostatecznie mężczyznom przychodziło to łatwiej. Znacznie łatwiej. Być może znowu szło o podejrzliwość. A jakże, pewnego razu jeden z mężczyzn zapamiętał, że potraktowano go mocą, nie zapamiętawszy bynajmniej poleceń, które mu wydała. Ileż to spowodowało zamieszania! Czowała ciarki na myśl o powtórnym podejmowaniu takiego ryzyka.

Konwulsje Beldeine straciły na gwałtowności, wreszcie ustały. Zielona siostra przyłożyła brudną dłoń do głowy.

– Co?... Co się stało? – spytała ledwie słyszalnie. – Zemdlałam? – Kolejnym korzystnym efektem splotu były zaniki pamięci, którym zresztą wcale nie należało się dziwić. Ostatecznie ojciec nie powinien pamiętać, że w istocie został jakoś tam zmuszony do zakupu tak drogiej sukni.

– Straszny upał – powiedziała Verin, raz jeszcze pomagając jej usiąść. – Mnie samej już kilka razy zakręciło się dzisiaj w głowie. – Ze zmęczenia, nie od upału. Obejmowanie takiej ilości *saidara* wyczerpywało, zwłaszcza jeśli robiło się to cztery razy dziennie, po odłożeniu *zaś angreala* skutki uboczne dawały o sobie znać ze zdwojoną siłą. Jej też by się przydało oparcie czyjegoś ramienia. – Myślę, że może na tym poprzestaną. Jeżeli zemdlejesz, pewnie poszukają ci czegoś do roboty w cieniu. – Beldeine bynajmniej nie wyglądała na ucieszoną tą perspektywą.

Verin rozmasowała plecy, wytknęła głowę z namiotu. Coran i Mendan kolejny raz przerwali grę w kocią kołyskę; nie zauważyła żadnych oznak, że któryś z nich słuchał, ale nie założyłaby się o własne życie. Powiedziała im, że już skończyła z Beldeine, i po chwili namysłu dodała, że potrzebuje wody, ponieważ Beldeine wyróciła dzban. Opalone twarze obu mężczyzn pociemniały. Doniosą Mądrym, które przyjdą po Beldeine. To będzie dodat kowa ostroga, która skłoni ją do podjęcia właściwej decyzji.

Słońce musiało pokonać jeszcze szmat drogi do horyzontu, ale ból w plecach dawał znać, że dla niej dzień dzisiejszy dobiegł już końca. Mogła wprawdzie zająć się jeszcze jedną siostrą, ale jeśli tak zrobi, to nim nastanie ranek, będzie czuła każdy mięsień. Jej wzrok padł na Irgain, zmierzającą teraz wraz z innymi kobietami w stronę żarn. Ciekawe, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby nie była taka ciekawska, zastanawiała się Verin. Przede wszystkim poślubiłaby Eadwina i pozostała w Far Madding, zamiast jechać do Białej Wieży. Ale wtedy od dawna już by nie żyła i nie żyłyby jej dzieci,



których nigdy nie wydała na świat, i jej wnuki.

Westchnąwszy, zwróciła się do Corama.

– Może kiedy wróci Mendan, zechcesz pójść do Colindy i przekazać jej, że chciałabym zobaczyć Irgain Fatamed? – Ból mięśni następnego dnia będzie niewielką karą za cierpienie Beldeine z powodu tamtej wylanej wody, ale nie to było głównym powodem jej decyzji. I przecież nie tylko ciekawość nią powodowała. Nadal miała zadanie do wykonania. Musiała w jakiś sposób utrzymać młodego Randa przy życiu, dopóki nie nadejdzie czas, by zginął.

Gdyby nie brak okien i drzwi, komnata mogłaby stanowić jedno z pomieszczeń wspaniałego pałacu. Ogień płonący na palenisku ze złocistego marmuru nie dawał ciepła, płomienie nie trawiły drewnianych kłód. Mężczyzna, który siedział przy stole z połączanymi nogami, ustawionym na środku jedwabnego dywanu przeplatane srebreną i złotą nicią, w niewielkim stopniu interesował się modą wystroju wewnątrz obowiązującą dla tego Wieku. Bogactwo zdobień służyło mu tylko do wywierania wrażenia na ludziach. Choć tak naprawdę nie potrzebował nic prócz własnej osoby, by upokorzyć najbardziej butną dumę. Obrał sobie imię Moridin i z pewnością przed nim nie urodził się żaden, który miałby większe prawo mienić się Śmiercią.

Od czasu do czasu unosił dłoń do piersi i leniwie gładził jedną z dwóch duszołapek, zawieszonych na zwykłych, jedwabnych rzemykach. Czerwony jak krew kryształ *cour'souvry* tętnił pod jego dotykiem, spiralne zwoje bezdennego wnętrza pulsowały niczym bijące serce. Jego uwagę wszakże bez reszty przykuwała gra: trzydzieści trzy czerwone i trzydzieści trzy zielone figury ustawione na planszy liczącej trzynaście pól na trzynaście. Pozycje figur odtwarzały początkowe etapy pewnej sławnej partii. Najważniejsza figura, Rybak, czarno-biały jak plansza, nadal czekał na środkowym polu początkowym. Skomplikowana gra, *sha'rah*, uważana za starożytną już w czasach poprzedzających wybuch Wojny o Moc. *Sha'rah*, *tcheran* i *no'ri*, czyli ta gra, którą obecnie zwano „grą w kamienie”, każda miała swoich zwolenników, którzy twierdzili, że jedynie ona odzwierciedla wszystkie subtelności życia, jednak Moridin zawsze faworyzował *sha'rah*. Na świecie żyło obecnie tylko dziewięcioro ludzi wciąż jeszcze pamiętających tę grę. A on był w niej mistrzem. Była znacznie bardziej skomplikowana niż *tcheran* albo *no'ri*. Na początek należało schwytać Rybaka. Dopiero wtedy gra zaczynała się na dobre.

Podszedł do niego służący, smukły, młody mężczyzna cały odziany na biało, nadzwyczaj przystojny, uklonił się i podał kryształowy kielich na srebrnej tacy. Uśmiechnął się, ale uśmiech nie objął czarnych oczu, bardziej pustych i bez życia niż oczy umarłych. Większości ludzi zrobiłoby się nieswojo, gdyby poczuli na sobie ich wzrok. Moridin tylko wziął kielich i odprawił sługę gestem. Winiarze tej epoki produkowali znakomite wina. Ale nawet nie uniósł pucharu do ust.

Rybak przykuwał jego uwagę, kusił go. Figury w tej grze rozmaicie poruszały się po planszy, ale tylko atrybuty Rybaka zmieniały się w zależności od miejsca, na którym akurat stanął; na białym polu słaby w ataku, ale równocześnie zwinny i rączy w defensywie, na czarnym dysponował znacznie większymi możliwościami ofensywnymi, za to przemieszczał się powoli i był podatny na ciosy. Gdy grali mistrzowie, Rybak wielokrotnie przechodził z rąk do rąk, zanim partia dobiegła końca. Zielono-czerwonej linii końcowej, która otaczała planszę, mogła zagrozić dowolna figura, ale tylko Rybak mógł na niej stanąć. Co wcale nie znaczyło, by wtedy był bezpieczny; Rybak nigdy nie był bezpieczny. Strona, do której należał Rybak, starała się przenieść go na pole własnego koloru, znajdujące się za połową planszy, należącą do przeciwnika. Na tym polegała najprostsza strategia wiodąca do zwycięstwa, ale nie była ona jedyna. Kiedy przeciwnik znajdował się w posiadaniu

Rybaka, należało wymusić na nim ruch Rybakiem na własne pole – obojętnie, w którym miejscu, byle na linii końcowej. Takim sposobem posiadanie Rybaka mogło niekiedy okazać się bardzo niekorzystne. Oczywiście, istniała jeszcze trzecia droga do zwycięstwa w *sha'rah*, tyle że otwarta tylko do czasu, póki pułapka się nie zatrzasnęła. W takim przypadku gra nieodmiennie degenerowała się w krwawą bijatykę, a do zwycięstwa wiodło jedynie całkowite unicestwienie wroga. Raz w akcie desperacji spróbował takiej strategii, ale skończyło się to porażką. Bolesną porażką.

Objął Prawdziwą Moc i nagle w jego głowie rozszalała się furia, a przed oczyma zawirowały mu czarne płatki. Jego ciało poraziła ekstaza, natężeniem granicząca niemalże z bólem. Zacisnął dłoń na obu duszołapkach, a Prawdziwa Moc poderwała Rybaka w powietrze, omal nie miażdżąc go na proch, by potem i proch zmiażdżyć, całkiem unicestwiając figurę. Kielich uwięziony w dłoni rozpadł się na kawałki. Uchwyt drugiej ręki omal nie zgruchotał *cour'souvry*. *Saa* zawirowały czarną śnieżycą, która jednak nie przyćmiewała spojrzenia. Rybaka zawsze przedstawiano jako mężczyznę z zawiązanymi oczyma i jedną dłonią przyciśniętą do boku, między palcami której wyciekała krew. Racje dla takiego obrazowania, podobnie jak źródło samej nazwy, zaginęły w pomroce dziejów. To niepokoiło go, a niekiedy wręcz rozwścieczało – wiedza ginąca wraz z obrotami Koła, wiedza, której potrzebował, wiedza, do której miał prawo. Prawo!

Bez pośpiechu odstawił Rybaka z powrotem na planszę. Równie powoli jego palce uwolniły *cour'souvre*. Nie było sensu niszczyć. Na razie. Wściekłość w mgnieniu oka ustąpiła miejsca lodowatemu spokojowi. Krew i wino ściekły z rozciętej dłoni, nie zauważone. Być może Rybak naprawdę wywodził się z jakiegoś mętnego wspomnienia o Randzie al'Thorze, cień cienia pamięci. Ale to nie było ważne. Dotarło do niego, że się śmieje, ale nie podjął najmniejszego wysiłku, żeby stłumić śmiech. Na planszy Rybak wciąż czekał, ale w tej większej, znacznie ważniejszej rozgrywce al'Thor poruszał się zgodnie z jego oczekiwaniami. I teraz już niebawem... Jak można przegrać, kiedy gra się właściwie z samym sobą. Moridin tak się zanosił śmiechem, że aż łzy ciekły mu po twarzy, ale on w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy.

# ROZDZIAŁ 1

## WYWIĄZAĆ SIĘ Z UMOWY

Koło Czasu obraca się, a Wieki nadchodzą i mijają, pozostawiając wspomnienia, które stają się legendą. Legenda staje się mitem, a potem nawet mit jest już dawno zapomniany, kiedy nadchodzi Wiek, który go zrodził. W jednym z Wieków, zwanym przez niektórych Trzecim Wiekim, Wiekim, który dopiero nadejdzie, Wiekim dawno już minionym, nad wielką, górzystą wyspą Tremalking podniósł się wiatr. Wiatr ten nie był prawdziwym początkiem. Nie istnieją początki ani zakończenia w obrotach Koła Czasu. Niemniej był to jakiś początek.

Na wschód wiał wiatr, gonad Tremalking, gdzie jasnolicy Amayarowie uprawiali rolę, produkowali znakomite szkło i porcelanę, a ponadto wyznawali filozofię pokoju zwaną Drogą Wody. Amayarowie z zasady ignorowali świat istniejący poza ich wyspami, gdyż zgodnie z założeniami Drogi Wody cały świat był tylko iluzją, lustrzanym refleksem rzeczywistości wiary, a jednak niektórych intrygowały tumany pyłu nawiewane przez wiatr i skwar jakby samego środka lata, które nie wiadomo dlaczego zajęły miejsce chłodnych, zimowych deszczy. I wtedy przypominali sobie opowieści zasłyszane od Atha'an Miere, opowieści o krainach na drugim końcu świata i o tym, co miało nadejść zgodnie z proroctwem. Czasami też wiedli wzrokiem ku wzgórzom, z którego wyrastała ogromna kamienna dłoń, podtrzymująca kryształową sferę większą od ich domów. Amayarowie mieli swoje własne proroctwa, niektóre opowiadały o tej dłoni i sferze. I o końcu złudzeń.

I dalej wiał wiatr, ku Morzu Sztormów, na wschód, niosąc żar spływający z bezchmurnego nieba i chłszcząc grzbiety zielonych morskich grzywaczy, wypiętrzonych kipiela przez masy powietrza docierające z południa i z zachodu. Szaleństwu fal daleko było do sztormów samego serca zimy, mimo iż właśnie przypadła jej połowa, a tym bardziej do morskiej grozy schyłku lata, jednak wiatry i prądy nie ustawały w swym dziele, i to właśnie dzięki nim lud podróżujący po oceanie opływał kontynent, od Krańca Świata po Mayene i jeszcze dalej, a potem powracał na miejsce. A wiatr dał wciąż na wschód, nad wzburzonym oceanem, z którego odmętów wypryskiwały łukami wieloryby albo latające ryby szybujące na rozpostartych płetwach o rozpiętości ponad dwu kroków, na wschód, póki w kłębowisku powietrznego wiru nie zmieniał kierunku, wiejąc odtąd ku północy, a właściwie na północny wschód, ponad małymi flotyllami łódek rybackich wlokących swe sieci po płytszych wodach. A na pokładach rybacy stali i gapili się, bezczynnie ściskając liny, wpatrzeni w ogromną armadę większych i mniejszych statków, które wytrwale parły przed siebie na silnych podmuchach wiatru, roztrzaskując i prując grzywacze dziobami; łopoczące na ich masztach sztandary ze złotym jastrzębiem ściskającym błyskawicę w szponach i rozliczne proporce zdawały się w oczach obserwatorów zwiastunami srogich szkwałów. A wiatr dalej wiał na północny wschód, póki nie dotarł do wielkiego, ludnego portu Ebou Dar, gdzie wśród innych statków stały na kotwicach setki okrętów Ludu Morza, czekając, jak w innych portach, na wieści od Coramoora, Wybrańca.

Nad portem zawył wiatr, zakołysał i tymi mniejszymi statkami, i tymi ogromnymi, zahuczał wśród iglic i obrzeżonych kolorem kopuł miasta, połyskującego bielą w promieniach nieokiełznanego słońca, poprzecinanego murami, kanałami i tętniącymi życiem ulicami. Zawirował wokół lśniących kopuł i smukłych wież pałacu Tarasin, rozsiewając smak soli, szarpnął płachtą sztandaru Altary, na którym widniały dwa złote lamparty na czerwono-niebieskim polu, pobawił się chwilę sztandarem panującego Domu Mitsobar, z Mieczem i Kotwicą, zielonymi na białym tle. Wiatr nie niósł jeszcze sztormu, niemniej zwiastował sztormy.

Aviendha czuła mrowienie między łopatkami, gdy tak szła na czele swych towarzyszy przez

pałacowe korytarze wyłożone dziesiątkami płytek o miłych dla oka jaskrawych barwach. Tak silne wrażenie, że jest obserwowana, po raz ostatni towarzyszyło jej podczas ceremonii zaślubin z włóczynią. „To tylko wyobraźnia” – powtarzała sobie. – „Wyobraźnia i świadomość, że pełno tu wrogów, z którymi nie mogę walczyć!”

Jeszcze nie tak dawno podejrzewałyby, że prawdopodobnie ktoś zamierza ją zabić. Śmierci nie należało się bać – w końcu wszyscy umierali, nie tego dnia, to innego – ale ona nie chciała zdychać niczym królik schwytyany we wnyki. Najpierw musiała sprostać swemu *toh*.

Po drodze mijala służących, którzy ze spuszczonego wzrokiem przemykali pod ścianami, kłaniając się i dygając, jakbyomalże pojmwali hańbę swych żywotów, wszelako z ich strony nic jej przecież grozić nie mogło. Od dawna już starała się uodpornić na widok służących, jednak wciąż, mimo mrówek wędrujących po plecach, omijała ich wzrokiem. To na pewno tylko wyobraźnia i nerwy. Jeden z tych dni przeczulonej wyobraźni i niewytłumaczalnych nerwów.

Jej oczom, które wzdragały się przed widokiem służących, nie mogły wszak umknąć bogate jedwabne gobeliny oraz pozłacane lampy, stojące pod ścianami i zawieszane u powały. Ścienne nisze i wysokie, otwarte kredensy kryły w sobie cienką jak papier porcelanę o barwach czerwieni, żółci, zieleni i błękitów, a oprócz niej ozdoby ze złota i srebra, kości słoniowej i kryształu, dziesiątki mis, wazonów, pojemników i posążków. Tylko najpiękniejszym spośród nich przyglądała się uważniej, cokolwiek sobie myśleli mieszkańcy mokradeł, piękno miało większą wartość niż złoto. A piękna wokół było mnóstwo. Nie miałyby nic przeciwko udziałowi w piątej części łupów z tego miejsca.

Skrzywiła się z zakłopotaniem. Nieszczególnie honorowa myśl pod dachem, który ofiarował jej do woli cienia i wody. Bez należytego ceremoniału, to prawda, ale nie żądając również uznania długu ani krwi, stali ni potrzeby. Ale lepsze to niżli rozmyślanie o małym chłopcu, wałęsającym się samotnie po pełnym zepsucia mieście. Wszystkie miasta były pełne zepsucia – tyle już wiedziała, zwiedziwszy aż cztery – jednak Ebou Dar było ostatnim, po którym pozwoliłaby dziecku włóczyć się samopas. Nie mogła natomiast pojąć, dlaczego. myśli o Olverze nachodziły ją, mimo że bardzo się starała ich unikać. Dzieciaka nic nie wiązało z *toh*, jaki miała wobec Elayne i Randa al'Thora. Włóczynia Shaido odebrała mu ojca, głód i niedola matkę, ale choćby nawet sama zabiła oboje jego rodziców, to i tak chłopiec powinien w jej oczach nadal pozostawać Cairhieninem, zabójcą drzew. Czemuż miałyby się przejmować losami dziecka zrodzonego z takiej krwi? Dlaczego? Usiłowała skoncentrować się na splocie, który zaraz miała utkać, ale choć ćwiczyła go pod okiem Elayne tak długo, że byłaby zdolna j uformować go przez sen, przed oczami wciąż miała buzię Olvera z tymi żabimi ustami. Birgitte najwyraźniej obawiała się o niego jeszcze bardziej, ale w piersi tamtej biło serce dziwnie wrażliwe i na nieszczęścia małych chłopców, zwłaszcza takich brzydali.

Westchnęła i zrezygnowała z prób ignorowania rozmowy, jaką za jej plecami prowadzili towarzysze, mimo iż słycać w niej było napięcie, jakie poprzedza nadejście burzy. Lepiej już to niżli zamartwianie się o syna zabójców drzew. Syna tych, którzy złamali przysięgi, syna wzgardzonej krwi, bez której świat miałby się o wiele lepiej. Nie jej sprawa, nie jej kłopot. Żadną miarą. A zresztą Mat Cauthon na pewno odnajdzie chłopca. On potrafił odnaleźć wszystko, tak w każdym razie z pozoru to wyglądało. Nadto znajome głosy jakoś ją uspokajały. Przestała czuć to mrowienie.

– To mi się wcale nie podoba! – mruzczała Nynaeve, ciągnąc sprzeczkę, którą rozpoczęli jeszcze w apartamencie. – Ani trochę, Lan, słyszysz? – Powtarzała to już po raz co najmniej dwudziesty, ale fakt, iż nie miała racji, nigdy nie potrafił skłonić Nynaeve, by zaprzestała się upierać przy swoim. Niska i ciemnooka, maszerowała zamaszystymi krokami, rozkopując fałdy dzielonych, niebieskich spódnic, a jej ręka stanowczym ruchem mimowolnie wędrowała to w stronę grubego, sięgającego

pasa warkocza, to w dół, a za chwilę ponownie w górę. Kiedy obok był Lan, Nynaeve bardzo uważała, by nie dać ujścia gniewowi i irytacji. Albo przynajmniej bardzo się starała. I cała aż promieniowała dumą z tego, że wzięła z nim ślub. Opinający ją ściśle haftowany niebieski kaftanik nałożony na jedwabną suknię z żółtymi wstawkami był rozpięty, ukazując na modłę mieszkank mokradeł aż nazbyt dużo łona; na skórze kołysał się ciężki złoty sygnet, zwisający z cienkiego łańcuszka. – Nie masz prawa mówić, że się mną zaopiekujesz, Lanie Mandragoran – ciągnęła kategorycznym tonem. – Nie jestem figurką z porcelany.

Lan – mężczyzna słusznego wzrostu, któremu Nynaeve sięgała ledwie do piersi – kroczył u jej boku, w narzuconym na ramiona płaszczu Strażnika, po którym wzrok zdawał się ześlizgiwać. Z twarzą niby wykutą z kamienia, ze wzrokiem z milczącym wyzwaniem, jakim mierzył mijających ich ludzi, uważnie spoglądał w każdy boczny korytarz i każdą wnękę w murze, szukając ukrytych napastników. Cały czas biło od niego napięcie, jak od lwa, szykującego się do skoku na upatrzoną ofiarę. Aviendha dorastała w otoczeniu niebezpiecznych mężczyzn, ale żaden nie dorównywał *Aan'alleinowi*. Gdyby śmierć była człowiekiem, z pewnością tak właśnie by wyglądała.

– Ty jesteś Aes Sedai, ja jestem Strażnikiem – odparł głębokim, beznamiętnym głosem. – Opiekowanie się tobą to mój obowiązek. – Ton jego słów złagodniał nieco, uwydatniając tym bardziej wrażenie, jakie sprawiała kanciasta twarz i ponure, na moment nie zmieniające wyrazu oczy. – Poza tym opiekuję się tobą z potrzeby serca, Nynaeve. Możesz mnie prosić o wszystko, możesz ode mnie żądać, czego tylko chcesz, ale nigdy nie pozwolę ci umrzeć, nie próbując pierwszej ocalić. Zginę w dniu, w którym ty zginiesz.

Ostatnie słowa wypowiedział po raz pierwszy, w każdym razie Aviendha dotąd ich nie słyszała, Nynaeve zaś zareagowała, jakby otrzymała cios w brzuch – wybałuszyła oczy i bezgłośnie poruszyła ustami. Prędko jednak oprzytomniała. Jak zawsze. Udając, że poprawia swój ozdobiony niebieskimi piórami kapelusz – zabawny stroik, który wyglądał, jakby jakiś dziwaczny ptak pomylił jej głowę z grzędą – zerknęła na niego spod szerokiego ronda.

Aviendha od dawna już podejrzewała, że częste chwile milczenia i z pozoru wiele mówiące spojrzenia Nynaeve w istocie skrywają ignorancję. Ostatnio przyszło jej wręcz do głowy, że Nynaeve niewiele lepiej zna mężczyzn, a jednak potrafi sobie z nimi radzić bardziej, niż ona sama. Potykanie się z nimi na noże i włócznie było łatwiejsze niżli kochanie tego jedyne. O wiele łatwiejsze. Jak kobiety radziły sobie w małżeństwie? Aviendha odczuwała rozpaczliwą potrzebę rozproszenia mroków własnej niewiedzy, a nie miała pojęcia, jak to osiągnąć. Dzień, który minął od ślubu Nynaeve z *Aan'alleinem*, przyniósł znacznie większe zmiany w jej zachowaniu niż tylko panowanie nad własnym temperamentem. Niezależnie od tego, jak bardzo starała się to ukryć, wyraz jej twarzy wahał się między zdumieniem a oszołomieniem. W różnych, najdziwniejszych momentach popadała w rozmarzenie, czerwieniła się przy odpowiedziach na niewinne pytania, a także – choć wypierała się tego zapalczywie, nawet wtedy, gdy Aviendha ją przyłapała – chichotała bez powodu. Od Nynaeve niczego raczej się nie nauczy.

– Przypuszczam, że ty również chętnie byś mi opowiedziała o wzajemnych powinnościach Strażników i Aes Sedai – rzekła chłodno Elayne do Birgitte. – Cóż, ty i ja nie brałyśmy ze sobą ślubu. Spodziewam się więc, że będziesz strzegła mych pleców, ale nie pozwolę, abyś za nimi składała jakieś obietnice związane z moją osobą. – Elayne wystroiła się równie niestosownie jak Nynaeve, w haftowaną złotem suknię z zielonego jedwabiu, kroju obowiązującego w Ebou Dar, z odpowiednio wysokim karczkiem, ale za to z owalnym dekoltem, który obnażał pagórki jej piersi. Mieszkańcy mokradeł zaperzali się na wzmiankę o namiocie-łaźni albo o rozbieraniu się w obecności *gai'shain*, po czym paradowali na poły nadzy tam, gdzie mógł ich oglądać byle obcy.

Aviendzie ubiór Nynaeve tak naprawdę nie przeszkadzał, ale Elayne była jej prawie-siostrą. I miała się stać kimś jeszcze bliższym, jak należało oczekiwać.

Dzięki bucikom na wysokich obcasach Birgitte była niemal dłoń wyższa od Nynaeve, a jednak nadal nie sięgała wzrostem Elayne albo Aviendzie. Odziana w granatowy kaftanik i obszerne zielone spodnie, demonstrowała taką samą czujność i gotowość jak Lan, chociaż jej zachowanie cechowała znacznie większa swoboda. Birgitte przypominała lamparta wylegującego się na skale, żaden jednak nie potrafiłby sprawiać wrażenia równie rozleniwionego. Wprawdzie po pałacu nie mogła wędrować ze strzałą nasadzoną na cięciwę, ale mimo spacerowego kroku i uśmiechów, potrafiłaby dobyć strzałę z kołczana przy pasie szybciej, niżli ktokolwiek zdążyłby mrugnąć, i wystrzeliłaby trzecią, nim najlepszy łucznik zdążyłby przymierzyć się do drugiego strzału.

Obdarzyła Elayne cierpkim uśmiechem i potrząsnęła głową, kołysząc złotym warkoczem, równie grubym i długim jak warkocz Nynaeve.

– Obiecałam ci to zupełnie otwarcie, nie za plecami – rzekła sucho. – Gdybyś choć odrobinę uważniej przykładała się do nauki, nie musiałabym ci teraz opowiadać o Strażnikach i Aes Sedai. – Elayne prychnęła gniewnie i wyniosłe zadarła podbródek, sięgając dłońmi do wstążki przy kapeluszu z długimi zielonymi piórami, jeszcze okropniejszym od nakrycia głowy Nynaeve. – Być może bardziej niż tylko odrobinę – dodała cierpko Birgitte. – Po raz drugi zawiązujesz tę samą kokardę.

Gdyby Elayne nie była jej prawie-siostrą, Aviendha wybuchnęłaby śmiechem na widok purpury, jaką oblały się jej policzki. Potknięcie kogoś, kto zadzierał nosa, było zawsze zabawne, zarówno kiedy było się za to samemu odpowiedzialnym, jak i wówczas, gdy stanowiło dzieło kogoś innego – nawet nieznacznie skarcony pyszałek wzbudzał śmiech. W tej sytuacji zmierzyła Birgitte zimnym spojrzeniem; kryło się w nim ostrzeżenie, że jeszcze trochę, a zostanie ukarana. Lubiła tę kobietę, mimo wszystkich jej tajemnic, ale różnica między przyjaciółką a prawie-siostrą była czymś, czego mieszkańcy mokradeł zdawali się nie obejmować rozumem. Birgitte tylko się uśmiechnęła, przenosząc wzrok z niej na Elayne, i wymruczała pod nosem coś niezrozumiałego. Aviendha usłyszała jedynie słowo „kociątka”. Co gorsza, powiedziane najwyraźniej czułym tonem.

– Co w ciebie wstąpiło, Aviendha? – spytała Nynaeve, dźgając ją w ramię sztywnym palcem. – Zamierzasz tak tu stać i czerwienić się przez cały dzień? Spieszmy się.

Dopiero wtedy Aviendha poczuła rumieniec na twarzy i dotarło do niej, że musi być równie czerwona jak Elayne. I że zamarła w miejscu niczym słup, podczas gdy należało się spieszyć. Bolesnie ugodzona jednym słowem niczym świeżo poślubiona włóczyni dziewczyna, nie przyzwyczajona do kpin innych Panien. Miała prawie dwadzieścia lat, a zachowywała się jak dziecko, bawiące się swoim pierwszym w życiu łukiem. Pod wpływem tej myśli spłoszyła jeszcze mocniej. I dlatego właśnie, nie myśląc, jednym skokiem pokonała następny zakręt i omal nie staranowała Teslyn Baradon.

Poślizgnęła się na czerwono-zielonych płytkach posadzki, a przed upadkiem uchroniło ją tylko to, że schwyciła się Elayne i Nynaeve. Tym razem zdołała jakoś nie spłonąć rumieńcem, ale niewiele brakowało. Przyniosła swej prawie-siostrze niemal tyle wstydu co samej sobie. Elayne zawsze panowała nad własną mimiką, choćby nie wiadomo co się działo. Na szczęście zachowanie Teslyn Baradon przynajmniej po części uratowało jej sytuację.

Obdarzona ostrymi rysami kobieta była tak zaskoczona, że odruchowo odskoczyła w tył i wytrzeszczyła oczy; po chwili jednak tylko z irytacją wzruszyła chuderlawymi ramionami. Zapadnięte policzki i wąski nos przyciągały uwagę, sprawiając, że brak znamion przeżytych lat w rysach Czerwonej siostry nie rzucał się tak bardzo w oczy; w czerwonej sukni, haftowanej brokatem barwy tak ciemnego granatu, że niemal czarnym, wydawała się jeszcze bardziej koścista. Niemalże w jednej

chwili odzyskała panowanie nad sobą, jak pani dachu całego klanu, a piwne oczy zasnuł chłód najgłębszego cienia. Spojrzała lekceważąco na Aviendhę, omijając Lana niczym niepotrzebne narzędzie, po czym jej oczy przelotnie rozbłyły na widok Birgitte. Większość Aes Sedai nie aprobowwała faktu, że Birgitte jest Strażnikiem, aczkolwiek żadna nie potrafiła swych sprzeciwów uzasadnić inaczej niż kwaśnymi; wygłaszanymi półgębkiem pochwałami tradycji. Ostatecznie wzrok Czerwonej siostry zatrzymał się na Elayne i Nynaeve. Aviendha pomyślała, że łatwiej schwytać wczorajszy wiatr, niżli wyczytać cokolwiek z twarzy Teslyn Baradon.

– Powiedziałam już o tym Merilille – oznajmiła z ciężkim, illiańskim akcentem – ale właściwie mogę uspokoić również wasze obawy. Niezależnie od tego... do jakich to... bezceństw... zmierzacie, Joline i ja nie będziemy się wtrącać. Tak postanowiłam. Elaida być może o niczym się nigdy nie dowie, jeżeli będziecie choć trochę się pilnowały. Dzieci, przestańcie tak wybałuszać na mnie oczy jak jakieś karpie – dodała z niesmakiem. – Nie jestem ani ślepa, ani głucha. Wiem, że w pałacu są Poszukiwaczki Wiatru, i wiem też o sekretnych spotkaniach z królową Tylin. I o innych rzeczach też. – Zacisnęła wąskie wargi, a choć nadal mówiła spokojnym tonem, jej ciemne oczy płonęły gniewem. – Jeszcze słono zapłacicie za te wszystkie inne rzeczy, i wy, i te, które pozwalają wam bawić się w Aes Sedai, ale na razie będę patrzyła przez palce. Pokuta może poczekać.

Nynaeve ścisnęła warkocz, zeszywniała i zadarła głowę; w jej oczach również płonął ogień. W innych okolicznościach Aviendha znalazłaby w sobie odrobinę współczucia dla ofiary burzy, jaka najwyraźniej miała się wkrótce rozpętać. Język Nynaeve był znacznie ostrzejszy niż cienkie jak włosy kolce *segade*. Sama Aviendha chłodno przyglądała się tej kobiecie, której wydawało się, że jest w stanie przejrzeć ją na wylot. Żadna Mądra nie poniżyłaby się aż tak, by rzucić się na kogoś z pięściami, jednak ona była wciąż tylko uczennicą, może więc nie poniesie znacznego uszczerbku na swoim *ji*, jeśli trochę poturbuje tę Teslyn Baradon. Już otworzyła usta, by honorowo ostrzec Czerwoną siostrę, a równocześnie Nynaeve zaczęła coś mówić, kiedy Elayne ubiegła obie.

– Nasze zamiary – powiedziała lodowatym głosem – to nie twoja sprawa, Teslyn. – Ona też stała wyprostowana, oczy lśniły niebieskim blaskiem lodu. Przypadkowy promyk słońca zabłąkał się między rudozłote loki, sprawiając, że zdawały się lśnić, jakby płonęły. Teraz w porównaniu z Elayne każda pani dachu wyglądałaby niczym pierwszy lepszy pasterz kóz, który wypił za i dużo *oosquai*. Tę umiejętność rozwinęła w sobie znakomicie. Kolejne słowa wypowiadała z zimną, kryształową godnością. – Nie masz prawa wtrącać się do niczego, co robimy, do niczego, co robi dowolna siostra. Żadnego prawa. A więc wyjmij nos z naszych kaftanów, ty letnia szynko, i ciesz się, że nie wytoczymy ci procesu o zbrodnię wspierania uzurpatorki na Tronie Amyrlin.

Zafrapowana Aviendha zerknęła ukradkiem na swoją prawie–siostrę. Teslyn ma wyjąć nos z ich kaftanów? Ani ona, ani Elayne, przynajmniej, nie miały na sobie żadnych kaftanów. Letnia szynka? A co to takiego? Mieszkańcy mokradeł często mówili dziwaczne rzeczy, ale tym razem pozostałe kobiety wyglądały na równie zbite z pantaląku jak ona. Jedynie Lan, popatrujący teraz z ukosa na Elayne, najwyraźniej rozumiał i zdawał się... zaskoczony. Chyba również nieco rozbawiony. Trudno orzec, *Aan'allein* dobrze panował nad swoją twarzą.

Teslyn Baradon prychnęła, rysy jej twarzy jeszcze się wydłużyły. Zgodnie z panującymi tu obyczajami Aviendha próbowała zwracać się do tych ludzi tylko jednym z ich imion – kiedy używała pełnej formy, sądzili, że czymś ją zdenerwowali! – ale nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby pozostawać w tak intymnych stosunkach z Teslyn Baradon.

– No to same się zajmujcie swoimi sprawami, głupie dzieci – odwarknęła kobieta. – I strzeżcie się, aby wasze nosy nie uwięzły w jakimś gorszym miejscu niż to, w którym już tkwią.

Gdy się odwracała, by odejść, wielkopańskim gestem zbierając spódnicę, Nynaeve złapała ją za

ramię. Twarze mieszkańców ma kradeł na ogół łatwo zdradzały ich emocje, toteż nie dziwiło, że w tej chwili na obliczu Nynaeve toczyła się istna walka – gniewu z determinacją dyktowaną uporem.

– Czekażcie, Teslyn – zagadnęła ją z niechęcią. – Prawdo podobnie obie z Joline znajdujecie się w niebezpieczeństwie. Mówiłam o tym Tylin, ale moim zdaniem ona boi się dalej przekazać te informacje. Boi się albo zwyczajnie nie chce. Na pewno nie jest to coś, o czym chciałoby się rozmawiać. – Powoli zrobiła głęboki wdech; nie można jej winić, że w tym momencie pomyślała o własnych obawach. Sam strach nie był hańbą, a jedynie poddawanie się mu albo jego okazywanie. Kiedy Nynaeve podjęła dalej, Aviendha sama poczuła trzepot we własnym żołądku. – Moghedien była tu, w Ebou Dar. Być może nadal tu jest. I być może jest z nią jeszcze jeden Przeklęty, któremu towarzyszy *gholam*, odmiana Pomiotu Cienia; na którą nie działa Moc. *Gholam* z wyglądu przypominają człowieka, ale zostały stworzone sztucznie, żeby zabijać Aes Sedai. Stal też się ich nie ima, a ponadto potrafią precyzyjnie się przez mysią dziurę. I są tu również Czarne Ajah. A poza tym nadciąga burza, zła burza. Nie chodzi tu jednak o zwykłą burzę, o szaleństwo żywiołów. Ja ją czuję, posiadam umiejętność słuchania wiatru, być może jest to nawet Talent. Nad Ebou Dar nadciąga niebezpieczeństwo i kłopoty gorsze od wszelkich wiatrów, deszczów czy błyskawic.

– Przekłęci, burza, która nie jest burzą, i Pomiot Cienia, o jakim w życiu nie słyszałam – podsumowała sucho Teslyn Baradon. – Nie wspominając już o Czarnych Ajah. Światłości! Czarne Ajah! I może jeszcze sam Czarny? – Krzywy uśmiezek wykrzywił usta cienkie jak ostrze brzytwy. Pogardliwym ruchem oderwała dłoń Nynaeve. – Kiedy wrócisz do Białej Wieży, gdzie twoje miejsce, i znowu przywdziejesz biel, dowiesz się, że nie wolno ci mitrzyć czasu na jakieś dziwne wymysły. I że nie wolno zamęczać siostr takimi opowiastkami. – Omiotła je wzrokiem, po raz kolejny omijając Aviendhę, głośno prychnęła i pomaszerowała w głąb korytarza tak szybko, że słudzy musieli jej uskakiwać z drogi.

– Ta kobieta ma czelność!... – wypluła z siebie Nynaeve, odprowadzając wściekłym wzrokiem odchodzącą i miętosząc warkocz obiema dłońmi. – I to akurat wtedy, kiedy ja... – Była tak rozwścieczona, że niemal się dławiła słowami. – No cóż, próbowałam. – A teraz żałowała swych usiłowań, sądząc po tonie głosu.

– Prawda, próbowałam – zgodziła się Elayne, energicznie przytakując – mimo że ona wcale na to nie zasługuje. Zaprzeczyła naszemu prawu do szala Aes Sedai! Więcej nie będę się na to godziła! Nie będę! – Dotąd jej głos zdawał się jedynie chłodny; teraz był i chłodny, i zawzięty.

– Czy komuś takiemu można zaufać? – mruknęła Aviendha. – Może powinniśmy zadbać, żeby się więcej nie wtrącała. – Podniosła pięść do oczu; Teslyn Baradon zobaczy, jak to jest. Ta kobieta zasłużyła sobie, by wpaść w sidła Tych Którzy Dusze Oddali Cieniowi, na przykład Moghedien. Głupcom należał się każdy los, jaki ściągali na siebie własną głupotą.

Nynaeve przez chwilę zdawała się poważnie rozważać tę propozycję, w końcu jednak stwierdziła:

– Gdybym nie wiedziała, jak jest naprawdę, pomyślałabym, że ta kobieta jest gotowa odstąpić Elaidę. – Rozdrażniona mlasnęła językiem.

– Próbując odczytać głęboko ukryte motywy polityki Aes Sedai, możesz nabawić się zawrotów głowy. – Elayne nie powiedziała wprost, że jest rzecz, z której już dawno Nynaeve winna zdawać sobie sprawę, tyle jednak dawał do zrozumienia ton jej głosu. – Nawet Czerwona mogłaby odstąpić od Elaidy, z powodów, jakie nigdy nie przysłyby nam do głowy. Albo próbowała nas skłonić, byśmy opuściły przyłbice, a potem oddać podstępem w ręce Elaidy. Albo...

Lan zakasłał.

– Jeśli któryś z Przeklętych rzeczywiście postanowił się tu pojawić – stwierdził głosem niczym



wypolerowany kamień – to może to nastąpić lada moment. To samo dotyczy tych *gholam*. W obu przypadkach byłoby lepiej chyba jak najszybciej znaleźć się gdzie indziej.

– W kontaktach z Aes Sedai zawsze trzeba zachować przynajmniej odrobinę cierpliwości – mruknęła Birgitte takim tonem, jakby coś cytowała. – Ale Poszukiwaczkom Wiatru zdaje się całkiem jej brakować – ciągnęła – więc tymczasem zapomnijcie o Teslyn, a pomyślcie o Renaile.

Elayne i Nynaeve popatrzyły na swoich Strażników oczyma tak zimnymi, że na ich widok i dziesięć Kamiennych Psów by się wzdrygnęło. Żadnej nie uśmiechało się uciekać przed Tymi Którzy Dusze Oddali Cieniowi ani przed *gholam*, mimo iż to właśnie one wcześniej orzekły, że nie ma innego wyjścia. I z pewnością nie w smak im były przypomnienia o konieczności spotkania z Poszukiwaczkami Wiatru. Na miejscu Strażników Aviendha dwa razy zastanowiłaby się nad tymi spojrzeniami – Mądre potrafiły jednym zerknięciem albo paroma słowami osiągnąć tyle, do czego ona sama potrzebowała włóczni albo pięści, tyle że im udawało się to szybciej i z lepszym skutkiem – zastanowiłaby się, gdyby nie to, że srogie miny nie zrobiły na obu Strażnikach żadnego wrażenia. Birgitte uśmiechała się od ucha do ucha i strzelała oczyma w stronę Lana, który pobłażliwie wrzusał ramionami.

W końcu Elayne i Nynaeve zrezygnowały. Wygładziły spódnice, niespiesznie i niepotrzebnie, ujęły Aviendhę pod ręce, po czym ruszyły z miejsca, nawet nie sprawdzając, czy ich Strażnicy idą za nimi. Oczywiście Elayne, dysponując Więzią, wcale nie musiała tego robić. Podobnie Nynaeve, aczkolwiek przyczyna była inna – więź *Aan'alleina* należała wprawdzie do innej kobiety, za to jego serce wisiało razem z jego pierścieniem na łańcuszku okalającym kark Nynaeve. Szły ostentacyjnie spacerowym krokiem, nie chcąc, by Birgitte i Lan pomyśleli sobie, że udało im się nakłonić je do pośpiechu, choć prawda była taka, że wędrowały teraz nieco raźniej.

Jakby chcąc sobie to powetować, gawędziły udawanie niedbałym tonem, wybierając jak najbardziej frywolne tematy. Elayne żałowała, że nie miała okazji naprawdę uczestniczyć w Święcie Ptaków, które odbyło się dwa dni wcześniej, i bez śladu wstydu wychwalała skąpe ubiory uczestników. Nynaeve wysłuchiwała tego z całkowitym spokojem, niemniej prędko zmieniła temat, nawiązując do przypadającego dzisiaj Święta Popiołów. Służący twierdzili, że zapowiedziano pokazy ogni sztucznych, stanowiących rzekomo dzieło jakiegoś Iluminatora uchodźcy. Ponadto do miasta zawitało kilka wędrownych trup akrobatów z dziwacznymi zwierzętami; Elayne i Nynaeve żywo się nimi interesowały, jako że podróżowały ongiś z taką trupą. Rozmawiały też o szwaczkach i gatunkach koronek dostępnych w Ebou Dar, a także o różnych gatunkach jedwabiu i lnu, które można tu było kupić, a w pewnej chwili Aviendha przyłapała się na tym, że z przyjemnością słucha, jak bardzo jej do twarzy nie tylko w tej sukni z szarego jedwabiu, ale również w innych strojach ofiarowanych jej przez Tylin Quintarę, w tych wszystkich znakomitych wełnach, jedwabiach, pończochach i dopasowanej bieliźnie oraz biżuterii. Elayne i Nynaeve również otrzymały ekstrawaganckie podarunki. W sumie prezenty wypełniały wiele kufrów i tobołków, które spoczywały teraz w stajni razem z ich starymi jukami.

– Co się tak krzywisz, Aviendha? – spytała Elayne, klepiąc ją po ramieniu i uśmiechając się. – Niczym się nie przejmuj. Znasz splot, na pewno świetnie sobie poradzisz.

Nynaeve nachyliła bliżej głowę i szepnęła:

– Sparzę ci herbatki, kiedy będę miała możliwość. Znam receptury na zioła, które ukoją twój żołądek. Albo złagodzą kobiece dolegliwości. – I też poklepała ją po ramieniu.

Nic nie rozumiały. Żadne kojące słowa ani zioła nie uleczą tego, co jej dolegało. Zrozumiała bowiem, że naprawdę lubi rozmawiać o koronkach i haftach! Nie wiedziała, czy prychać z niesmaku, czy też łkać z rozpacz. Robiła się coraz bardziej miękka. Nigdy przedtem nie przyglądała się

kobiecy sukniom – no, chyba że podejrzewała, iż w ich fałdach ukryta jest broń – lekceważyła barwę i krój, nie mówiąc już o rozmyślaniu, jak taka suknia leżałaby na niej. Najwyższy czas wyjechać z tego miasta, jak najdalej od pałaców mieszkańców mokradeł. Jeszcze trochę, a zacnie się wdzięczyć. Nie zauważyła tego dotąd u Elayne albo Nynaeve, ale wszyscy wiedzieli, że mieszkanki mokradeł w najbardziej bezwstydnym sposób wdzięczyły się, a więc i ona wkrótce z pewnością zrobi się równie miękka, jakby i w jej żyłach płynęło mleko z wodą. Spaceruje sobie pod rękę z kobietami i trajkocze o koronkach! A gdyby ktoś je zaatakował, jak niby sięgnie do noża za pasem? Nóż zapewne okaże się bezużyteczny w starciu z groźnymi im napastnikami, jednak ona nauczyła się wierzyć stali na długo przed tym, zanim się dowiedziała, że potrafi przenosić. Gdyby ktoś spróbował wyrządzić krzywdę Elayne albo Nynaeve -zwłaszcza Elayne, obiecała jednak Matowi Cauthonowi, że obu ich będzie strzegła równie niezawodnie jak Birgitte i *Aan'allein* – gdyby ktoś spróbował, to ona wrazi stal w jego serce. Koronki! Szli dalej, a ona dalej rozpaczała w duchu nad własną słabością.

Największy stajenny dziedziniec pałacu z trzech stron ograniczały stajnie z wiodącymi doń wielkimi, dwuskrzydłowymi wrotami; tłoczyli się w nich słudzy w zielono-białej liberii. Za nimi, w boksach z białego kamienia czekały konie, osiodłane albo obładowane wiklinowymi koszami. Morskie ptaki kołowały nad ich głowami, nieprzyjemnie przypominając swym donośnym skrzekiem o pobliskim morzu. Nad jasnymi kamieniami bruku powietrze lśniło mgiełką słonecznego żaru i zdawało się gęstnieć od panującego wokół napięcia. Aviendha bywała już świadkiem, jak krew lała się w bardziej pokojowych warunkach.

Renaile din Calon, w czerwonych i żółtych jedwabiach, z rękoma arogancko skrzyżowanymi na piersi, stała na czele grupy dziewiętnastu bosonogich kobiet, których ręce zdobiły tatuaże, natomiast krzyczącym barwom bluzek niewiele tylko ustępowały jaskrawością spodnie i długie szarfy. Pot lśniący na ich ogorzałych twarzach nie odbierał im pełnej powagi godności. Niektóre od czasu do czasu unosiły do nozdrzy maleńkie puzderka ze złotej koronki, wypełnione ciężkimi pachnidłami. Renaile din Calon miała po pięć grubych złotych kolczyków w obu uszach, od jednego z nich do kółka w nosie wzdłuż lewego policzka biegł łańcuszek z medalikami. Trzy kobiety stojące tuż za plecami Renaile din Calon miały po osiem kolczyków i po kilka medalików mniej. Stanowiły one oznakę rangi wśród Ludu Morza, a przynajmniej u kobiet. Żadna nie miała więcej ozdób niż Renaile din Calon, Poszukiwaczka Wiatru Mistrzynie Statków Atha'an Miere, ale nawet dwie uczennice stojące skromnie w tyle, ubrane w ciemne spodnie i lniane bluzki miast jedwabnych, też mogły się poszczycić posiadaniem złotych ozdób. Kiedy pojawiła się Aviendha wraz z pozostałymi, Renaile din Calon ostentacyjnie zerknęła na słońce, które minęło już południowy szczyt swej drogi przez nieboskłon. A potem, wysoko unosząc brwi, przeniosła spojrzenie na nich, spojrzenie, które wyrażało zniecierpliwienie tak wyraźnie, że równie dobrze mogłoby zostać wykrzywane.

Elayne i Nynaeve stanęły jak wryte, przez co Aviendha również musiała się zatrzymać. Wymieniły zaniepokojone spojrzenia i jak na komendę westchnęły. Aviendha nawet nie potrafiłaby sobie wyobrazić, że mogłyby spróbować się wykręcić. Więzy umowy krępowały ściśle jej prawie-siostrę oraz Nynaeve, a one same wcześniej mocno zacisnęły ich supły.

– Zajrzę do Kółka Dziewiarskiego – mruknęła pod nosem Nynaeve, na co Elayne odparła nieco silniejszym głosem:

– Sprawdź, czy siostry są gotowe.

Puściły jej ręce i unosząc spódnicę, usunęły się na bok, Birgitte i Lan poszli w ślad za nimi. Ona zaś znalazła się twarzą w twarz z Renaile din Calon, kobietą o orlim wejrzeniu, w którym bez trudu można było dojrzeć świadomość własnej siły i nieugiętości. Na szczęście Poszukiwaczka Wiatru

Mistrzynie Statków zaraz odwróciła się do swych towarzyszek tak gwałtownie, że aż zafalowały końcówki jej długiej, żółtej szarfy. Pozostałe Poszukiwaczki Wiatru otoczyły ją wiankiem, pilnie wsłuchując się w słowa, które wypowiadała ściszym głosem. W tym przypadku Aviendha doskonale wiedziała, że zniszczyłaby wszystko, gdyby uderzyła ją bodaj raz. Starła się więc nawet nie spoglądać szczególnie wojowniczo, ale choć robiła wszystko, by gdzie indziej kierować spojrzenie, ono wciąż wędrowało ku nim. Nikt nie miał prawa zastać wiać siostrę. Kółka w nosie! Wystarczy złapać za ten łańcuszek, a Renaile din Calon Błękitna Gwiazda zrobi zupełnie inną minę.

Drobna Merilille Caendevin i cztery inne Aes Sedai, skupione na jednym z krańców dziedzińca, również przyglądały się Poszukiwaczkom, ale większość kiepsko skrywała irytację za maską niewzruszonego spokoju. Dotyczyło to nawet szczupłej, siwowłosej Vandene Namelle oraz jej lustrzanego odbicia, pierwszej-siostry Adelas, która zazwyczaj wyglądała na najbardziej opanowaną z nich wszystkich. Co jakiś czas to jedna, to druga poprawiała płaszcz podróżny uszyty z cienkiego lnu albo otrzepywała dzielone jedwabne spódnice. Gwałtowne podmuchy wiatru istotnie wzniewały niewielkie tumany pyłu i rozdymały mieniące się płaszcze pięciu Strażników stojących tuż za plecami siostr, ale nie ulegało wątpliwości, że prawdziwym powodem tych ruchów jest irytacja. Jedyne Sareitha, trzymająca straż przy wielkim okrągłym, białym tobołku, nawet nie drgnęła. Niemniej marsz znaczył jej czoło. Pokojówka Merilille, Pol, robiła miny za ich plecami. Aes Sedai gorąco oprotowały zawartą umowę, za sprawą której obecnie Atha'an Miere zeszyły ze swych statków i mocą której najwyraźniej rościły sobie prawo do spoglądania na Aes Sedai z pełnym pretensji zniecierpliwieniem, wszelako jej postanowienia wiązały siostrami języki, nie pozostawiając nic innego, jak dławić się własną irytacją. Zresztą, nawet zręcznie ją skrywały – gdyby chodziło tylko o mieszkańców mokradeł, z pewnością nikt by niczego nie zauważył. Trzecia grupa kobiet, stłoczonych przy przeciwległym krańcu dziedzińca, przyciągała niemalże tyle samo badawczych spojrzeń siostr co kobiety Ludu Morza.

Reanne Corly oraz dziesięć ocalałych z Kółka Dziewiarskiego Rodziny wierciły się niespokojnie pod wpływem tych pełnych dezaprobaty oględzin, ocierając spocone twarze haftowanymi chusteczkami, poprawiając kolorowe słomkowe kapelusze z szerokimi rondami albo wygładzając bure wełniane spódnice zaszyte z jednej strony i ukazujące warstwy halek równie kolorowych jak odzienie Ludu Morza. Jednak nie tylko spojrzenia Aes Sedai zmuszały je do przestępowania z nogi na nogę, dochodził jeszcze strach przed Przekłętymi, przed *gholam*, a także wiele innych rzeczy. Powinny były poprzestać na tych wąskich, a za to głębokich dekoltach. Policzki większości tych kobiet znaczyły wyraźne zmarszczki, a jednak przywodziły na myśl małe dziewczynki, które przyłapano na podkradaniu chleba orzechowego. Wszystkie oprócz krępej Sumeko, która z pięściami wspartymi na obfitych biodrach odwzajemniała się Aes Sedai spojrzeniem za spojrzeniem. Jedna z nich, Kirstian, stale oglądała się przez ramię i otaczała ją jaskrawa łuna *saidara*. Być może o dziesięć lat starsza od Nynaeve, z bladą twarzą, wyraźnie odstawała od reszty. Jej twarz robiła się jeszcze bledsza za każdym razem, gdy jej czarne oczy napotykały wzrok Aes Sedai

Nynaeve pospiesznie podeszła do kobiet, które przewodziły Rodzinie. Na widok jej rozpromienionej zyczliwością twarzy Reanne i pozostałe uśmiechnęły się z widoczną ulgą. Siły wyrazu odbierały jej nieco ukośne spojrzenia, które kierowały w stronę Lana: bały się go jak wilka, którego zresztą istotnie przypominał. Niemniej jednak tylko dzięki Nynaeve Sumeko nie garbiła się jak pozostałe za każdym razem, gdy jakaś Aes Sedai zerkała w jej kierunku. Nynaeve przysięgła, że wbije tym kobietom do głów odrobinę godności, aczkolwiek Aviendha nie do końca rozumiała po co

Nynaeve sama była Aes Sedai, żadna Mądra nigdy nie kazałaby nikomu sprzeciwić się Mądrym.

A jednak choć reagowała na pozostałe Aes Sedai, w obecności Nynaeve nawet Sumeko zdawała się zachowywać z niejaką służalczością. Kółko Dziewiarskie uważało za dziwne, mówiąc najogólniej, że kobiety tak młode jak Elayne i Nynaeve wydają rozkazy innym Aes Sedai, a tamte słuchają. Sama Aviendha nie bardzo potrafiła się z tym pogodzić. No bo czyż siła czerpania Mocy, czyli coś przynależne człowiekowi od urodzenia jak kolor oczu, mogła znaczyć więcej niż honor, jakiego przysparzały przeżyte lata? Jednak starsze Aes Sedai naprawdę słuchały, a kobietom z Rodziny to wystarczało. Ieine, niemal równie wysoka jak Aviendha i prawie tak smagła jak Lud Morza, reagowała na każde spojrzenie Nynaeve służalczym uśmiechem, Dimana, z jasnorudymi włosami przetykanymi bielą, stale pochylała głowę, gdy padał na nią wzrok Nynaeve, jasnowłosa Sibella zaś skrywała dłonią usta, tłumiąc nerwowy śmiech. Mimo iż wszystkie były odziane na modłę obowiązującą w Ebou Dar, jedynie Tamarla, szczupła, o oliwkowej karnacji, pochodziła z Altary, i to nawet nie z miasta.

Gdy tylko Nynaeve podeszła bliżej, rozstąpiły się, ukazując klęczącą kobietę, z rękoma związanymi na plecach i ze skórzanym workiem na głowie. Jej niegdyś wspaniałe odzienie było podarte i zakurzone. Stanowiła powód do zaniepokojenia w takim samym stopniu, jak miny Merilille albo ewentualna obecność Przeklętych. Być może w jeszcze większym.

Tamarla brutalnie ściągnęła kaptur, wichrząc cienkie warkoczyki z wplecionymi paciorkami; Ispan Shefar usiłowała się podnieść, ale udało jej się tylko niezdarnie przykucnąć, po czym zachwiała się i z powrotem opadła na klęczki, mrugając i chichocząc głupawo. Po jej policzkach ściekały strumienie potu, a rysy pozbawionej piętna upływu lat twarzy szpeciły sińce powstałe podczas pojmania. Zdaniem Aviendhy i tak została potraktowana nader łagodnie, jeśli wziąć pod uwagę jej zbrodnie. Ziola, które Nynaeve wlała przemocą do gardła tej kobiety, nadal zaćmiewały jej umysł i powodowały omdlałość członków, niemniej Kirstian wszystkimi strzępkami Mocy, jakie była w stanie przywołać, trzymała otaczając ją tarczę. Nie istniała szansa, by ta Służka Cienia mogła uciec – nawet gdyby nie wypila tych ogłupiających ziół, to wszak Kirstian była równie silna w Mocy jak Reanne, silniejsza od większości Aes Sedai, jakie Aviendha kiedykolwiek poznała – a jednak nawet Sumeko nerwowo skubała spódnice i starała się nie patrzeć na klęczącą.

– Z całą pewnością siostry powinny już ją przejąć. – Niepewny, piskliwy głos Reanne załamywał się, jakby mówiła o kimś innym, a nie o Czarnej siostrze, którą Kirstian odcięła tarczą od

Źródła. – Nynaeve Sedai, my... my nie powinniśmy być strażniczkami... nie powinniśmy pilnować Aes Sedai.

– Zgadza się – wtrąciła prędko Sumeko, z wyraźnym niepokojem. – Powinny ją teraz przejąć Aes Sedai. – Sibella powtórzyła jej słowa niczym echo i wśród kiwających głowami członkiń Rodziny rozszedł się, niby fala, pomruk aprobaty. Były przeświadczone do głębi, że stoją o wiele niżej od Aes Sedai, niewykluczone wręcz, że wołałyby pilnować trolloków zamiast którejs z nich.

Dezaprobowane spojrzenia Merilille i innych siostr zmieniły się, kiedy odsłonięta została twarz Ispan Shefar. Sareitha Tomares, która włożyła swój obrzeżony brązowymi frędzlami szal zaledwie przed kilkoma laty i jeszcze nie dorobiła się charakterystycznego pozbawionego piętna wieku wyglądu, spoglądała z niesmakiem, który Służka Cienia powinna dostrzec z odległości co najmniej pięćdziesięciu kroków. Adeleas i Vandene, z palcami wczepionymi w fałdy spódnicy, zdawały się zmagać z nienawiścią do kobiety, która kiedyś była ich siostrą, a potem je zdradziła. Spojrzenia, jakimi obrzuciły Kółko Dziewiarskie, nie były jednak wiele cieplejsze. One też w głębi duszy wiedziały, że członkinie Rodziny stoją znacznie niżej od nich. Zresztą w tym wszystkim kryło się znacznie więcej, niemniej wiadomo było, że zdrajczyni należała kiedyś do nich i nikt oprócz nich nie

miał do niej prawa. Aviendha myślała podobnie. Panna, która zdradziła swoje siostry włóczy, nie umierała szybko, a przedtem dane jej było zaznać smaku hańby.

Nynaeve dość energicznym ruchem ponownie nasunęła worek na głowę Ispan Shefar.

– Jak dotąd dobrze się spisowałyście i oczekuję, że nadal tak będzie – zwróciła się kategorycznym tonem do kobiet z Kółka Dziewiarskiego. – Jeżeli zacznie odzyskiwać przytomność, wlećcie jej do gardła jeszcze trochę tej mikstury. Dzięki temu będzie otumaniona niczym kozioł, który opił się ale. Zatkajcie jej nos, jeśli nie będzie chciała przełykać. Nawet Aes Sedai wypije grzecznie, jeśli to zrobicie i zagroziecie, że ją wytargacie za uszy.

Reanne opadła szczęka, jej oczy zogromniały, reakcja większości jej towarzyszek okazała się zresztą podobna. Sumeko wprawdzie przytaknęła z ociąganiem, jednak wytrzeszczyła oczy tak samo jak pozostałe. Kiedy kobiety z Rodziny wymawiały „Aes Sedai”, równie dobrze mogłyby wzywać Stwórcę. Myśl o zatykaniu nosa Aes Sedai, nawet jeśli był to w istocie nos Służki Cienia, wywołała na ich twarzach najczystsze przerażenie.

Sądząc po wybałuszonych oczach Aes Sedai, ten pomysł spodobał się im jeszcze mniej. Merilille otworzyła usta, zagapiwszy się na Nynaeve, ale dokładnie w tym momencie podeszła do niej Elayne i Szara siostra w zamian ruszyła na nią, rzucając tylko jedno spojrzenie dezaprobaty na Birgitte. Jej głos unosił się w coraz wyższe rejestry, co stanowiło miarę jej poruszenia, normalnie bowiem Merilille zachowywała się bardzo powściągliwie.

– Elayne, musisz koniecznie rozmówić się z Nynaeve. Te kobiety są skonfundowane i przerażone nieomal do utraty zmysłów. To nie pomoże, jeśli ona będzie napędzała im jeszcze większego stracha. Jeżeli Zasiadająca na Tronie Amyrlin rzeczywiście zechce je wpuścić do Wieży... – Tu powoli pokręciła głową, jakby tym gestem próbowała zaprzeczyć takiej możliwości, a może i równocześnie wielu innym rzeczom – ...jeżeli taki istotnie jest jej zamiar, to powinny mieć jasny obraz tego, gdzie ich miejsce, a także...

– Amyrlin istotnie ma taki zamiar – weszła jej w słowo Elayne. Stanowczość w wydaniu Nynaeve polegała na wygrażaniu pięścią przed nosem, u Elayne wyrażała się chłodnym przekonaniem o własnej racji. – Będą miały szansę spróbować raz jeszcze i tym razem nie zostaną przegnane, jeśli znowu im się nie powiedzie. Żadna kobieta, która potrafi przenosić, nie będzie już nigdy odrzucona przez Wieżę. Wszystkie staną się jej częścią.

Aviendha odruchowo gładziła rękojeść noża przy pasie i rozważała te słowa. Egwene, Zasiadająca na Tronie Amyrlin, o której wspomniała Elayne, mówiła z grubsza tak samo. Ona też była przyjaciółką, ale była także Aes Sedai i z nimi właśnie związała swój los. Sama Aviendha nie miała najmniejszej ochoty stać się częścią Białej Wieży. I mocno wątpiła, by chciała tego Sorilea czy którakolwiek z Mądrych.

Merilille westchnęła i splotła ręce na piersiach, a jednak, mimo pozornej zgody z Elayne, wciąż nie potrafiła mówić spokojnie.

– Jako rzeczesz, Elayne. Ale porozmawiajmy o Ispan. Po prostu nie możemy dopuścić...

Elayne uniosła rękę gwałtownym gestem. Tym razem miejsce chłodnego przekonania o własnej słuszności zastąpił rozkaz.

– Ustąp, Merilille. Wy macie Czarę Wiatrów i musicie jej strzec. Tego dla każdego byłoby aż nadto. Dla was z pewnością będzie.

Merilille otworzyła usta, po czym na powrót je zamknęła i lekko skłoniła głowę na znak rezygnacji. Pod wpływem natarczywego spojrzenia Elayne pozostałe Aes Sedai też pochylły głowy. Postawa kilku wprawdzie wciąż znamionowała niechęć, niezbyt zresztą zdecydowaną, jednak nie odnosiło się to do wszystkich. Sareitha pospiesznie podniosła leżący u jej stóp okrągły toból białego

jedwabiu. Otoczyła Czarę Wiatrów ramionami i przycisnęła ją do łona, uśmiechając się niespokojnie do Elayne, jakby zapewniając, że strzeże skarbu naprawdę bardzo uważnie.

Kobiety z Ludu Morza wpatrywały się zgłodniałymi oczyma w tobołek, omal nie potrafiły ustać w miejscu. Aviendha nie zdziwiłaby się, gdyby rzuciły się biegiem przez dziedziniec i porwały Czarę. Aes Sedai ewidentnie też to dostrzegły, bo Sareitha uchwyciła pakunek jeszcze mocniej, a Merilille naprawdę zmieniła miejsce i stanęła między nią a Atha'an Miere. Gładkie twarze Aes Sedai aż się napinały, chcąc zachować obojętność. One uważały, że Czara należy do nich; wszystkie przedmioty, które czerpały Jedyną Moc albo pomagały ją manipulować, stanowiły ich zdaniem własność Białej Wieży, niezależnie w czyim posiadaniu naprawdę się znajdowały. Ale targ to targ.

– Słońce zmierza do horyzontu, Aes Sedai – głośno przypomniała Renaile din Calon – a niebezpieczeństwo nie staje się mniejsze. Wszak same to powiedziałyście. Jeżeli wam się wydaje, że grając na zwłokę, w jakiś sposób się wykręcicie, to lepiej zastanówcie się dwa razy. Złamiecie postanowienia umowy, a przysięgam na serce mego ojca, natychmiast wracam na pokład statku. I zabiorę Czarę w ramach rekompensaty. Należy do nas od Pęknięcia.

– Pilnuj swego języka w obliczu Aes Sedai – warknęła Reanne, cała tchnąc oburzeniem, od niebieskiego słomkowego kapelusza po mocne buty wyzierające spod zielono-białych halek.

Usta Renaile din Calon wygięły się w szyderczy grymas.

– A więc wychodzi na to, że meduzy jednak mają języki. Aż dziw bierze, że potrafią się nimi posłużyć, choć żadna Aes Sedai nie udzieliła im pozwolenia.

W jednej chwili dziedziniec stajenny rozbrzmiał zniewagami wykrzykiwanymi przez kobiety z Rodziny i Atha'an Miere: „dzikuski”, „niegodne” i jeszcze gorsze epitety, oraz piskliwymi wrzaskami, które zagłuszyły Merilille próbującą uciszyć Reanne i jej towarzyszkę z jednej strony oraz uspokoić Lud Morza z drugiej. Kilka Poszukiwaczek Wiatru przestało gładzić rękojeści sztyletów wepchniętych za szarfy – ich palce zaciskały się na nich kurczowo. Wokół jednej wykwitła łuna *saidara*, a wkrótce pozostałe odziane na kolorowo kobiety poszły w jej ślady. Członkinie Rodziny, wyraźnie oszołomione, bynajmniej jednak nie ustawały w swoich tyradach; Sumeko objęła Źródło, potem Tamarla, a po niej zwiewna gołębiooka Chilares i niebawem zarówno one wszystkie, jak i wszystkie Poszukiwaczki Wiatru stały spowite lśniąca poświatą, gdy tymczasem w powietrzu fruwały słowa i wrzały temperamenty.

Aviendha miała ochotę jęczeć w głos. Lada chwila poleje się krew. Poszłaby za przykładem Elayne, ale zimna furia jej prawie-siostry obejmowała jednak Poszukiwaczki Wiatru jak i kobiety z Kółka Dziewiarskiego. Elayne niewiele cierpliwości potrafiła zachować w obliczu głupoty, zarówno swojej, jak i cudzej, a obrzucanie się zniewagami w chwili, gdy wróg był być może tuż-tuż, stanowiło przejaw głupoty najgorszej odmiany. Aviendha ścisnęła silnie rękojeść noża, a po chwili objęła *saidara* – omal nie załkała, gdy wypełniło ją życie i radość. Mądre posługiwały się Mocą jedynie wtedy, gdy zawodziły słowa, ale tutaj na nic były słowa i stal. Żałowała tylko, że nie wie, kogo zabić w pierwszej kolejności.

– Dosyć! – Przenikliwy okrzyk Nynaeve sprawił, że wszystkim słowa zamarły na ustach. Zdumione twarze obróciły się błyskawicznie w jej stronę. Ona tymczasem ostrzegawczo potrząsnęła głową i wycelowała palec w stronę kobiet z Kółka Dziewiarskiego.

– Skończcie z tą dziecinadą! – Tym razem chyba starała się ściszyć nieco głos, ale różnica była nieznaczna. – Czy może zamierzacie się tak handryczyć, dopóki nie pojawią się Przekłęci i nie zgarną Czary razem z nami na dokładkę? A wy – tu wycelowała palec w stronę Poszukiwaczek Wiatru – przestańcie robić wszystko, by wymigać się od postanowień targu! Nie dostaniecie Czary, dopóki nie spełnicie obietnic co do ostatniego słowa! Nie myślcie sobie, że to wam się uda! – Wreszcie

zwróciła się ku Aes Sedai. – Wy natomiast!... – A ponieważ tym razem zderzyła się z reakcją, która polegała wyłącznie na chłodnym zdumieniu, potok jej słów urwał się raptownie, rodząc kwaśne burknięcie. Aes Sedai nie przyłączyły się do chóru krzykaczek, starały się je uciszyć. Łuna *saidara* nie otaczała żadnej.

Rzecz jasna, to nie wystarczyło, by Nynaeve uspokoiła się do końca. Gwałtownym ruchem poprawiła kapelusz, najwyraźniej nadal przepełniona gniewem, któremu koniecznie musiała dać upust. Ale kobiety z Rodziny wpatrywały się w kamienie brukowe ze wstydem na poczerwieniałych twarzach i nawet Poszukiwaczki Wiatru zdawały się nieco zbite z pantałyku... nieco... bo mruczały coś do siebie, jednocześnie nie bardzo potrafiąc spojrzeć Nynaeve w oczy. Łuny gasły jedna po drugiej, aż wreszcie już tylko Aviendha obejmowała Źródło.

Wzdrygnęła się, kiedy Elayne dotknęła jej ramienia. Robiła się miękka. Pozwalała, by ludzie podkradali się do niej cichaczem, i podskakiwała, gdy ktoś jej znieńska dotknął.

– Jak się zdaje, przetrwaliśmy ten kryzys – mruknęła Elayne. – Chyba czas już ruszać, zanim wybuchnie następny. – Nieznaczny rumieniec na jej policzkach stanowił jedyną pamiątkę po tym, że w ogóle wpadła w złość. Taki sam widniał na twarzy Birgitte. Od czasu, gdy połączyła je więź, pod niektórymi względami upodobniły się do siebie.

– Dawno po czasie – zgodziła się Aviendha. Jeszcze trochę, a naprawdę zmieni się w kolejną mieszkankę mokradeł o mlecznym sercu.

Śledziły ją oczy wszystkich zebranych, kiedy szła przez dziedziniec, aż na jego środek, do miejsca, które przedtem zbadała i intuicyjnie wyczuła tak dokładnie, że rozpoznałaby je nawet z zamkniętymi oczami. Obejmowaniu Źródła towarzyszyła radość, radość przenoszenia *saidara*, radość, której nie potrafiłaby ująć słowami. Wchłonać w siebie *saidara*, być przez niego wchłoniętą, równało się wrażeniu, że zrzuca kajdany czasu. Złudzenie, twierdziły Mądre, równie fałszywe i niebezpieczne jak miraż wody w Termool – a jednak zdawało się bardziej prawdziwe niż ten bruk pod jej stopami. Zwalczyła pokusę, by zaczerpnąć jeszcze więcej, już obejmowała niemal tyle, na ile pozwalały jej ograniczenia. Wszystkie zebrane na dziedzińcu stłoczyły się tuż przy niej, kiedy zaczęła tkać sploty.

Po wszystkim, na co się napatrzyła, Aviendhę nadal zaskakiwała wielość rzeczy, których Aes Sedai nie potrafią wykonać. W Kółku Dziewiarskim było parę silnych kobiet, ale jedynie Sumeko i, o dziwo, Reanne otwarcie przyglądały się temu, co ona teraz robi. Sumeko posunęła się nawet tak daleko, że odtrąciła rękę Nynaeve, która próbowała poklepać ją zachęcająco po ramieniu – czym zarobiła sobie na minę pełną zaskoczenia i oburzenia, której jednak tamta, z wzrokiem utkwionym w Aviendhę, w ogóle nie zauważyła. Natomiast Poszukiwaczki Wiatru bez reszty dysponowały wystarczającą siłą. One dla odmiany przypatrywały się równie zachłannie jak przedtem Czarze. Targ dawał im do tego pełne prawo.

Aviendha skoncentrowała uwagę i sploty zlały się ze sobą, tworząc połączenie między dziedzińcem a miejscem, które wcześniej ona, Elayne i Nynaeve wybrały na mapie. Wykonała gest naśladujący rozchylenie klap przesłaniających wejście do namiotu. Nie był to wprawdzie element splotu, którego nauczyła ją Elayne, ale zapamiętała z tego tyle, co zrobiła kiedyś sama, dużo wcześniej, zanim Egwene wykonała swoją pierwszą bramę. Sploty zlały się w srebrzystą, pionową kreskę, która obróciła się i przekształciła w otwór w powietrzu, wyższy od człowieka i szerokości jego wzrostu. Za nim roztaczał się widok na sporą polanę otoczoną drzewami wybijającymi w niebo na dwadzieścia albo trzydzieści stóp, znajdującą się w odległości wielu mil na północ od miasta, na przeciwległym brzegu rzeki. Zbrązowiała sięgająca do kolan trawa dochodziła aż do bramy, falując na lekkim wietrze: niektóre z rosnących najbliższej źdźbeł zostały ucięte równo jak nożem, inne

przecięte wzdłuż. Nawet brzytwa zdawałaby się tępa, gdyby ją porównać z krawędziami bramy.

Nie była zadowolona ze swojego dzieła. Elayne utkałaby ten splot, wykorzystując zaledwie ułamek swej siły, Aviendha natomiast musiała włożyć weń niemal wszystko, czym dysponowała. Z drugiej strony, wierzyła, że utkałaby większą, równie dużą, do jakiej była zdolna Elayne, gdyby zastosowała sploty, jakie utkała bez udziału myśli podczas tamtej ucieczki przed Randem al'Thorem – tak dawno temu... – ale niezależnie od tego, ile razy próbowała, potrafiła przypomnieć sobie jedynie jakieś strzępki. Nie czuła zazdrości – była wręcz dumna z osiągnięć jej prawie-siostry – ale porażka zasnęła jej serce mrokiem hańby. Sorilea albo Amys nie darowałyby jej, gdyby się dowiedziały. Tej hańby. Za dużo pychy, tak by to określiły. Tylko Amys by zrozumiała, sama była kiedyś Panną. A jednak jak inaczej nazwać coś, co nie wychodzi, a co zasadniczo pozostaje w zasięgu możliwości. Gdyby nie musiała podtrzymywać splotu, uciekłyby tam, gdzie nikt by jej nie widział.

Wyjazd został wcześniej starannie przygotowany, więc w chwili gdy brama otwarła się do końca, na całym dziedzińcu zapanowało ogólne poruszenie. Dwie kobiety z Kółka Dziewiarskiego podźwignęły zakapturzoną Służkę Cienia na nogi, a Poszukiwaczki Wiatru pospiesznie uformowały się w szereg za Renaile din Calon. Stajenni poczęli wyprowadzać konie. Lan, Birgitte i jeden ze Strażników Careane, szczupły mężczyzna o nazwisku Cieryl Arjuna, natychmiast przemknęli przez bramę. Podobnie jak *Far Dareis Mai*, Strażnicy zawsze rościli sobie prawo do pójścia przodem. Aviendhę aż zaswędziły stopy, by pobiec za nimi, ale nie miało to już żadnego sensu. W odróżnieniu od Elayne nie dałaby rady zrobić więcej niż pięć albo sześć kroków, bo splot zaraz by osłabł, a podwiązać go też nie potrafiła. Myśl ta przygnębiła ją dodatkowo.

Tym razem nie istniały podstawy, by oczekiwać jakiegoś niebezpieczeństwa, więc Aes Sedai natychmiast przeszły przez bramę śladem tamtych, a z nimi Elayne oraz Nynaeve. Wprawdzie w tych leśnych okolicach było wiele farm, toteż mogło się okazać, że trzeba będzie odstraszyć jakiegoś zabłąkanego pasterza albo parę młodych szukających prywatności, którzy wszak nie powinni zobaczyć zbyt wiele, niemniej jednak żaden z Tych Którzy Dusze Oddali Cieniowi ani też żadne z Pachołków Cienia nie mogło znać tej polany; tylko ona, Elayne i Nynaeve o niej wiedziały, a ze strachu przed podsłuchującymi nawet ze sobą o tym nie rozmawiały. Stojąca w bramie Elayne spojrzała pytająco na Aviendhę, ale ta dała jej znak gestem, że ma iść dalej. Plany są po to, by je realizować, przynajmniej do czasu, aż zaistnieją silne racje, nakazujące je zmieniać.

Przez bramę przechodziły teraz powoli Poszukiwaczki Wiatru, znienacka tracąc rezon, gdy kolejno podchodziły do tego czegoś, o czym nigdy nawet nie śniły; przed wejściem robiły głęboki wdech. I wtedy niespodzianie tamto mrowienie powróciło.

Aviendha uniosła wzrok ku oknom wyglądającym na dziedziniec. Każdy łatwo mógł się ukryć za ekranami wykonanymi z żelaza kutego w fantazyjne wzory i pomalowanego na biało. Tylin zakazała służbie podchodzić do tych okien, ale kto by powstrzymał Teslyn, Joline albo... Coś kazało jej przenieść spojrzenie jeszcze wyżej, na kopuły i wieże. Tam smukłą iglicę otaczały wąskie przejścia i na jednym z nich, bardzo wysoko, lśniła czarna sylwetka otoczona ostrą aureolą świecącego za nią słońca. Mężczyzna.

Oddech uwiązał jej w gardle. Nic w jego pozie, w dłoniach wspartych na kamiennej balustradzie, nie zapowiadało niebezpieczeństwa, a jednak Aviendha natychmiast zrozumiała, że to przez niego tak ją mrowi między łopatkami. Ten Który Duszę Oddał Cieniowi nie stałby tak sobie i zwyczajnie patrzył, ale tamten stwór, ten *gholam*... Poczowała lód w żołądku. To mógł być jakiś pałacowy służący. Mógł, a jednak przekonana była, że nie jest. W strachu nie było nic z hańby.

Z niepokojem zerknęła na kobiety nadal przestępujące bramę... z tak bolesną powolnością.



Połowa z Ludu Morza już przeszła na drugą stronę, te z Kółka Dziewiarskiego czekały na końcu, pilnie strzegąc Służki Cienia, mimo przepełniającego je niepokoju, równocześnie wyraźnie zmagaly się z oburzeniem wobec faktu, że oto kobiety z Ludu Morza mogły przejść pierwsze. Gdyby wypowiedziała swoje podejrzenia na głos, kobiety z Rodziny zapewne rzuciłyby się do ucieczki – na zwykłą wzmiankę o Tych Którzy Dusze Oddali Cieniowi zasychało im w ustach, a ich wnętrzości zdawały się zamieniać w wodę – a Poszukiwaczki Wiatru zapewne spróbowałyby natychmiast zagarnąć Czarę. Dla nich Czara była czymś absolutnie najważniejszym. Ale tylko ślepy dureń stoi i drapie się po głowie, gdy do stada, którego kazano mu strzec, podkradał się lew. Złapała jedną z Atha'an Miere za czerwony jedwab rękawa.

– Przekaż Elayne... – Twarz jakby wykuta z gładkiego czarnego kamienia zwróciła się w jej stronę, kobieta miała pełne wargi, a jednak potrafiła jakoś sprawić, że zdawały się cienkie jak kreska, oczy przypominały czarne kamyki, płaskie i twarde. Jaką wiadomość przekazać, żeby nie spowodować tych wszystkich kłopotów, których się obawiała? – Przekaż Elayne i Nynaeve, że mają zachować czujność. Powiedz im, że wrogowie zawsze pojawiają się wtedy, gdy najmniej się spodziewasz. Nie zawieź, musisz im to koniecznie powiedzieć. – Poszukiwaczka przytaknęła z ledwie skrywanym zniecierpliwieniem, ale o dziwo, zaczęła, aż Aviendha ją puści i dopiero wtedy z wahaniem przeszła przez bramę.

Krużganek na szczycie wieży był pusty. Aviendha jednak nie poczuła ulgi. Tamten mógł być teraz wszędzie. Może właśnie schodził na dziedziniec. Kimkolwiek był, czymkolwiek był, był niebezpieczny; to nie jakiś wir piasku tańczący w jej wyobraźni. Czterej Strażnicy stali, formując czworokąt przy bramie – wartownicy, którzy mieli odejść ostatni – a mimo że gardziła ich mieczami, cieszyło ją, że nie tylko ona potrafi się tutaj posługiwać ostrą stalą. Co wcale nie znaczyło, by mieli większe szanse w starciu z *gholam* albo, jeszcze gorzej, z jednym z Tych Którzy Dusze Oddali Cieniowi, niżli słudzy czekający przy koniach. Tudzież ona sama.

Sprężywszy się w sobie, czerpała dalej Moc, aż w końcu słodycz *saidara* zaczęła do złudzenia przypominać ból. Odrobinę więcej i ból przerodziłby się w oślepiającą agonię towarzyszącą tym chwilom, które albo przynosiły śmierć, albo bezpowrotną utratę zdolności przenoszenia. Żeby te kobiety przestały wreszcie tak człapać i przyspieszyły kroku! W strachu nie było nic z hańby, ale bardzo się bała, że on zbyt wyraźnie maluje się na jej twarzy.

# ROZDZIAŁ 2

## ROZPLĄTANY SPLOT

Po przekroczeniu bramy Elayne odsunęła się na bok, za to Nynaeve natychmiast przemaszerowała dziarsko przez polanę, płosząc brunatne pasikoniki z martwej trawy i rozglądając się we wszystkie strony w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów obecności Strażników. Czy raczej jednego konkretnego Strażnika. Jakiś jasnoczerwony ptak przemknął ponad polaną i zniknął. W zasięgu wzroku nie poruszało się nic oprócz sióstr, gdzieś, pośród przeważnie bezlistnych drzew odezwała się wiewiórka, a potem zapanowała cisza. Zdaniem Elayne tych troje nie mogło przecież przejść tędy, nie wydeptując w trawie ścieżek równie szerokich jak ta, którą pozostawiła za sobą Nynaeve, a jednak nie potrafiła wypatrzeć żadnego śladu, że w ogóle wcześniej tu byli.

Niemniej jednak wyczuwała obecność Birgitte: tamta poszła gdzieś na lewo, prawdopodobnie na południowy zachód. Była dość spokojna, wyraźnie nic im bezpośrednio nie zagrażało. Careane, która współtworzyła krąg chroniący Sareithę i Czarę, przekrzywiła głowę, jakby czegoś nasłuchiwała. Najwyraźniej jej Cieryl znajdował się gdzieś na południowym wschodzie. Oznaczało to, że Lan ruszył na północ. O dziwo, to właśnie w kierunku północnym patrzyła Nynaeve, nie przestając mamrotać pod nosem. Niewykluczone, że dzięki małżeństwu wykształciła w sobie zdolność do wyczuwania na odległość obecności Lana. Znacznie bardziej jednak prawdopodobne, że zauważyła jakieś ślady; które Elayne przeoczyła. Nynaeve na leśnych podchodach знаła się równie dobrze jak na ziołach.

Z miejsca, gdzie Elayne przystanąła, w przestworze bramy widać było wyraźnie Aviendhę. Omiatała wzrokiem dachy pałacu, niespokojnie, jakby oczekiwała zasadzki. Zamarła w takiej pozycji, że mimo sukni do konnej jazdy, nietrudno było sobie ją wyobrazić, jak z włóczniami w ręku wskakuje w sam środek bitwy. Elayne uśmiechnęła się, myśląc o tym, jak mężnie Aviendha skryła swoje zdenerwowanie wywołane problemami z bramą i o ileż bardziej była odważna od niej. A równocześnie trochę się zmartwiła. Aviendha była naprawdę odważna, Elayne nie знаła nikogo, kto by do tego stopnia umiał zachować zimną krew. Ale niestety, mogła przecież dojść do wniosku, że wymogi *ji'e'toh* nakazują jej walczyć, podczas gdy jedyną szansę dawała ucieczka. Otaczająca ją luna lśniła nadzwyczaj jasno, było oczywiste, że nie jest już w stanie zaczerpnąć więcej *saidara*. Gdyby tam rzeczywiście pojawił się któryś z Przeklętych...

„Powinnam była zostać z nią”. Natychmiast odepchnęła od siebie tę myśl. Niezależnie od tego, jak przekonującą wymyśliłaby wymówkę, Aviendha na pewno by się połapała, a czasami była drażliwa niczym mężczyzna. Czasami... Zazwyczaj. Zwłaszcza wtedy, gdy uznała, że coś stanowi ujmę dla jej honoru. Westchnęła, a tymczasem rosnący wokół niej tłumek kobiet Atha'an Miere powoli oddalał ją coraz bardziej od bramy. Wciąż była dostatecznie blisko, by w razie czego usłyszeć krzyki rozlegające się po drugiej stronie. Dostatecznie blisko, by w mgnieniu oka skoczyć na pomoc Aviendzie. Czy też w jakiegokolwiek innej potrzebie.

Poszukiwaczki Wiatru przechodziły przez bramę w kolejności wyznaczonej hierarchią, starając się niczego nie dać po sobie poznać, ale nawet Renaile rozluźniła mięśnie ramion, kiedy jej bosa stopy dotknęły wysokiej zbrązowiałej trawy. Niektóre wzdrygały się nieznacznie, natychmiast jednak opanowując, inne oglądały na otwór w powietrzu. Wszystkie co do jednej zerkały podejrzliwie na Elayne, kiedy przechodziły obok niej, a dwie czy trzy otwarty usta, być może chcąc spytać, co ona robi, względnie chcąc ją poprosić – albo jej kazać – żeby przesunęła się dalej. A ona tylko się cieszyła, że spieszą przed siebie, posłuszne szorstkim ponagleniom Renaile. Już niebawem otrzymają

swoją szansę – będą mogły dyktować Aes Sedai, co mają robić, dlaczego jednak miałyby zaczynać od niej...

Wraz z tą myślą poczuła skurcz żołądka. A równocześnie aż kręciła głową, widząc, ile jest tych kobiet. Wiedza o pogodzie pozwoli im skutecznie wykorzystać możliwości Czary, jednak nawet Renaile zgodziła się – z niechęcią co prawda – że szanse na uzdrowienie pogody będą tym większe, im większa ilość Mocy zostanie przez nią przeniesiona. Strumienie trzeba będzie kierować z niesamowitą precyzją, osiągalną jedynie dla pojedynczej kobiety albo całego kręgu. W tym wypadku musiał to być krąg złożony aż z trzynastu. Wśród nich znajdują się najpewniej: Nynaeve, Aviendha, sama Elayne oraz prawdopodobnie kilka kobiet z Rodziny, ale Renaile wyraźnie zamierzała obstawać przy tej części umowy, która stwierdzała, że Aes Sedai podzielą się z nimi wszelkimi umiejętnościami, jakich będą się w stanie nauczyć. Na pierwszym miejscu było otwieranie bramy, na drugim z pewnością znajdzie się łączenie kręgu. Cud, że nie ściągnęła wszystkich Poszukiwaczek Wiatru, które przebywały w porcie. Co by to było, gdyby przyszło im mieć do czynienia z trzema albo czterema setkami! Elayne odmówiła krótką modlitwę dziękczynną, że jest ich tu tylko dwadzieścia.

Nie znalazła się jednak tutaj po to, by je liczyć. W miarę jak kolejne Poszukiwaczki przechodziły o krok od niej, oceniała siłę każdej kobiety. Wcześniej spotkała się zaledwie z garstką, a ponadto spotkania te toczyły się w atmosferze kłopotów towarzyszących przekonaniu Renaile, by w ogóle zechciała wziąć udział w wyprawie. Wyraźnie rangi Poszukiwaczek Wiatru nie miały nic wspólnego ani z wiekiem, ani z siłą, Renaile wiele brakowało, by zaliczyć ją do grona trzech czy czterech najsilniejszych, natomiast Senine, jedna z kobiet idących na samym końcu, miała przywiedle policzki i mocno posiwiałe włosy. I co dziwniejsze, sądząc po śladach na uszach, Senine nosiła kiedyś więcej niż tylko sześć kolczyków, i to na dodatek znacznie bardziej masywnych.

Z rosnącym uczuciem zadowolenia Elayne porządkowała i zapamiętywała wszystkie twarze, łącząc z imionami, jeśli akurat je знаła. Poszukiwaczki Wiatru wprowadziły zastrzegły sobie coś w rodzaju prawa do posiadania ostatniego słowa, niewykluczone też, że ją oraz Nynaeve czekały nieprzyjemne przejścia – bardzo nieprzyjemne – podczas spotkania z Egwene i Komnatą Wieży, kiedy warunki targu zostaną wszystkim ujawnione, wszelako żadna z tych kobiet nie zajęłaby szczególnie wysokiej pozycji wśród Aes Sedai. Z pewnością nie należałyby do ostatnich, ale nadzwyczaj wysoko też by nie zaszły. Próbowwała zdławić to uczucie samozadowolenia – ten fakt niczego nie zmieniał w ramach zawartych porozumień – a jednak jakoś nie umiała się powstrzymać. Ostatecznie zgromadzone tutaj były najlepsze, jakie Atha'an Miere mogli wystawić. Przynajmniej tu, w Ebou Dar. A gdyby były Aes Sedai, to wówczas wszystkie co do jednej, począwszy od Kurin z jej kamiennym, czarnym spojrzeniem, a skończywszy na samej Renaile, musiałyby słuchać, gdy ona mówi, i wstawać, gdy wejdzie do izby. Gdyby były Aes Sedai i zachowywały się, jak przystało.

W tym momencie procesja dobiegła końca, Elayne zaś wzdrygnęła się, gdy minęła ją młoda Rainyn, Poszukiwaczka Wiatru z jakiegoś mniejszego statku, o twarzy z krągłymi policzkami, w zwykłych niebieskich jedwabiach, z ledwie pół tuzinem ozdób zwisających z łańcuszka biegnącego od nosa. Dwie uczennice, po chłopięcemu szczupła Talaan i wielkooka Metarra, truchtały całkiem na ostatku, z minami wyrażającymi udrękę. Nie zasłużyły jeszcze na kolczyk w nosie, a tym bardziej łańcuszek i jedynie pojedynczy cienki złoty kolczyk w lewym uchu stanowił u każdej przeciwwagę dla trzech wklutych w prawe. Odprowadziła wzrokiem wszystkie trzy, ledwie się powstrzymując przed jawnym gapieniem. Być może zresztą nie do końca jej się udało.

Kobiety Atha'an Miere znowu zgromadziły się obok Renaile, podobnie jak ona wpatrzona zachłannie w Aes Sedai trzymającą Czarę. Ostatnie trzy kobiety stanęły z tyłu – uczennice wyraźnie

niepewne, czy w ogóle mają prawo znajdować się tutaj – przy czym Rainyn sploła ręce na piersi, idąc za przykładem Renaile, jednak wyszło jej to niewiele lepiej niż pozostałym dwóm. Poszukiwaczka Wiatru z dartera, najmniejszego ze statków Ludu Morza, zapewne nie miała wielu okazji przebywania w towarzystwie Poszukiwaczki Wiatru Mistrzini Żagli jej klanu, nie wspominając już o Poszukiwaczce Wiatru Mistrzini Statków. Rainyn była bez wątplenia równie silna jak Lelaine albo Romanda, Metarra zaś dorównywała samej Elayne, podczas gdy Talaan... Talaan, tak potulna w bluzeczce z czerwonego lnu, z oczyma ciągle opuszczonymi, wypadła niewiele gorzej niż Nynaeve. Zaiste niewiele. A ponadto Elayne wiedziała, że nie osiągnęła jeszcze pełni swego potencjału, jak i Nynaeve. Jak blisko pełnej dojrzałości były Metarra i Talaan? Przywykła uważać, że tylko Nynaeve i Przekłęci są od niej silniejsi. No cóż... pozostawała jeszcze Egwene, ale rozwój Egwene był poniekąd wymuszony, z pewnością zaś i jej potencjał, i Aviendhy nie były mniejsze. „To tyle, jeśli chodzi o samozadowolenie” – powiedziała sobie z żalem. Lini pewnie stwierdziłaby, że sobie na to zasłużyła, biorąc za oczywiste coś, co wcale takie nie było.

Śmiejąc się z siebie w duchu, Elayne odwróciła się, by sprawdzić, jak Aviendha daje sobie radę, i spostrzegła, że kobiety z Kółka Dziewiarskiego stoją w jednym miejscu przed bramą, zupełnie jakby wrosły w ziemię, i podrygują nerwowo pod zimnymi spojrzeniami Careane i Sareithy. Wszystkie oprócz Sumeko, ona jednak też nawet nie drgnęła, nieważne, że potrafiła patrzeć siostrom prosto w oczy. Kirstian wyglądała na bliską łez.

Stłumiwszy westchnienie, Elayne odpędziła kobiety Rodziny, by zrobić drogę stajennym, którzy dotąd czekali z przeprowadzeniem koni. Członkinie Kółka szły potulnie niczym owce – ona była pasterzem, Merilille i pozostałe wilkami – poruszałyby się szybciej, gdyby nie Ispan.

Famelle – jedna z czterech kobiet Kółka Dziewiarskiego, których włosów nie znaczyła siwizna – i Eldase, kobieta o spojrzeniu zapalczym – oczywiście, kiedy nie patrzyła na jakąś Aes Sedai – trzymały Ispan za ręce. Wyraźnie nie mogły się zdecydować, czy zmuszać ją do stania, czy raczej starać się jej za bardzo nie ścisnąć, co sprawiało, że Czarna siostra szła jakby w podskokach, prawie padając na kolana, kiedy poluźniały uścisk, następnie prostując się w tym momencie, gdy już prawie leżała.

– Wybacz mi, Aes Sedai – mamrotała Famelle do Ispan głosem, w którym słyszało się ślady taraboniańskiego akcentu. – Och, przepraszam cię, Aes Sedai. – Eldase krzywiła się i pojękiwała cicho za każdym razem, gdy Ispan się potknęła. Zachowywały się, jakby zupełnie zapomniały, że Ispan przyłożyła rękę do zamordowania dwóch kobiet z ich przymierza i Światłość jedna wie, ilu jeszcze ludzi. Bawiły się w ceregiele z kimś, kto i tak miał umrzeć. A przecież same zabójstwa w Białej Wieży, przy których konspirowała Ispan, powinny wystarczyć, by uczynić ją w ich oczach potworem.

– Zaprowadźcie ją gdzieś tam – przykazała im Elayne, machając ręką w stronę polany. Posłuchały, dygając iomalże upuszczając Ispan, a potem mamrocząc słowa przeprosin, przeznaczone zarówno dla Elayne, jak i zakapturzonej więźniarki. Reanne i pozostałe spieszyły obok, z niepokojem oglądając się na siostry otaczające Merilille.

Nieomal natychmiast znowu rozgorzała walka spojrzeń, Aes Sedai piorunowały wzrokiem kobiety z Rodziny, kobiety z Kółka Dziewiarskiego, Poszukiwaczki Wiatru, a Atha'an Miere wszystkie, które im się akurat nawinęły. Elayne zacisnęła zęby. Nie będzie na nie krzyżeć. Zresztą z wrzasków słynęła Nynaeve. Miała jednak ochotę potrząsnąć nimi wszystkimi, żeby odzyskały rozsądek, tak potrząsnąć, by aż im zaszczękały zęby. Łącznie z Nynaeve, która miała przecież zajmować się organizacją, a nie gapieniem się w drzewa. A gdyby tak to Rand miał umrzeć i tylko ona mogła znaleźć sposób na jego ocalenie?

Nagle w oczach zapiekło ją od wzbierających łez. Rand miał umrzeć i nie mogła nic zrobić, żeby temu zapobiec. „Obieraj jabłko, które trzymasz w dłoni, dziewczyno, a nie to, które wisi na drzewie” – zdawał się szeptać jej do ucha głos Lini. – „Łzy zostaw na potem; wylewanie ich przedwcześnie to tylko strata czasu”.

– Dziękuję ci, Lini – mruknęła Elayne. Jej stara piastunka bywała niekiedy irytująca, nigdy bowiem nie potrafiła pojąć, że któreś z jej wychowanków może w końcu naprawdę dorosnąć, ale jej rady zawsze się przydawały. To, że Nynaeve zaniedbywała swoje obowiązki, to jeszcze nie powód, by Elayne miała zlekceważyć swoje.

Słudzy zaczęli przepędzać konie w ślad za Kółkiem Dziewiarskim, juczne szły przodem. Żadne ze zwierząt, które pierwsze przekroczyły bramę, nie dźwigało nic równie lekkiego jak ubrania. Mogli iść pieszo, gdyby się okazało, że konie do jazdy trzeba porzucić i chodzić w tym, co mieli na sobie, gdyby zaszła konieczność pozostawienia jucznych zwierząt, ale to, co dźwigały na swych grzbietach te najważniejsze konie, żadną miarą nie mogło paść łupem Przeklętych. Elayne dała znak kobiecie o pomarszczonych policzkach, która je prowadziła, by odeszła na bok, ustępując z drogi pozostałym.

Po rozwiązaniu sznurów i zdjęciu płacht sztywnego płótna, które okrywały jeden z szerokich wiklinowych koszy, jej oczom ukazało się zbiorowisko przedmiotów, z pozoru zwykłych śmieci, upchanych bezładnie, aż po krawędzie, po części owiniętych w zetlałe szmaty. Większość była prawdopodobnie bezużyteczna. Elayne objęła *saidara* i zaczęła to wszystko sortować. Zardzewiały napierśnik prędko powędrował na bok, razem z ułamaną nogą od stołu, popękany półmiskiem, mocno powyginanym cynowym dzbankiem oraz zwojem przegniłej materii niewiadomego pochodzenia, która niemalże rozpadła się w jej dłoniach.

Przechowalnia, w której znalazły Czarę Wiatrów, pękała w szwach, a wśród rzeczy, dla których najwłaściwszym miejscem byłoby śmietnisko, kryła się nie tylko Czara, ale również inne przedmioty Mocy, albo w beczułkach czy skrzynkach stoczonych przez korniki, albo lekkomyślnie spiętrzone jedne na drugich. Rodzina od wielu setek lat ukrywała wszystkie znalezione skarby, bojąc się ich użyć i równocześnie bojąc przekazać je Aes Sedai. Aż do tamtego przełomowego poranka. Dopiero teraz Elayne miała sposobność przejrzeć to wszystko i zadecydować, co warte jest zatrzymania. Światłości, spraw, by Sprzymierzeńcom Ciemności nie wpadło w ręce nic ważnego – trochę zabrali, ale z pewnością mniej niż czwartą część tego, co znajdowało się w tamtej izbie, zapewne również śmieci. Światłości, spraw, żeby znalazła coś, co może im się przydać. Wyniesienie tego wszystkiego z Rahad kosztowało życie kilku ludzi.

Biorąc do ręki kolejne przedmioty, nie przenosiła, lecz jedynie obejmowała Źródło. Wyszczerbiony gliniany kubek, trzy popękane talerze, przeżarta przez mole dziecinnie sukienka oraz stary but z dziurą w cholewie – po kolei poleciały na ziemię. Kamienna figurka, nieco większa od jej dłoni – w dotyku przypominała rzeźbę z kamienia, a jednak z jakiegoś powodu wcale nie wyglądała na rzeźbioną – wszystkie te głębokie, jakby niebieskawe krzywe mgliście przywodziły na myśl korzenie, czuło się, że ta figurka... rezonuje... *saidarem*. Takie było najbardziej trafne określenie, jakie jej przyszło do głowy. Nie miała pojęcia, do czego może służyć ten przedmiot, ale bez wątplenia był to *ter'angreal*. Powędrował na drugą stronę, daleko od sterty śmieci.

Sterta odpadków systematycznie rosła, ale ta druga również się powiększała, mimo że wolniej, w jej skład wchodziły bowiem przedmioty, które nie miały ze sobą nic wspólnego oprócz tego, że nieznacznie promieniowały ciepłem i otaczało je delikatne wrażenie echa Mocy. Niewielka szkatułka, która w dotyku przypominała kość słoniową, pokryta tkaniną w czerwone i zielone paski; Elayne postawiła ją ostrożnie na ziemi, nie otwierając wieka. Nigdy nie wiadomo, co może

uruchomić *ter'angreal*. Jakiś czarny pręt, nie grubszy od jej małego palca, długi na krok, sztywny, a jednocześnie tak giętki, że chyba dałaby radę uformować z niego kółko. Maleńka, zakorkowana fiołka, może kryształowa, z ciemnoęzerwonym płynem w środku. Figurka krępego, brodatego mężczyzny z jowialnym uśmiechem i książką w ręku: wysokości dwóch stóp, wydawała się odlana z pociemniałego ze starości mosiądzu, ale Elayne musiała użyć obu rąk, żeby ją udźwignąć. I jeszcze inne rzeczy. Większość jednak okazała się bezwartościowa. I nie znalazła niczego, co naprawdę wydawałoby się przydatne. Na razie.

– Czy to naprawdę odpowiedni moment? – spytała Nynaeve. Wyprostowała się pośpiesznie nad małą stertą *ter'angreali*, krzywiąc się i wycierając rękę o spódnicę. – Ten pręt pod dotykiem wywołuje wrażenie... bólu – mruknęła.

Kobieta o twardych rysach twarzy, która trzymała uzdę jucznego konia, zamrugła na widok pręta i cofnęła się trwożliwie.

Elayne obejrzała *ter'angreal* dokładnie – wrażenia, jakie Nynaeve opisywała przy badaniu niektórych przedmiotów, bywały nadzwyczaj trafne – ale nie przestała sortować. Ostatnimi czasy zaznały zbyt wiele bólu, by się dopraszać o jeszcze. Co wcale nie znaczyło, by to, co wyczuła Nynaeve, należało zawsze interpretować w prosty sposób. Pręt mógł kiedyś przypadkiem znaleźć się w miejscu, gdzie zadawano dużo bólu, niekoniecznie za jego przyczyną. Kosz był już prawie pusty; trzeba będzie przełożyć do niego część ładunku z drugiego kosza, żeby równomiernie obciążyć boki konia.

– Jeśli jest tu gdzieś jakiś *angreal*, Nynaeve, to chciałabym go znaleźć, zanim Moghedien klepnie którąś z nas w ramię.

Nynaeve odburknęła coś kwaśnym tonem, ale zajrzała do wiklinowego kosza.

Odrzuciwszy na bok nogę od stołu – już trzecią, żadna jednak nie pasowała do pozostałych – Elayne poświęciła jedno spojrzenie polanie. Wszystkie juczne konie już przeszły, a teraz z bramy wylaniały się wierzchowce, w sporej wrzawie i zamieszaniu odprowadzane na otwartą przestrzeń między drzewami. Merilille i pozostałe Aes Sedai siedziały już w siodłach, ledwie skrywając zniecierpliwienie, Pol krzątała się przy sakwach jej pani, za to Poszukiwaczki Wiatru...

Pełne gracji pieszo, pełne gracji na pokładzie statku, nie miały pojęcia o konnej jeździe. Renaile usiłowała dosiąść konia z niewłaściwej strony i wybrana dla niej łagodna gniada klacz zatańczyła niemrawo wokół odzianego w liberię mężczyzny, który ścisnął uzdę jedną ręką, a drugą drapał się po głowie sfrustrowany, że nie potrafi pomóc Poszukiwaczce. Dwójka koniuszych usiłowała podsadzić na siodło Dorile, która służyła pod Mistrznią Fal Klanu Somarin, podczas gdy trzecia kobieta przytrzymała łeb siwka, ledwo powstrzymując wybuch głośnego śmiechu. Rainyn siedziała już na grzbiecie długonogiego kasztanka, ale z jakiegoś powodu ani nie wsunęła stóp w strzemiona, ani nie ujęła wodzy, zresztą chyba nie bardzo potrafiła je znaleźć. A tym trzem oczywiście poszło najlepiej. Konie rżały, wierzgały i przewracały oczami, a Poszukiwaczki Wiatru wykrzykiwały przekleństwa tak głośno, że byłoby je zapewne słyszeć nawet przy porywistym wietrze. Jedna zderzyła pięścią służącego, powalając go na ziemię, trzech innych koniuszych goniło wierzchowce, które wyrwały się spod kontroli.

Poza tym zobaczyła widok, którego należało się jak najbardziej spodziewać, skoro Nynaeve zrezygnowała już ze swej warty. Lan stał obok swego karego rumaka bojowego, Mandarba, dzieląc spojrzenia między linię drzew, bramę i Nynaeve. Z lasu wyłoniła się Birgitte, kręcąc głową, a chwilę później spomiędzy drzew wybiegł Cieryl. Cała trójka zachowywała się dosyć swobodnie. Najwyraźniej nie wykryli żadnego zagrożenia ani żadnych przeszkód.

Nynaeve obserwowała ją z wysoko uniesionymi brwiami.

– Nic nie mówię – powiedziała Elayne. Jej dłoń zamknęła się na czymś małym, owiniętym w zbutwiałą tkaninę, która kiedyś mogła być biała. Albo brązowa. Natychmiast się zorientowała, co jest w środku.

– No i bardzo dobrze – burknęła Nynaeve, niby pod nosem, ale jednak trochę zbyt głośno. – Nie znoszę kobiet, które wtykają nos w nie swoje sprawy. – Elayne puściła to mimo uszu, nawet się nie wzdrygnąwszy; była dumna z siebie, że tak łatwo jej poszło.

Po odwinięciu zbutwiałej tkaniny zobaczyła małą bursztynową broszę w kształcie żółwia. W każdym razie wydawało się, że to zwykły bursztyn, i być może kiedyś rzeczywiście nim był, ale gdy za jego pośrednictwem otwarła się na Moc, do jej wnętrza wlał się *saidar*, potok w porównaniu z tym, co mogłaby bezpiecznie zaczerpnąć na własną rękę. *Angreal* nie był znowu bardzo silny, ale lepszy taki niż żaden. Dzięki niemu mogłaby poradzić sobie z dwakroć większą ilością Mocy niż niczym nie wspomagana Nynaeve, a sama Nynaeve osiągnęłaby jeszcze więcej. Uwolnwszy dodatkowy splot *saidara*, z uśmiechem zachwytu schowała broszę do mieszka przy pasie, po czym wróciła do swoich poszukiwań. Gdzie był jeden, mogły też być inne. A teraz, mając jeden do dyspozycji, będzie mogła go zbadać i odkryć, jak się robi *angreal*. O tym właśnie marzyła z całej duszy. Z trudem się hamowała, żeby nie wyjąć broszy z powrotem i nie zająć nią od razu.

Vandene przyglądała się Nynaeve i jej od jakiegoś czasu, a teraz podjechała do nich na swym wałachu o zapadniętych bokach, po czym zsiadła na ziemię. Koniuszyna, która stała przy jucznym koniu, dygnęła, niezdarnie wprawdzie, a znacznie głębiej niżby Elayne czy Nynaeve mogły od niej oczekiwać.

– Zachowujesz ostrożność – zagaiła Vandene – i bardzo dobrze. Jednak lepiej byłoby zostawić te przedmioty w spokoju, póki nie znajdą się w Wieży.

Elayne zacisnęła usta. W Wieży? Dopóki nie zostaną zbadane przez kogoś innego, to chciała powiedzieć. Kogoś starszego i zapewne bardziej doświadczonego.

– Kiedy ja naprawdę wiem, co robię, Vandene. Przecież udało mi się stworzyć *ter'angreal*. Nie dokonała tego żadna z żyjących. – Nauczyła siostry podstaw tworzenia *ter'angreali*, ale do czasu jej wyjazdu do Ebou Dar, żadnej jeszcze ta sztuczka się nie udała.

Zielona siostra przytaknęła, machinalnie uderzając wodzami o wnętrze dłoni w rękawicze.

– Martine Janata również wiedziała, co robi, jak przypuszczam – rzuciła zdawkowo. – Była ostatnią siostrą, która prowadziła poważne studia nad *ter'angrealami*. Zajmowała się tym przez czterdzieści lat z okładem, niemalże od dnia, w którym otrzymała szal. Ona też była ostrożna, przynajmniej tak mnie poinformowano. Aż pewnego dnia pokojówka Martine znalazła ją nieprzytomną na posadzce jej bawialni. Wypaliła się. – Choć wypowiedziane tonem zwykłej pogawędki, jej słowa zabrzmiały jak wymierzony z całej siły policzek. A głos nawet odrobinę nie zadrżał. – Jej Strażnik umarł pod wpływem przeżytego wstrząsu. Nic niezwykłego w takich przypadkach. Kiedy Martine doszła do siebie, trzy dni później, nie potrafiła sobie przypomnieć, nad czym pracowała. W ogóle nie mogła sobie przypomnieć żadnych wydarzeń z całego poprzedniego tygodnia. To wszystko stało się dobre dwadzieścia pięć lat temu i nikt od tego czasu nie miał odwagi dotknąć któregokolwiek z *ter'angreali*, które znajdują się w jej pokojach. Notatki Martine zawierają opisy wszystkich, aż do tego ostatniego, a to, co odkryła, zdawało się nieszkodliwe, niewinne, banalne wręcz, a jednak... – Vandene wzruszyła ramionami. – Natknęła się na coś, czego nie potrafiła przewidzieć.

Elayne zerknęła na Birgitte i przekonała się, że ta patrzy na nią. Niepotrzebny jej był grymas zmartwienia widoczny na jej twarzy, czuła je w swoim umyśle, zarówno w tym niewielkim jego skrawku, który należał do Birgitte, jak i w całej reszcie. Birgitte czuła jej niepokój, a ona czuła

niepokój Birgitte, czasami trudno było orzec, jakie uczucie do której należy. Ryzykowała coś więcej niż tylko swoje życie. Jednakowoż naprawdę wiedziała, co robi. W każdym razie lepiej niżli którakolwiek z tu obecnych. A nawet gdyby zagrożenie ze strony Przeklętych okazało się fikcją, potrzebowały wszystkich *angreali*, jakie tylko uda się znaleźć.

– A co się stało z Martine? – spytała cicho Nynaeve. – To znaczy później. – Rzadko potrafiła spokojnie wysłuchać opowieści o tym, że komuś stało się coś złego, nie rwąc się natychmiast do Uzdrawiania; ona chciałaby Uzdrawiać chyba każdego.

Vandene skrzywiła się. Wprawdzie to ona wspomniała o Martine, jednak Aes Sedai nie lubiły rozmawiać o kobietach, które się wypaliły albo zostały ujarzmione. Nawet pamięć o nich sprawiała im przykrość.

– Zniknęła, kiedy już na tyle wydobrzała, by móc ukradkiem wymknąć się z Wieży – wyjaśniła pospiesznie. – Ale morał tej opowieści jest taki, że Martine była ostrożna. Nigdy jej nie poznałam, ale mówiono mi, że traktowała każdy *ter'angreal* tak, jakby nie miała pojęcia, do czego może być zdolny, nawet jeśli chodziło tylko o taki, którego funkcje ograniczały się do wytwarzania tkaniny na płaszcze Strażników i z którego nigdy nikt nie wykrzesał nic więcej. Była ostrożna i na nic się to zdało.

Nynaeve oparła się o prawie już opróżniony kosz.

– Może rzeczywiście powinnaś... – zaczęła.

– Niiieee! – krzyknęła przeraźliwie Merilille.

Elayne błyskawicznie się odwróciła, za pośrednictwem *angreala* instynktownie otwierając na Źródło, jedynie część jej świadomości zarejestrowała strumień *saidara*, który wypełnił Nynaeve i Vandene. Łuna Mocy wykwitła wokół każdej kobiety znajdującej się na polanie, każdej, która potrafiła objąć Źródło. Merilille pochylona w siodle, z oczyma wysadzonymi z orbit, wyciągała jedną rękę w stronę bramy. Elayne zmarszczyła brwi. Za bramą była tylko Aviendha i ostatni czterech Strażnicy, których krzyk Aes Sedai zaskoczył w trakcie przeprawy na drugą stronę; teraz rozglądali się w poszukiwaniu zagrożenia, na poły dobywszy miecze z pochew. I w tym momencie dotarło do niej, co takiego robi Aviendha – wstrząśnięta, omal nie wypuściła *saidara*.

Brama trzęsła się, Aviendha zaś pieczołowicie wyskubywała splot, z którego została utworzona. Otwór w powietrzu drżał i napręzał się, jego krawędzie falowały. Ostatnie pasma wyswobodziły się i brama, zamiast zamigotać i zniknąć, błysnęła szkliście, rozciągający się za nią widok na dziedziniec zaczął blaknąć, aż wreszcie wyparował niczym mgła w słońcu.

– Przecież to niesamowite! – zawołała z niedowierzaniem Renaile. Poszukiwaczki Wiatru zawtórowały jej zdumionym pomrukiem. Kobiety z Rodziny gapiły się tylko na Aviendhę, bezgłośnie poruszając ustami.

Elayne bezwiednie, powoli skinęła głową. Najwyraźniej to jednak było możliwe, choć jeszcze jako nowicjuszka, zaraz na samym początku swego pobytu w Wieży, dowiedziała się, że nigdy, przenigdy, w żadnych okolicznościach, nie wolno jej próbować tego, co właśnie zrobiła Aviendha. Mówiono jej, że nie wolno zbierać splotu, jakiegokolwiek splotu, trzeba pozwolić, by sam się rozwiął, w przeciwnym razie skończy się to nieuchronną katastrofą. Nieuchronną.

– Ty głupia dziewczyno! – warknęła Vandene z twarzą niczym chmura burzowa. Szła w stronę Aviendhy, wlokąc za sobą swego konia. – Czy ty zdajesz sobie sprawę, czego się omal nie dopuściłaś? Splot mógł ci się wymknąć... wystarczy raz! ... i nie wiadomo, w co by uderzył albo czym by się to skończyło! Mogłaś unicestwić wszystko w promieniu pięciuset kroków! Pięciuset! Wszystko! Mogłaś się wypalić i...

– Musiałam tak zrobić – przerwała jej Aviendha. Tłoczące się wokół niej Aes Sedai na koniach



i Vandene zaczęły coś mówić jedna przez drugą, ale tylko spojrziała na nie spode łba i podniosła głos, chcąc je przekrzyczeć. – Wiem, czym to grozi, Vandene Namelle, jednak było to konieczne. Czy to kolejna rzecz, której wy, Aes Sedai, nie potraficie? Mądre powiadają, że można tego nauczyć każdą kobietę; jedne robią to lepiej, inne gorzej, ale potrafi kaida, pod warunkiem że ktoś ją nauczy wypruwania haftu. – Ton jej głosu nie był znowu tak całkiem szyderczy. Przynajmniej nie było to szyderstwo zupełnie otwarte.

– To nie jest haft, dziewczyno! – Głos Merilille przywodził na myśl lód samego serca zimy. – Żadną miarą nie możesz wiedzieć, z czym igrasz, niezależnie od tego, jakiego rodzaju szkolenie przesłaś u swych krajanek! Obiecasz mi... przysięgniesz!... że nigdy więcej tego nie zrobisz!

– Jej imię powinno znaleźć się w księdze nowicjuszek – stwierdziła stanowczym głosem Sareitha, miotając groźne spojrzenia ponad Czarą, którą nadal przyciskała do łona. – Od samego początku powiadam, że trzeba ją wpisać do księgi. – Careane przytaknęła, taksując surowym wzrokiem Aviendhę w taki sposób, jakby brała wymiary na suknię nowicjuszki.

– Być może nie będzie to konieczne – powiedziała Adeleas do Aviendhy, pochylając się do przodu w siodle – pod warunkiem że pozwolisz, abyśmy tobą pokierowały. – Brązowa siostra mówiła znacznie łagodniejszym tonem niż pozostałe, a jednak jej słowa bynajmniej nie brzmiały jak zwykła propozycja.

Być może jakiś miesiąc wcześniej Aviendha mogłaby się ugiąć pod brzemieniem takiej dezaprobaty ze strony Aes Sedai, ale nie teraz. Elayne pospiesznie przepchnęła się między końmi, zanim jej przyjaciółka postanowi dobrać noża, którego rękojeść do tej pory czule gładziła. Albo zrobi coś jeszcze gorszego.

– Może ktoś jednak powinien spytać, dlaczego uznała to za konieczne – zauważyła, obejmując Aviendhę ramieniem, zarówno po to, by nie uczyniła nieprzemyślanego użytku z dłoni, jak i w geście pocieszenia.

Rozdrażnione spojrzenie, jakim Aviendha obdarzyła pozostałe siostry, jej jednak nie objęło.

– W ten sposób nic po sobie nie pozostawisz – wyjaśniła cierpliwym tonem. Zbyt cierpliwym. – Pozostałości tak dużego splotu można odczytać jeszcze przez dwa dni.

Merilille parsknęła głośno, bardzo głośno, jak na odgłos pochodzący z tak drobnego ciała.

– To rzadki Talent, dziewczyno. Nie posiadają go ani Teslyn, ani Joline. A wy, dzikuski Aielów, tego po prostu uczycie?

– Niewiele potrafi to robić – przyznała spokojnie Aviendha. – Ja jednak potrafię. – Tym oświadczeniem ściągnęła na siebie spojrzenia innego rodzaju, również spojrzenie Elayne: to był rzeczywiście bardzo rzadki Talent. Jednak Aviendha zdawała się niczego nie zauważać. – Czy gotowe jesteście przysiąc, że nie potrafi tego żaden z Tych Którzy Dusze Oddali Cieniowi? – ciągnęła. Napięcie w jej ramieniu, które Elayne wyczuwała dłonią, mówiło, że przyjaciółka wcale nie jest tak opanowana, jak się wydaje. – Czy wy naprawdę jesteście takie głupie, że zostawiacie po sobie ślady, dzięki którym wasi wrogowie mogą pójść za wami? Wróg, który potrafiłby odczytać pozostałości mojego splotu, zapewne potrafiłby też utworzyć bramę prowadzącą do tego miejsca.

Do tego trzeba byłoby wielkiej wprawy, zaiste bardzo wielkiej, niemniej na taką sugestię Merilille aż zamrugnęła oczami. Adeleas otwarła usta, po czym zamknęła je, nic nie powiedziawszy, a pogrążona w myślach Vandene skrzywiła się. Sareitha wyglądała na zwyczajnie zafrasowaną. Kto wiedział, jakimi Talentami, jakimi umiejętnościami dysponowali Przekłęci?

O dziwo, Aviendha utraciła całą swoją zapalczywość. Spuściła wzrok, przygarbiła się.

– Być może ryzykując, postąpiłam źle – mruknęła. – Ale ten mężczyzna mnie obserwował, więc nie potrafiłam myśleć jasno, a kiedy zniknął... – Odzyskała nieco wigoru, ale tylko trochę. – Nie

sądzę, by jakiś mężczyzna potrafił odczytać mój splot – powiedziała do Elayne – ale jeśli to był jeden z Tych Którzy Dusze Oddali Cieniowi albo *gholam*... Ci Którzy Dusze Oddali Cieniowi wiedzą więcej niż którakolwiek z nas. Jeśli się pomyliłam, to w takim razie mam wielkie *toh*. Sądzę jednak, że miałam rację.

– Jaki znowu mężczyzna? – spytała napastliwym tonem Nynaeve. Miała przekrzywiony kapelusz na skutek przedzierania się między stłoczonymi końmi, co w połączeniu z tą zawziętą miną, przeznaczoną dla wszystkich zgromadzonych bez wyjątku, sprawiało, że wyglądała na gotową do bójki. Być może zresztą tak właśnie było. Gdy wałach Careane przypadkiem trącił ją barkiem, trzepnęła go z całej siły po chrapach.

– Jakiś służący – stwierdziła lekceważąco Merilille. – Nieważne, jakie rozkazy wydała Tylin, altarańską służbę tworzą ludzie wolni. Albo to mógł być jej syn, ten chłopak jest zdecydowanie nazbyt ciekawski.

Otoczając ją siostry przytaknęły, a Careane dodała:

– Żaden z Przeklętych nie stałby i nie patrzył ot, tak sobie. Sama powiedziałaś. – Klepała swego konia po karku i krzywiła się oskarżycielsko, patrząc na Nynaeve... zaliczała się do tych osób, które obdarzają swoje konie uczuciem, jakie większość ludzi rezerwuje dla dzieci w kołyskach... Nynaeve więc do niej skierowała swoje słowa:

– Może to był sługa, a może Beslan. Może. – Nynaeve parsknęła, dając do zrozumienia, że sama nie wierzy we własne słowa. Albo że chce, by były pewne, że nie wierzy, potrafiła powiedzieć ci w twarz, że jesteś ślepą idiotką, ale gdyby powiedział to ktoś inny, broniłaby cię do zachrypnięcia. Wprawdzie najwyraźniej nie była jeszcze gotowa stwierdzić, że lubi Aviendhę, ale za to zdecydowanie nie przepadała za starszymi Aes Sedai. Gwałtownym ruchem poprawiła kapelusz, nadając mu nieomal właściwe położenie, i omiotła je ponurym spojrzeniem, po czym zaczęła od nowa: – Czy to był Beslan czy sam Czarny, nie ma sensu tak tu wystawać cały dzień. Musimy się pozbierać i ruszać w drogę do farmy. No co jest? Ruszać się! – Klasnęła w dłonie tak ostro, że nawet Vandene wzdrygnęła się nieznacznie.

Kiedy siostry odprowadziły swoje konie na bok, nie zostało już wiele do zrobienia. Lan i pozostali Strażnicy nie zagrzewali gruszek w popiele, skoro się jeszcze nie upewnili, że w tym miejscu nic im nie grozi. Część służących wróciła do miasta przez bramę, zanim Aviendha ją zniszczyła, ale pozostali stali obok jakichś trzech tuzinów jucnych koni, od czasu do czasu popatrując na Aes Sedai, najwyraźniej się zastanawiając, jakie cuda sprokurują w następnej kolejności. Wszystkie Poszukiwaczki Wiatru jakoś dosiadły swych koni i teraz trzymały wodze w taki sposób, jakby się spodziewały, że ich wierzchowce lada moment staną dęba albo że wyrosną im skrzydła i poderwą się do lotu. Członkinie Kółka Dziewiarskiego również były już w siodłach, tyle że trzymały się w nich ze znacznie większą gracją, niepomne spódnic i halek zadartych ponad kolana; nadal nie spuszczały wzroku z Ispan w kapturze, przerzuconej niczym worek przez koński grzbiet. Prawdopodobnie i tak nie byłaby w stanie usiąść prosto w siodle, ale nawet Sumeko wytrzeszczała szeroko oczy za każdym razem, kiedy jej wzrok padał na nią.

Nynaeve wodziła w krąg czujnym wzrokiem i wyraźnie miała ochotę łajać wszystkich dookoła, zmuszając do robienia tego, co już zostało zrobione, ale trwało to tylko do chwili, gdy Lan wręczył jej wodze pulchnej brązowej klaczy. Twardo odmówiła przyjęcia lepszego konia ofiarowywanego przez Tylin. Pod dotknięciem dłoni Lana ręka zadrżała jej nieznacznie, a twarz zmieniła barwę, kiedy przełykała gniew, który w niej nabrzmiewał. Gdy podstawił dłoń, by mogła wesprzeć stopę, przyglądała mu się przez chwilę, jakby się zastanawiała, o co mu chodzi, po czym znowu pokraśniała, kiedy podsadził ją na siodło. Elayne tylko potrząsnęła głową. Miała nadzieję, że sama

nie stanie się taką idiotką, kiedy wyjdzie za mąż. Jeśli w ogóle było jej to pisane.

Birgitte przyprowadziła jej srebrzystosiwą klacz oraz gniadego ogiera, którego miała dosiąść Aviendha, ale wyraźnie pojęła, że Elayne chce zamienić z Aviendhą słowo na osobności. Przytaknęła, jakby reagując na niewypowiedziane polecenie Elayne, wskoczyła na grzbiet swego myszowatego wałacha i podjechała do miejsca, gdzie czekali inni Strażnicy. Ci powitali ją skinieniami głów i zaczęli o czymś dyskutować zniżonymi głosami. Sądząc po spojrzeniach, które kierowali w stronę sióstr, to „coś” musiało być związane z ochroną Aes Sedai, z ochroną, którą Aes Sedai otrzymują niezależnie od tego, czy sobie jej życzą czy nie. Elayne natychmiast przyszła do głowy niewesoła myśl, że przecież w równym stopniu jej samej. to też dotyczy. Teraz jednak nie było czasu na takie sprawy. Aviendha bawiła się wodzami, gapiąc się na swojego konia niczym nowicjuszką rozglądającą się po kuchni pełnej tłustych garnków. Aviendha najprawdopodobniej nie dostrzegła większej różnicy między szorowaniem garnków a jazdą konną.

Elayne wsunęła zielone rękawice i jakby nigdy nic pociągnęła Lwicę, żeby zasłoniła je obie przed wzrokiem pozostałych, po czym dotknęła ramienia Aviendhy.

– Przydałoby się pogadać z Adeleas albo Vandene – powiedziała łagodnie. Teraz musiała zachować nadzwyczajną ostrożność, jak podczas pracy z *ter'angrealem*. – Przeżyły dość lat, by wiedzieć więcej, niż przypuszczamy. Musi istnieć powód, dla którego miałaś... kłopoty... z Podróżowaniem. – Tak to łagodnie ujęła. Na samym początku wyglądało, że o mało co splot Aviendhy mógł w ogóle nie funkcjonować. Ostrożnie. Aviendha była ważniejsza od wszystkich *ter'angreali*, jakie kiedykolwiek istniały. – Niewykluczone, że mogłyby pomóc.

– A niby jak? – Aviendha wpatrywała się uparcie w siodło na grzbiecie swojego wałacha. – One nie potrafią Podróżować. Niby jak mogłyby pomóc? – Nagle przygarbiła się i odwróciła głowę w stronę Elayne, która przeżyła wstrząs, widząc łzy wzbierające w zielonych oczach. – Nie mówię prawdy, Elayne. A w każdym razie niecałą prawdę. One nie mogą pomóc, ale... Jesteś moją prawie-siostrą; masz prawo wiedzieć. One myślą, że ja wpadłam w panikę na widok jakiegoś sługi. Gdybym poprosiła o pomoc, wszystko wyszłoby na jaw. Że kiedyś Podróżowałam, żeby uciec przed mężczyzną, mimo iż z całej duszy pragnęłam, żeby ten mężczyzna mnie złapał. Podróżowałam, uciekając jak jakiś królik. Uciekałam, mimo że pragnęłam być złapana. Czy mogłam dopuścić, żeby się dowiedziały o takiej hańbie? Nawet gdyby naprawdę potrafiły pomóc, czy mogłam?...

Elayne wolałaby o niczym nie wiedzieć. A w każdym razie wolałaby nie wiedzieć o tym łapaniu. O tym, że Rand jednak złapał Aviendhę. Prędko pozbierała płatki zazdrości, które zawirowały nagle wokół niej, wepchnęła je do worka i wcisnęła ten worek do jakiegoś zakamarka w głębi myśli. Potem jeszcze kilka razy podskoczyła w miejscu dla lepszego efektu. „Rozglądaj się za mężczyzną, kiedy kobieta udaje idiotkę”. Tak brzmiało jedno z ulubionych powiedzonek Lini. Inne z kolei mówiło: „Małe kotki poplątają ci włóczkę, mężczyźni poplątają ci w głowie, dla jednych i drugich jest to tak naturalne jak oddychanie”.

Zrobiła głęboki wdech.

– Nikomu nie powiem, Aviendha. Pomogę ci tak dalece, jak potrafię. O ile uda mi się wymyślić, jak ci pomóc. – Co wcale nie znaczyło, by miała wiele pomysłów. Aviendha potrafiła nadzwyczaj szybko się zorientować, w jaki sposób powstaje dany splot, o wiele szybciej niż ona sama.

Aviendha tylko przytaknęła i potem niezdarnie wdrapała się na siodło, z niewiele większym wdziękiem niż kobiety Ludu Morza.

– Naprawdę jakiś mężczyzna nam się przyglądał, Elayne, i to nie był żaden sługa. – Spojrzawszy Elayne prosto w oczy, dodała: – Przestraszył mnie. – Nikomu innemu na całym świecie nie przyznałaby się do tego.

– Teraz już nic nam z jego strony nie grozi, kimkolwiek był – uspokoiła ją Elayne, zawracając Lwicę tak, by wyjechać z polany śladem Nynaeve i Lana. Najprawdopodobniej to jednak był jakiś służący, ale w życiu nikomu by takiego stwierdzenia nie rzuciła w twarz, a już na pewno nie Aviendzie. – Jesteśmy bezpieczne i za kilka godzin dotrzemy na farmę Rodziny, użyjemy Czary, a potem świat znowu stanie się taki, jak należy. – No cóż, w pewnym sensie. Słońce zdawało się stać niżej niż na dziedzińcu stajennym, ale ona wiedziała, że to tylko gra wyobraźni. Przynajmniej raz udało im się zyskać sporą przewagę nad Cieniem.

Ukryty za białym ekranem z kutego żelaza Moridin przyglądał się, jak ostatnie konie znikają za bramą, a w ślad za nimi jakaś młoda kobieta i czterech Strażników. Niewykluczone, że zabrali jakiś przedmiot, który mógłby mu się przydać – na przykład jakiś *angreal* dostosowany do mężczyzny – ale szanse na to były niewielkie. Jeśli zaś chodzi o pozostałe *ter'angreale*, to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pozabijają się, próbując zrozumieć, do czego służą. Sammael postąpił doprawdy głupio, ryzykując tak wiele, w imię zdobycia zbioru złożonego z niewiadomych artefaktów. Ale przecież Sammael nie był nawet w połowie tak sprytny, jak mu się samemu zdawało. Moridin nigdy nie przerywałby realizacji podstawowych planów, kierując się jakimiś nieokreślonymi nadziejami na zdobycie szczątków dawno minionej cywilizacji. Tutaj przywiodła go tylko próżna ciekawość. Lubił mieć rozeznanie w tym, co innym wydawało się ważne. Ale okazało się to stratą czasu.

Już się odwracał, kiedy kontury bramy zniecka naprężyły się i zadrżały. Zafascynowany, przyglądał jej się, póki otwór w powietrzu zwyczajnie nie... stopniał. Nigdy nie należał do ludzi, którzy folgowali sobie w sprośnych przekleństwach, ale tym razem kilka przewinęło mu się przez myśl. Co ta kobieta zrobiła? Ci barbarzyńscy wieśniacy mieli na podorędziu nazbyt wiele niespodzianek. Sposób na Uzdrawienie rozerwanego połączenia ze Źródłem, nieważne, że niedoskonały. Niemożliwe! A jednak tego dokonali. Pierścienie podporządkowujące Moc jednej woli. Ci Strażnicy i więź zobowiązań, jaka łączyła ich z Aes Sedai. Znał tych ludzi od dawna, ale za każdym razem, gdy myślał, że już go niczym nie zaskoczą, ci prostacy ujawniali jakąś nową umiejętność, robili coś, o czym nikomu z jego Wieku nawet się nie śniło. Rzeczy nieznanne u samego szczytu cywilizacji! Co ta dziewczyna zrobiła?

– Wielki Panie?

Moridin raczył ledwie odwrócić głowę od okna.

– Tak, Madic? – Cóż ta dziewczyna zrobiła, a żeby szczyła jej dusza!

Odziany w zielono-białą liberię łysiejący mężczyzna, który wsunął się chyłkiem do niewielkiej izdebki, skłonił się najpierw głęboko, a dopiero potem padł na kolana. Obdarzony pociągłą twarzą Madic, jeden z wyższych rangą służących w pałacu, miał w sobie pompatyczną godność, którą starał się demonstrować nawet teraz. Moridin widywał już ludzi, którzy stali wyżej, a zachowywali się znacznie gorzej.

– Wielki Panie, dowiedziałem się, co Aes Sedai przyniosły dziś rano do pałacu. Powiadają, że znalazły wielki skarb z czasów starożytnych, złoto, klejnoty i prakamień, artefakty z Shioty, Eharon i nawet z Wieku Legend. Powiadają, że to przedmioty, dzięki którym one mogą używać Jedynej Mocy. Ponoć jeden z nich kontroluje pogodę. Nikt nie wie, dokąd się wybierają, Wielki Panie. Pałac aż tętni od plotek, ale każde dziesięć języków wymienia tyleż samo miejsc ich przeznaczenia.

Gdy tylko Madic rozpoczął swoją przemowę, Moridin powrócił do obserwacji dziedzińca. Nedorzeczne opowieści o złocie i *cuendillarze* w ogóle go nie interesowały. Nie istniało nic, co

mogłoby zmusić bramę, by zachowała się w taki sposób. Chyba że... Czyżby naprawdę rozplątała sieć? Śmierci żadną miarą się nie lękał. Na chłodno rozważał możliwość, że znalazł się w zasięgu miejsca, w którym odplątywano sieć. Gdzie skutecznie zdekonstruowano sieć. Kolejna niemożliwość, a jednak ci z tego Wieku, ot, tak sobie...

Nagle jego uwagę przyciągnęło coś, co właśnie powiedział Madic.

– Pogoda, powiadasz, Madic? – Cienie pałacowych iglic ledwie zaczęły się wydłużać, ale na niebie nie było ani jednej chmury, która przyniosłaby ulgę piekącemu się na słońcu miastu.

– Tak, Wielki Panie. Ten przedmiot nazywa się Czara Wiatrów.

Ta nazwa nic mu nie mówiła. Zaraz, zaraz... *ter'angreal* do kontrolowania pogody... W jego własnym Wieku pogodę pieczołowicie regulowano właśnie za pomocą *ter'angreali*. Jedną z zaskakujących cech, wyróżniających ten Wiek – aczkolwiek jedną z ostatnich, jak się zdawało – była obecność w nim ludzi zdolnych manipulować pogodą w zakresie, którego ongiś wymagałoby użycia jednego z tych *ter'angreali*. Wedle tego, co pamiętał, w jego rodzimych czasach nie istniało urządzenie, które dałoby radę samo oddziaływać choćby na większą część jednego kontynentu. Ale nie potrafił sobie wyobrazić, czegoż te kobiety mogły dokonać za jego pomocą? A jeśli utworzą krąg?

Nie zastanawiając się, objął Jedyne Moc, w oczach zawirowały mu czarne *saa*. Zacisnął palce na żelaznej kracie w oknie – metal stęknął i skrzyknął się, nie od siły jego uścisku, ale od wici Jedynej Mocy zaczerpniętych od samego Wielkiego Władcy, wici, które oplótły kratę, podporządkowując się gniewnemu uściskowi dłoni. Wielki Władca nie będzie zadowolony. Wyswobodził się ze swego więzienia na tyle, by jego dotyk był w stanie zlikwidować pory roku. Niecierpliwił się, chciał bowiem jeszcze raz poczuć w swych dłoniach świat, bo chciał roztrzaskać spowijającą go pustkę. Nie będzie zadowolony. Moridina ogarnęła wściekłość, w uszach załomotała mu krew. Jeszcze przed chwilą zupełnie go nie obchodziło, dokąd udają się te kobiety, ale teraz... To było gdzieś daleko stąd. Ludzie uciekający daleko i tak szybko, jak tylko mogli. Gdzieś, gdzie mogli poczuć się bezpieczni. Nie było sensu posyłać Madica, by się rozpytał, nie warto nikogo przyciskać do muru; nie byłyby tak głupie, by zostawiać żywych, którzy znaliby ich podróży. Na pewno nie było to Tar Valon. A więc może do al'Thora? Do bandy zbuntowanych Aes Sedai? W każdym z tych trzech miejsc miał swoich informatorów, nadto tamci nie wiedzieli, że służą właśnie jemu. Zanim nastąpi koniec, będą służyli mu wszyscy. Nie dopuści, by jakiś przypadkowy zbieg okoliczności zniszczył jego plany.

Nagle usłyszał coś jeszcze prócz dudnienia werbli swojej furii. Odgłos bulgotania. Obejrzał się z zaciekawieniem na Madica i natychmiast odsunął się od kałuży, która rozlewała się na posadzce. Na to wychodziło, że w swoim gniewie ścisnął Prawdziwą Mocą nie tylko wykuty z żelaza ekran. Niesamowite, że z ludzkiego ciała można było wycisnąć aż tyle krwi.

Bez żalu cisnął na posadzkę szczątki ciała; w rzeczy samej założył, że kiedy ciało Madica zostanie znalezione, wina spadnie na Aes Sedai. Drobnym wkładem do chaosu szerzącego się w świecie. Zrobił dziurę we Wzorze i korzystając z Jedynej Mocy, udał się w Podróż. Musiał znaleźć te kobiety, zanim one użyją Czary Wiatrów. A jeśli mu się nie uda... Nie znosił, kiedy ludzie ingerowali w jego starannie opracowane plany. Ci, którzy to zrobili i żyli dalej, żyli tylko po to, by zapłacić.

*Gholam* wsunął się ostrożnie do izby, nozdrza drgały mu od woni jeszcze ciepłej krwi. Wściekła oparzelizna na jego policzku zdawała się płonąć żywym ogniem. Z pozoru wyglądał jak zwykły szczupły mężczyzna – w tej epoce byłby nieco wyższy od przeciętnej – a jednak nigdy dotąd nie napotkał niczego, z czym nie potrafiłby się zmierzyć. Aż do chwili, gdy spotkał tego człowieka z

medalionem. Obnażył zęby, może w uśmiechu, może w grymasie. Zaciekawiony, rozejrzał się po wnętrzu izby, ale nie zauważył nic oprócz zmiążdżonego trupa na posadzce. Miał też... wrażenie... czegoś. Nie Jedynej Mocy, ale czegoś, co wywoływało... swędzenie, nawet jeśli nie było to dokładnie to. Przyszedł tu powodowany ciekawością. Ktoś zmiążdżył częściowo kratę na oknie, przez co teraz cała konstrukcja wystawała z obramienia. *Gholam* przypomniał sobie, że już kiedyś coś wywołało w nim podobne swędzenie, ale było to niewyraźne, mroczne wspomnienie. Świat zmienił się, jak się zdawało, w mgnieniu oka. Kiedyś był to świat wojen i zabijania na wielką skalę, z udziałem broni o promieniu rażenia wynoszącym wiele mil, tysiące mil i zaraz potem pojawił się... ten świat. Za to sam *gholam* nie zmienił się. Nadal był najgroźniejszą bronią ze wszystkich.

Jego nozdrza znowu się rozděły, ale to nie zapach naprowadzał na trop tych, które potrafiły przynosić. Na dziedzińcu użyto Jedynej Mocy i użyto jej też wiele mil dalej, na północy. Ścigać je czy nie? Człowieka, który go zranił, nie było z nimi, sprawdził to, zanim opuścił swoją kryjówkę, stanowiącą równocześnie świetne miejsce do obserwacji. Wydający mu rozkazy chciał śmierci człowieka, który zranił *gholam*, być może chciał jej tak samo bardzo, jak śmierci tych kobiet, niemniej one stanowiły łatwiejszy cel. Ale równocześnie one zostały wymienione z imienia w rozkazie nakazującym mu się powstrzymać. Od początku jego istnienia zmuszano go do okazywania posłuchu tej czy innej ludzkiej istocie, ale w umyśle miał zakodowany zasadniczy brak ograniczeń. Musiał ścigać te kobiety. Chciał je ścigać. Moment śmierci, kiedy *gholam* wyczuwał, że zdolność do przenoszenia zanika wraz z życiem, wywoływał ekstazę. Uniesienie. Ale teraz był głodny i nadszedł już czas. Pójdzie wszędzie tam, gdzie one. Usadowił się zwinnie obok zmalretowanego ciała, zaczął się pożywiać. Świeża krew, gorąca krew, była mu zawsze niezbędna do życia, ale ludzka krew miała najśłodszy smak.

# ROZDZIAŁ 3

## MIŁA PRZEJAZDŹKA

Okolice Ebou Dar w większości stanowiły farmy, pastwiska i gaje oliwne, ale wokół miasta rosły również liczne małe laski, rozciągające się niekiedy na przestrzeni kilku mil, a ponadto tamtejsze tereny, choć znacznie niższe od Wzgórz Rhannon górujących nad nimi od południa, były mocno pofałdowane – niekiedy wypiętrzały się na wysokość stu stóp albo i więcej, dość w każdym razie, by promienie popołudniowego słońca zaścielały ziemię głębokimi cieniami. Nic dziwnego więc, że w tak urozmaiconej scenerii łatwo mogła skryć się przed niepożądanym okiem grupa, z pozoru niczym nie różniąca się od karawany jakiegoś ekscentrycznego kupca, licząca zaś blisko pięćdziesięciu konnych i nieomal tyluż piechurów. Sprawę ułatwiał fakt, że Strażnicy potrafili wynajdować mało uczęszczane, zarośnięte szlaki. Elayne nie wypatrzyła dotąd w okolicy ani śladu ludzkiej bytności, oprócz, nielicznych stad kóz, które pasły się niekiedy na wzgórzach.

Rozglądając się wokół, widziała, że już nawet rośliny i drzewa nawykłe do upałów zaczynają więdnąć i przymierać, a jednak w każdej innej sytuacji cieszyłaby się, mając okazję zwiedzenia wiejskich okolic. Od ziem położonych na drugim brzegu rzeki Eldar, które oglądała niegdyś z końskiego grzbietu, dzieliło ją z grubsza tysiąc lig. Tutejsze wzgórza przybierały dziwne, zbrylone kształty, jakby w zamierzchłych czasach ugniotły je czyjeś ogromne, niestaranne dłonie. Na widok ludzi w niebo podrywały się stada jaskrawo upierzonych ptaków, a spod kopyt koni pierzchały kolibry, co najmniej kilkanaście różnych gatunków, podobne do klejnotów unoszących się w powietrzu na smugach skrzydeł. Tu i ówdzie zdumiewały oko grube pnącza podobne do powróseł albo drzewa z koronami uwieńczonymi kiściami wąskich pióropuszy, wreszcie rośliny, które przypominały miotłki od kurzu wykonane z zielonych piór, tyle że wzrostu przeciętnego człowieka. Zdarzały się też gatunki flory, które ogłupione przez skwar, z najwyższym wysiłkiem próbowały zakwitnąć, jasnoczerwonymi i ognistożółtymi kwiatami, niekiedy wielkości dwóch dłoni złożonych razem. Wydzielana przez nie woń była bujna i... „ognista”, takie określenie cisnęło się na usta. Elayne zauważyła także kilka głazów, które, gotowa była się założyć, dawno temu stanowiły bosc palce jakiegoś posągu, choć nie potrafiła sobie wyobrazić, po co ktokolwiek miałby wykonać tak ogromny posąg. Zaraz za nimi droga powiodła ich przez las grubo żłobionych kamieni stojących pośród drzew, zwietrzałych kikutów kolumn, w tym wielu obalonych i rozgrabionych niemal do fundamentów przez miejscowych farmerów, którzy takim sposobem pozyskiwali kamień. Miła przejażdżka, gdyby nie kurz, który kopyta końskie wzbijały ze spieczonej ziemi. Skwar jej się nie miał, rzecz jasna, i na szczęście również muchy nie dawały się tak bardzo we znaki. Zostawili za sobą wszystkie niebezpieczeństwa, uciekli Przeklętym – żadnych szans, by jacyś pacholkiwie ciemności zdołali ich teraz dogonić. Byłaby to zaiste miła przejażdżka, gdyby nie...

Najpierw Aviendha dowiedziała się, że wiadomość, w której ostrzegała, że wróg zjawia się zawsze wtedy, gdy się go najmniej spodziewać, nie dotarła do adresata. Elayne z początku poczuła ulgę, że przynajmniej nie będą musiały dalej rozmawiać o Randzie. Nie chodziło nawet o zazdrość, lecz raczej o żal, na którym coraz częściej się przyłapywała, że nie dane było jej przeżyć z nim tego, co przeżyła Aviendha. A więc nie zazdrość. Raczej zawiść. Ostatecznie chyba wołałaby już tę pierwszą. Jednak, kiedy po chwili wsłuchiwała się uważniej w to, co jej przyjaciółka obiecywała głuchym, monotonnym głosem, poczuła, że włos jej się jeży na głowie.

– Ależ nie wolno ci tego robić – zaprotestowała, ścigając wodze, by podjechać bliżej do konia Aviendhy. W rzeczy samej przypuszczała, że Aviendha nie miałaby większych trudności, gdyby

naprawdę zechciała złoić skórę Kurin, skrępować ją albo zrealizować którykolwiek z pozostałych pomysłów. W każdym razie na pewno by się jej udało, gdyby inne kobiety z Ludu Morza biernie się wszystkiemu przyglądały. – Nie możemy wszczynać z nimi wojny, z pewnością dopóki nie użyjemy Czary. I później też nie – dodała pospiesznie. – To w ogóle nie wchodzi w rachubę. – Z pewnością nie będzie żadnej wojny ani teraz, ani potem. Przecież to nie powód, że Poszukiwaczki Wiatru z każdą godziną zachowywały się coraz bardziej despotycznie. Przecież to nie powód, że... Nabrawszy powietrza, pospiesznie ciągnęła dalej: – Nawet gdyby wiadomość do mnie dotarła, i tak bym nie pojęła, o co ci chodzi. Rozumiem, dlaczego nie mogłaś wyrazić się jaśniej, ale domyślasz się chyba, jak to mogłam odebrać, prawda?

Aviendha wbiła w przestrzeń wojownicze spojrzenie, machinalnie odganiając muchy z twarzy.

– Tylko nie zawieź, przykazałam jej – odburknęła. – Tylko nie zawieź! A gdyby był to jeden z Tych Którzy Dusze Oddali Cieniowi? A gdyby tak udało mu się przemknąć przez bramę, mimo że jej pilnowałam? Wszak nie zostałaś ostrzeżona! A gdyby tak?... – We wzroku, jakim spojrzała na Elayne, nagle pojawił się smutek. – Połknę własny nóż – oświadczyła przygnębionym głosem – ale może mi od tego wysadzić wątrobę.

Elayne już miała powiedzieć, że Aviendha zrobi najlepiej, połykając swój gniew, a jeśli już chce wpadać we wściekłość, pod żadnym pozorem nie ma prawa atakować Atha'an Miere – o to mniej więcej chodziło w tym powiedzeniu o wątrobie i nożu -zanim jednak zdążyła otworzyć usta, od prawej strony podjechała do niej Adeleas na smukłym siwku. Białowłosa siostra nabyła w Ebou Dar nowe siodło, bardzo paradne, jego przedni i tylny łęk zdobiony był srebrem: Muchy zdawały się jej unikać z jakiegoś powodu, mimo iż pachniała intensywnie jak kwiat.

– Wybaczcie mi. Niechcący podsłuchałam ostatnie słowa. -W głosie Adeleas trudno było się doszukać przeproszających tonów, Elayne jednak potrafiła myśleć tylko o tym, ile tamta tak naprawdę usłyszała. I w tym momencie poczuła, że pąsowieje. Zwierzenia Aviendhy na temat Randa były nadzwyczaj szczerze i całkowicie niedwuznaczne. Podobnie jak niektóre z jej własnych spostrzeżeń. Rozmawiać w taki sposób z najbliższą przyjaciółką to jedno, a wiedzieć, że ktoś inny słuchał, to coś zupełnie innego. Aviendha chyba odczuwała to samo, nie zaczerwieniła się wprawdzie, ale sama Nynaeve mogłaby być dumna z kwaśnego spojrzenia, jakim obdarzyła Brązową siostrę.

Adeleas tylko się uśmiechnęła, tajemniczym uśmiechem, równie bladym jak zupa ugotowana na samej wodzie.

– Postąpisz najlepiej, jeśli dasz swej przyjaciółce wolną rękę w postępowaniu z Atha'an Miere. – Zerknęła ponad ramieniem Elayne na Aviendhę i zamrugnęła. – A w każdym razie nieco swobody. Wystarczająco dużo, by wpoić im odrobinę lęku przed Światłością. Na wypadek gdybyś nie zauważyła, informuję cię, że wyraźnie się zapominają. Bardziej się boją „dzikich” Aielów... wybacz mi, Aviendho... niżli Aes Sedai. Merilille sama wystąpiłaby z taką sugestią, ale niestety, nadal palą ją uszy.

Twarz Aviendhy rzadko kiedy coś zdradzała, jednak w tym momencie odbiło się na niej identyczne zaintrygowanie, jakie odczuwała Elayne, która teraz obejrzała się za siebie spod zmarszczonego czoła. Merilille jechała pierś w pierś z Vandene, Careane i Sareithą, niedaleko z tyłu, wszystkie ostentacyjnie omijały ją wzrokiem. Zaraz za siostrami podążały kobiety z Ludu Morza, wciąż pojedynczym szeregiem, za nimi zaś kryły się członkinie Kółka Dziewiarskiego, wyprzedzając juczne konie, skryte przed wzrokiem. Właśnie lawirowały między kikutami połamanych kolumn. Nad ich głowami krążyło kilkadziesiąt, może nawet ze sto czerwono-zielonych ptaków z długimi ogonami, wypełniając powietrze dźwięcznymi trelami.

– Dlaczego? – spytała grzecznie Elayne. Potęgowanie podskórnych niepokojów, które i tak aż



nazbyt często dochodziły do głosu, wydawało się pomysłem głupiej, a Adeleas przecież niczym na miano głupiej nie zasłużyła. Brązowa siostra uniosła brwi, udając zdziwienie. Zresztą może i była zdziwiona, sądziła bowiem, że wszyscy powinni dostrzegać to, co ona. Niewykluczone więc, że naprawdę się zdziwiła.

– Dlaczego? Żeby przynajmniej po części przywrócić równowagę. Jeżeli Atha’an Miere uznają, że potrzebują nas do ochrony przed Aielami, zapewne skorzystamy pod... – Adeleas zająknęła się nieznacznie, nagle pochłonięta wyglądaniem swych jasnoszarych spódnic – ...pod innymi względami.

Twarcz Elayne skamieniała. Inne względy. Adeleas robiła aluzje do umowy z Ludem Morza.

– Możesz wrócić do swoich towarzyszek – rzuciła chłodnym tonem.

Adeleas nie zaprotestowała, nie próbowała narzucać swoich argumentów. Skłoniła głowę i bez jednego słowa pozostała w tyle. Ale nieznaczny uśmiech ani na moment nie opuścił jej oblicza. Starsze Aes Sedai uznały władzę Nynaeve i Elayne oraz fakt, że mają prawo rozkazywać im w imieniu Egwene, ale prócz pozorów zmieniło się niewiele. Być może zupełnie nic. Okazywały im szacunek, słuchały ich opinii, a jednak...

Jakkowiek, by było, Elayne została Aes Sedai w wieku, w którym większość nowo przyjętych w Wieży nadal nosiła biel nowicjuszeki, a bardzo nieliczne osiągały stopień Przyjętej. A teraz ona i Nynaeve przypieczętowały umowę, która raczej nie stanowiła przykładu szczególnej inteligencji i sprytu. W myśl jej postanowień nie tylko Czara przechodziła na własność Ludu Morza, ale nadto dwadzieścia sióstr miało się udać do Atha’an Miere, żyć zgodnie z ich prawami oraz uczyć Poszukiwaczki Wiatru wszystkiego, czego te pragnęły się dowiedzieć, a nie będzie wolno odejść, póki nie zastąpią ich inne. Poszukiwaczkom Wiatru targ dawał prawo przybywania do Wieży w charakterze gości, studiowania tam dowolnych zagadnień i swobodę opuszczania Tar Valon. Już to mogło wywołać głośnie protesty nie tylko Komnaty, ale najpewniej również samej Egwene, reszta natomiast... Starsze siostry, wszystkie co do jednej, uważały, że potrafią znaleźć jakiś sposób uchylenia się od wypełnienia wszystkich ustaleń. Być może zresztą rzeczywiście im się uda. Elayne w to nie wierzyła, ale pewności nie miała.

Nie odezwała się do Aviendhy, jednak po kilku chwilach przyjaciółka sama rozpoczęła rozmowę.

– Jeśli mogę ci pomóc, nie uchybiając równocześnie wymogom honoru, to nie interesuje mnie, czy przypadkiem nie będę realizować – jakichś celów Aes Sedai. – Nigdy chyba nie przyjęła do wiadomości, że Elayne jest również Aes Sedai, a w każdym razie nie do końca.

Elayne zawahała się, po czym skinęła głową. Coś trzeba było zrobić, żeby utemperować kobiety Ludu Morza. Merilille i towarzyszące jej siostry wykazywały dotąd znamienną tolerancję, ale jak długo to potrwa? Nynaeve prawdopodobnie eksploduje, kiedy będzie miała okazję poważnie zastanowić się nad poczynaniami Poszukiwaczek Wiatru. Należało dbać, by sprawy jak najdłużej toczyły się tak gładko, jak to możliwe, ale jeśli kobiety Atha’an Miere nadal będą kierowały się przekonaniem, że mogą patrzeć z góry na wszystkie Aes Sedai, to skończy się na kłopotach. Życie okazało się bardziej skomplikowane, niż to sobie wyobrażała w Caemlyn, opierając się tylko na naukach udzielonych Dziedzicze Tronu. O wiele bardziej skomplikowane niż wtedy, gdy przybyła do Wieży.

– Tylko nie bądź zbyt... dosadna – powiedziała cicho. – I błagam, uważaj. Ostatecznie ich jest dwadzieścia, a ty tylko jedna. Nie chciałabym, żeby coś ci się stało, zanim zdążę przyjść z pomocą. – Aviendha obdarzyła ją szerokim uśmiechem, niemal wilczym, po czym skierowała swą gniadą klaczkę skrajowi kamiennego lasu, by tam zaczekać na Atha’an Miere.

Elayne od czasu do czasu oglądała się za siebie, ale wśród drzew widziała jedynie Aviendhę jadącą obok Kurin – przyjaciółka przemawiała dość spokojnie i nawet nie rzucała wyzywających spojrzeń kobiecie z Ludu Morza. Z pewnością zaś nie były to spojrzenia krwiożercze, Kurin zaś przyglądała jej się ze sporym zdumieniem. Kiedy Aviendha pognała swego wierzchowca, za mocno szarpiąc wodzami – chyba nie było jej dane zostać wytrawnym jeźdźcem – z powrotem ku Elayne, Kurin wysforowała się naprzód, dogoniła Renaile i po krótkiej rozmowie tamta, wyraźnie zagniewana, posłała Rainyn na czoło kolumny.

Najmłodsza Poszukiwaczka Wiatru dosiadała konia jeszcze bardziej niezdarnie niż Aviendha, którą ostentacyjnie ignorowała, podobnie jak małe zielone muszki brzęczące wokół jej ogorzałej twarzy.

– Renaile din Calon Niebieska Gwiazda – oznajmiła drętwym głosem – żąda, abyś ukróciła tę kobietę Aielów, Elayne Aes Sedai.

Aviendha uśmiechnęła się do niej, pokazując wszystkie zęby, i okazało się, że Rainyn nie tak do końca nie zwracała na nią uwagi, bo pod warstewką potu na jej policzkach wykwitł rumieniec.

– Przekaż Renaile, że Aviendha nie jest Aes Sedai – zareplikowała Elayne. – Poproszę ją, żeby się pilnowała. – Nie było tu żadnego kłamstwa; prosiła ją już o to i robi to raz jeszcze. – Ale nie mogę jej do niczego zmuszać. – Po czym, pod wpływem impulsu, dodała: – Sama wiesz, jacy są Aielowie. – Poglądy Ludu Morza na obyczaje Aielów były wyjątkowo dziwaczne. Zszarzała na twarzy Rainyn zagapiła się szeroko rozwartymi oczyma na wciąż wyszczerzoną w uśmiechu Aviendhę, po czym gwałtownymi ruchami zawróciła swego konia i pogalopowała z powrotem do Renaile, niezgrabnie podskakując w siodle.

Aviendha zachichotała z zadowoleniem, Elayne jednak nagle przyszło do głowy, czy cały ten pomysł przypadkiem nie okaże się pomyłką. Mimo dzielących ją od niej dobrych trzydziestu kroków, widziała, jak Renaile wydyma policzki, słuchając sprawozdania Rainyn, natomiast pozostałe Poszukiwaczki wpadły w rozdrażnienie niczym wściekłe osy. Nie wyglądały na przestraszone, tylko zezłoszczone, a groźne spojrzenia, które kierowały w stronę jadących przed nimi Aes Sedai, nabrały złowieszczego charakteru. Wyraźnie nie chodziło im o Aviendhę, lecz o siostry. Kiedy to spostrzegła, Adeleas wyraźnie skinęła głową, a Merilille z trudem ukryła uśmiech. Przynajmniej ktoś był zadowolony.

Gdyby podczas jazdy nie doszło do innych incydentów, ten jeden tylko odrobinę przyćmiłby radość oglądania kwiatów i ptaków, jak się jednak okazało, miał on być pierwszym z wielu. Gdy tylko opuścili polanę, do Elayne zaczęły podjeżdżać członkinie Kółka Dziewiarskiego, jedna po drugiej, wszystkie oprócz Kirstian, a bez wątpienia jej też by to nie ominęło, gdyby nie obowiązek utrzymywania tarczy Ispan. Podjeżdżały kolejno, każda z wahaniem, uśmiechając się bojaźliwie, aż w końcu Elayne miała ochotę powiedzieć im prosto w oczy, żeby zachowywały się stosownie do swego wieku. Niczego się nie domagały i miały dość sprytu, by nie prosić wprost o to, czego już raz im odmówiono. Zamiast tego krążyły wokół tematu.

– Przyszło mi na myśl – zagadnęła Reanne z promiennym uśmiechem – że zapewne chciałabyś jak najszybciej przesłuchać Ispan. Kto wie, jakie jeszcze zadania miał do wykonania w mieście, oprócz znalezienia przechowalni? – Udawała, że tylko nawiązuje rozmowę, ale od czasu do czasu rzucała prędkie spojrzenia na Elayne, by sprawdzić jej reakcje. – Jestem pewna, że przy takim tempie dotrzemy na farmę dopiero za godzinę, może dwie, z pewnością nie chciałabyś zmarnować tego czasu. Zioła, które przygotowała dla niej Nynaeve Sedai, rozwiązały jej język, bez wątpienia zechce przysłużyć się siostram.

Promienny uśmiech zgasł, kiedy Elayne odrzekła, że przesłuchanie Ispan może zaczekać... i

zaczeka. Światłości, czyżby te kobiety naprawdę się spodziewały, że ktoś będzie prowadził śledztwo podczas jazdy przez lasy, po ścieżkach, które ledwie zasługiwały na swoją nazwę? Reanne zawróciła w stronę pozostałych kobiet z Rodziny, mamrocząc coś do siebie.

– Wybacz, Elayne Sedai – mruknęła niewiele później Chilares, głosem noszącym ślady akcentu z Murandy. Na głowie miała zielony słomkowy kapelusz harmonizujący barwą z warstwami halek. – Wybacz, jeśli się naprzykrzam. – Nie nosiła czerwonego pasa Mądrej Kobiety; prawie żadna z członkiń Kółka Dziewiarskiego nie nosiła pasa. Fabelle była złotniczką, Eldase dostarczała wyroby lakierowane kupcom, którzy potem eksportowali je za granicę, Chilares handlowała dywanami, sama Reanne zaś organizowała transport rzeczny dla drobnych handlarzy. Pozostałe uprawiały rozmaite, raczej nieskomplikowane rzemiosła – Kirstian prowadziła mały warsztat tkacki, a Dimana była szwaczką, nawet dobrze prosperującą – ale należało pamiętać, że wszystkie, w ciągu swoich długich żywotów, wielokrotnie zmieniały rodzaj wykonywanego zajęcia. I przedstawiały się wieloma różnymi nazwiskami. – Zdaje się, że Ispan Sedai źle się czuje – oznajmiła Chilares, wiercąc się niespokojnie w siodle. – Być może te zioła działają na nią gorzej, niż sądziła Nynaeve Sedai. Byłoby okropnie, gdyby coś jej się stało, zanim zostanie przesłuchana. Może siostry zechciałyby rzucić na nią okiem? Może trzeba ją Uzdrowić, rozumiesz chyba... – Zawiesiła głos, mrugając nerwowo wielkimi piwnymi oczyma. Równie dobrze same mogły się tym zająć, skoro miały Sumeko.

Elayne rzuciła pojedyncze spojrzenie przez ramię i z miejsca dostrzegła kręłą kobietę, która stała w strzemionach, by móc widzieć to, co zasłaniały jej Poszukiwaczki Wiatru; tamta zauważyła, że Elayne patrzy i natychmiast opadła na siodło. To właśnie była Sumeko, która wiedziała o Uzdrowianiu więcej niż którakolwiek siostra oprócz Nynaeve. A może nawet i od niej więcej. Elayne tylko wskazała koniec pochodu i Chilares poczerwieniała, po czym bez słowa zawróciła swego wierzchowca.

Merilille przyłączyła się do Elayne kilka chwil po tym, jak opuściła ją Reanne. Szarej siostrze znacznie lepiej szło udawanie, że ma ochotę na zwykłą pogawędkę, niż kobiecie z Rodziny. W każdym razie we własnych oczach uchodziła zapewne za uosobienie równowagi ducha. Jednak to, co miała do powiedzenia, to była całkiem inna sprawa.

– Zastanawiam się, do jakiego stopnia można ufać tym kobietom, Elayne. – Wydęła usta z niesmakiem, otrzepując kurz z dzielonych błękitnych spódnic dłonią w rękawiczce. – Twierdzą, że nie przyjmują dzikusów w swoje szeregi, a wszak sama Reanne jest prawdopodobnie dzikuską, pomijając już jej opowieść, jak to nie przeszła inicjacji Przyjętej. Z Sumeko jest pewnie podobnie, a z całą pewnością dotyczy to Kirstian. – Spojrzała w stronę tamtej i lekko się skrzywiła, lekceważąco kręcąc głową. – Zapewne zauważyłaś, jak podryguje na byle wzmiankę o Wieży. Przecież ona nie wie nic oprócz tego, co przypadkiem usłyszała, najprawdopodobniej od którejś, która została naprawdę wyrzucona. – Merilille westchnęła, jakby żałowała tego, co zaraz musi powiedzieć; naprawdę była w tym bardzo dobra. – Czy przyszło ci do głowy, że mogą kłamać również w innych sprawach? Że mogą być Sprzymierzeńcami Ciemności względnie naiwnymi ofiarami Sprzymierzeńców Ciemności? Może się mylę, ale raczej nie obdarzałabym ich przesadnym zaufaniem. Wierzę, że ta farma istnieje, nieważne, czy naprawdę jej używają jako miejsca odosobnienia, bo inaczej nie zgodziłabym się na eskapadę, ale nie zdziwię się, jeśli znajdziemy tam parę zrujnowanych budynków i kilkanaście dzikusów. No cóż, może, to nie będą ruiny... chyba rzeczywiście mają pieniądze... ale zasada jest ta sama. Nie, im po prostu nie można ufać:

Elayne poczuła wzbierający w niej gniew, gdy tylko się połapała, do czego zmierza Merilille, i gniew ten z każdą chwilą powoli się potęgował. Całe to owijanie w bawełnę, te wszystkie „mogą” i „prawdopodobnie”, insynuujące rzeczy, w które wcale nie wierzyła. Sprzymierzeńcy Ciemności?

Toż Kółko Dziewiarskie walczyło ze Sprzymierzeńcami Ciemności. Dwie jego członkinie poległy w tej walce. A gdyby nie Sumeko i Ieine, Nynaeve mogłaby już nie żyć, Ispan zaś nie zostałaby wzięta do niewoli. Nie, nie dlatego nie należało im ufać, bo Merilille się obawiała, że złożyły przysięgi Cieniowi. Powiedziałyby to, gdyby rzeczywiście tak myślała. Nie należało im ufać, bo skoro są niegodne zaufania, trzeba pozbawić je straży nad Ispan.

Zabiła wielką zieloną muchę, która przysiadła na karku Lwicy, akcentując ostatnie słowo Merilille głośnym pacnięciem, i Szara siostra drgnęła ze zdziwienia.

– Jak śmiesz? – spytała bez tchu Elayne. – W Rahad stawily czoło Ispan, Falion oraz *gholam*, nie wspominając już co najmniej dwóch tuzinów rzezimieszków z mieczami. Ciebie tam nie widziano. – To akurat nie było sprawiedliwe. Merilille i pozostałe musiały zostać w mieście, ponieważ gdyby rozpoznawalne na pierwszy rzut oka Aes Sedai chciały się pojawić w Rahad, przyciągałyby taką uwagę, że równie dobrze mogłyby zabrać ze sobą trębaczy i doboszy. Ale o nic już nie dbała. Jej gniew rósł z każdą chwilą, kolejne słowa wypowiadała coraz bardziej podniesionym tonem. – Nigdy więcej nie będziesz przychodziła do mnie z takimi supozycjami. Nigdy! Przynajmniej bez niezbitych dowodów! Zrobisz to, a wyznaczę ci taką karę, że aż wybałuszysz oczy! – Nie miała prawa do wyznaczania kar tej kobiecie, nieważne, ile wyżej od niej stała, ale o to też już nie dbała. – Każę ci iść pieszo do samego Tar Valon! Przez całą drogę o chlebie i wodzie! Oddam cię pod ich kuratelę i powiem im, żeby karały chłostą, gdy tylko krzykniesz „bu!” na widok gęsi!

Zorientowała się, że krzyczy. Po niebie leciało właśnie stado jakichś szaro-białych ptaków, a jej udało się zagłuszyć ich wrzaski. Zrobiła głęboki wdech, starając się uspokoić. Jej głos – gdy zaczynała krzyczeć – zawsze przechodził w skrzek. Wszyscy na nią patrzyli, większość zupełnie zdumiona. Aviendha kiwała głową z aprobatą. Rzecz jasna, zareagowałyby identycznie, gdyby Elayne zatopiła nóż w sercu Merilille. Aviendha zawsze stawiała po stronie swych przyjaciółek. Błada cairhieniańska cera Merilille nabrała trupiosinych odcieni.

– Ja nie żartuję – zapewniła ją Elayne, znacznie już spokojniejszym głosem. Zdawało się, że z twarzy Merilille odpłynęły ostatnie krople krwi. I rzeczywiście, wszystko, co powiedziała, należało traktować poważnie; nie stać ich było na wzajemne oszczerstwa. Rzeczywiście miała zamiar dotrzymać każdego słowa, nawet gdyby wszystkim członkiniom Kółka Dziewiarskiego groziło natychmiastowe omdlenie.

Zakładała, że na tym koniec sprawy. I tak właśnie powinno być. Niestety, po odjeździe Chilares jej miejsce zajęła Sareitha i ona też przedstawiła powody, dla których nie należało ufać Rodzinie. Ich wiek. Nawet Kirstian twierdziła, że jest starsza od wszystkich żyjących Aes Sedai, Reanne zaś miała ponad sto lat więcej i bynajmniej nie była najstarsza w Rodzinie. Jej tytuł Najstarszej oznaczał tylko najstarszą z Ebou Dar i zgodnie ze sztywnymi ustaleniami, jakie sobie narzuciły, żeby nie przyciągać uwagi, w innych miejscach Rodzinę reprezentowały jeszcze starsze kobiety. Zdaniem Sareithy było to zupełnie niemożliwe.

Tym razem Elayne z trudem powstrzymała się od krzyku.

– Prędzej czy później poznamy prawdę – wyjaśniła Brązowej siostrze. Nie wątpiła w zapewnienia kobiet z Rodziny, ale musiał jednak istnieć powód, że w ich wyglądzie nie było ani tego charakterystycznego braku piętna przeżytych lat, ani, z drugiej strony, śladu lat, do których się przyznawały. Jak rozszyfrować tę zagadkę? Coś jej mówiło, że rozwiązanie musi być oczywiste, ale jakoś nic nie przychodziło jej do głowy. – Prędzej czy później – powtórzyła stanowczo, wchodząc Sareicie w słowo. – Na tym skończymy, Sareitha. – Sareitha przytaknęła niepewnie i została z tyłu. Nie minęło dziesięć minut i jej miejsce zajęła dla odmiany Sibella.

Za każdym razem, kiedy podjeżdżała do niej któraś kobieta z Rodziny i klucząc, prosiła, by ją uwolnić od Ispan, natychmiast zjawiała się jedna z sióstr, by zaoferować to samo. Wszystkie oprócz Merilille, która nadal mrugała za każdym razem, gdy Elayne tylko na nią spojrzała. Być może krzyk był jednak przydatny. Z pewnością nie odważą się więcej otwarcie atakować Rodziny.

Vandene na przykład zaczęła od ogólnych uwag na temat Ludu Morza, a potem próbowała osłabić ujemne efekty dobitego z nimi targu oraz przekonać do takiego postępowania. Mówiła to wszystko tonem rzeczowym, każde słowo i każdy gest były całkowicie nienagane. Zresztą w tym przypadku sam temat był dostatecznie drażliwy. Biała Wieża, powiedziała Vandene, ugruntowuje swoje wpływy w świecie, nie uciekając się do siły czy też perswazji, nie pomagając sobie nawet spiskowaniem bądź manipulacją, aczkolwiek te dwie ostatnie sprawy poruszyła dość pobieżnie. Biała Wieża jest w stanie poniekąd kontrolować zdarzenia i wpływać na ich tok, dzięki powszechnej wierze w to, że stoi z boku, a jednocześnie ponad wszystkim, jak królowie czy królowe; tylko jeszcze bardziej. To z kolei bierze się stąd, że wszystkie Aes Sedai w oczach świata postrzegane są jako osoby tajemnicze i niedostępne, inne niż reszta ludzkości. Z innej ulepione gliny. Ujmując rzecz historycznie, Aes Sedai, które nie pasowały do takiego wizerunku – a było kilka takich – z największym staraniem chroniono przed spojrzeniem opinii publicznej.

Elayne dopiero po chwili pojęła, że rozmowa dawno już przestała dotyczyć spraw związanych z Ludem Morza i zmierza w zupełnie innym kierunku. Otóż takiej kobiecie, tajemniczej i niedostępnej, z innej niż reszta ludzkości ulepionej gliny, nie wolno było nakładać worka na głowę i przywiązywać do siodła. A w każdym razie nie w obecności byle kogo. Oczywiście, prawda była taka, że siostry obeszłyby się znacznie brutalniej z Ispan niż Kółko Dziewiarskie, tyle że nie publicznie. Argument miałby większą wagę, gdyby padł na samym początku, a tak Elayne odprawiła Vandene równie szybko jak pozostałe. Tym razem przyszła kolej na Adeleas, w chwilę po tym, jak Sibella dowiedziała się, że jeśli żadna przedstawicielka Kółka Dziewiarskiego nie potrafi zrozumieć, co mamrocze Ispan, to w takim razie tego mamrotania nie zrozumie również żadna siostra. Mamrotanie! Światłości! Aes Sedai nachodziły ją po kolei i choć od początku wiedziała, do czego zmierzają, czasami trudno było od razu się połapać. Aż do chwili, gdy Careane zaczęła informować ją, że te głazy to kiedyś naprawdę były palce, rzekomo od posągu jakiejś królowej wojowniczką mierzącego prawie dwieście stóp...

– Ispan zostaje tam, gdzie jest – przerwała jej chłodno, nie czekając na ciąg dalszy. – I na tym koniec, chyba że naprawdę potrafisz mi wyjaśnić, jakim sposobem Shiotanie wpadli na pomysł wzniesienia takiego pomnika... – Zielona siostra twierdziła, że według starożytnych kronik posąg miał na sobie niewiele więcej oprócz zbroi, a i ta nie przykrywała zbyt wiele! Królowa! – Nie? To w takim razie, jeśli nie masz nic przeciwko, chciałabym w cztery oczy porozmawiać z Aviendhą. Bardzo ci dziękuję. – Ale nawet tak szorstka odprawa oczywiście ich nie powstrzymała. Należało się dziwić, że nie przysłały pokojówki Merilille, może jej się uda...

Do tego wszystkiego w ogóle by nie doszło, gdyby Nynaeve była tam, gdzie jej miejsce. W każdym razie Elayne nie wątpiła, że Nynaeve rozprawilaby się krótko zarówno z Kółkiem Dziewiarskim, jak i z siostrami. W takich sprawach była wręcz niezastąpiona. Problem polegał na tym, że zanim jeszcze opuścili polanę, Nynaeve wręcz przykleiła się do Lana. Strażnicy cały czas wysuwali się przed oddział, na boki i niekiedy pozostawiali z tyłu, kolumnie towarzyszyli tylko na czas złożenia sprawozdania albo przekazania wskazówek, jak ominąć farmę czy samotnego pasterza. Birgitte robiła bardzo dalekie wypadki, po powrocie nigdy nie była przy Elayne więcej niż kilka chwil. Lan zapuszczał się jeszcze dalej. Ale gdzie jechał Lan, tam jechała Nynaeve.

– Nie sprawiają ci żadnych kłopotów, prawda? – spytała zaczepnym tonem, gdy po raz pierwszy

powróciła z wyprawy śladem Lana i omiotła złowróżbnym wzrokiem kobiety z Ludu Morza. – Skoro nie, to w takim razie wszystko w porządku – odpowiedziała sama sobie, zanim Elayne zdążyła otworzyć usta. Wbiła pięty w okrągłe boki klaczy, spięła ją niczym konia wyścigowego, machnęła wodzami, po czym przytrzymując sobie kapelusz jedną ręką, pogalopowała za Lanem, którego dogoniła dokładnie w chwili, gdy już zniknął za wzgórzem. Rzecz jasna, Elayne nie miała wtedy jeszcze wielu powodów do narzekań. Porozmawiała z Reanne, porozmawiała z Merilille i wszystko wydawało się załatwione.

Zanim Nynaeve pojawiła się po raz wtóry, Elayne przetrwała jeszcze kilka zawołanych prób przekonania jej, by zgodziła się przekazać Ispan siostron, Aviendha rozmówiła się z Kurin, a wśród Poszukiwaczek Wiatru powoli zaczynało wrzeć. Kiedy jednak wyjaśniła Nynaeve, jaka jest sytuacja, ta tylko rozejrzała się dookoła, groźnie marszcząc brew. Oczywiście w tym momencie każda akurat musiała znajdować się na swoim miejscu. Atha'an Miere wprawdzie popatrywały groźnie, ale za to wszystkie bez wyjątku kobiety z Kółka Dziewiarskiego jechały grzecznie w ślad za nimi, siostry zaś zachowywały się przykładniej niżli pierwsza lepsza grupa nowicjuszek. Elayne miała ochotę wrzeszczeć!

– Jestem pewna, że znakomicie sobie ze wszystkim poradzisz, Elayne – oświadczyła Nynaeve. – Wychowywano cię przecież na królową. To wcale nie wygląda aż tak... A niech go! Ten mężczyzna znowu się oddala! Na pewno sobie poradzisz. – I z tym odjechała, zmuszając do galopu biedną klacz, jakby znowu zapomniała, że to nie rumak bojowy.

Wtedy właśnie Aviendzie zebrało się na wspomnienia, jak to Rand lubił całować jej szyję. I jak, o dziwo, jej się to bardzo podobało. Elayne również lubiła, gdy ją całował, ale chociaż przywykła do rozmów na takie tematy – chcąc nie chcąc, musiała – akurat w tym momencie nie miała najmniejszej ochoty na jedną z nich. Była zła na Randa. Nie miała racji, ale to przez niego nie umiała powiedzieć Nynaeve, by tamta przestała traktować Lana jak dziecko, które może potknąć się o własne nogi, i zajęła się własnymi obowiązkami. Omalże gotowa była obarczyć Randa winą za sposób, w jaki zachowywały się kobiety z Kółka Dziewiarskiego, siostry i Poszukiwaczki Wiatru. „Jedną z rzeczy, do jakich przydają się mężczyźni, jest to, że można zwalić na nich winę”, przypomniało jej się jedno z powiedzonek Lini i roześmiała się. „Zazwyczaj całkowicie zasłużenie, nawet jeśli nie wiesz dokładnie dlaczego”. To nie było uczciwe, jednak żałowała, że chociaż raz nie ma go przy niej dostatecznie długo, by mogła wytargać go za uszy. Dostatecznie długo, by mogła go wycałować i aby on mógł całować ją delikatnie po szyi. Dostatecznie długo, by...

– On słucha rad nawet wtedy, gdy nie ma na to ochoty – powiedziała nagle z zarumienioną twarzą. Światłości, ta Aviendha tyle gada o wstydzie, a są takie obszary, w którym nie ma go za grosz! I wychodziło na to, że ona sama też już dawno temu jego resztki straciła! – Ale niech go tylko próbowałam do czegoś przymusić, to zapierał się rękami i nogami, nawet jeśli było oczywiste, że mam rację. Czy z tobą też tak było?

Aviendha zerknęła na nią, najwyraźniej doskonale rozumiejąc. Elayne nie była pewna, czy jej to odpowiada. Ale przynajmniej nie było więcej gadania o Randzie i całowaniu się. Przynajmniej przez jakiś czas. Aviendha znała się trochę na mężczyznach -udawała się z nimi na wspólne wyprawy w czasach, gdy jeszcze była Panną Włóczni, walczyła ramię w ramię – nigdy jednak nie chciała być nikim innym, jak tylko *Far Dareis Mai*. I w tym momencie w ich doświadczeniach pojawiały się... rozbieżności. Nawet w dzieciństwie, bawiąc się lalkami, inscenizowała zawsze taniec włóczni i najazdy. Nigdy w życiu z nikim nie flirtowała, nie znała się na flirtowaniu i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego i co poczuła, gdy Rand na nią spojrzał, ani też setek innych rzeczy, których Elayne zaczęła się uczyć już wtedy, gdy po raz pierwszy zauważyła, że chłopcy patrzą na nią inaczej niż na siebie.

Aviendha oczekiwała, że Elayne nauczy ją tego wszystkiego, i Elayne naprawdę się starała. Żeby jeszcze nieodmiennie nie trzeba było odwoływać się do przykładu Randa. Gdyby tutaj był, już ona wytargałaby go za uszy. I wyciąłaby go. I potem znowu wytargała za uszy.

To wcale nie była miła przejażdżka. Okazała się koszmarna.

Nynaeve nawiedziła je jeszcze parokrotnie, wreszcie obwieściła, że farma Rodziny jest już tuż-tuż, ukryta za niskim, owalnym wzgórzem, wyglądającym jakby się przewracało na bok. Reanne pomyliła się w swoich szacunkach, słońce miało zajść nie wcześniej niż za dwie godziny.

– Dotrzemy tam lada chwila – powiedziała Nynaeve, udając, że nie zauważa posępnego spojrzenia, którym obdarzyła ją Elayne. – Lan, sprowadź tu Reanne, proszę. Byłoby dobrze, gdyby te, co tam mieszkają, zobaczyły od razu znajomą twarz. – Lan ruszył błyskawicznie, a Nynaeve obróciła się w siodle i omiotła siostry groźnym spojrzeniem. – Nie życzę sobie, byście je straszyły. Macie pilnować języków, dopóki nie uda nam się wyjaśnić, jak się sprawy mają. I ukryjcie też twarze. Nałóżcie kaptury. – Wyprostowała się i nawet nie zaczęła na odpowiedź, z satysfakcją kiwając głową. – O, właśnie tak. Wszystko załatwione, i to tak jak należy. Słowo daję, Elayne, nie pojmuję, dlaczego tak biadoliłaś. O ile się orientuję, wszyscy zachowują się tak, jak trzeba.

Elayne zazgrzytała zębami. Z całej duszy zapragnęła wrócić wreszcie do Caemlyn. Tam właśnie mieli się udać, kiedy już wszystko się skończy. Do Caemlyn bardzo ją ciągnęły dawne obowiązki. Należało wszak przekonać silniejsze Domy, że mimo długiej nieobecności Tron Lwa należy wyłącznie do niej, jak również zniechęcić parę osób roszczących sobie pretensje do korony. Gdyby znalazła się na miejscu zaraz po zniknięciu matki, zaraz po jej śmierci, pretendentów byłoby znacznie mniej, może nawet wcale. Teraz jednak, czego dowodziła cała historia Andoru, z pewnością jacyś się znajdują. Niemniej wszystkie oczekujące w Caemlyn kłopoty z jakichś względów wydawały się łatwiejsze niż obecna wyprawa.

# ROZDZIAŁ 4

## CICHE, SPOKOJNE MIEJSCE

Farma Rodziny mieściła się w szerokiej kotlinie otoczonej trzema niskimi wzgórzami – stanowiła ją grupa dużych, pobielonych budynków, z płaskimi dachami lśniąącymi w słońcu. Cztery ogromne stodoły zostały wbudowane w zbocze najwyższego, ściętego płasko wzgórza, które od drugiej strony wieńczyło strome urwisko. Kilka wysokich drzew, które jeszcze nie potraciły liści, rzucało skąpy cień na podwórze farmy. Przyległe gaje oliwne rozciągały się na północ i wschód, a nawet wspinały na zbocza. Na farmie panowała niemrawa krzątanina, co najmniej setka ludzi mimo popołudniowego żaru uwijała się przy codziennych obowiązkach bez szczególnego zapału.

Z pozoru miejsce to mogłoby uchodzić za niewielką wioskę, gdyby nie fakt, że w zasięgu wzroku nie było ani jednego mężczyzny czy dziecka. Zgodnie zresztą z oczekiwaniami Elayne. Farma stanowiła schronienie dla kobiet z Rodziny, które trasa podróży zawiodła w okolice Ebou Dar. Dzięki niej w mieście nigdy nie przebywało ich zbyt wiele naraz. Charakter farmy pozostawał tajemnicą, podobnie jak istnienie samej Rodziny. Oficjalnie farma była znana w promieniu dwustu mil albo i więcej jako samotnia kobiet, miejsce kontemplacji i ucieczki od spraw świata tego, do którego wycofywały się na jakiś czas, kilka dni, tydzień, czasami dłużej. Elayne niemalże czuła spokój spowijającej ją atmosfery. Żałowałyby, że sprowadza światowy zgiełk do tego cichego miejsca, gdyby nie to, że przywoziła także nowe nadzieje.

Widok pierwszych koni wylaniających się z za grzbietu pochyłego wzgórza wywołał mniejsze zamieszanie, niż się spodziewała. Kilka kobiet zastygło w bezruchu, by im się przyjrzeć, ale nic poza tym. Bardzo się między sobą różniły odzieniem – tu i ówdzie Elayne zauważyła nawet jedwab – ale kilka dźwigało koszyki, a inne wiadra albo duże białe tobołki, z praniem zapewne. Jedna trzymała parę kaczek związanych za łapy. Szlachcianki i rzemieślniczki, kobiety ze wsi i żebraczki, wszystkie były tu witane jednakowo, każda też musiała włożyć własny wkład pracy podczas pobytu. Aviendha dotknęła ramienia Elayne, po czym wskazała szczyt jednego ze wzgórz, podobnego do leja odwróconego do góry dnem i przekrzywionego na bok. Elayne uniosła dłoń do kapelusza i po chwili dostrzegła mgnienie poruszenia. Nic dziwnego, że nikogo nie zaskoczyli swoją wizytą. Wartownicy z góry wiedzieli o wszelkich przybyszach.

Na drodze tuż przed zabudowaniami pojawiła się kobieta, która wyszła im na powitanie. Bardzo przeciętna z wyglądu, miała na sobie suknię uszytą według mody obowiązującej w Ebou Dar, z głębokim i wąskim dekoltem, ale jej ciemne spódnice oraz kolorowe halki były tak krótkie, że nawet nie musiała ich zadzierać, by ochronić przed zabrudzeniem i kurzem. Nie nosiła małżeńskiego noża – reguły obowiązujące w Rodzinie zakazywały wchodzenia w związki małżeńskie. Rodzina musiała chronić zbyt wiele tajemnic.

– To Alise – mruknęła Reanne, zajmując miejsce między Nynaeve i Elayne. – Ona teraz kieruje farmą. Jest bardzo inteligentna. – I niemal jakby po namyśle, dodała, jeszcze cichszym głosem: – Alise nie potrafi zdzierżyć głupoty. – Kiedy Alise podeszła do nich, Reanne wyprostowała się w siodle, wyprężając ramiona, jakby w oczekiwaniu na coś niemiłego.

Bardzo przeciętna, tak właśnie Elayne pomyślała o Alise, z pewnością nie jest to ktoś, kto powinien wzbudzać w Reanne respekt, nawet gdyby ta nie była Najstarszą Kółką Dziewiarskiego. Stojąca przed nimi, wyprężona sztywno Alise wyglądała na osobę w średnim wieku ani chudą, ani grubą, ani wysoką, ani niską; ciemne włosy miała nieco przyprószone siwizną i z tyłu przewiązane kawałkiem wstążki w może niezbyt ładny, ale bardzo wygodny sposób. Twarz pospolita, niemniej



sprawiająca raczej miłe wrażenie, mimo trochę zbyt pociągłej szczęki. Na widok Reanne zareagowała skrywanym zdziwieniem, po chwili jednak uśmiechnęła się. Ten uśmiech wszystko zmienił. Nie sprawił wprawdzie, by stała się piękniejsza czy bodaj ładna, Elayne jednak nie potrafiła pozostać obojętna na obecne w nim ciepło i ukojenie, jakie obiecywał.

– Nie oczekiwałam, że tu zawitasz... Reanne – rzekła Alise, lekko zawahawszy się przy wymawianiu imienia tamtej. Najwyraźniej nie miała pewności, czy może użyć prawowitego tytułu Reanne w obliczu Nynaeve, Elayne i Aviendhy. Przez cały czas ukradkiem na nie zerkiała. W jej głosie pobrzmiwały lekkie ślady tarabońskiego akcentu. – Berowin przywiozła wieści o kłopotach w mieście, ale nie myślałam, że sytuacja okaże się aż tak zła, by was skłonić do wyjazdu. Kim są ci wszyscy?... – Urwała i z ogromniami raptem oczyma wpatrzyła się w jakieś miejsce za ich plecami.

Elayne obejrzała się i z jej ust omal nie wymknęło się parę tych celnych wyrażen, jakich dużo podchwyciła w rozmaitych miejscach, ostatnimi czasy głównie od Mata Cauthona. Nie do końca rozumiała znaczenie wszystkich, tak naprawdę większość pozostawała dla niej zupełną zagadką – nikt nigdy nie chciał wyjaśnić ich precyzyjnego sensu – ale zaiste dzięki nim można było dać upust emocjom. Wprawdzie Strażnicy pozdejmowali swoje mieniące się płaszcze, a siostry nasunęły na głowy kaptury, jak im nakazano – nawet Sareitha, która nie musiała przecie ukrywać swego młodego oblicza – ale Careane nie zadbała, by dokładnie zasłonić twarz. W otworze jej kaptura widać było wyraźnie pozbawione piętna upływu lat oblicze. Nie każdy zrozumiałby od razu, kogo ma przed sobą, jednak kobiecie, która choć raz bawiła w Wieży, nie mogło to przysporzyć większego trudu. Widząc rozłoszczoną minę Elayne, Careane poprawiła kaptur, ale szkoda została już wyrządzona.

Nie dotyczyło to tylko Alise, inne kobiety na farmie też miały bystry wzrok.

– Aes Sedai! – wrzasnęła jedna z kobiet takim tonem, jakby obwieszczała koniec świata. Być może zresztą w jej oczach tak to właśnie wyglądało, był to koniec jej małego świata. Wrzaski rozniosły się po farmie niczym kurz rozdmuchiwany przez wiatr wkrótce wokół zawrzało jak w mrowisku. Kilka kobiet padło zemdlonych, większość jednak biegła na oślep przed siebie, krzycząc wniebogłosy, upuszczając to, co akurat trzymała w ręku; wpadały jedna na drugą, przewracały się i niezdarnie podrywały, by znowu pędzić na oślep. Spod ich nóg pierzchały, żeby uniknąć stratowania, kaczki i kury trzepoczące skrzydłami oraz czarne kozy z krótkimi rogami. Pośrodku całego zamieszania stały jakieś kobiety i wodziły w krąg wytrzeszczonymi oczyma. Najwyraźniej przybyły do samotni, nie wiedząc nic o Rodzinie, one również zdradzały powoli oznaki zarażenia ogólną paniką.

– Światłości! – warknęła Nynaeve, szarpiąc gwałtownie swój warkocz. – Uciekają do gajów oliwnych! Zatrzymać je! Panika to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzymy! Poślijcie Strażników! Prędko! Prędko! – Lan pytająco uniósł brew, ale apodyktycznym gestem ucięła ewentualne protesty. – Prędko! Zanim wszystkie uciekną! – Lan skinął głową, ale wyglądało to tak, jakby chciał nią pokręcić z niedowierzaniem, spiął Mandarba i szerokim łukiem, omijając pandemonium szalejące pomiędzy budynkami, ruszył galopem w ślad za resztą mężczyzn.

Elayne spojrzała na Birgitte, wruszyła ramionami i dała znak, że ma jechać za nią. Lan miał chyba rację. Wyglądało na to, że już nie da się okiełznać tego chaosu, a posyłanie Strażników na koniach za przerażonymi kobietami prawdopodobnie nie było najlepszym pomysłem. Z drugiej jednak strony, nie miała pojęcia, co zrobić, a dopuszczenie, by te wszystkie kobiety rozbiegły się po okolicy, też nie miało sensu. Powinny wysłuchać wieści, które ona i Nynaeve im przywiozły.

Alise nawet nie drgnęła, nie było po niej widać ani śladu lęku. Wprawdzie twarz jej lekko pobladła, cały czas jednak wpatrywała się w Reanne. Twardym wzrokiem.

– Dlaczego? – spytała bez tchu. – Dlaczego, Reanne? W życiu bym nie pomyślała, że to zrobisz!

Przekupiły cię? Obiecały immunitet? Pozwolą ci odejść wolno, gdy tymczasem nam przyjdzie zapłacić za wszystko? Przypuszczalnie na nic się to nie zda, ale przysięgam, będę je błagała, by na tobie również wzięły pomstę. Tak, na tobie! Zasady obowiązują nawet ciebie, Najstarsza! Jeśli znajdę na to jakiś sposób, to przysięgam, nie pozwolę, żeby ci to uszło na sucho! – Miała naprawdę twarde spojrzenie. Niemal stalowe.

– Nie jest tak, jak myślisz – zapewniła ją pospiesznie Reanne, zsiadając z konia i odrzucając wodze. Schwyciła obie dłonie Alise, mimo wysiłków tamtej, by się uchylić. – Och, naprawdę nie chciałam, żeby tak się to odbyło. One wiedzą, Alise. Wiedzą o Rodzinie. Wieża zawsze wiedziała. O wszystkim. Prawie o wszystkim. Ale to nie jest ważne. – Alise uniosła brwi niezwykle wysoko, ale Reanne mówiła dalej, a jej zapał zdawał się promienieć spod ronda słomkowego kapelusza. – Możemy wrócić, Alise. Możemy znowu spróbować. Obiecały, że nam pozwolą. -Zabudowania farmy powoli pustoszały, pracujące w środku kobiety wybiegały na zewnątrz, by się dowiedzieć, skąd to całe zamieszanie, po czym ogarniał je powszechny popłoch; przystawały tylko na chwilę, by podkasać spódnice, i już biegły z innymi. Okrzyki dobiegające z gajów oliwnych wskazywały, że Strażnicy czynią, jak im powiedziano, nie sposób było jednak orzec, czy odnoszą jakieś sukcesy. Zapewne nie. Elayne czuła rosnącą frustrację własną, a także poirytowanie Birgitte. Reanne ogarnęła wzrokiem całe zamieszanie i westchnęła. – Trzeba je jakoś pozbierać, Alise. Naprawdę możemy wrócić.

– Dla ciebie to dobrze, jak i dla niektórych innych – odrzekła Alise z wyraźnym powątpiewaniem. – O ile to prawda. A co z pozostałymi? Wieża nie pozwoliła mi zostać tak długo, jak chciałam, bo nie uczyłam się odpowiednio prędko. – Zerknęła z ukosa na sylwetki zakapturzonych siostr, a w spojrzeniu, które po chwili zwróciła ku Reanne, kryło się nie mniej gniewu. – Po co miałybyśmy wracać? Żeby nam znowu powiedziały, że nie jesteśmy dostatecznie silne, więc musimy zostać odesłane? A może staniemy się dożywotnimi nowicjuszkami? Niektóre może to zadowolą, ale nie mnie. Po co, Reanne? No, po co?

Nynaeve zsiadła z konia i ruszyła w ich stronę, ciągnąc za wodze opierającą się klacz, a Elayne poszła jej śladem, na szczęście Lwica nie sprawiała jej tyle kłopotów.

– By stać się częścią Wieży, jeżeli tego właśnie pragniecie – odpowiedziała zniecierpliwionym tonem Nynaeve, zanim jeszcze dotarła do miejsca, gdzie stały dwie kobiety Rodziny. – Albo zostać Aes Sedai. Nie wiem, po co wam określony poziom siły, jeśli potraficie przejść te głupie próby. Możecie też wcale nie wracać, uciekajcie sobie, nic mnie to nie obchodzi. Ale dopiero wtedy, kiedy tu z wami skończę. – Stała w rozkroku, ściągnęła z głowy kapelusz i wsparła pięści na biodrach. – To strata czasu, Reanne, a my mamy robotę do wykonania. Jesteś pewna, że którakolwiek z nich naprawdę może nam się przydać? Mów głośniej. Jeśli nie, najlepiej będzie jak od razu zabierzemy się do roboty. Pośpiech może niekoniecznie jest wskazany, ale skoro mamy już tę rzecz, chciałabym jak najszybciej mieć wszystko za sobą.

Kiedy okazało się, że ona i Elayne są Aes Sedai, tymi Aes Sedai, które gwarantują prawdziwość wszystkich wcześniejszych obietnic, Alise wydała gardłowy odgłos i wpiła dłonie w fałdy wełnianych spódnic takim gestem, jakby chciała je zacisnąć na gardle Reanne. Gniewnie otworzyła usta – po czym zamknęła, nie wydając dźwięku, kiedy zobaczyła podchodzącą do nich Merilille. Jej oczy wciąż patrzyły hardo, ale teraz w ich spojrzeniu pojawiła się domieszka zdumienia. I niemało czujności.

– Nynaeve Sedai – zagaiła spokojnie Merilille. – Atha'an Miere... niecierpliwia się, pragnąc zsiąść z koni. Sądzę, że niektórym zapewne potrzebne będzie Uzdrawianie. – Na jej wargach zaigrał przelotny uśmiech.

Tym załatwiła bieżącą sprawę, aczkolwiek Nynaeve nie potrafiła się powstrzymać i zaczęła gderliwie rozwodzić się nad tym, co zrobi z następną osobą, która zwątpi w jej słowa. Elayne sama miała ochotę dorzucić kilka celnych słów, jednak nie sposób było zaprzeczyć, że Nynaeve robiła z siebie kompletną idiotkę, ciągnąc wszystko dalej, podczas gdy Merilille i Reanne czekały cierpliwie, aż ona skończy, a Alise gapiała się na wszystkie trzy. Cały epizod zakończyło ostatecznie przybycie Poszukiwaczek Wiatru, które wlokły za sobą opierające się konie. Jazda w twardych siodłach odebrała im cały wrodzony wdzięk – ich nogi zdawały się równie sztywne, jak twarze były odrętwiałe – nikt jednak nie pomyliłby ich z przedstawicielkami żadnej innej nacji.

– Skoro tak daleko od morza widzę aż dwadzieścia kobiet Atha’an Miere – mruknęła Alise – to uwierzę już we wszystko. – Nynaeve parsknęła, ale nic nie powiedziała, za co Elayne była jej bardzo wdzięczna. Ta kobieta najwyraźniej wciąż miała trudności z uznaniem ich za Aes Sedai, choć przecież na własne uszy słyszała, że Merilille tak je nazwała. Żadne tyrady ani awantury w niczym nie polepszą tej sytuacji.

– To w takim razie Uzdrów je – przykazała Nynaeve Merilille. Obie przyjrzały się kuśtykającym kobietom, a Nynaeve dodała: – Pod warunkiem, że poproszą. Uprzejmie. – Merilille jeszcze raz się uśmiechnęła, ale Nynaeve już zapomniała o Ludzie Morza i znowu spod zmarszczonego czoła przyglądała się prawie już całkiem opustoszałej farmie. Kilka kóz nadal dreptało wokół podwórza usłanego porzuconym praniem, grabiami i miotłami, powywracanymi wiadrami i koszami, nie wspominając już o bezwładnych ciałach zemdlonych kobiet Rodziny oraz o stadku kur, które powróciły do rozgrzebywania ziemi i wydziobywania ziaren – jedyne przytomne kobiety w zasięgu wzroku wyraźnie nie należały do Rodziny. Jedne miały na sobie haftowane lny i jedwab, inne przasną wełnę, jednak z faktu, że nie rzuciły się do ucieczki, tyle właśnie można było wywnioskować. Reanne twierdziła, że zawsze stanowią przynajmniej połowę mieszkańek farmy. Prawie wszystkie wyglądały na oszołomione.

Mimo że wcześniej skompromitowała się swymi narzekaniami, Nynaeve od razu wzięła się ostro za Alise. Albo to raczej Alise wzięła się za Nynaeve. Trudno orzec, ponieważ kobieta z Rodziny okazywała ledwie ślad tego szacunku, z jakim członkinie Kółka Dziewiarskiego odnosiły się do Aes Sedai. Być może Nynaeve oszołomił nagły rozwój wypadków. W każdym razie ręka w rękę zabrały się do dzieła. Nynaeve prowadziła klacz i wymachiwała kapeluszem trzymany w drugiej ręce, pouczając Alise, jak ma skrzyknąć rozproszone kobiety i co z nimi zrobić, kiedy już zbiorą się w jednym miejscu. Reanne zapewniała, że jest tu co najmniej jedna kobieta dostatecznie silna, by móc współtworzyć krąg, niejaka Garenia Rosoinde, a być może znajdują się jeszcze dwie inne. Elayne w rzeczy samej miała nadzieję, że wszystkie trzy uciekły z farmy. Alise to przytakiwała słowom Nynaeve, to mierzyła ją zimnymi spojrzeniami, których tamta z kolei zdawała się nie zauważać.

Czas oczekiwania, aż kobiety się zbiorą, wydawał się odpowiednią chwilą, by wrócić do przetrząsania koszy, ale kiedy Elayne, ruszyła w stronę juczych koni, które właśnie odprowadzano w stronę budynków farmy, zauważyła, że Kółko Dziewiarskie, Reanne i cała reszta wędrują ku znajdującym się tam kobietom – część podeszła do leżących na ziemi, reszta ku tym, które stały i się gapiły. Są wszystkie, ale gdzie Ispan? Wystarczyło jedno spojrzenie i zaraz ją odnalazła. Prowadziły ją za ręce Adeleas i Vandene, właściwie wlokły ją po ziemi, a rozwiane poły płaszczy podróżnych powiewały za ich plecami.

Siwowłose siostry były połączone, obie otaczała łuna *saidara*, w której sylwetka Ispan stanowiła ciemniejszą wyrwę. Nie można było stwierdzić, która włada tym niewielkim kręgiem i podtrzymuje tarczę Czarnej siostry, ale nie przerwałby go nawet jeden z Przeklętych. Zatrzymały się na chwilę, by o coś zagadnąć krępa kobietę w zgrzebnej burej wełnie, która wprawdzie wybałuszyła

oczy na widok skózanego worka okrywającego głowę Ispan, ale dygnęła jak należy i wskazała w odpowiedzi na jeden z pobielonych budynków.

Elayne i Aviendha wymieniły rozniewane spojrzenia. Przynajmniej spojrzenie Elayne było pełne gniewu. Twarz Aviendhy niekiedy nie zdradzała więcej uczuć niż kamień. Przekazawszy swoje konie dwóm pałacowym stajennym, pospieszyły za tamtymi trzema. Kilka kobiet spośród goszczących tylko u Rodziny usiłowało je wypytać, co się dzieje, niektóre w dość arogancki sposób, ale Elayne prędko je odprawiła, wzbudzając tym szereg oburzonych parsknięć i chrząknięć. Ach, czego ona by nie dała za oblicze pozbawione piętna lat! Tą myślą trąciła jakąś strunę w głębi umysłu, która jednak zamilkła, gdy tylko spróbowała się przysłuchać jej brzmieniu.

Kiedy otworzyła proste drewniane drzwi, za którymi zniknęły tamte trzy, przekonała się, że Adeleas i Vandene zdążyły już posadzić Ispan na krzesło z drabinkowym oparciem i zdjęć jej worek z głowy – leżał teraz na wąskim składanym stoliku wraz z ich lnianymi płaszczami. W izbie było tylko jedno okno, osadzone w powale, ale słońce stało jeszcze wysoko na niebie, więc do wnętrza docierało sporo światła. Ściany na całej długości obwieszane były półkami, na których stały wielkie miedziane garnki i duże białe misy. Sądząc po zapachu pieczonego chleba, drugie drzwi wiodły do kuchni.

Vandene obejrzała się gwałtownie na dźwięk otwieranych drzwi, uspokoiła się jednak, widząc je, a jej twarz zmieniła się w pozbawioną wszelkiego wyrazu maskę.

– Sumeko powiedziała, że zioła, które otrzymała od Nynaeve, przestają działać – oznajmiła – więc wydawało się, że można by wstępnie ją teraz przesłuchać, zanim znowu zamroczymy jej umysł. Chyba to odpowiedni moment. Byłoby dobrze się dowiedzieć, co... Czarne Ajah – tu wykrzywiła usta z niesmakiem – zamierzały uczynić w Ebou Dar. I co wiedzą.

– Wątpię, by wiedziały o istnieniu tej farmy, skoro my nie miałyśmy pojęcia – stwierdziła Adeleas, w zamyśleniu dotykając palcem warg i jednocześnie przyglądając się badawczo siedzącej kobiecie. – Lepiej jednak upewnić się zawczasu, niż potem płakać, jak zwykł mawiać nasz ojciec. – Równie dobrze mogłaby się przyglądać jakiemuś zwierzęciu, którego nigdy wcześniej nie widziała.

Ispan wydeła wargi. Po jej posiniaczonej twarzy ściekały strużki potu, ciemne włosy splecione w warkoczyki były zmierzwiłone, a ubranie w nieładzie, jednak mimo zamglonych oczu, najwyraźniej zamroczenie już mijało.

– Czarne Ajah to bajdy, i to wyjątkowo ohydne – powiedziała szyderczym, lekko ochrypłym tonem. Pod skórą worka musiało być bardzo gorąco, a wody nie dostała od wyjazdu z pałacu Tarasin. – Dziwię się; że o tym mówicie na głos. I że akurat mnie oskarżacie! Wszystko, co robiłam, robiłam z rozkazu Zasiadającej na Tronie Amyrlin.

– Z rozkazu Elaidy? – spytała z niedowierzaniem Elayne. – Masz czelność twierdzić, że Elaida kazała ci mordować siostry i okradać Wieżę? Że Elaida kazała ci zrobić to, co robiłaś w Łzie i w Tanchico? A może masz na myśli Siuan? Twoje kłamstwa są żałosne! Pogwałciłaś Trzy Przysięgi, a to naznacza cię Czarną Ajah.

– Nie muszę odpowiadać na wasze pytania – odparła ponurym głosem Ispan, garbiąc się. – Wy wszczęłyście bunt przeciwko prawowitej Amyrlin. Zostaniecie ukarane, być może ujarzmione. Zwłaszcza jeśli coś mi zrobicie. Ja służę prawdziwej Amyrlin, a wy poniesiecie przykładową karę, jeśli stanie mi się krzywda.

– Będiesz odpowiadała na pytania, które zada moja prawie-siostra. – Aviendha przesunęła kciukiem po ostrzu noża, ale wzrok miała utkwiony w Ispan. – Mieszkańcy mokradeł boją się bólu. Nie potrafią się z nim oswoić, nie umieją zaakceptować. Będiesz odpowiadała, kiedy będą cię pytać. – Patrzyła na nią spokojnie, nawet się nie skrzywiła, tylko mówiła... a jednak Ispan skuliła się

na krześle.

– Obawiam się, że tego ci zrobić nie wolno, nawet gdybyśmy nie miały do czynienia z inicjowaną w tajemnicie Wieży – zauważyła Adeleas. – Nie mamy prawa rozlewać krwi podczas śledztwa albo pozwalać innym, by to czynili w naszym imieniu. – W jej głosie słyszało się niechęć, aczkolwiek Elayne nie umiała orzec, czy to odnosiło się do samego zakazu, czy też stanowiło reakcję na konieczność potwierdzenia, że Ispan jest inicjowaną Wieży. Sama nie była do końca przekonana, czy Ispan można jeszcze za taką uznać. Istniało takie powiedzenie, że żadna kobieta nie kończy z Wieżą, dopóki Wieża nie skończy z nią, ale w rzeczy samej, kiedy Biała Wieża raz zgłosiła swoje roszczenia, nie rezygnowała z nich nigdy.

Ze zmarszczonym czołem przyglądała się Czarnej siostrze, tak sponiewieranej, a jednak wciąż pewnej siebie. Ispan nieznacznie się wyprostowała i patrzyła teraz na Aviendhę oraz Elayne z pogardliwym rozbawieniem. Nie była taka opanowana wcześniej, kiedy myślała, że znajduje się wyłącznie we władzy Nynaeve i Elayne; odzyskała równowagę, gdy uświadomiła sobie obecność starszych sióstr. Sióstr, które będą przestrzegały prawa Białej Wieży, stanowiącego dla nich część ich istnień. A to prawo zabraniało nie tylko rozlewu krwi, ale także łamania kości i wielu innych rzeczy, które byle Śledczy Białych Płaszczy robiłby z najwyższą skwapliwością. Przed rozpoczęciem każdej kolejnej tury należało najpierw poddać przesłuchiwaną osobę Uzdrawianiu, a jeśli przesłuchanie zaczynało się po wschodzie słońca, musiało się zakończyć przed zachodem, jeśli po zachodzie, to należało je przerwać przed wschodem. Prawo było jeszcze bardziej restrykcyjne, gdy dotyczyło inicjowanych w tajemnicie Wieży sióstr, Przyjętych i nowicjuszek, przy czym używanie *saidara* było zakazane tak w śledztwie, jak w egzekwowaniu wyznaczonej kary bądź pokuty. Och, siostra mogła wprawdzie przytknąć w ucho nowicjuszkę, korzystając z Mocy, jeśli była rozdrażniona, czy nawet trzepnąć taką w siedzenie, ale nic poza tym. Ispan uśmiechnęła się do niej. Uśmiechnęła! Elayne zrobiła głęboki wdech.

– Adeleas, Vandene, zostawcie mnie i Aviendhę sam na sam z Ispan. – Miała wrażenie, że jej żołądek usiłuje skrócić się w węzeł. Musiał istnieć sposób na to, by wycisnąć z tej kobiety to, co trzeba, i nie złamać przy tym prawa Wieży. Tylko jak? Ludzie, którzy mieli przed sobą perspektywę śledztwa z udziałem Wieży, zazwyczaj zaczynali mówić, zanim ktoś w ogóle tknął ich palcem – wszyscy wiedzieli, że nikt, ale to nikt, nie jest w stanie przeciwstawić się Wieży – rzadko jednak były to inicjowane. W myślach słyszała jeszcze jakiś głos, tym razem był to głos jej matki. „Jeżeli rozkazujesz, by coś zrobiono, musisz być gotowa zrobić to własnoręcznie. Jako królowa sama robisz to, co jest treścią twojego rozkazu”. Gdyby rzeczywiście naruszyła prawo... Znowu głos matki. „Nawet królowa nie może stać ponad prawem, bo to by oznaczało koniec wszelkiego prawa”. I jeszcze głos Lini. „Możesz robić wszystko, co zechcesz, dziecko. Pod warunkiem, że jesteś gotowa zapłacić cenę”. Ściągnęła z głowy kapelusz, nie rozwiązując wstążek. Mówienie stanowczym głosem kosztowało ją wiele wysiłku.

– Kiedy... kiedy już się z nią rozmówimy, będziecie mogły oddać ją z powrotem Kółku Dziewiarskiemu. – Potem ona sama odda się do dyspozycji Merilille. Dowolne pięć sióstr mogło orzec wymiar kary, jeśli się je poprosiło.

Ispan obróciła głowę, napuchłe oczy powędrowały od Elayne do Aviendhy i z powrotem, powoli rozszerzając się, aż w pewnym momencie przypominały dwie ciemne studnie. Nie była już taka pewna siebie.

Vandene i Adeleas wymieniły milczące spojrzenia, tak jak to czynią ludzie, którzy spędzili razem tyle czasu, że właściwie nie muszą już nic mówić na głos, po czym, Vandene ujęła Elayne i Aviendhę za ręce.

– Chciałabym chwilę z wami porozmawiać na zewnątrz, jeśli można – mruknęła. Niby zabrzmiało to jak zwykła propozycja, ale już popychała je w stronę drzwi.

Na podwórzu niczym stado owiec kuliło się w gromadzie jakieś dwadzieścia kobiet z Kółka Dziewiarskiego. Nie wszystkie nosiły odzienie Ebou Dar, dwie z nich miały na sobie czerwone pasy Mądrych Kobiet i Elayne rozpoznała Berowin, krępą, niską kobietę, która zazwyczaj zdradzała pychę dalece wykraczającą poza jej siłę posługiwania się Mocą. Ale nie teraz. Podobnie jak pozostałe, miała zalęknioną twarz, rozbiegany wzrok, mimo że otaczało ją całe Kółko Dziewiarskie i z ożywieniem o czymś z nią rozprawiało. Nynaeve i Alise usiłowały zagnać może dwa razy tyle kobiet do środka jednego z większych budynków. „Usiłowały” zdawało się tu najważniejszym słowem.

– ...nie obchodzi mnie, jakim majątkiem zarządzasz – pokrzykiwała Nynaeve w stronę kobiety o dumnym karku odzianej w jasnozielony jedwab. – Właź do środka i zostań tam, żeby nie przeszkadzać, bo inaczej zmuszę cię kopniakiem!

Alise zwyczajnie chwyciła odzianą na zielono kobietę za kark i przepchnęła ją przez próg mimo wyrażanych z wielką swadą protestów. W pewnym momencie rozległ się donośny skrzek, jakby ktoś nadepnął na okazałą gęś, po czym Alise pojawiła się ponownie, otrzepując ręce z kurzu. Od tego momentu żadna już raczej nie przysparzała problemów.

Vandene puściła je, badawczo patrząc im w oczy. Nadal otaczała ją łuna, ale to chyba Adeleas skupiała ich połączone sploty. Vandene mogła podtrzymywać raz już utkaną tarczę, nie będąc w stanie jej widzieć, ale gdyby tak było, to najprawdopodobniej wyprowadziłaby je na zewnątrz Adeleas. Vandene mogła ujść kilkaset kroków, zanim połączenie zaczęłoby słabnąć – nie przerwałoby się, nawet gdyby ona i Adeleas rozeszły się na przeciwległe krańce ziemi, aczkolwiek dużo wcześniej stałoby się bezużyteczne – pozostała jednak blisko drzwi. Mówiła, starannie dobierając słowa:

– Zawsze uważałam, że takimi rzeczami powinny się zajmować doświadczone kobiety – powiedziała w końcu. – Młode łatwo wpadają w pułapkę gorącej krwi. I wtedy przesadzają. Albo podejmują niekiedy działania, które okazują się niewystarczające. Bo jeszcze nie dość w życiu widziały. Albo, i to jest najgorsze, znajdują w tym... upodobanie. Co wcale nie znaczy, bym podejrzewała którąś z was o taką skazę charakteru. – Obdarzyła Aviendhę taksującym, choć tylko przelotnym spojrzeniem; Aviendha pospieszenie schowała swój nóż do pochwy. – Adeleas i ja widziałyśmy dosyć, by wiedzieć, jak postępować, i dawno temu wyzbyłyśmy się pokus gorącej krwi. Więc może jednak zostawicie to nam. Tak będzie znacznie lepiej. – Vandene chyba z góry założyła, że zaakceptują to zalecenie. Skinęła głową i odwróciła się w stronę drzwi.

Dopiero kiedy zniknęła za nimi, Elayne poczuła, że któraś w środku zaczerpnęła Moc, wygłuszając izbę jakimś splotem. Zapewne było to zabezpieczenie przeciwko podsłuchiowaniu. Te dwie nie chciały, by czyjeś przypadkowe ucho pochwyliło to, co powie Ispan. Potem przyszło jej do głowy jeszcze jedno ewentualne przeznaczenie splotu i nagła cisza, jaka zapanowała we wnętrzu budynku, wydała jej się jeszcze bardziej złowieszczą niż wrzaski, które być może rozlegały się za tłumiącą barierą.

Gwałtownym ruchem wcisnęła kapelusz na głowę. Upał jej nie doskwierał, ale od żaru słońca poczuła nagły atak mdłości.

– Pomożesz mi przejrzeć to, co niosą juczne konie? – spytała zdławionym głosem. Aviendha przytaknęła zaskakująco skwapliwie, wyraźnie też chciała się znaleźć jak najdalej od tej ciszy.

Poszukiwaczki Wiatru czekały nieopodal miejsca, gdzie słudzy zostawili juczne konie, czekały niecierpliwie i rozglądały się władczo dookoła, z rękoma splecionymi na piersiach, naśladując w ten sposób Renaile. Alise podeszła do nich zamaszystym krokiem, po czym ogarnąwszy je wszystkie

jednym spojrzeniem, uznała, że to Renaile jest przywódczynią. Elayne i Aviendhę zignorowała.

– Chodźcie ze mną – rzekła rzutkim tanem, nie znoszącym sprzeciwu. – Aes Sedai powiadają, że chciałybyście ukryć się przed słońcem, dopóki sprawy się nie wyjaśnią. – W słowach „Aes Sedai” zabrzmiało tyle samo gorczy, ile było w nich przestrochu, gdy pojawiały się na ustach członkiń Rodziny. Może nawet więcej. Renaile zeszywniała, a jej ogorzała twarz pociemniała, jednak Alise brnęła dalej: – Jeśli o mnie idzie, wy, dzikuski, możecie sobie tu siedzieć i pocić się, jeśli tak wam się podoba. O ile jesteście w stanie siedzieć. – Było widać, że żadnej z kobiet Atha’an Miere jeszcze nie Uzdrowiono odparzeń od siodeł, stały w takich pozach, jakby pragnęły zapomnieć, że od pasa w dół również mają ciała. – Na pewno jednak nie każecie mi czekać na siebie.

– Czy ty wiesz, kim ja jestem? – spytała Renaile, tłumiąc furię, ale Alise już odeszła, nie oglądając się za siebie. Renaile, która wyraźnie toczyła jakąś wewnętrzną walkę, otarła pot z czoła wierzchem dłoni, po czym gniewnym głosem kazała pozostałym Poszukiwaczkom Wiatru zostawić te „przez łąd przekłętę” konie i iść za nią. Ustawiły się w szereg i niezgrabnie rozkraczając nogi, pokuśtykały śladem Alise. Wszystkie oprócz dwóch uczennic coś do siebie mruczały – w tym również sama Alise.

Elayne instynktownie zaczęła się zastanawiać, jak tu załagodzić sprawy i jak Uzdrowić bóleści Atha’an Miere, nie zmuszając ich, by wcześniej o to poprosiły. Albo żeby którejs z sióstr zbyt wiele nie kosztowała taka propozycja. No i koniecznie trzeba było uspokoić Nynaeve oraz inne siostry. I wtedy, ku swemu zdumieniu pojęła nagle, że przynajmniej raz w życiu wcale nie ma ochoty niczego łągodzić. Gdy patrzyła na Poszukiwaczki Wiatru, jak człapią w kierunku jednego z budynków farmy, pojęła, że obecny stan rzeczy całkowicie jej odpowiada. Aviendha obserwowała Atha’an Miere, uśmiechając się od ucha do ucha. Elayne opanowała lekki uśmiech, wyginający jej usta i odwróciła się w stronę juczych koni. Naprawdę sobie zasłużyły. Bardzo trudno było się nie śmiać.

Dzięki Aviendzie wszystko szło znacznie prędzej niż przedtem, aczkolwiek Aviendha nie potrafiła rozpoznać tego, czego szukały tak szybko jak ona. I nie dziwota. Kilka sióstr wśród szkolonych przez Elayne okazało się od niej nieco lepszych, większość jednak nie dorównywała żadną miarą. Ale co dwie pary rąk, to nie jedna, a było czego szukać. Odziani w liberie stajenni i kobiety odnosili śmieci, natomiast stos *ter’angreali* układanych na szerokiej kamiennej pokrywie kwadratowego zbiornika systematycznie rósł.

Kolejne cztery konie prędko uwolniły się od ciężarów, one zaś uzyskały kolekcję, którą w Wieży z pewnością by świętowano, rzecz jasna gdyby do niej dotarła. Nawet gdyby żadna siostra nie była już zainteresowana badaniem *ter’angreali*. A te zajmowały oko wszelkimi wyobrażalnymi kształtami. Czary, misy i wazy, wśród których nie było dwóch jednakowej wielkości, formy albo materiału, z którego zostały wykonane. Płaska, stoczona przez robaki, rozsypująca się skrzynka, wyłożona w środku materia, która dawno temu zetlała na proch, zawierała biżuterię – naszyjnik i bransolety z kolorowymi klejnotami, cienki wysadzany kamieniami pas, kilka pierścieni – i były też w niej dodatkowe puste przegródki. Każdy z tych przedmiotów to był *ter’angreal* i wszystkie stanowiły komplet, przeznaczony do noszenia razem, choć Elayne nie wyobrażała sobie, po co jakaś kobieta miałaby nosić na sobie aż tyle biżuterii. Aviendha znalazła sztylet z rękojeścią z rogu jelenia owiniętą złotym drucikiem; ostrze okazało się tępe i wedle wszelkich oznak zawsze takie było. Bez końca obracała go w dłoniach – wreszcie zaczęły jej drżeć – aż w końcu Elayne odebrała jej sztylet i dołożyła go do innych znalezisk. Nawet wtedy Aviendha stała jakiś czas nieruchomo i oblizywała wargi, jakby jej nagle zaschły. Znalazły jeszcze pierścienie, kolczyki, naszyjniki, bransolety i sprzączki, w tym wiele o nadzwyczaj zawiłych wzorach. Były też posążki oraz figurki ptaków, zwierząt i ludzi, kilka ostrych noży, pół tuzina dużych medalionów z brązu albo stali, większość w

niespotykanych oprawach, z obrazkami, których Elayne za nic nie potrafiła zinterpretować, kilka dziwnych nakryć głowy wykonanych z metalu, zbyt zdobnych i zbyt cienkich, by mogły służyć za hełmy, a także wiele przedmiotów, których nawet nie umiała nazwać. Jakiś pręt, gruby jak przegub jej dłoni, jasnoczerwony, gładki i okrągły w przekroju, bardziej sprężysty niż twardy, mimo iż zdawał się wykuty z kamienia; nie tylko rozgrzał się nieznacznie w jej dłoni, ale w dotyku parzył nieomal! Nie takim gorącym jak prawdziwe ciepło, a jednak! A na przykład ten komplet kul z metalowej plecionki, jedna włożona w drugą? Wystarczyło lekko nimi poruszyć, a wtedy wygrywały cichą melodyjkę, za każdym razem w innej tonacji i Elayne miała wrażenie, że choćby nie wiadomo jak dokładnie starała się przyjrzeć ich wnętrzu, to za każdym razem zobaczy w środku jeszcze jedną kulę. Albo to coś, co wyglądało jak kowalska układanka, tyle że wykonana ze szkła? Była tak ciężka, że kiedy wypadła jej z rąk, wyszczerbiła brzeg pokrywy zbiornika. Kolekcja, która wzbudziłaby zdumienie każdej Aes Sedai. A co ważniejsze, znalazły jeszcze dwa *angreale*. Te Elayne bardzo ostrożnie odłożyła na bok, w zasięgu ręki.

Pierwszy był dziwną złotą bransoletą, połączoną czterema płaskimi łańcuszkami z pierścieniami, które należało nosić na palcach; wszystko było pokryte zawikłanym, misternym wzorem. Z obu *angreali* ten był silniejszy, silniejszy również od żółwia, którego nosiła w swoim mieszk. Bransoleta została wykonana na dłoń mniejszą od jej dłoni albo dłoni Aviendhy. Co dziwniejsze, miała zamek i dopasowany małej cylindryczny kluczyk na cienkim łańcuszku, który najwidoczniej należało odpiąć, aby bransoletę otworzyć. I kluczyk też był! Drugi *angreal* miał kształt figurki siedzącej kobiety, wyrzeźbionej z pociemniałej od starości kości słoniowej; siedziała ze skrzyżowanymi nogami, ukazując nagie kolana, ale włosy miała tak długie i bujne, że najgrubszy płaszcz nie okryłyby jej lepiej. *Angreal* nie był wprawdzie nawet tak silny jak żółw, ale Elayne niezwykle fascynował. Kobieta trzymała jedną dłoń wspartą na kolanie, wnętrzem do góry i z palcami tak ułożonymi, że kciuk dotykał czubków środkowych dwóch palców, drugą zaś dłoń miała uniesioną, przy czym pierwsze dwa palce były wyprostowane, a pozostałe zgięte. Od figurki tchnęło niezwykłą godnością, a jednak delikatnie wyrzeźbiona twarz zdradzała zarazem rozbawienie i zachwyt. Może została wykonana dla jakiejś konkretnej kobiety? To mógł być przedmiot osobistego użytku. Być może w Wieku Legend posługiwano się takimi. Niektóre *ter'angreale* były ogromne, potrzeba było ludzi, koni albo nawet Mocy, żeby przetransportować je na inne miejsce, natomiast większość *angreali* dawało się nosić przy sobie; nie wszystkie co prawda, ale większość tak.

Właśnie zdejmowały płócienne osłony z kolejnych wiklinowych koszy, kiedy pojawiła się Nynaeve. Atha'an Miere powoli wychodziły z jednego z budynków farmy, nie kulejąc już. Merilille rozmawiała z Renaile, czy raczej to Poszukiwaczka Wiatru mówiła, a Merilille słuchała. Elayne zastanawiała się, co się tam stało. Szczupła Szara nie miała już takiej zadowolonej miny. Grupa kobiet z Rodziny rozrosła się, ale w chwili, gdy Elayne patrzyła w tamtą stronę, trzy kolejne pojawiły się na podwórku, wyraźnie się wahając i jeszcze dwie przystały na skraju gaju oliwnego, niezdecydowanie rozglądając się dookoła. Czują Birgitte, gdzieś pośród drzew, tamta była trochę mniej zirytowana niż wcześniej.

Nynaeve spojrzała na wystawę *ter'angreali* i szarpnęła za warkocz. Gdzieś zgubiła kapelusz.

– To może poczekać – powiedziała z wyraźnym niesmakiem. – Na nas już czas.



# ROZDZIAŁ 5

## NARODZINY BURZY

Słońce pokonało już nieco więcej niż połowę drogi do horyzontu, kiedy zaczęły się wspinać mozolnie po mocno udeptanej, krętej ścieżce, która zawiodła je na szczyt stromego wzgórza górującego nad stodołami. Było to miejsce wybrane przez Renaile. Wybór miał sens zgodnie z tym, czego Elayne dowiedziała się od Poszukiwaczek Wiatru Ludu Morza na temat pracy z pogodą. Wprowadzanie zmian do miejsc położonych poza najbliższym otoczeniem oznaczało pracę na dużą odległość, której warunkiem z kolei było objęcie wzrokiem znamionowanego obszaru, rzecz znacznie łatwiejsza na oceanie niż na lądzie. Chyba że się stało na szczycie góry albo na wzgórzu. A poza tym wymagało to również wprawnej ręki, w przeciwnym razie mogło się skończyć ulewnymi deszczami, trąbami powietrznymi albo Światłości jedna wie, czym jeszcze. Cokolwiek się robiło, efekty rozchodziły się niczym zmarszczki po powierzchni stawu, do którego wrzucono kamień. Naprawdę nie miała ochoty kierować kręgiem, który miał użyć Czary.

Szczyt wzgórza był płaski, niczym nie porośnięty, podobny do kamiennego blatu, pięćdziesiąt kroków długi i tyleż szeroki, z mnóstwem miejsca dla wszystkich, którzy musieli tam być oraz, jeśli już o tym mowa, dla kilkorga tych, którzy nie musieli. Z miejsca położonego na wysokości co najmniej pięćdziesięciu kroków nad farmą roztaczał się imponujący widok na rozciągającą się na przestrzeni wielu mil szachownicę farm i pastwisk, lasów i gajów oliwnych. O wiele za dużo brązów i nagich żółci mieszało się z mnogością odcieni zieleni, niczym zew ponaglający, by wreszcie zrobiły to, co zamierzyły; ale i tak Elayne poczuła się wstrząśnięta pięknem krajobrazu. Mimo kurzu, który unosił się w powietrzu niczym błada mgła, widziała tak daleko! Teren naprawdę był płaski, wyjąwszy te kilka wzgórz. Ebou Dar znajdowało się na południu, poza zasięgiem nawet posilonego Mocą wzroku, a jednak miała wrażenie, że jeszcze trochę, a je zobaczy. Natomiast przy odrobinie starań była w stanie zobaczyć rzekę Eldar. Wspaniały widok. Nie wszystkich jednak zainteresował.

– Godzina zmarnowana – burknęła Nynaeve, patrząc koso na Reanne i prawie wszystkie pozostałe. Nie było tu Lana, więc mogła skorzystać z okazji i rozpuścić wodze swojego temperamentu. – Prawie godzina. Może więcej. Całkiem zmarnowana. Alise jest, jak mi się wydaje, dość kompetentna, ale człowiek mógłby się spodziewać, że Reanne będzie wiedziała, kogo tu sprowadzić! Światłości! Jeżeli ta głupia kobieta znowu mi zemdleje!... – Elayne miała nadzieję, że Nynaeve wytrzyma jeszcze chwilę. Wszystko wskazywało na to, że burza, kiedy już się rozpęta, będzie naprawdę porządna.

Reanne usiłowała zachować pogodną, ochoczą minę, ale jej dłonie zaplątane w fałdy spódnicy nie potrafiły nawet na moment znieruchomieć, wciąż je skubały i wygładzały. Kirstian zaś zwyczajnie wczepiła swoje palce w spódnice i pocila się, z takim wyrazem twarzy, jakby lada chwila miała zwymiotować; drżała, gdy ktokolwiek na nią spojrzał. Trzecia kobieta z Rodziny, Garenia, była kupcem z Saldaei; niska, obdarzona wydatnym nosem, szerokimi ustami i wąskimi biodrami, przewyższała siłą tamte dwie, mimo że wyglądała na niewiele starszą od Nynaeve. Jej błada twarz zdawała się tłusta od potu, a ciemne oczy stawały się większe za każdym razem, gdy ich spojrzenie padało na jakąś Aes Sedai. Elayne miała wrażenie, że być może już niebawem się przekona, czy czyjeś oczy naprawdę mogą wyjść z orbit. Przynajmniej Garenia przestała jęczeć, po raz pierwszy od początku wspinaczki na szczyt wzgórza.

Podobno na farmie były przed ich przybyciem jeszcze dwie inne, które być może dysponowały dostateczną siłą – być może, Rodzina nie zwracała specjalnej uwagi na takie sprawy – ale te przed

trzema dniami postanowiły pójść własną drogą. Poza nimi na farmie nie było już żadnej kobiety, która nadawałaby się choćby w najmniejszym stopniu. Stąd właśnie niesmak nie opuszczający Nynaeve. To jeden powód. Drugi był taki, że nikogo innego, jak właśnie Garenię znaleziono w pierwszej kolejności pośród zemdlonych na podwórzu. A skoro już o niej mowa, Garenia mdlała jeszcze dwa razy po tym, jak ją ocucono – wystarczyło, że jej wzrok padał na jedną z sióstr. Rzecz jasna, Nynaeve, jak to Nynaeve, nie zamierzała przyznać, że powinna była zrobić coś tak prostego, jak zapytać Alise, kto jeszcze został na farmie. Albo chociaż powiedzieć Alise, czego szuka, zanim ta sama ją zapytała. Nynaeve nigdy się po nikim nie spodziewała, że będzie miał dość rozumu, by umieć rozróżnić górę od dołu. Z wyjątkiem jej samej.

– Mogłyśmy już do tej pory skończyć! – warknęła Nynaeve. – Trzeba było!... – Niemal trzęsła się z wysiłku, by nie patrzeć gniewnie na kobiety z Ludu Morza, które zgromadziły się blisko wschodniego krańca kamiennego stołu. Renaile, gestykulująca wymownie, wydawała komuś polecenia. Elayne wiele by dała, by poznać ich treść.

Groźne spojrzenia Nynaeve z pewnością objęły Merilille, Careane i Sareithę, które nadal ścisnęły owiniętą w jedwab Czarę. Adeleas i Vandene zostały na dole, zamknięte wciąż z Ispan. Trzy siostry stały i gawędziły ze sobą, w ogóle nie zwracając uwagi na Nynaeve, dopóki ta nie przemówiła bezpośrednio do nich, ale wzrok Merilille niekiedy prześlizgiwał się po grupie Poszukiwaczek Wiatru, po czym gwałtownie odwracała spojrzenie, maska spokoju na chwilę znikła i Merilille oblizywała wargi czubkiem języka.

Czyżby popełniła jakiś błąd tam na dole podczas ich Uzdrawiania? Merilille negocjowała traktaty i pośredniczyła w dysputach między narodami; w Białej Wieży niewiele było jej równych. Ale Elayne przypomniawszy sobie pewną zasłyszaną niegdyś żartobliwą przypowieść, w której występował kupiec Domani, Mistrz Cargo Ludu Morza i Aes Sedai. Ludzie rzadko opowiadali dowcipy, w których występowały Aes Sedai, bo to nie było zbyt bezpieczne. Kupiec i Mistrz Cargo znaleźli zwykły kamień na brzegu morza i zaczęli go sobie wzajem sprzedawać, jakimś sposobem za każdym razem czerpiąc z tego zysk. I wtedy pojawiła się Aes Sedai. Domani przekonała Aes Sedai, by kupiła zwykły kamień za dwakroć więcej, niż ona sama zapłaciła ostatnim razem. A potem Atha'an Miere namówił Aes Sedai, by nabyła od niego kupiony wcześniej kamień, znowu płacąc dwa razy więcej. To był zwykły dowcip, ale pokazywał, w co ludzie wierzą. Może starszym siostrom wcale nie powiodłoby się lepiej, gdyby to one dobijały targu z Ludem Morza.

Aviendha, gdy tylko dotarła na szczyt wzgórza, od razu podeszła na skraj urwiska i teraz stała tam, zwrócona ku północy, nieruchoma jak posąg. Po jakiejś chwili Elayne zrozumiała, że przyjaciółka bynajmniej nie podziwia krajobrazu; po prostu tylko patrzyła. Zebrawszy spódnice trochę niezdarnie, bo w rękę trzymała aż trzy *angreale*, przyłączyła się do niej.

Zbocze opadało w dół na jakieś pięćdziesiąt stóp, aż do gajów oliwnych, strome zleby zębrowanego szarego kamienia, całkiem nagie, jeśli nie liczyć rozproszonych usychających krzaków. Groźba upadku nie była może aż tak straszna, ale równocześnie to nie to samo, kiedy patrzy się na ziemię z wierzchołka drzewa. O dziwo, od patrzenia w dół Elayne odrobinę zakręciło się w głowie. Aviendha dla odmiany zdawała się nie zauważać przepaści ziejącej tuż pod stopami.

– Coś cię niepokoi? – spytała cicho Elayne.

Aviendha nadal wpatrywała się w dal.

– Zawiodłam cię – powiedziała na koniec. Głos miała beznamiętny, martwy. – Nie umiem właściwie ukształtować bramy i na oczach wszystkich przyniosłam ci hańbę. Uznałam, że tamten sługa to jakiś Naznaczony Cieniem, i zachowałam się gorzej niż głupio. Atha'an Miere patrzy źle na Aes Sedai, a mnie ignorują, jakbym była pieskiem Aes Sedai, który ujada na ich rozkaz. Udawałam,

że potrafię zmusić Służkę Cienia do gadania, ale żadnej *Far Dareis Mai* nie wolno przesłuchiwać jeńców, jeśli nie jest poślubiona włócznie od dwudziestu lat, a jeśli nie nosi jej przynajmniej od dziesięciu, nie ma prawa nawet uczestniczyć w przesłuchaniu. Jestem słaba i miękka, Elayne. Dłużej hańby nie zniosę. Umrę, jeśli raz jeszcze cię zawiodę.

Elayne zaschło w ustach. Zabrzmiało to trochę zbyt poważnie, przypominało prawdziwe ślubowanie. Złapała Aviendhę za ramię i odsunęła ją od przepaści. Aielowie czasami zachowywali się równie dziwnie, jak w wyobrazeniach Atha'an Miere. Nie wierzyła wprawdzie, że Aviendha rzeczywiście skoczy w przepaść, ale nie zamierzała ryzykować. Na szczęście przyjaciółka nie stawiała oporu.

Pozostałe kobiety zdawały się pogrążone we własnych myślach albo zatopione w rozmowach ze swymi towarzyszkami. Nynaeve wdała się w jakąś dyskusję z przedstawicielkami Ludu Morza, ścisła warkocz obiema dłońmi, od tłumionego krzyku twarz jej pociemniała i przypominała z daleka ich oblicza, one zaś słuchały jej ze wzgardliwą arogancją. Merilille i Sareitha nadal piastowały Czarę, ale Careane próbowała rozmawiać z kobietami z Rodziny, jednak bez większego powodzenia. Reanne odpowiadała jej, mrugając niepewnie i oblizując wargi, Kirstian tylko stała i trzęsła się bez słowa, Garenia natomiast z całej siły zaciskała powieki. Elayne na wszelki wypadek mówiła jednak cichym głosem, bo była to sprawa tylko między nimi dwiema.

– Nikogo nie zawiodłaś, a mnie już wcale, Aviendha. Nigdy nie ściągnęłaś na mnie żadnej hańby i cokolwiek mówisz, nie wydaje mi się to możliwe. – Aviendha mrugnęła z powątpiewaniem. – A słaba i miękka jesteś, jak słaby i miękki jest kamień. – Był to chyba najdziwniejszy komplement, jaki komukolwiek w życiu powiedziała, jednak Aviendha wreszcie zaczęła sprawiać wrażenie uspokojonej. – I założę się, że kobiety Ludu Morza boją się ciebie do utraty zmysłów. – Kolejny osobliwy komplement, tym razem Aviendha uśmiechnęła się blado. Elayne zrobiła głęboki wdech. – A co do Ispan... – Nie miała ochoty nawet się nad tym zastanawiać. – Wydawało mi się, że potrafię zrobić, co trzeba, ale wystarczy, że o tym pomyślę, zaraz pocą mi się ręce i przewraca w żołądku. Zwymiotowałabym, gdybym bodaj spróbowała. A więc to nas łączy.

Aviendha wykonała znak w Mowie Panien, mówiący: „Zaskakujesz mnie” – zaczęła uczyć niektórych znaków Elayne, twierdząc równocześnie, że to zabronione. Najwyraźniej do prawie-siostrów zakaz się nie stosował. Tyle że wcale nie o to chodziło. Aviendha zaś uważała, że jej wyjaśnienie jej dostatecznie jasne.

– Nie chciałam powiedzieć, że mnie nie byłoby na to stać – odparła dźwięcznym głosem. – Tylko że nie wiem, jak się to robi. Najprawdopodobniej zabiłabym ją w trakcie. – Uśmiechnęła się nagle, o wiele szerzej i cieplej niż przedtem, musnęła dłonią policzek Elayne. – Obie nosimy w sobie słabość – wyszeptała – ale nie przysparza nam ona hańby, dopóki tylko my dwie o niej wiemy.

– Masz rację – odparła omdlałym głosem Elayne. Ona po prostu nie wiedziała, jak się to robi! – To oczywiste. – Ta kobieta kryła w zanadrzu więcej niespodzianek niż bard. – Bierz – powiedziała, wciskając do ręki Aviendhy figurkę kobiety spowitej długimi włosami. – Użyj jej w kręgu. – Nie było jej łatwo rozstać się z *angrealem*. Wcześniej sama zamierzała uciec się do jego pomocy, ale same uśmiechy nie wystarczą, należało bardziej skutecznie poprawić nastrój jej przyjaciółki – nastrój jej prawie-siostry. Aviendha obróciła figurkę w dłoniach; Elayne czuła nieomal, że stara się wymyślić jakiś sposób jej zwrócenia. – Aviendha, znasz chyba to uczucie, gdy obejmujesz największą ilość *saidara*, jaką jesteś w stanie zaczerpnąć? Wyobraź sobie, jak to będzie, gdy przeniesiesz po dwakroć więcej. Mocno się zastanów. Chcę, żebyś użyła tego *angreala*. Zrobisz to?

I choć na twarzach Aielów rzadko odbijały się jakiegokolwiek uczucia, to teraz zielone oczy Aviendhy zognomniały. W kontekście swych poszukiwań często rozmawiały o naturze *angreali*,

prawdopodobnie jednak możliwość posłużenia się jednym z nich nigdy naprawdę nie przyszła jej do głowy.

– Dwa razy tyle – mruknęła. – Objąć aż tyle. Ledwie potrafię to sobie wyobrazić. To bardzo wspaniałomyślny dar, Elayne. – Ponownie dotknęła policzka Elayne, przyciskając czubki palców; u Aielów był to odpowiednik pocałunku i uścisku.

Cokolwiek Nynaeve miała do powiedzenia kobietom z Ludu Morza, nie zabrało jej to wiele czasu. Po chwili odeszła na bok, z furią szarpiąc fałdy spódnicy. Zbliżając się do Elayne, zmarszczyła czoło na widok Aviendhy stojącej na skraju urwiska. Zazwyczaj zaprzeczała, jakoby miała lęk wysokości, ale stanęła w taki sposób, by mieć je między sobą a przepaścią.

– Muszę z tobą pogadać – mruknęła, prowadząc Elayne nieco dalej po grzbiecie wzgórza. Dalej od przepaści. A równocześnie tak, by nikt ich nie mógł podsłuchać. Zrobiła kilka głębokich wdechów, zanim zaczęła, zniżonym głosem, nie patrząc przy tym na Elayne.

– Ja... zachowywałam się jak idiotka. To wina tego przekłętego mężczyzny! Kiedy nie ma go przy mnie, ledwie potrafię myśleć o czymś innym, a kiedy jest, to ledwie w ogóle myślę! Musisz... musisz mi zwracać uwagę... kiedy robię z siebie idiotkę. Polegam na tobie, Elayne. – Nadal mówiła cichym głosem, ale wkradły się weń tony nieomal płaczliwe. – Nie mogę sobie pozwolić na to, by tracić rozum z powodu mężczyzny, nie teraz.

Elayne była tak wstrząśnięta, że na chwilę odebrało jej mowę. Nynaeve, która przyznaje, że robi z siebie idiotkę? Równie dobrze można się spodziewać, że zaraz słońce zzielenieje!

– To nie jest wina Lana i ty o tym wiesz, Nynaeve – powiedziała wreszcie. Odepchnęła od siebie wspomnienie tego, co ostatnio myślała o Randzie. To nie było to samo. Ale ta sposobność to chyba dar od Światłości. Nazajutrz Nynaeve zapewne zechce wytargać ją za uszy, jeśli jej powie, że zachowuje się głupio. – Weź się w garść, Nynaeve. Przestań się zachowywać jak jakaś trzpiotka. – Zdecydowanie to nie to samo, co ona myślała o Randzie! Aż tak bardzo nie zawrócił jej w głowie! – Jesteś Aes Sedai i powinnaś dawać przykład. Dawać przykład! I myśleć!

Nynaeve złożyła dłonie w małą rzywkę i spuściła głowę.

– Postaram się – wybąkała. – Naprawdę. Ale ty nie wiesz, jak to jest. Ja... przepraszam.

Elayne omal się nie zakrztusiła. Na domiar wszystkiego Nynaeve przeprasza? Nynaeve zawstydzona? Może jest chora?

Ale wszystko oczywiście nie trwało długo. Nynaeve zniechęta spojrzawszy krzywo na *angreal* i mruknęła:

– Dałaś jeden Aviendzie, prawda? Cóż, mam nadzieję, że ta dziewczyna jest teraz w lepszej dyspozycji – ciągnęła dalej, sztucznie ożywionym tonem. – Szkoda, że musimy użyczyć jednego Ludowi Morza. Założę się, że zechcą go potem zatrzymać! No cóż, niech tylko spróbują! Który jest mój?

Elayne westchnęła i podała jej bransoletę z pierścieniami; Nynaeve odeszła, niezdarnie próbując nałożyć ozdobę i głośno pokrzykując na pierścienie, które najwidoczniej nie chciały wejść na palce. Czasami naprawdę trudno było się zorientować, czy Nynaeve kieruje innymi, czy też się nad nimi znęca. I to w sytuacji, kiedy rzeczywiście kierowała.

Czara Wiatrów spoczywała pośrodku szczytu wzgórza na białych tkaninach, w które dotąd była owinięta – płytki, ciężki dysk z przezroczystego kryształu, o średnicy dwóch stóp, wewnątrz zdobiony ornamentem w kształcie gęstego kłębowiska chmur. Piękny i misterny przedmiot, a jednak niewyrafinowany, kiedy pomyśleć o tym, czego jest w stanie dokonać. Czego, jak miały nadzieję, dokona. Nynaeve zajęła swoje miejsce nieopodal, *angreal* wreszcie zatrzasnął się na jej przegubie z głośnym trzaskiem. Rozmasowała dłoń, zdziwiona, że łańcuszki jakoś wcale jej nie

przeszkadzająbransoleta pasowała jak ulał. Były tam już trzy kobiety z Rodziny, Kirstian i Garenia skulone za plecami Reanne i jakby jeszcze bardziej zaleźnione niż zazwyczaj, jeśli to w ogóle możliwe. Poszukiwaczki Wiatru nadal stały w szeregu za Renaile, w odległości prawie dwudziestu kroków.

Elayne podkasła swoje dzielone spódnice i dołączyła do Aviendhy stojącej obok Czary. Podejrzliwie przyjrzała się kobietom z Ludu Morza. Czy one zamierzały robić jakieś trudności? Od chwili, gdy usłyszała pierwszą wzmiankę o kobietach z farmy, które mogą być dostatecznie silne, by się przyłączyć do kręgu, cały czas tego się bała. Atha'an Miere przywiązywały tak wielkie znaczenie do swych miejsc w hierarchii społecznej, że mogłyby tym zawstydzić Białą Wieżę, a obecność Garenii oznaczała, że Renaile din Calon Błękitna Gwiazda, Poszukiwaczka Wiatrów Mistrzynie Statków Atha'an Miere nie wejdzie do kręgu. Że nie powinna wejść.

Renaile ze zmarszczonymi brwiami przyjrzała się kobietom stojącym wokół Czary. Zdawała się je oceniać, osądzać ich zdolności.

– Talaan din Gelyn – warknęła niespodzianie – zajmij swoje miejsce! – Zabrzmiało to jak trzaśnięcie z bicia! Nawet Nynaeve aż podskoczyła.

Talaan ukloniła się nisko, przyciskając dłoń do serca, po czym podbiegła do Czary. Gdy tylko się poruszyła, Renaile znowu warknęła:

– Metarra din Junalle, zajmij swoje miejsce! – Metarra, pulchna, a przy tym krzepka, popędziła, depcząc po piętach Talaan. Żadna z uczennic nie osiągnęła jeszcze takiego wieku, by już zyskać prawo do tak zwanego „solnego imienia”.

Renaile teraz już prędko wykrzykiwała kolejne imiona, wywołując Rainyn i dwie inne Poszukiwaczki Wiatru; wszystkie skwapliwie przeszły na wyznaczone miejsca, choć nie aż tak szybko jak uczennice. Sądząc po liczbie medalionów, Naime i Rysael były wyższe rangą niż Rainyn, przepelniające je poczucie godności nadawało im wrażenie władczych, mimo iż były znacznie słabsze od niej. Nagle Renaile urwała, tylko na moment, który stanowił jednak łatwo zauważalną przerwę w rytmicznym skandowaniu.

– Tebreille din Gelyn Południowy Wiatr, zajmij swoje miejsce! Caire din Gelyn Biegnąca Fala, przejmij dowodzenie!

Elayne poczuła ulgę, że Renaile nie wymieniła własnego imienia, ale trwała ona tylko tak długo, jak milczenie tamtej. Tebreille i Caire wymieniły spojrzenia, Tebreille patrzyła ponuro, w oczach Caire rozblęzło zadowolenie z samej siebie, i dopiero wtedy podeszły do Czary. Obie Poszukiwaczki Wiatru Mistrzynie Klanu wyróżniało po osiem kolczyków oraz mnogość wisiorków. Nad nimi stała jedynie Renaile; wśród kobiet Ludu Morza zebranych na szczycie wzgórza jedynie Dorile dorównywała im rangą. Caire, odziana w żółte brokaty była nieco wyższa, Tebreille w brokatowej zieleni miała nieco bardziej surowe rysy, a obie były co najmniej przystojne i nie trzeba było znać ich nazwisk, by się domyślić, że są siostrami. Miały takie same duże, niemal czarne oczy, takie same proste nosy, identyczne silnie zaznaczone podbródki. Caire w milczeniu wskazała miejsce po swojej prawicy; Tebreille bez słowa, ale też bez wahania stanęła tam, gdzie przykazała jej siostra, niemniej twarz miała kamienną. Razem z nią Czarę otaczał teraz krąg złożony z trzynastu kobiet, stojących ramię przy ramieniu. W oczach Caire nieomal tańczyły iskry. Oczy Tebreille zasnuwał ołów. Elayne przypomniało się kolejne powiedzonko Lini: „Żaden nóż nie jest tak ostry jak siostrzana nienawiść”.

Caire omiotła srogim wzrokiem kobiety otaczające Czarę, jeszcze nie połączone właściwym kręgiem, jakby usiłowała zapamiętać każdą twarz. A może po to, by jej grymas wraził im się w pamięć. Otrząsnąwszy się, Elayne pospiesznie podała Talaan ostatni *angreal*, niewielkiego żółwia z

bursztynu, i zaczęła wyjaśniać, jak należy się nim posłużyć. Była to prosta czynność, a jednak każdy, kto by nie wiedział jak, mógłby manipulować przy nim godzinami. Nie dane jej było wypowiedzieć bodaj pięć słów.

– Cisza! – ryknęła Caire. Wsparła wytatuowane pięści na biodrach i rozstawiła szeroko bose stopy, zupełnie jakby się znajdowała na pokładzie statku płynącego do bitwy. – Żadnego gadania na stanowiskach bez mojego przyzwolenia. Talaan, po powrocie na swój statek natychmiast stawisz się do raportu. – Nic w głosie Caire nie sugerowało, że przemawia do własnej córki. Talaan skłoniła się głęboko, przyciskając dłoń do serca, i wymruczała coś bezgłośnie. Caire parsknęła z pogardą... i spojrzała na Elayne spode łba, dając do zrozumienia, że jej również najchętniej kazałaby stanąć do raportu... i dopiero potem podjęła dalej perorę, którą zapewne słyszano u stóp wzgórza. – Dzisiaj zrobimy coś, czego nie robiono od Pęknięcia Świata, kiedy nasi przodkowie walczyli z rozszalałym wiatrem i falą. Przeżyli za sprawą Czary Wiatrów i łaski Światłości. Dzisiaj użyjemy Czary Wiatrów, którą utraciliśmy przed ponad dwoma tysiącami lat i którą dziś odzyskałyśmy. Badałam starożytną wiedzę, badałam zapiski z czasów, kiedy nasze przodkinie uczyły się dopiero, czym jest morze i na czym polega Tkanie Wiatrów, kiedy do naszej krwi sączyła się sól. Ja wiem wszystko, co wiadomo na temat Czary Wiatrów, wiem więcej niż ktokolwiek. – Popatrzyła z satysfakcją na siostrę, ale Tebreille zignorowała jej spojrzenie. Co tylko jeszcze pogłębiło satysfakcję Caire. – Czego Aes Sedai nie potrafią zrobić, ja dokonam dzisiaj, jeśli to miłe Światłości. Żądam, by wszystkie kobiety pozostały na swych miejscach aż do samego końca. Nie będę tolerowała słabości.

Pozostałe kobiety Atha'an Miere wyraźnie słuchały tej przemowy tak, jak po nich oczekiwano, za to członkinie Rodziny gapiły się na Caire ze zdumieniem. Zdaniem Elayne określenie „napuszona” byłoby tu o wiele za słabe; Caire wyraźnie nie miała wątpliwości, że Światłości będzie to miłe, i zaiste biada jej, gdyby się okazało inaczej! Nynaeve wzniosła oczy ku niebu, a potem otworzyła usta. Caire uprzedziła ją jednak.

– Nynaeve – powiedziała głośno Poszukiwaczka Wiatru -zademonstrujesz nam teraz swoją wprawę w łączeniu kręgu. Do dzieła, kobieto, i to żywo!

Nynaeve w odpowiedzi z całej siły zacisnęła powieki. A jej usta... wykrzywił iście spazmatyczny grymas. Robiła taką minę, jakby zaraz miała jej żyłka pęknąć.

– Zakładam, że to oznacza pozwolenie na odezwanie się! – wymamrotała. Na szczęście zbyt cicho, by usłyszała to Caire stojąca po przeciwległej stronie kręgu. Otworzyła oczy i na jej ustach wykwitł uśmiech, który wyglądał dość strasznie w porównaniu z wyrazem twarzy. Wyglądała, jakby nie tylko miała zgagę, ale jeszcze cierpiała na wiele innych dolegliwości.

– Przede wszystkim należy objąć Prawdziwe Źródło, Caire. – Nynaeve otoczyła się nagle świetlistą łuną *saidara* i Elayne poczuła, że przyjaciółka korzysta już z *angreala*. – Zakładam, że musisz wiedzieć, jak to zrobić. – Caire gniewnie zacisnęła usta, ale Nynaeve zignorowała to i mówiła dalej: – Elayne będzie mi asystowała przy pokazie. Czy mamy twoje pozwolenie?

– Przygotowuję się do objęcia Źródła – wtrąciła prędko Elayne, zanim Caire zdążyła wybuchnąć – ale tak naprawdę wcale go nie obejmę. – Otworzyła się, a Poszukiwaczki Wiatru pochyliły się, przyglądając z napięciem, mimo iż jeszcze nie było na co patrzeć. Nawet Kirstian i Garenia do tego stopnia zapomniały o swym strachu, że sprawiały wrażenie zainteresowanych. – Kiedy już dojdę do tego miejsca, reszta będzie należała do Nynaeve.

– Ja teraz sięgnę do niej... – Nynaeve urwała, spoglądając na Talaan. Elayne tak naprawdę nie miała jej okazji niczego powiedzieć. – Procedura jest zasadniczo taka sama jak z *angrealem* – podjęła wątek Nynaeve, zwracając się do szczupłej uczennicy. Caire warknęła coś, a Talaan próbowała spode łba obserwować poczynania Nynaeve. – Otwórzcie się na Źródło poprzez *angreal*,

tak jak ja to zrobię za pośrednictwem Elayne. Tak jakbyście chciały jednocześnie objąć *i angreal*, i Źródło. To wcale nie jest trudne, naprawdę. Przyjrzyjcie się uważnie, a same się przekonacie. Kiedy przyjdzie wasza kolej na wejście do kręgu, po prostu ustawcie się na skraju. Tym sposobem, gdy będę obejmowała Źródło za waszym pośrednictwem, będę je również obejmowała za pośrednictwem *angreala*.

Mimo koncentracji, albo właśnie przez nią, na czole Elayne zaperlił się pot. W każdym razie upał nie miał z tym nic wspólnego. Prawdziwe Źródło zapraszało, pulsowało, a ona pulsowała razem z nim. Żądało. Im dłużej tak trwała, o włos od dotknięcia Mocy, tym silniejsze było pragnienie, potrzeba. Zaczęła nieznacznie dygotać. Vandene powiedziała jej, że im dłużej się przenosi, tym gorsze staje się oczekiwanie.

– Patrz na Aviendhę – powiedziała Nynaeve do Talaan. – Ona wie, jak... – Zerknęła na twarz Elayne i dokończyła pospiesznie: – Patrz!

Nie było dokładnie tak jak przy korzystaniu z *angreala*, choć bardzo podobnie. I wcale nie należało się spieszyć; mówiąc oględnie, Nynaeve nie miała delikatnej ręki. Elayne czuła się, jakby ktoś nią potrzasał, fizycznie niby nic się nie działo, a jednak zdawało się jej, że ciałem miota we wszystkie strony, jakby spadała na łeb na szyję z jakiejś góry. I co gorsza, pchało ją tak, z bolesną powolnością, w stronę nieuchronnego objęcia *saidara*. Trwało to krócej niż mgnienie oka, a, wydawało się, że wiele godzin, wręcz dni. Miała ochotę skowycić, a nie była w stanie nawet zaczerpnąć oddechu. I nagle, zupełnie jakby tama pękła, Jedyna Moc przepłynęła przez nią strumieniem, potokiem życia i radości, rzeką rozkoszy i wtedy dopiero wypuściła powietrze długo wstrzymywane w płucach, wzdychając głośno z zadowolenia i ulgi, tak przytłaczającej, że aż ugięły się pod nią nogi. Ledwie się powstrzymała, by nie zacząć głośno dyszeć. Chwiejąc się i zbierając w sobie, obdarzyła Nynaeve surowym spojrzeniem, a tamta przepraszająco wzruszyła ramionami. Dwa razy w ciągu jednego dnia! Słońce chyba naprawdę stanie się zielone.

– Teraz kontroluję strumień *saidara* płynący od niej i mój własny również – ciągnęła Nynaeve, nie patrząc Elayne w oczy – i tak będzie to trwało, póki jej nie uwolnię. Nie ma obawy, że ta, która kieruje kręgiem – tu skrzywiła się w stronę Caire i chrząknęła znacząco – może was zmusić do zaczerpnięcia zbyt wiele. To naprawdę jest tak jak przy korzystaniu z *angreala*. *Angreal* stanowi bufor wobec nadmiaru Mocy i krąg w pewnym stopniu chroni was w taki sam sposób, nie pozwalając przenieść za dużo. W rzeczy samej, w kręgu nie jesteście w stanie zaczerpnąć nawet tyle, ile wynosi granica waszych możliwości, bo w prze...

– To jest niebezpieczne! – wtrąciła się Renaile, przepychając się między Caire i Tebreille. Jej grymas przeznaczony był tak dla Nynaeve, jak i Elayne, a także dla sióstr poza kręgiem. – Powiadasz, że jedna kobieta może tak zwyczajnie pojmać drugą, zniewolić, wykorzystać? Od jak dawna wy, Aes Sedai, o tym wiecie? Ostrzegam was, jeśli będziecie próbowały wykorzystać jedną z nas... – Tym razem to jej przerwano.

– To nie tak działa, Renaile. – Kiedy Sareitha delikatnie dotknęła ramienia Garenii, która natychmiast odsunęła się na bok, żeby ją przepuścić, stojąca obok Kirstian nie potrzebowała nawet takiej zachęty. Młoda Brązowa siostra zmierzyła Nynaeve niepewnym wzrokiem, po czym splótła ręce na piersiach i zaczęła mówić pouczającym tonem, jakby zwracała się do klasy nowicjuszek. I jednocześnie odzyskała opanowanie; być może w tym momencie Renaile rzeczywiście wydała się jej uczennicą. – Wieża badała ten fenomen przez wiele lat, już w czasach poprzedzających Wojny z Trollokami. Ja sama przeczytałam wszystkie zapiski z tych badań, jakie przetrwały w Bibliotece Wieży. Ostatecznie dowiedziono, że jedna kobieta nie może połączyć się z drugą wbrew jej woli. Tego po prostu nie można zrobić; do niczego wówczas nie dojdzie. Warunkiem jest dobrowolne

poddanie się, identyczne jak w przypadku otwarcia się na *saidara*. – I chociaż mówiła to wszystko z głębokim przekonaniem, Renaile nadal marszczyła brwi; zbyt wielu ludzi wiedziało, że Aes Sedai potrafią obejść Przysięgę wzbraniającą kłamstwa.

– A po co one to badały? – spytała podniesionym głosem Renaile. – Dlaczego Biała Wieża interesowała się czymś takim? A może wy, Aes Sedai, nadal się tym zajmujecie?

– To nedorzecznosc. – Głos Sareithy ociekał rozdrażnieniem. – Skoro już koniecznie chcesz wiedzieć, powodował nimi problem mężczyzn, którzy potrafią przenosić. W owych czasach Pęknięcie Świata wciąż jeszcze żywe było we wspomnieniach. Nie sądzę, by obecnie nawet wśród siostr znalazło się wiele takich, które o tym pamiętają... wiedza ta przestała stanowić element obowiązkowych nauk już w czasach poprzedzających Wojny z Trollokami... niemniej jednak mężczyzn też można wprowadzać do kręgu, a ponieważ krąg nie rozpada się nawet wtedy, gdy zaśniesz... Rozumiesz chyba, jakie płyną z tego korzyści. W każdym razie okazało się to całkowitą porażką, niestety. Wracając do sedna, powtarzam raz jeszcze, nie da się przymusić kobiety do połączenia. Spróbuj, jeśli wątpisz. Sama się przekonasz.

Renaile przytaknęła, nareszcie się godząc na wyjaśnienia; wymowy prostego, jednoznacznego faktu nawet Aes Sedai raczej nie były w stanie nagiąć do żadnej interpretacji. Elayne jednak ciągle rozmyślała. Co było w tych zapiskach, które się nie zachowały? W którymś momencie zauważyła drobną zmianę w modulacji głosu Sareithy. Miała swoje pytania. Ale później, kiedy dookoła nie będzie tylu czułych uszu.

Gdy Renaile i Sareitha odeszły na bok, Nynaeve gwałtownie rozpostarła spódnicę, najwyraźniej zirytowana, że jej przerwano, i znowu otworzyła usta.

– Kontynuuj pokaz, Nynaeve – rozkazała Caire surowym głosem. Jej śniada twarz była wprawdzie gładka jak powierzchnia stawu skuta lodem, ale zniknęło gdzieś wcześniejsze bezgraniczne samozadowolenie.

Nynaeve przez moment bezgłośnie poruszała ustami, a gdy wreszcie udało jej się dobrać z nich dźwięk, ciągnęła dalej tak pospiesznie, jakby się bała, że ktoś jej znowu przeszkodzi.

Następna część wykładu dotyczyła kontroli nad kręgiem. Panowania nad przenoszonym strumieniem *saidara* również należało zrzec się dobrowolnie i Elayne, nawet po tym, jak już sięgnęła ku Nynaeve, przez moment wstrzymywała oddech, póki nie poczuła tego subtelnego przesunięcia, które oznaczało, że to ona teraz kontroluje przepełniającą ją Moc oraz tę część strumienia, rzecz jasna, która przepływała przez Nynaeve. Dotąd nie była pewna, czy im się uda. Nynaeve potrafiła bez trudu utworzyć krąg, nieważne, że mało finezyjnie, ale przekazywanie nadzoru również wymagało pewnej uległości. Nynaeve miała nieliczne problemy z rezygnacją z kontroli, konieczną, by stawać się uczestniczką kręgu, tak jak kiedyś miała trudności z poddaniem się *saidarowi*. Dlatego właśnie to Elayne teraz sprawowała nadzór nad Mocą. Ostatecznie tę rolę przejmie Caire, a mogło się okazać, że Nynaeve nie da rady powtórnie okazać jej uległości. Nawet tamte przeprosiny pewnie były dla niej znacznie łatwiejsze.

Elayne połączyła się z kolei z Aviendhą, dzięki czemu Talaan mogła rzeczywiście zobaczyć, jak to się robi za pomocą *angreala*, przynajmniej tak dalece, jak to było możliwe, i wszystko poszło jak z płatka. Aviendha szybko się uczyła i połączenie przyszło jej bardzo łatwo. Talaan, jak się okazało, też nie miała problemów z nie znaną jej wcześniej operacją, bez wahania dołączyła swój jeszcze okazalszy, bo wspomagany *angrealem* strumień. Elayne wprowadzała je jedną po drugiej, niemalże dygocząc od rzeki Mocy, która wlała się do jej wnętrza. Żadna jeszcze nie zaczerpnęła tyle, ile była w stanie, ale razem dało to wiele, zwłaszcza że korzystały z *angreali*. Z każdą dodatkową porcją *saidara* świadomość Elayne wspinała się na coraz wyższy poziom. Czowała ciężkie zapachy bijące od



szkatulek ze złotej koronki, które Poszukiwaczki Wiatrów nosiły na szyjach, wszystkie razem i każdy oddzielnie. Potrafiła wyodrębnić najdrobniejszą zmarszczkę i fałdę na ich ubraniach tak wyraźnie, jakby przycisnęła nos do tych tkanin -nawet jeszcze wyraźniej. Czuła najłżejsze podmuchy powietrza owiewającego jej włosy i skórę, czuła tę pieśczołę, której nigdy by nie zaznała bez Mocy.

Jej świadomość ogarniała wszak znacznie więcej. Połączenie do pewnego stopnia przypominało więz ze Strażnikiem, było równie intensywne i w jakiś sposób bardziej intymne. Dowiedziała się, że w trakcie wspinaczki na wzgórze Nynaee nabawiła się bolesnego pęcherza na prawej pięcie; Nynaee zawsze dużo gadała o dobrych, mocnych butach, ale niestety, miała słabość do pantofli z dużą liczbą haftów. Gdy zerknęła na nią, zobaczyła twarz zastygłą w grymasie, przeznaczonym dla Caire, ręce skrzyżowane na piersiach i ubrane *angrealem* palce, które bawiły się warkoczem przerzuconym przez prawe ramię; z pozoru tchnęła spokojem, a jednak w jej wnętrzu wrzała burza emocji. Lęk, zmartwienie, oczekiwanie, irytacja, czujność i niecierpliwość tłukły się wzajem o siebie, od czasu do czasu jedno uczucie brało górę, tłumiąc wszystkie pozostałe, czuła to jak zmarszczki ciepła i fale gorąca, które lada chwila mogły buchnąć płomieniami. Każde takie zarzewie Nynaee prędko dusiła, ale one stale wykwiwały na powrót. Elayne zdawało się, że potrafi je nazwać, ale było tak, jak z czymś, co się dostrzega kątem oka, a co znika, kiedy się odwróci głowę.

O dziwo, Aviendhę też przepełniał lęk, ale lęk niewielki, trzymany w ryzach, całkowicie podporządkowany determinacji. Garenia i Kirstian, które trzęsły się wyraźnie, były bliskie najczystszeprerażenia, aż dziw brał, iż w ogóle potrafiły objąć Źródło. Uczuciem, które wypełniało Reanne aż po brzegi, był zapał, i nic to, że jednocześnie gwałtownymi ruchami wygładzała spódnice. A co do Atha'an Miere... Nawet od Tebreille tchnęło czujnością i wcale nie trzeba było widzieć ukradkowych spojrzeń Metarry i Rainyn, by wiedzieć, że ich celem jest Caire, która z kolei obserwowała je wszystkie, niecierpliwa i władcza.

Ją Elayne zostawiła na sam koniec i wcale nie dziwiło, że musiała wykonać cztery próby – cztery! – by wprowadzić tę kobietę do kręgu. Caire nie była bardziej uległa niż Nynaee. Elayne pozostawała rozpaczliwa nadzieja, że została wybrana ze względu na zdolności, a nie rangę.

– Teraz przekażę tobie krąg – powiedziała do Poszukiwaczki Wiatru, kiedy ostatecznie jakoś się powiodło. – Jeśli sobie przypomnisz, co ja robiłam z Ny... – Słowa na moment uwięzły jej w gardle, kiedy kontrola nad kręgiem została wydarta jej siłą: miała wrażenie, że nagły poryw wiatru zdarł z niej ubranie albo wyszarpnął kości z jej ciała. Gwałtownie wypuściła oddech, co zabrzmiało, jakby splunęła. No cóż, niech i tak będzie.

– Dobrze – orzekła Caire, zacierając ręce. – Dobrze. – Skupiła całą uwagę na Czarze, badała ją, przechylając głowę. Cóż, może nie całą uwagę. Kiedy Reanne próbowała usiąść, Caire, nie podnosząc wzroku, warknęła: – Zostań na stanowisku, kobieto! To nie są jakieś rybie igraszki! Stój, dopóki ci nie pozwolę!

Zaskoczona Reanne wyprostowała się gwałtownie, szepcząc coś bezgłośnie, ale, jeśli szło o Caire, równie dobrze mogłaby przestać istnieć. Poszukiwaczka Wiatru nie odrywała wzroku od płaskiego kryształowego naczynia. Elayne czuła w sobie tyle siły, że chyba potrafiłaby poruszyć górę. I coś jeszcze czuła, coś bardzo małego, co czym prędzej zdusiła. Niepewność? Jeśli po tym wszystkim okaże się, że ta kobieta naprawdę nie wie, co robić...

W tym momencie Caire zaczerpnęła z samych głębin Źródła. Elayne poczuła, jak płynie przez nią strumień *saidara*, niemal tak szeroki, jaki była w stanie utrzymać; nagle zapłonął oślepiający pierścień światła, który połączył kobiety tworzące krąg, jaśniejszy tam, gdzie stały korzystające z *angreali*, ale w żadnym miejscu nie dający się określić jako słaby. Obserwowała uważnie przenoszącą Caire, która tworzyła skomplikowany splot z wszystkich pięciu Mocy, czteroramienną

gwiazdę, którą następnie położyła na Czarze, z doskonałą precyzją – tego Elayne z jakiegoś niewiadomego powodu była pewna. Gwiazda usadowiła się na kryształowej powierzchni i wtedy Elayne głośno westchnęła. Raz sama przeniosła cienki strumyczek do Czary – w *Tel'aran'rhiod*, tylko do odbicia Czary, choć i tak wiele ryzykowała – i naonczas czysty kryształ stał się jasnoniebieski, a wyryte w nim chmury nagle ożyły. A w tym momencie Czara Wiatrów stała się całkiem niebieska, jaskrawym błękitem letniego nieba, na którego tle zakłębiły się białe wełniste obłoki.

Czteroramienna gwiazda przekształciła się w pięcioramienną, skład splotu zmienił nieznacznie i we wnętrzu Czary zafalowały ogromne, wzburzone fale zielonego morza. Pięciu ramionom wyrosło szóste i nagle zaśniło inne niebo, o barwie innego błękitu, ciemniejsze, może zimowe, z purpurowymi chmurami nabrzmiałymi deszczem, może śniegiem. Siedem ramion i szarozielone morze wściekło się szaleństwem sztormu. Osiem ramion i niebo. Dziewięć i znowu morze. Elayne zaś poczuła nagle, że teraz sama Czara czerpie *saidar* rozszalałym potokiem, tak wielkim, że nie poradziłby sobie z nim nawet cały krąg.

Zmiany we wnętrzu Czary następowały po sobie gładko, morze przemieniało się w niebo, fale w chmury, aż wreszcie ze spłaszczonego, kryształowego dysku wyskoczyła kręta, spleciona kolumna *saidara*, Ogień i Powietrze, Woda, Ziemia i Duch, kolumna skomplikowanej koronki, tak szeroka jak sama Czara, kolumna, która pięła się coraz wyżej i wyżej ku niebu, aż w końcu jej szczyt zniknął z zasięgu wzroku. Caire nadal tkąła, z twarzą zlaną strumieniami potu; w pewnym momencie zatrzymała się z pozoru tylko po to, by zetrzeć z powiek słone krople i jednocześnie przyjrzeć się obrazom w Czarze, po czym utworzyła nowy splot. Wzór splotu w gęstej kolumnie zmieniał się z każdym nowym wątkiem, subtelnie powielając to, co utkała Caire.

Elayne pojęła, że jednak słusznie postąpiła, nie chcąc skupiać na sobie splotów tego kręgu – to, co robiła ta kobieta, stanowiło owoc nieporównanie dłuższych lat badań niż te skromne doświadczenia, jakie ona miała za sobą. Nie było nawet porównania. I nagle zrozumiała coś jeszcze. Stale zmieniająca się koronka *saidara* oplatała się wokół czegoś niewidzialnego, co jednak nadawało pełnię jej formie. Z trudem przełknęła ślinę. Czara czerpała nie tylko *saidara*, ale również *saidina*.

Wystarczyło jedno spojrzenie na pozostałe kobiety, by prysła cała nadzieja, że żadna oprócz niej się nie domyśla. Połowa kobiet wpatrywała się na skręconą kolumnę z obrzydzeniem, które winno się rezerwować chyba tylko dla Czarnego. Nad emocjami, które Elayne postrzegала swym umysłem, zaczynał brać górę strach. W duszach kilku rządził strach porównywalny z tym, który przepelniał Garenię i Kirstian. Jeśli już o tym mowa, aż dziw brał, że te dwie jeszcze nie pomdlały. Nynaeve była bliska wymiotów, co uwidoczniło się na jej znieczuła zbyt otępiełej twarzy. Aviendha zdawała się tylko zewnętrźnie spokojna, ale wewnątrz ten drobny strach drżał i pulsował, usiłując się rozpanoszyć.

U Caire Elayne czuła tylko determinację, równie stalową jak ta, która malowała się na twarzy tamtej. Nic nie przeszkodzi Caire w drodze do wyznaczonego celu, z pewnością zaś nie będzie to zwykła obecność skażonego przez Cień *saidina* wtopionego w jej splot. Nic jej nie zatrzyma. Nieprzerwanie obrabiała strumienie i nagle z niewidocznego szczytu kolumny wykwitły pajęczyny *saidara*, podobne do nierównych szprych koła, niemalże lity wachlarz rozkładający się ku południu, inne, rzadsze pęki wyciągnęły się ku północy i północnemu zachodowi, a oprócz nich pojawiły się pojedyncze, koronkowe szprychy, które wysuwały się w innych kierunkach. Rosły i jednocześnie zmieniały się, ani przez chwilę nie będąc takie same, rozprzestrzeniając się po niebie, coraz dalej i dalej, aż wreszcie krańce wzoru też zniknęły poza zasięgiem wzroku. To też nie był tylko *saidar*, tego

Elayne była pewna; w niektórych miejscach pajęczyna czepiała się i okręcała wokół czegoś, czego nie była w stanie dojrzeć. A Caire nadal tkąła i kolumna tańczyła na jej rozkaz, *saidar* z *saidinem*, pajęczyna zaś przeobrażała się i rozlewała niczym zniekształcony kalejdoskop obracający po niebie, znikający w przestworzach, coraz dalej i dalej.

Caire bez słowa ostrzeżenia wyprostowała się, roztarła pięściami plecy i uwolniła Źródło. Kolumna i pajęczyna wyparowały, a ona, dysząc ciężko, usiadła na ziemi, czy też raczej padła na nią. Czara stała się na powrót przezroczysta, choć przy jej krawędziach wciąż jeszcze lśniły i potrzaskiwały drobne plamki *saidara*.

– Dokonało się, z łaski Światłości – powiedziała znużonym głosem.

Elayne ledwie ją usłyszała. Nie w taki sposób należało finalizować krąg. Kiedy Caire przerwała go tak nagle, wszystkie kobiety jednocześnie utraciły Moc. Elayne wytrzeszczyła oczy. W jednej chwili było tak, jakby stała na szczycie najwyższej wieży na świecie, w następnej ta wieża przestała istnieć! Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ale bynajmniej nie było to przyjemne. Czują wielkie zmęczenie, choć nie takie, jakie by nią owładnęło, gdyby rzeczywiście coś robiła, a nie tylko służyła jako element pośredniczący, jednak najbardziej dotkliwie odczuwała stratę. Uwalnianie *saidara* było dostatecznie nieprzyjemne; nawet nie wyobrażała sobie dotąd, jak to jest, gdy *saidar* znika bez udziału woli.

Pozostałe cierpiały jeszcze bardziej niż ona. Kiedy luna otaczająca krąg zamrugwała i zgasła, Nynaeve przysiadła na ziemi, tam gdzie stała, zupełnie jakby załamały się pod nią nogi, gładziła swą bransoletę z pierścieniami, wpatrując się w nią ogłupiałym wzrokiem i dysząc. Po jej twarzy ściekały strumienie potu.

– Czuję się jak kuchenne sito, przez które przesiano właśnie zapasy całego młyna – wymamrotała. Zaczepienie takiej ilości Mocy miało swoje skutki uboczne, nawet jeśli nic się nie robiło, nawet jeśli czerpało się za pośrednictwem *angreala*.

Talaan chwiała się niczym trzcina na wietrze, rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę swojej matki, najwyraźniej bała się usiąść bez jej pozwolenia. Aviendha stała sztywno wyprostowana, ale jej stężała mina mówiła, że daje sobie radę głównie za sprawą siły woli. Uśmiechnęła się jednak nieznacznie i wykonała znak w Mowie Panien – „warte było ceny” – i zaraz potem jeszcze jeden – „nawet więcej”. To było warte więcej niż cena, którą zapłacili. Wszystkie wyglądały na śmiertelnie zmęczone, choć może nie wszystkie do tego stopnia, jak korzystające z *angreali*. Czara Wiatrów uspokoiła się w końcu, na powrót stając szeroką misą z czystego kryształu, ale jej wnętrze zdobiły teraz wielkie fale. Jednak *saidar* jakby wciąż ją oblepiał, niewidzialny, żadna przecież już nie obejmowała Źródła – jeno mgliste przeczucia w postaci przelotnych rozbłysków, podobne plamkom, które na samym końcu pływały wokół Czary.

Nynaeve zadarła głowę, przyjrzała się ponuro bezchmurnemu niebu, po czym przeniosła wzrok na Caire.

– I na co to wszystko? Udało nam się coś zrobić czy nie? – Powietrze na szczycie wzgórza nieznacznie zawirowało, ciepłe jak tchnienie z kuchni.

Poszukiwaczka Wiatru podniosła się z wysiłkiem.

– Myślisz, że Tkanie Wiatru to jak machanie rumplem na pokładzie dartera? – wycedziła z pogardą. – Właśnie dokonałam czegoś, co dałoby się przyrównać do poruszenia steru szkimera o pokładnicy szerokiej jak cały świat. Taki szkimer potrzebowałby dużo czasu, żeby zawrócić, żeby w ogóle zareagować na rozkaz zawrócenia. Żeby rozkaz ten zrealizować. Ale kiedy już to zrobi, to sam Ojciec Szormów nie da rady go powstrzymać. Ja tego dokonałam, Aes Sedai, i teraz Czara Wiatrów należy do nas!

Renaile weszła do wnętrza kręgu i uklękła obok Czary. Zaczęła ją ostrożnie owijać w warstwy białego jedwabiu.

– Oddam ją Mistrzynie Statków – powiedziała do Nynaeve. – My wypełniłyśmy naszą część umowy. Teraz wy, Aes Sedai, musicie wywiązać się ze swojej. – W gardle Merilille zrodził się jakiś dziwny odgłos, ale kiedy Elayne na nią zerknęła, Szara siostra stanowiła już uosobienie opanowania.

– Może i wypełniłyście swoją część postanowień – odparła Nynaeve, podnosząc się chwiejnie. – Może. Sprawdźmy to, kiedy ten... ten wasz szkimer zawróci. O ile rzeczywiście zawróci! – Renaile wpatrywała się w nią twardo ponad krawędziami Czary, ale Nynaeve ją ignorowała. – Dziwne – wymamrotała, masując sobie skronie. I skrzywiła się, kiedy bransoleta z pierścieniami zaplątała się w jej włosy. – Niemal czuję echo *saidara*. To na pewno przez tę bransoletę!

– Nie – powiedziała Elayne. – Ja też je czuję. – To, co czuła, to nie były tylko mgliście postrzegane iskry w powietrzu i nie było to też echo, w każdym razie nie w ścisłym w tego słowa znaczeniu. Był to raczej cień echa, bardzo blady, jakby ktoś używał *saidara*... Obróciła się. Na horyzoncie, od południa, pojawiły się błyskawice, dziesiątki błyskawic, kreśliły srebrzysto-niebieskie pręgi na tle popołudniowego nieba. Bardzo blisko Ebou Dar.

– Burza z deszczem? – spytała podnieconym głosem Sareitha. – To znaczy, że pogoda już się poprawia. – Ale na niebie nie było żadnych chmur, nawet tam, gdzie się rozszczepiały i spadały błyskawice. Sareitha nie dysponowała dostateczną siłą, by wyczuć, że tam daleko ktoś władał *saidarem*.

Elayne zadygotała. Nawet ona nie była dostatecznie silna. Chyba że ktoś prznosił ilości porównywalne z tym, co one przywołały tutaj. Pięćdziesiąt, może nawet sto Aes Sedai, wszystkie przenoszące jednocześnie. Albo...

– Mam nadzieję, że to nie któraś z Przeklętych – mruknęła. Za nią ktoś jęknął głośno.

– Jedna Przeklęta nie przeniosłaby aż tyle – zgodziła się cicho Nynaeve. – Może nie wyczuły nas tak, jak my je teraz wyczuwamy... może, powtarzam... ale na pewno by nas zobaczyły, no, chyba że wszystkie oślepy. A niech nasze szczęście szejnie w Światłości! – Mówiła cicho, ale była wyraźnie podniecona, sama przecież często besztala Elayne za taki język. – Zabierz każdego, kto zechce pojechać z tobą do Andoru, Elayne. Ja... dołączę tam do ciebie. Mat został w Ebou Dar. Muszę po niego wrócić. Ażeby ten chłopak szczeł; ale przyszedł po mnie, to i ja pójdę po niego.

Elayne kurczowo otoczyła ramionami własne ciało i wzięła głęboki wdech. Zostawiła Tylin na łasce Światłości; królowa ujdzie z tego z życiem, jeśli tak jej pisane. Ale co z Matem Cauthonem, jej bardzo dziwnym, bardzo bystrym poddanym, jej najbardziej nieprawdopodobnym wybawcą? Przyszedł z pomocą również i jej, a gotów był na jeszcze więcej. I co z Thomem Merrilinem, kochanym Thomem – wszak wciąż pragnęła, by jednak się okazało, że to jej prawdziwy ojciec, nieważne, w jakim świetle stawiałoby to matkę. I co z tym chłopczykiem, Olverem, i z Chelem Vaninem, i z... Powinna jednak myśleć jak królowa. „Różana Korona waży więcej niż góra” – powiedziała jej kiedyś matka – „a obowiązki doprowadzą cię do płaczu, ale będziesz musiała wytrzymać wszystko i zrobić to, co trzeba”.

– Nie – powiedziała, po czym dodała bardziej stanowczym tonem: – Nie. Popatrz na siebie, Nynaeve. Ledwie jesteś w stanie utrzymać się na nogach. Nawet gdybyśmy pojechali wszyscy, co zdziałamy? Ilu Przeklętych tam jest? Zginiemy i zapewne, co gorsza, niczego nie osiągniemy. Przekłeci nie mają powodu, by szukać Mata albo pozostałych. To nas będą ścigali.

Nynaeve zagapiła się na nią, uparta Nynaeve, z twarzą ociekającą potem, ledwie stojąca na chwiejnych nogach. Cudowna, waleczna, głupia Nynaeve.

– Powiadasz, że mamy go zostawić, Elayne? Aviendha, pogadaj z nią. Powiedz jej o tym

honorze, o którym zawsze tyle gadasz!

Aviendha zawahała się, po czym potrząsnęła głową. Była niemal tak samo spocona jak Nynaeve i sądząc po ruchach, równie zmęczona.

– Bywają chwile, kiedy człowiek walczy, nawet jeśli nie ma żadnej nadziei, Nynaeve, ale Elayne ma rację. Ci Ktorzy Dusze Oddali Cieniowi nie będą szukali Mata Cauthona, będą szukali nas i Czary. Zresztą być może on zdążył wyjechać już z miasta. Jeżeli tam pojedziemy, to zaryzykujemy zaprzepaszczenie wszystkiego. Będą mogli nas zmusić, żebyśmy im zdradziły, kto ma teraz Czarę i gdzie ona jest.

Twarz Nynaeve skurczyła się z bólu. Elayne objęła ją ramionami.

– Pomiot Cienia! – krzyknęła któraś przeraźliwie i w jednej chwili wszystkie kobiety zgromadzone na szczycie wzniesienia objęły *saidara*. Z rąk Merilille, Careane i Sareithy poleciały strumienie ognistych kul. I nagle z nieba runął ogromny, skrzydlaty kształt otulony w ogień, wlokący za sobą ogon tłustego, czarnego dymu. Zniknął za krawędzią urwiska.

– Tam jest jeszcze jeden! – krzyknęła Kirstian, pokazując ręką. W dół szybował drugi skrzydlaty stwór, cielsko wielkości konia, z żebrowanymi skrzydłami o rozpiętości trzydziestu kroków albo i więcej, z długą szyją i jeszcze dłuższym ogonem. Na jego grzbiecie widać było dwie przycupnięte sylwetki. Ku niemu poleciała ulewa płomieni. Najlepiej szło Aviendzie i kobietom z Ludu Morza, które w odróżnieniu od Aes Sedai tkwały, nie wykonując gestu ciskania. Nawala ognia była tak gęsta, jakby samo powietrze go rodziło, i stwór pomknął za wzgórze wznoszące się po drugiej stronie farmy. I zniknął.

– Zabiłyśmy go? – spytała Sareitha. Jej oczy lśniły i pierś unosił przyspieszony oddech.

– Czy w ogóle trafiłyśmy? – warknęła z niesmakiem jedna z Atha'an Miere.

– Pomiot Cienia – mruknęła ze zdumieniem Merilille. – Tutaj! Przynajmniej to dowodzi, że w Ebou Dar są Przekłęci.

– To nie był Pomiot Cienia – odrzekła głuchym głosem Elayne. Twarz Nynaeve odzwierciedlała najczystszą udrękę. Ona też wiedziała. – Oni nazywają je *rakenami*. To Seanchanie. Ruszamy od razu, Nynaeve, i musimy zabrać wszystkie kobiety z farmy. Niezależnie od tego, czy go zabiłyśmy czy nie, na pewno pojawią się następne. Każda, którą tu zostawimy, jutro rano będzie nosiła smycz *damane*. – Nynaeve przytaknęła powoli, z wyraźnym bólem. Elayne zdawało się, że wyszeptwała:

– Och, Mat...

Renaile szła z Czarą w ramionach, znowu spowitą w białe płótna.

– Nasze statki natrafiają czasem na tych Seanchan. Jeśli są w Ebou Dar, w takim razie okręty wypłynęły w morze. Mój statek walczy o życie, a mnie nie ma na jego pokładzie! Ruszamy! – I uformowała splot bramy, prosto tam, gdzie stała.

Rzecz jasna, splot zmierzwił się tylko bezpłodnie, rozjarzył na chwilę, po czym rozpadł bez śladu, ale Elayne mimo woli aż pisnęła. Ona próbowała otworzyć w miejscu pełnym kobiet!

– Nigdzie nie pójdziesz, póki nie zostaniesz tu na tyle długo, by dokładnie poznać cały ten szczyt! – warknęła. Miała nadzieję, że żadna z kobiet, które uczestniczyły w kręgu, nie próbuje tkąć; objęcie *saidara* stanowiło najszybszy sposób na poznanie danego miejsca. Jej się to tutaj udało, a więc im zapewne też. – Nie ma takiego miejsca, z którego można by wyprawić się na statek, który płynie po morzu; moim zdaniem to jest absolutnie niewykonalne! – Merilille przytaknęła jej, ale to jeszcze niewiele znaczyło. Aes Sedai wierzyły w różne rzeczy i niekiedy nawet miały rację. Niemniej dobrze, że przytaknęła, bo dla kobiet z Ludu Morza był to jakiś dowód. Nynaeve, wynędzniała i z wytrzeszczonym wzrokiem, nie była w stanie pokierować teraz biegiem spraw, więc Elayne mówiła dalej. Miała nadzieję, że sprosta pamięci swej matki. – I przede wszystkim donikąd

się nie wybierzecie bez nas, bo postanowienia naszego targu jeszcze nie zostały wypełnione; Czara Wiatrów jeszcze nie jest wasza, w pogodzie bowiem jak dotąd nie zapanował ład. – Nie było to do końca prawdą, no, chyba że przy dość swobodnej interpretacji, i Renaile już otworzyła usta, ale Elayne ciągnęła dalej: – A poza tym dobiłyście też targu z Matrimem Cauthonem, moim poddanym. Pójdziecie po dobrej woli tam, gdzie ja zechcę, albo udacie się tam przywiązane do siodeł. Same tak zdecydowałyście. A więc natychmiast zejść z tego wzgórza, Renaile din Calon Błękitna Gwiazda, zanim Seanchanie nie rzucą przeciw nam armii i kilkuset kobiet, które potrafią przenosić i którym żaden inny widok tak się nie spodoba, jak my obok nich, w obrożach na szyi. No już! Biegiem!

Ku jej zdumieniu pobiegły.

# ROZDZIAŁ 6

## WĄTKI

Sama Elayne oczywiście też ruszyła biegiem: podkasła spódnicę i wkrótce już wyprzedziła pozostałe na mocno udeptanej ścieżce. Blisko niej trzymała się tylko Aviendha, choć wyraźnie nie potrafiła biegać w sukni, dzielonej czy nie; w przeciwnym razie bez wątplenia wyprzedziłaby Elayne, nawet tak bardzo zmęczona. Pozostałe wlokły się daleko w tyle, po wąskim, krętym szlaku. Żadna z Atha'an Miere nie chciała wyprzedzić Renaile, a ta mimo jedwabnych spodni nie była w stanie dostatecznie prędko przebierać nogami, na dodatek bowiem tuliła w objęciach Czarę. Nynaeve nie miała takich skrupułów, torowała sobie drogę łokciami i biegła co sił w nogach, pokrzykując na każdego, na kogo wpadła, że ma jej zejść z drogi, niezależnie od tego, kto to akurat był: Poszukiwaczki Wiatru, członkinie Rodziny czy Aes Sedai.

Elayne, która zbiegała na łeb na szyję ze wzgórza, to potykając się, to odzyskując równowagę, zbierało się na śmiech, mimo całego larum. Mimo niebezpieczeństwa. Od czasu, gdy skończyła dwanaście lat, Lini i matka bezlitośnie tępiły gonitwy i wspinaczkę po drzewach, ale tu nie szło tylko o zwyczajne uczucie zadowolenia, że oto znowu biega. Zachowała się jak przystało na królową i wszystko udało się dokładnie tak, jak powinno! Przejęła stery, reagując na konieczność wyprowadzenia ludzi z niebezpiecznej sytuacji, i oni jej usłuchali! Do tego właśnie przyuczano ją niemal od urodzenia. I właśnie satysfakcja, płynąca ze sprostania wymogom własnej pozycji, sprawiała, że chciało jej się śmiać, a wypełniające ją uczucie dumy było tak gorące, tak podobne do promieniowania *saidara*, że omalże nie przepalało skóry wewnętrznym żarem.

Pokonawszy ostatni zakręt, zbiegła z głośnym łomotem stóp po ostatniej prostej, mijając jedną z pobielonych stodół. I nagle potknęła się o wystający spod ziemi kamień. Poleciała całym ciałem do przodu, młócąc ramionami, i nim się obejrzała, koziółkowała w powietrzu. Nawet nie zdążyła krzyknąć. Wylądowała na siedzeniu tuż przed Birgitte, dopiero u samego dołu ścieżki, z impetem, od którego zazgrzytały jej zęby i całkiem odebrało dech. Przez chwilę nawet nie była w stanie myśleć, a kiedy już doszła do siebie, po satysfakcji prawie nie zostało śladu. I tak to było z królewskim majestatem. Odgarnawszy włosy z twarzy, usiłowała odzyskać oddech i jednocześnie czekała na jakąś kąśliwą uwagę z ust Birgitte. W tym momencie przyjaciółka miała okazję do odegrania roli starszej i mądrzejszej siostry, a rzadko kiedy takie okazje przepuszczała.

Ku zdziwieniu Elayne Birgitte podźwignęła ją, zanim dotarła do niej Aviendha, która z kolei oszczędziła jej choćby najlżejszego uśmiechu. W więzi zobowiązań ze swoim Strażnikiem Elayne nie poczuła nic, z wyjątkiem może... skupienia; przyszło jej do głowy, że właśnie tak mogłaby się czuć strzała nasadzona na naciągniętą cięciwę.

– Uciekamy czy walczymy? – spytała Birgitte. – Rozpoznałam te latające stwory Seanchan, widziałam je w Falme i jak mi prawda miła, proponuję uciekać. Mam dzisiaj przy sobie tylko zwyczajny łuk. – Aviendha spojrzała na nią, nieznacznie marszcząc brew, a Elayne westchnęła; Birgitte musi wreszcie nauczyć się strzec swego języka, jeśli naprawdę chce zachować w tajemnicy, kim jest.

– To oczywiste, że uciekamy – wystękała Nynaeve, z wysiłkiem pokonując ostatni odcinek ścieżki. – Walczyć czy uciekać?! Co za głupie pytanie! Myślisz, że jesteśmy skończonymi?... Światłości! Co one wyprawiają? – Już podnosiła głos. – Alise! Alise, gdzie ty jesteś? Alise! Alise!

Elayne wzdrygnęła się, pojmując, że na farmie wrze równie mocno jak wtedy, gdy Careane niebacznie odsłoniła twarz. A może nawet jeszcze bardziej. Jak doniosła im Alise, mieszkało tu

aktualnie sto czterdzieści siedem kobiet Rodziny, w tym pięćdziesiąt cztery Mądre Kobiety, oddelegowane tutaj wiele dni temu, i kilka takich, które akurat przejeżdżały przez miasto; w tym momencie wyglądało to tak, jakby wszystkie co do jednej dokądś biegły i jakby było ich co najmniej dwa razy tyle. Większość służących z Pałacu Tarasin w swych zielono-białych liberjach umykała to w tę, to w inną stronę, targając przy tym jakieś ciężary. W całym tym tumultie uganiały się kaczkami i kury, machając skrzydłami, skrzecząc i dodatkowo potęgując ogólne zamieszanie. Elayne zauważyła nawet Strażnika, szpakowatego Jaema należącego do Vandene, który przemknął obok, obejmując żyłastymi ramionami jakiś wielki jutowy worek!

Alise pojawiła się jakby znikąd, stateczna i opanowana mimo spoconej twarzy. Każde pasmo włosów znajdowało się na swoim miejscu, a suknia wyglądała tak, jakby Alise właśnie wróciła z przechadzki.

– Te wrzaski są niepotrzebne – stwierdziła spokojnie, wspierając dłonie na biodrach. – Birgitte wyjaśniła mi, czym są te wielkie ptaszyska, i uznałam, że lepiej będzie, jeśli czym prędzej się stąd wyniesiemy, zwłaszcza że widziałam was zbiegające na łeb na szyję ze wzgórza, jakby sam Czarny was ścigał. Przykazałam wszystkim, że mają zabrać po jednej czystej sukni, trzy zmiany bielizny i pończoch, mydło, przybory do szycia oraz wszystkie pieniądze. Tylko to i nic więcej. I żeby je pogonić, ostrzegłam, że te dziesięć, które skończą się pakować ostatnie, będą odpowiedzialne za zmywanie na naszym nowym miejscu. Kazałam też sługom, że mają zebrać tyle żywności, ile się da, na wszelki wypadek. Waszym Strażnikom też to powiedziałam. Większość z nich to rozsądni mężczyźni. Zaskakująco rozsądni, jak na mężczyzn. Czy to właśnie dlatego, że są Strażnikami?

Nynaeve znieruchomiała, szczeka jej opadła, z otwartych ust nie wydostały się rozkazy, które już chciała wykrzyknąć. Emocje przebiegały przez jej oblicze zbyt szybko, by dały się odczytać.

– Bardzo dobrze – wymamrotała wreszcie, kwaśnym tonem. Po czym niespodzianie pojaśniała. – Kobiety, które nie należą do Rodziny. Tak! Trzeba je...

– Opanujże się – przerwała jej Alise, uspokajając gestem ręki. – Uciekły już stąd, większość przynajmniej. Głównie te, które niepokoiły się o swych mężów albo krewnych. Nie mogłam ich zatrzymać, nawet gdybym chciała. Ale jest tu co najmniej trzydzieści takich, które uważają, że te ptaki to Pomiot Cienia, i dlatego pragną trzymać się jak najbliżej Aes Sedai. – Parsknęła, pokazując, co na ten temat sądzi. – Ale dość na tym. Ochłoń nieco. Napij się zimnej wody; tylko pamiętaj, nie za szybko. Ochlap sobie twarz. Ja muszę dopilnować spraw. – Alise objęła wzrokiem zamieszanie, biegnące grupy, i pokręciła głową. – Gdyby zza wzgórza wypadło stado trolloków, niektórym z tych kobiet na pewno zmiękłyby nogi, a poza tym większość arystokratek nigdy tak naprawdę nie potrafi się przyzwyczaić do naszych zasad. Trzeba będzie je co poniektórym przypomnieć, zanim ruszymy w drogę. – I z tym słowami ruszyła majestatycznym krokiem w sam środek wrzawy panującej na podwórku, zostawiając Nynaeve, która tylko stała i gapiła się na nią.

– No cóż – odezwała się Elayne, otrzepując spódnicę -sama stwierdziłaś, że to bardzo kompetentna kobieta.

– Nic takiego nie mówiłam – zachnęła się Nynaeve. – Nigdy nie użyłam słowa „bardzo”. Ha! A gdzie się podział mój kapelusz? Jej się wydaje, że wie wszystko, ale założę się, że tego akurat nie wie! – I z tymi słowami odeszła w przeciwnym kierunku niż Alise.

Elayne odprowadziła ją zdumionym wzrokiem. Jej kapelusz? To prawda, był bardzo piękny, ale jak ona mogła! Może udział w kręgu, praca z taką ilością Mocy, korzystanie z *angreala*, może to wszystko chwilowo zamąciło umysł Nynaeve. Sama nadal czuła się nieco dziwnie, jakby nieomal była w stanie wyskubywać cząsteczki *saidara* z otaczającego ją powietrza. Tak czy owak, w danym momencie miała na głowie inne problemy. Jak choćby przygotowanie się do drogi, zanim Seanchanie



runą na nich z nieba. Na podstawie tego, na co się napatrzyła w Falme, wiedziała, że mogą sprowadzić ze sto albo i więcej *damane*, a z tej garstki informacji, którymi zechciała podzielić się Egwene na temat pobytu w niewoli, wynikało, że większość tych kobiet bardzo ochoczo uczestniczyłaby w ubieraniu innych w obroże. Egwene twierdziła, że żołądek najbardziej jej się skręcał na widok tych *damane*, które chichotały razem ze swoimi *sul'dam*, wachlowały je i bawiły się z nimi niczym dobrze wytresowane psy z ukochanymi treserkami. Egwene twierdziła, że niektóre z kobiet, którym w Falme założono obroże, też się takie stawały. Elayne krew stygła w żyłach od tych rewelacji. Prędzej by umarła, niżby pozwoliła wziąć się na smycz! I prędzej oddałaby swoje znaleziska Przeklętym niż Seanchanom. Puściła się biegiem w stronę zbiornika, towarzysząca jej z boku Aviendha oddychała niemal równie ciężko jak ona.

A jednak wyglądało na to, że Alise pomyślała o wszystkim. *Ter'angreal* załadowano na grzbiety jucznych koni. Nie przeszukane kosze dalej zawierały najdziwaczniejsze niespodzianki i Światłość jedna wiedziała co jeszcze, te jednak, które ona z Aviendhą zdążyły już opróżnić, ukazywały teraz zgrzebne worki wypełnione mąką, solą, fasolą i soczewicą. Kilku stajennych doglądało jucznych koni, zamiast biegać w tę i we w tę z pełnymi naręczami. Bez wątpienia robili to na polecenie Alise. Nawet Birgitte podrywała się na rozkaz tej kobiety, a jedyną reakcją był tylko smętny uśmiech!

Elayne uniosła płócienną pokrywę, chcąc w miarę możliwości jak najdokładniej sprawdzić stan *ter'angreali* bez konieczności ponownego ich wypakowania. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że wszystkie tam są, wciśnięte jakby trochę na łapu-capu do dwóch koszy, i że żaden się nie potłukł. Nic prócz Mocy nie mogłoby zniszczyć większości *ter'angreali*, niemniej jednak...

Aviendha usiadła ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, ocierając pot z twarzy wielką chustką ze zwykłego lnu, stanowiącą jaskrawy kontrast z piękną, jedwabną suknią do jazdy konnej. Nawet ona zaczęła zdradzać oznaki zmęczenia.

– Co ty tam mruczysz, Elayne? Zachowujesz się zupełnie jak Nynaeve. Przecież Alise tylko oszczędziła nam kłopotu z pakowaniem rzeczy.

Elayne pokraśniała lekko. Widocznie bezwiednie mówiła na głos.

– Po prostu wołałabym, żeby nie dotykał ich ktoś, kto nie ma pojęcia, do czego służą, Aviendha. – Niektóre *ter'angreal* potrafiły ożyć nawet w rękach ludzi niezdolnych do przenoszenia, gdyby zostały niewłaściwie potraktowane, ale prawda była taka, że ona nie chciała, by w ogóle ktokolwiek ich dotykał. Należały do niej! Nie dopuści, by Komnata oddała je jakiejś siostrze, przez wzgląd na jej wiek i doświadczenie, albo gdzieś je ukryła, dla niebezpieczeństw związanych z badaniem *ter'angreali*. Dysponując tak licznymi egzemplarzami do zbadania, może w końcu wykoncypuje, jak zrobić *ter'angreal*, który będzie działał zawsze; dość już porażek i połowicznych sukcesów. – Powinna nimi zajmować się osoba, która wie, co robi – dodała, zarzucając z powrotem sztywne płótno.

Do zgiełku panującego na podwórku ład zaczął wkradać się znacznie wcześniej, niż Elayne się spodziewała, choć nie tak prędko, jakby sobie życzyła. Aczkolwiek; przyznała z niechęcią, wszystko musiało się zdarzyć się w jednej chwili, aby jej życzenia zostały spełnione. Niezdolna oderwać oczu od nieba, kazała Careane wbiec z powrotem na szczyt wzgórza i stamtąd obserwować Ebou Dar. Krępa Zielona najpierw burknęła coś pod nosem i dopiero wtedy dygnęła, a poza tym omiotła kosym wzrokiem rozbiegane kobiety z Rodziny, jakby zamiast siebie chciała zaproponować którąś z nich. Elayne wołała jednak, by był to ktoś, kto nie zemdleje na widok zbliżającego się „Pomiotu Cienia”, a Careane była pośród sióstr najniższą rangą. Adeleas i Vandene wyprowadziły Ispan, otoczoną tarczą i w skórzanym worku na głowie. Szła dość swobodnym krokiem i nie było znać, że coś jej właśnie

zrobiono, tylko... Ispan trzymała ręce splecione na podolku i nawet nie próbowała uchylać rąbka worka, by coś ukradkiem podejrzeć, a kiedy podsadzono ją na siodło, posłusznie nadstawiła przeguby dłoni, by można je było przywiązać do łęku, mimo iż nikt jej nie wydał takiego polecenia. Skoro była taka uległa, to może jednak coś tam od niej wyciągnęły. Elayne po prostu nie miała ochoty się zastanawiać, w jaki sposób tego dokonały.

Rzecz jasna, zdarzały się poniekąd... konflikty, mimo świadomości zagrożeniem, które być może nadciągało. Które na pewno nadciągało. Wprawdzie trudno było nazwać konfliktową sytuację, dzięki której Nynaeve odzyskała kapelusz z niebieskimi piórami, a jednak nieomal w takową się zmieniła; kapelusz znalazła Alise, wręczyła go Nynaeve z uwagą, że powinna osłaniać twarz przed słońcem, jeśli chce zachować taką piękną, gładką cerę. Nynaeve przez dłuższą chwilę patrzyła z rozdziawionymi ustami za siwiejącą kobietą, która oddaliła się pospiesznie, by zająć się rozwiązaniem jednego z rozlicznych drobnych problemów, wreszcie ostentacyjnym gestem wepchnęła kapelusz pod ramię mocujący jej sakwy do siodła.

Nynaeve niemal od razu zabrała się za rozwiązywanie wszystkich realnych konfliktów, jednak Alise zawsze pierwsza była na miejscu, a w jej obecności konflikt rozwiązywał się sam. Kilka arystrotek zażądało pomocy przy pakowaniu swego dobytku, Alise jednak oznajmiła im dobitnie, że wcale nie żartowała i że jeśli natychmiast nie wezmą się do roboty, będą musiały paradować w tym, co mają na sobie. Z miejsca zabrały się za pakowanie. Niektóre, w tym nie tylko arystokratki, zmieniły zdanie w sprawie wyjazdu, kiedy się dowiedziały, że miejscem ich przeznaczenia jest Andor, ale je, najzupełniej dosłownie, przegoniono. Kazano im biec, pieszo, tak długo, jak będą w stanie. Potrzebowali wszystkich koni, a lepiej będzie, jak te kobiety pokonają porządny szmat drogi, zanim pojawią się Seanchanie; każdego, kto będzie się kręcił w okolicach farmy, w najlepszym razie czeka przesłuchanie. Zgodnie z tym, czego należało się spodziewać, między Renaile i Nynaeve doszło do ostrej wymiany zdań na temat Czary oraz żółwia, którym posłużyła się Talaan; Renaile rzekomo ukryła go pod swoją szarfą. Nie dotarły jednak nawet do fazy gwałtownej gestykulacji, natychmiast bowiem pojawiła się przy nich Alise i po krótkim czasie Czara wróciła pod skrzydła Sareithy, a żółwiem zaopiekowała się Merilille. A następnie zdumiona Elayne ujrziała jedyny w swoim rodzaju widok: Alise wygrażającą palcem przed nosem zdumionej Poszukiwaczki Wiatru Mistrzini Statków Atha'an Miere i wygłaszającą tyradę na temat złodziejstwa; kiedy Alise wreszcie z nią skończyła, Renaile aż zaplawała się z oburzenia. Nynaeve również mamrotała coś wściekle, odchodząc z pustymi rękoma, aczkolwiek Elayne przyszło do głowy, że jeszcze w życiu nie widziała kogoś w równym stopniu przybitego.

W sumie wszystko nie trwało długo. Pozostałe kobiety z farmy zebrały się w końcu pod czujnym okiem Kółka Dziewiarskiego oraz Alise, która uważnie przyjrzała się ostatniej dziesiątce wyjeżdżających. Spośród nich wszystkie prócz dwóch tylko miały na sobie wspaniałe, haftowane jedwabie, niewiele się różniące od jedwabi Elayne. Zdecydowanie nie należały do Rodziny. Elayne przeczuwała, że tak czy owak, odtąd to one właśnie będą odpowiedzialne za zmywanie. Alise nie dopuści, by stworzenia tak nędzne jak osoby arystokratycznego pochodzenia rzucały jej kłody pod nogi. Poszukiwaczki Wiatru uformowały szereg ze swymi końmi, zaskakująco milczące, wyjąwszy Renaile, która cedziła obelgi za każdym razem, gdy widziała Alise. Careane została odwołana ze szczytu wzgórza. Strażnicy przyprowadzili siostram ich wierzchowce. Prawie każdy wpatrywał się w niebo, a wszystkie starsze Aes Sedai i Poszukiwaczki Wiatru otaczała poświata *saidara*. Podobnie jak kilka kobiet Rodziny.

Nynaeve zaprowadziła swoją klacz na miejsce obok zbiornika, gdzie znajdowało się czoło pochodu, bez przerwy gładziła *angreal* nadal zdobiący jej dłoń, jakby to ona miała stworzyć bramę,

mimo iż byłby to pomysł zgoła niedorzeczny. Przede wszystkim, mimo iż wyglądała z pozoru znacznie lepiej, obmyła twarz = oraz włożyła kapelusz, co było dość dziwne, zważywszy na wszystko -za każdym razem jednak, gdy choć na chwilę traciła panowanie nad sobą, wręcz słała się na nogach. Lan właściwie nie odstępował jej na krok, twarz miał kamienną jak zawsze, ale z pewnością żaden inny mężczyzna na świecie nie mógłby służyć kobiecie lepszym oparciem. Nynaeve raczej nie byłaby w stanie utkać bramy, nawet za pomocą bransolety z pierścieniami. Mało tego, uganiała się po farmie od samego początku, od pierwszej chwili, w odróżnieniu od Elayne, która nadto przez czas dłuższy obejmowała *saidar* dokładnie w miejscu, gdzie teraz stali. Dzięki czemu dobrze je poznała. Nynaeve patrzyła chmurnie, kiedy Elayne obejmowała Źródło, ale przynajmniej starczyło jej rozumu, by się nie odzywać.

Elayne właściwie od razu pożałowała, że oddała Aviendzie figurkę kobiety spowitej we włosy; jej również zmęczenie mocno dawało się we znaki, toteż cały strumień *saidara*, jaki była w stanie zaczerpnąć, ledwie wystarczył do utworzenia funkcjonującego splotu. Strumienie Mocy zatrzepotały w jej uścisku, prawie tak, jakby usiłowały się wyswobodzić, po czym wskoczyły na miejsce tak gwałtownie, że aż się wzdrygnęła; przenoszenie przebiegało inaczej, w stanie zmęczenia, ale tym razem poszło gorzej niż kiedykolwiek. Na szczęście znajoma pionowa kreska pojawiła się tak, jak powinna, a po chwili rozszerzyła się i tuż obok zbiornika powstał otwór w powietrzu. Otwór wcale nie większy od tego, który w Ebou Dar utkała Aviendha, ale Elayne i tak się cieszyła, że wyszedł dostatecznie duży, by mógł przejść przez niego koń. Aż do końca wcale nie była pewna, czy się uda. Kobietom z Rodziny głośno zaparło dech, gdy zobaczyły górską łąkę, która wykwitła zniecka między nimi a znajomym szarym kształtem zbiornika.

– Szkoda, że nie pozwoliłaś mi spróbować – odezwała się cicho Nynaeve. Cicho, a mimo to w jej głosie słyszano się odległą, ostrą nutę. – Omal nie zepsułaś wszystkiego.

Aviendha obdarowała Nynaeve zimnym spojrzeniem, Elayne widząc to, omal nie schwyciła jej za ramię. Im dłużej były prawie-siostrami, tym coraz wyraźniej dochodziło do głosu coś w rodzaju niewzruszonego przeświadczenia, że powinna bronić honoru Elayne; Elayne już sobie wyobrażała, jak by to było, gdyby zostały pierwszymi-siostrami – musiałyby cały czas powstrzymywać ją przed rzuceniem się na Nynaeve i Birgitte!

– A jednak udało się, Nynaeve – powiedziała pośpiesznie. – Tylko to się liczy. – Nynaeve skierowała w jej stronę obojętne spojrzenie i mruknęła coś o trudnych dniach, jakby to Elayne, a nie ona od samego rana demonstrowała zgryźliwą stronę swojej natury.

Pierwsza przez bramę przeszła Birgitte, uśmiechająca się bezczelnie do Lana, w jednym ręku trzymała wodze swojego konia, w drugim już przyszykowany do strzału łuk. Elayne wyczuwała w niej zapal, a nawet chyba odrobinę satysfakcji, być może dlatego, że tym razem to ona miała iść na czele pochodu, a nie Lan – między Strażnikami zawsze dochodziło do swoistej rywalizacji – i odrobinę czujności. Zaiste tylko odrobinę. Elayne dobrze знаła tę łąkę – niedaleko stąd Gareth Bryne uczył ją jeździć konno. Za skąpo zalesionymi wzgórzami, w odległości jakichś pięciu mil, stał dwór należący do jednego z majątków jej matki. Do jednego z majątków stanowiących teraz jej własność, jeszcze nie przywykła do tej myśli. W ciągu trwającej pół dnia podróży w dowolnym kierunku nie powinny napotkać żywej duszy, prócz może kogoś z siedmiu rodzin, które doglądały domu i przyległych terenów.

Elayne wybrała to miejsce, ponieważ stąd w ciągu dwóch tygodni mogli dotrzeć do Caemlyn. A ponieważ majątek był usytuowany na uboczu, więc być może uda jej się wjechać do stolicy, zanim ktokolwiek się dowie, że ona jest w Andorze. Mogło się okazać, że ten środek ostrożności bardzo się przyda; w rozmaitych momentach historii Andoru rywalki do Różanej Korony były przetrzymywane

w charakterze „gości” tak długo, póki nie zrezygnowały ze swoich roszczeń. Jej-matka, na przykład, przetrzymywała dwie takie kobiety, dopóki na dobre nie przejęła tronu. Jeśli szczęście dopisze, jej pozycja ustabilizuje się, zanim przybędzie Egwene z pozostałymi siostrami.

Lan na Mandarbie przyjechał tuż po brązowym wałachu Birgitte i Nynaeve drgnęła, jakby chciała pobiec za czarnym rumakiem bojowym, ale zaraz znieruchomiała, z zimnym spojrzeniem, zachęcającym Elayne, by powiedziała choć słowo. Majstrując wściekle przy wodzach, dokładała nadludzkich starań, by obserwować wszystko, tylko nie wewnątrz bramy, za którą zniknął Lan. I do tego poruszała wargami. Po chwili Elayne pojęła, że tamta liczy.

– Nynaeve – powiedziała cicho – naprawdę nie mamy czasu na...

– Ruszać się! – rozległ się gdzieś z tyłu głos Alise, a towarzyszące mu kłaśnięcie w dłonie zabrzmiało jak łomot werbla wybijającego rytm marszu. – Nie życzę sobie żadnych przepychanek, ale nie zdzierzę też opieszałości! Idźcie za nimi!

Nynaeve impulsywnie odwróciła głowę, bolesna mina świadczyła o wewnętrznym rozdarciu. Z jakiegoś powodu obmacywała swój kapelusz, a kiedy wreszcie oderwała odeń dłoń, kilka niebieskich piór zwiśło połamanych.

– Ach, ten całowany przez kozy, stary!... – warknęła, reszta słów utonęła, kiedy przeciągnęła swoją klacz na drugą stronę bramy. Elayne parsknęła. I to Nynaeve miała czelność karcieć wszystkich za ich język! Żałowała jednak, że nie usłyszała ciągu dalszego, pierwszą część przekleństwa poznała już wcześniej.

Alise nadal wszystkich poganiała, ale zdawało się, że nie jest to już konieczne. Spieszyły się nawet Poszukiwaczki Wiatru, nieustannie taksując niebo zafrasowanymi spojrzeniami. I spieszyła się nawet Renaile, która wszak nie przestawała wygadywać różnych rzeczy na temat Alise. Elayne odnotowała nawet jedną w zakamarku pamięci, mimo iż określenie „padlinożerca gustujący w rybach” zabrzmiało dość łagodnie, zwłaszcza że ryby, w jej mniemaniu, stanowiły stały element kuchni Ludu Morza.

Sama Alise zajęła miejsce na końcu procesji, mając za sobą tylko Strażników, wyglądało to nieomal tak, jakby chciała poganiać nawet juczne zwierzęta. Zatrzymała się na chwilę i wręczyła Elayne jej kapelusz z zielonymi piórami.

– Powinnaś osłaniać tę swoją słodką twarzyczkę przed słońcem – powiedziała z uśmiechem. – Taka ładna dziewczyna. Po co przedwcześnie zamieniać tę cerę w pomarszczoną skórę?

Aviendha, która siedziała nieopodal, padła na plecy i zanosząc się śmiechem, zabębniła piętami o ziemię.

– Chyba ją poproszę, żeby i dla ciebie znalazła jakiś kapelusz. Z mnóstwem piór i wielkich kokard – rzuciła Elayne fałszywie słodkim tonem i dopiero wtedy ruszyła śladem kobiet z Rodziny. Śmiech Aviendhy umilkł jak nożem uciął.

Łagodnie pofałdowana łąka była rozległa, długa prawie na milę, otaczały ją wzgórza wyższe od tych, które zostawili za sobą, i porastały znajome gatunki drzew, dąb, sosna, czarnodrzew, sorgum, drzewo skórzane i jodła, tworzące od południa, zachodu i wschodu zwarty las, w normalnych czasach źródło znakomitego budulca, aczkolwiek ten rok mógł nie być świadkiem żadnego wyrębu. Większość drzew na północy, tam, gdzie stał dwór, rzadziej rozsianych, nadawałaby się raczej na podpałkę. Tu i ówdzie niewielkie szare głązy urozmaicały powierzchnię splatanej, zbrązowiałej darni, a po umarłych polnych kwiatach nie zostały już nawet zeschnięte łodygi. Nie było tu wcale inaczej niż na południu.

Przynajmniej tym razem Nynaeve nie wodziła sokolim wzrokiem po okolicy, starając się odszukać Lana. Zresztą on i Birgitte nie mogli bardzo się oddalić, nie tutaj. Kroczyła dziarsko pośród

koni, głośnym, władczym głosem nakazując ludziom siadać w siodła, poganiając służących, którym powierzono opiekę nad jucznymi zwierzętami, szorstko wskazując tym kobietom z Rodziny, dla których zabrakło wierzchowców, że byle dziecko dałoby radę pokonać pięć mil na piechotę, krzycząc na smukłą altarańską arystokratkę z blizną na policzku, która dźwigała tobolek niemal tak duży jak ona sama, że skoro była tak głupia, by zabrać wszystkie swoje suknie, to w takim razie niech je sobie teraz dźwiga. Alise zgromadziła wokół siebie kobiety Atha'an Miere i instruowała je, jak się dosiada konia. O dziwo, zdawały się słuchać jej z uwagą. Nynaeve spojrzała w jej stronę i bardzo się ucieszyła, że wreszcie widzi Alise stojącą w jednym miejscu. Dopóki Alise nie uśmiechnęła się zachęcająco i nie dała jej znaku, że ma kontynuować to, co zaczęła.

Nynaeve przez chwilę stała tak sztywno, jakby kij połknęła, gapiąc się na tamtą. A potem długimi krokami przemaszerowała przez trawę w kierunku Elayne. Sięgnąwszy do jej kapelusza obietria dłońmi, zawahała się, popatrzyła na nią groźnie zza firany rżęs i dopiero wtedy wyprostowała go brutalnym ruchem.

– Tym razem pozwolę jej zająć się wszystkim – oznajmiła podejrzanie rzeczowym tonem. – Zobaczmy, jak sobie poradzi z tymi... z Ludem Morza. – Ten ton był zdecydowanie za bardzo rzeczowy. Nagle spojrzała krzywo w stronę jeszcze otwartej bramy. – Dlaczego podtrzymujesz bramę? Puść ją. – Aviendha też marszczyła czoło.

Elayne zrobiła głęboki wdech. Zastanawiała się nad tym i nie wymyśliła nic innego, ale Nynaeve na pewno będzie jej chciała to wyperswadować, a przecież nie miały czasu na kłótnie. Na podwórku farmy, za bramą, zrobiło się pusto, nawet kury wreszcie się przestraszyły tego zamieszania. Ile czasu upłynie, zanim to miejsce znowu się zaludni? Zbadła swój splot, spleciony tak gładko i równo, że odstawało odeń tylko kilka nitek. Rzecz jasna, widziała każde pasmo z osobna, ale wyjąwszy te odstające, wszystkie wydawały się nierozłączne.

– Zabierz wszystkich do dworu, Nynaeve – poleciła. Słońce niebawem miało zejść, do zmierzchu brakowało pewnie najwyżej dwóch godzin. – Pan Hornwell będzie zaskoczony taką liczbą osób przybywających o zmroku, ale powiedz mu, że jesteście gośćmi dziewczynki, która opłakiwała gila ze złamanym skrzydłem. Na pewno mnie sobie przypomni. Dołączę do was tak szybko, jak będę mogła.

– Elayne... – zaczęła Aviendha, głosem pełnym zaskakującego niepokoju, a równocześnie Nynaeve powiedziała ostrym tonem:

– Co ty sobie wyobrażasz, że kim ty...

Istniał tylko jeden sposób, by położyć temu kres. Elayne pociągnęła za wystającą ze splotu nitkę; nitka zadrżała i zadygotała niczym żywa macka, zjeżyła się i jakby zawrzała, maleńkie kłaczki *saidara* odrywały się i blakły w powietrzu. Nie zauważyła tego, kiedy Aviendha rozplątywała swój splot, ale wtedy widziała tylko sam koniec operacji.

– Jedźcie – powiedziała do Nynaeve. – Ja tu zaczekam, dopóki wszyscy nie znikniecie mi z oczu. – Nynaeve wytrzeszczyła oczy i otworzyła usta. – To trzeba zrobić – rzekła z westchnieniem. – Za kilka godzin na farmie pojawią się Seanchanie, to pewne jak słońce. Nawet jeśli zaczekają do jutra, to co będzie, jeśli jedna z *damane* posiada Talent odczytywania pozostałości splotu? Nynaeve, nie obdaruj Seanchan umiejętnością Podróżowania. Co to, to nie!

Nynaeve warknęła pod nosem coś na temat Seanchan, coś szczególnie kąśliwego, sądząc po brzmieniu.

– A ja nie pozwolę, żebyś się wypaliła! – oświadczyła podniesionym tonem. – No już, wsadź to z powrotem! Zanim wszystko eksploduje tak, jak ostrzegęła Vandene. Jeszcze nas tu pozabijasz!

– Tego nie da się cofnąć – wtrąciła się Aviendha, kładąc dłoń na ramieniu Nynaeve. – Zaczęła i

teraz musi skończyć. A ty nie masz innego wyjścia, jak zrobić to, co ona każe, Nynaeve.

Brwi Nynaeve wygięły się w dół. „Każe” było słowem, za którym nieszczególnie przepadała, zwłaszcza gdy stosowało się do niej. Ale nie była głupia, więc po kilku ostrzegawczych spojrzeniach -na Elayne, na bramę, na Aviendhę, na cały świat – przytuliła Elayne, ściskając tak mocno, że aż zatrzeszczały jej zębra.

– Uważaj na siebie, słyszysz? – wyszeptała. – Jeśli dasz się zabić, to przysięgam, obedrę cię żywcem ze skóry! – Wbrew wszystkiemu, Elayne wybuchnęła śmiechem. Nynaeve prychnęła, odsuwając ją na odległość wyciągniętych ramion. – No, wiesz przecież, co chciałam powiedzieć – burknęła. – I nie myśl sobie, że nie mówiłam tego wszystkiego na poważnie, bo się srodze zawiedziesz! Jako żywo – dodała cichszym głosem. – Bądź ostrożna.

Opanowała się dopiero po chwili, zamrugła i naciągnęła swoje niebieskie rękawice do konnej jazdy. Jej oczy lśniły jakby od wilgoci, choć było to raczej nieprawdopodobne; Nynaeve doprowadzała innych ludzi do płaczu, sama nie płakała nigdy.

– No dobrze – powiedziała, tym razem głośno. – Alise, jeśli za chwilę wszyscy nie będą gotowi... – Obróciwszy się, urwała ze zduszonym, chrapliwym okrzykiem.

Ci, którzy mieli już siedzieć na koniach, siedzieli, nawet Atha'an Miere. Wszyscy Strażnicy zebrali się wokół pozostałych sióstr; Lan i Birgitte zdążyli tymczasem wrócić i Birgitte przyglądała się z niepokojem Elayne. Słudzy ustawili juczne konie w szeregu, a kobiety z Rodziny czekały cierpliwie, większość pieszo z wyjątkiem tych z Kółka Dziewiarskiego. Kilka koni, które nadawały się do jazdy pod wierzch, obładowano workami z żywnością i tobołkami z dobytkiem. Kobiety, które wzięły ze sobą więcej, niż Alise pozwoliła – żadna nie należała do Rodziny – dźwigały tobołki na własnych plecach. Szczupła arystokratka z blizną zgięła się nienaturalnie pod swoim bagażem, ale patrzyła chmurnie na każdego, tylko nie na Alise. Wszystkie kobiety, które potrafiły przenosić, wpatrywały się w bramę. Przy czym każda, której dane było słyszeć, jak Vandene przestrzegała przed niebezpieczeństwem, przyglądała się temu drgającemu włókienkowi takim wzrokiem, jakby to była czerwona żmija.

Konia Nynaeve przyprowadziła sama Alise. A potem, gdy ta wsuwała już stopę w strzemiono, poprawiła jej kapelusz z niebieskimi piórami. Nynaeve zawróciła swą tłustą klacz na północ, towarzyszył jej dosiadający Mandarba Lan, a w oczach jej zastygł wyraz absolutnej udręki. Elayne nie rozumiała, dlaczego nie usadziła Alise. Z opowieści Nynaeve wynikało, że dyrygowała starszymi od siebie kobietami już od czasu, gdy przestała być małą dziewczynką. A teraz pozycja Aes Sedai winna jej dawać całkowitą przewagę nad dowolną kobietą z Rodziny.

Kiedy kolumna ruszyła w stronę wzgórz, Elayne popatrzyła na Aviendhę i Birgitte. Aviendha zwyczajnie stała bez ruchu, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, w dłoni ściskała *angreal* ukształtowany na obraz kobiety otulonej własnymi włosami. Birgitte przejęła wodze Lwicy od Elayne i odprowadziła ją razem z własnym wierzchowcem do niewielkiego głazu w odległości dwudziestu kroków, i tam usiadła.

– Wy obie też powinnyście... – zaczęła Elayne i zakasłała, kiedy Aviendha gwałtownie uniosła brwi w górę, demonstracyjnie okazując zdziwienie. Nie było chyba sposobu odesłania Aviendhy w bezpieczne miejsce, który by jej jednocześnie nie hańbił. W każdym razie wydawało się to niemożliwe. – Pojedziesz z pozostałymi – powiedziała do Birgitte. – Zabierz Lwicę. Aviendha i ja możemy jechać na zmianę na jej wałachu. Chętnie się przespaceruję przed snem.

– Jeśli kiedyś jakiegoś mężczyznę będziesz traktowała w połowie tak dobrze jak tego konia – rzekła sucho Birgitte – będzie należał do ciebie na śmierć i życie. Chyba sobie trochę posiedzę, dość się dzisiaj najeździłam. Nie zawsze muszę być na każde twoje skinienie. Możemy się w to bawić w

obecności sióstr i innych Strażników, żeby oszczędzić ci rumieńców, ale obie wiemy, jak jest naprawdę. – Mimo drwiących słów, Elayne wyczuła jej tkliwość. Nie, coś silniejszego niż tkliwość. Nagle zapiekły ją oczy. Swoją śmiercią zraniłaby Birgitte do głębi jej istoty... więź to gwarantowała... ale to uczucie przyjaźni kazało jej teraz zostać.

– Bardzo się cieszę, mając takie przyjaciółki – odparła z prostotą. Birgitte uśmiechnęła się szeroko, jakby mimo wszystko powiedziała coś głupiego.

Aviendha natomiast zaczerwieniła się wściekle i wbiła wzrok nagle zogniomych oczu w Birgitte, tak wzburzona, jakby ona właśnie odpowiadała za jej rumieńce. Pospiesznie przeniosła spojrzenie na kolumnę, która jeszcze nie dotarła do pierwszego wzgórza, znajdującego się w odległości jakiejś połowy mili.

– Najlepiej byłoby poczekać, aż tamci znikną – powiedziała – ale nie powinnaś czekać zbyt długo. Od momentu gdy zaczniesz rozplątywać, strumienie zaczynają robić się... śliskie. Dopuszczysz, by jeden się wymknął, to jakbyś wypuściła cały splot, polecą wtedy tam, gdzie zechce. I nie wolno ci się spieszyć. Każdą nitkę trzeba wyciągać aż do samego końca. Im więcej wyprujesz, tym łatwiej przyjdzie ci potem znaleźć pozostałe, ale zawsze należy łapać tę nitkę, którą widzisz najwyraźniej. – Uśmiechnęła się ciepło i przycisnęła palce do policzka Elayne. – Poradzisz sobie, pod warunkiem że będziesz uważała.

Sądząc z opisu, wcale nie wydawało się to trudne. Wystarczy, jak będzie uważała. Miała wrażenie, że minęło już dużo czasu od chwili, gdy ostatnia kobieta zniknęła za wzgórzem, szczupła szlachcianka ugięta pod ciężarem swych sukien. Słońce jakby w ogóle nie zamierzało zejść, a zdawało się, że minęły całe godziny. Co ta Aviendha miała na myśli, mówiąc „śliskie”? Nic jej nie przychodziło do głowy oprócz różnych odmian tego słowa; po prostu trudno je utrzymać w ręku, ot i wszystko.

Przekonała się, co to znaczy, ledwie zaczęła. „Śliski” jest żywy węgorz, gdy go pokryć smarem. Chwytając pierwsze pasmo, zacisnęła zęby i natychmiast spróbowała je wyciągnąć. Westchnęłaby z ulgą, po tym jak nitka Powietrza po krótkim oporze wreszcie puściła, gdyby nie czekało na nią jeszcze tak wiele innych. Nie była pewna, czy sobie poradzi, jeśli staną się jeszcze bardziej „śliskie”. Aviendha obserwowała ją uważnie, jednak nie dodała już ani słowa, chociaż gdy Elayne tego potrzebowała, służyła krzepiącym uśmiechem. Elayne nie widziała Birgitte – nie odważyła się oderwać wzroku od swego zajęcia – ale czuła ją, niewielką, twardą jak skała grudę zaufania we własnej głowie, wystarczająco niewzruszonego, by przegnać jej wątpliwości.

Pot spływał jej strumieniami po twarzy, plecach i brzuchu, aż w końcu sama zaczęła czuć się „śliska”. Kąpiel tego wieczoru byłaby wielce pożądana. Nie, nie wolno o tym myśleć. Całą uwagę trzeba poświęcić pasmom splotu. Szło coraz trudniej, drżały, gdy tylko ich dotknęła, ale nadal, jedna po drugiej wychodziły, a za każdym razem, gdy kolejna nitka wyswobadzała się, koniec drugiej nagle wyraźnie się odznaczał tam, na tle bryły litego, zdawałoby się, *saidara*. Brama jawiła jej się teraz jak jakaś monstrualna, zniekształcona stugłowica na dnie stawu, obrośnięta mnóstwem wijących się macek, gęsto owłosionych nitkami Mocy, które rosły, wiły się i znikały, natychmiast zastępowane przez nowe. Widoczny dla wszystkich trzech otwór naprężał się na brzegach, stale zmieniając kształt, a nawet rozmiary. Nogi zaczęły jej drżeć, oczy piekły nie tylko od potu, ale również z napięcia. Nie wiedziała, jak długo to jeszcze wytrzyma. Zaciskała zęby i walczyła dalej. Jedna nitka na raz. Jedna nitka na raz.

Tysiąc mil dalej, w odległości niecałych stu kroków za pulsującym otworem bramy, żołnierze dziesiątkami rozpełzli się pomiędzy białymi budynkami farmy, niscy mężczyźni uzbrojeni w kusze, chronieni brązowymi napierśnikami i kolorowymi hełmami, które przypominały łby monstrualnych

owadów. Za nimi szła kobieta, w spódnicy z czerwonymi wstawkami i srebrnymi błyskawicami, bransoleta na jej nadgarstku łączyła się srebrzystą smyczą z obrozą na szyi kobiety w szarej sukni, za nią następna *sul'dam i damane*, a potem kolejna para. Jedna z *sul'dam* wyciągnęła rękę w stronę bramy, a jej *sul'dam* natychmiast otuliła się łuną *saidara*.

– Na ziemię! – wrzasnęła Elayne, sama padając na plecy, tracąc farmę z pola widzenia, i w tej samej chwili przez bramę przeleciała rozszczepiona srebrzystoniebieska błyskawica, a huk ogłuszył ją doszczętnie. Włosy stanęły jej dęba, jakby każdy chciał pójść w swoją stronę, i wszędzie tam, gdzie trafiły srebrzyste groty, wytryskiwały potężne fontanny ziemi. Poczula, jak spada na nią ulewa pyłu i kamyków.

W pewnej chwili odzyskała słuch; męski głos dobiegający zza bramy mówił niewyraźnym, miękkim akcentem, od którego brzmienia skóra jej ścierpła tak samo jak od treści słów.

– ...trzeba wziąć je żywcem, durnie!

Nagle na łękę tuż przed nią wyskoczył jeden z żołnierzy. Strzała Birgitte przebiła zaciśniętą pięść, przybijając ją do skórzanego napierśnika. Drugi seanchański żołnierz potknął się o ciało pierwszego, który tymczasem leżał już na ziemi, ale nóż Aviendhy przeszył mu gardło, nim zdążył się zorientować w sytuacji. Strzały wyskakujące z łuku Birgitte biły w napastników niczym grad z nieba; strzelała z ponurym uśmiechem, jedną nogą przydeptawszy wodze koni. Rozdygotane wierzchowce podrzucały łbami i płasły w miejscu, jakby chciały się wyrwać i uciec, ale Birgitte stała spokojnie i strzelała tak szybko, jak szybko była w stanie nasadzać strzały na cięciwę. A krzyki dobiegające zza bramy mówiły, że wszystkie jej groty znajdują drogę do celu. Ale kontratak przyszedł równie prędko jak czarne myśli – czarne smugi, bełty z kusz. Wszystko działo się tak szybko. Aviendha upadła na ziemię. Spod palców, którymi ścisnęła się za prawe ramię, wypłynęła struga krwi, ale natychmiast odjęła dłoń, odpełzła od toru, po którym przelatowały strzały, i z zaciętą miną zaczęła po omacku szukać upuszczonego *angreala*. A potem rozległ się krzyk Birgitte; upuściwszy łuk, schwyciła się za udo tam, gdzie trafił ją bełt. Elayne poczuła ukłucie bólu, tak wyraźnie, jakby to ją raniono.

Desperacko złapała koniec kolejnej nitki, nadal leżąc na plecach. I ku swemu przerażeniu zrozumiała, raz szarpnąwszy, że nie chce ustąpić. Czy w ogóle się poruszyła? Czy choćby drgnęła? Jeśli tak, to teraz nie odważy się już jej wypuścić. Nitka zadrzała w jej uścisku, grożąc, że zaraz się wyslizgnie.

– Żywcem, powiedziałem! – ryknął seanchański głos. – Każdy, kto zabije kobietę, traci udział w złocie! – Grad bełtów ustał.

– Chcesz mnie pojmać? – krzyknęła Aviendha. – To w takim razie przyjdź tu i zatańcz ze mną! – Nagle otoczyła ją łuna *saidara*, mętna łuna, mimo że Aviendha czerpała Moc za pośrednictwem *angreala*, a przed bramą zaczęły rozbłyskiwać kule ognia. Nie były to duże kule, ale towarzyszył ich wybuchowi miarowy huk, rozlegający się już ponad terytorium Altary. Aviendha dyszała z wysiłku, twarz miała zalaną potem. Birgitte odzyskała łuk -w każdym calu wyglądała teraz jak bohaterka z legendy, krew ściekała jej po nodze, ledwie była w stanie ustać, a mimo to, ze strzałą nasadzoną na do połowy naciągniętą cięciwę, rozglądała się w poszukiwaniu celu.

Elayne starała się zapanować nad swoim oddechem. Nie była w stanie objąć ani strzępka Mocy więcej, znikąd już dodatkowej pomocy.

– Musicie obie uciekać – powiedziała. Nie wierzyła własnym uszom, że to tak zabrzmiało – lodowatym zimnem; czuła wszak, że powinna szlochać. I miała wrażenie, że serce lada chwila wyskoczy jej z piersi. – Nie wiem, jak długo dam radę to utrzymać. – Miała na myśli zarówno cały splot, jak i tę pojedynczą nitkę. Czy w ogóle robiła jakieś postępy? – Biegnijcie, najszybciej jak potraficie. Za wzgórzami powinno być bezpiecznie, zresztą każda piędź terenu, jaką pokonacie, to już



coś. Biegnijcie!

Birgitte warknęła coś w Dawnej Mowie, ale Elayne nie rozpoznała żadnego ze słów. A szkoda, sądząc po tym, jak zabrzmiały. Jeśli będzie miała szansę, poprosi o wyjaśnienia. Birgitte zaś mówiła dalej, używając teraz słów z języka, który Elayne rozumiała.

– Wypuścisz to paskudztwo, zanim ci pozwolę, to nie będziesz musiała czekać, aż Nynaeve obedrze cię ze skóry; sama to zrobię. A potem ustąpię jej miejsca, niech też ma swój udział. Siedź cicho i trzymaj się! Aviendha, podejdź no od drugiej strony... stań za tą dziurą!... dasz radę to ciągnąć stamtąd?... a potem przejdź tam i dosiądź jednego z tych cholernych koni.

– Pod warunkiem że będę widziała miejsce, gdzie mam tkać – odparła Aviendha, podnosząc się chwiejnie. Zatoczyła się w bok i w ostatniej chwili złapała równowagę. Z rozcięcia w rękawie ciekła jej krew. – Chyba dam radę. – Zniknęła za bramą, kule ognia nadal leciały. Brama była od drugiej strony przezroczysta, aczkolwiek przypominała mgielkę żaru unoszącą się w powietrzu. Jednak przejść przez nią nie było można – każda próba skończyłaby się nadzwyczaj boleśnie – kiedy zaś Aviendha pojawiła się ponownie, zataczała się jak na rozkołysanym morzu. Birgitte pomogła jej dosiąść konia, tyle że tyłem!

Kiedy Birgitte zaczęła zapalczywie dawać jej znaki, Elayne nie raczyła nawet potrząsnąć głową. Zwłaszcza że bała się tego, co mogłoby się stać, gdyby tak zrobiła.

– Nie jestem pewna, czy utrzymam to pasmo, jeśli spróbuję się podnieść. – Po prawdzie to nie miała pewności, czy byłaby w ogóle w stanie się podnieść. Nie była już tylko zwyczajnie zmęczona: jej mięśnie stały się niczym woda. – Jedźcie tak szybko, jak możecie. Ja spróbuję wytrwać jak najdłużej. Błagam, jedźcie!

Mrucząc przekleństwa w Dawnej Mowie – to musiały być przekleństwa; nic innego nie miało takiego brzmienia! – Birgitte wcisnęła wodze w ręce Aviendhy. Dwukrotnie omal nie upadła, ale ostatecznie, mocno kulejąc, podeszła do Elayne, pochyliła się nad nią i ujęła ją za ramiona.

– Wytrwasz – powiedziała głosem pełnym tego samego przekonania, które Elayne czuła w jej wnętrzu. – Przed tobą nigdy nie poznałam żadnej królowej Andorę, ale znałam królowe podobne do ciebie. Kręgosłup ze stali i lwie serce. Na pewno ci się uda!

I powoli dźwignęła ją z ziemi, nie czekając na odpowiedź, z zaciętą twarzą, a każde szarpnięcie bólu w jej nodze rozlegało się echem w głowie Elayne, która drżała z wysiłku, jaki kosztowało ją podtrzymywanie splotu, podtrzymywanie tej jedynej nitki; aż się zdziwiła, że jednak stoi. I że żyje. Czuła teraz straszliwe pulsowanie promieniujące od nogi Birgitte. Próbowwała nie wspierać się na niej, ale własne, drżące kończyny nie były w stanie podtrzymać jej, jak należy. Gdy brnęły tak w stronę koni, jedna wsparta na drugiej, stale oglądała się przez ramię. Mogła podtrzymać splot, nie patrząc na niego – w normalnych okolicznościach mogła – ale tym razem musiała wciąż upewniać samą siebie, że naprawdę nadal ściska tę jedną nitkę, że się jej nie wyślizguje. Splot bramy w niczym nie przypominał tych wszystkich, jakie dotąd widziała, skręcał się dziko, trzepocząc włochatymi mackami.

Birgitte jęknęła i bardziej wrzuciła ją na siodło, niż pomogła wsiąść. Tyłem, tak samo jak Aviendhę!

– Musisz widzieć – wyjaśniła, kuśtykając w stronę swojego wałacha. Wciąż trzymała wodze wszystkich trzech koni, jakoś dosiadła swojego, mimo bólu. Ani razu nawet nie jęknęła, ale Elayne czuła potworny ból. – Rób, co trzeba, a mnie zostaw wybór drogi. – Konie zwawo poderwały się z miejsca, być może poganiane pragnieniem, by wreszcie się stamtąd wynieść, a być może sprawiło to mocne uderzenie piętą, którą Birgitte wbiła z całej siły w bok wierzchowca.

Elayne uczepliła się wysokiego łęku z taką samą zawziętością, z jaką trzymała splot *saidara*.

Galopujący koń miotał nią i jedyne, co mogła zrobić; to starać się utrzymać w siodle. Aviendha użyła swojego łuku jako podpórki, dzięki której siedziała prosto, łapała powietrze szeroko rozwartymi ustami, a jej oczy z pozoru zamarły, utkwione w jednym punkcie. Otaczała ją jednak łuna i kule ognia nadal frunęły nieprzerwanym strumieniem. Nie tak szybko jak przedtem, to prawda, poza tym niektóre padały daleko od bramy, ogniste smugi, które rozpruwały trawę albo eksplodowały jeszcze dalej, na gołej ziemi, ale nadal się tworzyły, nadal leciały. Elayne złapała drugi oddech, musiała, skoro Aviendha jakoś dawała radę, mimo iż wyglądała, jakby lada chwila miała runąć głową w dół z końskiego grzbietu.

Pędziły galopem, brama stawała się coraz mniejsza, dzieląca je od niej połąć brązowej trawy rozrastała się stopniowo i w pewnym momencie grunt zaczął nagle piąć się w górę. Wjeżdżały na wzgórze! Birgitte znowu była jak strzała nasadzona na cięciwę łuku, skupiona, zdławiła ból w nodze, poganiała konie. Musiały tylko osiągnąć szczyt, dotrzeć na drugą stronę.

Aviendha westchnęła głośno i wsparła się bezwładnie na łokciach, podskakując w siodle niczym pusty worek; otaczające ją światło *saidara* zamigotało i zgasło.

– Już nie mogę – wydyszała. – Nie mogę. – Tylko na tyle było ją stać. W chwilę po tym, jak ustał ogniisty grad, na łąkę zaczęli wyskakiwać seanchańscy żołnierze.

– Wszystko w porządku – wykrztusiła Elayne. W gardle czuła piach. Cała wilgoć, jaką dotąd kryło jej ciało, teraz wypełzła na skórę i wsiąkła w ubranie. – Korzystanie z *angreala* naprawdę męczy. Dobrze się spisałaś, już nas nie dogonią.

Na łące pod nimi, jakby naigrywając się z jej słów, pojawiły się *sul'dam* i *damane*, nawet z odległości mili tych dwóch kobiet nie można było pomylić z nikim innym. Promienie słońca, wiszącego już nisko na zachodzie, nadal rozpałały blaskiem łączącą je *a'dam*. Przyłączyła się do nich jeszcze jedna para, potem trzecia i czwarta. Piąta.

– Jesteśmy na szczycie! – zakrzyknęła z radością Birgitte. – Udało nam się! Tej nocy zacne wino i dobrze zbudowany mężczyzna!

Jedna z *sul'dam* na łące pokazała je palcem i Elayne zdało się, jakby czas nagle zwolnił. *Damane* tej kobiety otoczyła nagle łuna Jedynej Mocy. Elayne widziała wyraźnie powstawanie splotu. Wiedziała, co to takiego. I wiedziała, że nie istnieje sposób, by to udaremnić.

– Szybciej! – zawołała. Poczowała uderzenie tarczy. Potencjalnie była silniejsza – potencjalnie! – ale tak wyczerpana ledwie trzymała się *saidara* i tarcza wcięła się między nią a Źródło. Splot bramy utworzonej na łące zapadł się w siebie. Wynędziała Aviendha, która wyglądała, jakby nie była w stanie nawet drgnąć, rzuciła się całym ciałem na Elayne, ściągając je obie na ziemię. Elayne upadła, zdążywszy tylko zobaczyć przeciwległe zbocze wzgórza, które rozciągało się pod nimi.

Powietrze zmieniło się w biel, oślepiając ją. Rozbrzmiał jakiś dźwięk – wiedziała, że to dźwięk, daleki huk – ale dobiegał jakby z daleka, gdzieś spod progu słyszalności. Coś w nią uderzyło, jakby spadła z dachu na twardy chodnik... nie z dachu, z samego szczytu wieży.

Otworzyła oczy i zobaczyła niebo. Niebo, ale jakieś dziwne, jakby zamazane. Przez chwilę nie była w stanie się ruszyć, a kiedy wreszcie jej się udało, jęknęła. Wszystko ją bolało. Och Światłości, ależ bolało! Powoli uniosła rękę do twarzy; palce, kiedy je odjęła, były czerwone. Krew. Aviendha i Birgitte. Trzeba im pomóc. Czuła Birgitte, czuła ból równie dojmujący jak ten, który pochwycił ją w swoje szpony, ale tamta przynajmniej żyła. I była zła, a także wyraźnie zdeterminowana; nie mogła być aż tak mocno ranna. Aviendha.

Elayne zaszlochała, przekręciła się na bok, w końcu podźwignęła na czworaka, czując potężny zawrót głowy i ukłucie śmiertelnego bólu w boku. Niejasno przypomniała sobie, że poruszanie się nawet z jednym tylko złamanym zębem może być niebezpieczne, ale ta myśl była równie mglista jak

widok zbrocza wzgórze. Myślenie zdawało się... trudne. Ale mruganie jakby pomagało w odzyskiwaniu wzroku. Trochę. Znajdowała się tuż u stóp wzgórze! Wysoko w górze unosił się dym z nad łąki. Teraz jednak było to nieważne. Zupełnie nieważne.

Zobaczyła Aviendhę, również na czworakach, trzydzieści kroków wyżej, na zboczu. Omal się nie przewróciła, kiedy podniosła rękę, by wytrzeć krew ciekącą jej po twarzy, ale jednocześnie rozglądała się wokół z niepokojem. Jej wzrok padł na Elayne i w tym momencie zastygła w bezruchu, z wytrzeszczonymi oczyma. Elayne zastanawiała się, jak źle musi wyglądać. Z pewnością nie gorzej niż sama Aviendha – połowa spódnicy przyjaciółki gdzieś się zapodziała, staniczek miała oddarty i cała skóra, jaka prześwitywała spod odzienia, zdawała się umazana krwią.

Elayne podpełzła ku niej. Ból rozsadzający czaszkę podpowiadał, że tak będzie znacznie łatwiej, niż gdyby miała wstać i chodzić. Aviendha westchnęła z ulgą, kiedy się do niej zbliżyła.

– Nic ci się nie stało – wydyszała, dotykając zakrwawionymi palcami policzka Elayne. – Tak się bałam. Tak się bałam.

Elayne zamrugnęła, zdziwiona. Zrozumiała, że sama znajduje się w równie opłakanym stanie jak Aviendha. Jej spódnice pozostały wprawdzie nietknięte, ale za to utraciła prawie połowę staniczka i zdawało się, że krwawi z dwóch tuzinów ran. I wtedy do niej dotarło. Nie wypaliła się. Aż zadygotała, gdy naszła ją ta myśl.

– Żadnej nic się nie stało – powiedziała cicho.

Spory kawałek dalej Birgitte wytarła nóż o grzywę wałacha Aviendhy, a potem powstała z nad ciała znieruchomiałego konia. Prawa ręka zwisała jej bezwładnie, kaftan gdzieś zaginął, razem z jednym butem, a reszta odzienia zwisała w strzępach. Ciało i ubranie miała podobnie zakrwawione jak one. Bełt od kuszy wbity w biodro stanowił chyba najgorsze z jej obrażeń, ale inne z pewnością również dawały jej się we znaki.

– Skręcił kark – oznajmiła, wskazując konia leżącego u jej stóp. – Mojemu chyba nic się nie stało, ale ostatnim razem, kiedy go widziałam, pędził tak, jakby chciał zdobyć Wieniec Megairil. Zawsze uważałam, że jest w stanie rozwinąć dużą szybkość. A Lwica... – Wzruszyła ramionami i skrzywiła się. – Elayne, Lwica nie żyła, kiedy ją znalazłam. Przykro mi.

– Za to my żyjemy – stwierdziła stanowczo Elayne – i tylko to się liczy. – Lwicę będzie opłakiwała później. Dym unoszący się nad szczytem wzgórze nie był szczególnie gęsty, ale najwyraźniej dymił spory obszar ziemi. – Chcę zobaczyć dokładnie, co takiego zrobiłam.

Musiały się wzajemnie podpierać, żeby w ogóle powstać z ziemi, a wyczerpującej, powolnej wspinaczce w górę zbrocza towarzyszyły stękania i pojękiwania, nawet Aviendha nie potrafiła zamilczeć. Zawodziły, jakby jakaś niewidzialna siła wytrzęsła z nich prawie całe życie – co zresztą, podejrzewała Elayne, istotnie miało miejsce – i wyglądały tak, jakby je wytarzano w jatce rzeźnika. Aviendha nadal zaciskała w garści *angreal*, ale nawet gdyby ona lub Elayne dysponowała większym Talentem Uzdrawiania, to i tak żadna nie zdołałaby objąć Źródła, nie mówiąc już o przenoszeniu. Wreszcie dotarły do szczytu i stamtąd, podtrzymując się wzajem, przyjrzały krajobrazowi zniszczeń.

Łąkę otaczał pierścień ognia, którego wewnątrz zdążyło już poczerpieć, tylko dymiło, ogołocone nawet z kamieni. Połowa drzew na okolicznych wzgórzech była połamana albo chyliła się ku ziemi. Na niebie zaczęły pojawiać się jastrzębie, kołowały w gorącym powietrzu drżącym nad pożogą; jastrzębie często polowały w taki sposób, szukając małych zwierzątek, które uciekały przed płomieniami na otwartą przestrzeń. Po Seanchanach nie zostało śladu. Elayne żałowała, że nie widzi żadnych ciał, dzięki temu nabrałaby pewności, że wszyscy nie żyją. Zwłaszcza wszystkie *sul'dam*. Ale gdy tak wpatrywała się w wypaloną, dymiącą ziemię, nagle ucieszyła się, że niczego nie widzi. To musiała być straszna śmierć. „Światłości, zlituj się nad ich duszami” – pomyślała. – „Nad

duszami ich wszystkich”.

– Cóż – odezwała się. – Nie spisałam się tak dobrze jak ty, Aviendha, ale gdy się nad tym zastanowić, coś mi się zdaje; że tylko nam to wyszło na dobre. Następnym razem bardziej się postaram.

Aviendha zerknęła na nią z ukosa. Miała rany na policzku i czole, a jedna, bardzo długa rozcinała jej czaszkę.

– Jak na pierwszy raz, poradziłaś sobie znacznie lepiej niż ja. Mnie za pierwszym razem dostał się prosty węzeł zawiązany strumieniem Powietrza. Rozplątałam go dopiero po pięćdziesiątej próbie, przy czym ani nie spoliczkował mnie wtedy piorun, ani też nie dostałam ciosu, od którego dzwoni w uszach.

– Przypuszczam, że też powinnam była zacząć od czegoś prostszego – odparła Elayne. – Często zdarza mi się skakać na głowę do głębokiej wody. – Na głowę do wody? Skoczyła, zamiast najpierw sprawdzić, czy woda w ogóle tam jest! Próbowwała się zaśmiać, ale zakłuło ją w boku. Zamiast więc chichotać, syknęła przez zęby. I przy okazji poczuła, że niektóre chyba się ruszają. – Przynajmniej odkryłyśmy nową broń. Być może nie powinnam tak się z tego cieszyć, ale skoro Seanchanie wrócili, to chyba mogę.

– Nie rozumiesz, Elayne. – Aviendha wskazała miejsce pośrodku łąki, gdzie przedtem była brama. – Wszystko mogło się skończyć pojedynczym błyskiem światła albo nie. Tego nie da się przewidzieć. Czy błysk światła jest wart ryzyka, że wypalisz siebie i każdą kobietę, która znajduje się w odległości stu kroków?

Elayne zagapiła się na nią. Została, wiedząc o tym? Ryzykować własne życie to jedno, ale ryzykować utratę zdolności przenoszenia...

– Chciałabym odbyć z tobą ceremonię przysposobienia w charakterze pierwszych-siostr, Aviendha. Gdy tylko znajdziemy jakieś Mądre. – Nie wiedziała jednak, co począć z Randem. Sam pomysł, że obie miałyby go poślubić... i Min również!... był co najmniej bzdurny. Ale w sprawie tego, co powiedziała, nie żywiła żadnych wątpliwości. – Nie muszę już cię lepiej poznawać. Chcę zostać twoją siostrą. – Delikatnie pocałowała umazany krwią policzek Aviendhy.

Przedtem tylko jej się zdawało, że rumieniec Aviendhy miał iście wściekłą tonację. U Aielów nawet kochankowie nie całowali się na oczach wszystkich. Tymczasem teraz najbardziej ogniste zachody słońca zbladłyby w porównaniu z twarzą Aviendhy.

– Ja też bym chciała, żebyś została moją siostrą – wymamrotała przyjaciółka. Z trudem przełykając ślinę i popatrując na Birgitte, która udawała, że je obie ignoruje, pochyliła się i na moment przycisnęła wargi do policzka Elayne. Elayne kochała ją równie mocno za ten gest, jak i za całą resztę.

Birgitte wbiła spojrzenie gdzieś w przestrzeń poza nimi i być może wcale nie udawała, bo nagle powiedziała:

– Ktoś tu jedzie. Lan i Nynaeve, chyba że źle zgaduję.

Zawróciły niezgrabnie, kuśtykając, potykając się i pojękując. Co wydawało się niedorzeczne – bohaterowie w opowieściach nigdy nie odnosili aż takich obrażeń, by ledwie byli w stanie utrzymać się na nogach. W oddali, na północy, między drzewami mignęły sylwetki jeźdźców. Przelotnie, ale widać ich było dostatecznie długo, by zdołały rozpoznać wysokiego mężczyznę pędzącego zawzięcie na dorodnym wierzchowcu oraz kobietę na nieco niższym koniu, która cwałowała równie chyżo u jego boku. Wszystkie trzy ostrożnie przysiadły na ziemi, żeby na nich zaczekać. Kolejna rzecz, jakiej bohaterowie nigdy nie robili, westchnęła w myślach Elayne. Miała nadzieję, że da radę być taką królową, z jakiej jej matka byłaby dumna, ale wiedziała już z absolutną pewnością, że nigdy nie

będzie z niej heroina.

Chulein lekko ściągnęła wodze i Segani przechylił się gładko na żebrowane skrzydło, zawracając. Był to dobrze wytresowany *raken*, chybki i zwinny, jej ulubiony, choć niestety, musiała się nim dzielić. *Morat' rakenów* zawsze było więcej niżli *rakenów*, smutne, ale prawdziwe. Nad farmą, którą właśnie obserwowała z góry, fruwały ogniste kule, wykwitające jakby znikąd. Starła się nie zwracać na nie uwagi, jej zadaniem było wypatrywanie, czy w okolicach farmy nie pojawią się jakieś kłopoty. Przynajmniej nad gajem oliwnym, w którym śmierć znaleźli Tauan i Macu, przestał wreszcie unosić się dym.

Z wysokości tysiąca stóp miała znakomity widok. Pozostałe *rakeny* przeprowadzały zwiady nad okolicą. Każda kobieta, która uciekła, miała zostać namierzona celem sprawdzenia, czy jest jedną z tych, które spowodowały całe to zamieszanie, aczkolwiek prawda była taka, że na widok *rakena* przemierzającego niebo uciekałby zapewne każdy mieszkaniec tych ziem. Chulein miała tylko obserwować, czy nie szykuje się coś nieprzewidzianego. Żałowała, że nie czuje swędzenia między łopatkami – stanowiło zawsze niezawodne ostrzeżenie. Podmuchy łopoczących skrzydeł Segani nie były silne przy takiej prędkości, ale na wszelki wypadek ściągnęła tasiemki kaptura z woskowanego płótna, sprawdziła rzemienie przytrzymujące siodło, poprawiła kryształowe okulary i naciągnęła rękawice.

Na ziemi zebrało się już ponad sto Niebiańskich Pięści i, co ważniejsze, sześć *sul'dam* w towarzystwie *damane*, a oprócz nich kilkanaście innych, które dźwigały torby z zapasowymi *a'dam*. Z południowych wzgórz miały lada chwila nadlecieć posiłki. Byłoby dobrze, gdyby pierwszy atak przeprowadzono bardziej zmasowaną siłą, ale Hailene brakowało *to' rakenów*, krążyły pogłoski, jakoby wielu z nich przydzielono zadanie przetransportowania Wysokiej Lady Suroth oraz całego jej dworu z Amadicii. Wprawdzie obyczaj zakazywał myśleć źle o przedstawicielach Krwi, a jednak Chulein wolałaby, żeby do Ebou Dar posłano więcej *to' rakenów*. Żaden *morat' raken* nie mógł mieć wysokiego zdania o tych ogromnych, niezgrabnych *to' rakenach*, które nadawały się tylko do dźwigania ciężarów, potrafiły jednak przenieść więcej Niebiańskich Pięści i więcej *sul'dam*, i to w znacznie krótszym czasie.

– Krążą pogłoski, że tam na dole są setki *marath'damane* – powiedziała głośno Eliya za jej plecami. Na niebie trzeba było mówić głośno, żeby przekrzyczeć wiatr. – Wiesz, co zamierzam zrobić z moim udziałem w złocie? Kupię sobie oberżę. To Ebou Dar wygląda na przyjemne miejsce, jak mogłam się zorientować. Może nawet znajdę sobie męża. Urodzę dzieci. Co myślisz?

Chulein uśmiechnęła się pod szarfą osłaniającą dolną część jej twarzy przed wiatrem. Wszyscy awiatorzy chcieli kupować oberże – albo tawerny, czasami farmy – ale kto tak naprawdę byłby zdolny opuścić niebo? Poklepała Segani po długim, skórzastym karku. Każda kobieta awiator – na każdych czterech przypadały trzy kobiety – mówiła o mężu i dzieciach, ale dzieci oznaczały koniec z lataniem. Więcej kobiet odchodziło z Pięści Niebios w ciągu miesiąca, niżli opuszczało niebo w ciągu połowy roku.

– Myślę, że powinnaś trzymać oczy otwarte – odparła. Ale w takiej pogawędce nie było nic niewłaściwego. Byłaby w stanie dostrzec dziecko pośród gajów oliwnych, a co dopiero prawdziwe zagrożenie dla Niebiańskich Pięści. Najlżej uzbrojeni z żołnierzy byli równie twardzi jak Straż Skazańców, niektórzy powiadali, że jeszcze twardsi. – Ja wykorzystam swój udział do kupienia sobie *damane* i wynajęcia *sul'dam*. – Jeśli tam w dole była choć połowa tych wszystkich *marath'damane*, o jakich mówiły pogłoski, to wystarczyłoby jej pewnie na dwie *damane*. Albo nawet na trzy! –

*Damane* przyuczona do tworzenia Światła Niebios. Kiedy opuści niebo, będę tak bogata, jakbym wywodziła się z Krwi. – Mieszkańcy tych ziem wymyślili coś, co nazywali „fajerwerkami”, widziała w Tanchico jakichś ludzi, którzy na próżno usiłowali wzbudzić nimi zainteresowanie Krwi, ale kto by tam oglądał takie widowiska, jakże przecież żałosne w porównaniu ze Światłami Niebios? Ich twórcy zostali bezceremonialnie wyrzuceni poza obręb miejskich murów.

– Farma! – krzyknęła Eliya i nagle coś uderzyło w Segani, z całej siły, silniej niżli podmuchy wszelkich burz, jakie Chulein kiedykolwiek przeżyła, sprawiając, że *raken* zatoczył się ze skrzydła na skrzydło.

A potem *raken* runął w dół, skrzecząc ochryple i wirując tak szybko wokół własnej osi, że aż Chulein poczuła, jak uprząż wpija się w jej ciało. Nie oderwała jednak rąk od bioder, dłonie, mimo iż zaciśnięte kurczowo na wodzach, pozostały nieruchome. Segani musiał wyjść samodzielnie z nurkowania, każde szarpnięcie wodzy tylko by go przestraszyło. Spadali, obracając się niczym koło gry losowej. *Morat'rakenów* szkolono, że nie powinni patrzeć w dół, gdy ich *raken* spadał, niezależnie od przyczyn, ale nie umiała się powstrzymać, by nie szacować wysokości, na jakiej się znajdowali, za każdym razem, gdy, jak strzał z bicia, w zasięgu wzroku pojawiała się ziemia. Osiemset kroków. Sześćset. Czterysta. Dwieście. Oby Światłość opromieniła jej duszę, a nieskończona łaska Stwórcy chroniła ich oboje od...

Gwałtowny wymach szerokich skrzydeł szarpnął jej ciało z taką siłą, że aż posłyszała dzwonięcie własnych zębów. Segani wyrównał lot, szorując czubkami piór o korony drzew. Ze spokojem wykształconym drogą wytężonego treningu sprawdziła, czy nie nadwyrężył sobie skrzydeł. Nic nie znalazła, ale i tak każe *der'morat'rakenowi* dokładnie go zbadać. Mistrz nie przeoczy drobiazgu, który mógł umknąć jej uwadze.

– Wychodzi na to, że znowu udało nam się umknąć Pani Cieni, Eliya. – Obróciła się, by spojrzeć przez ramię, i przekonała się, że mówiła na próżno. Za pustym siedzeniem łopotał fragment zerwanego pasa bezpieczeństwa: Każdy oblatywacz wiedział, że na samym końcu długiego upadku czeka Pani Cieni, ale ta wiedza niczego nie ułatwiała, gdy na własne oczy było się jego świadkiem.

Zmówiła krótką modlitwę za zmarłych i z całą stanowczością powróciła do obowiązków, Segani powoli na nowo nabierał wysokości. Niespiesznym, spiralnym lotem, na wypadek, gdyby jednak dokuczały mu jakieś ukryte obrażenia, najszybciej jednak, jak to uznała za bezpieczne. Może nawet odrobinę szybciej. Zmarszczyła brwi na widok dymu unoszącego się z przysadzistego wzgórza, ale dopiero to, co zobaczyła, kiedy szerokim łukiem mijała jego szczyt, sprawiło, że zaschło jej w ustach. Jej dłonie znieruchomiały na wodzach, a Segani nadal się wspinał potężnymi wymachami skrzydeł.

Farma... zniknęła. Widać było fundamenty, na których przedtem stały białe budynki, ale wszystkie wielkie konstrukcje wbudowane w stoki zawałyły się, zmieniając w sterty gruzu. Po farmie nie zostało ni śladu. Wszystko szerniało i spłonęło. Ogień szalał w zaroślach porastających zbocza i rozprzestrzeniał się jęzorami długości stu kroków, hen w głąb gajów oliwnych i lasu, sięgając do kotlin między wzgórzami. Dalej, na przestrzeni kolejnych stu kroków albo i więcej, leżały połamane drzewa, wyglądając, jakby starały się uciec z farmy. W życiu nie widziała czegoś takiego. Nic w dole nie mogło ocaleć. Nie da się przeżyć czegoś takiego. Cokolwiek to było.

Prędko oprzytomniała i zawróciła Seganiego ku południu. W oddali widziała *to'rakeny*, na każdym tłoczyło się po kilkanaście Niebiańskich Pięści i *sul'dam*, przybywających zbyt późno. Zaczęła układać już raport w głowie, z pewnością nikt inny nie miał go sporządzić. Wszyscy twierdzili, że to kraj pełen *marath'damane*, które tylko czekają, aż ktoś im nałoży obrożę, a jednak teraz okazało się, że te kobiety, które nazywały siebie Aes Sedai, stanowią prawdziwe

niebezpieczeństwo, skoro dysponują taką bronią. Coś trzeba w związku z tym przedsięwziąć, podjąć rozstrzygające kroki. Żeby tak Wysoka Lady Suroth – zakładając, że już wyruszyła w drogę do Ebou Dar – też to zrozumiała.

# ROZDZIAŁ 7

## ZAGRODA DLA KÓZ

Ghealdańskie niebo było bezchmurne, słońce od samego rana dręczyło niemiłosiernie porośnięte lasami wzgórza. Ziemia omdlewała od upału, mimo że dopiero co minęło południe. Nie tylko sosny i drzewa skórzane żółkły od suszy, ale również te gatunki drzew, które zdaniem Perrina zaliczały się do wiecznie zielonych. Nawet pojedynczy podmuch wiatru nie mącił upiornego żaru. Pot spływający mu po twarzy ściekał prosto pod zarost brody, a kędzierzawe włosy lepiły się do czaszki. Wydawało mu się, że gdzieś na zachodzie zahuczał grom, ale już prawie przestał wierzyć, że jeszcze kiedykolwiek spadnie deszcz. Człowiek walił młotem w to żelazo, które leżało na jego kowadle, a nie marzył o kuciu srebra.

Ze stanowiska na rzadko zalesionej grani przyglądał się przez okute mosiądzem szkło powiększające warownemu miastu noszącemu nazwę Bethal. Również jego oczom potrzebna była pomoc przy takiej odległości. Miasto było nawet spore, z budynkami o spadzistych dachach, wśród których wyróżniało się z pół tuzina okazałych kamiennych budowli, być może pałace pomniejszych arystokratów albo domostwa zamożnych kupców. Nie był w stanie dojrzeć, co widnieje na czerwonym sztandarze zwisającym bezwładnie ze szczytu najwyższej wieży najokazalszego z pałaców – jedynym sztandarze w zasięgu wzroku – ale wiedział, do kogo należy. Alliandre Maritha Kigarin, królowa Ghealdan, bawiła daleko od swej stolicy w Jehannah.

Bramy osadzone w zewnętrznych murach stały otworem, przy każdym ze skrzydeł stało co najmniej dwudziestu strażników, żaden jednak nie wychodził na zewnątrz, a wszystkie drogi w zasięgu jego wzroku były puste, jeśli nie liczyć samotnego jeźdźca, który właśnie galopował w stronę Bethal z północy. Żołnierzy strzegących miasta osoba jeźdźca wyraźnie zdenerwowała, niektórzy poprawiali piki albo łuki na jego widok, jakby pędził, wymachując ociekającym krwią mieczem. Kolejni żołnierze tłoczyli się na szczytach barbakanów albo maszerowali po łączących je murach. Nasadzali właśnie strzały na cięciwy albo unosili kusze. Dużo tam było strachu.

Przez tę część Ghealdan przewalała się burza. Nadal się przewalała. Oddziały Proroka siały chaos, z czego korzystali bandyci oraz Białe Płaszczce, które dokonywały najazdów z graniczącej z Ghealdan Amadicii i bez większego trudu zapuszczały się aż tak daleko. Kilka rozproszonych kolumn dymu dalej na południu oznaczało zapewne płonące farmy, dzieło Białych Płaszczy albo Proroka. Bandytom rzadko kiedy chciało się podkładać ogień, a zresztą Synowie pozostawiali im niewiele pola do popisu. Na domiar wszystkiego pogłoski, jakie docierały do Perrina w każdej wiosce, przez którą przejeżdżał, mówiły, że padł Amador, wzięty przez Proroka, może przez Tarabonian, może przez Aes Sedai, zależało to od tego, kto opowiadał. Niektórzy twierdzili, że sam Pedron Niall poległ podczas obrony miasta. Jednym słowem, królowa miała dość powodów, by troszczyć się o własne bezpieczeństwo. Niewykluczone też, że ci żołnierze byli tam z jego powodu. Mimo największych wysiłków ich wyprawa na południe raczej nie umknęła ludzkiej uwadze.

Zamyślony, podrapał się po brodzie. Szkoda, że wilki ukryte na okolicznych wzgórzach nie mogły mu nic powiedzieć, ale one rzadko zwracały uwagę na ludzkie poczynania, trzymały się od dwunożnych z daleka. A zresztą po wydarzeniach u Studni Dumai uważał, że nie ma prawa wypytywać je o nic więcej ponadto, co absolutnie musiał wiedzieć. Postąpi chyba najroztropniej, jeśli wjedzie do miasta sam, w towarzystwie najwyżej kilku ludzi z Dwu Rzek.

Często odnosił wrażenie, że Faile potrafi czytać jego myśli, zwłaszcza wtedy, gdy sobie najmniej tego życzył, i dowiodła tego właśnie teraz, podjeżdżając na swej czarnej jak noc Jaskółce.



Ta suknia do konnej jazdy z wąskimi spódnicami była niemal tak ciemna jak sierść jej klaczy, a jednak upał zdawała się znosić lepiej niż on. Pachniała lekko ziołowym mydłem i czystym potem, sobą. A także determinacją. Jej skośne oczy były zdecydowane, a wydatny nos nieodparcie przywodził na myśl sokoła, od którego wzięła swe imię.

– Nie chciałabym oglądać dziur w tym wspaniałym niebieskim kaftanie, mężu – powiedziała cicho, przeznaczając to wyłącznie dla jego uszu – a wszak ci ludzie wyglądają, jakby gotowi byli strzelać do obcych, nie spytawszy pierwej, kim są. A poza tym jakim sposobem zamierzasz dotrzeć przed oblicze Alliandre, nie zdradziwszy światu swojego imienia? Pamiętaj, tu trzeba dyskrecji. – Nie powiedziała, że to ona powinna jechać, strażnicy przy bramach na pewno bowiem uznają kobietę przybywającą samotnie do miasta za uciekinierkę z jakiegoś miejsca targanego kłopotami, a do królowej dotrze, posługując się imieniem swej matki, co nie wywoła zbyt wielu komentarzy, ale nie musiała tego robić. Odkąd wjechali na terytorium Ghealdan, co noc słyszał od niej i to, i jeszcze inne rzeczy. Znalazł się tutaj po części za sprawą ostrożnego listu, jaki Alliandre wystosowała do Randa, oferując... Poparcie? Lojalność? Tak czy owak, najważniejsze było to, że pragnęła utrzymać wszystko w tajemnicy.

Perrin wątpił, by nawet Aram, siedzący na swym długonogim siwku, kilka kroków za nim, mógł usłyszeć bodaj jedno ze słów Faile, ale zanim skończyła mówić, z drugiej strony podjechała na białej klaczy Berelain; jej policzki lśniły od potu. Ona też pachniała determinacją, przytłumioną jednak oparami różanych perfum. W każdym razie dla niego były to opary. I o dziwo, spod jej zielonej sukni wyzierało tylko tyle ciała, ile nakazywała przyzwoitość.

Dwie towarzyszki Berelain trzymały się z tyłu, przy czym Annoura, doradzająca jej Aes Sedai, przyglądała mu się z nieodgadnionym wyrazem twarzy okolonej czepcem z długich do ramion i ozdobionych paciorkami warkoczyków. Jej spojrzenie było w całości skupione na nim, dwie kobiety u jego boków ignorowała. Na tej twarzy nie perliła się nawet jedna kropla potu. Żałował, że nie znajduje się dostatecznie blisko, by wyczuć zapach bijący od obdarzonej haczykowatym nosem Szarej siostry; w odróżnieniu od innych Aes Sedai ta nie składała nikomu żadnych obietnic. Mniejsza już, ile te obietnice były warte. Lord Galenne, dowódca Skrzydlatej Gwardii Berelain, obserwował Bethal przez szkło powiększające przyłożone do jednego oka i bawił się wodzami w sposób, który, jak Perrin się przekonał, oznaczał, iż jest głęboko pochłonięty jakimiś kalkulacjami. Prawdopodobnie się zastanawiał, jak wziąć Bethal siłą; Galenne zawsze zaczynał od rozpatrzenia najgorszej ewentualności.

– Nadal uważam, że to ja powinnam rozmawiać z Alliandre – oznajmiła Berelain. To Perrin również słyszał każdego dnia. – Przecież dlatego właśnie tu przyjechałam. – Taki był jeden z powodów. – Annourze zostanie natychmiast udzielona audiencja, zabierze mnie ze sobą i nikt się o niczym nie dowie oprócz Alliandre. – Drugi powód do zdziwienia. W jej głosie nie było ani śladu zalotności. Z pozoru tyleż samo uwagi poświęcała swym czerwonym rękawicom co jego osobie.

Która? Problem polegał na tym, że nie chciał posłać żadnej.

Seonid, druga Aes Sedai na grani, stała obok swego cisawego konia nieco dalej, blisko wysokiego, zwiędłego od suszy czarnodrzewa, zapatrzona nie na Bethal, ale w niebo. Nieco dalej zobaczył dwie jasnookie Mądre i zwrócił uwagę na kontrast, jaki ich wygląd stanowił z wyglądem siostry, one miały twarze ogorzone od słońca, ona bladą karnację, one jasne włosy, ona ciemne, obie były wysokie, ona zaś niska, nie wspominając już ciemnych spódnic i białych bluzek odcinających się od jej niebieskich wełen najprzedniejszego gatunku. Nadto Edarra i Nevarin przyozdabiały się licznymi naszyjnikami i bransoletami ze złota, srebra i kości słoniowej, podczas gdy Seonid nosiła jedynie pierścień z Wielkim Wężem. One były młode, jej wieku nie dawało się określić. Mądre

dorównywały jednak Zielonej siostrze opanowaniem, a teraz również badawczo przyglądały się niebu.

– Widzicie coś? – spytał Perrin, odkładając decyzję na potem.

– Widzimy niebo, Perrinie Aybara – odparła wstrzemięźliwie Edarra i poprawiła ciemny szal zawiązany na łokciach, poszczękując cicho biżuterią. Na Mądre upał zdawał się wywierać wrażenie równie nieznaczne jak na Aes Sedai. – Gdybyśmy widziały coś więcej, to. byśmy ci powiedziały. – Zakładał, że tak by właśnie postąpiły. Z pewnością zaś, gdyby było to coś, co w ich przekonaniu dostrzegliby również Grady i Neald. Dwaj Asha'mani nie mieli przed nim tylu tajemnic. Żałował, że zostali w obozowisku, zamiast być teraz tutaj.

Kilka dni wcześniej koronka Jedynej Mocy rozsnuta wysoko po niebie wzbudziła niezłe poruszenie wśród Aes Sedai i Mądrych. Ale wprawiła w konsternację również Grady'ego i Nealda. Fakt ten jeszcze bardziej spotęgował niepokój, Aes Sedai bowiem nigdy nie były tak bliskie paniki jak właśnie wtedy. Asha'mani, Aes Sedai i Mądre twierdzili zgodnie, że nadal wyczuwają lekką obecność Mocy w przestworzach, długo po tym, jak koronkowa smuga zniknęła, ale żadne nie wiedziało, co to oznacza. Neald twierdził, że ów widok przywiódł mu na myśl wiatr, ale nie umiał wyjaśnić dlaczego. Nikt poza nim nie chciał się wypowiedzieć w tej sprawie, a jednak jeśli w grę wchodziła i męska, i żeńska połowa Mocy, to w, takim razie musiało to być dzieło Przeklętych, nadto zakrojone na ogromną skalę. Rozmyślenia, o co im może chodzić, odebrało Perrinowi sen na wiele nocy.

Wbrew sobie zerknął na niebo. I oczywiście nic nie zobaczył z wyjątkiem dwóch gołębi. Nagle w zasięgu jego wzroku pojawił się jastrząb i jeden z gołębi zniknął w fontannie pierza. Drugi jak oszalały poszybował w stronę Bethal.

– Czy podjąłeś już decyzję, Perrinie Aybara? – spytała Nevarin, cokolwiek nazbyt ostrym tonem. Zielonooka Mądra zdawała się jeszcze młodsza od Edarry, być może nie była starsza od samego Perrina i trochę jeszcze minie czasu, zanim osiągnie poziom opanowania niebieskookiej towarzyszki. Szal zsunął jej się z ramion, gdy wsparła dłonie na biodrach, niemalże można by oczekiwać, że zacznie mu wygrażać palcem. Albo pięścią. Przywodziła mu na myśl Nynaeve, mimo że przecież wcale nie były do siebie podobne. W porównaniu z Nevarin Nynaeve wyglądałaby na tęgą. – Po co ci nasze rady, skoro nie chcesz ich słuchać? – spytała. – No po co?

Faile i Berelain siedziały sztywno wyprostowane w siodłach, obie wyniosłe do przesady, obie pachniały wyczekiwaniem i jednocześnie niepewnością. A także irytacją, którą owa niepewność wzbudzała, żadna nie lubiła tego szczególnego stanu duszy. Seonid stała zbyt daleko, by można było coś od niej wyczuć, ale zaciśnięte wargi dostatecznie wiele mówiły o jej nastroju. Rozwścieczało ją, że zgodnie z nakazem wydanym jej przez Edarrę, nie wolno jej się odzywać, dopóki tamte nie udzielią pozwolenia. Jednak z pewnością pragnęła, by stosował się do rad Mądrych; wpatrywała się w niego z natężeniem, jakby siłą swego wzroku mogła go skłonić do podążania tą drogą, na którą chciały go popchnąć te dwie. Po prawdzie to ją właśnie chciał wybrać, ale jeszcze się wahał. Jak mocno wiązała ją przysięga lojalności złożona Randowi? Mocniej niżby można sądzić, mając na uwadze dotychczasowe dowody, a jednak jak tu zaufać Aes Sedai? Przybycie dwóch Strażników Seonid dało mu kolejną kilkuminutową zwłokę.

Strażnicy na szczyt wjechali równocześnie, mimo że dotarli nań różnymi drogami, przekradając się z końmi między drzewami rosnącymi wzdłuż grani, dzięki czemu obserwatorzy z miasta nie mogli ich zauważyć. Furen był Tairenianinem, o karnacji niemal tak ciemnej jak dobra gleba, z pasmami siwizny w kędzierzawych czarnych włosach, podczas gdy Teryl, Murandianin, który liczył sobie ze dwadzieścia lat mniej, miał ciemnorude włosy, kręcone wąsy i oczy bardziej niebieskie niżli oczy

Edarry, obaj jednak, wysocy, szczupli i hardzi, zdawali się ulepieni z tej samej gliny. Odziani w charakterystyczne mieniące się płaszcze, zsiadli zwinnie z koni i złożyli swe raporty Seonid, ostentacyjnie ignorując Mądre. Jak również Perrina.

– Jest gorzej niż na północy – stwierdził z niesmakiem Furen. Wprowadzie na jego czole lśniło kilka kropel potu, ale, podobnie jak drugi Strażnik, prawie nie reagował na upał. -Miejscowa szlachta zawarowała się w swych dworach albo w miejskich pałacach, a żołnierze królowej nie wyściubiają nosów poza mury. Porzucili wieś na pastwę ludzi Proroka. A także bandytów, aczkolwiek tych kręci się tu jakby mniej. Za to oddziałów Proroka wszędzie pełno. Myślę, że Alliandre będzie urzeczona twoim widokiem.

– Motłoch – wycedził pogardliwie Teryl, bijąc wodzami o wnętrze dłoni. – Nigdzie nie przyuważyłem więcej jak piętnastu czy dwudziestu w jednym miejscu, przeważnie uzbrojonych w widły i włócznie na dziki. I do tego obszarpani jak żebracy. Zapewne nadają się do straszenia wieśniaków, ale człowiek mógłby pomyśleć, że lordowie będą ich wyłapywać i wieszać całymi kłębami. Królowa na widok siostry z wdzięczności będzie cię całowała po rękach.

Seonid już otworzyła usta, po czym spojrzała na Edarra, która skinęła głową. Nie wiedzieć czemu Zielona, gdy wreszcie udzielono jej zezwolenia, na moment jeszcze mocniej zacisnęła usta. Kiedy się jednak odezwała, mówiła tonem miękkim jak masło:

– Nie masz już podstaw do odkładania decyzji, lordzie Aybara. – Wymówiła ten tytuł z nieznacznym naciskiem, wiedząc doskonale, jakie naprawdę miał do niego prawo. – Twoja żona z zacnego wprowadzie pochodzi Domu, a Berelain jest władczynią, jednak saldaeańskie Domy niewielkie tutaj mają wpływy, Mayene zaś to najmniejsze z państw. Aes Sedai w roli emisariuszki przyda ci w oczach Alliandre autorytetu Białej Wieży. – I być może przypomniawszy sobie, że Annoura nadawałaby się do tej misji równie dobrze jak ona, dodała pospiesznie: – Poza tym ja byłam już w Ghealdan i moje imię jest tu dobrze znane. Alliandre nie tylko natychmiast mnie przyjmie, ale i wysłucha tego, co mam do powiedzenia.

– Nevarin i ja będziemy jej towarzyszyły – oświadczyła Edarra, a Nevarin dodała:

– Dopilnujemy, by nie powiedziała czegoś, czego nie powinna. – Seonid głośno zazgrzytała zębami, przynajmniej tak to zabrzmiało w uszach Perrina, i zajęła się wygładzaniem swoich dzielonych spódnic, ze wzrokiem demonstracyjnie spuszczonej. Annoura wydała dziwny odgłos, coś w rodzaju głuchego sapnięcia, i odwróciła głowę; sama trzymała się z dala od Mądrych i nie lubiła patrzeć, jak inne siostry prowadzą się z nimi.

Perrin omal nie jęknął głośno. Posłanie Zielonej siostry zdjęłoby kłopot z jego barków, wszelako Mądre ufały Aes Sedai w jeszcze mniejszym stopniu niż on i trzymały Seonid i Masuri na krótkich smyczach. Ponadto ostatnimi czasy zaczęły krążyć także opowieści o Aielach napadających na wioski. Nikt z opowiadających nie widział Aiela na oczy, a jednak w powietrzu kłębiło się od plotek o Aielach podążających za Smokiem Odrodzonym, połowa Ghealdan była wręcz przekonana, że Aielów dzieli od ich kraju zaledwie dzień czy dwa drogi, a każda opowieść była dziwaczniejsza i straszniejsza od poprzedniej. Alliandre mogła się przestraszyć i w ogóle go nie przyjąć, gdy tylko zobaczy dwie kobiety Aielów, które dyktują Aes Sedai, kiedy ma skakać. Zwłaszcza że Seonid zaiste skakała na rozkaz, choć zgrzytała przy tym zębami! Ale cóż, nie zamierzał narażać Faile na ryzyko, nie dysponując lepszymi gwarancjami, że zostanie właściwie przyjęta, niż tamten mgliście sformułowany list sprzed wielu miesięcy. Ciężar jeszcze bardziej przygniótł barki, wbijając się między łopatki, nie miał jednak żadnego wyboru.

– Mniejszej grupie łatwiej uda się pokonać te bramy – orzekł w końcu, wpychając szkło powiększające do sakwy. I mniej też języków pójdzie w ruch. – A więc pojedziecie tylko ty i

Annoura, Berelain. I może lord Gallenne. Najprawdopodobniej uznają go za Strażnika Annoury.

Berelain aż się zakrztusiła z zachwytu i nachyliła, by uścisnąć jego ramię obiema dłońmi. I nie poprzestała na tym, a jakże. Pieszczocie towarzyszył błysk namiętnego i obiecującego uśmiechu, po czym zniecka, zanim zdążył choćby drgnąć, wyprostowała się, z miną tak niewinną jak u dziecka. Faile, z całkiem obojętną twarzą, całą uwagę skupiła na wciąganiu swoich szarych rękawiczek. Sądząc po zapachu, nie zauważyła uśmiechu Berelain. I dobrze ukryła swoje rozczarowanie.

– Przepraszam cię, Faile – powiedział – ale...

W bijącej od niej woni rozjarzyła się wściekłość, przywodząc na myśl ciernie.

– Jestem pewna, że będziesz miał różne sprawy do przedyskutowania z Pierwszą, zanim wyruszy w drogę, mężu – odparła spokojnie: Jej skośne oczy kryły w sobie najczystszy spokój, ale zapach kłuł niczym piaskowe osty. – Najlepiej zrobisz, jak zajmiesz się tym od razu. – Zawróciwszy Jaskółkę, Faile podjechała do zupełnie wyraźnie gotującej się z gniewu Seonid i Mądrych spoglądających zaciętym wzrokiem, ale ani nie zsiadła z konia, ani się do nich nie odezwała., Popatrzyła tylko krzywo w kierunku Bethal, podobna do sokoła wyglądającego ze swego gniazda.

Perrin zorientował się, że pociera nos, i opuścił rękę. Oczywiście na palcach nie było krwi, tylko sobie ubrał, że poleciała z pokłutego nosa.

Berelain nie potrzebowała żadnych pouczeń na ostatnią chwilę – Pierwsza z Mayene i jej doradczynie z Szarych Ajah gorączkowały się, koniecznie chcąc już ruszać, pewne, że doskonale wiedzą, co mówić i robić – niemniej jednak Perrin dobitnie zalecił ostrożność i podkreślił, że Berelain i tylko Berelain ma rozmawiać z Alliandre. Annoura obdarzyła go jednym z tych chłodnych spojrzeń Aes Sedai i przytaknęła. Mogło to, ale wcale nie musiało, oznaczać, że przyjęła jego słowa do wiadomości, wątpił, by dał radę wyciągnąć od niej coś więcej nawet, gdyby użył łomu. Berelain wydymała wargi z rozbawieniem, ale godziła się z wszystkim, co mówił. W każdym razie twierdziła, że się godzi. Podejrzewał, że powiedziałyby wszystko, byle tylko dostać to, czego chce, toteż te uśmiechy w całkiem niewłaściwych momentach wytrącały go z równowagi. Gallenne odłożył szkło powiększające, ale nadal bawił się wodzami, bez wątpienia już planując, jak wyciąć z Bethal drogę ucieczki dla siebie i dwóch kobiet. W tym momencie Perrin miał ochotę warknąć.

Przyglądał się im z niepokojem, gdy zjeżdżali poboczem w stronę drogi. Posłanie, które wiozła Berelain, brzmiało prosto. Rand rozumie powściągliwość Alliandre, ale jeśli ona chce jego ochrony, to musi być gotowa ogłosić otwarcie, że go popiera. Otrzyma tę ochronę, złożoną z żołnierzy i nawet Asha'manów, by nikt nie miał wątpiwości, a nawet sam Rand osobiście będzie ją ochraniał, jeśli zajdzie potrzeba, byle tylko wygłosiła takie oświadczenie. Berelain nie miała powodu, by bodaj na jotę zmienić treść posłania, mniejsza już o te uśmiechy – odnosił wrażenie, że to być może jakaś inna postać flirtu – za to Annoura... Aes Sedai robiły rozmaite rzeczy i Światłość jedna tylko wiedziała dlaczego. Żałował, że nie zna jakiegoś sposobu dotarcia do Alliandre bez konieczności wykorzystywania którejś z sióstr albo wzbudzenia plotek. Tudzież narażania Faile na ryzyko.

Trzech jeźdźców z Annourą na czele dotarło do bram, a strażnicy prędko podnieśli piki, opuścili łuki i kusze, bez wątpienia dlatego, że przedstawiła im się jako Aes Sedai. Niewielu ludzi miało dość odwagi, by zadać kłam takiej deklaracji. Zawahała się na moment za ledwie, zanim wprowadziła swych podopiecznych do miasta. W rzeczy samej, zdawało się, że żołnierze chcą jak najprędzej wpuścić ich za mury, by nie zauważył ich żaden obserwator z okolicznych wzgórz. Niektórzy omiatali ukradkowym wzrokiem dalekie szczyty i Perrin nie musiał czuć ich zapachu, by odgadnąć, że lękają się tych, co mogli się tam ukrywać i, jakby to nie było nieprawdopodobne, mogli rozpoznać siostrę.

Perrin zawrócił na północ, w stronę, gdzie rozbili obóz i poprowadził pozostałych grzbietem

grani, póki wreszcie nie zniknęli z zasięgu wzroku ewentualnych obserwatorów z wież Bethal, a dalej stromą ścieżką na ubity trakt. Po obu stronach drogi stały nieliczne farmy, kryte strzechą domostwa i długie, wąskie stodoły, rozciągały się zmarniałe pastwiska, pola porośnięte rżyskiem i zagrody dla kóz otoczone wysokimi kamiennymi murami, ale widzieli niewiele bydła i jeszcze mniej ludzi. Ci nieliczni popatrywali na jeźdźców czujnie, zupełnie jak gęsi wystrzegające się lisów, porzucając swoje zajęcia, dopóki konie nie pojechały dalej. Aram w rewanżu nie spuszczał ich z oka, co rusz gładził rękojeść miecza wystającą mu zza ramienia i być może życzył sobie spotkania z kimś innym niżli zwykli wieśniacy. Choć dalej nosił kaftan w zielone paski, pozostało w nim niewiele z Druciarza.

Edarra i Nevarin szły obok Steppera, krokiem z pozoru tak swobodnym, jakby wybrały się na przechadzkę, a jednak bez trudu nadażały, mimo baniastych spódnic. Seonid jechała zaraz za nimi na swym wałachu, tuż za nią zaś podążali Furen i Teryl. Bładolica Zielona siostra udawała, że chce zachować dystans starannie odmierzonych dwóch kroków za Mądrymi, za to mężczyźni krzywili się demonstracyjnie. Strażnicy często bardziej troszczyli się o godność swych Aes Sedai niż one same, a przecież te miały jej tyle co królowe.

Faile jechała na Jaskółce przed kobietami Aielów, pogrążona w milczeniu, z pozoru zatopiona w kontemplacji oszpeconego suszą krajobrazu. Myśląc o niej, takiej gibkiej, pełnej wdzięku, Perrin nawet w swych najlepszych momentach czuł się niezdarny. Przypominała żywe srebro i kochał to w niej zazwyczaj, ale... Lekkie podmuchy powietrza stale mieszały jej woń z innymi zapachami. Wiedział, że powinien myśleć o Alliandre i o tym, jak może brzmieć jej odpowiedź albo jeszcze lepiej, o Proroku i o tym, gdzie go znaleźć, już po uzyskaniu oświadczenia Alliandre, niezależnie od jego treści, ale jakoś nie potrafił skupić myśli na tych zagadnieniach.

Wybierając Berelain, oczekiwał, że Faile się rozsierdzi, mimo że to przecież Rand przysłał tu Pierwszą, rzekomo w tym właśnie celu. Faile wiedziała, że nie chce jej narażać na niebezpieczeństwo, na jakiegokolwiek ryzyko i to jej się nie podobało znacznie bardziej niż obecność Berelain. A jednak jej zapach był słodki jak letni poranek... dopóki nie spróbował jej przeprosić! Cóż, zazwyczaj przeprosiny potęgowały jej gniew, jeśli już wcześniej była zła – aczkolwiek potrafiły też wyrzucić skutek odwrotny – ale przecież nie była zła! Bez Berelain wszystko między nimi szło gładko, jak jedwab. Zazwyczaj. A jednak tłumaczeniami, że nie robi nic, by zachęcić tę kobietę – że nawet przez myśl mu to nie przejdzie! – zyskał sobie jedynie lakoniczne „Ale gdzieżbyś tam mógł!”, wypowiedziane tonem, z którego wynikało, że jest głupcem, w ogóle poruszając ten temat. I wciąż robiła się zła – na niego! – za każdym razem, gdy Berelain obdarzała go uśmiechem albo znajdowała wymówkę, by go dotknąć, jakby jej szorstko nie odprawiał – Światłość świadkiem, że naprawdę to robił. Już sam nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić, żeby ją od siebie odstręczyć, oprócz chyba tylko związania sznurkiem. Gdy ostrożnie próbował wyciągnąć od Faile, co złego robi, słyszał beztróskie „Dlaczego uważasz, że coś zrobiłeś?” albo już nie takie beztróskie „A twoim zdaniem co takiego zrobiłeś?”, względnie zimne „Nie chcę o tym rozmawiać”. Robił coś złego, ale nie potrafił odgadnąć co! A musiał. Nic nie było ważniejsze od Faile. Nic!

– Lordzie Perrinie?

Podniecony głos Arama wyrwał go z tych deliberacji.

– Nie nazywaj mnie tak – odburknął, kierując wzrok w stronę, którą tamten wskazał palcem, ku jeszcze jednej opustoszałej farmie, gdzie ogień strawił dachy domu i stodoły. Ostały się jedynie nagie kamienne mury. Porzucona farma... a jednak byli na niej jacyś ludzie, bo dobiegały stamtąd gniewne okrzyki.

Kilkunastu zgrzebnie odzianych mężczyzn, uzbrojonych we włócznie i widły, próbowało

pokonać sięgający do piersi kamienny murek otaczający zagrodę dla kóz, gdy tymczasem grupka ludzi osaczonych w środku starała się ich odegnać. Oprócz nich w zagrodzie znajdowało się kilka koni, które przerażone wrzawą usiłowały uciec, na grzbietach trzech siedziały kobiety. Nie czekały jednak biernie, żeby zobaczyć, jak się to wszystko skończy: jedna z nich bodajże rzucała kamieniami, druga, akurat na jego oczach, podjechała do murku i wymachiwała zza niego długą pałą, podczas gdy trzecia spięła konia, tak że stanął dęba, a jeden z napastników, wysoki mężczyzna, musiał zeskoczyć z murku, by umknąć przed podkutymi kopytami. Ale atakujących było zbyt wielu, a murek zbyt rozległy, by dało się go obronić.

– Radzę nie wtrącać się w zajście – powiedziała Seonid. Edarra i Nevarin objęły ją ponurym wejrzeniem, ale ona ciągnęła dalej, w pośpiechu gubiąc zazwyczaj rzeczowy ton. – To bez wątpienia ludzie Proroka, zabijanie ich byłoby raczej kiepskim początkiem. Jeśli coś źle zrobicie, zginą dziesiątki albo nawet setki tysięcy ludzi. Czy warto ryzykować, by uratować garstkę?

Perrin nie zamierzał nikogo zabijać, oczywiście, o ile będzie to od niego zależało, ale też nie miał ochoty odwracać głowy. Nie marnował jednak czasu na wyjaśnienia.

– Czy możecie ich nastraszyć? – spytał Edarrę. – Tylko nastraszyć? – Pamiętał aż za dobrze, co Mądre zrobiły pod Studniami Dumai. Mądre i Asha'mani. Jednak chyba dobrze się stało, że Grady'ego i Nealda nie było teraz z nimi.

– Niewykluczone – odparła Edarra, obserwując ludzi miotających się wokół zagrody. Lekko pokręciła głową i wzruszyła ramionami. – Niewykluczone. – A to wszak musiało poskutkować.

– Aram, Furen, Teryl – warknął – do mnie! – Wbił pięty w boki Steppera i kiedy ten pognął przed siebie, z ulgą spostrzegł, że Strażnicy jadą tuż za nim. Czterech szarżujących mężczyzn prezentowało się groźniej niż dwóch. Zaciskał dłonie na wodzach, z dala od topora.

Nie ucieszył się zbyt, kiedy dogoniła go Faile galopująca na Jaskółce. Otwarł usta, a ona wygięła brew w łuk. W pędzie jej piękne czarne włosy rozwiewały się na wietrze. Jaka ona była piękna! Brew wygięta w łuk, nic więcej. Zrezygnował z tego, co zamierzał powiedzieć.

– Strzeż moich pleców – poprosił. Na co ona uśmiechnęła się i skądś dobyła sztylet. Nosila przy sobie tyle ukrytych ostrzy, że czasami się zastanawiał, jak to się stało, że się dotąd nie nadział na któreś, gdy ją obejmował.

Gdy tylko oderwała od niego wzrok, rozpaczliwym ruchem dał znak Aramowi, starając się, by ona nie zauważyła. Aram przytaknął, ale akurat pochylał się do przodu, z obnażonym mieczem, gotów rzezać pierwszych ludzi Proroka, którzy się nawiną. Perrin miał nadzieję, że ten człowiek rozumiał, że ma strzec pleców Faile, jeśli rzeczywiście dojdzie do potyczki z rzezimieszkami.

Jeszcze ich nie zauważyli. Perrin krzyknął, ale tamci tak się darli, że najwyraźniej nie usłyszeli. Jednemu z nich, mężczyźnie odzianemu w za duży kaftan, udało się wdrapać na mur, a dwóch innych też było już tego bliskich. Jeśli Mądre zamierzały coś zdziałać, to dawno już...

Uderzenie pioruna, donośny, przeciągły łomot tuż nad ich głowami, omalże ogłuszyło Perrina i spowodowało, że Stepper potknął się. Napastnikom też z pewnością nie umknął, bo zawahali się i zaczęli rozglądać we wszystkie strony zdziwionym wzrokiem, niektórzy przyciskali dłonie do uszu. Mężczyzna na szczycie murku stracił równowagę i spadł. Natychmiast jednak poderwał się na nogi, gniewnie gestykulując w stronę zagrody, w odpowiedzi na co kilku jego towarzyszy wznowiło atak. Pozostali spostrzegli wreszcie Perrina i zaczęli go pokazywać palcami, ale nadal żaden nie uciekał. Niektórzy nawet groźnie potrząsali bronią.

Nagle nad zagrodą wykwitł poziomy ognisty krąg, o średnicy równej wzrostowi przeciętnego człowieka; rozrzucał wokół posyające kiście płomieni, obracając się z jękiem, który to przybierał na sile, to cichł, a czasami wręcz przeobrażał się w żałobne zawodzenie.

Grupa zgrzebnie odzianych osobników rozbiegła się we wszystkie strony niczym stadko pierzchających przepiórek. Mężczyzna w za dużym kaftanie jeszcze chwilę machał rękoma i coś za nimi krzyczał, ale ostatecznie rzucił ostatnie spojrzenie na płonące koło i sam też uciekł.

Perrinomal nie wybuchnął śmiechem. Nie będzie musiał nikogo zabijać. W sercu zdusił lęk, że Faile mogłaby oberwać widłami między żebra.

Najwyraźniej ludzie w zagrodzie byli równie przestraszeni jak ci na zewnątrz, przynajmniej jedno z nich. Kobieta, która spięła swego konia na napastników, otwarła bramę i kopniakiem przymusiła swego wierzchowca do niezdarnego galopu. Przed siebie, jak najdalej od Perrina i pozostałych.

– Zaczekaj! – zawołał Perrin. – Nic wam nie zrobimy! – Czy usłyszała czy nie, nadal wściekle szarpała wodze. Tobołek przywiązany do jej siodła kołysał się gwałtownie. Napastnicy teraz wprawdzie uciekali co sił w nogach, ale jeśli ona gdzieś zawieruszy się w pojedynkę, wystarczy dwóch albo trzech, żeby wyrządzić jej krzywdę. Perrin przywarł do karku Steppera, uderzył go piętami i deresz pomknął przed siebie niczym strzała.

Był roslym mężczyzną, ale Stepper potrafił więcej, niż tylko chyżo przebierać nogami. A poza tym, sądząc po ociężałym chodzie, wierzchowiec kobiety ledwie dawał radę udźwignąć siodło. Stepper z każdym krokiem skracał dzielącą ich odległość, coraz bliżej i bliżej, aż w końcu Perrin mógł wyciągnąć rękę i pochwycić wędzidło. Z tak bliska jej gniadosz o kanciastym pysku wyglądał niewiele lepiej od stracha na wróble, cały spieniony i znacznie bardziej zmęczony, niż można to było tłumaczyć tym krótkim biegiem. Powoli zatrzymał oba konie.

– Wybacz, jeśli cię przestraszyłem, o pani – powiedział. – Doprawdy nie zamierzam wyrządzić ci żadnej krzywdy.

Po raz drugi tego dnia jego przeprosiny nie spotkały się z taką reakcją, na jaką liczył. Spiorunowały go gniewne błękitne oczy, osadzone w twarzy okolonej rudozłotymi lokami, twarzy tak władczej jak u królowej, mimo że oblepionej potem i pyłem. Suknia uszyta ze zgrzebnej wełny była zaplamiona i równie zakurzona jak policzki, a jednak jej twarz była i królewska, i wściekła.

– Nie potrzebuję... – zaczęła lodowatym tonem, usiłując wyrwać mu wodze swego konia, ale umilkła, gdy przygalopowała kolejna kobieta, siwowłosa i koścista, na bułanej klaczy o zapadniętych bokach, znajdującej się w jeszcze gorszym stanie niż gniadosz. Ci ludzie mieli za sobą długą, męczącą podróż. Staruszka była równie umordowana i ubrudzona kurzem jak jej młodsza towarzyszka.

Na przemian spoglądała promiennie na Perrina i piorunowała wzrokiem kobietę, której konia nadal przytrzymał za uzdę.

– Dziękuję ci, mój lordzie. – Jej głos, wysoki, a przy tym silny, załamał się, kiedy spostrzegła jego oczy, ale rezon stracił tylko na mgnienie. Nie była to kobieta, którą byle co mogło wytrącić z równowagi. W rękę nadal trzymała gruby kij, którym się przedtem broniła. – Przyszedłeś nam na ratunek w samą porę. Maighdin, co ci wpadło do głowy? Mogli cię zabić! I przy okazji nas wszystkich! To uparta dziewczyna, mój lordzie, zawsze najpierw skacze, a potem dopiero patrzy pod nogi. Zapamiętaj sobie, dziecko, tylko głupiec porzuca przyjaciół i wyzbywa się srebra za lśniący mosiądz. Z całego serca ci dziękujemy, mój lordzie, Maighdin też ci podziękuje, kiedy się wreszcie opamięta.

Maighdin, dobre dziesięć lat starsza od Perrina, mogła być nazywana dziewczyną jedynie przez staruszkę, ale mimo iż stale krzywiła się ze zmęczenia, co zresztą harmonizowało z bijącą od niej wonią, wonią frustracji zabarwionej gniewem. Przyjęła spokojnie tę tyradę, tylko raz jeszcze szarpnęła wodze, mało skutecznie starając się uwolnić konia, po czym poddała się wreszcie.

Złożywszy dłonie na łęku siodła, spojrzała oskarżycielsko na Perrina, a potem zniecka zamrugła. Znowu te żółte oczy. A jednak nadal nie wyczuwało się od niej strachu. W odróżnieniu od staruszki, ale zdaniem Perrina ta z kolei wcale nie jego się bała.

W czasie gdy starsza z kobiet przemawiała, podjechał do nich kolejny kompanion Maighdin, zarośnięty mężczyzna dosiadający jeszcze jednego wynędzniałego konia, siwka o węzlastych pęcinach, ale przystanął na uboczu. Był wysoki, równie wysoki jak Perrin, choć nie tak barczysty, odziany w ciemny kaftan zniszczony od podróży i uzbrojony w miecz. Podobnie jak kobiety, miał do siodła przytroczony tobolek. W powietrzu zawirował podmuch lekkiego wiatru, przynosząc Perrinowi jego zapach. Mężczyzna nie bał się, był czujny. I jeśli sposób, w jaki patrzył na Maighdin, mógł tu posłużyć za wskazówkę, to właśnie ta kobieta stanowiła przyczynę jego czujności. Niewykluczone, że cała sytuacja okaże się czymś więcej niż tylko ratowaniem grupy podróżnych przed bandą rzezimieszków.

– Być może wszyscy powinniście pojechać do mojego obozu – zaproponował Perrin, nareszcie puszczając uzdę. – Tam będziecie bezpieczni przed... tymi... bandytami. – Na poły się spodziewał, że Maighdin umknie pod osłonę najbliższych drzew, ale ta posłusznie zawróciła konia, z powrotem w stronę zagrody. Pachniała... rezygnacją.

A mimo to powiedziała:

– Dziękuję ci za szlachetną propozycję, ale ja... my... musimy kontynuować naszą podróż. Pojedziemy dalej, Lini – dodała stanowczym tonem i starsza kobieta zgromiła ją wzrokiem tak surowym, że zastanowił się, czy przypadkiem są to matka i córka, mimo że ta pierwsza przemówiła do drugiej po imieniu. Z pewnością ani trochę nie były podobne. Lini, żyłasta i chuda, miała pociągłą twarz i skórę jak pergamin, podczas gdy Maighdin mogła być nawet piękna pod tą warstwą kurzu. Jeśli ktoś gustował w jasnych włosach.

Perrin obejrzał się przez ramię na podążającego za nimi mężczyznę. Wyglądał na twardego, a tak nawiasem mówiąc, potrzebował brzytwy. Niewykluczone, że to jemu właśnie podobały się jasne włosy. Może nawet aż za bardzo. Z podobnych powodów niejedynemu mężczyźnie już sobie napytał biedy.

W oddali widział Faile, która siedziała na grzbiecie Jaskółki i przyglądała się ponad murem ludziom we wnętrzu zagrody. Może któryś został ranny. Seonid i Mądre gdzieś się podziały. Aram ewidentnie zrozumiał jego polecenie, bo trzymał się blisko Faile, ale spoglądał niecierpliwie na Perrina. Tak czy siak, niebezpieczeństwo bez wątpienia minęło.

Zanim Perrin pokonał połowę drogi do zagrody, pojawił się Teryl; tuż obok jego srokacza kuśtykał mężczyzna o osadzonych blisko siebie oczach i policzkach porośniętych szczecina. Strażnik trzymał go za kołnierz.

– Przyszło mi na myśl, że dobrze będzie pojmać jednego -rzekł Teryl z twardym uśmiechem. – Zawsze lepiej wysłuchać obu stron, niezależnie od tego, co ci się wydaje, że widziałeś, tak zawsze mawiał mój ojciec. – Perrin zdziwił się; zawsze mu się wydawało, że Teryl nie potrafi wybiec myślą dalej niż poza koniec swojego miecza.

Zarośnięty mężczyzna miał na sobie postrzępiony kaftan, wyraźnie na niego za obszerny. Perrin wątpił, by ktoś jeszcze oprócz niego widział wszystko dobrze z takiej odległości, ale rozpoznał również ten wydatny nos. Ów mężczyzna rzucił się do ucieczki ostatni i teraz też nie dał się zastraszyć. Śmiało cisnął im w twarze swoją szyderczą minę.

– Tkwicie po uszy w bagnie za to wszystko – wychrypiał. – Myśmy wykonywali rozkazy Proroka. Prorok powiada, że mężczyznę, który nęka kobietę, co to go nie chce, czeka śmierć. Ci tutaj ścigali tę... – wystawił podbródek w kierunku Maighdin – a ta biegła co sił. Prorok oberwie wam za



to uszy! – I tu splunął dla lepszego efektu.

– To śmieszne – oznajmiła Maighdin dźwięcznym głosem. – Ci ludzie są moimi przyjaciółmi. Ten człowiek całkiem opacznie zrozumiał to, co zobaczył.

Perrin skinął głową, jeśli ona uzna, że się z nią zgadza, proszę bardzo. Ale jeśli zestawić to, co rzekł ten człowiek, ze słowami Lini... Doprawdy nie jest już wtedy takie proste.

Faile i pozostali przyłączyli się do nich, tuż za nimi szli towarzysze podróży Maighdin, trzech mężczyzn i jeszcze jedna kobieta, wszyscy prowadzili utrudzone konie, którym sił już nie starczało na pokonanie zaledwie kilku mil. Z czego zresztą wcale nie wynikało, że w przeszłości były to przednie wierzchowce, zapewne nigdy do takich się nie zaliczały. W każdym razie Perrin nie przypominał sobie wspanialszej kolekcji drżących kolan, krzywych pęcin, łogawizny i siodłowatych grzbietów. Jak zawsze jego wzrok powędrował najpierw w stronę Faile – nozdrza rozdęły mu się, poszukując jej woni – ale po drodze zahaczył o Seonid. Zgarbiona w siodle i oblana pąsem, z nie wiadomo dlaczego spochmurniałym wzrokiem i jakoś dziwnie odmienioną twarzą – rozdęte policzki i nie domknięte usta. I było w tej twarzy coś jeszcze, coś czerwono-niebieskiego... Perrin zamrugał. O ile coś mu się nie zwidywało, miała do ust wepchniętą chustkę! Wychodziło na to, że Mądre nie żartowały, kiedy ostrzegały uczennicę, że nie wolno jej się odzywać bez pozwolenia, nawet jeśli tą uczennicą była Aes Sedai.

Nie był tu jedyną osobą obdarzoną bystrym wzrokiem; Maighdin aż rozdziawiła usta, kiedy zobaczyła Seonid, a potem zmierzyła go przeciągłym, taksującym spojrzeniem, jakby to on był odpowiedzialny za tę chustkę. A więc potrafiła rozpoznać Aes Sedai na pierwszy rzut oka? Niezwykłe, jak na wieśniaczkę, za którą mogła uchodzić wyglądem. Ale z drugiej strony, nie wyrażała się jak wieśniaczka.

Na twarzy jadącego za Seonid Furena zastygł mars przywodzący na myśl grom, jednak to Teryl skomplikował sprawę, ciskając na ziemię jakiś przedmiot.

– Znalazłem to, ścigając go – oświadczył. – Mógł upuścić podczas ucieczki.

Z początku Perrin nie zorientował się, na co patrzy: widział długi wieniec z rzemienia, na który nanizane były chyba kawałki wyschłej skóry. A kiedy zniemacka go olśniło, obnażył zęby w grymasie.

– Prorok oberwie nam uszy, powiadasz.

Zarośnięty mężczyzna przestał się gapić na Seonid i oblizwał wargi.

– To... to dzieło Hariego! – zaprotestował. – Hari jest wredny. On lubi liczyć, gromadzić trofea i on... uch... – Wzruszywszy ramionami w czeluściach zdobycznego kaftana, zapadł się w sobie niczym pies zagnany do kąta. – Nie możecie mnie z tym łączyć! Prorok was powiesi, jeśli mnie tkniecie! Wieszal już arystokratów, możnych lordów i lady. Ja kroczę w Światłości błogosławionego Smoka Odrodzonego!

Perrin podjechał do niego, starając się, by Stepper nie nastąpił na to... coś... na ziemi. Niczego mniej nie pragnął, jak poczuć w nozdrzach zapach tego mężczyzny, a jednak pochylił się, przysuwając twarz bliżej. Kwaśny pot ścierający się ze strachem, panika, ślad gniewu. Niestety, nie wywąchał poczucia winy. „Mógł to upuścić” to nie to samo co „upuścił”. Osadzone blisko siebie oczy rozszerzyły się i mężczyzna przyłgął plecami do wierzchowca Teryla. Żółte oczy czasami się przydawały.

– Gdybym potrafił udowodnić, że kłamiesz, zawisłbyś na najbliższym drzewie – warknął. Mężczyzna zamrugał, zaczął się rozpromieniać, kiedy zrozumiał, co to oznacza, ale Perrin nie dał mu czasu na odzyskanie buty. – Jestem Perrin Aybara, i to twój drogocenny lord Smok mnie tutaj przysłał. Rozpoviesz to wszystkim. To on mnie przysłał i jeśli znajdę człowieka z takimi... trofeami... onże zawiśnie! Zawiśnie ten z was, który koso na mnie spojrzy! I możesz przekazać

Masemie, że ja tak powiedziałem! – Wyprostował się, pełen niesmaku. – Puść go, Teryl. Jeśli on nie zniknie mi stąd w okamgnieniu!...

Teryl odepchnął go i mężczyzna pomknął na łeb na szyję w stronę najbliższych drzew, nie obejrzawszy się ani razu. Część przepelniającego go obrzydzenia Perrin rezerwował dla samego siebie. Pogróżki! Że ktoś spojrzy na niego koso? Ale jeśli ten do końca bezimienny mężczyzna patrzył, jak komuś obcinają uszy; i nic z tym nie zrobił?

Faile uśmiechała się z dumą przeświecającą przez warstewkę potu na twarzy. I to właśnie dzięki jej spojrzeniu jego obrzydzenie do siebie nieco osłabło. Dla tego spojrzenia przeszedłby boso przez ogień.

Nie wszyscy się z tym zgadzali, ma się rozumieć. Seonid zacisnęła powieki, a jej dłonie w rękawicach zadrgały na wodzach, jakby rozpaczliwie pragnęła wyrwać tę chustkę z ust i powiedzieć mu, jakie jest jej zdanie. Zresztą i tak się domyślał. Edarra i Nevarin otuliły się szalami i spoglądały na niego ponuro. O tak, potrafił się domyślić.

– A mnie się wydawało, że wszystko ma zostać utrzymane w tajemnicy – stwierdził zdawkowym tonem Teryl, obserwując uciekającego. – Myślałem, że Masema nie ma wiedzieć, że tu jesteś, dopóki sam mu o tym nie szepniesz do jego różowego uszka.

Taki był plan. Zgodnie z sugestią Randa miał stanowić dodatkowy środek ostrożności, Seonid i Masuri przypominały o nim przy każdej możliwej okazji. Ostatecznie, Prorok Lorda Smoka czy nie, Masema mógł nie chcieć stanąć twarzą w twarz z kimkolwiek, kogo wysłał Rand, jeśli wziąć pod uwagę to, na co podobno sobie pozwalał. Te uszy to jeszcze wcale nie była najgorsza rzecz, jeśli wierzyć w dziesiątą część pogłosek. Edarra i inne Mądre uważały Masemę za potencjalnego wroga, którego należało wziąć z zasadzki, zanim zastawi na nich własne sidła.

– Moim zadaniem jest... położyć temu kres – oświadczył Perrin, wskazując gniewnym gestem rzemyk leżący na ziemi. Słyszał pogłoski i nic nie działał. A teraz sam był świadkiem. – Równie dobrze mógłbym zacząć to robić od zaraz. – A jeśli Masema stwierdzi, że to on jest wrogiem? Ile tysięcy zwolenników motywowanych strachem albo wiarą miał Prorok? To nie miało znaczenia. – To się skończy, Teryl. Skończy!

Murandianin przytaknął powoli; spoglądając na Perrina takim wzrokiem, jakby go widział pierwszy raz w życiu.

– Lordzie Perrinie? – odezwała się Maighdin. Na śmierć zapomniał o tej kobiecie i o jej towarzyszach. Pozostali zgromadzili się przy niej, nieco na uboczu, większość wciąż jeszcze nie dosiadła koni. Oprócz mężczyzny, który pierwszy przygalopował śladem Maighdin, było jeszcze trzech innych; dwóch ukrywało się teraz za swymi wierzchowcami. Lini wydawała się najczujniejsza ze wszystkich, wbiła w niego zafrasowany wzrok; podprowadziła swego konia blisko Maighdin i zdawała się gotowa sama chwycić uzdę. Nie po to, by powstrzymać młodszą kobietę przed jakimiś wybrykami, tylko po to chyba, by samej bryknąć i zabrać ze sobą Maighdin, która z kolei wyglądała na całkiem spokojną, ale również przyglądała się Perrinowi. I nic dziwnego, po całym tym gadaniu na temat Proroka i Smoka Odrodzonego, nie wspominając już jego oczu. I nie wspominając zakneblowanej Aes Sedai. Spodziewał się usłyszeć, że chcą już ruszać w drogę, natychmiast, a tymczasem Maighdin powiedziała tylko: – Przyjmiemy twoją łaskawą propozycję. Dzień czy dwa wypoczynku w twym obozie dobrze nam robi.

– Jak sobie życzysz, pani Maighdin – odparł z namysłem. Trudno mu było ukryć zdumienie. Zwłaszcza teraz, gdy dopiero co rozpoznał dwóch mężczyzn usiłujących ukryć się za swymi końmi. Dzieło *ta'veren*, że się tu znaleźli? W każdym razie na pewno przedziwny kaprys losu. – To chyba najlepszy pomysł.



# ROZDZIAŁ 8

## PROSTA WIEJSKA KOBIETA

Obozowisko znajdowało się ligę dalej, dobrze oddalone od drogi biegnącej pośród niskich, zalesionych wzgórz, tuż za strumieniem o korycie szerokości dziesięciu stóp, jeśli je mierzyć według wypełniających je kamieni, albo pięciu, jeśli wziąć pod uwagę wodę, która w żadnym miejscu nie sięgała wyżej jak do kolan. Spod kopyt koni umykały maleńkie zielono-srebrne rybki. Zwykli przechodnie raczej nie mogli na nie przypadkiem trafić. Od najbliższej zamieszkałej farmy dzielił ich dystans całej mili i Perrin upewnił się osobiście, że jej mieszkańcy poją swoje zwierzęta gdzie indziej.

Naprawdę robił, co mógł, żeby tylko nie przyciągać uwagi; kiedy już nie mogli jechać lasem, podróżowali bocznymi traktami i polnymi drogami. Daremny wysiłek. Konie można było paść wszędzie tam, gdzie rosła trawa, ale potrzebowały choć krzty obroku, a poza tym nawet niezbyt liczna armia musiała kupować żywność, i to w dużych ilościach. Każdy człowiek potrzebował dziennie czterech funtów jedzenia, w mące, fasoli i mięsie. Plotki na pewno krążyły po całym Ghealdan, ale być może, jeśli nie odstąpiło ich szczęście, nikt jeszcze nie zaczął podejrzewać, kim tak naprawdę są. Perrin skrzywił się. Może nie podejrzewali dopóty, dopóki teraz nie wyrwał się i nie wypaplał wszystkiego. A jednak nie mógł postąpić inaczej.

Tak naprawdę były to aż trzy obozowiska, skupione obok siebie, stosunkowo blisko strumienia. Podróżowali jedną grupą i wszyscy jechali tam, gdzie on, rzekomo stosując się do jego rozkazów, a jednak nie sposób było uniknąć ciągłych konfliktów silnych osobowości i nikt nie mógł być absolutnie pewien, czy pozostałym przyświeca ten sam cel. Około dziewięciuset członków Skrzydlatej Gwardii rozpałiło własne ogniska, między szeregami uwiązanych do palików koni, na rozległej łące porośniętej zdeptaną teraz, zbrązowiałą trawą. Perrin usiłował powstrzymać się przed wdychaniem zapachów koni, potu, nawozu i gotowanej koźliny -bardzo nieprzyjemna kombinacja przy upalnym dniu. Kilkunastu konnych wartowników, połączonych w pary, powoli objeżdżało obóz, z ustawionymi pod jednolitym kątem długimi lancami, na końcach których pyszniły się czerwone proporce, jednakże pozostali Mayenianie zrzucili z siebie napierśniki i hełmy. Pozdejmowali także kaftany, a niekiedy nawet koszule i w oczekiwaniu na strawę wylegiwali się na kocach albo grali w kości. Jedni podnosili wzrok, kiedy Perrin ich mijał, drudzy powstawali z miejsc, by móc lepiej się przyjrzeć jego nowym towarzyszom, ale o żadnym rechwachu nie było mowy, co oznaczało, że patrole wciąż pełniły swą służbę. Niewielkie patrole, bez lanc, które potrafiły niezauważenie obserwować okolice. No cóż, chociaż w tym mógł się dopatrywać jakiejś nadziei. Mógł, do czasu epizodu przy zagrodzie.

Garstka *gai'shain* uwijała się przy swoich obowiązkach pośród niskich, szaroburych namiotów Mądrych, na rzadko zalesionym szczycie wzgórza górującego nad obozem Mayenian. Nawet z tej odległości odziane w biel sylwetki wyglądały niegroźnie, spuszczone wzrok, nieustanne posłuszeństwo. Z bliska wrażenie było identyczne, choć dostrzegało się, że większość pochodzi z Shaido. Mądre twierdziły, że *gai'shain* to *gai'shain*; Perrin jednak nie ufał żadnemu Shaido, wolał nie odwracać się do nich plecami. Na uboczu, pod skarłowaciałym drzewem sorgumowym rosnącym na jednym ze stoków klęczało w kręgu kilkanaście Panien odzianych w *cadin'sor*, Sulin pośrodku, najtwardsza z nich mimo siwych włosów. Również ona wysłała zwiadowców, a jej kobiety potrafiły przemieszczać się pieszo równie prędko jak Mayenianie na koniach i z pewnością zręczniejsz unikały ściągania niepożądanego uwagi. Na otwartej przestrzeni nie było żadnej z Mądrych, tylko szczupła

kobieta mieszająca gulasz w wielkim kotle wyprostowała się, rozmasowując kłykciami plecy, i obserwowała przejazd oddziału Perrina. Była odziana w zieloną jedwabną suknię do konnej jazdy.

Chmurny grymas zastygł na twarzy Masuri. Aes Sedai raczej nie były przyzwyczajone do mieszania w garnkach, ani też do wykonywania innych tego rodzaju prac, które Mądre zlecały jej i Seonid. Masuri obwiniła za wszystko Randa, ale jego tutaj nie było, natomiast Perrin tak. Gdyby jej dać bodaj cień szansy, z pewnością obdarłaby go żywcem ze skóry.

Edarra i Nevarin skręciły w tamtą stronę, skraje obszernych spódnic ledwie wzniecały pojedyncze suche liście z grubej warstwy zaścielającej ziemię. Seonid podążyła za nimi, wciąż zakneblowana chustką. Obróciła się w siodle, zerkając na Perrina. Gdyby potrafił uwierzyć, że jakaś Aes Sedai jest w stanie wyglądać na zdenerwowaną, to tak właśnie by ją określił. Jadący tuż za nią Furen i Teryl mieli na twarzach grobowe miny.

Masuri zauważyła, że nadjeżdżają, i pospiesznie zgarbiła się nad kotłem, wracając ze zdwojoną energią do mieszania, jakby chciała sprawić wrażenie, że nie przerwała ani na chwilę. Dopóki Masuri pozostawała w pieczy Mądrych, Perrin zakładał, że nie musi się przejmować swoją skórą. Mądre najwyraźniej założyły jej bardzo krótką smycz.

Nevarin obejrzała się na niego przez ramię, rzucając kolejne z szeregu ponurych spojrzeń, jakim nie było końca od czasu, gdy przez zarośniętego mężczyznę wysłał ostrzeżenie Masemie. Perrin westchnął z irytacją. Nie musiał się martwić o swoją skórę, no chyba że Mądre zechcą go z niej obłupić. Zbyt wiele osobowości. Zbyt wiele sprzecznych celów.

Maighdin jechała u boku Faile, z pozoru całkiem ignorując otoczenie, ale nie postawiłby złamanego miedziaka, że tak było naprawdę. Jej oczy rozszerzyły się nieznacznie na widok mayeniańskich wartowników. Wiedziała, co oznaczają czerwone napierśniki i hełmy podobne do garnków z wywiniętymi krawędziami, tak samo jak wcześniej rozpoznała charakterystyczne oblicze Aes Sedai. Dla wielu ludzi, zwłaszcza ubranych jak ona, jeden i drugi widok powinien być obcy. Ta Maighdin była naprawdę zagadkową osobą. I z jakiegoś powodu zdawała się jakby znajoma.

Lini i Tallanvor – posłyszał, że tak właśnie Maighdin nazywała mężczyznę, który przyjechał jej śladem, mimo iż „młody” Tallanvor mógł być od niej młodszy nie więcej niż cztery albo pięć lat, o ile... – trzymali się tak blisko Maighdin, jak to tylko było możliwe, mimo iż w drogę stale wchodził im Aram depczący po piętach Perrina. Identycznie zachowywał się Balwer, chudy jak patyk mężczyzna o wykrzywionych ustach, który zdawał się jeszcze mniej zainteresowany otoczeniem, niżli pozorowała Maighdin. Perrin uznał jednak, że Balwer widzi więcej niż ona. Nie umiał orzec, skąd to przekonanie, ale kilkakrotnie, gdy udało mu się pochwycić zapach kościstego człowieczka, w myślach pojawiał się obraz wilka chwyającego wiatr. O dziwo, Balwer nie odczuwał strachu, jedynie natychmiast tłumione przypiływy irytacji, które przezierały przez pulsującą woń zniecierpliwienia. Pozostali towarzysze Maighdin wlekli się daleko w tyle. Trzecia kobieta, Breane, szeptała coś zapalczywie do zwalistego mężczyzny, który stale spuszczał wzrok i albo przytakiwał jej milcząco, albo kręcił głową. Z pozoru wyglądał na tęgiego awanturnika, a jednak ta niska kobieta też miała w sobie jakąś zadziorność. Ostatni z mężczyzn chował się za tą parą, krępy, w zniszczonym słomkowym kapeluszu naciągniętym specjalnie nisko, by osłonić twarz. Podobnie jak pozostali mężczyźni też nosił miecz, ale wyglądał z nim równie dziwnie jak Balwer.

Trzecia część obozu, położona na zadrzewionym terenie tuż za grzbietem wzgórza, ograniczającego stanowiska Mayenian, zajmowała obszar równie duży jak ten przysposobiony do użytku Skrzydlatej Gwardii, mimo iż zamieszkiwało ją mniej ludzi. Tutaj konie uwiązano do palików w dużej odległości od ognisk, dzięki czemu nic nie psuło woni stawy przesycającej powietrze. Na roznach piekło się koźle mięso w towarzystwie twardych rzep, którymi farmerzy zapewne zamierzali

karmić swoje świnię. Mężczyźni z Dwu Rzek, którzy w liczbie trzech setek porzucili swoje domy, by pójść za Perrinem, doglądali mięsiwa nabitego na szpikulce, naprawiali odzież, oporządzali strzały i łuki, rozproszeni w przypadkowych grupkach po pięciu albo sześciu wokół jednego ogniska. Prawie wszyscy bez wyjątku machali i wykrzykiwali pozdrowienia, aczkolwiek, jak na jego gust, za dużo było tych „lordów Perrinów” i „Perrina Złote Oko”. Tylko Faile miała prawo do tytułów, jakimi się do niej zwracali.

Grady i Neald, w swoich czarnych jak noc kaftanach, bez jednej kropli potu na czołach, stali bez słowa obok ogniska, które rozpalili w pewnej odległości od pozostałych, i tylko patrzyli. Z wyczekiwaniem, jak mu się zdawało. Na co czekali? To było pytanie, które zawsze sobie zadawał, kiedy o nich myślał. Asha’mani sprawiali, że czuł się bardziej jeszcze nieswojo niż w obecności Aes Sedai albo Mądrych. Akt przenoszenia Mocy przez kobiety był czymś naturalnym, nawet jeśli mężczyzna niekoniecznie czuł się swobodnie, kiedy działo się to w jego obecności. Obdarzony pospolitą twarzą Grady wyglądał na farmera, mimo kaftana i miecza, a Neald wręcz jak jakiś fircyk przez te zakręcone wąsy, Perrin wszakże nawet na moment nie potrafił zapomnieć, kim oni są i co zrobili pod Studniami Dumai. Ale z drugiej strony, on też tam był. Światłości, dopomóż, był tam. Zdjął dłoń ze styliska topora wetkniętego za pas i zsiadł z konia.

Od miejsca, gdzie do rzędów palików uwiązane były konie, nadbiegli słudzy, żeby odebrać od nich wodze wierzchowców – i mężczyźni, i kobiety pochodzili z cairhieniańskich majątków lorda Dobraine’a. Żaden z odzianych w wieśniacze ubrania ludzi nie sięgał Perrinowi wyżej niż do ramienia, mężczyźni wiecznie kłaniali się, a kobiety dygały służalczo. Faile twierdziła, że tylko wprawia ich w zakłopotanie, każąc wyzbyć się tego obyczaju albo zalecając, by chociaż robili to rzadziej. Istotnie, byli skonsternowani, gdy im to mówił, a po upływie kilku godzin zaczęli od nowa giąć się w pas. W dali widać było zastępy ludzi dorównujących liczebnością mieszkańcom Dwu Rzek, którzy uwijali się przy koniach albo długich rzędach fur na wysokich kołach, służących do przewożenia zapasów. W wejściu do wielkiego czerwono-białego namiotu stale ktoś się pojawiał, jeden wchodził, drugi wychodził.

Na widok namiotu Perrin jak zawsze chrząknął ponuro. Berelain dysponowała jeszcze jednym, większym, rozbitym w mayeniańskiej części obozowiska, a oprócz niego miała namiot dla pary pokojówek oraz kolejny dla dwóch łowców złodziei, których uparła się zabrać. Annoura też miała własny namiot, podobnie jak Gallenne; wychodziło na to, że tylko on i Faile dzielili się jednym. Sam ze swej strony wolałby spać pod gołym niebem, jak jego ziomkowie. Nocami za całe okrycie starczały im koce – z pewnością nie musieli obawiać się deszczu. Cairhieniańscy służący układali sobie posłania pod furami. Nie mógł jednak poprosić Faile o coś takiego, bo przecież Berelain mieszkała w namiocie. Że też nie udało mu się zostawić Berelain w Cairhien. Ale w takiej sytuacji musiałby posłać Faile do Bethal.

Jego nastroj zwarzył dodatkowo widok dwóch sztandarów na wysokich, świeżo ściętych tykach wbitych w grunt oczyszczonej przestrzeni obok namiotu. Wiatr przybrał nieznacznie na sile, aczkolwiek nadal było zbyt ciepło; znowu mu się wydało, że słyszy od zachodu daleki grzmot. Płaty sztandarów rozwijały się powolnym falowaniem, obwisały pod własnym ciężarem i po chwili znowu się marszczyły. Jego obrzeżony purpurą Czerwony Wilczy Łeb oraz Czerwony Orzeł dawno temu pogrzebanego Manetheren, wzniesione wbrew jego wyraźnym rozkazom. Wprawdzie sam poniekąd pierwszy zrezygnował z dochowywania sekretu ich obecności, ale terytorium zajmowane obecnie przez Ghealdan niegdyś stanowiło część Manetheren; na Alliandre nie wywrze to dobrego wrażenia, kiedy usłyszy o tym sztandarze! Zdobył się na uprzejmą minę i uśmiech dla krępej kobiety, która dygnęła uniesieniem i odebrała od niego wodze Steppera, ale nie wyszło mu to najlepiej. Lordowie mieli

wzbudzać szacunek, a on miał rzekomo być lordem, no cóż, jednak kiepsko mu wychodziło.

Maighdin przyglądała się tym sztandarom z pięściami wspartymi na biodrach, podczas gdy jej konia odprowadzano razem z pozostałymi. O dziwo, Breane zajęła się i swoimi bagażami, i jej, a biorąc je niezdarne, przybrała potulną minę, przeznaczoną dla Maighdin.

– Doszły mnie słuchy o podobnych sztandarach – odezwała się niespodzianie Maighdin. Nie wiadomo dlaczego zagniewana: w jej głosie nie słyszało się gniewu i choć twarz miała gładką niczym powierzchnia lodowej tafli, to jednak Perrina zakręciło w nosie od woni złości. – Wzniesli je ludzie z Dwu Rzek, Andoranie, którzy podnieśli bunt przeciwko swej prawowitej władczyni. Domyślam się, że Aybara to nazwisko z Dwu Rzek.

– My w Dwu Rzekach niewiele wiemy o prawowitych władcach, pani Maighdin – odwarknął. Zdecydował już, że obedrze ze skóry tego, kto je wywiesił. Jeśli opowieści o buncie dotarły aż tak daleko... Dość miał przeciwności, by jeszcze przysparzać sobie nowych. – Przypuszczam, że Morgase była dobrą królową, ale bronić musieliśmy się sami. Jako też uczyniliśmy. – Nagle zrozumiał, kogo ona mu przypomina. Elayne. Nie, żeby to cośkolwiek oznaczało, widywał wszak w miejscach oddalonych dwa tysiące mil od Dwu Rzek ludzi, którzy swobodnie mogliby należeć do rodzin znanych mu z rodzinnych stron. Niemniej jednak musiała mieć jakiś powód do gniewu, a jej akcent mógł być andorański. – Sprawy w Andorze nie mają się aż tak źle, jak być może słyszałaś – powiedział. – W Caemlyn panował spokój ostatnim razem, kiedy tam byłem, Rand zaś... Smok Odrodzony... zamierza osadzić Elayne, córkę Morgase, na Tronie Lwa.

Wcale nie uspokojona Maighdin natarła na niego z ogniem w błękitnych oczach.

– On zamierza osadzić ją na Tronie Lwa? Żaden mężczyzna nie ma prawa intronizować królowej! Elayne obejmie tron Andoru mocą swej krwi!

Perrin podrapał się po głowie, pragnąc, by Faile wreszcie przestała się przyglądać tej kobiecie z niewzruszonym spokojem i w końcu coś powiedziała. A tymczasem ona tylko wetknęła swe rękawiczki za pas. Zanim zdążył wymyślić stosowną replikę, dopadła ich Lini, która schwyciła Maighdin za ramię i potrząsnęła nią z całej siły. Aż dziw brał, że młodszej kobiecie nie zadzwoniły zęby.

– Przeprós natychmiast! – warknęła staruszka. – Ten człowiek uratował ci życie, Maighdin, a ty się zapominasz, ty prosta wieśniaczko, która masz czelność tak mówić do lorda! Przypomnij sobie, kim jesteś, i pilnuj się, abyś przez swój język nie trafiła do sagana z wrzątkiem! Jeśli ten młody lord wszedł w spór z Morgase, to co z tego? Każdy wie, że ona nie żyje, a zresztą to nie jest twoja sprawa! A teraz przeprós, zanim się na ciebie zeźli!

Maighdin zagapiła się na Lini, poruszając ustami, jeszcze bardziej zaskoczona niż Perrin. Ale znowu go zdziwiła. Zamiast wybuchnąć na swoją siwowłosą towarzyszkę, powoli opanowała się, po czym, zgarbiwszy ramiona, spojrzała mu w oczy.

– Lini ma całkowitą rację. Nie mam prawa tak do ciebie przemawiać, lordzie Aybara. Przepraszam pokornie. I dopraszam się twego wybaczenia.

Pokornie? Szczęki zaciskała w grymasie uporu, ton głosu miała tak dumny, że niemal godny Aes Sedai, a jej zapach mówił, że w każdej chwili jest gotowa wygryźć dziurę w byle czym.

– Wybaczam ci – odparł pospiesznie Perrin. Ale to ani trochę jej nie ułagodziło. Uśmiechnęła się i może rzeczywiście chciała okazać wdzięczność, a jednak usłyszał zgrzytanie zębów. Czy wszystkie kobiety są szalone?

– Są zgrzani i brudni, mężu – odezwała się Faile, nareszcie włączając do rozmowy. – A ostatnie godziny okazały się dla nich trudne, nie ma wątpliwości. Aram może pokazać mężczyznom, gdzie mogą się umyć. Ja zajmę się kobietami. Każę wam przynieść wilgotne ręczniki, abyście mogły obmyć

twarze i ręce – powiedziała do Maighdin i Lini. Gestem dała znać Breane i poprowadziła je w stronę namiotu. Widząc, że Perrin skinął głową, Aram dał znak mężczyznom, że mają iść jego śladem.

– Jak już skończysz się myć, panie Gill, to chętnie z tobą pogadam – powiedział Perrin.

Równie dobrze mógł wykonać ten kołowrót ognia, który rozgorzał nad zagrodą dla kóz. Maighdin obróciła się na pięcie, wytrzeszczając oczy, a pozostałe dwie kobiety stanęły jak wryte. Palce Tallanvora kurczowo ścisnęły rękojeść miecza, a Balwer stanął na palcach, zerkając ponad swoim tobołkiem i przekrzywiając głowę to w jedną, to w drugą stronę. Nie wilk, raczej ptak wypatrujący kota. Basel Gill zaś, krzepki mężczyzna, upuścił na ziemię swój dobytek i podskoczył na stopę do góry.

– No pewno, Perrin – wyjąkał, zrywając z głowy słomiany kapelusz. Strumyki potu wyłobily ślady w warstwie kurzu oblepiającego mu twarz. Pochylił się, by podnieść tobołek, zmienił jednak zamiar i pospiesznie się wyprostował. – Chciałem rzec, lordzie Perrinie. Ja... ach... tak sobie myślałem, że to ty, ale... oni nazywali cię lordem, toteż nie byłem pewien, czy będziesz chciał znać starego oberżystę. – Pocierając chustką swoją niemalże łysą czaszkę, zaśmiał się nerwowo. – Pogadam z tobą, a jakże. Mycie może przecież poczekać.

– Witaj, Perrin – odezwał się zwalisty mężczyzna. Przez ciężkie powieki opadające na oczy Lamgwin Dorn wyglądał na leniwego, mimo umięśnionej sylwetki oraz blizn na twarzy i dłoniach. – Pan Gill i ja słyszeliśmy, że młody Rand to Smok Odrodzony. Trzeba się było domyślić, że i ty staniesz się znany w świecie. Perrin Aybara to dobry człowiek, pani Maighdin. Moim zdaniem, możesz mu zaufać i oddać się w jego ręce. – Nie był leniwy i nie był też głupi.

Aram niecierpliwie potrząsnął głową i Lamgwin z pozostałymi dwoma ruszyli za nim, przy czym Tallanvor i Balwer ociągali się, rzucając taksujące spojrzenia na Perrina i pana Gilla. Spojrzenia pełne niepokoju. Na kobiety też się oglądali. I choć Faile ciągnęła je już za sobą, one również zerkały ukradkiem na Perrina i pana Gilla, na mężczyzn wlokących się za Aramem. Nagle jakby przestało im się podobać, że ich rozdzielają.

Pan Gill otarł czoło i uśmiechnął się nerwowo. Światłości, dlaczego on pachnie strachem, zastanawiał się Perrin. Bał się go? Mężczyzny związanego ze Smokiem Odrodzonym, przedstawiającego się jako lord i dowodzącego armią, nieważne, że małą, wygrażającego Prorokowi? Nie od rzeczy byłoby dorzucić do tego zakneblowaną Aes Sedai – odpowiedzialność za coś takiego zapewne też spadnie na niego. „Naprawdę nie ma się czego bać” – pomyślał zgryźliwie Perrin. – „Gdzieżby tam”. Oni wszyscy bali się pewnie, że ich pozabija.

Chcąc jakoś uspokoić pana Gilla, zaprowadził go do wielkiego dębu rosnącego w odległości jakichś stu kroków od czerwono-białego namiotu. Większość liści wielkiego drzewa opadła już, a reszta zbrązowiała, ale płożące się nisko masywne konary dawały odrobinę cienia, a niektóre z poskręcanych korzeni wystawały z ziemi na taką wysokość, że mogły posłużyć za siedziska. Perrin sam to sprawdził, bo właśnie na jednym z tych korzeni siedział i kręcił młynka palcami, kiedy inni rozbijali obóz. Gdy tylko próbował zrobić coś użytecznego, zawsze znajdowało się dziesięć rąk, które odbierały mu robotę.

Basel Gill nie dał się jednak uspokoić, niezależnie od tego, jak go Perrin wypytywał o „Błogosławieństwo Królowej”, jego oberżę w Caemlyn, albo wspominał swoją wizytę w tym lokalu. Być może jednak Gill aż za dobrze pamiętał, jaką ruiną dla powszechnego spokoju okazała się ta wizyta, przez Aes Sedai, gadanie o Czarnym i ich ucieczkę głęboką nocą. Chodził nerwowo tam i z powrotem, przyciskał tobołek do piersi, wciskał to pod jedną, to pod drugą pachę i odpowiadał garstką słów, nieustannie oblizując wargi.

– Panie Gill – powiedział w końcu Perrin – przestańże tytułować mnie lordem Perrinem. Nie



jestem lordem. To skomplikowane, ale nie jestem lordem. Sam o tym wiesz.

– I owszem – odparł tłustawy mężczyzna, nareszcie sadowiac się na jednym z dębowych korzeni. Wyraźnie nie miał chęci stawiać swoich rzeczy na ziemi, bo bardzo powoli cofał dłonie. – Jak rzeczesz, lordzie Perrinie. A czy Rand... Lord Smok... czy on naprawdę *chce*, by lady Elayne zasiadła na tronie? Nie, żebym wątpił w twoje słowa – dodał pospiesznie. Ściągnawszy z głowy kapelus, znowu zaczął ocierać czoło. Mimo iż tak tęgi, pocił się co najmniej dwa razy mocniej, niżby dawało się wytłumaczyć samym upałem. – Jestem pewien, że Lord Smok postąpi dokładnie tak, jak powiadasz. – Jego śmiech zabrzmiał niepewnie. – Chciałeś ze mną pogadać. Ale jestem pewien, że nie o mojej starej karczmie.

Perrin westchnął ze znużeniem. Przyszło mu do głowy, że nie ma chyba nic gorszego jak starzy przyjaciele i sąsiedzi, którzy kłaniają się i przed nim szurają nogami, ale tamci przynajmniej czasami zapominali się i mówili, co myślą. I żaden z nich się go nie bał.

– Znalazłeś się daleko od domu – powiedział łagodnym głosem.

Nie wolno naciskać na człowieka, który gotów lada chwila umrzeć ze strachu. – Byłem ciekaw, co cię tu sprowadziło. Mam nadzieję, że nie jakieś kłopoty.

– Powiedz mu wszystko zrozumiale, Baselu Gill – wtrąciła ostro Lini, podchodząc energicznym krokiem do drzewa. – Pamiętaj, bez żadnych upiększeń. – Nie było jej tylko przez krótki czas, a jednak jakimś sposobem zdążyła obmyć twarz i dłonie, a także uczesać się w schludny siwy koczek z tyłu głowy. I prawie dokładnie otrzepać z kurzu prostą wełnianą suknię. Wykonawszy nienaganny ukłon przed Perrinem, obróciła się i pogroziła Gillowi sękatym palcem. – Są trzy rzeczy, które irytują do szaleństwa: ból zęba, niewygodne buty i mężczyzna gaduła. A więc trzymaj się tematu i nie opowiadaj młodemu lordowi więcej, niż ten chce usłyszeć. – Przez chwilę patrzyła z przyganą na oszołomionego oberżystę, po czym nagle jeszcze raz prędko dygnęła przed Perrinem. – On naprawdę uwielbia brzmienie własnego głosu... większość mężczyzn je uwielbia... ale opowie ci wszystko, jak się patrzy, mój lordzie.

Pan Gill spojrział na nią spode łba, a kiedy machnęła gwałtownie, ręką na znak, że ma mówić, mruknął niewyraźnie:

– Chuda, stara... – Tyle Perrin usłyszał.

– Otóż zdarzyło się tak... mówiąc pokrótce... – Tłusty mężczyzna raz jeszcze spojrział ponuro na Lini, ale ona udała, że tego nie zauważa – że robiłem interesy w Lugard. Kroiła się okazja nabycia importowanego wina. Ale to cię nie interesuje. Oczywiście zabrałem ze sobą Lamgwina i Breane, bo ona nie spuszcza go z oka nawet na godzinę, jeśli nie musi. Po drodze poznaliśmy panią Dorlain, to znaczy panią Maighdin, bo tak ją tytułujemy, oraz Lini i Tallanvora. I rzecz jasna Balwera. Po drodze. Niedaleko Lugard.

– Maighdin i ja byliśmy na służbie w Murandy – wtrąciła ze zniecierpliwieniem Lini. – Aż do wybuchu kłopotów. Tallanvor był wynajętym strażnikiem w tymże Domu, a Balwer sekretarzował. Bandy ci spalili dwór i nasza pani nie mogła już dłużej nas zatrzymać, więc postanowiliśmy wyprawić się w podróż. Razem. Dla bezpieczeństwa.

– Już to powiedziałem, Lini – burknął pan Gill, drapiąc się za uchem. – Kupiec win wyjechał z Lugard z jakiegoś powodu i... – Potrząsnął głową. – Za dużo tego, żeby się w to zagłębiać, Perrin. Wybacz mi. Wiesz, że w dzisiejszych czasach kłopoty są wszędzie, takie czy inne. Jakoś tak to wyszło, że za każdym razem, jak już uciekliśmy przed jednymi, wpadaliśmy w inne tarapaty i stale oddalaliśmy się coraz bardziej od Caemlyn. Aż w końcu znaleźliśmy się tutaj, zmęczeni i wdzięczni za możliwość odpoczynku. Tak to w skrócie było.

Perrin powoli kiwnął głową. Tak rzeczywiście mogło być, ale on nauczył się już, że ludzie

zawsze znajdują dość powodów, by kłamać względnie zwyczajnie zaciemniać prawdę. Krzywiąc się, przeczesał włosy palcami. Światłości! Robił się tak nieufny jak jakiś Cairhienianin, i to tym bardziej, im głębiej Rand go we wszystko wplątywał. Czemuż to Basel Gill, ze wszystkich ludzi, miałby go okłamywać? Przyzwyczajona do korzystania z przywilejów pokojówka jakiejś lady, na którą przyszły ciężkie czasy – w odniesieniu do Maighdin wyjaśniało to zaiste wiele. Niektóre rzeczy bywały proste.

Lini zaplotła wprawdzie dłonie na brzuchu, ale cały czas obserwowała ich czujnym wzrokiem, niczym sokół, a pan Gill zaczął się niespokojnie wiercić, gdy tylko skończył swą opowieść. Jakby uważał, że grymas na twarzy Perrina to żądanie ciągu dalszego. Zaśmiał się nawet, ale bardziej ze zdenerwowania niż z rozbawienia.

– Od czasów Wojny z Aielami nie tłukłem się tyle po świecie, a wszak nie jestem już tak szczupły jak ongi. A jakże, dotarliśmy do samego Amadoru. Rzecz jasna, wyjechaliśmy po tym, jak Seanchanie zajęli miasto, ale po prawdzie to oni wcale nie są gorsi od Białych Płaszcy, co bym mógł... – Urwał, gdy Perrin pochylił się nagle do przodu i chwycił go za klapę kaftana.

– Seanchanie, panie Gill? Jesteś tego pewien? Czy to znowu tylko pogłoski, takie jak te o Aielach albo Aes Sedai?

– Widziałem ich na własne oczy – odparł pan Gill, wymieniając niepewne spojrzenia z Lini. – Sami się tak przedstawiali. Dziwię się, że o niczym nie wiesz. Uciekali wszyscy, których spotkaliśmy po drodze z Amadoru. Ci Seanchanie chcą, żeby wszyscy wiedzieli, o co im się rozchodzi. Dziwni to ludzie i dziwne im towarzyszą stwory. – Jego głos wezbrał na sile. – Podobne do Pomiotu Cienia. Wielkie skórzaste bestie, które latają i noszą na swych grzbietach ludzi, i jeszcze inne, które wyglądają jak jaszczurki, tyle że ogromne jak konie i mają po troje oczu. Widziałem ich! Jako żywo!

– Wierzę ci – odrzekł Perrin, puszczając rękaw kaftana mężczyzny. – Ja też ich widziałem. – W Falme, gdzie podczas kilku minut poległy tysiące Białych Płaszcy i gdzie Róg Valere musiał wezwać umarłych bohaterów legend, żeby udało się odeprzeć atak Seanchan. Rand twierdził, że oni powrócą, ale jak to się stało, że wrócili tak szybko? Światłości! Jeśli zajęli Amador, to musieli także zawładnąć Tarabonem, albo przynajmniej większą częścią jego terytorium. Tylko dureń zabijał jelenia, jeśli wiedział, że za jego plecami kryje się ranny niedźwiedź. Ile zagarnęli? – Nie mogę was od razu wysłać do Caemlyn, panie Gill, ale jeśli zostaniecie ze mną trochę dłużej, dopilnuję, abyście tam bezpiecznie dotarli. – O ile przestawanie z nim mogło być bezpieczne. Prorok, Białe Płaszcze i teraz może jeszcze Seanchanie na dobitkę.

– Myślę, że dobry z ciebie człek – odezwała się zniecierpliwiona Lini. – Obawiam się, że nie wyznaliśmy ci całej prawdy, a być może powinniśmy.

– Lini, co ty wygadujesz?! – zakrzyknął pan Gill, podrywając się na równe nogi. – Moim zdaniem upał przez nią przemawia – wyjaśnił na użytek Perrina. – I cała ta podróż. Coś jej się czasami roi. Wiesz, jacy bywają starzy ludzie. Zamilczże, Lini!

Lini odepchnęła dłoń, którą próbował położyć jej na ustach.

– A ty sobie uważaj, panie Gill! Już ja ci pokażę starych ludzi. Otóż Maighdin uciekała przed Tallanvorem, w pewnym sensie uciekała, a on ją ścigał. A poza tym wszyscy uciekaliśmy, już czwarty dzień, i to omal nie zabiło zarówno nas, jak i naszych koni. Cóż, nic dziwnego, że ta kobieta przez połowę czasu błąka się gdzieś myślami; wy, mężczyźni, tak potraficie namącić w umyśle kobiety, że taka ledwie jest w stanie myśleć, a potem udajecie, że nic nie zrobiliście. Wszystkich was powinno się wytargać za uszy, dla zasady. Ta dziewczyna boi się własnego serca! Tych dwoje powinno się pobrać, i to im prędzej, tym lepiej.

Pan Gill zagapił się na nią, a Perrin nie był pewien, czy i jemu przypadkiem nie wydłużyła się

mina.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, czego się po mnie spodziewasz – powiedział powoli i kiedy przerwał, siwowłosa kobieta natychmiast znowu zaczęła mówić.

– Nie udawaj, żeś taki niedomyślny. Nie wierzę ci ani na jotę. Widzę, że masz więcej rozumu niżli większość mężczyzn. To najgorszy obyczaj mężczyzn, stwarzanie pozorów, że nie widzą, co mają pod własnym nosem. – Co się stało z tymi wszystkimi dygnięciami? Lini splotła ręce na piersiach i przyglądała mu się surowym wzrokiem. – No cóż, skoro już musisz udawać, to ja ci wszystko wyłożę. Jak słyszałam, ten twój Lord Smok robi, co chce. A ten twój Prorok wybiera ludzi i żeni ich na miejscu. No to proszę bardzo, złap Maighdin i Tallanvora, a potem ich ożeń. On ci podziękuje i ona też. Kiedy już w jej umyśle zapanuje spokój.

Oszołomiony Perrin zerknął na pana Gilla, który wzruszył ramionami i uśmiechnął się kwaśno.

– Wybacz mi – powiedział Perrin do staruszki – ale muszę dopilnować ważnych spraw. – Odszedł pospiesznie, tylko raz się obejrzał. Lini wygrażała panu Gillowi palcem, besztając go mimo jego protestów. Wiatr wiał w niewłaściwym kierunku, nie mógł więc usłyszeć, o czym mówią. Po prawdzie zresztą, nie chciał słyszeć. Oni wszyscy poszaleli!

Berelain miała dwie pokojówki i łowców złodziei, ale również Faile otaczała się swego rodzaju dworem. Około dwudziestu młodych Tairenian i Cairhienian siedziało na skrzyżowanych nogach obok namiotu, kobiety w kaftanach i spodniach tak samo jak mężczyźni uzbrojeni w miecze. Żadna nie miała włosów dłuższych niżli do ramion, wszyscy, mężczyźni i kobiety jednak, wiązali je z tyłu głowy wstążkami, na podobieństwo czubów Aielów. Perrin zastanawiał się, gdzie się podziała reszta, rzadko kiedy oddalali się tak bardzo, by nie móc w każdej chwili usłyszeć głosu Faile. Miał nadzieję, że nie narobią gdzieś jakichś kłopotów. Faile przyjęła ich pod swoje skrzydła, by, jak twierdziła, właśnie trzymać ich z dala od kłopotów, a Światłość wiedziała, w co by się wpakowali, gdyby ich pozostawili w Cairhien razem z całą zgrają innych młodych durniów, dokładnie takich samych jak oni. Zdaniem Perrina wszyscy z tej hałastry potrzebowali tęgiego kopniaka w siedzenie, to by im wbiło choć trochę rozumu do głów. Pojedynki, zabawianie się w *ji'e'toh*, udawanie, że są Aielami. Idiotyzm!

Lacile wstała z ziemi, kiedy Perrin podszedł bliżej, blada, drobna kobieta z czerwonymi wstążkami przypiętymi do kłap kaftana, z małymi złotymi kółkami w uszach i wyzywającym spojrzeniem, na widok którego mężczyźni z Dwu Rzek myśleli niekiedy, że mimo noszonego miecza chętnie przyjmie całusa. W tym akurat momencie wyzwanie w tych oczach było twarde jak kamień. Tuż za nią stała również Arrela, wysoka i śniada, z włosami przyciętymi na krótko, zupełnie jak Panna i w odzieniu jeszcze prostszym od męskiego. W odróżnieniu od Lacile, Arrela dawała jasno do zrozumienia, że prędeż pocałowałaby psa niż jakiegoś mężczyznę. Obie wykonały taki ruch, jakby zamierzały stanąć przed wejściem do namiotu, by zagrozić Perrinowi drogę, ale któryś mężczyzna, o kanciastym podbródku, w kaftanie z bufiastymi rękawami, warknął rozkazująco i obie na powrót usiadły. Z wyraźną niechęcią. A skoro już o tym mowa, Paralean poskrobał się kciukiem po tymże kanciastym podbródku, jakby jednak postanowił przemyśleć całą sprawę na nowo. Kiedy Perrin widział go po raz pierwszy, nosił brodę – popularną wśród Tairenian – no, ale Aielowie wszak bród nie nosili.

Perrin wymruczał pod nosem swoją opinię na temat głupoty. Ci ludzie należeli do Faile, całym sercem i duszą, jednak fakt, że on był jej mężem, w ich oczach znaczył niewiele. Aram mógł być zazdrosny o to, ile uwagi poświęcał innym, ale przynajmniej dzielił jego uczucia względem Faile. Wkraczając do środka, czuł na sobie wzrok młodych durniów. Faile obdarłaby go ze skóry, gdyby się kiedykolwiek dowiedziała, że po cichu liczył na to, iż oni uchronią ją przed kłopotami.

Namiot był wysoki i przestronny, kwaciasty dywan służył za podłogę, umeblowanie stanowiły nieliczne sprzęty, z których większość była składana, dzięki czemu dawało się je przewozić na zwykłej furze. Wyjątkiem było masywne stojące zwierciadło oraz okute mosiądzem skrzynie, nakryte haftowanymi tkaninami, które służyły jako dodatkowe stoliki, a wszystko, łącznie z umywalką i przynależnym do niej lustrem, dekorowały proste kreski jaskrawej pozłoty. Kilkanaście lamp z odbłaśnicami sprawiało, że we wnętrzu namiotu było niemal tak jasno jak na zewnątrz, a przy tym znacznie chłodniej, z tyczek wspierających dach zwisało zaś nawet kilka jedwabnych gobelinów, zbyt zdobnych, jak na gust Perrina. Wręcz przytłaczających deseniem ptaków i kwiatów, które maszerowały kanciastymi szeregami. Dobrze tak ich wyposażył, że podróżowali niczym cairhieniańska arystokracja, aczkolwiek Perrinowi udało się „zgubić” najgorsze rzeczy. Przede wszystkim to ogromne łoże, rozpaczliwie bezsensowne w podróży. Samo zajmowało niemal całą furę.

Faile i Maighdin siedziały samotnie, ze srebrnymi kubkami w dłoniach. Sprawiały takie wrażenie, jakby się wzajem badały, z pozoru całe w uśmiechach, a jednak coś w ich wzroku wskazywało, że mają się na baczności, jakby wsłuchiwały się w treści ukryte za słowami, nie dając po sobie poznać, czy uściskają się w następnej chwili, czy raczej dobędą noży. No cóż, wierzył, że większość kobiet nie posunęłaby się aż tak daleko, ale Faile była do tego zdolna. Maighdin wyglądała na mniej zmizerowaną niż niedawno, umyta i uczesana, w sukni, z której wytrzepała kurz. Na niewielkim stoliku z mozaikowym blatem stały następne kubki oraz wysoki, oszroniony srebrny dzban, z którego unosił się zapach ziołowej herbaty. Obie kobiety obejrzały się, kiedy wszedł, i przez chwilę na ich twarzach królowały niemal identyczne miny: chłodne zastanowienie, kto też wtargnął do ich namiotu. Nie były zadowolone, że się im przeszkadza. Na szczęście oblicze Faile natychmiast rozpląnęło się w kojącym uśmiechu.

– Pan Gill opowiedział mi twoją historię, pani Dorlain – oświadczył. – Masz za sobą ciężkie przejścia, ale możesz być pewna, że tu pozostaniesz bezpieczna, aż do czasu, gdy postanowisz wyjechać. – Kobieta podziękowała mu półgłosem, znad brzegu swego kubka, ale pachniała czujnością, a jej oczy próbowały czytać w nim jak w książce.

– Maighdin również opowiedziała mi historię ich przejść, Perrin – odezwała się Faile. – A ja pomyślałam, że mogłabym przedłożyć jej pewną propozycję. Maighdin, ty i twoi przyjaciele macie za sobą ciężkie miesiące i jak sama powiadasz żadnych widoków na lepszą przyszłość. Pójdźcie do mnie wszyscy na służbę. Nadal nie zagrzejecie tu miejsca, ale za to będziecie podróżować w znacznie lepszych warunkach. Płacę szczerze i nie jestem surową panią. – Perrin bezzwłocznie wyraził swoją aprobatę. Skoro Faile chciała folgować swoim zachciankom, biorąc przybłądy pod swoje skrzydła, to dobrze się składa, ponieważ on też chętnie pomoże tym ludziom. Niewykluczone, że jednak będą przy nim bezpieczniejsi, niż gdyby mieli dalej tak się błąkać samopas.

Maighdin zakrztusiła się herbatą,omal nie upuszczając kubka. Rozpaczliwie mrugając, wbiła wzrok w Faile, w końcu otarła podbródek koronkową chusteczką, a jej krzesło zaskrzypiało lekko, kiedy się obróciła po to, by, nie wiedzieć czemu, spojrzeć na Perrina.

– Cóż... dziękuję wam – powiedziała w końcu, powoli. – Myślę... – Raz jeszcze przyjrzała się Perrinowi i zaczęła mówić głośniej: – Tak, dziękuję wam i z wdzięcznością przyjmuję szczerą propozycję. Muszę to przekazać moim towarzyszom. – Powstała, zawahała się, odstawiając kubek na tacę, po czym wyprostowała się, żeby rozpostrzeć spódnicę w dygnięciu odpowiednim dla pałacowego wnętrza. – Będę starała się służyć ci jak najlepiej, moja pani – dodała beznamiętnie. – Czy wolno mi odejść? – Kiedy Faile wyraziła zgodę, znowu dygnęła i zrobiła dwa kroki tyłem, zanim się odwróciła do wyjścia! Perrin podrapał się po brodzie. Kolejna osoba, która zamierzała się giąć

na jego widok.

Dopiero gdy za Maighdin opadła kłapa wejścia, Faile odstawiła kubek i wybuchnęła śmiechem, bębniąc piętami o dywan.

– Ach, jak ona mi się podoba, Perrin. Ta kobieta naprawdę ma w sobie ducha! Założę się, że dałaby ci popalić z powodu tych sztandarów, gdybym cię nie uratowała. O tak. Ma w sobie ducha!

Perrin chrząknął. Tego właśnie potrzebował, kolejnej kobiety, która dałaby mu popalić.

– Obiecałem panu Gillowi, że się nimi zaopiekuję, Faile, ale... Czy zgadniesz, o co prosiła Lini? Chciała, żebym ożenił Maighdin z Tallanvorem. Mam ich po prostu ustawić obok siebie i ożenić, nie pytając o zdanie! Twierdziła, że oboje tego chcą. – Napelił srebrny kubek herbatą i opadł na krzesło, które zwolniła Maighdin, nie przyjmując do wiadomości, że stęknęło ostrzegawczo pod jego ciężarem. – Tak czy owak, ten bzdurny pomysł to najmniejsze z moim zmartwień. Pan Gill powiada, że to Seanchanie opanowali Amador, i ja mu wierzę. Na Światłość! Seanchanie!

Faile złączyła końce palców obu dłoni i ponad nimi wbiła wzrok w przestrzeń.

– Być może to byłoby najlepsze rozwiązanie – powiedziała zamyślonym głosem. – Większość służących lepiej sobie radzi, jeśli są pożenieni. Może więc powinnam zaaranżować ich małżeństwo. Jak również małżeństwo Breane. Ledwie umyła twarz i natychmiast wypadła stąd jak oparzona, żeby sprawdzić, co się dzieje z tym wielkim mężczyzną. Wnoszę z tego, że tych dwoje dawno już powinno się pobrać. Zresztą miała w oku jakiś błysk. Nie będę tolerowała takiego zachowania u moich sług, Perrin. To tylko prowadzi do łez i dąsów. A Breane pewnie ma jeszcze gorszy charakter niż on.

Perrin wytrzeszczył oczy.

– Czy ty mnie słyszałaś? – spytał powoli. – Seanchanie zajęli Amador! Seanchanie, Faile!

Wzdrygnęła się – naprawdę myślała o wydawaniu tych kobiet za mąż! – po czym uśmiechnęła do niego z rozbawieniem.

– Stąd do Amadoru droga daleka, a jeśli natkniemy się na tych Seanchan, to jestem pewna, że sobie z nimi poradzisz. Ostatecznie nauczyłeś mnie przysiąść na twoim ręku, nieprawdaż? – Tak właśnie mówiła, jakby była naprawdę sokołem, a on jej sokolnikiem, jednak on jakoś nigdy nie potrafił dostrzec sugerowanego w porównaniu posłuszeństwa.

– Być może okażą się odrobinę trudniejsi do opanowania niż ty – odparł sucho, co ona znowu skwitowała uśmiechem. Z jakiegoś powodu było z niej niezmiernie zadowolone. – Myślę o wysłaniu Grady’ego albo Nealda, by ostrzegli Randa, niezależnie od tego, co mówił. – Faile gwałtownie potrząsnęła głową, jej uśmiech gdzieś wyparował, on jednak brnął dalej. – Zrobiłbym to, gdybym wiedział, gdzie go znaleźć. Musi być sposób na przekazanie mu wieści tak, aby nikt się nie dowiedział. – Na tę sprawę Rand kładł jeszcze większy nacisk niż na konieczność dochowania tajemnicy przed Masemą. Oficjalnie przegnał Perrina i wszyscy mieli sądzić, że nie łączy ich nic oprócz wrogości.

– On wie, Perrin. Jestem tego pewna. Maighdin widziała mnóstwo gołębników w Amadorze, a Seanchanie najwyraźniej nie przyjrzeni im się dokładnie. Do tej pory każdy kupiec, który robi interesy w Amadorze, usłyszał już o wszystkim, i podobnie Biała Wieża. Wierz mi, Rand też musiał się dowiedzieć. Musisz ufać, że on się we wszystkim orientuje najlepiej. W tej sprawie zaś na pewno. – Jednak nie zawsze była tego taka pewna.

– Może – odmruknął z irytacją Perrin. Starał się nie zamartwiać stanem umysłu Randa, ale wobec jego ataków podejrzliwości Perrin w swoim najbardziej nawet nieufnym nastroju przypominał dziecko hasające po łączce. Do jakiego stopnia Rand ufał nawet jemu? Rand skrywał różne rzeczy, miał plany, których nigdy nie ujawniał.

Perrin westchnął, usadowił się wygodniej i upił łyk herbaty. Prawda była taka, że Rand, szalony

czy nie, miał rację. Gdyby Przekłęci zaczęli podejrzewać, do czego on zmierza, albo gdyby domyśliła się tego Biała Wieża, tamci znaleźliby jakiś sposób, by rzucić mu kowadło pod nogi.

– Przynajmniej mogę trochę odwrócić uwagę szpiegów Wieży. Tym razem spalę ten przeklęty sztandar. – I razem z nim Wilczy Łeb. Może rzeczywiście musi odgrywać lorda, ale obejdzie się bez tej przeklętej flagi!

Pograżona w namyśle Faile wydeła pulchne wargi i nieznacznie pokręciła głową. Zsunęła się z krzesła, uklękła obok niego i ujęła jego nadgarstek obiema dłońmi. Perrin z czujnością zajrzał w jej pełne skupienia oczy. Kiedy patrzyła na niego z takim żarem w oczach, z taką powagą, zazwyczaj zamierzała zakomunikować mu coś ważnego. Albo chciała zamydląć mu oczy i tak go skołować, żeby nie wiedział, gdzie góra, gdzie dół. Jej zapach nic mu nie mówił. Usiłował powstrzymać się przed wchłanianiem jej woni, zbyt łatwo się w nich gubił i wtedy naprawdę mogła zrobić z nim wszystko, co chciała. Jednej rzeczy nauczyło go dotąd małżeństwo: mężczyzna potrzebował całego swojego rozumu, kiedy miał do czynienia z kobietą. Zbyt często nawet tego nie starczało; kobiety robiły, co chciały, z taką samą łatwością jak Aes Sedai.

– Może zechciałbyś zastanowić się raz jeszcze, mężu – wymruczała. Usta jej drgnęły w nieznacznym uśmiechu, jakby znowu skądś wiedziała, o czym on myśli. – Wątpię, by ktokolwiek, kto widział nas po przekroczeniu granicy Ghealdan, wiedział, czym jest Czerwony Orzeł. Ale niewykluczone, że w okolicy miasta wielkości Bethal znajdują się tacy, którzy go rozpoznają. I im dłużej będzie trwało nasze polowanie na Masemę, tym większe ryzyko.

Nawet nie próbował jej przekonać, że to kolejny powód, by pozbyć się sztandaru. Faile nie była głupia i myślała znacznie szybciej niż on.

– W takim razie po co nam on – spytał powoli – skoro tylko ściąga wszystkie spojrzenia na idiotę, który pod nim paraduje? Idiotę, o którym wszyscy będą sądzić, że próbuje wskrzesić Manetheren. – W przeszłości próbowali tego zarówno mężczyźni, jak i kobiety, nazwa Manetheren budziła bowiem potężny odzew w ludzkiej pamięci. Nic więc dziwnego, że odwoływał się do niej każdy buntownik.

– Właśnie po to, by ściągał wzrok. – Z napięciem pochyliła ku niemu głowę. – Na człowieka, który próbuje wskrzesić Manetheren. Ludzie nędznego pokroju będą śmiali ci się w twarz, licząc, że czym prędzej odjedziesz, i postarają się zapomnieć o tobie, gdy tylko to zrobisz. Ci wielkiego formatu będą mieli dość na głowie, by przyjrzeć się całej sprawie dokładniej, no, chyba że dasz im prztyczka w nos. W porównaniu z Seanchanami, Prorokiem lub Białymi Płaszczami, człowiek, który próbuje wskrzesić Manetheren, to mała rzepa. I moim zdaniem, można bezpiecznie założyć, że Wieża też nie będzie przyglądała się dokładniej, w każdym razie nie teraz. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, a błysk w jej oczach mówił, że prawie już doszła do sedna. – A co najważniejsze, nikomu nie przyjdzie do głowy, że ten człowiek realizuje inne plany. – Jej uśmiech zgasł nagle, przytknęła koniec palca do jego nosa, mocno. – I nie waz się mówić o sobie, żeś jest idiotą, Perrinie t' Bashere Aybara. Nawet mimochodem, tak jak teraz. Wcale nim nie jesteś i nie życzę sobie, żebyś tak mówił. – Bijący od niej zapach kłut drobniutkimi kolcami, nie był to prawdziwy gniew, ale bez wątpienia niezadowolone.

Żywe srebro. Zimorodek, który pomyka szybciej niż myśl. Z pewnością szybciej niż jego myśli. W życiu by nie wymyślił, że można się ukryć... za takim pancerzem z aromatów. Niemniej dostrzegał sens jej wyjaśnień. To było jak ukrywanie faktu, że jest się mordercą, poprzez twierdzenie, że jest się złodziejem. I czemu nie? Mogło się udać.

Zaśmiał się i pocałował ją w koniuszek palca.

– Sztandar zostanie – powiedział. Niestety, dotyczy to również Wilczego Łba. Krew i krwawe

popioły! – Alliandre musi jednak poznać prawdę. Jeśli ona uzna, że Rand zamierza koronować mnie na króla Manetheren i zagarnąć jej ziemię...

Faile podniosła się nagle, równocześnie się odwracając, że aż się przeląkł, iż popełnił błąd, wspominając królową. Alliandre mogła jej się łatwo skojarzyć z Berelain, a zapach, którym tchnęło od Faile, był... kłujący. Pełen czujności. A jednak, przez ramię, powiedziała mu tylko:

– Alliandre nie przysporzy żadnych kłopotów Perrinowi Złote Oko. Ten ptaszek wpadł już w sieć, mężu. Teraz nastał najwyższy czas, by zastanowić się, jak odnaleźć Masemę. – Uklękawszy z gracją obok niewielkiej skrzyni ustawionej pod ścianą namiotu, jedynej nie nakrytej ozdobną tkaniną, uniosła wieko i zaczęła wyjmować zwoje map.

Perrin miał nadzieję, że nie pomyliła się co do Alliandre, w przeciwnym razie nie wiedziałaby, co dalej zrobić. Żeby jeszcze bodaj w połowie miała rację, myśląc tak dobrze o nim. Żeby Alliandre naprawdę wpadła w sieć jak ptaszek, żeby Seanchanie przewracali się niczym lalki na widok Perrina Złote Oko i choćby Masema otoczył się dziesięcioma tysiącami ludzi, żeby udało mu się pojmać Proroka, a potem zawieźć go do Randa. Nie po raz pierwszy uświadomił sobie, że choć jej gniew bolał i wytrącał z równowagi, to najbardziej obawiał się ją rozczarować. Jeśli kiedykolwiek dostrzeże to w jej oczach, chyba serce mu pęknie.

Ukląkł obok niej i pomógł rozłożyć największą mapę, obejmującą południe Ghealdan i północ Amadicii, a potem studiował ją tak pilnie, jakby z leżącego przed nim pergaminu mogło wyskoczyć imię Masemy. Miał więcej powodów niż Rand, by pragnąć powodzenia tej wyprawy. Choćby nie wiadomo co, nie zawiedzie Faile.

Faile leżała w ciemnościach, nasłuchując, aż wreszcie nabrała pewności, że oddech Perrina nabrał rytmu właściwego dla głębokiego snu, po czym wyslizgnęła się spod koców, które tworzyły ich wspólne postanie. Ogarnęło ją ponure rozbawienie, kiedy wkładała lnianą koszulę nocną. Czy naprawdę sądził, że ona się nie dowie, kiedy pewnego ranka w trakcie ładowania taborów kazał ukryć łoże w jakimś zagajniku? W sumie nie miało to dla niej znaczenia, nie była to w końcu żadna wielka sprawa. Była przekonana, że zdarzało jej się sypiać na ziemi równie często jak jemu. Naturalnie udała zaskoczenie i obróciła wszystko w żart. W przeciwnym razie przeproszałby ją i może nawet wróciłby po łoże. Kierowanie mężem to cała sztuka, tak twierdziła jej matka. Czy Deira ni Ghaline kiedykolwiek się przekonała, jak trudna to sztuka?

Wsunęła bose stopy w trzewiki, narzuciła na ramiona jedwabny szlafroczek, po czym zawahała się, spoglądając na Perrina. Widziałaby ją wyraźnie, gdyby nie spał, natomiast on w jej oczach stanowił tylko ciemny pagórek kocy. Żałowała, że nie ma tu jej matki, właśnie teraz, bo przydałaby się jej rada. Kochała Perrina każdą cząstką swej istoty, a on sprawiał, że każda z tych cząstek cierpiała męki niepewności. Mężczyzn nie można zrozumieć, to oczywiste, ale on był taki niepodobny do tych, wśród których się wychowywała. Nigdy się nie przechwalał, a zamiast śmiać się z siebie, był... skromny. Nie wierzyła, że mężczyzna może być taki skromny! Upierał się, że został przywódcą przez przypadek, twierdził, że nie potrafi przewodzić, podczas gdy ludzie, którzy go znali ledwie od godziny, już byli gotowi pójść za nim. Lekceważył swoją umiejętność myślenia, uważając, że myśli zbyt wolno, a tymczasem te powolne, wnikliwie myśli były tak dogłębne, że musiała się uciekać do nieprawdopodobnych zupełnie wybiegów, żeby cokolwiek zachować przed nim w tajemnicy. Był cudownym człowiekiem, ten jej wilk o kędzierzawej sierści. Taki silny. I taki delikatny. Westchnąwszy, wyszła na palcach z namiotu. Wilczy słuch już nie raz przysporzył jej kłopotów.

W obozowisku panowała całkowita cisza zalana poświatą księżyca, który, choć właśnie

przemieniał się z kwadry w pełnię, świecił już nadzwyczaj jasno. Blask srebrzystej kuli przyćmiewał iskrzące się na bezchmurnym niebie gwiazdy. Jakiś nocny ptak krzyknął przenikliwie i zaraz ucichł, gdy rozległo się głucho pohukiwanie sowy. Wiał lekki wiatr i o dziwo, zrobiło się jakby chłodniej. Ale chyba jej się tylko zdawało. Noce były chłodne jedynie w porównaniu z żarem dni.

Większość mieszkańców obozu spała, ciemne kopce spoczywały nieruchomo wśród cieni pod drzewami. Kilku czuwało, rozmawiając przy nielicznych nadal płonących ogniskach. Nie starała się ukryć, ale i tak nikt jej nie zauważył. Niektórzy chyba spali na siedząco, kiwając głowami. Gdyby nie ufała bez reszty wartownikom, uznałaby, że rozespiane obozowisko może zaskoczyć nawet rozbuchane stado dzikich krów. Oczywiście Panny też pełniły wartę tej nocy. Nic się nie stanie, nawet jeśli ją zauważą.

Wozy na wysokich kołach stały długimi rzędami mrocznych kadłubów, słudzy chrapali już schowani w zaciszu, jakie tworzyły ich podwozia. Prawie wszyscy. Również u nich tliło się jeszcze jedno ognisko. Zasiadła przy Maighdin z przyjaciółmi. Mówił akurat Tallanvor, gestykułując zapalczywie, ale tylko mężczyźni zdawali się go słuchać, mimo że wyraźnie zwracał się do Maighdin. Fakt, że wieźli w swych tobołkach lepsze odzienia niż te łachmany, nie dziwił, ale ich była pani musiała mieć nader hojną rękę przy rozdawaniu jedwabi swym ludziom, bo Maighdin przywdziała doprawdy znakomicie skrojoną jedwabną suknię barwy zgaszonego błękitu. Ale z drugiej strony, żadne z pozostałych nie mogło się poszczycić równie znakomitym przyodziewkiem, więc pewnie Maighdin była faworytą swojej dawnej pani.

Gwałtownie odwrócili głowy, gdy pod stopą Faile trzasnęła gałązka. Tallanvor poderwał się na nogi i już do połowy dobył miecz, gdy w świetle księżyca spostrzegł Faile, otulającą się szczelniej szlafrocikiem. Okazali się jeszcze bardziej czujni niż ludzie z Dwu Rzek, których minęła przed chwilą. Wpatrywali się w nią przez chwilę, po czym Maighdin powstała z wdziękiem i dygnęła głęboko, a pozostali pospiesznie poszli jej przykładem, z różną zresztą wprawą. Jedynie Maighdin i Balwer spokojnie przyjęli to spotkanie. Krągłą twarz Gilla rozciął nerwowy uśmiech.

– Nie przeszkadzajcie sobie – zagaiła uprzejmie Faile. – Ale nie siedźcie też zbyt długo, jutro czeka nas pracowity dzień. – Poszła dalej, ale kiedy się obejrzała, nadal stali, ciągle nie odrywając od niej wzroku. Przez kłopoty w podróży stali się ostrożni jak króliki wiecznie wypatrujące lisa. Była ciekawa, czy uda się im dostosować. Następne kilka tygodni zajmie jej przyuczanie ich do jej obyczajów i osvajanie się z ich sposobem życia. Jeśli chciało się prawidłowo zarządzać domostwem, obie te rzeczy były jednakowo ważne. Jakoś będzie musiała znaleźć na to czas.

Tej nocy jednak nie mogła im poświęcić zbyt wiele miejsca w swych myślach. Po chwili minęła szereg wozów, wkraczając prawie na obszar obserwowany bacznie przez wartowników z Dwu Rzek, ukrytych w koronach drzew. Nic większego oprócz myszy nie przedostałoby się obok nich nie zauważone – czasami nawet potrafili dostrzec którąś z Panien – ale wypatrywali przede wszystkim zakradających się do obozu. Nie tych jednak, którzy mieli prawo w nim przebywać. Na małej, oświetlonej przez księżyc polanie czekali już jej ludzie.

Niektórzy ukłonili się, a Parelean mało co padłby na kolano. Kilka kobiet instynktownie dygnęło, co wyglądało nader osobliwie w zestawieniu z męskimi ubraniami, a po chwili spuściły oczy albo zaszurały nogami, zażenowane tym, co zrobiły. Dworskie maniery wpajano im od urodzenia, a teraz dokonywali cudów, próbując przyswoić sobie obyczaje Aielów. Czy raczej to, co ich zdaniem zasługiwało na miano Aielowych obyczajów. Panny truchlały niekiedy, dowiadując się, w co też ci ludzie wierzą. Perrin nazywał ich durniami i byli nimi pod niektórymi względami, niemniej ci Cairhienianie i Tairenianie przysięgli jej lojalność – złożyli, jak to określali, naśladować Aielów, przysięgę wody – i tym sposobem należeli do niej. Określali siebie jako „społeczność” *Cha*



*Faile*, co oznaczało Szpon Sokoła, aczkolwiek dobrze rozumieli konieczność utrzymywania tego w tajemnicy. Nie pod każdym względem byli skończonymi durniami. I z grubsza rzecz biorąc, wcale aż tak bardzo nie różnili się od młodych mężczyzn i kobiet, wśród których dorastała.

Ci, których wyprawiła w drogę wczesnego ranka, chyba dopiero co wrócili, wchodzące bowiem w skład oddziału kobiety jeszcze nie zdążyły zdjąć sukien, które z konieczności przywdziały. Tylko jedna ubrana po męsku kobieta wzbudziłaby zainteresowanie w Bethal, nie mówiąc już o pięciu. Polana zmieniła się w garderobę pełną chaotycznej szarpaniny ze spódnicami i bielizną, szelestu kaftanów, koszul i spodni. Kobiety udawały, że wcale się nie wstydzą przebierać się na oczach innych, w tym również mężczyzn, jako że Aielowie rzekomo się tego nie wstydzi, ale pośpiech i przyspieszone oddechy zadawały temu kłam. Wszyscy mężczyźni szurali nogami i odwracali głowy, nie wiedząc, czy skromnie spuszczać wzrok, czy może raczej próbować podpatrywać, tak jak to ich zdaniem czynili Aielowie. Jednocześnie zaś sprawiali wrażenie, że wcale nie patrzą na w połowie rozebrane kobiety. *Faile* mocniej otuliła się szlafrocikiem, nie mogła włożyć nic więcej, bo obudziłaby Perrina, ale wcale nie udawała, że czuje się swobodnie. Nie była jakąś *Domani*, którą stać na przyjmowanie swych dworaków w wannie.

– Wybacz spóźnienie, lady *Faile* – wydyszała *Selände*, wciągając kaftan. W głosie niskiej kobiety słyszało się silny cairhieniański akcent. Nie była wysoka, nawet jak na Cairhieniankę. Potrafiła jednakże być przekonująco buńczuczna, a to za sprawą wyzywającego zadzierania głowy i prostowania ramion. – Wrócilibyśmy prędzej, ale ratownicy przy bramach czynili nam trudności przy wyjeździe.

– Trudności? – spytała ostro *Faile*. Gdyby tak mogła zobaczyć wszystko na własne oczy, miast polegać na cudzej relacji, gdyby tylko Perrin jej pozwolił pojechać, a nie tej dziewczce. Nie, nie będzie myślała o Berelain. To nie jest wina Perrina. Powtarzała to sobie dwadzieścia razy dziennie, niczym modlitwę. Ale dlaczego ten mężczyzna był taki ślepy? – Jakże znowu trudności? – Zniechęcona, westchnęła. Kłopoty z mężem nie powinny nigdy wpływać na ton, jakim przemawiasz do swoich lenników.

– Nie ma o czym mówić, moja pani. – *Selände* zapięła pas od miecza i poprawiła na biodrach. – Przepuścili przed nami jakichś ludzi z wozami, nawet nie spojrzawszy na nich po raz drugi, a martwili się, że kobiety same wychodzą w mrok. – Kilka kobiet roześmiało się. Pięciu mężczyzn z tych, którzy pojechali do Bethal, drgnęło z irytacji, bez wątpienia dlatego, że nie uznano ich za dostateczną ochronę. Pozostali z *Cha Faile* stanęli szczelnym półkolem za tymi dziesięcioma, przyglądali się uważnie *Faile* i jej słuchali. Twarze oświetlał im blask księżyca.

– Opowiedzcie mi, coście zobaczyli – rozkazała *Faile* spokojniejszym tonem. Tak było znacznie lepiej.

*Selände* przedstawiła zwięzły raport i choć *Faile* żałowała, że nie dane było jej pojechać, musiała przyznać, że widzieli niemal wszystko, co sama chciałaby zobaczyć. Ulice Bethal były prawie puste, nawet o najbardziej ruchliwej porze dnia. Ludzie zostawali w domach, jeśli tylko mogli. Do miasta wwożono i wywożono pewne ilości towarów, niemniej jednak rzadko który kupiec odważał się zawitać do tej części *Ghealdan*, a poza tym ze wsi nie docierało dość żywności, by wszyscy mogli najeść się do syta. Większość mieszkańców miasta żyła niespokojnie, obawiali się tego, co mogło czyhać za murami, pograżali w coraz większej apatii i rozpacz. Wszyscy bardzo pilnowali swoich języków z obawy przed szpiegami Proroka i starli się za bardzo nie rozglądać dokoła, by ich nie uznano za szpiegów. Obecność Proroka wywierała na nich ogromny wpływ. Po górach włóczyły się liczne bandy, a jednak kieszonkowcy i inni złodzieje zniknęli z ulic Bethal. Powiadano, że Prorok karze złodziei obcięciem ręki. Nie dotyczyło to jednak jego własnych ludzi.

– Królowa robi codzienny objazd po mieście, pokazuje się publicznie, żeby poprawić nastroje – opowiadała Selande – ale moim zdaniem to nie bardzo pomaga. Jakoś jednak stopniowo czyni coraz większe postępy, przypominając ludziom tu na południu, że wciąż mają królową, ale niewykluczone, że stanowi to efekt sukcesów w jakiejś innej dziedzinie. Wartownicy na murach zostali uzupełnieni Strażą, a także jej żołnierzami, wcale nie tak znowu nielicznymi. Być może dzięki temu ludność miasteczka czuje się bezpieczniej. I będzie to trwało tak długo, dopóki królowanie pojedzie dalej. W odróżnieniu od reszty sama Alliandre wcale się nie boi, że Prorok niczym burza pokona mury. Rankami i wieczorami spaceruje samotnie po ogrodach pałacu lorda Telabina, a jej przyboczna straż składa się z zaledwie garstki żołnierzy, którzy większość czasu spędzają w kuchniach. Wszyscy w mieście zdają się równo zamartwiać, na jak długo starczy im żywności. I armią Proroka. Prawdę powiedziawszy, moja pani, uważam, że mimo tych wszystkich wartowników na murach, gdyby Masema w pojedynkę nawet stanął u bram, oddaliby mu miasto bez walki.

– I oddadzą – wtrąciła z pogardą Meralda, przypinając miecz – a potem będą błagali o zmiłowanie. – Smagła i krępa Meralda była tak wysoka jak Faile, ale skłoniła głowę na widok grymasu na twarzy Selande i przeprosiła półgłosem. Nie było wątpliwości, kto dowodzi *Cha Faile* i kto jest zaraz po samej Faile.

Faile była zadowolona, że nie ma potrzeby anulowania precedensu, który sami ustanowili. Selande była z nich najbardziej inteligentna, jeśli nie liczyć Pareleana, a jedynie Arella i Camaille zasługiwały na miano względnie bystrych. Poza tym Selande wyróżniała się jeszcze jedną cechą, a mianowicie pewną zawziętością, jakby w życiu przyszło jej już mierzyć się z najgorszym strachem, takim, któremu nic potem nie może dorównać. Rzecz jasna, też chciała dosłużyć się takich samych blizn, jakimi poznaczone były Panny. Faile sama miała kilka małych blizn, raczej przynoszących jej zaszczyt, ale jej zdaniem szukanie ich stanowiło oznakę głupoty. Przynajmniej ta kobieta jak dotąd nie wykazywała większego zapału w ucieleśnianiu swych chęci.

– Sporządziliśmy mapę, tak jak sobie życzyłaś, moja pani – zakończyła drobna kobieta, rzucając ostatnie, ostrzegawcze spojrzenie na Meraldę. – Spenetrowaliśmy tereny graniczące z tyłami pałacu lorda Telabina, jak tylko się dało, obawiam się jednak, że nie ma tam wiele więcej oprócz ogrodów i stajni.

Faile nie próbowała w świetle księżyca odczytać kresek na płachcie papieru, którą tamta rozpostarła. Szkoda, że nie mogła pojechać sama; też potrafiłaby sporządzić mapę takich włości. Cóż, co się stało, to się nie odstanie, jak zwykł mawiać Perrin. I basta.

– Jesteś pewna, że nikt nie przeszukuje wozów wyjeżdżających z miasta? – Nawet w tak skąpym świetle widziała zakłopotanie na niejednej z otaczających ją twarzy. Ci, ludzie nie wiedzieli, po co posłała ich do Bethal.

Selande jednak nie wyglądała na zbitą z pantałyku.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości, moja pani – odparła spokojnie. Naprawdę całkiem inteligentna i potrafiła szybko reagować.

Na moment zerwał się wiatr, szeleszcząc liśćmi, które jeszcze się ostały na drzewach albo leżały już uschłe na ziemi, a Faile pożałowała, że nie ma słuchu Perrina. A także jego nosa i oczu.

Nie liczyło się, czy widział ją tu ktoś z jej świtą, za to podsłuchujący mogli być wszędzie.

– Znakomicie się spisałaś, Selande. Wszyscy się dobrze spisaliście. – Perrin znał tutejsze niebezpieczeństwa, równie realne jak gdziekolwiek dalej na południu; wiedział, ale jak większość mężczyzn równie często myślał sercem co głową. Żona musiała się okazać bardziej praktyczna, by trzymać swego męża z dala od kłopotów. Tak brzmiała pierwsza rada, jakiej udzieliła jej matka, gdy Faile wychodziła za mąż. – O pierwszym brzasku wróćcie do Bethal i oto, co zrobicie, gdy tylko

otrzymacie ode mnie znak...

Nawet Selande otworzyła oczy ze zdumienia, gdy usłyszała, co Faile miała dalej do powiedzenia, ale nikt nie mruknął ani słowa sprzeciwu. Faile byłaby zdziwiona, gdyby któreś zaprotestowała. Jej instrukcje były rzeczowe. Pewne ryzyko było nieuniknione, ale jeśli ściśle się do nich zastosują, nieporównywalne z tym, jakie byłoby w przeciwnym razie.

– Czy są jakieś pytania? – zapytała na koniec. – Czy wszyscy zrozumieli?

*Cha Faile* odparli jak jeden mąż:

– Żyjemy, by służyć naszej lady Faile. – A to oznaczało, że będą służyli jej kochanemu wilkowi, czy on sobie tego życzył czy nie.

Maighdin wierciła się w swoich kocach rozłożonych na twardej ziemi, nie mogąc zasnąć. Tak teraz brzmiało jej imię, nowe imię na nowe życie. Maighdin, po matce, i Dorlain, po rodzinie zarządzającej obecnie majątkiem, który niegdyś należał do niej. Nowe życie, stare bowiem odeszło w niepamięć, i tylko więzów serca nie dawało się przeciąć. Tymczasem teraz... Teraz...

Zadarła głowę, słysząc cichy szelest liści i zobaczyła ciemną sylwetkę przedzierającą się między drzewami. Lady Faile, która wracała do swego namiotu z jakiegoś niewiadomego miejsca. Miła, młoda kobieta, wylewna i wygadana. Może była nawet arystokratką krwi, niezależnie od pochodzenia męża. I przy tym młoda. Niedoświadczona. To mogło się przydać.

Maighdin z powrotem przyłożyła głowę do złożonego kaftana służącego jej za poduszkę. Światłości, co ona tu robi? Idzie na służbę w charakterze pokojówki jakiejś damy! Nie. Pozostawała jej jeszcze wiara w siebie samą. Nadal gdzieś żyjąca w jej wnętrzu. Może ją tam odnaleźć. Może. Pod warunkiem, że starannie poszuka. Oddech uwiązał jej w gardle, gdy usłyszała blisko czyjeś kroki.

Tallanvor ukląkł z gracją obok niej. Był bez koszuli, światło księżyca odbijało się od gładkich mięśni jego torsu i ramion, twarz miał ukrytą w cieniu. Lekki wiatr mierzwił mu włosy.

– Co to za szaleństwo? – spytał cicho. – Z tym pójściem na służbę? Do czego ty zmierzasz? I nie powtarzaj bzdur o zaczynaniu nowego życia. Nie wierzę w to. Nikt nie wierzy.

Próbowała się odwrócić, ale położył dłoń na jej ramieniu. Bez nacisku, ale unieruchomiła ją równie skutecznie jak chomać konia. Światłości, żeby tylko nie zdrząła. Światłość jej nie wysłuchiwała, ale przynajmniej głos, którym odpowiedziała, był w miarę pewny.

– Jeśli jeszcze nie zauważyłeś, muszę znaleźć własną drogę, która poprowadzi mnie przez świat. Lepiej w charakterze pokojówki niż tawernianej dziewczki. Ty możesz pójść w swoją stronę, jeśli służba tutaj ci nie odpowiada.

– Nie wyrzekłaś się przecie rozumu i swojej dumy, kiedy abdykowałeś – mruknął. A żeby ta Lini szczała, że to zdradziła! – I jeśli chcesz udawać, że tak jest, to radzę ci, pilnuj się, by Lini nie dopadła cię na osobności. – Ten mężczyzna śmiał się z niej! Śmiał się, och, jakże serdecznie! – Lini obiecała, że rozmówi się z Maighdin, i przypuszczam, że nie potraktuje jej tak delikatnie, jak traktowała Morgase.

Rozgniewana usiadła, odpychając jego rękę.

– Czy ty jesteś ślepy i głuchy? Smok Odrodzony ma plany w związku z Elayne! Światłości, już by mi się nie podobało, gdyby choć znał jej imię! To musi być coś więcej niż tylko zwykły przypadek, który zbliżył mnie do jednego z jego zabijaków, Tallanvorze. Na pewno!

– Ażebym szczał, wiedziałem, że o to właśnie idzie. Miałem nadzieję, że się mylę, ale... – Był równie zły jak ona, wskazywał na to ton jego głosu. On nie ma prawa być zły! – Elayne jest bezpieczna w Białej Wieży, Zasiadająca na Tronie Amyrlin nie dopuści jej blisko mężczyzny, który

potrafi przenosić, nawet jeśli to Smok Odrodzony... a zwłaszcza jeśli nim jest!... a Maighdin Dorlain nie może nic zrobić z Zasiadającą na Tronie Amyrlin, Smokiem Odrodzonym czy Tronem Lwa. Może tylko dać sobie skrócić kark, poderżnąć gardło albo!...

– Maighdin Dorlain może patrzeć! – Weszła mu w słowo, po części po to, by przerwać tę koszmarną litanię. – Może słuchać! Może!... – Zirytowana zawiesiła głos. Co mogła zrobić? Nagle dotarło do niej, że jest odziana wyłącznie w cieką koszulę, i pospiesznie otuliła się kocem. Noc istotnie zdawała się chłodniejsza. A może to ukryte w mroku oczy Tallanvora wywołały tę gęsią skórę na jej skórze. Ta myśl sprawiła, że poczuła rumieniec na policzkach, rumieniec, którego, miała nadzieję, nie zauważył. I na szczęście przydała nieco żaru tonowi głosu. Nie była młodą dziewczyną, żeby tak się czerwienić, bo patrzył na nią jakiś mężczyzna! – Zrobię, co mogę, cokolwiek to będzie. Jeszcze będę miała szansę dowiedzieć się czegoś albo zrobić coś, co pomoże Elayne, i ja tę szansę wykorzystam!

– Niebezpieczna decyzja – odparł spokojnie. Żałowała, że nie widzi wyraźnie jego twarzy w ciemnościach. Naturalnie po to tylko, by móc odszyfrować malujące się na niej uczucia. – Sama słyszałaś, jak groził, że powiesi każdego, kto źle na niego spojrzy. I ja mu wierzę, wierzę mężczyźnie o złotych oczach. Wszak on przypomina bestię. Zdziwiłem się, że puścił tamtego człowieka, myślałem już, że skoczy mu do gardła! Jeśli odkryje, kim jesteś, kim kiedyś byłaś... Balwer może cię zdradzić. Nigdy tak naprawdę nie wyjaśnił, dlaczego pomógł ci w ucieczce z Amadoru. Może sobie pomyślał, że królowa Morgase da mu jakąś nową posadę. Teraz wie, że nie ma szans, więc może spróbować wkraść się w łaski nowych chlebobawców.

– Boisz się lorda Perrina Złote Oko? – spytała z pogardą. Światłości, ten człowiek ją przerażał! Naprawdę miał oczy wilka. – Balwer ma dość rozumu, by strzec swego języka. Wszystko, co powie, ostatecznie odbije się na nim. Wszak przyjechał tu ze mną. Jeśli się boisz, to jedź dalej sam!

– Zawsze ciskasz mi w twarz te słowa – westchnął i przysiadł na piętach. Nie widziała jego oczu, ale czuła na sobie jego wzrok. – Powiadasz, jedź dalej, jeśli takie twoje życzenie. Żył sobie kiedyś pewien żołnierz, który kochał z daleka królową, wiedząc, że nie może mieć na nic nadziei, wiedząc, że nigdy się nie odważy wyznać tej miłości. Tej królowej już nie ma, ale pozostała kobieta, a ja odzyskałem nadzieję. Płonę nadzieją! Jeśli chcesz, żebym odjechał, Maighdin, powiedz to! Jedno słowo „jedź!” Proste słowo.

Otworzyła usta... „Proste słowo” – pomyślała. – „Światłości, to tylko jedno słowo. Dlaczego nie potrafię go wymówić? Światłości, błagam!” Po raz drugi tej nocy Światłość jej nie wysłuchała. Siedziała tu skulona pod kocami jak jakaś idiotka, z otwartymi ustami, czując, jak coraz bardziej pali ją twarz.

Gdyby znowu się roześmiał, ugodziłaby go nożem. Gdyby się zaśmiał albo zdradził jakieś oznaki triumfu... Zamiast tego pochylił się do przodu i delikatnie pocałował ją w powieki. Jęk zrodził się w głębi jej gardła; miała wrażenie, że nie jest w stanie wykonać żadnego ruchu. Szeroko rozwartymi oczyma obserwowała go, gdy wstawał. Jego ciemna sylwetka zaciążyła nad nią okolona księżycową poświatą. Była królową – była nią kiedyś – i nawykła do wydawania rozkazów, nawykła do podejmowania trudnych decyzji w trudnych chwilach, ale w tym momencie łomotanie serca wybiło z głowy wszelkie myśli.

– Gdybyś powiedziała „odejdz” – rzekł – pogrzebałbym nadzieję, ale i tak nigdy nie mógłbym od ciebie odejść.

Czekała, aż Tallanvor wróci na swoje posłanie, i dopiero wtedy była w stanie się położyć i nakryć z powrotem kocami. Oddychała ciężko, jakby biegła. Ta noc naprawdę była chłodna, jej ciało nie tyle nawet drżało, ile całe dygotało. Tallanvor był za młody. Za młody! I co gorsza, miał rację.

Ażeby szczęśliwie! Pokojówka nie mogła zrobić nic, by wpłynąć na bieg zdarzeń; a jeśli ten zabójca Smoka Odrodzonego o wilczych oczach dowie się, że w ręce wpadła mu przypadkiem Morgase z Andoru, być może zamiast pomóc Elayne, zostanie przeciwko niej wykorzystana. Nie miał prawa mieć racji, kiedy ona pragnęła, żeby się pomylił! Brak logiki w tej myśli rozwścieczył ją. Istniała szansa, że może zdziałać coś dobrego! Musiała istnieć.

W zakamarku umysłu roześmiał się jakiś cichy głos. „Nie możesz zapomnieć, że nazywasz się Morgase Trakand” – poinformował ją z pogardą – „a królowa Morgase, nawet wtedy, gdy już zrzekła się tronu, nie może zaprzestać wtrącania się w sprawy możnych, niezależnie od zniszczeń, jakich dokonała do tej pory. I nie może też powiedzieć mężczyźnie, że ma odejść, bo nie może przestać myśleć o tym, jakie on ma silne ręce, o tym, jaki kształt przybierają jego wargi, kiedy się uśmiecha i...”

Rozwścieczona naciągnęła koc na głowę, usiłując odgrodzić się od tego głosu. Nie dlatego została tutaj, bo nie potrafiła rozstać się z władzą. A co do Tallanvora... Pokaże mu, gdzie jego miejsce. Tym razem zrobi to! Ale... Czy jego miejsce jest przy kobiecie, która nie jest już królową? Usiłowała wyrzucić go ze swych myśli i próbowała ignorować ten drwiący głos, który nie chciał ucichnąć, a jednak, kiedy sen wreszcie nadszedł, nadal czuła dotknięcie jego warg na powiekach.

# ROZDZIAŁ 9

## GALIMATIAS

Kiedy Perrin jak zawsze obudził się przed pierwszym brzaskiem, Faile jak zwykle była już na nogach, krzątając się. Zachowywała się tak cicho, że mysz mogłaby jej pozazdrościć. Podejrzał, że nawet gdyby obudził się w godzinę od ułożenia się do snu, to byłaby już na nogach. Klapy wejścia były podwiązane od zewnątrz, boczne ścianki uniesione nieco i przez otwór wentylacyjny w dachu napływały podmuchy powietrza, dość, by dawać przynajmniej złudzenie chłodu. A w rzeczy samej, szukając koszuli i spodni, Perrin lekko dygotał. Cóż, w końcu była zima, cokolwiek by mówić o pogodzie.

Ubrał się po ciemku, potem wyszorował zęby solą, do czego również nie potrzebował światła, i wyszedł z namiotu, po drodze wbijając stopy w buty; w głębokiej szarówce wczesnego ranka Faile już na niego czekała, otoczona swoimi nowymi służącymi. Niektórzy trzymali w rękach zapalone lampy. Córka lorda nie mogła obejść się bez służby, powinien o to zadbać już wcześniej. W Caemlyn byli ludzie z Dwu Rzek, których Faile osobiście wyszkoliła, ale ze względu na konieczność zachowania tajemnicy nie można ich było zabrać ze sobą. Pan Gill zapewne będzie chciał jak najszybciej wrócić domu, Lamgwin i Breane chyba również, ale może Maighdin i Lini zdecydują się zostać.

Aram, który do tej pory siedział ze skrzyżowanymi nogami obok namiotu, powstał i nie mówiąc słowa, wyczekująco spojrzął na Perrina. Gdyby mu pozwolić, Druciarz spałby w samym wejściu. Tego ranka miał na sobie kaftan w czerwono-białe paski, przy czym te białe były nieco przybrudzone i nawet teraz zza ramienia wystawała mu rękoność miecza ozdobiona wilczym łbem. Perrin zostawił topór w namiocie, zadowolony, że na razie może się z nim rozstać. Tallanvor też był uzbrojony, pas z mieczem przypiął wprost do katana, w panu Gillu i pozostałej dwójce otoczenie najwyraźniej wzbudzało więcej zaufania.

Faile musiała obserwować namiot, bo ledwie Perrin zeń wyszedł, wykonała drobny gest, wydając umówiony z pewnością wcześniej rozkaz. Maighdin i Breane przemknęły obok niego i Arama z latarniami w dłoniach, zaciskając szczęki. Wyczuwało się od nich determinację. Żadna nie dygnęła, co stanowiło przyjemną niespodziankę. W odróżnieniu od Lini, która prędko ugięła nogę w kolanie i dopiero wtedy pomknęła śladem tamtych, mrużąc coś o tym, że „należy znać swoje miejsce”. Perrin podejrzewał, że Lini jest jedną z tych kobiet, które uważają, że ta „znajomość swego miejsca” jest równoznaczna z prawem dyrygowania innymi. Kiedy się nad tym głębiej zastanowił, uznał, że większość kobiet tak myślała. Tak było chyba na całym świecie, nie tylko w Dwu Rzekach.

Tallanvor i Lamgwin bezzwłocznie ruszyli śladem kobiet, przy czym ukłon Lamgwina miał w sobie tyleż powagi co nieomal posępny gest Tallanvora. Perrin westchnął i odkłonił się, a oni obaj drgnęli i wytrzeszczyli oczy. Dopiero ponagleni szorstkim okrzykiem Lini, szybko weszli do wnętrza namiotu.

Dostrzegł jeszcze tylko błysk uśmiechu Faile, a później już widział tylko jej plecy, gdy maszerowała w stronę wozów, przemawiając to do Baela Gilla, to do Sebbana Balwera. Obaj mężczyźni oświetlali jej, drogę latarniami. Oczywiście dookoła pełno było młodych durniów, którzy na dźwięk jej głosu natychmiast przyspieszali krok, prężyli się dumnie jak pawie, gładząc rękoności mieczy i wbijając spojrzenia w mrok, jakby się spodziewali ataku albo wręcz nań liczyli. Perrin szarpnął krótką brodę. Faile zawsze znajdowała sobie liczne zajęcia, całkowicie wypełniające jej czas, i nikt jakoś specjalnie nie starał się jej ulżyć. Nikt się nie ośmielał.

Linie horyzontu muskały dopiero pierwsze palce jutrzeńki, ale Cairhienianie już krzętały się przy wozach, i to coraz zwawiej, w miarę jak Faile zbliżała się do nich. Nim dotarła na miejsce, nieomal biegali, światła latarni podskakiwały zaś i kołysały się w ciemnościach. Mężczyźni z Dwu Rzek, nawykli do farmerskiego życia, szykowali już śniadanie, jedni śmiali się i przepychali wokół swych ognisk, inni gderali, ale większość sprawnie radziła sobie z obowiązkami. Kilku próbowało wylegiwać się jeszcze pod kocami, ale na nic się to nie zdało. Grady i Neald też już wstali i jak zwykle trzymali się na uboczu; pośród drzew wyglądali jak duchy odziane w czarne kaftany. Perrin nie pamiętał, by kiedykolwiek ich widział bez tych kaftanów, zawsze zapiętych pod szyję, o świcie zawsze czystych i bez jednej fałdki, niezależnie od stanu, w jakim znajdowały się poprzedniego wieczoru. Obaj jak co rano ćwiczyli szermierkę na miecze, harmonijnie przechodząc od formy do formy. Było to znacznie przyjemniejsze widowisko niż ich wieczorne ćwiczenia, kiedy siadywali z podwiniętymi nogami, dłonie wsparłszy na kolanach, wpatrzeni w jakiś oddalony, nie istniejący punkt. Nikt nigdy nie zauważył, by w takich chwilach coś konkretnego robili, a jednak wszyscy wiedzieli, o co naprawdę chodzi, i starali się trzymać z daleka. Nawet Panny ich omijały.

Coś było nie tak, uświadomił sobie Perrin i wzdrygnął się. Faile zawsze pilnowała, by ktoś go przywitał misą gęstej owsianki, którą zwykli jadać na śniadanie, jednak tego ranka w nawale zajęć chyba zapomniała. Rozpromieniwszy się, podbiegł do jednego z ognisk, w nadziei że przynajmniej raz sam o siebie zadba. Nadzieja okazała się płonna.

Flann Barstere, chudy mężczyzna z dołkiem w podbródku, spotkał go w pół drogi i wepchnął w ręce rzeźbioną misę. Flann pochodził z okolic Wzgórza Czat i choć Perrin z pewnością nie mógłby nazwać go bliskim znajomym, to jednak kilkakrotnie polowali razem, a poza tym Perrin pomógł mu ongiś wydostać krowę ojca z bagna w Wodnym Lesie.

– Lady Faile kazała, żebym ci to przyniósł, Perrin – oznajmił nerwowym tonem Flann. – Nie powiesz jej, że zapomniałem, prawda? Nie powiesz? Znalazłem miód i dodałem sporą łyżkę. – Perrin postarał się nie westchnąć. Flann pamiętał przynajmniej jego imię.

No cóż, być może w najprostszych codziennych czynnościach będzie już zawsze zdany na innych, z pewnością jednak nikt nie zdejmie z jego ramion brzemienia odpowiedzialności za ludzi, którzy teraz posilali się pod drzewami. Gdyby nie on, byłiby razem z rodzinami na swoich farmach i doili krowy lub rąbali drewno na opał, zamiast się zastanawiać, czy będą musieli zabijać albo czy sami nie zostaną zabici przed zachodem słońca. Kiedy się posilił osłodzoną miodem owsianką, kazał Aramowi, by sam zjadł śniadanie, ale tamten zaraz zrobił tak nieszczęśliwą minę, że ulitował się nad nim i pozwolił mu sobie towarzyszyć podczas obchodu obozu, za co bynajmniej nie zabierał się z przyjemnością.

Mężczyźni odstawiali swoje misy, kiedy do nich podchodził, a niektórzy nawet wstawali. Zgrzytał zębami, gdy ktoś, z kim razem dorastał, albo co gorsza, ktoś, dla kogo jako chłopiec biegał na posyłki, tytułował go lordem Perrinem. Nie wszyscy tak czynili, ale i tak było ich wielu. Zbyt wielu. Po jakimś czasie przestał im to wypominać – zwyczajnie go to zmęczyło – zbyt często bowiem słyszał w odpowiedzi: „Och, jako rzeczesz, lordzie Perrinie”. Wystarczało tego, by człowiekowi zachciało się wyc!

Mimo to przy każdym przystawał, by zamienić kilka słów. Zazwyczaj jednak tylko patrzył uważnie dookoła. I węszył. Wszyscy jego ludzie znali się na rzeczy, więc stale reperowali łuki, a także dbali o upierzenie i groty strzał, ale niektórzy, bywało, potrafili zedrzeć sobie podeszwy butów albo siedzenia spodni, nie zauważając tego, albo pozwalali, by jątrzyły im się pęcherze, bo im się nie chciało nic z nimi zrobić. Garstka lubiła przysysać się do brandy przy pierwszej lepszej okazji, wśród nich dwóch czy trzech miało niezwykle słabe głowy. Po drodze do Bethal napotkali wioskę, w

której znajdowały się aż trzy oberże.

Wszystko to było bardzo dziwne. Zawsze czuł zażenowanie, kiedy pani Luhhan albo jego matka mówiły mu, że potrzebuje nowych butów albo że powinien zacerować sobie spodnie, i był pewien, że nieźle by się zirytował, słysząc coś takiego z ust kogoś obcego, a tymczasem wszyscy z Dwu Rzek, poczynając od siwowłosego Jondyna Barrana, odpowiadali tylko: „A jakże, masz rację, lordzie Perrinie, zaraz tego dopatrzę” albo coś podobnego. Zauważył, że kilku z nich uśmiechało się do siebie, kiedy szedł dalej. I na dodatek pachnieli zadowoleniem! Kiedy wygrzebał gliniany dzban z gruszkową brandy z sakiew Jori Congara – chudego mężczyzny, który jadł za dwóch i zawsze wyglądał tak, jakby od tygodnia nic nie miał w ustach, dobrego łuczniaka, który niestety, gdyby dać mu szansę, piłby tak długo, aż nie mógłby ustać o własnych siłach, i który miał lepkie ręce. Jori spojrzał na niego niewinnymi oczyma i rozłożył ręce, jakby nie wiedział, skąd się ten dzban tam wziął. Ale kiedy Perrin poszedł dalej, wylewając zawartość słoja na ziemię, Jori roześmiał się: „Przed lordem Perrinem nie da się niczego ukryć!” W jego głosie słyszało się dumę! Czasami Perrin nie na żarty podejrzewał, że jest jedynym człowiekiem we własnym otoczeniu, który zachował zdrowe zmysły.

Zauważył jeszcze jedną rzecz. Wszyscy jak jeden mąż bardzo interesowali się tym, o czym nie wspominał. Jeden po drugim zerkali na oba sztandary, ten z Czerwonym Wilczym Łbem i ten z Czerwonym Orłem, które od czasu do czasu wydymał słaby podmuch wiatru. Patrzyli na nie i obserwowali go, czekając rozkazu, który wydawał każdego dnia, od kiedy wjechali na terytorium Ghealdan. Jako też i wcześniej. Tyle że wczoraj nic nie powiedział i dzisiaj także nic; obserwował tylko wyraz ich twarzy, odczytując gonitwę rozmaitych spekulacji. Szedł dalej, nie dbając o grupki mężczyzn przyglądających się sztandarom i jemu, pomrukujących coś z podnieceniem. Nie próbował podsłuchiwać. Co by powiedzieli, gdyby okazało się, że nie miał racji, a Białe Płaszcze tudzież król Ailron doszli do wniosku, że mimo wszystko groźniejsza od Proroka i Seanchan jest rzekoma rebelia? Był za tych ludzi odpowiedzialny i zbyt wielu już stracił.

Kiedy zakończył obchód, spory fragment tarczy słońca wyzierał znad horyzontu, zalewając świat ostrym porannym blaskiem. Przy namiocie Tallanvor i Lamgwin wywlekali na zewnątrz kufry, na polecenie Lini, podczas gdy Maighdin i Breane sortowały ich zawartość na uschłej trawie – przeważnie koce i lny oraz długie kolorowe płachty satyny, które miały zdobić łoże porzucone przez niego w lesie. Faile była zapewne w środku, bo nieopodal niecierpliwie wyczekiwała banda jej młodych idiotów. Nie dla nich dźwiganie jakichś sprzętów. Potrzebni jak szczury w stodole.

Perrin postanowił, że rzuci okiem na Stayera i Steppera, ale zaledwie znalazł się wśród drzew, skąd mógł dojrzeć spętane szeregi koni, natychmiast został przyuważony. Aż trzech kowali podeszło lekliwie bliżej i zaczęło mu się przyglądać. Barczyści mężczyźni odziani w skórzane fartuchy, podobni do siebie niczym jaja w koszu, tyle że Falton miał siwe pasma, Amin był szpakowaty, a Jerasid jeszcze nie wszedł w wiek średni. Na ich widok Perrin nie potrafił powstrzymać warknięcia. Ledwie dotknął któregoś konia, a natychmiast się pojawiali, wytrzeszczając oczy, gdy unosił kopyto. Któregoś razu próbował zmienić podkowę Stayerowi i natychmiast jak spod ziemi wyrosła cała szóstka kowali – wyrwali mu narzędzia z ręki i omal nie przewrócili gnidosza w zapale podkuwania.

– Podejrzewają, że im nie ufasz – odezwał się nagle Aram. Perrin spojrzał na niego ze zdziwieniem, a były Druciarz wzruszył ramionami. – Rozmawiałem z kilkoma. Oni myślą, że jak lord sam dogląda swoich koni, to nie ufa swoim kowalom. Możesz ich odesłać, ale przecież nie trafią do domu. – Z tonu głosu można było sądzić, że uważa ich za głupców, spojrzał jednak na Perrina z ukosa i znowu niezręcznie wzruszył ramionami. – Moim zdaniem są zdeprymowani. Jeśli się nie zachowujesz, jak ich zdaniem przystało na lorda, to się na nich to odbija.



– Na Światłość! – mruknął Perrin. Faile mówiła to samo, w każdym razie też twierdziła, że deprymująco na nich działa jego zachowanie, dotąd jednak traktował to tylko jako słowa córki lorda. Faile wychowywała się wprawdzie w otoczeniu służby, ale jakim to sposobem lady mogłaby znać myśli człowieka, który musi zapracować na swój chleb? Spojrzał spod zmarszczonego czoła na szeregi koni. Pięciu kowali stało razem i obserwowało go. Zdeprymowani, że chciał doglądać własnych koni, i zmartwieni, że nie zażądał od nich, by wszystko dookoła wyłożyli ściółką, a potem wysypali żwirem. – A zatem uważasz, że powinienem się zachowywać jak jakiś dureń, który przywdziewa jedwabną bieliznę? – zapytał. Aram zamrugał i wbił wzrok w czubki swoich butów. – Na Światłość! – warknął Perrin.

Wypatrzywszy Basela Gilla, który spiesznym krokiem nadchodził od strony wozów, Perrin ruszył mu na spotkanie. Czuł, że poprzedniego dnia nie poszło mu najlepiej, kiedy się starał nawiązać z Gillem swobodną rozmowę. Krępy mężczyzna gadał do siebie i znowu wycierał czoło chustką, pocąc się w zmiętym, ciemnoszarym kaftanie. Skwar już dawał o sobie znać. Nie zauważył Perrina, aż ten prawie zaszedł mu drogę, a wtedy prawie podskoczył, wpychając chustkę do kieszeni i kłaniając się. Włosy miał przylizane, a ubranie wyszczotkowane, zupełnie jakby dziś przypadało jakieś święto.

– Ha, Lord Perrin! Twoja pani kazała mi pojechać wozem do Bethal. Powiada, że mam poszukać tytoniu z Dwu Rzek, ale ja nie wiem, czy mi się uda. Liść z Dwu Rzek zawsze nadzwyczaj ceniono, a handel nie jest już taki jak drzewiej.

– Posłała cię po tytoń? – spytał Perrin i zmarszczył czoło. Już wcześniej podejrzewał, że z całej tajemnicy nici, a jednak... – W przedostatniej wiosce zaopatrzyłem się w trzy baryłki. Starczy dla wszystkich.

Gill stanowczo potrząsnął głową.

– Ale to nie liść z Dwu Rzek, a twoja pani powiada, że przedkładasz go ponad inne gatunki. Twoim ludziom wystarczy liść ghealdański. Mam być twoim *shambayan*, tak to określiła, i nam zaopatrywać ciebie i ją we wszystko, czego potrzebujecie. W rzeczy samej, właściwie nic innego nie robiłem, prowadząc „Błogosławieństwo królowej”. – To porównanie najwyraźniej go rozbawiło, bo brzuch mu się zatrzęsł od niemego chichotu. – Lady Faile wyposażyła mnie w niezgorszą listę, aczkolwiek nie umiem orzec, ile z tego znajdę. Dobre wino, zioła, owoce, świece i lampa oliwna, impregnowane płótno i wosk, papier i atrament, igły, szpilki, och, różne rzeczy. Wybieramy się razem z Tallanvorem i Lamgwinem, a także kilkoma ludźmi ze świty twojej pani.

Świta jego pani. Tallanvor i Lamgwin wynosili właśnie kolejny kufer, by kobiety mogły uporządkować jego zawartość. Tak jak poprzednim razem, znów musieli przejść obok grupki młodych durniów, którzy przycupnęli przy namiocie i ani razu nie zaoferowali pomocy. W rzeczy samej, ci próżniacy całkiem ich ignorowali.

– Pilnuj tego towarzystwa – ostrzegł go Perrin. – Jeśli który zacznie sprawiać kłopoty... albo choćby będzie wyglądał, jakby się na to zanosilo... to każ Lamgwinowi zdzielić go w łeb. – A jeśli to będzie któraś z kobiet? Prawdopodobieństwo było takie samo, jeśli nawet nie większe. Perrin chrząknął. Zanosilo się, że „świta” Faile nieustannie będzie przyprawiać go o kurcze żołądka. Szkoda, że nie potrafiła się zadowolić takimi jak pan Gill albo Maighdin. – O Balwerze nie wspomniałeś. Czyżby postanowił ruszyć samotnie w drogę? – Dokładnie w tym momencie podmuch wiatru przyniósł mu zapach Balwera, pełną czujności woń, która kłóciła się z niemal chorowitym wyglądem tego człowieka.

Choć wątlej postury, Balwer i tak robił zaskakująco dużo hałasu, gdy szedł po uschłych liściach. Odziany w kaftan tej samej burej barwy co pióra wróbla, złożył szybki ukłon, przekrzywiając głowę

w sposób, który jeszcze bardziej upodobił go do starego, wychudłego ptaszyska.

– Zostaję, mój lordzie – oznajmił ostrożnie. Zresztą, może tylko miał taki sposób mówienia. – Jako sekretarz twojej łaskawej lady. I również twój, jeśli sobie zażyczysz. – Zbliżył się z pełną gracją. – Potrafię znakomicie układać zdania, mój lordzie. Posiadam dobrą pamięć i ładny charakter pisma, a poza tym mój, pan może być pewien, że moje usta nigdy nikomu nie zdradzą tego, co mi powierzy, cokolwiek by to było. Zdolność dochowywania tajemnicy to najważniejsza umiejętność sekretarza. Czy ty przypadkiem nie powinienes bezzwłocznie zająć się wypełnianiem obowiązków zleconych przez naszą nową panią, panie Gill?

Gill spojrział krzywo na Balwera, otworzył usta, po czym zamknął je nagle. A potem obrócił się na pięcie i potruczał w stronę namiotu.

Balwer przez chwilę odprowadzał go wzrokiem, z głową przekrzywioną na bok i wargami wydętymi w namyśle.

– Mogę zaoferować również inne usługi, mój lordzie – powiedział w końcu. – A mianowicie mogę podzielić się wiedzą. Przysłuchiwałem się, o czym to rozmawiają niektórzy z ludzi mojego pana, i rozumiem, że mój pan może mieć pewne... trudności... z Synami Światłości. Sekretarz dowiaduje się wielu rzeczy. Wiem zaskakująco dużo na temat Synów.

– Jeśli mi szczęście dopisze, uniknę spotkania z Białymi Płaszczami – odparł Perrin. – Lepiej, gdybyś mógł mi powiedzieć, gdzie jest Prorok. Albo Seanchanie. – Na to oczywiście nie liczył, jednak Balwer zaskoczył go.

– Oczywiście nie jestem do końca przekonany, niemniej uważam, że Seanchanie dotychczas rozpełzli się tylko po Amadorze. Trudno odśiać fakty od plotek, mój panie, ale ja bacznie nadstawiam ucha. Seanchanie, jak wiadomo, przemieszczają się z nadspodziewaną szybkością. To niebezpieczni ludzie, wspomagani wielkimi rzeszami taraboniańskich żołnierzy. Wierzę panu Gillowi, że mój lord wie o nich sporo, ale ja przyjrzałem im się uważnie w Amadorze i mój pan może skorzystać z moich spostrzeżeń. A co do Proroka, to krąży o nim tyle samo plotek co o Seanchanach, ale ufam, że nie pomylę się, twierdząc, że ostatnio był w Abila, dość sporym mieście jakieś czterdzieści lig na południe stąd. – Balwer uśmiechnął się blado, przelotnym grymasem samozadowolenia.

– Na jakiej podstawie jesteś tego taki pewien? – spytał Perrin.

– Jak już powiedziałem, mój lordzie, pilnie nadstawiam ucha. Prorok rzekomo zamknął wiele oberż i tawern, a te, które uznał za zbyt podejrzane, kazał zrównać z ziemią. Kilka wymieniono z nazwy, a ja przypadkiem wiem, że są to oberże z Abila. Moim zdaniem, istnieje niewielka szansa, że w innym mieście też mają oberże o takich samych nazwach. – Jeszcze raz uśmiechnął się blado. To zadowolenie z siebie samego stało się wyraźne.

Perrin podrapał się po brodzie, zgłębiając te rewelacje. Ten człowiek przez przypadek pamiętał, gdzie znajdują się oberże, które rzekomo zniszczył Masema. A jeśli się okaże, że Masemy jednak tam nie ma, cóż, w dzisiejszych czasach plotki wyrastały niczym grzyby po deszczu. Z tonu Balwera wynikało, że wyraźnie zależy mu na umocnieniu własnej pozycji.

– Dziękuję ci, panie Balwer. Będę miał na uwadze to, coś mi rzekł. Jeśli coś jeszcze wyjdzie na jaw, daj mi znać. – Kiedy już się odwracał, by odejść, mężczyzna złapał go za rękaw.

Balwer natychmiast niemalże rozwarł swoje kościste palce, jakby się poparzył, po czym wykonał jeszcze jeden z tych ptasich ukłonów, jednocześnie wykonując gest naśladujący mycie dłoni.

– Wybacz mi, mój panie, że ośmielam się naciskać, ale nie traktuj Białych Płaszcz zbyt niefrasobliwie. Unikając ich, postępujesz roztropnie, wszelako twoje starania mogą spełznąć na niczym. Są znacznie bliżej niż Seanchanie. Tuż przed upadkiem Amadoru Eamon Valda, nowy Lord

Kapitan Komandor, poprowadził ich prawie całą siłą ku terenom północnej Amadicii. On też polował na Proroka, mój lordzie. Valda to niebezpieczny człek, a w porównaniu z Rhadamem Asunawą, Wielkim Inkwizytorem, zdaje się przemiły. I obawiam się, że żaden z twych dwu nie żywi ciepłych uczuć względem Lorda Smoka. Wybacz mi. – Ukłonił się znowu, zawahał i gładko podjął temat: – Jeśli mi wolno tak rzec, wystawianie na pokaz sztandaru Manetheren może być uznane za prowokację. Ale mój pan z pewnością okaże się co najmniej równym przeciwnikiem dla Valdy i Asunawy, pod warunkiem wszak, że będzie mu na tym zależało.

Perrin przyglądał się odchodzącemu w ukłonach Balwerowi i zrozumiał, że poznał pewną część historii życia tego człowieka. Najwyraźniej on także popadł w jakiś konflikt z Białymi Płaszczami. Rzecz jasna, nie było o to trudno, wystarczało, że człowiek znalazł się na tej samej ulicy co oni albo spojrzął krzywo w nieodpowiednim momencie, a jednak zdawało się, że uraza Balwera ma głębsze podłoże. A poza tym z pewnością miał bystry umysł, skoro natychmiast pojął, co oznacza Czerwony Orzeł i ostry język, co zademonstrował kosztem pana Gilla.

Gill klęczał obok Maighdin i coś do niej mówił gwałtownie, mimo wysiłków Lini, próbującej go uciszyć. Maighdin z kolei odwróciła się i odprowadzała wzrokiem Balwera, który szedł spieszenie między drzewami w stronę wozów, ale co jakiś czas jej wzrok padał na Perrina. Pozostali zbili się przy niej w ciasną gromadkę, popatrując to na Balwera, to na Perrina. Rzadko kiedy widywał ludzi bardziej przejętych tym, co ktoś inny powiedział. Tylko cóż takiego miałby usłyszeć od Balwera, co ich tak zdenerwowało? Zapewne podejrzewali jakieś złośliwości. Opowieści o urazach i niecnych uczynkach, prawdziwych albo zmyślonych. Ludzie zgromadzeni w jednym miejscu za sprawą losu zazwyczaj zaczynali się wzajem podgryzać. Jeśli tak było, to może mógłby położyć temu kres, zanim popłynie krew. Tallanvor znowu gładził rękojeść swojego miecza! Na cóż Faile ten człowiek?

– Aram, pogadaj z Tallanvorem i resztą towarzystwa. Powtórz im to, co powiedział mi Balwer. Włącz to jakoś do rozmowy, ale powtórz dokładnie. – To powinno uspokoić obawy, że ktoś gada za ich plecami. Faile twierdziła, że służbę powinno się tak traktować, by czuła się częścią rodziny. – Zaprzyjaźnij się z nimi, jeśli potrafisz, Aram. Jeżeli jednak postanowisz wzdychać do którejś z kobiet, to dopilnuj, aby to była Lini. Pozostałe dwie są zajęte.

Aram potrafił ładnie mówić do pięknych kobiet, niemniej zdziwiona i równocześnie urażona mina wypadła mu całkiem przekonująco.

– Jak sobie życzysz, lordzie Perrin – mruknął ponuro. – Niebawem cię dogonię.

– Będę u Aielów.

Aram zamrugał.

– A tak. Cóż, zaprzyjaźnianie się z nimi może trochę potrwać. Mnie tam się nie wydaje, by byli do tego skorzy. – I to mówił człowiek, który spoglądał podejrzliwie na wszystkich z wyjątkiem Faile, czcił ją bowiem niemal na równi z Perrinem, i który nigdy się nie uśmiechał do nikogo, kto nie nosił spódnicy.

Poszedł jednak w tamtą stronę i przykucnął na piętach w miejscu, gdzie mógł porozmawiać z Gillem i pozostałymi. Nawet z daleka było widać ich powściągliwość. Wykonywali dalej swoją pracę, jedynie od czasu do czasu odpowiadając Aramowi jakimś słowem, a nadto spoglądali na siebie równie często jak na niego. Płochliwi jak zielone przepiórki w lecie, kiedy lisy uczą swoje szczenięta polować. Ale przynajmniej rozmawiali.

Perrin był ciekaw, w co też Aram mógł wplątać się z Aielami – przecież zupełnie nie miał na to czasu! – ale nie zastanawiał się długo. Wszelkie poważne kłopoty z Aielami zazwyczaj kończyły się tak, że ktoś padał trupem i zazwyczaj nie był to Aiel. Po prawdzie to wcale się nie palił do spotkania z Mądrymi. Obszedł wzgórze, ale nie wspinał się na zbocze, bo nogi zawiodły go prosto do Mayenian.

Od ich obozowiska też starał się trzymać jak najdalej, i to nie tylko z powodu Berelain. Istniały pewne ujemne strony posiadania zbyt czułego zmysłu powonienia.

Świeże podmuchy wiatru na szczęście rozwiewały prawie cały smród, choć nie przynosiły szczególnej ochłody. Z twarzy konnych wartowników odzianych w czerwone zbroje ściekały strumienie potu. Na widok Perrina jeszcze bardziej zeszywnieli w siodłach, co już samo w sobie było znaczące. Mężczyźni z Dwu Rzek dosiadali koni w taki sposób, jakby wyprawiali się na pola, Mayenianie natomiast zazwyczaj przypominali posągi. Ale umieli walczyć. Niech Światłość sprawi, by już więcej nie było potrzeby odwoływania się do ich umiejętności.

Perrin nie zdołał jeszcze na dobre minąć linii wart, kiedy nadbiegł Havien Nurelle, zapinając po drodze guziki kaftana. Tuż za Nurelle podążało kilkunastu innych oficerów, wszyscy w kaftanach, niektórzy dopinali paski czerwonych napierśników. Dwóch albo trzech niosło pod pachami hełmy zdobione cienkimi czerwonymi piórami. Większość dużo starsza od Nurelle, niektórzy nawet po dwakroć – siwiejący mężczyźni o twardych twarzach pokrytych bliznami – ale nagrodą dla Nurelle za pomoc w oswobodzeniu Randa był awans na zastępcę Gallenne, czyli, wedle oficjalnej nomenklatury, jego Pierwszego Porucznika.

– Pierwsza jeszcze nie wróciła, lordzie Perrinie – oznajmił Nurelle, wykonując ukłon, który niczym cienie powtórzyli pozostali. Wysoki i szczupły, nie wyglądał już tak młodo jak przed Studniami Dumai. W oczach lśniło napięcie, pamiątka widoków przelanej krwi, których starczyłoby na weterana dwudziestu bitew. Mimo stwardniałych rysów twarzy, nadal wyczuwało się od niego pragnienie zadowolenia Perrina. Dla Haviena Nurelle Perrin Aybara był człowiekiem zdolnym latać albo chodzić po wodzie, gdyby tylko mu się zachciało. – Poranne patrole, te, które już wróciły, nic nie zauważyły. Doniósłbym, gdyby było inaczej.

– Nie wątpię – zapewnił go Perrin. – Ja... ja tylko chciałem trochę się rozejrzeć.

Przechadzkę chciał wykorzystać na to, aby znaleźć w sobie odwagę do stawienia czoła Mądrym, ale młody Mayenianin szedł za nim wraz z pozostałymi oficerami, z niepokojem obserwując lorda Perrina, czy ten nie znajduje jakiejś skazy w poczynaniach Skrzydlatej Gwardii, krzywiąc się, gdy napotykali obnażonych do pasa mężczyzn grających w kości na kocu albo jakiegoś człowieka, który jeszcze chrapał, mimo że słońce już wisało na niebie. Zdaniem Perrina przejmował się zupełnie niepotrzebnie – obóz wyglądał, jakby go zbudowano za pomocą pionu i poziomicy. Każdy miał swoje koce i siodło za poduszkę, w odległości zaledwie dwóch kroków od swojego wierzchowca uwiązanego do długich sznurów zwisających między palikami wbitymi w ziemię. Co dwadzieścia kroków płonęły ogniska, przy których gotowano strawę, a między nimi na okutych stojakach znajdowały się lance. Całość miała kształt kwadratu, w środku którego stało pięć trójgromiastych namiotów, przy czym jeden, w złoto-niebieskie paski, był większy od pozostałych czterech razem wziętych. Widok zdecydowanie odbiegał od obozowiska ludzi z Dwu Rzek, rozbitego na łapu-capu.

Perrin maszerował zwawym krokiem, w miarę możliwości starając się nie robić głupiej miny. Nie był pewien, czy mu się udawało. Korciło go, żeby się zatrzymać i obejrzeć tego czy innego konia – chociaż podnieść kopyto, nie doprowadzając kogoś do omdlenia. Mając jednak w pamięci to, co powiedział Aram, trzymał ręce przy sobie. Wszyscy zdawali się równie zaskoczeni jak Nurelle tym jego dziarskim krokiem. Chorążowie o twardych oczach podrywali swych podkomendnych na nogi, ale zanim zdążyli stanąć na baczność, Perrin już ich mijał, zaledwie skinąwszy głową. Ciągnął się za nim pomruk zdumienia, a jego czułe uszy podchwyciły kilka komentarzy na temat oficerów, lordów zaś w szczególności, takich, że naprawdę należało się cieszyć, iż Nurelle i pozostali nic nie słyszeli. Wreszcie znalazł się na skraju obozu, twarzą do zarośniętego krzakami zbocza, po którym należało się wspiąć, by trafić do namiotów Mądrych. Wśród rzadko rosnących drzew widać było zaledwie

kilka Panien i nielicznych *gai'shain*.

– Lordzie Perrinie – rzekł z wahaniem Nurelle. – Aes Sedai... – Podszedł bliżej, jego głos opadł do chrapliwego szeptu. – Wiem, że one złożyły przysięgę Lordowi Smokowi i że... Ja coś widziałem, lordzie Perrinie. One wykonują różne codzienne prace w obozie! Aes Sedai! Tego dnia Masuri i Seonid zeszły na dół, żeby nabrać wody! A wczoraj, po twoim powrocie... Wczoraj wydawało mi się, że ktoś tam... że ktoś tam płakał. To nie mogła być żadna z siostr, to oczywiste – dodał pospiesznie i zaniósł się śmiechem na dowód niedorzeczności samego pomysłu, jednak śmiech brzmiał dość niepewnie. – Lordzie Perrinie... sprawdzisz, czy wszystko..., z nimi... w porządku? – Ten człowiek, który na czele dwustu lansjerów wjechał w sam środek czterdziestotysięcznej armii Shaido, teraz garbił się i przebierał nogami, kiedy o tym wszystkim mówił. Rzecz jasna, wówczas zdobył się na ten straceńczy atak, ponieważ Aes Sedai tego zażądały.

– Zrobię co się da – odmruknął Perrin. Być może sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, niż mu się pierwotnie wydawało. A więc trzeba wreszcie położyć temu kres. Jeśli będzie to w zasięgu jego możliwości. Wolałby już chyba stanąć twarzą w twarz z Shaido.

Nurelle skłonił się z wdzięcznością, jakby Perrin obiecał mu nie tylko to, o co prosił, ale znacznie więcej.

– No to sprawa załatwiona – odparł z wyraźną ulgą. Spoglądając z ukosa na Perrina, chciał dodać coś jeszcze, ale sprawa ta nie miała już być tak drażliwa, jak temat Aes Sedai. – Słyszałem, że ponoć zgodziłeś się na Czerwonego Orła.

Perrin omal nie podskoczył. Tu wieści roznosiły się naprawdę szybko, nawet jeśli do pokonania miały zaledwie obwód jednego wzgórza.

– Chyba tak właśnie należało postąpić – odrzekł powoli. Berelain i tak musiała się o wszystkim dowiedzieć, ale jeśli oprócz niej prawdę pozna zbyt wielu ludzi z następnej wioski albo farmy, jaką miną po drodze, wieści zaczną rozchodzić się w świat. – Te ziemie należały kiedyś do Manetheren – dodał, jakby Nurelle sam tego nie wiedział. Prawda! Już tak się zmienił, że potrafił naginać prawdę niczym Aes Sedai, i to wobec ludzi, którzy byli po jego stronie. – Nie po raz pierwszy tutaj wzniesiono ten sztandar, za to mogę ręczyć, ale nigdy nie nastąpiło to w imię Smoka Odrodzonego. – I jeśli teraz ziarno nie padło na podatną glebę, to chyba nigdy to nie nastąpi.

Nagle dotarło doń, że obserwują go chyba wszyscy żołnierze Skrzydlatej Gwardii, łącznie z oficerami. I bez wątpienia zastanawiają się, co też będzie miał im do powiedzenia na koniec tego całego zamieszania. Nawet chudy i łysawy stary żołnierz, którego Gallene zwał psokradem, a także pokojówki Berelain, dwie pulchne kobiety o pospolitych twarzach, odziane w suknie znakomicie harmonizujące z barwami namiotu ich pani, wyszli na zewnątrz, by się pogapić na widowisko. Perrin udał, że niczego nie zauważa, ale wiedział, że nie uniknie konieczności wygłoszenia jakiejś pochwały.

Podniósł głos, żeby wszyscy go słyszeli i oświadczył:

– Mayene dumne będzie ze Skrzydlatej Gwardii, jeśli los postawi na jej drodze następne Studnie Dumai. – Były to pierwsze lepsze słowa, jakie mu wpadły do głowy, a jednak krzywił się, gdy je wypowiadał.

I przeżył wstrząs, ponieważ żołnierze natychmiast poczęli wiwatować:

– Perrin Złotooki!

– Mayene ze Złotookim!

Oraz:

– Złotooki i Manetheren!

Żołnierze tańczyli i przytupywali, a niektórzy pochwycili lance i jęli nimi potrząsać,

powiewając czerwonymi proporcami. Posiwiali chorążowie obserwowali ich z założonymi rękoma, przytakując z aprobatą. Nie tylko Nurelle promieniał. Oficerowie z siwymi pasmami we włosach i bliznami na twarzach szczyrzyli się od ucha do ucha, zupełnie jak mali chłopcy pochwaleni podczas lekcji. Światłości, naprawdę chyba tylko on zachował zdrowe zmysły! Wręcz modlił się, by już nigdy więcej nie oglądać żadnej bitwy!

Zastanawiając się, czy nie wynikną stąd przypadkiem dalsze niesnaski z Berelain, pożegnał się z Nurelle i pozostałymi, po czym ruszył w górę zbocza, deptając uschłe już albo prawie umierające zarośla, nie sięgające mu nawet do pasa. Zbrązowiałe chwasty chrzęściły głośno pod podszewami. Obóz Mayenian nadal rozbrzmiewał okrzykami. Niewykluczone, że Pierwsza z Mayene, nawet kiedy pozna prawdę, nie będzie urzeczona tym, że jej żołnierze wiwatują tak gorąco obcemu. Rzecz jasna, mogły stąd również wyniknąć jakieś korzyści. Może Berelain tak się rozżłości, że przestanie go nękać.

Tuż przed szczytem wzgórza zatrzymał się i przez chwilę nasłuchiwał cichnących wreszcie okrzyków. Tam, dokąd zmierzał, nikt nie będzie mu wiwatował. Wszystkie boczne klapy niskich, brązowo-szarych namiotów Mądrych były opuszczone, odgradzając ich mieszkanki od zewnętrznego świata. Na zewnątrz widać było tylko kilka Panien. Przykucnąwszy z gracją pod drzewem skórzanym, w którego koronie prześwitywała jeszcze odrobina zieleni, przyglądały mu się z ciekawością. Gestykulowały, wyraźnie porozumiewając się za pomocą swojej bezsłownej mowy. Po chwili Sulin podniosła się z ziemi, poprawiła ciężki nóż wsunięty za pas i długimi krokami ruszyła mu naprzeciw. Wysoka żylasta kobieta z różową blizną na ogorzałym od słońca policzku spojrzała w stronę, z której przyszedł, z widoczną ulgą, że jest sam, aczkolwiek trudno to było orzec z całą pewnością, jak zawsze w przypadku Aielów.

– Słusznie postąpiłeś, Perrinie Aybara – powiedziała cicho. – Mądrym wcale się nie podobało zmuszanie, by przychodziły do ciebie. Tylko dureń staje się przyczyną gniewu Mądrych, a ja ciebie nie uważam za durnia.

Perrin podrapał się po brodzie. Jak tylko mógł, trzymał się z dala od Mądrych – i od Aes Sedai – wcale nie miał zamiaru zmuszać je, by doń przyszły. Chodziło po prostu o to, że w ich towarzystwie czuł się nieswojo, mówiąc najogólniej.

– Cóż, muszę się zobaczyć z Edarra – wyjaśnił. – W sprawie Aes Sedai.

– Być może jednak się pomyliłam – stwierdziła sucho Sulin. – Ale przekażę jej. – Odwróciła się i zatrzymała. – Powiedz mi jedną rzecz. Teryl Wynter i Furen Alharra są blisko z Seonid Traighan... tak jak pierwi-bracia z pierwszą-siostrą, ona nie lubi mężczyzn jako mężczyzn... a jednak zaofiarowali, że poniosą należną jej karę. Jak mogli narazić ją na taką hańbę?

Otwarł usta, ale nie wydobył z nich słowa. Na przeciwległym zboczu pojawiło się dwóch *gai'shain* – odziani na biało mężczyźni – którzy wiedli juczne muły Aielów do strumienia. Nie mógł mieć pewności, ale uznał, że to Shaido. Obaj szli ze spuszczonej głowami, ledwie widząc, dokąd idą. Mieli idealną sytuację do ucieczki, nikt ich bowiem nie pilnował, kiedy wykonywali tego typu prace. Osobliwy naród.

– Widzę, że tobą też to wstrząsnęło – stwierdziła Sulin. – A już miałam nadzieję, że mi rzecz całą wyjaśnisz. Zapowiem cię Edarrze. – Ruszyła w stronę namiotów, ale dodała jeszcze przez ramię: – Wy, mieszkańcy bagien, jesteście bardzo dziwni, Perrinie Aybara.

Perrin odprowadził ją wzrokiem, marszcząc czoło, a kiedy zniknęła we wnętrzu jednego z namiotów, odwrócił się, by popatrzeć na dwóch *gai'shain* prowadzących konie do wodopoju. Mieszkańcy bagien są dziwni? Światłości! A więc to, co usłyszał Nurelle, było prawdą. Najwyższy czas wściubić nos w to, co się działo między Mądrymi i Aes Sedai. Powinien był zrobić to

wcześniej. Żeby jeszcze potrafił pozbyć się wrażenia, że wtyka go wprost w gniazdo szerszeni.

Oczekiwanie na Sulin przeciągało się, a kiedy wreszcie wyszła z namiotu, w niczym to nie poprawiło jego nastroju. Przytrzymując dla niego klapę wejścia, z pogardą przytknęła w jego nóż, kiedy pochylał się, by wejść.

– Powinieneś lepiej się uzbroić do tego tańca, Perrinie Aybara – powiedziała.

W środku, zaskoczony, zobaczył wszystkie sześć Mądrych, które siedziały ze skrzyżowanymi nogami na poduszkach okolonych kolorowymi frędzlami, z szalami zawiązanymi wokół talii, w spódnicach starannie ułożonych w kształt wachlarzy na warstwach dywaników. Miał nadzieję, że spotka tylko Edarrę. Żadna nie wyglądała na starszą od niego o więcej niż o cztery czy pięć lat, niektóre mogły wręcz być równe mu wiekiem, a jednak jak zawsze miał wrażenie, że oto stoi przed najstarszymi członkiniami Koła Kobiet, czyli tymi, które spędziły lata całe na wykrywaniu tego, co człowiek starał się ukryć. Nie był w stanie odróżnić jednej kobiety od drugiej po zapachu, ale w tym przypadku i tak na nic by mu się to nie zdało. Sześć par oczu – od pogodnego nieba Janiny po zmierzch Marline, nie wspominając już wyrazistej zieleni Nevarin – wpiło się w niego drapieżnie: Każde z tych oczu kłuło niczym szpikulec różna.

Edarra szorstko wskazała mu poduszkę, na której usiadł z wdzięcznością, ale tylko po to, by przekonać się, że ma je wszystkie przed sobą. Może Mądre specjalnie tak zaprojektowały te namioty, żeby mężczyźni musieli schylać karki wtedy, kiedy chcieli stać prosto. O dziwo, cały się pocił, mimo że w ciemnym wnętrzu było znacznie chłodniej. Nie potrafił odróżnić jednej od drugiej, a jednak te kobiety pachniały tak jak pachną wilki zapatrzone na spętanego kozła. *Gai'shain* o kanciastej twarzy, dwakroć roślejszy od Perrina, przykucnął obok i podał mu na zdobnej srebrnej tacy złoty puchar napełniony ciemnym winnym ponczem. Mądre trzymały już w dłoniach srebrne kubki i puchary. Niepewny, co oznacza zaoferowane jemu złote naczynie – może nic, ale kto to mógł wiedzieć, gdy szło o Aielów? – Perrin ujął ostrożnie puchar, znad którego rozchodziła się woń śliwek. Mężczyzna skłonił się pokornie, kiedy Edarra klasnęła w dłonie, i zgięty w pół wyszedł tyłem z namiotu. Tej w połowie zaleczonej blizny na twardej twarzy musiał się dorobić pod Studniami Dumai.

– Skoro już tu jesteś – zagaiła Edarra, gdy tylko klapa wejścia opadła za *gai'shain* – raz jeszcze sobie wyjaśnimy, dlaczego musisz zabić mężczyznę zwanego Masema Dagar.

– Bynajmniej nie ma potrzeby znów tego wyjaśniać – wtrąciła się Delora. Włosy i oczy miała niemal takiej samej barwy jak Maighdin, ale nikt nie nazwałby jej ściągniętej twarzy urodziwą. A sposobem bycia przywodziła na myśl czysty lód. – Masema Dagar to zagrożenie dla *Car'a'carna*. Musi umrzeć.

– Spacerujące po snach nam to powiedziały, Perrinie Aybara. – Carelle z pewnością była piękna i zawsze łagodna, mimo włosów ognistej barwy i przeszywającego wzroku, które nadawały jej wygląd osoby bardzo pobudliwej. Rzecz jasna, była łagodna, jak na Mądrą. I z pewnością nie miękka. – Odczytały pewien sen. Ten mężczyzna musi umrzeć.

Perrin upił łyk śliwkowego ponczu, by zyskać na czasie. Poncz jakimś cudem był chłodny. Z nimi zawsze tak było. Rand nie wspominał o żadnym ostrzeżeniu ze strony spacerujących po snach. Perrin raz o tym napomknął. Tylko raz, a one już uznały, że rzuca cień zwątpienia na ich słowa, i nawet Carelle się nasrożyła. Nie, żeby Perrin uważał, że one kłamią. Nie całkiem, w każdym razie. Tak czy owak, na żadnym kłamstwie ich dotąd nie przyłapał. Ale to, czego one chciały w przyszłości, i to, czego chciał Rand – tudzież czego on sam chciał, skoro już o tym mowa – mogło się bardzo różnić. Może zresztą to Rand miał jakieś swoje tajemnice.

– Gdybyście tak zechciały określić, na czym polega to zagrożenie – odparł w końcu. – Światłość jedna wie, że Masema to szaleniec, ale jednak wspiera Randa. Pięknie by to wyglądało, gdybym

zaczął zabijać tych, którzy są po naszej stronie. Na pewno przekonałbym tym ludzi, że powinni licznie ciągnąć pod sztandar Smoka Odrodzonego.

W ogóle nie dostrzegły sarkazmu. Wpatrywały się w niego, nie zmrzywszy powiek.

– Ten mężczyzna musi umrzeć – odezwała się wreszcie Edarra. – Wystarczy, że orzekły tak trzy spacerujące po snach, a tobie powinno wystarczyć zdanie sześciu Mądrych. – To samo, co zawsze. Może nic innego do nich nie docierało. Chyba zwyczajnie powinien przejść do sprawy, z którą tu przyszedł.

– Chciałem porozmawiać o Seonid i Masuri – oświadczył i sześć twarzy zamarło. Światłości, te kobiety wygrałyby pojedynek na spojrzenia z kamieniem! Odstawił puchar i pochylił się zdecydowanie w ich stronę. – Ludzie chcą zobaczyć Aes Sedai, które przysięgły lojalność Randowi. – Tak naprawdę to miał im pokazać Masemę, ale wydawało się, że to dobry moment, aby o tym wspomnieć. – Nie staną się bardziej skłonne do współpracy, jeśli będziecie je bić! Na Światłość! Toż to przecież Aes Sedai! Zamiast kazać im nosić wodę, dlaczego nie uczycie się od nich? Przecież na pewno znają się na rzeczach, o których wy nie macie pojęcia. – Ugryzł się w język, ale zbyt późno. Chyba się jednak nie obrażyły, w każdym razie nic nie okazały.

– One znają się na rzeczach, o których my nic nie wiemy – odparła stanowczym tonem Delora. – A my znamy takie, o których one nie mają pojęcia. – Stanowczo jak cios włóczni między żebra.

– Uczymy się tego, czego nam trzeba, Perrinie Aybara – dodała spokojnie Marline, przeczesując palcami swoje prawie czarne włosy. Rzadkość wśród Aielów, przynajmniej w stopniu, w jakim Perrin się orientował; często się nimi bawiła. – I uczymy tego, czego trzeba nauczać.

– W każdym razie – dodała Janina – to nie twoja sprawa. Mężczyźni nie wtrącają się do związków Mądrych z ich uczennicami. – Potrząsnęła głową, jakby dziwiąc się jego głupocie.

– Możesz przestać podsłuchiwać na zewnątrz i wejść do środka, Seonid Traighan – powiedziała nagle Edarra. Perrin zamrugał ze zdziwienia, ale żadna z kobiet nawet nie drgnęła.

Zapadła chwilowa cisza, po czym kłapa namiotu została odrzucona od zewnątrz i do środka wślizgnęła się Seonid, prędko klękając na dywanikach. Z osławionego opanowania Aes Sedai nie zostało nawet śladu. Usta miała zaciśnięte w cienką kreskę, oczy zamknięte, twarz czerwona. Pachniała gniewem, frustracją i kilkunastoma innymi emocjami, które kłębiły się w niej tak gwałtownie, że Perrin ledwie potrafił je rozpoznać.

– Czy otrzyma pozwolenie, aby z nim porozmawiać? – spytała drętym głosem.

– O ile będziesz uważała na to, co mówisz – odparła Edarra. Upiwszy łyk wina, przyglądała się jej ponad brzegiem pucharu. Nauczycielka obserwująca uczennicę? Jastrząb śledzący mysz? Perrin nie miał pewności. Za to Edarra doskonale wiedziała, niezależnie od tego, która z tych dwu możliwości była prawdziwa. Podobnie Seonid. On, niestety, musiał poprzestać na domysłach.

Obróciła się, nadal klęcząc. Wyprostowała się, by spojrzeć mu w twarz gorejącymi oczyma. W jej zapachu wrzała złość.

– Masz zapomnieć o wszystkim, co dotąd wiedziałeś – powiedziała gniewnie – o wszystkim, cokolwiek ci się wydawało, że wiesz! – Nie, nie zostało w niej ani strzępka opanowania. – Cokolwiek jest między Mądrymi i nami, to wyłącznie nasza sprawa! Będziesz się trzymał na uboczu, odwracał wzrok i trzymał usta zamknięte!

Zdumiony Perrin przeczesał włosy palcami.

– Światłości, denerwujesz się, bo wiem, że cię wychłostano? – spytał z niedowierzaniem. Sam byłby się denerwował, ale cóż to znaczyło w porównaniu z całą resztą. – Czy do ciebie nie dociera, że te kobiety poderzną ci gardło, z równą łatwością, jaką kosztuje je zwykłe spojrzenie? Poderzną i porzucą przy drodze! Cóż, obiecałem sobie, że do tego nie dopuszczę! Nie lubię cię, ale obiecałem,



że będę was chronił przed Mądrymi, Asha' manami i nawet samym Randem, więc zsiądźże wreszcie z tego wysokiego konia! – Dotarło do niego, że krzyczy, więc wciągnął długi oddech i z zażenowaniem opadł na poduszkę. Porwał puchar i upił tęgi łyk.

Wraz z każdym jego słowem Seonid sztywniała z oburzenia, jeszcze zanim skończył, wyduła wargi.

– Obiecałeś? – spytała szyderczo. – Uważasz, że Aes Sedai potrzebują twojej ochrony? Ty?...

– Dość – przerwała jej cicho Edarra i Seonid z trzaskiem zamknęła usta, ale zacisnęła dłonie na łańdżach spódnicy tak silnie, że aż jej zbielały w stawach.

– Na jakiej podstawie sądzisz, że my ją zabijemy, Perrinie Aybara? – spytała z ciekawością Janina. Wyraz twarzy Aielów rzadko kiedy coś zdradzał, ale pozostałe zmarszczyły czoła albo wpatrywały się w niego z jawnym niedowierzaniem.

– Wiem, co czujecie – odparł powoli. – Wiem, odkąd zobaczyłem was obok sióstr pod Studniami Dumai. – Nie zamierzał wyjaśniać, że wtedy wyczuwał w ich zapachu nienawiść, pogardę, za każdym razem, gdy któraś z Mądrych spojrzała na jakąś Aes Sedai. Teraz tego nie czuł, ale nikt nie był w stanie dusić w sobie dłużej tak zajadłej furii i nie wybuchnąć. Nie czuł tego teraz, ale to nie znaczyło, że Mądrym ta furia przeszła, tylko że zapadła gdzieś głęboko, być może przesiąkając aż do szpiku kości.

Delora parsknęła, co zabrzmiało, jakby ktoś darł płótno.

– Najpierw twierdzisz, że trzeba je niańczyć, bo ty ich potrzebujesz, a teraz, że to dlatego, bo one są Aes Sedai i ty obiecałeś je chronić. Co jest prawdą, Perrinie Aybara?

– I jedno, i drugie. – Perrin przez długą chwilę znosił twardy wzrok Delory, po czym spojrzał na każdą po kolei. – I jedno, i drugie jest prawdą. Mówię, co myślę.

Mądre przez chwilę popatrywały po sobie i każde mrugnięcie powieką oznaczało sto słów i żaden mężczyzna nie potrafił nic w nim wyczytać. Aż wreszcie, poprawiając naszyjniki i szale, znać było, że doszły do jakiegoś porozumienia.

– My nie zabijamy uczennic, Perrinie Aybara – oświadczyła Nevarin. Wyraźnie była wstrząśnięta takim pomysłem. – Kiedy Rand al'Thor poprosił nas, abyśmy je szkoliły, być może uważał, że je zmusi do okazywania nam posłuchu, my jednak nie rzucamy słów na wiatr. One są teraz uczennicami.

– Pozostaną nimi, dopóki pięć Mądrych naraz się nie zgodzi, że mogą stać się kimś więcej – dodała Marline, przerzucając swoje długie włosy na plecy. – I nie będą traktowane inaczej niż pozostałe uczennice.

Edarra przytaknęła, kiwając głową nad pucharem.

– Powiedz, jakiej rady byś mu udzieliła w sprawie Masemy Dagara, Seonid Traighan – rzekła.

Kłęcząca kobieta niemal się wiła podczas tych krótkich przemówień Nevarin i Marline, miętosząc spódnicy tak gwałtownie, że zdaniem Perrina mogła lada chwila podrzeć ten jedwab, ale nie ociągała się z wypełnieniem polecenia Edarry.

– Mądre mają rację, niezależnie od kierujących nimi pobudek. I wcale tego nie twierdzą, bo tak sobie życzą. – Znowu zebrała się w sobie, z wyraźnym wysiłkiem przywołując na twarz wyraz opanowania. A mimo to w jej głosie słychać było lekkie tchnienie złości. – Widziałam dzieła tak zwanych Zaprzysięgłych Smokowi, jeszcze zanim poznałam Randa al'Thora. Śmierć i zniszczenia, którym nie towarzyszył żaden sens. Nawet wiernego psa trzeba uśpić, kiedy zaczyna toczyć pianę z pyska.

– Krew i popioły! – warknął Perrin. – Czy po czymś takim mogę pozwolić, abyś bodaj zbliżyła się do tego człowieka? Przysięgłaś Randowi lojalność, wiesz, że on nie tego chce! Co z tymi

„tysiącami, które polegną, jeśli go zawiedziesz”? – Światłości, jeśli Masuri myślała tak samo, to w takim razie próżno oczekiwać jakichkolwiek korzyści z wysiłków zjednania sobie Mądrych i Aes Sedai! Nie, jeszcze gorzej. Będzie musiał strzec przed nimi Masemę!

– Masuri równie dobrze jak ja zdaje sobie sprawę, że Masema jest jak pies chory na wściekliznę – odparła Seonid, kiedy zadał jej to pytanie. Odzyskała całe swoje opanowanie. Przyglądała mu się z chłodną, nieodgadnioną twarzą. Jej zapach zaś mówił o nadzwyczajnej baczności. O wielkim napięciu. Jakby rzeczywiście potrzebował swojego nosa, gdy tak utkwiała w nim spojrzenie swoich oczu, wielkich, ciemnych i bezdennych. – Przysięgam służyć Smokowi Odrodzonemu i przysłużę mu się teraz najlepiej, jeśli poradzę, by nie dopuszczano do niego tej bestii. Już i tak źle, że władcy uważają Masemę za jego zwolennika; będzie jeszcze gorzej, gdy zobaczą, jak ściska się z tym człowiekiem. I tysiące polegną, jeśli ty zawiedziesz, jeśli nie znajdziesz się dostatecznie blisko Masemy, by móc go zabić.

Perrin miał wrażenie, że w głowie wiruje mu jakiś kołowrót. Znowu kolejna Aes Sedai obracała słowami niczym dziecięcym bąkiem, wmawiając, że mówi „czarne”, podczas gdy miała na myśli „białe”. A potem jeszcze Mądre dołożyły swoje.

– Masuri Sokawa – rzekła spokojnie Nevarin – uważa, że tego wściekłego psa można wziąć na smycz, skrępować i dzięki temu bezpiecznie wykorzystać. – Przez chwilę na twarzy Seonid malowało się takie samo zdziwienie, jakiego doznał Perrin, prędko jednak oprzytomniała. Przynajmniej z pozoru jej zapach zaczął nagle zdradzać, że wyczuła pułapkę tam, gdzie się jej nie spodziewała.

– Ona chce również tobie nałożyć chomąto, Perrinie Aybara – dodała Carelle tonem jeszcze bardziej obojętnym. – Jej zdaniem ciebie także powinno się związać, a przestaniesz być groźny. – Nic na jej piegowatej twarzy nie mówiło, czy zgadza się z tą opinią.

Edarra podniosła rękę i dała znak Seonid.

– Możesz już odejść. Nie będziesz dalej słuchać, ale możesz poprosić Gharadina, by ci pozwolił Uzdrowić jego ranę na twarzy. Pamiętaj, jeśli będzie nadal odmawiał, musisz na to przystać. On jest *gai'shain*, nie zaś jednym z twych bagiennych sług. – W ostatnie słowa włożyła moc pogardy.

Seonid wpatrywała się z lodowatym wyzwaniem w Perrina. Na Mądre spoglądała z drżącymi ustami, jakby chciała jeszcze coś dodać. Ostatecznie jednak mogła tylko wyjść z takim wdziękiem, na jaki było ją stać. Z pozoru ten fakt coś znaczył, jako że Aes Sedai potrafiły zawstydzić królową. Ale w zapachu, który niósł się za nią, było dość frustracji.

Gdy tylko wyszła, sześć Mądrych znowu skupiło uwagę na Perrinie.

– A teraz może nam wyjaśnisz, dlaczego chciałbyś umieścić wściekle zwierzę przy *Car'a'carnie* – odezwała się Edarra.

– Tylko dureń słucha drugiego durnia, który każe mu zepchnąć się z urwiska – dodała Nevarin.

– Nie chcesz słuchać nas – powiedziała Janina – w takim razie my wysłuchamy ciebie. Mów, Perrinie Aybara.

Perrin zastanawiał się, czy nie dać drapaką w stronę wyjścia. Ale gdyby tak postąpił, nie zrobiłby nic w sprawie jedynej Aes Sedai, która być może gotowa była przyjść mu z pomocą, jakkolwiek wątpliwej zresztą jakości, pozostałej Aes Sedai, a także sześciu Mądrych, które zawzięły się, że popsują mu wszystkie plany. Odstawił puchar i wsparł dłonie na kolanach. Potrzebował trzeźwego umysłu, by dowieść tym kobietom, że wcale nie jest spętanym kozłem.

# ROZDZIAŁ 10

## ZMIANY

Po wyjściu z namiotu Mądrych Perrin miał ochotę zdjąć kaftan i sprawdzić, czy wciąż ma pod nim całą skórę. Może nie spętany kozioł, ale za to jeleni ścigany przez sześć wilczyc, nie bardzo pewien, czy i tym razem śmigłe nogi zdadzą mu się tak jak zawsze. Nie ulegało wątpliwości, żadna z Mądrych nie zmieniła zdania, a ich obietnice, jakoby nie zamierzały podejmować żadnych działań na własną rękę, brzmiały co najmniej mgliście. Co do postępowania z Aes Sedai nie złożyły żadnych obietnic, nawet najbardziej mglistych.

Rozejrzał się, czy nie zobaczy w pobliżu którejs z sióstr, i zauważył Masuri. Między dwoma drzewami rozciągnięty był cienki sznur, wisiał na nim czerwono-zielony dywanik z frędzlami. Szczupła Brązowa uderzała w niego trzepaczką ze splecionych gałązek, wznecając rzadkie tumany kurzu, którego drobinki ulatywały w powietrze, iskrząc się w porannym słońcu. Jej Strażnik, atletycznie zbudowany mężczyzna o ciemnych, przerzedzonych włosach, siedział nieopodal na pniu zwalonego drzewa i obserwował ją ponurym wzrokiem. Rovair Kirklin zazwyczaj miał dla wszystkich szeroki uśmiech, tego jednak dnia jakby gdzieś się ten uśmiech zapodział. Masuri spostrzegła Perrina i na krótką chwilę przerwała swoje zajęcie, rzucając w jego stronę spojrzenie pełne wrogości, że aż westchnął głośno. I to rzekomo miała być osoba, która myślała tak jak on. Czy też w miarę podobnie, o ile się orientował. Po niebie przemknął jastrząb z czerwonymi piórami w ogonie, majestatycznie szybował na falach skwarne powietrza ponad wzgórzami, szeroko rozpostarłszy nieruchome skrzydła. Ach, on by też chciał tak poszybować, uciec od tego wszystkiego. Ale niestety, musiał kuć żelazo, nie zaś marzyć o srebrze.

Skinawszy głową w stronę Sulin i Panien, które siedziały pod drzewem skórzanym, jakby zapuściły korzenie, Perrin odwrócił się, zamierzając odejść, i nagle znieruchomiał na widok dwóch mężczyzn wspinających się w górę zbocza. Jeden z nich był Aielem odzianym w szarości, brązy i zielenie *cadin'sor*, z łukiem w futerale przytroczonym do pleców, kołczanem jeżdżącym się strzałami u pasa oraz pękiem krótkich włóczni i okrągłą skózaną tarczą w ręku. Gaul był przyjacielem i jedynym mężczyzną wśród obozujących tutaj Aielów, który nie nosił się na biało. Jego towarzysz, o głowę niższy, odziany w kapelusz z szerokim rondem, zielony kaftan i spodnie, do Aielów się nie zaliczał, mimo iż u pasa miał zarówno pełen kołczan, jak i nóż, dłuższy i cięższy od noża Gaula. Swój łuk, krótszy od długich łuków z Dwu Rzek, a z kolei dłuższy od rogowych łuków Aielów, mężczyzna niósł w ręku. Odziany był jak farmer, a jednak z jakiegoś powodu nie wyglądał ani na farmera, ani na mieszkańca miasta. Może sprawiały to przetkane siwizną włosy związane tuż nad karkiem i sięgające aż do pasa, może broda rozkładająca się szeroko na piersi, a może sposób, w jaki się poruszał, do złudzenia naśladując swobodę mężczyzny wspinającego się u jego boku, tak zgrabnie lawirując wśród zarośli porastających zbocze, że pod jego stopami nie chrupnęła ani jedna gałązka. Perrin nie widział tego człowieka od, jak się zdawało, bardzo, bardzo dawna.

Osiągnąwszy szczyt wzgórza, Elyas Machera omiół Perrina spojrzeniem złotych oczu jarzących się blado w cieniu ronda kapelusza. Dorobił się takich oczu wiele lat wcześniej niż Perrin, to właśnie Elyas przedstawił Perrina wilkom. Wówczas odziewał się w skóry.

– Miło cię znowu zobaczyć, chłopcze – zagał cicho. Twarz mu lśniła od potu, niewiele jednak bardziej niż Gaulowi. – Czyżbyś nareszcie się pozbył swojego topora? Nie wierzyłem, że kiedykolwiek przestaniesz go nienawidzić.

– I nadal go nienawidzę – odparł Perrin, równie cicho. Dawno temu ten były Strażnik poradził

mu, aby nosił swój topór dopóty, dopóki nie przestanie go nienawidzić za to, że się nim posługuje. Światłości, toż on nadal go nienawidził! Zwłaszcza że doszło kilka nowych powodów. – Co ty właściwie robisz w tej części świata, Elyasie? Gdzież ten Gaul cię znalazł?

– To nie ja jego, tylko on znalazł mnie – wyjaśnił Gaul. – Nie wiedziałem, że jest tuż za mną, dopóki nie kaszlnął. – Mówił to tak głośno, że Panny musiały go słyszeć i chyba istotnie tak było, bo nagle wszystkie zastygły w całkowitym bezruchu.

Perrin spodziewał się, że usłyszy teraz jakieś uszczypliwe komentarze – Aielowie mieli dziwaczne poczucie humoru, prowokacyjne, często ocierające się niemalże o rozlew krwi, poza tym Panny korzystały z każdej możliwej okazji, byle tylko dokuczyć zielonookiemu mężczyźnie – a tymczasem niektóre z kobiet ujęły włócznie i tarcze i zaczęły nimi grzechotać, wyrażając w ten sposób aprobatę. Gaul pokiwał głową, dając do zrozumienia, że zgadza się z ich opinią.

Elyas mruknął coś niezrozumiale i poprawił kapelusz, pachniał jednak zadowoleniem. Aielom mało co się podobało po tej stronie Muru Smoka.

– Lubię być w ciągłym ruchu – wyjaśnił na użytek Perrina – i nogi akurat zawiodły mnie do Ghealdan, kiedy kilku naszych wspólnych przyjaciół powiedziało mi, że przyłączyłeś się do tej procesji. – Nie wyjaśnił, kim są ich wspólni przyjaciele; publiczne rozgłaszanie, że się rozmawia z wilkami, byłoby aktem czystej głupoty. – Powiedzieli mi zresztą jeszcze dużo innych rzeczy. Że na przykład czują zapach zmiany. Co to za zmiana, nie wiedzą. Może ty wiesz. Doszły mnie słuchy, że ponoć obracałeś się w towarzystwie Smoka Odrodzonego.

– Nie mam pojęcia – odparł powoli Perrin. Zmiana? Sam dowiedział się od wilków jedynie tego, gdzie znajdują się większe grupy ludzi, żeby móc je omijać po drodze. Nie przyszło mu do głowy, że mógłby wypytywać je o coś więcej. Wszak nawet tutaj, w Ghealdan, dręczyło go czasem poczucie winy za wilki, które poległy pod Studniami Dumai. Jaka zmiana? – Rand wiele zmienia, to pewne, ale ja nigdy nie umiałem orzec, co te zmiany znaczą. Na Światłość, co ja tu gadam o Randzie, wszak cały świat staje na głowie.

– Wszystko się zmienia – wtrącił Gaul pobłażliwym tonem. – A nas, pogrążonych we śnie, jakoby wiatr kołysze, dopóki nie zostaniemy obudzeni. – Przez chwilę przyglądał się Perrinowi i Elyasowi. Porównywał ich oczy, Perrin był pewien. Nic jednak nie powiedział na ich temat, Aielowie zdawali się uważać złote oczy za jeszcze jedną osobliwą cechę mieszkańców mokradeł. – Zostawię was, abyście mogli pogadać na osobności. Przyjaciele, którzy długo się nie widzieli, winni mieć prawo do rozmowy na osobności. Sulin, czy są tu gdzieś Chiad i Bain? Przyglądałem im się wczoraj, gdy polowały, i pomyślałem sobie, że zanim któraś się postrzeli, pokażę im, jak się naciąga cięciwę.

– Zdziwiłam się dzisiaj, zobaczywszy, jak wracasz cały i zdrowy – odparła siwowłosa kobieta. – Te dwie poszły przecież zastawiać sidła na króliki. – Panny zachichotały i zamigotały palcami w mowie dłoni.

Gaul westchnął i ostentacyjnie wznosił oczy ku niebu.

– To w takim razie chyba będę musiał pójść je uwolnić. – Ta replika spotkała się z żywą reakcją Panien, sama Sulin też się śmiała. – Obyś znalazł cień tego dnia – pożegnał Perrina zwyczajową formułą stosowaną między przyjaciółmi, za to Elyasa objął ramionami i rzekł: – Mój honor należy do ciebie, Elyasie Machera.

– Dziwny człowiek – mruknął Elyas, obserwując Gaula, który długimi susami zbiegał już w dół zbocza. – Kiedy zakasłałem, błyskawicznie się odwrócił, zapewne gotów mnie natychmiast zabić, a jednak tylko się roześmiał. Masz coś przeciwko, abyśmy przenieśli się w jakieś inne miejsce? Nie znam wprawdzie siostry, która tam katuje dywanik, ale z Aes Sedai wolę nie ryzykować. – Zmrużył

oczy. – Gaul twierdzi, że trzy przebywają wśród was. Nie planujesz chyba kolejnych z nimi spotkań, prawda?

– Liczę, że uda mi się ich uniknąć – odparł Perrin. Masuri zerknęła w ich stronę pomiędzy kolejnymi wymachami trzepaczki, dowie się rychło o oczach Elyasa i natychmiast zacznie węszyć, co jeszcze łączy go z Perrinem. – Chodź. Zresztą i tak już czas najwyższy, bym wrócił do swojego obozu. Obawiasz się spotkać tu jakąś Aes Sedai, która może cię poznać? – Elyas przestał być Strażnikiem w momencie, gdy się rozeszło, że potrafi rozmawiać z wilkami. Kilka sióstr uznało, że to piętno Czarnego skończyło się na tym, że podczas ucieczki pozabijał innych Strażników.

Starszy mężczyzna zaczekał z odpowiedzią, dopóki nie uszli kilkunastu kroków od namiotów, a nawet wtedy mówił cicho, jakby się bał, że za ich plecami kryje się ktoś, kto ma słuch równie dobry jak oni.

– Wystarczy jedna, której nieobce będzie moje imię. Strażnicy nieczęsto uciekają, chłopcze. Większość Aes Sedai gotowa jest uwolnić mężczyznę, który naprawdę pragnie odejść... postąpi tak prawie każda... zwłaszcza jeśli kiedyś zechcą na ciebie zapolować, to i tak do ciebie dotrą, jakbyś daleko nie uciekł. Każda siostra natomiast, która znajdzie renegata, poświęci wszystkie wolne chwile, byle sprawić, by ten pożałował, że się w ogóle urodził. – Elyas zadygotał nieznacznie. W bijącej od niego woni nie czuło się strachu, a jedynie antycypację bólu. – A potem odda go w ręce jego własnej Aes Sedai, by ta wbiła mu lekcję do głowy. Po czymś takim mężczyzna już nigdy nie jest taki sam. – Na skraju zbrocza obejrzał się. Masuri istotnie zdawała się katować dywanik, względnie skupiać całą swoją złość na próbach zrobienia w nim dziury. Elyas znowu zadygotał. – Najgorzej byłoby wpaść na Rinę. Wolałbym już raczej z obiema połamanymi nogami uwięznąć w chaszczach płonącego lasu.

– Rina to twoja Aes Sedai? Ale niby jak mógłbyś na nią wpaść przypadkiem? Dzięki więzi wiesz przecież, gdzie ona się znajduje. – Wygłaszając to stwierdzenie, Perrin poczuł, że trąca jakąś strunę w jego pamięci, ale to wrażenie ulotniło się wraz z odpowiedzią Elyasa.

– Liczne Aes Sedai potrafią wytłumić więź, że się tak wyrażę. Może nawet do każdej się to odnosi. Człowiek nie wie wtedy nic prócz tego, że ona wciąż żyje, a to akurat nietrudno wywnioskować, choćby stąd, że jeszcze nie oszalałem. – Elyas zauważył pytający wyraz na twarzy Perrina i zaniósł się śmiechem. – Na Światłość, człowieku, przecież siostra to normalna kobieta, z krwi i kości. Wszystkie są kobietami, no, przynajmniej prawie wszystkie. Zastanówże się. Chciałbyś, żeby ktoś siedział ci w głowie, kiedy ty ściskasz się z jakąś miłą dziewczką? Przepraszam, zapomniałem, że jesteś żonaty. Naprawdę nie chciałem cię obrazić. Ale prawdę mówiąc, zdziwiłem się, gdy się dowiedziałem, żeś poślubił Saldaeankę.

– Zdziwiłeś się? – Perrin nigdy nie myślał o takich konsekwencjach więzi Strażnika. Światłości! A zresztą nigdy nie myślał o Aes Sedai w ten sposób. A przecież nie było w tym nic bardziej niemożliwego niż... w fakcie, że człowiek może rozmawiać z wilkami. – Czemu się zdziwiłeś? – Ruszyli w dół, lawirując między drzewami porastającymi wzgórze od tej strony, nie spiesząc się i prawie nie hałasując. Perrin był zawsze dobrym myśliwym, który znał las, a Elyas maszerował zwinnie po poszyciu, prawie nie roztrącając liści i nie zahaczając stopami o nawet najmniejsze gałązki. Mógł teraz zarzucić sobie łuk na plecy, a jednak wciąż go niósł w pogotowiu. Elyas z natury bardzo czujny, dodatkowo pilnował się, przebywając wśród ludzi.

– No jakże, po człowieku spokojnego charakteru oczekiwałem, że ożeni się ze spokojną kobietą. Cóż... już pewnie wiesz, że Saldaeanie do spokojnych nie należą. No, chyba że w towarzystwie cudzoziemców. W jednej chwili gotowi podpalić słońce, w następnej zdmuchnąć i zapomnieć o całym zdarzeniu. W porównaniu z nimi Arafelianie zdają się flegmatyczni, a Domani wręcz nudni. –

Ni stąd, ni zowąd uśmiechnął się. – Żyłem kiedyś cały rok z Saldaeanką o imieniu Merya, Ta kobieta wydzierała się na mnie przez pięć dni w tygodniu i o ile pamięć mnie nie myli, rozbijała mi na głowie naczynia kuchenne. Za każdym razem, kiedy decydowałem się odejść, już mnie przeproszała i jakoś nigdy nawet nie dotarłem do drzwi. W końcu sama mnie rzuciła. Stwierdziła, że jestem zbyt chłodny, jak na jej gust. – Pograżony we wspomnieniach Elyas zaśmiał się chrapliwie i potarł się po bladej, zastarzałej bliźnie przecinającej mu szczękę. Wyglądała jak ślad po nożu.

– Faile jest inna. – Ale zabrzmiało to tak, jakby on ożenił się nie z Faile, tylko z Nynaeve! Z Nynaeve, która zachowywała się, jakby ją wiecznie bolały zęby! – Nie chcę twierdzić, że się nie złości od czasu do czasu – przyznał z niechęcią – ale nie krzyczy i niczym we mnie nie rzuca. – A w każdym razie na pewno nie krzyczała często, a jej gniew, zamiast błyskawicznie rozjarzać się do czerwoności i gasnąć, najpierw długo się rozgrzewał, a potem długo stygł.

Elyas spojrział na niego z ukosa.

– Wiem, jak pachną ludzie, którym się wydaje, że grad ich nie dosięgnie... Cały czas prawisz jej słodkie słówka, prawda? Łagodny jak woda z mlekiem, nigdy nie szczerzysz kłów? Nigdy nie podnosisz na nią głosu?

– Jasne, że nie! – zaprotestował Perrin. – Ja ją kocham! Po co miałbym na nią krzyczeć?

Elyas zaczął coś mruczeć pod nosem, ale Perrin oczywiście słyszał każde słowo.

– Ażebym szezeł, jak ktoś chce sobie siadać na czerwonej żmii, to niech sobie siada. To jego sprawa. I nie będę też się wtrącał, gdy ktoś zechce grzać dłonie przy ogniu płonącej chałupy. To jego życie. Czy podziękuję mi za nie chcianą radę? A gdzież by tam, nie ma na co liczyć!

– O czym ty gadasz? – spytał podniesionym tonem Perrin. Schwycił Elyasa za ramię i zaciągnął go pod bujny okaz ostrokrzewu, którego kolczaste liście wciąż jeszcze były zielone. Obok nie było prawie nic zielonego, z wyjątkiem jakichś wybujałych pnączy. Pokonali niecałą połowę drogi w dół zbocza. – Faile nie jest ani czerwona żmija, ani płonąca chałupa! Zaczekaj, aż ją poznasz, a dopiero wtedy będziesz mógł zacząć gadać tak, jakbyś ją znał.

Zirytowany Elyas przeczesał sobie brodę palcami.

– Ja znam Saldaean, chłopcze. Tamten rok to nie był wyjątek. Poznałem nie więcej jak pięć Saldaeanek, które można by określić mianem potulnych albo przynajmniej łagodnych. Nie, ona nie jest żmija, tylko lampartem, o to gotów jestem się założyć. Tylko mi tu nie warcz, ażebyś szezeł! Założę się o własne buty, że uśmiechnęłyby się, słysząc, co mówię!

Rozgniewany Perrin otworzył usta i zaraz na powrót je zamknął. Nawet nie zauważył, że z głębi jego gardła dobywa się głęboki warkot. To prawda, Faile uśmiechałyby się, słysząc, że nazywają ją lampartem.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że ona życzy sobie, abym na nią krzyczał, Elyas.

– Właśnie, że tak. A w każdym razie jest to bardzo prawdopodobne. Chyba że okaże się tą szóstą. Tego też nie można wykluczyć. W każdym razie zechciej mnie wysłuchać. Prawie wszystkie kobiety są takie, że gdy tylko podniesiesz głos, zaraz wytrzeszczają oczy albo traktują cię z lodowatą uprzejmością, i nim się zorientujesz, wybucha kłótnia, że to niby ty zeźliłeś się bez powodu. Ale połknij język przy Saldaeance, a zostanie to odebrane tak, jakbyś powiedział, że nie jest dostatecznie silna, by ci sprostać. Obraż ją w taki sposób, a będziesz miał szczęście, jeśli nie nakarmi cię na śniadanie twoim własnym żołądkiem. Wszak Saldaeanka nie jest jakąś byle dziewczką z Far Madding, co to się spodziewa, że mężczyzna będzie siadał tam, gdzie ona wskaże, i że będzie podskakiwał, kiedy ona pstryknie palcami. Ona jest lampartem i oczekuje, że jej mąż też będzie lampartem. Światłości! Co ja wyprawiam?! Kto udziela rad żonatemu mężczyźnie, sam doprasza się, by mu wypruli bebechy.

I tym razem sam warknął. Bez potrzeby poprawił kapelusz, rozejrzał się po zboczach ze zmarszczonymi brwiami, jakby się zastanawiał, czy nie zniknąć w lesie, a na koniec jeszcze dźgnął Perrina palcem.

– Posłuchaj mnie tylko. Zawsze wiedziałem, że nie jesteś jakimś zwykłym przybłądą, a gdy tylko sobie poskładałem razem to wszystko, co mi ostatnio powiedziały wilki... no, że właśnie jedziesz do onego Proroka... to pomyślałem sobie, że pewnie przydałby ci się przyjaciel, który będzie strzegł ci pleców. Rzecz jasna, wilki nie wspomniały, że dowodzisz tymi pięknymi mayeniańskimi lansjerami. Gaul też o tym nie napomknął, dopóki na nich nie wpadliśmy. Jeśli chcesz, żebym został, zostanę. Jeśli nie... jest na świecie dużo widoków, których jeszcze nie poznały me oczy.

– Nie stać mnie, by w dzisiejszych czasach odrzucać przyjaciół, Elyas. – Czyżby Faile rzeczywiście chciała, by na nią krzyczał? Przez całe życie kierował się przekonaniem, że zrobi komuś krzywdę, jeśli nie będzie uważał, i dlatego starał się zawsze panować nad swoim temperamentem. Słowa potrafiły zboleć równie mocno jak cios zadany pięścią, złe słowa, słowa wypowiedziane bezmyślnie w wybuchu złości. To nie mogła być prawda, podpowiadał rozsądek. Żadna kobieta by czegoś takiego nie zdzierżyła, czy to ze strony własnego męża czy ze strony jakiegokolwiek mężczyzny.

Kiedy nagle rozbrzmiał okrzyk sójki, Perrin zadarł głowę i nadstawił uszu. Nawet on ledwie potrafił go usłyszeć, ale chwilę później trel dał się słyszeć ponownie i zaraz potem znowu, za każdym razem coraz bliżej. Elyas uniósł brwi, rozpoznał głos tego ptaka z Ziemi Granicznych. Nauczył się tego od Shienaran, między innymi Masemy, a on z kolei przekazał tę wiedzę ludziom z Dwu Rzek.

– Mamy gości – wyjaśnił Elyasowi.

Czterej żwawo galopujący jeźdźcy pojawili się, jeszcze zanim Perrin z Elyasem dotarli do stóp wzgórza. Na czele jechała Berelain, rozbryzgująca wody strumienia, tuż za nią galopowali Annoura, Gallenne oraz jakaś obca kobieta w jasnym płaszczu z kapturem. Bez jednego spojrzenia w tamtą stronę przemknęli obok obozu Mayenian i nie ściągnęli wodzy, dopóki nie zajechali przed wejście do namiotu w czerwono-białe paski. Podbiegło do nich kilku cairhieniańskich służących, którzy odebrali wodze i przytrzymali strzemiona; jeszcze nie opadł wzniecony przez nich kurz, a Berelain i jej towarzysze już zniknęli we wnętrzu płóciennej konstrukcji.

Mówiąc ogólnie, swoim przybyciem wywołali niezgorsze zamieszanie. W obozowisku ludzi z Dwu Rzek podniósł się szum, najwyraźniej ludzie na coś czekali, zrozumiał Perrin. Wszechobecni młodzi durnie od Faile, podnieceni całym zdarzeniem, trajkotali o czymś między sobą, głupawo drapiąc się po głowach i nie odrywając oczu od namiotu. Grady i Neald obserwowali namiot zza drzew, co jakiś czas nachylając się ku sobie, dzięki czemu nikt nie słyszał, o czym rozmawiają.

– Wygląda na to, że to nie są tacy zwyczajni goście – stwierdził cicho Elyas. – Obserwuj Gallenne; on może przyczynić się do kłopotów.

– Znasz go, Elyas? Bardzo bym chciał, żebyś został, ale jeśli, uważasz, że mógłby powiedzieć którejs z sióstr, kim jesteś... – Perrin wzruszył ramionami z rezygnacją. – Mógłbym powstrzymać Seonid i Masuri... – Tak mu się w każdym razie wydawało. – ...ale sądzę, że Annoura robi, co zechce. – I jakie było jej prawdziwe stanowisko w sprawie Masemy?

– Och, Bertain Gallenne nie nawiązuje znajomości wśród ludzi pokroju Elyasa Machery – odparł Elyas z krzywym uśmiechem. – Głupi Jak nie zna tylu durniów, ilu durniów zna Głupiego Jaka. Za to ja znam Gallenne. Sam nie robi nic ani przeciwko tobie, ani też za twoimi plecami, ale jest jeszcze Berelain ze swoim pomysłem. Od swoich szesnastych urodzin napuszczała Tairenian na Illian, żeby ochronić Mayene przed Łżą. Berelain to zręczna manipulatrix, w odróżnieniu od Gallenne, który uważa, że wszystkie problemy rozwiąże szarża na oslep. W tym jest rzeczywiście

dobry, ale nie potrafi dostrzec nic więcej, a niekiedy nawet nie zatrzyma się, aby choć chwilę pomyśleć.

– To już sam rozgryzłem – mruknął Perrin. Berelain przynajmniej przywiozła posłańca od Alliandre. No bo chyba nie przybywałyby takim pędem z nową pokojówką. Pytanie jednak brzmiało, dlaczego Alliandre przekazywała swoją odpowiedź za pośrednictwem posłańca. – Chyba postąpię najlepiej, jeśli dowiem się zaraz, czy wieści są dobre, Elyasie. Pogadamy jeszcze o tym, czego się wystrzegać na południu, ale to później. I oczywiście będziesz też mógł poznać Faile – dodał i dopiero wtedy się odwrócił.

– Na południu trzeba się wystrzegać Szczeliny Zagłady -zawołał za nim tamten – bo Szczelina jest bliżej Ugoru, niż się spodziewałem. – Perrinowi znowu się wydało, że słyszy cichy grzmot od zachodu. Ależ byłaby to miła odmiana.

W namiocie zastał Breane, która sztywno dygając, podsuwała srebrną tacę z wodą różaną w misie i ręcznikami. Maighdin, dygająca jeszcze sztywniej, oferowała tacę z pucharami napelnionymi winnym ponczem – zrobionym z resztek suszonych jagód, sądząc po zapachu – a Lini z kolei składała płaszcz podróżny nowo przybyłej. Faile i Berelain z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu stanęły u jej boków, a Annoura zajęła pozycję za ich plecami i uwaga wszystkich trzech najwyraźniej całkowicie skupiona była na gościu. Kobieta, na oko w średnim wieku, miała czepek z zielonej siatki na włosach, które sięgały jej prawie do pasa, i zasługiwałyby na miano pięknej, gdyby nie za długi nos. I gdyby go tak nie zadzierała. Niższa od Faile i Berelain, jakimś sposobem potrafiła spojrzeć na Perrina z góry, lustrując go chłodnym wzrokiem od włosów po buty. I nie zamrugała na widok jego oczu, mimo że za pierwszym razem nikt prawie nie potrafił opanować odruchowej reakcji.

– Wasza Wysokość – zaczęła uroczystym tonem Berelain zaraz po wejściu Perrina – niechaj mi będzie wolno przedstawić lorda Perrina Aybarę z Dwu Rzek w Andorze, serdecznego przyjaciela i emisariusza Smoka Odrodzonego. – Długonosa kobieta przytaknęła powściągliwie, wręcz chłodno, a Berelain mówiła dalej, niemal nie robiąc pauzy dla zaczerpnięcia oddechu. – Lordzie Aybara, przywitaj Alliandre Marithę Kigarin, królową Ghealdan, Błogosławioną przez Światłość Obrończynię Muru Garena, która ma przyjemność przyjąć cię osobiście. – Gallenne, stojący tuż pod ścianą namiotu, poprawił łąkę na oku i uniósł puchar z winem w stronę Perrina, uśmiechając się triumfalnie.

Faile z jakiegoś niewiadomego powodu obdarowała Berelain karcącym spojrzeniem. A Perrinowi omal nie opadła szczeka. Alliandre we własnej osobie? Zastanawiał się, czy powinien uklęknąć, ale ostatecznie – po nazbyt długim wahaniu – zdecydował się na ukłon. Światłości! Nie miał pojęcia, jak się układać z królową. Zwłaszcza kiedy ta pojawia się nie wiadomo skąd, bez eskorty, nie szcycąc się choćby jednym klejnotem. I do tego ubrana w ciemnozieloną suknię do jazdy konnej, uszytą ze zwykłej wełny, bez ani jednego haftu.

– Po otrzymaniu najświeższych wieści – odezwała się Alliandre – uznałam, że winnam przyjechać do ciebie, lordzie Aybara. – Mówiła spokojnym głosem, twarz miała gładką, spojrzenie pełne rezerwy. I jest bardzo spostrzegawcza, pomyślał, albo niechbym urodził się w Taren Ferry. Powinien odtąd uważać na swoje kroki, dopóki się nie zorientuje, dokąd wiedzie ta ścieżka. – Być może jeszcze nie słyszałeś – ciągnęła – że cztery dni temu Illian ukorzyło się przed Smokiem Odrodzonym, oby jego imię błogosławiono w Światłości. Przejął Laurową Koronę, która, jak rozumiem, nosi obecnie miano Korony Mieczy.

Faile wzięła puchar z tacy podsunętej przez Maighdin, po czym szepnęła bezgłośnie:

– Natomiast siedem dni temu Seanchanie zajęli Ebou Dar. -Nawet Maighdin nic nie zauważyła.

Gdyby Perrin zawczasu nie wziął się w garść, to teraz naprawdę rozdziawiłby usta ze



z dumienia. Dlaczego Faile przekazała mu tę wieść w taki sposób, zamiast poczekać, aż przekaze ją kobieta, od której musiała ją znać? Powtórzył jej słowa takim głosem, żeby wszyscy usłyszeli. Twardym głosem, ale tylko tak mógł opanować jego drżenie. A więc Ebou Dar również? Światłości! I to siedem dni temu? W dniu, w którym Grady i inni widzieli kolumnę Jedynej Mocy na niebie. Być może zbieg okoliczności. Ale czy naprawdę byłoby lepiej, gdyby naprawdę stanowiła dzieło Przeklętych?

Annoura zmarszczyła czoło i zacisnęła usta, jeszcze zanim skończył mówić, a Berelain spojrzała na niego z zaskoczeniem, które zresztą prędko ukryła. One wiedziały, że nie słyszał o Ebou Dar, kiedy ich grupa wjeżdżała do Bethal.

Alliandre tylko przytaknęła, w każdym calu równie opanowana jak Szara siostra.

– Zdajesz się nad podziw dobrze poinformowany – zauważyła, podchodząc do niego bliżej. – Wątpię, by pierwsze pogłoski zdążyły już dotrzeć do Jehannah razem z żeglugą rzeczną. Ja sama dowiedziałam się przed zaledwie kilkoma dniami. Kilku kupców pomaga mi się orientować w bieżących zdarzeniach. Zapewne liczą – dodała sucho – że w razie potrzeby wstawię się za nimi u Proroka Lorda Smoka.

Nareszcie udało mu się wyodrębnić jej zapach i w tym momencie zrozumiał, że wcześniej wyciągnął błędne wnioski, choć ogólnej opinii nie zmienił. Z pozoru królowa była pełna chłodnej rezerwy, a jednak wyczuwało się od niej lęk przemieszany z niepewnością. Nie sądził, by sam potrafił zachować równie spokojną minę, gdyby tak się czuł.

– Zawsze dobrze jest wiedzieć tyle, ile się da – odparł nieco roztargnionym tonem. „Ażebym szczeł – pomyślał – muszę powiadomić Randa!”

– W Saldae i też mamy kupców, którzy dostarczają użytecznych informacji – odezwała się Faile, dając do zrozumienia, że to właśnie takim sposobem Perrin dowiedział się o Ebou Dar. – Wychodzi, że oni jakoś dowiadują się o tym, co się zdarzyło w odległości tysiąca mil na wiele tygodni wcześniej, zanim plotki rozejdą się po świecie.

Nie patrzyła na Perrina, ale on wiedział, że te słowa kieruje również do niego, nie tylko do Alliandre. Chciała mu dać do zrozumienia, że Rand wie. A zresztą nie istniał sposób na przekazanie mu wieści w tajemnicy. Czyżby Faile naprawdę chciała, by on?... Nie, to nie do pomyślenia. Zamrugał, połapawszy się, że Alliandre właśnie coś powiedziała, a on jej nie słuchał.

– Wybacz, Alliandre – przeprosił uprzejmie. – Myślałem o Randzie... o Smoku Odrodzonym. – Rzecz jasna, to w ogóle nie do pomyślenia!

W tym momencie wszyscy zagapili się na niego, nawet Lini, Maighdin i Breane. Oczy Annoury rozszerzyły się jeszcze bardziej, a Gallenne rozdziawił usta. I wtedy do niego dotarło. Właśnie nazwał Alliandre po imieniu. Wziął puchar z tacy Maighdin, a ta dygnęła i natychmiast się wyprostowała, tak szybko, że omal nie wytrąciła go z jego ręki. Odprawiwszy ją, wytarł mokrą dłoń o kaftan. Musi się skupić, a nie pozwalać, by jego myśli biegały w dziewięciu kierunkach naraz. Nieważne, co sobie Elyas wyobrażał, Faile by nigdy... Nie! Skup się!

Alliandre szybko odzyskała równowagę. Po prawdzie to zdawała się najmniej zdziwiona ze wszystkich, a bijąca od niej woń nie zmieniła się nawet odrobinę.

– Chciałam rzec, że złożenie ci potajemnej wizyty zdawało się najroztropniejszym rozwiązaniem, lordzie Aybara – oznajmiła chłodnym głosem. – Lord Telabin myśli, że korzystam z prywatności jego ogrodów, a tymczasem ja wymknęłam się mało używaną furtką. Miasto opuściłam jako pokojówka Annoury Sedai. – Otrzeptała czubki palców o spódnicę i zaśmiała się cicho. Nawet jej śmiech był powściągliwy i tak bardzo kontrastował z tym, co mówił mu nos. – Widziało mnie kilku moich żołnierzy, ale żaden nie rozpoznał, bo miałam na głowie kaptur.

– Zaiste, czasy są takie, że chyba rzeczywiście postąpiłaś roztropnie – zgodził się ostrożnie Perrin. – Ale prędzej czy później będziesz się musiała ujawnić. W taki czy inny sposób. – Grzecznie i na temat, o właśnie. Królowa nie zechce mitrzyć czasu w towarzystwie człowieka, który wygaduje coś od rzeczy. A poza tym nie chciał rozczarować Faile, znowu się zachowując jak jakiś parobek. – Po co w ogóle przyjechałaś? Wystarczyło wysłać list albo po prostu przekazać Berelain, jak brzmi twoja odpowiedź. Opowiesz się za Randem czy przeciw? I nie obawiaj się, wrócisz do Bethal bezpiecznie, niezależnie od tego, jaka będzie twoja decyzja. – O, słuszna uwaga. Na pewno, niezależnie od innych powodów, zatrzymała ją przede wszystkim fakt, że jest tu całkiem sama.

Faile obserwowała go, udając, że tego nie robi, popijając poncz i śląc uśmiechy w stronę Alliandre, ale dostrzegł te prędkie błyski jej oczu kierowane ku niemu. Berelain niczego nie udawała, tylko przyglądała mu się całkiem otwarcie, z lekko zmrużonymi oczyma, których na moment nie oderwała od jego twarzy. Annoura była równie spięta i skupiona. Czyżby wszystkie się bały, że jemu znowu coś się wymknie?

Zamiast udzielić odpowiedzi na tak istotne pytanie, Alliandre oznajmiła:

– Pierwsza dużo mi o tobie opowiadała, lordzie Aybara, jak również o Lordzie Smoku Odrodzonym, oby Światłość pobłogosławiła jego imię. – To ostatnie zabrzmiało niczym formuła wyuczona na pamięć i wygłoszona bez udziału myśli. – Z nim nie zobaczę się przed podjęciem decyzji, zapragnęłam więc poznać ciebie i na tej podstawie wyrobić sobie opinię. O człowieku można wiele powiedzieć, przyglądając się wybranym przez niego rzecznikom. – Przekrzywiła głowę, niby nad pucharem trzymanym w dłoniach, i przyglądała mu się spod rzęs. Ze strony Berelain byłoby to flirtowanie, Alliandre natomiast równie dobrze mogłaby taksować wzrokiem stojącego przed nią wilka. – Zauważyłam także twoje sztandary – dodała cicho. – Pierwsza omieszkała o nich wspomnieć.

Perrin skrzywił się mimo woli. Berelain dużo o nim opowiadała? I niby co mówiła?

– Te sztandary są tu specjalnie, mają być zauważone. – Gniew sprawił, że do jego głosu zakradła się teraz szorstka nuta, i musiał włożyć odrobinę wysiłku, by nad nią zapanować. To Berelain jest kobietą, na którą powinno się nakrzyczeć, o tak! – Niemniej, uwierz mi, nie istnieją żadne plany wskrzeszenia Manetheren. – Proszę bardzo, przemawiał teraz tonem równie chłodnym jak Alliandre. – A zatem jak brzmi twoja decyzja? Rand jest władny skrzyknąć tu dziesięć albo i nawet sto tysięcy żołnierzy, w nadzwyczaj krótkim czasie. – I niewykluczone, że będzie musiał to zrobić. Seanchanie w Amadorze i Ebou Dar? Światłości, ilu ich jest?

Zanim się odezwała, Alliandre upiła łyk ponczu, ale znowu uchylila się przed bezpośrednią odpowiedzią.

– Krążą setki pogłosek, jak zapewne wiesz, i może należy im wierzyć, ponieważ czasy są takie, że odrodził się Smok, pojawili obcy, każący w sobie widzieć powracające armie Artura Hawkwinga, sama Wieża zaś rozpada się w wyniku rebelii.

– To ostatnie to sprawa Aes Sedai – wtrąciła ostro Annoura. – Nie powinna interesować nikogo z postronnych. – Berelain rzuciła w jej stronę rozdrażnione spojrzenie, a ona udała, że tego nie zauważa.

Alliandre wzdrygnęła się i obróciła plecami do siostry. Królowa, nie królowa, nikt nie chciałby słyszeć takiego tonu z ust Aes Sedai.

– Świat stanął na głowie, lordzie Aybara. A jakże, donoszono mi nawet o Aielach plądrujących wioski tu, w Ghealdan. – Nagle Perrin połapał się, że chodzi tu o coś więcej, nie tylko o obawę, że mogłaby obrazić Aes Sedai. Alliandre obserwowała go, czekając. Ale na co? Na zapewnienie?

– Jedyni Aielowie na terytorium Ghealdan to ci, którzy mi towarzyszą – oświadczył. –

Seanchanie mogą być potomkami armii Artura Hawkwinga, ale Hawkwing umarł tysiąc lat temu. Rand już raz się z nimi rozprawił i robi to ponownie. – Pamiętał Falme tak wyraziście jak Studnie Dumai, mimo że bardzo starał się zapomnieć. Z pewnością nie było ich aż tylu, by mogli zająć i Amador, i Ebou Dar, nawet jeśli zaprzęgli swoje *damane* do pomocy. Balwer twierdził, że wspomagali ich również tarabońscy żołnierze. – I zapewne podniesie cię na duchu, jeśli dowiesz się, że owe zbuntowane Aes Sedai wspierają Randa. To znaczy wesprą go już niebawem. – Przynajmniej tak mówił Rand o tej garstce Aes Sedai: że nie mają dokąd pójść, więc muszą przyłączyć się do niego. Perrin nie był tego taki pewien. Po Ghealdan krążyły pogłoski, jakoby siostrom towarzyszyła armia. I że owa garstka liczy więcej Aes Sedai, niżli było ich wszystkich razem na całym świecie, a jednak... Światłości, jak on by chciał, żeby znalazł się ktoś, kto by rozproszył wszystkie wątpliwości! – A może byśmy tak usiedli? – zaproponował. – Odpowiem na wszystkie twoje pytania, jeśli to ci pomoże w podjęciu decyzji, ale czemu nie zrobić tego w miarę wygodnie? – Przyciągnąwszy do siebie jedno ze składanych krzesel, przypomniał sobie w ostatniej chwili, że nie powinien opadać na nie całym ciałem, ale i tak pod nim zatrzeszczało.

Lini i dwie inne służące natychmiast zabrały się do ustawiania krzesel w kręgu, ale kobiety nie zrobiły nawet kroku w ich stronę. Alliandre stała i patrzyła na niego, a reszta dla odmiany patrzyła na nią. Wszyscy z wyjątkiem Gallenne, który niewzruszenie dolał sobie ponczu ze srebrnego dzbana.

Perrin zorientował się, że Faile nie otworzyła ust od czasu, gdy wspomniała o kupcach. Był wdzięczny Berelain zarówno za jej milczenie, jak i za to, że nie trzepotała rzęsami na jego użytek w obecności królowej, ale w tym akurat momencie przydałaby mu się jakaś pomoc ze strony Faile. Jakaś drobna rada. Światłości, toż ona wiedziała dziesięć razy więcej o tym, co on tu powinien mówić i robić.

Zastanawiając się, czy przypadkiem nie powinien jednak stać wraz z pozostałymi, odstawił puchar na jeden z małych stolików i poprosił ją cicho, aby porozmawiała z Alliandre.

– Jeśli ktoś potrafi ukazać jej właściwą drogę, to ty jesteś tą osobą – powiedział. Faile obdarzyła go uśmiechem zadowolenia, ale nie otworzyła ust.

Tymczasem Alliandre niespodzianie odstawiła swój puchar, pewna, że taca znajdzie się na właściwym miejscu. Taca istotnie była, a Maighdin, która ją podsunęła w ostatniej chwili, mruknęła coś, czego, Perrin miał nadzieję, Faile nie dosłyszała. Faile nadzwyczaj skutecznie rozprawiała się ze służącymi, którzy przemawiali takim językiem. Już miał wstać, gdy Alliandre podeszła do niego nagle, i w tym momencie przeżył wstrząs, bo uklękła przed nim z gracją, łapiąc obie jego dłonie. Zanim się zorientował, co ona robi, obróciła swoje dłonie w taki sposób, że przykryły grzbiety jego rąk. I zacisnęła je z taką siłą, że pewnie musiało ją zabołec; nie miał pewności, czy mógłby się wyswobodzić, nie robiąc jej równocześnie krzywdy.

– W imię Światłości – zaczęła stanowczym tonem, patrząc mu w twarz – ja, Alliandre Maritha Kigarin, powierzam moją dziedzinę lordowi Perrinowi Aybara z Dwu Rzek i ślubuję mu służyć, teraz i na zawsze, chyba że to on sam, z własnej woli, postanowi zwolnić mnie z tej przysięgi. Moje ziemie i tron należą do niego i ja oddaję je w jego ręce. Tak przysięgam.

Na chwilę zapanowała cisza, zakłócona jedynie głośnym jęknięciem Gallenne i głuchym łomotem, który rozległ się, gdy jego puchar upadł na dywanik.

A potem Perrin usłyszał Faile, która znowu szeptała tak cicho, że jej słów nie zrozumiałby nawet ktoś, kto stałby tuż obok.

– W imię Światłości, przyjmuję twoją przysięgę i obiecuję, że będę bronił i ochraniał ciebie i twoich poddanych i przed zgiełkiem bitwy, i przed porywem zimy, i przed wszystkim, co może przynieść los. Ziemie i tron Ghealdan ofiarowuję tobie jako memu wiernemu wasalowi. W imię

Światłości, przyjmuję... -Tak właśnie musiała brzmieć saldaeańska formuła odebrania przysięgi. Dzięki Światłości, że była zanadto skupiona na nim i nie widziała, jak Berelain wściekle potakuje, ponaglając, by jej odpowiedział. Obie miały takie miny, jakby się tego spodziewały! Za to Annoura, z szeroko otwartymi ustami, musiała być równie oszołomiona jak on, bo wygląda niczym ryba, która właśnie zobaczyła, że otaczająca ją woda wysycha.

– Dlaczego? – spytał łagodnie, nie zważając na niezadowolone syknięcie Faile i odgłos znamionujący podobne rozdrażnienie ze strony Berelain. „Ażebym szezeł – pomyślał – jestem tylko przeklętym kowalem!” Nikt nie składał hołdów lennych kowalom. Królowe nikomu nie składały hołdów lennych! – Podobno jestem *ta'veren*, więc może jednak zechcesz przemyśleć całą sprawę, poświęcić jej bodaj godzinę.

– Mam nadzieję, że naprawdę jesteś *ta'veren*, mój lordzie. – Alliandre roześmiała się, choć wcale nie była rozbawiona, i uchwyciła jego dłonie jeszcze mocniej, jakby z obawy, że mógłby je wyrwać. – Pragnę tego całym sercem. Obawiam się bowiem, że nic innego nie uratuje Ghealdan. Podjęłam taką decyzję, gdy tylko Pierwsza powiedziała mi, dlaczego się tu znalazłeś, a to, co zobaczyłam w tobie, tylko dodatkowo mnie utwierdziło. Ghealdan potrzebuje ochrony, której ja nie mogę mu zapewnić, a więc obowiązek nakazuje, bym jej poszukała gdzie indziej. Ty taką ochronę możesz mu dać, mój lordzie, ty i Lord Smok Odrodzony, oby jego imię było błogosławione w Światłości. Po prawdzie to przysięgłabym bezpośrednio jemu, gdyby on tu był, ale jesteś jego człowiekiem. Przysięgając tobie, przysięgam jemu. – Zrobiwszy głęboki wdech, wydusiła jeszcze jedno słowo. – Proszę. – Teraz wyczuwało się od niej desperację, a jej oczy lśniły strachem.

A jednak wahał się. Tego właśnie pragnąłby Rand; dokładnie tego, ale Perrin Aybara był tylko zwykłym kowalem. Kowalem i już! Czy mógłby nadal się za takiego uważać, gdyby przyjął hołd królowej? Alliandre wpatrywała się w niego błagalnym wzrokiem. Ciekawe, czy *ta'veren* działają na samych siebie, zastanawiał się.

– W imię Światłości, ja, Perrin Aybara, przyjmuję twoją przysięgę... – W gardle mu zaschło, zanim skończył wypowiadać słowa, które podszeptała mu Faile. Za późno, żeby się teraz zatrzymać i zastanawiać.

Alliandre westchnęła z ulgą i ucałowała jego dłonie. Perrin pomyślał, że nigdy w życiu tak się nie wstydził. Powstał pospiesznie i podźwignął ją na nogi. I zrozumiał, że nie wie, co teraz zrobić. Promieniejąca dumą Faile nie udzielała dalszych wskazówek. Berelain też się uśmiechała, z wyraźną ulgą.

Był pewien, że Annoura zaraz coś powie – Aes Sedai zawsze miały mnóstwo do powiedzenia, zwłaszcza wtedy, gdy dano im pretekst – ale Szara siostra tylko wyciągnęła swój puchar w stronę Maighdin, by ta dołała jej ponczu. Przyglądała się Perrinowi z nieodgadnionym wyrazem twarzy, Maighdin zresztą też się gapiła, przechylając dzban tak długo, aż ochlapała ponczem dłoni Aes Sedai. Annoura wzdrygnęła się w tym momencie, wpatrzona w puchar takim wzrokiem, jakby właśnie przypomniawszy sobie o jego istnieniu. Faile zmarszczyła czoło, Lini zmarszczyła swoje jeszcze mocniej i Maighdin pomknęła po ściereczkę, żeby osuszyć dłoni siostry, znowu coś mamrocząc pod nosem. Faile dostanie spazmów, jeśli kiedyś usłyszy te mamrotania.

Perrin wiedział, że zbyt długo zwleka. Alliandre oblizwała wargi z niepokojem; najwyraźniej spodziewała się jeszcze czegoś.

– No to skoro już wszystko załatwiliśmy, muszę teraz odszukać Proroka – powiedział i skrzywił się. Zbyt obcesowo. Nie miał wycucia w kontaktach z arystokratami, a jeszcze mniej z królowymi. – Przypuszczam, że zechcesz wrócić do Bethal, zanim ktoś się dowie, że zniknąłeś.

– Z ostatnich wieści, jakie otrzymałam – powiedziała Alliandre – wynika, że Prorok Lorda

Smoka przebywa w Abila. To spore miasto w Amadicii, ze czterdzieści lig na południe stąd.

Perrin zareagował mimowolnym grymasem, ale natychmiast opanował się. A więc Balwer miał rację. I choć fakt, że się nie mylił co do tej jednej rzeczy, wcale nie oznaczał, iż miał rację w odniesieniu do wszystkich pozostałych, być może jednak warto wysłuchać tego, co ten człowiek ma do powiedzenia na temat Białych Płaszczy. A także Seanchan. Ilu jest tych Tarabonian?

Faile przywarła do jego boku, położyła dłoń na jego ramieniu i skierowała ciepły uśmiech ku Alliandre..

– Chyba nie chcesz odsyłać królowej już teraz, moje serce. Nie teraz, kiedy dopiero co przyjechała. Pozwól nam porozmawiać tu samym, z dala od słońca, zanim będzie musiała zmierzyć się z trudami jazdy powrotnej. Wiem, że masz ważne sprawy, których musisz dopatrzeć.

Jakoś udało mu się nie wytrzeszczyć oczu, choć kosztowało go to niemało wysiłku. Co mogło być ważniejsze od spotkania z królową Ghealdan? Z całą pewnością nic takiego, do czego pozwolono by mu przyłożyć rękę. Widocznie Faile pragnęła porozmawiać z Alliandre pod jego nieobecność. Może będzie miał szczęście i później dowie się o wszystkim. Elyasowi mogło się wydawać, że zna Saldaean, ale Perrin zdążył już pojąć, że tylko dureń próbuje się dokopać do sekretów własnej żony. Albo pozwala, by ta się dowiedziała, jakie już poznał.

Zapewne należało pożegnać się z Alliandre tak samo ceremonialnie, jak ją powitał, ale ostatecznie zdobył się na skromny ukłon, jednocześnie prosząc ją, by pozwoliła mu odejść, na co ona dygnęła głęboko, mrużąc, że to dla niej zbyt wielki zaszczyt, i na tym się skończyło. Jeszcze tylko skinął głową w stronę Gallenne, dając mu znak, że ma iść za nim. Wątpił, by Faile chciała jego odesłać, a temu pozwoliła zostać. O czym chciała porozmawiać z królową?

Jednooki mężczyzna stojący przed namiotem klepnął Perrina po ramieniu z taką siłą, że ktoś nikkczemniejszej postury byłby się zatoczył.

– Ażebym szczęł, w życiu nie słyszałem czegoś podobnego! Teraz mogę mówić, że widziałem na własne oczy, w jaki sposób *ta'veren* oddziałuje na bieg zdarzeń. Czegoś ty chciał ode mnie? – I co on miał na to rzec?

Dokładnie w tym momencie usłyszał okrzyki od strony obozu Mayenian, odgłosy kłótni, tak głośne, że ludzie z Dwu Rzek powstali, zerkając między drzewami w tamtą stronę, mimo że z bocze wzgórza i tak im wszystko przesłaniało.

– Najpierw sprawdźmy, co tam się dzieje – odparł Perrin. To da mu czas, aby się zastanowić. Nad tym, co powiedziec Gallenne'owi i nad innymi rzeczami.

Po odejściu Perrina Faile odczekała jeszcze kilka chwil i dopiero wtedy powiedziała służącym, że ona i pozostałe kobiety same się sobą zajmą. Maighdin tak się zagapiła na Alliandre, że nawet nie drgnęła, dopóki Lini nie pociągnęła jej za rękaw. To jednak była sprawa na później. Odstawiwszy swój puchar, Faile odprowadziła trzy kobiety do wyjścia, co wyglądało, jakby je wypędzała, po czym zatrzymała się tam na chwilę.

Perrin i Gallenne maszerowali między drzewami w stronę obozowiska Mayenian. Bardzo dobrze. Większość *Cha Faile* przycupnęła nieopodal. Złapawszy wzrok Pareleana, wykonała gest na wysokości swojej talii w taki sposób, by nikt stojący za jej plecami nie mógł go zauważyć. Prędko kolisty ruch, a potem dłoń zaciśnięta w pięść. Tairenianie i Cairhienianie natychmiast rozpadli się na dwu- i trzyosobowe grupki i zaraz potem się rozeszli. Sygnały *Cha Faile*, znacznie mniej skomplikowane niż mowa dłoni Panien, jakoś jednak wystarczały. Po kilku chwilach jej ludzie otoczyli namiot luźnym pierścieniem, z pozoru bez żadnej reguły, zajęci bezpłodnymi pogawędkami

albo grą w kocią kołyskę. Nikt jednak nie zbliżyłby się do niej na odległość mniejszą niżli dwadzieścia kroków, bo nim dotarłby do progu, została by ostrzeżona.

Najbardziej obawiała się reakcji Perrina. Kiedy Alliandre pojawiła się tu we własnej osobie, Faile domyślała się, że coś istotnego się wydarzy, nawet jeśli nie to, co rzeczywiście zaszło, ale on dał się całkiem zbić z pantafiku jej przysięgą. Jeżeli teraz wbije sobie do głowy, że powinien się odwzajemnić, sprawić, by Alliandre czuła się dobrze ze swoją decyzją... Och, on naprawdę myślał sercem wtedy, gdy powinien był myśleć głową. I głową wtedy, kiedy powinien był posłużyć się sercem! Kiedy dotarło do niej, co właśnie pomyślała, poczuła lekkie wyrzuty sumienia.

– Osobliwych służących znalazłaś sobie po drodze – odezwała się tonem udawanej sympatii Berelain i Faile wzdrygnęła się. Nie usłyszała, kiedy ta kobieta stanęła za jej plecami. Lini i jej towarzyszki zdążyły właśnie w stronę wozów, Lini wygrażała Maighdin palcem, a Berelain wiodła za nimi wzrokiem. Mówiła cicho, ale drwiąca nuta wyraźnie dawała się słyszeć. – Ta najstarsza dobrze wie, na czym polegają jej obowiązki, a nie tylko gdzieś o nich słyszała, ale zdaniem Annoury ta najmłodsza to dzikuska. Bardzo słaba, powiada Annoura, ale dzikuski zawsze przysparzają problemów. Inne zaczną rozpowiadać, jeśli się dowiedzą, a ona prędzej czy później ucieknie. Dzikuski zawsze uciekają, z tego, co mi wiadomo. Oto, jakie są skutki czynienia z przybłąd służących.

– A mnie one odpowiadają – odparła chłodno Faile. Z tego wszystkiego wynikało, że musi koniecznie porozmawiać sobie z Lini, tak od serca. Dzikuska? Co z tego, że słaba, niewykluczone, że się przyda. – Powiem jednak, że moim zdaniem nie masz sobie równych, jeśli idzie o najmowanie sług. – Berelain zamrugnęła, niepewna, jak to rozumieć, i Faile postarała się, by nie okazać satysfakcji. Odwróciwszy się, powiedziała: – Annoura, czy zechcesz nas otoczyć zabezpieczeniami przeciwko podsłuchiwanemu?

Wydawało się, że Seonid albo Masuri raczej nie będą szukały okazji do podsłuchiwania strumieniami Mocy – już sobie wyobrażała ten wybuch, kiedy Perrin się dowie, w jak ciasne uździenice ubrały Mądre te dwie – ale z kolei same Mądre mogły nabyć tę umiejętność. Faile była pewna, że Edarra i inne wyżeły Seonid i Masuri do sucha.

Paciorki wplecione w warkoczyki zaszczękały cicho, kiedy Szara siostra przytaknęła.

– Już to zrobiłam, lady Faile – odparła i Berelain zacisnęła wargi, dając powód do nieliczej satysfakcji. Co za bezczelność robić uwagi w jej własnym namiocie! Zasłużyła sobie na coś jeszcze gorszego, nie tylko na to, by ktoś stawał między nią a jej doradczynią, ale i tak satysfakcja była niezgorsza.

W tym momencie Faile zdała sobie sprawę, że oto zabawia się jak mała dziewczynka, a wszak powinna skupić się na bieżących sprawach. Aż zagryzła wargę, rozdrażniona tym spostrzeżeniem. Nie wątpiła w miłość swego męża, ale niestety, nie mogła potraktować Berelain, jak ta sobie zasłużyła, i to ją zmuszało do uprawiania pewnej gry z Perrinem nader często odgrywającym rolę planszy. A także nagrody, jak zdawała się uważać Berelain. Gdyby jeszcze Perrin nie zachowywał się czasami tak, jakby istotnie był tą nagrodą. Stanowczo wyrzuciła wszystkie te myśli z głowy. Czekają ją obowiązki żony. Praktyczne aspekty życia.

Kiedy padła wzmianka o zabezpieczeniach, Alliandre spojrzała z namysłem na Annourę – musiała rozumieć, że to oznacza poważną rozmowę – ale powiedziała tylko:

– Twój mąż to niezwykły człowiek, lady Faile. Doprawdy nie chcę nikogo urazić, twierdząc, że to prostoduszne zewnątrz kryje przenikliwy umysł. My, tu w Ghealdan, mamy tuż za progiem Amadicię i dlatego z konieczności uprawiamy *Daes Dae'mar*, ale nie sądzę, by ktokolwiek nakłonił mnie do podjęcia jakiejś decyzji równie prędko albo równie zręcznie, jak to uczynił twój pan i

władca. Aluzja o zagrożeniu tu, grymas tam. Doprawdy niezwykły mężczyzna.

Tym razem Faile musiała się zdobyć na pewien wysiłek, by ukryć uśmiech. Ci południowcy bardzo sobie cenili Grę Domów i nie sądziła, by Alliandre była zachwycona, gdyby się dowiedziała, że Perrin zwyczajnie mówi to, w co wierzy – niekiedy nazbyt swobodnie – i że tylko ludzie o podstępnych umysłach dopatrują się wyrachowania w jego uczciwości.

– Spędził trochę czasu w Cairhien – odparła. I niech Alliandre zrobi sobie z tą uwagą, co zechce. – Tu możemy rozmawiać swobodnie dzięki zabezpieczeniom Annoury. To oczywiste, że jeszcze nie chcesz wracać do Bethal. Czy przysięga, którą złożyłaś Perrinowi, nie wiąże go z tobą dostatecznie? – Niektórzy ludzie tu, na południu, żywili dziwaczne przekonania co do natury lennych hołdów.

Berelain w milczeniu zajęła miejsce po prawicy Faile, chwilę zaś później Annoura stanęła po jej lewej stronie, przez co Alliandre miała teraz wszystkie trzy przed sobą. Faile dziwiła się, że Aes Sedai tak łatwo przystała na jej plan, nie mając pojęcia, co się za nim kryje – Annoura bez wątpienia miała swoje własne powody i Faile wiele by dała, by się dowiedzieć, co to za powody – nie dziwiło jej natomiast zachowanie Berelain. Jedno rzucone zdawkowo drwiące zdanie mogło wszystko popsuć, zwłaszcza zdanie dotyczące wprawy Perrina w Wielkiej Grze, a jednak była pewna, że ono nie padnie, co irytowało ją do pewnego stopnia. Swego czasu gardziła Berelain; nadal jej nienawidziła, głęboko i żarliwie, ale pogardę zastępował powoli niechętny respekt. Ta kobieta wiedziała, kiedy ich „grę” należy przerwać. Gdyby nie Perrin, mogłaby naprawdę ją polubić! Przelotnie, żeby zdusić tę nienawistną myśl, Faile wyobraziła sobie, że goli Berelain do czaszki. Pierwsza z Mayene to sekutnica i sprzedajna dziewczka! I z pewnością nie zasługiwała, by zaprzętać nią sobie teraz głowę.

Alliandre przyjrzała się kolejno wszystkim kobietom, ale niczym nie zdradziła przepełniającego ją wzburzenia. Znowu wzięła do ręki swój puchar, spokojnie popijała poncz i mówiła dalej, to wzdychając, to uśmiechając się smutno, jakby jej słowa wcale nie były aż takie ważne, jak treść, którą niosły.

– Oczywiście zamierzam dotrzymać przysięgi, ale musisz zrozumieć, że liczyłam na coś więcej. Jeśli idzie o twojego męża, to nic się nie zmieniło. I co gorsza, tak może będzie aż do czasu, gdy wesprze mnie w jakiś wyraźny sposób Lord Smok, oby Światłość pobłogosławiła jego imię. Prorok jest zdolny zrujnować Bethal albo nawet Jehannah, tak jak to uczynił z Samarą, i ja nie dam rady mu w tym przeszkodzić. A jeśli jakimś sposobem dowie się o mojej przysiędze... Utrzymuje, że przybył po to, by nam zademonstrować, jak należy służyć Lordowi Smokowi w Światłości, ale to właśnie on nam ów sposób demonstruje i moim zdaniem nie pochwali tego, kto znajdzie odmienny.

– Cieszy mnie, że zamierzasz dotrzymać przysięgi – odparła sucho Faile. – A jeśli chcesz czegoś więcej od mojego męża, to może sama powinnaś zdobyć się na więcej. Może powinnaś mu towarzyszyć, kiedy wyprawi się na południe na spotkanie z Prorokiem. Rzecz jasna, będziesz zapewne chciała zabrać swoich żołnierzy, ale sugeruję, by nie było ich więcej niż tylu, ilu ma przy sobie Pierwsza. Może usiądziemy? – Zająwszy krzesło, które zwolnił Perrin, dała najpierw znak Berelain i Annourze, że mają usiąść u jej boków, a dopiero wtedy wskazała krzesło Alliandre.

Królowa usiadła powoli, wpatrując się szeroko otwartymi oczyma w Faile, nie tyle zdenerwowana, ile zdumiona.

– Czemuż, na Światłość, miałabym tak postąpić? – wykrzyknęła. – Lady Faile, Synowie Światłości wykorzystają każdą wymówkę, by móc siać jeszcze większe spustoszenia w Ghealdan, a i król Ailron mógłby zdecydować, że pośle swoją armię na północ. To absolutnie nie wchodzi w rachubę!

– Prosi cię o to żona twego suzerena, Alliandre – odparła stanowczo Faile.

Można by sądzić, że Alliandre nie jest w stanie otworzyć oczu jeszcze szerzej, a jednak udało jej się. Spojrzała na Annourę i znalazła jedynie niczym nie zmałowane opanowanie Aes Sedai.

– Oczywiście – odrzekła po chwili głucho brzmiącym głosem. Przełknęła ślinę i dodała: – Oczywiście, zrobię to; o co... prosisz... moja pani.

Faile skryła uczucie ulgi łaskawym skinieniem głowy. Myślała, że Alliandre będzie się wykręcać. To, że potrafiła złożyć hołd lenny, nie uświadamiając sobie, co on tak naprawdę oznacza – przecież uznała za konieczne dodatkowe zapewnienia, że zamierza go dotrzymać! – utwierdziło Faile w przekonaniu, że tej kobiety nie należy porzucać na pastwę losu. Z wszystkich doniesień wynikało, że Alliandre radziła sobie z Masemą w ten sposób, że mu ustępowała. Rzecz jasna, robiła to opieszale i tylko wtedy, gdy musiała, bo nie miała innego wyboru, a jednak uległość potrafiła przejść w nawyk. Jeśli wróci do Bethal i nic się nie zmieni, to jak szybko postanowi się asekurować i ostrzeże Masemę? Poczwała już brzemień swojej przysięgi, a teraz Faile mogła jej tego brzemienia ująć.

– Bardzo jestem rada, że będziesz nam towarzyszyć – powiedziała ciepło. Naprawdę była zadowolona. – Mój mąż nie zapomni o tych, którzy go wesprą. Wesprą na przykład listem wystosowanym do arystokratów, z którego ci dowiedzą się, iż pewien człowiek wzniosł sztandar Manetheren na południu. – Berelain obróciła głowę ze zdziwieniem, a Annoura wręcz zamrugowała.

– Ależ moja lady – odparła żarliwym głosem Alliandre – przecież połowa z nich natychmiast powiadomi Proroka, gdy tylko otrzymają mój list, panicznie się go bowiem boją. I Światłość tylko wie, co on wtedy zrobi. – Dokładnie taka odpowiedź, na jaką Faile liczyła.

– Dlatego właśnie wystosujesz list również do niego, informując, że zgromadziłaś żołnierzy, bo chcesz rozprawić się z tym człowiekiem osobiście. Ostatecznie Prorok Lorda Smoka to persona nazbyt szacowna, by miał zawracać sobie głowę taką, drobnostką.

– Doskonały pomysł! – mruknęła Annoura. – Nikt nie będzie wiedział, kto jest kim.

Berelain roześmiała się z zachwytem, ażeby szczeła!

– Moja lady – wybąkała Alliandre – powiedziałam, że lord Perrin to niezwykle człowiek. Czy wolno mi dodać, że jego żona jest w każdym calu równie niezwykła?

Faile starała się ukryć zadowolenie. Teraz musiała posłać wiadomość do swoich ludzi w Bethal. W pewnym sensie żałowała, że sprawy przybrały taki obrót. Wyjaśnienie wszystkiego Perrinowi mogłoby się okazać co najmniej trudne, ale nawet on by nie zdzierzył, gdyby porwała królową Ghealdan.

Na skraj obozowiska wyległa chyba cała prawie Skrzydlata Gwardia, otaczająca ciasnym pierścieniem dziesięciu jeźdźców w identycznych mundurach. Brak lanc mówił, że to zwiadowcy. Zgromadzeni wokół nich kłębili się i popychali wzajem, starając się podejść jak najbliżej. Perrinowi wydało się, że znowu słyszy grzmot, już nie tak odległy, ale poświęcił temu wrażeniu jedynie przelotną uwagę.

Już miał się przepchnąć między nimi, kiedy usłyszał gromki okrzyk Gallenne:

– Z drogi, kundle! – Zgromadzeni błyskawicznie obrócili głowy w jego stronę i po chwili niektórzy jęli się wciskać w głąb ciżby, tworząc wąskie przejście. Perrin zastanawiał się, co by się stało, gdyby nazwał kundlami ludzi z Dwu Rzek. Pewnie dostaliby po nosie. Może więc warto spróbować.

Obok zwiadowców stał Nurelle w towarzystwie pozostałych oficerów oraz siedmiu mężczyzn z rękoma związanymi na plecach i powrozami na szyjach, którzy przebierali nogami, garbili się i robili



miny wyrażające butę, strach albo jedno i drugie naraz. Ich ubrania, niegdyś przedniego gatunku, były aż sztywne od zastarzałego brudu. I o dziwo, pachnieli silnie drzewnym dymem. A skoro już o tym mowa, niektórzy z żołnierzy na koniach mieli twarze uczernione sadzą, a jeden czy dwóch opatrywało oparzenia. Aram przyglądał się więźniom, krzywiąc się nieznacznie.

Gallenne stanął w rozkroku i wsparł pięści na biodrach, łypiąc jedynym okiem tak samo groźnie jak inni potrafili dwojgiem.

– Co się stało? – spytał zaczepnie. – Moi zwiadowcy mają wracać z informacjami, nie z jakimiś kolekcjonerami łachmanów!

– Niech Ortis złoży raport, mój lordzie – odparł Nurelle. – On tam był. Brygadier Ortis!

Wywołany mężczyzna w średnim wieku zsiadł niezdarnie z konia i złożył ukłon, przyciskając dłoń w rękawicy do serca. Na głowie miał prosty hełm, bez cienkich piór i skrzydeł, które zdobiły boki oficerskich hełmów. Spod zaokrąglonego brzeżka wyzierała wściekle zaogniona oparzelina. Drugi policzek przecinała blizna, która unosiła mu kącik ust.

– Lordzie Gallenne, lordzie Aybara – powiedział grobowym głosem. – Natrafiliśmy na tych rzepojadow jakież dwie ligi na zachód stąd. Palili farmę, z ludźmi w środku. Wśród zaatakowanych była kobieta, która próbowała uciec przez okno, i jeden z tych łotrów odrąbał jej głowę. Wiedząc, jak na to zapatrywałby się lord Aybara, położyliśmy temu kres. Przybyliśmy za późno, by kogoś ocalić, ale pojaliśmy tych siedmiu. Reszta uciekła.

– Ludzi często kusi, by osunąć się z powrotem w Cień – odezwał się niespodzianie jeden z jeńców. – Trzeba im przypominać, jaką płaci się za to cenę. – Był to wysoki szczupły mężczyzna o statecznym wyglądzie; mówił głosem spokojnym, świadczącym o wykształceniu, ale kaftan miał równie brudny jak pozostali i nie golił się od dwóch albo trzech dni. Prorok wyraźnie nie pochwałał tracenia czasu na takie rzeczy jak brzytwa. Albo mycie się. Mężczyzna patrzył spode łba na tych, którzy go pojмали, bez odrobiny strachu, mimo związanych rąk i powroza na szyi. Cały był wcieleniem lekceważenia i buty. – Wasi żołnierze nie robią na mnie wrażenia – dodał. – Prorok Lorda Smoka, oby Światłość błogosławiła jego imię, niszczył większe armie niż te wasze niedobitki. Możecie nas zabić, ale Prorok nas pomści, zraszając ziemię waszą krwią. Żaden z was nie pożyje wiele dłużej niż my, a on zatriumfuje w ogniu i krwi. – Ostatnie słowa wypowiedział nadzwyczaj dobitnie, tak sztywno wyprostowany, jakby połknął żelazny pręt. Wśród słuchających go żołnierzy rozszedł się pomruk. Wiedzieli bardzo dobrze, że Masema rozbijał wojska liczniejsze od ich armii.

– Powiesić ich – zarządził Perrin. Znowu usłyszał grzmot.

Wydał rozkaz i teraz zmusił się, by obserwować, jak go realizują. A chętnych do tego zadania nie brakowało, mimo tych wszystkich pomrukiwań. Kilku jeńców wybuchło płaczem, gdy powrozy od pętli, które nałożono im na szyje, zostały zarzucone na konary drzew. Jeden, niegdyś gruby mężczyzna, z obwisłym podgardlem, wołał, że wyznaje skruchę, że będzie służył każdemu panu, którego określą z imienia. Łysy mężczyzna, z pozoru twardy jak Lamgwin, miotał się i krzyczał dopóty, dopóki powróż nie uciszył jego skowytania. Za to autor wygłoszonej do nich tyrady ani nie wierzył, ani się nie opierał, nawet wtedy, gdy pętla zacisnęła się na jego karku. Do końca rzucał harde spojrzenia.

– Przynajmniej jeden potrafił umrzeć jak należy – warknął Gallenne, kiedy ostatnie ciało zwiotczało. Spojrzał krzywo na ludzkie sylwetki dekorujące drzewa, jakby żałował, że skazańcy nie opierali się bardziej zażarcie.

– Jeśli ci ludzie służyli Cieniowi... – zaczął Aram, po czym zawahał się. – Wybacz mi, lordzie Perrinie, ale czy Lord Smok to pochwali?

Perrin wzdrygnął się i zagapił na niego zdumiony.

– Na Światłość, Aram, słyszałeś na własne uszy, co oni robili! Rand sam nałożyłby im pętle na szyje! – Wierzył, że Rand by to zrobił, miał nadzieję, że by to zrobił. Rand uparcie dążył do zjednoczenia narodów przed Ostatnią Bitwą i niewiele dbał o koszty.

Mężczyźni gwałtownie zadarli głowy, kiedy rozległ się grzmot, tym razem tak głośny, że każdy musiał go słyszeć, a potem pojawiły się następne, za każdym razem coraz bliżej. Zerwał się wiatr, ucichł, znowu się zerwał; szarpiąc poły kaftana Perrina kapryśnymi podmuchami. A potem jeszcze bezchmurne niebo przecięła błyskawica. W obozie Mayenian zaczęły rzeć i wierzgać spętane konie. Grzmot zahuczał ponownie, znowu zalśniły srebrnoniebieskie węże błyskawic i na ziemię pod palącym słońcem lunął deszcz, grubymi rzadkimi kroplami, wzniecając fontanny kurzu. Perrin starł jedną z policzka i zapatrzył się ze zdumieniem na swoje mokre palce.

Po kilku chwilach burza przeszła, grzmoty i błyskawice powędrowały na wschód. Spragniona ziemia chłoneła krople deszczu, słońce paliło tak jak zawsze i jedynie niebo rozmigotane od dalekich błyskawic i cichnące łoskoty piorunów mówiły, że w ogóle cokolwiek się zdarzyło. Żołnierze patrzyli na siebie niepewnie. Gallenne z wyraźnym wysiłkiem oderwał palce od rękojeści miecza.

– To... to nie może być dzieło Czarnego – stwierdził Aram i wzdrygnął się. Nikt nigdy nie widział normalnej burzy o takim przebiegu. – To znaczy, że pogoda się zmienia, prawda, lordzie Perrinie? Że pogoda znowu będzie taka jak należy?

Perrin otworzył usta, chcąc powiedzieć, że ma go tak nie tytułować, ale zamknął je z westchnieniem:

– Nie wiem – odparł. Jak to powiedział Gaul? – Wszystko się zmienia, Aram. – Po prostu nigdy nie przyszło mu do głowy, że sam też będzie musiał się zmienić.

# ROZDZIAŁ 11

## PYTANIA I PRZYSIĘGA

W ogromnej stajni unosił się zapach starego siana i końskiego nawozu, a także krwi i spalonego mięsa. Powietrze zdawało się gęste, bo wszystkie drzwi były pozamykane. Dwie latarnie dawały niewiele światła i prawie całe wnętrze wypełniały cienie. Konie w długich szeregach przegród rżały nerwowo. Mężczyzna powieszony za nadgarstki pod belką sklepienia jęknął przeciągle, po czym chrapliwie odkaszlnął. Głowa opadła na jego pierś. Był wysoki, dobrze zbudowany, ale też sterany wiekiem.

Naraz Sevanna spostrzegła, że klatka piersiowa mężczyzny już się nie porusza. Pierścienie z kamieniami na jej palcach błysnęły zielenią i czerwienią, kiedy zrobiła gwałtowny gest w stronę Rhiale.

Kobieta o ognistorudych włosach brutalnie zadarła twarz mężczyzny i odsunęła kciukiem jedną z powiek, po czym przycisnęła ucho do jego piersi, nie zważając na to, że drzazgi, którymi naszpikowały jego ciało, jeszcze się tłą. Wyprostowała się, wydając odgłos znamionujący obrzydzenie.

– Nie żyje. A trzeba go było oddać Pannom, Sevanno, albo Czarnym Oczom. Nie mam wątpliwości, że zabiła go nasza ignorancja.

Sevanna zacisnęła usta i poprawiła szal, poszczękując bransoletami. Oplatały jej ręce od przegubów aż po łokcie, niczym dwie masywne bryły złota, kości słoniowej i kamieni, a jednak gdyby tylko to było możliwe, za każdym razem wkładałaby wszystkie, jakie posiada. Żadna z pozostałych kobiet nie odezwała się ani słowem. Wprawdzie Mądre z zasady nie zajmowały się przesłuchiwaniami jeńców, ale Rhiale wiedziała, dlaczego musiały to zrobić. Zmarły był jedynym ocalałym z dziesięciu mężczyzn, którym się wydawało, że pokonają dwadzieścia Panien tylko dlatego, że dosiadają koni, a także pierwszym Seanchanem pojmanym w ciągu dziesięciu dni od czasu ich przybycia do tego kraju.

– Żyłby, gdyby aż tak bardzo nie walczył z bólem, Rhiale – stwierdziła Someryn, kręcąc głową. – Był silnym mężczyzną, jak na mieszkańca mokradeł, ale nie umiał pogodzić się z bólem. A zresztą sporo powiedział.

Sevanna zerknęła na nią z ukosa, próbując wypatrzeć ukryty sarkazm. Someryn, wysoka jak większość mężczyzn, nosiła więcej bransolet i naszyjników niż inne obecne tutaj kobiety, z wyjątkiem samej Sevanny, całe pokłady ogników i szmaragdów, rubinów i szafirów, niemal całkiem skrywając nimi nazbyt obfite łono, które w przeciwnym razie byłoby do połowy obnażone, jako że bluzkę miała rozpiętą prawie do samej spódnicy. Szal, zawiązany w pasie, niczego nie ukrywał. Czasami Sevanna miała kłopoty ze stwierdzeniem, czy Someryn ją naśladuje, czy raczej z nią współzawodniczy.

– Dużo? – wykrzyknęła Meira. Trzymana w ręku latarnia oświetlała jej pociągłą twarz, jeszcze bardziej ponurą niż zazwyczaj, co zdawało się prawie niemożliwe. Meira potrafiła znaleźć ciemną stronę słońca świecącego w samym środku dnia. – Że na przykład ci ludzie są dwa dni na zachód stąd, w mieście zwanym Amadorem? Przecież wiedzieliśmy już o tym. Opowiedział nam same bzdury. Artur Hawkwing! Ba! Panny powinny go były wziąć i zrobić z nim, co trzeba.

– Chciałyście... ryzykować, że ktoś dowie się zbyt wiele i zbyt wcześnie? – Sevanna zagryzła wargę z irytacją. Omal w tym momencie nie dodała „wy idiotki”. Już zbyt wielu ludzi, w tym również Mądre, wiedziało zbyt wiele, jej zdaniem, ale nie mogła ryzykować i obrażać tych kobiet. Ależ ta

świadomość ją irytowała! – Ludzie się boją. – Przynajmniej nie musiała skrywać swej pogardy, kiedy to mówiła. A szokowało ją, czy wręcz rozwścieczało nie to, że oni się bali, tylko to, jak niewielu starało się ukryć ten fakt. – Czarne Oczy, Kamienne Psy, czy nawet Panny rozpowiedzieliby to wszystko, co on zdradził. Wiecie, że tak by było! Jego kłamstwa zasiałyby jeszcze więcej strachu. – To musiały być kłamstwa. Morze w wyobraźni Sevanny wyglądało dokładnie tak samo jak jeziora, które widziała na mokradłach, tyle że nie dawało się dojrzeć jego przeciwległego brzegu. Gdyby rzeczywiście nadciągały kolejne setki tysięcy pobratymców zmarłego mężczyzny, to w takim razie inni jeńcy, których przesłuchiwała, wiedzieliby o tym. A wszak żaden jeńiec nie był przesłuchiwany bez jej udziału.

Tion podniosła drugą latarnię i przyjrzała się jej bez zmrużenia szarymi oczyma. Prawie o głowę niższa od Someryn, była i tak wyższa od Sevanny. I prawie dwakroć cięższa. Jej krągła twarz zazwyczaj była pogodna, ale określenie w ten sposób jej usposobienia stanowiłoby poważny błąd.

– Mają prawo się bać – orzekła kamiennym głosem. – Ja sama się boję i wcale się tego nie wstydzę. Seanchanie są liczni, nawet jeśli jest ich tylko tyłu, ilu wzięło Amador, a nas jeno garstka. Ty masz przy sobie swój szczep, Sevanno, a gdzie jest mój szczep? Twój przyjaciel z mokradeł Caddar i jego oswojona Aes Sedai przerzucili nas przez dziury w powietrzu, bo chcieli naszej śmierci. I gdzie jest reszta Shaido?

W tym momencie obok Tion stanęła Rhiale, z butnym wyrazem twarzy, i zaraz potem przyłączyła się do nich Alarys, która nawet teraz bawiła się swoimi czarnymi włosami. Może po to, by wszyscy je podziwiali, a może chciała uniknąć wzroku Sevanny. Po chwili do tej gromadki dobiła jeszcze zachmurzona Meira, a zaraz po niej Modarra. Modarra zasługiwałaby na miano szczupłej, gdyby nie była jeszcze wyższa od Someryn; tym sposobem w najlepszym razie można ją było nazwać chudą. Sevanna myślała dotąd, że trzyma Modarrę w garści tak pewnie, jak nosi dowolny z pierścieni na swoich palcach. Tak pewnie, jak... Someryn spojrzała na nią, westchnęła, popatrzyła na tamte i podeszła do nich powolnym krokiem.

Sevanna stała teraz całkiem osamotniona na skraju światła rzucanego przez latarnię. Spośród wszystkich kobiet związanych z nią morderstwem Desaine tym ufała najbardziej. Co oczywiście wcale nie znaczyło, by którejś ufała szczególnie mocno. A jednak co do Someryn i Modarry była pewna, że należą do niej tak, jakby złożyły przysięgę wody, że zawsze pójdą tam, gdzie ona poprowadzi. A tymczasem miały czelność patrzeć na nią oskarżycielskim wzrokiem. Nawet Alarys oderwała wzrok od swych włosów.

Sevanna wytrzymała te spojrzenia z chłodnym uśmiechem, który przypominał drwinę. Doszła jednak do wniosku, że to nie pora, by przypominać im o zbrodni, która połączyła ich losy. Tym razem nie obleje ich tym samym kubłem zimnej wody co zawsze.

– Przewidziałam, że Caddar być może spróbuje nas zdradzić – powiedziała zamiast tego. Rhiale wytrzeszczyła niebieskie oczy, słysząc takie oświadczenie, a Tion aż otworzyła usta. Sevanna mówiła dalej, nie pozwalając, by któraś jej przerwała: – Wolałybyście pozostać na Sztylcie Zabójcy Rodu i dać się tam zabić? Pozwolić, by cztery klany, których Mądre potrafią robić dziury w powietrzu bez pomocy szkatulek podróżnych, polowały na was jak na zwierzęta? Wszak znajdujemy się w samym sercu spolegliwej i bogatej krainy, bogatszej nawet niżli ziemie zabójców drzew. Popatrzcie, ile zdobyliśmy w ciągu zaledwie dziesięciu dni. Czy zdobylibyśmy więcej w którymś z miast mieszkańców mokradeł? Boicie się Seanchan, bo jest ich tak wielu? To przypomnijcie sobie, że zgromadziłam przy sobie wszystkie Mądre Shaido, które potrafią przenosić. – Ostatnimi czasy rzadko kiedy pamiętała, że sama nie potrafi przenosić, a zresztą już niebawem ów brak miał zostać wyrównany. – Dysponujemy taką samą siłą, jaką mogą nam przeciwstawić ci mieszkańcy bagien.

Nawet jeśli rzeczywiście mają latające jaszczurki. – Prychnęła głośno, by zademonstrować, co ona o tym myśli! Żadna z nich nie widziała dotąd takiego stwora, nie widział ich też żaden ze zwiadowców, ale niemal każdy jeniec dostarczał mnóstwo tego rodzaju nedorzeczných informacji. – Kiedy już znajdziemy pozostałe szczepy, weźmiemy tę krainę w posiadanie. Całą! A Aes Sedai zapłacą nam dziesięciokrotną wartość tego, co są nam dłużne. I znajdziemy też Caddara, będzie umierał, wrzaskiem dopraszając się litości.

Tymi słowy powinna przecie znowuż zgromadzić je po swojej stronie, odzyskać ich serca, tak jak to bywało już wcześniej. A jednak nie dostrzegła zmiany na ich twarzach. Na żadnej twarzy.

– Pozostaje jeszcze *Car'a'carn* – zauważyła spokojnie Tion. – Chyba że zrezygnowałaś z planu jego poślubienia.

– Z niczego nie zrezygnowałam – odparła z irytacją Sevanna. Ten mężczyzna, a co ważniejsze, władza, którą uosabiał, na pewno stanie się kiedyś jej własnością. Nieważne jak. Jakoś. Niezależnie od kosztów, jakie będzie miała ponieść. Spokojniejszym już głosem ciągnęła dalej: – Rand al'Thor na razie raczej się nie liczy. – Przynajmniej dla tych ślepych prostaczków. Mając go w garści, będzie ją stać na wszystko. – Nie zamierzam tu tkwić cały dzień i dyskutować o swoim wieńcu ślubnym. Muszę dopatrzeć spraw, które są rzeczywiście ważne.

Kiedy oddalała się od nich, wędrując przez mrok w stronę wrót stajni, tknęła ją nagle pewna niemiła myśl. Była sama wśród tych kobiet. Jak dalece mogła im teraz ufać? Śmierć Desaine pozostawała aż nadto żywa w jej pamięci; Mądra została... zarzezana... przy użyciu Jedynej Mocy. A uczyniły to między innymi te kobiety, które stały teraz za jej plecami. Od tej myśli skręcił jej się żołądek. Nadstawiła uszu, oczekując cichego szelestu słomy, który by oznaczał; że idą za nią, ale nic nie usłyszała. Stały tak tylko i patrzyły? Nie chciała oglądać się przez ramię. Stawianie równych, niespiesznych kroków kosztowało ją zaledwie odrobinę wysiłku – nie okaże strachu, nie ściągnie na siebie takiej hańby! A jednak kiedy otwarła jedno z wysokich skrzydeł zawieszonych na dobrze naoliwionych zawiasach, nie potrafiła się pohamować i odetchnęła z ulgą.

Przed stajnią krążyła Efałin, w *shoufie* udrapowanej na szyi, z łukiem na plecach, z włóczniami i tarczą w ręku. Siwowłosa kobieta odwróciła się błyskawicznie, widok Sevanny tylko w nieznacznym stopniu rozproszył niepokój widoczny na jej twarzy. Przywódczyni Panien Shaido, a pozwala sobie okazywać zdenerwowanie! Nie zaliczała się do Jumai, ale przyłączyła się do Sevanny, wykorzystując wymówkę, że to Sevanna przemawia jako wódz, aż do czasu, nim zostanie wybrany nowy wódz Shaido. Sevanna była pewna, że Efałin podejrzewa, iż nigdy do tego nie dojdzie. Efałin wiedziała, przy kim jest władza i kiedy lepiej się nie odzywać.

– Zakopcie go głęboko i zamaskujcie grób – poleciła jej Sevanna.

Efałin przytaknęła, dając znak Pannom otaczającym pierścieniem stajnię, że mają się podnieść; po chwili wszystkie zniknęły w jej wnętrzu. Sevanna przyjrzała się budynkowi z jego spiczastym czerwonym dachem i niebieskimi ścianami, a potem stanęła twarzą do rozciągającego się przed nim pola. Niski kamienny murek, tuż przed stajnią, otaczał krąg twardo ubitej ziemi o średnicy mniej więcej stu kroków. Mieszkańcy mokradeł tresowali tutaj konie. Nie przyszło jej na myśl, by zapytać poprzednich właścicieli, czemu wytyczono go tak daleko od wszystkiego, w otoczeniu drzew tak wysokich, że jej samej nawet jeszcze teraz zdarzało się czasem na nie gapić, ale to odosobnienie służyło dobrze jej celom. To Panny pod dowództwem Efałin pojmały tego Seanchanina. Nikt, kto tu nie trafił, nie wiedział nawet, że on w ogóle istniał. Ani też nikt nie miał się o tym dowiedzieć. Czy inne Mądre gadały? O niej? W obecności Panien? Co mówiły? Nie będzie czekała ani na nie, ani na nikogo!

Wyszły ze stajni dokładnie w tym samym momencie, w którym ruszyła w stronę lasu, i

maszerowały tak za nią aż do drzew, klócąc się o Seanchanina, o Caddara, o to, dokąd posłano pozostałych Shaido. Nie na jej temat, ale z kolei nie robiłyby tego tam, gdzie mogła je słyszeć. A jednak to, co usłyszała, wystarczyło, by wywołać grymas na jej twarzy. Jumai towarzyszyło ponad trzysta Mądrych i wystarczyło, by zeszyły się trzy albo cztery, a zaraz zaczynały gadać o tym samym. Gdzie są pozostałe szczepy, czy Caddar to włócznia ciśnięta przez Randa al'Thora, ilu jest tych Seanchan, czy rzeczywiście dosiadają jaszczurek? Jaszczurki! Te kobiety były z nią od samego początku. Kierowała ich ruchami, krok za krokiem, ale one uważały, że pomogły na każdym etapie planu, wierzyły, że znają cel. Jeśli je utraci...

Las ustąpił miejsca wielkiej polanie, która mogłaby ogarnąć pięćdziesiąt takich kręgów jak tamten przed stajnią, i na ten widok Sevanna poczuła, że zły nastrój ją opuszcza. Na północy wznosiły się niskie wzgórza, a góry w odległości kilku lig za nimi były spowite chmurami, wielkie masy bieli przeplecionej ciemną szarzystą. W życiu nie widziała tylu chmur na raz. A tuż pod ręką, znacznie bliżej, miała tysiące Jumai, którzy uwijali się przy swoich codziennych pracach. Dźwięczały młoty uderzające o kowadła w kuźniach, zarzynano owce i kozy na wieczorny posiłek, ich beczeniu wtórował śmiech uganających się w zabawie dzieci. Dzięki temu, że mieli więcej czasu na przygotowanie ucieczki ze Sztyletu Zabójcy Rodu, Jumai mogli sprowadzić stada zdobyte w Cairhien i tutaj dodatkowo je powiększyć.

Wielu ludzi rozstawiło swoje namioty, mimo iż wcale nie musieli. Kolorowe konstrukcje wypełniały niemal całą polanę, jak w wielu innych wioskach mieszkańców bagien, w tym wysokie stodoły i stajnie, duża kuźnia i płaskie dachy, które dawały schronienie służbie, wszystkie pomalowane na czerwono i niebiesko i wszystkie skupione wokół samego wielkiego dachu. Budowla ta, zwana tutaj dworem, trzy piętra nakryte dachem wyłożonym ciemnozielonymi dachówkami, o ścianach pomalowanych na jaśniejszą zieleń obrzeżoną żółtą barwą, stała na szczycie rozległego wzgórza usypanego z kamieni na wysokość dziesięciu kroków. Jumai oraz *gai'shain* wspinali się po długiej rampie, która wiodła do wielkich drzwi budynku, i chodzili po zdobnie rzeźbionych balkonach.

Kamienne mury i pałace, które widziała w Cairhien, nie zrobiły na niej aż takiego wrażenia. Ten został pomalowany niczym wóz Straconych, a mimo to był przepiękny. Powinna była przewidzieć, że dysponując taką liczbą drzew, ci ludzie mogą sobie pozwolić na budowanie wszystkiego z drewna. Czyżby nikt, oprócz niej, nie widział, jak bogaty jest ten kraj? Żaden ze szczepów nigdy nie posiadał tylu odzianych na biało *gai'shain*, ilu uwijało się tutaj przy obowiązkach, niemal połowa samych Jumai! Nikt już nie narzekał, że robi się *gai'shain* z mieszkańców bagien. Byli tacy potulni! Obok Sevanny przebiegł odziany w zgrzebną biel mężczyzna o dużych oczach, w rękę ścisnął koszyk i tak się gapił na innych ludzi, że aż potknął się o rąbek swojej szaty. Sevanna uśmiechnęła się. To właśnie jego ojciec tytułował siebie panem tego miejsca i odgrażał się, że ona i jej ludzie zostaną jeszcze ukarani za tak odrażający czyn, a jednak teraz nosił biel i harował równie ciężko jak jego syn, podobnie żona, córki i pozostali synowie. Kobiety miały mnóstwo wspaniałych klejnotów i pięknych jedwabi, Sevanna wybierała wśród nich pierwsza. Kraj tak bogaty, że zdawał się wręcz ociekać przepychem.

Kobiety za jej plecami zatrzymały się na skraju drzew i o czymś przez chwilę rozmawiały. Posłyszała przypadkiem kilka słów i nastrój znowu jej się odmienił.

– ...ile Aes Sedai walczy dla tych Seanchan – mówiła Tion. – Trzeba to sprawdzić. – Someryn i Modarra mruknięciem wyraziły zgodę.

– A moim zdaniem to nie ma znaczenia – wtrąciła Rhiale. A więc jednak jej przekora komuś się ostatecznie udzieliła. – Moim zdaniem, one nie będą walczyć, chyba że je zaatakujemy. Przypomnijcie

sobie, nic nie zrobiły, dopóki nie wystąpiłyśmy przeciwko nim.

– I wtedy poległy dwadzieścia trzy spośród naszych Mądrych – zauważyła kwaśnym tonem Meira. – I nie wróciło ponad dziesięć tysięcy *algai'd'siswai*. Tutaj mamy niewiele więcej niż jedną trzecią tej liczby, nawet jeśli policzymy Pozbawionych Braci. – Ostatnie dwa słowa wypowiedziała z pogardą.

– To było dzieło Randa al'Thora! – zwróciła im uwagę Sevanna. – Zamiast rozwodzić się nad tym, co nam zrobił, zastanówcie się nad tym, co będziemy mogły z nim zrobić, kiedy już będzie nasz! „Kiedy już będzie mój” – pomyślała. Ostatecznie Aes Sedai jakoś go pojmały i długo trzymały w niewoli, a ona miała coś, czego Aes Sedai nie miały, bo inaczej przecież użyłyby tego.

– Przypomnijcie sobie, że zwyciężyliśmy Aes Sedai, dopóki on nie stanął po ich stronie. Aes Sedai są bez niego niczym!

Po raz kolejny próba podniesienia ich na duchu nie przyniosła efektu. One potrafiły pamiętać tylko o tym, że podczas prób pojmania Randa al'Thora złamano im włócznie i ducha. Modarra miała taką minę, jakby stała nad grobem całego swojego szczepu, i nawet Tion krzywiła się nerwowo, bez wątpienia wspominając, że ona też uciekała niczym przerażona koza.

– Mądre – odezwał się męski głos za plecami Sevanny – przysłano mnie z prośbą, abyście wydały swój osąd.

Na twarze wszystkich bez wyjątku kobiet błyskawicznie powrócił charakterystyczny spokój. To, czego ona nie potrafiła osiągnąć, zapewniła sama jego obecność. Żadna Mądra nie pozwoli, by ktokolwiek, oprócz innej Mądrej, zauważył, że coś ją wytrąciło z równowagi. Alarys przestała gładzić się po włosach, które przerzuciła sobie przez ramię na pierś. Żadna nie rozpoznała mężczyzny, Sevanna miała jednak wrażenie, że skądś go zna.

Przyglądał im się z powagą zielonymi oczyma znacznie starszymi od reszty twarzy. Miał pełne wargi, ale w wykroju jego ust było coś dziwnego, jakby zapomniał, jak się uśmiechać.

– Jestem Kinhuin, z *Mera'din*, Mądre. Jumai powiadają, że nie należą nam się pełne udziały z tego miejsca, bo nie należymy do nich, ale mówią tak dlatego, bo wówczas sami dostaliby mniej, jako że przypada nas po dwóch na każdego *algai'd'siswai* z Jumai. Pozbawieni Braci proszą, abyście rozsądziły sprawę, Mądre.

Niektóre z Mądrych, gdy już wiedziały, z kim mają do czynienia, nie potrafiły ukryć swej niechęci do człowieka, który porzucił własny klan i szczep, by przyłączyć się do Shaido, bo nie chciał iść za Randem al'Thorem, mieszkańcem bagien i fałszywym *Car'a'carnem*. Twarz Tion tylko zubożniała, ale oczy Rhiale rzucały błyski, a w obliczu Meiry przyczaiła się niemal jawna groźba. Jedyne Modarra okazała zainteresowanie, ale z kolei ona próbowałaby rozsądzić nawet spór zabójców drzew.

– Te sześć Mądrych wysłucha obie strony i wyda swój werdykt – obiecała Sevanna z taką samą powagą.

Pozostałe kobiety spojrzały na nią, z trudem skrywając zdziwienie, że najwyraźniej postanowiła liczyć się z ich zdaniem. Przecież to właśnie dzięki niej Jumai towarzyszyło dziesięć razy więcej *Mera'din* niżli pozostałym szczepom. Ona naprawdę podejrzewała Caddara, nawet jeśli akurat nie o to, co rzeczywiście zrobił, i pragnęła mieć przy sobie tyle włóczni, ile tylko możliwe. Poza tym zawsze był ktoś, kto mógł umierać zamiast Jumai.

Udała, że ją z kolei dziwi taka reakcja.

– Nie byłoby sprawiedliwe, gdybym sama zdecydowała, skoro chodzi o mój szczep – wyjaśniła im, zanim zwróciła się do zielonookiego mężczyzny. – Mądre wydadzą sprawiedliwy werdykt, Kinhuin. I jestem pewna, że wypowiedzą się na korzyść *Mera'din*.

Pozostałe kobiety obdarzyły ją twardymi spojrzeniami, a Tion dała nagle znak Kinhuinowi, że ma iść przodem. Jemu jednak dobrą chwilę zabrało oderwanie wzroku od Sevanny. Z bladym uśmiechem – ostatecznie wgapił się w nią, nie w Someryn – obserwowała ich, jak znikają wśród ludzi kręcących się po terenach majątku. Mimo niechęci do Pozbawionych Braci – oraz jej głośnych przewidywań co do ich decyzji – były szanse, że właśnie tak zadecydują. Tak czy owak, Kinhuin zapamięta, a potem opowie innym z jego tak zwanej społeczności. Jumai miała już w garści, ale każde dodatkowe więzi *Mera'din* z jej osobą były mile widziane.

Sevanna odwróciła się na pięcie i weszła między drzewa, ale nie skierowała swoich kroków w stronę stajni. Teraz, kiedy została sama, mogła doglądać czegoś znacznie ważniejszego niżli sprawy Pozbawionych Braci. Wsunęła dłoń między fałdy spódnicy, tam, gdzie z tyłu opadał na nią szal. Poczłaby, gdyby ukryty tam przedmiot przesunął się o włos, ale po prostu pragnęła poczuć pod palcami jego gładki kształt. Kiedy już go użyje, może nawet jeszcze dzisiaj, żadna Mądra nie ośmieli się uważać jej za gorszą. A któregoś dnia da jej Randa al'Thora. Skoro Caddar kłamał w sprawie jednej rzeczy, to być może kłamał również w związku z innymi.

Zalana łzami Galina Casban wpatrywała się z nienawiścią w Mądre, które odcięły ją tarczą od Źródła. Jakby w ogóle istniała taka potrzeba. W tym momencie nie byłaby w stanie nawet objąć Źródła. Belinde, która siedziała ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, między dwoma kuczającymi Pannami, poprawiła szal i uśmiechnęła się skąpym uśmiechem, jakby czytała w jej myślach. Twarz miała pociągłą i lisią, włosy i brwi niemal całkiem zbieleły od słońca. Galina żałowała teraz, że nie roztrzaskała jej czaszki, zamiast tylko spoliczkować.

To wcale nie była próba ucieczki, tylko po prostu reakcja na doświadczenia, których zwyczajnie nie mogła już wytrzymać. Jej dni zaczynały się i kończyły uczuciem śmiertelnego zmęczenia, z każdym dniem coraz większego. Nie umiała sobie przypomnieć, jak dawno temu wcisnęli ją w tę szorstką czarną szatę, bo dni płynęły niczym wody wiecznego strumienia. Tydzień temu? Miesiąc?

Może wcale nie tak dawno. Z pewnością nie dawniej. Żałowała, że kiedykolwiek tknęła Belinde. Gdyby tamta nie wepchnęła jej szmaty do ust, żeby uciszyć łkanie, błagałaby, żeby znowu pozwolono jej dźwigać głazy, przenosić sterty kamyków albo o którąkolwiek z tych tortur, jakimi Mądre wypełniały jej czas. Wszystko, byle nie to.

Ze skózanego worka zawieszzonego na grubym konarze dębu wystawała jedynie głowa Galiny. Tuż pod workiem, w mosiężnym koszu jarzyły się węgle, dopalały się powoli i ogrzewały powietrze w jego wnętrzu. Z kciukami przywiązanymi do palców u stóp cała się skręcała od tego niemiłosiernego skwaru, w strumieniach potu zalewającego nagie ciało. Dyszała ciężko, z twarzą oblepioną włosami, i chwyciła powietrze rozdętymi nozdrzami w tych momentach, kiedy akurat nie łkała. I może nawet byłoby to lepsze od tej nie kończącej się, bezsensownej, wyczerpującej harówki, na którą ją normalnie skazywały, gdyby nie jedna rzecz. Zanim jej ciało zostało obleczone w ten worek aż po samą szyję, Belinde obsypała ją jakimś miłąkim proszkiem i gdy zaczęła się pocić, proszek piekł niczym pieprz nasypyany do oczu. Miała wrażenie, że jest nim oblepiona od ramion w dół i, och Światłości, jakże on palił!

Wzywała Światłość i to stanowiło miarę jej desperacji, a jednak mimo wielu usiłowań nie złamały jej. Uwolni się – na pewno! A jak już to zrobi, to te barbarzyńskie kobiety zapłacą krwią! Rzekami krwi! Oceanami! Każę je wszystkie obdrzeć żywcem ze skóry! Sprawili!... Gwałtownie odrzuciła głowę i zawyla, szmaty w jej ustach zdusiły głos, ale wyła dalej i nie wiedziała, czy to wrzask wściekłości, czy też błagalne wołanie o litość.



Kiedy przestała wyc i głowa jej opadła na pierś, Belinde i Panny powstały z ziemi. Była wśród nich również Sevanna. Na widok złotowłosej kobiety Galina usiłowała stłumić łkanie, ale z równą łatwością mogłaby próbować wyrwać słońce z nieba własnymi palcami.

– Tylko posłuchajcie tego skowytu i biadolenia – zadrwiła Sevanna, podchodząc, by spojrzeć jej w twarz. Galina usiłowała odwzajemnić się spojrzeniem pełnym takiej samej pogardy. Sevanna ozdabiała się taką ilością biżuterii, że wystarczyłoby jej dla dziesięciu kobiet! Nosila bluzkę rozsznurowaną tak, że ukazywałyby niemal całe łono, gdyby nie te wszystkie niedopasowane naszyjniki. I oddychała głęboko, kiedy mężczyźni się na nią patrzyli! Galina bardzo się starała, ale trudno jej było zdobyć się na pogardę, kiedy razem z potem po policzkach ściekały jej łzy. Trzęsła się od płaczu, wprawiając worek w kołysanie.

– Ta *da'tsang* jest twarda niczym stara łania – zachichotała Belinde – ale zawsze uważałam, że nawet najtwardsza stara łania mięknie, kiedy gotować ją powoli, z dodatkiem odpowiednich ziół. Kiedy byłam Panną, zmiękczałam nawet Kamienne Psy, dostatecznie długo je gotując. – Galina zamknęła oczy. Oceany krwi, którymi zapłacą za!...

Worek zachybotał się i Galina gwałtownie otworzyła oczy, kiedy zaczął osiadać na ziemi. Panny odwiązały sznur od konaru, a potem powoli go opuściły. A ona miotała się jak oszalała, usiłując patrzeć w dół i omal na nowo nie wybuchnęła płaczem, kiedy zobaczyła, że odsunęły na bok kosz z żarem. Po tych opowieściach Belinde o gotowaniu... Taki właśnie los spotka Belinde, zdecydowała Galina. Zostanie uwiązana do rożna, który będzie obracany nad ogniem tak długo, aż nie zaczną wyciekać z niej soki! Na początek!

Skórzany wór opadł na ziemię z łomotem, Galina sapnęła głośno i zaraz przewróciła się na bok. Równie obojętne, jakby podawały sobie worek z ziemniakami, Panny wyrzuciły ją na zbrązowiałe chwasty, przecięły rzemienie, które mocowały jej kciuki do stóp, wyrwały knebel spomiędzy zębów. Do ciała oblepionego warstwą potu przywarły grudy ziemi i uschłe liście.

Z całej duszy pragnęła stanąć prosto, popatrzeć im wszystkim w oczy, zrewanżować się nienawistnym spojrzeniem, wet za wet. Ale niestety, podźwignęła się jedynie na czworaki i natychmiast musiała wpić palce rąk i nóg w leśną ściółkę. Gdyby nie to, nie powstrzymałaby rąk, rwących się do daremnych prób ukojenia piekącej, zaognionej skóry. Własny pot zdawał się mieć posmak soku z lodowego pieprzu. Mogła tylko przycupnąć tam i dygotać, starać się odzyskać choć odrobinę wilgoci w ustach i marzyć o tym, co kiedyś zrobi tym barbarzyńskim kobietom.

– A myślałam, że jesteś silniejsza – odezwała się stojąca nad nią Sevanna tonem zadumy. – Ale może Belinde ma rację. Może już dostatecznie zmiękłaś. Jeśli przysięgniesz, że będziesz okazywała mi posłuszeństwo, to przestaniesz być *da'tsang*. Może nawet nie będziesz musiała być *gai'shain*. Czy przysięgniesz, że będziesz mi we wszystkim posłuszna?

– Tak! – To jedno chrapliwe słowo sfrunęło z języka Galiny bez chwili wahania, aczkolwiek musiała przełknąć ślinę, zanim coś jeszcze dodała. – Będę ci posłuszna! Przysięgam! – Obiecała i będzie posłuszna. Tak długo, jak będzie trzeba. I to miało być wszystko, czego od niej wymagano? Tylko przysięgi, którą mogła złożyć już pierwszego dnia? A ta Sevanna sama się kiedyś przekona, jak to jest, gdy się wisi nad płonącymi węglami. O tak, Sevanna...

– W takim razie nie wyrazisz sprzeciwu i przysięgniesz na to – rzekła Sevanna, rzucając na ziemię przed nią jakiś przedmiot.

Galina poczuła mrowienie na czaszce, kiedy mu się przyjrzała. Biały pręt jakby z polerowanej kości słoniowej, długości stopy i nie grubszy od jej nadgarstka. Potem zobaczyła faliste znaki wryte na bliższym jej końcu, liczby stosowane w Wieku Legend. Sto jedenaście. Najpierw pomyślała, że to Różdżka Przysięg, jakimś sposobem wykradziona z Białej Wieży. Tamta również była pokryta

znakami, ale widniała na niej liczba trzy, która zdaniem niektórych symbolizowała Trzy Przysięgi. Może to jednak wcale nie była Róźdzka. Może. A jednak nawet widok jadowitej zmił kaptownicy z Zatopionych Ziem chyba tak by jej nie sparaliżował.

– Znakomicie, Sevanno. Kiedy zamierzałaś nam powiedzieć o tej przysiędze?

Słyszając ten głos, Galina gwałtownie zadarła głowę. Wrażeniu, jakie na niej wywierał, nie dorównałby widok jadowitej zmił.

Pośród drzew pojawiła się Therava idąca na czele kilkunastu Mądrych o zimnych twarzach. Zatrzymały się na wprost Sevanny i teraz były tu wszystkie te kobiety, które były również przy tym, jak Galinę skazywano na noszenie czarnej szaty. Therava rzuciła jakieś słowo, Sevanna skinęła głową i Panny prędko odeszły. Galina nadal ociekała potem, ale powietrze nagle wydało jej się chłodne.

Sevanna zerknęła na Belinde, która unikała jej wzroku. Wydęła wargi, na poły szyderczo, na poły drapieźnie i wsparła pięści na biodrach. Galina nie rozumiała, skąd ona bierze tyle odwagi, będąc bądź co bądź kobietą, która nie potrafi przenosić. Niektóre z Mądrych dysponowały wcale niebagatelną siłą. Jeśli chce uciec i zemścić się, nie wolno jej myśleć o nich inaczej jak o dzikusach. Mimo iż Therava i Someryn były silniejsze od jakiegokolwiek kobiety należącej do Wieży i obie mogły bez trudu zostać Aes Sedai.

A jednak Sevanna potrafiła patrzeć na nie wyzywająco.

– Wygląda na to, że prędko rozsądziłyście sprawę = powiedziała głosem suchym jak pył.

– Bo też okazała się prosta – odparła spokojnie Tion. – *Mera'din* otrzymali sprawiedliwość, na jaką sobie zasłużyli.

– I powiedziano im, że otrzymali ją wbrew twoim próbom wpłynięcia na nas – dodała z takim samym żarem Rhiale. Sevanna omal nie warknęła, słyszając te słowa.

Therava nie dała się jednak odwieść od powziętego zamiaru. Jednym szybkim krokiem podeszła do Galiny, złapała ją za włosy, poderwała na kolana i odchyliła głowę do tyłu. Therava wcale nie była najwyższa wśród tych kobiet, a jednak wydawała się wyższa od większości mężczyzn, gdy tak spoglądała na nią jastrzębimi oczyma, wybijając z głowy wszelką myśl o zemście czy buncie. Siwe pasma w ciemnorudych włosach sprawiały, że jej twarz wydawała się jeszcze bardziej władcza. Galina zacisnęła pięści, wbijając paznokcie we wnętrza dłoni. Nawet pieczenie skóry było niczym wobec tego spojrzenia. Marzyło jej się przedtem, że łamie je wszystkie, że zmusza, by błagały o śmierć, a ona odmawia im ze śmiechem. Że robi tak z wszystkimi oprócz Theravy. Therava wypełniała jej sny i Galina nie potrafiła się bronić inaczej niż tylko ucieczką; uciekała na jawę, budząc się z przeraźliwym krzykiem. Galina łamała kiedyś silnych mężczyzn i silne kobiety, a tymczasem na Theravę reagowała wytrzeszczonymi oczyma i skowytaniem.

– Ta kobieta tutaj nie ma honoru, który mogłaby splamić hańba. – Therava niemalże wypluła te słowa. – Jeśli chcesz ją złamać, Sevanno, oddaj ją mnie. Kiedy z nią skończę, nie będzie już trzeba korzystać z tej zabawki od Caddara, by zmusić ją do posłuchu.

Sevanna odpowiedziała jej podniesionym tonem, wypierając się przyjaźni z Caddarem, kimkolwiek by był, a Rhiale warknęła, że to wszak Sevanna ściągnęła go na karki pozostałych, i wtedy wszystkie zaczęły się sprzeczać, co działa lepiej: czy to „spoidło przysięg” czy też „szkatułka podróżna”.

Galina jakąś drobną cząstką umysłu uczepiła się wzmianki o szkatułce podróżnej. Słyszała już wcześniej, jak o niej rozmawiały, pragnęła położyć na niej ręce, bodaj na moment. Dzięki *ter'angrealowi*, który umożliwiłby jej Podróżowanie, choćby nie wiadomo jak niedoskonale zdawał się działać, mogłaby... Nawet widoki na ucieczkę nie mogły zabić strachu przed tym, co zrobiłaby z

nią Therava, gdyby pozostałe przystały na jej żądania. Kiedy jastrzębiówka Mądra puściła jej włosy, by przyłączyć się do sporu, Galina rzuciła się w stronę pręta, lądując płasko na brzuchu. Cokolwiek, nawet okazywanie posłuchu Sevannie, było lepsze niż trafić w ręce Theravy. Gdyby nie otoczyły ją tarczą, przeniosłaby, by sama pokierować prętem.

Nim jednak jej palce zamknęły się na gładkiej powierzchni różdżki, Therava nadepnęła na nie z całej siły, boleśnie, przygważdżając jej dłonie do ziemi. Żadna z Mądrych nawet na nią nie zerknęła, gdy tak leżała i wiła się, na próżno usiłując oswobodzić ręce. Nie mogła się zmusić, by zrobić to jednym silnym ruchem; gdzieś tam w jej głowie tłukły się mgliste wspomnienia o tym, jak to władcy bledli przed nią ze strachu, a jednak nie odważyła się podważyć stopy tej kobiety.

– Jeżeli ona ma to zrobić – powiedziała Therava, wpatrując się twardym wzrokiem w Sevannę – powinna przysiąc posłuszeństwo nam wszystkim. – Pozostałe przytaknęły, niektóre zapewniły głośno, że się zgadzają, wszystkie oprócz Belinde, która w zamyśleniu wyduła wargi.

Sevanna patrzyła równie twardo.

– Proszę bardzo – zgodziła się w końcu. – Ale ja będę pierwsza. Co z tego, że nie jestem Mądrą? Przemawiam wszak jako wódz klanu.

Therava uśmiechnęła się powściągliwie.

– Co ty nie powiesz? To w takim razie mamy wśród nas dwie pierwsze, Sevanno. Ciebie i mnie. – Z jej twarzy nie znikła ani odrobina buty, a jednak przytaknęła. Ponuro. Therava dopiero wtedy cofnęła stopę. Otaczała ją łuna *saidara*, strumień Ducha muskał liczby wyryte na końcu pręta w dłoniach Galiny. Dokładnie tak samo postępowało się z Różdżką Przysięg.

Galina zawahała się na krótką chwilę, rozprostowując zmiężdżone palce. Pod dotykiem pręt też był taki sam jak Różdżka Przysięg; niby kość słoniowa, a jednak nie całkiem, niby szkło, ale też nie całkiem, i do tego był wyraźnie chłodny. Jeśli to druga Różdżka Przysięg, to w takim razie można będzie jej użyć do anulowania każdej przysięgi, jaką teraz złoży. O ile nadarzy się sposobność. Nie chciała ryzykować, a w każdym razie nie chciała przysięgać Theravie. Dotąd to ona zawsze rozkazywała; życie od czasu dostania się do niewoli było udręką, a Therava robi z niej pieska pokojowego! Jeśli jednak nie przysięgnie, czy wtedy pozwolą Theravie ją złamać? Nie było nawet śladu wątpliwości, ta kobieta jest gotowa to zrobić. Aż do końca.

– W imię Światłości i na moją nadzieję zbawienia oraz powtórnych narodzin – już nie wierzyła ani w Światłość, ani w nadzieję zbawienia, a zresztą wystarczyło wymówić jakąkolwiek obietnicę, tyle że one oczywiście oczekiwały jakiejś nadzwyczaj silnej przysięgi – przysięgam okazywać posłuszeństwo każdej Mądrej obecnej tutaj, a przede wszystkim Theravie oraz Sevannie. – Ostatnia nadzieja, że „spoidło” to jednak coś innego, rozwiała się, kiedy poczuła, że przysięga osiada na niej, jakby nagle wdziała coś, co oblekało ją nazbyt ciasno od czaszki aż po pięty. Odrzuciła głowę w tył i przeraźliwie krzyknęła. Po części dlatego, że nagle odniosła wrażenie, jakby pieczenie na skórze wżarło się głęboko w jej ciało, ale głównie krzyczała z czystej rozpacz.

– Cicho bądź! – skarciła ją Therava. – Nie mam ochoty słuchać twojego skomlenia! – Galina zamknęła zęby ze szczękiem,omalże przygryzając sobie język, i z wysiłkiem stłumiła łkanie. Teraz nie pozostawało jej nic, jak tylko okazać posłuszeństwo. Therava spojrzała na nią krzywo. – Sprawdźmy, czy to rzeczywiście działa – mruknęła, pochylając się nad nią. – Czy zaplanowałaś jakieś akty przemocy wobec Mądrych? Odpowiedz zgodnie z prawdą i poproś o karę, jeśli tak było. Karą za gwałt zadany Mądrej – dodała, udając, że się namyśla – może być zabicie sprawcy niczym zwierzęcia. – Wymownie przeciągnęła palcem po gardle, po czym tą samą dłonią schwyciła rękojeść noża przy pasie.

Chwytając łąpczywie powietrze, Galina cofnęła się przed nią płochliwie. Ale nie potrafiła

oderwać wzroku od oczu Theravy i nie potrafiła zatrzymać słów, które przeciskały się przez jej zaciśnięte zęby.

– Prrragnęłam krzywwdy was wszystkich! Proszę, ukkkarzcie mnie zza to! – Czy ją teraz zabiją? Po tym wszystkim miała teraz tu umrzeć?

– Jak się zdaje, spoidło działa dokładnie tak, jak zapewniał twój przyjaciel, Sevanno. – Wyrwawszy pręt z omdlałych dłoni Galiny, Therava wepchnęła go sobie za pas, prostując się jednocześnie. – Wydaje się również, że jednak będziesz nosiła biel, Galino Casban. – Z jakiegoś powodu przypieczętowała to uśmiechem zadowolenia. I zaraz zabrała się za wydawanie kolejnych rozkazów. – Będziesz zachowywała się potulnie, tak jak przystało na *gai'shain*. Jeśli jakieś dziecko powie ci, że masz skakać, to będziesz skakać, dopóki któraś z nas nie powie ci, że masz przestać. I nie będziesz ani dotykała *saidara*, ani przenosiła, dopóki któraś z nas ci nie każe. Rozpleć jej tarczę, Belinde.

Tarcza zniknęła i Galina padła na kolana, wodząc w krąg pustym wzrokiem. Źródło zabłysło tuż poza polem widzenia, zwodząc ją i dręcząc. Równie prędko wyrosłyby jej skrzydła, niżby go dosięgła.

Sevanna poprawiła szal gniewnym ruchem, któremu towarzyszyło głośne poszczekiwanie bransolet.

– Zbyt wiele bierzesz na siebie, Theravo. To moje, oddaj! – Wyciągnęła rękę, ale Therava tylko splotła ręce na piersiach.

– Mądre odbywały narady – oznajmiła Sevannie, patrząc na nią surowym wzrokiem. – Podjęliśmy pewne decyzje. – Kobiety, które przybyły razem z nią, zgromadziły się za jej plecami, wszystkie patrzyły na Sevannę. Belinde pospiesznie do nich dołączyła.

– Beze mnie? – zachnęła się Sevanna. – Czyżby któraś z was ośmieliła się podejmować jakieś decyzje beze mnie? – Mówiła głosem silnym jak zawsze, ale wzrok pomknął ku różdżce za pasem Theravy i Galina pomyślała, że dostrzega w nim przelotny błysk niepokoju. W innej sytuacji patrzyłaby na to wszystko z zachwytem.

– Jedną decyzję należało podjąć bez twojego udziału – oświadczyła Tion beznamiętnym głosem.

– Sama często nam przypominasz, że przemawiasz jako wódz klanu – dodała Emerys, z drwiącym błyskiem w wielkich szarych oczach. – Czasami Mądre muszą porozmawiać bez przysłuchującego im się wodza klanu, czy też kogoś, kto przemawia jako wódz.

– Zdecydowaliśmy – powiedziała Therava – że tak jak każdy wódz klanu musi mieć Mądrą, która mu będzie doradzać, ty też musisz korzystać z rad Mądrej. To ja będę ci doradzać.

Sevanna otuliła się szalem i przyglądała się im wszystkim. Wyraz jej twarzy był nieodgadniony. Jak ona to robiła? Przecież mogły ją zmiażdżyć tak łatwo, jak młot skorupkę jajka.

– I jaką to radę mi oferujesz, Theravo? – spytała wreszcie lodowatym głosem.

– Moja rada jest prosta i dobitna: powinniśmy bezzwłocznie ruszać w drogę – odparła Therava równie chłodno. – Ci Seanchanie są zbyt blisko i jest ich zbyt wielu. Powinniśmy udać się na północ, w Góry Mgły, i tam założyć siedzibę. Stamtąd będziemy mogli rozsyłać grupy na poszukiwania innych szczepów. Ponowne zjednoczenie Shaido będzie długo trwało, Sevanno. Twój przyjaciel z mokradeł mógł nas rozproszyć po dziewięciu krańcach świata. Dopóki nie będziemy razem, pozostaniemy bezbronni.

– Wyruszmy jutro. – Jeżeli Galina dotychczas nie nabrała pewności, że zna Sevannę na wylot, to pomyślałaby teraz, że ta kobieta jest równocześnie rozżłoszczona i potulna. Zielone oczy ciskały błyski. – Ale na wschód. Czyli w przeciwną stronę niżli ziemie opanowane przez Seanchan, wciąż jednak na tereny pogrążone w zamęcie, dojrzałe do łupienia.

Zapadła długa cisza, po czym Therava przytaknęła.

– Na wschód. – Wymówiła te słowa z miękkością jedwabiu rzucanego na stal. – Ale pamiętaj, wodzom klanów nader często zdarza się żałować, że odrzucili rady Mądrej. Ciebie też może spotkać taki los. – Pogróżka obecna w wyrazie twarzy była równie czytelna jak pobrzmiwająca w tonie głosu, a jednak Sevanna tylko wybuchnęła śmiechem!

– To ty pamiętaj, Theravo! Wszystkie sobie zapamiętajcie! Jeśli ja padnę łupem sępów, wy nie unikniecie mego losu! Postarałam się o to.

Pozostałe kobiety wymieniły zaniepokojone spojrzenia, wszystkie oprócz Theravy, Modarry i Norlei, które zmarszczyły brwi.

Galina, wciąż klęcząc, szlochając i na próżno starając się ukoić podrażnioną skórę, nie mogła nie zastanawiać się nad sensem tych pogróżek. Była to uboczna myśl, która precyzyjnie się między rozgoryczeniem a litością dla samej siebie. Przyda się wszystko, co mogłaby wykorzystać przeciwko tym kobietom. O ile się odważy. Gorzka myśl.

Nagle dotarło do niej, że niebo ciemnieje. Od północy nadciągały skłębione chmury, przeplecione czernią i szarzyną, przesłaniając słońce. A z tych chmur spadały tumany płatków śniegu, wirujących w powietrzu. Żaden nie spadał na ziemię – rzadko które choćby docierały na wysokość wierzchołków drzew – a mimo to Galina wytrzeszczyła oczy. Śnieg! Czyżby Wielki Władca z jakiegoś powodu poluzował uścisk, w jakim trzymał świat?

Mądre też wpatrywały się w niebo, z otwartymi ustami, jakby w życiu nie widziały chmur, nie mówiąc już o śniegu.

– Co to jest, Galino Casban? – spytała Therava. – Gadaj, jeśli wiesz! – Nie oderwała wzroku od nieba, dopóki Galina nie powiedziała jej, że to śnieg, na co w odpowiedzi usłyszała śmiech. – Zawsze uważałam, że mężczyźni, którzy pokonali Lamana Zabójcę Drzewa kłamali, gdy opowiadali o śniegu. Przecież to coś nie wyrządziłoby krzywdy nawet myszy!

Galina w porę zacisnęła szczęki i nie wyjaśniła, czym mogą grozić opady śniegu, przerażona drażącym ją natrętnym pragnieniem przypochlebiania się i wyznania prawdy. Przerażenie zaćmiło jednak chwilowe zadowolenie, że zdołała zachować tę informację dla siebie. „Jestem najwyższą z Czerwonych Ajah” – przypomniała sobie. – „Zasiadam w Najwyższej Radzie Czarnych Ajah!” Wszystko to brzmiało jak puste przechwałki. Co za niesprawiedliwość!

– Skoro już skończyliśmy z tą sprawą – orzekła Sevanna – w takim razie zabiorę *gai'shain* pod wielki dach i dopilnuję, by odziano ją w biel. Wy możecie zostać i gapić się na śnieg, jeśli tak wam się podoba. – Mówiła tonem gładkim jak masło, nikt by się nie domyślił, że zaledwie kilka chwil wcześniej spacerowała po ostrzach sztyletów. Zapętlila szal na łokciach i poprawiła swoje naszyjniki, jakby nic na świecie nie obchodziło jej bardziej.

– Nie, to my zajmiemy się tą *gai'shain* – odpowiedziała jej równie gładko Therava. – Przemawiasz jako wódz, więc czeka cię długi dzień pracy, jeśli mamy ruszać jutro w drogę. – W oczach Sevanny znowu na moment pojawił się błysk, ale Therava tylko pstryknęła palcami i ostrym gestem dała znak Galinie, zanim odwróciła się, by odejść. – Idziesz ze mną – rozkazała. – I przestań się bocyć.

Galina, ze spuszczoną głową, podniosła się niezdarnie i potruczała śladem Theravy oraz pozostałych kobiet. Bocyła się? Mogła się chmurzyć, ale nigdy bocyć! Myśli jej tłukły się po czaszce niczym szczury w klatce, nie znajdując żadnej nadziei na ucieczkę. A przecież taka musiała istnieć! Pod wpływem jednej myśli, która przebiła się na powierzchnię pogrążonej w chaosie świadomości, omal znowu nie wybuchnęła płaczem. Czy szaty *gai'shain* są bardziej miękkie niż ta drapiąca czarna wełna, którą dotąd musiała nosić? Jakies wyjście musiało istnieć! Obejrzała się

ukradkiem i zobaczyła Sevanę, która wciąż stała w miejscu i odprowadzała je groźnym wzrokiem. W górze kłębiły się chmury, a płatki śniegu opadające na ziemię topniały jak nadzieje Galiny.

# ROZDZIAŁ 12

## NOWE SOJUSZE

Graendal bardzo żałowała, że wśród przedmiotów, które zabrała z Illian po śmierci Sammaela, nie ma ani jednego transkrybera, choćby najzwyklejszego. Ten Wiek był tak prymitywny i pozbawiony wygód, że aż niekiedy przerażał. Ale musiała też przyznać, że niektóre rzeczy trafiły w jej gust. Na przykład gromadka stu barwnie upierzonych, śpiewających ptaków zamkniętych w wielkiej bambusowej klatce ustawionej w przeciwległym krańcu komnaty, niemal równie pięknych jak para jej ulubieńców, którzy odziani w przezroczyste szaty czekali przy drzwiach, wodząc za nią wzrokiem, gotowi zaspokajać wszelkie zachcianki. Lampy oliwne nie dawały wprawdzie takiego światła jak kule jarzeniowe, niemniej jednak wspomagane wielkimi lustrami na ścianach stwarzały iluzję barbarzyńskiego przepychu, zwłaszcza pod tym sklepieniem zdobionym motywem w kształcie połączonych rybich łusek. Byłoby wygodniej, gdyby mogła załatwić wszystko drogą ustną, a jednak przelewanie słów na papier własną ręką przysparzało przyjemności pokrewnej tej, jaką Graendal odczuwała podczas szkicowania. Krój pisma obowiązujący w tym Wiekowi okazał się stosunkowo prosty, a i naśladowanie cudzego stylu nie nastroczało większych trudności.

Podpisawszy się zamasyście – nie własnym imieniem, rzecz jasna – osuszyła grubym arkuszem papieru piaskiem, po czym złożyła go i zapieczętowała jednym z sygnetów, których cały rząd – każdy był innej wielkości – tworzył dekoracyjną linię w poprzek stolika do pisania. Tym razem w nieregularnym owalu z niebiesko-zielonego wosku odcisnięte zostały Ręka i Miecz Arad Doman.

– Zawieź to jak najrychlej lordowi Ituralde'owi – rozkazała. – I przekazaj jedynie to, co ci powiedziałam.

– Popędzę co koń wyskoczy, moja lady. – Nazran ukłonił się, odbierając list, i pogładził się palcem po cienkich czarnych wąsach wieńczących zwycięski uśmiech. Barczysty i ciemnoskóry, odziany w znakomicie skrojony niebieski kaftan, był przystojny, ale nie dość. – Otrzymałem ten list od lady Tuva, która zmarła od zadanych jej ran, ale zdążyła mi jeszcze przed śmiercią powiedzieć, że była kurierem od Alsalama i że napadł ją Szary Człowiek.

– Dopilnuj, by znalazły się na nim plamy ludzkiej krwi -upomniała go. Wątpiła wprawdzie, by ktokolwiek w tej epoce potrafił odróżnić ludzką krew od zwierzęcej, ale doświadczyła dotąd zbyt wielu niespodzianek, by teraz bezsensownie ryzykować. – Ale nie za wielkie, byle stworzyły odpowiednie pozory i jednocześnie nie zamazały tego, co napisałam.

Mężczyzna znoww się ukłonił, wpijając w nią namiętne spojrzenie czarnych oczu, ale wyprostował się prędko i natychmiast pospieszył do drzwi, stukając obcasami o posadzkę wyłożoną jasnożółtym marmurem. Nie zauważył służących, wpatrzonych w nią z bezgranicznym oddaniem, a może tylko udał, że ich nie zauważa, mimo że kiedyś przyjaźnił się z tym młodym mężczyzną. Jedno dotknięcie Przymusu wystarczyło, by Nazran zaczął jej służyć z niemal takim samym zapałem jak tamtych dwoje, nie mówiąc już o tym, że nabrał przekonania, iż kiedyś zakosztuje ponownie jej wdzięków. Zaśmiała się cicho. Cóż, wierzył, że ich zakosztował, co zresztą miałoby miejsce, gdyby był nieco bardziej urodziwy. Ale wtedy nie nadawałby się do niczego innego. Zajeździ kilka wierzchowców na śmierć, byle tylko dotrzeć do Ituralde'a. Jeśli ten list, dostarczony przez bliską kuzynkę Alsalama, a rzekomo napisany przez samego króla, list, w dostarczeniu którego usiłował przeszkodzić Szary Człowiek, nie przyczyni się do spotęgowania chaosu, tym samym sprzyjając wypełnieniu rozkazów Wielkiego Władcy, to w takim razie już nic chyba go nie zastąpi, oprócz bodaj ognia stosu. Ponadto mógł jednocześnie przyczynić się do realizacji jej celów. Jej własnych.

Dłoń Graendal powędrowała ku jednemu pierścieniowi spośród leżących na stole, który nie służył jako sygnet do pieczętowania listów, a miał kształt zwykłej złotej obrączki, tak małej, że mogła ją wcisnąć jedynie na mały palec. Bardzo się mile zdziwiła, gdy pośród pamiątek pozostałych po Sammaelu znalazła *angreala* dostrojonego do kobiecej części Mocy, że w ogóle zdążyła znaleźć cokolwiek użytecznego, bo al'Thor i te jego szczeniaki, które obrały sobie miano Asha'manów, kręcili się stale po komnatach Sammaela w Wielkiej Sali Rady. Którą zresztą ogołocili ze wszystkiego, co zostawiła. Niebezpieczne szczeniaki, oni wszyscy, a al'Thor zwłaszcza. A poza tym nie chciała, by ktokolwiek połączył jej osobę z Sammaelem. Tak, musi przyspieszyć tempo realizacji swoich planów i osłabić powiązania między swoją osobą a klęską Sammaela.

Nagle w przeciwległym krańcu komnaty wykwitła pionowa srebrzysta kreska, lśniąca jaskrawo na tle gobelinów zawieszonych między bogato złożonymi lustrami, i jednocześnie rozległ się przenikliwy głos kryształowego dzwoneczka. Graendal uniosła brwi ze zdziwieniem. Czyżby ktoś pamiętał jeszcze zasady dobrego wychowania z bardziej cywilizowanego Wieku? Powstawszy, wcisnęła proste złote kółko na mały palec, tuż obok pierścienia z rubinem, objęła za jego pomocą *saidara*, a potem utkała z niego sieć, która miała wytworzyć podobny kryształowy akord, odpowiedź dla tego, kto chciał otworzyć bramę. *Angreal* z pozoru nie oferował wiele, a jednak każdy dotąd przekonany, że trafnie oszacował siłę Graendal, przeżyłby teraz wstrząs.

Brama otworzyła się i przestąpiły przez nią dwie kobiety ubrane w niemal identyczne suknie z czerwono-czarnego jedwabiu, z wyrazem takiej samej czujności na twarzach. A przynajmniej Moghedien poruszała się bardzo ostrożnie, wodząc swoimi ciemnymi oczyma po wnętrzu komnaty w poszukiwaniu pułapek i nerwowo prostując szerokie spódnice; nie rozstała się z *saidarem*, mimo iż brama zamrugła i przestała istnieć już po chwili. Zrozumiały środek ostrożności, ale Moghedien zawsze przodowała pod tym względem. Graendal też nie uwolniła Źródła. Towarzyszka Moghedien, niska, młoda kobieta z długimi srebrzystymi włosami i przenikliwymi niebieskimi oczyma, ogarnęła wnętrze zimnym spojrzeniem, prawie nie patrząc na Graendal. Tak się zachowywała, jakby była Pierwszą Doradczynią, która musi znosić towarzystwo zwykłych robotników i ignoruje ich, jak potrafi najlepiej. Głupia dziewczyna, że naśladuje Pajęczycę. Czerwień i czerń ani trochę nie pasowały do jej karnacji, a poza tym takie wdzięki powinno się lepiej wykorzystywać.

– To jest Cyndane, Graendal – oznajmiła Moghedien. – My... pracujemy razem. – Nie uśmiechnęła się, kiedy przedstawiała młodą, wyniosłą kobietę, za to Graendal nie umiała się powstrzymać. Piękne imię dla dziewczyny – bardziej niż pięknej, ale cóż mogło nakłonić którąś z matek żyjących w tych czasach, aby nadała swojej córce imię oznaczające „Ostatnią Szansę”? Twarz Cyndane pozostała zimna i gładka, za to jej oczy płonęły. Piękna lalka wyrzeźbiona z lodu, pod powierzchnią którego płonął ogień. Sprawiała takie wrażenie, jakby wiedziała, co oznacza jej imię, i wcale jej się to nie podobało.

– Co was tu sprowadza? – spytała Moghedien. Pajęczycza była ostatnią osobą, jaką spodziewała się tu zobaczyć. – Mów, przy moich sługach możesz mówić swobodnie. – Na jej znak para warująca przy drzwiach padła na kolana, przyciskając twarze do posadzki. Może nie padliby trupem na jej zwykły rozkaz, ale z pewnością ze wszystkich sił by się starali.

– Cóż takiego cię w nich interesuje, skoro niszczysz wszystko, co mogłoby uczynić ich interesującymi? – odparowała Cyndane, krocząc dumnie. Trzymała się bardzo prosto, demonstrując każdą cząstkę swojej imponującej postaci. – Czy wiesz, że Sammael nie żyje?

Graendal zachowała niewzruszoną twarz, ale nie bez wysiłku. Dotąd sądziła, że ta dziewczyna to jakiś Sprzymierzeniec Ciemności, którego Moghedien wybrała sobie na gońca, może jakaś szlachcianka, przekonana, że jej tytuł coś znaczy, ale teraz, gdy podeszła tak blisko... Ta dziewczyna



była silniejsza w Jedynej Mocy niż ona sama! Nawet w jej rodzimym wieku nie zdarzało się to często wśród mężczyzn i bardzo rzadko wśród kobiet. W tym momencie, wiedzioną instynktem, postanowiła, że jednak nie będzie się wypierała kontaktów z Sammaelem.

– Podejrzewałam – odparła, śląc fałszywy uśmiech do Moghedien ponad głową młodej kobiety. Ile ona wiedziała? Gdzie ta Pajęczycza znalazła dziewczynę o tyle silniejszą od niej i dlaczego z nią podróżowała? Moghedien zawsze była zazdrosna o każdego, kto dysponował większą siłą. Albo w ogóle był w czymkolwiek od niej lepszy. – Zwykł mnie odwiedzać, naprzykrzał się, bym mu pomogła w tym czy innym szalonym planie. Nigdy nie odprawiłam go wprost; sama wiesz, jaki groźny staje się... stawał się Sammael, gdy go odrzucić. Pojawiał się raz na kilka dni, regularnie jak w zegarku: Nie widząc go od jakiegoś czasu, przyjąłam, że przytrafiło mu się coś strasznego. Kim jest ta dziewczyna, Moghedien? Niesamowity okaz.

Młoda kobieta podeszła jeszcze bliżej, wpijając w nią spojrzenie rozjarzonego błękitnego ognia.

– Powiedziała ci, jak mam na imię. Nic więcej nie musisz wiedzieć. – Dziewczyna wiedziała, że przemawia do jednej z Wybranych, a jednak zdecydowała się na taki ton. Z pewnością nie była przeciętnym Sprzymierzeńcem Ciemności, biorąc pod uwagę choćby tylko jej siłę. A może po prostu była szalona. – Czy zwróciłaś uwagę na pogodę, Graendal?

Graendal zauważyła nagle, że Moghedien pozwala, by dziewczyna mówiła za nie obie. Że trzyma się na uboczu, okazując jawną słabość. I że ona sama na to pozwala!

– Chyba nie zjawiasz się tu po to, by mi opowiadać o śmierci Sammaela, Moghedien – upomniała ją surowym tonem. – Albo gadać o pogodzie. Wiesz przecież, że rzadko wychodzę na zewnątrz. – Miała niesforną naturę, brakowało w niej porządku. W tej komnacie, podobnie zresztą jak nieomal we wszystkich, które kiedykolwiek zamieszkiwała, nie było żadnych okien. – Czego więc chcesz? – Ciemnowłosa kobieta sunęła tuż przy ścianie, nadal otaczała ją łuna Jedynej Mocy. Graendal stanęła w innym miejscu, niby ot tak, chcąc mieć obie na oku.

– Popęlniasz błąd, Graendal. – Zimny uśmiech ledwie wygiął pełne wargi Cyndane, najwyraźniej świetnie się bawiła całą sytuacją. – To ja rozkazuję. Moghedien ma u Moridina złe notowania z powodu błędów, jakie popełniła ostatnimi czasy.

Moghedien objęła się ramionami i spojrzała wściekle na srebrzystowłosą kobietę, co mogło służyć za potwierdzenie jej słów. Cyndane nagle otworzyła jeszcze szerzej swoje wielkie oczy i głośno wciągnęła powietrze, dygocząc.

Spojrzenie Moghedien stało się złowrogie.

– Rozkazujesz, ale tylko do czasu – powiedziała szyderczym tonem. – On wcale nie ma o tobie wyższego mniemania. – I w tym momencie sama się wzdrygnęła i zadygotała, zagryzając wargę.

Graendal zastanawiała się, czy ktoś tu przypadkiem nie bawi się jej kosztem. Wzajemna nienawiść na twarzach obu kobiet zdawała się nie udawana. Na wszelki wypadek jednak sprawdzi, czy lubią, gdy je z kolei traktować jak zabawki. Nie odrywając od nich wzroku, mimo woli pocierając *angreal* zdobiący mały palec, podeszła do krzesła. Słodycz *saidara* rozlewającego się po jej wnętrzu uspokoiła ją. Nie, żeby potrzebowała uspokojenia, ale działało się tu coś dziwnego. Dzięki wysokiemu, bogato rzeźbionemu i pozłacanemu oparciu krzesło przywodziło na myśl tron, choć nie różniło się wiele od pozostałych siedzisk w komnacie. Takie szczegóły działały nawet na osoby najbardziej wyrafinowane, w sposób, jakiego ich świadomość nie potrafiła zarejestrować.

Opadła na oparcie, zakładając nogę na nogę, po czym, leniwie kołysząc stopą, przemówiła znudzonym głosem, który dopełnił jej wizerunek uosobienia spokoju.

– Ponieważ to ty rozkazujesz, dziecko, w takim razie powiedz mi, kim jest ten mężczyzna, który

przedstawia się jako Śmierć? – Moridin jest Nae’blis. – Głos dziewczyny wciąż był opanowany, zimny i arogancki. – Wielki Władca zdecydował, że pora już, abys ty również zaczęła służyć Nae’blis.

Graendal wyprostowała się gwałtownie.

– To jakaś niedorzeczność. – Nie potrafiła ukryć gniewu w głosie. – Mężczyzna, o którym w życiu nie słyszałam, został mianowany Regentem Wielkiego Władcy na Ziemi? – Nie przeszkadzało jej, gdy ktoś próbował nią manipulować, zawsze znalazła sposób, by obrócić knowania takiej osoby przeciwko niej samej, ale Moghedien musiała chyba sobie ubrdać, że ona jest jakimś przyglupem! Nie wątpiła, że to Moghedien kieruje tą wredną dziewczuchą, cokolwiek by obie twierdziły, jakimikolwiek by spojrzeniami w siebie godziły. – Służę Wielkiemu Władcy i sobie samej, nikomu innemu! Dlatego wynoście się stąd natychmiast i bawcie się w swoje gierki gdzie indziej. Może spodobać się Demandredowi. Albo Semirhage. Bądźcie tylko ostrożne, gdy będziecie przenosiły na odchodnym, bo zastawiłam kilka przenicowanych pułapek. Zapewne nie chcecie którejs uruchomić.

To było kłamstwo, ale bardzo wiarygodne, toteż Graendal przeżyła wstrząs, kiedy Moghedien przeniosła znienacka i wszystkie lampy w komnacie pogasły, pograżając jej wnętrze w ciemnościach. Graendal natychmiast poderwała się z krzesła, żeby nie znajdować się w miejscu, w którym widziały ją ostatnio, i jednocześnie sama przeniosła, tkając sieć ze światła, która zawisła z boku, przybierając kształt kuli z czystej bieli rozsiewającej w krąg migotliwe cienie. Obie kobiety znalazły się w jej blasku. Graendal bez chwili wahania przeniosła raz jeszcze, korzystając z wszystkich zasobów siły ukrytych w małym pierścieniu. Nie potrzebowała aż tyle, ale pragnęła uzyskać jak największą przewagę. Jak śmiały! Sieć Przymusu pochwyciła obie, nim zdążyły bodaj drgnąć.

Mocne utkała sieci, mocne, bo musiała dać upust swojej złości, i dlatego ich dotyk mógł niemal zboleć. Obie kobiety stały teraz wpatrzone w nią z zachwytem, z wytrzeszczonymi oczyma i otwartymi ustami, wręcz odurzone uwielbieniem. Teraz mogła im rozkazywać. Gdyby im powiedziała, że mają poderżnąć sobie gardła, zrobiłyby to. I nagle zorientowała się, że Moghedien nie obejmuje już Źródła. Wypuściła je zapewne, gdy została poddana takim ilościom Przymusu. Słudzy przy drzwiach oczywiście nawet się nie poruszyli.

– A teraz – powiedziała lekko zadyszonym głosem – odpowiecie na moje pytania. – Miała ich sporo, na przykład, kto to jest Moridin, jeśli ktoś taki rzeczywiście istnieje, i skąd pochodzi Cyndane, ale jedno przede wszystkim nie dawało jej spokoju. – Na co ty liczyłaś, Moghedien? Przecież mogę teraz postanowić, że podwiążę twoją sieć. I wtedy zaczniesz mi służyć w ramach zapłaty za swoje gierki.

– Błagam, nie! – jęknęła Moghedien, załamując ręce. Naprawdę zaczęła płakać! – Zabijesz nas wszystkie! Ty musisz służyć Nae’blis! Po to właśnie przyszłyśmy. By przyjąć cię do służby u Nae’blis! – W bladym świetle twarz niskiej, srebrzystowłosej kobiety wyglądała jak maska symbolizująca śmiertelny strach, łono zafalowało, kiedy głośno wciągnęła oddech.

Nagle zaniepokojona Graendal otworzyła usta. Z każdą chwilą to wszystko miało coraz mniej sensu. Otworzyła usta i w tym momencie Źródło gdzieś się zapodziało. Jedyne Moc wyciekła z niej i komnata na powrót pograżyła się w czerni. Naraz zamknięte w klatce ptaki rozkrzyczały się jak oszalałe, zaczęły łopotać gwałtownie skrzydłami, uderzając nimi o bambusowe pręty.

Za jej plecami rozległ się głos tak zgrzytliwy, że przywodził na myśl kamień mielony na pył.

– Wielki Władca przewidział, że być może nie uwierzysz im na słowo, Graendal. Czasy, kiedy mogłaś robić, co ci się żywnie podoba, to już przeszłość. – W powietrzu pojawiło się coś... jakby kula z... kula czarna jak śmierć, a mimo to wewnątrz komnaty wypełniło się srebrnym światłem. Tak srebrnym, że oświetlone nim lustra zdawały się nie lśnić, lecz mętnie. Ptaki znieruchomiały i

ucichły, a Graendal jakimś sposobem wiedziała, że zastęły z panicznego strachu.

Wlepiła wzrok w Myrddraala, był blady, bezoki i odziany w czerń jeszcze głębszą od czarnej kuli, a za to roślejszy od wszystkich Myrddraali, jakich widziała w życiu. Zapewne to właśnie za jego sprawą przestała wyczuwać Źródło, ale to przecież było niemożliwe! Chyba że... Skąd się wzięła ta kula czarnego światła, jeśli to nie on ją stworzył? Nigdy przedtem nie czuła trwogi, jaka owładała innymi na widok Myrddraala, a w każdym razie nie czuła trwogi o takim samym natężeniu, a tymczasem teraz jej dłonie uniosły się wbrew jej woli i musiała je siłą opuścić, żeby nie schować w nich twarzy. Zerknęła na Moghedien i Cyndane i wzdrygnęła się. Obie przyjęły taką sama pozę jak jej słudzy, padły przed Myrddraalem na kolana, skłaniając głowy ku posadzce.

W ustach całkiem jej zaschło.

– Czy jesteś posłańcem Wielkiego Władcy? – Zadała to pytanie bez zająknięcia, aczkolwiek jej głos zabrzmiał słabo. Nigdy nie słyszała, by Wielki Władca przysyłał wiadomość za pośrednictwem Myrddraala, a jednak... Moghedien bała się przemocy fizycznej, ale nadal zaliczała się do Wybranych, a tymczasem płaszczyła się równie kornie jak jej młoda towarzyszka. I jeszcze to światło. Graendal nagle pożałowała, że ma tak głęboko wycięty dekolt. Było to, rzecz jasna, idiotyczne; wprawdzie powszechnie wiadano, jakie apetyty wobec kobiet żywią Myrddraale, ale przecież ona była... Jej wzrok raz jeszcze powędrował ku Moghedien.

Myrddraal minął ją wężowymi ruchami, zdając się nie zwracać na nią żadnej uwagi. A fałdy jego długiego czarnego płaszcza nawet przy tym nie drgnęły. Zdaniem Aginora te stwory egzystowały w świecie na nieco innych zasadach niż pozostałe istoty. „Nie do końca zgodnie z czasem i rzeczywistością”, tak to określał, cokolwiek to miało znaczyć.

– Nazywam się Shaidar Haran. – Zatrzymawszy się obok jej sług, Myrddraal pochylił się i schwycił oboje za karki. – Kiedy ja coś mówię, możesz uważać, że słuchasz Wielkiego Władcy Ciemności. – Dłonie zacisnęły się i rozległ się odgłos pękających kości, nieprzyjemnie głośny. Ciałem młodego mężczyzny targnął spazm; umierał, wierzgając nogami, młoda kobieta natomiast zwiotczała jedynie. Tych dwoje zaliczało się do najpiękniejszych wśród jej ulubieńców. Myrddraal wyprostował się nad trupami. – Jestem jego ręką w tym świecie, Graendal. Kiedy stajesz przede mną, stajesz przed nim.

Graendal rozważała jego słowa pospiesznie, ale i wnikliwie. Wprawdzie strach, który teraz odczuwała, był emocją, jaką sama nawykła wzbudzać u innych, ale wiedziała też, jak go kontrolować. Niby nigdy nie stawała na czele armii, tak jak to się zdarzało innym Wybranym, to jednak ryzyko nie było jej obce i nie była też tchórzliwa, a jednak w słowach Myrddraala usłyszała coś więcej niż zwykłą pogroźkę. Moghedien i Cyndane nadal klęczały z czołami przyklejonymi do marmurowej posadzki, przy czym Moghedien jawnie dygotała. Graendal wierzyła temu Myrddraalowi czy kimkolwiek naprawdę był. Nie od dzisiaj się obawiała, że Wielki Władca postanowi wziąć bardziej bezpośredni udział w wydarzeniach. A jeśli się dowiedział o jej spisku z Sammaelem... Jeśli rzeczywiście postanowił przejść do czynu, to wówczas zakładanie się, że o niczym się nie dowiedział, byłoby w tym momencie przejawem głupoty.

Uklękła z wdziękiem przed Myrddraalem.

– W takim razie, co mi rozkażesz uczynić? – Jej głos odzyskał siłę. Niezbędna elastyczność nie była aktem tchórzostwa; tych, którzy sami nie ugięli się przed Wielkim Władcą, uginano wbrew ich woli. Albo wręcz przełamywano na pół. – Czy powinnam tytułować cię Wielkim Władcą, czy wolisz raczej inne miano? Nie czułabym się zřęcznie, przemawiając do ręki Wielkiego Władcy tak jak do niego samego.

O dziwo, Myrddraal roześmiał się śmiechem, który zabrzmiał jak odgłos kruszenia lodu.

Powiało grozą: Myrddraale nigdy się nie śmiały.

– Jesteś nad wyraz odważna. I mądrzejsza niż większość. Dla ciebie wystarczy Shaidar Haran. Dopóki będziesz pamiętała, kim jestem. I dopóki nie dopuścisz, by brawura wzięła górę nad strachem.

Kiedy dyktował rozkazy – wychodziło na to, że najważniejsza jest wizyta u Moridina, ale poza tym zrozumiała, że musi się strzec przed Moghedien i być może również przed Cyndane, które zapewne zechcą się zemścić za to, że na krótko poddała je działaniu Przymusu; wątpiła, by ta dziewczyna była bardziej skłonna do wybaczenia niż Pajęczycza – postanowiła, że zatai dla siebie informację o liście wysłanym do Rodela Ituralde. Nic z tego, czego się dowiedziała, nie oznaczało, że ten rodzaj poczynań mógł wzbudzić niezadowolenie Wielkiego Władcy, a nadto musiała jeszcze brać pod uwagę swoją pozycję. Moridin, kimkolwiek był, mógł być dzisiaj Nae'blis, ale zawsze jeszcze pozostawało jutro.

Cadsuane, która jechała rozkołysanym powozem należącym do Arilyn, uchyliła skórzaną zasłonę na oknie, żeby wyrzucić na zewnątrz. Nad Cairhien mżyło szare niebo pełne dziko skłębionych chmur i gwałtownych, wirujących wiatrów, które zresztą hulały nie tylko po niebie. Ich podmuchy, którym wtórowało głuche wycie, wstrząsały powozem silniej jeszcze niż sama jazda. Cadsuane poczuła na dłoni ukłucia drobnych, zimnych jak lód kropli. Jeśli powietrze ochłodzi się jeszcze trochę, spadnie śnieg. Otuliła się szczelnie wełnianym płaszczem; ucieszyła się, gdy go znalazła, wciśnięty na samo dno sakiew. Na pewno się ochłodzi.

Spadziste, kryte gontami dachy i brukowane chodniki lśniły od wilgoci i wprawdzie deszczu nie sposób było nazwać ulewą, ale mało kto miał ochotę zmagać się z tak silną wichurą. Właścicielka fury szła krokiem równie cierpliwym jak jej wół, którego poganiała lekkimi uderzeniami długiego bicia, ale większość przechodniów, otulonych szczelnie płaszczami i w kapturach naciągniętych na głowy, prędko ustępowała z drogi, kiedy mijali ich pędem tragarze dźwigający lektykę z *con* sztywno łopoczącą na szczycie. Ale byli też inni ludzie oprócz właścicielki fury, którzy nie widzieli powodu do pośpiechu. Na samym środku ulicy stał jakiś rosły Aiel i gapił się na niebo z niedowierzaniem, niepomny, że wszak pada na niego deszcz; do tego stopnia zaabsorbowany niezwykłym fenomenem aury, że nie zauważył nawet, gdy jakiś nadzwyczaj śmiały kieszonkowiec odciął mu od pasa sakiewkę i umknął. Kobieta ze zdobnie skręconymi i upiętymi wysoko włosami, które kazały widzieć w niej szlachciankę, przeszła obok powolnym krokiem, w płaszczu dziko rozwianym na wietrze. Być może po raz pierwszy w życiu szła piechotą przez miasto, a jednak śmiała się, mimo strug deszczu spływających po policzkach. Stojąca na progu perfumerii sklepikarka wyglądała na zewnątrz strapiionym wzrokiem, tego dnia bowiem nie mogła się spodziewać dużych obrotów. Większość ulicznych sprzedawców zniknęła z tego samego powodu, ale garstka wciąż zachwalała gorącą herbatę i mięsne placki z wózków pod składanymi markizami. Aczkolwiek każdy, kto by w tych czasach kupił mięsny placek na ulicy, całkiem słusznie zasłużyłby sobie na ból brzucha.

Z bocznej uliczki wybiegły dwa wychudłe psy, na sztywnych nogach i ze zjeżoną sierścią, poszczekując i warcząc na siebie. Cadsuane opuściła zasłonę. Psy zdawały się rozpoznawać kobiety, które potrafią przenosić, podobnie zresztą jak koty, ale w oczach psów kobiety te stanowiły chyba rodzaj kotów, tyle że nienaturalnie wielkich. Dwie kobiety siedzące naprzeciwko niej ciągle jeszcze dyskutowały.

– Wybacz mi – mówiła Daigian – ale logika nie pozwala sądzić inaczej. – Skłoniła głowę przepaszającym gestem, wprawiając w kołysanie księżycowy kamień opadający jej na czoło z

cienkiego srebrnego łańcuszka opasującego długie czarne włosy. Cały czas skubała białe wstawki w ciemnych spódnicach i mówiła gwałtownymi frazami, jakby się bała, że jej przerwą. – Jeżeli twoim zdaniem te przedłużające się upały były dziełem Czarnego, to w takim razie obecną zmianę musimy zawdzięczać jakiejś innej instancji. Czarny by się nie zmiłował. Powiesz zapewne, że postanowił jednak zamrozić albo zatopić świat, miast go upiec, ale wtedy pytanie brzmi po co? Gdyby upały utrzymały się przez całą wiosnę, to martwych byłoby więcej niż żywych, czyli skutek nie byłby inny niż gwarantowany przez śnieg padający aż do pełni lata. A zatem logiczny wniosek jest taki, że działa tu czyjaś inna ręka. – Pulchna kobieta bywała niekiedy bardzo denerwująca przez tę swoją nieśmiałość, ale Cadsuane, jak zawsze, stwierdziła, że niełatwo podważyć jej tok rozumowania. Żałowała tylko, że nie wie, czyja to ręka i co nią powoduje.

– Daj spokój! – mruknęła Kumira. – Wolałabym uncję namacalnego dowodu niżli cetnar logiki Białych Ajah. – Sama należała do Brązowych, aczkolwiek nie folgowała sobie specjalnie w typowych dla nich słabościach. Przystojna kobieta, z krótko przystrzyżonymi włosami, uparta, praktyczna i nadzwyczaj spostrzegawcza, która nigdy nie pogrążyła się tak głęboko w myślach, by nie zwracać uwagi na otaczający ją świat. Zanim się odezwała, poklepała Daigian po kolanie, i obdarzyła ją uśmiechem, który ocieplił wyraz jej błękitnych oczu. Shienaranie byli zazwyczaj uprzejmymi ludźmi i Kumira bardzo uważała, by kogoś nie urazić przez przypadkową nieuwagę. – Zainteresuj się lepiej tym, co możemy zrobić z siostrami pojmanymi przez Aielów. Wiem, że na pewno coś potrafisz wymyślić, a jeśli nie ty, to nie wiem kto.

Cadsuane prychnęła głośno.

– Zasłużyły sobie na wszystko, co je teraz spotyka. – Ani jej samej, ani żadnej z jej towarzyszek nie pozwolono zbliżyć się do namiotów Aielów, ale wśród głupców, którzy poprzysięgli lojalność al’Thorowi, znalazło się kilku amatorów wyprawy do ich wielkiego obozowiska. Wrócili ze zbieleńskimi twarzami, wściekli i jednocześnie bliscy wymiotów. Normalnie sama byłaby wściekła za taki afront wobec godności Aes Sedai, niezależnie od okoliczności, ale nie teraz. Żeby osiągnąć swój cel, przepędziłaby całą Białą Wieżę przez ulice, nago. Co ją mogły obchodzić niewygody kobiet, któreomal wszystkiego nie zniszczyły?

Kumira otworzyła usta, chcąc zaprotestować, ale Cadsuane mówiła dalej, spokojna i nieugięta.

– Może w ten sposób odpokutują za bałagan, którego narobiły, choć wątpię. Co z tego, że nie mamy do nich dostępu. Gdyby znalazły się w moich rękach, to niewykluczone, że i tak oddałabym je Aielom. Zapomnij o nich, Daigian, i popchnij ten swój znakomity umysł na ścieżkę, którą ci wytyczyłam.

Komplement sprawił, że blade policzki Cairhienianki pokraśniały. Dzięki Światłości, zachowywała się tak jedynie w obecności innych sióstr. Kumira siedziała w milczeniu, z nieruchomą twarzą i rękoma splecionymi na podołku. Nawet jeśli teraz była nieco przygnębiona, to na szczęście mało co mogło przygnębić ją na dłuższy czas. Cadsuane nie miała wątpliwości, że obie stanowią dziś dla niej idealne towarzystwo.

Powóz zachybotał się, konie biegly już bowiem po długiej rampie wiodącej do Pałacu Słońca.

– Pamiętajcie, co wam powiedziałam – upomniała je stanowczo. – I uważajcie!

Odmruknęły coś posłusznie, a ona skinęła głową. W razie konieczności wykorzystałaby je obie, jak i inne również niczym zwykłą mierzwę, ale nie zamierzała tracić żadnej tylko dlatego, że stawały się takie beztroskie.

Powóz został bezzwłocznie przepuszczony przez bramy pałacu. Gwardziści rozpoznali pieczęć Arilyn na drzwiach i wiedzieli, kto może znajdować się w środku. Ten pojazd dostatecznie często przybywał do pałacu podczas ostatniego tygodnia. W momencie gdy konie przystanąły, lokaj o

rozbieganym wzroku, odziany w surową czerń, otworzył drzwiczki i rozpostarł szeroki płaski parasol z ciemnego impregnowanego sukna. Deszcz skapywał ze skraju prosto na jego gołą głowę, ale to nie jego miał ten parasol osłaniać.

Prędko poklepawszy ozdoby zwisające z jej koczka, aby się upewnić, że wszystkie tam są – nigdy żadnej nie zgubiła, tylko dlatego, że tak uważała – Cadsuane ujęła rączkę kwadratowego wiklinowego kosza wsuniętego pod siedzenie i wysiadła z powozu. Za pierwszym lokajem stało kilku innych, też z parasolami w pogotowiu. Aż tylu pasażerów narobiłoby tłoku w każdym powozie, czyniąc go niewygodnym, ale lokajów nie mogło zabraknąć i ci nadliczbowi nie odeszli, dopóki nie stało się oczywiste, że są tylko trzy osoby.

Najwyraźniej ich powóz zauważono z daleka. Odziani ciemno służdy tworzyli idealnie równy szereg na granatowych i złotych płytkach wielkiego holu, z jego kanciastym sklepieniem na wysokości pięciu piędzi. Natychmiast podbiegli do nich, gotowi odbierać płaszcze, podawać ogrzane lniane ręczniki na wypadek, gdyby któraś zapagnęła osuszyć twarz i dłonie, względnie podsuwać puchary z porcelany Ludu Morza wypełnione grzany winem o ciężkim korzennym aromacie. Zimowy napój, a teraz ten nagły spadek temperatury sprawił, że okazał się przydatny. Ostatecznie wszak była zima. Nareszcie.

Z boku, pod masywnymi, kanciastymi kolumnami z ciemnego marmuru, pyszniącymi się na tle okazałych pastelowych frezów przedstawiających bitwy bez wątplenia ważne dla Cairhien, czekały trzy Aes Sedai, ale Cadsuane zignorowała je. Wśród usługujących im młodzieńców jeden miał na piersi kaftana wyhaftowaną czerwono-złotą sylwetkę zwierzęcia, powszechnie nazywanego Smokiem. Corgaide, siwowłosa kobieta o posępnej twarzy, która zarządzała służbą w Pałacu Słońca, nie nosiła żadnych ozdób oprócz ciężkiego pęku kluczy przy pasie. Nikt zresztą nie miał na sobie żadnych ozdób i mimo wyraźnego entuzjazmu młodego mężczyzny, to właśnie Corgaide, Opiekunka Kluczy, dyktowała nastroje wśród służby. A jednak pozwoliła młodemu mężczyźnie na ten haft – godne zapamiętania. Cadsuane zagadnęła ją cicho, prosząc o udostępnienie izby, w której mogłaby spokojnie pracować na swoim tamborku, a kobieta nawet nie mrugnęła, słysząc tę prośbę. Musiała bez wątplenia słyszeć dziwniejsze życzenia w tym miejscu.

Kiedy służdy z płaszcami i tacami zaczęli się wycofywać, kłaniając się i dygając, Cadsuane nareszcie zwróciła się do trzech sióstr stojących pod kolumnami. One z kolei patrzyły tylko na nią, lekceważąc Kumirę i Daigian. Corgaide trzymała się z tyłu, pozwalając Aes Sedai na prywatność.

– Nie spodziewałam się, że was zobaczę, swobodnie przechadzające się – powiedziała Cadsuane. – Myślałam, że Aielowie doświadczają swoje uczennice znacznie ciężiej.

Faeldrin prawie nie zareagowała, ledwie skinęła głową, poszczękując cicho kolorowymi paciorkami wplecionymi w cienkie warkoczyki, ale Merana poczerwieniała z zażenowania i zacisnęła dłonie na fałdach spódnicy. Zdarzenia wstrząsnęły Meraną tak głęboko, że Cadsuane nie była pewna, czy tamta kiedykolwiek się pozbiera. Bera, jak należało się spodziewać, wyglądała na niemalże nieporuszoną.

– Prawie wszystkie dostałyśmy dziś wolne ze względu na deszcz – odparła spokojnie Bera. Krępa kobieta w zwykłej wełnie, cienkiej i dobrze skrojonej, ale zdecydowanie prostej, że wyglądałaby lepiej na farmie niż w pałacu. Bera dysponowała jednak bystrym umysłem i silną wolą; Cadsuane nie wierzyła, by kiedykolwiek popełniła dwukrotnie ten sam błąd. Jak większości sióstr, nie do końca jeszcze spowszedniał jej fakt, że spotyka się z żywą Cadsuane Melaidhrin, we własnej osobie, ale nie pozwalała, by strach brał nad nią górę. Ledwie zauważalnie zaczerpnęła oddechu i mówiła dalej: – Nie potrafię pojąć, po co ty tu ciągle przyjeżdżasz, Cadsuane. Najwyraźniej chcesz od nas czegoś, ale dopóki nam nie powiesz, co to takiego, nie będziemy mogły ci pomóc. Wiemy, co

zrobiłaś dla Lorda Smoka – przy tym tytule zająknęła się nieznacznie; nadal nie były pewne, jak mówić na tego chłopca – ale to oczywiste, że przybyłaś do Cairhien z jego powodu i dopóki nam nie podasz dokładniejszej natury swych motywacji i zamiarów, dopóty, musisz to zrozumieć, nie doczekasz się żadnego wsparcia z naszej strony. – Faeldrin, jeszcze jedna Zielona, wzdrygnęła się, słysząc śmiały ton Bery, ale pokiwała głową, zanim ta skończyła mówić.

– I musisz zrozumieć jeszcze jedno – dodała Merana, odzyskawszy panowanie nad sobą. – Będziemy ci się przeciwstawiać, jeśli stwierdzimy, że tak trzeba. – Na twarzy Bery nie zaszła żadna zmiana, ale Faeldrin przelotnie zacisnęła usta. Może nie zgadzała się z nimi, a może nie chciała zdradzać zbyt wiele.

Cadsuane obdarzyła je skąpym uśmiechem. Miałaby im powiedzieć, co nią powoduje i co zamierza? Jeżeli zgadną? Jak dotąd same się pchały do sakiew młodego al'Thora, ze związanymi rękami i nogami, nawet Bera. Nie można było dopuścić, by podejmowały samodzielne decyzje nawet w tak błahej sprawie, jak i co na siebie włożyć rankiem!

– Nie przyjechałam tu po to, żeby się z wami spotkać – odparła. – Choć jak sądzę, Kumira i Daigian będą bardzo zadowolone z tej wizyty, skoro macie wolny dzień. A teraz zechcecie mi wybaczyć.

Dała znak Corgaide, że ma prowadzić, i poszła za nią przez hol. Obejrzała się za siebie tylko raz. Bera i pozostałe zdążyły już osaczyć Kumirę oraz Daigian i teraz w pośpiechu je dokądś prowadziły, ale raczej nie w charakterze upragnionych gości. Bardziej tak, jakby zaganiały stadko gęsi. Cadsuane uśmiechnęła się. Większość siostr uważała Daigian za kogoś niewiele lepszego od dzikuski i traktowały ją odrobinę tylko poważniej niż służkę. Pozycja Kumiry w tym towarzystwie też nie była znacznie lepsza. Nawet najbardziej podejrzliwym nie przyszłoby na myśl, że te dwie są tutaj po to, by kogoś o czymkolwiek przekonać. Dlatego też Daigian będzie nalewała herbatę i siedziała cicho, dopóki ktoś jej nie zagadnie – i będzie zaprzęgała swój znakomity umysł do wszystkiego, co usłyszy. Kumira pozwoli, by każdy oprócz Daigian odzywał się przed nią – i będzie sortowała i rejestrowała każde słowo, każdy gest i grymas. Bera i pozostałe oczywiście dotrzymają przysięg złożonych temu chłopcu – to się rozumiało samo przez się – ale jak ściśle, to już była całkiem inna sprawa. Nawet Merana może poprzestać na zwykłym, biernym posłuszeństwie. Wprawdzie ono samo było już czymś wystarczająco niedobrym, a jednak pozostawiało im sporo pola do manewru. Albo czyniło je same obiektem manipulacji.

Odziani w ciemne liberie słudzy spieszący szerokimi, obwieszonymi gobelinami korytarzami pospiesznie ustępowali drogi Cadsuane i Corgaide, których przemarszowi towarzyszył popłoch gorączkowych ukłonów i dygnięć wykonywanych nad koszami, tacami i naręczami ręczników. Zauważywszy spojrzenia wbite w Corgaide, Cadsuane nabrała podejrzeń, że szacunek jest w równym stopniu przeznaczony dla Opiekunki Kluczy co dla Aes Sedai. Po drodze zauważyła też kręcących się Aielów, rosnących mężczyzn przywodzących na myśl lwy o zimnych oczach i kobiety podobne do lampartów o oczach jeszcze zimniejszych. Niekiedy tak lodowate spojrzenie takich oczu odprowadzało ją, jakby mogło samo przez się sprowadzić śnieg, ale inni Aielowie kłaniali jej się z powagą, a niektóre z kobiet o zapalczym wzroku uśmiechały się nawet do niej. Nigdy nie twierdziła, że jest odpowiedzialna za uratowanie ich *Car'a'carna*, ale po wielokroć powtarzana opowieść o jej czynach ulegała zniekształceniu, toteż otaczał ją większy szacunek niż inne siostry, i dysponowała znacznie większą swobodą poruszania się po pałacu. Ciekawe, zastanawiała się, co by czuli, gdyby wiedzieli, że musiałyby mocno się hamować, żeby nie złoić skóry temu chłopcu, gdyby go teraz zobaczyła przed sobą! Minął zaledwie tydzień, odkąd omal nie dał się zabić, i nie tylko udawało się jemu unikać jej całkowicie, ale jeszcze bardziej utrudnił jej misję, o ile połowa z tego,

co słyszała, była prawdą. Szkoda, że nie wychował się w Far Madding. Ale z kolei wtedy też by doszło do katastrofy, tyle że odmiennego rodzaju.

W komnacie, do której zaprowadziła ją Corgaide, było rozkosznie ciepło, bo w marmurowych kominkach osadzonych w obu jej krańcach płonął ogień, a światło lamp rozpraszało posępny półmrok. Najwyraźniej Corgaide wydała zawczasu rozkazy, by to wszystko przygotowano, podczas kiedy Cadsuane jeszcze czekała w holu. Służąca pojawiła się równie prędko jak one, z gorącą herbatą, korzennym winem oraz ciasteczkami lukrowanymi miodem.

– Czy spodziewasz się jeszcze kogoś, Aes Sedai? – spytała Corgaide, kiedy Cadsuane postawiła swój koszyk z robótkami obok tacy, na stoliku z połączanymi krawędziami i nóżkami, rzeźbionym w surowe linie, podobnie jak gzyms, który był też połączany. Podczas wszystkich swoich wizyt w pałacu Cadsuane odnosiła nieodmierne wrażenie, że trafiła do jazu pełnego złotych rybek. Mimo światła i ciepła, deszcz bębniący za wysokimi, wąskimi oknami i szare niebo dodatkowo potęgowały to wrażenie.

– Herbata to znakomity pomysł – odparła. – Może zechcesz powiedzieć Alannie Mosvani, że chcę się z nią zobaczyć. Proszę, przekaż jej to bezzwłocznie.

Corgaide ukloniła się, poszczekując pękiem kluczy i mruczając z szacunkiem, że poszuka „Alanny Aes Sedai” osobiście. A wyraz powagi malujący się na jej twarzy nie zelżał na moment nawet wtedy, gdy już wychodziła. Zapewne doszukiwała się w tym poleceniu jakichś subtelności. Cadsuane zawsze starała się być bezpośrednia, kiedy to było możliwe. I w ten sposób oszukała całe rzesze ludzi, którzy nie wierzyli, że powiedziała dokładnie to, co myśli.

Uniosła wieko koszyka i wyjęła tamborek z opiętą na nim, w połowie ukończoną robótką. We wnętrzu koszyka naszyte były kieszonki, do których Cadsuane chowała przedmioty nie mające nic wspólnego z szyciem. Ręczne lustro, szczotka i grzebień oprawione w kość słoniową, piórniki i szczelnie zakrecony kałamarz, wiele rzeczy, które od lat lubiła mieć zawsze pod ręką, w tym takie, których widok zaskoczyłby każdego, kto miałby dość odwagi, by przeszukać koszyk. Co wcale nie znaczyło, by często spuszczała go z oczu. Ustawwszy na stoliku srebrną szkatułkę na nici, wygrzebała z niej potrzebne motki i zasiadła plecami do drzwi. Główna część haftu, męska dłoń ściskająca starożytny symbol Aes Sedai, była już ukończona. Przez czarno-biały dysk biegły pęknięcia, a dłoń starała się go scalić, albo może zmiażdżyć, niełatwo było rozstrzygnąć. Cadsuane wiedziała, co zaplanowała wyhaftować, ale czas miał dopiero pokazać, czy będzie to odpowiadało prawdzie.

Nawlekła igłę i zabrała się za haftowanie jednego z bocznych elementów, jasnoczerwonej róży. Róże, gwiazdobłyski i promienniki na przemian ze stokrotkami, rumiankami i śnieżnikami, a każdy kwiat z kolei oddzielony wstęgami nagich pokrzyw i kolczastych jeżyn. Tak, zanosilo się, że haft będzie bardzo interesujący.

Nie skończyła nawet połowy pierwszego płatka, gdy w płaskim wieczku szkatułki na nici jej oko zarejestrowało mgnienie ruchu. Umieściła ją specjalnie w takim miejscu, by odbijała drzwi. Nie podniosła oczu znad tamborka. Na progu stała Alanna, wpatrzona złym wzrokiem w jej plecy. Cadsuane nie przerwała pracy, ale obserwowała odbicie kątem oka. Alanna dwukrotnie odwracała się, jakby chciała odejść, ale ostatecznie wyprężyła się, wyraźnie zbierając się w sobie wewnątrz.

– Wejdz, Alanno. – Nadal nie podnosząc głowy, Cadsuane wskazała przestrzeń przed swoim krzesłem. – Stań sobie tutaj. – Uśmiechnęła się złośliwie, kiedy Alanna niemal podskoczyła. Bycie legendą dawało niekiedy pewne korzyści, zwłaszcza że ludzie, którzy mieli do czynienia z legendą, rzadko kiedy zauważali coś, co było oczywiste.

Alanna wkroczyła do pokoju, poświstując jedwabnymi spódnicami, i z nadętą miną stanęła tam,



gdzie jej kazała Cadsuane.

– Dlaczego tak się nade mną pastwisz? – spytała podniesionym tonem. – Nie powiem ci nic więcej prócz tego, co już powiedziałam. Nie wiem zresztą, z jakiej racji miałabym cokolwiek ci mówić! On należy do!... – Urwała raptownie, zagryzając dolną wargę, ale równie dobrze mogła dokończyć zdanie. Że młody al'Thor należał do niej, że to jej Strażnik. Miała czelność tak myśleć!

– Zatrzymałam dla siebie prawdę o twojej zbrodni – odrzekła cicho Cadsuane – bo nie widziałam powodu, by dodatkowo gmatwać sprawy. – Podniosła wreszcie wzrok na swoją rozmówczynię i nadal przemawiała łagodnym głosem. – Ale jeśli ci się zdaje, że w związku z tym rezygnuję z pomysłu drażenia cię tak, jak się draży kapustę, to zastanów się raz jeszcze.

Alanna zeszywniała. I nagle wokół niej rozkwitła luna *saidara*.

– Proszę bardzo, możesz się wygłupiać, jeżeli już koniecznie chcesz. – Na twarzy Cadsuane pojawił się zimny uśmiech. Sama nie wykonała żadnego ruchu, by objąć *saidara*. Czuła chłód bijący od jednej z ozdób zwisających z jej włosów, splecionych złotych półksiężyców, które dotykały jej skroni. – Nic ci dotąd nie zrobiłam, ale moja cierpliwość nie jest wieczna. W rzeczy samej trzyma się, można by rzec, na cienkiej nitce.

Alanna zmagala się wewnątrz, machinalnie wygładzając niebieski jedwab. Aż w pewnym momencie luna Mocy zgasła, a ona gwałtownie odwróciła głowę od Cadsuane, potrząsając długimi czarnymi włosami.

– Nie mam już nic więcej do powiedzenia. – Wypowiedziała te słowa posępnym tonem, ledwie wkładając w nie dość tchu, by były słyszalne. – Był ranny, a potem przestał być ranny, ale nie sądzę, by Uzdrawiała go któraś z sióstr. Wciąż męczy się z ranami, których nikt mu nie Uzdrowił. Poza tym stale się przemieszcza, Podróżuje, ale nadal przebywa na południu. Wydaje mi się, że teraz jest w Illian, ale z tego, co mi wiadomo, równie dobrze mógł udać się do Łzy. Przepelniają go złość, ból i podejrzenia. I to jest wszystko, co wiem, Cadsuane. Nie mam nic więcej do dodania!

Uważając, żeby się nie oparzyć srebrnym dzbankiem, Cadsuane nalala herbatę do filiżanki, sprawdzając, czy naczynie z cienkiej zielonej porcelany jest ciepłe. Jak należało się spodziewać, herbata w srebrnym dzbanku prędko ostygła. Przeniosła krótko, żeby ją podgrzać. Ciemna herbata za mocno smakowała miętą, Cairhienianie, jej zdaniem, nadużywali mięty. Nie zaferowała Alannie herbaty. Podróżował. Jakim sposobem ten chłopiec odkrył na nowo wiedzę, którą Biała Wieża utraciła wraz z Pęknięciem?

– Ale będziesz mnie dokładnie informowała o wszystkim, nieprawdaż, Alanno? – To nie było pytanie. – Spójrzże na mnie, kobieto! Jeśli on ci się przyśni, to chcę znać wszystkie szczegóły tego snu!

W oczach Alanny rozblęsnęły łzy.

– Na moim miejscu postąpiłabyś tak samo!

Cadsuane spojrzała na nią z ukosa. Może. Nie było różnicy między tym, co zrobiła Alanna, a gwałtem, jakiego mężczyzna dopuszcza się na kobiecie, ale, Światłości, dopomóż jej, może by tak postąpiła, gdyby wierzyła, że to jej pomoże w osiągnięciu celu. Niemniej jednak przestała już rozważać pomysł, czy nie zmusić Alanny, by ta przeniosła więź na nią. Alanna dowiodła zupełnej bezużyteczności więzi zobowiązań, jeśli szło o sprawowanie nad nim kontroli.

– Nie każ mi czekać, Alanno – rzekła lodowatym tonem. Nie czuła żadnej sympatii do tej kobiety. Alanna zaliczała się do długiego szeregu sióstr, od Moiraine poczynając, na Elaidzie kończąc, które zamiast naprawiać, pogarszały tylko sytuację. I to wszystko w czasie, gdy ona ściagała, najpierw Logaina Ablara, a potem Mazrima Taima.

– Będę cię dokładnie informowała – rzekła z westchnieniem Alanna, dąsając się jak mała

dziewczynka. Cadsuane aż zaswędziała ręka, żeby ją spoliczkować. Alanna nosiła szal od blisko czterdziestu lat, powinna się zachowywać bardziej dojrzałe. Ale nic dziwnego, była Arafelianką. W Far Madding dziewczyny dwudziestoletnie rzadko dęsały się i nadymały, za to Arafelianki potrafiły to robić nawet na łożu śmierci, po osiągnięciu sędziwego wieku.

Naraz oczy Alanny zognomniały ostrzegawczo i Cadsuane dostrzegła odbicie jeszcze jednej twarzy w wieku szkatułki. Odstawiła filizankę na tacę, odłożyła tamborek, podniosła się i stanęła twarzą do drzwi. Nie spieszyła się, ale też nie zwlekała i przede wszystkim nie bawiła się w te same gierki co z Alanną.

– Skończyłaś z nią już, Aes Sedai? – zagadnęła Sorilea, wchodząc do komnaty. Pomarszczona, siwowłosa Mądra przemówiła do Cadsuane, ale jej wzrok pozostał wlepiony w Alannę. Kość słoniowa i złoto zaszczękały cicho na przegubach dłoni, które wsparła na biodrach, pozwalając, by ciemny szal zsunął się na łokcie.

Kiedy Cadsuane odparła, że istotnie skończyła, Sorilea wykonała jednoznaczny gest w stronę Alanny, która natychmiast wyszła z komnaty. Czy raczej wypadła z niej jak oparzona, z wyrazem skrajnego wzburzenia na twarzy. Sorilea odprowadziła ją krzywym spojrzeniem. Cadsuane spotykała już wcześniej tę kobietę i były to interesujące spotkania, mimo iż przelotne. Nie poznała wielu ludzi, którzy jej zdaniem zasługiwaliby na miano groźnych, ale Sorilea z pewnością się do nich zaliczała. Może nawet pod pewnymi względami dorównywała jej samej. Podejrzewała też, że ta kobieta jest równie wiekowa jak ona, może nawet starsza, a kogoś takiego nigdy nie spodziewała się poznać.

Ledwie Alanna zdążyła zniknąć, na progu stanęła Kiruna, rozkopująca swoje szare jedwabne spódnice w pośpiechu i patrząca w głąb korytarza, w kierunku, w którym zniknęła Alanna. W rękę trzymała zdobnie trawioną złotą tacę, na której stał jeszcze bardziej zdobny złoty dzban z wysoką szyjką i całkiem nie dopasowane dwa gliniane kubki z białą glazurą.

– Dlaczego Alanna biegła? – spytała. – Przyszłabym prędzej, Sorileo, ale... – W tym momencie spostrzegła Cadsuane i jej policzki okryły się najciemniejszym odcieniem purpury. Ta posągowa kobieta wyglądała wyjątkowo dziwnie, gdy się wstydziła.

– Odstaw tacę na stół, dziewczyno – powiedziała Sorilea – i idź do Chaelin. Zapewne już czeka, żeby udzielić ci lekcji.

Kiruna sztywnymi ruchami odstawiła tacę, unikając wzroku Cadsuane. Kiedy już się odwróciła w stronę wyjścia, Sorilea schwyciła ją za podbródek kościstymi palcami.

– Zaczęłaś ostatnio bardzo się starać, dziewczyno – oznajmiła Mądra. – Tylko tak dalej, a wiele osiągniesz. Bardzo dobrze. No, idź już. Chaelin nie jest tak cierpliwa jak ja.

Sorilea machnęła ręką w stronę korytarza, ale Kiruna długo się w nią jeszcze wpatrywała, nawet nie drgnąwszy, z dziwnym wyrazem twarzy. Gdyby Cadsuane miała zgadywać uczucia tamtej, powiedziałaaby, że Kiruna jest zadowolona z pochwały i jednocześnie zadziwiona swoim zadowoleniem. Siwowłosa kobieta otworzyła usta i Kiruna otrząsnęła się, a potem wypadła z pokoju. Niezwykłe widowisko.

– Naprawdę uważasz, że ona nauczy się waszych sposobów tkania *saidara*? – spytała Cadsuane, skrywając niedowierzanie. Kiruna i pozostałe opowiadały jej o tych lekcjach, ale wiele ze splotów Mądrych zasadniczo się różniło od nauczanych w Białej Wieży. Technika tkania splotu o określonym przeznaczeniu raz na zawsze pozostawiała w umyśle jakby odcisk pierwotnego sposobu jej wykonywania, toteż nauczenie się innej metody właściwie było prawie niemożliwe, a nawet gdy taka sztuka się powiodła, to wykonywany według nowego sposobu splot prawie nigdy nie działał jak należy. To był jeden z powodów sprawiających, że niektóre siostry nie witały z otwartymi ramionami dzikusek przybywających do Wieży, niezależnie od ich wieku; mogły umieć zbyt wiele i często

trudno je było oduczyć wpojonych nawyków.

Sorilea wzruszyła ramionami.

– Nie wiadomo. Nauczenie się drugiego sposobu jest dostatecznie trudne, choćby przez brak symulacji tkania rękami, którą uprawiacie wy, Aes Sedai. Kiruna Nachiman musi się przede wszystkim nauczyć tego, że to ona posiada dumę, a nie duma ją. Będzie bardzo silną kobietą, kiedy już wbije to sobie do głowy. – Przysunęła krzesło, przyjrzała mu się z powątpiewaniem i dopiero wtedy usiadła. Wydawała się niemal tak samo sztywna i skępowana jak przedtem Kiruna, ale władczy gestem nakazała Cadsuane usiąść, demonstrując, iż jest kobietą obdarzoną silną wolą, przyzwyczajoną do wydawania rozkazów.

Cadsuane zasiadła z powrotem na swoim krześle, tłumiąc ponury chichot. Dobrze, gdy jej przypominano, że Mądre, nieważne, czy dzikuski czy nie, żadną miarą nie zasługiwały na miano barbarzyńskich ignorantek. To oczywiste, że wiedziały, skąd rodzą się problemy. A co do tkania rękami... Nie miała okazji przyglądać im się zbyt często, ale zauważyła, że Mądre tworzą niektóre sploty bez tych gestów, które stosują siostry. Ruchy dłoni nie stanowiły tak naprawdę elementu splotu, ale z kolei towarzyszyły procesowi jego uczenia się. Być może w dawnych czasach żyły takie Aes Sedai, które potrafiły, na przykład, strzelać ognistymi kulami bez wykonywania gestu imitującego rzucanie, ale jeśli tak, to dawno temu pomarły i razem z nimi ich wiedza. Obecnie niektórych rzeczy zwyczajnie nie dawało się wykonać bez stosownych gestów. Były takie siostry, które twierdziły, że potrafią orzec, kto uczył Jakąś inną siostrę na podstawie ruchów, jakie ta wykonywała przy tkaniu swoich splotów.

– Jak dotąd uczenie dowolnej z naszych nowych uczennic okazywało się w najlepszym razie trudne – ciągnęła Sorilea. – Nie mówię tego, żeby kogoś obrazić, ale wy Aes Sedai składacie przysięgę i, jak się zdaje, natychmiast staracie się jakoś ją obejść. Alanna Mosvani jest szczególnie trudna. – Naraz spojrzenie jej zielonych oczu utkwione w Cadsuane stało się wyjątkowo przeszywające. – No bo jak mogłybyśmy ją karać za błędy, które popełnia rozmyślnie, skoro w ten sposób zadajemy ból *Car'a'carnowi*?

Cadsuane splotła dłonie na podołku, z wielkim trudem maskując zdziwienie. Tyle było zachodu z utrzymaniem zbrodni Alanny w tajemnicy. Tylko dlaczego ta kobieta dała jej do zrozumienia, że wie? Być może jedna rewelacja pociągała za sobą drugą.

– Więż nie działa w taki sposób – odparła. – Jeśli ją zabijecie, to on umrze albo od razu, albo krótko potem. A poza tym on wie, co się z nią dzieje, ale tak naprawdę tego nie czuje. Przebywając tak daleko jak teraz, ma jedynie mętną świadomość, jeśli w ogóle.

Sorilea powoli skinęła głową. Dotknęła palcami złotej tacy spoczywającej na stoliku i zaraz oderwała rękę. Twarz miała równie nieodgadnioną jak posąg, ale Cadsuane domyśliła się, że Alannę spotka jakaś nieprzyjemna niespodzianka następnym razem, gdy popuści cugle temperamentu albo pozwoli na te swoje arafeliańskie dąsy. Ale to nie miało znaczenia. Liczył się tylko chłopiec.

– Większość mężczyzn przyjmuje to, co im się daje, jeśli to dla nich atrakcyjne i przyjemne – stwierdziła Sorilea. – Kiedyś tak myśleliśmy o Randzie al'Thorze. Niestety, za późno, by, zmieniać ścieżkę, którą podążamy. Teraz on żywi podejrzenia wobec wszystkiego, co jest mu oferowane za darmo. Gdybym obecnie chciała, by on coś przyjął, udawałabym, że nie chcę, aby to dostał. Gdybym chciała znaleźć się blisko niego, udawałabym, że jest mi obojętne, czy w ogóle go jeszcze kiedyś zobaczę. – Spojrzenie jej oczu, podobnych do dwóch zielonych świdrów, po raz kolejny skupiło się na Cadsuane. Wcale nie starała się dostrzec, co się kryje w jej głowie. Ta kobieta wiedziała. Przynajmniej częściowo. Dość albo zbyt wiele.

A jednak Cadsuane czuła narastające podniecenie. Jeśli miała dotąd jakiegokolwiek wątpliwości,

że Sorilea ją bada, już się ich pozbyła. Tym bardziej że nikt nie sondował drugiej osoby w taki sposób, jeśli nie liczył na jakąś ugodę.

– Czy uważasz, że mężczyzna powinien być twardy? – spytała, ryzykując wiele. – Albo silny? – Tonem dawała dobitnie do zrozumienia, że sama widzi różnicę.

Sorilea ponownie dotknęła tacy; na jej wargach przelotnie zapełgał nieznaczny uśmiech. A może to było tylko złudzenie.

– Większość mężczyzn uważa, że te dwa określenia oznaczają to samo, Cadsuane Melaidhrin. Silne wytrzymuje, twarde się roztrzaskuje.

Cadsuane zrobiła wdech. Każdego ukarałaby srodze za podejmowanie takiego ryzyka. Ale ona nie była każdym, a zresztą czasami trzeba ryzykować.

– Ten chłopiec wprawia je w konfuzję – stwierdziła. – Powinien być silny, ale staje się coraz twardszy. Już jest zbyt twardy i nie przestanie twardnieć, dopóki coś go nie powstrzyma. Zapomniał już, co to śmiech, wyjąwszy śmiech dyktowany goryczą; nie zostało mu ani trochę łez. Jeżeli na powrót nie odnajdzie śmiechu i łez, świat stanie w obliczu klęski. On musi się nauczyć, że Smok Odrodzony to także ciało. Jeśli uda się na pola Tarmon Gai'don w takim stanie, to nawet jego zwycięstwo może się okazać równie ponure jak porażka.

Sorilea słuchała uważnie i milczała nawet wtedy, gdy Cadsuane skończyła mówić. Przyglądała się jej tymi zielonymi oczyma.

– W naszych prorocत्वach nie ma mowy o waszym Smoku Odrodzonym i waszej Ostatniej Bitwie – powiedziała w końcu. – Próbowaliśmy zmusić Randa al'Thora, by poznał swoją krew, ale obawiam się, że on postrzega nas jako jeszcze jedną włóczęgę. Jeśli jedna włócznia złamie się w twoim ręku, nie zatrzymujesz się, by ją oplakiwać, zanim ujmiesz następną. Być może ty i ja dążymy do celów, które wcale nie są tak bardzo od siebie odległe.

– Może i tak – zgodziła się dyplomatycznie Cadsuane. Cele, które dzieliła odległość równa dłoni, wcale nie musiały być podobne.

Nagle kobietę o pomarszczonej twarzy otoczyła łuna *saidara*. Mądra była tak słaba, że w porównaniu z nią Daigian wydałaby się co najmniej umiarkowanie silna. Ale z kolei siła Sorilei bynajmniej nie opierała się na Mocy.

– Jest taka jedna rzecz, którą być może uznasz za przydatną – oznajmiła. – Nie potrafię sprawić, by działała, ale potrafię utkać sploty, żeby ci ją pokazać. – I zrobiła tak, jak obiecała, tkając wątle pasma, które wskakiwały na swoje miejsce i natychmiast topniały, zbyt słabe, by wywołać zamierzony skutek. – To się nazywa Podróżowanie – powiedziała.

Tym razem Cadsuane opadła szczeka. Alanna, Kiruna i inne wypierały się, jakoby przekazały Mądrym wiedzę o łączeniu kręgu tudzież wielu innych rzeczach, które tamte nagle jakby znikąd umiały, toteż Cadsuane założyła, że Aielom udawało się wyciągać je siłą z sióstr więzionych w namiotach. Jednak to...

Niemożliwe, powiedziałyby, a jednak nie sądziła, że Sorilea kłamie. Ledwie mogła się doczekać, kiedy sama wypróbuje sploty, co wcale nie znaczyło, by natychmiast miała z niego skorzystać. Nawet gdyby wiedziała, gdzie znajduje się ten młody nikczemnik, to i tak musiała go zmusić, żeby do niej przyszedł. W tej sprawie Sorilea miała rację.

– To wspaniały dar – powiedziała powoli. – Nie dysponuję niczym porównywalnym, co mogłabym ci ofiarować w zamian.

Tym razem nie było wątpliwości, że na wargach Sorilei zakwitł przelotny uśmiech. Wiedziała znakomicie, że Cadsuane jest teraz jej dłużniczką. Ujawszy obiema dłońmi ciężki złoty dzban, ostrożnie napełniła dwa małe białe kubki. Czystą wodą. Nie rozlała ani kropli.

– Proponuję ci przysięgę wody – powiedziała uroczystym tonem, podnosząc jeden z kubków. – Dzięki niej staniemy się jednością i nauczymy Randa al’Thora śmiechu i łez. – Upiła łyk i Cadsuane zrobiła to samo.

– Jesteśmy związane jako jedna. – A jeśli się okaże, że ich cele wcale nie są takie same? Nie, żeby nie doceniała Sorilei jako sojuszniczki albo przeciwniczki, ale Cadsuane dobrze wiedziała, w jaki to cel należy uderzyć za wszelką cenę.

# ROZDZIAŁ 13

## NICZYM PŁATKI ŚNIEGU NA WIETRZE

Północny horyzont aż zsiniał od ulewnego deszczu, który całą noc chłostał wschodnią część Illian. Poranne niebo pełne ciemnych, skłębionych chmur ciskało groźby, a porywisty wiatr targał połami płaszczy i sprawiał, że sztandary zatknięte na szczycie grani, biały Sztandar Smoka i purpurowy Sztandar Światłości, a także kolorowe proporce szlachty z Illian, Cairhien i Łzy, głośno łopotały i trzaskały niczym bity. Wysoko urodzeni trzymali się razem, trzy stojące w sporych odległościach grupki ludzi w strojach lejących się od złota i posrebrzanej stali, w jedwabiach, aksamitach i koronkach, a jednak ich spojrzenia kryły zdenerwowanie. Nawet najlepiej wyszkolone wśród ich koni podrzucały łbami i wbijały kopyta w błotnisty grunt. Wiatr był zimny, a zdawał się jeszcze zimniejszy, jeśli go porównać z upałem, który przegnał tak niespodzianie, podobnie zresztą deszcz, zadziwiający po długiej nieobecności. Wszyscy, niezależnie od tego, z jakiego pochodzili kraju, modlili się dotąd, by ta okrutna susza nareszcie ustąpiła, nikt natomiast nie wiedział, co myśleć o tych bezlitosnych burzach, które nastąpiły w odpowiedzi na ich modły. Niektórzy zerkali na Randa, kiedy im się zdawało, że tego nie widzi. Być może zastanawiali się, czy to nie on przypadkiem jest za wszystko odpowiedzialny. Zaśmiał się cicho, z goryczą, kiedy mu to przyszło do głowy.

Dłonią odzianą w skórzaną rękawicę poklepał po karku swojego karego konia, zadowolony, że Tai'Daishar nie okazuje nawet śladu zdenerwowania. To potężnie zbudowane, przypominające posąg zwierzę z całkowitym spokojem czekało na nacisk wodzy albo kolan, by zaraz ruszyć. Dobrze, że wierzchowiec Smoka Odrodzonego zdawał się równie zimny jak on sam, jakby obu unosiła Pustka. Mimo że w jego wnętrzu szalała Jedyna Moc, ogień, lód i śmierć, ledwie zauważał wiatr, który rozwiewał połę haftowanego złotem płaszcza i przeszywał na wskroś kaftan z zielonego jedwabiu gęsto zdobionego złotem, całkiem nieodpowiedni na taką pogodę. Rany w boku pulsowały boleśnie, zarówno ta stara, jak i nowe, rany, które nie miały się nigdy zagoić, ale to uczucie też było jakby odległe, jakby dotyczyło obcego ciała. Korona Mieczy mogła ranić obce skronie ostrymi czubkami miniaturowych ostrz ukrytych pośród złotych liści laurowych. Nawet skaza przepleciona z *saidinem* zdawała się mniej dokuczliwa niżli kiedyś; nadal obrzydliwa, ale niegodna już uwagi. Co innego wzrok arystokratów utkwiony w jego plecach, namacalny niczym dotyk:

Poprawił rękojeść miecza i pochylił się do przodu. Z miejsca, w którym się znajdował, widział formację zwartych niskich wzgórz porośniętych lasami, pół mili na wschód, tak wyraźnie, jakby używał szkła powiększającego. Tu tereny były płaskie i właśnie te wzgórza oraz długa grań, na której się znajdowali, stanowiły jedyne zakłócenia płaszczyzny. Następny zagajnik, dostatecznie gęsty, by zasługiwać na takie miano, znajdował się dobre dziesięć mil dalej. Jedyne widzialne szczegóły krajobrazu były zmaltretowane przez burzę, po części bezlistne drzewa i splątane kępy poszycia, ale Rand wiedział, co ukrywają. Dwa, może trzy tysiące ludzi, zwerbowanych przez Sammaela, którzy mieli go powstrzymać przed zajęciem Illian.

Ta armia rozpadła się na wieść, że człowiek, który ich zwerbował, nie żyje, a Mattin Stepaneos gdzieś zniknął – być może również w grobie – natomiast w Illian panuje nowy król. Wielu pierzchno z powrotem do swych domów, ale równie liczna rzesza została. Zazwyczaj nie spotykało się ich więcej jak po dwudziestu tu, trzydziestu tam, ale stworzyliby wielką armię, gdyby zeszli się razem, a tak stanowili po prostu liczne zbrojne bandy. Czy zgromadzą siły, czy nadal pozostaną w rozsypce, nie można pozwolić, by się błakali samopas po okolicy. Czas ciążył mu na ramionach niczym ołów. Czasu brakowało zawsze, ale może tym razem... Ogień, lód i śmierć.

„A co ty byś zrobił?” – zastanawiał się. – „Jesteś tam?” A potem, pełen zwątpienia, zwątpienia tego równocześnie nienawidząc, zapytał jeszcze: „A w ogóle byłeś tam kiedykolwiek?” Odpowiedziało mu milczenie, głuche i martwe w otaczającej Pustce. A może nie milczenie, tylko szalony śmiech w zakamarkach własnego umysłu? Czyżby to sobie wyobraził, tak jak czasem człowiek sobie wyobraża, że ktoś za nim stoi, że zaraz dotknie jego pleców? A te kolory nie-kolory, które wirowały tuż poza zasięgiem widzenia i znikwały? O takich rzeczach mogli mówić tylko szaleńcy. Powiódł kciukiem po rzeźbieniach oplatających Berło Smoka. Długie zielono-białe tasiemki uwiązane pod wypolerowanym grotem trzepotały na wietrze. Ogień, lód i śmierć.

– Sam pójdę z nimi pogadać – oznajmił, wywołując wybuch entuzjazmu.

Lord Gregorin, w zielonej szarfię Rady Dziewięciu nałożonej ukośnie na zdobnie złożony napierśnik, pognął swego białego konia w stronę Illiańczyków, tuż za nim ruszył Demetre Marcolin, Pierwszy Kapitan Towarzyszy, na krzepkim gniadoszu. Marcolin był jedynym wśród nich, który nie miał na sobie ani jedwabiu, ani też krztyńny koronki, jedyny w prostej, choć wypolerowanej do połysku zbroi, aczkolwiek stożkowaty hełm spoczywający teraz na wysokim łuku siodła był ozdobiony trzema cienkimi złotymi piórami. Lord Marac uniósł wodze, po czym opuścił je niepewnie, kiedy spostrzegł, że żaden z pozostałych członków Rady nawet nie drgnie. Marac, barczysty mężczyzna o powściągliwym usposobieniu, należał do Rady od niedawna i często sprawiał wrażenie bardziej rzemieślnika niż lorda mimo bogatych jedwabii wystających spod zdobnej zbroi i wylewających się na nią kaskad koronek. Wysocy Lordowie Weiramon i Tolmeran, strojni złotem i srebrem jak wszyscy członkowie Rady, a także Rosana, nowo wyniesiona do godności Wysokiej Lady, odziana w napierśnik z godłem jej Domu, przedstawiającym Jastrzębia i Gwiazdy, odłączyli się od grupy pozostałych Tairenian. Wśród nich co drugi chciał z pozoru ruszyć ich śladem, ale potem zostawał z tyłu, wyraźnie zdenerwowany. Szczupły jak ostrze miecza Aracome, niebieskooki Maracomm i łysy Gueyam sprawiali wrażenie już martwych, z czego nie zdawali sobie sprawy, bo choć bardzo pragnęli znaleźć się w samym centrum władzy, bali się, że Rand ich pozabija. Cairhienian reprezentował jedynie lord Semaradrid dosiadający siwka, który widział już kiedyś lepsze czasy, odziany w sfatygowaną zbroję ze złuszczonego złocenia. Twarz miał zmizerowaną i stwardniałą, przód czaszki wygolony i upudrowany jak u zwykłego żołnierza, a jego ciemne oczy lśniły pogardą na widok wyższych od niego Tairenian.

Wzajemnej pogardy wyczuwało się zresztą wiele w tym zgromadzeniu. Tairenianie i Cairhienianie nienawidzili się wzajem, a Illiańczycy i Tairenianie wzajem sobą gardzili. Jedynie Cairhienianie i Illiańczycy znosili się do jakiegoś stopnia, ale nawet i oni zwykli prawić sobie złościwości. Ich dwa kraje mogły nie mieć za sobą równie długiej historii krwawych konfliktów jak Łza i Illian, a jednak Cairhienianie byli nadal uzbrojonymi cudzoziemcami na glebie Illian, dlatego też witano ich w najlepszym razie letnio, i to głównie dlatego, że szli za Randem. Ale mimo tych wszystkich krzywych spojrzeń, jeżenia się i prób wchodzenia sobie w słowo, kłębili się dookoła Randa, w płaszczach rozwianych na wietrze, bo w pewnym sensie mieli przed sobą jeden wspólny cel.

– Wasza Wysokość – powiedział pospiesznie Gregorin, kłaniając się ze swego okutego złotem siodła – błagam cię z całego serca, abys pozwolił mi jechać z tobą albo z Pierwszym Kapitanem Marcolinem. – Jego krągła twarz, ozdobiona kanciastą bródką, aż marszczyła się od strapienia. – Ci ludzie muszą wiedzieć, że jesteś królem... we wszystkich wioskach, na każdym rozstaju dróg zostały odczytane odezwy... ale oni mogą nie okazać należytego szacunku wobec twojej korony. – Obdarzony wydatną szczęką, gładko wygolony Marcolin przyglądał się Randowi ciemnymi, głęboko osadzonymi oczami, niczym nie zdradzając, co się kryje za jego beznamiętnym obliczem. Lojalność

Towarzyszy była przypisana do korony Illian i Marcolin był dostatecznie stary, by pamiętać czasy, kiedy Tam al'Thor był Drugim Kapitanem, wyższym odeń rangą, ale zachował dla siebie, co myśli o Randzie al'Thorze jako królu.

– Lordzie Smoku – rzekł dobitnym tonem Weiramon, wykonując swój ukłon i nie czekając, aż Gregorin skończy. Ten człowiek zawsze mówił dobitnym tonem i zdawał się prężyć nawet na koniu. Wdziewał tyle zdobnych aksamitów, pasiastych jedwabi i kaskad koronek, że niemal maskował nimi zbroję, a od jego spiczastej, szpakowatej bródki biło kwietną wonią perfumowanej pomady. – To zbyt nędzna hałastra, by Lord Smok miał się nią interesować osobiście. Trzeba szcuć psy, żeby łapały psy, powiadam. Niech ich wykurzą z ukrycia Illiańczycy. Ażeby mi dusza szczała, jak dotąd nie zrobili nic, żeby ci służyć, oprócz gadania. – Można było mieć pewność, że gotów jest w każdej chwili zmienić porozumienie z Gregorinem w karczemną awanturę. Tolmeran, dostatecznie szczupły, by Weiramon wydawał się przy nim zwalisty i dość ponury, by przyćmić blask odzienia tamtego, nie był byle durniem i rywalizował ponadto z Weiramonem, a jednak przytaknął powoli na znak, że się zgadza. Tutaj nie było wiele ciepłych uczuć dla Illiańczyków.

Semaradrid spojrział na Tairenian z pogardliwie wykrzywionymi ustami, ale swoje słowa skierował do Randa, wchodząc w słowo Weiramonowi.

– Ta grupa jest dziesięć razy większa od wszystkich, na jakie natykaliśmy się do tej pory, Lordzie Smoku. – Król Illian nic go nie obchodził i Smok Odrodzony niewiele więcej, ale akurat tak się składało, że to Rand dysponował tronem Cairhien i Semaradrid liczył, że zostanie ofiarowany on komuś, za kim to on będzie mógł pójść, a nie komuś, kogo będzie musiał zwalczać. – Zapewne wciąż są lojalni wobec Brenda, bo inaczej nie trzymaliby się razem w takiej liczbie. Obawiam się, że rozmowa z nimi to strata czasu, ale skoro już musisz, to w takim razie pozwól, bym im pokazał za pomocą stali, gdzie ich miejsce, żeby wiedzieli, jaka jest cena za wykroczenie poza przepisane granice.

Rosana natychmiast wbiła wściekłe spojrzenie w Semaradrida, szczupła kobieta, niewysoka, a jednak dorównująca mu wzrostem, obdarzona oczyma barwy błękitnego lodu. Ona też nie zaczekała, aż skończy mówić, i również skierowała swoje słowa do Randa.

– Pokonałam zbyt daleką drogę i zainwestowałam w ciebie zbyt wiele, by teraz patrzeć, jak umierasz, i to na darmo – oznajmiła obcesowo. Rosana, nie głupsza od Tolmerana, uczestniczyła w radach Wysokich Lordów, mimo iż taireniańskie arystokratki rzadko to robiły, a określenie „obcesowa” znakomicie do niej pasowało. Tairenianki wdziewały wprawdzie zbroje, ale żadna tak naprawdę nie prowadziła żołnierzy do boju, podczas gdy Rosana mocowała do swego siodła maczugę okutą żelazem i Rand odnosił niekiedy wrażenie, że miała ochotę się nią posłużyć. – Wątpię, by tym Illiańczykom brakowało łuków – powiedziała. – A wystarczy tylko jedna strzała do zabicia Smoka Odrodzonego. – Marcolin, który wydał wargi, robiąc zamyśloną minę, przytaknął jej odruchowo, po czym oboje wymienili zaskoczone spojrzenia, każde bardziej zdziwione od drugiego, że oto myśli podobnie jak odwieczny wróg.

– Ci chłopcy nie znaleźliby w sobie dość ambicji, by zostać pod bronią bez czyjejś zachęty – ciągnął gładko Weiramon, ignorując Rosanę. W ignorowaniu innych był prawdziwym mistrzem. Kiedy chciał, potrafił niczego nie widzieć ani nie słyszeć. Był skończonym durniem. – Czy wolno mi zasugerować, że Lord Smok powinien szukać źródła owej zachęty wśród tych tak zwanych Dziewięciu?

– Protestuję przeciwko impertynencjom tej taireniańskiej świni, wasza wysokość! – warknął Gregorin, niemalże wchodząc tamtemu w słowo i sięgając dłonią do miecza. – Protestuję z całego serca!



– Tym razem jest ich zbyt wielu – stwierdził w tym samym momencie Semaradrid. – W każdym razie większość rzuci się na ciebie, gdy tylko staniesz do nich plecami. – Sądząc po jego wymownym grymasie, mógł równie dobrze mówić nie tylko o mężczyznach ukrytych wśród wzgórz, ale i o Tairenianach. Może zresztą tak było. – Lepiej ich zabić i raz na zawsze rozwiązać problem!

– Czy ja pytałem kogoś o zdanie? – odwarknął ostro Rand. W tym momencie zapadła cisza, przerywana jedynie donośnym trzaskaniem płaszczy i sztandarów targanych podmuchami wiatru. Naraz te pozbawione wyrazu twarze zwróciły się ku niemu, niejedną powlekła szarość. Nie wiedzieli, że on obejmuje Moc, ale znali go. Wprawdzie nie znali całej prawdy, ale liczyło się przede wszystkim to, w co wierzyli. – Pojedziesz ze mną, Gregorin – powiedział normalniejszym głosem, nadal jednak twardym. Stał była jedyną rzeczą, którą rozumieli; gdyby zmiękł, natychmiast zwróciliby się przeciwko niemu. – I ty też, Marcolin. Reszta zostanie tutaj. Dashiva! Hopwil!

Wszyscy nie wymienieni z imienia ściągnęli wodze i pospiesznie zawrócili konie, podczas gdy dwaj Asha'mani podjechali do Randa; Illiańczycy przyglądali się mężczyznom w czarnych kaftanach takim wzrokiem, jakby oni też woleli zostać. Zwłaszcza że Corlan Dashiva jak zwykle robił groźne miny i mrucał coś do siebie. Wszyscy wiedzieli, że *saidin* prędzej czy później doprowadza mężczyzn do szaleństwa, a obdarzony pospolitą twarzą Dashiva, z tymi prostymi, nie przystrzyżonymi włosami rozwianymi na wietrze, który stale oblizywał wargi i potrząsał głową, z pewnością wyglądał jak ktoś, kogo być może już to dotknęło. A skoro już o tym mowa, Eben Hopwil, zaledwie szesnastoletni, z twarzą, na której wciąż pojawiały się pryszcze, patrzył takim wzrokiem, jakby ścigał coś niewidzialnego. W jego przypadku Rand wiedział przynajmniej, czym to należy tłumaczyć.

Kiedy Asha'mani podjechali bliżej, Rand mimo woli przekrzywił głowę, nasłuchując tego, co działo się we wnętrzu jego głowy. A tam, oczywiście, była Alanna i ani Pustka, ani Moc nie mogły tego zmienić na jotę. Dzieląca ich odległość redukowała to wrażenie – do wiedzy, że ona istnieje, że jest gdzieś daleko na północy – a jednak tego dnia pojawiło się coś jeszcze, coś, co już zdarzało mu się ostatnimi czasy odczuwać, mgliście i ledwie na skraju pola świadomości. Jakby szept wyrażający oszołomienie albo może wściekłość, oddech czegoś ostrego, czego nie potrafił do końca uchwycić. Cokolwiek to było, źródłem musiały być jakieś bardzo silne uczucia wobec niego, skoro docierały do niego mimo tak wielkiej odległości. Może za nim tęskniła. Nieprzyjemna myśl. On za nią nie tęsknił. Ignorowanie Alanny było łatwiejsze teraz niż kiedyś. Ona tam była, ale nie ten głos, który zwykł krzyczeć o śmierci i zabijaniu za każdym razem, gdy w zasięgu wzroku pojawił się jakiś Asha'man. Lews Therin zniknął. Chyba że to wrażenie, jakby ktoś wpatrywał się w tył jego czaszki, jakby ktoś dotykał palcem jego łopatki, to był on. Czy naprawdę głęboko, w toni jego myśli, rozlegał się ochryply śmiech szaleńca? Czy raczej był to jego własny śmiech? Ten człowiek tam był! Był!

Dotarło do niego, że Marcolin oraz Gregorin przyglądają mu się, ten drugi zwłaszcza bardzo się starał, żeby tego nie robić nazbyt otwarcie.

– Jeszcze nie – zapewnił ich rozdrażnionym tonem i omal się nie roześmiał, widząc, że zrozumieli od razu. Ulga na ich twarzach malowała się zbyt czytelnie, by mogło być inaczej. Jeszcze nie postradał zmysłów. Na razie. – Ruszamy – zarządził i zaczął zjeżdżać galopem w dół zbocza. Mimo że tamci jechali za nim, czuł się samotny. Mimo wypełniającej Moc, czuł się pusty.

Między granią a wzgórzami rozciągały się kępy gęstych zarośli i długie połacie uschłej trawy, połyskująca płatanina brązu i żółci całkiem stratowana przez deszcz. Zaledwie kilka dni temu grunt był tak spieczony, że zdaniem Randa mógł wchłonąć rzekę i nic by to nie zmieniło. A potem nadeszły nawałnice zesłane przez Stwórcę, który nareszcie się zmiłował, albo może przez Czarnego, który miał przyływ czarnego humoru. A teraz galopujące konie na każdym kroku rozbryzgiwały błoto. Liczył, że to nie potrwa długo. Wiedział, na podstawie raportu od Hopwila, że ma trochę czasu, ale

przecież nie wieczność. Może kilka tygodni, jeśli mu szczęście dopisze. Potrzebował kilku miesięcy. Światłości, toż on potrzebował lat, których miał nigdy nie otrzymać!

Dzięki temu, że Moc wyczuliła jego słuch, mógł częściowo usłyszeć to, o czym rozmawiali podążający za nim mężczyźni. Gregorin i Marcolin jechali obok siebie, osłaniając się płaszczami przed wiatrem i rozmawiając zniżonymi głosami o ludziach, z którymi zaraz mieli się spotkać, o swych obawach, czekającej ich być może walce. Żaden nie wątpił, że w razie oporu ulegną miażdżącej przewadze liczebnej, ale bali się, jaki to może mieć wpływ na Randa i co on z kolei zrobi, gdyby Illiańczycy przystąpili do walki z nim teraz, kiedy Brend nie żył. Nadal nie potrafili nazywać Brenda jego prawdziwym imieniem, Sammael. Sam pomyślał, że jeden z Przeklętych władał Illian, przerażał ich jeszcze bardziej niż fakt, że rządził tu teraz Smok Odrodzony.

Dashiva garbiący się w siodle swego siwka niczym człowiek, który nigdy wcześniej nie widział konia na oczy, mruknął coś gniewnie pod nosem w Dawnej Mowie, którą posługiwał się w mowie i piśmie z wprawą uczonego. Rand znał trochę Dawną Mowę, ale nie tak dobrze, by zrozumieć, co tamten mamrocze. Zapewne narzekał na pogodę; mimo iż był farmerem, nie lubił przebywać poza domem, chyba że niebo było czyste.

Jedynie Hopwil jechał w milczeniu, krzywiąc się do jakichś iluzji za horyzontem, wiatr rozwiewał mu włosy i płaszcz równie dziko jak Dashivie. Co jakiś czas odruchowo chwycił rękojeść swego miecza. Rand musiał przemawiać do niego trzy razy, ostatnim razem ostrym tonem, zanim zdziwiony Hopwil wzdrygnął się i uderzył podeszwą buta swego ciemnobrązowego wierzchowca, jadącego tuż obok Tai'daishara.

Rand przyjrzał mu się uważnie. Ten młody mężczyzna – już nie chłopiec, niezależnie od wieku – nabrał ciała od tamtego razu, kiedy Rand zobaczył go po raz pierwszy, aczkolwiek jego nos i uszy nadal wydawały się stworzone dla kogoś roślejszego. Podobnie jak u Dashivy, smok ze złota i czerwonej emalii stanowił równowagę dla srebrnego Miecza przypiętego do drugiego kołnierza. Powiedział kiedyś, że z radości będzie się śmiał cały rok, gdy dostanie Smoka, a tymczasem spoglądał na Randa, nie mrugając, jakby patrzył przez niego na wylot.

– Przywiozłeś mi dobre wieści – zapewnił go Rand. Z wielkim wysiłkiem powstrzymał się, by nie zmiażdżyć Berła Smoka zaciśniętego w garści. – Dobrze się spisaleś. – Spodziewał się, że Seanchanie powrócą, ale nie że aż tak szybko. Miał taką nadzieję. I nie przewidział, że wyskoczą znikąd, że będą połykali miasta całymi haustami. Kiedy odkrył, że kupcy w Illian wiedzieli o tym od wielu dni i że żadnemu nie przyszło do głowy, by poinformować o tym Dziewięciu (Światłości, wybaczyć, tracą szansę na zysk, jeśli zbyt wielu ludzi wiedziało zbyt wiele!), był o włos bliski spalenia miasta. A jednak wieści okazały się dobre albo wręcz najlepsze z możliwych w tych okolicznościach. Hopwil, który Podróżował do okolic Amadoru, dowiedział się, że Seanchanie jakby na coś czekają. Być może na razie musieli przetrwać to, co dotychczas pożarli. Oby Światłość sprawiła, aby się tym udławili! Zmusił się, by połuźnić uścisk na kikucie włóczni z grotem w kształcie Smoka. – Jeśli Morr przywiezie wieści w połowie tak dobre, to wtedy starczy mi czasu na załatwienie sprawy Illian, zanim rozprawię się z nimi. – A także sprawy z Ebou Dar! Ażeby ci Seanchanie szczęśli! Niepotrzebnie rozpraszała jego uwagę, a nie mógł sobie pozwolić na ich zignorowanie.

Hopwil nic nie powiedział, tylko patrzył.

– Zadręczasz się, bo musiałeś zabić kobiety? – „Desora, z Musara Reyn, i Lamelle, z Miagoma Dymnych Wód i...”

Rand całą siłą woli zagłuszył w sobie tę litanie, która zaczęła dryfować po powierzchni Pustki. Na liście pojawiły się nowe imiona, a on nie pamiętał nawet, kiedy je dodał. Laigin Arnault,

Czerwona siostra, która zginęła podczas próby pojmania go w Tar Valon. Z pewnością nie miała prawa do miejsca na liście, a jednak je otrzymała. Colavaere Saighan, która wolała się powiesić, niż przystać na wydany wyrok. Inne. Mężczyzn, którzy umarli z jego rozkazu albo z jego ręki były całe tysiące, ale to twarze kobiet nawiedzały jego sny. Co noc zmuszał się do konfrontacji z tymi oczyma oskarżającymi go w milczeniu. Może to właśnie ich wzrok czuł na sobie ostatnimi czasy.

– Opowiadałem ci o *damane i sul'dam* – przypomniał spokojnym głosem, ale w jego wnętrzu płonąła wściekłość, ogień, który niczym pajęczyna oplatał skorupę Pustki. „Ażebyś szczęł w Światłości, twoje koszmary senne nie pomieściłyby wszystkich tych kobiet, które zabiłem! Moje ręce są aż czarne od ich krwi!” – Gdybyś nie rozprawił się z tym seanchańskim patrolem, to oni ani chybi zabiliby ciebie. – Nie powiedział, że Hopwil powinien był ich unikać, że powinien był unikać konieczności ich zabijania. Za późno na to. – Wątpię, by *damane* potrafiły oddzielić mężczyznę tarczą od Źródła. Nie miałeś wyboru. – I lepiej, że one wszystkie zginęły, zamiast uciec z wieścią o tropiącym ich mężczyźnie, który potrafi przenosić.

Hopwil roztargnionym ruchem musnął lewy rękaw swojego kaftana, czarny kolor maskował nadpalone miejsca. Seanchanie nie umierali ani łatwo, ani szybko.

– Ciała zrzuciłem razem do jakiejś dziury – oznajmił beznamiętnym głosem. – Konie, wszystko. Spaliłem na popiół. Biały popiół, który unosił się na wietrze niczym płatki śniegu. Nie mogę powiedzieć, żeby zrobiło to na mnie szczególne wrażenie.

Rand usłyszał kłamstwo, ale Hopwil musi się jeszcze wiele nauczyć. Musi, jakkolwiek by było. Byli, czym byli, i nic nie można było zmienić. Nic. Liah, z Cosaida Chareen, imię zapisane ogniem. Moiraine Damodred, kolejne imię, nie tylko płonące, ale wżarte kwasem w samą duszę. Jakaś bezimienna kobieta, Sprzymierzeniec Ciemności, którą zabił jego miecz, obecna tylko jako twarz...

– Wasza Wysokość – rzekł głośno Gregorin, wskazując przed siebie. Spomiędzy drzew rosnących u stóp najbliższego wzgórza wyłonił się samotny mężczyzna; stał i czekał na nich w wyraźnie wyzywającej pozie. W rękę miał łuk, na głowie stalowy hełm i odziany był w kolczugę z pasem, która sięgała mu niemal do kolan.

Rand pomknął na spotkanie z nim, cały ociekając Mocą. *Saidin* mógł go obronić przed mężczyznami.

Z bliska łucznik nie zdawał się już taki dzielny. Na jego hełmie i kolczudze widać było plamy rdzy; wyglądał na przemoczonego do suchej nitki, ubrudzony błotem po pas i z mokrymi włosami przylepionymi do pociągłej twarzy. Zanosił się głuchym kaszlem i pocierał się po nosie wierzchem dłoni. Ale cięciwa w jego łuku zdawała się naprężona, widać ochronił ją przed deszczem. I również upierzenia jego strzał były suche.

– Ty tu dowodzisz? – zapytał go władcym tonem Rand.

– Można rzec, że przemawiam w imieniu naszego dowódcy – odparł czujnie tamten. – A bo co? – Gdy śladem Randa przygalopowali pozostali, przestąpił z nogi na nogę, ale spojrzenie jego ciemnych oczu pozostało nieodgadnione.

– Strzeż swego języka, człowieku! – warknął Gregorin. – Przemawiasz do Randa al'Thora, Smoka Odrodzonego, Władcy Poranka i króla Illian! Na kolana przed królem! Jak się zwiesz?

– Niby on jest Smokiem Odrodzonym? – spytał z wyraźnym powątpiewaniem mężczyzna. Obejrzał sobie Randa od korony po buty, zawiesiwszy na chwilę spojrzenie na sprzączce z pozłacanym Smokiem, po czym pokręcił głową, jakby się spodziewał zobaczyć kogoś starszego albo bardziej majestatycznego. – I Władcą Poranka, powiadasz? Nasz król nigdy nie kazał się tak tytułować. – Nie wykonał żadnego ruchu, którym by dawał do zrozumienia, że zamierza uklęknąć, ani też się nie przedstawił. Gregorinowi na ton głosu tamtego aż pociemniała twarz, być może chodziło o

podanie w wątpliwość królewskiego majestatu Randa. Marcolin nieznacznie skinął głową, jakby dawał do zrozumienia, że niczego więcej nie oczekiwał.

W poszyciu wśród drzew rozległ się stłumiony wilgocią szelest. Rand usłyszał go bez trudu i nagle poczuł, że Hopwil wypełnia się *saidinem*. Hopwil, który przestał się już wpatrywać w jakiś nie istniejący punkt i teraz przyglądał się drzewom z napięciem i dzikim blaskiem w oku. Dashiva, który wciąż milczał i odgarniał rozczapierzonymi palcami włosy z twarzy; wyglądał na znudzonego. Gregorin wysunął się w siodle do przodu i gniewnie otworzył usta. Ogień i lód, ale jeszcze nie śmierć.

– Spokojnie, Gregorin. – Rand nie podniósł głosu, tylko utkał sploty, by niosły jego słowa, sploty Powietrza i Ognia, by zadudniły, odbijając się od ściany drzew. – Moja oferta jest hojna. – Długonosy mężczyzna aż się zachwiał, gdy usłyszał grom słów, a koń Gregorina spłoszył się. Ukryci mężczyźni na pewno wyraźnie go słyszeli. – Złóżcie broń. Jeśli ktoś chce wrócić do domu, wolno mu. Ci, którzy zdecydują się przyłączyć, do mnie proszę. Jednak żaden człowiek nie zostanie tu pod bronią, nie stawszy się pierwaj moim żołnierzem. Wiem, że większość z was to dobrzy ludzie, którzy odpowiedzieli na wezwanie waszego króla i Rady Dziewięciu, by bronić Illian, ale teraz to ja jestem waszym królem i nie pozwolę, by ktokolwiek dalej zbójował.

– A co z Zaprzysiętymi Smokowi, którzy palą farmy? -rozległ się czyjś przerażony okrzyk zza drzew. – To są przekłeci bandyci!

– I co z Aielami? – zawołał drugi. – Słyszałem, że niszczą całe wioski! – Dołączyło do nich jeszcze więcej głosów niewidzialnych mężczyzn, wszyscy krzyczeli o tym samym, o Zaprzysiętych Smokowi i o Aielach, o morderczych bandytach i barbarzyńcach. Rand zazgrzytał zębami.

Kiedy okrzyki zaczęły cichnąć, mężczyzna o pociągłej twarzy powiedział:

– Rozumiesz teraz? – Urwał, by odchrząknąć, po czym zasępił się i splunął, może był chory na płuca, a może tylko dla podkreślenia wagi swoich słów. Żaloszny widok, cały przemoczony i zardzewiały, ale kręgosłup miał równie prężny jak cięciwę. Ignorował wściekłe spojrzenie Randa z równą łatwością jak Gregorina. – Żadasz od nas, abyśmy wracali do domów nieuzbrojeni, niezdolni bronić ani siebie, ani naszych rodzin, gdy tymczasem twoi ludzie palą, kradną i zabijają. A wszak powiadają, że nadciąga burza – dodał i wyraźnie się zdziwił, że to powiedział. Zdziwił i na chwilę stracił kontenans.

– Ci Aielowie, o których słyszeliście, to moi wrogowie! -Nie pajęczyny z płomieni tym razem, tylko lite płachty furii oplotły się ciasno wokół Pustki. A jednak jego głos przypominał lód, ryczał niczym mróz trzaskający w sercu zimy. Nadchodziła burza? Światłości, to on przecież był tą burzą! – Moi Aielowie polują na nich. Moi Aielowie polują na Shaido, oni też, do spółki z Davramem Bashere'em i większością Towarzyszy polują na bandytów, jakkolwiek by się oni nazywali! Ja jestem królem Illian i nikomu nie pozwolę burzyć pokoju w nim panującego!

– Zakładając, że to, co mówisz, jest prawdą... – zaczął pociągła twarz.

– To prawda! – zachnął się Rand. – Macie do południa czas na podjęcie decyzji. – Mężczyzna skrzywił się niepewnie; mógł mieć trudności z rozpoznaniem południa, o ile te skłębione chmury nie poznikają. Rand nie uspokoił go. – Decydujcie rozsądnie! – dodał. Zawróciwszy Tai'daishara, spiął ostrogi i pogalopował w stronę grani, nie czekając na pozostałych.

Niechętnie uwolnił Moc, zmusił się, by nie czepiać się jej, niczym człowiek, który czepia się paznokciami zbawienia, a wtedy jakby całe życie i cały brud wyciekły zeń równocześnie. Przez chwilę widział podwójnie, świat zdawał się kołysać mdląco. Te kłopoty pojawiły się ostatnio i martwiło go, że może to być początek choroby, która zabijała przenoszących mężczyzn, jednak zawroty głowy nigdy nie trwały dłużej jak kilka chwil. To całej reszty, jaką tracił, puszczając Źródło, żałował. Świat zdawał się bezbarwny, jałowy. Nie, nie zdawał się, on naprawdę tracił barwy i

jakimś sposobem równocześnie malał. Kolory stawały się wyblakłe, niebo robiło się mniejsze w porównaniu z tym, jakie było przedtem. Desperacko pragnął na powrót objąć Źródło i wydrzeć z niego Moc. Tak było zawsze, kiedy Moc go opuszczała.

Zanim jednak *saidin* zniknął, wściekłość znowu wezbrała i zajęła swoje miejsce; rozpalona do białości i paląca, niemal równie gorąca jak przedtem Moc. Już Seanchanie nie wystarczyli, jeszcze ci bandyci podszywający się pod jego imię? Śmiertelnie niebezpieczna dekoncentracja, na którą nie mógł sobie teraz pozwolić. Czy to Sammael wyciągał rękę zza grobu? Czyżby to on posiał Shaido, by kielkowali niczym ciernie wszędzie tam, gdzie Rand położył dłoń? Dlaczego? Ten człowiek nie potrafił uwierzyć, że umrze. I jeśli połowa opowieści, jakie usłyszał Rand, była prawdziwa, to było ich więcej w Murandy, w Altarze i Światłość jedna wiedziała gdzie jeszcze! Wielu spośród Shaido pojmanyh już do niewoli, opowiadało o jakichś Aes Sedai. Czyżby Biała Wieża też była zaangażowana? Czyżby Biała Wieża nie miała go nigdy zostawić w spokoju? Nigdy? Nigdy.

Zmagając się z furją, nie widział ani Gregorina, ani pozostałych, którzy zdążyli go dogonić. Kiedy dotarł na gran do oczekujących arystokratów, ściągnął wodze tak gwałtownie, że Tai'daishar stanął dęba, przebierając kopytami w powietrzu i rozbryzgując błoto. Tamci zaczęli wycofywać swoje wierzchowce, z dala od jego konia, z dala od niego.

– Dałem im czas do południa – obwieścił. – Pilnujcie ich. Nie chcę, żeby ci ludzie rozbili się na pięćdziesiąt mniejszych band i spróbowali chyłkiem umknąć. Będę w swoim namiocie. – Gdyby nie rozwiane na wietrze płaszcze, wyglądałoby jak kamienne posągi, wrosnięte w ziemię, od których żądał, by osobiście pełniły straż. W tym momencie nie obchodziło go, czy będą stali tutaj, dopóty nie zamarzną na kość albo się nie roztopią.

Nie mówiąc już ani słowa, zjechał przeciwnym zboczem grani, wyprzedzając dwóch odzianych na czarno Ashamanów i Illiańczyków niosących jego sztandary. Ogień i lód, a śmierć dopiero nadciągała. Ale on sam był stałą. Był stałą.

# ROZDZIAŁ 14

## WIADOMOŚĆ OD M'HAELA

Milę na zachód od grani rozciągały się już obozowiska – ludzie, konie, światła ognisk, targane wiatrem sztandary i nieliczne tylko namioty, zgrupowane podług narodowości albo Domów. Z daleka wyglądały jak rozlewiska spienionego błota poprzedzielane wstęgami wrzosowisk. Konni i piesi obserwowali mijający ich potok sztandarów Randa, ale równocześnie nie spuszczały z oka pozostałych, śledząc każdy ich ruch. Gdy jeszcze widzieli wokół siebie Aielów, wówczas czuli się jak jedna ogromna wspólnota, mieli bowiem coś, co ich scalało: nie byli Aielami i bali się Aielów, choć nie dopuszczali tej myśli do świadomości. Rand nie łudził się, że może liczyć na ich lojalność albo że bodaj pojną kiedyś, iż przeznaczenia świata nie da się tak nagiąć, by mogli spokojnie realizować własne cele, zaspokajając żądze złota, sławy, władzy. Może zresztą nieliczni wiedzieli, jak się sprawy mają, ale takich była tylko garstka, większość szła za nim, ponieważ bali się go bardziej niż Aielów. A może nawet bardziej niż samego Czarnego, bo jedni w skrytości serca w ogóle nie wierzyli w istnienie Czarnego, innym zaś zwyczajnie nie mieściło się w głowach, że Czarny mógłby skorumpować świat jeszcze bardziej, niż to się już stało. Randa mieli na wyciągnięcie ręki i tylko dlatego godzili się poniekąd na uznanie jego roszczeń. Jakoś się z tym pogodził. Czekalo go zbyt wiele bitew, by tracić siły na niemożliwą do wygrania. Póki go nie zdradzą i będą wypełniali rozkazy, da im spokój.

Jego obóz był największy: illiańscy Towarzysze wystrojeni w zielone kaftany z żółtymi mankietami, taireniańscy Obrońcy Kamienia w czarno-żółtych kaftanach z bufiastymi rękawami oraz Cairhienianie reprezentujący ponad czterdzieści Domów, w ciemnych barwach; nad głowami niektórych kołysały się sztywne *con*. Gotowali przy osobnych ogniskach, osobno spali, osobno wiązali konie, bez końca na siebie wzajemnie czujnie spoglądając, a jednak stanowili oddział. Byli odpowiedzialni za bezpieczeństwo Smoka Odrodzonego i do swoich obowiązków podchodzili nadzwyczaj sumiennie. Każdy z nich mógł go zdradzić, ale nie wtedy, gdy inni patrzeli. Stare waśnie i nowe animozje ujawniłyby spisek, jeszcze zanim zdrajca przystąpiłby do jego realizacji.

Namiot Randa – ogromna spiczasta konstrukcja z zielonego jedwabiu, zdobna wizerunkami pszczół haftowanymi złotą nicią – należał pierwotnie do jego poprzednika, Mattina Stepaneosa i, rzec można, razem z koroną przypadł Randowi w schedzie po tamtym. Cały czas strzegł go krąg Towarzyszy w polerowanych stożkowatych hełmach, stojących ramię w ramię z Obrońcami w hełmach żebrowanych, z wygiętym brzeżkiem, oraz Cairhienianami w hełmach o kształcie dzwonów; mimo silnego wiatru wszyscy byli wyprężeni na baczność, z halabardami ustawionymi ukośnie, pod takim samym kątem. Żaden nawet nie drgnął, gdy Rand zatrzymał obok nich swego konia, to należało do służby, która natychmiast zaroila się wokół, gotowa na każde skinienie jego i Asha'manów. Koścista kobieta w zielono-żółtej kamizeli stajennej z Królewskiego Pałacu w Illian odebrała od Randa wodze, a strzemiono przytrzymał mężczyzna obdarzony bulwiastym nosem, odziany w czarno-żółtą liberię noszoną w Kamieniu Łzy. Gięli się przed nim w ukłonach, obrzucając się wzajem przypadkowymi ostrymi spojrzeniami. Boreane Carivin, krępa, bladolica Cairhienianka z wyniosłym spojrzeniem, podsunęła w jego stronę srebrną tacę pełną parujących ręczników. Obserwowała przy okazji dwoje innych służących, głównie dlatego, by sprawdzić, jak wypełniają swoje zadania, niż by odwzajemnić im się wrogim spojrzeniem. Ale była też w jej postawie pewna czujność. Służący, podobnie jak żołnierze, wiedzieli, o co toczy się gra.

Rand ściągnął rękawice i, nawet nie spojrzawszy na tacę, machnął ręką, odprawiając Boreane.

W chwili gdy zeskoczył na ziemię, ze zdobnie rzeźbionej ławy ustawionej przed namiotem powstał Damer Flinn. Niemal łysy, gdyby nie kępka rozwichrzonych siwych włosów, Flinn bardziej przypominał wyobrażenie dziadka niżli Asha'mana. Niemniej jednak twardy jak wyprawiona skóra, ze sztywną nogą, znacznie lepiej poznał szeroki świat niż okolice własnej farmy. Miecz u biodra pasował doń, jakby się z nim urodził, co nie dziwiło weterana Gwardii Królowej. Rand ufał mu bardziej niż pozostałym Asha'manom. W końcu to właśnie on uratował mu życie.

Flinn zasalutował, przykładając pięść do piersi, a kiedy Rand powitał go skinieniem głowy, przykuśtykał bliżej. Zaczekał, aż stajenni odejdą z końmi, i dopiero wtedy przemówił zniżonym głosem:

– Przyjechał Torval, twierdzi, że z polecenia M'Haela. Zażyczył sobie poczekać w namiocie rady. Kazałem Narishmie go pilnować. – To Rand wydał taki rozkaz, nie bardzo zresztą pewien po co: nie wolno zostawiać bez straży nikogo, kto przybył z Czarnej Wieży. Flinn zawahał się, po czym musnął palcami Smoka wpiętego w kołnierz czarnego kaftana. – Niespecjalnie ucieszył się, słysząc, żeś nas wszystkich awansował.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – zadrwił cicho Rand, wpychając rękawice za pas. A ponieważ Flinn nadal miał nietęgą minę, dodał: – Wszak wszyscy na to zasłużyliście. – Zamierzał wysłać jednego z Asha'manów do Taima, Wodza, czyli M'Haela, jak go nazywali Asha'mani, ale w tej sytuacji wiadomość przekaże mu Torval. W namiocie rady? – Każ przynieść poczęstunek – poprosił Flinna, po czym dał znak Hopwilowi i Dashivie, że mają iść za nim.

Flinn znowu zasalutował, ale Rand już odchodził, rozdeptując czarne błoto. W głośnym szumie wiatru nie słyszał żadnych wiwatów na swoją cześć. A przecież kiedyś było inaczej. Jeśli to znowu nie jest jednym ze wspomnień Lewsa Therina, które mu przyszło do głowy. Lewsa Therina, o którym nie wiadomo, czy kiedykolwiek naprawdę mieszkał w jego głowie. Kolorowy błysk tuż na krawędzi pola widzenia, wrażenie, że ktoś zaraz z tyłu sięgnie ręką, dotknie go. Skoncentrował się z najwyższym wysiłkiem.

Namiot rady – wielki, z płótna w czerwone paski – ten sam, który jeszcze nie tak dawno stał na Równinach Maredo, teraz królował w samym środku obozowiska, otoczony pierścieniem gołej ziemi o średnicy trzydziestu kroków. Właściwie nigdy nie był pilnowany, chyba że Rand spotykał się z arystokratami. Ale i tak każdy, kto by próbował wślizgnąć się ukradkiem do środka, zostałby natychmiast zauważony przez tysiąc dociekliwych oczu. Trzy sztandary na wysokich masztach – Wschodzące Słońce Cairhien, Trzy Półksiężycy Łzy i Złote Pszczoły Illian – stanowiły wierzchołki trójkąta, w który namiot był wpisany, natomiast nad jego purpurowym dachem, wyżej niż pozostałe, umieszczono Sztandar Smoka oraz Sztandar Światłości. Płaty sztandarów falowały i głośno łopotwały na wietrze, podmuchy były tak silne, że marszczyły nawet ściany namiotu. Wnętrze wyłożono barwnymi, obrzeżonymi frędzlami dywanami, a za całe umeblowanie służył ogromny stół, gęsty od rzeźbień i złocień. Prawie całą powierzchnię blatu inkrustowanego kością słoniową i turkusami zakrywały teraz mapy.

Torval zadarł głowę znad map, najwyraźniej gotów użyć swego niewyparzonego języka, jeśli któryś ośmieli się mu przeszkodzić. Mężczyzna wchodzący w wiek średni, który zdawałby się wysoki przy każdym oprócz Randa albo Aiela, o wyniosłym spojrzeniu, teraz niemal trzęsący się z oburzenia. Smok i Miecz wpięte w kołnierz kaftana iskrzyły się światłem odbitym od stojących lamp, przy czym ów kaftan, z połyskliwego czarnego jedwabiu, skrojony był doskonale, jak nie przymierzając, na jakiegoś lorda. Miecz Torwała ozdobiły srebrne okucia oblane złotem, a w rękojeści płatnerz osadził czerwony klejnot. Kolejny kamień połyskiwał w pierścieniu na palcu. Jeśli robiło się z ludzi żywą broń, nie należało się potem dziwić, że stają się arogancy, ale Rand po prostu nie lubił Torwała. I

nie potrzebował rozpaczliwych zawodzeń Lewsa Therina, by być podejrzliwym w stosunku do wszystkich mężczyzn odzianych w czarne kaftany. Do jakiego stopnia ufał samemu Flinnowi? Cóż, byli jego ludźmi. Stwarzając ich, wziął za nich odpowiedzialność.

Na widok Randa Torval wyprostował się i zasalutował, ale wyraz jego twarzy prawie nie uległ zmianie. Na ustach miał szyderczy grymas, tak samo, jak wtedy, kiedy Rand zobaczył go po raz pierwszy.

– Mój Lordzie Smoku – rzekł z taraboniańskim akcentem, tonem, jakby witał równego sobie. Albo wręcz robił łaskę komuś niżej stojącemu w społecznej hierarchii. Buńczuczny ukłon zaadresowany był równocześnie do Hopwila i Dashivy. – Gratuluję podboju Illian. Wielkie zwycięstwo, czyż nie? Wino czekałoby tu na twoje przywitanie, ale ten młody... Oddany... zdaje się nie rozumieć rozkazów.

W jednym z kątów cicho zabrzęczały dzwoneczki, które Narishma wplatał w swoje długie, ciemne warkocze. Twarz miał mocno ogorzałą od południowego słońca, ale poza tym niewiele się zmienił. Starszy od Randa, choć obdarzony przez naturę obliczem tak świeżym, że zdawał się młodszy od Hopwila, czerwienił się, ale z gniewu raczej, nie z zażenowania. Przepęniała go duma ze świeżo zdobytego Miecza wpiętego w kołnierz, cicha, niemniej wyraźna. Torval uśmiechnął się do niego, niby od niechcienia i z rozbawieniem, ale w istocie groźnie. Dashiva wybuchnął krótkim śmiechem i znieruchomiał.

– Co tu robisz, Torval? – spytał obcesowo Rand. Cisnął Berło Smoka i rękawice na rozłożone mapy, za nimi poleciał pas i miecz w pochwie. Torval nie miał żadnego powodu, by studiować te mapy.

Tamten wzruszył ramionami, wyciągnął z kieszeni list i wręczył Randowi.

– To od M’Haela. – Papier był śnieżnobiały, zapieczętowany wizerunkiem smoka odcisniętym w dużym owalu z niebieskiego wosku mieniącego się złotymi plamkami. List, godny z wyglądu samego Smoka Odrodzonego, świadczył o wysokim mniemaniu, jakie Taim miał o sobie. – M’Hael kazał mi przekazać, że pogłoski o Aes Sedai i ich armii w Murandy są prawdziwe. Chodzą słuchy, że to Aes Sedai, które zbuntowały się przeciwko Tar Valon. – Torvalowi z niedowierzania aż stężały wykrzywione szyderstwem rysy. – A prawda jest taka, że one maszerują na Czarną Wieżę. Niebawem mogą się stać niebezpieczne.

Rand przełamał pieczęć.

– Ich celem jest Caemlyn, nie Czarna Wieża, toteż nie stanowią żadnego zagrożenia. Moje rozkazy były jasne. Zostawić Aes Sedai w spokoju, chyba że was zaatakują.

– Skąd pewność, że nie są niebezpieczne? – upierał się Torval. – Może ich celem jest Caemlyn, jak powiadasz, ale możesz się mylić. Zaatakują, nim się zorientujemy.

– Torval może mieć rację – wtrącił ostrożnie Dashiva. -Nie wiem, czy na twoim miejscu potrafiłbym zaufać kobietom, które wsadziły mnie do skrzyni, a poza tym te, o których mówimy, nie złożyły żadnych przysiąg. Może się mylę?

– Zostawić je w spokoju, powiedziałem! – Rand walnął z całej siły pięścią w stół i Hopwil aż podskoczył ze zdumienia. Dashiva skrzywił się z irytacją, po czym pospiesznie przybrał niewzruszony wyraz twarzy, ale Randa nastroje Dashivy nie interesowały. Przypadkiem... nie ma wątpliwości, że to tylko przypadek... jego dłoń powędrowała do Berła Smoka. Ramię aż mu zadrżało z chęci, by je unieść i wbić Torvalowi grot w samo serce. W ogóle nie potrzebował do tego szaleństwa Lewsa Therina. – Asha’mani to broń, która zostanie wymierzona w cel wskazany przeze mnie i nie będą się stroszyć niczym kury za każdym razem, gdy Taima przerazi garstka Aes Sedai jedzących wieczerzę w tej samej co on oberży. Jeśli trzeba, mogę wrócić do Wieży i wyrazić się



jaśniej.

– Jestem pewien, że nie musisz – zapewnił go Torval tępym głosem. Nareszcie ten krzywy uśmiezek zniknął z jego twarzy. Rozłożył ręce, niemal onieśmielony, wręcz przepraszając. Wyraźnie był przerażony. – M’Hael chciał cię tylko poinformować. Twoje rozkazy są odczytywane na głos codziennie, w ramach Porannej Odprawy, tuż po Wyznaniu Wiary.

– No i dobrze. – Rand nadal mówił zimnym głosem, bardzo się starając nie okazywać pogardy. Ten człowiek bał się swojego drogocennego M’Haela, nie Smoka Odrodzonego. Bał się, że jeśli swymi słowami ściągnie gniew Randa na głowę Taima, to wtedy Taim może zrozumieć to opacznie i jeszcze obrazi się na niego. – Bo zamierzam zabić każdego, który zbliży się do tych kobiet w Murandy. Macie robić to, co każe.

Torval skłonił się sztywno, mrużąc:

– Jak rzeczesz, Lordzie Smoku. – Pokazał nawet zęby w udawanym uśmiechu, ale marszczył przy tym nos, a ponadto usilnie unikał wzroku innych, udając jednocześnie, że wcale tego nie robi. Dashiva znowu zarechotał, a na twarzy Hopwila wykwitł nieznaczny uśmiezek.

Inaczej niż oni reagował Narishma, którego bynajmniej nie ubawił widok zakłopotanego Torvala. Patrzył na Randa, nie mrugając, jakby w całej tej sytuacji dostrzegał podteksty, które pozostali przeoczyli. Tak to już było, że na jego widok prawie wszyscy, a zwłaszcza kobiety, nabierali przekonania, że nie mają przed sobą nikogo szczególnego, ot, jeszcze jeden urodziwy młodzieniec... jednak w tych ogromnych oczach skrywała się niepokojąco głęboka wiedza.

Rand puścił Berło Smoka i otworzył list, zadowolony, że jego ręce nie trzęsą się aż tak mocno, by inni mogli to zobaczyć. Torval uśmiechnął się blado, kwaśno, niepomny niczego. Stojący pod ścianą Narishma przestąpił z nogi na nogę i poczuł, jak powoli opuszczało go napięcie.

W tym momencie na progu namiotu stanęła Boreane, wiodąc za sobą majestatyczną procesję illiańskich, cairhieniańskich i taireniańskich służących odzianych w stosowne liberie. Do każdego gatunku wina wyznaczono oddzielnego sługę, który niósł je w srebrnym dzbanie na srebrnej tacy, oprócz tego dwóch dźwigało srebrne puchary na gorący poncz i wina przyprawiane korzeniami oraz wspaniałe kielichy z dmuchanego szkła do innych trunków. Jeszcze innego, mężczyznę o zaróżowionej twarzy, w zielono-żółtej liberii, obarczono tacą, na której miano nalewać napoje, a ciemnoskóra kobieta w czerni i złocie była tam po to tylko, by obsługiwać dzbany. Przyniesiono także orzechy, kandyzowane owoce, sery i oliwki, przy czym również i te specjały wymagały usług oddzielnego służącego albo służącej. Wszyscy kolejno wykonywali ten sam rytualny taniec, zgodnie z instrukcjami Boreane kłaniali się albo dygali, podchodzili ze swym poczęstunkiem, po czym ustępowali miejsca następnym.

Rand wybrał wino zaprawiane korzeniami, po czym przysiadł na krawędzi stołu i zajął się listem, odstawiwszy nietknięty parujący puchar obok. Listu nie otwierał żaden zwrot powitalny czy wstęp. Taim nie znosił należnych Randowi tytułów, co, rzecz jasna, starał się zawsze jakoś skryć.

Mam honor donieść, że w Czarnej Wieży służy obecnie dwudziestu dziewięciu Asha’manów, dziewięćdziesięciu siedmiu Oddanych i trzystu dwudziestu dwóch Żołnierzy. Kilku, niestety, zdezerterowało, ich nazwiska zostały wymazane z rejestrów, ale na szczęście są to straty, które da się znieść.

W terenie działa obecnie aż pięćdziesiąt grup werbunkowych, z takim skutkiem, że na listach zaciężnych pojawiają się co dzień kolejne trzy albo i cztery nowe nazwiska. Za kilka miesięcy Czarna Wieża dorówna liczebnością Białej, tak jak przyrzekłem. Za rok Tar Valon zatrzęsie się w posadach pod naporem naszych szeregów.

To ja sam, osobiście, znalazłem ten krzew czarnych jagód. Niewielki to krzew i kolczasty, a jednak rodzi zaskakująco obficie.

Mazrim Taim

M'Hael

Rand skrzywił się, wyrzucając to... porównanie z krzewem czarnych jagód... ze swych myśli. Robili, co robili, bo tak było trzeba. A świat płacił za jego istnienie. Nieważne, że kiedyś miał zapłacić życiem za los świata – świat teraz ponosił koszty.

Ale istniały jeszcze inne powody krzywej miny. Trzech albo czterech nowych dziennie? Rokowania Taima były nazbyt optymistyczne. To prawda, że przy takim tempie za kilka miesięcy przenoszących mężczyzn będzie więcej niż Aes Sedai, ale z kolei nawet najmłodsza z sióstr miała za sobą wiele lat nauk. Nauk, w ramach których szkolono ją, jak rozprawić się z przenoszącym mężczyzną. Nie miał ochoty wyobrazić sobie, jak będzie wyglądać konflikt Asha'manów z Aes Sedai, które wiedzą, z kim mają do czynienia; niezależnie od wszystkiego trudno było oczekiwać innych rezultatów, jak tylko krwi i bólu. A poza tym celem Asha'manów nie miała być Biała Wieża, cokolwiek podejrzewał Taim. Dobrze jednak, jeśli takie było powszechne mniemanie, może ono skłoni Tar Valon do ostrożności. Asha'man nie musiał nic wiedzieć, wystarczyło, że potrafił zabijać. Ashama'nów stworzono po to tylko, by zrobili, co trzeba, we właściwym miejscu i czasie. Pod warunkiem, że dożyją tej chwili.

– Ilu zdezerterowało, Torval? – spytał cicho. Podniósł puchar i upił łyk wina, jakby odpowiedź zupełnie go nie interesowała. Wino miało rozgrzewać, a jednak nie poczuł nic prócz gorzkiego posmaku imbiru, cynamonu i gałki muszkatołowej na języku. – Jakie są straty w trakcie szkolenia?

Od momentu, gdy wniesiono trunki, Torval stopniowo odzyskiwał kontenans, zacierał ręce i unosił brwi na widok gatunków win, demonstracyjnie okazując, że nieobce mu są najwyborniejsze smaki. Dashiva przyjął pierwsze lepsze wino, jakie mu podano, i teraz stał nieruchomo, wbijając ponury wzrok w zawartość pucharu. Torval wskazał najpierw jedną z tac, ale zaraz potem przekrzywił głowę, demonstrując, że jeszcze się namyśla. Znał jednak odpowiedź na pytanie Randa.

– Jak dotąd zdezerterowało dziewiętnastu. M'Hael kazał ich szukać, od razu zabijać i przynosić ich głowy, dla przykładu. – Porwał z tacy cząstkę kandyzowanej gruszki, wrzucił ją do ust i uśmiechnął się promiennie. – W tej chwili na Drzewie Zdrajcy wiszą trzy głowy, niczym jakieś owoce.

– To dobrze – odparł zimnym tonem Rand. Nie można ufać takim, którzy uciekli, zrobili to raz, mogli zrobić powtórnie, kiedy życie innych będzie zależało od nich. Poza tym nie wolno dopuścić, by waleśali się na swobodzie, tamci ludzie ukrywający się w górach nawet całą gromadą byli mniej niebezpieczni niż jeden mężczyzna wyszkolony w Czarnej Wieży. Drzewo Zdrajcy? Taim był znakomity, jeśli chodziło o wymyślanie różnych nazw. Ale z kolei ci mężczyźni potrzebowali tego całego bagażu symboli, nazw, czarnych kaftanów i zdobnych szpilek, dzięki nim bowiem czuli się jednością. Dopóki nie nadszedł czas umierania. – Podczas najbliższej wizyty w Czarnej Wieży chcę widzieć głowy wszystkich dezertersów.

Kawałek gruszki, który właśnie wędrował do ust Torvala, upadł na podłogę, po drodze brudząc przód wykwintnego kaftana.

– Zbyt energiczne poszukiwania mogą spowolnić werbunek – powiedział powoli. – Wszak dezerterszy nie chwalą się głośno, kim są.

Rand tak długo patrzył mu w oczy, aż wreszcie tamten spuścił wzrok.

– Jakie są straty w trakcie szkolenia? – spytał podniesionym głosem. – Ilu? – powtórzył pytanie,

widząc, że obdarzony wydatnym nosem mężczyzna zwleka z odpowiedzią.

Narishma pochylił się lekko, wpatrzony z napięciem w Torvala. Hopwil również zamarł. Słudzy kontynuowali swój posuwisty, niemy taniec, oferując tace mężczyznom, którzy nagle przestali je dostrzegać. Boreane skorzystała z tego, że Narishma jest zajęty, i dopilnowała, by w jego srebrnym pucharze znalazło się więcej gorącej wody niż korzennego wina.

Torval wzruszył ramionami z demonstracyjną niedbałością.

– Pięćdziesięciu jeden, wszystkie przypadki potwierdzone. Trzynastu się wypaliło, dwudziestu ośmiu umarło tam, gdzie stali: A pozostali... M'Hael dodaje im coś do wina i już potem się nie budzą. – Do jego głosu ni stąd, ni zowąd wkradła się złośliwa nuta. – Bywa, że to się zdarza całkiem niespodzianie, nie wiadomo kiedy i jak. Jeden to już drugiego dnia zaczął się drzeć jak opętany, że niby oblażą go pająki: – Objął swym złowieszczym uśmiechem Narishmę, Hopwila i Randa, ale to do tych dwóch pierwszych przemawiał przede wszystkim, patrząc to na jednego, to na drugiego. – Rozumiecie teraz? Nie macie co się przejmować, że dopadnie was obłęd. Nie zrobicie nic złego ani sobie, ani w ogóle nikomu. Zwyczajnie zaśniecie... zaśniecie na zawsze. To lepsze niż poskromienie, nawet jeśli wiesz, co cię czeka. Lepsze niż wtedy, gdy nadal żyjesz, ale jesteś obłąkany i odcinają cię od Źródła, może nie mam racji?

Narishma spojrział w jego oczy, napięty jak struna harfy, ściskając zapomniany puchar w dłoni. Hopwil znowu krzywił się do czegoś, co widział on tylko.

– Zaiste lepsze – zgodził się Rand beznamiętnym tonem, odstawiając puchar. Coś dodaje do wina. „Moja szcerniała od krwi dusza jest skazana na wieczne potępienie”. Ta myśl nie dręczyła, nie jątrzyła, nie denerwowała. Stanowiła proste stwierdzenie faktu. – To akt miłosierdzia, jakiego każdy mógłby sobie życzyć, Torval.

Okrutny uśmiech Torvala przybladł, Asha'man stał teraz nieruchomo i ciężko dyszał. Liczby mówiły same za siebie: jeden na dziesięciu stracony, jeden na pięćdziesięciu obłąkany. Jak wielu innych miało spotkać to samo? To był dopiero początek, a o ewentualnym zwycięstwie nad losem dowiadujesz się i tak nie wcześniej jak w dniu śmierci. Zazwyczaj jednak okazuje się, że to los jest zwycięzcą, w taki czy inny sposób. Niezależnie od tego, jak by się zachowywał, sytuacja Torvala była identyczna.

Nagle dotarło do niego, że Boreane wciąż tu jest. Rozpoznał wyraz malujący się na jej twarzy i w ostatniej chwili się pohamował, by nie powiedzieć paru zimnych słów. Jak ona śmiała odczuwać litość! Co ona sobie myślała? Że Tarmon Gai'don uda się wygrać bez rozlewu krwi? Proroctwa Smoka żądały powodzi krwi!

– Idźcie stąd – rozkazał i Boreane prędko skrzyknęła służących. Kiedy wyganiała ich na zewnątrz, jej oczy nadal wyrażały współczucie.

Rand rozejrzał się dookoła, ale nie znalazł nic, co mogłoby poprawić jego nastrój. Litość osłabiała w równym stopniu co strach, a oni przecież musieli być silni. Silni jak stał, by stawić czoło temu, co było nieuniknione. Stworzył ich, więc ponosił za nich odpowiedzialność.

Pogrążony w myślach Narishma wpatrywał się w parę unoszącą się znad jego wina, a Hopwil nadal wgapiał się w ścianę namiotu, jakby chciał ją przejrzeć na wylot. Torval zaś spoglądał z ukosa na Randa, bez powodzenia starając się jak przedtem wygiąć usta w kwaśny grymas. Jedyne Dashiva sprawiał wrażenie, jakby to wszystko nie wywarło na nim żadnego wrażenia, wpatrywał się w Torvala z założonymi ramionami, wzrokiem handlarza koni, oglądającego towar.

Boleśnie przeciągającą się ciszę przerwało wtargnięcie rzutkiego młodzieńca w rozpiętym czarnym kaftanie, z Mieczem i Smokiem wpiętymi w kołnier. Rówieśnik Hopwila, w większości krajów jeszcze za młody na żeniączkę, Fedwin Morr zdawał się wiecznie czymś podminowany;

chodził na palcach, jakby się skradał, a jego oczy miały wyraz polującego kota, który jednocześnie wie, że i na niego polują. Kiedyś był inny, i to wcale nie tak dawno temu.

– Seanchanie wynoszą się z Ebou Dar – powiedział, zasalutowawszy najpierw. – W następnej kolejności zaatakują Illian. – Hopwil wzdrygnął się i ocknął ze swoich ponurych medytacji. Dashiva ponownie zareagował śmiechem, tym razem jednak pozbawionym wesołości.

Rand skinął głową i podniósł Berło Smoka. W końcu nosił je dla pamięci, że Seanchanie tańczyli do własnej melodii, a nie do tej pieśni, jaką on sam by im z chęcią zagrał.

I choć Rand przyjął wieści w milczeniu, Torval tym razem nie potrafił się powstrzymać. Znowu skrzywił się szyderczo i – uniósł pogardliwie brew.

– Sami ci to wszystko powiedzieli, co? – spytał drwiąco. – A może potrafisz czytać w ich myślach? Pozwól, że ci coś powiem; chłopcze. Walczyłem i z Amadicianami, i z Domani, toteż wiem, że żadna armia nie zajmuje miasta po to, by zaraz pakować manatki i ruszać w tysięcmilowy marsz! Żeby tysięcmilowy! A może ci się wydaje, że oni potrafią Podróżować?

Morr zareagował na drwiny Torvala ze spokojem. Jeśli tamten w ogóle wytrącił go z równowagi, zdradził to jedynie gest kciuka gładzącego długą rękojęść miecza.

– Zaiste, rozmawiałem z kilkoma. Głównie z Tarabonianami, bo tych coraz więcej przybywa co dzień drogą morską. – Podeszedł do stołu, po drodze trącąc Torvala i obdarzając go zimnym spojrzeniem. – Wszyscy zaraz usuwają się z drogi, gdy tylko usłyszą kogoś z bełkotliwą mową. – Starszy mężczyzna gniewnie otworzył usta, ale młodszy nie przestawał mówić, kierując swoje słowa wyłącznie do Randa. – Rozlokowują żołnierzy po całym obszarze gór Venir, w oddziałach liczących od pięciuset do tysiąca osób. Pierwsi dotarli już do samej Głowy Arrana. A poza tym kupują albo rekwirują wszystkie wozy i fury w promieniu dwudziestu lig od Ebou Dar, a także zwierzęta, które mogą je ciągnąć.

– Fury – zakrzyknął Torval. – Wozy! Jeszcze powiesz, że może chcą założyć targowisko? I jaki dureń kazałby swej armii maszerować przez góry, gdyby miał do dyspozycji znakomite gościńce? – Zauważył, że Rand mu się przygląda, i w tym momencie umilkł, nagle tracąc rezon.

– Powiedziałem ci przecież, żebyś nie rzucał się w oczy, Morr. – W głosie Randa był gniew. Zeskoczył ze stołu, młody Asha'man w ostatniej chwili zrobił krok w tył. – Nie kazałem ci wypytywać Seanchan o ich plany. Miałeś się tylko rozejrzeć, dyskretnie.

– Byłem ostrożny, nie przypiąłem odznak.

Rand nie dostrzegł jednak żadnej zmiany w wyrazie oczu tamtego, Morr był nadal i myśliwym, i celem łowów. I zdawał się płonąć wewnątrz. Gdyby Rand nie wiedział, jak jest naprawdę, pomyślałby, że Morr obejmuje teraz Moc, że zmaga się z *saidinem*.

– Ludzie – ciągnął Morr – z którymi gadałem, nie mówili, co jest ich celem, jeśli w ogóle to wiedzieli, a ja nie pytałem, ale lubili ponarzekać przy kuflu na to, że wiecznie dokądś maszerują, i to bez odpoczynku. W Ebou Dar pili niczym gąbki, bo, jak powiadali, niebawem znów mieli ruszać w drogę. I tak jak powiedziałem, gromadzili wozy. – Wszystko to Morr wygłosił jednym ciągiem i na koniec zacisnął zęby, jakby chciał zatrzymać kolejne słowa, które wciąż niepowstrzymanie cisnęły mu się na usta.

Rand uśmiechnął się niespodzianie i klepnął go w ramię.

– Dobrze się spisałeś. Już sama informacja o tych wozach jest bardzo ważna – powiedział, adresując to również do Torvala. – Armia, która nie ma zapewnionych stałych dostaw żywności, musi żywić się tym, co znajdzie. Czasami nie znajduje nic i wtedy głoduje. – Torval nawet nie mrugnął, słysząc o Seanchanach w Ebou Dar. Jeśli ta wiadomość dotarła do Czarnej Wieży, to dlaczego Taim o niczym nie wspomniał? Rand miał nadzieję, że na twarzy ma normalny, ludzki

uśmiech, nie jakiś zwierzęcy grymas. – O wiele trudniej zorganizować tabor do przewożenia zapasów, ale jak już nim dysponujesz, to wiesz, że masz i paszę dla zwierząt, i fasolę dla ludzi. Seanchanie, jak widać, są zapobiegliwi.

Wyszukał wśród map tę właściwą, po czym rozłożył ją na stole, przytwierdzając z jednej strony mieczem, a z drugiej Berłem Smoka. Patrzył na odcinek wybrzeża łączący Illian i Ebou Dar, prawie na całej długości obwiedziony wzgórzami i górami, upstrzony sporą liczbą wiosek rybackich i małych miasteczek. Seanchanie naprawdę zadbali o wszystko. Ebou Dar należało do nich zaledwie od tygodnia, a tymczasem informatorzy kupców donosili o naprawach szkód wyrządzonych w mieście podczas inwazji, o czystych lazaretach urządzanych dla chorych, o żywności i pracy dla biednych i tych, których kłopoty w głębi lądu wyгнаły z domów. Ulice i okoliczne wsie dniem i nocą patrolowano, nikt więc nie musiał obawiać się złodziei albo bandytów, i o ile każdy kupiec był w Ebou Dar osobą mile widzianą, o tyle mocno przyhamowano przemyt. Rzekomo „uczciwi” illiańscy kupcy opowiadali o przemycie z zaskakująco ponurymi minami. Co Seanchanie planowali teraz?

Pozostali też podeszli do stołu, kiedy Rand zabrał się za studiowanie mapy. Wzdłuż wybrzeża biegły wprawdzie jakieś drogi, ale nędzne i rozrzucone w sporych odległościach, na mapie zaznaczone prawie tak samo jak zwykle szlaki dla fur. Szerokie trakty handlowe biegły w głębi lądu, omijając niekorzystnie ukształtowane tereny.

– Rajdy z gór przysporzyłyby poważnych kłopotów każdemu, kto próbowałby skorzystać z dróg biegnących w głębi lądu -stwierdził w końcu. – Seanchanie, dzięki temu, że opanowali góry, sprawili, że stały się bezpieczne niczym miejskie ulice. Masz rację, Morr. Ich następny cel to Illian.

Torval wsparł się na pięściach i spojrzał spode łba na Morra, który miał rację, mimo że przecież się mylił. Zapewne tym samym popełniając śmiertelny grzech, wedle zapatrywań Torvala.

– A jeśli nawet, to i tak upłynie wiele miesięcy, zanim tutaj dadzą ci się we znaki – orzekł ponuro. – Stu, a może nawet bodaj pięćdziesięciu Asha’manów w Illian zniszczy każdą armię świata, nim jeden jej żołnierz pokona bród wiodący do miasta.

– Wątpię, by armia, w której służą *damane*, dała się zwyciężyć tak łatwo – odparł cicho Rand i Torval zeszywniał. – A poza tym muszę bronić całego Illian, nie tylko stolicy.

Wodził palcem po mapie, ignorując Torvala. Między Głową Arrana a miastem Illian ciągnęło się sto lig otwartej wody, obejmujących Głębię Kabala, gdzie, jak donosili kapitanowie illiańskich statków, najdłuższe liny sondujące nie znajdowały dna w odległości zaledwie mili od brzegu. Tamtejsze fale, które pędziły ku północy i uderzały z impetem o wybrzeże, tworząc grzywacze wysokości piętnastu kroków, potrafiły wywracać statki. Przy takiej pogodzie będzie jeszcze gorzej. Ten, kto chciałby dotrzeć do miasta, omijając jednak Głębię, musiałby pokonać dwieście lig, nawet gdyby korzystał ze skrótów, ale jeśli Seanchanie postanowili wyruszyć z Głowy Arrana, to znajdą się na granicy w ciągu dwóch tygodni, nawet przy burzach z ulewami. Albo jeszcze prędzej. Lepiej stoczyć walkę tam, gdzie on zechce, a nie w miejscu narzuconym przez nich. Powiódł palcem po południowym wybrzeżu Altary, zahaczając o góry Venir, które w pobliżu Ebou Dar małały, ledwie zasługując na miano zwykłych wzgórz. Pięciuset tu, tysiąc tam. Niczym sznur upiornych paciorków zdobiących górskie szczyty. Gdyby tak dać im tęgiego szturchańca, może wycofają się z powrotem do Ebou Dar, może nawet przyczają się tam na dłużej, póki jakoś nie pojmą, do czego on zmierza. Albo...

– Jest jeszcze coś – odezwał się nagle Morr, jak wcześniej prawie połykając zgłoski. – Chodzą słuchy o jakiejś odmianie broni stworzonej przez Aes Sedai. Odkryłem miejsce, gdzie została użyta, w odległości kilku mil od miasta. Otaczał je pas do cna wypalanej ziemi, szerokości dobrych trzystu kroków albo i więcej, a rosnące dalej sady przestały istnieć. Piasek stopił się, zamieniając w szkło.

Tam z *saidinem* było najgorzej.

Torval machnął lekceważąco ręką.

– W pobliżu mogły być Aes Sedai, kiedy miasto padło, nieprawdaż? Mogli też dokonać tego sami Seanchanie. Jedna siostra uzbrojona w *angreal*...

Rand przerwał mu.

– Co chcesz powiedzieć, mówiąc, że z *saidinem* było tam najgorzej? – Dashiva poruszył się, przyglądając się dziwnym wzrokiem Morrowi, wyciągając rękę, jakby chciał chwycić młodego mężczyznę. Rand odepchnął go brutalnie. – Co chcesz przez to powiedzieć, Morr?

Morr gapił się na niego z zaciśniętymi ustami, wodząc kciukiem po rękojeści miecza. Wydawało się, że zgromadzony w jego wnętrzu żar lada chwila wybuchnie, nie znalazłszy ujścia. Po jego twarzy ściekał pot.

– *Saidin* był jakiś... jakiś dziwny – wychrypiał, gwałtownie wyrzucając z siebie słowa. – Najgorzej tam... czułem go... czułem go... w tym powietrzu, które mnie otaczało... ale nawet w okolicy Ebou Dar zachowywał się dziwnie. Nawet w odległości stu mil. Musiałem się z nim zmagać, ale nie tak jak zawsze, inaczej. Jakby on żył. Czasami... czasami nie robił tego, co chciałem. A kiedy indziej... robił coś zupełnie innego. Przysięgam, że tak było. Ja nie oszalałem! To *saidin*! – Zerwał się nagły wiatr, który wył przez chwilę i wstrząsał ścianami namiotu. Morr umilkł. Narishma poruszył głową, potrząsając dzwoneczkami, ale już chwilę potem zaległa zupełna cisza.

– To niemożliwe – mruknął Dashiva w tej ciszy, ledwie słyszalnie. – To niemożliwe.

– Któż wie, co jest możliwe? – odwarknął Rand. – Ja na przykład nie wiem. A może ty wiesz? – Zaskoczony tym wybuchem Dashiva zadarł głowę, ale Rand zwracał się teraz do Morra, powściągając ton. – Nie przejmuj się. – Nie powiedział tego łagodnie, bo nie potrafił, ale pocieszająco, przynajmniej miał taką nadzieję. Jego twój, jego odpowiedzialność. – Jeszcze staniesz u mego boku podczas Ostatniej Bitwy. Obiecuję.

Młodzieniec przytaknął i potarł twarz dłonią, jakby się dziwiąc wilgoci na swoich palcach, po czym zerknął na Torvala, którego twarz zastygła niczym kamień. Czy Morr wiedział o winie podawanym Asha'manom? To rzeczywiście był akt miłosierdzia, jeśli brać pod uwagę inne rozwiązania. Mało imponujący, o gorzkim posmaku.

Rand wziął do ręki list Taima, złożył go i schował do kieszeni kaftana. Do tej pory na każdym pięćdziesięciu przypadał jeden taki, który popadł w obłęd, a na pewno będą jeszcze inni. Czy następnym będzie Morr? Dashiva z pewnością ocierał się już o obłęd. W tym momencie nie tylko spojrzenia Hopwila, ale nawet nieodmienny spokój Narishmy nabrały nowego znaczenia. Obłęd nie zawsze oznaczał histeryczne wrzaski na temat pajaków. Zapytał kiedyś tam, gdzie wiedział, że może liczyć na odpowiedź zgodną z prawdą, jak usunąć skazę z *saidina*. Tymczasem zamiast odpowiedzi usłyszał zagadkę. Herid Fel twierdził wprawdzie, że zagadka opiera się na „słusznych zasadach, dobrze ufundowanych zarówno w filozofii spekulatywnej, jak i naturalnej”, ale nie widział wówczas sposobu jej wykorzystania do rozwiązania zadanego problemu. Czyżby Fel dlatego zginął, że jednak zbliżał się do wyjaśnienia zagadki? Rand natrafił na pewną wskazówkę, która prawdopodobnie wiodła do odpowiedzi, być może jednak tylko tak mu się wydawało. Wskazówki i zagadki niczego nie rozwiązywały, a on koniecznie musiał przedsięwziąć konkretne działania. Jeśli skaza nie zostanie jakoś usunięta, to polem Tarmon Gai'don będą gruzy świata zniszczonego przez szaleńców.

– To byłoby zdumiewające – powiedział nieledwie szeptem Torval – ale jak ktoś, kto nie jest Stwórcą albo?... – Niespokojnie zawiesił głos.

Rand dopiero teraz się zorientował, że wypowiada swoje myśli na głos. Oczy Narishmy, Morra i Hopwila miały identyczny wyraz, wszystkie lśniły nagłym przyływym nadziei. Dashiva dla

odmiany robił taką minę, jakby go kto nadział na pal. Rand miał nadzieję, że nie powiedział zbyt wiele. Były takie rzeczy, które musiał zachować w tajemnicy. Łącznie z tym, co zrobi w najbliższym czasie.

Chwilę później Hopwil zaopatrzony w polecenia dla arystokratów biegł po swego konia, Morr i Dashiva pędzili na poszukiwanie Flinna i pozostałych Asha'manów, a Torval z rozkazami dla Taima wybierał się w Podróż z powrotem do Czarnej Wieży. Narishmą Rand zajął się na samym końcu, przekazał mu precyzyjne instrukcje, których młody mężczyzna wysłuchał z zaciśniętymi ustami.

– Z nikim nie rozmawiaj – zakończył cicho Rand, ściskając mocno Narishmę za ramię. – I nie zawieź mnie.

– Nie zawiodę – odparł Narishma bez namysłu. Zasalutował prędko i też zniknął z namiotu.

„Jest niebezpieczny” – wyszeptał głos w głowie Randa. – ”O tak, bardzo niebezpieczny, zbyt niebezpieczny. Ale to się może udać, naprawdę może. Tak czy owak, musisz zabić Torvala. Musisz”.

Do namiotu rady wszedł Weiramon, który nie dość, że przepchnął się brutalnie obok Gregorina i Tolmerana, to jeszcze usiłował staranować Rosanę i Semaradrida. Wszyscy oni bardzo chcieli powiedzieć Randowi, że ukryci wśród drzew ludzie ostatecznie podjęli decyzję zgodną z nakazami rozsądku. Na co on zaniósł się takim śmiechem, że aż łzy pociekły z jego oczu. Lews Therin powrócił. A może wcale nie powrócił, może to tylko głos obłądu. Tak czy owak, był to powód do śmiechu.

# ROZDZIAŁ 15

## PRAWO SILNIEJSZE OD SPISANEGO

Egwene obudziła się w samym środku nocy, czarnej, mętnej i chłodnej, zamroczona od nużącego snu i mrocznych koszmarów, niepokojących zwłaszcza dlatego, że za nic nie mogła sobie ich przypomnieć. Jej sny były zawsze dla niej zrozumiałe, czytelne niczym słowa wydrukowane na stronie książki, te jednak zdawały się niejasne i przerażające. Coś za często miewała je ostatnimi czasy. Budziła się z nich owładnięta pragnieniem, by biec, uciekać, choć nie była w stanie sobie nawet przypomnieć, przed czym właściwie, a oprócz tego kręciło jej się w głowie i czuła dreszcze. Dobrze, że chociaż teraz nie bolała jej głowa. I przynajmniej zapamiętywała strzępy snów, które jej zdaniem zawierały jakiś sens, choć nie potrafiła go zinterpretować. Rand w kolejnych maskach, coraz to innych, z których wreszcie jedna okazywała się jego prawdziwą twarzą. Perrin i jakiś Druciarz, którzy jak oszalali torowali sobie drogę przez zarośla, jeden za pomocą topora, drugi miecza, nieświadomi, że tuż przed nimi urwisko. A na domiar złego kaleczone zarośla krzyczały ludzkimi głosami, na które oni byli całkiem głusi. Mat, który ważył dwie Aes Sedai na ogromnych szalach, przy czym od jego decyzji zależało... Nie umiała powiedzieć co, coś strasznie ważnego, być może losy świata. Mat już dawniej pojawiał się w jej snach, przeważnie naznaczonych cierpieniem. Ale ostatnimi czasy sny te wyblakły, przepełnił je ból, upodabniając do cieni z koszmarów sennych, zupełnie tak, jakby sam Mat przestał być kimś rzeczywistym. I dlatego bała się o niego, porzuconego na pastwę losu w Ebou Dar, i nie mogła odżałować, że go tam posłała, nie wspominając już biednego, starego Thoma Merrilina.

Jednak te nie zapamiętane sny były jeszcze gorsze, nie miała wątpliwości.

Obudziły ją odgłosy czyjejs sprzeczki. Na niebie wciąż świecił księżyc w pełni, dzięki czemu rozpoznała dwie kobiety stojące naprzeciw siebie przy wejściu.

– Tę biedaczkę cały dzień boli głowa, a na dodatek kiepsko sypia – szeptała zajadłym tonem Halima, wspierając pięści na biodrach. – Niech to zaczeka do rana.

– Nie zamierzam się z tobą wyklócać. – Siuan powiedziała to lodowatym tonem, po czym odrzuciła poły płaszcza takim ruchem, jakby gotowała się do bójki. Była ubrana w sam raz na tę pogodę, gruba wełna bez wątpienia kryła tyle warstw bielizny, ile udało jej się na siebie włożyć. – Zejdz mi z drogi, i to piorunem, bo inaczej użyję twoich bebechów jako przynętę dla ryb! I odziejże się przyzwoicie!

Halima tylko zaśmiała się cicho i – jeśli to było możliwe – jeszcze bardziej zagrodziła drogę Siuan. Istotnie, jej biała koszula nocna była bardzo obcisła i aż dziw brał, że kobieta jeszcze nie zamarzła na kość w cienkim jedwabiu. Węgle w koszach osadzonych na trójnogach dawno pogasły i ani mocno połatane płótna namiotu, ani też warstwy dywaników ułożone na ziemi nie trzymały już ciepła. Z ust obu kobiet ulatywały obłoczki białej pary.

Egwene odrzuciła koce i usiadła na wąskim łóżku, czując cały ciężar swojego zmęczenia. Halima była wieśniaczką w pretensjach i często zdawała się zapominać, że do Aes Sedai należy się odnosić z szacunkiem, albo wręcz sprawiała wrażenie, jakby sądziła, że nie musi nikomu okazywać respektu. Do Zasiadających odzywała się tonem stosownym dla kumoszek z rodzinnej wsi, śmiejąc się, patrząc im w oczy tak bezpośrednio i rubasnie, że niekiedy powodowała u nich istną konsternację. Inaczej niż Siuan, bo ta na każdym kroku ustępowała kobietom, które zaledwie rok wcześniej podskakiwały na każde jej słowo, uśmiechała się i dygała przed nimi, mimo że wśród nich niejedna w dalszym ciągu obarczała ją winą za kłopoty Wieży i uważała, że Siuan jeszcze nie



odpokutowała. Wystawiając tym samym jej poczucie honoru na ciężką próbę. Razem te dwie były niczym pochodnia ciśnięta na wóz Iluminatora, ale Egwene miała nadzieję, że nie dojdzie do eksplozji. Tak czy owak, Suan nie przyszlaby w samym środku nocy, gdyby to nie było coś naprawdę ważnego.

– Wracaj do łóżka, Halima. – Stłumiwszy ziewnięcie, Egwene pochyliła się, by po omacku znaleźć buty i pończochy zawieruszone gdzieś pod łóżkiem. Nie przeniosła Mocy, żeby zapalić lampę. Lepiej, by nikt nie wiedział, że Amyrlin nie śpi. – No, idź już, powinnaś odpocząć.

Halima zaprotestowała, trochę jakby zbyt ostro w obecności Zasiadającej na Tronie Amyrlin, ale prędko wróciła do małego łóżka, które wciśnięto specjalnie dla niej do namiotu. Wolnej przestrzeni pozostało w nim doprawdy bardzo niewiele, bo oprócz dwóch łóżek zawierał umywalkę, lustro, fotel oraz cztery wielgachne kufry ustawione jeden na drugim. Do tych kufrów służył nieprzerwany strumień ubrań od Zasiadających, do których jeszcze nie dotarło, że Egwene jest wprawdzie młoda, ale nie aż tak młoda, by dać się omamić jedwabiami i koronkami. Halima leżała już zwinięta w kłębek, ze wzrokiem wbitym w mrok, gdy tymczasem Egwene pospiesznie przejechała kościanym grzebykiem po włosach, wdziała grube rękawiczki i narzuciła podbity lisim futrem płaszcz na koszulę nocną. Koszula była uszyta z grubej wełny, a jednak przy takiej pogodzie nie miałyby nic przeciwko jeszcze grubszej. Oczy Halimy zdawały się przewiercać na wskroś przestrzeń zalaną bladym światłem księżyca i lśniły ciemno. Nie mrugała.

Egwene nie sądziła, by tamta zazdrośnie strzegła swego miejsca przy Amyrlin, pozycji jakże przecież skromnej, Światłość też wiedziała, że nie roznosiła plotek, niemniej rozbijająca była jej nieustanna ciekawość własnych lub cudzych spraw. Dostateczny powód, by wysłuchać Suan w jakimś innym miejscu. Wszyscy już wiedzieli, że Suan związała swój los z Egwene, mimo przepelniającej ją niechęci i zawiści. Suan Sanche, przedmiot żartów i niekiedy współczucia, którą los tak pokarał, że aż musiała się ucześcić kobiety, która nosiła tytuł jej niegdyś przynależny, kobiety, która i tak miała się stać zwykłą marionetką, gdy Komnata przestanie już wieść spór o to, kto ma pociągać za sznurki. Suan miała w sobie dość ludzkich cech, które wzniecały w innych awersję, jednak jak dotąd udawało im się utrzymywać w tajemnicy, że udzielane przez nią rady są absolutnie wolne od zawiści. To właśnie dlatego zносиła litość i drwiny, jak potrafiła najlepiej, by wszystkie uwierzyły, że pod wpływem przejść zmienił się tak samo wygląd jej oblicza. Tę wiarę należało podtrzymywać, bo inaczej Romanda, Lelaine, a zapewne i pozostałe członkinie Komnaty znalazłyby jakiś sposób na odsunięcie jej od Egwene.

Po wyjściu z namiotu Egwene poczuła niczym cios obuchem w twarz uderzenie chłodu, który nadto sięgnął pod płaszcz; nocna koszula w takim stopniu chroniła przed zimnem, że równie dobrze mogła się wystroić jak Halima. Mimo butów z mocnej skóry i odzienia z grubej wełny, miała wrażenie, że stoi boso na lodzie. Kleszcze mroźnego powietrza schwyciły jej uszy, drwiąc sobie z gęstego futra, którym wyścielone było wnętrze kaptura. Wszelką koncentrację, na jaką była w stanie się zdobyć, przegnały tęsknota za łóżkiem oraz wysiłki ignorowania zimna. Po niebie pomykały chmury, a księżycowe cienie pełgały tuż ponad lśniącym kozuchem bieli okrywającym ziemię, urozmaiconym ciemnymi kopczykami namiotów i wyższymi od nich bryłami wozów z płóciennymi budami, które teraz stały nie na kołach, tylko na długich drewnianych płozach. (Ostatnimi czasy wozów niekiedy nawet nie rozładowywano, tylko parkowano w pobliżu namiotów, nikt bowiem nie miał serca zmuszać woźniców do dodatkowego wysiłku pod koniec dnia.) Egwene nie zauważyła, by wokół cokolwiek się poruszało, oprócz tych bladych, sunących cieni. Nikt nie chodził po ścieżkach wydeptanych w śniegu. Czuła niemal żal, że musi przełamać urok tak bezdennej ciszy.

– O co chodzi? – spytała cicho, rzucając czujne spojrzenie w stronę małego namiotu rozbitego

nieopodal, a zamieszkiwanego przez jej pokojówki, Chesę, Meri i Selame. Był równie nieruchomy i ciemny jak pozostałe, powszechne zmęczenie otuliło obozowisko warstwą grubą jak powłoka śniegu. – Mam nadzieję, że to nie są jakieś kolejne rewelacje na temat Rodziny. – Chrząknęła, zła na samą siebie. Też była zmęczona, zmęczona długimi, mroźnymi dniami spędzonymi w siodle i brakiem snu. Inaczej na pewno by czegoś takiego nie powiedziała. – Przepraszam, Suan.

– Za nic nie musisz przepraszać, Matko. – Suan też zniżyła głos i rozejrzała się dookoła, by sprawdzić, czy nie obserwuje ich ktoś ukryty wśród cieni. Żadna nie miała ochoty, by dyskutować z Komnatą kwestię Rodziny. – Wiem, że powinnam ci była powiedzieć o tym zawczasu, ale wydawało mi się to błahostką. Doprawdy nie spodziewałam się, że te dziewczyny będą w ogóle z którąś rozmawiać. Ach, ileż ja mam ci do powiedzenia. Ale postaram się wybrać to, co najważniejsze, obiecuję.

Egwene całą siłą woli stłumiła westchnienie. Takie same przeprosiny, niemal słowo w słowo, Suan oferowała już nie raz. A przepraszała za to, że próbuje w ciągu zaledwie kilku miesięcy nakarmić Egwene na siłę swoimi doświadczeniami, których nabywała przez dwadzieścia lat jako Aes Sedai, a w ich ramach ponad dziesięć jako Amyrlin. Egwene miewała czasami wrażenie, że jest gęsią tuczoną na ubój.

– No, słucham, co dziś jest takie ważne?

– Gareth Bryne czeka w twoim gabinecie. – Suan wprawdzie nie podniosła głosu, a jednak zadźwięczała w nim nerwowa nuta, jak zawsze, gdy mówiła o lordzie Brynie. Gniewnie potrząsnęła głową ukrytą w głębokim rozcięciu kaptura i prychnęła niczym kot. – Ten mężczyzna przyszedł cały zaśnieżony, wywlókł mnie z pościeli, ledwie dał mi czas na ubranie się i wciągnął mnie na swoje siodło. Nic nie powiedział, tylko powiózł skrajem obozu, a potem kazał cię przyprowadzić, jakbym była jakąś dziewczką na posługi!

Egwene stłumiła rodzącą się w niej nadzieję. Zbyt wiele rozczarowań przeżyła, a zresztą coś, co sprowadzało Bryne'a w samym środku nocy, raczej oznaczało potencjalną katastrofę, a nie spełnienie jej życzeń. Jak daleko jeszcze do granicy z Andorem?

– W takim razie przekonajmy się, czego on chce.

Szczelnie otuliwszy się płaszczem, ruszyła w stronę namiotu, który wszyscy nazywali Gabinetem Amyrlin. Wprawdzie nie dygotała z zimna, ale skrajności temperatur wcale nie przestawały istnieć dzięki temu, że się ich nie odczuwało. Można je było ignorować bardzo długo, tak długo, aż wreszcie mózg zaczynał się gotować od słońca albo stopy zaczynały gnić od mrozu. Nagle zafrapowała ją jedna z możliwych konsekwencji słów Suan.

– To ty nie spałaś w swoim namiocie? – spytała dyplomatycznie. Osobliwy związek, łączący Suan z lordem Bryne'em niczym z pozoru nie różnił się od relacji między służącą i jej panem, a jednak Egwene miała nadzieję, że Suan, uparta i dumna, nie dopuści, by on z tego skorzystał i nadużył jej zaufania. Wprawdzie nie potrafiła sobie tego wyobrazić, a jednak jeszcze nie tak dawno temu nie mogła sobie wyobrazić Suan akceptującej jakikolwiek element jej obecnej sytuacji. Wciąż pozostawały zagadką kierujące nią motywy.

Suan parsknęła głośno i omal się nie przewróciła, bo jej nogi zaplątały się w fałdy spódnicy. Śnieg ubijany za dnia przez niezliczone stopy prędko pokrywała nierówna lodowa powłoka. Egwene sama stawiała nogi z wielką ostrożnością. Wszak umordowane podróża siostry codziennie Uzdrawiały czyjeś połamane kości. Odrzuciwszy połę płaszcza, podała ramię przyjaciółce, zarówno oferując wsparcie, jak i go poszukując. Suan ujęła jej ramię i mruknęła:

– Zanim skończyłam czyścić zapasowe buty i siodło tego mężczyzny, zrobiło się tak późno, że nie było sensu wędrować z powrotem po tym lodzie. Ale nie myśl sobie, że zaferował mi coś

lepszego oprócz kilku koców ciśniętych w ką. Nie Gareth Bryne! Powiedział, że mam je sobie sama wyciągnąć z kufra, a sam poszedł Światłość wie dokąd! Mężczyźni to zaraza, i to jedna z najgorszych! – Zmieniła temat, nawet nie robiąc przerwy na zaczerpnięcie oddechu. – Nie powinnaś pozwalać, by Halima spała w twoim namiocie. To jeszcze jedna para uszu, których należy się wystrzegać, a poza tym ta dziewczyna jest naprawdę wścibska. Nie mówiąc o tym, że będziesz miała szczęście, jeśli któregoś dnia nie przyłapiesz jej na zabawianiu jakiegoś żołnierza.

– A ja bardzo się cieszę, że Delana zgodziła się, by Halima przychodziła do mnie na noc – odparła stanowczym tonem Egwene. – Potrzebuję jej. Chyba że twoim zdaniem Nisao lepiej potrafi Uzdrowić moje bóle głowy. – Sama obecność Halimy jakby przeganiała te bóle z jej czaszki; gdyby nie ona, Egwene w ogóle by nie spała. Wysiłki Nisao na nic się nie zdały, a była jedyną Żółtą, do której Egwene odważyła się zwrócić ze swoją dolegliwością. A co do reszty... Postarała się, by jej głos zabrzmiał jeszcze bardziej surowo. – Dziwię się, że ciągle jeszcze słuchasz tych plotek, córko. Fakt, że mężczyźni przyglądają się łakomym wzrokiem jakiejś kobiecie, bynajmniej nie oznacza, że ona ich do tego zachęca, o czym sama powinnaś dobrze wiedzieć. Widziałam niejednego, który na ciebie spoglądał z uśmiechem. – Mówienie takim tonem przychodziło jej teraz z większą łatwością niż kiedyś.

Siuan zerknęła na nią ze zdziwieniem i po chwili wybąkała kilka słów przeprosin. Może nawet były one szczere. W każdym razie Egwene przyjęła je. Lord Bryne już i tak bardzo źle wpływał na usposobienie Siuan, a teraz jeszcze Halima dołożyła swoje... Egwene doprawdy bardzo się cieszyła, że mogła ją skarcić tak łagodnie. Wszak Siuan zawsze powtarzała, że Zasiadająca nie powinna tolerować żadnych absurdów i zapewne odnosiło się to również do nie samej, jakkolwiek by było.

Nic już nie mówiąc, brnęły dalej ramię w ramię, chłód zamieniał ich oddechy w parę i przenikał ciała na wskroś. Ten śnieg to było przekleństwo i jednocześnie nauczka. Stale przypominały jej się słowa Siuan o Prawie Niezamierzonych Konsekwencji, silniejszym od wszelkiego prawa pisanego. „Niezależnie od tego, czy to, co robisz, wywołuje taki efekt, jakiego sobie życzysz, na pewno w konsekwencji pociągnie za sobą przynajmniej potrójne skutki, których w ogóle się nie spodziewasz, w tym jedne zazwyczaj nieprzyjemne”.

Pierwsze skąpe deszcze wywołały zdumienie, mimo że Egwene poinformowała Komnatę, że Czara Wiatrów została znaleziona i użyta. Zasadniczo tyle tylko mogła im bezpiecznie powtórzyć z informacji, jakie Elayne przekazała jej w *Tel'aran'rhiod*; to, co się zdarzyło w Ebou Dar, mocno podkopałoby jej pozycję, już i tak bardzo niepewną. Tamtym pierwszym mżawkom towarzyszyły wybuchy radości. Przeszali maszerować w samym środku dnia, rozpalili ogniska i świętowali na deszczu, siostry wznosiły modły dziękczynne, a służące tańczyły z żołnierzami. Zresztą niektóre Aes Sedai też tańczyły.

Kilka dni później zwykłe, umiarkowane opady przeszły w ulewy, a potem rozpętały się istne nawałnice. Temperatura gwałtownie spadła i zaczęły się śnieżyce. Obecnie przemierzenie tego samego dystansu, jaki dotąd pokonywali w ciągu jednego dnia, zabierało całe pięć dni, jeśli niebo było tylko zachmurzone, a kiedy padał śnieg, w ogóle nie ruszali się z miejsca. Nic więc dziwnego, że człowiek odruchowo zastanawiał się nad teorią niezamierzonych konsekwencji.

Właśnie zbliżały się do małego połatanego namiociku zwanego Gabinetem Amyrlin, gdy pod jednym ze stojących tam wysokich wozów poruszył się jakiś cień. Egwene oddech uwiązł w gardle. Cień zmienił się w ludzką postać, która odrzuciła kaptur z głowy, na moment odsłaniając twarz Leane, po czym na powrót wsunął się w mrok.

- Leane będzie stała na czatach, ostrzeże nas, jeśli ktoś się pojawi – uspokoiła ją szeptem Siuan.
- Bardzo dobrze – mruknęła Egwene. Dlaczego ta kobieta jej nie uprzedziła? Już się

przestraszyła, że to Romanda albo Lelaine!

W Gabinecie panował mrok, ale okutany w płaszcz lord Bryne, jeszcze jeden cień wśród innych cieni, czekał cierpliwie. Egwene objęła Źródło i przeniosła, ale nie zapaliła lampy zawieszanej na głównym wsporniku czy jednej ze świec, tylko utworzyła małą kulę z bladego światła, którą następnie zawiesiła w powietrzu nad składanym stolikiem służącym jej za biurko. Ta kula była naprawdę bardzo mała i bardzo blada, dzięki czemu nikt nie mógł jej zobaczyć z zewnątrz i w razie czego da się prędko zgasić. Egwene za nic nie chciała dopuścić, by ktoś ich tu teraz nakrył.

W historii Wieży bywały już Amyrlin, które panowały niepodzielnie, bywały też takie, które musiały dzielić się władzą z Komnatą, oraz takie, które dysponowały równie niewielką siłą jak ona, albo i nawet jeszcze mniejszą: rejestrowały to jedynie sekretne historie Białej Wieży. Zdarzyło się nawet kilka takich Amyrlin, które zwyczajnie roztrwonily władzę i wpływy, które na własne życzenie zamieniły swą wysoką pozycję na całkiem poślednią, ale przez te trzy tysiące lat z okładem była też garstka, dosłownie garstka, takich, którym udało się coś zupełnie innego. Egwene wiele by dała, by się dowiedzieć, jak Myriam Copan i inne z owej garstki tego dokonały. Może ktoś to kiedyś opisał, ale nawet jeśli tak, to te zapiski dawno temu zaginęły.

Bryne skłonił się z szacunkiem, nie dziwiąc się jej przezorności. Wiedział, czym ryzykuje Egwene, gdy spotyka się z nim w tajemnicy. A ona ze swej strony bardzo ufała temu krzepkiemu, mocno posiwiałemu mężczyźnie o szczerzej, zniszczonej twarzy, i to wcale nie dlatego, że musiała. Bryne miał na sobie płaszcz z grubej czerwonej wełny, podbity futrem z kuny i ozdobiony szlaczkiem z Płomieni Tar Valon; i choć był to podarunek od Komnaty, kilkakrotnie podczas ostatnich tygodni dał jasno do zrozumienia, że cokolwiek myślała Komnata – a nie był tak ślepy, by to przeoczyć! – to Egwene jest Amyrlin, a on słucha rozkazów Amyrlin. Och, nigdy nie powiedział tego wprost, ale zaznaczył to w starannie sformułowanych aluzjach, które nie pozostawiały cienia wątpliwości. Oczekiwanie czegoś więcej byłoby zbyt daleko idącym roszczeniem. W ich obozowisku dawało się wyróżnić niemal tyle samo frakcji, ile zamieszkiwało je Aes Sedai, przy czym niektóre były tak silne, że z łatwością mogły się przyczynić do obalenia Bryne'a. Względnie jeszcze bardziej pograżać Egwene, gdyby Komnata dowiedziała się o tym spotkaniu. Ufała mu bardziej niż komukolwiek, z wyjątkiem Siuan, Leane, Elayne czy Nynaeve, może nawet bardziej niż tym siostron, które potajemnie przysięgły jej lojalność, i żałowała, że brak jej odwagi, by zaufać mu jeszcze bardziej. Kula białego światła rzucała mdłe, migotliwe cienie.

– Masz jakieś wieści, lordzie Bryne? – spytała, tłumiąc w sobie nadzieję. Przychodziło jej do głowy kilkanaście najrozmaitszych informacji, których konieczność przekazania mogła sprowadzić go tu nocą, każda wyposażona we własny komplet wilczych dołów i sideł. Może Rand stwierdził, że korona Illian to mało, i postanowił sięgnąć po kolejne trony, może Seanchanie jakimś sposobem znowu zdobyli następne miasto, może Legion Czerwonej Ręki nagle ruszył dokądś na własną rękę, zamiast podążać jak cień śladem Aes Sedai, może...

– Jakaś armia rozbiła obóz na północy, Matko – odparł spokojnie. Jego dłonie odziane w skórzane rękawice spoczywały swobodnie na długiej rękojeści miecza. Armia na północy, trochę więcej śniegu: dla niego to było wszystko jedno. – To głównie Andoranie, ale towarzyszy im spora rzesza Murandian. Moi zwiadowcy donieśli o tym niespełna godzinę temu. Dowodzi nimi Pelivar, któremu towarzyszy Arathelle, czyli to już są dwie Głowy najsilniejszych Domów Andoru, a poza tym jest też z nimi co najmniej dwudziestu innych, pośledniejszych arystokratów. Zdaje się, że maszerują w stronę południa i że narzucili ostre tempo. Jeśli więc będziesz podążała w tym samym kierunku co teraz, z taką samą prędkością... co odradzam... to za dwa, najwyżej trzy dni nastąpi spotkanie.

Egwene nie okazała, jak bardzo jej ulżyło. Nareszcie ma to, na co liczyła, na co czekała; już zaczynała się bać, że nigdy do tego nie dojdzie. Za to z ust Siuan wyrwał się cichy okrzyk zdumienia. Bryne spojrział na nią, unosząc brwi, ale Siuan prędko się opamiętała i jak przystało na Aes Sedai, przybrała maskę opanowania, tak intensywną, że niemal całkiem ukryła jej odmłodniałe rysy.

– Czyżbyś miał jakieś skrupuły w obliczu walki ze swoimi rodakami z Andoru? – spytała opryskliwie. – No, gadajże, człowieku. Nie przyszedłam tu dziś w charakterze twojej praczki. – Cóż, była jednak w tym opanowaniu jakaś szczelina.

– Jak każesz, Siuan Sedai. – W głosie Bryne’a nie słyszało się ani strzępka drwiny, a jednak Siuan zacisnęła usta, jej pozorny chłód prędko wyparowywał. Bryne wykonał przed nią nieznaczny, a przy tym nienaganny ukłon. – Będę walczył z każdym, z kim każe mi walczyć Matka, to oczywiste. – Nawet tutaj nie chciał się bardziej otworzyć. Mężczyźni uczyli się przezorności w obecności Aes Sedai. Podobnie zresztą jak kobiety. Egwene osobiście uważała, że przezorność stała się jej drugą naturą.

– A jeśli zmienimy tempo marszruty? – zapytała. Tyle było tego planowania, jej ciężkiej pracy, Siuan i czasami Leane, a tymczasem wciąż musiała stawiać każdy swój kolejny krok równie ostrożnie jak na tych oblodzonych ścieżkach. – A jeśli zatrzymamy się tutaj?

Odpowiedział bez chwili namysłu:

– Gdybyś potrafiła wymyślić jakiś sposób uniknięcia walki, to bardzo dobrze, ale ich wojska jutro dotrą do miejsca, gdzie ukształtowanie terenu zapewnia znakomitą pozycję do obrony, bo na jednej flance jest rzeka Armahn, na drugiej rozległe moczary, a każdy atak na czoło ugrzęźnie w sieci strumyków. Pelivar zatrzyma się tam, by czekać, na tym zna się znakomicie. Arathelle odegra swoją rolę, jeśli dojdzie do jakichś rozmów, piki i miecze pozostawi jemu. Nie zdążymy dotrzeć tam przed nimi, a zresztą dla nas to ukształtowanie terenu nie jest przydatne, jako że Pelivar będzie ciągnął na nas od północy. Jeśli chcesz walczyć, to radzę wyprawić się do tej grani, którą pokonaliśmy dwa dni temu. Jak wyruszymy o świcie, to dotrzemy tam przed nimi i Pelivar zastanowi się dwa razy, zanim nas zaatakuje, nawet jeśli będzie miał trzy razy więcej żołnierzy.

Egwene, która musiała już przebierać palcami u stóp, żeby nie zamarzyły jej na kość, westchnęła ze złością. Ignorowanie wrażenia chłodu to jedna sprawa, a zabezpieczenie się przed jego działaniem całkiem inna. Bardzo się starając, by ziąb nie rozpraszał jej uwagi, zapytała:

– Czy będą rozmawiali, jeśli dać im sposobność?

– Niewykluczone, że tak. Murandianie raczej się nie liczą, są tu tylko dla ewentualnych korzyści, jakie mogliby wyciągnąć dla siebie z tej sytuacji, podobnie jak ci wieśniacy, którymi ja dowodzę. Ważni są Pelivar i Arathelle. Gdybym się musiał zakładać, to powiedziałbym, że chcą ci zablokować wstęp do Andoru. – Ponuro pokręcił głową. – Ale będą walczyć, jeśli zostaną do tego zmuszeni, nawet gdyby oznaczało to starcie z Aes Sedai, nie tylko z żołnierzami. Spodziewam się, że słyszeli te same opowieści co my na temat bitwy, która miała miejsce gdzieś na wschodzie.

– Rybie bebechy! – warknęła Siuan, do cna już tracąc opanowanie. – Nie dogotowane pogłoski i surowe plotki to jeszcze nie dowód, że rzeczywiście doszło do jakiejś bitwy, ty zakuty łbie, a jeśli nawet, to siostry i tak nie dałyby się do niej wciągnąć! – Ona naprawdę traciła głowę przy tym mężczyźnie!

O dziwo, Bryne uśmiechnął się. Często się uśmiechał, kiedy Siuan okazywała swój temperament. W każdym innym miejscu, w odniesieniu do każdej innej osoby, Egwene określiłaby ten uśmiech jako czuły.

– Dla nas będzie lepiej, jeśli oni w to uwierzą – powiedział do niej łagodnym głosem, na co jej twarz pociemniała, jakby w obliczu szyderstwa.

Dlaczego normalna, rozsądna kobieta pozwałała, by Bryne tak ją wytrącał z równowagi? Nieważne. Egwene nie miała dziś czasu na rozwiązywanie takich problemów.

– Siuan, ktoś zapomniał zabrać stąd to wino z korzeniami. Nie mogło skwaśnieć przy takiej pogodzie. Zagrzej je dla nas, proszę. – Nie lubiła usadzać tej kobiety w obecności Bryne’a, ale niestety, Siuan należało utemperować i taki sposób wydawał się najbardziej delikatny. A tak nawiasem mówiąc, niedbałość tego, kto zostawił tu ten srebrny dzban, też nie wywierała najlepszego wrażenia.

Siuan nawet nie drgnęła, ale przez krótką chwilę miała tak urażoną minę, że człowiek w życiu nie dałby wiary, iż pierze bieliznę temu mężczyźnie. Nie wygłosiła żadnego komentarza, tylko posłusznie przeniosła odrobinę Mocy, by podgrzać wino w srebrnym dzbanie, prędko napełniła dwa czyste puchary i wręczyła jeden Egwene. Sama upiła łyk z drugiego, jasno dając do zrozumienia lordowi Bryne’owi, że ma sam sobie nalać.

Egwene poczuła przyływ irytacji. Siuan długo tłumiła w sobie reakcję na śmierć własnego Strażnika i być może to był jeden z efektów. Nadal co jakiś czas, bez żadnego oczywistego powodu, robiła się płaczliwa, choć starała się to ukryć. Egwene wyrzuciła kolejny problem z głowy. Tego wieczoru takie sprawy były niczym mrowisko na tle gór.

– Wolałabym uniknąć walki, jeśli to będzie możliwe, lordzie Bryne. Armia maszeruje do Tar Valon, nie będzie wszczynać tutaj żadnej wojny. Poślij umownego, by zaaranżował jak najszybsze spotkanie Zasiadającej na Tronie Amyrlin z lordem Pelivarem i lady Arathelle oraz wszystkimi osobami, które twoim zdaniem powinny być przy nim obecne. Tylko nie umawiaj ich tutaj, nasz nędzny obóz nie wywrze na nich odpowiedniego wrażenia. Pamiętaj, jak najszybciej. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby odbyło się choćby i jutro.

– Czasu jest za mało, Matko – odparł łagodnie. – Nawet jeśli wyślę jeźdźców zaraz po powrocie do obozu, to wątpię, by zdążyli wrócić z odpowiedzią przed jutrzejszym wieczorem.

– W takim razie proponuję; byś natychmiast wracał. – Światłości, ależ jej zmarzły ręce i stopy. I żołądek. A mimo to wciąż mówiła cierpliwym tonem. – I chcę także, abyś to spotkanie i istnienie ich armii trzymał w tajemnicy przed Komnatą tak długo, jak się da.

Tym razem prosiła, by wziął na siebie wielkie ryzyko. Gareth Bryne był jednym z najlepszych żyjących generałów, a jednak członkinie Komnaty złościły się, że nie dowodzi armią po ich myśli. Z początku były wdzięczne, że użyczył swego imienia, bo ono przy-, ciągało żołnierzy pod ich sztandar. Obecnie w armii służyło ponad trzydzieści tysięcy uzbrojonych mężczyzn i choć spadły śniegi, nieustannie ścigali następnego, dlatego uznali, że być może już nie potrzebują lorda Garetha Bryne’a. I rzecz jasna, natychmiast objawiły się takie, które uważały, że nigdy nie był potrzebny. Te nie odesłałyby go ot tak, zwyczajnie. Najpewniej Bryne zostałby oskarżony o zdradę i oddany w ręce kata.

Nawet nie mrugnął, nie zadał żadnego pytania. Być może wiedział, że Egwene jemu i tak nie odpowie. A może mu się wydawało, że zna wszystkie odpowiedzi.

– Między moim a twoim obozem panuje niewielki ruch, ale zbyt wielu ludzi już wie, by dało się to długo trzymać w tajemnicy. Niemniej zrobię, co mogę.

Jakie to wszystko zdawało się proste. Pierwszy krok na drodze, przy końcu której miała albo zostać Zasiadającą na Tronie Amyrlin w Tar Valon, albo trafić w szpony Komnaty, bez możliwości podejmowania jakichkolwiek decyzji, wyjąwszy kwestię, kto ma wydawać jej polecenia: Romanda czy Lelaine. To był punkt zwrotny, któremu powinny towarzyszyć fanfary, trąbki, albo przynajmniej grzmoty. Tak to się zawsze odbywało w opowieściach.

Egwene zgasiła świetlistą kulę, ale kiedy Bryne odwrócił się już w stronę wyjścia, złapała go

za ramię, grube niczym konar drzewa.

– Chciałam cię zapytać o jedną rzecz, lordzie Bryne. Chyba nie będziesz chciał, by utrudzeni marszem ludzie przystępowali od razu do oblężenia Tar Valon. Jak długo, twoim zdaniem, będą musieli odpoczywać?

Po raz pierwszy ociągał się z odpowiedzią, a ona pożałowała, że w namiocie jest tak ciemno, nie mogła bowiem zobaczyć dokładnie jego twarzy. Odniosła wrażenie, że się skrzywił.

– Nawet jeśli nie brać pod uwagę ludzi na żołdzie Wieży – powiedział w końcu, powoli dobierając słowa – wieść o armii frunie szybko jak sokół. Elaida będzie znała dokładnie dzień naszego przybycia i nie da nam nawet godziny. Czy wiesz, że zwiększyła stan liczebny Gwardii Wieży? Podobno do pięćdziesięciu tysięcy ludzi. W każdym razie w innej sytuacji potrzebowalibyśmy miesiąca na odpoczynek i odzyskanie sił. Dziesięć dni też by wystarczyło, ale najlepszy byłby miesiąc.

Przytaknęła, uwalniając jego rękę. Tamto zdawkowe pytanie na temat Gwardii Wieży zabolowało. Bryne wiedział, że Komnata i Ajah mówią jej tylko tyle, ile zechcą, i nic ponadto.

– Zapewne masz rację – stwierdziła opanowanym głosem. – Nie będzie już czasu na wypoczynek, kiedy dotrzemy do Tar Valon. Wyślij więc zaraz swoich najlepszych jeźdźców. Nie będą mieli żadnych kłopotów, prawda? Pelivar i Arathelle wysłuchają ich chyba? – Ta nuta niepokoju w jej głosie nie była udawana. Gdyby teraz musieli walczyć, to wniwecz mogłoby się obrócić o wiele więcej niż tylko jej plany.

W tonie głosu Bryne’a trudno było wychwycić najdrobniejszą choćby zmianę, jednak zdawał się ją jakoś uspokajać.

– Jeśli tylko wystarczy światła, by zauważyli białe pióra w rękach posłańców, nie mogą nie zrozumieć, że to propozycja zawieszenia broni, i wysłuchają ich. Pójdę już, Matko. To długa droga i ciężka jazda, nawet dla ludzi z zapasowymi końmi.

Gdy tylko kłapa przesłaniająca wejście opadła, Egwene wypuściła długo wstrzymywany oddech. Mięśnie jej ramion były napięte i czuła, że lada chwila rozboli ją głowa. W obecności Bryne’a zazwyczaj ogarniało ją odprężenie, tym bardziej że jego pewność siebie była zaraźliwa. Tego wieczoru musiała nim manipulować i bała się, że o tym wiedział. Jak na mężczyznę, był bardzo spostrzegawczy. Ale zbyt wiele spraw się ważyło, by zaufać mu w jeszcze większym stopniu, dopóki on sam nie wygłosi jawnej deklaracji. Na przykład w formie takiej przysięgi, jaką złożyła Myrelle i inne siostry. Bryne słuchał rozkazów Amyrlin, a armia słuchała rozkazów Bryne’a. Jeśli uzna, że Egwene zamierza zmarnować ludzi, to wystarczy kilka słów z jego ust i Komnata będzie ją miała niczym prosię na półmisku. Upiła łyk wina, czując, jak ciepły napój rozgrzewa ją przyjemnie od środka.

– Lepiej dla nas, jeśli uwierzą – mruknęła. – Jak ja bym chciała, żeby istniało coś takiego, w co mogliby uwierzyć. Może ostatecznie nic nie zdziałam, Suan, ale liczę, że przynajmniej uwolnię nas od Trzech Przysięg.

– Ależ co ty! – warknęła Suan, wyraźnie oburzona. – Już sama próba mogłaby się okazać katastrofalna, a gdyby ci się udało... Światłości, dopomóż nam... gdyby ci się udało, zniszczyłabyś Białą Wieżę.

– O czym ty mówisz? Staram się postępować zgodnie z Przysięgami, ponieważ nie ma innej możliwości... na razie... ale Przysięgi nie pomogą nam w walce z Seanchanami. Dopóki jest tak, że siostry mogą walczyć tylko wtedy, gdy grozi im utrata życia, pozostaje tylko kwestią czasu, kiedy wszystkie zginiemy albo kiedy założą nam obroże. – Przez chwilę znowu czuła *a'dam* na swoim gardle, czyniącą z niej łańcuchowego psa. Dobrze wytresowanego, posłusznego psa. W tym

momencie cieszyła się, że jest ciemno, bo Siuan nie mogła zobaczyć, jak ona dygocze. Twarz Siuan skrywały cienie, widać było tylko poruszające się bezgłośnie usta.

– Nie patrz tak na mnie, Siuan. – Łatwiej się złościć, niż bać, łatwiej maskować strach niż gniew. Już nigdy nie pozwoli, by założono jej obroź! – Odkąd uwolniono cię od Przysiąg, korzystałaś z tego na każdy możliwy sposób. Gdybyś nie łągała w żywe oczy, wszystkie wciąż byłybyśmy w Salidarze, bez żadnej armii, siedziałybyśmy z założonymi rękami i czekały na jakiś cud. Cóż, ty byś czekała. Nigdy nie zostałabym wyniesiona do stuły Amyrlin, gdyby nie twoje kłamstwo w sprawie Logaina i Czerwonych. Elaida panowałaby niepodzielnie i za rok nikt by nie pamiętał, jakim sposobem przejęła Tron Amyrlin. Z pewnością zniszczyłaby Wieżę. Sama wiesz, jak ona psuje wszystkie sprawy związane z Randem. Jeżeli nie byłaby taka zajęta nami, nie zdziwiłabym się, gdyby spróbowała porwania. Cóż, może nie porwania, ale coś na pewno by zrobiła. Aes Sedai zapewne walczyłyby dzisiaj z Asha’manami, nie zważając, że Tarmon Gai’don jest tuż.

– Kłamałam, kiedy wydawało się to konieczne – odparła Siuan. – Kiedy sądziłam, że nie ma innego wyjścia. – Garbiła się i mówiła takim tonem, jakby wyjawiała zbrodnię, do której nie chciała się przyznać nawet sama przed sobą. – Czasami wydaje mi się, że zbyt łatwo przychodzi mi orzekanie, co jest konieczne. Do tej pory okłamałam już prawie wszystkich, z wyjątkiem ciebie. Ale nie myśl sobie, że nie wpadłam na taki pomysł, by cię okłamać i w ten sposób nakłonić do jakiejś decyzji albo od niej odwieść. Powstrzymałam się jednak, ale wcale nie dlatego, że zależało mi na twoim zaufaniu. – Siuan wyciągnęła rękę błagalnym gestem. – Światłość wie, ile dla mnie znaczą twoje zaufanie i przyjaźń, ale to nie tylko to. I nie tylko świadomość, że obdarłabyś mnie ze skóry albo przepędziła, gdybyś się dowiedziała. Zrozumiałam, że przynajmniej wobec jednej osoby muszę respektować Przysięgi, bo inaczej całkiem siebie zatracę. Dlatego więc nie okłamuję ani ciebie, ani Garetha Bryne’a, niezależnie od kosztów. I gdy tylko będę mogła, Matko, złożę Trzy Przysięgi na Różdżkę Przysiąg.

– Dlaczego? – spytała cicho Egwene. Siuan zastanawiała się, czy jej nie okłamać? Istotnie, obdarłaby ją za to ze skóry. A jednak w tej chwili nie czuła już gniewu. – W normalnych okolicznościach nie wybaczyłabym kłamstwa, Siuan. Ale czasami trzeba kłamać. – W jej pamięci przeleciał czas spędzony wśród Aielów. – W każdym razie dopóki jesteś gotowa za to zapłacić. Widywałam już siostry, które odbywały pokutę za drobniejsze przewinienia. Zaliczasz się do pierwszych przedstawicielek nowego rodzaju Aes Sedai, Siuan, wolnych i niczym nie skrępowanych. Wierzę ci, kiedy mówisz, że mnie nie okłamiesz. – I Garetha Bryne’a? A to już było dziwne. – Po cóż miałabyś się wyrzekać swojej wolności?

– Wyrzekać? – Siuan roześmiała się. – Niczego się nie wyrzeknę. – Wyprostowała się, a jej głos wypełnił się siłą, wręcz żarem. – Przysięgi to coś takiego, co sprawia, że jesteśmy czymś lepszym niż tylko grupą kobiet mieszających się w sprawy świata. Nieważne, czy działa wśród nas jedna frakcja; siedem, niech ich sobie będzie nawet pięćdziesiąt. Przysięgi trzymają nas razem, bo stanowią zbiór ustalonych przekonań, wiążących nas wszystkie jedną i tę samą, pojedynczą nicią, biegnącą od siostry do siostry, czy to żywej, czy umarłej, aż do tej pierwszej, która ułożyła dłonie na Różdżce Przysiąg. To dzięki Przysięgom właśnie jesteśmy Aes Sedai, a nie dzięki *saidarowi*. Przenosić potrafi byle dzikuska. Mężczyźni mogą się przyglądać temu, co mówimy z sześciu stron, ale kiedy jakaś siostra mówi „Test tak a tak”, to wiedzą, że to prawda, i wierzą. Dzięki Przysięgom. Dzięki Przysięgom żadna królowa nie boi się, że siostry spustoszą jej miasta. Najgorszy rzezimieszek wie, że jego życiu nic nie zagraża ze strony jakiejś siostry, dopóki nie spróbuje zrobić jej czegoś złego. Och, Białe Płaszczki nazywają je kłamstwami i niektórzy ludzie mają dziwaczne wyobrażenia co do skutków, jakie wiążą się ze złożeniem Przysiąg, ale to właśnie dzięki Przysięgom jest bardzo



niewiele takich miejsc, gdzie Aes Sedai nie zostanie wysłuchana. Trzy Przysięgi symbolizują naturę Aes Sedai, są samym jej sednem. Zrezygnuj z nich, odrzuć je niczym śmieci, a staniemy się tym piachem rozgarnianym przez fale. Wyrzec się? Wszak dla mnie stanowią czysty zysk.

Egwene zmarszczyła czoło.

– A Seanchanie? – Oto, co znaczyło być Aes Sedai. Niemal od pierwszego dnia, gdy przybyła do Tar Valon, pracowała na to, by zostać Aes Sedai, ale nigdy tak naprawdę się nie zastanawiała, na czym właściwie polega bycie Aes Sedai.

Siuan znowu się roześmiała, tym razem odrobinę gorzko i chyba była już zmęczona. Potrząsnęła głową i mimo mroku wiadomo było, że na dzisiaj ma wszystkiego dosyć.

– Nie wiem, Matko. Światłości, dopomóż, nie wiem. Ale przeżyliśmy Wojny z Trollokami, Białe Płaszcz, Artura Hawkwinga i wszystko, co zdarzyło się w trakcie. Znajdziemy sposób na rozprawienie się z Seanchanami tak, by jednocześnie nie zniszczyć samych siebie.

Egwene nie była tego taka pewna. Wiele sióstr w obozie uważało, że Seanchanie stanowią zagrożenie poważniejsze, że należy się wstrzymać z obleganiem Elaidy. Jakby odwlekanie całej sprawy wcale nie groziło, iż Elaida zrośnie się na dobre z Tronem Amyrlin. I równie wiele sióstr zdawało się wierzyć, że jeśli Wieża ponownie się zjednoczy, niezależnie od ceny, to Seanchanie zwyczajnie znikną. Przetrawanie traciło nieco na swej atrakcyjności, jeśli towarzyszyła mu smycz, a smycz Elaidy nie byłaby wcale luźniejsza niżli smycz Seanchan. Oto, co oznaczało bycie Aes Sedai.

– Nie powinniśmy trzymać Garetha Bryne’a na dystans -stwierdziła nagle Siuan. – Ten człowiek to chodzące utrapienie, prawda. I jeśli przestawania z nim nie da się zaliczyć w poczet kary za moje kłamstwa, to w takim razie nie zostałabym dostatecznie ukarana nawet wtedy, gdyby obdarto mnie ze skóry. Któregoś dnia zacznę go targać za uszy, raz rano i dwa razy wieczorem, dla zasady, ale ty możesz jemu mówić wszystko. Bardzo by pomogło, gdyby on o wszystkim wiedział. Wierzy ci na słowo, a na dodatek kłębi mu się w żołądku od tego zastanawiania się, czy wiesz, co robisz. Nie zdradza się z tym, ale ja to widzę.

Nagle wszystkie elementy rozproszone w umyśle Egwene wskoczyły ze szczękiem na swoje miejsce, niczym elementy kowalskiej układanki. I w tym momencie przeżyła wstrząs. Siuan zakochała się w tym mężczyźnie! Żadne inne wytłumaczenie nie miało sensu. I od tego momentu wszystko, co wiedziała na ich temat, ulegało zmianie. Niekoniecznie na lepsze. Zakochana kobieta często odkłada rozum na półkę, kiedy jej ukochany znajduje się obok. Sama była tego aż nadto świadoma. Gdzie jest Gawyn? Czy ma się dobrze? Czy jest mu ciepło? Dość tego! Czy wręcz za dużo w obliczu słów, które musiały paść. Przemówiła głosem Amyrlin, pewnym i rozkazującym.

– Możesz targać lorda Bryne’a za uszy albo z nim sypiać, Siuan, ale masz się pilnować w jego obecności. Nie pozwól, by wymykały ci się z ust rzeczy, o których on na razie nie powinien wiedzieć. Rozumiesz, co mówię?

Siuan raptownie zeszywniała.

– Nie mam zwyczaju dopuszczać, by mój język trzepotał niczym porwany żagiel, Matko – odparła impulsywnie.

– Cieszę się, że to słyszę, Siuan. – Choć Siuan istotnie mogła być jej matką, to jednak w tym momencie Egwene uległa wrażeniu, że stosunek lat jest odwrotny. Być może Siuan po raz pierwszy w życiu musiała radzić sobie z mężczyzną nie jako Aes Sedai, lecz jako kobieta.

„Wystarczyło, że przez kilka lat wydawało mi się, że kocham Randa – pomyślała z goryczą Egwene – i że przez kilka miesięcy wdychałam do Gawyna, a już wiem wszystko, co trzeba wiedzieć”.

– Myślę, że to by było na tyle – dodała, biorąc Siuan pod rękę. – Aha, jeszcze coś. Chodź ze

mną.

Dotąd wydawało się, że ściany namiotu stanowią nieznaczną tylko ochronę, a jednak po wyjściu na zewnątrz szarpnął nimi zdwojony uścisk kłów zimy. Księżyc świecił tak mocno, że nieledwie dałoby się przy nim czytać, tym bardziej że jego promienie odbijały się od śniegu, a jednak jego poświata zdawała się zimna. Po Brynie nie było ani widu, ani słyhu, jakby go nigdy nie było. Leane pojawiła się na chwilę, poinformowała je, że nikogo nie widziała, po czym pospiesznie umknęła w mrok, rozglądając się dookoła. Nikt nie wiedział o związkach łączących Leane z Egwene i wszyscy uważali, że Leane i Siuan są właściwie gotowe pozabijać się wzajem.

Opatuliwszy się płaszczem, najlepiej jak się dało w sytuacji, gdy mogła to zrobić tylko jedną ręką, Egwene ruszyła razem z Siuan w kierunku przeciwnym do tego, w którym udała się Leane, skupiając się na ignorowaniu lodowatego zimna. Na ignorowaniu zimna i rozglądaniu się, czy nie widzi ich ktoś, kto akurat znalazł się w pobliżu. Było to raczej mało prawdopodobne, by ktoś miał wałęsać się teraz po dworze.

– Lord Bryne miał rację – powiedziała. – Lepiej, gdyby Pelivar i Arathelle uwierzyli w te opowieści. Albo gdyby one przynajmniej wzbudziły w nich wątpliwości. Wątpliwości dostatecznie poważne, by osłabić ich wolę walki albo w ogóle nie pozwolić na nic więcej prócz gadania. Czy twoim zdaniem ucieszą się z wizyty Aes Sedai? Siuan, czy ty mnie słuchasz?

Siuan wzdrygnęła się i zatrzymała, ze wzrokiem utkwionym w dal. Do tej pory szła pewnie przed siebie, ani razu nie gubiąc kroku, teraz jednak poślizgnęła się i omal nie usiadła na oblodzonej ścieżce, w porę odzyskując równowagę, bo dzięki temu nie pociągnęła za sobą Egwene.

– Tak, Matko. Naturalnie, że cię słucham. Pewnie się nie ucieszą, ale wątpię, by śmieli odprawić Aes Sedai z kwitkiem.

– W takim razie obudzisz zaraz Beonin, Anaiyę i Myrelle. Niech za godzinę ruszają na północ. Jeśli lord Bryne spodziewa się odpowiedzi już jutro wieczorem, to czasu jest niewiele. – Szkoda, że nie dowiedziała się dokładnie, gdzie obozuje tamta armia, ale wypytywanie o to Bryne’a mogłoby wzbudzić jego podejrzenia. Strażnicy nie powinni mieć kłopotów z jej znalezieniem, a te trzy siostry miały ich aż pięciu.

Siuan wysłuchiwała jej poleceń w milczeniu. Nie tylko te trzy miały zostać wyrwane z łóżek. Sheriam, Carlinya, Morvrin i Nisao miały jeszcze przed nastaniem świtu znać słowa, jakie wypowiedzą przy śniadaniu. Ziarno musiało paść na glebę, nawet jeśli zabraknie czasu na zebranie plonów. A wcześniej posiać się go nie dało, bo weszłoby zbyt prędko.

– Wywlokę je spod koców z największą przyjemnością -stwierdziła Siuan, kiedy Egwene skończyła. – Skoro ja mogę paradować po tym... – Uwolniła ramię Egwene i już zaczęła się oddalać, ale zatrzymała się nagle, z poważną, wręcz ponurą twarzą. – Wiem, że chcesz zostać drugą Gerrą Kishar... albo może nawet Sereille Bagand. Masz w sobie coś, co może pozwoli im ci dorównać. Ale uważaj, byś nie stała się drugą Shein Chunlą. Dobrej nocy, Matko. Śpij dobrze.

Egwene odprowadziła wzrokiem jej otuloną płaszczem sylwetkę, sunącą ścieżką i pomrukującą gniewnie, tak głośno, że niemal dawało się zrozumieć poszczególne słowa. Gerra i Sereille zapamiętano powszechnie jako najznamienitsze Amyrlin. Obie wyniosły rangę Białej Wieży do poziomu, jaki rzadko kiedy osiągano nawet w czasach poprzedzających epokę Artura Hawkwinga. Obie też kontrolowały samą Wieżę; Gerra poprzez umiejętne manipulacje jedną frakcją Komnaty przeciwko drugiej, Sereille zwykłą siłą swej woli. Natomiast całkiem odmienny był los Shein Chunli, Amyrlin, która zmarnowała władzę Zasiadającej na Tronie Amyrlin, odsuwając się od większości sióstr zasiadających w Komnacie. Świat uwierzył, że Shein umarła, piastując swój urząd, blisko czterysta lat temu, a jednak głęboko ukrywana prawda była taka, że została pozbawiona

stanowiska i za życia skazana na wygnanie. Mimo iż nawet tajemne historie różniły się nieco pewnymi elementami, nie ulegało wątpliwości, że po tym, jak czwarty z kolei spisek na rzecz ponownego osadzenia tej kobiety na tronie został wykryty, siostry strzegące Shein udusiły ją podczas snu poduszką. Egwene zadygotała, ale wmówiła sobie, że to tylko ziąb.

Zawróciła i całkiem samotna zaczęła brnąć z powrotem do swojego namiotu. Śpij dobrze? Księżyc w pełni wisiał nisko na nieboskłonie i brakowało jeszcze wielu godzin do wschodu słońca, ale nie była pewna, czy w ogóle będzie w stanie zasnąć.

# ROZDZIAŁ 16

## DZIWNE NIEOBECNOŚCI

Następnego ranka, jeszcze zanim pierwszy rąbek słońca wychynął zza horyzontu, Egwene zwołała posiedzenie Komnaty Wieży. W Tar Valon takie posiedzenie odbyłoby się z wielką pompą, zresztą nawet po wyjeździe z Salidaru, a więc wśród trudów podróży, zdobywały się niekiedy na jakieś ceremonialne gesty. Tymczasem tego dnia Sheriam zwyczajnie wędrowała od jednego namiotu do drugiego, bo było jeszcze zbyt ciemno, by obwieścić wszem i wobec, że Zasiadająca na Tronie Amyrlin nakazuje Komnacie Zasiąść. W rzeczy samej nie zasiadły w ogóle, tylko w szarzyźnie poprzedzającej właściwy wschód słońca osiemnaście kobiet ustawiło się w półkolu na gołym śniegu, by wysłuchać Egwene, wszystkie szczelnie opatulone, by chronić się przed mrozem, który zamieniał ich oddechy w parę.

Pojawiły się też inne siostry, które chciały się przysłuchiwać obradom, z początku ledwie kilka, ale kiedy nikt ich nie odprawił, grupka zaczęła się rozrastać w gwarze rozmów. Bardzo cichym gwarze. Niewiele sióstr miałyby czelność zakłócać spokój którejś z Zasiadających, a co dopiero całej Komnaty. Przyjęte w sukniach i płaszczach obrzeżonych lamówkami, które pojawiły się za plecami Aes Sedai, naturalnie zachowywały się ciszej, a od nich jeszcze cichsze były nowicjuszki, choć znacznie liczniejsze. W obozie mieszkało obecnie półtora raza więcej nowicjuszek niż sióstr, aczkolwiek mało która posiadała stosowny biały płaszcz i większość musiała się zadowolić prostą białą spódnicą zamiast sukni nowicjuszki. Niektóre siostry wciąż uważały, że powinny wrócić do dawnych obyczajów i pozwalać, by dziewczęta same się do nich zgłaszały, ale większość żałowała tych straconych lat, kiedy to szeregi Aes Sedai skurczyły się niepokojąco. Egwene sama niemal drżała na myśl o tym, w co mogła się przeobrazić Biała Wieża. Dlatego cieszyła się ze zmiany tak ewidentnie korzystnej, że nawet Siuan nie mogła się jej sprzeciwić.

W gromadzący się tłum zza namiotu wyszła Carlinya i zatrzymała się jak wryta na widok Egwene oraz Zasiadających. Normalnie opanowana aż po palce u stóp, Biała siostra wytrzeszczyła teraz oczy, a jej twarz zdążyła poczerwieniec, zanim pospieszenie umknęła w przeciwną stronę, oglądając się przez ramię. Egwene w porę się pohamowała i nie skrzywiła. Wszystkie były zanadto zaabsorbowane tym, co miała zrobić tego ranka, by cokolwiek dostrzec, ale prędzej czy później ktoś zauważy i zacznie się dziwować.

Sheriam rozchyliła poły pokrytego delikatnym haftem płaszcza, odsłaniając wąską błękitną stułę Opiekunki, dygnęła przed Egwene tak formalnie, jak tylko jej na to pozwalało grube odzienie, i dopiero wtedy zajęła miejsce u jej boku. Ta otulona w wiele warstw przedniej wełny i jedwabi kobieta o ognistorudych włosach była ucieleśnieniem spokoju. Kiedy Egwene skinęła głową, zrobiła krok w przód i zaintonowała starożytną formułę czystym i donośnym głosem.

– Idzie już! Idzie! Strażniczka Pieczęci, Płomień Tar Valon, Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Miejcie się na baczności, albowiem ona już idzie! – Te sformułowania zdawały się trochę tu jakby nie na miejscu, zwłaszcza że Egwene już tu przecież była, wcale nie szła. Zasiadające stały w milczeniu, czekały. Niektóre krzywiły się ze zniecierpliwieniem albo niespokojnie bawiły się fałdami płaszczy lub spódnic.

Egwene odrzuciła poły swego płaszcza, odkrywając siedmiobarwną stułę, którą udrapowała sobie na szyi. Tym kobietom trzeba było stale, na wszelkie możliwe sposoby przypominać, że ona jest naprawdę Zasiadającą na Tronie Amyrlin.

– Podróżowanie przy takiej pogodzie męczy wszystkich bez wyjątku – zaczęła, nie tak donośnie

jak Sheriam, ale dostatecznie głośno, by wszystkie mogły ją słyszeć. Poczula dreszcz wyczekiwania, od którego nieomal kręciło się jej w głowie. – Postanowiłam, że zatrzymamy się tutaj na dwa, może trzy dni. – Słyszając to, zgromadzone zadarły głowy i zaczęły słuchać uważniej. Miała nadzieję, że w tłumie jej słuchaczek jest też gdzieś Siuan. Naprawdę starała się przestrzegać treści Przysięg. – Konie też potrzebują odpoczynku, a i niejeden wóz domaga się pilnych napraw. Opiekunka zajmie się niezbędnymi przygotowaniami. – I od tego momentu zaczęło się na dobre.

Nie spodziewała się kłótni bądź dyskusji i nie pomyliła się. Nie było żadnej przesady w tym, co powiedziała w swojej rozmowie z Siuan. Zbyt wiele sióstr liczyło na cud, dzięki któremu nie musiałyby na oczach całego świata maszerować na Tar Valon. Nawet pośród tych w głębi duszy przekonanych, że Elaidę należy obalić dla dobra Wieży, zbyt wiele chętnie uczepliłoby się szansy na jakąś zwłokę, szansy na to, że taki cud jednak może nastąpić.

Jedna z tych ostatnich, Romanda, nie zaczekała, aż Sheriam wygłosi formułę zamykającą posiedzenie, tylko zwyczajnie odeszła, zaraz gdy Egwene skończyła mówić. Magła, Saroiya i Varilin, w rozwianych płaszczach, pomknęły jej śladem. O ile ktoś tu mógł mknąć, kiedy nogi przy każdym kroku zapadały się po kostki w śnieg. Tak czy owak, zrobiły z siebie niezłe widowisko – niby były Zasiadającymi, a jednak zdawały się nie oddychać bez pozwolenia Romandy. Kiedy Lelaine spostrzegła, że Romanda się oddala, gestem ręki odwołała z półkola Faiselle, Takimę i Lyrelle: odeszły razem, nie oglądając się za siebie, niczym łabędzica z trójką wystraszonych piskląt. A skoro już o tym mowa, pozostałe Zasiadające ledwie raczyły zaczekać, aż Sheriam wymówi końcowe „Odejdźcie teraz w Światłości”. Gdy Egwene odwróciła się, by odejść, jej Komnata Wieży już pierzchała we wszystkich kierunkach. Mrowienie stawało się coraz silniejsze. I coraz bardziej kręciło się w głowie.

– Trzy dni – mruknęła Sheriam, podając Egwene rękę, by pomóc jej przejść po porytej koleinami ścieżce. W jej skośnych, zielonych oczach czaiło się pytanie. – Zdziwiłaś mnie, Matko. Wybacz, ale niemal zapierałaś się piętami za każdym razem, gdy chciałam, abyśmy się zatrzymali na dłużej niż jeden dzień.

– Pogadaj najpierw z kołodziejami woźnicami – powiedziała jej Egwene. – Nie ujedziemy daleko, jeśli będą padały nam konie i rozsypywały się wozy.

– Jak rzeczesz, Matko – odparła tamta, może niekoniecznie potulnie, ale dając do zrozumienia, że absolutnie się z nią zgadza.

Droga wcale nie była teraz lepsza niż nocą i nieraz zdarzało im się poślizgnąć, dlatego też szły powoli, trzymając się pod ramię. Sheriam oferowała więcej wsparcia, niż Egwene potrzebowała, ale robiła to bardzo dyskretnie. Zasiadająca na Tronie Amyrlin nie powinna padać na siedzenie na oczach pięćdziesięciu sióstr i setki służących, ale też nie powinno się jej publicznie podpierać, jakby była jakąś kaleką.

Większość Zasiadających, które przysięgły lojalność wobec Egwene – w tym Sheriam – kierowała się zwykłym strachem i instynktem samozachowawczym. Gdyby Komnata się dowiedziała, że do Tar Valon zostały wysłane siostry, które miały urobić tamtejsze Aes Sedai, i że co gorsza ów fakt został utajniony ze strachu przed Sprzymierzeńcami Ciemności wśród Zasiadających, to bez wątpienia spędziłyby resztę życia na pokucie i wygnaniu. Dlatego właśnie kobiety, którym się kiedyś wydawało, że mogą traktować Egwene niczym marionetkę, gdy ich stronnictwa w Komnacie osłabły, ni stąd, ni zowąd jakoś przysięgały jej posłuszeństwo. Była to rzadkość, nawet jeśli brać pod uwagę sekretne historie; od sióstr oczekiwano, że będą okazywały posłuszeństwo Amyrlin, ale składanie jej przysięgi lojalności stanowiło absolutne novum. Większość nadal nie do końca potrafiła się z tym pogodzić, aczkolwiek istotnie były posłuszne. Nieliczne zachowywały się równie paskudnie jak

Carlinya, ale Egwene na własne uszy słyszała, jak Beonin szczękały zęby, gdy po raz pierwszy widziała Egwene z Zasiadającymi po ceremonii składania przysięg. Morvrin wyglądała na zdumioną za każdym razem, gdy jej wzrok padał na Egwene, jakby nadal nie do końca wierzyła w to, co się stało, a Nisao chyba ani na chwilę nie przestawała marszczyć czoła. Anaiya mlaskała językiem, komentując w ten sposób cały sekret, a Myrelle często się wzdragała, aczkolwiek z jeszcze innych powodów niż tylko składane przysięgi. Za to Sheriam najzwyczajniej zaczęła wypełniać rolę Opiekunki Kronik, tak jak należało, a nie tylko z nazwy.

– Czy wolno mi zasugerować, że należy skorzystać z okazji i sprawdzić, co ta okolica oferuje w zakresie żywności i paszy, Matko? Kończą nam się zapasy. – Sheriam skrzywiła się z niepokojem. – Najgorzej jest z herbatą i solą, ale wątpię, abyśmy znaleźli tu te artykuły.

– Rób, co możesz – odparła Egwene uspokajającym tonem. Dziwne, pomyśleć, że Sheriam budziła w niej kiedyś taki lęk. I jakby jeszcze dziwniejsze, że teraz, kiedy nie była już Mistrzynią Nowicjuszek, kiedy przestała już ciągnąć i popychać Egwene, by postępowała zgodnie z jej nakazami, Sheriam zdawała się szczęśliwsza. – Mam do ciebie pełne zaufanie, Sheriam. – Sheriam rozpromieniła się, słysząc komplement.

Tarcza słońca nie zawisła jeszcze nad namiotami i wozami rozciągającymi się we wschodniej części obozu, a jednak wszędzie już tętniło życie. W pewnym sensie. Kucharki sprzątały po śniadaniu, korzystając z pomocy stadka nowicjuszek. Te młode kobiety zapewne rozgrzewały się przy szorowaniu kotłów śniegiem, bo wykonywały tę czynność z niezwykłym zapałem, inaczej niż kucharki, które poruszały się ospale, często przystając, by rozmasować sobie plecy albo westchnąć, opatulając się szczelniej płaszczami i wpatrując apatycznie w śnieg. Dygoczący z zimna służący, ubrani w większość posiadanych ubrań, którzy zaraz po pospiesznie spożytym śniadaniu wzięli się za rozbijanie namiotów i wyładowywanie wozów, teraz potykali się, wynosząc płachty i wlokąc kufry. Rozespani i umęczeni stajenni odprowadzali konie, które wcześniej zdążyli już zaprząć. Egwene słyszała jakieś pomruki niezadowolenia ze strony ludzi, którzy nie zauważali, że obok są siostry, ale większość mieszkańców obozu była chyba zbyt zmordowana, by głośno narzekać.

Prawie wszystkie Aes Sedai, których namioty zostały już rozbite, poznikały w ich wnętrzach, ale całkiem sporo sióstr wciąż jeszcze dyrygowało robotnikami albo spieszyło po wydeptanych w śniegu ścieżkach, by doglądać jakichś swoich spraw. Dla odmiany zdradzały równie niewielkie zmęczenie jak ich Strażnicy, którzy jakimś sposobem wyglądali tak, jakby spali dokładnie tyle, ile było trzeba, by przetrwać ten piękny wiosenny dzionek. Egwene podejrzewała, że to właśnie dlatego siostry tak naprawdę zdawały się czerpać bezpośrednio siły od Strażników, pomijając już wykorzystanie Mocy więzi zobowiązań. Jeśli Strażnik sam przed sobą nie przyznawał się, że jest mu zimno, że jest zmęczony tudzież głodny, nie było innego wyjścia i należało to znosić.

Na jednej z bocznych ścieżek pojawiła się Morvrin, trzymając kurczowo ramię Takimy. Może owo ramię służyło jej za podpórkę, ale Morvrin była dość tęga, więc niższa od niej Takima zdawała się jeszcze drobniejsza niż w rzeczywistości. A może Morvrin w ten sposób pilnowała, by Takima jej nie uciekła; potrafiła być bardzo uparta, gdy już raz wytyczyła sobie jakiś cel. Egwene skrzywiła się. Wprawdzie można się było spodziewać, że Morvrin będzie chciała zostać Zasiadającą Błękitnych, ale Egwene myślała, że to raczej Janya albo Escaralde mają więcej szans. Obie kobiety zniknęły z zasięgu wzroku za nakrytym płócienną plandeką wozem, Morvrin pochyliła się, by móc szeptać coś swej towarzyszce do ucha. Nie było jak sprawdzić, czy Takima nadstawia ucha na jej słowa.

– Czy coś cię niepokoi, Matko?

Egwene zmusiła się do uśmiechu.

– To, co zawsze, Sheriam, to, co zawsze.

Rozstały się pod Gabinetem Amyrlin, Sheriam poszła wypełniać jej polecenia, a Egwene weszła do środka, by sprawdzić, czy wszystko gotowe. Zdziwiłaby się, gdyby tak nie było. Selame właśnie ustawiała tacę z herbatą na stoliczku do pisania. Miała na sobie suknię ozdobioną kolorowymi paciorkami i bardzo zadzierała nosa, tak że na pierwszy rzut oka nikt by o niej nie powiedział, że to służąca, niemniej dopilnowała wszystkiego. Rozjarzone węgle w dwu koszach przeganiały nieco chłód, choć niestety, duża część ciepła uciekała przez dymnik w dachu namiotu. W powietrzu unosiła się przyjemna woń suszonych ziół dorzuconych do węgla, a łojowe świece były przycięte i zapalone. Przy takiej pogodzie nie zostawiało się uchylonej klapy wejścia, nawet by wpuścić nieco światła z zewnątrz.

Siuan też już była na miejscu, z plikiem papierzyk w rękę, twarzą pełną udręki i smuzką atramentu na nosie. Dzięki temu, że piastowała stanowisko sekretarza Amyrlin, mogły pokazywać się razem jeszcze częściej, Sheriam zaś wcale nie przeszkadzała utrata tej posady. A jednak Siuan często narzekała. Jak na kobietę, która rzadko opuszczała Wieżę od czasu, gdy przybyła do niej, by stać się nowicjuską, żywiła osobliwą niechęć do zamkniętych pomieszczeń. W danej chwili stanowiła uosobienie kogoś, kto bardzo się stara być cierpliwy i chce, by wszyscy o tym wiedzieli.

Selame nie przestała wprawdzie zadzierać nosa, ale za to tak się wdzięczyła i tyle razy dygała, że odebranie od Egwene jej płaszcza i rękawiczek przeobraziło się w skomplikowaną ceremonię. A na dodatek cały czas paplała, że Egwene powinna kłaść wysoko nogi, że może ona przynieść jej podomkę i że może powinna zostać, na wypadek gdyby Matka chciała czegoś jeszcze, aż wreszcie Egwene niemal ją wyгнаła. Herbata smakowała miętą. Przy takiej pogodzie! Z Selame trudno było wytrzymać i raczej nie dało się nazwać jej lojalną, ale naprawdę się starała.

Nie czas jednak na pogaduszki i popijanie herbatki. Egwene poprawiła stulę i usiadła za biurkiem, odruchowo poprawiając nogę krzesła, żeby się pod nią nie załamało, a Siuan przycupnęła na rozchybotanym zydlu, po drugiej stronie biurka. Herbata tymczasem stygła. Nie rozmawiały ani o planach, ani o Garecie Brynie, ani o swoich nadziejach; w tych sprawach na razie nic więcej nie można było zrobić. Raporty i problemy spiętrzyły się podczas podróży, a zmęczenie udaremniało wszelkie próby ich załatwienia, należało więc teraz skorzystać z przerwy i wszystkie przejrzeć. Fakt, że gdzieś w okolicy obozowała wroga armia, niczego nie zmieniał.

Egwene zastanawiała się czasami, skąd się biorą te góry papieru, skoro tak bardzo nie dostawało wszelkich innych rzeczy. Raporty, które wręczała jej Siuan, zawierały szczegółowe listy braków i niewiele więcej. Przy czym listy te uwzględniały nie tylko te artykuły, o których napomykała Sheriam, ale również węgiel, gwoździe, żelazo dla kowali, koła do wozów, skórę i naoliwione nici dla rymarzy, lampy oliwne, świece i sto innych rzeczy, nawet mydło. A poza tym wiele rzeczy zużywało się – od butów po namioty – a wszystko to Siuan spisywała swym wyrazistym pismem, które stawało się jakby coraz bardziej agresywne, w miarę jak nagliła potrzeba, o której akurat pisała. Podsumowanie ich finansów sprawiało wrażenie naniesionego na papier w ogniu strasznej furii. I na domiar złego nie było jak temu wszystkiemu zaradzić.

Wśród papierów Siuan znalazło się kilka notatek od Zasiadających, w których te sugerowały rozwiązania ich problemów finansowych. Czy raczej nie tyle sugerowały, ile informowały Egwene o planach, jakie zamierzały przedstawić Komnacie. Niestety, plany te mogły przynieść niewiele korzyści, a za to miały mnóstwo wad. Moria Karentanis, na przykład, proponowała wstrzymać wypłaty żołdu dla żołnierzy, który to pomysł, jak dalece Egwene się orientowała, Komnata dawno już temu odrzuciła, zrozumiawszy, że wówczas ich armia stopniałaby niczym śnieg na letnim słońcu. Z kolei Malind Nachenin proponowała wystosować odezwę do okolicznych arystokratów, odezwę tak

sformułowaną, że bardziej przypominała żądanie i równie dobrze mogłaby podburzyć całą okolicę przeciwko nim; podobne konsekwencje mógł pociągnąć za sobą pomysł Sality Toranes, by obłożyć podatkiem wszystkie miasta i wioski, które mijają po drodze.

Egwene zmięła te trzy listy w garści i machnęła nimi przed twarzą Siuan. Żałowała, że nie ściska w tym momencie gardeł trzech Zasiadających.

– Czy one wszystkie sądzą, że sprawy zawsze układać się będą podle ich myśli i można zupełnie ignorować rzeczywistość? Światłości, przecież zachowują się jak dzieci!

– Wieży dostatecznie często udawało się oblec jej życzenia w rzeczywistość – odparła Siuan pogodnym tonem. – A poza tym w opinii niektórych ty też lekceważysz rzeczywistość, pamiętaj o tym.

Egwene parsknęła. Na szczęście niezależnie od tego, jak głosowałyby Komnata, żadnej z powyższych propozycji nie dałoby się wprowadzić w czyn bez jej dekretu. Nawet w tak nieciekawej sytuacji dysponowała jednak jakąś władzą. Bardzo niewielką władzą, ale i tak lepsze to niż nic.

– Czy Komnata zawsze zachowuje się tak okropnie, Siuan?

Siuan przytaknęła, poprawiając się ostrożnie na swym zydlu, by nie stracić równowagi. Zydel nie miał nawet dwóch nóg tej samej długości.

– Ale bywało gorzej. Przypomnij mi kiedyś, żebym ci opowiedziała o Roku Czterech Amyrlin: tak się określa wydarzenia, które miały miejsce mniej więcej sto pięćdziesiąt lat od założenia Tar Valon. W tamtych czasach sytuacja w Wieży nie była lepsza od dzisiejszej i było wiele chętnych do chwycenia rumpla. W rzeczy samej przez pewną część tamtego roku istniały dwie rywalizujące ze sobą Wieże Tar Valon, a więc było niemal tak samo jak teraz. Ostatecznie nikt na tym nie wyszedł dobrze, nawet te siostry, którym się wydawało, że uratują Wieżę. A Wieża, rzecz jasna, ten kryzys przetrwała. Jak zawsze.

Przez te trzy tysiące lat z okładem nagromadziło się sporo różnych epizodów, w tym wiele nieznanych szerszemu ogółowi, a jednak Siuan zdawała się znać je wszystkie, i to w najdrobniejszych szczegółach. Zapewne sporą część lat spędzonych w Wieży poświęciła na grzebanie w tych sekretnych historiach. Jednej rzeczy Egwene była pewna. W miarę możliwości postara się unikać losu Shein, ale nie poprzestanie też na stanie obecnym, czyli sytuacji niewiele lepszej, niżli przypadła w udziale Cemaile Sorenthaine. Cemaile mogła samodzielnie decydować jedynie o tym, w co może się odziać. Na pewno poprosi Siuan, by opowiedziała jej o Roku Czterech Amyrlin, ale nie czekała na tę opowieść z utęsknieniem.

Rozedrgany snop światła wpadający przez dymnik wskazywał, że zbliża się popołudnie, a mimo to sterta papierzyk jakby wcale nie znalazła. Każda przerwa byłaby mile widziana, z jakiegokolwiek powodu.

– Co mamy w następnej kolejności, Siuan? – warknęła.

Mgnienie ruchu pochwycone kątem oka zmusiło ukrytą pośród drzew Arangar do spojrzenia w stronę obozu, który niczym mur otaczał pierścieniem namioty Aes Sedai. Właśnie opuszczał go sznur sań, pod eskortą jeźdźców sunący mozolnie na wschód. Rachityczne promienie bladego słońca lśniły refleksami w blachach zbroi i grotach lanc. Skrzywiła się szyderczo. Włócznie i konie! Prymitywna hałastra, która nie potrafiła przemieszczać się szybciej niż piechota, dowodzona przez mężczyznę, który nie miał pojęcia, co dzieje się sto mil dalej. Aes Sedai? Mogła je wszystkie zniszczyć, umierałyby, nawet nie podejrzewając, kto je zabił. Rzecz jasna, nie żyłaby wiele dłużej od nich i aż zadrżała, gdy uświadomiła sobie myśl, która jej właśnie przyszła do głowy. Wielki Władca dawał szansę na drugie życie tylko bardzo nielicznym i ona swojej nie zamierzała zmarnować.



Zaczekała, aż jeźdźcy znikną w lesie, po czym ruszyła z powrotem w stronę obozu, leniwie kontemplując swoje ostatnie sny. Gładki kożuch śniegu ukryje to, co tu pogrzebała, aż do wiosennej odwilży, a więc dostatecznie długo. Mieszkańcy obozu, dotąd zajęci jakimiś obowiązkami, wreszcie ją zauważyli, bo wyprostowani przyglądali jej się z daleka. Wbrew sobie uśmiechnęła się i obciągnęła spódnicę na biodrach. Nic już prawie nie pamiętała z tamtego życia, kiedy była mężczyzną, ciekawe, czy też była durniem, którym tak łatwo manipulować? Niepostrzeżone przeniesienie ciała przez taki tłum nie było łatwym zadaniem, za to droga powrotna przysparzała moc radości.

Poranek spędzony na przeglądaniu dokumentów włókł się bez końca, aż wreszcie zdarzyło się nieuniknione. Do pewnych zdarzeń po prostu musiało dojść. Musiało się zrobić strasznie zimno, musiał spaść śnieg; chmury na szarzącym niebie, wiatr. A ją musiały odwiedzić Lelaine i Romanda.

Zmęczona długim siedzeniem Egwene właśnie rozprostowywała nogi, kiedy do namiotu weszła Lelaine, z Faolain depczącą jej po piętach. Zanim kłapa opadła, ogarnęło ją tchnienie mrozu. Rozejrzawszy się dookoła z miną wyrażającą lekką dezaprobatę, Lelaine ściągnęła niebieskie rękawiczki, pozwalając łaskawie, by Faolain zdjęła z jej ramion podbity rysim futrem płaszcz. Szczupła i pełna godności, równie dobrze mogła się znajdować we własnym namiocie. Wystarczył jeden zdawkowy gest jej ręki i Faolain wycofała się potulnie do kąta, razem z płaszczem Lelaine. Gdyby Zasiadająca jeszcze raz machnęła ręką, to z pewnością natychmiast by wyszła z namiotu. Jej ciemna twarz przybrała wyraz bezbrzeżnej rezygnacji, co było do niej zupełnie niepodobne.

Nieskalaną powłokę powściągliwości Lelaine na moment zastąpił zaskakująco ciepły uśmiech, przeznaczony dla Siuan. Te dwie przyjaźniły się kiedyś, dawno, dawno temu, i Lelaine zaoferowała nawet coś na podobieństwo patronatu, na który zgodziła się Faolain. Przez ów patronat należało rozumieć ochronę ze strony Zasiadającej przed szyderstwami i oskarżeniami innych sióstr. Lelaine dotknęła policzka Siuan i mruknęła cicho coś, co brzmiało jak wyrazy współczucia. Siuan zaczerwieniła się i przez krótki czas wyglądała na zaskakująco speszoną. Nie udawała, co do tego Egwene nie miała wątpliwości. Siuan nie bardzo potrafiła sobie poradzić z jednej strony z tym, co się w niej naprawdę zmieniło, a z drugiej z łatwością, z jaką się przystosowała do nowej sytuacji.

Lelaine przyjrzała się zydłowi stojącemu przed biurkiem i jak zwykle wzgardziła nim jako siedziskiem zbyt niepewnym. I dopiero wtedy przyjęła do wiadomości obecność Egwene, nieznacznie kiwając głową.

– Musimy porozmawiać o Ludzie Morza, Matko – oznajmiła tonem nazbyt stanowczym, jak na wymogi audiencji u Zasiadającej na Tronie Amyrlin.

Egwene poczuła, jak serce, które przed momentem podeszło jej do gardła, wraca na swoje miejsce, i zrozumiała, czego się bała: że Lelaine wie już wszystko, co powiedział jej lord Bryne. I zna nawet szczegóły spotkania, które miał zaaranżować. Ale w następnej chwili serce znowu drgnęło. Lud Morza? Chyba Komnata nie dowiedziała się o tym wariackim targu dobitym przez Nynaeve i Elayne? Nie potrafiła sobie wyobrazić, co też je skłoniło do takiego kroku, i nie miała pojęcia, co właściwie począć z tym fantem.

Czując, jak ściska jej się żołądek, ale nic jednak po sobie nie pokazując, zajęła miejsce za biurkiem. Czy raczej próbowała je zająć, bo niestety, noga od tego głupiego krzesła wykrzywiła się, rzecz jasna, przez co Egwene omal nie wylądowała na dywanikach, nie zdążywszy jej zgrabnie na czas wyprostować. Miała nadzieję, że nie zaczerwieniła się zbyt mocno.

– O Ludzie Morza w Caemlyn czy Cairhien? – Och, jak dobrze, przynajmniej ton głosu był

należycie opanowany.

– No jakże, o tych w Cairhien! – Donośny głos Romandy przywodził na myśl rozbrzmiewający z nagłą łoskot dzwonów. – Zdecydowanie o tych w Cairhien. – Wtargnęła bez zapowiedzi do namiotu, wypełniając sobą od razu całe wnętrze i sprawiając, że Lelaine wydała się przy niej nieledwie skromna. Romanda nie uśmiechała się ciepło, na urodziwej poniekąd twarzy ciepłe uśmiechy jakby nie znajdowały dla siebie miejsca.

Tuż za nią weszła Theodrin. Romanda strząsnęła płaszcz z ramion i cisnęła go w stronę szczupłej siostry o policzkach niczym dojrzałe jabłka, takim gestem, że Theodrin natychmiast pospiesznie ustawiła się w kącie naprzeciwko Faolain. Po Faolain widać było, że jest najzwyczajniej w świecie zahukana, tymczasem skośne oczy Theodrin były ogromne, jakby coś ją nieustannie dziwiło, a usta zdawały się gotowe do wydania spłoszonego okrzyku. Podobnie jak Faolain, z racji swego miejsca w hierarchii Aes Sedai, zasługiwała na zadania bardziej odpowiednie, obie jednak w najbliższej przyszłości raczej nie mogły się tego spodziewać.

Apodyktyczne spojrzenie na moment spoczęło na Siuan, jakby Romanda zastanawiała się, czy jej też nie posłać do kąta, następnie omiotło Lelaine, stając się niemal demonstracyjnie lekceważące, aż wreszcie zatrzymało się na Egwene.

– Ponoć ten młodzieniec rozmawiał z Ludem Morza, Matko. Informatorzy Żółtych w Cairhien są bardzo tym faktem poruszeni. Czy masz może jakieś pojęcie, cóż takiego mogło go zainteresować w Atha'an Miere?

Mimo że tytułowała ją właściwie, Romanda bynajmniej nie przemawiała tonem, jakim powinna się zwracać do Zasiadającej na Tronie Amyrlin, ale przecież nigdy tego nie robiła. Nie było wątpliwości, kim jest „ten młodzieniec”. Wszystkie siostry w obozie zaakceptowały Randa jako Smoka Odrodzonego, ale każdy, kto by usłyszał, jak o nim rozmawiają, uznałby, że mówią o jakimś niesfornym młodym gburze, który potrafi przyjść na wieczerzę pijany, a potem jeszcze zwymiotować na stół.

– Skąd ona ma wiedzieć, co dzieje się w głowie tego chłopca? – wtrąciła się Lelaine, zanim Egwene zdążyła otworzyć usta. Tym razem jej uśmiechu żadną miarą nie można było nazwać ciepłym. – Wszelkich odpowiedzi, jeśli takowe istnieją, Romando, należy szukać w Caemlyn. Przebywający tam Atha'an Miere nie przyplłynęli po to, by zamknąć się we własnych kajutach, a nie wyobrażam sobie, co innego miałoby ściągnąć ich wysokich rangą przedstawicieli z tak daleka do miasta. W życiu nie słyszałam, by robili cokolwiek bez powodu. Niewykluczone, że to on jest przedmiotem ich zainteresowania. Do tej pory z pewnością się dowiedzieli, kim jest.

Romanda odwzajemniła uśmiech i w tym momencie aż dziw brał, że ściany namiotu nie pokryły się szronem.

– Nie wiem, po co mówić o rzeczach oczywistych, Lelaine. Najważniejsze pytanie brzmi, jak to teraz sprawdzić.

– Właśnie miałam rozwiązać ten problem, ale niestety, przeszkodziłaś swoim wtargnięciem, Romando. Matka mogłaby na przykład przekazać instrukcje Elayne albo Nynaeve, kiedy znowu spotka się z nimi w *Tel'aran'rhiod*. A Merilille, kiedy już dotrze do Caemlyn, mogłaby się dowiedzieć, czego chcą Atha'an Miere względnie czego chce ten chłopiec. Szkoda, że te dziewczyny nie ustanowiły sobie jakiegoś harmonogramu spotkań, w przyszłości trzeba będzie takowy wypracować. Merilille mogłaby się spotkać z którąś Zasiadającą w *Tel'aran'rhiod*, kiedy już się wszystkiego dowie. – Lelaine wykonała gest dłonią, z którego jasno wynikało, że sama zamierza być tą Zasiadającą. – Przyszło mi na myśl, że dogodnym miejscem byłby Salidar.

Romanda parsknęła z rozbawieniem. I również w tym parsknięciu nie było śladu ciepła.

– Wydawanie poleceń Merilille to łatwe zadanie, pozostaje jeszcze kwestia, czy ona posłucha, Lelaine. Wszak na pewno zdaje sobie sprawę, że będzie musiała odpowiedzieć na parę bardzo kłopotliwych pytań. Na przykład: dlaczego nie przywieziono do nas tej Czary Wiatrów, abyśmy ją mogły najpierw zbadać. Poza tym żadna z siostr przębywających w Ebou Dar nie znała się zbyt dobrze na Tańcu Chmur i sama widzisz, jakie są tego rezultaty, tylko bałagan i nieprzyjemne niespodzianki. Zamierzam postawić Komnacie pytanie dotyczące zaangażowanych w to wszystko osób. – Nagle głos siwowłosej kobiety stał się gładki jak masło. – O ile pamiętam, to ty wsparłaś wybór Merilille.

Lelaine wzdrygnęła się najpierw, a zaraz potem wyprostowała dumnie. Jej oczy miotają błyski.

– Wsparłam kandydaturę wysuniętą przez Szare, Romando, nic więcej – oznajmiła z oburzeniem. – Skąd mogłam wiedzieć, że ona postanowi użyć Czary? I że włączy do kręgu dzikuski z Ludu Morza! Skąd jej przyszło do głowy, że mogą znać się na pracy z pogodą tak dobrze jak Aes Sedai? – Nagle jej gniew gdzieś się zapodział. Oto tłumaczyła się przed swą największą przeciwniczką w Komnacie, swoją jedyną prawdziwą przeciwniczką. I na dodatek godziła się z nią w kwestii Ludu Morza, co wedle jej zapatrywań musiało być jeszcze gorsze. Zresztą nie o to szło, że się zgadza, tylko o to, że przyznaje się do tego na głos.

Romanda pozwoliła sobie na jeszcze szerszy uśmiech, widząc, że Lelaine aż zbladła z wściekłości. Starannie wyglądała brązowe spódnice, gdy tymczasem Lelaine szukała sposobu na odwrócenie biegu spraw na własną korzyść.

– Zobaczmy, jak się na całą sprawę zapatruje Komnata, laine – zaproponowała w końcu. – Dopóki ta sprawa nie wpłynie, myślę, że Merilille nie powinna się spotykać z żadną z tych Zasiadających, które są odpowiedzialne za wybór jej osoby. Już sama tylko sugestia zmywy sprowokuje krzywe spojrzenia. Dlatego zgodzisz się, niewątpliwie, że to ja powinnam z nią porozmawiać.

Twarz Lelaine znowu pobladła, ale tym razem powody były chyba inne. Nie bała się, w każdym razie nie dała tego po sobie poznać, ale Egwene niemal widziała, jak kalkuluje w myślach, które siostry ją poprą, a które wystąpią przeciwko niej. Oskarżenie o zmywę było niemal równie poważne jak zarzut zdrady, a do jego sformułowania wymagano jedynie pomniejszej zgody. Zapewne ostatecznie mogła uniknąć wysunięcia zarzutu, ale do głosu doszłyby argumenty bardzo obciążające. Frakcja Romandy mogłaby nawet urosnąć w siłę. Co z kolei postawiłoby Egwene przed nieopisanymi zupełnie problemami, niezależnie od jej planów. I nie mogła nic zrobić, żeby temu zapobiec, chyba że ujawni prawdę o wydarzeniach w Ebou Dar. To z kolei równałoby się proszeniu ich o pozwolenie przyjęcia takiej samej oferty, na jaką zgodziły się Faolain i Theodrin.

Egwene zrobiła głęboki wdech. Przynajmniej mogła nie dopuścić, by Salidar stał się miejscem umówionych spotkań w *Tel'aran'rhiod*, bo przecież to właśnie tam spotykała się obecnie z Elayne i Nynaeve. O ile wciąż było to aktualne, od ostatniej narady minęło bowiem wiele dni. Zasiadające stale wchodziły do Świata Snów i dlatego znalezienie miejsca, gdzie na pewno nie mogły się pojawić, było niezwykle trudne.

– Następnym razem, gdy spotkam się z Elayne albo Nynaeve, przekażę im wasze instrukcje w odniesieniu do Merilille. Powiadomię was też, kiedy będzie gotowa na spotkanie. – Co zapewne nigdy nie nastąpi, po tym, jak zapozna się z instrukcjami.

Zasiadające gwałtownie obróciły głowy i dwie pary oczu wpatrzyły się w nią. Zapomniały, że ona tu jest! Musiała bardzo się starać, żeby zachować niewzruszoną minę, i na szczęście w porę przestała z irytacją przytupywać stopą. Sytuacja nakazywała jej jeszcze jakiś czas zachowywać się zgodnie z wyobrażeniami, jakie o niej miały. Jeszcze tylko trochę. Przynajmniej już jej tak nie mdliło.

Była zwyczajnie zła.

Chwilowe milczenie przerwała Chesa, która wparowała do namiotu z popołudniowym posiłkiem dla Egwene na tacy nakrytej serwetą. Ciemnowłosa, pulchna i ładna, jakimś cudem okazała im wszystkim należny szacunek, nie płaszcząc się jednocześnie ze strachu. To dygnięcie było tak proste jak jej szara suknia ozdobiona odrobiną pospolitej koronki przy szyi.

– Wybaczcie, że przeszkadzam, Matko, Aes Sedai. Przepraszam, że tak późno przychodzę, Matko, ale Meri gdzieś chyba poniosło. – Młasnęła językiem z irytacją, gdy stawiała tacę przed Egwene. Na swoje i cudze błędy patrzyła z jednaką niechęcią.

Romanda zmarszczyła brwi, ale nic nie powiedziała. Jakkolwiek by było, nie mogła okazywać przesadnego zainteresowania jedną z pokojówek Egwene. Zwłaszcza taką, która szpiegowała na jej polecenie. Jak Selame na użytek Lelaine. Egwene starała się nie zerkać na Theodrin albo Faolain, które nadal tkwiły posłusznie w swoich kątach, bardziej podobne zwykłym Przyjętym niż Aes Sedai.

Chesa otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła, być może onieśmielona obecnością Zasiadających. Egwene poczuła ulgę, kiedy tamta zaraz dygnęła i wyszła, mrużąc:

– Za pozwoleniem, Matko.

W obecności innych sióstr Chesa zawsze wygłaszała swoje rady w mniej lub bardziej zawołowany sposób, ale akurat teraz przypominanie, że powinna zjeść, dopóki strawa jest gorąca, było ostatnią rzeczą, jakiej Egwene pragnęła.

Lelaine podjęła temat, jakby w ogóle im nie przerwano.

– Trzeba się koniecznie dowiedzieć, czego chcą Atha'an Miere – stwierdziła stanowczym tonem. – Albo czego chce ten chłopiec. Może pragnie zostać również ich królem. – Wyciągnęła rękę, pozwalając, by Faolain nałożyła jej z powrotem płaszcz na ramiona, co smagła kobieta zrobiła z wielką czcią. – Będziesz pamiętała, żeby mnie powiadomić, jeśli coś ci przyjdzie do głowy, Matko? – Zabrzmiało to niemal jak żądanie.

– Starannie wszystko przemyślę – zapewniła ją Egwene. Co wcale nie znaczyło, by zamierzała się dzielić swymi przemyśleniami. Sama żałowała, że dotąd nie znalazła żadnej odpowiedzi. W odróżnieniu od Komnaty wiedziała, że Atha'an Miere uważają Randa za Coramoorę z ich prorocत्व, ale nawet nie próbowała odgadnąć, czego on chce od nich albo oni od niego. Elayne twierdziła, że kobiety z Ludu Morza, które im towarzyszą, nie mają zielonego pojęcia. A może tylko tak mówiły. Egwene niemal żałowała, że w obozie nie ma którejś z tej garstki sióstr, mających rozeznanie w sprawach z Atha'an Miere. Tak czy owak, było oczywiste, że Poszukiwaczki Wiatrów przysporzą im jeszcze kłopotów.

Romanda machnęła ręką i Theodrin jak oparzona podskoczyła do niej z płaszczem. Romanda nie była zachwycona tym, że Lelaine zdołała wziąć się w garść. Było to widać wyraźnie po jej minie.

– Pamiętaj przekazać Merilille, że chcę z nią pomówić, Matko – powiedziała, i nie była to bynajmniej prośba.

Przez krótką chwilę dwie Zasiadające stały tylko i wpatrywały się w siebie, tak pochłonięte wzajemną animozją, że znowu zapomniały o obecności Egwene. Ruszyły do wyjścia bez pożegnania, niemalże się przy tym przepychając, aż wreszcie Romanda wyszła pierwsza, wlokąc za sobą Theodrin. Lelaine obnażyła zęby i właściwie wypchnęła Faolain z namiotu.

Siuana westchnęła serdecznie, nawet nie starając się ukryć ulgi.

– Za twoim pozwoleniem, Matko – mruknęła drwiąco Egwene. – Jeśli pozwolisz, Matko. Możecie odejść, córki. – Wypuściwszy długo wstrzymywany oddech, usadowiła się z powrotem na swym krześle, które natychmiast gruchnęło na dywaniki. Podniosła się powoli, po czym wygładziła spódnice i poprawiła stulę. Dobrze chociaż, że nie doszło do czegoś takiego w obecności tamtych. –

Idź znaleźć coś do jedzenia, Siuan. I przyjdź z tym tutaj. Czeka nas jeszcze długi dzień.

– Bywają upadki znacznie bardziej bolesne – powiedziała Siuan jakby do siebie i dopiero wtedy wymknęła się z namiotu. I dobrze dla niej, że wyszła tak prędko, bo inaczej Egwene by jej nagadała.

Wróciła niebawem. Razem posiliły się czerstwymi bułkami, gulaszem z soczewicy, w którym pływały twarde skrawki mięsa – Egwene nie przyglądała się im zbyt uważnie. Na szczęście później przeszkadzano im tylko parę razy, podczas każdego z najść milkły i udawały, że czytają raporty.

Chesa najpierw przyszła po tacę, a potem jeszcze przyniosła nowe świece, gderając przy tym zupełnie jak nie ona.

– Kto by się spodziewał, że Selame też zaginie? – mruzczała, na poły do siebie. – Pewnie gdzieś się ściska z żołnierzami. To ten zły wpływ Halimy:

Chuderlawy młodzieniec, któremu ciekło z nosa, wymienił gasnące węgle w koszu – bardzo dbano o to, by Amyrlin było ciepło, co zresztą o niczym nie świadczyło – potknął się przy tym o własne buty i zagapił na Egwene w sposób, który rekompensował wizytę dwóch Zasiadających. Pojawiła się też Sheriam, by ni stąd, ni zowąd spytać, czy Egwene ma jakieś nowe polecenia, a potem wyraźnie było widać, że chciała zostać. Może to świadomość kilku sekretów wywołała u niej taką nerwowość, toczyła bowiem wokół rozbieganym wzrokiem.

I to już wszyscy: Egwene nie była pewna, czy to dlatego nikt więcej nie przyszedł, bo nikt nie chciał bez powodu zawracać głowy Amyrlin, czy raczej dlatego, bo wszyscy wiedzieli, że prawdziwe decyzje podejmuje Komnata.

– Nie jestem w stanie skomentować raportu o żołnierzach z Kandoru maszerujących na południe – powiedziała Siuan, gdy tylko kłapa wejścia opadła za Sheriam. – To jedyna informacja na ten temat, poza tym mieszkańcy Pogranicza rzadko oddalają się od Ugoru, ale z kolei o tym wie każdy dureń, dlatego więc trudno podejrzewać, żeby ta wiadomość miała być zmyślona.

Siuan udawało się dotąd trzymać bardzo ścisłą kontrolę nad siatką informatorów Amyrlin, dzięki czemu raporty, domysły i plotki spływały do niej stałym strumieniem, mogły je studiować razem z Egwene zawczasu i decydować, co przekazać Komnacie. Leane też dysponowała swoją własną siatką, która uzupełniała ten przepływ informacji. Większość była przekazywana dalej – o niektórych rzeczach Komnata musiała wiedzieć, mimo braku jakichkolwiek gwarancji, że z kolei Ajah dzielą się z Egwene tym, czego dowiadywali się ich agenci – jednak wszystko należało przesłać, w poszukiwaniu tego, co mogło się okazać niebezpieczne albo posłużyć odwróceniu uwagi od ich prawdziwego celu.

Ostatnimi czasy doniesienia informatorów okazywały się prawie bezużyteczne. Cairhien rodziło nieprzeliczone mnóstwo plotek o Aes Sedai, które rzekomo zawarły jakieś przymierze z Randem, albo nawet będących na służbie u niego, aczkolwiek te ostatnie przynajmniej można było z miejsca odrzucić. Mądre nie mówiły prawie nic o Randzie względnie o osobach z nim związanych, ale z ich słów wynikało, że Merana czeka na jego powrót i z pewnością siostry w Pałacu Słońca, gdzie mieścił się pierwszy tron zdobyty przez Smoka Odrodzonego, stanowiły znakomite ziarno, z którego mogły kiełkować takie opowieści. Pojawiały się też plotki, których nie dawało się zlekceważyć tak łatwo, nawet jeśli nie bardzo było wiadomo, jak je potraktować. Na przykład jakiś drukarz w Illian zapewniał, że dysponuje dowodami na to, iż Rand własnoręcznie zabił Mattina Stepaneosa, a potem użył Jedynej Mocy do pozbycia się ciała, a z kolei jakaś kobieta pracująca przy dokach utrzymywała, że widziała na własne oczy, jak byłego króla, związanego, zakneblowanego i zawiniętego w dywan, wniesiono na pokład statku, który wypłynął na morze pod osłoną nocy, z błogosławieństwem kapitana Warty Portu. Ta pierwsza pogłoska miała w sobie o wiele więcej prawdopodobieństwa, ale

Egwene wierzyła, że nie wpadła w ręce agenta któregoś z Ajah. Rand już i tak miał niskie notowania w oczach sióstr.

I tak to się kręciło. Wychodziło na to, że Seanchanie rozgościli się już na dobre w Ebou Dar, napotkawszy na bardzo niewielki opór. Czego zresztą można się było spodziewać w kraju, gdzie prawdziwa władza królowej kończyła się w odległości kilku dni jazdy konno od stolicy, niemniej jednak tego typu wieści raczej nie podnosiły na duchu. Shaido zdawali się panoszyć wszędzie, gdzie się da, aczkolwiek wieści o nich zawsze pochodziły z ust osób, które o tym słyszały od kogoś innego, kto sam też o tym tylko usłyszał. Większość sióstr zdawała się uważać, że owo rozproszenie Shaido jest dziełem Randa, mimo zaprzeczeń Mądrych przekazanych przez Sheriam. Rzecz jasna, nikt nie miał ochoty zanadto się wgłębiać w domniemane kłamstwa Mądrych. Padały setki wymówek, bo żadna nie miała ochoty spotykać się z nimi w *Tel'aran'rhiod*, z wyjątkiem tych sióstr, które poprzysięgły lojalność Egwene, i trzeba im to było nakazywać. „Całkiem zwięzłe lekcje pokory”, tak Anaiya nazwała te spotkania, przy czym to określenie wcale jej nie bawiło.

– Shaido nie może być aż tylu – mruknęła Egwene. Sługa, który ostatnio dokładał węgli, gasnących już zresztą wśród popiołów, zapomniał dorzucić ziół, toteż oczy bolały ją od dymu zalegającego w powietrzu. Ale nie mogła przenieść, by się go pozbyć, bo wtedy razem z nim straciłaby całe ciepło. – Po części to muszą być działania jakichś bandytów. – Ostatecznie kto by potrafił orzec, przed kim uciekli mieszkańcy opustoszałej wioski, przed bandytami czy przed Shaido? Zwłaszcza jeśli relacja pochodziła z trzeciej, a nawet piątej ręki. – Bandytów jest wszędzie tylu, że niektóre z tych niegodziwości można spokojnie zapisać na ich konto. – Fakt, że większość z nich przypisywała sobie miano Zaprzysięgłych Smokowi bynajmniej w niczym nie zmieniał kiepskiej sytuacji. Zrobiła kilka wymachów ramionami, żeby rozluźnić napięte mięśnie.

Nagle zauważyła, że Siuan wpatruje się uparcie w jeden punkt i że wygląda, jakby zaraz miała spaść ze stolka.

– Siuan, co ty, zasypiasz? Zgoda, pracowałyśmy cały dzień, ale na dworze jest jeszcze dość światła. – Przez dymnik istotnie wciąż wpadało dzienne światło, choć wyraźnie już bladło.

Siuan zamrugęła.

– Przepraszam. Ostatnimi czasy nie daje mi spokoju pewna myśl, zastanawiałam się, czy nie podzielić się nią z tobą. To coś, co dotyczy Komnaty.

– Komnata! Siuan, jeśli wiesz o czymś w związku z Komnatą!...

– Ja nic nie wiem – weszła jej w słowo Siuan. – Ja tylko podejrzewam. – Syknęła z irytacją. – Tak naprawdę to nie mam nawet żadnych konkretnych podejrzeń, albo mówiąc iaczej, nie wiem, co powinnam podejrzewać. Ale dostrzegam pewną prawidłowość.

– W takim razie lepiej mi o tym opowiedz – przykazała jej Egwene. Siuan nie raz okazywała się wyjątkowo wprawna w wykrywaniu prawidłowości tam, gdzie inni widzieli tylko galimatias.

Siuan poprawiła się na zydlu i pochyliła do przodu z wielkim przejęciem.

– No więc to jest tak. Oprócz Romandy i Morii wszystkie Zasiadające wybrane w Salidarze są... są za młode. – Siuan zmieniła się pod wieloma względami, ale nadal wyraźnie czuła się niezręcznie, gdy mówiła o wieku innych sióstr. – Escaralde jest najstarsza, ale jestem pewna, że nie ma więcej niż siedemdziesiąt lat. Nie mogę mieć całkowitej pewności, bo nie mam dostępu do ksiąg nowicjuszek, które wszak zostały w Tar Valon, a ona też nam nie powie, ale jestem prawie przekonana. W Komnacie rzadko kiedy było więcej niż jedna Zasiadająca, która miała mniej niż sto lat, a tymczasem teraz jest ich aż dziewięć!

– Ale przecież Romanda i Moria są nowe – odparła łagodnie Egwene, wspierając łokcie na stole. To był długi dzień. – I żadna nie jest młoda. Może powinnymy się cieszyć, że te inne są młode,

bo w przeciwnym razie może wcale by mnie nie wyniosły. -Miała ochotę wskazać, że wszak sama Siuan została wybrana na Amyrlin, kiedy miała połowę lat mniej niż Escaralde, ale przypominanie tego byłoby aktem okrucieństwa.

– Być może – ciągnęła Siuan uparcie. – Romanda była pewna pozycji w Komnacie już wtedy, gdy się pojawiła. Wątpię, by jakaś Żółta odważyła się zaprotestować przeciwko jej kandydaturze. A co do Morii... Nie przykleiła się do Lelaine, ale Lelaine i Lyrelle liczyły na to, zdaje się. No, sama nie wiem. Ale przemyśl moje słowa. Kiedy kobieta zostaje wyniesiona w zbyt młodym wieku, musi istnieć jakiś powód. – Zrobiła głęboki wdech. -W moim przypadku też tak było. – Przez jej twarz przemknął grymas bólu, bólu spowodowanego zapewne przede wszystkim stratą Tronu Amyrlin, ale może też kolejnymi niepowodzeniami, jakich doświadczyła. Grymas pojawił się i niemal natychmiast zniknął. Egwene pomyślała w tym momencie, że w życiu nie poznała kobiety równie silnej jak Siuan Sanche. – Tym razem siostr w odpowiednim wieku było aż za wiele, a jednak nie powiedziałabym, że Ajah miały z ich powodu twarde orzechy do zgryzienia. W tym wszystkim jest jakaś prawidłowość i ja zamierzam się dowiedzieć, na czym ona polega.

Egwene nie zgadzała się z nią. W powietrzu pachniało zmianą, czy Siuan chciała to przyjąć do wiadomości czy nie. Elaida pogwałciła obyczaj, niemal naruszyła prawo, siłą uzurpując sobie miejsce Siuan. Siostry uciekły z Wieży i dopuściły, by świat się o tym dowiedział, czyli poważyły się na akt dotąd bez precedensu. Zmiana. Starsze siostry zapewne były bardziej przywiązane do dawnych obyczajów, ale nawet wśród nich niektóre musiały zauważyć, że wszystko się zmienia. Z pewnością to właśnie dlatego wybrano młodsze kobiety, bardziej otwarte na nowości. Może powinna rozkazać Siuan, by przestała trwonić czas na takie rzeczy? I bez tego nie mogła narzekać na brak zajęć. A może potraktować ją życzliwie i pozwolić jej kontynuować te dociekania? Ona tak rozpaczliwie pragnęła dowieść, że zmiana, której była uczestniczką, w ogóle nie miała miejsca.

Egwene nie zdążyła jednak podjąć decyzji, bo do namiotu wsunęła głowę Romanda, stanęła w wejściu, przytrzymując klapę. Na okrywającym ziemię śniegu kładły się już podługowate cienie. Prędkimi krokami zbliżał się wieczór. Twarz Romandy była tak ciemna jak te cienie. Utkwiła surowe spojrzenie w Siuan i warknęła jedno słowo.

– Wyjdź!

Egwene ledwie dostrzegalnie skinęła głową, ale Siuan już wstała. Zachwiała się wprawdzie, ale zaraz potem prędko wybiegła z namiotu. Jak przystało na siostrę z jej pozycją, musiała okazać posłuszeństwo tej, która nie dość, że była Zasiadającą, to jeszcze dysponowała taką siłą w Mocy.

Romanda opuściła klapę i objęła Źródło. Otoczona łuną *saidara*, utkała zabezpieczenie przeciwko podsłuchiowaniu, nawet nie udając, że prosi Egwene o pozwolenie.

– Ty idiotko! – wysyczała. – Myślałaś, że jak długo utrzymasz to w tajemnicy? Przecież żołnierze gadają, dziecko. Mężczyźni zawsze gadają! Bryne będzie miał szczęście, jeśli Komnata nie każe nabić jego głowy na pikę.

Egwene wstała powoli, wygładzając spódnicę. Spodziewała się tego, ale nadal musiała być ostrożna. Gra jeszcze się nie skończyła i wszystko mogło się w mgnieniu oka obrócić przeciwko niej. Musiała udawać naiwność, tak długo, jak będzie to konieczne.

– Czy muszę ci przypominać, że taki brak manier wobec Zasiadającej na Tronie Amyrlin to zbrodnia, córko? – spytała w odpowiedzi. Udawała już tak długo i była tak blisko.

– Zasiadająca na Tronie Amyrlin! – Romanda przeszła przez dywaniki i stanęła w odległości wyciągniętego ramienia od Egwene. – Przecież ty jesteś dzieckiem! Twoje siedzenie ciągle jeszcze pamięta chłostę, którą cię karano, gdy byłaś nowicjuską! Będiesz miała szczęście, jeśli Komnata nie pośle cię do kąta z naręczem zabawek. Wysłuchaj mnie, jeśli chcesz tego uniknąć, i rób, co ci

każę. Siadaj!

Egwene zrywała się wewnątrz, ale usiadła. Jeszcze było za wcześnie.

Romanda skinęła głową, krótko i z satysfakcją, po czym wsparła pięści na biodrach. Patrzyła z góry na Egwene niczym surowa ciotka, która prawi kazanie niegrzecznej siostrzenicy. Bardzo surowa ciotka. Albo wręcz kat, którego właśnie rozboleł ząb.

– Spotkanie z Pelivarem i Arathelle musi się odbyć, skoro już zostało zaaranżowane. Spodziewają się Zasiadającej na Tronie Amyrlin i zobaczą ją. Przybędziesz tam z wszelką pompą i dostojnością przynależnymi twojemu tytułowi. I powiesz im, że to ja przemawiam w twoim imieniu, a sama będziesz trzymała język za zębami! Usunięcie ich z drogi będzie wymagało stanowczej ręki, a także udziału kogoś, kto wie, co robi. Lada chwila bez wątpienia zjawi się tu Lelaine, która będzie się starała narzucić ci swoją osobę, ale pamiętaj, że ona sama znajduje się obecnie w wielce kłopotliwej sytuacji. Spędziłam cały dzień na rozmowach z innymi Zasiadającymi i wychodzi na to, że podczas ich najbliższego posiedzenia Lelaine zostanie obarczona winą za porażki Merilille i Merany. Jeśli więc masz nadzieję, że zdobędziesz doświadczenie potrzebne ci, by dorosnąć do stuły, to musisz wiązać tę nadzieję z moją osobą! Zrozumiałaś?

– Jak najbardziej – odparła Egwene potulnym głosem. Jeśli pozwoli Romandzie przemawiać w swoim imieniu, to wtedy nikt już nie będzie miał żadnych wątpliwości. Komnata i cały świat dowiedzą się, kto trzyma za kark Egwene al’Vere.

Romanda przez chwilę zdawała się borować wzrokiem dziury w jej czaszce, aż wreszcie przytaknęła.

– Oby tak było. Zamierzam usunąć Elaidę z Tronu Amyrlin i nie chcę, by moje starania zostały zaprzepaszczone, bo jakimś dziecku się wydaje, że potrafi przejść na drugą stronę ulicy nie trzymane przez nikogo za rękę. – Parsknęła, zarzuciła sobie płaszcz na ramiona i wypadła z namiotu. Razem z nią zniknęło zabezpieczenie.

Egwene siedziała i patrzyła krzywo na wejście do namiotu. Dziecko? Ażeby ta kobieta szeszła, ona jest Zasiadającą na Tronie Amyrlin! Wszak same ją wyniosły, czy im się to podoba czy nie, i będą musiały się z tym w końcu pogodzić! Porwała ze stołu kamienny kałamarz i cisnęła nim w klapę.

Lelaine uchyliła się, ledwie unikając strumieni atramentu.

– Miarkuj się, miarkuj, dziecko – powiedziała dźwięcznie, wchodząc do środka.

Podobnie jak Romanda nie poprosiła o pozwolenie, tylko objęła Źródło i utkała zabezpieczenie, by nikt nie mógł podsłuchać, o czym rozmawiają. O ile Romanda była jedną furją, to Lelaine zdawała się zadowolona z siebie, bo zacierała dłonie i uśmiechała się.

– Zapewne nie muszę cię informować, że twój sekrecik wyszedł na jaw. Lord Bryne postąpił bardzo nieładnie, ale wydaje mi się, że jest dla nas zbyt cenny, by go zabijać. I dobrze dla niego, że tak myślę. Ale mniejsza o to. Przypuszczam, że Romanda powiedziała ci o spotkaniu z Pelivarem i Arathelle i zaproponowała, że to ona będzie przemawiała w twoim imieniu. Mam rację? – Egwene poruszyła się, ale Lelaine uspokoiła ją machnięciem ręki. – Nie musisz odpowiadać. Znam Romandę. Niestety, dla niej dowiedziałam się o wszystkim prędzej niż ona, ale zamiast biec prosto do ciebie, wypytałam inne Zasiadające. Chcesz wiedzieć, co myślą?

Egwene wbiła dłonie w swój podolek, by ukryć, że zaciska je w pięści.

– Spodziewam się, że mi powiesz.

– Nie masz prawa mówić do mnie takim tonem – skarciła ją Lelaine, ale w następnej chwili już znowu się uśmiechała. – Komnata jest z ciebie niezadowolona. Bardzo niezadowolona. Nietrudno sobie wyobrazić, czym groziła ci Romanda, ale to ja mogę spokojnie zmienić te groźby w czyn. Z kolei Romanda wytrąciła z równowagi wiele Zasiadających swoimi mactwami. Jeśli więc nie



chcesz jeszcze bardziej nadwątlić autorytetu, którego obecnie masz tak niewiele, to zdziwisz jutro Romandę, mówiąc, że to ja przemawiam w twoim imieniu. Aż trudno dać wiarę, że Arathelle i Pelivar okazali się tacy głupi, że poważyli się na akt omalże szaleńczy, ale zapewniam, będą uciekali z podkulonymi ogonami, kiedy już z nimi skończę.

– Skąd mam wiedzieć, że nie zrealizujesz swoich pogroźek? – Egwene miała nadzieję, że jej gniewne pomruki zostaną odebrane jako wyraz potulności. Na Światłość, jaka ona była już tym wszystkim zmęczona!

– Ponieważ ci to obiecuję – odwarknęła Lelaine. – Czy jeszcze do ciebie nie dotarło, że tak naprawdę to nie sprawujesz żadnej władzy? Rządzi Komnata, ale z kolei władzę nad Komnatą dzielimy ja i Komanda. Może za sto lat dorośniesz do stuły, ale na razie siedź cicho, nic nie rób i pozwól, by ktoś, kto wie, co czyni, pokierował procesem obalania Elaidy.

Po wyjściu Lelaine Egwene znowu tylko siedziała i gapiła się przed siebie. Tym razem nie pozwoliła, by jej gniew doszedł do stanu wrzenia.

„Może dorośniesz do stuły”. Prawie słowo w słowo to samo, co powiedziała Romanda. „Ktoś, kto wie, co czyni”. Czy ona przypadkiem nie oszukiwała samej siebie? Może rzeczywiście jest tylko dzieckiem, które rujnuje coś, z czym doświadczona kobieta poradziłaby sobie bez trudu?

Do namiotu wślizgnęła się Siuan, wyraźnie czymś zmartwiona.

– Właśnie przyszedł Gareth Bryne, żeby mi powiedzieć, że Komnata już wie – oznajmiła sucho. – Udawał, że przyszedł spytać o swoje koszule. On i te jego cholerne koszule! Spotkanie zostało wyznaczone na jutro, nad jeziorem, w odległości pięciu godzin jazdy na północ. Pelivar i Arathelle są już w drodze. Towarzyszy im również Aemlyn, przedstawicielka trzeciego najsilniejszego z Domów.

– To więcej niż Lelaine i Romanda uznały za stosowne mi przekazać – odparła Egwene, równie sucho. Nie. Sto lat bycia prowadzoną za rękę, popychaną, podnoszoną za kark, albo nawet tylko pięćdziesiąt czy wręcz pięć i nie będzie się nadawała do niczego więcej. Jeśli ma dorosnąć, musi dorosnąć już teraz.

– Och, krew i przekłete popioły – jęknęła Siuan. – Ja tego nie wytrzymam! Co one ci powiedziały? Jak poszło?

– Mniej więcej tak, jak się spodziewałyśmy. – Egwene aż się uśmiechnęła ze zdziwienia, które odbiło się również w tonie jej głosu. – Siuan, nie mogłyby przekazać mi Komnaty w lepszy sposób, niż gdybym im powiedziała, co mają zrobić.

Ostatki światła bladły już, kiedy Sheriam weszła do swojego niewielkiego namiotu, jeszcze mniejszego od namiotu Egwene. Gdyby nie pozycja Opiekunki, musiałaby go z kimś dzielić. Wsunąwszy głowę do środka, zdążyła tylko zauważyć, że ktoś tam jest, bo zaraz potem została otoczona tarczą i rzucona twarzą w dół na posłanie. Oszołomiona, próbowała krzyknąć, ale do ust wciśnięto jej róg koca. Suknia i bielizna odpadły od ciała niczym pęknięta bańka mydlana.

Czyjaś dłoń pogładziła ją po głowie.

– Miałaś mnie systematycznie informować, Sheriam. Ta dziewczyna coś sobie zamierzyła i chcę wiedzieć, co to takiego.

Minęło dużo czasu, zanim przekonała wypytującą, że już jej powiedziała wszystko, co wie, że nigdy, przenigdy nie zachowałyby dla siebie ani słowa. Gdy wreszcie została sama, padła na posłanie i potem, zwinięta w kłębek, długo łkała z bólu przepełniającego jej oćwiczone ciało, gorzko żałując, że kiedykolwiek odezwała się bodaj słowem do którejkolwiek z sióstr zasiadających w

Komnacie.

# ROZDZIAŁ 17

## POŚRÓD LODÓW

Następnego dnia, jeszcze przed wschodem słońca, obóz Aes Sedai opuściła kolumna jeźdźców. Jechali na północ, wśród głuchej ciszy przerywanej niekiedy skrzypnięciem siodła albo chrzęstem, jaki towarzyszył zapadaniu się kruchej powłoki śniegu pod końskimi kopytami. Z rzadka parsknął któryś z wierzchowców albo brzęknął metal, ale cisza prędko pochłaniała wszelkie dźwięki. Księżyc już zaszedł, niebo lśniło od gwiazd, jednak zalegający wszędzie śnieg skutecznie rozjaśniał mrok. Gdy na wschodzie pojawiły się nareszcie pierwsze przebłyski świtu, byli już w drodze od dobrej godziny. Nie znaczyło to jednak, by pokonali duży dystans. Na otwartym terenie Egwene pozwalała Daisharowi rozwinąć nieco prędkość; koń galopował mozolnie, a spod jego kopyt tryskały tumany bieli niczym fontanny wodnego pyłu. Przeważnie jednak zwierzęta po prostu szły, i to bynajmniej wcale nie szybko, bo droga je wiodła na skroś rzadkiego lasu, w którym śnieg utworzył wielkie zaspę i przywarł do konarów drzew. Dęby, sosny, drzewa sorgumowe i skórzane, a także inne gatunki, których nazw nigdy nie poznała, wszystkie wyglądały na jeszcze bardziej skatowane niż wtedy, gdy dokuczał im upał i susza. Tego dnia przypadało Święto Abrama, ale nie miały go uświetniać tradycyjne miodowe ciasteczka z niespodziankami w środku. Niech Światłość sprawi, by tego dnia ludzie znaleźli jednak jakiś powód do radości.

Wzeszło słońce, jasnozłota kula, która nie dawała ciepła. Hausty powietrza kłuły w gardle, a wydobywając się z płuc, przybierały postać mgielnych obłoczków. Wiał ostry wiatr, niby niezbyt mocny, a jednak przeszywający, a z zachodu mknęły ku Andorowi ciemne, skłębione chmury. Aż żal jej było tych wszystkich ludzi, którzy mieli dopiero poczuć na sobie ich brzemień. I jednocześnie czuła radość na myśl, że ich wreszcie przestaną nękać. Chyba by oszalała, gdyby musiała czekać bodaj jeszcze jeden dzień. Ostatnio w ogóle nie mogła spać, nie tyle przez ból głowy, ile od dręczącego niepokoju. Niepokój i macki strachu, które wkraadały się do jej umysłu niczym fale zimna do wnętrza namiotu przez szczeliny między podłogą a ścianami. Nie czuła jednak zmęczenia. Czuła się jak ściśnięta sprężyna, jak mechanizm zegara nakręcony do oporu, pełna energii, która za wszelką cenę szukała ujścia. Światłości, wszystko jeszcze mogło się beznadziejnie popsuć.

Kolumna robiła spore wrażenie – na czele sztandar Białej Wieży, przedstawiający biały Płomień Tar Valon na tle spirali złożonej z siedmiu barw reprezentujących wszystkie Ajah. Uszyty potajemnie w Salidarze, dotychczas spoczywał na dnie jakiegoś kufra zamykanego na klucz, pozostającego w pieczy Komnaty. Sama Egwene raczej nie wydałaby rozkazu wzniesienia go, gdyby nie ceremonialna konieczność tego poranka. Za eskortę służył im oddział ciężkiej kawalerii, tysiąc żołnierzy w kolczugach i napierśnikach, parada lanc, mieczy, maczug i toporów rzadko kiedy widywana na południe od Ziemi Granicznych. Dowodził nimi jednooki Shienaranin, mężczyzna, którego spotkała już kiedyś w innych okolicznościach, zdawało jej się, że tak dawno, jakby w poprzednim Wieku. Uno Nomesta łypał groźnie swym jedynym okiem ukrytym za opuszczoną przyłbicą hełmu, jakby się spodziewał, że za każdym pnem drzewa ktoś się na nich zasadził. Jego sztywno wyprostowani w siodłach ludzie zdawali się niemal równie czujni.

Przed nimi, prawie niewidoczna, bo przesłonięta przez drzewa, jechała grupka mężczyzn odzianych w hełmy i same napierśniki, miast kompletnych zbroi. Wiatr rozwiewał im płaszcze, których nie mieli jak przytrzymać, bo jedną ręką ściskali wodze, a drugą krótkie łuki. Przed nimi i na flankach kolumny jechali kolejni zbrojni, też w liczbie tysiąca: ci mieli przeprowadzać zwiady i osłaniać. Gareth Bryne nie spodziewał się żadnych podstępów ze strony Andoran, ale, jak twierdził,

w przeszłości zdarzało mu się pomylić, a poza tym pozostawali jeszcze Murandianie. Tudzież możliwość, że napadną na nich skrytobójcy na żoździe Elaidy, albo nawet Sprzymierzeńcy Ciemności. Światłość jedna wiedziała, kiedy albo dlaczego takiemu Sprzymierzeńcowi Ciemności zachciewa się zabijać. Nie wspominając już Shaído, którzy znajdowali się rzekomo gdzieś daleko, ale jakoś tak to już zawsze było, że nikt nigdy nie wiedział, gdzie oni są, dopóki nie zaczęli mordować. No i rzecz jasna również bandyci mogliby popróbować swych sił w przypadku niezbyt licznej grupy. Lord Bryne nie zaliczał się do ludzi, którzy ryzykują bez potrzeby, co Egwene bardzo cieszyło. Zwłaszcza że tego dnia pragnęła mieć tylu świadków, ile tylko możliwe.

Sama jechała przed sztandarem, w towarzystwie Sheriam, Suan i Bryne'a, z pozoru całkowicie pochłoniętych własnymi myślami. Lord Bryne siedział swobodnie w siodle, mgielka oddechu tworzyła warstewkę szronu na jego przyłbicy, a mimo to Egwene widziała, że w pamięci odnotowuje mapę terenu. Na wypadek, gdyby miał tutaj walczyć. Suan siedziała w siodle nadzwyczaj sztywno, ze spojrzeniem cały czas utkwionym w północy, jakby już mogła dostrzec jezioro, i zapowiadało się, że będzie ją wszystko bolało, jeszcze zanim osiągną cel wyprawy. To kiwała głową, to nią kręciła, komentując chyba własne myśli. Widocznie się niepokoїła, bo inaczej nie zachowywałaby się w taki sposób. Sheriam wiedziała tyle samo, co Zasiadające, na temat tego, co ich czekało, a jednak zdawała się jeszcze bardziej zdenerwowana niż Suan, bo stale poprawiała się w siodle i krzywiła. A w jej zielonych oczach z jakiegoś powodu lśnił gniew.

Tuż za sztandarem jechały podwójną kolumną siostry stanowiące Komnatę, wszystkie odziane w haftowane jedwabie, grube aksamity, futra i płaszcze z wielkim Płomieniem na plecach. Kobiety, które rzadko kiedy wkładały jakieś inne ozdoby oprócz pierścienia z Wielkim Wężem, tego dnia wystroiły się w najwspanialsze klejnoty, jakie udało im się wyszukać w szkatułkach z biżuterią znajdujących się w obozie. Ich Strażnicy prezentowali się nie mniej imponująco dzięki mieniącym się płaszczom; wystarczało, że ich poły załopotwały na wietrze, i zdawali się częściowo znikać. Za nimi jechali służący, po dwóch albo trzech na każdą siostrę, a dosiadali najlepszych wierzchowców, jakie udało się dla nich znaleźć. Sami mogliby uchodzić za poślednią szlachtę, gdyby niektórzy nie wiedli za sobą jucznych koni; przetrząsnęto wszystkie kufry w obozie, by odziać ich w odpowiednio barwne ubrania.

Prawdopodobnie dlatego, że była jedyną Zasiadającą bez Strażnika, Delana zabrała dla towarzystwa Halimę, dosiadającą żwawej białej klaczy. Obie kobiety jechały niemalże udo w udo. Delana, niekiedy pochylała się w stronę Halimy, by rozmówić się z nią cicho, aczkolwiek Halima zdawała się zanadto podniecona, by jej słuchać. Halima rzekomo sekretarzowała Delanie, ale powszechnie uważano, że układ między pełną godności, jasnowłosą siostrą a krewką wieśniaczką o kruczoczarnych włosach to przykład chwalebnej dobroczynności albo mówiąc inaczej – prawdziwej przyjaźni. Egwene widziała pismo Halimy, miało ten bezkształtny charakter właściwy dzieciom dopiero uczącym się pisać. Halima tego dnia wystroiła się równie wspaniale jak każda z sióstr, jej klejnoty dorównywały precjozom Delany, z której szkatuły zapewne pochodziły. Za każdym razem, gdy podmuch wiatru rozchyłał jej aksamitny płaszcz, pokazywała zaskakująco dużo łona i zawsze wtedy się śmiała, nie spiesząc z jego okryciem, nie chcąc przyznać, że jest jej zimniej niż siostram.

Egwene chociaż raz była zadowolona z tych wszystkich podarowanych jej ubrań, bo dzięki nim mogła prześcignąć Zasiadające. Jej suknia z zielono-niebieskiego jedwabiu miała białe wstawki i była ozdobiona drobnymi perełkami, które też dekorowały wierzchy jej rękawiczek. Romanda w ostatniej chwili dostarczyła jeszcze płaszcz podbity gronostajowym futrem, a Lelaine naszyjnik i kolczyki ze szmaragdami i białymi opalami. Kamienie księżycowe we włosach stanowiły dar od Janyi. Amyrlin musiała tego dnia prezentować się olśniewająco. Nawet Suan wyglądała tak, jakby

się wybierała na bal, dzięki błękitnym aksamitom ozdobionym kremową koronką, z perłami przy szyi i we włosach.

Grupę Zasiadających prowadziły Romanda z Lelaine, które jechały tuż za chorążym, tak blisko, że ten stale oglądał się nerwowo przez ramię i niekiedy poganiał konia, by zmniejszyć dystans do wyprzedzających go jeźdźców. Egwene obejrzała się tylko raz, może dwa razy, ale wciąż czuła wzrok tamtych dwóch wwiercający się między jej łopatki. Każda bez wątplenia uważała, że udało im się dokładnie związać jej ręce, ale zapewne nie miały pewności, która trzyma w dłoni koniec powroza. Och, Światłości, to się nie może nie udać. Nie teraz.

Jeśli nie liczyć ich kolumny, ośnieżony krajobraz był prawie zupełnie nieruchomy. Przez jakiś czas towarzyszył im jastrząb, który kołował na tle zimnego, błękitnego nieba, zanim nie poleciał na wschód. Egwene dwukrotnie udało się wypatrzeć biegnącego w oddali lisa, wciąż jeszcze pokrytego letnim futrem, a raz dużego jelenia z wielkim porożem, który przemknął niczym duch i zniknął wśród drzew. W pewnym momencie spod kopyt Beli wyprysnął zajac, sprawiając, że kudłata klacz gwałtownie podrzuciła łbem, a Siuan krzyknęła przeraźliwie i natychmiast złapała wodze, jakby się obawiała, że Bela poniesie. Rzecz jasna, Bela tylko parsknęła z odrazą i brnęła przed siebie tak jak dotąd, inaczej niż wierzchowiec Egwene, który spłoszył się znacznie bardziej, mimo że zajac nawet się do niego nie zbliżył.

Po całym zdarzeniu Siuan zaczęła mrużyć coś pod nosem i upłynęło sporo czasu, nim poluźniła uścisk na wodzach Beli. Zawsze stawała się zrzędliva, dosiadając konia – gdy tylko istniała możliwość, podróżowała na którymś z wozów – ale rzadko kiedy zachowywała się aż tak niezdolnie. I niepotrzebny był widok lorda Bryne'a ani świadomość zapalczywych spojrzeń, jakie kierowała w jego stronę, by wiedzieć dlaczego.

Sam Bryne, nawet jeśli wiedział, jak ona nań patrzy, nie dawał niczego po sobie poznać. Jako jedyny nie jechał w szyku i wyglądał jak zawsze. Siermiężny i nieznacznie sfatygowany. Skała zwietrzała od burz, która mogła jeszcze bardzo dużo przetrwać. Egwene z jakiegoś powodu była zadowolona, że oparł się ich wysiłkom odziania go w zaciejsze szaty. Naprawdę zależało im na wywarciu odpowiedniego wrażenia, jej zdaniem jednak Bryne do tego celu nie potrzebował żadnych dodatkowych rekwizytów.

– Wspaniały poranek – odezwała się po jakimś czasie Sheriam: – Nie ma to jak przejażdżka po śniegu dla oczyszczenia myśli. – Nie powiedziała tego cicho, a jej wzrok spoczywał przy tym na wciąż mrużącej pod nosem Siuan. I uśmiechała się nieznacznie.

Siuan nic nie powiedziała – nie mogła nic powiedzieć przy tylu świadkach – ale obdarzyła Sheriam twardym spojrzeniem, które obiecywało, że później usłyszy kilka ostrych słów. Kobieta o włosach ognistej barwy zniecka skrzywiła się lekko i zmieniła kierunek jazdy. Skrzydło, jej nakrapiana szara klacz, zaczęła wierzgać i Sheriam osadziła ją jakby trochę zbyt stanowczą ręką. Fakty były takie, że okazała bardzo niewiele wdzięczności kobiecie, która wszak mianowała ją Mistrznią Nowicjuszek. Mało tego, i ona znalazła powody, by obarczyć Siuan winą. Była to jedyna skaza, jakiej Egwene dopatrzyła się w jej postawie od czasu, gdy razem z innymi złożyła potajemne przysięgi. Cóż, protestowała, że jako Opiekunka nie powinna przyjmować rozkazów od Siuan, tak samo jak musiały to czynić inne, które przysięgły, ale Egwene z miejsca się zorientowała, do czego to prowadzi. Nie był to pierwszy taki raz, kiedy Sheriam usiłowała wbić swój cierń. Siuan twierdziła uparcie, że chce sama poradzić sobie z Sheriam, a ponieważ poczucie jej godności osobistej zostało tak bardzo nadwątlone, Egwene nie mogła jej odmówić, zwłaszcza że sprawy jeszcze nie umknęły spod kontroli.

Bardzo żałowała, że podróż przebiega tak opieszale. Siuan znowu coś mówiła do siebie, a

Sheriam wyraźnie się namyślała, co tu jeszcze powiedzieć takiego, by sobie zasłużyć na reprimendę. Egwene czuła, że te pomrukiwania i walka na spojrzenia lada chwila zaczną jej działać na nerwy. Po jakimś czasie miała dosyć nawet tego wstrzemięźliwego zachowania Bryne'a. Wręcz się zastanawiała, co by tu takiego powiedzieć, żeby nim wstrząsnąć. Niestety – albo może na całe szczęście – nie wierzyła, by cokolwiek mogło tego dokonać. Czuła jednak, że jeszcze trochę, a chyba wybuchnie z samego zniecierpliwienia.

Słońce pięło się ku południowemu szczytowi swej drogi przez nieboskłon, miały pokonywane boleśnie wolno mile, aż wreszcie jeden z jadących w awangardzie jeźdźców zawrócił, unosząc rękę. Bryne pospiesznie przeprosił Egwene i pogalopował do przodu, czy raczej zaczął brnąć przez śnieg na swoim krzepkim wierzchowcu, Podróżniku, w końcu jednak dogonił członków forpoczty i zamieniwszy z nimi kilka słów, kazał im wjechać głębiej w las, a sam zaczekał na Egwene.

Gdy znów zajął pozycję u jej boku, przyłączyły się do nich Romanda i Lelaine. Dwie Zasiadające ledwie przyjmowały do wiadomości obecność Egwene, a za to usiłowały sterroryzować Bryne'a chłodnym opanowaniem, które na ogół całkiem wytrącało z równowagi wszystkich mężczyzn mających do czynienia z Aes Sedai. Tyle że co i raz obrzucały się z ukosa taksującymi spojrzeniami, zdając się w ogóle nie dostrzegać, co czynią. Gdyby choć w połowie były tak zdenerwowane jak ona, to by dało Egwene sporo satysfakcji.

Tymczasem te chłodne, spokojne spojrzenia spłynęły po Brynie niczym strugi deszczu po skale. Wprawdzie uhonorował je obie krótkim skinieniem głowy, ale swoje słowa kierował do Egwene.

– Tamci już przybyli, Matko. – Zgodnie z oczekiwaniami. – Przywiedli prawie tylu ludzi co my, ale zostawili ich wszystkich na północnym brzegu jeziora. Wysłałem zwiadowców, by pilnowali, czy nikt nie próbuje nas okrążyć, ale po prawdzie wcale się tego nie spodziewam.

– Miejmy nadzieję, że masz rację – powiedziała mu ostrym tonem Romanda, a Lelaine dodała jeszcze chłodniej:

– Ostatnimi czasy zdarzało ci się wygłaszać niezbyt trafne opinie, lordzie Bryne.

– Jak rzeczenie, Aes Sedai. – Wykonał jeszcze jeden nieznaczny ukłon, ledwie odrywając wzrok od twarzy Egwene. Podobnie jak Siuan, nie krył już lojalności wobec Egwene. Oby tylko Komnata nie dowiedziała się, jak silna jest ta więź. Gdyby tylko ona sama mogła być pewna, że istotnie jest tak silna, jak się wydaje. – Jeszcze jedno, Matko – ciągnął. – Pojawił się Talmanes. Na wschodnim brzegu jeziora czeka około stu żołnierzy Legionu. Czyli nie dość, by mogli spowodować kłopoty, nawet gdyby Talmanes tego chciał, w co zresztą wątpię.

Egwene pokiwała głową. Nie dość, by spowodować kłopoty? Już sama osoba Talmanesa mogła stać się ich przyczyną! Poczowała gorzki smak w ustach. Żeby się tylko udało!

– Talmanes! – zakrzyknęła Lelaine, tracąc pozory opanowania. Na pewno była równie podminowana jak Egwene. – Jak się dowiedział? Jeśli zaangażowałeś Zaprzysięgłych Smokowi do swych knowań, lordzie Bryne, to dowiesz się teraz, co oznacza zwrot posunąć się za daleko!

Z kolei Romanda, która niemalże weszła jej w słowo, warknęła:

– To haniebne! Twierdzisz, że dopiero co dowiedziałeś się o jego obecności? Jeśli to prawda, to twoją sławę można przyrównać do napuchniętego wrzodu! – Wyglądało na to, że tego dnia sławetne opanowanie Aes Sedai stanowiło jedynie kruchą maskę.

Ciągnęły tak dalej w tym samym tonie, ale Bryne jechał spokojnie przed siebie, mrużąc co jakiś czas: „Jako rzeczesz, Aes Sedai”, kiedy już musiał coś powiedzieć. Egwene sama słyszała, jak tego ranka mówiono mu w twarz jeszcze gorsze rzeczy, i widziała, że nie reagował inaczej. W końcu to Siuan ostatecznie nie wytrzymała i parsknęła śmiechem, ale natychmiast mocno się zaczerwieniła, kiedy Zasiadające spojrzały na nią ze zdumieniem. Egwene omal nie pokręciła głową. Siuan

naprawdę się zakochała. I chyba rzeczywiście trzeba będzie z nią porozmawiać! Bryne z jakiegoś powodu uśmiechał się, ale być może dlatego, że nareszcie przestał być przedmiotem zainteresowania Zasiadających.

W tym momencie wyjechali z lasu na otwartą przestrzeń i już nie było czasu na rozmyślanie o błahostkach.

Gdyby nie szeroki pas wysokich, zbrązowiałych trzciny i szerokolistnych pałek, nic by nie wskazywało na jezioro. Mogła to być równie dobrze wielka łąka, całkiem płaska i owalna w kształcie. W pewnej odległości od linii drzew, na samym środku wielkiej tafli zamrożonego jeziora, stał wielki baldachim z niebieskiego płótna na wysokich tykach, przy którym uwijał się niewielki tłumek, a nieco dalej służący pilnowali kilkudziesięciu koni. Wiatr marszczył jaskrawy gąszcz proporców i sztandarów i niósł stłumione okrzyki, które mogły być jedynie rozkazami. Najwyraźniej przybyli tu niewiele wcześniej od nich i jeszcze nie skończyli przygotowań.

Jakaś milę za płóciennym pawilonem rosły drzewa, a wśród nich iskrzył się metal, odbijając blade promienie słońca. Całkiem sporo tego było, i to na całej długości brzegu jeziora. Z kolei na wschodzie widać było oddział stu żołnierzy z Legionu, którzy nawet nie próbowali się ukryć; stali razem ze swoimi wierzchowcami blisko zagajnika wysokich pałek. Niektórzy pokazywali ich sobie palcami, kiedy pojawił się sztandar Tar Valon. Ludzie przy pawilonie znieruchomieli i też ich obserwowali.

Egwene nie zatrzymała się, tylko od razu wjechała na przysypany śniegiem lód. Wyobraziła sobie pączek róży otwierający się do słońca, stare ćwiczenie nowicjuszek. Nie objęła *saidara*, ale odzyskała wielce teraz pożądany spokój.

Siuan i Sheriam jechały jej śladem, tak jak i Zasiadające z ich Strażnikami oraz służba. Spośród żołnierzy towarzyszyli im tylko lord Bryne oraz chorąży. Na podstawie okrzyków wznoszących się za jej plecami zrozumiała, że Uno rozstawia swoich podkomendnych wzdłuż linii brzegu. Po obu stronach szeregu, których nie trzeba było szczególnie strzec na wypadek ewentualnej zdrady, rozlokowani zostali wojownicy w najłżejszych zbrojach. Jezioro wybrano na miejsce spotkania między innymi dlatego, że pokrywający je lód był dostatecznie gruby, by utrzymać sporą liczbę koni, ale nie setki, a tym bardziej nie tysiące, tym samym udaremniając z góry wszelki podstęp. Rzecz jasna, pawilon, niedosiężny dla strzały z łuku, znajdował się w zasięgu Jedynej Mocy. Ale co z tego, skoro najnikczemniejszy z ludzi wiedział, że jest bezpieczny, dopóki nie zagrażał życiu którejś z siostr. Egwene odetchnęła głęboko, powoli zaczął wracać do niej spokój.

Zgodnie z obyczajem, Zasiadającą na Tronie Amyrlin powinni byli powitać słudzy z ciepłymi napojami i ręcznikami ogrzanyymi gorącym cegiel, a także lordowie i lady, których zadaniem było odebranie jej wodzy i zaoferowanie pocałunku z okazji Święta Abrama. W normalnych okolicznościach służba przywitałaby gościa każdej rangi, a tymczasem z pawilonu nikt się nie wyłonił. W końcu sam Bryne zsiadł z konia, po czym podszedł do Daishara, by wziąć jego uzdę, a ten sam chudy młodzieniec, który poprzedniego dnia przyniósł świeże węgle, podbiegł przytrzymać strzemiono Egwene. Nadal kapało mu z nosa, a jednak w tym kaftanie z czerwonego aksamitu tylko troszkę na niego za dużym i w jasnoniebieskim płaszczu przyćmiewał arystokratów, którzy gapili się na nich spod baldachimu. Tamci w większości byli ubrani w grube wełny, ozdobione skąpym haftem, niewielkimi ilościami jedwabiu i koronek. Zapewne mieli spore trudności ze znalezieniem właściwego odzienia, gdy spadły śniegi, zwłaszcza że już wtedy maszerowali. Aczkolwiek prosta prawda była taka, iż ten młodzieniec przyćmiłby swym wyglądem nawet Druciarza.

Posadzkę pawilonu wyłożono dywanami, w koszach płonęły węgle, a wiatr rozwiewał nie tylko dym, ale również ciepło. Dla obu delegacji przyszykowano dwa rzędy ustawionych naprzeciwko

siebie krzesel, po osiem w każdym. Nie spodziewali się, że przybędzie aż tyle sióstr. Niektórzy z arystokratów wymienili spojrzenia wyrażające konsternację, a ich służący naprawdę załamywali ręce, zastanawiając się, co teraz zrobić. Niepotrzebnie.

Krzesła żadną miarą nie tworzyły kompletu, ale wszystkie były podobnych rozmiarów i żadne nie kłuło w oczy większym sfatygowaniem niż pozostałe. Żadnego też nie wyróżniała większa liczba połączonych rzeźbień. Kilku służących, w tym chudy młodzieniec, wbiegło do środka i nie zważając na krzywe miny arystokratów, ani nawet nie mówiąc zwyczajowego „za waszym pozwoleniem”, wniosło krzesła przygotowane dla Aes Sedai na śnieg, po czym pospiesznie razem zabrało się do rozpakowywania juczych koni. Nadal nikt nie odezwał się nawet słowem.

W bardzo krótkim czasie przygotowana została dostateczna liczba siedzeń dla Zasiadających Komnaty i Egwene. Były to zwykłe ławy, wypolerowane do połysku, ale za to ustawiono je na dużych skrzyniach owiniętych w tkaniny barwy danej Ajah, które utworzyły razem szereg tej samej długości co bok pawilonu. Skrzynia ustawiona przed nim, służąca za podstawę ławy, na której miała zasiąść Egwene, została owinięta taką samą pasiastą tkaniną, z której uszyto jej stulę. Ubiegłej nocy było dużo biegania, by znaleźć pszczeli wosk do polerowania oraz tkaniny we właściwych barwach.

Kiedy Egwene i Zasiadające zajęły swoje miejsca, okazało się, że siedzą o stopę wyżej niż pozostali uczestnicy spotkania. Przedtem Egwene miała w związku z tym pewne wątpliwości, ale brak bodaj jednego słowa powitania rozwiązał je ze szczętem. Najnędniejszy farmer byłby zaofiarował kubek z jakimś napitkiem i ucałowałby nawet włóczęgę z okazji Święta Abrama. One nie były petentkami, a tamci nie byli im równi. One były Aes Sedai.

Strażnicy stanęli za swoimi siostrami, a Suan i Sheriam zasiadły przy Egwene. Siostry ostentacyjnie rozchyliły połę płaszczy i zdjęły rękawiczki, by pokazać, że zimno ich się nie ima, co zdecydowanie różniło je od arystokratów, szczelnie otulonych swymi okryciami. Płomień Tar Valon wyeksponowany poza pawilonem łopotał dumnie w całej swej okazałości na coraz silniejszym wietrze. Cały ten obraz psuła jedynie Halima, która przysiadła w niedbałej pozie obok Delany na brzeżku okrytej szarą tkaniną skrzyni i przyglądała się wyzywająco Andoranom oraz Murandianom.

Kilka osób wytrzeszczyło oczy, kiedy Egwene zasiadła na ławie ustawionej na samym przodzie, ale nie było ich wiele. Tak naprawdę nikt nie wyglądał na szczególnie zdziwionego.

„Już pewnie słyszeli o dziewczynie zasiadającej na tronie Amyrlin” – pomyślała kwaśno.

Cóż, zdarzały się przecież jeszcze młodsze królowe, w tym również królowe Andoru i Murandy. Spokojnie skinęła głową i Sheriam wskazała gestem rząd krzesel. Nieważne, kto przybył tu pierwszy ani kto postawił ten pawilon: liczyło się przede wszystkim to, kto zwołał spotkanie. Kto mu przewodził.

Jej zachowanie nie zostało przyjęte najlepiej, jak zresztą należało się spodziewać. Zapadła chwila milczącego wahania, w trakcie której arystokraci zastanawiali się gorączkowo, jak tu odzyskać równą pozycję, i na niejednej twarzy pojawił się krzywy grymas, gdy pojęli, że taki sposób nie istnieje. Zasiedli więc z ponurymi minami, czterech mężczyzn i cztery kobiety, z dużą złością zbierając płaszcze i poprawiając spódnice. Ci pośledniejsi rangą stanęli za krzesłami, można było łatwo dostrzec, że Andoranie i Murandianie nie żywią do siebie wiele ciepłych uczuć. A skoro już o tym mowa, Murandianie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, w walce o pierwszeństwo mamrotali coś wściekle i potracali się wzajem z równą zapalczliwością, z jaką traktowali swych „sojuszników” z północy. Aes Sedai częstowano spojrzeniami równie mało przychylnymi, a kilkoro uczestników spotkania popatrywało też ponuro na Bryne’a, który stanął sobie skromnie z boku, z hełmem pod pachą. Bryne był postacią doskonale znaną po obu stronach granicy, czuli przed nim respekt nawet ci, którzy woleliby widzieć go martwym. Tak przynajmniej było w czasach, zanim się objawił jako



dowódca armii Aes Sedai. Bryne ze swej strony ignorował te kwaśne spojrzenia tak samo, jak przedtem ignorował kwaśne uwagi Zasiadających.

Oprócz niego jeszcze jeden człowiek nie przyłączył się do żadnej z grup. Błady mężczyzna; o niecałą dłoń wyższy od Egwene, odziany w ciemny kaftan i napierśnik, miał wygolony przód czaszki i czerwoną wstążkę zawiązaną na lewym ramieniu. Piers jego ciemnoszarego płaszcza zdobił wyhaftowany wizerunek dużej czerwonej dłoni. Talmanes stał naprzeciwko Bryne'a, nonszalancko wsparty o jeden ze wsporników pawilonu, i obserwował wszystko, niczym nie zdradzając, co myśli. Egwene wiele by dała, żeby się dowiedzieć, co on tu właściwie robi. I co mówił, zanim tu przybyła. Tak czy owak, na pewno musiała się z nim rozmówić. Jeśli będzie można to załatwić w taki sposób, by nie przysłuchiwało im się sto par uszu.

Szczupły starszy mężczyzna w czerwonym płaszczu, który siedział w samym środku rzędu krzeseł, pochylił się do przodu i otworzył usta, ale ubiegła go Sheriam, przemawiając czystym, donośnym głosem.

– Matko, pozwól, że ci przedstawię reprezentujących Andor, Arathelle Renshar, Głowę Domu Renshar, Pelivara Coelana, Głowę Domu Coelan, Aemlyn Carand, Głowę Domu Carand, oraz jej męża, Culhana Caranda. – Wymienieni wysłuchali tego z kwaśnymi minami, każde ledwie raczyło skinąć głową. Okazało się, że Pelivar to ten szczupły mężczyzna z włosami przerzedzonymi nad czołem. Sheriam mówiła dalej, nie robiąc chwili przerwy; Bryne'owi na całe szczęście udało się zdobyć listę nazwisk tych, którzy zostali wybrani do rozmów. – Pozwól, że ci przedstawię reprezentujących Murandy, Donela do Morny a' Lordeine. Cian do Mehon a' Macansa. Paitra do Fearn a' Conn. Segan do Avharin a' Roos. – Murandianie jakby jeszcze gorzej przyjęli ten brak tytułów niż Andoranie. Donel, który wystroił się w większą omalże ilość koronek niż którakolwiek kobieta, zapalczywym ruchem podkręcił wąsa, a Paitr majstrował przy swoim zaroście z takim zapamiętaniem, jakby chciał go sobie wyrwać. Segan wydeła pełne wargi, ciskając skry ciemnymi oczyma, Cian zaś, tłustawa, siwiejąca kobieta, prychnęła tak głośno, że wszyscy ją słyszeli. Sheriam jakby niczego nie zauważyła. – Patrzy na was Strażniczka Pieczęci. Stoicie przed Płomieniem Tar Valon. Możecie przedłożyć swoje petycje Zasiadającej na Tronie Amyrlin.

No cóż... To im się na pewno nie spodobało. Ani trochę. Egwene już przedtem zauważyła, że mają bardzo kwaśne miny, ale teraz wyglądali tak, jakby się najedli do syta zielonych śliwek. Może im się wydawało, że mogą ją bez żadnych konsekwencji ignorować, udawać, iż w ogóle nie jest Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Skoro tak, to ona im jeszcze pokaże. Choć, rzecz jasna, najpierw będzie musiała pokazać Komnacie.

– Istnieją więzy łączące Andor z Białą Wieżą, sięgające jeszcze starożytności – zaczęła, głośno i dobitnie. – Siostry zawsze mogły się spodziewać miłego powitania w Andorze albo Murandy. W takim razie dlaczego wy prowadzicie armię przeciwko Aes Sedai? Ingerujecie tam, gdzie boją się wtrącać trony i całe narody. Mieszanie się do spraw Aes Sedai bywało już przyczyną upadku niejednego mocarstwa.

Zabrzmiało to stosownie groźnie, niezależnie od tego, czy Myrelle i inne siostry zdołały przygotować grunt pod jej słowa. Jeśli szczęście dopisało, były już w drodze do obozu i żadna się nie zorientowała. Chyba że któryś z tych arystokratów powiedział nie to, co trzeba. W takim przypadku Egwene utraciłaby całą swoją przewagę nad Komnatą, ale w porównaniu z całą resztą byłoby to jedno źdźbło siana wobec całego stogu kłopotów.

Pelivar wymienił spojrzenia z siedzącą obok niego kobietą, która natychmiast powstała. Zmarszczki pokrywające twarz nie mogły do końca zatrzeć piękna, jakim za młodu musiała się szczycić Arathelle; teraz jej włosy gęsto przeplatała siwizna, a spojrzenie miała twarde niczym

Strażnik. Dłonie odziane w czerwone rękawiczki ścisnęły skraj płaszcza, ale było widać, że nie z niepokoju. Z ustami zaciśniętymi w cienką kreskę przyjrzała się Zasiadającym i dopiero wtedy przemówiła. Przemówiła nie do Egwene, tylko do siedzących za jej plecami sióstr. Egwene zazgrzytała zębami, ale równocześnie zrobiła uprzedzająco grzeczną minę.

– Jesteśmy tu po to właśnie, by nie dać się wciągnąć do spraw Białej Wieży. – Głos Arathelle miał władcze brzmienie, co może normalnie nie dziwiłoby w przypadku Głowy tak potężnego Domu, gdyby nie fakt, że przemawiała do tyłu sióstr, nie wspominając już o Zasiadającej na Tronie Amyrlin. – Jeśli to wszystko, co słyszeliśmy, jest prawdą, to w najlepszym razie udzielenie wam zgody na przejazd przez terytorium Andoru zostanie przez Białą Wieżę poczytane za równoznaczne z okazaniem pomocy, czy wręcz nawiązaniem sojuszu. Jeśli nie zagroźmy wam drogi, to niewykluczone, że na własnej skórze odczujemy to, czego winogrona się uczą pod prasą. – W tym momencie niektórzy Murandianie spojrzeli chmurnie na Egwene. W Murandy nikt dotąd nie próbował przeszkodzić siostronom przejeżdżającym przez ich terytorium. I najprawdopodobniej nikt się nie zastanawiał nad ewentualnymi konsekwencjami.

Arathelle mówiła dalej, jakby niczego nie zauważyła, w co Egwene jednak nie potrafiła uwierzyć.

– Z kolei w najgorszym razie... Donoszono nam... że Aes Sedai i Gwardia Wieży podążają potajemnie w kierunku Andoru. Nie były to sprawdzone raporty, tylko plotki, a jednak docierały do nas z bardzo wielu miejsc. Nikt z nas nie chciałby być świadkiem bitwy między Aes Sedai w Andorze.

– Światłości, zachowaj nas i broń! – wybuchnął Donel z poczerwieniałą twarzą. Paitr przytaknął na znak, że się zgadza, w podnieceniu zsuwając się na skraj swego siedzenia, a Cian wyraźnie miała ochotę zareagować równie gwałtownie. – Tutaj też nikt nie chce oglądać takiej bitwy! – warknął Donel. – W każdym razie nie takiej, która toczy się między Aes Sedai! No jakże, słyszeliśmy, co działo się na wschodzie! A tamte siostry!...

Na szczęście Arathelle przerwała mu i Egwene zaczęła oddychać nieco swobodniej.

– Pozwól, lordzie Donel. Przemówisz, gdy przyjdzie twoja kolej. – Zwróciła się z powrotem do Egwene, czy raczej znowu do Zasiadających, nie czekając na odpowiedź Donela, nie zważając, że bełkocze coś, pryskając śliną, a pozostali trzej Murandianie piorunują ją wzrokiem. Wyglądała na całkiem niewzruszoną, ot, kobieta, która zwyczajnie przedstawia niezbite fakty. Dając równocześnie do zrozumienia, że widziała wszystko na własne oczy.

– Jak już powiedziałam, to jest rzecz, której najbardziej się boimy, o ile te opowieści są prawdziwe. A jeśli nawet nie są, nie rozprasza to całości naszych obaw. Jedne Aes Sedai być może gromadzą się potajemnie na terytorium Andoru, razem z Gwardią Wieży. Inne Aes Sedai, którym towarzyszy armia, są gotowe wkroczyć do Andoru. Już nie raz bywało, że Biała Wieża zdawała się dążyć do jednego celu, a my potem dowiadywaliśmy się, że tym celem było przez cały czas coś innego. Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, by nawet Biała Wieża była w stanie posunąć się tak daleko, ale jeśli tak, to waszym celem powinna być Czarna Wieża. – Arathelle zadygotała nieznacznie i zdaniem Egwene bynajmniej nie z zimna. – Bitwa między Aes Sedai mogłaby zniszczyć wszystko w promieniu wielu mil. Mogłaby zniszczyć nawet połowę Andoru.

Pelivar poderwał się na nogi.

– Mówiąc otwarcie: musicie udać się w innym kierunku. – Mówił zaskakująco cienkim głosem, ale nie mniej stanowczym niż Arathelle. – Jeśli już miałbym umierać za swój kraj i za swoich poddanych, to wolę tutaj, a nie tam, gdzie skazywałbym na śmierć również moich rodaków.

Pod wpływem uspokajającego gestu Arathelle umilkł i opadł z powrotem na krzesło. Patrzył

jednak twardo, ani trochę nie udobruchany. Aemlyn, pulchna kobieta opatulona w ciemną wełnę, przytaknęła na znak, że się z nim zgadza, podobnie jak jej obdarzony kanciastą twarzą mąż.

Donel wpatrywał się w Pelivara takim wzrokiem, jakby nie wierzył własnym uszom, i nie był w tym odosobniony. Niektórzy ze stojących Murandian wdali się w głośną sprzeczkę, aż wreszcie inni musieli ich uciszyć. I to nawet wygrażając im pięściami. Co też opętało tych ludzi, że weszli w sojusz z Andoranami?

Egwene wzięła głęboki wdech. Pączek róży otwierający się do słońca. Nie powitali jej jako Zasiadającej na Tronie Amyrlin – Arathelle posunęła się nawet tak daleko, że ignorowała ją na tyle, na ile się dało bez zupełnie fizycznego odsunięcia jej poza to zgromadzenie! – a jednak dali jej wszystko, czego mogła sobie życzyć. A teraz nadszedł moment, gdy Lelaine i Romanda zapewne oczekiwały, że wyznaczy którąś z nich do prowadzenia negocjacji w jej imieniu. Miała nadzieję, że ściska je w żołądkach od tego zastanawiania się, którą z nich wybierze. I zdziwią się, bo nie będzie żadnych negocjacji.

– Elaida – zaczęła zimnym tonem, patrząc kolejno na twarze Arathelle i pozostałych siedzących arystokratów – to uzurpatorka, która pogwałciła wszelkie wartości, spoczywające w samym sercu Białej Wieży. To ja jestem Zasiadającą na Tronie Amyrlin. – Była zdziwiona, że tak statecznie i chłodno udało jej się to powiedzieć. Ale nie tak zdziwiona, jak byłaby kiedyś. Światłości, dopomóż jej, ona była Zasiadającą na Tronie Amyrlin. – Maszerujemy do Tar Valon, by usunąć Elaidę i osądzić ją, ale to jest sprawa Białej Wieży, a nie wasza. Wy tylko powinniście poznać prawdę. Tak zwana Czarna Wieża to również nasza sprawa, przenoszący mężczyźni jak zawsze pozostają w gestii Białej Wieży. Rozprawimy się z nimi wedle naszego uznania, kiedy przyjdzie na to czas, ale zapewniam was, ten czas jeszcze nie nadszedł. Istnieją ważniejsze sprawy i one mają pierwszeństwo.

Słyszała poruszenie, jakie zapanowało pośród siedzących za nią sióstr, które wierciły się, szeleszcząc głośno spódnicami. Przemowa musiała kilkoma porządnie wstrząsnąć. No cóż, niektóre z nich też sugerowały, że Czarną Wieżą można się zająć przy okazji. Niezależnie od wszelkich docierających do nich wieści, ani jedna nie uwierzyła, że może tam być więcej niż kilkunastu mężczyzn; to było po prostu niemożliwe, by aż stu z własnej woli chciało przenosić. Ale być może nareszcie do nich dotarło, że Egwene nie zamierza wyznaczyć ani Romandy, ani Lelaine na swoją rzeczniczkę.

Arathelle zmarszczyła brwi, prawdopodobnie wyczuwając coś w powietrzu. Pelivar poruszył się, jakby znowu chciał poderwać się z miejsca, a Donel zrobił niezadowoloną minę. Nie mogła uczynić nic innego, jak tylko brnąć dalej. Zresztą i tak nie miała innego wyboru, nigdy go nie miała.

– Rozumiem wasz niepokój – ciągnęła tym samym formalnym tonem – ale ja go rozwieję. – Jak brzmiało to dziwaczne zawołanie Legionu? O właśnie. Czas rzucić kości. – Niniejszym udzielam wam gwarancji Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Zatrzymamy się w Murandy na miesiąc, żeby odpocząć, a potem opuścimy ten kraj, jednak nie będziemy wkraczali na terytorium Andoru. Mało tego, odtąd przestaniemy niepokoić Murandy, Andoru zaś nie będziemy niepokoić wcale. Jestem pewna – dodała – że obecni tu murandiańscy lordowie i lady z ochotą zaspokoją nasze potrzeby w zamian za godziwą zapłatę w srebrze. – Nie miałoby sensu uspokajanie Andoran, gdyby to oznaczało, że Murandianie będą napadali na konie i wozy dostawcze.

Murandianie, którzy rozglądali się teraz niespokojnie, zdecydowanie wyglądali na rozdartych. Mieli w perspektywie szansę na dobry zarobek, i to w głównej mierze dzięki realizacji dostaw dla wielkiej armii, ale z kolei kto potrafiłby się targować z taką siłą? Donel zdawał się bliski wymiotów, a Cian jakby przeliczała coś w głowie. Wśród obserwatorów podniósł się szmer tak głośny, że Egwene niemal słyszała poszczególne słowa.

Miała ochotę obejrzeć się przez ramię. Milczenie Zasiadających za jej plecami wprost ogłuszało. Suan patrzyła prosto przed siebie i miętoszyła spódnice, jakby chciała siłą woli zajrzeć w przyszłość. Ona przynajmniej wiedziała, na co się zanosi. W odróżnieniu od Sheriam, która przyglądała się majestatycznie Andoranom i Murandianom, całkiem opanowana, jakby z góry przewidziała treść słów, jakie tu padną.

Egwene musiała sprawić, by zapomnieli o tej dziewczynie, którą widzieli przed sobą, a usłyszeli kobietę, która dzierżyła w swym ręku ster władzy. Jeśli jeszcze nie trzymała ich w garści, to co z tego! I tak się nie wymkną. Zaczęła mówić jeszcze bardziej stanowczym głosem.

– Rozważcie dobrze moje słowa. Ja podjęłam decyzję; teraz od was zależy, czy ją zaakceptujecie. W przeciwnym razie musicie być gotowi stawić czoło konsekwencjom waszej odmowy. – Gdy umilkła, zawył wiatr, który wstrząsnął pawilonem i wydał ich odzienie. Egwene spokojnie przesunęła ręką po włosach. Niektórzy arystokraci stojący z tyłu dygotali i gwałtownymi ruchami wygładzali płaszcze, a ona miała nadzieję, że to nie tylko z powodu takiej pogody.

Arathelle wymieniła spojrzenia z Pelivarem i Aemlyn, po czym wszyscy troje przyjrzeni się Zasiadającym i dopiero wtedy powoli przytaknęli. Uznali, że ona wypowiada słowa, które Zasiadające włożyły jej do ust! Ale i tak omal nie westchnęła z ulgą.

– Będzie, jak rzeczesz – odpowiedziała arystokratka o twardym spojrzeniu, znowu kierując to do Zasiadających. – Nie podważamy słów Aes Sedai, ale musicie nas zrozumieć. Czasami tylko nam się wydaje, że coś słyszemy. Aczkolwiek nie wątpię, że tym razem jest inaczej. Zostaniemy jednak tu z wami aż do waszego wyjazdu. – Donel naprawdę miał taką minę, jakby miał zaraz zwymiotować. Ostatecznie do jego posiadłości było stąd całkiem niedaleko, a amdorańskie armie rzadko kiedy płaciły za coś na terytorium Murandy.

Egwene wstała i usłyszała szmer, który oznaczał, że siostry poszły w jej ślady.

– W takim razie decyzja została podjęta. Musimy niebawem odjechać, jeśli chcemy zdążyć do łóżek przed zmierzchem, ale proponuję poświęcić jeszcze kilka chwil. Jeśli teraz poznamy się nieco lepiej, to później unikniemy nieporozumień. – A ona będzie miała szansę dotrzeć do Talmanesa. – Aha. Jest jeszcze jedna rzecz, o której wszyscy powinniście wiedzieć. Księga nowicjuszek jest obecnie otwarta dla wszystkich kobiet niezależnie od wieku, wystarczy tylko zaliczyć sprawdziany. – Arathelle zamrugnęła. Egwene wydało się, że usłyszała ciche syknięcie Suan. Tego tematu dotąd nie poruszały w rozmowach, ale moment był chyba jak najlepszy. – Podejdźcie do nas, zapraszam. Jestem pewna, że wszyscy chcecie porozmawiać z Zasiadającymi. Odrzućmy formalności na bok.

Nie czekając, aż Sheriam poda jej rękę, zeszła z ławy. Niemalże zbierało jej się na śmiech. Ubiegłej nocy bała się, że nigdy nie osiągnie celu, a teraz znajdowała się w połowie drogi do niego, prawie w połowie, i to wcale nie okazało się aż takie trudne, jak sądziła. Ale, rzecz jasna, pozostała jeszcze ta druga połowa.

# ROZDZIAŁ 18

## PRZEDZIWNIE WEZWANIE

Przez dłuższą chwilę po tym, jak Egwene zeszła z podium, nikt nawet nie drgnął. I wtem, nagle... Andoranie, Murandianie, jak jeden mąż, ruszyli w stronę Zasiadających. Młodociana Amyrlin – marionetka i figurantka! – nie interesowała ich wcale, zwłaszcza że mieli przed oczami oblicza pozbawione piętna upływu lat, nie pozostawiające przynajmniej wątpliwości, że oto mają do czynienia z prawdziwymi Aes Sedai. Natychmiast każdą Zasiadającą obległo dwoje lub troje lordów bądź lady, a choć jedni rozkazująco zadzierali podbródki, inni zaś kulili się pokornie, to jednak wszyscy domagali się, by ich wysłuchano. Ostry wiatr rozwiewał mgiełki oddechów i rozdymał poły płaszczy, nie zwracali na to uwagi, bo nic na świecie nie liczyło się teraz bardziej niż ich pytania. Nawet Sheriam nie udało się uciec przed lordem Donelem o nalanej twarzy, który to srożył się, to bił jej pokłony.

Egwene odciągnęła ją jednak od tego mężczyzny o chytrym, złym spojrzeniu.

– Dowiedz się czegoś, ale tak dyskretnie, jak to tylko będzie możliwe, na temat poczyznań sióstr i Gwardii Wieży w Andorze – szepnęła pospiesznie, po czym odprawiła Opiekunkę, która natychmiast znów miała na karku Donela. Sheriam początkowo sprawiała wrażenie skonsternowanej jego natarczywością, prędko jednak skryła grymas niezadowolenia. Donel zamrugał niespokojnie, kiedy to ona dla odmiany zasypała go pytaniami.

Mimo dzielącego je od niej tłumy Romanda i Lelaine, nieustannie obserwowały Egwene oczyma wyzierającymi z lodowato spokojnych twarzy, ale ponieważ każda dorobiła się towarzystwa pary arystokratów, którzy chcieli... Czegoś tam. Być może zapewnienia, że w słowach Egwene nie krył się żaden podstęp. Takim żądaniem zapewne dopiekliby do żywego obu Zasiadającym, bo choćby nie wiadomo jak kluczyły czy lawirowały – a Światłość świadkiem, że były do tego zdolne – to jednak nie mogły uniknąć wyrażenia swego otwartego poparcia dla niej, nie podważając równocześnie jej autorytetu. A nawet one nie posunęłyby się do tego. Nie tutaj, nie publicznie.

W pewnym momencie przysunęła się do niej Siuan, z twarzą, która mogłaby wyrażać nieskończoną uległość, gdyby nie rozbiegane nerwowo oczy. Być może bała się, że zaraz dopadną je Romanda albo Lelaine i urządzią im publiczną scenę, całkiem zapominając o prawie, obyczajach, dobrym wychowaniu oraz o tym, że ktoś mógł się im przyglądać.

– Shein Chunla – syknęła cicho.

Egwene przytaknęła, ale nawet nie spojrzała na Siuan, bo wzrokiem szukała Talmanesa. Prawie wszyscy zgromadzeni tu mężczyźni, a także niektóre kobiety byli tak wysocy, że nie sposób było wyłowić z tłumy jego sylwetki. A że nikt tu nie stał w jednym miejscu... Wspięła się na czubki palców. Dokąd on poszedł?

Tymczasem na drodze stanęła jej Segan, wsparła pięści na biodrach i zmierzyła Siuan pełnym powątpiewania wzrokiem. Egwene pospiesznie przyjęła bardziej godną postawę. Amyrlin nie mogła zachowywać się jak jakaś płocha dziewczyna, która przyszła na tańce i szuka sobie chłopca. Rozkwitający pączek róży. Spokój. Opanowanie. Ażeby tak Szczelina Zagłady pochłonęła wszystkich mężczyzn!

Segan – szczupła kobieta o długich ciemnych włosach, z grymasem wydętych ust na stałe chyba przyklepionym do twarzy, sprawiała wrażenie naburmuszonej od urodzenia. Suknię miała uszytą z dobrej, niebieskiej wełny, wyraźnie odpowiednią na chłodne dni, ale dekolt ozdobił zbyt obfity, jasnozielony haft, a tak kolorowych rękawiczek nie powstydzilby się Druciarz. Obejrzała sobie

Egwene od stóp do głów, z taką samą nieufnością, z jaką potraktowała Siuan.

– Czy to, co powiedziałaś, wspominając o księdze nowicjuszek – odezwała się nagle – rzeczywiście dotyczyło wszystkich kobiet, niezależnie od wieku? Czy należy przez to rozumieć, że każda może zostać Aes Sedai?

Było to pytanie ważne dla Egwene i z całego serca pragnęła udzielić odpowiedzi – i wytargać za uszy w razie jakichś zastrzeżeń – ale w tym momencie kłębiący się ludzie rozstąpili się na chwilę, ukazując Talmanesa na tyłach pawilonu. Rozmawiał z Pelivarem! Stali sztywno wyprostowani, podobni do dwóch wielkich psów gotowych skoczyć sobie zaraz do gardeł, a jednocześnie pilnowali, czy nikt nie podchodzi dostatecznie blisko, by podsłuchać, o czym rozmawiają.

– Każda kobieta, niezależnie od wieku, córko – potwierdziła nieobecny tonem. Pelivar?

– Dziękuję ci – odparła Segan i z wahaniem dodała: – Matko. – Dygnęła niedbale i odeszła. Egwene odprowadziła ją wzrokiem. Cóż, zawsze to jakiś początek.

Siuan parsknęła.

– Gotowam żeglować po Palcach Smoka w samym środku nocy, jeśli tak będzie trzeba – mruknęła ledwie słyszalnie. – Omówiliśmy wszystko, spekulowaliśmy w sprawie ewentualnych zagrożeń, a teraz okazuje się, że jedyny wybór, jaki przed sobą mamy, nie zda się nawet mewie na ostatnią wieczerzę. Ty jednak musiałaś wzniecić pożar na pokładzie, tylko po to, by było ciekawiej. Nie wystarczy ci złapać morlewa w sieć, musisz jeszcze wsadzić sobie ciernika pod suknię. Samo brodzenie w ławicy srebrów to dla ciebie za mało...

Egwene weszła jej w słowo.

Siuan, chyba powinnam poinformować lorda Bryne'a, że kochasz się w nim na zabój. Prosta uczciwość wymagałaby, żeby wiedział, nieprawdaż? – Siuan wytrzeszczyła oczy i przez chwilę poruszała ustami, ale nie wydobyło się z nich nic oprócz nieartykułowanego gulgotania. Egwene poklepała ją po ramieniu. – Jesteś Aes Sedai, Siuan. Postaraj się zachować choć odrobinę godności. I dowiedz się też czegoś na temat sióstr w Andorze. – Tłum znowu się rozstąpił. Spozstrzegła Talmanesa w innym miejscu, ale nadal na uboczu zgromadzonego tłumu. Tym razem stał sam.

Ruszyła w tamtą stronę, starając się nie okazywać pośpiechu, Siuan została sama, wciąż gapiąc się za nią wytrzeszczonymi oczyma. Przystojny, kruczowłosy służący, odziany w obszerne wełniane spodnie, spod których wyzierały całkiem kształtne łydki, podsunął w jej stronę parujący srebrny puchar na tacy. Podano poczęstunek, trochę jakby poniewczasie. A już na pewno o wiele za późno, jeśli miał stanowić znak pokoju. Egwene nie usłyszała, co powiedziała Siuan, ale dostrzegła, jak mężczyzna wzdrygnął się i zaczął gwałtownie kłaniać, co jednoznacznie wskazywało, że oberwał ostrymi odłamkami jej wybuchowego temperamentu. Egwene westchnęła.

Talmanes stał; założywszy ręce, i obserwował wszystko z rozbawionym uśmiechem, który wszelako nawet na moment nie pojawił się w oczach. Wydawał się wprawdzie w każdej chwili gotów do działania, ale w jego wzroku przyczaiło się zmęczenie. Na widok zbliżającej się Egwene wykonał pełen szacunku ukłon, niemniej głos zadrżał lekko zgryźliwą nutą, gdy powiedział:

– Zmieniłaś dziś kształt granicy. – Otulił się szczerzej płaszczem, chroniąc przed podmuchami lodowatego wiatru. – Granica między Andorem i Murandy była zawsze... płynna, niezależnie od tego, co mówią mapy, ale Andoranie nigdy dotąd nie pojawiali się na południu w takiej sile, jeśli nie liczyć Wojny z Aielami i Wojny z Białymi Płaszczami, ale wtedy tylko tędy przechodzili. Kiedy już pobędą tu około miesiąca, pojawią się nowe mapy z nową granicą. Popatrz no tylko na Murandian, płaszczą się przed Pelivarem i jego kompanami tak samo jak przed siostrami. A dlaczego? Bo mają nadzieję zyskać nowych przyjaciół na nowe czasy.

Egwene, która ukradkiem spoglądała, czy nikt jej nie obserwuje, zdało się, że wszyscy

arystokraci, zarówno Murandianie, jak i Andoranie, skupili całą uwagę na Zasiadających. Tak czy owak, miała na głowie znacznie ważniejsze sprawy niż jakieś tam granice. Ważniejsze dla niej, nie dla arystokratów. Z małymi wyjątkami, nie widziała w tym morzu głów żadnej z Zasiadających. Jedynie Halima i Siuan zdawały się ją zauważać, a w powietrzu unosiła się wrzawa podobna do gęgania stadka podnieconych gęsi. Zniżyła jednak głos i starannie dobierała słowa.

– O przyjaciółach nie wolno nigdy zapominać, Talmanesie. Ty sam byłeś dobrym przyjacielem Mata i myślę, że moim również. Mam nadzieję, że to nie uległo zmianie. Wierzę również, że nie powiedziałeś nikomu nic, czego nie powinienesz. – Światłości, naprawdę była zdenerwowana, bo inaczej nie byłaby tak szczerą. Jeszcze chwila, a zapyta wprost, o czym on rozmawiał z Pelivarem!

Na szczęście Talmanes nie wyśmiał jej, nie nazwał wieśniaczką o niewyparzonym języku. Ale mógł tak pomyśleć. Przyjrzał się jej z ciekawością i dopiero wtedy odpowiedział. Cichym głosem. On też potrafił być przezorny.

– Nie wszyscy mężczyźni plotkują. Powiedz mi, czy kiedy wysyłałaś Mata na południe, wiedziałaś, że będziesz tu dzisiaj?

– Skąd mogłam to wiedzieć przed dwoma miesiącami? Nie, Aes Sedai nie są wszechwiedzące, Talmanesie. – Wprawdzie liczyła wtedy, że zdarzy się coś, co pozwoli jej znaleźć się w miejscu, gdzie się znajdowała, poczyniła nawet plany wiodące do tego celu, ale nic nie wiedziała na pewno, nie wówczas. A teraz miała nadzieję, że Talmanes nie będzie rozsiewał plotek. Niektórzy mężczyźni rzeczywiście tego nie robili.

Zauważyła, że w jej stronę zmierza Romanda, ale została zatrzymana przez Arathelle, która złapała ją za ramię i nie dała się zbyć, ku wielkiemu zdumieniu tamtej.

– A może zechcesz mi w końcu zdradzić, gdzie się podziewa Mat? – spytał Talmanes. – Czy towarzyszy Dziedzicze Tronu w drodze do Caemlyn? No co się tak dziwisz? Każda służąca znacznie rozmawiać z żołnierzem, jeśli oboje noszą wodę z tego samego strumienia. Nawet jeśli ów żołnierz zalicza się do tych strasznych Zaprzysięgłych Smokowi – dodał sucho.

Światłości! Mężczyźni naprawdę... bywali czasami... kłopotliwi. Najlepsi potrafili zadać niewłaściwe pytanie, powiedzieć coś w najbardziej nieodpowiednim momencie. Nie wspominając już o bałamuceniu służących pogaduszkami. Byłoby łatwiej, gdyby zwyczajnie mogła skłamać, lecz nawet w ramach ograniczanych Przysięgami miała spory margines swobody. Połowa prawdy powinna wystarczyć, aby odwieść go od zamiaru natychmiastowego pognania do Ebou Dar. Niewykluczone, że wystarczy nawet mniej.

W przeciwległym kącie pawilonu stała Siuan pogrążona w rozmowie z wysokim rudowłosym młodzieńcem z zakręconymi wąsami, który przyglądał jej się z taką samą rezerwą jak Segan. Arystokraci zazwyczaj potrafili rozpoznać Aes Sedai na pierwszy rzut oka. Młodzieniec absorbował jedynie część uwagi Siuan, której wzrok bezustannie wędrował w stronę Egwene. I zdawał się wręcz krzyżeć, natrętny niczym sumienie. Ileż byłoby łatwiej. Jakże wygodniej. Jednak na tym polegało bycie Aes Sedai. Nie wiedziała, co się dzisiaj wydarzy, miała tylko nadzieję, że uda jej się do tego doprowadzić! Egwene westchnęła z irytacją. Ażeby ta kobieta szczeła!

– Był w Ebou Dar, kiedy ostatni raz o nim słyszałam – mruknęła. – Ale niewykluczone, że teraz pędzi na północ co koń wyskoczy. Jemu wciąż się wydaje, że musi mnie ratować, Talmanesie, a poza tym Matrim Cauthon nie przepuściłby okazji, żeby w krytycznej chwili być na miejscu i rzec: „A nie mówiłem?”

Talmanes ani trochę nie wyglądał na zdziwionego.

– Tak też myślałem – westchnął. – Bo od wielu tygodni mam takie wrażenie, jakbym coś... czuł. Inni z Legionu twierdzą to samo. Niby nie jest to żadne palące uczucie, jednak nawet na moment nie

znika. Jakby on mnie potrzebował. Albo jakby na południu coś na mnie czekało. Lojalność wobec *ta'veren* przedziwny niekiedy wpływ potrafi wyrzucić na twoje życie.

– Pewnie tak – zgodziła się, z nadzieją, że w jej głosie nie słyhać powątpiewania. Już i tak wystarczająco dziwnie się czuła, zmuszona widzieć w Macie, tym utracjuszu, dowódcę Legionu Czerwonej Ręki, a co dopiero *ta'veren*, jednak zawsze zakładała, że wpływ *ta'veren* ogranicza się do bezpośredniego otoczenia, mniej lub bardziej bezpośredniego w każdym razie.

– Mat mylił się, sądząc, że potrzebujesz wsparcia. Nigdy nie zamierzałaś prosić mnie o pomoc, prawda?

Nadal mówił cicho, ale Egwene na wszelki wypadek rozejrzała się pospiesznie dookoła. Sivan wciąż ich obserwowała. Halima również. Obok Halimy stał trochę zbyt blisko Paitr, który nadymał się, przeżył i gładził wąsy – nie uznał jej błędnie za jedną z sióstr, łatwo to było wywnioskować ze sposobu, w jaki zaglądał jej w dekolt! – ona jednak zaszczycła go jedynie marginalną uwagą, uśmiechając się do niego ciepło, cały czas rzucała ukradkowe spojrzenia w kierunku Egwene. Poza tym uwagę wszystkich pozostałych najwyraźniej bez reszty pochłaniały inne sprawy, a zresztą nikt nie stał dostatecznie blisko, by cokolwiek usłyszeć.

– W obecnych okolicznościach Zasiadającej na Tronie Amyrlin raczej nie będzie potrzebny azyl, nieprawdaż? Jednak nieraz czerpałam pociechę ze świadomości, że gdzieś tam jesteś – przyznała. Z niechęcią. Zasiadająca na Tronie Amyrlin rzekomo nie potrzebowała mysiej dziury, do której mogłaby się schować, ale w niczym by nie zaszkodziło, gdyby taką możliwością dysponowała, pod warunkiem że nie wiedziałyby o tym żadna z Zasiadających. -Zawsze uważałam cię za przyjaciela, Talmanesie. I mam nadzieję, że nie ulegnie to zmianie. Naprawdę.

– Jesteś wobec mnie bardziej... szczerą... niż się spodziewałem – powiedział powoli – dlatego też zdradzę ci coś. – Talmanes zaczął mówić szeptem, nie zmieniając przy tym wyrazu twarzy, który w oczach postronnego obserwatora nadal pozostawałby wcieleniem obojętności. – Król Roedran już kilkakrotnie próbował nawiązać ze mną kontakt. Liczy chyba na to, że zostanie pierwszym prawdziwym królem Murandy, i chce nas wziąć na swój żołąd. W normalnych okolicznościach nie brałbym tego pod rozwagę, ale pieniądze nigdy za dużo, a przez to... przez to wrażenie, że Mat nas potrzebuje... Może jednak powinniśmy zostać w Murandy. Sprawa jest jasna jak słońce: zostajesz tam, gdzie chcesz być i gdzie możesz mieć oko na wszystko.

Umilkł, bo stanęła przed nim młoda służąca, która dygnęła i zaoferowała wino przyprawione korzeniami. Dziewczyna była odziana w suknię z zielonej wełny ozdobioną subtelnym haftem oraz płaszcz podbity zajęczym futrem. Inni słudzy z obozu też się kręcili wśród uczestników spotkania, bez wątplenia po to, by coś zrobić, a nie tylko stać w miejscu i dygotać. Krągła twarz młodej kobiety była wyraźnie ściągnięta mrozem.

Talmanes odprawił ją gestem i otulił się szczelniej płaszczem, za to Egwene wzięła srebrny puchar, by zyskać chwilę na pozbieranie myśli. Prawda była taka, że Legion w zasadzie przestał być potrzebny. Siostry coś tam jeszcze pomrukiwały, a jednak przyjęły teraz jego obecność jako rzecz oczywistą, niezależnie od tego, czy naprawdę widziały w nim Zaprzysięgłych Smokowi; nie bały się już potencjalnego ataku, a od czasu wyjazdu z Salidaru ani razu nie trzeba było wykorzystywać obecności Legionu, by je skłonić do działania. Teraz *Shen an Calhar* przydawał się głównie jako polityczny straszak, napędzający rekrutów do armii Bryne'a, ludzi, którzy uważali, że dwie armie w jednym miejscu oznaczają bitwę i pragnęli koniecznie przyłączyć się do silniejszej strony. Egwene nie potrzebowała już Legionu, ale Talmanes istotnie nie raz udowodnił, że jest przyjacielem. Ona zaś była Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Niekiedy przyjaźń i odpowiedzialność dyktowały ten sam kierunek działania.



Kiedy służąca zostawiła ich samych, Egwene położyła dłoń na ramieniu Talmanesa.

– Pod żadnym pozorem nie powinniście tego robić. Legion nie podbije samodzielnie całej Murandy, zwłaszcza że wszyscy będą przeciwko wam. Sam dobrze wiesz, że nic tak nie potrafi skonsolidować Murandian jak obcy na ich ziemi. Jedźcie z nami do Tar Valon, Talmanesie. Mat też się tam zjawi, co do tego nie mam wątpliwości. – Mat nigdy nie uwierzy, że ona jest Amyrlin, dopóki nie zobaczy jej w Białej Wieży, ze stulą na szyi.

– Roedran nie jest durniem – odparł spokojnie. – On tylko chce, żebyśmy siedzieli i czekali. Ot, jakaś obca armia... bez żadnych Aes Sedai... i na dodatek nikt nie ma pojęcia, jakie są jej zamiary. Nie powinien mieć trudności ze zjednoczeniem szlachty wobec zagrożenia, jakie rzekomo stanowilibyśmy. A wtedy my, powiada, ukradkiem przenikniemy granicę. Uważa, że od tego momentu już sobie z nimi poradzi.

Egwene nie umiała się pohamować i odpowiedziała mu nieco zapalczywie:

– A co mogłoby go powstrzymać przed zdradą? Jeśli zagrożenie zniknie bez walki, to razem z nim mogą się rozwiać jego marzenia o zjednoczonej Murandy. – Ten głupi mężczyzna zdawał się rozbawiony jej spostrzeżeniami!

– Ja też nie jestem durniem. Roedran nie zdąży zakończyć przygotowań przed nastaniem wiosny. Ta banda nigdy nie wyściubiłaby nosa ze swych dworów, gdyby Andoranie nie pojawili się na południu, a poza tym wezwano ich do broni przed nastaniem śniegów: Do wiosny Mat już nas odnajdzie. Skoro jedzie na północ, to z pewnością o nas usłyszy. Roedran będzie musiał się zadowolić tym, co zdoła do tej pory. A jeśli Mat rzeczywiście zamierza się udać do Tar Valon, to może jednak w końcu tam się spotkamy.

Egwene syknęła z irytacją. Był to interesujący plan, plan, jakiego nie powstydziałaby się Sivan i rzeczywiście, raczej nie należało się spodziewać, że Roedran Almaric do Arreloa a'Naloy zdoła go udaremnić. O tym człowieku powiadano, że jest tak rozwiązły oraz przebiegły, iż Mat wyglądałby przy nim na cnotliwego. Z drugiej jednak strony nie sądziła, by Roedran potrafił wymyślić taką intrygę... Niemniej pewne było to, że Talmanes podjął już ostateczną decyzję.

– Chciałabym, Talmanesie, żebyś dał mi słowo, iż nie dopuścisz, by Roedran wciągnął cię do wojny. – Odpowiedzialność. Wąska stulą na szyi zdawała się ważyć dziesięć razy więcej niż płaszcz. – Że jeśli przystąpi do działania prędzej, niż teraz przewidujesz, to opuścisz go, niezależnie od tego, czy Mat przyłączy się do was czy nie.

– Bardzo bym chciał obiecać ci coś takiego, ale to niestety niemożliwe – zaprotestował. – Spodziewam się, że do pierwszych napaści na moich furazerów dojdzie po upływie najpóźniej trzech dni od momentu, gdy pożegnamy armię Bryne'a. Byle lordziatko czy farmer pomyślał sobie, że mogą porwać kilka moich koni pod osłoną nocy, skubnąć mnie, a potem zniknąć gdzieś w kryjówce.

– Doskonale wiesz, że nie mówię o samoobronie – powiedziała stanowczo. – Daj mi słowo, Talmanesie. Bo inaczej nie dopuszczę do twojej ugody z Roedranem. – Żeby to osiągnąć, musiałaby go zdradzić, z drugiej jednak strony nie miała najmniejszego zamiaru opuszczać tej krainy w stanie przygotowań do wojny, wojny, do której już i tak przyłożyła rękę, sprowadzając tu Talmanesa.

Talmanes, który gapił się teraz na nią takim wzrokiem, jakby zobaczył ją pierwszy raz w życiu, skłonił się w końcu. O dziwo, tym razem jakby bardziej formalnie niż wtedy, gdy ją witał.

– Stanie się, jak powiadasz, Matko. Powiedz mi, czy masz absolutną pewność, że sama przypadkiem też nie jesteś *ta'veren*?

– Jestem Zasiadającą na Tronie Amyrlin – odparła. – I to ci powinno wystarczyć. – Ponownie dotknęła jego ramienia. – Oby cię Światłość opromieniała, Talmanesie. – Tym razem nareszcie w jego wzroku pojawiły się weselsze iskierki.

Choć rozmawiali szeptem, ich narady nie umknęły uwadze zgromadzonych. Ta dziewczyna, która twierdziła, że jest Amyrlin, dziewczyna, która zbuntowała się przeciwko Białej Wieży, rozprawiała o czymś z dowódcą dziesięciu tysięcy Zaprzysięgłych Smokowi. Czy ten fakt przyczyni się do wzmocnienia pozycji Talmanesa w intrydze, którą snuli z Roedranem, czy też przeciwnie? Czy wybuch wojny w Murandy stał się przez to bardziej czy mniej prawdopodobny? Siuan i to jej przekłete Prawo Niezamierzonych Konsekwencji! Śledziło ją pięćdziesiąt par oczu, które błyskawicznie zwróciły się w inną stronę, kiedy wmieszała się w tłum, ogrzewając pucharem dłonie. Cóż, nie tak do końca wszyscy uciekli spojrzeniem. Twarze Zasiadających nie zdradzały nic prócz niezmiennego opanowania Aes Sedai, ale Lelaine przypominała brązowooką wrone, która przygląda się rybom walczącym o byt w płytkiej kałuży, a nieco ciemniejsze oczy Romandy mogłyby borować dziury w żelazie.

Powoli obeszała wewnątrz pawilonu, stale przy tym spoglądając na słońce. Arystokraci nadal nagabywali Zasiadające, ale przechodzili kolejno od jednej do drugiej, jakby w poszukiwaniu bardziej zadowalających wyjaśnień, a Egwene zaczynała powoli dostrzegać pewne drobiazgi. Donel zatrzymał się po drodze od Janyi do Morii, kłaniając się nisko Aemlyn, która odpowiedziała łaskawym skinieniem głowy. Cian, odwróciwszy się od Takimy, dygnęła uniżenie przed Pelivarem i w zamian otrzymała nieznaczny ukłon. Inni zachowywali się podobnie, zawsze jakiś Murandianin płaszczył się przed Andoraninem, który mu odpowiadał równie formalnie. Andoranie starali się ignorować Bryne'a, obdarzając go co najwyżej jakimiś dziwacznymi grymasami, za to sporo Murandian wyłuskiwało go z tłumy, jedno po drugim, zawsze na osobności, i sądząc po tym, w którą stronę wędrował wtedy ich wzrok, było jasne, że rozmawiają o Pelivarze, Arathelle albo Aemlyn. Niewykluczone, że Talmanes miał rację.

Przed nią też dygano i bito pokłony, ale nie z takim uniżeniem jak wobec Arathelle, Pelivara i Aemlyn, nie mówiąc już o Zasiadających. Kilka kobiet zapewniło, że są bardzo wdzięczne za pokojowe rozwiązanie problemów, aczkolwiek niemal tyleż samo kwitowało jej obecność nie obowiązującymi pomrukami albo nerwowo wzruszając ramionami przy wyrażaniu aprobaty, jakby nie były do końca pewne, czy wszystko rzeczywiście zakończy się pokojowo. Jej dodatkowe zapewnienia spotykały się z żarliwym: „Oby Światłość zechciała sprawić!” albo zrezygnowanym: „Stanie się wedle woli Światłości”. Cztery nazwały ją Matką, przy czym jedna nawet bez śladu wahania. Trzy inne stwierdziły z kolei, że Egwene jest urocza, że ma piękne oczy i piękny powóz, w takiej właśnie kolejności, które to komplementy może nawet licowały z wiekiem Egwene, ale na pewno nie z jej pozycją.

Przynajmniej jedna rzecz sprawiła jej niekłamaną przyjemność. Nie tylko Segan zaciekała się oświadczeniem dotyczącym księgi nowicjuszek. Dzięki niemu te kobiety w ogóle się do niej odzywały. Wprawdzie obecne tu siostry zbuntowały się przeciwko Wieży, niemniej to ona rościła sobie pretensje do bycia Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Ich zainteresowanie musiało być dostatecznie żywe, skoro przyjęły ów fakt do wiadomości, nawet jeśli żadna nie chciała tego okazać. Arathelle dopytywała się z zaintrygowaniem, które przysporzyło jej dodatkowych zmarszczek na twarzy. Aemlyn aż potrząsnęła posiwiałą głową, gdy usłyszała odpowiedź. Zaciekawiona była też tęga Cian, po niej całą sprawą zainteresowała się obdarzona ostrymi rysami Negara, arystokratka z Andoru, później przyszła kolej na piękną, wielkooką Murandiankę, Jennet, i jeszcze inne. Oczywiście, żadną rzekomo nie kierowały osobiste powody – niektóre prędko dawały to do zrozumienia, zwłaszcza młodsze – ale nie minęło dużo czasu i z krytycznym pytaniem zwróciły się do niej wszystkie szlachcianki co do jednej, a także kilka służących, pod pretekstem, że chcą jej dolać wina przyprawionego korzeniami. Jedna z nich, żyłasta kobieta o imieniu Nildra, przybyła zresztą z

obożu Aes Sedai.

Egwene byłaby całkiem zadowolona z ziarna, które tu posiała, gdyby nie zachowanie mężczyzn. Wprawdzie odzywali się do niej, ale dopiero wtedy, gdy znalazłszy się twarzą w twarz, najwyraźniej nie mieli innego wyboru. Coś tam pomrukiwali o pogodzie, to błogosławiąc koniec suszy, to przeklinając niespodziane śniegi, względnie bąkali o swych nadziejach, że problem bandytów niebawem się skończy, czemu niekiedy towarzyszyło znaczące spojrzenie w stronę Talmanesa, po czym uciekali jak oparzeni. Niejaki Macharan, Andoranin o posturze niedźwiedzia, aż się potknął, tak bardzo starał się uniknąć spotkania z nią. Do pewnego stopnia nie należało się dziwić. Kobiety miały usprawiedliwienie dzięki księdze nowicjuszek, ale mężczyznom się wydawało, że gdy ich zobaczą razem z nią, to jeszcze ktoś sobie pomyśli, że są ulepiani z tej samej gliny.

Wszystko to było dość zniechęcające. Nie obchodziło jej, co mężczyźni myślą o nowicjuszce, ale bardzo chciała wiedzieć, czy podobnie jak kobiety boją się, że ostatecznie dojdzie do wymiany ciosów. Takie obawy mogły z łatwością znaleźć potwierdzenie w rzeczywistości. W końcu doszła do wniosku, że jest tylko jeden sposób, aby to sprawdzić.

Pelivar, który właśnie sięgał po nowy puchar, odwrócił się raptownie i musiał uskoczyć w tył, żeby na nią nie wpaść. Gorące wino wylało mu się na dłoń w rękawicy i pociekło po rękawie, sprawiając, że zaklął nieomal w głos. Patrzył na nią z góry, z taką miną, jakby miał ochotę przegnać tę irytującą, młodą kobietę, która stanęła mu właśnie na drodze. Albo jakby właśnie nastąpił na czerwoną zmiję. Egwene wyprężyła się i bezskutecznie starała się widzieć w nim małego chłopca: zazwyczaj sposób ten przynosił efekty, większości mężczyzn bowiem jakimś sposobem udzielała się ta perspektywa. Jednak Pelivar burknął coś niezrozumiale – mogło to być uprzejme pozdrowienie albo jeszcze jedno przekleństwo – i lekko skłonił głowę, po czym starał się ją wyminąć. Ona wszakże dała krok w tę samą stronę, zagradzając mu drogę. Postanowiła, że najpierw go obłaskawi i dopiero wtedy zada mu pytanie. Chciała usłyszeć odpowiedź, a nie jakieś mamrotania.

– Zapewne cieszysz się, że Dziedziczka Tronu jest już w drodze do Caemlyn, lordzie Pelivar. – Słyszała, jak napomykały o tym niektóre Zasiadające.

Pelivar przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Elayne Trakand ma całkowite prawo wystąpić z roszczeniami do Tronu Lwa – odparł beznamyślnym tonem.

Widząc, że Egwene wytrzeszcza na niego oczy, cofnął się niepewnie. Może sobie pomyślał, że jest zła, bo wspomniał jej tytuł, ale na to akurat Egwene ledwie zwróciła uwagę. Pelivar wspierał roszczenia matki Elayne względem tronu i Elayne była pewna, że ją też poprze. Mówiła o Pelivarze z czułością, zupełnie jak o jakimś ukochanym wuju.

– Matko – mruknęła jej do ucha Suan – powinnyśmy ruszać, jeśli chcemy dotrzeć do obozu przed zachodem słońca. – Udało jej się nadać tym cichym słowom stosownie ponaglące brzmienie. Słońce minęło swój szczyt drogi przez nieboskłon i teraz chyliło się już ku zachodowi.

– Przy takiej pogodzie człowiek nie powinien zostawać poza domem po zmroku – wtrącił pospiesznie Pelivar. – Jeśli mi wybaczysz, też muszę się przygotować do wyjazdu. – Odstawiwszy swój puchar na tacę przechodzącego obok służącego, zawahał się w pół ukłonu, po czym odszedł z miną człowieka, który właśnie uciekł z pułapki.

Egwene miała ochotę zazgrzytać zębami z frustracji. Co ci mężczyźni myśleli o ich umowie? O ile można to było nazwać umową, ostatecznie została im narzucona. Arathelle i Aemlyn miały więcej władzy i wpływów niż większość mężczyzn, a jednak to Pelivarowi, Culhanowi i im podobnym towarzyszyli żołnierze; nadal mogli spowodować, że wszystko, co nawarzyła, wybuchnie jej w twarz niczym beczka z oliwą do lamp.

– Znajdź Sheriam – warknęła – i każ jej, żeby natychmiast wsadziła wszystkich na konie, choćby nie wiadomo co! – Nie mogła się zgodzić, by Zasiadające zyskały całą noc na roztrząsanie tego, co się tego dnia zdarzyło, na planowanie i spiskowanie. Musieli wrócić do obozu, zanim zajdzie słońce.

# ROZDZIAŁ 19

## PRAWO

Zasiadające bez żadnych oporów dosiadły koni; podobnie jak Egwene chciały już czym prędzej odjechać, zwłaszcza Romanda i Lelaine, obie zimne niczym owiewający je wiatr, z oczyma ciskającymi błyskawice. Pozostałe stanowiły wcielenie opanowania Aes Sedai, którym wionęło od nich niczym jakąś duszącą wonią, a jednak ruszyły do swych wierzchowców tak szybko, że porzuceni przez nie arystokraci rozdziawili usta, a jaskrawo odziani służący aż się potykali przy pakowaniu juczych koni, żeby tylko za nimi nadążyć.

Egwene narzuciła ostre tempo po zaśnieżonej drodze; Daishar je wytrzyma, a wystarczyło jedno spojrzenie w stronę lorda Bryne'a i skinienie głowy w odpowiedzi, by się upewnić, że ich eskorta da radę poruszać się równie prędko. Suan na Beli i Sheriam na Skrzydle dogoniły ją w pędzie. Przedzierały się tak przez śniegowe zasy sięgające koniom do pęcin, Płomień Tar Valon marszczył się na lodowatym wietrze i nawet wtedy, gdy trzeba było zwalniać, bo końskie kopyta zapadały się w skorupę zlodowaciałego śniegu, to i tak posuwali się miarowo do przodu.

Zasiadające nie miały innego wyboru, jak tylko dotrzymać tempa, mimo że traciły możliwość prowadzenia rozmowy po drodze. Ten, kto przy tak forsownej jeździe nie zwracał uwagi na własnego konia, ryzykował, że jego zwierzę połamie sobie nogi, a on sam skręci kark. A mimo to zarówno Romanda, jak i Lelaine jakimś sposobem zgromadziły przy sobie swe koterie i obie grupki brnęły przed siebie otoczone zabezpieczeniami przeciwko podsłuchiwaniam. Dwie Zasiadające wygłaszały jakieś tyrady, Egwene potrafiła sobie wyobrazić, na jaki temat. Pozostałe Zasiadające, skoro już o nich mowa, przez jakiś czas jechały zwartą gromadą, cicho o czymś rozmawiając i stale rzucając chłodne spojrzenia to nią, to na siostry otulone *saidarem*. Jedynie Delana ani razu nie włączyła się w którąś z przelotnych rozmów, cały czas trzymając blisko Halimy, która nareszcie zdradzała oznaki zmarznięcia. Miała skurczoną twarz i przytrzymywała płaszcz blisko ciała, ale jednocześnie starała się pocieszać Delanę, niemal bezustannie coś do niej szepcząc. Delana rzeczywiście zdawała się potrzebować pociechy; ściągnięte brwi tworzyły zmarszczkę na jej czole, co ją naprawdę postarzało.

Nie ją jedną coś trapiło. Wprawdzie pozostałe siostry uparcie starały się zachować pozory, promieniując absolutną równowagą ducha, za to Strażnicy wyglądali, jakby oczekiwali, że w każdej chwili spod śniegu coś na nich wyskoczy, i wiecznie wodzili w krąg wzrokiem, pozwalając połom płaszczy powiewać swobodnie za plecami, aby mieć wolne ręce. Kiedy Aes Sedai niepokoiła się czymś, niepokoił się również jej Strażnik, a Zasiadające były zanadto zaabsorbowane, by jeszcze myśleć o uspokajaniu mężczyzn. Widząc to, Egwene tylko się cieszyła. Jeśli Zasiadające były niespokojne, oznaczało to, że nie podjęły jeszcze żadnej decyzji.

Kiedy Bryne wysforował się naprzód, żeby naradzić z Uno, skorzystała z okazji i wypytała Suan oraz Sheriam o to, czego się dowiedziały na temat poczynań Aes Sedai i Gwardii Wieży na terytorium Andoru.

– Niewiele – odparła Suan przez ściśnięte gardło. Kudłata Bela wyraźnie bez trudu znosiła to tempo, inaczej niż Suan, która jedną dłonią ścisnęła kurczowo wodze, a drugą rozpaczliwie przytrzymywała się łąku. – Na ile potrafiłam się rozeznac, krąży o tym wszystkim z pięćdziesiąt różnych plotek, przy czym żadna nie znajduje potwierdzenia w faktach. Opowieści z gatunku tych, które powstają z niczego, ale równocześnie mogą się okazać prawdziwe. – Bela zgubiła krok, gdy jej przednie kopyta zapadły się głęboko w śnieg i Suan jęknęła głośno. – A żeby te wszystkie konie

szczyły w Światłości!

Sheriam nie dowiedziała się więcej. Pokręciła głową i westchnęła z irytacją.

– Moim zdaniem to czyste brednie, Matko. Jak świat światem wśród ludzi zawsze krążyły plotki o siostrach, które się gdzieś podstępnie zakradają. Czy ty się kiedyś nauczysz jeździć konno, Siuan? – dodała głosem nagle ociekającym szyderstwem. – Wieczorem nie będziesz mogła chodzić! – Sheriam musiała mieć niezłe stargane nerwy, skoro pozwoliła sobie na taki wybuch. A ponadto stale wierciła się w siodle, co znaczyło, że zapewne sama znajdowała się w stanie, jaki wróżyła dla Siuan.

Siuan, której spojrzenie w jednej chwili stwardniało, otworzyła usta, wyraźnie gotowa wycedzić coś jadowitego, niepomna, że mogła obserwować je któraś z jadących za sztandarem.

– Uspokójcie się, obydwie! – warknęła Egwene. Zrobiła długi, uspokajający wdech. Sama czuła się nieco skonfundowana. Niezależnie od tego, w co wierzyła Arathelle, każdy oddział wysłany przez Elaidę będzie zbyt liczny, by można mówić o niepostrzeżonym zakradaniu się gdziekolwiek. A zatem ich celem musiała być Czarna Wieża, co z pewnością należało traktować jako zarzewie katastrofy. Lepiej dalej skubać to kurczę, które masz przed sobą, niż wspinać się w ślad za innym na drzewo. Zwłaszcza kiedy to drzewo rośnie w innym kraju i być może nie siedzi na nim żadne kurczę.

A jednak kiedy już dojeżdżali do obozu, liczyła się ze słowami przy wydawaniu poleceń Sheriam. Była Zasiadającą na Tronie Amyrlin, a to oznaczało odpowiedzialność za wszystkie Aes Sedai, nawet za te, które podporządkowały się Elaidzie. Za to głos miała twardy jak skała. Za późno, żeby się bać, gdy już się schwyliło wilka za uszy.

Treść rozkazów sprawiła, że Sheriam zrobiła wielkie oczy.

– Matko, jeśli mi wolno spytać, dlaczego?... – Zawiesiła głos pod wpływem zimnego spojrzenia Egwene i przełknęła ślinę. – Stanie się, jak powiadasz, Matko – powiedziała powoli. – Dziwne, pamiętam dzień, kiedy ty i Nynaeve przybyłyście do Wieży, dwie młode dziewczyny, które nie potrafiły zdecydować, czy mają być podniecone czy przestraszone. Tyle się zmieniło od tego czasu. Wszystko.

– Nic nigdy nie pozostaje takie samo – odparła Egwene. Popatrzyła znacząco na Siuan, która udawała, że tego nie widzi. Sheriam dla odmiany wyglądała na bliską mdłości.

W tym momencie wrócił lord Bryne i od razu wyczuł, że coś się święci. Powiedział tylko, że zdążyli w samą porę, a potem już nie otwierał ust. Roztropny mężczyzna.

Niezależnie, czy rzeczywiście było to w samą porę, czy może nie, tarcza słońca dotykała już prawie wierzchołków drzew, gdy wjechali na rozległy obszar obozowiska armii. Wozy i namioty rzucały długie cienie na śniegu, a spora liczba ludzi była zajęta budowaniem dodatkowych szałasów z gałęzi. Brakowało im namiotów nawet dla żołnierzy, a wszak w obozie mieszkało niemal tyle samo rymarzy, praczek, grotarzy i jeszcze innych osób, które musiały towarzyszyć armii. Dźwięczenie kowadeł zdradzało obecność rymarzy, płatnerzy i kowali, którzy nadal pracowali mimo późnej pory. Wszędzie płonęły ogniska, na których gotowano strawę, i żołnierze z ich eskorty zrzucali z siebie broje, pragnąc jak najprędzej skorzystać z tego dobrodziejstwa, jakim jest ciepło i gorące jado, oczywiście po tym, jak już się zatroszczą o stąpające teraz ciężko wierzchowce. O dziwo, mimo iż go odprawiła, Bryne dalej jechał uparcie przy boku Egwene.

– Jeśli pozwolisz, Matko – powiedział. – Chciałbym ci towarzyszyć jeszcze przez czas jakiś. – Sheriam odwróciła się w siodle, spoglądając na niego ze zdumieniem. Siuan zareagowała podobnie, jednak nawet nie odwróciła głowy, jakby bała się bodaj skierować na niego wzrok nagle zognionymi oczu.

Co on sobie wymyślił? Że będzie jej służył jako straż przyboczna? Chronił przed siostrami? Przecież wystarczyłby tamten mężczyzna, któremu kapąło z nosa. A może chciał zademonstrować, że

całą duszą stoi po jej stronie? Przecież mógł to też zrobić nazajutrz, pod warunkiem że tej nocy wszystko pójdzie dobrze; w danym momencie taka rewelacja mogła sprawić, że cała Komnata wybierze kurs w kierunku, o którym nie miała odwagi nawet pomyśleć.

– Tę noc zajmą sprawy Aes Sedai – powiedziała mu stanowczo. No tak, ale jakkolwiek by było, zaofiarował, że dla niej podejmie każde ryzyko. Nie potrafiła orzec, co nim powodowało... która kobieta pojmowała motywacje, kierujące mężczyzną?... a jednak była mu wdzięczna. Za to, jak również za inne rzeczy. – Lordzie Bryne, jeśli nie przyślę do ciebie Siuan, będzie to oznaczało, że masz jeszcze przed świtem ruszać w drogę. Być może zostanie obarczona winą za to, co dziś zaszło, a wtedy konsekwencje odbiją się również na tobie. Pozostawanie tutaj mogłoby się okazać zbyt niebezpieczne. Wręcz fatalne w skutkach. Nie sądzę, by potrzebowały jakichś wyrafinowanych wymówek. – Nie musiała określać, kto miałby potrzebować wymówek.

– Dałem ci moje słowo – odparł cicho, klepiąc Podróżnika po karku. – Przysięgłem Tar Valon. – Urwał i zerknął na Siuan. Nie tyle z wahaniem, ile raczej z namysłem. – Nieważne, jakie to sprawy będziecie tej nocy załatwiać – powiedział w końcu. – Pamiętaj, że masz za sobą trzydzieści tysięcy ludzi i Garetha Bryne'a. To powinno się liczyć, nawet w oczach Aes Sedai. Do jutra, Matko. – Zawróciwszy swego gniadosza, zawołał jeszcze przez ramię: – Ciebie też się spodziewam jutro zobaczyć, Siuan. Tutaj nic nie uległo zmianie. – Siuan wpatrywała się w jego plecy, kiedy odjeżdżał. W jej wzroku kryła się udręka.

Egwene nie potrafiła się powstrzymać i też się za nim gapiła. Nigdy przedtem nie był taki otwarty, w każdym razie nie do tego stopnia. Dlaczego akurat teraz?

Pokonawszy czterdzieści czy pięćdziesiąt kroków, jakie dzieliły obóz armii od obozu Aes Sedai, dała znak Sheriam, która posłusznie ściągnęła wodze przy pierwszych namiotach. Ona i Siuan jechały dalej. Za sobą usłyszały podniesiony głos Opiekunki, zaskakująco wyraźny i pewny.

– Zasiadająca na Tronie Amyrlin zwołuje na dziś wieczór oficjalne posiedzenie Komnaty. Niechaj czym prędzej zostaną poczynione niezbędne przygotowania. – Egwene nawet się nie obejrzała.

Tuż przed namiotem podbiegła do nich chuda stajenna, by zająć się Daisharem oraz Belą. Jej twarz była ściągnięta z zimna i ledwie skłoniwszy głowę, natychmiast oddaliła się razem z końmi, równie szybko jak się zjawiała. Ciepło buchające od koszy z płonącymi węglami ustawionych we wnętrzu namiotu było niczym cios w twarz. Aż do tego momentu Egwene nawet nie zauważała, jak mroźno jest na dworze. I jak sama zmarzła.

Chesa wzięła od niej płaszcz i aż krzyknęła, dotknąwszy jej dłoni.

– Przecież przemarzłaś na kość, Matko! – I nie przestając paplać, energicznie zabrała się za składanie płaszczy Egwene i Siuan, wygładzanie koców na posłaniu Egwene, przekładanie zawartości tacy ustawionej na jednej z komód. – Gdybym ja tak przemarzła, to natychmiast wskoczyłabym do łóżka obłożonego gorącymi ceglami. Ale najpierw bym się najadła. Na nic otaczające ciepło, jak się człowiek nie rozgrzeje od wewnątrz. Przyniosę kilka dodatkowych cegieł, żeby ci je włożyć pod nogi, gdy będziesz jadła wieczerzę. Oczywiście dla Siuan Sedai też przyniosę. Och, gdybym ja była taka głodna, to pewnie kusiłoby mnie, żeby połykać całe kęsy, ale od tego zawsze boli brzuch. – Zatrzymawszy się obok tacy, popatrzyła znacząco na Egwene i z satysfakcją pokiwała głową, kiedy ta obiecała, że nie będzie jadła zbyt szybko.

Nie bardzo ją było stać na jakąś trzeźwą reakcję. Obecność Chesy zawsze działała kojąco, ale po dzisiejszym dniu Egwene niemal śmiała się z zadowolenia. Ta kobieta nie wiedziała, co to są komplikacje. Na tacy stały dwie białe misy pełne gulaszu z soczewicy, a obok wysoki dzban z korzennym winem, dwa srebrne kubki i dwie duże bułki. Chesa jakimś sposobem przewidziała, że

Siuan będzie jadła razem z Egwene. Znad mis i dzbana unosiła się para. Jak często Chesa wymieniała tę tacę, by mieć pewność, że Egwene od progu powita ciepła strawa? Prosta i nieskomplikowana. I opiekuńcza jak matka. Albo prawdziwa przyjaciółka.

– Na razie muszę zapomnieć o łóżku, Chesa. Czeka mnie jeszcze praca tej nocy. Czy zechcesz nas zostawić same?

Siuan pokręciła głową, kiedy kłapa wejścia do namiotu opadła za pulchną kobietą.

– Jesteś pewna, że ona przypadkiem nie służyła przy twojej rodzinie, od czasu gdy byłaś dzieckiem? – mruknęła.

Egwene wzięła sobie jedną z misek, do tego bułkę i łyżkę, po czym z westchnieniem usadowiła się na krześle. Objęła także Źródło i otoczyła namiot zabezpieczeniami przeciwko podsłuchowi. Niestety, *saidar* tylko pogłębił dokuczliwą świadomość zmarzniętych rąk i stóp. Misa zdawała się zbyt gorąca, by ją utrzymać w dłoniach, bułka podobnie. Och, jakżeby się cieszyła, gdyby naprawdę dostała te gorące cegły.

– Czy możemy coś jeszcze zrobić? – spytała i skwapliwie przełknęła łyżkę gulaszu. Jadła żarłocznie i nic dziwnego, od śniadania, i to wczesnego, nie miała nic w ustach. Soczewica i zdrewniałe marchewki smakowały jak najlepsza z potraw przyrządzanych przez jej matkę. – Nic więcej mi nie przychodzi do głowy, a tobie?

– Zrobiliśmy wszystko, co było można. Wszystko, na co stać śmiertelniczki, reszta pozostaje w ręku Stwórcy. – Siuan wzięła do ręki drugą miskę i przysiadła ciężko na niskim zydlu, ale po chwili zapatrzyła się tępo w wypełniający ją gulasz, bełtając w nim łyżką. – Nie powiesz mu, prawda? – powiedziała w końcu. – Nie przeżyłabym, gdyby się dowiedział.

– A czemuż to, na miłość Światłości?

– Bo on by z tego skorzystał – odparła ponurym głosem Siuan. – Och, nie, nie w ten sposób. Wcale tak nie myślę. – Potrafiła niekiedy być bardzo pruderyjna. – Ale za to zrobiłby mi z życia Szczelinę Zagłady! – A co z tym codziennym praniem mu bielizny, czyszczeniem butów i siodła? Czy to nie była Szczelina Zagłady?

Egwene westchnęła. Jak to możliwe, by wrażliwa, inteligentna i utalentowana kobieta, pod tym jednym względem była taką trzpiotką? W tej samej chwili przed jej oczyma pojawił się obraz. Ona, we własnej osobie, na kolanach u Gawyna, podczas miłosnych igraszek. W jakiejś tawernie! Przegnała tę wizję, z całą stanowczością.

– Siuan, potrzebuję twojego doświadczenia. Potrzebuję twojego umysłu. Zabraniam ci głupieć na punkcie lorda Bryne'a. Jeśli nie potrafisz wziąć się w garść, zapłacę tyle, ile jesteś mu winna, i zabronię ci go widywać. Naprawdę tak zrobię.

– Przynależę do przetrwania – oświadczyła upartym tonem Siuan. – Mam tyle samo honoru co przeklęty lord Gareth Bryne! Tyle samo, albo i więcej! On dotrzymuje słowa, to i ja dotrzymam swojego! A poza tym Min powiedziała, że muszę blisko się go trzymać, bo inaczej oboje umrzemy. Czy coś takiego. – A jednak rumieniec na policzkach zdradzał ją. Ani własny honor, ani też widzenia Min nic jej nie obchodziły, zwyczajnie była gotowa godzić się na wszystko, byle tylko być jak najbliżej tego mężczyzny!

– Już wszystko rozumiem. Ciebie całkiem zamroczyło i jeśli każę ci trzymać się od niego z daleka, to ty albo nie usłuchasz, albo całkiem się pograżysz i zupełnie zatoniesz w chmurach. Co w takim razie zamierzasz z nim zrobić?

Wykrzywiona z oburzenia Siuan wygłosiła dłuższą tyradę o tym, co chciałaby zrobić z cholernym Garethem Bryne'em. Żaden z jej pomysłów na pewno by mu się nie spodobał. Niektórych może nawet by nie przeżył.



– Siuan – przerwała jej ostrzegawczym tonem Egwene. – Jeszcze raz wyprzesz się tego, co jest widoczne jak na dłoni, a powiem mu o wszystkim i na dodatek jeszcze zapłacę.

Siuan nadała się! Nadała się! Siuan!

– Nie mogę być zakochana, bo nie mam na to czasu. Jestem tak zajęta pracą dla ciebie i dla niego, że ledwie mi starcza czasu na myślenie. I jeśli dzisiejszej nocy wszystko pójdzie dobrze, to przybędzie mi dwa razy więcej rzeczy do zrobienia. A poza tym... – Poprawiła się na stołku, ze zmarmotniałą twarzą. – A jeśli on... nie odwzajemnia moich uczuć? – mruknęła. – Nigdy nie próbował mnie choćby pocałować. Jego nie obchodzi nic oprócz czystych kosztów.

Egwene poskrobała łyżką po dnie miski, ze zdziwieniem przekonując się, że nic tam już nie ma. Po bułce zostało tylko wspomnienie w postaci okruchów na sukni. Światłości, toż nadal miała pusto w żołądku. Z nadzieją zajrzała do miski Siuan, która zapamiętała rysowała kółka w swojej soczewicy, jakby nie znała ciekawszych zajęć.

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Dlaczego lord Bryne tak się upierał, żeby Siuan odpracowała swój dług nawet wtedy, gdy się już dowiedział, kim ona jest? Tylko dlatego, że mu to obiecała? To idiotyczny układ. Tyle że właśnie dzięki niemu Siuan mogła trzymać się blisko Bryne'a. A skoro już o tym mowa, Egwene sama często się zastanawiała, dlaczego Bryne zgodził się dowodzić ich armią. Musiał przecież wiedzieć, że tym samym być może kładzie głowę na katowskim pieńku. I dlaczego sprezentował tę armię właśnie jej, młodocianej Amyrlin, skoro nie mógł się nie orientować, że ona nie cieszy się wśród sióstr ani autorytetem, ani nie ma bodaj żadnej przyjaciółki, oprócz Siuan, rzecz jasna? Czyżby odpowiedzią na te wszystkie pytania był fakt, że on po prostu... kochał Siuan? Niemożliwe. Prawie wszyscy mężczyźni byli lekkomyślni i niestali, ale to byłaby czysta nedoręczność! A jednak podzieliła się tą sugestią z przyjaciółką, choćby tylko po to, by nieco rozweselić Siuan. I może też trochę podnieść ją na duchu.

Siuan parsknęła z niedowierzaniem. Taki odgłos brzmiał dziwacznie w zestawieniu z równie urodziwym obliczem, ale z kolei nikt nie potrafił chyba wkładać tyle wyrazu w swe parsknięcia co Siuan.

– Bryne nie jest jakimś skończonym durniem – stwierdziła sucho. – W rzeczy samej ma głowę na karku i na ogół myśli jak kobieta.

– Dotąd nie usłyszałam obietnicy, że się opamiętasz, Siuan – upierała się Egwene. – A musisz mi to przyrzec, w taki czy inny sposób.

– Ależ oczywiście, że to zrobię. Sama nie wiem, co się ze mną dzieje. Jakbym w życiu nie całowała się z mężczyzną. – Nagle zwęziła oczy, jakby się spodziewała, że Egwene jej to zarzuci. – No przecież nie mieszkałam w Wieży od urodzenia. A w ogóle co za idiotyzmy! Gadamy o mężczyznach, i to akurat dzisiaj! -Wbiła wzrok w swoją miskę, jakby dopiero teraz zauważyła, że jest w niej jedzenie. Nabrała pełną łyżkę i wycelowała nią w Egwene. – Teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek musisz pilnować, by zrobić wszystko we właściwej kolejności. Jeśli Romanda albo Lelaine schwyca rumpel, to już go nigdy nie wyrwiesz im z rąk.

Niezależnie od ewentualnej nedoręczności sugestii, Siuan z jakiegoś powodu odzyskała apetyt. Spłaszowała gulasz jeszcze szybciej niż Egwene i nie uroniła nawet okruszka pieczywa. A Egwene, zanim się zorientowała, co robi, wytarła dłonią dno swej miski. Nic tym oczywiście nie zyskała, oprócz tego, że mogła zlizać z palców kilka ostatnich ziaren soczewicy.

Rozmowa o tym, co mogło się zdarzyć tej nocy, nie miała już większego sensu. Egwene aż się dziwiła, że te sprawy nie zaczęły jeszcze jej nawiedzać w snach, tyle razy analizowały i udoskonalały to, co i w którym momencie miała powiedzieć. W każdym razie z pewnością mogłaby odegrać swoją rolę nawet przez sen. Siuan była jednak uparta i stale krążyła wokół tego punktu,

kiedy to Egwene miała ją przywołać, przerabiała ten moment bez końca, podsuwając warianty, które wszak również omówiły ze sto razy. I o dziwo, okazało się, że Suan jest w bardzo dobrym nastroju. Od czasu do czasu potrafiła nawet zdobyć się na jakiś żart, aczkolwiek najczęściej był to wisielczy humor.

– Czy wiesz, że swego czasu Romanda pragnęła zostać Amyrlin? – spytała w którymś momencie. – Podobno właśnie dlatego, po tym jak Tamra dostała stułę i łaskę, ukryła się w swojej samotni niczym mewa, której podcięto skrzydła. Postawiłabym srebrną markę, której nie mam, przeciwko rybiej łusce, że wytrzeszczy oczy dwakroć szerzej niż Lelaine.

Nieco później stwierdziła:

– Jak ja bym chciała tam być i słyszeć ich skowytanie. Bo któraś na pewno zaskowyta, i to już niebawem, a ja wołałabym, żeby to były one, nie zaś my. Nigdy nie potrafiłam śpiewać. – I tu odśpiewała fragment piosenki o dziewczynie, która gapi się na chłopca stojącego na drugim brzegu rzeki i żałuje, że nie ma łódki. Nie myliła się, jej głos brzmiał nawet dość miło, ale nie potrafiła odtworzyć poprawnie najprostszej melodii.

Jeszcze później dodała:

– Cieszę się, że mam teraz taką słodką buzię. Jeśli nam się nie powiedzie, to przebiorą nas obie za lalki i postawią na półce w charakterze ozdób. Rzecz jasna, w takim razie łatwo może nam się przydarzyć jakiś „wypadek”. Wszak lalki tłuką się czasami. Gareth Bryne będzie musiał poszukać sobie kogoś innego, nad kim mógłby się znęcać. – Z tego naprawdę się śmiała.

Egwene poczuła znaczną ulgę, kiedy klapa wejścia wybrzuszyła się na chwilę, anonsując obecność kogoś, kto miał dość rozumu, by nie wchodzić do środka zabezpieczonego namiotu. Naprawdę nie miała ochoty sprawdzać, dokąd zapędzi się Suan w swoich żartach!

Gdy tylko uwolniła zabezpieczenie, do namiotu weszła Sheriam z towarzyszeniem podmuchu powietrza, który zdawał się dziesięć razy zimniejszy niż wcześniej, gdy przebywały na dworze.

– Już czas, Matko. Wszystko gotowe. – Oblizywała wargi czubkiem języka, a jej skośne oczy były szeroko rozwarte.

Suan zerwała się na równe nogi i pochwyciła swój płaszcz z posłania Egwene, ale nałożywszy go częściowo, znieruchomiła.

– Widzisz, ja potrafię żeglować nocą po Palcach Smoka – powiedziała z powagą. – A kiedyś nawet, razem z moim ojcem, złowiłam morlewa. To się da zrobić.

Sheriam zmarszczyła brwi, kiedy Suan wypadła na zewnątrz, wpuszczając przy tym do środka jeszcze więcej chłodu.

– Czasami wydaje mi się... – zaczęła, ale ostatecznie nie podzieliła się z Egwene tym, co jej się czasami wydawało. – Dlaczego to robisz, Matko? – spytała zamiast. – Po co to spotkanie nad jeziorem, po co teraz zwołujesz Komnatę? Dlaczego kazałaś nam spędzić cały wczorajszy dzień na gadaniu o Logainie z każdym, kogo spotkałyśmy? Chyba możesz mi to wyjaśnić. Jestem twoją Opiekunką Kronik. I przysięgam lojalność.

– Mówię ci wszystko, co powinnaś wiedzieć – odparła Egwene, zarzucając sobie płaszcz na ramiona. Nie musiała tłumaczyć, do jakiego stopnia wierzy w wymuszoną przysięgę, nawet jeśli tę przysięgę złożyła jej siostra. Zwłaszcza że Sheriam mogłaby znaleźć wymówkę, by mimo przysięgi szepnąć jakieś słowo do niewłaściwego ucha. Ostatecznie Aes Sedai słynęły ze zdolności odkrycia najmniejszej szczeliny luk w pozornie solidnym murze swych obietnic. Tak naprawdę to wcale w to nie wierzyła, ale podobnie jak w przypadku lorda Bryne'a, nie powinna nawet w najmniejszym stopniu ryzykować, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

– W takim razie powiem ci jedno – odparła Sheriam z goryczą w głosie. – Moim zdaniem jutro

twoją Opiekunką Kronik zostanie albo Romanda, albo Lelaine, a mnie wyznaczą pokutę za to, że nie ostrzegłam Komnaty. I niewykluczone, że dalej będziesz mi zazdrościć.

Egwene przytaknęła. Całkiem niewykluczone.

– Idziemy?

Czerwona kopa słońca przykryła szczyty drzew rosnących na zachodzie, a śnieg jarzył się trupim blaskiem. Trasę wiodącą Egwene wśród wielkich śniegowych zasp wyznaczały milczące ukłony i dygnięcia służby. Ich twarze albo wyrażały niepokój, albo były całkiem pozbawione wyrazu; sługom równie prędko jak Strażnikom udzielał się nastrój tych, którym służyli.

Przez jakiś czas nie widziała ani jednej siostry, a potem jej oczom nagle ukazały się wszystkie, wielkie zgromadzenie ustawione w trzech szeregach wokół pawilonu rozbitego na jedynej w całym obozie dostatecznie rozległej wolnej przestrzeni. Z tego właśnie miejsca siostry Przemykały do gołębników w Salidarze i tu też trafiały, gdy Podróżowały z powrotem po odebraniu raportów od informatorów. Ustawienie tej wielkiej konstrukcji z wielokrotnie łątanego płótna kosztowało sporo wysiłku. Podczas ostatnich dwóch miesięcy Komnata zbierała się przeważnie w taki sam sposób jak ubiegłego ranka, względnie wciskała się do któregoś z większych namiotów. Od czasu opuszczenia Salidaru pawilon wzniesiono zaledwie dwukrotnie. Za każdym razem towarzyszyło temu mnóstwo zachodu.

Widząc zbliżające się Egwene i Sheriam, siostry z tylnego szeregu zaszemrały do tych stojących na przedzie i po chwili wszystkie rozstały się na boki, otwierając przejście. Potem obserwowały je pozbawionymi wyrazu oczyma, niczym nie zdradzając, czy wiedzą albo choć tylko podejrzewają, na co się zanoszą. Niczym nie zdradzając, co w ogóle sobie myślą. W żołądku Egwene zatrzepotały motyle. Pączek róży. Spokój.

Postawiła stopę na wzorzystych dywanikach ułożonych warstwami, po czym minęła pierścień koszy z płonącymi węglami opasujący pawilon, a tymczasem Sheriam wygłosiła pierwszą formułę.

– Idzie, już idzie... – Raczej trudno się było dziwić, że tym razem jej głos brzmiał nieco mniej uroczyście niż zazwyczaj. Wyczuwało się w nim namacalne wręcz zdenerwowanie.

Znowu wykorzystano te same wypolerowane ławy i okryte tkaninami skrzynie, które przydały się nad jeziorem. Tworzyły znacznie bardziej oficjalne wrażenie niż zbieranina niedopasowanych krzeseł, jakimi posługiwały się podczas mniej uroczystych posiedzeń. Kobiety stały w dwóch ukośnie względem siebie usytuowanych szeregach, w każdym dziewięć siostr reprezentujących trzy Ajah – Zielone, Szare i Żółte po jednej stronie, Białe, Brązowe i Błękitne po drugiej. Podstawę tak powstałego trójkąta tworzyła skrzynia okryta pasiastą tkaniną, na której stała ława dla Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Gdy na niej zasiądzie, będzie widoczna dla wszystkich zgromadzonych, znakomicie świadoma, że jest sama jedna przeciwko osiemnastu siostrami. I że się nie przebrała; wszystkie Zasiadające miały na sobie te same wspaniałe stroje co wówczas nad jeziorem. Pączek róży. Spokój.

Jedna z ław pozostawała pusta, ale tylko przez chwilę. Kiedy Sheriam skończyła swoją litanię, nadbiegła Delana. Wyraźnie zadyszana i wzburzona Szara siostra przysiadła niezdarnie między Varilin i Kwamesą, tym razem okazując niewiele swej zwykłej gracji. Uśmiechała się blado i bawiła się nerwowo sznurem ogników zdobiących jej szyję. Można było pomyśleć, że to ona stoi przed sądem. Spokój. Przecież nikogo nie będzie się tu sądzić. Na razie.

Egwene kroczyła już powoli po dywanikach, wyprzedzając idącą tuż za nią Sheriam, gdy nagle z miejsca powstała Kwamesa. Ciemną, szczupłą kobietę, najmłodszą z wszystkich Zasiadających, spowiła łuna *saidara*. Zanosilo się na to, że tego wieczoru nie będzie żadnych odstępstw od obowiązującego ceremoniału.

– To, co zostanie przedłożone Komnacie, tylko Komnata może rozpatrzyć – obwieściła Kwamesa. – Ktokolwiek wtargnie bez zezwolenia, czy to kobieta czy mężczyzna, czy to osoba wtajemniczona czy postronna, czy to przybywając w pokoju czy w gniewie, ja go zgodnie z prawem osądzić każę. Wiedźcie, że to, co mówię, jest prawdą; tak się na pewno stanie, jako powinność stanowi.

Ta formuła, jeszcze starsza niżli przysięga mówienia samej prawdy, wywodziła się z czasów, kiedy niemal tyleż samo Amyrlin ginęło w skrytobójczych zamachach, co umierało w inny sposób. Egwene kontynuowała swój miarowy przemarsz. Musiała się bardzo wysilać, żeby nie dotykać stuły, napominając siebie, kim jest. Zamiast tego starała się skupić na stojącej przed nią ławie.

Kwamesa, wciąż jeszcze otoczona łuną Mocy, usiadła z powrotem, a wtedy z miejsca powstała Aledrin, przedstawicielka Białych, którą również otaczała łuna. Dość urodziwa z tymi ciemnozłotymi lokami i jasnobrązowymi oczami, zwłaszcza kiedy się uśmiechała, ale tego wieczoru jej twarz miała tyle wyrazu, co kamień.

– Mogą nas tu usłyszeć takie, które nie należą do Komnaty – powiedziała chłodnym głosem z silnym taraboniańskim akcentem. – To, co się mówi w Komnacie Wieży, jest przeznaczone wyłącznie dla samej Komnaty, chyba że Komnata postanowi inaczej. Zabezpieczę naszą prywatność. Zapieczuję nasze słowa, dzięki czemu trafią wyłącznie do naszych uszu. – Utknęła pas zabezpieczający pawilon i usiadła. Wśród sióstr zgromadzonych poza pawilonem zapanowało poruszenie, odtąd bowiem miały obserwować Komnatę, nie słysząc ani słowa z tego, co się będzie w niej działo.

Dziwne, że aż w takim stopniu hierarchia wśród Zasiadających zależała od przeżytych lat, skoro przecież odwoływanie się do różnic wiekowych w oczach pozostałych Aes Sedai stanowiło występki niemal zasługujący na klątwę. Czyżby Siuan miała rację, dopatrując się prawidłowości w wieku Zasiadających? Nie. Skupienie. Spokój i skupienie.

Zacisnąwszy dłonie na fałdach płaszcza, Egwene weszła na skrzynię okrytą pasiastą tkaniną i odwróciła się. Lelaine już stała, w szalu z błękitnymi frędzlami okrywającym szczelnie ramiona, a Romanda właśnie się podnosiła, nawet nie czekając, aż Egwene usiądzie. Nie mogła dopuścić, by któraś wyrwała jej rumpel.

– Niniejszym przedkładam Komnacie swoje pytanie – powiedziała donośnym, stanowczym głosem. – Kto poprze deklarację wojny przeciwko Elaidzie do Avriny a’Roihan?

I usiadła, strząsając płaszcz z ramion i pozwalając, by zsunął się na ławę. Stojąca obok niej Sheriam zdawała się całkiem chłodna i opanowana, jednak z jej gardła wydarł się cichy odgłos, niemalże przypominający pisk. Egwene miała nadzieję, że tylko ona go usłyszała.

Wstrząśnięte jej wypowiedzią kobiety na chwilę zastygły w bezruchu na swoich miejscach, wpatrzone w nią w zdumieniu. W zdumieniu być może nie tylko powodowanym treścią pytania, ale również tym, że w ogóle zostało zadane. Nikt nie zadawał pytań Komnacie, dopóki Zasiadające pierwszej się nie wypowiedziały; stanowiły o tym wszelkie praktyczne powody, jak i moc tradycji.

W końcu odezwała się Lelaine.

– My nie wypowiadamy wojny pojedynczym ludziom – oświadczyła sucho. – Nawet takim zdrajczyńom jak Elaida. W każdym razie postuluję odłożyć twoje pytanie na później, dopóki nie uporamy się ze sprawami bardziej niecierpiącymi zwłoki. – Zdażyła się ogarnąć od czasu jazdy powrotnej; rysy twarzy można było teraz określić zaledwie jako twarde, nie przywodziły już na myśl szalejącej burzy z piorunami. Otrzepawszy swe spódnice z niebieskimi wstawkami, jakby chcąc oczyścić je z okruchów wspomnień o Elaidzie... albo może myślała o zachowaniu Egwene... przeniosła uwagę na inne Zasiadające. – Cel, jaki nas tu sprowadza tej nocy, jest... Chciałam rzec

prosty, ale on nie jest prosty. Otworzyć księgę nowicjuszek? Obsiadłyby nas jakieś babcie, które wrzaskliwie domagałyby się poddania ich sprawdzianom. Przez cały miesiąc nie ruszać się z miejsca? Nie muszę tu chyba wymieniać całej listy potencjalnych problemów, którą otwiera konieczność wydania co najmniej połowy złota, bez równoczesnego pokonania bodaj kroku na drodze dzielącej nas od Tar Valon. Jeśli zaś chodzi o nienaruszalność terytorium Andoru...

– Lelaine, moja podszyta strachem siostra, zapomniała, kto tu ma prawo przemawiać w pierwszej kolejności – przerwała jej gładko Romanda. Uśmiechała się w taki sposób, że w porównaniu z nią twarz tamtej wydawała się nieprzyzwoicie wesoła. I nie spieszyła się, kiedy pieczołowicie poprawiała szal: uosobienie kobiety, która ma do dyspozycji cały czas świata. – Pragnę przedłożyć Komnacie dwa pytania, przy czym tym drugim odpowiem na troski Lelaine. Jest to niewygodne dla niej, ale moje pierwsze pytanie dotyczy zdolności Lelaine do dalszego bycia Zasiadającą Komnaty. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, lecz ani odrobinę cieplej. Lelaine usiadła powoli, nie ukrywając chmurnego grymasu.

– Sprawy wojny nie wolno odkładać na później – oświadczyła Egwene donośnym głosem. – Trzeba ją omówić zawczasu, zanim przystąpimy do rozwiązywania innych problemów. Tak dyktuje prawo.

Zasiadające wymieniły ukradkowe, pytające spojrzenia.

– Czy tak jest? – spytała w końcu Janya. Mrużąc oczy w namyśle, obróciła się na ławie, by zwrócić się do siedzącej obok niej kobiety. – Takima, ty pamiętasz dokładnie wszystkie swoje lektury, a ja z całą pewnością przypominam sobie, jak twierdziłaś, że czytałaś Prawo Wojny. Czy taka właśnie jest jego wykładnia?

Egwene wstrzymała oddech. W ciągu ostatniego tysiąclecia Biała Wieża posyłała żołnierzy na niezliczoną liczbę wojen, ale zawsze czyniła to wyłącznie w odpowiedzi na prośbę o pomoc wystosowaną przez co najmniej dwa trony i za każdym razem była to wojna tychże tronów, a nie Wieży. Ostatnim przeciwnikiem, któremu Wieża istotnie wypowiedziała wojnę, był Artur Hawkwing. Siuan twierdziła, że obecnie jedynie garstka bibliotekarzy nie tylko pamiętała o istnieniu jakiegoś Prawa Wojny, ale wiedziała o nim coś więcej.

Niska Takima, z długimi ciemnymi włosami sięgającymi do pasa i cerą barwy postarzałej kości słoniowej, często przywodziła na myśl ptaka, gdy tak przekrzywiła głowę w zamyśleniu. Teraz zaś wyglądała jak ptak, próbujący poderwać się do lotu, bo wierciła się niespokojnie, poprawiała szal i niepotrzebnie poprawiała na głowie czepek z pereł oraz szafirów.

– Dokładnie tak – odparła w końcu i zacisnęła usta.

Egwene poczuła, że znowu może oddychać:

– Wychodzi na to, że Siuan Sanche dobrze cię szkoli, Matko – stwierdziła zaczepnym tonem Romanda. – Jakie masz argumenty za wypowiedzeniem wojny? Wojny przeciwko kobiecie. – Powiedziała to takim tonem, jakby domagała się usunięcia z jej drogi jakiejś odrażającej istoty, po czym usiadła w sposób dający do zrozumienia, że zamierza czekać, póki to coś samo odejdzie.

Egwene tylko łaskawie skinęła głową i wstała. Zimno, stanowczo popatrzyła kolejno w oczy każdej Zasiadającej. Takima unikała jej wzroku.

– Grozi nam konfrontacja z armią dowodzoną przez ludzi, którzy wątpią w prawomocność naszych roszczeń. Gdyby było inaczej, ich armia nie pojawiłaby się tutaj. – Pierwotnie Egwene chciała wygłosić swe przemówienie z pasją, jakby dawała spontaniczny upust swym emocjom, ale Siuan doradziła jej absolutny chłód i ostatecznie musiała się z nią zgodzić. Powinny zobaczyć kobietę, która panuje nad sobą, nie młodą dziewczynę, kierującą się sercem. A jednak jej słowa płynęły prosto z serca. – Arathelle zapewniała, że nie chce się wplątywać do spraw Aes Sedai,

słyszałyście to na własne uszy. A mimo to postanowili wprowadzić armię na terytorium Murandy i stanąć nam na drodze. Kwestionują bowiem to, kim jesteśmy, i to, do czego zmierzamy. Czy waszym zdaniem naprawdę wierzą, że jesteście Zasiadającymi? – Malind, obdarzona krągłą twarzą i zapalczywym okiem, poprawiła się na ławie i zrobiła to też Salita, która gwałtownie skubała swój szal z żółtymi frędzlami, jednocześnie nie zdradzając żadnych uczuć śniadą twarzą. Berana, kolejna Zasiadająca wybrana w Salidarze, zmarszczyła czoło w zamyśleniu. Egwene nie wspomniała o reakcji, jaką sama wzbudziła jako Amyrlin; nie zamierzała im przypominać, jeśli same na to nie wpadły.

– Przedstawialiśmy listę zbrodni Elaidy niezliczonej liczbie arystokratów – mówiła dalej. – Przekonywałyśmy, że zamierzamy ją obalić. A mimo to mają wątpliwości. Myślą, że może... że być może... jesteśmy tymi, za które się podajemy. Ale równie prawdopodobne wydaje im się, że nasze słowa kryją w sobie podstęp. Że jesteśmy zaufanymi Elaidy, które knują jakiś wymyślny spisek. Ludziom, którzy mają wątpliwości, często błędzą. To z powodu wątpliwości Pelivar i Arathelle mieli czelność stanąć przed Aes Sedai i powiedzieć: „Nie wolno wam jechać dalej”. Kto jeszcze stanie nam na drodze albo wtrąci się do naszych poczynań, bo jest czegoś niepewny i dlatego błędzi? Pozostaje już tylko jeden sposób na to, by rozwiać ich wątpliwości, wszystkie inne bowiem już wykorzystaliśmy. Wypowiedzmy wojnę Elaidzie i wtedy wszystko będzie jasne. Nie twierdzę, że Arathelle, Pelivar i Aemlyn odmaszerują, gdy tylko to zrobimy, ale przynajmniej i oni, i wszyscy inni będą wiedzieli, kim jesteśmy. Nikt już się nie odważy okazywać zwątpienia tak otwarcie, gdy powiecie, że jesteście Komnatą Wieży. Nikt się nie odważy stawać nam na drodze, mieszać się do spraw Wieży powodowany niepewnością i niewiedzą. Podeszliśmy do drzwi i położyliśmy ręce na ryglu. Jeśli boicie się przestąpić próg, to w takim razie nie róbcie już nic więcej, tylko poproście resztę świata, by uwierzyła, że nie jesteście nikim innym jak tylko kukiełkami Elaidy.

Usiadła, zdziwiona, że czuje w sobie taki spokój. Wśród sióstr zgromadzonych wokół pawilonu, za dwoma rzędami Zasiadających, zapanowało poruszenie. Wyobrażała sobie te pomruki podniecenia, całkowicie wygłuszone zabezpieczeniem utkanym przez Aledrin. Żeby teraz tylko Takima zechciała milczeć przez dostatecznie długą chwilę.

Romanda chrząknęła ze zniecierpliwieniem, po czym wstała tylko po to, aby spytać:

– Kto jest za wypowiedzeniem wojny Elaidzie? – Jej wzrok znowu padł na Lelaine i jeszcze raz uśmiechnęła się zimnym, pełnym zadowolenia z siebie uśmiechem. Dawała jasno do zrozumienia, że ona wie doskonale, cóż za sprawy są znacznie ważniejsze od tych bzdur.

Tuż po niej podniosła się z miejsca Janya, tak gwałtownie, że aż zakołysały się długie, brązowe frędzle jej szala.

– A właściwie dlaczego nie miałybyśmy tego zrobić? – odparła. Nie miała prawa się odzywać, ale zaciśnięte szczęki i ostre spojrzenie mówiły wyraźnie, jak zareaguje, gdy któraś zechce zakwestionować jej prawo głosu. Normalnie nie przemawiała tak dobitnym głosem, aczkolwiek i tym razem jej słowa jak zawsze zlewały się ze sobą. – W niczym to nie pogorszy naszego wizerunku w oczach świata. No więc jak będzie? Jak? Bo ja nie widzę sensu w czekaniu. – Siedząca obok Takimy Escaralde przytaknęła i też wstała.

Widząc to, Moria poderwała się na równe nogi, patrząc krzywym okiem na Lyrelle, która z kolei zebrała spódnice, jakby zamierzała wstać, ale potem spojrzała pytająco na Lelaine. Lelaine była zbyt zajęta wpatrywaniem się w Romandę, żeby to zauważyć.

Wywodzące się z Zielonych Samalin i Malind wstały równocześnie, a Faiselle gwałtownie zadarła głowę. Faiselle, krępa, miedzianoskóra Domani nie zaliczała się do kobiet, które dają się byle czym zaskoczyć, a jednak teraz wyglądała na całkiem skonsternowaną, jej kanciasta twarz

obracała się od Samalin do Malind i z powrotem.

Wstała Salita, starannie wygładzając obrzeżony żółtymi frędzlami skraj szala i równie starannie udając, że nie widzi nagłego grymasu Romandy. Wstała też Kwamesa i zaraz po niej Aledrin, która z kolei pociągnęła za rękaw Beranę. A ta dla odmiany obróciła się tyłem do zgromadzonych i przyjrzała siostrzom stojącym na zewnątrz. Mimo całkowitej ciszy obserwatorce dawały znać o swym podnieceniu, bo wciąż się kręciły w miejscu, nachylając głowy, o czymś rozmawiały, rzucały niespokojne spojrzenia na siostry w pawilonie. Delana podniosła się powoli, obie dłonie przyciskała do brzucha, z taką miną, jakby zbierało jej się na wymioty. Takima skrzywiła się i zapatrzyła na swe dłonie wsparte na kolanach. Saroiya przyglądała się pozostałym dwóm Białym Zasiadającym, skubiąc płatek ucha, jak to czyniła zawsze, gdy pogrążała się w rozmyślaniach. Ale oprócz nich nie powstała żadna inna.

Egwene miała wrażenie, że się dławi. Dziesięć. Tylko dziesięć. A była pewna. Siuan była też pewna. Sama sprawa Logaina powinna wystarczyć. A już na pewno pojawienie się armii Pelivara oraz to, że Arathelle nie chciała przyznać, iż widzi w nich Zasiadające, stanowiły fakty, które powinny były wprawić je w bezgraniczne oburzenie.

– Na miłość Światłości! – wybuchnęła Moria. Wziąwszy się pod boki, zwracała się do Lyrelle i Lelaine. O ile przemowa Janyi stanowiła zwykłe naruszenie obyczajów, o tyle jej wybuch wykraczał poza wszelkie przyjęte normy. Demonstracje gniewu w Komnacie były surowo wzbronione, a jednak oczy Morii aż płonęły z gniewu i słychać go było wyraźnie w jej głosie naznaczonym silnym illiańskim akcentem. – Na co wy czekacie? Elaida ukradła stułę i laskę! Ajah Elaidy zrobiły z Logaina fałszywego Smoka i tylko Światłość jedna wie, z ilu jeszcze mężczyzn! Żadna kobieta w historii Wieży nigdy nie zasłużyła sobie bardziej na to, by wypowiedzieć jej wojnę! Powstańcie albo niech od tej pory żadna nawet się nie zająknie w sprawie jej usunięcia!

Lelaine nawet na nią nie spojrzała, a z wyrazu jej twarzy można było wywnioskować, że oto zaatakował ją wróbel.

– Nie warto nawet poddawać tego wniosku pod głosowanie, Moria – powiedziała ściśniętym głosem. – A my dwie porozmawiamy sobie później o dobrych obyczajach. Jeśli jednak potrzebujesz demonstracji stanowczości... – Prychnęła głośno i powstała, a potem jeszcze gwałtownie skinęła głową, sprawiając, że Lyrelle poderwała się z miejsca niczym marionetka pociągnięta za sznurki. Niemniej Lelaine zdawała się zdziwiona, że jej przykład nie pociągnął za sobą Faiselle i Takimy.

Takima, która była daleka od powstania, sapnęła głucho, jakby coś ją uderzyło. Z niedowierzaniem wyraźnie odzwierciedlonym na twarzy omiotła wzrokiem stojące kobiety, wyraźnie licząc. I po chwili zrobiła to jeszcze raz. Takima, która z miejsca wszystko zapamiętywała.

Egwene odetchnęła z ulgą. Zrobione. Ledwie potrafiła w to uwierzyć. Po chwili odkaszlnęła, a Sheriam autentycznie podskoczyła.

Po chwili Opiekunka również odkaszlnęła, jej zielone oczy były teraz wielkie jak spodki.

– Niniejszym, zgodnie z wolą wyrażoną przez mniejszość, wypowiadamy wojnę Elaidzie do Avryny a'Roihan. – Nie wymówiła tego szczególnie dobitnym tonem, ale i tak wystarczyło. – W interesie jedności, proszę o wyrażenie większej zgody.

Faiselle poruszyła się nieznacznie, a potem zacisnęła dłonie na podolku. Wyraźnie zakłopotana Saroiya otworzyła usta, po czym zamknęła je, nic nie mówiąc. Żadna z pozostałych ani drgnęła.

– Nie uzyskacie jej – oświadczyła kategorycznie Romanda. Szydercza mina, którą przez całą długość pawilonu poczęstowała Lelaine, zamierzona była jako dostateczne w jej mniemaniu wyjaśnienie, dlaczego sama nie powstanie. – A teraz, skoro już uporałyśmy się z tą sprawą, przepuszczam, że możemy przejść do...

– Nie sądzą – przerwała jej Egwene. – Takima, co Prawo Wojenne mówi o Zasiadającej na Tronie Amyrlin? – Romanda pozostała z otwartymi ustami.

Takima poruszyła wargami. Drobną Brązową bardziej niż kiedykolwiek przypominała ptaka, który chce poderwać się do lotu.

– Prawo... – zaczęła, a potem zrobiła głęboki wdech i wyprostowała się. – Prawo Wojenne stwierdza: „Tak jak pojedyncza dłoń włada mieczem, tak Zasiadająca na Tronie Amyrlin kierować będzie i prowadzić wojnę mocą swoich dekretów. Będzie korzystała z rad Komnaty Wieży, ale Komnata będzie bezzwłocznie realizowała jej dekrety, a w imię jedności... – Tu zająknęła się i wyraźnie musiała się zmusić, by mówić dalej. – ...zaaprobuje wszelkie dekrety Zasiadającej na Tronie Amyrlin związane z prowadzeniem wojny mocą większej zgody”.

Zapanowało przedłużające się milczenie. Wszystkie Zasiadające trwały jak sparaliżowane, zdolne tylko wytrzeszczać oczy. Delana odwróciła się nagle i z wymiotowała na dywaniki. Kwamesa i Salita zeszły ze swych ław i ruszyły w jej stronę, ale odprawiła je gestem dłoni, wyciągając z rękawa chustkę i ocierając usta. Magła, Saroiya i jeszcze kilka innych, które wcześniej nie powstały, miały takie miny, jakby w każdej chwili mogło je spotkać to samo. Ale poza nimi nie zareagowała żadna spośród wybranych w Salidarze. Romanda wyglądała, jakby była w stanie przegryźć gwóźdź.

– Bardzo sprytnie – odezwała się w końcu Lelaine dobitnym tonem, a po zrobionej dla lepszego efektu przerwie, dodała: -Matko, czy zechcesz nam zdradzić, co podpowiada ci twoja wsparta wieloletnim doświadczeniem mądrość? To znaczy w kwestii wojny. Chcę, by mnie dobrze rozumiano.

– Ja też chcę, by mnie dobrze rozumiano – odparła chłodno Egwene. Pochyliła się do przodu i potraktowała Błękitną Zasiadającą surowym spojrzeniem. – Zasiadającej na Tronie Amyrlin winno się okazywać należyty szacunek i od tej pory będę go wymagała, córko. Nie mam teraz czasu na pozbawianie cię stanowiska i wyznaczanie pokuty. – Oczy Lelaine z każdą chwilą robiły się coraz większe. Czy ta kobieta naprawdę wierzyła, że wszystko zostanie po dawnemu? A może do Lelaine nareszcie dotarło, że nie ma nawet odrobiny kręgosłupa? Egwene naprawdę nie chciała pozbawiać jej stanowiska; Błękitne niemal z całą pewnością wybrałyby ponownie tę kobietę, a poza tym musiała współpracować z Komnatą w sprawach, których nie da się przekonująco przedstawić jako elementu wojny prowadzonej z Elaidą.

Kątem oka dostrzegła uśmiech pełgający na wargach Romandy, wywołany widokiem tak sprostowanej Lelaine. Niewielki zysk, jeśli w tym momencie umocniła pozycję Żółtej siostry.

– To się odnosi do wszystkich, Romanda – oświadczyła. – Jeśli zajdzie taka potrzeba, Tiana znajdzie dwie brzozowe witki. – Romanda natychmiast przestała się uśmiechać.

– Jeśli wolno mi coś powiedzieć, Matko... – odezwała się Takima, podnosząc się powoli z miejsca. Zdobyła się nawet na uśmiech, ale nadal wyglądała na bardzo chorą. – Osobiście uważam, że twoje poczynania są słuszne. Być może zyskamy, jeśli zatrzymamy się tutaj na miesiąc. Albo i dłużej. – Romanda gwałtownie odwróciła głowę, by na nią spojrzeć, ale przynajmniej tym razem Takima udawała, że tego nie zauważa. – Jeśli będziemy tutaj zimować, to unikniemy jeszcze gorszej pogody panującej na północy, a poza tym starannie zaplanujemy...

– Nie można dłużej zwlekać, córko – przerwała jej Egwene. – Dość tego powłóczenia nogami. – Pozostanie po niej pamięć drugiej Gerry czy drugiej Shein? Obie możliwości wciąż wchodziły w rachubę. – Za miesiąc opuścimy to miejsce, korzystając z naszej umiejętności Podróżowania. – Nie, nazywa się Egwene al'Vere i niezależnie od tego, co sekretne historie będą opowiadały o jej porażkach i triumfach, Światłość tylko wiedziała, że to będą jej własne porażki i zwycięstwa. – Za miesiąc przystąpimy do oblężenia Tar Valon.



Milczenie, które tym razem zapanowało, przerywały tylko odgłosy cichego łkania Takimy.

# ROZDZIAŁ 20

## DO ANDORU

Elayne miała nadzieję, że podróż do Caemlyn przebiegnie gładko, i na samym początku wszystko wskazywało, iż tak będzie. Wierzyła w to nawet wtedy, gdy nareszcie znalazły chwilę, by usiąść, ona, Aviendha i Birgitte, zmordowane do szpiku kości, okutane łańchmanami, w które zmieniły się ich ubrania, brudne od błota, kurzu i krwi z ran odniesionych przy wybuchu bramy. Najpóźniej za dwa tygodnie będzie mogła wystąpić z roszczeniami względem Tronu Lwa. Na szczycie wzgórza Nynaeve Uzdrowiła ich liczne obrażenia, nic prawie nie mówiąc, a już na pewno za nic ich nie karcąc. Niezwykły to był znak, ale z pewnością mile widziany. Ulga Nynaeve, że oto odnalazła je żywe, zmagą się na jej twarzy z niepokojem.

Okazało się, że przed Uzdrowieniem jej rany należy wpierw usunąć seanchański bełt z uda Birgitte, a do tego niezbędna będzie siła Lana. Podczas operacji Birgitte tylko syknęła przez zęby, mimo że z twarzy złotowłosego Strażnika uciekła wszelka krew, Elayne zaś dzięki więzi poczuła ukłucie śmiertelnego bólu, bólu tak ogromnego, że miała ochotę głośno wrzasnąć.

– *Tai'shar* Kandor – mruknął Lan, ciskając na ziemię grot bełtu tak ostrego, że mógł przebić najgrubszą zbroję. Prawdziwa krew Kandoru. Birgitte zamrugęła, a on milczał przez chwilę. – Wybacz, jeśli się pomyliłem. Na podstawie twojego ubioru uznałem, że pochodzisz z Kandoru.

– O, tak... – wydyszała Birgitte. – Pochodzę z Kandoru. – Uśmiechała się z wysiłkiem, zapewne z bólu, natomiast zniecierpliwiona Nynaeve odganiała już Lana, chcąc jak najszybciej położyć na niej swe dłonie. Elayne miała nadzieję, że ta kobieta wie o Kandorze coś więcej niż tylko tyle, że to takie państwo; kiedy Birgitte rodziła się po raz ostatni, mapa świata jeszcze nie obejmowała Kandoru. Ów epizod należało traktować chyba jako omen.

Pięć mil drogi wiodącej do krytego dachówkami dworu Birgitte przejechała razem z Nynaeve na jej krępej brązowej klaczy, a Elayne i Aviendha dosiadły wspólnie wysokiego ogiera Lana. W każdym razie w siodle siedziała sama Elayne, Aviendha obejmowała ją w pasie od tyłu, a Lan prowadził Mandarba. Dobrze ułożone rumaki bojowe potrafiły być taką samą bronią jak miecz i bywały groźne dla nie znanych sobie jeźdźców. „Bądź pewna siebie, dziewczyno” – zawsze powtarzała jej Lini – „ale nie nazbyt pewna”, i Elayne starała się o tym pamiętać. Pamiętać zwłaszcza o tym, że nad zdarzeniami ma kontrolę nie lepszą niż panowanie nad wodzami Mandarba.

Kiedy dojechali do trzypiętrowego kamiennego domostwa, pan Hornwell, krępy i siwowłosy, oraz pani Hornwell, nieznacznie tylko szczuplejsza i nie tak siwa, ale nad wyraz podobna do męża, zapędzili wszystkich ludzi, którzy pracowali w majątku, a także Pol, pokojówkę Merilille, oraz odzianych w biało-zielone liberie służących z Pałacu Tarasin do szykowania noclegu dla ponad dwustu gości, przeważnie kobiet, którzy pojawili się jakby znikąd, i to tuż przed zapadnięciem nocy. Przygotowania miały zaskakująco sprawny przebieg, mimo że niektórym mieszkańcom majątku zdarzało się niekiedy przystanąć i zagapić na pozbawione śladów wieku oblicza Aes Sedai, na Strażników w mieniących się płaszczach, względnie na odziane w barwne jedwabie kobiety z Ludu Morza. Kuzynki z Rodziny stwierdziły, że teraz już mogą się bać i popłakać sobie do woli, nie zważając na to, co mówi im Reanne i członkinie Kółka Dziewiarskiego; Poszukiwaczki Wiatru narzekały, że oto znalazły się tak daleko od morza, wbrew ich woli, co głośno podkreślała Renaile din Calon, natomiast arystokratki i rzemieślniczki, które jeszcze niedawno za wszelką cenę chciały uciec przed tym, co im groziło w Ebou Dar, gotowe nawet były nieść cały swój dobytek na plecach, teraz dąsały się, gdy pokazano im posłania przygotowane na stryszku z sianem.

Kiedy Elayne i jej przyjaciółki dotarły nareszcie do majątku – a wielka czerwona kula słońca muskała już zachodni horyzont – wielki rwetes i bieganina wokół dworu i otaczających go krytych słomianymi strzechami zabudowań zdążyły rozkręcić się na dobre, przy czym Alise Tenjile, ciepło uśmiechnięta i nieubłagana niczym lawina, zdawała się panować nad wszystkim znacznie lepiej niż Hornwellowie. Kobietom z Rodziny, które rozszlochały się jeszcze rozpaczliwiej, gdy Reanne spróbowała je pocieszyć, wystarczyło tylko jedno mruknięcie Alise i zaraz otarły łzy, po czym zaczęły się krzątać z wprawą nabytą podczas wielu lat, kiedy to musiały same dbać o swoje interesy we wrogim świecie. Wyniosłe arystokratki z małżeńskimi nożami dyndającymi w owalnych, obrzeżonych koronką dekoltach i rzemieślniczki, które demonstrowały niemal tyle samo arogancji co ciała, nawet jeśli nie obleczonego w jedwabie, wzdrygały się na widok zbliżającej się Alise i natychmiast czmychały w stronę wysokich stodół, tuląc do piersi tobołki i głośno się zarzekając, że pomysł spania na sianie zawsze im się wydawał kuszący. Również Poszukiwaczki Wiatru, w tym kobiety cieszące się wielkim autorytetem wśród Atha'an Miere, przestawały narzekać, kiedy obok była Alise. Nawet Sareitha, która jeszcze nie dorobiła się charakterystycznego oblicza Aes Sedai, spoglądała z ukosa na tę kobietę i odruchowo dotknęła szala z brązowymi frędzlami, jakby chciała sobie przypomnieć, że ciągle go ma na sobie. Wreszcie Merilille – Merilille, której nic nigdy nie wytrącało z równowagi – obserwowała Alise z mieszaniną aprobaty i jawnego zdumienia.

Nynaeve zsiadła niezdarnie z konia przed frontowymi drzwiami dworu, spojrzała spode łba na Alise, potraktowała swój warkocz jednym, zdecydowanym szarpnięciem, którego tamta, zanadto zajęta, nie zauważyła i dopiero wtedy wkroczyła do środka, po drodze ściągając niebieskie rękawiczki i mrużąc coś pod nosem. Lan, który odprowadzał ją wzrokiem, zaśmiał się cicho, ale kiedy Elayne zsiadła z konia, natychmiast stłumił śmiech. Światłości, jakież on miał zimny wzrok! Dla dobra Nynaeve żywiła nadzieję, że tego mężczyznę uda się uchronić przed przeznaczeniem, a jednak teraz, kiedy wejrzała w jego oczy, niemal straciła wiarę.

– Gdzie Ispan? – mruknęła, jednocześnie pomagając Aviendzie przy zsiadaniu z konia. Tyle towarzyszących im kobiet wiedziało o Aes Sedai, Czarnej siostrze, trzymanej przez nie w niewoli, że informacja musiała się rozejść po majątku niczym ogień po uschłej trawie, niemniej jednak trzeba było w miarę oficjalnie uprzedzić tutejszych, z kim mają do czynienia.

– Adeleas i Vandene zabrały ją do małej chatki drwała, pół mili stąd – odparł równie cicho. – Moim zdaniem, przy takim zamieszaniu nikt nie zauważył kobiety z workiem na głowie. Siostry obiecały, że zostaną tam z nią na noc.

Elayne zadygotała. Wychodziło na to, że gdy tylko wzejdzie słońce, ta kobieta znowu będzie przesłuchiwana. Znajdowali się już na terytorium Andoru, co sprawiało, że przejmowała się tym o wiele bardziej, prawie jakby sama wydała rozkaz.

Niebawem siedziała w miedzianej wannie, rozkoszując się perfumowanym mydłem i tym, że jej ciało jest znowu czyste, śmiejąc się i bryzgając wodą na Birgitte, która nurzała się w drugiej wannie i też na nią pryskała; obie chichotały na widok Aviendhy, która krzywiła się przerażona, że oto siedzi po piersi w wodzie. Na szczęście jednak rozumiała, że się ośmiesza, i w końcu nawet opowiedziała wyjątkowo sprośną historyjkę o mężczyźnie, który usiadł na kolczastej *segade*. Birgitte też opowiedziała historyjkę, i to jeszcze bardziej nieprzyzwoitą, o kobiecie, której głowa uwięzła między sztachetami w płocie. Nawet Aviendha się czerwieniła, gdy tego słuchała. Ale tak czy siak, były to bardzo zabawne opowieści. Elayne żałowała, że sama nie zna żadnej podobnej.

Razem z Aviendhą rozczesały i wyszczotkowały sobie wzajem włosy – zgodnie z nakazami wieczornego rytuału uprawianego przez prawie-siostry – a potem, bardzo zmęczone, położyły się do łóża z baldachimem, wciśniętego do małej izdebki. We cztery do jednego łóża: ona i Aviendha,

Birgitte i Nynaeve, całe szczęście, że nie było ich więcej. Wszystkie większe izby, w tym również bawialnie, kuchnie i większość korytarzy, zostały całkiem zastawione łózkami i pryzkami. Nynaeve przez pierwszą połowę nocy utyskiwała, że nie uchodzi kazać kobiecie spać z dala od męża, a przez drugą stale budziła Elayne, szturchając ją łokciem. Birgitte za nic nie chciała zamienić się miejscami, a Aviendhy raczej nie mogła prosić, by zechciała narażać się na tego rodzaju niewygodę ze strony tej kobiety, więc nie wyspała się najlepiej.

Wciąż jeszcze była zaspana, kiedy następnego ranka przygotowywali się do odjazdu, w promieniach wschodzącego słońca podobnego do kuli płynnego złota. We dworze mieli niewiele koni, więc nie mogli się nimi podzielić, no, chyba że zechciałaby całkiem ich tu ogołocić, dlatego więc sama jechała na czarnym wałachu zwanym Ogniste Serce, Aviendha i Birgitte dostały nowe wierzchowce, ale tych, którzy pieszo uciekali z farmy Rodziny, nadal czekała wędrowka na własnych nogach. Odnosiło się to do prawie wszystkich Kuzynek, prowadzących juczne konie sług, oraz ponad dwudziestu kobiet, które nareszcie przestały żałować, że zdecydowały się przybyć na farmę Rodziny wiedzione nadzieją spokoju i medytacji. Strażnicy wysforowali naprzód i przeprowadzali zwiady wśród łagodnych wzgórz porośniętych wyniszczonym przez suszę lasem, pozostali natomiast rozciągnęli się niczym nadzwyczaj osobliwy wąż, którego łeb stanowiły Nynaeve, ona sama i pozostałe siostry. I oczywiście Aviendha.

Nie była to raczej grupa, która mogła długo pozostać nie zauważona – tyle kobiet podróżujących pod eskortą garstki mężczyzn, nie wspominając już o dwudziestu smagłych Poszukiwaczkach Wiatru, niezdarnie dosiadających koni i kolorowych jak egzotyczne ptaki, a także dziewięciu Aes Sedai, w tym sześciu doskonale rozpoznawalnych dla każdego, kto choć raz w życiu taką widział. No i oczywiście ta jedna, która jechała w skórzanym worku na głowie. Elayne miała przedtem nadzieję, że dotrze do Caemlyn niezauważenie, ale teraz wydawało jej się to niemożliwe. Na szczęście jednak ciągle brakowało podstaw, by ktoś mógł nabrać podejrzeń, że w tej grupie jest Dziedziczka Tronu, Elayne Trakand we własnej osobie. A wszak na samym początku bała się, że to będzie ich największy problem, że ktoś niechętny jej roszczeniom dowie się o jej obecności i pośle przeciwko nim uzbrojonych ludzi, którzy będą próbowali ją pojmać i zatrzymać w niewoli do czasu, aż sprawa sukcesji zostanie rozstrzygnięta.

Po prawdzie, należało oczekiwać, że pierwszych kłopotów następczą im rzemieślniczki i arystokratki z otartymi stopami, kobiety, wśród których żadna nie była przyzwyczajona do pieszych wędrowek po zapyłonych pagórkach. Tym bardziej, że pokojówka Merilille mogła sobie jechać na tłustej klaczy. Nielicznym farmerskim żonom należącym do ich grupy to jakby nie przeszkadzało, ale blisko połowa kobiet posiadała przecież ziemie, dwory i pałace, a większość pozostałych mogła sobie pozwolić na kupno nieruchomości ziemskiej, jeśli nawet nie dwóch albo trzech. Do takich należały dwie złotniczki, trzy tkaczki, które wspólnie posiadały ponad czterysta krosien, kobieta, której manufaktury wytwarzały dziesiątą część wszystkich wyrobów lakierowanych produkowanych przez Ebou Dar, a także właścicielka banku. Szły z dobytkiem przytroczone do pleców, podczas gdy ich konie niosły kosze wypełnione żywnością. Tak dyktowała konieczność. Pozbierano monety z wszystkich sakiewek i oddano je Nynaeve, która nie wypuszczała ich ze skąpej garści, ale cała ta kwota mogła nie wystarczyć na zakup żywności, paszy i noclegu dla tak wielkiej grupy aż do końca drogi, czyli do Caemlyn. A one jakby tego nie rozumiały. Narzekały głośno i nieprzerwanie przez cały pierwszy dzień marszu. A najgłośniejsza była Malien, szczupła szlachetnie urodzona dama z cienką blizną na policzku, która niemal ugięła się wpół pod ciężarem wielkiego tobołka zawierającego co najmniej tuzin sukien i należących do nich zmian bielizny.

Kiedy rozbili obóz tamtej pierwszej nocy i rozpalili ogniska, by móc ugotować strawę, a potem

wszyscy najedli się już fasoli i chleba, nawet jeśli nie całkiem do syta, Malien skrzyknęła arystokratki, w ich jedwabkach poplamionych w trakcie podróży. Rzemieślniczki też się przyłączyły, w tym również właścicielka banku; wieśniaczki przystały obok. Zanim jednak Malien zdążyła wypowiedzieć bodaj jedno słowo, w sam środek grupy wkroczyła Reanne. Twarz miała pokrytą zmarszczkami uśmiechu, a w tej sukni ze zgrzebnej burej wełny ze spódnicą zaszytą po lewej stronie, przez co ukazywała warstwy kolorowych halek, równie dobrze sama mogła być wieśniaczką.

– Jeśli chcecie wrócić do domu – oznajmiła zaskakująco cienkim głosem – to możecie to zrobić w dowolnym momencie. Z żalem was jednak informuję, że będziemy musieli zatrzymać wasze konie. Wszelako otrzymacie za nie zapłatę, najszybciej jak to się da załatwić. Jeśli jednak postanowicie zostać, to pamiętajcie proszę, że nadal obowiązują zasady przyjęte na farmie. – Niektóre z otaczających ją kobiet wytrzeszczyły oczy. Malien nie była jedyną, która gniewnie otworzyła usta.

U boku Reanne jakby spod ziemi wyrosła Alise, z pięściami wspartymi na biodrach. Nie uśmiechała się tym razem.

– Zapowiedziałam, że ostatnie dziesięć będzie zmywało – przypomniała stanowczo. A potem wymieniła je z imienia: była to Jillien, pulchna złotniczka, Naiselle, chłodnooka właścicielka banku oraz osiem arystokratek. Wszystkie stały i gapiły się na nią, a ona klasnęła w ręce i dodała: – Nie każcie mi przytaczać na głos zasady obowiązującej w sytuacji, gdy któraś z was nie wywiąże się ze swego udziału w codziennych obowiązkach.

Malien, z szeroko otwartymi oczami i pomrukująca z niedowierzaniem, była ostatnia, która rzuciła się do zbierania brudnych misek, ale następnego ranka, jeszcze zanim wyruszyli w drogę, zredukowała swój tobołek, porzucając obrzeżone koronkami jedwabne suknie i bieliznę na zboczu jakiegoś wzgórza. Elayne nadal czuła, że sytuacja jest napięta, i spodziewała się wybuchu, ale Reanne znakomicie panowała nad wszystkimi, Alise jeszcze lepiej i nawet jeśli Malien oraz pozostałe patrzyły chmurnie na coraz liczniejsze tłuste plamy na ich sukniach, to jednak wystarczyło, że Reanne powiedziała kilka słów i natychmiast zabierały się do przydzielonych im zadań. Alise tylko klaskała w dłonie.

Gdyby podróż już do samego końca mogła przebiegać tak sprawnie, to Elayne z chęcią by się przyłączyła do tych kobiet i ich zmagania z tłuszczem. Niestety, mieli jeszcze bardzo daleko do Caemlyn, w tej kwestii nie było żadnych wątpliwości.

Gdy już wjechali na pierwszy trakt, wąski i zakurzony, niewiele lepszy od zwykłych drózek, z jakich korzystają wiejskie fury, zaczęli dostrzegać kryte strzechami kamienne domostwa oraz stodoły osadzone w zboczach wzgórz albo pobudowane w kotlinach. Odtąd, niezależnie od tego, czy teren był górzysty czy nizinny, zalesiony czy otwarty, rzadko kiedy ginęli z zasięgu wzroku jakiejś farmy albo wioski. W każdym takim miejscu, mimo że miejscowi wytrzeszczali oczy na widok tak dziwnych przybyszów, Elayne starała się dowiedzieć, jakim poparciem cieszy się Dom Trakand i jakie problemy najbardziej trapią ludzi. Rozwiązanie tychże problemów mogło się okazać równie ważne, jak jej wystąpienie z roszczeniami względem tronu oraz uzyskanie poparcia innych Domów. Nasłuchiwała się dużo, choć nie zawsze tego, co chciała usłyszeć. Andoranie uważali, że wolno im mówić wszystko, co chcą, o swojej królowej, młoda arystokratka zaś bynajmniej ich nie onieśmielała, niezależnie od tego, w jak dziwnym podróżowała towarzystwie.

W wiosce o nazwie Damelien, z trzema młynami, które stały nad rzeką tak wyschlą, że ich koła były całkiem suche, obdarzony kanciastą szczęką właściciel oberży „Złoty Snop” wyznał, że uważał Morgase za dobrą królową, najlepszą z możliwych, najlepszą, jaka kiedykolwiek władała Andorem.

– Przypuszczam, że jej córka też byłaby dobrą królową -mruknął i poskrobał się kciukiem po brodzie. – Szkoda, że Smok Odrodzony je zabił. Pewnie musiał... przez Proroctwa czy co tam... ale

nie miał prawa osuszać rzek, czy nie tak? Ile obroku, powiedziałaś, potrzebują wasze konie, moja pani? Pamiętaj, obrok jest okropnie drogi.

Jakaś kobieta o twardym obliczu, w zniszczonej, burej sukni, która tak na niej wisiała, jakby ta kobieta straciła ostatnio na wadze, przyglądała się otoczonemu niskim kamiennym murkiem polu, ponad którym fruwały w stronę lasu tumany kurzu niesione przez gorący wiatr. Pozostałe farmy wokół Buryhill wyglądały równie źle, jeśli nie gorzej.

– Smok Odrodzony nie miał prawa nam tego robić, czy nie tak? No, pytam! – Splunęła i spojrzała krzywo na siedzącą w siodle Elayne. – Tron? Och, Dyelin może na nim zasiąść teraz, gdy Morgase i jej córka nie żyją. Niektórzy tutaj ciągle jeszcze gardłują za Naeana albo Elenię, ale ja tam jestem za Dyelin. Zresztą niech inni się o to martwią, do Caemlyn droga daleka. Ja tam muszę się troskać o zbiory. O ile jeszcze kiedyś coś wyrośnie.

– Kiedy to prawda, moja pani, Elayne żyje – zapewnił ją garbaty stary cieśla w Forel Market. Był łysy jak jajo, palce miał powykęcane od starości, ale dzieła wyrastające pośród obrzynków i trocin wyglądały równie przyzwoicie jak rozmaite piękne drewniane wyroby, jakie Elayne w życiu widziała. Była oprócz niego jedyną osobą w warsztacie. Wieś wyglądała, jakby opuściła ją połowa mieszkańców. – Smok Odrodzony kazał ją przywieźć do Caemlyn, bo chce osobiście włożyć Różaną Koronę na jej głowę – dodał. – Nic więcej nie słyszałem. Ale nie jest, jak należy, jeśli chcesz wiedzieć, co o tym myślę. Ponoć sam jest jednym z tych Aielów z czarnymi oczami. Powinniśmy pomaszerować na Caemlyn i przegnać stamtąd i jego, i wszystkich Aielów; niech sobie wracają, skąd przyszedli. Wtedy Elayne będzie mogła we własnym imieniu zgłosić roszczenia do tronu. O ile pozwoli jej na to Dyelin.

Elayne sporo się nasłuchiwała na temat Randa wszelkiego typu sprzecznych ze sobą pogłosek, poczynając od takiej, że poprzysiągł lojalność Elaidzie, a kończąc na tym, że został królem Illian. W Andorze obwiniano go o całe zło, jakie się zdarzyło przez ostatnie dwa albo trzy lata, dotyczyło to również narodzin martwych dzieci i wszystkich połamanych nóg, plagi pasikoników, dwugłowych cieląt i trójnogich kurcząt. I nawet ci ludzie, którzy byli zdania, że jej matka zrujnowała kraj, którzy powitali z ulgą koniec panowania Domu Trakand, nadal uważali Randa al'Thora za najeźdźcę. Smok Odrodzony miał walczyć z Czarnym w Shayol Ghul, z Andoru więc winno się go przepędzić. Wcale jej się tego miło nie słuchało, ani trochę. A jednak ludzie stale mówili takie rzeczy i przez to podróż nie była szczególnie przyjemna. Zmieniła się w jedną długą lekcję pogładową, ilustrującą ulubione powiedzonko Lini: „Rozbijesz sobie nos, potykając się nie o ten kamień, który wyraźnie widzisz”.

Do głowy przychodziły jej rozmaite rzeczy, mogące stać się przyczyną kłopotów, nie tylko niezadowolenie arystokratek, chociaż temperamento niektórych groziły wybuchem równie potężnym jak ten, który zniszczył bramę. Poszukiwaczki Wiatru, zadowolone z targu, który ona i Nynaeve z nimi dobiła, zachowywały się nadzwyczaj irytująco, traktując Aes Sedai protekcyjnie, zwłaszcza po tym, jak wyszło na jaw, że pierwszą siostrą, którą uwiozą statki, będzie Merilille. A jednak nie doszło do żadnego wybuchu, choć wydawało się, że słyhać skwierczenie lontu. W każdym razie na pewno bliskie wybuchu zdawały się Poszukiwaczki Wiatru i kobiety z Rodziny. Docinały sobie do żywego, o ile jawnie nie szydziły, Rodzina z „dzikusek Ludu Morza, które mierzą za wysoko”, Poszukiwaczki Wiatru z „zastraszonych pokojowych piesków, które całują Aes Sedai po stopach”. Sprawy jednak nigdy nie wyszły poza wykrzywione usta albo znaczące gesty w okolicy rękolejści sztyletów.

Bez wątpienia osoba Ispan nastęrczała problemów, które zdaniem Elayne miały się jeszcze pogłębić, a jednak po kilku dniach Vandene i Adeleas pozwoliły jej ściągnąć kaptur, rzecz jasna, nie zdejmując z niej tarczy, i tak teraz jechała, milcząca postać z kolorowymi paciorkami w cienkich

warkoczykach, ze spuszczoną twarzą pozbawioną piętna wieku i dłońmi znieruchomiałymi na wodzach. Renaile opowiadała każdemu, kto chciał słuchać, że u Atha'an Miere Sprzymierzeńca Ciemności, któremu udowodniono winę, pozbawia się imienia, a potem wyrzuca za burtę, z kamieniami balastowymi uwiązany do nóg. Dla odmiany wszystkie Kuzynki, nawet Reanne i Alise, bladły za każdym razem, gdy widziały Taraboniankę. A jednak Ispan stawała się coraz bardziej potulna, gotowa spełniać każde polecenie i uśmiechać się przymilnie do dwóch siwowłosych sióstr, niezależnie od tego, co one z nią wyprawiały, kiedy separowały ją nocą od innych. Z drugiej zaś strony Adeleas i Vandene popadały w coraz większe przygnębienie. Elayne posłyszała, jak Adeleas powiedziała Nynaeeve, że ta kobieta wylewa z siebie całe tomy szczegółów dawnych spisków Czarnych Ajah, przy czym ze znacznie większym entuzjazmem opowiadała o tych, w których nie uczestniczyła, ale nawet wtedy, gdy ją przycisnęły mocniej – Elayne jakoś nie potrafiła się zmusić, by spytać, w jaki sposób to robią – zdradzała imiona Sprzymierzeńców Ciemności, którzy przeważnie już nie żyli, i ani razu nie znalazło się wśród nich imię którejs siostry. Zaczynają się już obawiać, wyznała Vandene, że Ispan złożyła Przysięgę – tę wielką literę było tu słychać – iż nie zdradzi swoich współników. Nadal izolowały Ispan i kontynuowały przesłuchania, ale nie ulegało wątpliwości, że teraz brną na oślep i zachowują dalece idącą ostrożność.

Pozostawała jeszcze sprawa Nynaeeve i Lana. Zdecydowanie w tej kolejności, bo albo trzymany przez Nynaeeve na wodzy w jego obecności temperament był stale bliski wybuchu, albo ona pozostawała rozkojarzona i rozmarzona, kiedy musieli spać oddzielnie – czyli prawie zawsze – tudzież stawała się nagle ochocza, a równocześnie zalękniona, gdy wreszcie udało jej się zaciągnąć go ukradkiem na jakiś stryszek z sianem. Zdaniem Elayne, Nynaeeve była sama sobie winna, skoro zdecydowała się wyjść za Lana w obrządku Atha'an Miere. Atha'an Miere wierzyli w hierarchię, konieczną przecież na pokładzie statku, i zakładali, że zarówno żona, jak i jej mąż mogą być wielokrotnie w ciągu swego życia wybierani na stanowiska, które postawią ich wyżej od współmałżonka. Ich rytuał małżeński to uwzględniał. To, które miało prawo publicznie wydawać rozkazy, musiało okazywać posłuszeństwo w prywatności. Lan nigdy nie korzystał z sytuacji, więc Nynaeeve powiadała: „A może by tak...”, cokolwiek to miało znaczyć! Zawsze się czerwieniła, kiedy to powtarzała, i stale czekała, że to on przejmie inicjatywę, ale Lan zdawał się tylko coraz bardziej rozbawiony. To rozbawienie, rzecz jasna, doprowadzało Nynaeeve do białej gorączki. I to właśnie Nynaeeve wybuchała, tak jak to Elayne przewidziała. Warczała na każdego, kto jej wszedł w drogę. Na wszystkich z wyjątkiem Lana, przy nim bowiem stanowiła uosobieniem śmietanki z miodem. I nie przy Alise. Kilka razy była tego bliska, ale nawet Nynaeeve jakoś nie potrafiła ofuknąć Alise.

Wszelako prócz zmartwień Elayne żywiła jeszcze nadzieje, nadzieje związane z przedmiotami, które razem z Czarą Wiatrów wywieźli z Rahad. Aviendha pomagała jej w ich sortowaniu, Nynaeeve również, raz czy dwa, ale okazała się zbyt powolna i ostrożna, a poza tym nie bardzo potrafiła jakoś znaleźć to, co je interesowało. Nie odkryły już ani jednego *angreala*, niemniej kolekcja *ter'angreali* rosła; kiedy odrzuciły wszystkie śmieci; przedmioty, które angażowały Moc, wypełniły pięć pełnych koszy.

Mimo zachowania jak najdalej posuniętej ostrożności, nie wiodło jej się najlepiej z tymi badaniami. Spośród wszystkich Pięciu Mocy najbezpieczniejszy był Duch – chyba że to akurat Duch uruchamiał dany przedmiot! – a jednak czasami musiała używać innych splotów, najcieńszych, jakie udało jej się utkać. Niekiedy delikatne sondowanie nie przynosiło żadnych rezultatów, za to wystarczyło, że tylko raz dotknęła przedmiotu, który przypominał kowalską układankę wykonaną ze szkła i nie dość, że dostała zawrotów głowy, to jeszcze nie mogła spać przez połowę nocy. Kiedy zaś musnęła splotem z Ognia to coś w rodzaju hełmu wykonanego z metalowych piór, wszyscy w

promieniu dwudziestu kroków nabawili się oślepiającego bólu głowy. Wszyscy oprócz niej. A potem jeszcze znalazła purpurowy pręt gorący w dotyku, gorący w pewnym sensie...

Gładki pręt badała, siedząc na skraju łóżka w oberży „Pod Dziką Świnia”, przyświecając sobie dwoma lampami z polerowanego mosiądzu. Był tak gruby jak przegub jej dłoni i miał długość stopy, z wyglądu zdawał się wyciosany z kamienia, a jednak w dotyku sprawiał wrażenie sprężystego. Była sama w izbie, od tamtej historii z hełmem starała się bowiem prowadzić badania z dala od innych. Gorąco wydzielane przez pręt sprawiło, że wpadła na pomysł, by wykorzystać Ogień...

Zamrugła, otworzyła oczy i usiadła prosto. Przez okno do izby wsączały się promienie słońca. Była w samej bieliźnie, a Nynaeve, w pełni odziana, stała nad nią i przyglądała jej się spod zmarszczonych brwi. Aviendha i Birgitte obserwowały ją ze swego stanowiska obok drzwi.

– Co się stało? – spytała napastliwym tonem Elayne, na co Nynaeve ponuro potrząsnęła głową.

– Wolałabyś nie wiedzieć. – Wydeła wargi.

Twarz Aviendhy niczego nie zdradzała. Birgitte miała wprawdzie lekko zaciśnięte usta, ale najsilniejszym uczuciem, jakie Elayne od niej czuła, była ulga połączona z... rozbawieniem! Ta kobieta robiła, co mogła, żeby nie tarzać się po podłodze ze śmiechu!

Najgorsze było to, że żadna nie raczyła jej wyjaśnić, co właściwie się stało. Co takiego powiedziała albo zrobiła; była pewna, że o to właśnie chodzi, sądząc po tych prędko skrywanych grymasach na twarzach nie tylko Kuzynek i Poszukiwaczek Wiatru, ale także sióstr. A jednak żadna nie chciała jej powiedzieć! Po tym wszystkim postanowiła, że będzie badała *ter'angreal* w jakimś innym miejscu, nie w oberży. Gdzieś, gdzie będzie zdecydowanie bardziej intymnie!

Dziewiątego dnia od ucieczki z Ebou Dar na niebie pojawiły się pojedyncze chmury i na zapyłoną drogę spadły wielkie krople deszczu. Następnego dnia przyszła mżawka, a trzeciego gęsta ulewa sprawiła, że skryli się w domach i stajniach Forel Market. Tamtej nocy deszcz stanowił już litą kurtynę, a nim nastał ranek, z zasnutej ciemnymi chmurami nieba runęła śnieżycą. Pokonali więcej niż połowę drogi do Caemlyn, a jednak Elayne zaczęła się zastanawiać, czy uda im się dotrzeć do stolicy w dwa tygodnie.

Śnieg sprawił, że pojawiły się problemy z odzieniem. Elayne wyrzucała sobie, że to przez nią, bo nie przewidziała, że mogą potrzebować ciepłych ubrań, zanim dotrą do celu wyprawy. Merilille uważała, że to jej wina, i to samo zarzucała sobie Reanne. W rzeczy samej przystanęły na samym środku głównej ulicy Forel Market tamtego ranka i nie zważając na śniegowe płatki padające im na głowy, klóciły się, kogo należy winić. Elayne nie była pewna, która z nich pierwsza dostrzegła absurd całej sytuacji, która pierwsza wybuchnęła śmiechem, ale wszystkie się śmiały, kiedy zasiadły do stołu w oberży „Biały Łabędź”, żeby zdecydować, co robić dalej. Niestety, już im nie było tak śmiesznie, kiedy wreszcie znalazły rozwiązanie. Zanosilo się na to, że zaopatrzenie wszystkich w ciepłe kaftany albo płaszcze, o ile w ogóle uda się ich znaleźć aż tyle, w znacznym stopniu uszczupli ich fundusze. Owszem, można było sprzedać biżuterię albo wymienić ją za odzież, ale naszyjniki i bransolety, jakkolwiek by były wspaniałe, w Forel Market jakoś nikogo nie interesowały.

Problem rozwiązała Aviendha, która wyciągnęła niewielki woreczek wypełniony kamieniami szlachetnymi. Niektóre były nawet całkiem sporych rozmiarów. Nie wiedzieć czemu, ci sami ludzie, którzy ledwie udając uprzejmość, twierdzili, że naszyjniki z klejnotami na nic im się nie przydadzą, robili wielkie oczy na widok nie osadzonych kamieni podskakujących w dłoni Aviendhy. Reanne orzekła, że dla jednych te klejnoty to świecidełka, dla innych atrybut bogactwa, a jednak niezależnie od powodów za dwa rubiny średniej wielkości, jeden duży księżycowy kamień oraz mały ognik ludzie z Forel Market byli gotowi dostarczyć tylu sztuk wełnianej odzieży, ilu tylko ich goście chcieli.



– To bardzo wspaniałomyślne z ich strony – mruknęła kwaśno Nynaeve, gdy mieszkańcy Forel Market zaczęli wygrzebywać ubrania z kufrów i na strychach. Wchodzili teraz gęsiego do oberży, nieprzerwanym szeregiem, z pełnymi naręczami. – Za te kamienie mogłabyś kupić całą wioskę! – Aviendha nieznacznie wzruszyła ramionami; oddałaby całą garść klejnotów, gdyby nie interwencja Reanne.

Merilille potrząsnęła głową.

– My mamy to, czego oni chcą, a oni mają to, czego my potrzebujemy. Obawiam się, że w związku z tym oni dyktują cenę. – A zatem sytuacja była podobna jak z Ludem Morza, tamci mieli przewagę. Nynaeve zrobiła taką minę, jakby właśnie ją zemdlilo.

Kiedy znalazły się same, Elayne spytała Aviendhę, jakim sposobem weszła w posiadanie takiej kolekcji klejnotów, kolekcji, której teraz pragnęła się pozbyć. Spodziewała się, że jej prawie-siostra powie, że to zdobycze z Kamienia Łzy albo może z Cairhien.

– Rand al’Thor mnie oszukał – odburknęła Aviendha ponurym tonem. – Próbowałam wykupić od niego moje *toh*. Wiem, że to najmniej honorowy sposób – zaprotestowała – ale żadnego innego nie znalazłam. On mi zawrócił w głowie! Dlaczego tak jest, że jak już się dojdzie do jakichś logicznych wniosków, to wtedy mężczyzna robi coś całkiem nielogicznego i mimo wszystko zdobywa przewagę?

– Mężczyźni mają taki zamęt w tych swoich ślicznych główkach, że kobiecie bardzo trudno nadażyć za ich płaszącymi myślami – wyjaśniła jej Elayne. Nie indagowała Aviendhy ani o przedmiot *toh*, które chciała wykupić, ani też o to, jak zakończyła się próba jego wykupienia. Rozmowy o Randzie już nie raz okazywały się trudne.

Nadejście śniegu wiązało się nie tylko z koniecznością zdobycia ciepłego odzienia. W połowie dnia, gdy opady z każdą minutą stawały się coraz bardziej obfite, do głównej izby zeszła po schodach Renaile, która oznajmiła, że one wywiązały się już ze swojej części umowy i zażądała nie tylko Czary Wiatrów, ale również Merilille. Szara siostra zagapiła się na nią z konsternacją, nie tylko zresztą ona. Na wszystkich ławach w izbie siedziały Kuzynki, spożywające swój popołudniowy posiłek, wśród nich kręcili się usługujący mężczyźni i kobiety. Renaile nie zniżyła głosu, gdy wygłaszała swoje oświadczenie, toteż wszyscy zgromadzeni w izbie obrócili głowy w jej stronę.

– Możesz już teraz zabrać się za nauczanie – powiedziała Renaile do Aes Sedai. – Wejdz po trapie do mojej kajuty. – Merilille zaczęła protestować, ale Poszukiwaczka Wiatrów Mistrzynie Statków, z nagle chłodną twarzą, wsparła pięści na biodrach. – Kiedy ja wydaję rozkaz, Merilille Ceandevin – rzekła lodowatym tonem – spodziewam się, że wszyscy na pokładzie będą skakać. A więc skacz!

Merilille w zasadzie nie skoczyła, ale pozbierała się i poszła posłusznie, przy czym Renaile niemal popychała ją przez całą drogę po schodach. Merilille nie miała innego wyboru, bo przyrzekła. Na twarzy Reanne malowało się osłupienie. Alise i krępa Sumeko, nadal nosząca swój czerwony pas, przyglądały się całej scenie w zamyśleniu.

Przez następne dni, czy brnęli konno przez zaśnieżone drogi, wędrowali po uliczkach jakichś wiosek, czy też szukali schronienia gdzieś na farmie, Renaile zawsze kazała Merilille sobie towarzyszyć, o ile nie przydzielała jej do innej Poszukiwaczki. Szarą siostrę oraz jej eskortę niemal zawsze otaczała łuna *saidara*, Merilille zaś niezmordowanie demostrowała sploty. Błada Cairhienianka była znacznie niższa od kobiet Ludu Morza, ale z początku udawało jej się sprawiać wrażenie wyższej za sprawą samej siły godności Aes Sedai. Niebawem jednak na jej twarzy na stałe zagościł spłoszony wyraz. Elayne dowiedziała się, że nawet wtedy, gdy dla wszystkich starczało łóżek, Merilille musiała dzielić swoje z Pol, jej pokojówką, oraz dwoma adeptkami sztuki

Poszukiwania Wiatru, Talaan i Metarrą. Elayne nie bardzo wiedziała, jaki stąd wynikał wniosek w sprawie statusu Merilille. Najwyraźniej Poszukiwaczki Wiatru nie stawiały jej na jednym poziomie z uczennicami. Ale oczekiwały, że będzie robiła to, co jej się każe, bez żadnej zwłoki i wymówek.

Reanne taki obrót spraw wciąż przerażał, za to Alise i Sumeko nie były jedynymi z Rodziny, które bacznie się wszystkiemu przyglądały i w zamyśleniu kiwały głowami. I nagle Elayne dostrzegła jeszcze jeden problem. Kuzynki dbały, by Ispan stawała się coraz bardziej uległa, ale jakkolwiek by było, została wzięta do niewoli przez Aes Sedai. Kobiety z Ludu Morza nie były Aes Sedai, a Merilille nie była więźniem, a jednak już zdarzało jej się skakać na rozkaz Renaile, albo, skoro już o tym mowa, na rozkaz Dorile, Caire względnie krewnej Caire, Tebreille. Każda z nich była Poszukiwaczką Wiatru służącą pod jakąś klanową Mistrzinią Fal i żadna nie kazała jej skakać z aż takim zapalem, ale to i tak wystarczało. Coraz więcej kobiet z Rodziny przestawało się gapić z przerażeniem, a zamiast tego przyglądały się z namysłem. Być może, Aes Sedai wcale nie były ulepione z innej gliny. A jeśli Aes Sedai były zwyczajnymi kobietami, takimi samymi jak one, to czemu raz jeszcze miałyby poddawać się rygorom Wieży, władzy i dyscyplinie Aes Sedai? Przecież dotąd znakomicie sobie radziły na własną rękę, i to przez tyle lat, że starsze siostry ledwie potrafiły uwierzyć. Elayne niemal namacalnie czuła, jak te myśli rodzą się w ich głowach.

Kiedy jednak o tym wspomniała Nynaeve, ta tylko odmruknęła:

– Najwyższy czas, by niektóre siostry doświadczyły na własnej skórze, jak to jest, gdy człowiek stara się nauczyć czegoś kobietę przekonaną, że wie więcej niżli jej nauczycielka. Te, które mają szansę zdobyć szal, nadal będą go pragnęły, a jeśli idzie o pozostałe, to nie widzę powodu, dla którego nie miałyby wyrobić sobie odrobiny kręgosłupa. – Elayne powstrzymała się i nie wspomniała o narzekaniach Nynaeve odnośnie do Sumeko, która z pewnością wyrobiła sobie kręgosłup; Sumeko skrytykowała kilka Uzdrawiających splotów Nynaeve jako „niezgrabne”. Elayne przestraszyła się wtedy, że Nynaeve dostanie apopleksji. – W każdym razie nie należy o tym wspominać Egwene. Jeśli przyjdzie na spotkania. Ani słowa. I bez tego ma dość problemów. – Bez wątpienia to „ani słowa” odnosiło się do Merilille i Poszukiwaczek Wiatru.

Siedziały na łóżku w samej bieliźnie, na drugim piętrze „Nowego Pługa”, z *ter'angrealami* snu na szyjach. Aviendha i Birgitte, nadal ubrane, przycupnęły na kufrach. Nazywały to pełnieniem straży, które to zadanie miały pełnić dopóty, dopóki Elayne i Nynaeve nie wrócą ze Świata Snów. Obie miały na sobie płaszcze; „Nowy Pług” z pewnością nie był nowy; pobielone ściany znaczyły rysy i zewsząd ciągnęły przeciągi.

Dostała im się maleńka izdebka, w której po wstawieniu kufrów i tobołków pozostało niewiele miejsca na-cokolwiek oprócz łóżka i umywalki. Elayne wiedziała, że w Caemlyn powinna się godnie zaprezentować, ale czasami dopadało ją poczucie winy, że jej dobytek dźwigają juczne konie, podczas gdy inne muszą się obywać tym, co dadzą radę ponieść na własnym grzbiecie. Nynaeve z pewnością nie miała żadnych wyrzutów sumienia z powodu swoich kufrów. Podróżowali już szesnasty dzień, widoczny w wąskim okienku księżyc oświetlał biały koc śniegu, który miał spowolnić ich przemarsz następnego dnia, nawet gdyby niebo pozostało czyste, i Elayne pomyślała, że byłby to z jej strony przesadny optymizm, gdyby liczyła, że dotrą do Caemlyn już za tydzień.

– Mam dość rozsądku, by jej o tym nie przypominać – odparła. – Nie chcę być znowu karcona.

Ujęła całą rzecz stosunkowo łagodnie. Nie odwiedzały *Tel'aran'rhiod* od czasu, gdy poinformowały Egwene, w noc po opuszczeniu majątku, że użyły Czary. Niechętnie opowiedziały jej także o targu, który były zmuszone dobić z Ludem Morza, i w tym momencie nie było już żadnych wątpiwości, że stoją przed obliczem Zasiadającej na Tronie Amyrlin w jej pasiastej stule na ramionach. Elayne wiedziała, że to konieczne i właściwe – najbliższa przyjaciółka królowej musiała

być poinformowana – ale wcale jej się nie podobało, gdy owa przyjaciółka mówi jej zirytowanym głosem, że zachowały się jak bezrozumne idiotki, które omal nie ściągnęły sobie na głowy nieszczęścia. Tym bardziej, że uważała podobnie. Natomiast już zupełnie przestało jej się podobać, gdy usłyszała, że Egwene tylko dlatego nie wyznaczy im obu pokuty, bo nie może dopuścić, by marnowały czas. A jednak było to niezbędne i właściwe; kiedy zasiądzie na Tronie Lwa, będzie nadal Aes Sedai i będą ją obowiązywały prawa, reguły i obyczaje Aes Sedai. Nie w sprawach Andoru – nie uczyni przecież ze swego kraju protektoratu Białej Wieży – ale w odniesieniu do siebie. Dlatego, chociaż było to nieprzyjemne, odebrała reprimendę ze spokojem. Nynaeve wiała się i jąkała z zażenowania, protestowała i wydymała wargi, a potem przepraszała tak wylewnie; że Elayne ledwie potrafiła uwierzyć, iż to ta sama kobieta, którą znała do tej pory. A Egwene pozostała Amyrlin, chłodną w swym niezadowoleniu nawet wtedy, gdy udzielała im wybaczenia. Dlatego zapowiadało się, że tego wieczoru ewentualne spotkanie z nią nie będzie ani przyjemnie, ani swojskie.

Kiedy jednak wśniły się do Salidaru w *Tel'aran'rhiod*, do izdebki w Małej Wieży, którą nazwały Gabinetem Amyrlin, Egwene tam nie zastały, jedynym zaś śladem, że odwiedziła to miejsce od ostatniego spotkania, były ledwie widoczne słowa wyryte w przeżartej przez korniki desce w ścianie, jakby przez czyjąś leniwą rękę, której nie chciało się trudzić przy tym zajęciu.

## ZOSTAŃCIE W CAEMLYN

I kilka stóp dalej:

## NIC NIE MÓWCIE I BĄDŹCIE OSTROŻNE

Tak brzmiały instrukcje, jakich ostatnim razem udzieliła im Egwene. Mają jechać do Caemlyn i zostać tam do czasu, aż ona wykoncypuje, jak nie dopuścić, by Komnata je zasoliła i wpakowała do beczki. Przypomnienie, którego nie miały jak wymazać.

Objąwszy *saidara*, Elayne przeniosła, by pozostawić odpowiedź, liczbę piętnaście wyrytą wyraźnie na ciężkim stole, który kiedyś służył Egwene za biurko do pisania. Dzięki przeniecowaniu splotu i podwiązaniu go jedynie ktoś, kto przeciągnąłby palcami po tych liczbach, zrozumiałby, że tak naprawdę wcale ich tu nie było. Być może dotrą do Caemlyn wcześniej niż za piętnaście dni, ale była pewna, że będzie to więcej niż tydzień.

Nynaeve podeszła do okna i rozejrzała się w obie strony, starając się jednocześnie nie wychylać głowy na zewnątrz. W Salidarze panowała noc tak samo jak w świetle jawy, księżyc odbijał się od śniegu, ale powietrze nie wydawało się zimne. Wprawdzie nie spodziewały się, że oprócz nich będzie tam ktoś jeszcze, ale gdyby jednak; to należało unikać takich spotkań.

– Mam nadzieję, że Egwene nie ma kłopotów z realizacją swoich planów – mruknęła.

– Przecież zabroniła nam o nich rozmawiać, Nynaeve. – "Tajemnica wypowiedziana na głos dostaje skrzydeł", tak brzmiało jeszcze jedno z ulubionych powiedzonek Lini.

Nynaeve obejrzała się na nią z krzywą miną, po czym znowu zajęła się obserwowaniem wąskiej uliczki.

– W twoim przypadku sytuacja wygląda inaczej. A ja opiekowałam się nią, kiedy była mała, zmieniałam jej pieluszki, kilka razy przetrzepałam jej siedzenie. I teraz muszę skakać, kiedy ona tylko pstryknie palcami. To trudne.

Elayne nie potrafiła się pohamować. Pstryknęła palcami.

Nynaeve, z oczyma wytrzeszczonymi ze zgrozy, obróciła się tak prędko, że aż zamieniła się w zamazaną plamę. Jej suknia z błękitnego jedwabiu też się zamazała, stając się najpierw białą szatą Przyjętej, a potem suknią z ciemnej i grubej tkaniny, którą lubiła nazywać „dobrą, mocną wełną z Dwu Rzek”. I omal nie zemdląła z ulgi, kiedy do niej dotarło, że Egwene tam nie ma, że wcale nie przysłuchiwała się temu, co ona wygadywała.

Kiedy wróciły do swych ciał i oprzytomniały na tyle, by móc powiedzieć swym przyjaciółkom, że mogą się już położyć, Aviendha z pewnością uznała to za dobry żart i Birgitte też się śmiała. Ale Nynaeve znalazła okazję do zemsty. Następnego ranka urządziła Elayne pobudkę za pomocą lodowego sopła. Wrzaski przyszłej królowej Andoru obudziły wszystkich w całej wiosce.

Trzy dni później doszło do pierwszego prawdziwego wybuchu.

# ROZDZIAŁ 21

## ODPOWIEDŹ NA WEZWANIE

Cemaros, straszliwe zimowe burze, wciąż przewalały się nad Morzem Sztormów, gwałtowne jak nigdy. Niektórzy powiadali, że tego roku cemaros stara się nadrobić za wiele miesięcy zwłoki. Niebo bezustannie rozcinały błyskawice, pokrywając je nocą pstrokacizną srebra i czerni. Ziemię chłostały wiatry i strugi deszczu, które przeobrażały nawet najlepiej ubite trakty w rzeki błota. Błoto niekiedy zamarzało wraz z zapadnięciem mroku, ale wschód słońca zawsze przynosił odwilż, nawet pod zszarzałym niebem, i ziemia na powrót przemieniała się w trzęsawisko. Rand nie umiał się nadziwić, że to wszystko stanowi aż tak wielką przeszkodę w realizacji planów.

Wezwani przez niego Asha'mani zjawili się szybko, bo już rankiem następnego dnia wyjechali na koniach z bramy prosto pod siekące strugi ulewy, która tak zasnęła niebo, że równie dobrze mógł być już zmierzch. W powietrzu po drugiej stronie otworu widać było śnieg padający w Andorze, wielkie, białe płaty wirujące gęstymi tumanami, które przesłaniały cały krajobraz. Większość mężczyzn tworzących krótką kolumnę była opatulona w grube czarne płaszcze, ale strugi deszczu zdawały się omijać zarówno ich, jak i ich konie. To może nawet nie bardzo rzucało się w oczy, jednak każdy, kto przypadkiem rzecz całą zauważył, przyglądał im się odtąd znacznie dokładniej. Wystarczył nieskomplikowany splot i człowiek pozostawał suchy, jeśli mu nie przeszkadzało, że tym samym zdradza wszystkim, kim jest. Ale do tego z kolei wystarczył czarno-biały dysk w purpurowym kręgu, który zdobił ich płaszcze. I chociaż prawie nie było ich widać zza kurtyny deszczu, to jednak czuło się dumę bijącą z aroganckich póz, w jakich siedzieli w siodłach. Dumę i butę. Oni chełpili się tym, kim są.

Ich dowódca, Charl Gedwyn, kilka lat starszy od Randa, był średniego wzrostu i podobnie jak Torval nosił Miecz oraz Smoka wpięte w wysoki kołnierz kaftana, znakomicie skrojonego z najprzedniejszego czarnego jedwabiu. Miecz miał suto zdobiony srebrem, okuty srebrem pas zapinał się na srebrną sprzączkę w kształcie zaciśniętej pięści. Gedwyn przedstawiał się jako *Tsorovan'm'hael*; czyli w Dawnej Mowie Dowódcy Oddziałów Szturmowych, cokolwiek by to miało znaczyć. Aczkolwiek przy takiej aurze to miano zdawało się nawet całkiem trafne.

Gedwyn stanął w wejściu do namiotu Randa i zapatrzył się ponurym wzrokiem na kaskady deszczu. Namiot otaczała warta złożona z siedzących na koniach Towarzyszy, dzielił ich dystans tylko trzydziestu kroków, a jednak ledwie ich było widać. Równie dobrze wszelako mogli być posągami lekceważącymi nawałnicę.

– Niby jak miałbym kogoś znaleźć w taką pogodę? – burknął Gedwyn, oglądając się przez ramię na Randa. – Lordzie Smoku – dodał po chwili. Patrzył twardym i wyzywającym spojrzeniem, ono nie ulegało zmianie, czy spoczywało na człowieku, czy na sztachecie w płocie. – Razem z Rochaidem sprowadziliśmy ośmiu Oddanych i czterdziestu Żołnierzy, dość, by zniszczyć armię albo nastraszyć dziesięciu królów. Nawet Aes Sedai zasłoniłyby oczy na nasz widok – dodał złośliwie. – Ażebym szczeł, we dwóch uporalibyśmy się z takim zadaniem. Albo ty sam, w pojedynkę. Po co ci ktoś jeszcze?

– Oczekuję posłuszeństwa, Gedwyn – odparł chłodno Rand. Dowódca Oddziałów Szturmowych? A Manel Rochaid, drugi po Gedwynie, przedstawiał się jako *Baijan'm'hael*, Dowódca Oddziałów Natarcia. Co temu Taimowi chodziło po głowie, że wymyślał nowe rangi? Ten człowiek miał się zajmować wytwarzaniem broni. Takiej broni, która dostatecznie długo pozostanie przy zdrowych zmysłach, by mogła okazać swą przydatność. – I nie życzę sobie, żebyś marnował czas

na kwestionowanie moich rozkazów.

– Jak każesz, Lordzie Smoku – odburknął Gedwyn. – Natychmiast wysyłam ludzi. – Zasalutował, przykładając dłoń do piersi, i wkroczył w sam środek nawałnicy. Ulewne strugi odskakiwały od niego, ześlizgując się po tarczy, którą utkał wokół własnego ciała. Rand zastanawiał się, czy ten człowiek w ogóle się zorientował, jak bliski był śmierci, gdy bez ostrzeżenia objął *saidina*.

„Musisz go zabić, zanim on zabije ciebie” – zachichotał Lews Therin. – „Bo będą chcieli cię zabić, wiesz przecież. A tylko martwi nie są zdolni do zdrady”. Głos w głowie Randa popadł w zadumę. „Tylko że czasami oni nie umierają. Czy ja umarłem? A ty?”

Rand zepchnął te słowa na sam skraj pola świadomości i odtąd brzmiały nie głośniejsz niż brzęczenie muchy. Od czasu swego ponownego pojawienia się w głowie Randa Lews Therin rzadko kiedy milkł, jeśli Rand go nie uciszył. Przeważnie zdawał się jeszcze bardziej szalony i bardziej gniewny. I niekiedy też silniejszy. Potrafił wdzierać się nawet do snów, snów, w których Rand często widział siebie, ale za to z obcą twarzą. I nie zawsze też była to twarz, którą nawykł rozpoznawać jako należącą do Lewsa Therina. Czasami była zamazana, a jednak jakby znajoma i Lews Therin też zdawał się zaskoczony jej widokiem. To świadczyło o tym, jak dalece posunęło się szaleństwo tego człowieka. A może jego własne.

„Jeszcze nie” – pomyślał Rand. – „Jeszcze za wcześnie, bym miał popaść w obłąd”.

„W takim razie kiedy?” – szepnął Lews Therin, zanim Rand zdążył go znowu zagłuszyć.

Wraz z przybyciem Gedwyna i Asha’manów nabrał kolorów jego plan przegnania Seanchan na zachód. Machina przygotowań została wprawiona w ruch i pełzła teraz powoli niczym znużony wędrowiec po jednej z tych błotnistych dróg. Natychmiast przeniósł obozowisko, nie starając się maskować swoich poczynań. Nie było sensu silić się na zachowanie tajemnicy. Wraz z nadejściem cemaros wieści niesione przez gołębie podróżowały powoli, a jeszcze wolniej, gdy przekazywali je kurierzy, a jednak Rand nie miał wątpliwości, że jest obserwowany, obserwowany przez Białą Wieżę, przez Przeklętych, przez tych wszystkich, którzy dopatrywali się zysku albo straty w związku z wyprawami Smoka Odrodzonego i mogli wcisnąć ukradkiem monetę jakiemuś żołnierzowi, bo było ich na to stać. Może nawet Seanchanie go obserwowali. Jeśli on mógł prowadzić wśród nich zwiady, to czemu oni nie mieli szpiegować jego poczynań? Ale nawet Asha’mani nie wiedzieli, dlaczego pozostaje w ciągłym ruchu.

Właśnie stał i przyglądał się beczynnemu, jak ludzie pakują jego namiot na furę, gdy pojawił się Weiramon na jednym ze swych licznych wierzchowców, tym razem był to roztańczony biały wałach z najlepszej taireniańskiej hodowli. Deszcz zelżał, ale szare chmury nadal zasnuwały popołudniowe słońce i zdawało się, że można wyzymać wodę z powietrza. Przemoczone płaty Sztandaru Smoka i Sztandaru Światłości zwisały bezwładnie z drzewc.

Towarzyszy zastąpili taireniańscy Obrońcy Łzy i kiedy Weiramon przejeżdżał przez utworzony przez nich pierścień, spojrzął krzywo na Rodrivarę Tihere, mężczyznę szczupłego, nawet jak na Tairenianina, smągłego, z krótką bródką przyciętą w bardzo ostry szpic. Tihera, przedstawiciel najpośledniejszej szlachty, który zapewne awansował za sprawą swych talentów, był obowiązkowy do przesady. Gęste białe pióra kołyszące się na jego hełmie z okapem dodatkowo nadały ceremonialności skomplikowanemu ukłonowi, który złożył przed Weiramonem. Grymas na twarzy Wysokiego Lorda pogłębił się.

Kapitan Kamienia nie musiał dowodzić strażą przyboczną Randa osobiście, ale często to czynił, podobnie jak Marcolin, któremu również zdarzało się wydawać rozkazy Towarzyszom. Między Obrońcami a Towarzyszami często dochodziło do żaźartej rywalizacji o to, kto będzie chronił Randa.

Tairenianie twierdzili, że to ich prawo, ponieważ dłużej władał Łzą, a Illiańczycy przypominali, że przecież jest królem Illian. Do Weiramona prawdopodobnie dotarły przebąkiwania Obrońców, że czas najwyższy, by Łza miała swojego króla, a kto byłby lepszy niżli człowiek, który obronił Kamień? Weiramon całą duszą zgadzał się z taką potrzebą, ale nie z wyborem tego, kto miał nosić koronę. I nie był w tym odosobniony.

Weiramon ukrył grymas niezadowolenia, gdy tylko spostrzegł, że Rand patrzy, po czym zeskoczył z okutego złotem siodła i wykonał ukłon, przy którym ukłon Tihery zdawałby się prostacki. Z tym swoim sztywnym karkiem potrafiłby nadymać się i kroczyć dumnie nawet przez sen. Aczkolwiek skrzywił się nieznacznie, gdy wdepnął wypolerowanym do połysku butem w błoto. Miał na sobie pelerynę chroniącą jego znakomite odzienie przed deszczem, ale nawet ją zdobił złoty haft i kołnierz z szafirów. Jak najbardziej byłoby pewnie usprawiedliwione przypuszczenie, że to do niego należy Korona Mieczy, a nie do Randa, mimo jego kaftana uszytego z ciemnozielonego jedwabiu i ozdobionego na rękawach i klapach szeregiem złotych pszczoł.

– Lordzie Smoku – zagrmiał Weiramon. – Nie potrafię wyrazić, jaki jestem szczęśliwy, widząc, że strzegą cię Tairenianie. Świat zapłakałby z pewnością, gdyby doszło do jakiegoś niefortunnego zdarzenia. – Był zbyt inteligentny, by się odkryć i nazwać Towarzyszy niegodnymi zaufania. Ale dzielił go od tego włos.

– Prędzej czy później zapłacze – odparł sucho Rand. Kiedy spora jego część przestanie już świętować. – Ty na pewno płakałbyś z całego serca, Weiramonie.

Mężczyzna autentycznie się napuszył, gładząc swą siwiejącą bródkę. Usłyszał to, co chciał usłyszeć.

– O tak, mój Lordzie Smoku, możesz być pewien mojej stałości. Dlatego właśnie nie dają mi spokoju rozkazy, które dziś rano dostarczył twój człowiek. – Tym człowiekiem był Adley; wielu arystokratów uważało, że jeśli będą udawali, że Asha'mani to tylko słudzy Randa, tamci staną się dzięki temu jakby mniej niebezpieczni. – Bardzo to z twojej strony roztropne, żeś odesłał większość Cairhienian. I oczywiście także Illian, to się rozumie samo przez się. Potrafię nawet pojąć, dlaczego nie dopuszczasz do siebie Gueyama i innych. – Buty Weiramona plaskały w błocie, gdy podszedł bliżej, a głos nabrał poufnej barwy. – Jestem bowiem osobiście przekonany, że niektórzy z nich... nie powiem, że spiskowali przeciwko tobie, ale tak sobie myślę, że ich lojalność niekoniecznie zawsze była bezsporna. Czyli taka jak moja. Bezsporna. – Jego głos znowu się zmienił, tym razem był silny i pewny, był głosem człowieka, którego interesują wyłącznie potrzeby tego, komu służy. Czyli tego, który bez wątpienia ukoronuje go na pierwszego króla Łzy. – Pozwól, że sprowadzę tu moich zbrojnych, Lordzie Smoku. Razem z nimi i z Obrońcami zapewnię nienaruszalność honoru i bezpieczeństwa Pana Poranka.

We wszystkich obozach pakowano dobytek na wozy i fury, siodłano konie. Większość namiotów została już rozebrana. Wysoka Lady Rosana odjeżdżała w stronę północy, jej sztandar wiodł kolumnę dostatecznie potężną, by mogła wzniecić popłoch wśród bandytów i sprawić, by Shaido przynajmniej dwa razy się zastanowili. Nie dość jednak potężną, by natchnąć Rosanę jakimiś dzikimi pomysłami, tym bardziej że połowę owej kolumny tworzyli ludzie Gueyama i Marconna oraz Obrońcy Kamienia. Zasadniczo to samo tyczyło się Spirona Narettina, który z kolei podążał po wysokiej grani w stronę wschodu, wiodąc za sobą tyluż Towarzyszy i ludzi, którzy poprzysięgli lojalność pozostałym z Rady Dziewięciu, co własnych wasali, nie wspominając już setki innych, którzy wlekli się pieszo z tyłu. Była to część ludzi, którzy poddali się poprzedniego dnia w lesie za tamtą granicą. Zdziwiająco liczna rzesza chciała przyłączyć się do Smoka Odrodzonego, ale Rand nie ufał im na tyle, by utworzyć z nich jedną formację. Z podobną zbieraniną wyruszał właśnie na południe Tolmeran, a

reszta jeszcze ładowała dobytek na wozy i zaraz potem też mieli wymaszerować. Obie grupy w przeciwne strony, przy czym tworzący je ludzie do tego stopnia nie ufali sobie wzajem, że nie mieli odwagi nie wypełniać rozkazów Randa. Zaprowadzenie pokoju w Illian było zadaniem doniosłym, a jednak wszyscy lordowie i lady żalowali, że się ich odrywa od Smoka Odrodzonego, najwyraźniej się zastanawiając, czy to przypadkiem nie oznacza, że zawiedli jego zaufanie. Aczkolwiek niektórzy zapewne zastanawiali się również, dlaczego postanowił kilku zatrzymać przy sobie. Rosana z pewnością myślała o tym.

– Wzrusza mnie twoja troska – powiedział Rand do Weiramona – ale ilu osobistych strażników potrzebuje jeden człowiek? Nie chcę wszczynać żadnej wojny. – Byłaby to może trafna uwaga, cóż z tego, skoro wojna i tak toczyła się już na dobre. Wybuchła w Falme, o ile nie wcześniej. – Każ swoim ludziom gotować się do drogi.

„Ilu pomarło przez moją pychę?” – jęknął Lews Therin. – „Ilu pomarło przez moje błędy?”

– Czy wolno mi spytać, dokąd się wybieramy? – Pytanie Weiramona, wypowiedziane jedynie umiarkowanie zirytowanym tonem, zagłuszyło głos w głowie Randa.

– Do miasta – odwarknął Rand. Nie wiedział, ilu umarło przez jego błędy, ale bez wątplenia nikt nie umarł przez jego pychę. Tego był pewien.

Weiramon otworzył usta, zupełnie nie wiedząc, czy ma on na myśli Łzę, Illian czy może Cairhien, ale Rand odprawił go machnięciem Berła Smoka, gwałtownym ruchem naśladowującym pchnięcie nożem, który wprowadził w kołysanie zielono-białe frędzle. Niemal żalował, że nie jest w stanie zadźgać Lewsa Therina.

– Nie zamierzam siedzieć tu cały dzień, Weiramon! Idź do swoich ludzi!

Niecałą godzinę później objął Prawdziwe Źródło i przygotował się do utworzenia bramy. Musiał zwalczyć zawroty głowy, które ostatnimi czasy dopadały go za każdym razem, gdy zaczerpywał albo uwalniał Moc; nieledwie zakołysał się w siodle Tai'daishara. Od płynnego brudu unoszącego się na powierzchni *saidina*, od tego zamarznętego szlamu każde dotknięcie Źródła powodowało skurcze wymiotne. Przez chwilę widział podwójnie, co utrudniało tkanie splotów, o ile wręcz nie uniemożliwiał, a nie mógł kazać Dashivie, Flinnowi albo któremuś z pozostałych, by to zrobili za niego, bo Gedwyn i Rochaid przystanęli razem ze swymi końmi obok odzianych na czarno Żołnierzy, tych wszystkich, którzy nie udali się na poszukiwania. Stali tam i czekali cierpliwie. I obserwowali Randa. Rochaid, niższy od niego zaledwie o dłoń i na oko dwa lata młodszy, był także pełnym Asha'manem, również odzianym w jedwabny kaftan. Na jego wargach pełgał nieznaczny uśmiezek, jakby wiedział o czymś, o czym inni nie wiedzieli, i znakomicie się tym bawił. Co wiedział? Na pewno coś o Seanchanach, a może nawet znał treść Randowych planów w związku z nimi. Co jeszcze? Może nic, ale Rand nie zamierzał zdradzać słabości przy tych dwóch. Zawroty głowy osłabły prędko, chwilę później przestało mu się dwoić w oczach i szybko ukończył splot, po czym, nie zwlekając, uderzył konia piętami i przejechał przez otwór powstały w powietrzu.

Celem jego wyprawy było Illian, ale brama otwarła się na północ od miasta. Wbrew rzekomemu zaniepokojeniu Weiramona nie pojechał tam całkiem bez ochrony. Przez wielki kwadratowy otwór w powietrzu przeszło blisko trzy tysiące ludzi, którzy zatrzymali się na łące nieopodal szerokiej, błotnistej drogi wiodącej do Brodu Północnej Gwiazdy. Mimo że każdemu lordowi wolno było zabrać jedynie garstkę zbrojnych – dla ludzi nawykłych do dowodzenia tysiącem, jeśli nie tysiącami, stu podkomendnych mogło się wydawać garstką – to razem tworzyli sporą rzeszę. Tairenianie, Cairhienianie i Illianie, Obrońcy Kamienia pod dowództwem Tihery i Towarzysze pod dowództwem Marcolina, Asha'mani pod Gedwynem. Dashiva, Flinn i pozostali trzymali się blisko Randa. Wszyscy prócz Narishmy, który jeszcze nie wrócił. Narishma wiedział



wprawdzie, gdzie ich szukać, ale Randowi to się wcale nie podobało.

Każda formacja trzymała się tak daleko od pozostałych, jak to tylko było możliwe. Gueyam, Maracomm i Aracome jechali razem z Weiramonem, przy czym bardziej obserwowali Randa niż drogę, a Gregorin Panar z trzema innymi z Rady Dziewięciu, wychylali się z siodeł, by o czymś rozmawiać ściszonymi i pełnymi niepokoju głosami. Semaradrid i towarzysząca mu grupka cairhieniańskich lordów o zawziętych twarzach przyglądali się Randowi niemal równie uważnie jak Tairenianie. Rand wybrał tych, którzy jechali z nim tak samo starannie, jak tych, których odesłał, i to nie zawsze z tych samych powodów.

Gdyby tam byli jacyś gapie, to zapewne z ochotą oglądaliby teraz ów imponujący pokaz męstwa, dodatkowo ubarwiony kolorowymi sztandarami, proporcami i niewielkimi *con*, które wystawały zza pleców Cairhienian. Barwni, odważni i bardzo niebezpieczni. Niektórzy spiskowali przeciwko niemu, dowiedział się niedawno, że Dom Semaradrída Maravin łączyły dawne sojusze z Domem Riatin, który wszak wszczął przeciwko niemu otwarty bunt w Cairhien. Semaradrid nie wypierał się tych związków, ale nie wspominał też o nich z własnej woli. A Rady Dziewięciu nie poznał jeszcze na tyle, by ryzykować i pozostawić ich za sobą. Z kolei Weiramon był durniem. Gdyby pozwolić mu polegać na własnym rozumie, to niewykluczone, że próbowałby wkraść się w łaski Lorda Smoka, maszerując ze swoją armią na Seanchan, czyli Murandy albo Światłość tylko wiedziała, na kogo jeszcze czy dokąd. Zbyt głupi, by go zostawiać, zbyt potężny, by go odepchnąć, i dlatego towarzyszył teraz Randowi, przekonany zresztą, że tym samym oddano mu należny honor. Aż żał brał, że nie jest aż tak głupi, by zrobić to, co zasługiwało na egzekucję.

Tuż za nimi jechali słudzy oraz zwykłe fury – nikt nie potrafił pojąć, dlaczego Rand odesłał wszystkie wozy z pozostałymi, a on nie zamierzał nikomu się tłumaczyć – potem długie szeregi zapasowych koni prowadzone przez stajennych, a następnie niezborne zastępy mężczyzn w pogiętych napierśnikach, które nie zawsze na nich pasowały, albo w skórzanych kamizelach z naszytymi zardzewiałymi kółkami, uzbrojeni w łuki, kusze, włócznie, a kilku nawet w piki; była to większa część tych, którzy usłuchali wezwania „lorda Brenda” i postanowili, że nie wrócą do domów bez broni. Dowodził nimi Eagan Padros, człowiek, któremu wечно ciekło z nosa i który był znacznie bystrzejszy, niż wyglądał, ten sam, z którym Rand rozmawiał na skraju lasu. Człowiekowi z gminu trudno było zajść daleko, a jednak Rand wyróżnił Padrosa, któremu teraz udało się nawet zebrać swoich ludzi w jednym miejscu, ale kręcili się niespokojnie i poszturchiwali wzajem łokciami, żeby móc lepiej widzieć południe.

Grobla Północnej Gwiazdy, szeroki trakt z ubitej na kamień ziemi przerywany płaskimi kamiennymi mostami, ciągnęła się przez wiele mil, po linii prostej jak lot strzały, przecinając brunatne bagna otaczające Illian. Południowy wiatr niósł morską sól i woń garbarni. Illian było wielkim miastem, z pewnością równie dużym jak Caemlyn czy Cairhien. Kolorowe dachówki i setki smukłych połyskujących w słońcu wież były ledwie widoczne zza morza traw, po którym brodziły długonogie żurawie i skąd ulatywały stada krzykliwych białych ptaków. Illian nigdy nie potrzebowało murów. Aczkolwiek zwykłe mury z kamienia na pewno by nie zatrzymały Randa.

Wszyscy mocno się rozczarowali na wieść, że Rand nie zamierza wjeżdżać do Illian, aczkolwiek nikt nie wypowiedział ani słowa skargi, w każdym razie nie w taki sposób, by on mógł usłyszeć. A jednak rozbijaniu prowizorycznych obozowisk towarzyszyło wiele ponurych spojrzeń i kwaśnych pomruków. Podobnie jak większość dużych miast, Illian słynęło ze swych egzotycznych tajemnic, hojnych barmanów i wyuzdanych kobiet. Przynajmniej wśród ludzi, którzy nigdy go nie widzieli, a do tych zaliczali się też obywatele ziem mieniących Illian swą stolicą. W każdym razie jedynie Morr pogalopował przed siebie groblą. Mężczyźni prostowali się nad kołkami od namiotów

albo palikami dla koni i śledzili go zazdrosnymi oczyma. Arystokraci obserwowali go z ciekawością, starając się udawać, że wcale tego nie robią.

Asha'mani z Gedwynem nie zwrócili uwagi na Morra, zajęci organizowaniem własnego obozu, którego główny punkt stanowił czarny jak smoła namiot dla Gedwyna i Rochaida, jego zaś otaczały niewielkie poletka, gdzie wilgotna, zbrązowiała trawa i błoto zostały dokładnie sprasowane i osuszone. Na tak przygotowanym gruncie mieli spać pozostali, otuleni w swoje płaszcze. Rzecz jasna, wykorzystali do tego Moc; Asha'mani wykorzystywali Moc do -wszystkich czynności, nawet się nie trudząc rozpalaniem ognisk. Niektórzy mieszkańcy innych obozów przyglądali im się wielkimi oczyma, zwłaszcza wtedy, kiedy czarny namiot wyrastał jakby mocą własnej woli, a od siodeł fruwały wiklinowe kosze, większość jednak odwracała głowy w przeciwną stronę, gdy do nich docierało, co się tam dzieje. Dwóch albo trzech odzianych w czarne kaftany Żołnierzy mamrotało chyba coś do siebie.

Flinn i inni nie przyłączyli się do grupy Gedwyna – mieli kilka własnych namiotów, które zostały wzniesione nieopodal namiotu Randa – ale Dashiva podszedł do „Dowódcy Oddziałów Szturmowych” i „Dowódcy Oddziałów Natarcia”, którzy stali w niedbałych pozach i od czasu do czasu rzucali ostrym głosem jakieś rozkazy. Zamienił z nimi kilka słów i zaraz wrócił, kręcąc głową i mrucząc coś gniewnie pod nosem. Gedwyn i Rochaid nie byli usposobieni przyjaźnie. Nie oni jedni zresztą.

Rand natychmiast wycofał się do swego namiotu, gdy ten tylko stanął, po czym legł w pełni ubrany na posłaniu, ze wzrokiem wbitym w skośny dach. Spodnia strona jedwabiu, z którego wykonano namiot, też była pokryta haftem przedstawiającym pszczoły. Hopwil przyniósł mu cynowy dzban pełen parującego wina przyprawionego korzeniami – Rand nie zabrał swoich służących – ale stygło na stoliku do pisania. Umysł pracował mu na najwyższych obrotach. Najdalej za dwa, może trzy dni na Seanchan spadnie cios; który zwali ich z nóg. Potem trzeba będzie wrócić do Cairhien i sprawdzić, jak poszły negocjacje z Ludem Morza, dowiedzieć się, do czego zmierza Cadsuane – był jej dłużnikiem, ale ta kobieta naprawdę go intrygowała! – może ostatecznie rozprawić się z niedobitkami rebelii. Ciekawe, czy Caraline Damodred i Darlin Sisnera nie skorzystali przypadkiem z zamieszania i nie uciekli. A Wysoki Lord Darlin mógłby położyć kres rebelii w Łzie, jeśli nim umiejętnie pokierować. Andor. Jeżeli Mat i Elayne są w Murandy, na co wszystko wskazywało, to w takim razie upłynie jeszcze wiele tygodni – w najlepszym razie – zanim Elayne zasiądzie na Tronie Lwa. A kiedy to już się stanie, będzie musiał trzymać się z dala od Caemlyn. Koniecznie natomiast trzeba było pogadać z Nynaeve. Czy da się oczyścić *saidina*? Może tak. Ale równocześnie można zniszczyć cały świat. Lews Therin zamamrotał coś do niego głosem wyrażającym najczystsze przerażenie. Na Światłość, gdzie ten Narishma?

Cemarus podpełzał, jeszcze gwałtowniejszy w takiej bliskości morza. Krople deszczu uderzające o płótno łomotały niczym bęben. Wejście do namiotu rozświetlało błękitno-białe światło błyskawic, grzmiały pioruny, wydając taki odgłos, jakby to góry przetaczały się po ziemi.

Właśnie z takiej nawałnicy wszedł do namiotu Narishma, cały ociekający wodą, jego ciemne włosy oblepiały mu czaszkę. Rand nakazał mu za wszelką cenę unikać ściągania na siebie uwagi. Żadnego chwalenia się, kim jest. Narishma miał na sobie bury kaftan, teraz całkowicie przemoczony, a włosów nie splótł w warkocz, tylko związał je z tyłu. Sięgający pasa warkocz u mężczyzny przyciągałyby wzrok nawet wtedy, gdyby nie zdobiły go dzwoneczki. Narishma miał krzywą minę, a pod pachą niósł owalny tobołek związany powrozem, grubszy od męskiego uda.

Rand poderwał się z posłania i porwał tobołek, zanim Narishma zdążył mu go podać.

– Czy ktoś cię widział? – spytał. – Co tak długo? Spodziewałem się ciebie ubiegłej nocy!

– Trochę potrwało, zanim wymyśliłem, co robić – odparł beznamiętnym głosem Narishma. – Nie powiedziałaś mi wszystkiego. Omal mnie nie zabiłaś.

Niedorzeczność. Powiedział temu człowiekowi wszystko, co tamten musiał wiedzieć. Tego był pewien. Po prostu nie widział sensu w obdarzaniu Narishmy przesadnym zaufaniem, skoro ów mógł przez niego zginąć i wszystko zniszczyć. Ostrożnie wepchnął tobolek pod posłanie. Ręce drżały mu z pragnienia, by go natychmiast rozpakować i sprawdzić, czy w środku jest to, po co posłał Narishmę. Który nie odważyłby się wrócić, gdyby tak nie było.

– Przebierz się w świeży kaftan, zanim się przyłączysz do pozostałych – powiedział. – I, Narishma... – Wyprostował się, wbijając w tamtego niewzruszone spojrzenie. – Jak komuś o tym wszystkim opowiesz, to cię zabiję.

„Zabij cały świat” – zaśmiał się Lews Therin drwiąco. Tonem rozpaczony. – „Ja zabiłem świat, to i ty też możesz, pod warunkiem że się postarasz”.

Narishma z całej siły uderzył się pięścią w pierś.

– Jak rozkażesz, Lordzie Smoku – odparł kwaśnym tonem.

Wczesnym promiennym rankiem następnego dnia tysiąc mężczyzn z Legionu Smoka wymaszerowało z Illian, po Grobli Północnej Gwiazdy, krocząc zgodnie z rytmem podawanym przez bębny. Cóż, rano na pewno było wczesny. Na niebie kłębiły się gęste szare chmury, a słona morską bryza rozwiewała płaszcze i sztandary, zwiastując swym pomrukiem nadejście kolejnej burzy. Członkowie Legionu przyciągali niemałą uwagę już w obozowisku, dzięki andorańskim hełmom pomalowanym na niebiesko oraz długim niebieskim kaftanom z wyszytym na piersi czerwono-złotym Smokiem. Każdą z pięciu kompanii wyróżniał niebieski sztandar z wizerunkiem Smoka oraz numerem. Ludzie z Legionu różnili się pod wieloma względami. Na przykład mieli na sobie napierśniki, ale ukryte pod kaftanami, żeby nie zakrywać Smoków – z tego samego powodu kaftany zapinały się z boku – i wszyscy nosili krótkie miecze przy biodrach oraz okute stałą kusze, ułożone na ramionach pod jednakowym kątem. Oficerowie szli pieszo, każdy z wysokim czerwonym pióropuszem przy hełmie, tuż przed bębniem i sztandarem. Nie mieli koni oprócz wierzchowca mysiej barwy, na którym jechał Morr, oraz jucznych koni, które zamykały pochód.

– Piechota – mruknął Weiramon, uderzając wodzami o dłoń w rękawicy. – A żeby mi dusza szczyła, piechota do niczego się nie nadaje. Pierzchną przy pierwszej szarzy. Albo i wcześniej. – Czoło kolumny schodziło już z grobli. Pomogli w odbiciu Illian i wcale nie pierzchli.

Semaradrid pokręcił głową.

– Żadnych pik – mruknął. – Widywałem już dobrze dowodzoną piechotę, tyle że z pikami, za to bez... – Z gardła wyrwał mu się odgłos obrzydzenia.

Gregorin Panar, trzeci mężczyzna, który zatrzymał się obok Randa, by stamtąd obserwować nowo przybyłych, nic nie powiedział. Może on akurat nie żywił żadnych uprzedzeń względem piechoty – gdyby tak było, zaliczałby się do nielicznej garstki arystokratów znanych Randowi, którzy mieli pod tym względem otwarty umysł – ale z całej siły starał się nie krzywić i prawie mu się udawało. Wszyscy już wiedzieli, że ludzie ze Smokiem na piersi otrzymali broń, bo postanowili przyłączyć się do Randa, bo postanowili przyłączyć się do Smoka Odrodzonego, bez żadnego innego powodu, oprócz tego, że chcieli. Illianin zapewne się zastanawiał, dokąd to Rand chce posłać Legion, skoro Rada Dziewięciu okazała się na tyle godna zaufania, by to wiedzieć. A skoro już o tym mowa, Semaradrid przyglądał się Randowi z ukosa. Jedynie Weiramon był za głupi, by w ogóle się nad czymś zastanawiać.

Rand zawrócił Tai'daishara. Przepakował tobolek przywieziony przez Narishmę, zmieniając go w nieco chudsze zawiniątko, i przywiązał go rzemieniem pod skórą lewego strzemiona.

– Zwijajcie obóz, ruszamy – powiedział do trzech arystokratów.

Kazał Dashivie utkać bramę. Obdarzony pospolitą twarzą mężczyzna spojrzął na niego koso i coś wymamrotał pod nosem – w rzeczy samej wyglądał na obrażonego z jakiegoś powodu! – a Gedwyn i Rochaid, jadący konno ramię w ramię, przyglądali się z sardonicznymi uśmiezkami, kiedy srebrzysta świetlna kreska obróciła się i przekształciła w otwór w powietrzu. Raczej jednak przyglądali się Randowi niż Dashivie. A niech sobie patrzą. Ileż to już razy obejmował *saidina*, ryzykując, że upadnie za sprawą zawrotów głowy? Nie dopuścił jednak, by ktoś to widział.

Tym razem brama przeniosła ich na szeroki gościniec wykuty skroś niskich, porośniętych krzakami podnóży gór położonych na zachodzie. Góry Nemarellin. Nie dorównywały Górom Mgły, a Grzbietowi Świata nie dostawały w ogóle, ale ich ciemne szczyty rysowały się surową linią na tle nieba, ostre wierzchołki, które ograniczały niczym mur zachodnie wybrzeże Illian. Za nimi znajdowała się Głębia Kabala, a jeszcze dalej...

Nie minęło wiele czasu i ludzie zaczęli rozpoznawać te szczyty. Gregorin Panar raz omiół wzrokiem otoczenie i pokiwał głową, ni stąd, ni zowąd z czegoś zadowolony. Pozostali trzej członkowie Rady oraz Marcolin ściągnęli wodze, by podjechać do niego bliżej i zamienić słowo, gdy tymczasem z bramy wciąż wylewał się potok konnicy. Semaradrid potrzebował tylko odrobinę czasu więcej, by rozszyfrować zagadkę; również Tihera i inni mieli takie miny, jakby już się połapali.

Srebrna Droga łączyła Miasto z Lugard i stanowiła główną trasę handlu lądowego z zachodem. Istniała również Złota Droga, która wiodła do Far Madding. Te drogi i ich nazwy wywodziły się jeszcze z czasów poprzedzających powstanie Illian. Przez całe wieki koła, kopyta i buty ubiły ich powierzchnię na kamień, tak że podczas cemaros jedynie z wierzchu pokrywało ją błoto. Zaliczały się do tych nielicznych dróg w Illian, po których duże grupy ludzi mogły przemieszczać się również zimą. Wszyscy dowiedzieli się o Seanchanach już w Ebou Dar, przy czym z opowieści, których Rand nasłuchał się z ust ludzi tworzących armię, wynikało, że najeźdźcy to kuzyni trolloków, tylko znacznie od nich wredniejsi. Jeżeli Seanchanie zamierzali uderzyć na Illian, to Srebrna Droga stanowiła znakomite miejsce, z którego można je było bronić.

Semaradridowi i innym wydawało się, że rozumieją jego strategię: na pewno się dowiedział, że nadciągają Seanchanie, a Asha'mani są tu po to, by ich zniszczyć. Żaden nie wyglądał na specjalnie zmartwionego tym, że to im pozostawiało niewiele do roboty, co wcale nie dziwiło, jeśli wziął pod uwagę krążące o Seanchanach historie. Zmartwił się tylko Weiramon, któremu oczywiście musiał to wszystko wytłumaczyć Tihera, aczkolwiek usiłował to ukryć za pompatyczną tyradą poświęconą mądrości oraz militarnemu geniuszowi Lorda Smoka, której towarzyszyło zapewnienie, że to on, osobiście, poprowadzi pierwszą szarżę na Seanchan. Nadęty dureń. Może szczęście dopisze i wszyscy, którzy dowiedzą się o koncentracji sił na Srebrnej Drodze nie okażą się o wiele bystrzejsi od Semaradrida albo Gregorina. Może szczęście dopisze i nikt, kto się liczył, nie dowie się o niczym, zanim nie będzie za późno.

Rand nastawił się na czekanie, przekonany, że to potrwa dzień czy dwa, a jednak mijał tak dzień za dniem i już zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest takim samym durniem jak Weiramon.

Większość Asha'manów rozproszyła się po Illian, Łzie i Równinach Maredo, szukając ludzi, których kazał im znaleźć Rand. Szukali, mimo że szalał cemaros. Niby mogli posługiwać się bramami i Podróżować, a jednak nawet Asha'mani potrzebowali czasu, by znaleźć tych, których szukali, bo ulewne deszcze nie pozwalały widzieć dalej niż na pięćdziesiąt kroków, a powstałe trzęsawiska niemal całkiem zatamowały obieg plotek. Asha'man pokonywał milę i dowiadywał się, że poszukiwani przezeń ludzie znowu przemieścili się dalej. Niektórych czekała jeszcze dłuższa przejażdżka za bramą, musieli bowiem dosłownie gonić ludzi, którym bynajmniej nie w smak było

spotkanie z nimi. Minęło wiele dni, zanim pierwszy Asha'man przywiózł jakieś wieści.

Wysoki Lord Sunamon, który przyłączył się do Weiramona, był tłustym mężczyzną o nienagannych manierach, przynajmniej w stosunku do Randa. Wytworny w swym jedwabnym kaftanie, zawsze uśmiechnięty, chętnie deklarował lojalność, a jednak spiskował przeciwko Randowi od tak dawna, że zapewne robił to nawet podczas snu. Przybył też Wysoki Lord Torean, z tą swoją bulwiastą twarzą farmera i nieprzebrany bogactwem, bąkał coś o honorze, jaki go spotyka, skoro oto może znowu jechać u boku samego Lorda Smoka. Toreana nic nie interesowało bardziej niż złoto, z wyjątkiem być może przywilejów, jakie Rand odebrał arystokratom z Łzy. I zdruzgotała go wieść, że w obozie nie ma ani jednej posługaczki, w okolicy zaś żadnej wioski, gdzie dałoby się znaleźć jakieś potulne dziewczęta. Torean spiskował przeciwko Randowi z takim samym zapamiętaniem jak Sunamon. Być może z jeszcze większym niż Gueyam, Maraconn czy Aracome.

Systematycznie przybywali pozostali. Był wśród nich Bertome Saighan, niski i przystojny mężczyzna, który golił sobie przód czaszki. Powiadali, że nie opłakiwał zbyt żarliwie śmierci swej kuzynki Colavaere, bo teraz to on został nową Głową Domu Saighan, a poza tym musiały do niego dotrzeć pogłoski, jakoby egzekucję przeprowadzono na rozkaz Randa: Albo że to sam Rand ją zamordował. Bertome kłaniał się i uśmiechał, uśmiechem, który nigdy nie obejmował jego ciemnych oczu. Niektórzy powiadali, że bardzo lubił swoją kuzynkę. Przybyła też Ailil Riatin, szczupła, pełna godności kobieta o dużych ciemnych oczach, niemłoda, ale dość jeszcze ładna, która protestowała, że nie zamierza sama ruszać w pole, bo od dowodzenia swymi zbrojnymi ma Kapitana Lansjerów. Ona też zapewniała o swej lojalności względem Lorda Smoka. Niemniej jednak jej brat Toram rościł sobie prawo do tronu, który Rand chciał przekazać Elayne, i szeptało, że zrobiłaby dla Torama wszystko, dosłownie wszystko. Że nawet przyłączyłaby się do jego wrogów, żeby im coś utrudnić albo przeciwko nim szpiegować, albo jedno i drugie, rzecz jasna. Przyjechali też Dalthanes Annalin, Amondrid Osiellin i Doressin Chuliandred, lordowie, którzy wsparli Colavaere na Tronie Słońca, bo im się wydawało, że Rand nigdy nie wróci do Cairhien.

Cairhienianie i Tairenianie zjawiali się jedno po drugim, każde ze wsparciem świty liczącej co najwyżej pięćdziesięciu czy w najlepszym razie stu ludzi. Mężczyźni i kobiety, którym ufał jeszcze mniej niż Gregorinowi albo Semaradridowi. Przeważnie jednak byli to mężczyźni, nie dlatego, by uważał kobiety za mniej niebezpieczne – nie był aż tak wielkim durniem; kobieta potrafiła zabić dwa razy szybciej niż mężczyzna i zazwyczaj z mało istotnego powodu! – ale dlatego, bo nie potrafiłyby zabrać tam, dokąd się wybierał, jakiegokolwiek kobiety z wyjątkiem tych najbardziej niebezpiecznych. Ailil potrafiła uśmiechać się ciepło i jednocześnie kalkulować, jak najbardziej poręcznie wsadzić ci nóż między żebra. Wysoka Lady Anaiyella, smukła i gibka, która znakomicie udawała piękną idiotkę, wróciła do Łzy z Cairhien i zaczęła otwarcie mówić o sobie jako o kandydatce do wciąż jeszcze nie istniejącego tronu Łzy. Być może była głupia, ale udało jej się zdobyć spore poparcie, zarówno wśród arystokracji, jak i na ulicach.

I takim to sposobem wreszcie zebrał ich przy sobie, tych wszystkich ludzi, których dawno temu spuścił z oka. Nie był w stanie obserwować ich wszystkich przez cały czas, ale nie mógł dopuścić, by zapomnieli, że czasami rzeczywiście tak się działo. Zebrał ich i czekał. Przez dwa dni. Zgrzytał zębami i czekał. Pięć dni. Osiem.

Deszcz tłukł w płótno jego namiotu stłumionym werblem, kiedy nareszcie przybył ostatni człowiek, na którego czekał.

Davram Bashere strząsnął z nieprzemakalnej peleryny niewielką strugę wody, z obrzydzeniem dmuchnął w swe gęste, przetkane siwizną wąsy i cisnął pelerynę na fotel o wysokim oparciu. Był niskim mężczyzną, obdarzonym wydatnym, orlim nosem, a jednak sprawiał wrażenie roślejszego. Nie

dlatego, że się przeżył, ale dlatego, że zakładał, iż dorównuje wzrostem wszystkim obecnym i zresztą inni rzeczywiście tak uważali. W każdym razie czynili tak ci roztropni. Na swoją zakończoną wilczym łbem, rzeźbioną z kości słoniowej buławę Marszałka-Generała Saldaei, wetkniętą teraz beztrąsko za pas od miecza, Bashere zasłużył sobie na dziesiątkach pól bitewnych i przy tyluż stołach obrad. Zaliczał się do tych nielicznych, którym Rand powierzyłby własne życie.

– Wiem, że nie lubisz niczego wyjaśniać – mruknął Bashere – ale byłbym rad, gdybyś mnie jednak trochę oświecił. – Poprawiwszy swój miecz z płomienistą głownią, rozsiadł się na drugim krześle i przerzucił nogę przez oparcie. Zawsze zdawał się swobodny i odprężony, ale w razie konieczności potrafił rozprostować się prędzej niż bicz. – Tamten Asha’man nie chciał powiedzieć nic więcej oprócz tego, że potrzebujesz mnie na wczoraj, a jednak zakazał zabierać więcej niż tysiąc ludzi. Miałem przy sobie tylko połowę takiej liczby, ale przywiozłem ich. I widzę, że tu wcale nie zanoszą się na bitwę. Połowa godeł, które tu zauważyłem, należy do ludzi, którzy ugryźliby się w język, gdyby zobaczyli za twoimi plecami jakiegoś rzeźmieszka z nożem, a wśród pozostałych większość starałaby się odwrócić twoją uwagę. Nie mówiąc o tym, że zapewne opłaciliby nożownika.

Rand, który siedział w samej koszuli za stolikiem do pisania, zmęczonym gestem przycisnął wnętrza dłoni do oczu. Nie zabrał Boreane Carivin, toteż knoty świec nie były przycięte jak należy i w powietrzu wisiała mgielka dymu. Ponadto prawie wcale nie spał tej nocy, bo studiował mapy rozesłane na stole. Mapy południowej Altary. Nie znalazł dwóch jednakowych.

– Jeśli zamierzasz toczyć bitwę – powiedział do Bashere’a – to kim lepiej zapłacić rachunek rzeźnikowi, jak nie ludźmi, którzy życzą ci śmierci? Tak czy owak, w tej bitwie to nie żołnierze będą zwycięzcami. Ich zadaniem będzie jedynie pilnowanie, by nikt nie wziął podstępem Asha’manów. I co ty na to?

Bashere parsknął tak głośno, że aż mu się wzburzyły wąsy.

– To śmiertcionośny gulasz, takie jest moje zdanie. I ktoś udławi się nim na śmierć. Oby Światłość sprawiła, abyśmy to nie byli my. – I wybuchł śmiechem, jakby właśnie powiedział znakomity dowcip.

Lews Therin też się roześmiał.

# ROZDZIAŁ 22

## GROMADZĄ SIĘ CHMURY

Z nieba nieprzerwanie siąpiła mżawka, gdy niewielka armia Randa formowała kolumny na niskich pofałdowanych wzgórzach wypiętrzających się równolegle do szczytów Nemarellin, ciemnych i wyrazistych na tle zachodniego nieba. Nic wprawdzie nie nakazywało stawać twarzą do kierunku, w którym zamierzało się Podróżować, a jednak Rand czuł zawsze, że jakoś nie godzi się postępować inaczej. Mimo deszczu gwałtownie rzednące szare chmury przepuszczały zaskakująco jasne promienie słońca. A może to tylko w porównaniu z ostatnimi mrokami ten dzień zdawał się taki świetlisty.

Na czele czterech kolumn stali Saldaeanie Bashere'a, odziani nie w zbroje, tylko krótkie kaftany. Czekali cierpliwie obok swych wierzchowców pod niewielkim lasem lśniących lanc; na czele pozostałych pięciu znajdowali się mężczyźni odziani w niebieskie kaftany ze Smokiem wyhaftowanym na piersi – dowodził nimi niski, umięśniony Jak Masond. Zazwyczaj zaskakująco żywy, stał teraz w bezruchu, z nogami w rozkroku i rękoma splecionymi na plecach. Wszyscy jego ludzie zeszli się już, gdzie im kazano, podobnie Obrońcy i Towarzysze, którzy zrzędzili, że przydzielono im miejsce z tyłu za piechotę. Za to arystokraci i ich ludzie kręcili się niespokojnie, jakby nie bardzo wiedzieli, gdzie się mają ustawić. Gęste błocko kleiło się do kopyt i butów, grzęzły w nim koła, coraz częściej słychać było przekleństwa. I dlatego trochę to potrwało, zanim udało się sformować sześć tysięcy przemoczonych mężczyzn, którzy z każdą chwilą mokli coraz bardziej. A jeszcze pozostawały tabory i remonty.

Rand wdział swoje najprzedniejsze ubranie, dzięki czemu wyróżniał się na pierwszy rzut oka. Muśnięciem Mocy wypolerował grot Berła Smoka, który teraz błyszczał niczym lustro, oczyścił też starannie Koronę Mieczy. Poślacana sprzączka od pasa w kształcie Smoka lśniła pochwyconym światłem i podobnie jak złote hafty na kaftanie z niebieskiego jedwabiu. Przez chwilę żałował, że pozbył się klejnotów, które swego czasu zdobiły rękojeść i pochwę jego miecza. Ciemna skóra dzika była praktyczna, ale z taką mógł paradować byle żołnierz. A niech ludzie wiedzą, kim jest. A niech Seanchanie wiedzą, kto przybywa, żeby ich rozgromić.

Siedział na grzbiecie Tai'daishara, na samym środku rozległej polany, i zniecierpliwiony obserwował arystokratów kłębiących się wśród wzgórz. Nieco dalej dosiedli koni Gedwyn i Rochaid, na czele swych podkomendnych uformowanych w idealny czworobok, Oddani w przednim szeregu, Żołnierze za nimi. Wyglądało to tak, jakby szykowali się do parady. Siwowłosych albo łysych było wśród nich tyle samo co młodych – kilku było równie młodych jak Hopwil czy Morr – ale wszyscy co do jednego dysponowali siłą wystarczającą do utworzenia bramy. Tak brzmiał wstępny warunek. Flinn i Dashiva czekali za plecami Randa, w jednej gromadce z Adleyem, Morrem, Hopwilem i Narishmą. Towarzyszyło im dwóch sztywno siedzących w siodłach chorążych, jeden Tairenianin i jeden Cairhienianin, ich napierśniki, hełmy i nawet okute stałą wierzchy rękawic zostały wypolerowane tak starannie, że aż lśniły. Purpurowy Sztandar Światłości i podłużny Sztandar Smoka zwisały bezwładnie, ociekając wodą. Rand objął Moc wcześniej, jeszcze w namiocie, gdzie nikt nie mógł zauważyć jego chwilowej słabości i teraz rzadkie krople dżdżu nie miały się ani jego, ani konia.

Tego dnia skaza na *saidinie* dawała się wyjątkowo we znaki, gęsty, brudny olej, który sączył się z wszystkich porów skóry i plamił aż do kości. Który plamił duszę. Już mu się wydawało, że do jakiegoś stopnia przywykł do tego plugastwa, a jednak dzisiaj przyprawiało go ono wręcz o mdłości,

silniej niż zlodowaciały ogień i wrzący chłód samego *saidina*. Ostatnimi czasy obejmował Źródło tak długo, jak się dało, żeby się bronić przed kolejnymi napadami mdłości. Powodowały rozproszenie uwagi, którego skutki mogły się okazać śmiertelne. Niewykluczone, że to wszystko było efektem tych zawrotów głowy. Światłości, nie mógł oszaleć już teraz, nie mógł umrzeć. Jeszcze nie teraz. Jeszcze tyle pozostało do zrobienia.

Przycisnął lewą nogę do boku Tai'daishara, po to tylko, by poczuć podłużny tobolek przymocowany między strzemieniem i szkarłatnym czaprakiem. Za każdym razem, kiedy to robił, coś dziwnego zaczynało pełznąć po skorupie Pustki. Jakieś uczucie, wyczekiwanie jakby i może szczypta strachu. Koń, doskonale wyszkolony, zaczął z miejsca skręcać w lewo i Rand musiał go powstrzymać. Kiedyż ci arystokraci wreszcie się ustawią? Aż zazgrzytał zębami ze zniecierpliwienia.

Pamiętał z dzieciństwa, jak ludzie sobie żartowali, że gdy pada deszcz i jednocześnie świeci słońce, to znaczy, że Czarny bije Semirhage. Nie raz jednak słyszało się przebijający z tych żartów niepokój, a chuderlawy stary Cenn Buie złowieszczym tonem dopowiadał, że po czymś takim Semirhage będzie obolała i zła i dlatego chętnie dobierze się do skóry małym chłopcom, którzy wchodzi w drogę starszym. Rand zawsze rzucał się do ucieczki, kiedy słyszał coś takiego. A teraz żałował, że Semirhage nie przyjdzie dobrać mu się do skóry właśnie w tej chwili. Już on doprowadziłby ją do płaczu.

„Nic nie wyciśnie łez z oczu Semirhage” – mruknął Lews Therin. – „To ona doprowadza innych do płaczu, sama płakać nie potrafiąc”.

Rand zaśmiał się cicho. Gdyby pojawiła się akurat dzisiaj, to na pewno doprowadziłby ją do płaczu. Ją i wszystkich Przeklętych, gdyby to dzisiaj miało się stać. Za to Seanchanie z całą pewnością zapłaczą.

Nie wszystkich zachwyciły jego rozkazy. Przymilny uśmiech na twarzy Sunamona gasł, gdy mu się wydawało, że Rand nie patrzy. Torean trzymał flaszkę w swoich sakwach, bez wątpienia wypełnioną brandy, a może było to kilka flaszek, bo pił bez ustanku i jakoś nigdy mu nie brakowało. Semaradrid, Marcolin i Tihera stanęli przed Randem z ponurymi twarzami i jęli się wyklócać o liczby. Jeszcze kilka lat wcześniej blisko sześciotysięczna armia mogłaby stanąć do każdej wojny, ale od tego czasu napatrzyli się na armie liczące dziesiątki, nawet setki tysięcy, zupełnie jak za Artura Hawkwinga, toteż przeciwko Seanchanom chcieli ruszać na czele jeszcze liczniejszej. Mieli bardzo niezadowolone miny, kiedy ich odesłał. Nie rozumieli, że pięćdziesięciu paru Asha'manów to młot najlepszy z możliwych. Zastanawiał się, jak by zareagowali, gdyby im oznajmił, że sam jest dostatecznie tęgim młotem. Wcześniej rozważał nawet pomysł, by zrobić to w pojedynkę. I niewykluczone, że tak się w końcu stanie.

Pojawił się Weiramon, niezadowolony, że ma słuchać rozkazów Bashere, że jadą w góry – w górach nie dało się poprowadzić szarzy jak należy – i z jeszcze kilku innych powodów, z których Rand nie pozwolił mu się zwierzyć.

– Ten Saldaeanin to chyba sobie myśli, że powinienem jechać na prawej flance – mruknął lekceważącym tonem Weiramon. Napiął ramiona, jakby ta prawa flank to była jakaś wielka obelga, nie wiedzieć zresztą czemu. – No i ta piechota, mój Lordzie. Uważam, że doprawdy...

– A ja uważam, że powinieneś przygotować swoich ludzi – przerwał mu chłodnym tonem Rand. Ten chłód był częściowo, spowodowany unoszeniem się w pozbawionej emocji pustce. – Bo inaczej nie znajdziesz się na żadnej flance. – Dał mu tym samym do zrozumienia, że nie zabierze go ze sobą, jeśli nie będzie gotów na czas. Z pewnością taki dureń nie dałby rady narobić szkody w całkiem odosobnionym miejscu z pomocą zaledwie garstki żołnierzy. Nie zdążyłby dojechać do jakiegokolwiek



ludzkiej osady większej od wioski przed jego powrotem.

Weiramonowi krew odpłynęła z twarzy.

– Jak Lord Smok rozkaże – powiedział, jak na niego, dość żarliwym tonem i zawrócił konia, zanim te słowa na dobre opuściły jego usta. Tego dnia dosiadał wysokiego gniadosza o szerokiej piersi.

Po chwili przed Randem ściągnęła wodze bladolica lady Ailil. Towarzyszyła jej Wysoka Lady Anaiyella, ale nie tylko dlatego obie stanowiły dziwną parę, że ich narody nienawidziły się wzajemnie. Ailil była wysoka, jak na Cairhieniankę, i stanowiła samo wcielenie godności i doskonałości, poczynając od łuku brwi, przez ruch dłoni odzianej w czerwoną rękawicę, a kończąc na sposobie, w jaki peleryna od deszczu z kołnierzem naszywanym perłami układała się na zadzie jej myszatej klaczy. W odróżnieniu od Semaradrida czy Marcolina, Weiramona czy Tihery, nawet nie za-j mrugała, gdy spostrzegła, że krople deszczu ściekają po nim i nie zostawiają ani śladu. Za to Anaiyella nie potrafiła stłumić mimowolnej reakcji. I głośno zaparło jej dech. A potem zachichotała, ukrywając usta dłonią. Anaiyella była wiotka i piękna mroczną urodą, miała na sobie pelerynę od deszczu z kołnierzem z rubinów i haftowaną złotem, ale na tym kończyło się wszelkie podobieństwo do Ailil. Anaiyella kryła w sobie moc afektowanej elegancji i sztucznego wdzięku. Ukłoniła się i razem z nią jej biały koń, uginając przednie nogi. Roztańczony rumak mógł wywoływać podziw, ale Rand podejrzewał, że brak mu charakteru. Podobnie jak jego pani.

– Lordzie Smoku – rzekła Ailil – muszę raz jeszcze zaprotestować przeciwko wcielaniu mnie w poczet tej... ekspedycji. – Mówiła głosem chłodnym i neutralnym, choć nie całkiem nieprzyjaznym. – Poślę moich dworzan tam, gdzie każesz i kiedy rozkażesz, ale nie mam chęci znaleźć się w wirze jakiejś bitwy.

– Och, tylko nie to! – dodała Anaiyella, subtelnie się wzdygając. Ta kobieta mizdrzyła się nawet tonem głosu! – Bitwy to obrzydliwość. Tak twierdzi mój Mistrz Koni. Z pewnością nie każesz nam jechać, Lordzie Smoku? Słyszałyśmy, że kobiety otaczasz wyjątkową troską. Nieprawdaż, Ailil?

Rand był tak zdumiony, że dopuścił, by Pustka się roztrzaskała, *a saidin* gdzieś się zapodziało. Krople deszczu zaczęły przeciekać przez włosy i przesączać się pod kaftan, ale przez tę chwilę, gdy ścisnął łęk siodła, by utrzymać się w pozycji pionowej, i widział cztery kobiety zamiast dwóch, był zbyt zamroczony, by to zauważyć. Ile one wiedziały? Usłyszały o tym? Ilu ludzi wiedziało? Skąd ktokolwiek to wiedział? Światłości, krążyły pogłoski, że zamordował Morgase, Elayne, Colavaere i jeszcze sto innych kobiet, przy czym każdą kolejną rzekomo zabijał w coraz to brutalniejszy sposób! Przełknął ślinę, żeby nie zwymiotować.

„Ażebym szezł, ilu szpiegów mnie obserwuje?” – Myśl, która zabrzmiała jak warknięcie.

„Martwi patrzą” – wyszeptał Lews Therin. – „Martwi nigdy nie zamykają oczu”. – Rand zadygotał.

– Rzeczywiście, staram się troszczyć o kobiety – zapewnił je, kiedy już był w stanie zapanować nad swoim głosem. – Dlatego właśnie chcę mieć was blisko siebie przez kilka następnych dni. Ale jeśli ten pomysł aż tak wam się nie podoba, to mógłbym oddelegować jednego z Asha’manów. W Czarnej Wieży będziecie bezpieczne. – Anaiyella pisnęła melodyjnie, ale twarz jej zszarzała.

– Dziękuję, ale nie skorzystam – odparła po chwili Ailil z całkowitym spokojem. – Przypuszczam, że powinnam raczej rozmówić się z moim Kapitanem Lansjerów o tym, czego należy się spodziewać. – Zawracała już swoją klacz, ale zatrzymała się jeszcze i spojrzała z ukosa na Randa. – Mój brat Toram jest... porywczy, Lordzie Smoku. Wręcz krewki. Mnie to nie dotyczy.

Anaiyella uśmiechnęła się o wiele za słodko do Randa i w rzeczy samej zadygotała nieznacznie, zanim poszła w ślady tamtej, ale gdy już była odwrócona tyłem do niego, uderzyła konia piętami i

zdziałała go harapem z rękojeścią wysadzaną klejnotami, po czym prędko minęła drugą kobietę. Biały koń okazał się zaskakująco chyży.

W końcu wszystko było gotowe i uformowane kolumny wężowym ruchem jęły się wciskać między wzgórza.

– Zaczynaj – powiedział Rand do Gedwyna, który zawrócił konia i jął wykrzykiwać rozkazy w stronę swoich ludzi. Ośmiu Oddanych wysforowało naprzód, po czym zsiadło z koni na terenie wyuczonym zawczasu na pamięć, stając twarzami w stronę gór. Jeden z nich wyglądał znajomo, szpakowaty mężczyzna z taireniańską bródką dziwacznie nie harmonizującą z pomarszczoną, wieśniaczą twarzą. Osiem pionowych kresek ostrego, błękitnego światła obróciło się i przeobraziło w otwory; za każdym roztaczał się inny krajobraz: rzadko zalesiona górską dolina zamknięta z jednej strony stromą przełęczą. W Altarze. W górach Venir.

„Zabij ich” – załkał błagalnie Lews Therin. – „Są zbyt niebezpieczni, by żyć!”

Rand nie myśląc nawet, stłumił ten głos. Przenoszący obok mężczyzna często wywoływał taką reakcję ze strony Lewsa Therina, zdarzało się, że wywoływał ją mężczyzna, który tylko potrafił przynosić. Przestał się już zastanawiać, dlaczego tak jest.

Rzucił półgłosem rozkaz i Flinn najpierw zamrugał ze zdziwieniem, a dopiero potem pospiesznie przyłączył się do szeregu i utkał dziewiątą bramę. Żaden nie potrafił uformować tak dużej bramy jak Rand, ale i tak w każdej zmieściłaby się fura, nawet jeśli z trudem. Tę dziewiątą zamierzał wcześniej utworzyć sam, ale nie chciał ryzykować, że znowu będzie obejmował *saidina* na oczach wszystkich. Zauważył, że Gedwyn i Rochaid go obserwują, z tymi samym chytrymi uśmiezkami. I podobnie obserwował go Dashiva, krzywiąc się, poruszając wargami, jakby gadał do siebie. Czy to tylko jego wyobraźnia, czy Narishma również przyglądał mu się z ukosa? Adley! On też? I Morr?

Rand mimo woli zadygotał. Rozsądek mu podpowiadał, że nie powinien ufać Gedwynowi i Rochaidowi, ale czyżby znienacka dopadło go to coś, co Nynaeve nazywała trwogą? Ten rodzaj mrocznego szaleństwa, które paraliżuje, każąc podejrzewać wszystko i wszystkich. Kiedy Rand był mały, jeden z Coplinów, Benly, nabrał przekonania, że wszyscy knują przeciwko niemu. Zagłodził się na śmierć z obawy przed trucizną.

Przylgnał do karku Tai'daishara i poprowadził go przez największą z bram. Była to, jak się okazało, brama utworzona przez Flinna, ale w tym akurat momencie skorzystałby nawet z bramy Gedwyna. Był pierwszy na altarańskiej ziemi.

Pozostali prędko podążyli jego śladem, przy czym Asha'mani jechali na czele. Dashiva zagapił się na Randa, marszcząc przy tym brwi, podobnie zareagował Narishma, ale Gedwyn zaczął natychmiast dyrygować Żołnierzami. Jeden po drugim gnali przed siebie, otwierali bramę i pokonywali ją biegiem, ciągnąc za sobą wierzchowce. Gnali w górę doliny, w otoczeniu błysków światła, które wskazywały, gdzie otworzyła się albo zamknęła brama. Asha'man potrafił Podróżować na niewielkie odległości bez potrzeby uprzedniego zapamiętywania terenu, który opuszczał, i w ten sposób poruszał się znacznie prędej niż konno. Niebawem zostali już przy nim tylko Gedwyn i Rochaid, nie licząc Oddanych, którzy podtrzymywali bramy. Reszta miała wachlarzem rozejść się na zachód w poszukiwaniu Seanchan. Saldaeanie wciąż jeszcze przybywali z Illian i dopiero teraz dosiadali swych wierzchowców. Członkowie Legionu rozproszyli się błyskawicznie między drzewami, z kuszami w pogotowiu. Po tym terenie pieszo poruszali się równie prędko co konni.

Kiedy z bram zaczęła się wynurzać pozostała część armii, Rand ruszył w głąb doliny, w tym samym kierunku, w którym zniknęli Asha'mani. Za jego plecami wznosiły się wysokie góry, po drugiej stronie których, niczym za murem, kryła się Głębia Kabala, ich zachodnie pasmo sięgało

niemal do samego Ebou Dar. Pognął konia galopem.

Bashere dogonił go, zanim dotarł do przełęczy. Jego wierzchowiec był mały – większość Saldaean jeździła na małych koniach – ale za to rączy.

– Niby nie ma żadnych Seanchan – stwierdził niemal zdawkowo, gładząc kłykiem wąsy. – Ale mogli być. Tenobia gotowa jest pewnie nabić moją głowę na pikę za to, że oddałem się pod rozkazy Smoka Odrodzonego. Przypuszczam, że stałoby się to dwakroć bardziej prawdopodobne, gdyby Smok okazał się martwy.

Rand skrzywił się. Może jednak zabrać Flinna, by pilnował jego pleców, może Narishmę i... Flinn uratował mu życie, ten człowiek nie mógł zdradzić. Ale ludzie przecież się zmieniają. A Narishma? Nawet po tym?... Przeszedł go chłód na myśl o ryzyku, jakiego się podjął. Nie, to nie trwoga... Narishma okazał się szczery, ale i tak nadal ryzyko było obłąkańcze. Tak obłąkańcze jak uciekanie przed spojrzeniami, które być może były tylko jego urojeniem, uciekanie tam, gdzie nie wiadomo, co go czekało. Bashere miał rację, ale Rand nie chciał już dłużej się nad tym rozwodzić.

Zbocza wiodące do przełęczy były pokryte nagimi głazami i kamieniami różnej wielkości, ale pośród nich walały się szczątki ogromnego posągu, niektóre tak zwietrzałe, że ledwie dawało się stwierdzić, że to obrobiony kamień. Upierścieniona dłoń, niemal tak wielka jak jego pierś, ścisnęła rękojeść miecza z kikutem ostrza szerszego od jego dłoni. Wielka głowa, głowa kobiety z pęknięciami w twarzy i koroną, która wyglądała jak zrobiona z wystawionych sztyletów, wśród których część ostała się jeszcze w całości.

– Jak myślisz, kim ona była? – spytał. Jakaś królową, to oczywiste. Nawet jeśli w zamierzchłych czasach kupcy albo uczeni nosili korony, to z pewnością jedynie władcom i generałom stawiano posągi.

Bashere okręcił się w siodle i chwilę przyglądał się głowie, zanim odpowiedział.

– Idę o zakład, że to jakaś królowa z Shioty – stwierdził w końcu. – Nie starsza. Widziałem kiedyś posąg wykonany w Eharon, był tak zniszczony, że nie dawało się orzec, czy to mężczyzna czy kobieta. Jakaś wojowniczką, bo inaczej nie byłaby wyobrażona z mieczem. I coś mi się wydaje, że w Shiocie dawali takie korony władcom, którzy poszerzali zasięg granic. Może nawet nazywali taką Koroną Mieczy? Któraś Brązowa siostra pewnie powiedziałałaby ci coś więcej na ten temat.

– To nie jest ważne – odparł z irytacją Rand. A jednak czubki tej korony rzeczywiście przypominały miecze.

Bashere i tak mówił dalej, ze śmiertelną powagą.

– Myślę, że wiwatowały jej tysiące, które nazywały ją nadzieją Shioty, może nawet w to wierząc. W swoich czasach mogli tak się jej bać i tak ją szanować jak później inni Artura Hawkwinga, ale niewykluczone, że nawet Brązowe nie znają jej imienia. Po twojej śmierci ludzie powoli zapominają, kim byłeś i czego dokonałeś albo co próbowałeś osiągnąć. Każdy w końcu umiera i każdy pada ofiarą zapomnienia, ale nie ma sensu umierać, dopóki nie nadejdzie twój czas.

– Wcale nie mam zamiaru – powiedział ostrym tonem Rand. Wiedział, gdzie umrze, choć rzecz jasna nie miał pojęcia kiedy. W każdym razie wydawało mu się, że wie gdzie.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch, tam, gdzie za kamiennym podłożem zaczynały się krzaki i rosło kilka małych drzewek. W odległości pięćdziesięciu kroków jakiś mężczyzna wyszedł na otwartą przestrzeń i podniósł łuk, gładkim ruchem przykładając upierzenie strzały do policzka. Wszystko działo się jakby jednocześnie.

Rand zawrócił Tai'daishara, ze zwierzęcym grymasem obserwując, jak łucznik prowadzi grot strzały jego śladem. Objął *saidina* i do jego wnętrza wlała się słodycz życia przemieszana z brudem. Błyskawicznie obrócił głowę. Widział teraz dwóch łuczników. Do gardła podeszła mu żółć, gdy jak

oszalały zmagali się z nieokiełznanymi falami Mocy, które usiłowały przepalić go do kości i skuć jego ciało lodem. Nie potrafił nad nimi zapanować; jedyne, na co było go stać, to utrzymać się przy życiu. Desperacko walczył o odzyskanie wzroku, by móc tknąć sploty, które zresztą ledwie potrafił teraz formować, bo mdłości zalewały go równie silnie jak Moc. Wydało mu się, że słyszy krzyk Bashere. Dwaj łucznicy zwolnili cięciwy.

Aż dziw brał, że nie zginął. Z takiej odległości mały chłopiec trafiłby do celu. Może uratowało go to, że był *ta'veren*. Kiedy łucznik strzelił, spod jego stóp wytrysnęło stado szaropióрых kuropatw. Nie dość, by przestraszyć człowieka doświadczonego, i w rzeczy samej mężczyzna drgnął tylko nieznacznie. Rand poczuł podmuch strzały, która przemknęła obok jego policzka.

I nagle łucznika zasypał grad kul ognia wielkości pięści. Wrzasnął, kiedy wywichnęło mu rękę wciąż ściskającą łuk. Druga kula oderwała mu lewą nogę w kolanie i wtedy padł na ziemię, krzycząc jeszcze bardziej przeraźliwie.

Rand wychylił się z siodła i zwymiotował na ziemię. Żołądek kurczył się, jakby próbując się pozbyć wszystkich posiłków, które kiedykolwiek zjadł w życiu. Pustka i *saidin* pozostawiły po sobie tak mdlące skurcze, że omal nie wypadł z siodła.

Kiedy był już w stanie siedzieć prosto, wziął białą lnianą chusteczkę, którą podał mu w milczeniu Bashere, i otarł usta. Saldaeanin krzywił się z troską nie bez powodu. Rand czuł, jak jego żołądek szuka, co jeszcze mógłby wypluć. Zrobił głęboki wdech. Utrata *saidina* w takich okolicznościach potrafiła zabić. Ale nadal czuł Źródło – *saidin* na szczęście go nie wypalił. I przynajmniej widział dobrze, przed nim stał tylko jeden Davram Bashere. A jednak choroba zdawała się postępować, za każdym kolejnym razem, kiedy obejmował *saidina*.

– Sprawdźmy, czy z tego człowieka zostało dość, by mógł coś powiedzieć – zaproponował. Nie zostało.

Rochaid klęczał, spokojnie przeszukując rozdarty, zaplamiony krwią kaftan trupa. Oprócz tego, że brakowało mu ręki i nogi, martwy miał w piersi szerniąłą dziurę na wylot, tak dużą jak jego głowa. Eagan Padros – jego niewidzące oczy wpatrywały się w niebo ze zdziwieniem. Gedwyn ignorował ciało leżące u jego stop, a zamiast tego przyglądał się Randowi, równie zimno jak Rochaid. Obaj obejmowali *saidina*. O dziwo, Lews Therin tylko Jęknął.

Rozległ się stukot kopyt – Flinn i Narishma wspięli się galopem na zbocze, ich śladem jechało prawie stu Saldaean. Kiedy byli już blisko, Rand poczuł Moc w posiwiąłym starcu i w jego młodszym towarzyszu, niewykluczone, że zacerpnęli jej graniczną ilość. Obaj zrobili znaczne postępy od czasu Studni Dumai. Tak to już było z mężczyznami; kobiety zdawały się urastać w siłę stopniowo, u mężczyzn odbywało się to nagłymi skokami. Flinn był silniejszy od Gedwyna i Rochaida, a Narishma niedaleko za nimi. Na razie nie było jak orzec, co przyniesie los. Żaden jednak nie był w stanie dorównać Randowi. W każdym razie jeszcze nie teraz. Nie wiadomo, co przyniesie czas. W każdym razie trwoga nie była najlepszym doradcą.

– Na to wychodzi, że dobrześmy zrobili, jadąc za tobą, Lordzie Smoku. – W udawanej trosce Gedwyna słyszało się ledwie uchwytny ślad drwiny. – Czyżbyś tego ranka uskarżał się na dolegliwości żołądkowe?

Rand tylko potrząsnął głową. Nie potrafił oderwać oczu od twarzy Padrosa. Dlaczego? Bo podbił Illian? Bo chodziło o lojalność wobec „lorda Brenda”?

Rochaid zakrzyknął głośno, po czym wyrwał skórzany worek z kieszeni kaftana Padrosa i opróżnił go. Na kamienisty grunt posypały się błyszczące złote monety, odbijając się i pobrzękując.

– Trzydzieści koron – warknął. – Korony z Tar Valon. Nie ma wątpliwości, kto go opłacił. – Pochwycił jedną z monet i cisnął ją w stronę Randa, ale Rand nie miał zamiaru jej złapać, więc tylko

odbiła się od jego ramienia.

– Pieniądza z Tar Valon wszędzie pełno – zauważył spokojnie Bashere. – Połowa ludzi w tej dolinie ma po kilka monet w kieszeniach. Ja też. – Gedwyn i Rochaid obrócili się w jego stronę. Bashere uśmiechnął się chyba pod sumiastymi wąsami, w każdym razie pokazał zęby, ale kilku Saldaean poruszyło się niespokojnie w siodłach i obmacało swe sakiewki.

Nieco wyżej, w miejscu, gdzie odcinek przełęczony między stromymi zboczami stawał się nieco łagodniejszy, świetlna kreska obróciła się i przekształciła w bramę, z której wybiegł jakiś Shienaranin w prostym czarnym kaftanie, z włosami zebranymi w kitę na czubku głowy, i włókł za sobą konia. Na to wyglądało, że zostali znaleźieni pierwsi Seanchanie, i to wcale nie tak daleko, skoro ten człowiek wrócił tak szybko.

– Czas ruszać – powiedział Rand do Bashere, który przytaknął, ale poza tym nie wykonał najmniejszego ruchu. Zamiast tego przyglądał się dwóm Asha'manom stojącym obok Padrosa. Obaj go ignorowali.

– Co z nim zrobimy? – spytał Gedwyn, wskazując trupa. – Powinniśmy przynajmniej odesłać go z powrotem tym wiedźmom.

– Zostawcie go tutaj – odparł Rand.

„Jesteś gotów zabić go już teraz?” – zapytał Lews Therin. Bynajmniej nie zabrzmiało to jak głos człowieka obłąkanego.

„Jeszcze nie” – pomyślał Rand. – „Ale już niebawem”.

Wbił obcas w boki Tai'daishara i pogalopował z powrotem do miejsca, gdzie stała jego armia. Dashiva i Flinn podążyli tuż za nim, ich śladem z kolei Bashere i stu Saldaean. Rozglądali się we wszystkie strony, jakby się spodziewali kolejnego zamachu na jego życie. Na wschodzie, nad szczytami formowały się czarne chmury, zapowiadające kolejne cemaros. Już niebawem.

Obozowisko na szczycie wzgórza rozbito według przemyślanego planu, nieopodal krętego strumienia, z którego mogli czerpać wodę, w miejscu, skąd rozciągał się widok na górską łąkę. Assid Bakuun nie był jednak zadowolony z tego obozu. Przez trzydzieści lat służby w Wiecznie Zwycięskiej Armii organizował setki obozów, więc byłoby to tak, jakby czuł dumę z tego, że udało mu się przejść przez pokój i nie przewrócić po drodze. Nie czuł też dumy z siebie. Trzydzieści lat służby dla Imperatorowej, oby żyła wiecznie, a pomijając sporadyczne rebelie jakichś obłąkanych parweniuszy, większość tychże lat spędził na przygotowaniach do tego, co działo się teraz. Od dwóch pokoleń budowano wielkie statki wyłącznie w celu Powrotu, Wiecznie Zwycięska Armia szkoliła się i przygotowywała. Bakuun z pewnością poczuł dumę, kiedy się dowiedział, że ma być jednym ze Zwiastunów. Z pewnością można mu było wybaczyć marzenia o tym, jak przejmuje na własność ziemie ukradzione prawowitym spadkobiercom Artura Hawkwinga, a nawet szalone marzenia o tym, jak dokonuje dzieła Konsolidacji jeszcze przed przybyciem Coreenne. Ostatecznie okazało się, że marzenie wcale nie było takie szalone, niemniej obleka się w ciało w zupełnie innych okolicznościach, niżli sobie wyobrażał.

Na zboczu jednego ze wzgórz pojawił się patrol złożony z pięćdziesięciu taraboniańskich lansjerów, odzianych w solidne napierśniki pomalowane w czerwono-zielone paski i cienkie woale kolcze skrywające sumiaste wąsy. Potrafili jeździć konno i walczyli też dobrze, pod warunkiem jednak, że mieli kompetentnych dowódców. Żołnierze ponad dziesięciokrotnie liczniejszego od przybyłego oddziału już krzątali się pośród ognisk albo zajmowali się wiązaniem koni do palików; trzy patrole jeszcze nie wróciły z terenu. Bakuunowi nigdy przedtem nie przyszło nawet do głowy, że

będzie kiedyś dowodził potomkami złodziei, którzy na dodatek ani trochę się nie będą tego wstydzić, potrafili spokojnie patrzeć mu prosto w oczy. Gdy zaczął go mijać szereg koni o ubłoconych pęcinach, dowódca patrolu skłonił się nisko, ale inni nie przestali rozmawiać tymi swoimi osobliwymi akcentami. Mówili zbyt prędko, by Bakuun cokolwiek rozumiał, jeśli nie wsłuchiwał się uważnie. Na dyscyplinę też mieli osobliwe poglądy.

Bakuun pokręcił głową i podszedł do wielkiego namiotu *sul'dam*. Większego od jego namiotu, z konieczności. Obok wejścia siedziały na zydlach cztery *sul'dam* ubrane w granatowe suknie ozdobione błyskawicami i rozkoszowały się słońcem, które nagle zaświeciło w przerwie między jedną burzą a drugą. Rzadkość ostatnimi czasy. U ich stóp siedziała odziana na szaro *damane*, przy czym Nerith była zajęta zaplataniem jej jasnych włosów. Rozmawiały z nią i wszystkie też śmiały się z czegoś cicho. Bransoleta przymocowana do drugiego końca srebrzystej *a'dam* walała się na ziemi. Bakuun chrząknął kwaśno. W domu miał ulubionego wilczura i nawet przemawiał do niego czasami, ale nigdy nie oczekiwał, że Nip podejmie próbę rozmowy!

– Czy ona jest zdrowa? – spytał Nerith, nie po raz pierwszy zresztą. Nawet nie po raz dziesiąty.  
– Czy wszystko z nią w porządku? – *Damane* spuściła wzrok i umilkła.

– Czuje się całkiem nieźle, kapitanie Bakuun. – Obdarzona kanciastą twarzą Nerith wypowiedziała to z należyтым szacunkiem. A jednak w trakcie mówienia uspokajająco gładka *damane* po głowie. – Niedyspozycja już jej przeszła. To była zresztą jakaś drobnostka. Żaden powód do żartów. – *Damane* zaczęła się trząść.

Bakuun znowu chrząknął. Podobne odpowiedzi słyszał już wcześniej. A jednak od pewnego czasu działo się coś niedobrego, już od Ebou Dar, i to nie tylko z tą *damane*. Wszystkie *sul'dam* nabrały wody w usta – a i Krew nie raczyła oczywiście nic powiedzieć, nie takim jak on! – za to ludzie szeptali. Twierdzili, że wszystkie *damane* są chore albo obłąkane. Światłości, toż nie widział, by w Ebou Dar wykorzystano bodaj jedną od chwili, gdy zajęli miasto, nawet podczas zwycięskiego pokazu Niebiańskich Świąteł. Czy kto kiedy słyszał o czymś takim?

– Cóż, mam nadzieję, że ona... – zaczął i urwał, bo zniecka pojawił się *raken*, nadlatujący od wschodniej przełęczy. Wielkie skórzaste skrzydła biły z całej siły w powietrze, żeby utrzymać wysokość, a nad samym wzgórzem stwór przechylił się zniecka i zatoczył niewielki krąg, czubkiem jednego skrzydła celując w dół. Po chwili oderwała się od niego cienka czerwona wstążka obciążona ołowianą kulą.

Bakuun zmełł w ustach przekleństwo. Awiatorzy lubili się popisywać, ale jeśli tych dwóch zraniło któregoś z łączników, to obedrze ich ze skóry, nieważne, komu będzie musiał stawić czoło, by ich dopaść. Na pewno nie chciałby walczyć bez wsparcia awiatorów-zwiadowców, ale doprawdy, rozpieszczano ich niczym jakichś ulubieńców Krwi.

Wstążka poszybowała prosto jak strzała. Ołowiany ciężarek zetknął się z ziemią i raz odbił, tuż obok wysokiego, cienkiego pręta, który służył do podawania wiadomości jeźdźcom *rakenów*, zbyt długiego, by dawało się go wygodnie pochylić, chyba że była jakaś wiadomość do wysłania. Poza tym kiedy leżał na ziemi, ktoś zawsze najeżdżał na niego koniem i łamał łącza.

Bakuun pomaszerował prosto do swego namiotu, ale jego Pierwszy Porucznik czekał tam już z ubłoconą wstążką i tubką zawierającą wiadomość. Tiras był chuderlawym mężczyzną, o głowę od niego wyższym, z niewielkim szpicem bródki.

Zrolowany raport wsunięty do cienkiej metalowej tubki został napisany najprościej, jak się dało. Nigdy w życiu nie był zmuszony do lotu na grzbiecie *rakena* albo *to'rakena* – Światłości niech będą dzięki oraz Imperatorowej, oby żyła wiecznie, niech będzie pochwalona! – wątpił jednak, by posługiwanie się piórem w siodle przymocowanym do grzbietu latającej jaszczurki było łatwą

czynnością. Treść wiadomości sprawiła, że otworzył wieko małego polowego biurka i bezzwłocznie zabrał się do pisania.

– Na wschodzie, niecałe dziesięć mil stąd, są jakieś wojska – wyjaśnił Tirasowi. – Jest ich pięć albo sześć razy więcej od nas. – Awiatorom zdarzało się przesadzać, ale bardzo rzadko. Jak to możliwe, by takie rzesze pojawiły się w tych górach i nikt ich wcześniej nie zauważył? Widział wschodnie wybrzeże i wolałby pierwiej opłacić swe modły pogrzebowe, zanim spróbuje na nim wylądować. Ażeby mu oczy wypaliło, awiatorzy chełpili się, że zauważą nawet pchłę poruszającą się w zasięgu ich wzroku. – Nie ma podstaw, by podejrzewać, że wiedzą o naszej obecności tutaj, ale nie miałbym nic przeciwko jakimś posiłkom.

Tiras zaśmiał się.

– Nawet gdyby ich było dwadzieścia razy więcej niż nas, to i tak wystarczy, że połączą ich *damane*. – Tiras miał jedną wadę. Była nią nadmierna pewność siebie. Ale z pewnością był dobrym żołnierzem.

– A jeśli są wśród nich jakieś... Aes Sedai? – odparł cicho Bakuun, ledwie się zająknawszy przy wymawianiu tego słowa, kiedy wciskał raport awiatorów i swój krótki list do tubki. Nie wierzył tak naprawdę, by ktoś odważył się pozwolić tym... kobietom biegać tak swobodnie.

Twarz Tirasa zdradzała, że pamięta opowieści o broni używanej przez Aes Sedai. Czerwona wstążka powiewała za nim w powietrzu, kiedy pobiegł z tubką.

Niebawem tubka została przymocowana do szczytu pręta, lekki wiatr powiewał długim paskiem czerwonej materii w odległości piętnastu kroków od szczytu wzgórza. *Raken* poszybował w tamtą stronę przez całą długość doliny, na skrzydłach nieruchomych niczym śmierć. Naraz jeden z awiatorów wychylił się z siodła i zawisł – do góry nogami! – pod pazurami *rakena*. Bakuuna aż żołądek rozboleł od tego widoku. Awiator złapał jednak wstążkę, pręt wygiął się, po czym na powrót wyprostował, gdy tubka z wiadomością została odpięta i awiator wspiął się z powrotem na grzbiet *rakena*, który stopniowo nabrał wysokości, zataczając powolne kręgi.

Bakuun wdzięczny, że może oderwać myśli od *rakena* i awiatorów, zajął się obserwowaniem doliny. Długa i szeroka, niemal płaska, gdyby nie to wzgórze, otoczona stromymi, zalesionymi zboczami; tylko koza dałby radę tu wejść, jeśli nie liczyć przełęczy. Z pomocą *damane* posieka ich na kawałki, zanim zdołają przypuścić atak z drugiej strony tej błotnistej łąki. Ale na wszelki wypadek posłał wiadomość, jeśli wróg będzie tu podążał prostą drogą, to przynajmniej o trzy dni wyprzedzi wszelkie posiłki. Jak oni mogli dotrzeć tak daleko nie zauważeni?

Spóźnił się, na ostatnie bitwy Konsolidacji – przynajmniej o dwieście lat – ale niektóre z tamtych buntowniczych powstań wcale nie były takie małe. Dwa lata walk na Marendalar, trzydzieści tysięcy poległych i pięćdziesiąt razy tylu wysyłanych na ląd w charakterze przedmiotów własności. Żołnierz, by utrzymać się przy życiu, musiał zwracać uwagę na wszystkie rzeczy odbiegające od normy. Nakazał zwinąć obóz i zatrzeć ślady, po czym zaczął przerzucać swych podkomendnych na zalesione zbocza. Na wschodzie gromadziły się ciemne chmury, zwiastuny kolejnej z tych przeklętych burz.

# ROZDZIAŁ 23

## ĆMA WOJNY, NAWAŁA BITWY

Deszcz na chwilę przestał padać. Rand poprowadził Tai'daishara skroś stoku, ominął pień wyrwanego z korzeniami drzewa, zmarszczył brwi, kiedy zobaczył ciało poległego mężczyzny rozciągnięte na wznak. Tamten był niski i krępy, twarz miał pomarszczoną, ciało zakute w zbroję z nachodzących na siebie płyt lakierowanych zielenią i błękitem, teraz jednak, z oczyma wpatrzonymi martwo w czarne chmury pełnzące po niebie, wyglądał trochę jak Eagan Padros, a brak nogi tylko pogłębiał to wrażenie. Najwyraźniej oficer – leżący obok wyciągniętej ręki miecz miał rękojeść z kości słoniowej, wyrzeźbioną w kształt kobiecej sylwetki, przypominający zaś łeb ogromnego owada lakierowany hełm wieńczyły dwa długie i cienkie, błękitne pióra.

Na przestrzeni dobrych pięciuset kroków stok zaścieniały wyrwane z korzeniami, strzaskanie pnie drzew, po większej części całkowicie zwęglone. I ciała – żołnierze połamani jak kukielki, rozerwani przez *saidin*, który szalał na powierzchni zbocza. Większość twarzy wciąż kryły stalowe zasłony, barwne poziome pasy jak gdyby nigdy nic zdobiły napierśniki. Dzięki Światłości, żadnych kobiet. Ranne konie już dorżnięto, następna rzecz, za którą należało być wdzięcznym. Niewiarygodne, jak przeraźliwie potrafiły kwiczeć okaleczone konie.

„A tobie się wydaje, że umarli milczą?” – rozległ się w jego głowie zgrzytliwy śmiech Lewsa Therina. – „Naprawdę tak myślisz?” – Śmiech przeszedł w przepełniony wściekłością krzyk. – „Umarli wyją i wrzeszczą na mnie!”

„Na mnie też” – pomyślał ze smutkiem Rand. – „Nie stać mnie na to, by wsłuchiwać się w ich krzyki, ale jak mógłbym odebrać im głos?” – Lews Therin zaczął lamentować nad stratą Ilyeny.

– Wielkie zwycięstwo – oznajmił gromko za plecami Randa Weiramona, natychmiast jednak zniżył głos i mruknął: – Ale niewielka chwała. Stare sposoby walki były znacznie lepsze. – Kaftan Randa obficie plamiło błoto, natomiast ubiór Weiramona jakimś zdumiewającym sposobem zdawał się równie nieskalany jak wówczas na Srebrnej Drodze. Wypolerowany hełm i zbroja wręcz lśniły. Jak on to robił? Tarabonianie w końcu zaatakowali, Jedynej Mocy przeciwstawiając wyłącznie swe lance i brawurę, a wówczas Weiramon poprowadził szarżę, by przełamać szeregi wroga. Manewr zrodził się w jego głowie zupełnie spontanicznie, bez żadnego rozkazu, ale co zaskakujące, bitewnemu szaleństwu dali się porwać wszyscy Tairenianie, wyjąwszy bodaj tylko Obrońców Kamienia, nawet na poły pijany Torean. Zresztą nie tylko oni. Semaradrid i Gregorin Panar również wzięli udział w szturmie, a wraz z nimi większość Cairhienian i Illian. W takiej chwili spokojne pozostanie na miejscu było właściwie niemożliwe, w końcu każdy żołnierz chciał przecież stawić czoło temu, co i tak go czekało. Jednak Asha'mani zrobiliby to szybciej. Nawet jeśli ich metody walki były znacznie bardziej nieczyste.

Rand nie walczył, bo przecież nie sposób określić walką bezczynne trwanie w siodle na miejscu, gdzie każdy mógł go zobaczyć. Obawiał się pochwycić Jedyne Źródło. Bał się zdradzić ze słabością na oczach wszystkich. Nie wolno mu było okazać nawet najmniejszej słabości. Na samą myśl o tym Lews Therin bełkotał z przerażeniem.

Równie zaskakujący jak widok kaftana Weiramona, ani trochę nie skażonego bitewną fatygą, był fakt, że z oblicza towarzyszącej mu Anaiyelli choć raz zniknął przyklejony doń uśmiech. Rysy jej twarzy były ściągnięte, wyrażały dezaprobatę. Ale dziwna rzecz, nie psuło to jej urody w tym samym stopniu, co jej przymilne grymasy. Ona sama oczywiście nie wzięła udziału w szarży, podobnie jak Ailil, jednak pozwoliła na to swemu Mistrzowi Koni, a teraz tamten ponad wszelką wątpliwość nie



żył, przebity tarabońską lancą. Z pewnością nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Dlaczego jednak wybrała towarzystwo Weiramona? Tylko dlatego, że był jej krajanem, Tairenianinem? Może. Ostatni raz Rand widział ją razem z Sunamonem.

Gniadosz Bashere dźwigał swego jeźdźca w górę zbocza, wymijając ciała poległych z równą obojętnością, z jaką okrążał rozłupane pnie drzew albo wypalone pniaki. Hełm wojownika zwisał przytroczony do siodła, rękawice wetknął za pas od miecza. Podobnie jak jego wierzchowiec, prawy bok miał całkiem unurzany w błocie.

– Aracome umarł – oznajmił. – Flinn próbował go Uzdrowić, ale osobiście przypuszczam, że i tak nie chciałby dalej żyć w takim stanie. Jak dotąd naliczyliśmy pięćdziesięciu poległych, a spośród ciężiej rannych wielu również może wyzionąć ducha. – Twarz Anaiyelli pobladła. Rand widział ją w pobliżu miejsca, gdzie leżał Aracome, zupełnie zbitą z tropu. Martwe pospólstwo nie wywoływało u niej takiej reakcji.

Rand poczuł przelotne ukłucie litości. Nie nad nią i również nie bardzo nad Aracomem. Chodziło mu o Min, choć ta wszak przebywała bezpieczna w Cairhien. Min przepowiedziała śmierć Aracome, którą dostrzegła w jednej ze swych wizji, podobnie zresztą jak śmierć Gueyama i Maraconna. Rand na wszystkie jej widzenia reagował żywym pragnieniem, by cokolwiek, co jej się objawiło, miało jak najmniej wspólnego z rzeczywistością.

Większość Żołnierzy ponownie udała się na zwiady, ale w oddali na rozległej łące brama upleciona przez Oddanego Gedwyna wciąż wypluwała z siebie kolejne tabory i remonty. Towarzyszący im ludzie wytrzeszczali oczy ze zdumienia, gdy tylko pierwotne oszołomienie ustępowało miejsca ciekawości. Tamejszy podmokły grunt nie był do tego stopnia zryty co powierzchnia zbocza, jednak zbrązowiałą trawę przecinały na wszystkie strony potężne bruzdy, szerokie na dwa kroki i długie na pięćdziesiąt, ziały też w niej dziury, których koń nie byłby w stanie przeskoczyć. Jak dotąd nie znaleźli ciała żadnej *damane*. Rand przypuszczał, że zapewne mieli do czynienia tylko z jedną, w tych okolicznościach większa ich liczba z pewnością spowodowałaby znacznie poważniejsze zniszczenia.

Mężczyźni krzętałi się przy licznych, aczkolwiek skromnych ogniskach, nad którymi bulgotała woda na herbatę, ale rzecz jasna nie tylko. Choć raz Tairenianie, Cairhienianie i Illianie swobodnie mieszały się ze sobą. I nie tylko zwykli ludzie. Semaradrid częstował piersiówką Gueyama, który pocierał dłonią łyse czoło. Maracomm i Kiril Drapaneos, mężczyzna chudy jak szkielet, na którego pociągłej twarzy dziwnie wyglądała przystrzyżona w kwadrat broda, kucali razem obok jednego z ognisk. Sądząc z ruchów, grali w karty! Torean zgromadził wokół siebie cały krąg roześmianych cairhieniańskich lordziątek, aczkolwiek z pewnością ich wesołość w mniejszym stopniu powodowały jego żarty niżli sposób, w jaki pocierał kartoflowaty nos i zabawne, kołyszące się ruchy sylwetki. Legioniści trzymali się na uboczu, jednak dopuszczali do swego obozowiska „ochotników”, którzy poszli za Padrosem pod Sztandar Światłości. Ci z kolei, od czasu gdy dowiedzieli się, jak zginął Padros, wyraźnie rwali się do boju. Legioniści w niebieskich kaftanach tłumaczyli im, jak należy skręcać w szyku, żeby nie rozerwać formacji i nie pójść w rozsypkę niczym stado spłoszonych gęsi.

Flinn zajmował się rannymi, pozostającymi pod opieką Adleya, Morra i Hopwila. Narishma nie potrafił wyleczyć niczego oprócz drobnych skaleczeń, pod tym względem nie był wcale lepszy od Randa; Dashiva nie umiał nawet tyle. Gedwyn i Rochaid pozostawali na uboczu i trzymając konie za uzdy na szczycie wzgórza pośrodku doliny, o czymś rozprawiali. Na tym właśnie wzgórzu, na którym spodziewali się złapać Seanchan w pułapkę, wypadając z usytuowanych wokół bram. Pięćdziesięciu prawie poległo, a wielu jeszcze wyzionie ducha, jednak bez Flinna i tych wszystkich, którzy w

mniejszym lub większym stopniu dysponowali Talentem Uzdrawiania, liczba ofiar pewnie przekroczyłaby dwie setki. Gedwyn i Rochaid nie mieli ochoty brudzić sobie rąk i demonstracyjnie krzywili się, kiedy Rand zagnał ich do pomagania tamtym. Wśród poległych był jeden Żołnierz, inny zaś – Cairhienianin o okrągłej twarzy – siedział zgarbiony przy ognisku z tym oszołomionym spojrzeniem, które Rand nauczył się już rozpoznawać jako skutek szoku spowodowanego wyrzuceniem w powietrze przez ziemię eksplodującą pod stopami.

W dole, na poranej równinie Ailil naradzała się z swoim kapitanem lansjerów, bladym, niskim mężczyzną o imieniu Denharad: Ich konie nieomal stykały się bokami, od czasu do czasu rzucali spojrzenia na wzgórze, gdzie znajdował się Rand. Cóż oni knuli?

– Następnym razem pójdzie nam lepiej – mruknął Bashere. Potoczył spojrzeniem po dolinie, potem pokręcił głową. – Najgorszym błędem jest dwukrotnie popełnić ten sam błąd, ale nam się to nie zdarzy.

Weiramon podchwycił jego słowa, a następnie powtórzył je po swojemu, używając przynajmniej dwudziestokrotnie więcej słów, mową równie kwiecistą niczym ogród na wiosnę. Pomiął też całkowicie kwestię jakichkolwiek popełnionych błędów, przynajmniej jeśli szło o niego. Wzmianki o ewentualnych błędach Randa unikał równie skwapliwie.

Rand przytakiwał mu, zaciskając usta. Następnym razem pora\_ \_ dzą sobie lepiej. Nie mieli zresztą innego wyjścia, chyba że chcieli zostawić w tych górach połowę swoich ludzi. W chwili obecnej jednak przede wszystkim kłopotowało go, co począć z jeńcami.

Większość tych, którzy uniknęli śmierci na stoku wzgórza, wycofała się, korzystając z osłony wciąż jeszcze stojących drzew. Odwrót nastąpił w zdumiewającym porządku, twierdził Bashere, biorąc pod uwagę, że trzon ich sił został rozbity, reszta zaś żadną miarą nie mogła stanowić poważniejszego zagrożenia. Oczywiście pod warunkiem, że nie mieli z sobą *damane*. Mniej więcej stu żołnierzy siedziało teraz na ziemi, bez broni i zbroi, pod czujnym okiem ponad dwudziestu Towarzyszy oraz Obrońców. Po większej części byli to Tarabonianie, którzy jednak w boju bynajmniej nie zachowywali się tak, jak ludzie zmuszani przez okupanta do walki o cudzą sprawę. Teraz wielu śmiało unosiło głowy, drwiąc sobie ze swych strażników. Gedwyn chciał ich pozabijać, uprzednio poddawszy śledztwu. Weiramona nie obchodziło, czy tamci skończą z podejrzniętymi gardłami, jednak tortury uważał za stratę czasu. W jego opinii nikt z nich nie mógł wiedzieć nic ważnego, źródłem tego przekonania był zapewne brak wśród jeńców szlachetnie urodzonych.

Rand zerknął na Bashere. A Weiramon wciąż jeszcze ciągnął swą orację:

– ...oczyścić te wzgórza dla ciebie, mój Lordzie Smoku. Stratujemy ich kopytami naszych koni i... – Anaiyella kiwała głową z ponurą aprobatą.

– Sześciu przeżyje, podczas gdy pół tuzina padnie – cicho mruknął Bashere. Paznokciem zeskrobywał zaschnięte błoto z wąsa. – Albo jak to mówią niektórzy moi krajanie, co zyskasz na skrótach, stracisz, podróżując obwodnicą. – Cóż to, na Światłość, mogła być „obwodnica”? Wielki pożytek z takiego gadania!

A potem zdobycz jednego z patroli Bashere dodatkowo pogorszyła sprawę.

Sześciu mężczyzn poganiało przed swoimi końmi jeńca, szturchając go tępymi końcami lanc. Jeniec okazał się czarnowłosą kobietą w poszarpanej i brudnej niebieskiej sukni, z czerwonymi wstawkami na piersiach i symbolami rozwidlonych błyskawic na spódnicy. Jej twarz również była ubrudzona, znaczyły ją ślady łez. Potknęła się, omal nie upadła, ale tamci szturchali ją bardziej dla pozorów, niżli chcąc zadać ból. Oglądała się pogardliwie na swych zwycięzców, raz nawet splunęła. Na widok Randa również wykrzywiła usta.

– Wyrządziliście jej krzywdę? – zapytał ostro Rand. Dziwna być może troska o wroga, po tym

wszystkim, co tamci zrobili w dolinie. Przejmować się *sul'dam*. Ale pytanie jakoś samo wyrwało mu się z ust.

– To nie my, Lordzie Smoku – powiedział dowódca patrolu, człowiek o surowym obliczu. – Znaleźliśmy ją już w tym stanie. – Drapiąc skórę pod czarną, kędzierzawą brodą porastającą policzek, patrzył na Bashere, jakby oczekując odeń wsparcia. – Cały czas lamentuje, że zabiliśmy jej Gille. Ulubioną suczkę, kotkę czy coś takiego, sądząc ze sposobu, w jaki o niej mówi. Ma na imię Nerith. Tyle zdołaliśmy z niej wyciągnąć. – Kobieta odwróciła się do niego i znowu wyszczerzyła zęby.

Rand westchnął. Nie chodziło o ulubionego psa. Z pewnością nie! I to imię nie miało prawa znaleźć się na jego liście! Ale już słyszał nieprzerwaną litanię, którą wewnętrzny głos sam z siebie recytował, nie ustając nawet na chwilę i... „Gille, *damane*” również tam była. Lews Therin lamentował po swej Ilyenie. Jej imię również było na liście. Tego prawa Rand wszelako nie kwestionował.

– Czy to seanchańska Aes Sedai? – zapytała zniecka Anaiyella, pochylając się nad łękiem siodła, by móc przyjrzeć się Nerith. W rewanżu Nerith splunęła na nią, a jej oczy rozszerzył gniew. Rand podzielił się swoją skromną wiedzą o *sul'dam*, wyjaśnił, że potrafiące przenosić kobiety słuchały ich rozkazów, one same jednak ze swej strony nie potrafiły przenosić, a za narzędzie zniewolenia służyła smycz z obrozą; wówczas, ku jego zaskoczeniu, Wysoka Lady oznajmiła lodowatym tonem, uśmiechając się przy tym uroczo:

– Jeśli mój Lord Smok wzdraga się przed tym czynem, ja chętnie ją dla niego powieszę. – Na co Nerith znowu na nią splunęła! Tym razem z jawną pogardą. Przynajmniej odwagi jej nie brakowało.

– Nie! – warknął Rand. Światłości, czego to ludzie nie zrobią, byle tylko wkraść się w jego łaski! A może Anaiyella była znacznie bliżej ze swym Mistrzem Koni, niżli to uważano za stosowne. Tamten był wprawdzie krępy i łysiejący, nadto pochodził z pospólstwa, co u Tairenian miało niebagatelne znaczenie, jednak kobiety gustowały w najdziwniejszych typach mężczyzn. Wiedział o tym z własnego doświadczenia.

– Kiedy tylko będziemy gotowi do wymarszu – poinformował Rand Bashere – każ rozpuścić tych jeńców. – Branie ich ze sobą, mając w perspektywie następny atak, zupełnie nie wchodziło w rachubę, a zostawienie setki żołnierzy (później z pewnością miało ich jeszcze przybyć) w taborach oznaczało dopraszanie się furi kłopotów wszelakiego rodzaju. Natomiast puszczeni na wolność nikomu nie zrobią nic złego. Nawet konni, którym udało się uciec, nie potrafią szybciej zanieść ostrzeżenia swym towarzyszom, niżli on będzie Podróżował.

Bashere nieznacznie wzruszył ramionami; spodziewał się takiego rozkazu, jednak zawsze istniały przynajmniej równe szanse na inną decyzję. Dziwniejsze rzeczy się zdarzały, nawet gdy *ta'veren* nie było w pobliżu.

Weiramon i Anaiyella nieomal równocześnie otworzyli usta ze zdumienia, ich twarze zastygły w grymasie protestu, jednak Rand uparł się.

– Rzekłem, i tak właśnie się stanie! Zatrzymamy jednak tę kobietę. I wszystkie inne, które wpadną nam w ręce.

– Na mą duszę – uniósł się Weiramon. – Po co? – Wydawał się kompletnie oszołomiony tym pomysłem, a jeśli już o tym mowa, Bashere również zaskoczony poderwał głowę. Usta Anaiyelli wykrzywiły się w pogardliwym grymasie, który po chwili przeszedł w wymuszony uśmiech, przeznaczony wyłącznie dla Randa. Najwyraźniej uznała, że jest zbyt miękki, skoro nie chce odesłać kobiety z pozostałymi na poniewierkę. Ale przecież i tak na tym terenie marsz zapowiadał się ciężki, nie wspominając już o ograniczonych racjach żywnościowych. Poza tym w taką pogodę nawet psa by

na dwór nie wygnał.

– Mam przeciwko sobie dosyć Aes Sedai, żeby jeszcze na poważnie igrać z możliwością odesłania *sul'dam* do jej ponurego dzieła – poinformował ich. Światłość jedna wiedziała, że to prawda! Pokiwali głowami i chyba tylko Weiramon wyraźnie ociągał się z przyznaniem mu racji, Bashere zdawał się uspokojony, Anaiyella rozczarowana. Co jednak miał począć z tą kobietą i z wszystkimi innymi, które z pewnością wpadną jeszcze w jego ręce? Nie miał zamiaru zamieniać Czarnej Wieży w więzienie. Mogli je wprawdzie wziąć do siebie Aielowie, obawiał się jednak, że Mądre gotowe byłyby poderżnąć im gardła, kiedy tylko odwróci się do nich plecami. A co z siostrami, które Mat miał odprowadzić wraz z Elayne do Caemlyn? – Kiedy to się skończy, przekażę je wybranym przez siebie Aes Sedai. – Może to nawet wyglądać na gest dobrej woli, odrobina miodu na osłodę, że musiały zaakceptować jego ochronę.

W chwili, gdy wypowiedział ostatnie słowo, twarz Nerith powlekła śmiertelna bladość, krzyknęła straszliwie, wkładając w to całą siłę swych płuc. Potem wyjąc nieprzerwanie, pobiegła na ślepo w dół zbocza, i jakby zupełnie zapomniała, że może je omijać, bezładnie gramoliła się przez kolejne pnie, które stawały jej na drodze, przewracała i gramoliła na powrót.

– Cholerna!... Łapcie ją! – warknął Rand, a żołnierze saldeańskiego patrolu rzucili się za kobietą, gnając na łeb na szyję skroś stoku zasłanego pniami drzew. Wciąż zanosząc się histerycznym łkaniem, kobieta pędziła między koźmi, nie dbając o to, czy zostanie stratowana.

U wejścia do najdalej na wschód położonej przełęczy, w błysku srebrzystego lśnienia otworzyła się brama. Odziany w czerń Żołnierz przeprowadził przez nią swego wierzchowca, wskoczył na siodło w tej samej chwili, gdy brama mrugnęła i znikła, pognął galopem w stronę wzgórze, gdzie czekali Gedwyn i Rochaid. Rand obserwował niecierpliwie całą scenę. W jego głowie Lews Therin warczał o zabijaniu, o pozabijaniu wszystkich Asha'manów, zanim będzie za późno.

W chwili gdy cała trójka wędrowała już w stronę wzgórze, na którym czekał Rand, czterech Saldaean przygwoździło wreszcie Nerith do ziemi, właśnie krępowali jej dłonie i stopy. Cała operacja wymagała udziału czterech mężczyzn, co tak rozbawiło Bashere'a, że chciał się nawet założyć, czy mimo wszystko jej nie będzie na wierzchu. Anaiyella mruczała coś pod nosem na temat spuszczenia jej porządnego lania. Czy to oznaczało, że chce ją oblać wodą? Rand na wszelki wypadek spojrzął na nią groźnie spod zmarszczonych brwi.

Żołnierz idący w tę stronę w eskorcie Gedwyna i Rochaida, zerknął niespokojnie na Nerith, kiedy ją mijali. Rand niejasno przypominał sobie, że spotkał go raz w Czarnej Wieży, tego dnia, gdy po raz pierwszy dekorował swych ludzi srebrnymi Mieczami, Taimowi zaś przypiął pierwszego Smoka. Był młodym człowiekiem, zwał się Varil Nensen, mimo długiego czasu służby wciąż zwyczajem swej krainy skrywał sumiaste wąsy pod zasłoną. Jednak nie zawahał się ani na chwilę, gdy zobaczył swoich krajan w niekorzystnym położeniu. Teraz jedynym obiektem lojalności była Czarna Wieża i Smok Odrodzony, co zawsze podkreślał Taim. Wszelako drugą część rotę w jego wykonaniu poprzedzał nieodmiennie nieznaczny moment zawahania.

– Czeka cię zaszczyt osobistego złożenia raportu Smokowi Odrodzonemu, Żołnierzu Nensen – oznajmił Gedwyn. V jego głosie słychać było ironię.

Nensen zaraz wyprostował się w siodle.

– Mój Lordzie Smoku! – rytmicznie zaintonował, przyciskając dłoń do piersi. – Jakieś trzydzieści mil na zachód znajdują się kolejni wrogowie, mój Lordzie Smoku. – Wcześniej Rand kazał zwiadowcom przed powrotem spenetrować obszar o promieniu dokładnie trzydziestu mil. Jakiż bowiem byłby pożytek z tego, gdyby jeden z Żołnierzy znalazł Seanchan, a pozostali wciąż wędrowali coraz dalej na zachód? – Mniej więcej połowa stanu liczebnego tych, z którymi tu

mieliśmy do czynienia – ciągnął Nensen. – I... – Spojrzenie ciemnych oczu objęło na moment postać Nerith. Żołnierze zdołali ją już związać i teraz starali się przerzucić przez koński grzbiet. – Nie dostrzegłem żadnych oznak wskazujących na obecność kobiet, mój Lordzie Smoku.

Bashere zerknął na niebo. Ciemne chmury skrywały grubą powłoką całą przestrzeń nieboskłonu ograniczoną poszarpanymi szczytami, jednak słońce wciąż pewnie miało do zachodu daleko.

– Zanim wrócą pozostali, będzie można nakarmić ludzi – powiedział, kiwając głową z zadowoleniem. Nerith udało się zatopić zęby w nadgarstku jednego z Saldaean i teraz zwisała z jego ręki, niczym wczepiony w nią borsuk.

– A więc niech jedzą szybko – oznajmił Rand z irytacją. Czy każda *sul'dam* będzie tak uparcie walczyła o wolność? Najprawdopodobniej. Światłości, co się stanie, jeśli pojną *damane*? – Nie chcę spędzić całej zimy w tych górach. – „Gille, *damane*”. Kiedy już jakieś imię znalazło się na liście, nie było sposobu usunięcia go z niej.

„Umarli nigdy nie milkną” – wyszeptał Lews Therin. – „Umarli nigdy nie zasypiają”.

Rand pojechał w stronę ognisk. Nie bardzo miał ochotę na jedzenie.

Ze stanowiska na wypiętronym skalnym głazie Furyk Karede uważnie obserwował otaczające go zalesione góry – z morza zieleni ostre szczyty sterczały niczym poczerńiałe kły. Jego koń, wysoki jabłkowity wałach, strzygł uszami, jakby potrafił usłyszeć dźwięki, które umknęły jego panu, poza tym jednak zwierzę nie zdradzało niepokoju. Co jakiś czas Karede musiał przerywać obserwację, aby oczyścić soczewki swego szkła powiększającego. Z szarego nieba poranka siąpiła słaba mżawka. Dwa czarne pióra na hełmie Karede'a, normalnie dumnie sterczące, teraz oklapły zupełnie, po jego grzbiecie ściekał zimny strumyczek. Niemniej mżawka całkowicie zasługiwała na swe miano, przynajmniej w porównaniu z wczorajszą ulewą, jutro zapewne przyroda znowu da im się we znaki swymi kaprysmi. Albo może już po południu. Gdzieś po południowym niebie przetoczył się złowieszczo grzmot. Jednak przyczyny zatroskania Karede'a niewiele miały wspólnego z pogodą.

Pod jego stopami niedobitki sił liczących dwadzieścia trzy setki ludzi przemykały się przez wietrzne przełęcze, byli to głównie ludzie wycofani z czterech zewnętrznych posterunków. Dużo kawalerzystów, stosunkowo nieźle dowodzonych, a jednak tylko nędznych dwustu było Seanchanami, a z nich jedynie dwaj prócz niego nosili czerwień i zieleń Straży Straceńców. Większość stanowili Tarabonianie – ich znał z jak najlepszej strony – niemniej dobra jedna trzecia pochodziła z poboru w Amadicii i Altary, a ich przysięgi były zbyt świeże, by któremukolwiek bez zastrzeżeń zaufać na polu walki. Jak dotąd lojalność niektórych Altaran i Amadician przypominała raczej chorągiewkę na wietrze. Ludziom po tej stronie Oceanu Aryth zupełnie chyba brakowało wstydu. Na czele kolumny jechało kilkanaście *sul'dam*, on zaś żałował, że tylko dwie prowadzą swoje *damane* tuż obok koni.

Pięćdziesiąt kroków przed nimi dziesięciu żołnierzy wysuniętej szpicy obserwowało wznoszące się nad ich głowami zbocza, aczkolwiek nawet w połowie nie tak uważnie, jak powinno się to robić. Awangarda za bardzo polegała na puszczonej przodem oddziałach zwiadowców. Karede odnotował sobie w pamięci, że musi rozmówić się z nimi osobiście. Po tej rozmowie albo będą wywiązywali się ze swych obowiązków, albo zasilą szeregi kontyngentów roboczych.

Wysoko na wschodnim niebie pojawił się *raken*, przemykał nisko nad wierzchołkami drzew, skręcając i zawracając zgodnie z naturalną rzeźbą terenu niczym mężczyzna wodzący dłonią po krzywiznach kobiecych pleców. Dziwne. *Morat'raken*, awiatorzy, zawsze woleli lot wysoki, oczywiście pod warunkiem, że niebo nie płakało ogniem błyskawic. Karede obniżył szkło powiększające, próbując złapać ich w ogniskową soczewek.

– Może w końcu dostaniemy wreszcie jakiś raport od zwiadowców – powiedział Jadranka, zwracając się jednak do pozostałych oficerów, nie zaś do samego Karede’a. Z dziesięciu tamtych, trzech dorównywało mu tytułarną rangą, jednak niewielu ludzi spoza Krwi považało się niepokoić człowieka odzianego w pyszniący się krwistą czerwienią iomalże wpadającymi w czerń zielieniami strój Straży Straceńców. Zresztą i niewielu z Krwi by się na to odważyło.

Wedle opowieści, których słuchał jeszcze jako dziecko, jeden z jego przodków, szlachcic, na rozkaz Artura Hawkwinga popłynął za Luthairem Paendragiem do Seanchan, natomiast dwieście lat później, w czasach, gdy dopiero północ całkiem nieźle została podporządkowana władzy zdobywców, inny z jego przodków próbował zbudować własne królestwo, ale nie powiodło mu się i skończył na targu niewolników. Być może właśnie o to chodziło -wielu z *da’covale* szczyliło się szlachetnie urodzonymi przodkami. Przynajmniej we własnym towarzystwie, w oczach prawdziwych członków Krwi takie gadanie z pewnością nie wyglądałoby zabawnie. W każdym razie Karede mógł mówić o szczęściu, od kiedy Wybierający jego właśnie naznaczyli – silnie zbudowanego chłopca, ale zbyt młodego wówczas jeszcze, by zlecić mu jakiegokolwiek obowiązków – i do dzisiaj czuł przyływ dumy, gdy myślał o krukach wytatuowanych na ramionach. Kiedy tylko mieli możliwość, liczni żołnierze Straży Straceńców paradowali bez kaftanów, czy nawet koszul, aby inni mogli im się do woli przyglądać. Przynajmniej ta pycha była udziałem ludzi. Ogrodnicy Ogirów nie byli ani naznaczani, ani nie stanowili niczyjej własności, jednak było to wyłącznie sprawą szczególnych więzi istniejących między nimi a Imperatorową.

Karede był *da’covale* i myśl o tym przepełniała go dumą, podobnie jak każdego innego człowieka ze Straży, człowieka, który ciałem i duszą należał do Kryształowego Tronu. Szedł do boju tam, gdzie kazała mu Imperatorowa, i umrze tego dnia, gdy ona powie: „zgin”. Straż odpowiadała wyłącznie osobiście przed Imperatorową, a wszędzie, gdzie się pojawiali, stanowili przedłużenie jej własnej dłoni, jej widzialne wcielenie. Nic dziwnego, że niektórzy członkowie Krwi mogli czuć niepokój na widok mijającego ich oddziału żołnierzy Straży. Znacznie lepsze życie niżli sprzątanie stajni jakiegoś lorda albo podawanie *kaf* damie. Przeklinał jednak los, który zesłał go w te góry z misją dokonania inspekcji wysuniętych posterunków.

*Raken* mknął na zachód, dwaj awiatorzy kulili się w siodle. Nie mógł być to żaden raport zwiadowców, żadna wiadomość bezpośrednio dla niego. Furyk zdawał sobie sprawę, że to tylko igraszki wyobraźni, jednak długa wyciągnięta szyja stwora nadawała mu wygląd... zaniepokojonego. Gdyby był kimś innym, na ten widok również mógłby poczuć się nieswojo. Od czasu, gdy trzy dni temu otrzymał rozkazy przejścia dowodzenia i wymarszu na wschód, dotarły doń tak nieliczne wieści, że dawało się je policzyć na palcach jednej ręki. A każda tylko dodatkowo pogłębiała ogarniający go zamęt.

Lokalni mieszkańcy, zwący się Altaranami, najwyraźniej pchnęli w góry poważną siłę, jednak nasuwało się pytanie: po co? Drogi wzdłuż północnej granicy tego masywu górskiego były obserwowane przez patrole docierające niemalże do granic Illian, patrole obejmujące tak awiatorów, jak *morat’orm* oraz zwykłych konnych. Co też mogło sprowokować tych Altaran, że nagle postanowili pokazać zęby? Zdecydowali się zewrzeć szeregi? Przecież w tej krainie człowiek mógł zostać wyzwany na pojedynek tylko za to, jak wyglądał – aczkolwiek powoli już zaczęli się uczyć, że zaczepianie Straży było po prostu wolniejszym sposobem poderżnięcia sobie gardła – jednak widział na własne oczy szlachtę tego tak zwanego narodu, która próbowała sprzedać nie tylko siebie wzajem, lecz również własną królową, na zwykłą sugestię ochrony ich ziem i może również dóbr sąsiadów.

Potęźnie zbudowany Nadoc, o zwodniczo łagodnej twarzy, obrócił się w siodle, by popatrzeć na

*rakena.*

– Nie lubię maszerować na oślep – mruknął. – Przynajmniej nie w sytuacji, gdy Altaranie zdołali wystawić przeciwko nam czterdzieści tysięcy ludzi. Co najmniej czterdzieści tysięcy.

Jadranka tak przeraźliwie zgrzytnął zębami, że wysoki siwy wałach aż zatańczył pod nim nerwowo. Jadranka był najstarszy stopniem spośród trzech dowódców stojących za Karede, służył już przynajmniej tak długo jak on. Był mężczyzną niskim, szczupłym, obdarzonym wydatnym nosem, ale zachowywał się w taki sposób, jakby co najmniej pochodził z Krwi. Przecież tego konia każdy zobaczy z odległości mili.

– Czterdzieści tysięcy, a może i sto, Nadoc, są rozsiani po całym tym terenie, aż po kraniec górskiego łańcucha, zbyt daleko od siebie, by móc wzajem służyć sobie wsparciem. Niech mnie po oczach pochlastają, jeśli połowa z nich już nie poległa. Przecież wszędzie muszą nadziewać się na nasze posterunki. Dlatego właśnie nie dostajemy raportów od zwiadowców. Naszym zadaniem będzie po prostu posprzątanie niedobitków bitwy.

Karede stłumił westchnienie. Stracił już nadzieję, że Jadranka, mimo swej pompatyczności i napuszenia, nie okaże się skończonym głupcem. Chępliwość była chorobą szybko szerzącą się wśród zwycięzców, niezależnie, czy chodziło o armię czy tylko o pól Chorągwi. Jedyne nieliczne porażki przełykano w milczeniu, starając się o nich jak najszybciej zapomnieć. Tak konsekwentny brak wiadomości był więc... złowieszczy.

– Siły, o których wspominał ostatni raport, nie bardzo wyglądały na oddziały niedobitków – upierał się Nadoc. On jednak nie był głupcem. – Nie dalej jak pięć mil od nas znajduje się oddział liczący pięć tysięcy ludzi i wątpię, by wystarczyły miotły, żeby się z nimi uporać.

Jadranka znowu parsknął:

– Rozgromimy ich niezależnie od tego, czy użyjemy mieczy czy mioteł. Niech Światłość wypali mi oczy, ledwie mogę się doczekać przyzwoitego starcia. Kazałem im gnać przed siebie, dopóki ich nie znajdą. Nie chcę, żeby nam się wymknęli.

– Co zrobiłeś? – zapytał cicho Karede.

Nie musiał nawet podnosić głosu, a i tak wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Aczkolwiek Nadoc i kilku innych ledwie mogło przestać gapić się na Jadrankę. Zwiadowcom kazano przeć przed siebie, zwiadowcom wyjaśniono dokładnie, czego mają szukać. Ileż mogło umknąć ich uwagi pod takimi rozkazami?

Nim ktokolwiek zdążył choć otworzyć usta, ludzie na przełęczy zaczęli krzyczeć, a konie alarmująco rzeć.

Karede natychmiast przycisnął do oka skórzaną tubę szkła powiększającego. Przed jego oczyma, na całej długości przełęczy, żołnierze i konie padali pod nawałą bełtów z kuszy, nic innego nie wchodziło w grę, sądząc po tym, jak stalowe napierśniki ugiwały się od uderzeń, a chronione przez kolczugi piersi wręcz eksplodowały. Setki już dały głowę, kolejne setki rannych zwisały bezwładnie z końskich siodeł, inni desperacko próbowali wyplątać nogi ze strzemion, aby uniknąć zmiżdżenia pod ciałami padających wierzchowców. Zdecydowanie zbyt wielu uciekało. Przed jego wzrokiem wzmocnionym soczewkami żołnierze wciąż jeszcze dosiadający koni próbowali je zawrócić, by umknąć w górę przełęczy. Gdzie, na Światłość, były *sul'dam*? Nie potrafił żadnej z nich zobaczyć. Walczył już z buntownikami, którzy dysponowali *sul'dam* i *damane*, toteż wiedział, że zawsze należy wyeliminować je tak szybko, jak to tylko możliwe. Może rodzimi mieszkańcy tych ziem przyswoili sobie tę zasadę?

Przeżył prawdziwy wstrząs, kiedy nagle wzdłuż całej kolumny wojsk pozostających pod jego dowództwem ziemia zaczęła wylatywać gwałtownie w powietrze, ciskając ludzi i konie z równą

łatwością co glebę i kamienie. Błyskawica zwała się z nieba, niebiesko-białe pioruny kłuły jak popadnie, ziemię i żołnierzy. Inni po prostu eksplodowali, rozdarci na strzępy przez jakąś niewidzialną siłę. Czy rodzimi mieszkańcy tych ziem dysponowali własnymi *damane*? Nie, z pewnością muszą to być te Aes Sedai.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Nadoc. W jego głosie znać było przeżyty wstrząs. I nic dziwnego.

– Myślisz, że zostawię swoich ludzi? – warknął Jadranka. – Ruszymy do ataku na nich, ty!... – Jego słowa przeszły w nieartykułowany bulgot, kiedy czubek miecza Karede wbił się zgrabnie w jego gardło. Bywają takie chwile, kiedy można tolerować głupców, i takie, kiedy jest to niedopuszczalne. Zanim ciało tamtego zdążyło zsunąć się z siodła i zanim jego wierzchowiec się spłoszył, Karede wytarł już klingę o białą grzywę wałacha. Bywają też chwile, gdy potrzebna jest niewielka demonstracja.

– Będziemy walczyć, ale tylko tam, gdzie to ma sens, Nadoc – powiedział, jakby Jadranka przed chwilą wcale się nie odezwał. Jakby go nigdy nie było. – Ale przede wszystkim postaramy się uratować, ile się da, a potem wycofamy się.

Zawrócił konia, kierując go w dół przełęczą, gdzie błyskały pioruny i łomotały grzmoty, a równocześnie rozkazał Angharowi – młodzieńcowi o zdecydowanym spojrzeniu, dysponującemu szybkim wierzchowcem – aby pomknął na wschód i przekazał wieści o tym, co się tu wydarzyło. Być może awiatorzy wszystko widzieli, a może nie, aczkolwiek Karede domyślał się już, dlaczego tamci lecieli tak nisko. Podejrzywał również, że Wysoka Lady Suroth i jej generałowie w Ebou Dar doskonale zdają sobie sprawę z tego, co się tu dzieje. Czy dzisiaj miał przyjść ten dzień, kiedy trzeba będzie oddać życie za Imperatorową? Wbił ostrogi w boki konia.

Z płaskiego, rzadko zalesionego grzbietu wzgórza Rand spoglądał na zachód ponad wierzchołkami drzew. Czuł w sobie pulsującą Moc – życie, tak słodkie; skaza, och, jak paskudna – i jak zawsze potrafił wyróżnić nawet pojedyncze liście w otaczającym lesie; ale nie tylko. Każde stuknięcie kopyta Tai'daishara. Zębate szczyty z tyłu, po obu stronach i wszędzie dookoła, wyższe o milę albo i więcej górowały nad grzbietem wzniesienia, wzniesienia, które ze swej strony spoglądało z wysoka na korony drzew porastających krętą dolinę, długą na ponad ligę i prawie równie szeroką. Panowała tam absolutna cisza. Głęboka jak Pustka, która go spowijała. W każdym razie teraz było cicho. Tu i tam pióropusze dymu znaczyły miejsca, gdzie dwa, trzy drzewa na raz płonęły niczym pochodnie. Tylko wilgotna aura powstrzymywała pożar przed objęciem całej doliny.

Flinn i Dashiva jako jedyni Asha'mani dotrzymywali mu towarzystwa. Stali nieco na uboczu, przy skraju lasu, trzymając konie za wodze i obserwując rosnące niżej drzewa. Cóż, przynajmniej Flinn obserwował, i to z równą uwagą jak Rand. Dashiva zerkał od czasu do czasu, krzywiąc się, mrużąc niekiedy pod nosem coś nieartykułowanego, co sprawiało, że Flinn niespokojnie przestępował z nogi na nogę i mierzył go spojrzeniem spode łba. Moc wypełniała obu mężczyzn prawie do granic ich możliwości, natomiast Lews Therin, o dziwo, zupełnie zamilkł. Podczas ostatnich kilku dni tamten coraz rzadziej wyściubiał nos ze swej kryjówki w umyśle Randa.

Na niebie wreszcie pokazało się słońce, chociaż rozproszone chmury wciąż straszyły szarością. Minęło pięć dni, od kiedy Rand przyprowadził swą niewielką armię do Altei, pięć dni, jak zobaczył swego pierwszego martwego Seanchanina. Od tego czasu wielu już ich widział. Ta myśl tylko prześlizgnęła się po powierzchni Pustki. Potrafił natomiast wyczuć, jak czaple, którymi naznaczono jego przedramiona przez rękawice, ocierają się o fakturę Berła Smoka. Cisza. Nigdzie dookoła nie było widać żadnych napowietrznych stworzeń. Trzy z nich zostały zabite, strącone z nieba



błyskawicami, zanim ich jeźdźcy pojęli, że lepiej trzymać się z boku. Bashere był bez reszty zafascynowany stworami. Cisza.

– Może to już koniec, mój Lordzie Smoku. – Głos Ailil był chłodny i opanowany, jednak mimowolnie poklepywała kark swej klaczy, która nie potrzebowała przecież uspokajania. Zmierzyła spod oka Flinna i Dashivę, a potem wyprostowała się w siodle, nie chcąc zdradzić nawet odrobiny zaniepokojenia, jakie czuła ich w towarzystwie.

Rand przyłapał się na tym, że nuci pod nosem, i natychmiast przestał. To nie była jego melodia, to był zwyczaj Lewsa Therina, który w ten sposób reagował na widok pięknej kobiety. Dość! Światłości, jeśli zaczniesz się zarażać manierami tamtego, na dodatek pod jego nieobecność!...

Znienacka po dolinie przetoczył się głuchy grzmot. W odległości co najmniej dwu mil od miejsca, gdzie się znajdował, ogień wytrysnął ponad drzewa, potem jeszcze, i znowu, i jeszcze raz. Błyskawica naznaczyła pręgą las, niedaleko od miejsca, gdzie wcześniej wykwitły wysokie jęczory płomieni, pojedyncze grotty pioruna wyglądały niczym zębate niebiesko-białe lance. Wkrótce potok błyskawic i ognia ustał, znowu zapanowała cisza. Tym razem ogień nie zajął żadnego z drzew.

Część tej eksplozji Mocy pochodziła z *saidina*. Ale tylko część.

W oddali podniosły się krzyki, stłumione i niewyraźne, pomyślał, że muszą dobiegać chyba z jakiejś innej części doliny. Zbyt daleko, by nawet jego wzmocnione *saidinem* uszy zdołały wychwycić szczęk stali. Mimo wszystko walczyli nie tylko Asha'mani: Oddani i Żołnierze.

Anaiyella wypuściła oddech, który musiała wstrzymywać chyba od momentu, gdy zaczęła się ta wymiana ciosów Mocy. Mężczyźni potykający się w boju byli jej obojętni. Potem z kolei ona poklepała kark swego wierzchowca. Wałach zastrzygł tylko uchem. To była jedna z rzeczy, jakich Rand zdołał się nauczyć o kobietach. Bardzo często, kiedy kobieta zdenerwowała się, próbowała uspokajać kogoś innego, niezależnie, czy ten potrzebował tego, czy nie. W ostateczności uspokajany mógł być również koń. Gdzie się podział Lews Therin?

Z irytacją pochylił się do przodu i powrócił do studiowania sklepienia lasu. Przeważały w nim drzewa zimozielone – dąb, sosna i skórzany liść – więc nawet mimo niedawnej suszy ich gałęzie dawały dobrą osłonę, także przed jego wzmocnionym wzrokiem. Jakby zupełnie nieświadomie musnął ciasno zwinięty tobołek znajdujący się pod mocowaniem strzemienia. Mógł wziąć sprawy w swoje ręce. I uderzyć na oślep. Mógł natychmiast ruszyć na dół, do lasu. Ale wtedy nie widziałby dalej jak na dziesięć kroków. W dole nie byłby bardziej skuteczny niż jeden z Żołnierzy.

Niedaleko na grzbiecie wzgórza, wśród drzew otworzyła się brama, pręga srebra, która zmieniła się w otwór ukazujący inne drzewa i gęste zimowe poszycie. Wyszedł zeń miedzianoskóry Żołnierz z cieniutkim wąsikiem i niewielką perłą osadzoną w uchu i brama prawie natychmiast zniknęła. Popychał przed sobą *sul'dam* ze skrępowanymi za plecami dłońmi, całkiem zresztą przystojną kobietę, gdyby nie purpurowy guz nabrzmiewający na skroni. Ta „ozdoba” dobrze pasowała do nachmurzonego wyrazu malującego się na jej twarzy, podobnie zresztą jak wygnieciona suknia, do której poprzylepiały się liście. Patrzyła z wściekłością przez ramię na Żołnierza, konsekwentnie kierującego ją w stronę Randa, a kiedy dotarli wreszcie na miejsce, w niego wbiła pałające nienawiścią spojrzenie.

Żołnierz stanął na baczność, zasalutował zgrabnie.

– Żołnierz Arlen Nalaam, mój Lordzie Smoku – wyrecytował, wbijając spojrzenie w jakiś punkt na siodle Randa. – Rozkazy Lorda Smoka przewidywały, aby przyprowadzić do niego każdą schwytaną kobietę.

Ran skinął głową. W całej tej sprawie chodziło tylko o to, by mógł sprawiać wrażenie, że coś robi. Nawet jeśli miałyby to być tylko inspekcja jeńców, po których każdy od pierwszego wejrzenia

widział, kim są.

– Odprowadź ją z powrotem do taborów, Żołnierzu Nalaam, a potem wracaj na pole walki. – Mówił to, omal nie zgrzytając zębami. Wracaj na pole walki. Podczas gdy Rand al’Thor, Smok Odrodzony i król Illian, będzie siedział na koniu i przyglądał się wierzchołkom drzew!

Nalaam zasalutował ponownie, po czym zajął swą poprzednią pozycję za plecami kobiety, najwyraźniej się spiesząc. Ona natomiast jak wcześniej zerknęła przez ramię, z tym że teraz nie na Żołnierza. Patrzyła na Randa. Z szeroko rozwartymi oczami i ustami otwartymi ze zadziwienia. Z jakiegoś powodu Nalaam nie kazał jej się zatrzymać, póki nie dotarł do miejsca, z którego wyszedł na grzbiet wzgórza. A przecież wystarczyło odejść tylko tak daleko, by nie wyrządzić krzywdy koniom.

– Co robisz? – zapytał Rand, kiedy tamtego wypełnił *saidin*. Nalaam, który częściowo odwrócił się w jego stronę, zawahał się na moment.

– Zrobienie bramy wydaje się łatwiejsze tutaj, w miejscu gdzie przed chwilą zrobiłem poprzednią, mój Lordzie Smoku. *Saidin*... *Saidin* wydaje się... dziwnie tu... zachowywać. – Pozostająca w jego pieczy kobieta zmarszczyła czoło.

Po chwili Rand oddalił go gestem. Flinn z pozoru interesował się wyłącznie popręgiem własnego siodła, ale uśmiechnął się nieznacznie. A właściwie chytrze. Dashiva zaś wręcz... zachichotał. Starszy, łysiejący mężczyzna pierwszy wspomniał o dziwnym wrażeniu, jakie wywoływał *saidin* w tej dolinie. Oczywiście Narishma i Hopwil słyszeli jego słowa, a Morr skomentował to własną opowieścią o „osobliwym efekcie” w okolicy Ebou Dar. Trochę dziwne, że każdy twierdzi, iż czuje coś dziwnego, nikt zaś nie potrafi wyjaśnić, co to właściwie takiego. Po prostu, wyjaśniali, *saidin* był jakiś... szczególny. Światłości, a jaki niby miał być, skoro męską połowę Źródła bez reszty pokrywała skaza? Rand miał nadzieję, że nie jest to początek jakieś nowej choroby, która ich wszystkich zwali z nóg.

Brama Nalaama otworzyła się, a po chwili zniknęła za plecami jego i więźniarki. Rand wsłuchał się uważniej we wrażenia niesione przez *saidina*. Życie i rozkład złąły się ze sobą; chłód, przy którym mróz środka zimy zdawałby się ciepły, i ogień, przy którym bledły płomienie kuźni; śmierć, czekająca tylko na najdrobniejsze poślizgnięcie. Która nieomal namacalnie pragnęła tego błędu. Ale żadnej różnicy nie wyczuwał. Czy rzeczywiście? Popatrzył spod zmarszczonych brwi na miejsce, gdzie zniknął Nalaam. Gdzie zniknęli Nalaam i kobieta.

Była czwartą *sul’dam* wziętą do niewoli tego popołudnia. Co razem czyniło dwadzieścia trzy więźniarki *sul’dam*, które trzymano w taborach. Oprócz nich pochwycili dwie *damane*, wszystkie wciąż nosiły na szyjach srebrne smycze z obrożami, ale podróżowały oddzielnym wozem; w tych obrożach nie potrafiły odejść na więcej niż trzy kroki, zanim chwytały je mdłości znacznie bardziej gwałtowne niżli te, które dokuczały Randowi podczas sięgania do Źródła. Mimo to dalej nie był pewien, czy siostry podróżujące z Matem będą zadowolone z takiego prezentu. Pierwszej złapanej trzy dni temu *damane* początkowo w ogóle nie uważał za jeńca. Szczupła kobieta z jasnymi słomianymi włosami i wielkimi niebieskimi oczyma była w jego oczach Seanchańską branką, której należy się wolność. Tak przynajmniej mu się wydawało. Kiedy jednak zmusił *sul’dam* do zdjęcia kobiecie obroży – jej *a’dam* – tamta zaczęła natychmiast błagać swoją *sul’dam* o pomoc i na ślepo ciskać Mocą. W końcu posunęła się nawet do tego, że sama nadstawiała szyję, aby *sul’dam* wzięła ją znowu na smycz! Dziewięciu Obrońców i jeden Żołnierz zginęło, zanim zdołano oddzielić ją tarczą. Gedwyn zabiłby ją na miejscu, gdyby Rand się nie wtrącił. Obrońcy – którzy w obecności władającej Mocą kobiety czuli się równie nieswojo, jak wszyscy pozostali wobec potrafiącego Przenosić męczyzny – nie dawali się przekonać, chcieli ją widzieć martwą. Ponieśli ciężkie straty

podczas ostatnich dni walk, ale najwyraźniej w fakcie, że to więźniarka pozabijała ich ludzi, dostrzegali ujmę na swym honorze.

A straty były znacznie większe, niż Rand z początku oczekiwał. Poległo trzydziestu jeden Obrońców i czterdziestu sześciu Towarzyszy. Z Legionu i spośród zbrojnych szlachty zginęło ponad dwustu żołnierzy. Siedmiu Żołnierzy i jeden Oddany, ludzie, których Rand w życiu nigdy nie spotkał, zanim nie odpowiedzieli na jego wezwanie do Illian. Zbyt wielu, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że wszystkie rany, z wyjątkiem śmiertelnych, można było Uzdrowić, gdyby tylko poszkodowany potrafił doczekać swojej kolejki. A jednak spychał Seanchan na zachód, nie dając im chwili na nabranie oddechu.

Gdzieś w głębi doliny rozległy się dalsze krzyki. Pióropusz ognia wykwitł dobre trzy mile na zachód, potem uderzyła błyskawica, obalając drzewa. Pnie i kamienie eksplodowały ponad zboczem, jeszcze dalej na zachód, niczym osobliwe fontanny w marszu przez stok. Głębokie echa wybuchów pochłonęły krzyki. Seanchanie znowu się wycofywali.

– Idźcie tam na dół – rozkazał Rand Flinnowi i Dashivie. – Obaj. Znajdźcie Gedwyna i powiedzcie mu, że ma naciskać! Naciskać za wszelką cenę!

Dashiva skrzywił się, spoglądając na rosnący w dole las, potem zaczął niezgrabnie ciągnąć swego wierzchowca wzdłuż grzbietu. W ogóle nie potrafił radzić sobie z końmi, niezależnie od tego, czy miał ich dosiadać, czy tylko prowadzić za uzdę. Omal nie potknął się o swój miecz!

Flinn spojrzał na Randa zmartwionym wzrokiem.

– Chcesz zostać tu sam, bez ochrony, mój Lordzie Smoku?

– Trudno to nazwać samotnością – oznajmił sucho Rand, spoglądając równocześnie na Ailil i Anaiyellę. One tymczasem wróciły na miejsce, gdzie stali ich zbrojni, prawie dwustu lansjerów czekających mniej więcej tam, gdzie grzbiet wzgórza zaczynał łagodnie obniżać się w kierunku wschodnim. Dowodzący oddziałem Denhard wyraźniej, krzywił się za kratami przyłbicy. Teraz miał pod sobą właściwie obie eskorty, jeśli więc troszczył się o bezpieczeństwo Ailil i Anaiyelli, to mógł być spokojny, jego żołnierze stanowili bowiem widok dostatecznie groźny, by większość wrogów wolała się od nich trzymać z daleka. Poza tym Weiramon tak dokładnie zamknął północny kraniec grzbietu, że, jak twierdził, mucha nawet nie mogła się prześlizgnąć, natomiast południowej flanki strzegł Bashere. Niespecjalnie się chwając, zwyczajnie, bez jednego słowa wzniósł mur lanc. A Seanchanie się wycofywali. – W każdym razie, nie nazwiesz mnie chyba bezbronnym, Flinn.

Flinn jednak wyraźnie nie pozbył się do końca wątpliwości, stał jeszcze przez chwilę, drapiąc się po siwej czuprynie, zanim zasalutował i poprowadził konia do miejsca, gdzie brama stworzona przez Dashivę migotała, już zamykając się za nim. Utykając, podszedł do własnego otworu w powietrzu, ale cały czas mruczał pod nosem, najwyraźniej martwiąc się stanem Dashivy. Rand miał ochotę krzyknąć na niego. Ani on nie oszaleje, ani żaden z nich.

Brama stworzona przez Flinna zniknęła, Rand zaś powrócił do obserwacji wierzchołków drzew. Znowu zapanowała cisza. Czas włókł się, nie wypełniany żadnymi wydarzeniami. Pomysł likwidacji tych wysuniętych posterunków w górach nie był najlepszy, teraz potrafił już to przyznać. Na takim terenie mogłeś minąć armię w odległości pół mili i nie mieć o tym pojęcia. W gęstym lesie, który porastał dolinę, można było przejść dziesięć stóp od nieprzyjaciela i o tym nie wiedzieć! Musiał skłonić Seanchan, by zechcieli przyjąć walkę na terenie bardziej mu odpowiadającym. Należy...

I nagle już zmagał się z *saidinem*, walczył z rwącą falą przyływu, która próbowała rozsadzić mu od wewnątrz czaszkę. Pustka pierzchała, uginając się pod ciosami Jedynej Mocy. Szaleńczo, w desperacji, wypuścił Źródło, zanim ono go zabiło. Odruch wymiotny skręcił mu żołądek. Przed

oczyma, w których zaczęło mu się dwoić, dostrzegł bliźniacze Korony Mieczy. Spoczywające na grubej ściółce ze zbrązowiałych liści tuż przed jego twarzą! Leżał na ziemi! Najwyraźniej miał kłopoty z nabraniem oddechu, bo płuca aż bolały od wysiłku. Od jednego ze złotych liści wawrzynu na koronie odpadł drobny kawałek, krew zabrudziła czerwienią kilka niewielkich ostrzy mieczy. Szarpnięcie palącego bólu w boku stanowiło znak, że jedna z tych nigdy nie chcących się zagoić ran właśnie znowu się otworzyła. Próbował się podnieść, ale zdołał tylko krzyknąć. W oglupiającym zdumieniu patrzył na czarne upierzenie strzały sterczącej z jego prawego ramienia. Z jękiem osunął się na ziemię. Poczł, jak coś spływa po jego twarzy. Zalewa mu oczy. Krew.

Niejasno zdawał sobie sprawę z głośnych, aczkolwiek odległych krzyków. Wśród drzew na północy pojawili się jeźdźcy, galopowali po grani grzbietu, niektórzy już obniżali lance do szarży, inni szyli z łuków tak szybko, jak tylko potrafili naciągać i zwalniać cięciwy. Jeźdźcy w błękitno-żółtych zbrojach z nachodzącymi na siebie płyt i hełmach przypominających łby monstualnych owadów. Seanchanie. Na pierwszy rzut oka kilka setek. Z północy. I tyle w kwestii muchy Weiramona.

Rand dokładał wszelkich wysiłków, aby pochwycić Źródło. Za późno już, by się przejmować mdłościami podchodzącymi do gardła albo liśćmi oblepiającymi twarz. Innym razem śmiałby się z tego. Wysilał się... To było jak poszukiwanie w ciemnościach upuszczonej szpilki zdrętwiałymi palcami.

„Czas umierać” – wyszeptał Lews Therin. Rand od zawsze wiedział, że Lews Therin pojawi się, gdy nadejdzie koniec.

Nie dalej jak pięćdziesiąt kroków od miejsca, gdzie leżał, kolumna krzyczących Tairenian i Cairhienian wbiła się w szeregi Seanchan.

– Walczcie, psy! – krzyczała Anaiyella, zeskakując z siodła obok niego. – Walczyć! – Smukła dama, cała w jedwabiach i koronkach, wypluła z siebie stek przekleństw, od których woźnicy język stanąłby kołkiem.

Teraz stała obok miejsca, gdzie leżał Rand, przenosząc spojrzenie to na kłęb walczących mężczyzn i migotliwej stali, to na niego. Wreszcie Ailil przewróciła go na plecy. Naraz uklękła obok, popatrzyła na niego nieodgadnionym spojrzeniem wielkich ciemnych oczu. Nie potrafił nawet drgnąć. Nie był pewien, czy jest w stanie choćby poruszyć powieką. Krzyki i szcęk stali dźwięczały mu w uszach.

– Jeśli on umrze na naszych rękach, Bashere obie nas powiesi! – Na twarzy Anaiyelli nie było już śladu tego sztucznego uśmiechu. – Chyba że te potwory w czarnych kaftanach położą na nas swe łapy!... – Zadrżała i nachyliła się bliżej Ailil, wymachując nożem, którego wcześniej nie dostrzegł w jej dłoni. Do rękojeści przywarła szkarłatna kropelka krwi. – Twój Kapitan Lansjerów może zdoła zebrać dość ludzi, byśmy się wydostały. Będziemy całe mile stąd, kiedy go znajdą, a z powrotem w naszych majątkach, gdy...

– Moim zdaniem on nas słyszy – przerwała jej spokojnie Ailil. Odzianymi w czerwone rękawiczki dłońmi sięgnęła do talii. Chowając nóż? Czy też wyciągając go z pochwy? – Jeśli on tutaj umrze... – Urwała ostro, podobnie jak wcześniej tamta, i gwałtownie zadarła głowę.

Po obu stronach Randa rozległ się tętent koni. Galopowały na północ, w kierunku Seanchan. Bashere z mieczem w dłoni ledwie zdołał opanować swego rumaka, omal nie spadając z siodła. Gregorin Panar zsiadł znacznie wolniej, ale nie przestawał wymachiwać mieczem, popędzając przemykających mimo żołnierzy.

– Na nich, za króla i Illian! – krzyczał. – Na nich! Pan Poranka! Pan Poranka! – Donośniej rozbrzmiał szcęk stali. Krzyki też się wzmogły.

– Że też na koniec musiało się coś takiego wydarzyć – warknął Bashere, obdarzając dwie kobiety podejrzliwym spojrzeniem. Nie marnował jednak ani chwili, tylko uniósł głos i przekrzykując zgiełk bitwy, zawołał: – Morr! Żeby szeszła twa asha’mańska skóra! Dawaj, tutaj! – Dzięki Światłości nie krzyknął, że Lord Smok padł.

Rand z wysiłkiem uniósł głowę, może o dłoń ponad ziemię. Wystarczająco wszakże, by zobaczyć Illian i Saldaean mknących na północ. Seanchanie musieli zostać odparci.

– Morr! – To imię z wyciem wydostało się spod sumiastych wąsów Bashere, ale w tym momencie Morr we własnej osobie zeskoczył z galopującego konia, omal nie zwalając z nóg Anaiyelli. Zaraz potem ukląkł obok Randa, odgarniając mu włosy z twarzy, ona zaś popatrzyła nań z niesmakiem, jakby w takiej sytuacji oczekiwała przeprosin. Jednak kiedy tylko zdała sobie sprawę, że będzie przynosił, szybko odsunęła się, a właściwie odskoczyła na bok. Ailil poruszała się ze znacznie większym wdziękiem, jednak ustąpiła miejsca z równą skwapliwością. I wsunęła do pochwy przy pasie krótki nóż o srebrnej rękojeści.

Uzdrawianie było stosunkowo prostym, nawet jeśli nie do końca przyjemnym zabiegiem. Morr odłamał upierzenie strzały, a resztę drzewc wyciągnął szybkim szarpnięciem, które sprawiło, że Rand cicho jęknął, a to był dopiero początek. Ziemia i przywarłe do ciała drzazgi same odpadną, kiedy rana zacznie się zablizniać, jednak dosłownie tylko paru, wśród nich Flinn, potrafiło usuwać Mocą ciała obce głęboko wbite pod skórę. Morr wsparł dwa palce na klatce piersiowej Randa, przygryzł lekko język zębami i zabrał się za tkanie splotu Uzdrawiania. Zawsze tak to robił, inaczej nie potrafił się skoncentrować. I nie były to żadne skomplikowane sploty, jakich używał na przykład Flinn. Niewielu potrafiło takie tkać, a nikt równie zręcznie jak tamten. To Uzdrawianie było znacznie prostsze. Bardziej brutalne. Rand poczuł przepływające przezeń fale żaru, wystarczająco dokuczliwe, by dobrać nieartykułowane chrząknięcie z jego gardła i pot ze wszystkich porów skóry. Od stóp do głów przeszył go dreszcz. Pomyślał, że tak się musi czuć pieczeń nabita na rożen.

Nagła fala wewnętrznego żaru powoli opadała, Rand zaś leżał na ziemi, ciężko łapiąc oddech. W jego głowie Lews Therin również dyszał: „Zabij go! Zabij go!” I tak wciąż.

Głosem ściszym do niewyraźnego szeptu Rand podziękował Morrowi – tamten zamrugał, jakby go ten gest zaskoczył! – potem podniósł z ziemi Berło Smoka i zmusił się, by powstać. Wyprostował się jakoś, zachwiał lekko. Bashere już pośpieszył, podając ramię, wycofał się jednak, oddalony gestem Randa. Potrafił przecież stanąć bez niczyjej pomocy. Ledwie. Jeśli zaś chodzi o Przenoszenie, to z równą łatwością mógłby chyba wzbić się w powietrze, wymachując ramionami. Kiedy dotknął dłonią boku, poczuł koszulę śliską od krwi, jednak stara okrągła blizna i nowsze cięcie przez nią zdawały się jak zazwyczaj tylko wrażliwe na dotyk. Częściowo tylko zaleczone, ale od czasu, gdy się zablizniły, nie wyglądały lepiej.

Przez chwilę mierzył wzrokiem obie kobiety. Anaiyella wymamrotała jakieś mętne gratulacje z powodu powrotu do zdrowia i uśmiechnęła się w taki sposób, który kazał mu się zastanawiać, czy zaraz nie polize go po ręce. Ailil stała sztywno wyprostowana, chłodna i opanowana, jakby nic się nie zdarzyło. Naprawdę miały zamiar zostawić go, by umarł? Albo wręcz zabić? Jeśli jednak, to dlaczego posłały swoich zbrojnych do szarzy, a same pospieszyły sprawdzić, czy nic mu się nie stało? Z drugiej wszakże strony Ailil jednak wyciągnęła nóż, kiedy zaczęła się ta rozmowa o jego śmierci.

Większość Saldaean i Illian galopowała na północ albo zjeżdżała ze stoku wzgórza, ścigając niedobitki Seanchan. I wtedy od północy nadszedł Weiramon, dosiadający wysokiego, lśniącego karosza, którego prowadził swobodnym kłusem; na widok Randa przeszedł w galop. Jego zbrojni jechali podwójną kolumną za nim.

– Mój Lordzie Smoku – zaczął Wysoki Lord, nim jeszcze na dobre zsiadł z konia. Wciąż sprawiał wrażenie równie czystego, jak u siebie w domu, w Illian. Ubiór Bashere był pognieciony i gdzieś zabrudzony, natomiast zdobną szatę Gregorina w całości uwalniało błoto, a ponadto na jednym boku ziało szerokie rozdarcie. Weiramon wykonał ukłon, którego nie powstydzono by się na królewskim dworze. – Wybacz mi, mój Lordzie Smoku. Zdało mi się, że widzę atak Seanchan idący od frontu grzbietu, więc pojechałem go odeprzeć. Nawet nie podejrzewałem istnienia tego drugiego oddziału. Doskonale wiesz, ile sprawiłoby mi bólu, gdybyś został zraniony.

– Sądzę, że wiem – oznajmił sucho Rand, a Weiramon zamrugał. Atak Seanchan? Być może. Weiramon zawsze polował na okazję zdobycia chwały w szarży. – Bashere, co miałeś na myśli, mówiąc „na koniec”?

– Wycofują się – odparł Bashere. W dolinie pod ich stopami rozbłysły ogień i błyskawice, jakby chcąc zadać kłam jego słowom, jednak stało się to u jej przeciwległego krańca.

– Twoi... zwiadowcy powiadają, że tamci co do jednego się wycofują – powiedział Gregorin, gładząc brodę i mierząc Morra pełnym niepokoju spojrzeniem spode łba. Morr wyszczerzył doń cały garnitur swych zębów. Rand widział wcześniej Illianina w samym ogniu walki, jak prowadził do ataku swoich ludzi, krzykiem dodawał im odwagi i w dzikim zapamiętaniu ciał mieczem, jednak teraz ten aż zadrżał pod spojrzeniem Morra.

Wtedy podszedł do nich Gedwyn, prowadząc beztrząs i bezczelnie jego konia. Prawie wyszczerzył zęby na widok Bashere'a i Gregorina, zmarszczył brwi, kiedy jego spojrzenie padło na Weiramona, jakby z góry wiedział, iż tamten kłamie, w Ailil i Annaiyellę wbił zaś wzrok, którym mógł je chyba przygwoździć do ziemi. Obie kobiety pośpiesznie cofnęły się pod tym spojrzeniem, ale podobna była reakcja mężczyzn, wyjąwszy Bashere'a. Nawet Morr wyraźnie zrobił się nieswój. Salut Gedwyna przed Randem był konwencjonalnym klepieniem się w pierś.

– Wysłałem zwiadowców w chwili, gdy zobaczyłem, że z tą bandą koniec. W promieniu dziesięciu mil naliczyli jeszcze trzy kolumny.

– Wszystkie kierują się na zachód – wtrącił cicho Bashere, ale spojrzał na Gedwyna spojrzeniem tak ostrym, że można by nim kroić kamień. – Zwyciężyłeś – poinformował Randa. – Naprawdę wszyscy się wycofują. Wątpię, by się zatrzymali, nim dotrą do Ebou Dar. Kampanie nie zawsze kończą się triumfalnym wjazdem do miasta, a ta właśnie się skończyła.

Rzecz zaskakująca – a może zresztą wcale nie – ale Weiramon zaczął nalegać na pościg za tamtymi, aby „zająć Ebou Dar na chwałę Pana Poranka”, jak to ujął; jednak z pewnością Rand przeżył prawdziwy wstrząs, gdy usłyszał, jak Gedwyn mówi, że nie miałby nic przeciwko temu, by trochę jeszcze przetrzepać skórę tym Seanchanom, oraz że nigdy w życiu nie widział Ebou Dar. Nawet Ailil i Anaiyella dołączyły swe głosy do chóru domagającego się „skończenia raz na zawsze z tymi Seanchanami”, aczkolwiek ta pierwsza dodała szybko, że w równym stopniu podobałby się jej kres Seanchan, co chciałyby uniknąć konieczności powrotu. Pewna była, że Lord Smok będzie nalegał na jej towarzystwo przy tym dziele. Wszystko to tonem tak chłodnym i suchym, jak noc na Pustkowiu Aiel.

Tylko Bashere i Gregorin wypowiedzieli się za zaprzestaniem pościgu i, ponieważ Rand nic nie mówił, dowodzili słuszności swego przekonania głosami coraz bardziej uniesionymi. Rand dalej milczał. Milczał, zapatrzony na zachód. W stronę Ebou Dar.

– Wykonaliśmy zadanie, jakie przed sobą stawialiśmy, przybywając tutaj – upierał się Gregorin. – Na litość Światłości, czy naprawdę chcecie zająć samo Ebou Dar?

Wziąć Ebou Dar, pomyślał Rand. Dlaczego nie? Nikt nie będzie się tego spodziewał. Całkowite zaskoczenie, tak dla Seanchan, jak dla wszystkich pozostałych.

– Bywają chwile, gdy korzystasz ze zdobytej przewagi i dalej rozwijasz atak – warknął Bashere. – Ale innym razem chowasz do kieszeni wygraną i wracasz do domu. I mówię wam, czas wracać do domu.

„Nie przeszkadzałyby mi twoja obecność w mojej głowie – powiedział Lews Therin, głosem nieomal zupełnie rozsądnym – gdybyś nie był ze szczętem szalony”.

Ebou Dar. Rand zacisnął dłoń na Berle Smoka, Lews Therin zaś zaniósł się bełkotliwym śmiechem wariata.

# ROZDZIAŁ 24

## CZAS ŻELAZA

Kilkanaście mil na wschód od Ebou Dar z naznaczonego światłem jutrzeńki oraz pojedynczymi chmurami nieba ześlizgnął się *raken*, który wylądował na długim pastwisku okolonym barwnymi porościami na wysokich tyczkach. Zbrązowiałe trawy lądowiska awiatorów wiele dni temu zostały już całkowicie zdeptane, pozostało tylko płaskie pole. Cała gracia, z jaką latające istoty poruszały się w powietrzu, zniknęła, gdy tylko ich pazury dotknęły ziemi w kołyszącym się biegu, którym wykonywały trzydzieści albo i więcej kroków, wciąż rozpościerając skórzaste skrzydła, jakby w daremnym wysiłku uniesienia się z powrotem w górę. Niewiele też piękna pozostawało w *rakenie*, który niezgrabnie biegł po polu startowym, uderzając żebrowanymi skrzydłami, podczas gdy przykucnięci w siodle awiatorzy próbowali niemal samą siłą woli poderwać stwora, póki bieg nie kończył się wreszcie wzbiciem w powietrze, a końce skrzydeł nieledwie muskały szczyty oliwnych drzewek na skraju pola. *Raken* musiał nabrać wysokości, zawrócić w stronę tarczy słońca i poszybować do chmur, by odzyskać swój majestat. Awiatorzy, którzy właśnie wylądowali, nawet nie raczyli zsiąść z siodła. Podczas gdy obsługa naziemna podsuwała *rakenowi* pod pysk kubek pomarszczonych owoców, które ten połykał garściami, jeden z awiatorów przekazywał raport ze zwiadu starszemu członkowi załogi naziemnej, inny zaś przechylał się z drugiej strony, aby wysłuchać nowych rozkazów, przekazywanych przez awiatora zbyt wiekowego, by często brać wodze w dłonie. Prawie natychmiast po wylądowaniu stwora znowu zwracano i gnano do miejsca, gdzie czekały cztery albo pięć innych, by podjąć długi, męczący bieg ku niebu.

Posłańcy uwijający się co sił w nogach między ćwiczącymi jednostkami kawalerii i piechoty przynosili raporty zwiadowców do wielkiego, zwieńczonego czerwonym porościami, namiotu dowództwa. Na polu manewrowym znajdowali się arogancy tarabońscy lansjerzy i powolni amadiciańscy pikinierzy, uformowani w regularne czworoboki, a na ich napierśnikach lśniły horyzontalne pasy w barwach regimentów, do których ich wcielono. Altarańska lekka konnica stała w swobodnym szyku, konie tańczyły pod jeźdźcami pyszniącymi się czerwonymi pasami przecinającymi piersi, całkowicie innymi od oznaczeń noszonych przez pozostałych. Altaranie nie zdawali sobie sprawy, że widziano w nich nieregularne formacje, na których nie bardzo można polegać. W skład seanchańskiej armii wchodziły słynne, mogące pochwalić się pełną zaszczytów służbą zastępy, które pochodziły z wszystkich zakątków Imperium: jasnoocy żołnierze z Alqam, mieszkańcy N'Kon o włosach barwy ciemnego miodu, czarni niczym węgiel wojownicy z Khoweal i Dalenshar. Byli też *morat'torm* na swych złowieszczych, pokrytych brązową łuską wierzchowcach, na których widok konie rżały i tańczyły w przerażeniu, a nawet kilku *morat'grolm* na swych przysadzistych podopiecznych o spiczastych pyskach, brakowało wszak jednej formacji, która zawsze towarzyszyła seanchańskiej armii i brak ten jakże był uderzający. *Sul'dam* i ich *damane* wciąż pozostawały w namiotach. Generał-Kapitan Kennar Miraj ostatnimi czasy wiele swoich myśli poświęcał *sul'dam* i *damane*.

Ze swego krzesła na podwyższeniu widział dokładnie stół z mapami, przy którym podporucznicy bez hełmów na głowach sprawdzali raporty zwiadowców i przesuwali znaczki reprezentujące oddziały znajdujące się w polu. Każdy marker miał postać maleńkiej papierowej chorągiewki, na której podstawie wypisane były atramentem siła i skład danej jednostki. Znalezienie na tych ziemiach przyzwoitej mapy graniczyło z cudem, jednak ta, którą przekopiowano na planszet, była w zasadzie wystarczająca. Za to rysującą się na niej sytuację należało uznać co najmniej za niepokojącą. Z



położenia ciemnych kółek oznaczających wysunięte posterunki łatwo było wywnioskować, że ich siły są atakowane lub poszły w rozsypkę. Zbyt wiele ich skupiło się na terytorium wschodniej części łańcucha Venir. Tam też równie gęsto tłoczyły się czerwone trójkąty oznaczające ruchome punkty dowodzenia, wskazując wysuniętymi wierzchołkami na Ebou Dar. Wśród czarnych krążków oczy kłuła śnieżna biel siedemnastu markerów. Kiedy przyglądał się planszetowi, młody oficer w czerniach, i brązach *morat'torm* pieczołowicie umieścił na nim osiemnasty. Siły wroga. Kilka krążków mogło oznaczać ten sam oddział zaobserwowany dwukrotnie, jednak większość znajdowała się w zbyt wielkiej odległości od siebie, a odstęp między kolejnymi raportami był zbyt krótki, by złożyć wszystko na karb pomyłki zwiadowców.

Pod ścianami namiotu siedzieli pisarze w prostych brunatnych kaftanach, różniących się tylko insygniami rang na szerokich kołnierzach, i czekali z piórami w dłoniach na rozkazy Miraja, które mieli natychmiast kopiować i przekazywać do rozesłania. Zdążył już wydać wszystkie ważne polecenia. W górach musiało być co najmniej dziewięćdziesiąt tysięcy żołnierzy wroga, czyli niemal dwa razy tyle, ilu on był w stanie zgromadzić tutaj, uwzględniając nawet wojska zaciężne lokalnych mieszkańców. Zbyt wielu, by dać wiarę tym liczbom, wyjąwszy fakt, że zwiadowcy nie kłamali – kłamcom ich własni towarzysze podcinali gardła. Zbyt wielu, a na dodatek pojawiali się jakby spod ziemi, niczym robaki-podkopniki z Sen T'jore. Optymizmem napawał tylko fakt, że tamtym pozostało do pokonania przynajmniej sto mil przez góry, jeśli zdecydują się zaatakować Ebou Dar. A prawie dwieście, jeśli wziąć pod uwagę białe dyski najdalej wysunięte na wschód. Zresztą, nawet jeśli pokonają góry, to jeszcze im zostanie sto mil pofałdowanego terenu. Z pewnością generał wroga nie miał zamiaru dopuścić, by jego rozproszone siły musiały stawać do samodzielnej walki, niemniej jednak zgromadzenie ich wszystkich razem zabierze kolejne dni. A zatem przynajmniej czas działał na jego korzyść.

Kłapa namiotu odskoczyła gwałtownie i do środka weszła Wysoka Lady Suroth z czarnymi włosami dumnie spływającymi na plecy śnieżnobiałej sukni z kołnierzem i bogato haftowanej narzutki, których jakimś sposobem nie tknęło zalegające wszędzie błoto. Miraj sądził, że ona wciąż przebywa w Ebou Dar – musiała chyba przylecieć na grzbiecie *to'rakena*. Towarzyszyła jej stosunkowo niewielka, jak na jej zwyczaje, świta. Dwóch żołnierzy ze Straży Skazańców, z czarnymi chwościami przy rękojeściach mieczy, podtrzymywało usłużnie klapy wejścia, przez które widział jeszcze innych, czekających na zewnątrz: mężczyzn o kamiennych obliczach, odzianych w zielenie i czerwienie. Ucieleśnienie samej Imperatorowej, oby żyła wiecznie. Nawet członkowie Krwi liczyli się z nimi. Suroth jednak z łabędzią gracją i obojętnością przeszła obok nich, jakby byli równie nieistotną służbą jak *da'covale* o ciele przeznaczonym dla rozkoszy, w pończochach i przezroczyście białych szatach, której miodowożółte włosy zaplecione były w gęstwą cienkich warkoczyków i która dwa kroki za Wysoką Lady niosła inkrustowany pulpit do pisania. Głos Krwi przysługujący Suroth, ponura kobieta imieniem Alwhin, w zielonej szacie, z ogoloną lewą połową czaszki i resztą jasnokasztanowych włosów zaplecioną w cienki warkocz, trzymała się zaraz za swoją panią. Kiedy Miraj zszedł ze swojego podwyższenia, zobaczył drugą *da'covale* idącą za Suroth i przeżył wstrząs, gdy zdał sobie sprawę, że ta niska i ciemnowłosa, szczupła kobieta w przezroczyście szatach to *damane*! Nikt nigdy nie słyszał o *damane* odzianej w szaty niewolnicy, a jeszcze dziwniejsze było to, że to Alwhin prowadziła ją na *a'dam*!

Nie pozwolił jednak, by choć ślad tego zdumienia odbił się na jego twarzy, przyklęknął na jedno kolano i cicho oznajmił:

– Niech Światłość przyświeca Wysokiej Lady Suroth. Wszelka cześć Wysokiej Lady Suroth. – Wszyscy pozostali padli na płótno wyścielające podłogę namiotu, twarzą ku ziemi, i nikt nie odważył

się unieść oczu. Miraj jednak pochodził z Krwi, nawet jeśli jego szlachectwo było niezbyt znaczące, by chociaż mógł golić obie połowy czaszki jak Suroth. Miał prawo tylko do lakierowanych paznokci przy małych palcach obu dłoni. Zbyt niska była jego pozycja, by miał prawo wyrazić zdumienie widokiem Głosu Wysokiej Lady, która wciąż zachowywała się jak *sul'dam*, mimo iż wyniesiona została do pozycji *so'jhin*. Ale zdążył się już poniekąd przyzwyczaić do dziwnych widoków na tych dziwnych ziemiach, które przemierzał Smok Odrodzony, a żyjące na swobodzie *marath'damane* należało dopiero pozabijać. Lub zniewolić, jeśli będzie to możliwe.

Suroth obrzuciła go przelotnym spojrzeniem i natychmiast odwróciła się, by przyjrzeć planszetowi, a jej czarne oczy zwięzły się ze zdumienia, do którego oczywiście miała dostateczne powody. Aż do niedawna, pod jej komendą, Hailene zdołali dokonać znacznie więcej, niżli się komukolwiek śniło, odzyskując wielkie połacie skradzionych krain. Tak naprawdę to wysłano ich tylko po to, by przetarli drogę, a po Falme niektórzy sądzili, że nawet to zadanie jest niewykonalne. Wysoka Lady z irytacją zabębniła po blacie stołu dwoma długimi polakierowanymi na błękitno paznokciami. W obliczu nieustannych sukcesów mogłaby zapewne już wkrótce do końca ogolić głowę i polakierować trzeci paznokieć na każdym ręku. Nikogo nie zdziwiłaby też adopcja przez rodzinę Imperatorowej w uznaniu tak wielkiego osiągnięcia. Jeśli jednak posunie się za daleko, jeśli zmyli krok, może się nagle okazać, że paznokcie zostały jej obcięte, ona zaś musi nosić szatę przezroczystą niczym mgiełka i zaspokajać wszelkie zachcianki kogoś z członków Krwi, jeśli nie sprzedadzą jej prosto na farmę, by tam pracowała na polu, albo nie każą pocić się w jakimś magazynie miasta. Miraj zaś w najgorszym przypadku będzie musiał tylko otworzyć sobie żyły.

Czekał cierpliwie, w milczeniu, nie odrywając wzroku od Suroth, jednak zanim został wyniesiony w szeregi Krwi, służył jako prosty porucznik zwiadu, *morat'raken*, i nie potrafił poradzić, że nie umykało jego spojrzeniu nic, co działo się dookoła. To wszystko, co zwiadowca dostrzegał, albo to, co mu umykało, stanowiło kwestię życia i śmierci zarówno dla niego, jak i dla innych. Ludzie wciąż bili czołami w ziemię wokół namiotu, niektórzy zdawali się nawet wstrzymywać oddech. Suroth powinna wziąć go na bok, im zaś pozwolić wrócić do swych obowiązków. U wejścia do namiotu żołnierz zawrócił łączniczkę. Jak ważna musiała być wiadomość, którą kobieta usiłowała przepchnąć przez kordon Straży Straceńców?

*Da'covale*, która wciąż trzymała w ramionach pulpit do pisania, pochwyciła jego wzrok. Mars skaził jej piękną twarz lalki, ale utrzymywał się na niej tylko kilka chwil. Przedmiot posiadania okazujący gniew? Ale chodziło o coś jeszcze. Jego spojrzenie przemknęło ku *damane*, która stała ze spuszczoną głową, a jednak spoglądała ciekawie spod oka. Piwnooka *da'covale* i jasnooka *damane* wyglądały tak różnie, jak tylko mogą dwie kobiety, jednak miały ze sobą coś wspólnego. Coś w twarzach. Dziwne. Nie potrafił nawet powiedzieć, ile lat mogły liczyć.

Mimo iż jego spojrzenie naprawdę było przelotne, Alwhin zauważyła je. Lekkim szarpnięciem srebrnej *a'dam* zmusiła *damane* do położenia się twarzą w dół na podłodze namiotu. Strzeliła palcami, po czym dłonią wolną od bransolety *a'dam* wskazała w dół i skrzywiła się, gdy zobaczyła, że miodowłosa *da'covale* nie ma zamiaru usłuchać.

– Padnij, Liandrin! – syknęła prawie niedosłyszalnie. Zerknąwszy wściekle na Alwhin... w jej spojrzeniu naprawdę rozgorzała wściekłość!... *da'covale* osunęła się na kolana, w widoczny sposób nadasana.

Jeszcze dziwniejsze. Ale pewnie bez znaczenia. Z całkowicie niewzruszoną twarzą, wewnątrz aż się gotując, czekał. Przepęłniała go niecierpliwość, a pełna szacunku postawa przysparzała nie tylko drobnych niewygód. W szeregi Krwi wyniesiony został po tym, jak w ciągu jednej nocy przejechał pięćdziesiąt mil, z trzema grotami strzał utkwionymi w ciele, by zanieść słowo o armii

buntowników maszerującej na samo Seandar; po dziś dzień plecy czasami mu dokuczały.

Na koniec Suroth odwróciła się od stołu z mapami. Nie dała mu pozwolenia na powstanie, a tym bardziej nie miała zamiaru objąć go, jako się godzi jednemu z Krwi. Zresztą wcale tego nie oczekiwał. W porównaniu z nią zajmował o wiele – zbyt niską pozycję.

– Jesteś gotów do wymarszu? – zapytała grzecznie. Przynajmniej nie przemówiła doń przez swój Głos. Przed tak licznie zebranymi oficerami byłaby to hańba, nakazująca mu przez długie miesiące, jeśli już nie lata, chodzić ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Będę, Suroth – odparł spokojnie, patrząc prosto w jej oczy. Wszakże naprawdę był z Krwi, nawet jeśli pośledniej. – Nie dadzą rady skoncentrować sił wcześniej niż za dziesięć dni, co najmniej kolejne dziesięć zajmie im wydostanie się z gór. Na długo przed upływem tego czasu będę...

– Oni mogą tu być już jutro – warknęła. – Dzisiaj! Jeśli zdecydują się zaatakować miasto, a wszystko wskazuje, że to naprawdę nastąpi, użyją do tego celu starożytnej sztuki Podróżowania.

Usłyszał, jak jego ludzie wiercą się niespokojnie, leżąc na brzuchach, dopiero po chwili zdołali się opanować. Suroth straciła do reszty panowanie nad sobą i paplała o jakichś legendach?

– Jesteś pewna? – Słowa wydobyły się z jego ust, zanim zdołał je zdusić w gardle.

Przedtem tylko mógł podejrzewać, że straciła nad sobą kontrolę. Teraz jej oczy zapłonęły. Wpiła palce w brzeg szaty zdobionej kwietnym haftem, kłykcie jej pobielały, ręce drżały niepowstrzymanie.

– Kwestionujesz moje słowa? – warknęła z niedowierzaniem. – Niech ci wystarczy, że dysponuję własnymi źródłami informacji. – Zdał sobie sprawę, że jej wściekłość obejmowała rzeczony źródła w tym samym stopniu co jego. – Jeśli zaatakują, rzucą przeciwko nam prawdopodobnie nie więcej niż pięćdziesięciu tych tak pompatycznie nazwanych Asha'manów, lecz nie więcej niż pięć czy sześć tysięcy żołnierzy. Wygląda na to, że od początku tyłu ich było, niezależnie od tego, co mówili awiatorzy.

Miraj wolno pokiwał głową. Pięć tysięcy ludzi potrafiących w jakiś sposób przenosić się z miejsca na miejsce przy użyciu Jedynej Mocy mogłoby wiele wyjaśnić. Ale jakie też musiały być te jej źródła, skoro dysponowała tak precyzyjnymi liczbami? Nie był na tyle głupi, by spytać. Z pewnością na jej służbie pozostawali Słuchacze i Poszukiwacze. Ją również obserwowali. Pięćdziesięciu Asha'manów. Sama myśl o przenoszącym mężczyźnie sprawiała, że miał ochotę splunąć z obrzydzeniem. Plotki głosiły, że Smok Odrodzony, ówże Rand al'Thor, werbuje ich spośród ludów wszystkich krain, jednak nie spodziewał się, że może być ich aż tylu. Smok Odrodzony potrafi przenosić, tak powiadano. Mogło to być prawdą, wszelako przecież był Smokiem Odrodzonym.

Proroctwa Smoka znane były w Seanchan jeszcze przed Konsolidacją zapoczątkowaną przez Luthaira Paendraga. W zniekształconej formie, jak utrzymywali niektórzy, znacznie odbiegającej od oryginałów, jakie miał ze sobą Luthair Paendrag. Nie tak dawno temu Miraj miał okazję zapoznać się z kilkoma tomami *Cyklu Karaethońskiego*, opublikowanymi na tych ziemiach, i one również były zniekształcone – w żadnym nie było mowy o tym, że Smok Odrodzony będzie służył Kryształowemu Tronowi! – jednak Proroctwa wciąż panowały nad ludzkimi sercami i myślami. Nie tylko nieliczni mieli nadzieję na szybki Powrót, dzięki któremu ziemie te będą mogły zostać odzyskane, zanim nastąpi Tarmon Gai'don i wtedy Smok Odrodzony będzie mógł zatriumfować w Ostatniej Bitwie na chwałę Imperatorowej, oby żyła wiecznie. Później Imperatorowa z pewnością zażyczy sobie, aby al'Thora odesłano do niej, by mogła na własne oczy się przekonać, jaki to człowiek walczył w jej imieniu. Kiedy al'Thor wreszcie uklęknie przed nią, nie będzie już dłużej sprawiał żadnych

trudności. Naprawdę niewielu potrafiło otrząsnąć się ze zgrozy i zachwyty, jakie poczuli, gdy ukłękli przed Kryształowym Tronem, kiedy to pragnienie wypełniania rozkazów zasychało na ich językach. Wydawało się jednak oczywiste, że zamknięcie tego człowieka w ładowni statku będzie znacznie łatwiejsze, jeśli z pozbyciem się tych Asha'manów – bo, rzecz jasna, trzeba się będzie ich pozbyć – zaczekają do chwili, aż al'Thor będzie już daleko na Oceanie Aryth, w drodze do Seandar.

To z kolei kazało mu wrócić myślami do problemu, którego dotąd starannie unikał, co po chwili zrozumiał z wewnętrznym niepokojem. Nie był człowiekiem, który uchylałby się przed trudnościami, a tym bardziej ignorował ich istnienie, jednak ta sprawa była całkowicie odmienna od wszystkich, z jakimi wcześniej miał do czynienia. Walczył w kilku co najmniej bitwach, podczas których obie strony używały *damane*, wiedział, jak wygląda ich przebieg. Nie była to tylko kwestia celnego uderzenia Mocą. Doświadczona *sul'dam* potrafiła jakoś wyczuć, co zamierzały zrobić *damane* oraz *marath'damane*, jej zaś *damane* umiała poinformować o tym inne tak, żeby i one zdołały się obronić. Czy *sul'dam* zorientują się również, co robi mężczyzna? A co gorsze...

– Przekażesz mi swoje *sul'dam* i *damane*? – zapytał. Biorąc głęboki wdech, zmusił się, by dodać: – Jeśli wciąż będą chore, walka okaże się krótka i krwawa. Po naszej stronie.

Co wywołało następne poruszenie wśród ludzi czekających w czołobitnej pozycji. Co druga plotka w obozie dotyczyła spekulacji nad dziwną chorobą, jaka odosobniła *sul'dam* i ich *damane* w namiotach. Alwhin zareagowała zupełnie otwartym, całkowicie niestosownym u *so'jhin* rozjuszonym spojrzeniem. *Damane* znowu zeszywniała i zaczęła niepowstrzymanie drżeć. Dziwne, ale miodowłosa *da'covale* zareagowała w podobny sposób.

Suroth uśmiechnęła się i wdzięcznie podeszła do miejsca, gdzie klęczała *da'covale*. Dlaczego uśmiechała się do kiepsko wyćwiczonej niewolnicy? Poglaskała klęczącą kobietę po cienkich warkoczach, a na ustach w kształcie pączka róży zagościł markotny dąs. Była szlachcianka z tych ziem? Pierwsze słowa Suroth zdawały się potwierdzać to przypuszczenie, chociaż najwyraźniej zamierzone były pod jego adresem.

– Drobnie porażki pociągają za sobą niewielkie koszty, koszty wielkich porażek bywają boleśnie ogromne. Otrzymasz *damane*, których zażądałeś, Miraj. I udzielisz tym Asha'manom lekcji, że lepiej nie wyściubiać nosa z północy. Zetrzesz ich z powierzchni ziemi, Asha'manów, żołnierzy, wszystkich. Aż do ostatniego człowieka. Miraj. Przemówiłam.

– Stanie się, jak powiadasz, Suroth – odparł. – Zostaną zgładzeni. Do ostatniego człowieka. – Nie pozostało już nic więcej do powiedzenia. Żałował jednak, że nie otrzymał odpowiedzi na pytanie, czy *sul'dam* i *damane* wciąż jeszcze są chore.

Rand prowadził Tai'daishara wkoło, wokół szczytu nagiego kamienistego wzgórza, chcąc dokładnie obejrzeć większość swojej niewielkiej armii, która równym strumieniem wylewała się z dziur w powietrzu. Zdecydowanie ujmował Jedyne Źródło, tak zdecydowanie, że zdawało się dygotać w jego uścisku. Wypełniony Mocą, czuł ostre igły Korony Mieczy wbijające się w skronie, równocześnie straszliwie wyraźne i skrajnie odległe, podobnie chłód późnego ranka zdawał się jednocześnie i chłodniejszy, i ledwie zauważalny. Nie chcące się nigdy zagoić rany w boku przypominały mu o sobie tępym, przyćmionym bólem. Lews Therin dyszał z niepewności. Albo może ze strachu. A może, otarłszy się kilka dni temu o śmierć, już nie chciał tak bardzo ginąć. Lecz z drugiej strony, przecież nie zawsze pragnął śmierci. Jediną stałą cechą jego wybuchów było pragnienie zabijania. A chyba tylko przygodną ich właściwość. stanowił fakt – i tak nazbyt częstego – liczenia siebie samego w poczet tych, którzy zasłużyli na śmierć.

„Wkrótce będzie tyle zabijania, że dla każdego starczy” – pomyślał Rand. – „Światłości, w ciągu ostatnich dni polało się tyle krwi, że zemdliliby padlinożercę”. To było tylko sześć dni? Jednak tym razem odraza wobec siebie nie ugodziła go do żywego. Nie mógł sobie na nią pozwolić. Lews Therin nie odpowiadał. Tak. To był czas dla serc z żelaza. I żelaznych żołądków. Pochylił się przelotnie, by dotknąć długiego, owiniętego w płótno pakunku pod puśliskiem strzemienia. Nie. Jeszcze nie czas. Być może zresztą nigdy nie nadejdzie. Niepewność spieniła się na powierzchni Pustki, towarzyszyło jej jakieś inne, nierozpoznane uczucie. Miał w każdym razie nadzieję, że nigdy nie będzie musiał tego użyć. Niepewność, o tak, proszę bardzo, ale tamto drugie... mógł to być strach? Z pewnością nie!

Połowę otaczających niskich wzgórz porastały karłowate, poskręcane drzewa oliwne, wśród ich liści igrały plamki słońca; lansjerzy już sprawdzili teren, upewniając się, że jest bezpiecznie. Nie było śladu po pracownikach tego sadu, żadnych zabudowań farmy, w ogóle żadnych budowli w zasięgu wzroku. Kilka mil na zachód wzgórze pokrywała ciemniejsza zieleń – był to las. Poniżej miejsca, gdzie stał Rand, wyłaniał się właśnie truchtem szereg Legionistów, za nimi szła poszarpana kolumna illiańskich ochotników, obecnie wcielonych do Legionu. Gdy tylko sformowali właściwy szyk, odsunęli się na bok, ustępując miejsca Obrońcom i Towarzyszom. Powierzchnię gruntu stanowiła tu głównie glina, buty i kopyta ślizgały się w cienkiej, rozmoczonej warstwie żółtego błota. O dziwo, na niebie wisały tylko pojedyncze chmury, czyste i białe. Słońce było bladożółtą kulą. I żadne stworzenie większe od jaskółki nie przemierzało nieboskłonu.

Dashiva i Flinn wraz z innymi – Adleyem, Hopwilem, Morrem i Narishmą – utrzymywali bramy. Niektórych wyjść Rand nie mógł widzieć, skryte były za falistą linią wzgórz. Chciał, żeby wszyscy przeszli tak szybko, jak to tylko możliwe, wyjąwszy więc kilku Żołnierzy zajętych obserwacją nieba, każdy człowiek w czarnym kaftanie, który nie udał się na zwiady, podtrzymywał splot. Nawet Gedwyn i Rochaid, chociaż obaj krzywili się przez cały czas, spoglądając znacząco po sobie i pozostałych. Rand pomyślał, że zupełnie już odwykli od tak zwyczajnych czynności, jak utrzymywanie bramy, przez którą przechodzą inni.

Bashere klusem pokonał stok, z wyraźną swobodą całkowicie panując zarówno nad sobą, jak i nad swoim niskim gniadoszem. Poty rozpiętego, mimo porannego chłodu, płaszcz powiewały z tyłu - wprawdzie nie było tu tak mroźno jak w górach, jednak wciąż czuło się zimę. Skinął powściągliwie głową w stronę Anaiyelli i Ailil, które odpowiedziały spojrzeniami bez wyrazu. Bashere uśmiechnął się jednak pod swymi sumiastymi wąsiskami, przypominającymi zakrzywione w dół rogi, i nie był to szczególnie miły uśmiech. Te kobiety wywoływały u niego podobne wątpliwości co u Randa. Kobiety zaś doskonale zdawały sobie z tego sprawę, a przynajmniej świadome były powściągliwości Bashere w stosunkach z nimi. Anaiyella znowu poklepywała wałacha po karku, Ailil coś nazbyt kurczowo ścisnęła wodze swego wierzchowca.

Od czasu incydentu na zboczach obie nie oddalały się nazbyt od Randa, nawet nocą kazały rozbijać namioty w miejscu, skąd mogły słyszeć odgłosy dobiegające z jego schronienia. Na przeciwległym, pokrytym zbrązowiałą trawą wzgórzu, Denharad zmienił pozycję, aby dokładniej przyjrzeć się służącym obu szlachcianek, zajmującym miejsce za jego plecami, a potem wrócił do obserwowania Randa: Niewykluczone, że przyglądał się Ailil, a może również Anaiyelli, jednak Randa obserwował bez najmniejszych wątpliwości. Rand nie był pewien, czy tamci wciąż się bali, że ich obwiniają za jego ewentualną śmierć, czy też zwyczajnie chcieli być jej świadkami. Jediną pewną rzeczą było to, że jeśli naprawdę chcieli jego śmierci, to on nie zamierzał w niczym ułatwiać spełnienia się tych pragnień.

„Któż zgłębi kobiece serce?” – zaśmiał się paskudnie Lews Therin. Wydawał się mieć jeden ze

swych bardziej trzeźwych okresów. – „Większość kobiet wzruszeniem ramion zbędzie to, za co mężczyzna by zabił, i zabije za to, co mężczyzna potraktowałby wzruszeniem ramion”.

Rand zignorował głos tamtego. Zobaczył, jak ostatnia brama znika w rozbłysku. Dosiadający koni Asha'mani znajdowali się zbyt daleko, by mógł stwierdzić, czy któryś wciąż utrzymuje *saidina*, ale nie miało to znaczenia, póki on nie wypuścił Jedynego Źródła. Niezdarny Dashiva spróbował zgrabnie i szybko dosiąść konia, co skończyło się tym, że dwukrotnie omal nie spadł, nim wreszcie znalazł się w siodle. Większość mężczyzn w czarnych kaftanach rozjechała się na północ bądź południe.

Reszta szlachty szybko przybyła w ślad za Bashere'em, zgromadzili się na zboczach tuż poniżej Randa, ci najlepszego pochodzenia i dysponujący największą władzą – po krótkich przepychankach tu i tam, gdy czyjaś przewaga była niezbyt oczywista – zajęli w końcu pozycje na czele. Tihera i Marcolin trzymali się na uboczu, po przeciwnej stronie tłumy szlachty, ich twarze były na wszelki wypadek zupełnie pozbawione wyrazu; poproszeni, mogli udzielać rad, wiedzieli jednak, że ostateczna decyzja spoczywa w rękach pozostałych. Weiramon otworzył usta, wykonał dłonią pompatyczny gest, bez wątpienia gotując się do kolejnej wzniosłej perory głoszącej chwałę walki pod sztandarem Smoka Odrodzonego. Sunamon i Torean, przyzwyczajeni do jego oracji, a równocześnie na tyle potężni, by nie przejmować się zachowywaniem pozorów, zbliżyli konie i zaczęli się cicho naradzać. Na twarzy Sunamona gościła jakaś niezwykajna twardość, Torean zaś, mimo pasów z czerwonej satyny na rękawach kaftana, zdawał się gotów w każdej chwili do kłótni o miedzę. Bertome o kwadratowej szczęce i kilku innych Cairhienian w ogóle nic nie obchodziło, śmiali się z własnych żartów. Każdy miał już dosyć wzniosłych deklamacji Weiramona. Mars na czole Semaradrída pogłębiał się za każdym razem, gdy patrzył na Ailil i Annaiellę – nie podobało mu się, że pozostają tak blisko Randa, zwłaszcza że chodziło o jego rodaczkę – być może więc to ten kwaśny wyraz na jego twarzy działał na wszystkich bardziej niżli wymowność Weiramona.

– Jakies dziesięć mil od nas – oznajmił głośno Rand – dobre pięćdziesiąt tysięcy ludzi szykuje się do wymarszu. – Wiedzieli o tym już wcześniej, niemniej jego słowa ściągnęły nań spojrzenie wszystkich oczu i zasznurowały wszystkie usta. Weiramon głośno zatrzasnął szczęki, na jego obliczu pojawił się wyraz zawodu, uwielbiał bowiem wsłuchiwać się we własne przemowy. Gueyam i Maraconn, gładząc wystrzyżone w szpic, wypomadowane brody, uśmiechali się z wyczekiwaniem; obaj byli skończonymi głupcami. Semaradrid wyglądał tak, jakby właśnie zjadł cały garniec zgniłych śliwek. Gregorin i towarzyszący mu trzej lordowie z Rady Dziewięciu zwyczajnie zagryźli wargi z ponurą determinacją. Ci nie byli głupcami.

– Zwiadowcy nie dostrzegli śladu obecności *sul'dam* albo *damane* – ciągnął dalej Rand – ale nawet bez nich, nawet z Ashamanami, tamtych wystarczy, żeby wielu z nas zginęło... jeśli ktokolwiek zapomni, jaki jest plan. Jednak z pewnością nikomu się to nie przydarzy, nie mam w tej sprawie żadnych wątpiwości. – Tym razem żadnej szarży bez wyraźnego rozkazu. Stwierdził to w słowach jasnych jak słońce i twardych niczym kamień. Żadnego pomykania tu i tam, ponieważ komus się zdawało, że coś widział.

Weiramon uśmiechnął się, wkładając w ten grymas tyle służalczości, ile zazwyczaj można było oczekiwać po Sunamonie.

Na swój sposób plan był prosty. Ruszą na zachód pięcioma kolumnami, każdej będą towarzyszyć Asha'mani, i spróbują spaść na Seanchan ze wszystkich stron równocześnie. Przynajmniej postarają się w ten sposób zamknąć pierścień okrażenia. Proste plany są zawsze najlepsze, upierał się Bashere.

„Jeśli nie zadowolili cię cały miot tłustych prosiąt – mruknął cicho – jeśli musisz pędzić w las,

żeby znaleźć starą lochę, wówczas nie podniecaj się za bardzo, ponieważ ona wypruje ci flaki”.

„Żaden plan bitewny nigdy jeszcze nie ocalał w pierwszym starciu z wrogiem” – powiedział Lews Therin w głowie Randa. W danej chwili zdawał się myśleć zupełnie jasno. W danej chwili. „Coś jest nie w porządku” – warknął zniechęcony. W jego głosie powoli nabrzmiewało napięcie, póki nie przeszedł w dziki, pełen niedowierzania śmiech. – „Wszystko musi być dobrze, ale nie jest. Coś dziwnego, coś paskudnego, skrada się, skacze, szarpie”. – Jego bełkot przeszedł w szloch. – „To nie może być prawda! Ja chyba oszalałem!” – A potem zniknął, nim Rand zdążył go uciszyć. A żeby szczeł, plan był dobry, w przeciwnym razie Bashere już by się nań rzucił niczym kura na robaka.

Lews Therin był szalony, w tej kwestii trudno było mieć wątpliwości. Póki jednak Rand al'Thor pozostawał przy zdrowych zmysłach... Byłby to doprawdy gorzki figiel spleatany świata, gdyby Smok Odrodzony oszalał przed wybuchem Ostatniej Bitwy.

– Zajmijcie stanowiska – rozkazał, dając znak Berłem Smoka. Musiał zdławić w sobie śmiech, jaki wzbudzała w nim ironia tej sytuacji.

Na jego rozkaz grupa szlachty, wśród potrącania się i mamrotania, rozpadła się na mniejsze oddziały, próbując zajmować pozycje zgodne z wcześniejszymi ustaleniami. Niewielu zresztą podobały się rozkazy przydziału otrzymane od Randa. Dzielące ich mury, które osłabił szok pierwszego starcia w górach, niemalże natychmiast znowu wyrosły.

Weiramon nie mógł odżalować swej nawet nie rozpoczętej mowy, jednak po ceremonialnym ukłonie, podczas którego wystawił w kierunku Randa szpic brody niczym grot włóczni, pojechał przez wzgórza na północ, a jego śladem podążyli Kiril Drapeneos, Bertome, Doressin i kilku pomniejszych cairhieniańskich lordów, każdy z nich z kamienną miną spowodowaną tym, że Tairenianowi powierzono dowodzenie nad nimi. Gedwyn jechał przy boku Weiramona, zachowując się tak, jakby to on dowodził, czym ściągnął na siebie kilka mrocznych spojrzeń, których wszelako zdawał się nie zauważać. Pozostałe oddziały składały się z podobnie pomieszanych nacji. Gregorin również kierował się na północ, w towarzystwie ponurego Sunamona, który starał się stwarzać pozory, że całkowicie przypadkowo udaje się po prostu w tę samą stronę, za nimi zaś Dalthanes prowadził mniej dostojnych Cairhienian. Jeordwyn Semaris, następny z Dziewięciu, z Amondrodem i Gueyamem podążał za Bashere'em na południe. Ci trzej zaakceptowali Saldaeanina jako dowódcę z prostego powodu, że nie był Tairenianinem, ani Cairhienianinem, ani Illianinem. Rochaid chyba próbował z Bashere tego samego co Gedwyn z Weiramonem, jednak Bashere najwyraźniej ignorował jego pretensje. W niewielkiej odległości od oddziału Bashere jechali Torean i Maraconn, nachyliwszy głowy, najwyraźniej dając upust złości wynikającej z postawienia nad nimi Semadrida. A skoro już o tym mowa, Ershin Netari wciąż spoglądał na Jeordwyna i stawał w strzemionach, szukając wzrokiem Gregorina i Kirila, chociaż żadną miarą nie mógłby ich zobaczyć, ponieważ zniknęli już wśród wzgórz. Semadrid, wyprostowany tak sztywno, jakby połknął stalowy pręt, wyglądał na równie niewzruszonego co Bashere.

Przez cały czas Rand stosował się do tej samej zasady. Ufał Bashere i sądził, że być może potrafi zaufać Gregorinowi, żaden z pozostałych na pewno nie odważy się zwrócić przeciwko niemu, mając wokół siebie tylu obcych i tak niewielu przyjaciół. Obserwując, jak po kolei znikają wśród wzgórz, Rand zaśmiał się cicho. Będą dla niego walczyć i będą walczyć dobrze, ponieważ nie mieli innego wyjścia. Podobnie jak on.

„Szaleństwo” – wysyczał Lews Therin. Rand ze złością stłumił jego głos.

Oczywiście nie został sam. Tihera i Marcolin dysponowali większością sił Obrońców oraz Towarzyszy, którzy stali konnymi szeregami wśród oliwnych drzew na wzgórzach ograniczających z flanki grzbiet, gdzie zatrzymał swego wierzchowca. Pozostali odeszli, stanowiąc ubezpieczenie na

wypadek jakiejś niespodzianki. Kompania odzianych w niebieskie kaftany Legionistów czekała cierpliwie w zagłębieniu poniżej, strzeżona czujnym okiem Masonda, równie liczną ariergardę oddziału stanowili ludzie noszący wciąż te same ubrania, w których poddali mu się na trakcie w Illian. Próbowali naśladować spokój Legionistów – ostatecznie sami teraz byli Legionistami – ale bez większego powodzenia.

Rand zerknął na Ailil i Anaiyellę. Tairenianka uśmiechnęła się doń sztucznie, ale nawet ten uśmiech wyszedł jej słabo. Twarz drugiej kobiety mogła równie dobrze być wykuta z lodu. Nie potrafił im tego zapomnieć, ani im, ani Denharadowi, ani ich zbrojnym. Kolumna jego wojsk, poruszająca się w centrum, będzie najliczniejsza i zdecydowanie najsilniejsza. Zdecydowanie.

Flinn oraz ludzie, których Rand wybrał po bitwie pod Studniami Dumai, jechali w górę stoku, na wprost niego. Łysiejący starszy mężczyzna jak zawsze prowadził, mimo że już wszyscy, prócz Adleya i Narishmy, nosili teraz w kołnierzach tak Smoka jak i Miecz, Dashiva zaś zasłużył sobie nań pierwszy. Po części było tak dlatego, że młodszy mężczyźni okazywali Flinnowi szacunek, mając na względzie jego lata doświadczeń w Andorańskiej Gwardii Królewskiej. I po części również dlatego, że Dashiva zdawał się o to nie dbać. Na najrozmaitsze zachowania ludzi reagował chyba tylko lekkim rozbawieniem. Przynajmniej kiedy je dostrzegał, kiedy zechciał oderwać się bodaj na moment od prowadzonej pod nosem rozmowy z samym sobą. Najczęściej jednak zdawał się ledwie świadom istnienia wszystkiego, co było dalej niż koniec jego nosa.

Z tego też powodu Rand przeżył lekki wstrząs, kiedy Dashiva niezgrabnie wbił obcasy w zapadłe boki swego wierzchowca i wysforował przed pozostałych. Ta prosta twarz, na której jakże często zastygał wyraz roztargnienia albo rozbawienia własnymi myślami, teraz była wykrzywiona-zmartwieniem. A już co najmniej szokujący był fakt, że gdy tylko dotarł do Randa, pochwycił *saidina* i natychmiast splótł wokół nich osłonę uniemożliwiającą podsłuchiwanie. Lews Therin choć raz oszczędzał oddech – jeśli można rzec, że bezcielesny głos potrzebuje oddechu dla swych słów – i nie mamrtał o zabijaniu; sięgnął natomiast bez słowa w kierunku Źródła, próbując je wyszarpnąć Randowi. A potem równie nagle zamilkł i zniknął.

– *Saidin* jest tutaj jakiś podejrzany, coś jest z nim nie tak – powiedział Dashiva, w niezwykle dla siebie, pozbawiony typowej mglistości sposób. W rzeczy samej, jego słowa brzmiały całkiem... rzeczowo. I przebijało też przez nie zniecierpliwienie. Jakby to przemawiał nauczyciel upominający szczególnie tępego ucznia. Posunął się nawet do tego, że dźgał powietrze przed Randem wyprostowanym palcem. – Nie mam pojęcia, o co chodzi. Nic nie jest w stanie zwichrować *saidina*, a gdyby to było możliwe, poczulibyśmy to jeszcze w górach. Cóż, wczoraj dawało się coś wyczuć, ale wrażenie było tak nieznaczne, że... Dzisiaj jednak czuję to całkowicie wyraźnie. *Saidin* zachowuje się tak, jakby... żył własnym życiem. Wiem, wiem. *Saidin* nie jest żywy. Ale... tutaj pulsuje w nim jakieś tętno. Trudno nad nim zapanować.

Rand z wysiłkiem rozwarł palce, kurczowo ściskające Berło Smoka. Nie od dziś był pewien, że Dashiva jest równie szalony jak sam Lews Therin. Zazwyczaj jednak tamten w większym stopniu panował nad sobą, jakkolwiek skomplikowana byłaby to kontrola.

– Przenoszę dłużej od ciebie, Dashiva. Po prostu skaza bardziej daje ci się we znaki. – Nie potrafił jednak złagodzić wymowy tych słów. Światłości, przecież nie mogli jeszcze wszyscy oszaleć, ani on, ani oni! – Zajmij swoje stanowisko. Niedługo wyruszamy. – Zwiadowcy mieli wkrótce powrócić. Na terenie znacznie mniej pofałdowanym niż wcześniej, aczkolwiek wciąż przecież nie całkiem płaskim, nawet z tak ograniczonym polem widzenia, sprawdzenie obszaru o promieniu dziesięciu mil nie powinno zająć dużo czasu, jeśli się Podróżuje.

Dashiva nie wykonał najdrobniejszego gestu, który świadczyłby, że zamierza zastosować się do



rozkazu. Zamiast tego gniewnie otworzył usta, a potem zamknął je zdecydowanie. Trzęsąc się niepowstrzymanie, wciągnął głęboki oddech.

– Wiem doskonale, od jak dawna przenosisz – powiedział lodowatym,omalże pogardliwym tonem – z pewnością jednak nawet ty jesteś w stanie to wyczuć. Zastanów się, człowieku! Nie podoba mi się, gdy *saidin* zachowuje się w sposób, który można określić jedynie słowem „dziwny”, nie chcę też umrzeć ani... wypalić się, tylko dlatego, że ty jesteś ślepy! Przyjrzyj się moim osłonom! Przyjrzyj się!

Rand przyjrzał się. *Dashiva* przystępujący do zdecydowanych działań stanowił już i tak osobliwy widok, ale *Dashiva* ulegający nastrojom? A potem naprawdę skoncentrował się na osłonie. Strumienie powinny być mocno osadzone, zupełnie jak nitki w ciasno utkanym płótnie. A tymczasem drżały. Osłona była równie solidna, tak jak powinna być, a jednak pojedyncze wątki Mocy leciutko migotały od słabej wibracji. Morr twierdził, że *saidin* zachowywał się dziwnie pod Ebou Dar, jak również w promieniu stu mil od miasta. Teraz znajdowali się już zdecydowanie wewnątrz tak zakreślonego obszaru.

Rand wczuł się we wrażenia niesione przez *saidina*. Zawsze świadom był przepływów Mocy – gdyby sobie pozwolił na nieuwagę, równałoby się to śmierci albo czemuś jeszcze gorszemu – jednak przywykł już do ciągłego boju, jaki musiał z nim toczyć. Była to walka na śmierć i życie, jednak z czasem stała się równie naturalna jak życie samo. Ta walka w istocie była życiem. Wyteżył zmysły, by w pełni doświadczyć istoty tego boju, istoty swego życia. Chłód, który potrafiłby skruszyć kamień na pył. Ogień zdolny w jednym rozbłysku odparować skałę. Plugastwo, przy którym zastarzały dół kloaczny pachniałby niczym kwietny ogród. Oraz... rodzaj pulsowania, jakby małe zwierzątko szarpało się w zaciśniętej dłoni. Nie był to ten rodzaj drżenia, jaki wyczuwał w *Shadar Logoth*, gdzie skaza *saidina* rezonowała złem przesycającym tamto miejsce, sprawiając, że sam *saidin* kołysał się niczym dzwon. Tutaj skaza była silna, lecz wywierane przez nią wrażenie pozostawało stabilne. To sam *saidin* zdawał się tutaj pełen rozmaitych podziemnych prądów i pływów. *Niespokojny*, powiedział *Dashiva*, i teraz Rand potrafił zrozumieć sens tych słów.

W dole stoku stojący obok *Flinna Morr* przeczesał dłonią włosy i rozejrzał się niepewnie dookoła. *Flinn*, który nieustannie zmieniał pozycję w siodle, teraz poluzował miecz w pochwie. *Narishma*, wciąż wpatrzony w niebo, wypatrujący skrzydlatych stworzeń, jakoś zbyt często mrugał. W policzku *Adleya* rytmicznie drgał mięsień. Wszyscy zdradzali właściwe sobie oznaki nerwowości i odrobinę zdumienia. Rand poczuł wzbierającą w sercu ulgę. Mimo wszystko nie było to jeszcze szaleństwo.

*Dashiva* uśmiechnął się, krzywym, aczkolwiek pełnym samozadowolenia uśmiechem.

– Nie potrafię pojąć, jak mogłeś wcześniej nie zauważyć. -Ton jego głosu stanowił doskonałe odbicie wyrazu twarzy. – Od czasu jak rozpoczęliśmy to szaleńcze przedsięwzięcie, właściwie rzecz biorąc, dzień i noc nie wypuszczasz *saidina*. To jest najprostsze zaklęcie osłaniające, ale z początku w ogóle nie chciało się ukształtować, a potem splot zaskoczył z szarpnięciem, jakby mi się próbował wyrwać z rąk.

Pół mili na zachód, na nagim szczycie jednego ze wzgórz zawirowała srebrzystobłękitna pręga otwierającej się bramy, następnie *Żołnierz* przeciągnął przez nią opornego konia i dosiadł go pośpiesznie; najwyraźniej powracający zwiadowca. Nawet z tak dużej odległości Rand potrafił dostrzec delikatne lśnienie splotów otaczających bramę, które wkrótce zniknęły. Zanim jeździec dotarł do stóp wzgórza, już druga brama otworzyła się na jego grzbiecie, potem trzecia, czwarta, i kolejne. Jedna po drugiej, w tempie ledwie pozwalającym poprzednikowi usunąć się z drogi.

– Ale jakoś ci się jednak udało – powiedział Rand. To samo odnosiło się do bram

zwiadowców. – Mówisz, że *saidina* trudno kontrolować, ale tak jest przecież zawsze, w końcu jednak nieodmiennie poddaje się twojej woli. – Dlaczego jednak w tym miejscu trudności miałyby być większe? Pytanie, które należy odłożyć na później. Światłości, jakże żałował, że Herid Fel już nie żyje, stary filozof być może znalazłby odpowiedź. – Wróc do pozostałych, Dashiva – rozkazał, ale tamten wciąż przypatrywał mu się zdumiony i Rand musiał kilkakrotnie powtarzać swoje słowa, nim wreszcie zabezpieczenie przed podsłuchem zniknęło, a Dashiva zawrócił konia i nie próbując nawet odsalutować, pognał go szybko w dół zbocza.

– Jakież kłopoty, mój Lordzie Smoku? – zapytała ze sztucznym uśmiechem Anaiyella. Ailil tylko popatrzyła na Randa całkowicie pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

Widząc, że pierwszy zwiadowca skierował się w stronę Randa, pozostali szerokim wachlarzem ruszyli na północ i południe, każdy w zamiarze dołączenia do którejś z kolumn. Znalezienie ich w ten starodawny sposób będzie jednak szybsze niżli przypadkowe podróże przez krótkodystansowe bramy. Nalaam zaś już wkrótce ściągnął wodze przed Randem, przyłożył pięść do serca – czy rzeczywiście jego oczy patrzyły dziko, rozbiegane? Nieważne. *Saidin* wciąż robił to, co kazał mu władający Mocą mężczyzna. Nalaam dokończył salut i przystąpił do składania raportu. Seanchanie, jak się okazało, nie znajdowali się wcale w odległości dziesięciu mil, lecz znacznie bliżej – pięć, może sześć – i maszerowali na wschód. I mieli ze sobą liczne *sul'dam* oraz *damane*.

Nalaam pogalopował, Rand zaś wydał odpowiednie rozkazy i jego kolumna ruszyła na zachód. Obrońcy i Towarzysze jechali po obu flankach. Legioniści maszerowali w ariergardzie, tuż za Denharadem. Ich obecność stanowiła napomnienie dla szlachty i ich zbrojnych, jeśli tamci jeszcze jakiegoś potrzebowali. Anaiyella z pewnością dostatecznie często oglądała się przez ramię, Ailil zaś zbyt wyraźnie powstrzymywała identyczny gest. Wokół Randa skupiła się główna siła uderzeniowa kolumny – on, Flinn i pozostali Asha'mani – podobnie wyglądał szereg pozostałych oddziałów. Asha'mani wezmą na siebie ciężar walki, stal pozostałych będzie strzegła ich pleców. Słońce wciąż miało jeszcze sporo drogi do południowego szczytu na nieboskłonie. Nie zdarzyło się nic, co zmusiłoby ich do zmiany planów.

„Szaleństwo czeka na jednych” – wyszeptał Lews Therin. – „Innych wszakże trawi już od dawna”.

Miraj zajmował pozycję niedaleko czoła swej armii, maszerującej na wschód po błotnistej drodze, która wiała się wśród gajów oliwnych i zagajników. Jednak nie zdecydował się na podróż z awangardą. Między nim a wysuniętymi zwiadowcami znajdował się pełen regiment wojska, głównie złożony z Seanchan. Znał generałów, którzy upierali się, by zajmować miejsce w pierwszym szeregu. Niejeden już nie żył. I większość przegrała bitwy, w których oddali życie. Wszechobecne błoto oczywiście maskowało poniekąd pochód armii, która dzięki niemu nie wzbijała kurzu na drodze, jednak wieść o niej, nie zważając na trudne warunki, niosła się niczym pożar po Równinach Sa'las. Tu i tam wśród oliwnych gajów zdarzało mu się dostrzec przewróconą taczkę lub porzucony sierp, ale robotnicy zniknęli już dawno temu. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego przeciwników będą na szczęście unikać z równą skwapliwością. Jeśli więc los okaże się łaskawy, nie mając *rakenów*, tamci dowiedzą się o jego nadejściu, kiedy będzie już za późno. Wszelako Kennar Miraj nie lubił zanadto ufać losowi.

Prócz licznych podoficerów, gotowych w każdej chwili dostarczyć żadaną mapę lub skopiować rozkazy, oraz posłańców czekających na te ostatnie, podczas jazdy towarzyszyli mu tylko Abaldar Yulan – mężczyzna postury tak nikłej, że nawet zupełnie przeciętny wałach zdawał się pod nim

wielki, a jednak zapalczywy, z paznokciami małych palców obu dłoni pomalowanymi na zielono, w czarnej peruce maskującej łysinę – i Lisaine Jarath, siwowłosa kobieta z samego Seandar, której blada okrągła twarz i niebieskie oczy stanowiły wręcz modelowy wizerunek niewzruszonego spokoju. Yulan natomiast nie był spokojny – czarny niczym węgiel Kapitan Sił Powietrznych Miraja często krzywił się na rozkazy, które prawie nie pozwalały mu ująć w dłonie wodzy *rakena*, jednak jego dzisiejszy grymas aż tchnął niezadowoleniem sięgającym głębi istoty. Niebo było bezchmurne, doskonale dla latających stworzeń, jednak z rozkazu samej Suroth żaden z jego awiatorów nie miał znaleźć się w siodle, nie wspomogą dzisiejszego boju. Hailene towarzyszyło zbyt mało *rakenów*, aby niepotrzebnie nimi szafować. Jednak to spokój Lisaine znacznie bardziej martwił Miraja. Była dlań kimś znacznie więcej niżli tylko przełożoną znajdujących się pod jego dowództwem *der'sul'dam*, była przyjaciółką, z którą niezliczoną ilość razy dzielił filiżankę *kaf* i planszę do gry w kamienie. Kobieta przepełniona energią, pełna entuzjazmu i humoru. A teraz była lodowato spokojna i równie milcząca jak każda z *sul'dam*, które wcześniej próbował przesłuchać.

W zasięgu wzroku miał dwadzieścia *damane*, idących po obu flankach konnych, każda w ślad za wierzchowcem swojej *sul'dam*. *Sul'dam* stale pochylały się w siodłach, by głaskać *damane* po głowach, potem się prostowały, by już za moment natychmiast nachylić się i uspokajać je znowu. W jego oczach *damane* wyglądały na stosunkowo spokojne i zdecydowane, jednak widok *sul'dam* z pewnością świadczył, że te znajdowały się na skraju załamania. A porywczą zazwyczaj Lisaine jechała obok niego w grobowym milczeniu.

Przed nimi pojawił się *torm* i pomknął wzdłuż kolumny. Mijał ją szerokim łukiem, właściwie przemykając skrajem zagajników, jednak konie rżały i tańczyły nerwowo na widok brązowołuskiego stwora. Dobrze ułożony *torm* nigdy nie zaatakowałby koni – przynajmniej póki nie ogarnąłby go bez reszty szal zabijania, powód, dla którego *tormy* nie najlepiej spisywały się w bitwach – jednak konie wyćwiczone, by zachować spokój w obecności *torma*, stanowiły równą rzadkość jak same bestie.

Miraj wysłał chudego podporucznika o imieniu Varek, aby odebrał raport zwiadowcy od *morat'torm*. Tamten musiał pójść pieszo, ale oby Światłość spaliła tego, kto pozwolił sobie na stratę własnego *sei'taer*. Nie będzie tracił czasu, czekając, aż Varek opanuje zdobytego gdzieś na tych ziemiach konia. Podporucznik wrócił szybciej jeszcze, niż się pierwiej oddalił, potem uklonił się zdecydowanie i przystąpił do raportu, zanim jeszcze na dobre się wyprostował.

– Wróg znajduje się mniej niż pięć mil na wschód, mój lordzie Kapitanie-Generale, maszeruje w naszym kierunku. Pięcioma kolumnami, które dzieli odległość mili.

Tyle, jeśli chodzi o szczęście. Miraj jednak, zamiast biadać nad losem, zaczął się natychmiast zastanawiać, w jaki sposób zaatakować czterdzieści tysięcy żołnierzy, sam dysponując jedynie pięcioma oraz pięćdziesięcioma *damane*. I już wkrótce ludzie galopowali, wioząc rozkazy mające przygotować wojsko do odparcia spodziewanego okrążenia, toteż nie minęło wiele czasu, gdy regimenty zaczęły zajmować pozycje w zagajnikach, wraz z nimi *sul'dam* i ich *damane*.

Osloniwszy się płaszczem przed niespodzianym podmuchem zimnego wiatru, Miraj dostrzegł w tej samej chwili coś, co przejęło go jeszcze większym chłodem. Lisaine również obserwowała *sul'dam* znikające wśród drzew. A na jej czoło wystąpiły grube krople potu.

Bertome jechał w swobodnej postawie, pozwalając, by boczny wiatr powiewał połami jego płaszcza, jednak zalesiony teren przed sobą obserwował z czujnością, której bynajmniej nie starał się skrywać. Z czterech rodaków za swoimi plecami jedynie Doressin miał autentyczną wprawę w Grze Domów. Ten durny taireński pies, Weiramon, był, rzecz jasna, zupełnie ślepy. Bertome zerknął na

wyprostowane plecy człowieka, którego miał za całkowitego bufona. Weiramon mocno wyprzedzał pozostałych, pogrążony w rozmowie z Gedwynem, a jeśli Bertome potrzebował dodatkowego dowodu na to, że Tairenianin będzie śmiał się z tego, na czego widok kozę by zemdliło, to mógł ów dowód znaleźć w owej kurtuazji, z jaką tamten odnosił się do młodego, płomiennokiego potwora. Zauważył, że Kiril przygląda mu się z ukosa, więc ściągnął wodze swego siwka, oddalając go od wielkoluda. Nie żywił szczególnej wrogości do Illianina, ale nienawidził, gdy ludzie patrzyli nań z góry. Nie mógł się już doczekać powrotu do Cairhien, bo tam nie będzie musiał przebywać w otoczeniu niezgrabnych gigantów. Kiril Drapeneos, mimo że taki przerośnięty, z pewnością nie był ślepy. On również wysłał naprzód kilkunastu zwiadowców. Weiramon zadowolili się jednym.

– Doressin – powiedział cicho Bertome, a po chwili dodał głośniejszym głosem: – Doressin, ty tępakul!

Kościsty mężczyzna wzdrygnął się. Podobnie jak Bertome i cała pozostała trójka, wygolił wysoko i przypudrował czoło; ostatnimi czasy styl nawiązujący do wyglądu żołnierzy stawał się coraz bardziej modny. Doressin na zaczepkę powinien był odpowiedzieć, wyzywając go od ropuchy, jak to czynił od czasów chłopięcych, a jednak tylko podjechał bliżej i nachylił się ku Bertome. Był najwyraźniej zdenerwowany i nie ukrywał tego, jego czoło cięły głębokie zmarszczki.

– Zdajesz sobie sprawę, że Lord Smok postanowił nas poświęcić? – wyszeptał, zerkając na pełznącą za nimi kolumnę. – Krew i ogień, przecież tylko wykonywałem rozkazy Colavaere... Niemniej od chwili gdy on ją zabił, powinienem wiedzieć, że też już jestem trupem.

Przez chwilę Bertome przypatrywał się kolumnie zbrojnych podążającej wśród łagodnych wzgórz. Tu drzewa rosły znacznie rzadziej, wciąż jednak było ich dość, by umożliwić nieprzyjacielowi atak z zaskoczenia. Ostatni z oliwnych gajów zostawili już jakąś milę za sobą. Ludzie Weiramona jechali rzecz jasną ławą, w tych swoich idiotycznych kaftanach z marszczonymi rękawami w białe pasy, ich śladem postępowali Illianie Kirila w zieleniach i czerwieniach dostatecznie jaskrawych, że zawstydziłyby Druciarza. Jego żołnierze włożyli pod napierśniki dyskretne granaty i dzięki temu wciąż nie było ich widać, mimo iż zajmowali pozycję obok Doressina i pozostałych, wyprzedzając tylko kompanię Legionistów. Weiramon zdawał się zdziwiony, że piechota dotrzymuje kroku konnym, choć przecież nie narzucił wcale ostrego tempa.

Tak naprawdę Bertome wcale nie patrzył na zbrojnych. Z tyłu, nawet za ludźmi Weiramona jechało siedmiu konnych, siedmiu mężczyzn w czarnych kaftanach, o twardych obliczach i zimnych niczym śmierć spojrzeniach. Jeden wpiął w kołnierz szpilkę w kształcie srebrnego miecza.

– Byłby to dosyć wyszukany sposób na realizację takiego zamierzenia – sucho poinformował Doressina. – I wątpię, by Al'Thor wysłał z nami tych ludzi, gdybyśmy mieli trafić prosto w otwór maszynki do mielenia mięsa. – Wciąż marszcząc czoło, Doressin otworzył już usta, ale Bertome wszedł mu w słowo: – Muszę porozmawiać z Tairenianami. – Nie lubił, kiedy towarzysz dzieciństwa zachowywał się w ten sposób. Al'Thor sprawił, że zupełnie się rozkleił.

Weiramon i Gedwyn, zajęci sobą, nie usłyszeli, jak się do nich zbliżał. Gedwyn w roztargnieniu podrzucał wodze, rysy jego twarzy skrzeły w grymasie pogardy. Twarz Tairenianina nabiegła krwią.

– Nie dbam o to, kim jesteś – mówił do mężczyzny w czarnym kaftanie, głosem niskim, twardym, prawie się zapluwając. – Nie podejmę żadnego dodatkowego ryzyka, bez wyraźnego rozkazu z ust samego...

Nagle obaj równocześnie uświadomili sobie obecność Bertome, szczęki Weiramona zatrasnęły się głośno. Popatrzył na Bertome wzrokiem tak pełnym ognia, jakby chciał go zabić na miejscu. Uśmiech zawsze obecny na twarzy Asha'mana gdzieś się zapodział. Powiał wiatr, zimny i przenikliwy, jak zawsze gdy chmury przesłaniały słońce, jednak jego chłód nawet nie mógł się

równać z mrozem zaskoczonego spojrzenia Gedwyna. Bertome przeżył lekki wstrząs, gdy zrozumiał, że tamten również najchętniej widziałby go martwym.

Po chwili jednak, mimo iż lodowato mordercze spojrzenie Gedwyna nie zmieniło się ani na jotę, wyraz twarzy Weiramon przeszedł znamiennej metamorfozę. Nabiegłe krwią oblicze powoli odzyskało normalną barwę, przeciął je nagły uśmiech, pochlebny uśmiech, w którym migotał tylko cień szyderczego poczucia wyższości.

– Właśnie o tobie myślałem, Bertome – powiedział serdecznie. – Wielka szkoda, że al’Thor zadusił twoją kuzynkę. Własnymi rękoma, jak słyszałem. Mówiąc szczerze, zaskoczony byłem, dowiedziawszy się, że odpowiedziałeś na jego wezwanie. Widziałem, jak cię obserwował. Obawiam się, że zaplanował dla ciebie coś bardziej... interesującego... niżli łomotanie buciorów o podłogę, kiedy jego ręce będą się zaciskać na twoim gardle.

Bertome stłumił westchnienie, którego powodem nie była bynajmniej wyłącznie niezgrabność tego głupca. Wielu próbowało już nim manipulować, wykorzystując do tego celu śmierć Colavaere. Była jego faworyzowaną kuzynką, wszelako ambitną ponad miarę. Roszczenia Saighan do Tronu Słońca były całkowicie usprawiedliwione, jednak wydawały się nie do utrzymania wobec prawomocności pretensji Riatinów lub Damodredów, każdego z osobna, a co dopiero występujących razem, nie wspominając już o jawnym błogosławieństwie Białej Wieży tudzież Smoka Odrodzonego. Mimo to wciąż uważał ją za swoją faworytkę. Przynajmniej póki żyła. Czego mógł chcieć Weiramon? Z pewnością nie tego, na co wskazywałyby pozory. Nawet ten taireński idiota nie był aż tak prostacki.

Zanim jednak zdołał ułożyć jakąś odpowiedź, zobaczył jeźdźca, mknącego w ich strony między drzewami. Cairhienianin. Kiedy gwałtownie ściągnął przed nimi wodze, a jego koń aż przysiadł na zadzie, Bertome rozpoznał jednego z własnych zbrojnych, szczerbatego człeczynę z podłużnymi szramami na obu policzkach. Doile, przypomniał sobie. Z majątku Colchaine.

– Mój lordzie Bertome – wydyszał tamten, kłaniając się pośpiesznie. – Dwa tysiące Tarabonian depcze mi po piętach. I mają ze sobą kobiety! Z błyskawicami na sukniach!

– Depczą ci po piętach – mruknął Weiramon lekceważąco. – Zobaczymy, co powie mój człowiek, kiedy wróci. Z pewnością nie widzę żadnych!...

Jego słowa utonęły w dobiegających z przodu gwałtownych okrzykach i tętnie kopyt, wkrótce pojawili się galopujący lansjerzy, falą powodzi rozlewając się wśród drzew. Prosto na Bertome’a i pozostałych.

Weiramon zaśmiał się.

– Zabijaj, kogo chcesz i jak chcesz, Gedwyn – powiedział, dramatycznym gestem dobywając miecza. – Ja pozostanę przy swoich metodach. I tyle! – Pogalopował w kierunku swych zbrojnych, wymachując klingą nad głową i krzyząc: – Saniago! Saniago i chwała! – Nikt, kto go znał, nie mógł się dziwić, że do okrzyku na cześć swego Domu, swej największej miłości, nie dołączył zawołania kraju.

Pędząc co koń wyskoczy w tę samą stronę, Bertome również krzyczał:

– Saigan i Cairhien! – Nie było potrzeby jeszcze dobywać miecza. – Saigan i Cairhien! – O co tamtemu mogło chodzić?

Załomotał grzmot i skonsternowany Bertome wzniósł wzrok ku niebu. Chmur wcale nie było więcej niż kilka chwil temu. Nie... Doile... Dalyn?... wspomniawszy o tych kobietach. Ale moment później Bertome zapomniał na dobre o głupim Tairenianinie, Tarabonianie w welonach kolczych parli bowiem nań przez zalesione wzgórza, przed nimi zaś ziemia rozkwitała ogniem, a niebo płakało błyskawicami.

– Saigan i Cairhien! – krzyczał.  
Zerwał się wiatr.

Jeźdźcy zwarli się ze sobą wśród grubych pni drzew i gęstego poszycia spowitego w głębokim cieniu. Światła zdawało się coraz mniej, pokrywa chmur gęstniała nad głowami, trudno jednak było to ostatecznie stwierdzić, mając nad głową gęsty las. Donośny łomot całkowicie niemal tłumiał szcęk stali o stal, krzyki ludzi, wrzaski koni. Od czasu do czasu ziemia drżała. Niekiedy wróg wznosił okrzyki.

– Den Lushenos! Den Lushenos i Pszczoły!  
– Annallin! Naprzód za Annallin!  
– Haellin! Haellin! Za Wysokiego Lorda Sunamona!

Tylko ten ostatni krzyk Varek bodaj po części rozumiał, aczkolwiek podejrzewał, że każdy z lokalnych władców, który rościł sobie pretensje do miana Wysokiego Lorda lub Lady, być może nie otrzyma nawet szansy złożenia Przysięgi.

Szarpnięciem wyrwał miecz, który ugrzązał pod ramieniem przeciwnika, tuż nad krawędzią napierśnika, i pozwolił, by mały błady mężczyzna osunął się na ziemię. Niebezpieczny był z niego przeciwnik, póki nie popełnił błędu i nie uniósł za wysoko klingi. Gniadosz tamtego do wtóru głośnych trzasków pognał przez gęste poszycie, Varek zaś pozwolił sobie na chwilowe ukłucie żalu. Zwierzę sprawiało znacznie lepsze wrażenie niż bułanek, którego zmuszony był dosiadać. Trwało to jednak tylko chwilę, w następnej bowiem już wyteżał wzrok, próbując przebić nim zasłonę jakichś pnączy, chyba winorośli, które zwisały co najmniej z połowy gałęzi, oraz kłębow szarych pierzastych roślin, oplatających bodaj każdą.

Zewsząd docierały doń odgłosy bitwy, z początku jednak nie dostrzegając żadnego poruszenia. Potem w odległości pięćdziesięciu kroków pojawiło się kilkunastu altarańskich lansjerów, którzy prowadzili konie za uzdy i choć rozglądali się ostrożnie dookoła, to jednak głośno ze sobą rozmawiali, co zapewne należało tłumaczyć licznymi czerwonymi cięciami na napierśnikach. Varek chwycił wodze, decydując się objąć nad nimi komendę. Eskorta, nawet taka niezdyscyplinowana zbieranina, mogła zdecydować o tym, czy wiadomość, którą wiózł, dotrze do Generała-Choraği Chianmai.

Nagle spomiędzy drzew pomknęły ciemne smugi, strącając Altaran z siodeł. Ich konie rozbiegły się we wszystkie strony, zanim jeszcze jeźdźcy upadli na ziemię, a po chwili zostało już tylko kilkanaście ciał rozrzuconych na mokrym dywanie z uschłych liści, z każdego zaś sterczał przynajmniej jeden grot kuszy. Zapanował absolutny spokój. Varek mimowolnie zadrżał. Ta piechota w niebieskich kaftanach początkowo zdawała się łatwym przeciwnikiem, nie mieli nawet pikinierów, za których szeregiem mogliby się schronić przed szarżą, jednak nigdy nie wychodzili na otwarte pole, kryjąc się w zagłębieniach gruntu. Jednak nie oni byli najgorsi. Po tamtym szaleńczym odwrocie ku pokładowi statków czekających u wybrzeży Falme zdawało mu się, że był oto świadkiem najgorszej rzeczy, jaką można w życiu zobaczyć – ucieczki Wiecznie Zwycięskiej Armii. Ale nie dalej jak pół godziny temu dane mu było obserwować, jak stu Tarabonian natarło na samotnego człowieka w czarnym kaftanie. Stu lansjerów przeciwko jednemu mężczyźnie... i Tarabonianie zostali wybici do nogi. Dosłownie do nogi, ludzie i konie ginęli równo w eksplozjach poszarpanego mięsa. Rzeź dokonywała się w takim tempie, że ledwo mógł nadażyć wzrokiem, i trwała tak, póki tamci jeszcze uciekali, by skończyć się dopiero w momencie, gdy żadnego żywego już nie było w zasięgu wzroku. Być może nie było to wiele gorsze niż ziemia wybuchająca pod stopami, jednak atak *damane*

zazwyczaj zostawiał z człowieka resztki, które można było pogrzebać.

Ostatni człowiek, z jakim udało mu się porozmawiać w tym lesie, posiwiaty weteran z ojczyzny dowodzący setką amadiciańskich pikinierów, poinformował go, że stanowisko Chianmai znajdowało się gdzieś w tym kierunku. Wreszcie zobaczył przed sobą cienie uwiązanych do drzew, pozbawionych jeźdźców koni, a obok nich kręcili się piesi. Może od nich uzyska dalsze wskazówki. I poużywa sobie na nich odpowiednio, za bezczynność w obliczu szalejącej bitwy.

Kiedy wjechał między nich, zapomniał o wcześniejszych planach. Znalazł tych, których szukał, ale bynajmniej nie o takim marzył widoku. Rzędem leżało kilkanaście straszliwie spalonych ciał. Wśród nich, łatwo rozpoznawalny dzięki nienaruszonej złocistobrazowej twarzy, znajdował się Chianmai. Zdolni do utrzymania się na nogach byli tylko rozmaici Tarabonianie, Amadicianie, Altaranie, niektórzy zresztą również ranni. Jedynym Seanchaninem okazała się *sul'dam* o ściągniętym obliczu, pocieszająca łkającą *damane*.

– Co tu się stało? – dopytywał się Varek. Nie sądził, aby zostawianie niedobitków było w stylu tych Asha'manów. Może *sul'dam* udało się ich odeprzeć.

– Czyste szaleństwo, mój panie. – Przysadzisty Tarabonianin wzruszeniem ramion odesłał człowieka smarującego maścią poparzone lewe ramię. Rękaw kaftana najwyraźniej spalił się aż do krawędzi napierśnika, jednak mimo odniesionych obrażeń mężczyzna nawet się nie krzywił. Welon koczy zwisał zaczepiony tylko jednym końcem o stożek hełmu z czerwonym pióropuszem, obnażając twarz z siwymi, sumiastymi wąsiskami, całkiem nieomal zakrywających usta, znad których obraźliwie bezpośrednio spoglądały oczy. – Oddział Illian wpadł na nas zupełnie bez ostrzeżenia. Z początku wszystko szło dobrze. Nie mieli ze sobą żadnego czarnego kaftana. Lord Chianmai poprowadził nas śmiało do ataku, a... ta kobieta... ciskała błyskawice. Potem, dokładnie w chwili, gdy atak Illian się załamał, między nas również zaczęły padać błyskawice. – Urwał i znacząco spojrzął na *sul'dam*.

W jednej chwili poderwała się na nogi i potrząsając pięścią, ruszyła w stronę Tarabonianina, doszła jednak tylko tak daleko, jak pozwalała jej przymocowana do drugiego nadgarstka smycz. *Damane* leżała na ziemi niczym stos łkających łachmanów.

– Nie pozwolę, by ten pies powiedział choć jedno złe słowo na moją Zakai! Jest dobrą *damane!* Dobrą *damane!*

Varek wykonał uspokajający gest w stronę kobiety. Widywał już *sul'dam*, które sprawiały, że ich podopieczne wyły, ponosząc karę za jakiś błąd, oraz kilka, które w trakcie takiego proceduru okaleczyły najbardziej odporne, większość jednak zareagowałyby ostro, nawet gdyby któryś z członków Krwi rzucił bodaj cień na ich faworyty. Ten Tarabonianin z pewnością członkiem Krwi nie był, wnioskując zaś z wyglądu trzęsącej się *sul'dam*, była gotowa zabić. Varek podejrzewał, że gdyby ten człowiek wypowiedział swój bezsensowny, milczący zarzut na głos, to być może zostałby tu na miejscu zabity.

– Modlitwy za zmarłych muszą poczekać – powiedział bez ogródek Varek. To, co miał zamiar teraz zrobić, z pewnością oznaczało prostą drogę w ręce Poszukiwaczy, oczywiście jeśli zawiedzie, niemniej jednak oprócz *sul'dam* nie było tu żadnego Seanchanina zdolnego objąć komendę. – Obejmuję dowodzenie. Oderwiemy się od przeciwnika i ruszymy na południe.

– Oderwiemy się! – szczechnął barczysty Tarabonianin. – Chyba dni całe zabierze nam oderwanie się od przeciwnika! Illianie walczą jak borsuki przyparte do muru, Cairhienianie zaś niczym zaszczute fretki. Tairenianie nie są tak trudni do pokonania, jak wcześniej mi powiadano, ale gdzieś tu jest co najmniej kilkunastu tych Asha'manów, tak? Nie mam nawet pojęcia, gdzie znajduje się trzy czwarte moich ludzi w tym worku z niespodziankami! – Ośmieleni jego przykładem, pozostali

również zaczęli protestować.

Varek całkowicie zignorował ich zastrzeżenia. I powstrzymał z dociekaniem, coż to takiego ten „worek z niespodziankami”; widząc rozciągającą się dookoła gęstwą lasu, słysząc szcęk bitwy, gromkie odgłosy wybuchów i trzaskanie błyskawic, bez trudu potrafił sobie wyobrazić.

– Zbierzesz swoich ludzi i zaczniesz się wycofywać – oznajmił głośno, ucinając szmer głosów. – Ale nie nazbyt szybko, musicie działać razem. – Rozkazy Miraja dla Chianmai stwierdzały wyraźnie: „Tak szybko, jak to tylko będzie możliwe”, a on wbił sobie te słowa do głowy na wypadek, gdyby coś stało się z kopią rozkazu w jukach siodła: „Jak to tylko będzie możliwe”, ale zbyt szybko, mogłoby oznaczać, że zostawią w polu połowę stanu liczebnego na całkowitej łasce wroga, który będzie mógł rąbać ich na kawałki. – Teraz, ruszać się! Walczycie za Imperatorową, oby żyła wiecznie!

Takimi słowami jak to ostatnie zdanie zazwyczaj zachęcało się całkiem świeżych rekrutów, jednak z jakiegoś powodu podziały na słuchaczy niczym smagnięcie szpicrutą. Kłaniając się pośpiesznie i głęboko, z rękoma na kolanach, omalże nie pobiegli w kierunku swych koni. Dziwne. Teraz przyszła kolej na niego, by odszukać jednostki Seanchan. Którąś na pewno będzie dowodził ktoś wyższy od niego rangą i wtedy będzie mógł jemu przekazać odpowiedzialność.

*Sul'dam* klęczała, głaszcząc po głowie swoją wciąż łkającą *damane*, i cicho coś do niej mruzczała.

– Uspokój ją wreszcie – rozkazał jej. Tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. I przypomniał sobie, że w oczach Miraja dostrzegł chyba błysk niepokoju. Co mogło napełnić niepokojem Kennara Miraja? – Przypuszczam, że podczas przeprawy na południe los nas wszystkich będzie zależeć od was, *sul'dam*. – Cóż takiego powiedział, że cała krew odplynęła jej z twarzy?

Bashere stał tuż na skraju lasu, spod zmarszczonych za kratami przyłbicy brwi obserwując widok, który rozpościerał się przed nim. Gniadosz trącał go pyskiem w ramię. Stał otulony ciasno płaszczem, chroniąc się przed podmuchami wiatru. Zresztą nawet nie tyle chodziło o zimno, które dawało się mocno we znaki, ile o uniknięcie uwagi wroga, który łatwiej dostrzegłby poruszające się poły płaszcza. W Saldae taki ziąb traktowany byłby jako zwiastun nadchodzącej wiosny, jednak miesiące spędzone na południu sprawiły, że stał się miękki. Słońce wciąż jeszcze nie dotarło do zenitu, co łatwo było stwierdzić po kącie padania jaskrawych promieni, łyskających w przerwach między mknącymi szybko chmurami. Świeciło mu w oczy. Z faktu, że maszeruje się do bitwy w kierunku zachodnim, nie powinno wynikać, iż kończy się ją zwróconym ku południu. Przed nim leżało szerokie pastwisko, na którym stada czarno-białych kóz szczypały zbrązowiałą trawę, spacerując tu i tam, zupełnie jakby dookoła nie szalała bitwa. Zresztą najbliższa okolica w istocie nie nosiła żadnych śladów walk. Przynajmniej jak dotąd. Jednak niewykluczone, że każdy, kto spróbuje przekroczyć tę łąkę, zostanie poszarpany jak szmaciana lalka. A wśród drzew, niezależnie już, czy oliwnego gaju, czy lasu, tudzież zagajnika, nie zawsze można było spostrzec wroga, póki nie było za późno. Wszelkie talenty zwiadowcy nierzadko psu na budę się zdawały.

– Jeśli mamy ją przekroczyć – wymruczał Gueyam, pocierając łyse czoło szeroką dłonią – zrobmy to zaraz. Światłość jedna wie, że marnujemy tylko czas. – W tej samej chwili Amondrid zamknął usta, najwyraźniej Cairhienianin o okrągłym obliczu miał właśnie zamiar powiedzieć to samo. Ale prędzej konie zaczęły się wspinać na drzewa, niż on przyzna, że w czymkolwiek zgadza się z Tairenianinem.

Jeordwyn Semaris parsnęła głośno. Powinien był sobie wyhodować brodę, aby skryć tę szeroką



szczękę. Przez nią jego głowa wyglądała niczym klin drwała.

– Moim zdaniem powinniśmy obejść tę łąkę dookoła – mruknął. – Straciłem już dość ludzi z rąk tych przeklętych przez Światłość *damane* i... – Urwał, obrzucając Rochaida niespokojnym spojrzeniem.

Młody Asha'man stał na uboczu, z zaciśniętymi ustami, muskając palcem szpilkę ze Smokiem wpiętą w kołnierz kaftana. Miał taką minę, jakby się zastanawiał, czy cała rzecz była wszystkiego warta. Chłopaka nie otaczała teraz, tak jak wcześniej, aura pewności siebie, za to krzywił się ze zmartwienia.

Bashere ujął wodze Śmigłego, podszedł do Asha'mana i zawiódł go jeszcze dalej w las. Właściwie to musiał go dosłownie ciągnąć, Rochaid marszczył czoło, opierał się. Nadto był dostatecznie wysoki, by patrzeć z góry na Bashere, czym jednak ten zupełnie się nie przejmował.

– Czy następnym razem mogę liczyć na twoich ludzi? – zapytał Bashere, szarpiąc z irytacją wąsa. – Żadnej zwłoki? – Rochaid i jego towarzysze zdawali się reagować coraz wolniej, coraz bardziej opieszale, kiedy sytuacja bojowa zmuszała ich do bezpośredniego starcia z *damane*.

– Wiem, jakie stoją przede mną zadania, Bashere – warknął Rochaid. – Czyż nie zabiliśmy ich jeszcze dość dla ciebie? O ile się orientuję, prawie już z nimi skończyliśmy!

Bashere wolno pokiwał głową. Ale gest ten nie oznaczał, że zgadza się z ostatnimi słowami Asha'mana. Pozostało jeszcze wielu żołnierzy wroga, niemal wszędzie, jeśli dobrze poszukać. Z drugiej zaś strony naprawdę wielu tamtych oddało życie. Taktykę swego oddziału oparł na wcześniejszych badaniach taktyki i strategii, wykorzystywanych podczas Wojen z Trollokami, kiedy to siły Światłości rzadko kiedy dorównywały liczebnością zastępom wroga. Uderzyć z flanki i uciec. Uderzyć na tyły i uciec. Uderzyć i uciec, a kiedy wróg cię ściga, wycofać się na z góry upatrzone pozycje, gdzie czekają legioniści z kuszami, potem zawrócić i uderzyć znowu, nim przyjdzie czas na kolejną ucieczkę. Albo kiedy wreszcie szeregi wroga się załamają. Dzisiaj doprowadził już do załamania kolejne oddziały Tarabonian, Amadician, Altaran i tych Seanchan w ich dziwnych zbrojach. Widział dzisiaj więcej poległych wrogów niżli w jakiegokolwiek swej bitwie od czasu Krwawych Śniegów. Jednak posiadanym Asha'manom druga strona mogła przeciwstawić swoje *damane*. Co najmniej jedna trzecia poległych Saldaean została na kolejnych milach, które dziś pokonał. Stracił niemalże połowę swych sił, tak wynikało ze wszystkich raportów, a gdzieś tam wciąż byli kolejni Seanchanie z ich przeklętymi kobietami oraz Tarabonianie i Amadicianie, i Altarani. Wciąż nań szli, jakby nikąd pojawiali się kolejni, gdy tylko uporał się z ostatnim oddziałem. A Asha'mani z każdą chwilą coraz bardziej się... wahali.

Wskoczył na siodło Śmigłego i wrócił do miejsca, gdzie czekał Jeordwyn z pozostałymi.

– Obejdziemy ją dookoła – zarządził, ignorując przytaknięcia Jeordwyna, podobnie zresztą jak marsy Gueyama i Amondrida. – Potroić siłę zwiadu. Mam zamiar iść tak szybko, jak się da, ale nie chcę się nadziać na jakąś *damane*. – Nikt się nie roześmiał.

Rochaid zgromadził wokół siebie pozostałych pięciu Asha'manów, jeden miał srebrny miecz wpięty w kołnierz, pozostali byli bez żadnych ozdób. Kiedy wyruszali w drogę tego ranka, było o dwu więcej, także bez ozdób w kołnierzach, ale przecież nie tylko Asha'mani wiedzieli, jak zabijać, *damane* również to umiały. Rochaid gniewnie machał rękoma, najwyraźniej klócił się z towarzyszami. Twarz mu poczerwieniała, ich oblicza natomiast były pozbawione wyrazu, skrzeple w biernym uporze. Bashere miał tylko nadzieję, że Rochaid zdoła powstrzymać tamtych przed dezercją. Straty dzisiejszego dnia były już wystarczająco duże, by dodawać do nich szkody, jakie tego rodzaju ludzie mogli wyrządzić, wałęsając się swobodnie po okolicy.

Padał słaby deszcz. Rand ponurym wzrokiem objął ciemne chmury gromadzące się na niebie, za którymi na dobre zaczynała już ginać blada tarcza słońca chylącego się ku odległemu horyzontowi. Deszcz sprzed chwili można było nazwać przelotnym, jednak z pewnością zwiastował stałe opady, którym oczywiście towarzyszyć będzie gruba powłoka chmur! Z irytacją powrócił do obserwacji położonego przed nim terenu. Korona Mieczy kłuła go w skronie. Dla uwrażliwionego Mocą spojrzenia, mimo kiepskiej pogody, okolica była czytelna niczym mapa. Przynajmniej dostatecznie wyraźna. Łagodne wzgórza, niektóre pokryte gajami oliwnymi i zagajnikami, inne porośnięte tylko trawą, albo po prostu kamienie pokryte zielskiem. Zdało mu się, że na skraju karłowatego zagajnika dostrzegł jakieś poruszenie, potem znowu wśród rzędów oliwnego sadu na następnym wzgórzu, o milę odległym od tego pierwszego. Pewnie wcale mu się nie wydawało. Całe mile terenu zaścielały ciała wrogów, poległych wrogów. Doskonale zdawał sobie sprawę, że były wśród nich i martwe kobiety, jednak za wszelką cenę wystrzegał się widoku zwłok *sul'dam i damane*, za nic nie spojrzalby im w twarz. Większość brała to za nienawiść wobec tych, które zabiły tak wielu jego ludzi.

Tai'daishar zatańczył pod nim, dając kilka kroków po szczycie wzgórza, zanim Rand wreszcie silną dłonią i uściskiem kolan nie odzyskał nad nim kontroli. Ależ by się ośmieszył, gdyby któraś *sul'dam* wypatrzyła jego poruszenie. Otaczające go marne kilka drzew nie stanowiło dostatecznej osłony. Nawiedziła go odległa myśl, że nie potrafi rozpoznać żadnego gatunku. Tai'daishar zarzucił łbem. Rand wsunął Berło Smoka w juki siodła tak, że tylko rzeźbiony koniec wystawał, chcąc mieć wolne dłonie na wypadek, gdyby wałach nie miał jeszcze dosyć. Potrafił Mocą ulżyć swemu wierzchowcowi w zmęczeniu, nie istniał jednak sposób, by go zmusić tą metodą do posłuszeństwa.

Nie potrafił pojąć, jakim sposobem rumak zachował jeszcze tyle wigoru. Jego wypełniał *saidin*, pienił się w nim, a jednak nie potrafił się pozbyć odległego wrażenia, że zmęczone ciało pragnie tylko osunąć się bezwładnie na ziemię. Częściowo chodziło o wysiłek towarzyszący przeniesieniu takiej ilości Mocy, z jaką miał dzisiaj do czynienia. Po części zaś za wyczerpanie odpowiedzialne były dodatkowe starania mające na celu przymuszenie opornego *saidina*, by podporządkowywał się jego woli. *Saidina* zawsze trzeba było zmuszać, zdobywać, ale nigdy w takim stopniu jak dzisiaj. Na poły zaleczone, ale nigdy nie dające się uzdrowić rany w lewym boku rwały dojmującym bólem, starsza była niby świder wierzący powierzchnię Pustki, nowsza żarła ciało czystym płomieniem.

– To był wypadek, mój Lordzie Smoku – oznajmił zniecka Adley. – Przysięgam, że to był wypadek!

– Zamknij się i patrz! – skarcił go ostro Rand. Adley na moment wbił spojrzenie we własne ręce ściskające wodze, potem odgarnął kosmyk spoconych włosów z twarzy i posłusznie skinął głową.

Dzisiaj w tym miejscu kontrola nad *saidinem* była trudniejsza niżli kiedykolwiek, jednak skutki utraty panowania były takie same, jak w każdym innym miejscu i czasie – mogły oznaczać śmierć. Adleyowi to się właśnie zdarzyło – ludzie zginęli w nie kontrolowanych wybuchach ognia, nie tylko Amadicianie, przeciw którym był wymierzony tamten splot, ale również nieomal trzydziestka zbrojnych Ailil i prawie tyłuż Anaiyelli.

Do chwili, w której przydarzył mu się ten wypadek, Adley walczył razem z Morrem i Towarzyszami w lesie położonym milę na południe. Narishma i Hopwil byli z Obrońcami na północy. Rand jednak wolał już nie spuszczać Adleya z oka. Może zdarzały się i inne „wypadki”, tylko on o niczym nie wiedział? Nie mógł przecież przez cały czas wszystkich pilnować. Oblicze Flinna było ponure niczym wczorajsza śmierć, natomiast Dashiva zupełnie gdzieś zapodział swe roztargnienie, można by rzec, że wręcz pocił się ze skupienia. Wciąż coś do siebie mamrotał pod

nosem, tak cicho, że nawet wypełniony Mocą Rand nie potrafił nic dosłyszeć, niemniej ciągle wycierał grube krople spływające po twarzy zupełnie już moką lnianą chusteczką, a w miarę jak dzień miał się ku końcowi, wyraz jego twarzy powlekał coraz głębszy mrok. Rand nie przypuszczał, by któremuś z nich zdarzyło się popełnić błąd. W każdym razie w chwili obecnej ani żaden z nich, ani Adley nie przynosili Mocy. I nie stanie się to bez jego wyraźnego rozkazu.

– Czy to już koniec? – zapytała za jego plecami Anaiyella.

Nie zważając dłużej na to, czy ktoś go przypadkiem nie obserwuje, Rand zawrócił Tai'daishara i stanął naprzeciw niej. Kobieta z Łzy wzdrygnęła się wyraźnie, kaptur jej bogato zdobionego płaszcza opadł na ramiona. W policzku zadrgał mięsień. Jej oczy bez reszty przepełniał strach, chyba strach... choć może była to nienawiść. Zajmująca miejsce u jej boku Ailil spokojnie ścisnęła wodze dłońmi w czerwonych rękawiczkach.

– Czego więcej można chcieć? – zapytała chłodnym głosem niższa z kobiet. Wizerunek damy, która potrafi zachować uprzejmość wobec osoby nie dorównującej jej pozycją. Ledwie potrafi. – Jeśli można mierzyć zwycięstwo liczbą zabitych wrogów, to sądzę, że tylko dzisiejszy dzień zapewni ci poczesne miejsce w dziejach.

– Zamierzam tylko zepchnąć Seanchan z powrotem do morza! – warknął Rand. Światłości, musi już teraz na dobre z nimi skończyć, skoro nadarzyła się sposobność! Nie potrafił równocześnie walczyć z Seanchanami, z Przekłętymi, i Światłość jedna wie z kim jeszcze! – Zrobiłem to wcześniej i dokonam także teraz!

„Czy i tym razem wyciągniesz z kieszeni Róg Valere?” -zapytał szyderczo Lews Therin. Rand zbył go wewnętrznym grymasem.

– Ktoś jest pod nami – powiedział zniechęca Flinn. – Jedzie w tę stronę. Z zachodu.

Rand znowu zawrócił konia. Całe zbocze wzgórza otaczali Legioniści, aczkolwiek kryli się tak zręcznie, że Rand rzadko dostrzegał choćby mgnienie niebieskiego kaftana. Żaden z nich nie dysponował koniem. Któż więc mógł jechać...

Bułanek Bashere truchtał w górę stoku z taką swobodą, jakby nieomal biegł po równym gruncie. Hełm dowódcy zwisał przytroczony do siodła, on sam wyglądał na zmęczonego. Bez żadnych wstępów przemówił pozbawionym wyrazu głosem:

– Tutaj już z nimi skończyliśmy. Na umiejętności wojownika składa się również wiedza o tym, kiedy odejść, a czas na nas właśnie nastał. Zostawiłem w polu prawie pięciuset poległych i zmarnowałem dwóch twoich Żołnierzy. Trzech kolejnych wysłałem na poszukiwanie Semaradrida, Gregorina i Weiramona, mają im powiedzieć, żeby do ciebie wracali. Wątpię, by tamci byli w lepszym stanie niż ja. Jak wygląda twój osobisty rachunek od rzeźnika?

Rand puścił pytanie mimo uszu. Lista jego poległych była dłuższa od przedstawionej przez Bashere o ponad dwieście imion.

– Nie miałeś prawa wysyłać rozkazów do pozostałych. Przynajmniej póki zostało jeszcze sześciu Asha'manów... póki ja jeszcze żyję!... tego wystarczy! Mam zamiar odszukać resztę seanchańskiej armii i zniszczyć ją, Bashere. Nie pozwolę im dołączyć podbitej Altary do Tarabonu i Amadicii.

Bashere podkręcił sumiastego węża i roześmiał się gorzko.

– Chcesz ich znaleźć. A więc szukaj. – Gestem dłoni w rękawiczkach objął wzgórze rozciągające się na zachodzie. – Nie potrafię wskazać konkretnego miejsca, ale gdzieś tutaj, dostatecznie blisko, aby ich zobaczyć, gdyby nie skrywające drzewa, znajduje się dziesięć, może piętnaście tysięcy żołnierzy. Tańczyłem z Czarnym, próbując przemknąć obok nich nie widziany i dotrzeć do ciebie. Jest tam w dole może i setka *damane*. Może więcej. A z pewnością przybędą następne, kolejni

żołnierze również. Wygląda na to, że ich generał postanowił na tobie skupić całe swe siły. Przypuszczam, że bycie *ta'veren* nie zawsze oznacza tylko mnóstwo sera i piwa.

– Jeśli gdzieś tutaj są... – Rand przyjrzał się wzgórzom. Deszcz powoli przechodził w ulewę. Gdzie on widział to poruszenie? Światłości, ale był zmęczony. *Saidin* tłukł się w jego wnętrzu. Nieświadomie musnął dłonią zwinięty tobołek pod pułliskiem strzemienia. Dłoń odskoczyła, jakby powodowana własną wolą. Dziesięć tysięcy, może nawet piętnaście... Kiedy tylko Semaradrid doń dołączy, i Gregorin, i Weiramon... A co ważniejsze, kiedy wreszcie dotrą pozostali Asha'mani... – Jeśli oni gdzieś tu są, to tu właśnie spotka ich zagłada, Bashere. Uderzę na nich ze wszystkich stron, tak jak to pierwotnie planowaliśmy.

Bashere, marszcząc czoło, podprowadził konia bliżej, póki kolanem omal nie dotykał kolana Randa. Flinn odprowadził swego wierzchowca na bok, jednak Adley zbyt był skupiony na próbach obserwacji terenu w strugach deszczu, aby zwracać uwagę na to, co znajdowało się tuż pod jego nosem, Dashiva zaś, który wciąż ocierał twarz, przyglądał się im z nie skrywanym zainteresowaniem. Bashere zniżył głos do cichego pomruku:

– Nie myślisz jasno. Plan był dobry, przynajmniej początkowo, ale ich generał myślał szybko. Zanim zdążyliśmy spaść na niego z marszu, rozproszył swoje siły, aby osłabić impet naszego ataku. I najwyraźniej musiał zapłacić srogą cenę, bo próbuje już tylko uratować, co się da. Ale i teraz nie weźmiesz go przez zaskoczenie. On wręcz chce, żebyśmy po niego poszli. Zaczaił się gdzieś tam i czeka na nas. Niezależnie od tego, czy mamy Asha'manów czy nie, jeśli zdecydujemy się na frontalny atak, to myślę, że skończy się na tym, że z pewnością utyją padlinożercy, a z nas być może nikt nie opuści pola bitwy.

– Nikt nie odeprze frontального ataku Smoka Odrodzonego -warknął Rand. – Przekłęci mogliby go o tym poinformować, kimkolwiek jest. Racja, Flinn? Dashiva? – Flinn niepewnie pokiwał głową. Dashiva wzdrygnął się. – Sądzisz, że nie potrafię go zaskoczyć, Bashere? To patrz! – Wyciągnął spod siodła długi tobołek, zdarł okrywające go płótno, a wszędzie wokół rozległy się westchnienia, gdy krople deszczu zaśniły na mieczu wykonanym z kryształu. Miecz Który Nie Jest Mieczem. – Przekonajmy się więc, czy nie będzie dlań zaskoczeniem *Callandor* w dłoni Smoka Odrodzonego, Bashere.

Ułożył przezroczystą klingę w zgięciu łokcia i podjechał kilka kroków naprzód. Niepotrzebnie zresztą. Z nowego miejsca nie dysponował lepszym widokiem. Chyba że... Coś pełzło na pajęczych nóżkach po zewnętrznej powłoce Pustki, kreśląc czarną sieć. Bał się. Ostatnim razem, kiedy użył *Callandora*, naprawdę go użył, podjął próbę przywrócenia martwych do życia. Pewien był wówczas, że stać go na wszystko, wszystko bez wyjątku. Niczym szaleniec, któremu się wydaje, że potrafi latać. Ale przecież był Smokiem Odrodzonym. Mógł zrobić wszystko. Czy nie dowiódł tego już po wielekroć? Sięgnął ku Źródłu poprzez Miecz Który Nie Jest Mieczem.

Zanim jeszcze dotknął *Callandorem* Źródła, *saidin*, jakby kierowany własną wolą, wskoczył w miecz. Od główicy do czubka ostrza kryształ zapłonął białym światłem. Niedawno tylko mu się zdawało, że Moc wypełnia go po brzegi. Teraz dzierzył jej więcej, niżli byłoby w stanie dziesięciu mężczyzn bez wspomaganie, stu mężczyzn, tak naprawdę nie potrafił sobie wyobrazić jak wielu. Ognie słońca zapłonęły w jego głowie. Chłód wszystkich zim, wszystkich Wieków, wgrzył się w jego serce. W tej udręce skaza była niczym wszystkie sterty śmieci, jakich pozbył się w jednej chwili świat, wrzucając je do studni jego duszy. *Saidin* wciąż próbował go zabić, ale walczył i udawało mu się przeżyć kolejne mgnienie, potem jeszcze jedno, i następny moment. Chciało mu się śmiać. Naprawdę mógł zrobić wszystko!

Kiedyś, gdy trzymał *Callandora*, stworzył broń, która sama wyszukiwała Pomiot Cienia na

całym obszarze Kamienia Łzy, a potem zabijała gończymi błyskawicami, gdziekolwiek próbowano przed nią uciec lub się schować. Z pewnością musiało istnieć coś podobnego, co można by wykorzystać przeciw aktualnym wrogom. Ale kiedy wezwał Lewsa Therina, odpowiedziały mu tylko pełne bóleści jęki, jakby bezcielesny głos lękał się bólu przynieszonego przez *saidina*.

Z płonącym *Callandorem* w dłoni – nie pamiętał już, kiedy uniósł klingę – patrzył na wzgórza, wśród których skrywał się jego wróg. Coraz mocniej padający deszcz i gruba powłoka chmur przesłaniających słońce powlekły ziemię szarością. Jak to powiedział do Eagana Padrosa?

– Jestem nawałnicą – wyszeptał, ale w jego uszach było to niczym krzyk, niczym wrzask; a potem przeniósł.

Ponad jego głową zakipiały chmury. Tam, gdzie panowała czerń sadzy, nastąpiła czerń północy, najciemniejszego serca północy. Nie miał pojęcia, co przynosi. Tak często nie zdawał sobie z tego sprawy, mimo nauk Asmodeana. Może Lews Therin prowadził jego rękę, choć słyszeć było tylko łkanie. Strumienie *saidina* wirem omiotły niebo – Wiatr, Woda i Ogień. Ogień. Niebiosa naprawdę zapłakały błyskawicami. Setką piorunów naraz, wieloma setkami, rozwidlone błękitno-białe groty dźgały ziemię, wszędzie gdzie wzrokiem sięgnął. Wzgórza przed nim eksplodowały. Niektóre rozpadły się pod uderzeniami błyskawic niczym kopnięte ludzką stopą mrowiska. Płomienie wyskoczyły w górę pośród zagajników, drzewa zapłonęły pochodniami mimo ulewnego deszczu, pożar przeszedł niepowstrzymanym pochodem przez gaje oliwne.

Coś uderzyło go mocno i nagle zdał sobie sprawę, że podnosi się z ziemi. Korona spadła mu z głowy. Jednak *Callandor* wciąż jarzył się w jego dłoni. Ledwie zdał sobie sprawę, że obok niepewnie podnosi się Tai'daishar, cały drżący. A więc chcieli przypuścić kontratak, chcieli walki, tak?

Wznosząc wysoko *Callandora*, zawołał w ich stronę:

– Chodźcie walczyć ze mną, jeśli się ośmielicie! Ja jestem nawałnicą! Chodź, jeśli ci starczy odwagi, Shai'tanie! Jam jest Smok Odrodzony! – Tysiąc piorunów, sycząc, spłynęło z chmur.

I znowu coś go powaliło. Próbował ponownie się ponieść. *Callandor*, wciąż lśniąc, leżał o krok od jego wyciągniętej dłoni. Niebo zatrzęsło się od błyskawic. Nagle zdał sobie sprawę, że przygniatający go do ziemi ciężar to Bashere, że tamten próbuje nim potrząsać. A więc to on wcześniej powalił go na ziemię!

– Przestań! – krzyknął Saldaeanin. Krew zalewała mu twarz, spływając z szerokiego rozcięcia na czaszce. – Pozabijasz nas, człowieku! Przestań!

Rand odwrócił głowę i wystarczyło mu jedno otępiałe spojrzenie. Pręgi błyskawic łączyły niebo z ziemią wszędzie wokół niego, upiorne światło ze wszystkich stron zalewało wzgórze. Jeden piorun trafił przeciwległy grzbiet wzgórza, gdzie znajdował się Denharad ze swoimi zbrojnymi; zewsząd dobiegały krzyki ludzi i rżenie koni. Anaiyella i Ailil stały na własnych nogach, na próżno próbując uspokoić wierzchowce, które przysiadły na zadach i wyrwały im wodze z rąk, cały czas przewracając zdziechałymi oczyma. Flinn klęczał pochylony nad czyims ciałem, tuż obok konia z martwo wyprężonymi nogami.

Rand wypuścił *saidina*. Wypuścił go, ale Moc jeszcze przez jakiś czas przepływała przez niego i nadal srożyły się błyskawice. Potem strużka *saidina* stała się cieńsza, wreszcie zamigotała i znikła. W jej miejsce przyszły zawroty głowy. Przez trzy kolejne uderzenia serca widział dwa *Callandory* płonące w miejscu, gdzie na ziemi leżał miecz i wciąż spływały z nieba błyskawice. Wreszcie cisza – i tylko narastający plusk deszczu. Oraz wrzaski z drugiej strony wzgórza.

Bashere powoli się podniósł, Rand poszedł w jego ślady – jakoś stanął bez niczyjej pomocy na uginających się nogach, mrugając, póki wreszcie nie zaczął normalnie widzieć. Saldaeanin patrzył na

niego niczym na wściekłego lwa, mimowolnie muskając palcami rękojeść miecza. Anaiyella obrzuciła jednym spojrzeniem wyprostowaną postać Randa i zemdląła; jej koń uciekł, podrzucając luźnymi wodzami. Ailil, wciąż borykająca się ze swoim rumakiem, zerkała tylko na Randa. A on pozwolił, by Callandor przez chwilę leżał tam, gdzie upadł. Nie był pewien, czy odważy się go podnieść. Z pewnością nie od razu.

Flinn wyprostował się, kręcąc głową, a potem stał w milczeniu, przyglądając się, jak Rand chwiejnie zmierza w jego stronę. Krople deszczu padały na niewidzące oczy Jonana Adleya, wytrzeszczone jakby w ostatecznej grozie. Jonan był jednym z pierwszych. Te wrzaski z przeciwległego zbocza wzgórza zdawały się przecinać strugi deszczu. Jak wielu jeszcze, zastanawiał się Rand. Wśród Obrońców? Wśród Towarzyszy? Wśród?...

Gruba jak koc powłoka ulewy otuliła wzgórza, wśród których zaległa armia Seanchan. Czy w ogóle spowodował jakiegokolwiek straty, uderzając tak na ślepo? Może dalej tam na niego czekali, wraz ze swymi *damane*? Czekali, by zobaczyć, jak wielu własnych ludzi pozabija zamiast nich.

– Wystaw takie warty, jakich twoim zdaniem potrzebujemy – rozkazał Rand, zwracając się do Bashere'a. Jego głos był niczym żelazo. Jego serce było niczym wykute z żelaza. – Kiedy Gregorin z pozostałymi do nas dotrze, jak najszybciej zaczniemy Podróż do miejsca, gdzie czekają nasze wozy. – Bashere bez jednego słowa skinął głową, odwrócił się i odszedł w deszcz.

„Przegrałem” – pomyślał tępo Rand. – „Jestem Smokiem Odrodzonym, ale po raz pierwszy przegrałem”.

Znienacka poczuł wzbierającą w nim falę wściekłości Lewsa Therina, który tym razem nie wygłaszał swych uwag bojaźliwym tonem.

„Nigdy jeszcze nie zostałem pokonany” – warknął tamten. – „Ja jestem Panem Poranka! Nikt nie jest w stanie mnie pokonać!”

Rand usiadł wprost na deszczu i obracając Koronę Mieczy w dłoniach, patrzył na leżący w błocie *Callandor*. Pozwolił Lewsowi Therinowi wściekać się do woli.

Abaldar Yulan płakał, wdzięczny za ulewę, która sprawiała, że nikt nie mógł zobaczyć łez spływających po jego policzkach. Ktoś będzie musiał wydać rozkaz. Ostatecznie zaś ktoś będzie musiał błagać o wybaczenie Imperatorową, oby żyła wiecznie, a jeszcze wcześniej pewnie Suroth. Nie dlatego jednak płakał, nie chodziło nawet o żal po poległym towarzyszu. Niezgrabnym szarpnięciem oderwał rękaw kaftana i zakrył nim oczy Miraja, aby ochronić je przed kroplami deszczu.

– Wyślij rozkazy do odwrotu – zarządził Yulan i zobaczył, jak otaczający go ludzie wzdrygają się. Po raz drugi na tych brzegach Wiecznie Zwycięska Armia poniosła druzgoczącą porażkę, Yulan nie sądził, by był jedynym, który opłakuje tę klęskę.

# ROZDZIAŁ 25

## NIEPOŻĄDANY POWRÓT

Usadowiona za swoim zdobnie złożonym biurkiem Elaida wodziła palcem po pociemniałej ze starości figurce z kości słoniowej przedstawiającej dziwnego ptaka z dziobem długim jak tułów i słuchała, nie bez odrobiny rozbawienia, sześciu kobiet stojących po drugiej stronie mebla. Zasiadające, po jednej z każdej Ajah, marszcząc czoła, spoglądały na siebie z ukosa, przestępowały z nogi na nogę, szurając aksamitnymi pantoflami po wzorzystym kobiercu pokrywającym prawie całą posadzkę z ceglanych płytek, szarpały za haftowane w pnącza winorośli szale i właściwie rzecz ujmując, wyglądały jak gromadka kłótliwych służących, które żałują, że brak im odwagi, by rzucić się sobie do gardeł na oczach swej pani. Warstwa szronu pokrywała okienne szyby, przesłaniając wirujące za nimi tumany śnieżnych płatków, chociaż niekiedy wrażenie furii wyjącego wiatru było nieomal namacalne. Elaida wszelako czuła się bezpiecznie i przytulnie, i to nie tylko dzięki grubym balom płonącym na białym marmurowym kominku. Niezależnie od tego, czy te kobiety zdawały sobie z tego sprawę – no cóż, Duhara z pewnością wiedziała, przypuszczalnie pozostałe również – naprawdę była ich panią. Cicho tykał zamówiony przez Cemaile zegar szafkowy zdobiony misterną polichromią. Nie spełniony sen Cemaile jeszcze oblecze się w rzeczywistość – Wieża odzyska dawną chwałę: Niekwestionowaną chwałę, pod zręczną dłonią Elaidy do Avriny a’Roihan.

– Nie odkryto nigdy żadnego *ter’angreal*, który mógłby posłużyć do „kontroli” przenoszenia u kobiet – mówiła Velina, starannie dobierając słowa, głosem chłodnym, aczkolwiek cienkim jak u dziewczynki, który osobliwie kontrastował z orlim nosem i ostrym spojrzeniem nakrapianych oczu. Była Zasiadającą Białych i zaiste stanowiła wręcz ucieleśnienie idealnej Białej siostry we wszystkim, wyjąwszy żywiołową ekspresywność osobowości. Prosta, śnieżnobiała suknia sprawiała surowe i zimne wrażenie. – A znaleziono bardzo niewiele takich, który zdolne są do spełniania wzmiankowanej funkcji. Stąd też należy wyciągnąć logiczny wniosek, że gdyby taki *ter’angreal* został odnaleziony albo gdyby odnaleziono ich więcej niż tylko jeden, jakkolwiek musi się to wydawać niemożliwe, nigdy nie będzie ich dostatecznie dużo, by kontrolować więcej niż dwie, trzy kobiety. Dlatego też uważam, że raporty o tych tak zwanych Seanchanach są dramatycznie przesadzone. Jeśli rzeczywiście mamy do czynienia z jakimiś kobietami na „smyczach”, to takie z pewnością nie mogą przenosić. To oczywiste. Nie neguję wprawdzie, że ludzie ci okupują Ebou Dar i Amador, a może też i inne terytoria, z pewnością jednak ich obecność na tych terenach jest dziełem Randa al’Thora, być może rezultatem świadomej strategii mającej mu przysporzyć zwolenników. Jak w przypadku tego ich Proroka. Wynika to ze zwykłej logiki.

– Cieszę się, że przynajmniej nie negujesz wydarzeń w Ebou Dar i Amadorze, Velino – powiedziała sucho Shevan. A zaiste potrafiła wyprać swój głos nawet z odrobiny emocji. Wysoka jak większość mężczyzn, na dodatek tak chuda, że wręcz koścista, Zasiadająca Brązowych miała pociągłą twarz ze sterczącym podbródkiem, której odpychającego wrażenia w niczym nie łagodziła burza okalających ją loków. Pajęczymi palcami poprawiła szal, wygładziła suknię z jedwabiu barwy ciemnego złota i ciągnęła dalej, głosem pełnym wystudiowanego rozbawienia: – Nie bardzo mam śmiałość stwierdzać, co jest możliwe, a co nie. Na przykład jeszcze nie tak dawno temu „wszyscy” wiedzieli, że tylko tarcza upleciona przez siostrę może uniemożliwić kobiecie przenoszenie. Potem pojawia się proste zioło, widłokorzeń, i właściwie każdy może wlać ci do gardła napar, który na wiele godzin sprawia, że jeśli chodzi o czerpanie mocy, jesteś martwa niczym kamień. Rzecz jak najbardziej pożyteczna, przypuszczam, jeśli chodzi o dzikuski i im podobne, ale co najmniej drobna

niespodzianka dla tych, co myślą, że zjadły wszystkie rozumy, nieprawdaż? Może w następnej kolejności ktoś również nauczy się znowu wytwarzać *ter'angreale*.

Elaida zacisnęła usta. Nie interesowały jej nieprawdopodobieństwa, a poza tym jeśli żadna siostra przez trzy tysiące lat nie odkryła metody wytwarzania *ter'angreali*, to coś takiego nigdy nie nastąpi i na tym koniec. Krzywiła się, bo wiedza prześlizgiwała jej się przez palce, wiedza, którą za wszelką cenę pragnęła zachować dla siebie. W chwili obecnej nawet najskromniejsza z inicjowanych Wieży wiedziała, na czym polega działanie widłokorzenia. I nikomu ta wiedza nie przynosiła szczęścia. No bo jakież to odrażające, zniechęcające, że oto jest się na łasce i niełasce każdego, kto dysponuje najskromniejszą wiedzą o ziołach i odrobiną wrzątku. Wiedza była gorsza niż trucizna, jak tego dowodził przykład zgromadzonych przed nią Zasiadających.

Na samą wzmiankę o widłokorzeniu wielkie, ciemne oczy w twarzy miedzianoskórej Duharyn wypełnił niepokój, jej ciało zeszywniało jeszcze bardziej niż zwykle, palce dłoni zacisnęły się na fałdach sukni o barwie czerwieni tak głębokiej, że nieomal wpadała w czerń. Sedore z widocznym wysiłkiem przełknęła ślinę i kurczowo zacisnęła dłonie na skórzanej teczce, którą Elaida niedawno jej wręczyła, mimo że zazwyczaj obdarzona krągłą twarzą Żółta siostra zachowywała niewzruszoną elegancję posągu. Andaya zadrżała! I nerwowym ruchem otuliła się szalem obszytym szarymi frędzlami.

Elaida zastanawiała się, cóż by zrobiły na wieść o tym, że Asha'mani powtórnie odkryli Podróżowanie. W obecnej sytuacji ledwie potrafiły się zmusić, by o nich choć napomknąć. Cyrkulację tej wiedzy udało jej się jednak jakoś ograniczyć do garstki wybranych.

– Sądzę, że byłoby lepiej, gdybyśmy zajmowały się tylko tym, co wiemy na pewno, nieprawdaż? – oznajmiła zdecydowanym tonem Andaya, która najwyraźniej odzyskała panowanie nad sobą. Jej jasnobrązowe włosy, starannie wyszczotkowane do połysku, spływały na plecy, a niebieska suknia ze srebrnymi wstawkami została skrojona na modłę andorańską, jednak akcent Tarabonu wciąż silnie znaczył jej słowa. Ani szczególnie drobna, ani szczupła, a jednak jakimś sposobem zawsze kojarzyła się Elaidzie z wróblem gotującym się do sfrunięcia z gałęzi. Można ją było podejrzewać o wszystko, tylko nie o to, że jest negocjatorką, aczkolwiek reputacją cieszyła się jak najbardziej zasłużoną. Uśmiechnęła się do pozostałych, niezbyt miło, ale ten uśmiech też jakoś nasuwał na myśl wizerunek wróbla. Być może chodziło o sposób, w jaki przekrzywiała głowę. – Bezpodstawne spekulacje służą tylko marnowaniu cennego czasu. Losy świata wiszą na włosku i jeśli o mnie chodzi, nie mam najmniejszego zamiaru poświęcać decydujących godzin na paplanie o rzekomej logice albo plotkowanie o tym, co wie każda najgłupsza nowicjuszka. Czy któraś ma coś istotnego do powiedzenia? – Jak na wróbla, zaiste potrafiła wyrażać się z przekąsem. Twarz Veliny pokraśniała, a Shevan wyglądała, jakby za chwilę miała dostać apopleksji.

Rubinde skrzywiła usta i spojrzała na Szarą siostrę. Niewykluczone, że grymas ten w zamierzeniu miał być uśmiechem, ale wyszła tylko jego nieudolna, pełna złości imitacja. Z kruczoczarnymi włosami i oczyma niczym szafiry, Mayenianka zazwyczaj wyglądała na gotową w każdej chwili przejść przez kamienną ścianę, a teraz jej widok – z pięściami wspartymi na biodrach – wrażenie to tylko pogłębiał.

– Zajmujemy się tym, czym na razie jesteśmy w stanie, Andaya. A przynajmniej po większej części. Buntowniczkę zostały uwięzione w Murandy przez śniegi, a my już zadamy o zimę dostatecznie dla nich gorącą, aby wiosną były gotowe przeproszać nas na kolanach i błagać o stosowną pokutę. Łżą zajmiemy się, kiedy tylko odkryjemy, gdzie zniknął Wysoki Lord Darlin, a Cairhien, gdy wykurzymy Caraline Damodred i Torama Ratina z ich kryjówek. Jak na razie, al'Thor ma w swej gestii koronę Illian, w tej sprawie jednak również czynione są odpowiednie starania. A



więc, jeśli nie masz w zanadrzu intrygi zdolnej sprowadzić tego mężczyznę do Wieży, albo sprawić, by po tych tak zwanych „Asha’manach” nie zostało śladu, to wobec tego pozwól, że cię opuszczę, muszę bowiem zadbać o pilne sprawy moich Ajah.

Andaya wyprostowała się nerwowo, najwyraźniej ta uwaga zapiekła ją do żywego. Jeśli już o reakcjach kobiet mowa, oczy Duhary zwęziły się, gdyż najlżejsza wzmianka o przenoszących mężczyznach zawsze wywoływała alarm w jej głowie. Shevan klasnęła językiem, jakby napominała sprzeczące się dzieci – chociaż najwyraźniej podobał jej się widok, którego była świadkiem – natomiast Velina zmarszczyła czoło, nie wiadomo dlaczego przekonana, iż szyderczy gest Shevan zamierzony był pod jej adresem. Było to nawet zabawne, ale tylko dopóki nie wymykało się z ręki.

– Interes Ajah jest rzeczą ważną, córki. – Elaida nie podniosła głosu, jednak wszystkie twarze natychmiast zwróciły się w jej stronę. Odłożyła figurkę z kości słoniowej na miejsce wśród reszty kolekcji, do wielkiej szkatułki zdobionej ornamentem z róż i złotych splotów, potem pieczołowicie poprawiła ustawienie skrzynki z przyborami do pisania oraz drugiej, na korespondencję, tak że wszystkie trzy stały w równym szeregu na stole, a kiedy zaległo doskonałe milczenie, ciągnęła dalej: – Interes Wieży wszelako jest odeń ważniejszy. Ufam, że bezzwłocznie wprowadzicie w życie me dekryty. Zbyt wiele ostatnio panuje gnuśności w Wieży. Obawiam się, że Silviana będzie miała mnóstwo roboty, jeśli stan spraw nie ulegnie natychmiastowej zmianie. – Na tej zawołanej pogroźce poprzestała. I tylko się uśmiechnęła.

– Jak rozkażesz, Matko – wymamrotało sześć głosów, z pewnością nie tak opanowanych, jakby sobie tego życzyły ich właścicielki. Nawet twarz Duhary była biała jak mleko, kiedy wszystkie równocześnie się kłaniały.

Jak dotąd dwie Zasiadające zostały pozbawione swoich foteli, parę następnych odsłużyło w charakterze pokuty po kilka dni Pracy – co było już skrajnie poniżające dla osób piastujących ich pozycję, gorsze byłoby chyba tylko Umartwianie Ducha; Shevan i Sedore z pewnością nie zapomniały o szorowaniu podłóg i praniu, stąd ich skrzywione usta – ale żadna nie została jeszcze odesłana do Silviany na Umartwianie Ciała. I żadna z pewnością tego nie chciała. Mistrzynie Nowicjuszek dwa albo i trzy razy w tygodniu przyjmowała siostry, którym własne Ajah wyznaczyły pokutę lub które z własnej woli jej zapragnęły – porcję chłosty, jakkolwiek bolesną, można było mieć za sobą znacznie szybciej niż grabienie przez miesiąc ogrodowych ścieżek – niemniej Silviana wykazywała znacznie mniej miłosierdzia wobec siostr niżli wobec powierzonych jej pieczy nowicjuszek bądź Przyjętych. Tak więc niejedna siostra spędzała potem kilka następnych dni na zastanawianiu się, czy przypadkiem miesiąc pracy z grabiami nie byłby jednak lepszy.

Pośpieszyły do drzwi, pragnąc jak najprędzej znaleźć się za nimi. Żadna siostra, niezależnie od pozycji, nawet Zasiadająca, nie śmiała postawić stopy w tych najwyższych paniach Wieży bez wyraźnego wezwania Elaidy, która teraz gładziła palcami wielobarwną stułę i uśmiechała się z rozkoszą. Tak, była panią na Białej Wieży. I była jedyną odpowiednią osobą na Tron Amyrlin.

Zanim drepcząca nerwowo gromadka Zasiadających dotarła do wyjścia, lewe skrzydło drzwi otworzyło się i weszła przez nie Alviarin; jej wąska biała stuła Opiekunki Kronik zupełnie ginęła na tle przepychu jedwabnej sukni, przy której szata Veliny wyglądała niczym łachman.

Elaida poczuła, jak jej uśmiech traci swe rozanielenie, a po chwili rozwiewa się bez śladu. Alviarin ujmowała szczupłą dłoń pojedynczy arkusz pergaminu. Aż dziw brał, na co się zwracało uwagę w takich chwilach. Tej kobiety nie było przez prawie dwa tygodnie, zniknęła z Wieży bez słowa czy choćby wyjaśniającej notatki, nikt nie widział, by wyjeżdżała, toteż Elaida powoli zaczynała się już bawić widokiem ciała Alviarin spoczywającego gdzieś pod śnieżną zaspą albo porwanego przez rzekę i prześlizgującego się pod lodem.

Sześć Zasiadających zatrzymało się niepewnie,omalże ślizgając się po posadzce, kiedy Alviarin nie ustąpiła im drogi. Nawet Opiekunka dysponująca takimi wpływami, jakimi cieszyła się Alviarin, nie onieśmiała Zasiadających. Aczkolwiek Velina, w normalnych okolicznościach najbardziej opanowana kobieta w Wieży, skrzywiła się z jakiegoś powodu. Alviarin obrzuciła Elaide pojedynczym chłodnym spojrzeniem, przez chwilę przyglądała się Zasiadającym i od razu zrozumiała wszystko.

– Sądzę, że powinnaś mnie zostawić te sprawy – zwróciła się do Sedore głosem odrobinę tylko cieplejszym od śniegów zalegających na zewnątrz. – Matka lubi dogłębnie rozważać swe dekry, wiesz przecież. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy zmieniła zdanie już po podpisaniu. – Wyciągnęła szczupłą dłoń.

Sedore, której arogancja była bezprzykładna nawet wśród Żółtych, ledwie się zawahała, oddając jej skórzaną teczkę.

Elaida z wściekłością zacisnęła zęby. Sedore nienawidziła jej za pięć dni po łokcie unurzanych w gorącej wodzie, spędzonych na szorowaniu desek. Następnym razem czeka ją coś znacznie mniej miłego. Może odda ją Silvianie. Albo nawet każe jej czyścić szambo!

Alviarin bez słowa usunęła się na bok, a Zasiadające przeszły obok niej, poprawiając szale, mrużąc coś do siebie, na nowo odziewając się w godność Komnaty. Alviarin energicznie zamknęła za nimi drzwi i podeszła do Elaidy, kartkując dokumenty zamknięte w teczce. Dekry, które podpisała w nadziei, że Alviarin nie żyje. Oczywiście, nie liczyła tylko na tę wątłą nadzieję. Nie rozmawiała z Seaine, na wypadek gdyby ktoś to zobaczył i doniósł Alviarin, gdy ta wróci, ale Seaine z pewnością działała wedle otrzymanych instrukcji, podążając ścieżką zdrady, która niechybnie zaprowadzi ją prosto do Alviarin Freidhen. Taką Elaida miała nadzieję. Och, jak bardzo chciała w nią wierzyć.

Alviarin mamrotała do siebie, przetrząsając dokumenty w teczce.

– To może pójść, jak sądzą. Ale to nie. Ani to. A z pewnością nie to! – Zgniotła dokument podpisany oraz opieczętowany przez Zasiadającą na Tronie Amyrlin i z pogardą rzuciła go na posadzkę. Obeszła biurko, stanęła obok połączanego krzesła Elaidy z oparciem ozdobionym wizerunkiem Płomienia Tar Valon wysadzanych kamieniami księżycowymi i z trzaskiem rzuciła na blat teczkę oraz swój arkusz pergaminu. A potem uderzyła Elaide w twarz z taką siłą, że aż zawirowały jej przed oczyma czarne płatki.

– Sądziłam, że to już sobie ustaliłyśmy, Elaido. – Głos tej potwornej kobiety był tak zimny, że przy nim nawet śnieżna burza zdawałaby się przytulna. – Wiem, jak ocalić Wieżę przed konsekwencjami twoich błędów i nie pozwolę, byś za moimi plecami popełniała nowe. Jeśli będziesz nadal tak trwała w swym uporze, to bądź pewna, że dopilnuję, abyś została usunięta, ujarzmiona, a potem będziesz wyła pod różgami każdej inicjowanej, a nawet służby!

Elaida z wysiłkiem powstrzymała się, aby nie dotknąć dłonią policzka. Nie potrzebowała lustra, by wiedzieć, że jest czerwony. Powinna zachować najdalej idącą ostrożność. Seaine jak dotąd niczego nie znalazła, w przeciwnym razie by przyszła. Alviarin natomiast mogła w każdej chwili wystąpić przed Komnatą i przedstawić jej historię katastrofalnej próby porwania tego chłopca, al’Thora. I naprawdę mogła dzięki temu sprawić, by ją usunięto, ujarzmiono i chłostano, przy czym to wcale nie była jedyna strzała w jej kołczanie. Toveine Gazal prowadziła pięćdziesiąt sióstr i dwustu żołnierzy Gwardii Wieży przeciwko Czarnej Wieży, w której – w co Elaida nie wątpiła, gdy wydawała te rozkazy -znajdowało się nie więcej niż paru mężczyzn potrafiących przenosić. Jednak nawet wobec obecności setek – setek!, nawet chłodne spojrzenie Alviarin nie wywoływało takiego ściskania w żołądku, jak ta myśl! – setek tych Asha’manów, wciąż wierzyła w Toveine. Czarna

Wieża zostanie strzaskana w ogniu krwi, tak Przepowiedziała, a siostry będą wędrować po jej terenach. Z pewnością musiało to oznaczać, że jakimś sposobem Toveine odniesie jednak zwycięstwo. Co więcej, z pozostałej części Przepowiedni wynikało, że Wieża pod jej panowaniem odzyska całą swą dawną chwałę, że sam al'Thor ulęknie się jej gniewu. Alviarin na własne uszy słyszała te słowa, kiedy Elaidę ogarnął paroksyzm Przepowiedni. I nie pamiętała ich później, kiedy podjęła tę nędną próbę szantażu, nie zrozumiała zawartej w nich wizji swej własnej zguby. Elaida czekała więc teraz w milczeniu. Sprawি, że ta kobieta po trzykroć zapłaci! Ale musi zachować cierpliwość. Na razie.

Nie czyniąc żadnych wysiłków ukrycia triumfującego uśmiešku, Alviarin odsunęła na bok teczkę i położyła przed Elaidą arkusz pergaminu. Potem otworzyła zielono-złotą skrzynkę z przyborami do pisania, zanurzyła pióro w kałamarzu i wsunęła je w dłoń Elaidy.

– Podpisz.

Elaida ujęła pióro, zastanawiając się, jakie tym razem szaleństwo opatrzy własnym imieniem. Kolejne powiększenie stanu liczebnego Gwardii Wieży, podczas gdy buntowniczkі z pewnością spotka koniec, zanim pojawi się konieczność rzucenia do walki żołnierzy? Kolejna próba zmuszenia Ajah, by publicznie ogłosiły, które siostry im przewodzą? Los tego dekretu z pewnością był dramatycznie żaloszny! Czytała szybko, czując, jak z każdym słowem w jej żołądku rośnie coraz większa lodowata kula. Udzielenie każdej Ajah ostatecznej władzy nad dowolną siostrą przebywającą w należnych im kwaterach stanowiło dotąd najskrajniejszy przykład obłędu – w jaki niby sposób niszczenie samej materii Wieży miałoby ją uratować? – niemniej to?...

Świat jest już świadom, że Rand al'Thor to Smok Odrodzony. Świat wie, że jest mężczyzną zdolnym do władania Jedyńą Mocą. Od niepamiętnych czasów tacy mężczyźni podlegali władzy Białej Wieży. Tym samym Smokowi Odrodzonemu ofiarowuje się ochronę Białej Wieży, jednakowoż wszelkie próby nawiązania z nim kontaktu omijające drogę przez Białą Wieżę zostają dekretem niniejszym napiętnowane mianem zdrady wobec Światłości i obłożone anatema od dziś po wieki wieków. Świat niech śpi w spokoju, wiedząc, że Biała Wieża bezpiecznie doprowadzi Smoka Odrodzonego do Ostatniej Bitwy i nieuchronnego zwycięstwa.

Całkiem otepiała, automatycznie dodała słowo „Światłości” po słowie „zwycięstwa”, ale potem zmartwiała jej dłoń. Konsekwencje publicznego uznania Smoka Odrodzonego w al'Thorze da się jakoś znieść, ponieważ oznaczało ono jedynie akceptację stanu faktycznego, a na dodatek mogło tylko potwierdzić plotki głoszące, że już oddał jej hołd, z czego tylko korzyść, niemniej jeśli szło o ciąg dalszy, prawie nie potrafiła pojąć, że w kilku słowach może zawierać się tyle szkód.

– Niech Światłość się nad nami zlituje – westchnęła ze zgrozą. – Jeśli to zostanie ogłoszone, to już nie da się przekonać al'Thora, że jego porwanie nie zostało oficjalnie usankcjonowane. – Nawet bez dodatkowych przeszkód było to zadanie nadzwyczaj trudne, ale w życiu spotykała już przecież ludzi przekonanych, że to, co się zdarzyło, wcale nie miało miejsca, a wręcz, że to, co działo się aktualnie, w istocie wcale się nie działo. – I po dziesięciokroć usilniej będzie się wystrzegła następnej próby. Alviarin, w najlepszym razie, przestraszy to tylko paru jego zwolenników. W najlepszym razie! – Wielu z pewnością do tego stopnia mu się zaprzedało, że nie ma co marzyć, aby go teraz porzucili. Zwłaszcza w sytuacji, gdy nad ich głowami miałyby zawisnąć anatema! – Równie dobrze mogłabym własnymi rękami podłożyć ogień pod Wieżę, jak podpisać to!

Alviarin westchnęła ze zniecierpliwieniem.

– Nie zapomniałaś swojego katechizmu, nieprawdaż? A więc wyrecytuj go, jak cię nauczyłam.

Usta Elaidy zacisnęły się, jakby kierowane własną wolą. Jedną z przyjemności, jakich dostarczała nieobecność tej kobiety – nie jedną z największych, ale całkowicie szczerą – była wolność od powtarzania codziennie tej wstrętnej litanii.

– Będę postępowała tak, jak mi się każe – powiedziała w końcu głosem pozbawionym wyrazu. Przecież to ona była Zasiadającą na Tronie Amyrlin! – Będę przemawiała słowami, które ty każesz mi głosić, żadne inne nie wyjdą z moich ust. – Przepowiednia gwarantowała jej ostateczne zwycięstwo, ale, na Światłość, niech ono wreszcie nadejdzie! – Będę podpisywała to, co ty każesz mi podpisywać i nic poza tym. Będę... – To ostatnie ledwie przeszło jej przez gardło. – Będę posłuszna twojej woli.

– Mówisz to w taki sposób, jakby trzeba ci było przypomnieć prawdę zawartą w tych słowach – stwierdziła Alviarin, znowu wzdychając. – Coś mi się wydaje, że zostawiłam cię samą na zbyt długi okres. – Apodyktycznie postukała w pergamin palcem. – Podpisz.

Elaida westchnęła, a potem jej pióro zaskrzypiało na pergaminie. Nie mogła zrobić nic innego.

Alviarin ledwie zaczęła, aż koniuszek pióra oderwie się od pergaminu, i wyrwała jej dekret z ręki.

– Sama go przypieczętuję – powiedziała, zmierzając w stronę drzwi. – Nie powinnam była zostawiać pieczęci Tronu Amyrlin w miejscu, gdzie mogłaś ją odnaleźć. Później porozmawiamy, zbyt długo byłaś sama. Zaczekaj na mnie, póki nie wrócę.

– Później? – zapytała Elaida. – Kiedy? Alviarin? Alviarin?

Drzwi zamknęły się za tamtą, Elaida zaś została sama, cała aż się gotując w środku. Zaczekać, póki Alviarin nie wróci! Zamknięta w swych apartamentach, jak nowicjuszka w pokutnej celi!

Przez czas jakiś wodziła bezmyślnie palcem po wieku szkatułki na korespondencję, obrysowując wizerunek złotych jastrzębi walczących wśród białych chmur na błękitnym niebie, jednak nie potrafiła się zmusić, aby ją otworzyć. Podczas nieobecności Alviarin w skrzynce zaczęły na powrót gromadzić się doniosłe listy i raporty, a nie tylko okruchy ze stołu, które rzucała jej Opiekunka, jednak skoro tamta powróciła, to skrzynka równie dobrze mogłaby teraz stać pusta. Wstała i zajęła się poprawianiem róż w białych wazonach – po jednym na marmurowych cokołach w każdym kącie komnaty. Niebieskie róże, najrzadsze.

Nagle przyłapała się na tym, że patrzy tępo na złamaną łodygę róży, którą trzyma w dłoniach i którą wcześniej właściwie sama rozerwała na połowy. Kilka już walało się na płytkach posadzki. Z gardła dobył jej się pełen zdławionej irytacji odgłos. Wyobrażała sobie własne ręce, zaciskające się na gardle Alviarin. Nie pierwszy raz zastanawiała się nad zabiciem tej kobiety. Ale Alviarin z pewnością zabezpieczyła się na taką ewentualność. Zapieczętowane dokumenty z poleceniem otwarcia w przypadku jakiegoś nieszczęścia; bez wątplenia miała je w swej pieczy siostra, którą Elaida najmniej by podejrzewała. Był to właściwie jedyny przedmiot jej zmartwień pod nieobecność Alviarin – że któraś jeszcze uzna ją za zmarłą i wydobędzie na jaw dowody kosztujące ją stulę. Wcześniej czy później, wszelako, w taki czy inny sposób, Alviarin była skończona, równie pewnie, jak te róże...

– Nie odpowiadałaś na moje pukanie, Matko, a więc pozwoliłam sobie wejść – usłyszała niski kobiecy głos.

Elaida odwróciła się, gotowa już rozpuścić język, ale na widok przysadzistej kobiety o kanciastej twarzy w obrębionym czerwonymi frędzlami szalu, która właśnie weszła do komnaty, krew odpłynęła jej z twarzy.

– Opiekunka powiedziała, że chcesz się ze mną widzieć – powiedziała z irytacją Silviana. – W sprawie osobistej pokuty. – Nawet w obecności Zasiadającej na Tronie Amyrlin nie czyniła żadnych

wysiłeków, by ukryć niesmak. Silviana uważała osobiste pokuty za przejaw nadmiernej afektacji. Pokuta powinna być publiczna, kary ponosiło się w samotności. – Poprosiła mnie również, abym ci o czymś przypomniała, jednak oddaliła się tak prędko, że nie zdążyła powiedzieć, o co chodzi. – Ostatnie słowa podkreśliła parsknięciem. Wszystko, co odrywało ją od obowiązków wobec nowicjuszek i Przyjętych, Silviana podbierała jako niepotrzebną zawadę.

– Chyba sobie przypominam – stwierdziła tępo Elaida.

Kiedy Silviana wreszcie opuściła komnatę – po ledwie pół godzinie wedle kurantów zegara Cemaile’a, pół godzinie, która jednak wydawała się wiecznością – wszystkim, co powstrzymywało Elaidę przed natychmiastowym zwołaniem posiedzenia Komnaty i zażądania natychmiastowego odarcia Alviarin ze stuy Opiekunki, było przekonanie o nieomyślności Przepowiedni oraz wiara, że Seaine odnajdzie ślady zdrady wiodące do Alviarin. Te dwie rzeczy, a także prosta świadomość, że niezależnie od tego, czy Alviarin upadnie podczas tej konfrontacji, z pewnością taki los czeka ją samą. Tak więc Elaida do Avriny a’Roihan, Strażniczka Pieczęci, Płomienia Tar Valon, Zasiadająca na Tronie Amyrlin, z pewnością najpotężniejsza władczyni na świecie, leżała na łóżku z twarzą wtuloną w poduszki i zanosiła się szlochem, zbyt obolała, by na powrót wdziąć bieliznę leżącą w nieładzie na posadzce, pewna, że Alviarin, po swym powrocie, będzie się upierała, by Elaida siedziała podczas całego posłuchania. Łkała i modliła się przez łzy, aby upadek Alviarin nastąpił jak najszybciej.

– Nie mówiłam ci, żebyś kazała... zbić Elaidę – powiedział głos, który swym brzmieniem przywodził na myśl kryształowe dzwoneczki. – Zapominasz, gdzie twoje miejsce?

Alviarin, już na klęczkach, padła teraz płasko na posadzkę przed kobietą, której sylwetka zdawała się utkana z mrocznych cieni i srebrzystego światła. Ujęła rąbek sukni Mesaany i obsypała go pocałunkami. Splot Iluzji – nie mogło to być nic innego, aczkolwiek nie potrafiła dojrzeć choćby pojedynczej nitki *saidara*, podobnie jak nie umiała wyczuć nawet śladu zdolności przenoszenia u kobiety stojącej nad nią – nieco rozluźnił się, kiedy tak szaleńczo szarpała za rąbek szaty. Dostrzegła mgnienie brązowego jedwabiu okolonego misternie haftowanym czarnym ornamentem.

– Żyję tylko po to, by służyć i być ci posłuszną, Wielka Pani – dyszała Alviarin w przerwach między pocałunkami. – Wiem, że jestem najpodlejszą z podłych, zwykłym robakiem przed twym obliczem i modłę się tylko o twój uśmiech. – Już raz została ukarana za „zapominanie, gdzie jej miejsce”, wcale nie za nieposłuszeństwo, niech będą dzięki Wielkiemu Władcy Ciemności, i doskonale wiedziała, że jakkolwiek wyłaby w danej chwili Elaida, nawet w połowie nie dorówna sile wrzasków, jakie wtedy z siebie wydawała.

Mesaana pozwoliła przez czas jakiś całować swą suknię, w końcu wreszcie dała znak do zakończenia tych hołdów, unosząc twarz Alviarin czubkiem pantofla, który wsunęła jej pod brodę.

– Dekret został wydany. – Nie było to pytanie, lecz Alviarin skwapliwie odpowiedziała:

– Tak, Wielka Pani. Kopie powędrowały już do Północnej i Południowej Przystani, zanim jeszcze Elaida go podpisała. Pierwsi kurierzy już odjechali i żaden kupiec nie opuści miasta bez kolejnych egzemplarzy przeznaczonych do rozpowszechnienia. – Mesaana oczywiście o tym wiedziała. Wiedziała o wszystkim. Skurecz schwylił wykrzywiony niewygodnie kark Alviarin, ale nawet nie drgnęła. – Wielka Pani, Elaida jest tyle warta co pusty kadłub. Z całą pokorą ośmielam się zapytać, czy nie byłoby lepiej bez niej? – Wstrzymała oddech. Niektóre pytania zadawane Wybranym okazywały się niebezpieczne.

Srebrny palec zakończony paznokciem utoczonym z cienia delikatnie dotknął srebrnych ust

zaciśniętych w pełnym rozbawienia uśmiechu.

– I może byłoby lepiej, gdybyś to ty nosiła stulę Amyrlin, dziecko? – zapytała w końcu Mesaana. – Ambicja dostatecznie skromna, by mogła się zrodzić w twojej głowie, ale wszystko w swoim czasie. Na razie mam dla ciebie drobne zadanie. Mimo tych wszystkich murów, jakie wyrosły między poszczególnymi Ajah, ich przywódczynie zdają się spotykać z alarmującą częstotliwością. Z pozoru najzupełniej przypadkowo. Przynajmniej wszystkie prócz Czerwonych; jaka szkoda, że Galina dała się zabić, w przeciwnym razie doniosłaby ci, co one knują. Najprawdopodobniej sprawa jest trywialna, niemniej dowiesz się, dlaczego publicznie szczerzą na siebie zęby, a potem prywatnie o czymś szeptają.

– Słucham i jestem posłuszna, Wielka Pani – skwapliwie odparła Alviarin, wdzięczna, że Mesaana uznała sprawę za niezbyt istotną. Wielka „tajemnica” tego, kim są przywódczynie Ajah, dla niej była niczym – każda Czarna siostra zobowiązana była składać przed Najwyższą Radą raporty o najcichszych nawet szeptach, jakie usłyszały wśród swych przybranych Ajah – jednak spośród nich tylko Galina była Czarna. Oznaczało to konieczność wyśledzenia Czarnych sióstr w gronie Zasiadających, co z kolei wiązało się z mozolnym pokonywaniem wszystkich warstw instytucjonalnych dzielących ją od nich. Zadanie, które miało zabrać dużo czasu, a nadto nie rokowało żadnych gwarancji sukcesu. Oprócz Ferane Neheran i Suany Dragand, które kiedyś rzeczywiście były przywódczyniami swoich Ajah, Zasiadające rzadko zdawały się wiedzieć, co myślą ich przywódczynie, póki nie zostało im to oznajmione. – Powiem ci, gdy tylko się dowiem, Wielka Pani.

Ale z całej tej sytuacji nie wychodziła wszakże zupełnie z pustymi rękami. Niezależnie od tego, czy chodziło o kwestie trywialne czy bardzo ważne, Mesaana nie wiedziała wszystkiego, co działo się w Białej Wieży. A Alviarin będzie się uważnie wszystkim przyglądała, szukając siostry w brązowych spódnicach obrzeżonych czarnym haftem. Mesaana ukrywała się w Wieży, a wiedza była władzą.

# ROZDZIAŁ 26

## DODATKOWY EFEKT

Seaine wędrowała po korytarzach Wieży, czując, jak z każdym pokonanym zakretem nasila się przepelniająca ją konsternacja. Biała Wieża była całkiem spora, to prawda, jednak ile godzin można tak chodzić? Bardzo już chciała znaleźć się w zaciszu własnych apartamentów. Mimo że wszystkie okiennice były zamknięte, po szerokich, obwieszonych gobelinami korytarzach hulały przeciągi, wprawiając w drzenie płomienie stojących lamp. Lodowate przeciągi, nieprzyjemnie sięgające palcami chłodu pod spódnice. W jej pokojach zaś było ciepło, miło i bezpiecznie.

Pokojówki dygały; a służący kłaniali się w ślad za nią, na poły tylko widzialni dla jej oczu, całkowicie zaś ignorowani. Większość sióstr przebywała w kwaterach własnych Ajah, nieliczne, które jakieś sprawy zmusiły do ich opuszczenia, przemieszczały się z czujną dumą, często parami, zawsze w towarzystwie siostry spod tych samych barw, a ich szale – demonstracyjnie rozpostarte na ramionach – wyglądały niczym bitewne sztandary. Uśmiechnęła się i życzliwie skinęła głową w stronę Talene, ale posągowa, złotowłosa Zasiadająca odpowiedziała jej twardym spojrzeniem – piękno wyrzeźbione z bryły lodu – a potem oddaliła się, gwałtownie skubiąc obsyty zielonymi frędzlami szal.

Za późno już, by prosić Talene o pozwolenie na udział w poszukiwaniach, nawet gdyby Pevara wyraziła poparcie. Pevara upierała się, aby zachowywać jak najdalej idącą ostrożność, w zaistniałych okolicznościach Seaine nie miała najmniejszej ochoty się jej sprzeciwić. Chodziło tylko o to, że Talene była przyjaciółką. Kiedyś.

Talene wcale zresztą nie była najgorsza. Zdarzało się, że zwykle siostry otwarcie parskały na jej widok. Na widok Zasiadającej! Oczywiście nie było wśród nich żadnej Białej, ale co za różnica. Niezależnie od tego, co działo się w Wieży, należało zachowywać stosowne maniery. Juilaine Madome, wysoka, atrakcyjna kobieta z krótko przyciętymi czarnymi włosami, która zaledwie od roku przewodziła Brązowym, potrafiła ją w przejściu, nawet nie mruknąwszy przepaszająco, a potem oddaliła się tym swoim męskim krokiem. Saerin Asnobar, jeszcze jedna Zasiadająca Brązowych, obdarzyła Seaine wściekłym spojrzeniem i musnęła palcami rękojeść zakrzywionego noża, który zawsze nosiła u pasa, zanim zniknęła w głębi bocznego korytarza. Saerin była Altaranką, nieznaczne muśnięcia siwizny na ciemnych skroniach podkreślały cienką, prawie zatartą przez lata białą bliznę przecinającą oliwkowy policzek, a chyba tylko mars na czole Strażnika mógłby równać się z jej nachmurzoną miną.

Być może nie należało się spodziewać niczego innego. Ostatnimi czasy doszło do kilku niefortunnych incydentów, żadna z sióstr nie zapomni, jak bezceremonialnie ją odesłano z korytarzy otaczających kwatery innych Ajah, nie mówiąc już o tym, co niekiedy takiej eksmisji towarzyszyło. Krążyły plotki, że na skutek poczynań Czerwonych ucierpiała godność jednej z Zasiadających – Zasiadających! – aczkolwiek jej imię pozostawało nieznanne. Wielka szkoda, że Komnata nie potrafiła uchylić szalonego dekretu Elaidy, jednak z początku jedne Ajah, a po niedługim czasie już wszystkie, rzuciły się na nowe uprawnienia, niewiele zaś Zasiadających chciało z nich zrezygnować, skoro już zostały uchwalone – w rezultacie powstała Wieża, odpowiednio rzecz ujmując, podzielona na zwalczające się obozy. Pewnego razu Seaine przyszła do głowy myśl, że atmosfera w Wieży przypomina galaretę, trzęsącą się i gorącą, była to atmosfera podejrzeń i wzajemnego podgryzania; teraz była niczym trzęsąca się galareta o smaku kwasu i goryczy.

Wpatrzona w plecy znikającej Saerin, aż mlasnęła językiem ze strapienia, poprawiając własny,

obrzeżony białymi frędzlami szal. Nierozsądne byłoby obrażanie się tylko dlatego, że Altaranka spojrzała na nią spode łba – nawet Seaerin nie posunęłaby się dalej, z pewnością nie – a bardziej jeszcze niżli czystą głupotą byłoby zamartwianie się tym, czego zmienić nie mogła, zwłaszcza że nagliło czekające zadanie.

I wtedy, po poszukiwaniach, które zabrały jej cały ranek, dała jeszcze jeden krok i zobaczyła cel swych wędrówek zbliżający się spokojnie do niej. Zerah Dacan była szczupłą, ciemnowłosą dziewczyną, pełną godności i stosownej samokontroli, z pozoru całkowicie niedostępną dla zapalczywych żywiołów, które w tych dniach nurtowały Wieżę. Cóż, w ścisłym sensie słowa, nie była już dziewczyną, Seaine jednak miała pewność, że tamta nie nosiła szala z białymi frędzlami dłużej niż pięćdziesiąt lat. Była niedoświadczona. Względnie niedoświadczona. Co mogło okazać się pomocne.

Zerah nie wykonała najmniejszego ruchu, z którego należałoby wnosić, że chce uniknąć spotkania z Zasiadającą własnych Ajah, tylko z szacunkiem skłoniła głowę, gdy Seaine zaczęła jej towarzyszyć. Rękawy śnieżnobiałej sukni Zerah zdobiły skomplikowane i bogate hafty, które tworzyły również szeroki pas obrzeżający spódnicę. Jak na Białe Ajah, było to dosyć niezwykle.

– Zasiadająca – mruknęła tamta. Czy w błękitnych oczach przemknął cień niepokoju?

– Jesteś mi do czegoś potrzebna – powiedziała Seaine znacznie bardziej spokojnie, niżby to mogło wynikać z przepelniających ją uczuć. Najprawdopodobniej projektowała własne emocje w wyraz oczu Zerah. – Chodź ze mną. – Nie było się czego obawiać, zwłaszcza w samym sercu Białej Wieży, ale zadbanie, by ręce spokojnie spoczywały zaplecione na podołku, wymagało zaskakującego wysiłku.

Jak się spodziewała – i na co miała nadzieję – Zerah poszła za nią, mruknęła tylko coś pod nosem, ale podporządkowała się bez sprzeciwu. Sunęła wdzięcznie obok Seaine, kiedy schodziły po szerokich marmurowych schodach, potem po szerokich zakręcających rampach; zaledwie zmarszczyła nieznacznie brwi, kiedy Seaine otworzyła na parterze drzwi prowadzące na wąskie schody, których spirala ginęła w ciemnościach.

– Ty pierwsza, siostró – powiedziała Seaine, przenosząc Moc i zapalając niewielką kulę światła. Zgodnie z protokołem, ona winna iść pierwsza, ale nie potrafiła się do tego zmusić.

Zerah nie wahała się ani przez moment. Logicznie rzecz biorąc, nie miała się czego obawiać ze strony Zasiadającej, Zasiadającej Białych. Logicznie rzecz biorąc, Seaine powie jej, o co chodzi, gdy nadejdzie właściwy czas i nie będzie to nic, czego nie mogłaby zrobić. Za to Seaine całkiem wbrew logice czuła, jak żołądek kurczy jej się jakby w rytm skrzydeł żyjącej w nim – wielkiej ćmy. Światłości, przecież to ona obejmowała *saidara*, nie Zerah. Która ponadto była od niej słabsza. Nie było czego się bać. Myśl ta bynajmniej nie uspokoiła trzepotania w żołądku.

Schodziły coraz niżej, mijając drzwi wiodące do przyziemia i rozciągających pod nimi piwnic, póki nie dotarły do najniższego poziomu, położonego jeszcze głębiej niż komnata, w której Przyjęte były poddawane sprawdzianom. Mroczny korytarz rozjaśniał tylko małe płomyk Seaine. Obie unosiły wysoko suknie, jednak ich pantofle wzbijały w powietrze tumany kurzu, niezależnie jak uważnie stawiałyby stopy. W gładkich kamiennych ścianach osadzony był rząd prostych drewnianych drzwi, na wielu zawiasy i zamki dawno zmieniły się już w bezkształtne bryły rdzy.

– Zasiadająca – zapytała Zerah, wreszcie zdradzając choć odrobinę wątpliwości – czego właściwie tutaj szukamy? Od lat nikt tu nie zaglądał.

Seaine była pewna, że jej wizyta w tych lochach, kilka dni temu, stanowiła pierwsze odwiedziny tego podziemia od przynajmniej stulecia. Był to jeden z powodów, dla których razem z Pevarą wybrały to miejsce.



– To już tutaj – powiedziała, otwierając drzwi, które uchyliły się z lekkim tylko skrzypnięciem. Żadna ilość wlanej w zawiasy oliwy nie dała rady oczyścić ich z rdzy, Jedyna Moc również okazała się bezużyteczna. Wprawdzie sama radziła sobie z Ziemią lepiej niż Pevara, ale to jeszcze nie znaczyło, że była w tym naprawdę dobra.

Zerah przeszła przez drzwi i aż zamrugała z zaskoczenia. W całkowicie pustym poza nią pomieszczeniu stała Pevara za solidnym, choć już raczej mocno sfatygowanym stołem, który otaczały trzy ławy. Zniesienie ich na dół okazało się niełatwym zadaniem, zwłaszcza że służbie nie można było ufać. Oczyszczenie pomieszczenia ze wszechobecnego kurzu okazało się znacznie łatwiejsze, nawet jeśli niewiele przyjemniejsze, za to zacieranie śladów w kurzu na zewnętrznym korytarzu po każdej wizycie było istną udręką.

– Powoli już mi się odechciewało siedzenia tutaj w ciemnościach – warknęła Pevara. Poświata *saidara* otoczyła ją, gdy przeniosła, dobywając spod stołu lampę, którą następnie zapaliła za pomocą innego splotu. Światła było akurat tyle, na ile zasługiwała ta nędzna komórka. Czerwona siostra, nieco pulchna i w normalnych okolicznościach nawet przystojna, w obecnej chwili wyglądała niczym niedźwiedź, którego bolą zęby. – Chcemy ci zadać kilka pytań, Zerah. – I w chwili gdy Seaine zamykała drzwi, oddzieliła tamtą tarczą od Źródła.

Skryta w cieniach twarz Zerah pozostała całkowicie spokojna, jednak słychać było jak z wysiłkiem przełyka ślinę.

– W sprawie czego, Zasiadające? – W głosie młodszej kobiety słychać było nieznaczne drżenie. Aczkolwiek dalej mogło chodzić tylko o tę atmosferę, która panowała w Wieży.

– W sprawie Czarnych Ajah – odrzekła grzecznie Pevara. – Chcemy się przekonać, czy nie jesteś Sprzymierzeńcem Ciemności.

Zdumienie i wściekłość strzaskały wreszcie maskę spokoju Zerah, co już samo w sobie mogło posłużyć za dostateczne zaprzeczenie, tym bardziej gdy warknęła:

– Nie muszę wysłuchiwać takich słów z waszych ust! Wy, Czerwone, od wielu lat tworzycie fałszywych Smoków! Jeśli o mnie chodzi, uważam, że nie trzeba szukać dalej jak w kwaterach Czerwonych, żeby znaleźć Czarne siostry!

Oblicze Pevary pociemniało ze złości. Jej lojalność wobec własnych Ajah była silna, rzecz sama przez się zrozumiała, niemniej jednak straciła całą rodzinę z rąk Sprzymierzeńców Ciemności. Seaine zdecydowała się wkroczyć, zanim Pevara ucieknie się do przemocy. Nie dysponowały żadnymi dowodami. Jeszcze nie.

– Usiądź, Zerah – powiedziała z taką sympatią, na jaką potrafiła się zdobyć. – Usiądź, siostro.

Zerah zawróciła już w stronę drzwi, jakby mimo wszystko gotowa była nie posłuchać rozkazu Zasiadającej – na dodatek z własnych Ajah! – w końcu jednak zasiadła sztywno na samym brzegu jednej z ław.

Zanim Seaine zdążyła się usadowić w taki sposób, że miały Zerah między sobą, Pevara już położyła na zniszczonym blacie białą kość słoniową różdżki przysięg. Seaine westchnęła. Były Zasiadającymi, co dawało im prawo do swobodnego korzystania z każdego *ter'angreal*, jaki im tylko przyjdzie do głowy, jednak ona musiała ukraść ten – nie potrafiła o swym czynie myśleć inaczej jak o kradzieży, ponieważ cała rzecz odbyła się z naruszeniem wszelkich stosownych procedur – i bez przerwy w głębi duszy czuła się tak, jakby za jej plecami cały czas stała od dawna już nieżyjąca Sereille Bagand, gotowa zawlec ją za ucho do gabinetu Mistrzynie Nowicjuszek. Było to uczucie całkowicie irracjonalne, a jednak wcale przez to nie mniej rzeczywiste.

– Chcemy się upewnić, że powiesz nam prawdę – wyjaśniła Pevara, głosem wciąż nasuwającym na myśl rozżłoszczonego niedźwiedzia – a więc przysięgniesz na ten *ter'angreal*, a

potem zapytam cię znowu.

– Nie pozwolę, by poddawano mnie takiemu traktowaniu – powiedziała Zerah, zerkając oskarżycielsko na Seaine – ale powtórzę na powrót rotę wszystkich Przysiąg, jeśli tego trzeba, by was zadowolić. A potem będę oczekiwała przeprosin od was obu. – Nikt nie wtajemniczony nie domyśliłby się, że mówi te słowa kobieta, którą odcięto od Źródła i której zadano tego rodzaju pytanie. Z pogardą prawie sięgnęła po cienką, długą na stopę różdżkę. Biel załśniła w przyćmionym świetle latarni.

– Przysięgniesz okazywać nam dwóm całkowite posłuszeństwo – poinformowała ją Pevara, a wtedy ręka tamtej odskoczyła do tyłu niby na widok zwiniętego jadowitego węża. Pevara jednak spokojnie kontynuowała, a nawet przysunęła dwoma palcami różdżkę bliżej tamtej. – W ten sposób będziemy mogły ci nakazać mówić prawdę i będziemy wiedziały, że nic innego nie wyjdzie z twoich ust, a jeśli udzielisz niewłaściwych odpowiedzi, będziemy pewne, że posłusznie pomożesz nam znaleźć pozostałe Czarne siostry. Jeśli udzielisz właściwej odpowiedzi, będzie można użyć Różdżki, aby uwolnić cię od tej przysięgi.

– Uwolnić?... – wykrzyknęła Zerah. – Nigdy nie słyszałam o żadnej kobiecie, którą uwolniono od przysięgi złożonej na Różdżkę Przysiąg.

– Dlatego właśnie powzięłyśmy te wszystkie środki ostrożności – wyjaśniła jej Seaine. – Logicznie rzecz biorąc, Czarna siostra musi być zdolna do kłamstwa, co z kolei oznacza, że musiała wcześniej zostać uwolniona przynajmniej od tej jednej Przysięgi, a najpewniej i wszystkich trzech. Pevara i ja badałyśmy tę sprawę i odkryłyśmy odpowiednią procedurę, zresztą w znacznym stopniu przypominającą rytuał składania przysięgi. – Nie wspomniała wszakże, jak było to bolesne, ile razy obie płakały. Nie napomknęła też, że Zerah nie zostanie zwolniona ze swej przysięgi, niezależnie od odpowiedzi, jakiej udzieli, przynajmniej do czasu, gdy nie zakończą się poszukiwania Czarnych Ajah. Przede wszystkim nie można jej było pozwolić, by pobiegła do kogoś ze skargami na temat tego przesłuchania, co z pewnością by uczyniła, mając do tego pełne prawo, jeśli nie była Czarną Ajah. Jeśli.

Światłości... jak bardzo Seaine pragnęła, aby jakaś siostra z innych Ajah pasowała do kryteriów, które sobie ustaliły. Zielona lub Żółta byłaby jak najbardziej na miejscu. Ta hałastrza zadzierała nosa w najlepszych czasach, ostatnio zaś!... Nie. Nie padnie ofiarą choroby szerzącej się w całej Wieży. Jednak nie potrafiła nic poradzić na to, że imiona przelatowały jej przed oczami, kilkanaście Zielonych, co najmniej dwakroć tyle Żółtych, a także wiele imion z długiej przeszłości, które wywoływały w jej pamięci alarmowe dzwonki. Parskać na Zasiadającą?

– Uwolniłyście się od jednej z Przysiąg? – W głosie Zerah zabrzmiało zaskoczenie, niesmak, lęk, wszystko naraz. Doskonale racjonalne reakcje.

– I znowu je złożyłyśmy – mruknęła niecierpliwie Pevara. Schwyciła cienką różdżkę i przeniosła w jeden koniec odrobinę Ducha, równocześnie cały czas trzymając tarczę Zerah. – W imię Światłości, przysięgam nie wypowiadać żadnych innych słów prócz prawdy. W Imię Światłości, przysięgam nie tworzyć żadnej broni, za pomocą której jeden człowiek mógłby zabić drugiego. W imię Światłości, przysięgam nigdy nie używać Jedynej Mocy jako broni, z wyjątkiem sytuacji, kiedy kieruje się ją przeciwko Pomiotowi Cienia, albo w ostateczności zagrożenia własnego życia, życia Strażnika lub innej Aes Sedai. – Nawet się nie skrzywiła, wypowiadając tę frazę o Strażnikach, co się często zdarzało siostronom nowo przyjętym w poczet Czerwonych. – Nie jestem Sprzymierzeńcem Ciemności. Przypuszczam, że to cię zadowala. – Spojrzała na Zerah, obnażając zęby, ale czy w uśmiechu, czy grymasie złości, trudno było orzec.

Następnie Seaine złożyła kolejne Przysięgi – każda powodowała lekki ucisk obejmujący całe

ciało, od stóp do głów. Po prawdzie to ledwo czuła ten ucisk, bo tak bardzo mrowiła ją skóra po tym, jak powtórzyła Przysięgę zabraniającą kłamać. Możliwość twierdzenia, że Pevara ma brodę albo że ulice Tar Valon wybrukowane są serem, w swoim czasie stanowiło doprawdy wzniosłe przeżycie – nawet Pevara chichotała – jednak nie bardzo warte obecnego dyskomfortu. W jej oczach zresztą takie testy zdawały się zupełnie niepotrzebne. Logicznie rzecz biorąc, nie mogło być inaczej. Kiedy powiedziała, że nie jest Czarną Ajah, język omal nie stanął jej kołkiem – już samo wypieranie się tak paskudnej rzeczy było czymś paskudnym – ale moment później podała Zerah Różdżkę z towarzyszeniem zdecydowanego skinienia głową.

Szczupła kobieta lekko zmieniła pozycję na swojej ławie, ujęła gładką białą różdżkę w palce, z wysiłkiem przełknęła ślinę. W mętym świetle latarni wydawała się chora. Przez długą chwilę popatrywała to na jedną, to na drugą, wreszcie jej dłoń zacisnęła się na Różdżce, ona zaś skinęła głową.

– Powtarzaj dokładnie za mną – warknęła Pevara, znowu przenosząc w Różdżkę strumień Ducha – albo będziesz przysięgać dopóty, dopóki nie powiesz tego właściwie.

– Przysięgam wam dwóm absolutne posłuszeństwo – powiedziała Zerah napiętym głosem, potem jej ciało przeszły dreszcz, kiedy przysięga zadziałała. Za pierwszym razem było to zawsze najbardziej dotkliwie. – Zapytajcie mnie o Czarne Ajah – zażądała. Jej dłonie trzęsły się, ściskając Różdżkę. – Zapytajcie mnie o Czarne Ajah! – Intensywność jej wybuchu sprawiła, że Seaine знаła odpowiedź, jeszcze zanim Pevara uwolniła strumień Ducha i zadała pytanie, domagając się równocześnie absolutnej prawdy. – Nie! – krzyknęła Zerah. – Nie, nie jestem Czarną Ajah! A teraz zdejmijcie ze mnie tę przysięgę! Uwolnijcie mnie!

Seaine poczuła ogarniające ją przygnębienie, tak głębokie, że aż musiała oprzeć łokcie na stole. Z pewnością nie chciała, by Zerah odpowiedziała „tak” na zadane pytanie, ale wcześniej była pewna, że przyłapały tę kobietę na kłamstwie. Jedno jedyne kłamstwo, tak się przynajmniej wydawało, i to po tygodniach poszukiwań. Jak wiele jeszcze tygodni takiej pracy było przed nimi? I ciągłego oglądania się przez ramię, od przebudzenia do zaśnięcia? O ile w ogóle udawało jej się zasnąć.

Pevara wyciągnęła oskarżycielsko wyprostowany palec w stronę Zerah.

– Mówiłaś wszystkim, że przyjechałaś z północy.

Oczy Zerah znowu się rozszerzyły.

– Zaiste – powiedziała powoli. – Jechałam wzdłuż brzegu Erinin aż do Jualdhe. Teraz uwolnijcie mnie od tej przysięgi! – Oblizła wargi.

Seaine zmarszczyła brwi i spojrzała na nią.

– W fałdach derki twojego konia znaleziono nasiona ciernio-złotu i sok z czerwonego kąkolu, Zerah. Cierniozłotu i czerwonego kąkolu nie znajdzie się w odległości stu mil na południe od Tar Valon.

Zerah poderwała się na równe nogi, a Pevara warknęła:

– Siadaj!

Tamta opadła na ławkę z głośnym łomotem, ale nawet nie mrugnęła. Cała drżała. Nie, trzęsła się wręcz. Szczęki miała mocno zaciśnięte, w przeciwnym razie, Seaine była tego pewna, dzwoniły jej zęby. Światłości, pytanie o kierunek, z którego przyjechała, przerażało ją bardziej niżli podejrzenie, że jest Sprzymierzeńcem Ciemności.

– Skąd wyruszyłaś – zapytała Seaine, starannie dobierając słowa – i dlaczego?... – Chciała zapytać, dlaczego tamta wybrała określną drogę, by ukryć miejsce, skąd rzeczywiście jechała, ale odpowiedź wręcz wyrwała się z ust Zerah.

– Z Salidaru – pisnęła. Nie można było określić tego inaczej. Wierciła się na ławie, wciąż

ściskając Różdżkę Przysięg. Łzy płynęły z jej oczu, rozwartych tak szeroko, jak to tylko możliwe, i utkwionych w Pevarze. Z jej ust natomiast wylewały się słowa, aczkolwiek już nie potrafiła powstrzymać szcęknięcia zębami: – P-przybyłam, aby z-zadbać o to, by wszystkie siostry dowiedziały się o Cz-czerwonych i o Logainie i mogły us-sunąć Elaideę, a W-wieża znowu stała się całością. – Jej słowa przeszły w płaczliwy, nieartykułowany bełkot, wciąż jednak patrzyła na Czerwoną siostrę.

– No, tak – powiedziała Pevara. A potem powtórzyła, bardziej złowieszczo: – No, tak! – Jej oblicze mogłoby służyć za wzór opanowania, a jednak w ciemnych oczach nie było śladu tej psotności, którą Seaine pamiętała z czasów, gdy jeszcze obie były nowicjuszkami, a potem Przyjętymi. – A więc to ty jesteś źródłem tych... plotek. Staniesz przed Komnatą i odwołasz te jawne kłamstwa! Musisz przyznać, że to jest potwarz, dziewczyno!

Jeśli oczy Zerah można było wcześniej określić jako szeroko rozwarte, to teraz naprawdę wychodziły już z orbit. Różdżka wypadła jej z rąk i potoczyła się pod stół, ona zaś schwyciła się obiema dłońmi za gardło. Z nagle rozwartych ust wydobył się zdławiony odgłos. Pevara patrzyła na nią wstrząśnięta, ale Seaine wkrótce zrozumiała.

– Na litość Światłości – wyszeptała. – Nie musisz kłamać, Zerah. – Zerah rozpaczliwie wierzyła nogami, jakby próbowała powstać i nie mogła znaleźć oparcia dla stóp. – Powiedz jej, Pevara. Ona wierzy, że to prawda! Rozkazałaś jej równocześnie powiedzieć prawdę i kłamstwo. Nie patrz tak na mnie! Ona w to wierzy! – Usta Zerah zaczynały już powoli sinieć. Oczy uciekały w głąb czaszki. Seaine z całej siły próbowała przemawiać spokojnie. – Pevara, ty jej wydałaś to polecenie i najwyraźniej ty je musisz odwołać, w przeciwnym razie udusi się tu wprost na naszych oczach.

– Ona jest buntowniczką. – W to wymruczane słowo Pevara włożyła całą pogardę, jaką było w stanie pomieścić. Potem westchnęła. – Jednak jeszcze nie została osądzona. Nie musisz... kłamać... dziewczyno. – Ciało Zerah osunęła się na blat stołu, a potem leżała tak z policzkiem wciśniętym w drewno, łapiąc urywany oddech między kolejnymi jękami.

Seaine ze zdumieniem pokręciła głową. Nie wzięły pod uwagę ewentualnej sprzeczności wewnętrznej między różnymi przysięgami. A jeśli Czarne Ajah nie usunęły po prostu Przysięgi zabraniającej kłamać, tylko zastąpiły ją własnym ekwiwalentem? A jeśli wszystkie Trzy zastąpiły innymi? Ona i Pevara będą musiały postępować bardzo ostrożnie, jeśli wykryją Czarną siostrę, w przeciwnym razie tamta może umrzeć, zanim odkryją, na czym polega sprzeczność. Być może należałoby najpierw skłonić taką do odwołania wszelkich przysięg – nie było sposobu na załatwienie sprawy bardziej ostrożnie, jeśli nie wiedziały, co zaprzysięgły Czarne siostry – a potem dopiero kazać im powtarzać na powrót Trzy Przysięgi? Światłości, ból zwolnienia ze wszystkich zobowiązań naraz niewiele będzie się różnił od poddania przesłuchaniu. A być może wcale. Z pewnością jednak Sprzymierzeńcy Ciemności zasłużyli sobie na to, a nawet i na więcej. O ile kiedykolwiek znajdą jakiegoś Sprzymierzeńca Ciemności.

Pevara patrzyła bez choćby śladu litości w twarzy na kobietę, która chwyciła teraz kurczowo oddech.

– Kiedy będzie sądzona za bunt, chcę zasiadać w trybunale.

– Kiedy będzie sądzona, Pevara? – zapytała z namysłem Seaine. – Szkoda byłoby rezygnować z pomocy kobiety, o której wiemy, że nie jest Sprzymierzeńcem Ciemności. A ponieważ naprawdę jest buntowniczką, nie musimy szczególnie przejmować się tym, że ją wykorzystujemy. – Toczyły między sobą liczne dyskusje, dyskusje, które nie doprowadziły do żadnych konkretnych wniosków, na temat dodatkowego powodu, by pozostawić nietkniętą nową przysięgę. Siostrę, którą zaprzysiężono do posłuszeństwa, można zmusić... Seaine poruszyła się nerwowo; brzmiało to doprawdy zbyt podobnie do zabronionej niegodziwości Przymusu... można skłonić do pomocy w polowaniu, póki nie będzie

się za bardzo przejmować tym, że wystawia się ją na niebezpieczeństwo, nie pytając o zdanie. – Nie wydaje mi się, aby przysłały tylko tę jedną – ciągnęła dalej. – Zerah, ile tu was przybyło, by rozpowszechnić tę bajeczkę?

– Dziesięć – wybełkotała tamta, ustami wciąż wciśniętymi w blat stołu, a potem nagle zadarła głowę, w oczach zagorzał jej płomień sprzeciwu. – Nie zdradzę moich sióstr! Nie!... – Nagle urwała, krzywiąc w kwaśnym grymasie usta, kiedy zrozumiała, że właśnie to zrobiła.

– Imiona! – warknęła Pevara. – Podaj mi ich imiona albo od razu obedrę cię ze skóry!

Potok imion wylał się z ust Zerah wbrew jej woli. Na rozkaz, który z pewnością znaczył wiele więcej niż groźba. Jednak przyglądając się ponurej twarzy Pevary, Seaine była pewna, że wystarczy tylko najdrobniejsza prowokacja, a tamta będzie gotowa wychłostać Zerah niczym nowicjuszkę przyłapaną na kradzieży. Co dziwne, ona sama nie czuła w sobie nawet śladu tej animozji. Może odrobinę odrazy, ale z pewnością nie tak silnej. Tamta kobieta była buntowniczką, która przyłożyła rękę do strzaskania jedności Białej Wieży, w sytuacji gdy każda siostra powinna ze wszystkiego zrezygnować, byle tylko jedność tę utrzymać, niemniej... Bardzo dziwne.

– Zgadzasz się, Pevara? – zapytała, kiedy lista imion dobiegła końca. Uparta kobieta odpowiedziała jej tylko zapalczywym skinieniem głowy. – Bardzo dobrze. Zerah, dziś po południu przyprowadzisz Bernaile do moich apartamentów. – Wychodziło na to, że w każdej Ajah, wyjąwszy Błękitne i Czerwone, są po dwie, uważała jednak, że zrobią najlepiej, jeśli zaczną od drugiej Białej. – Powiesz tylko tyle, że chcę z nią porozmawiać w osobistej sprawie. Nie ostrzeżesz jej w żaden sposób, czy to słowem, czynem czy zaniedbaniem. Później zachowasz milczenie i pozwolisz ranie oraz Pevarze zrobić to, co konieczne. Zostałaś właśnie zwerbowana do o wiele poważniejszej sprawy niż ta wasza pomyłona rebelia, Zerah. – To oczywiste, że była pomyłona. Niezależnie od tego, do jakiego stopnia Elaida oszalała na punkcie władzy. – Będiesz nam pomagać w szukaniu Czarnych Ajah.

Każdy nakaz Zerah akcentowała mimowolnymi skinieniami głowy, jej twarz wykrzywił ból, ale na wzmiankę o polowaniu na Czarne Ajah aż westchnęła. Światłości, klepki w jej głowie w wyniku niedawnych przejść musiały zupełnie się obluźować, skoro tego nie dostrzegła!

– I przestaniesz rozpowszechniać te... historie – wtrąciła zdecydowanie Pevara. – Od tej chwili nie wymienisz w jednym kontekście Czerwonych Ajah i fałszywych Smoków. Rozumiemy się?

Oblicze Zerah przyoblekło się w maskę ponurego uporów. A jednak powiedziała posłusznie:

– Zrozumiałam, Zasiadająca. – Miała taką minę, jakby lada chwila gotowa była znowu się rozplakać, tym razem z czystej frustracji.

– A więc zejdz mi z oczu – rozkazała jej Pevara, uwalniając równocześnie tarczę tamtej i Źródło. – I doprowadz się do porządku! Umyj twarz, uczesz włosy! – Ostatnie słowa wypowiedziała już w kierunku pleców oddalającej się od stołu kobiety. Zerah musiała prawie odrywać dłonie od głowy, by móc sobie otworzyć drzwi. Kiedy te głośno skrzypiąc, zamknęły się za nią, Pevara parsknęła:

– Nie mogłam dopuścić, by wyglądała jak ostatnia fleja, gdy uda się do Bernaile, w nadziei że w ten sposób ją ostrzeże.

– Słuszna uwaga – przyznała Seaine. – Ale czy przypadkiem same którejs nie ostrzeżemy, jeśli będziemy patrzeć z ukosa na te kobiety? Zapewne co najmniej zwrócimy na siebie uwagę.

– Sprawy tak się mają, Seaine, że nie przyciągniemy niczyjej uwagi, nawet gdybyśmy kopniakami przeganiały je po całym obszarze Wieży. – Pevara mówiła takim głosem, jakby pomysł wydawał się jej całkiem atrakcyjny. – To są buntowniczkę, a ja zamierzam trzymać je tak mocno w garści, że zaczną śpiewać, gdy tylko któraś choćby zacznie myśleć nie tak, jak trzeba.

Potem długo się na ten temat kłóciły. Seaine twierdziła, że wystarczy tylko pieczołowicie sformułować rozkazy, nie zostawiając w nich żadnych szczelin. Pevara wskazywała, że pozwalają dziesięciu buntowniczkom – dziesięciu! – spacerować bezkarnie po korytarzach Wieży. Seaine replikowała, że w końcu przecież zostaną ukarane, Pevara zaś marudziła, że „w końcu” to dla niej nie dość szybko. Seaine zawsze podziwiała siłę woli tamtej, niekiedy jednak zasadzała się ona wyłącznie na czystym uporze.

Słabe skrzypnięcie zawiasów stanowiło jedyne ostrzeżenie, Seaine jednak zdążyła zsunąć Różdżkę Przysiąg na podolek i schować w fałdach spódnicy, zanim drzwi otworzyły się szeroko. Razem z Pevarą jednomyślnie objęły Źródło.

Do wnętrza weszła spokojnie Saerin trzymająca lampę, po czym zaraz odsunęła się na bok, by przepuścić Talene, za którą wędrowała drobniutka Yukiri, niosąca drugą lampę, potem chłopięco szczupła Doesine, wysoka, jak na Cairhieniankę, która zamknęła drzwi dość zdecydowanym ruchem i oparła się o nie plecami, dając jasno do zrozumienia, że nikt stąd nie wyjdzie. Cztery Zasiadające, przedstawicielki wszystkich pozostałych Ajah w Wieży. Zdawały się nie zwracać uwagi na fakt, że Seaine i Pevarę wypełnia *saidar*. Seaine zniechęca odniosła wrażenie, że znajduje się w dość zatłoczonej izbie. Wszystko to wyobrażnia i irracjonalne myśli, a jednak...

– Dziwny widok stanowicie tu tak razem – powiedziała Saerin. Twarz miała pogodną, jednak dłonie błędziły wokół zakrzywionego noża przy pasku. Zajmowała swój fotel od czterdziestu lat, dłużej niżli którakolwiek w Komnacie, i przez ten czas wszystkie nauczyły się wystrzegać wybuchów jej temperamentu.

– To samo mogłybyśmy powiedzieć o was – sucho odparła Pevara. Jej nigdy jakoś nie onieśmielał temperament Saerin. – Czy może zeszyście tu na dół, by pomóc Doesine trochę się wyprostować? – Nagły rumieniec na twarzy Żółtej siostry sprawił, że mimo elegancji postawy jeszcze bardziej niż zwykle przypominała urodziwego młodzieńca, a Seaine domyśliła się zaraz, która z Zasiadających zabląkała się zbyt blisko kwater Czerwonych z tak nieszczęsnym wynikiem. – Ale nie sądzę, że taki właśnie motyw mógł was wszystkie sprowadzić na dół. Zielone rzucają się do gardeł Żółtym, Brązowe wadzą się z Szarymi. Czy może sprowadziłaś je tutaj na cichy pojedynek, Saerin?

Myśli Seaine jak oszalałe krążyły wokół pytania o powód, jaki mógł sprowadzić te cztery kobiety do samych trzewi litej skały, na której spoczywało Tar Valon. Cóż takiego mogło je łączyć? Ich Ajah – wszystkie ich Ajah – rzeczywiście znajdowały się w stanie cichej wojny. Wszystkim czterem Elaida zdążyła już wyznaczyć pokutę. Żadnej z Zasiadających nie cieszyła perspektywa Pracy, zwłaszcza wtedy, gdy wszyscy wiedzieli, dlaczego szorują posadzki lub garnki, jednak na tym nie sposób przecież zbudować żadnej więzi. Co jeszcze? Żadna nie urodziła się szlachcianką. Saerin i Yukiri były córkami karczmarzy, Talene pochodziła z farmerów, natomiast ojciec Doesine wyrabiał noże. Saerin najpierw pobierała nauki u Cór Milczenia, była zresztą jedyną wśród nich, której udało się zdobyć szal. Całkowicie bezużyteczne bzdury. Nagle uderzyła ją myśl, od której aż zaschło jej w gardle. Saerin pozwalająca się ponosić wybuchom gniewu, nad którym ledwie potrafiła panować. Doesine, która po trzykroć uciekała jako nowicjuszka, aczkolwiek tylko raz dotarła bodaj do mostu. Talene, która być może zarobiła sobie więcej kar niżli jakakolwiek inna nowicjuszka w historii Wieży. Oraz Yukiri, wśród Szarych zawsze ta ostatnia, która przyłączała się do zgody wypracowanej przez pozostałe siostry, zawsze ta ostatnia, która wspierała decyzję Komnaty, jeśli już o tym mowa. Wszystkie cztery uważano za buntowniczkę, w pewnym sensie rzecz jasna, i każda padła ofiarą poniżenia ze strony Elaidy. Czyżby doszły do wniosku, że popełniły błąd, popierając detronizację Siuan i wyniesienie Elaidy? Czyżby odkryły prawdę o Zerah i pozostałych? A jeśli tak, to co

zamierzały z tym począć?

Seaine przygotowała się w duchu do tkania splotów *saidara*, aczkolwiek bez większej nadziei, że uda jej się uciec. Pevara była równie silna jak Saerin i Yukiri, za to ona sama była słabsza od wszystkich prócz Doesine. Przygotowała się już, a wtedy Talene wystąpiła naprzód i cały gmach jej dedukcyjnego rozumowania legł w gruzach.

– Yukiri zauważyła, że wy dwie często wymykacie się razem, i chciałyśmy się dowiedzieć, dlaczego to robicie. – Jej zaskakująco głęboki głos przepelniony był żarem, całkowicie sprzecznym z lodowatym spokojem widocznym na twarzy. – Czy przywódczyni waszych Ajah wyznaczyły wam tajne zadanie? Publicznie przywódczyni Ajah krzywią się na siebie bardziej niż pozostałe, ale wychodzi na to, że równocześnie gromadzą się po kątach i rozmawiają. Komnata ma prawo wiedzieć, na czym polega intryga.

– Och, daj już spokój, Talene. – Głos Yukiri stanowił zawsze równie wielką niespodziankę jak głos Talene. Wyglądała jak miniaturka królowej, zwłaszcza w tych ciemnosrebrnych jedwabiach zdobionych koronką w kolorze kości słoniowej, a tymczasem przemawiała miłym i bezpretensjonalnym głosem wieśniaczki. Twierdziła, że stanowi to nieocenioną pomoc przy negocjacjach. Uśmiechnęła się do Seaine i Pevary niczym monarchini nie do końca pewna, ile okazać łaski. – Widziałam, że wy dwie wężycie niczym łasice w kurniku – ciągnęła dalej – ale słowa nie powiedziałam... wedle wszystkich znaków, możecie być przecież przyjaciółkami od poduszki, i co komu do tego?... Słowa nie powiedziałam, póki obecna tutaj Talene nie zaczęła skamleć o chowaniu się po kątach. Sama widziałam w życiu trochę chowania się po kątach, toteż podejrzewam, że takie kobiety równie dobrze mogą kierować swoimi Ajah, więc... Czasami sześć i sześć daje tuzin, a czasami tylko zamieszanie. A więc powiedzcie nam natychmiast, o ile umiecie coś powiedzieć. Komnata ma prawo znać prawdę.

– Nie odejdziemy stąd, póki się nie dowiemy – dodała Talene, jeszcze bardziej zapalczywie niż przedtem.

Pevara parsknęła i zaplotła ręce na piersiach.

– Nawet gdyby przywódczyni moich Ajah wymieniła ze mną choć dwa słowa, to i tak nie widzę powodu, dla którego miałabym was informować, jak niby te słowa brzmiały. Tak się jednak składa, że to, o czym z Seaine tutaj rozmawiamy, nie ma nic wspólnego z Czerwonymi czy Białymi. Idźcie węszyć gdzie indziej. – Ale nie wypuściła *saidara*. Podobnie zresztą jak Seaine.

– Cholernie niepotrzebna sprawa i, cholera, wiedziałam o tym od początku – mruknęła Doesine ze swego stanowiska obok drzwi. – Dlaczego pozwoliłam wam się namówić do tej przeklętej... Najlepiej, żeby, cholera jasna, nikt się o tym nie dowiedział, w przeciwnym razie stracimy twarz na oczach całej Wieży. – Czasami wyrażała się językiem właściwym raczej małym chłopcom, i to takim chłopcom, którym bardzo przydałoby się porządne szorowanie buzi.

Seaine wstała i spróbowała wyjść z pomieszczenia, gdyby się nie bała, że ugną się pod nią kolana. Pevara jednak podniosła się z ławki i, patrząc na kobietę stojącą między nią a drzwiami, wygięła brwi gestem znamionującym zniecierpliwienie.

Saerin musnęła palcami rękojeść noża i przyjrzała się im badawczo, nie ruszając się jednak ani na krok ze swego miejsca.

– Zagadka – wymruczała. Nagle skoczyła naprzód, wolną dłonią sięgając do podołka Seaine tak szybko, że tamta nawet nie zdążyła westchnąć. Wciąż próbowała chronić Różdżkę Przysięg, ale jedyny efekt był taki, że Saerin trzymała Różdżkę za jeden koniec na wysokości talii, ona zaś dzierżyła drugi przez garść fałd spódnic. – Uwielbiam zagadki – powiedziała Saerin.

Seaine zrezygnowała w końcu, potem wygładziła spódnice; nic więcej raczej nie mogła zrobić.

Na widok Róźdzki wszystkie zaczęły gadać jedna przez drugą.

– Krew i popioły – warknęła Doesine. – Schodzicie tutaj na dół, żeby wynosić do szala nowe siostry?

– Och, zostaw je w spokoju, Saerin – zaśmiała się Yukiri, wchodząc jej w słowo. – Czymkolwiek się zajmują, to jest ich prywatna sprawa.

Na to Talene warknęła, nie zwracając uwagi na ich słowa:

– W jakiej jeszcze sprawie mogą się tu zakradać... razem!... jeśli nie chodzi o misję zleconą przez przywódczynię Ajah?

Saerin machnęła dłonią i po chwili zapanowała cisza. Wszystkie obecne były Zasiadającymi, jednak ona miała prawo przemawiać pierwsza przed Komnatą, a czterdzieści lat w niej spędzonych też miało swoją wagę.

– Myślę, że to jest właśnie klucz do zagadki – powiedziała, wodząc kciukiem po Róźdzce. – Bo dlaczego właśnie ta, ze wszystkich rzeczy! – Nagle ją również otoczyła poświata *saidara* i przeniosła odrobinę Ducha do Róźdzki. – W imię Światłości, nie wypowiem żadnego innego słowa prócz prawdy. Nie jestem Sprzymierzeńcem Ciemności.

W ciszy, jaka zapanowała, nawet pisk myszy zdałby się głośny.

– Mam rację? – zapytała Saerin, wypuszczając Moc. Wycelowowała Róźdzkę w stronę Seaine.

Po raz trzeci Seaine złożyła przysięgę, że nie będzie kłamać, i po raz drugi powtórzyła, że nie jest Czarną Ajah. Pevara postąpiła tak samo, na jej twarzy zastygł wyraz lodowatej godności. A oczy jej łyskały niczym orłu.

– To jest zupełnie bez sensu – powiedziała Talene. – Nie istnieją żadne Czarne Ajah.

Yukiri wzięła Róźdzkę z rąk Pevary i przeniosła.

– W imię Światłości, nie wypowiem żadnego innego słowa prócz prawdy. Nie jestem Czarną Ajah. – Otaczające ją światło *saidara* zamigotało i zgasło. Podała Róźdzkę Doesine.

Talene zmarszczyła z niesmakiem czoło.

– Nie rób tego Doesine. Ja przynajmniej nie zniosę tego wstrętnego pomówienia.

– W imię Światłości, nie wypowiem żadnego innego słowa prócz prawdy – powiedziała Doesine takim tonem, jakby wygłaszała słowa modlitwy. Otaczająca ją poświata była niczym aureola. – Nie jestem Czarną Ajah. – Kiedy sprawy przybierały poważny obrót, potrafiła wyrażać się językiem całkowicie wolnym od przekleństw, takim, jakiego życzyłaby sobie Mistrzynie Nowicjuszek. Wyciągnęła Róźdzkę w stronę Talene.

Złotowłosa kobieta odskoczyła w tył, jakby zobaczyła jadowitego węża.

– To istna potwarz prosić o coś takiego. Gorzej niż potwarz! – W jej oczach zalśniły dzikie ogniki. Może było to całkowicie irracjonalne, ale tyle Seaine dojrzała. – A teraz zejście mi z drogi – zażądała Talene, wkładając w swój głos cały autorytet Zasiadającej. – Wychodzę!

– Nie sądzę – cicho powiedziała Pevara, a Yukiri powoli przytaknęła. Saerin nie gładziła już rękojęści noża. Ścisnęła ją zbielełymi kłykciami.

Jadąc przez głębokie śniegi Andoru, a właściwie brnąc przez nie, Toveine Gazal przeklinała dzień, w którym się urodziła. Niska i pulchna, o gładkiej skórze miedzianej barwy i długich, lśniących, ciemnych włosach, niejednemu na przestrzeni tych wszystkich lat wydawała się ładna, ale nikt nigdy nie nazwał jej piękną. A z pewnością niktak by jej nie określił teraz. Ciemne oczy, których spojrzenie kiedyś można było nazwać badawczym, teraz właściwie wwiercały się w to, na co patrzyła. I to tylko wtedy, gdy nie była zła. A dzisiaj była zła. Kiedy zaś Toveine się gniewała,



nawet węże zmykały.

Cztery pozostałe Czerwone jechały – brnęły – jej śladem, za nimi zaś podążała dwudziestka Gwardzistów Wieży w ciemnych kaftanach i płaszczach. Żadnemu z mężczyzn nie było w smak, że ich zbroje zapakowano na grzbiety jucznych koni, las po obu stronach drogi obserwowali tak, jakby w każdej chwili spodziewali się ataku. Jak sobie wyobrażali pokonanie trzystu mil po terytorium Andoru bez przyciągania niczyjej uwagi, w kaftanach i płaszczach z Płomieniem Tar Valon odznaczającym się jaskrawo, tego Toveine nie potrafiła sobie wyobrazić. Niemniej jednak znajdowali się już blisko kresu podróży. Za dzień, może dwa, drogą, na której śnieg zalegał po pęciny koni, spotkają się z dziewięcioma oddziałami takimi jak jej. Niestety, nie wszystkie uczestniczące w wyprawie siostry były Czerwone, ale to jej nie kłopotowało szczególnie. Toveine Gazal, ongiś Zasiadająca w imię Czerwonych, przejdzie do historii jako kobieta, która zniszczyła rzekomą Czarną Wieżę.

Pewna była, że Elaida spodziewa się po niej wdzięczności za daną szansę, za odwołanie z wygnania i uchylenie niełaski, szansę na odkupienie. Warknęła na samą myśl, a gdyby wilk przypadkiem zajrzał w głębokie rozcięcie kaptura jej płaszcza, mógłby zaskowycić z przestachu. To, co zostało uczynione dwadzieścia lat temu, było konieczne i niech Światłość spali wszystkie, które szeptały o ewentualnym udziale Czarnych Ajah. Było to konieczne i słuszne, jednak w efekcie Toveine Gazal została pozbawiona fotela w Komnacie i zmuszona, by pod różgami skamleć o litość, podczas gdy zgromadzone siostry obserwowały wszystko, a ponadto nawet nowicjuszkom i Przyjętym pozwolono się przekonać, że Zasiadające także są równe wobec prawa, chociaż nie powiedziano im, o jakie prawo chodzi. A potem została wysłana do pracy – na całe te dwadzieścia lat – na odosobnioną pośród Czarnych Wzgórz farmę pani Jary Doweel, kobiety, która odbywając pokutę Aes Sedai traktowała nie lepiej niż wszystkich pozostałych pracowników, którzy musieli harować, czy to słońce, czy śnieg. Toveine z łatwością czuła odciski na dłoniach, zwłaszcza wtedy, gdy zaciskały się na wodzach. Pani Doweel – nawet teraz nie potrafiła myśleć o tej kobiecie bez tytułu, jakiego tamta się domagała – pani Doweel wierzyła w ciężką pracę. I w dyscyplinę tak ścisłą, jaka była udziałem nowicjuszek! Nie miała litości dla nikogo, kto próbował unikać pracy ponad siły – sama siebie zresztą również nie oszczędzała – a już zupełnie nie miała jej dla kobiety, która wymknęła się na chwilę, by znaleźć pocieszenie w ramionach ładnego chłopca. Takie było życie Toveine przez ostatnie dwadzieścia lat. A Elaidy nie przyłapano, jakoś prześlizgnęła się przez oczka sieci, by w końcu wytańczyć sobie drogę do Tronu Amyrlin, o którym Toveine kiedyś śniła dla siebie. Nie, nie była wdzięczna. Ale nauczyła się czekać cierpliwie na szansę.

Znienacka z lasu na drogę wyskoczył konny mężczyzna w czarnym kaftanie, z rozwianymi długimi, ciemnymi włosami, zatrzymał się tuż przed nią, rozbryzgując tumany śniegu.

– Walka nie ma najmniejszego sensu – oznajmił zdecydowanie, unosząc dłoń w rękawicze. – Poddajcie się spokojnie, a nikomu nie stanie się krzywda.

Ale to nie jego pojawienie się, ani też słowa sprawiły, że Toveine ściągnęła wodze, pozwalając, by dogoniły ją pozostałe siostry.

– Brać go – oznajmiła spokojnie. – I lepiej się połączcie. Mnie oddzielił tarczą. – Wychodziło na to, że przybył do niej jeden z tych Asha'manów. Jak to uprzejmie z jego strony.

Nagle do niej dotarło, że nic się nie dzieje, i spuściła mężczyznę z oczu, by spojrzeć na Jenare. Kwadratowa twarz tamtej zdawała się zupełnie bezkrwista.

– Toveine – powiedziała niepewnie kobieta. – Ja również jestem odcięta.

– I ja też zostałam odgradzona tarczą – wyszeptała z niedowierzaniem Lemai, pozostałe także dołączyły do chóru coraz bardziej oszalałych głosów. Wszystkie odgradzono.

Spółród drzew po obu stronach drogi wyjechali kolejni mężczyźni w czarnych kaftanach, na wolno kroczących wierzchowcach. Przy piętnastym Toveine przestała rachować. Gwardziści mruzcili coś ze wściekłością, czekając na rozkaz sióstr. Jeszcze niczego nie rozumieli, widzieli tylko bandę zbójców atakujących ich z zasadzki. Zirytowana Toveine mlasnęła językiem. Ci mężczyźni, rzecz jasna, nie mogli być wszyscy zdolni do przenoszenia, najwyraźniej jednak każdy potrafiący radzić sobie z Mocą Asha'man akurat musiał na nią trafić. Nie poddała się jednak panice. W przeciwieństwie do towarzyszących jej sióstr nie byli to pierwsi potrafiący przenosić mężczyźni, jakich w życiu spotkała. Wysoki mężczyzna ruszył w jej stronę, uśmiechał się, najwyraźniej pewien, że posłuchały tego głupiego rozkazu.

– Na moje słowo – powiedziała cicho – rozpierzchniemy się na wszystkie strony. Kiedy już odjedziecie dostatecznie daleko, by ten człowiek wypuścił tarczę – mężczyznom zawsze się wydawało, że utrzymają swoje sploty, póki widzą ich cel, co w rezultacie oznaczało, że istotnie musieli go widzieć – zawróćcie i pomóżcie Gwardzistom. Przygotujcie się. – Jej głos przeszedł w krzyk. – Gwardziści, do boju!

Gwardziści z wyciem runęli naprzód, wymachując mieczami i bez wątpienia zamierzając otoczyć siostry chroniącym je kordonem. Toveine poprowadziła Kawkę, swoją klacz, na prawo, po czym wbiła ostrogi w jej boki i skuliła się nad jej karkiem, przemykając obok zaskoczonych Gwardzistów, a potem między dwoma bardzo młodymi mężczyznami w czarnych kaftanach, którzy obserwowali ją zdumieni. A chwilę później już była wśród drzew, starając się mknąć jeszcze szybciej, nie dbając o to, czy klacz nie złamie sobie nogi. Lubiła to zwierzę, ale dzisiaj nie tylko konie miały umierać. Za jej plecami rozlegały się krzyki. I jeden głos wybijający się ponad tę kakofonię. Głos wysokiego mężczyzny.

– Na rozkaz Smoka Odrodzonego, bierzcie je żywcem! Za każdą krzywdę uczynioną Aes Sedai odpowiadacie przede mną!

Na rozkaz Smoka Odrodzonego. Po raz pierwszy Toveine poczuła ukłucie strachu, lodowatego robaka pełzającego we wnętrzu jej brzucha. Smok Odrodzony. Wodzami wściekle biła kark Kawki. Tarcza wciąż ją odgradzała! Z pewnością dzieliło ją od tych przeklętych mężczyzn już dosyć drzew, żeby stracili ją z oczu! Och, Światłości, Smok Odrodzony!

Jęknęła, czując uderzenie w brzuch, jakby o gałąź, w miejscu, gdzie nie było żadnej gałęzi, po czym wyleciała z siodła. I zawisała w powietrzu, obserwując Kawkę, która umknęła spod niej, galopując tak szybko, jak jej na to pozwalał kopny śnieg. A ona wisiała. W powietrzu, z ramionami spętanymi u boków i nogami wierzgającymi stopę nad ziemią. Przełknęła ślinę. Z wysiłkiem. To, co trzymało ją w powietrzu, to musiała być męska część Mocy. Nigdy wcześniej nie zaznała dotknięcia saidina. Czowała, jak gruba macka nicości ścisła jej ciało. Miała wręcz wrażenie, że potrafi wyczuć skazę Czarnego. Zadrzała, tłumiąc krzyk.

Wysoki mężczyzna ściągnął wodze konia tuż przed nią, a wtedy coś przeniosło ją przez powietrze i zawiesiło przy siodle. Jednak jego najwyraźniej nieszczególnie interesowała Aes Sedai, którą schwytał.

– Hardlin! – zawołał. – Norley! Kajima! Niech no tu który podjedzie, młode błazny!

Był bardzo wysoki, z ramionami szerokimi na długość trzonu topora. Tak przynajmniej rzecz by ujęła pani Doweel. Wkraczał w wiek średni i był przystojny w posępny, nieokrzesany sposób. W niczym nie przypominał ładnych chłopców, za którymi przepadała Toveine, chętnych, wdzięcznych i jakże łatwych do kontrolowania. Srebrny miecz zdobił jeden róg wysokiego kołnierza czarnego wełnianego kaftana, na drugim widniał osobliwy stwór ze złotej i czerwonej emalii. Był mężczyzną, który potrafił przenosić. I oddzielił ją tarczą od Źródła, a potem jeszcze wziął do niewoli.

Krzyk, który wyrwał jej się z gardła, zaskoczył nawet ją samą. Gdyby była w stanie, stłumiłaby go, ale już drugi wyrwał się z ust, jeszcze bardziej przeraźliwy, a potem kolejny i jeszcze jeden, i jeszcze. Dziko wierzgając nogami, szarpała się na lewo i prawo. Bezsensowna strategia przeciw Mocy. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę, ale tylko jakąś cząstką świadomości. Reszta była co sił w płucach, wykrzykując błagania o ocalenie przed Cieniem. Krzyczała i walczyła niczym oszalała bestia.

Ledwie zdała sobie sprawę, że jego koń tańczy i podskakuje, kiedy jej obcasy biły w jego bark. Z trudem dosłyszała, że mężczyzna mówi:

– Spokojnie, kluskouchy worku ziemniaków! Uspokój się, siostrze. Nie zamierzam... Spokojnie, ty łogawy mule! Światłości! Proszę o wybaczenie, siostrze, ale w taki sposób nauczyliśmy się to robić. – A potem ją pocałował.

Miała ledwie mgnienie oka, by zrozumieć, że jego usta dotykają jej warg, a potem zrobiło jej się ciemno przed oczami i poczuła wzbierający w niej przypływ ciepłej krwi. Więcej niż ciepłej. W środku czuła się niczym płynny miód, gotujący się miód, chętny w każdej chwili wykipieć. Była niczym struna harfy, wibrująca coraz szybciej, wibrująca tak szybko, że nie było jej widać, i jeszcze szybciej. Była niczym delikatny kryształowy wazon, drżący na krawędzi pęknięcia. Struna pękła, wazon roztrzaskał się.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaach!

Z początku nie rozumiała, że ten dźwięk wydobył się z jej własnych ust. Przez chwilę nie potrafiła zebrać myśli. Dysząc ciężko, spojrzała w twarz mężczyzny, zastanawiając się, do kogo należy. Tak. Wysoki mężczyzna. Ten, który potrafił...

– Mógłbym sobie poradzić bez tych dodatkowych efektów – westchnął, klepiąc kark konia; zwierzę parsknęło, ale już było spokojne. – Jednak przypuszczam, że to było konieczne. Choć nie bardzo nadajesz się na żonę. Bądź spokojna. Nie próbuj uciekać, nie atakuj nikogo w czarnym kaftanie i nie dotykaj Źródła, chyba że otrzymasz pozwolenie. Teraz powiedz mi, jak masz na imię?

Dopóki nie otrzyma pozwolenia? Cóż za arogancja!

– Toveine Gazal – powiedziała i zamrugła. A dlaczego właściwie mu odpowiedziała?

– Tutaj jesteś – powiedział kolejny mężczyzna w czarnym kaftanie, który właśnie przedarł się do nich przez śnieg. Ten byłby znacznie bardziej w jej typie... gdyby nie potrafił przenosić. Wątpiła jednak, by ten chłopiec o różowych policzkach golił się częściej niż dwa razy na tydzień. – Logain! Na Światłość! – wykrzyknął śliczny chłopiec. – Wzięłaś sobie drugą? M’Haelowi to się nie spodoba! Jemu się nie spodoba nawet to, że w ogóle jakiegokolwiek bierzemy! Zresztą to bez znaczenia, skoro wy dwoje jesteście ze sobą tak blisko i te rzeczy.

– Blisko, Vinchova? – odparł niemiłym głosem Logain. – Gdyby wszystko się działo po myśli M’Haela, to pielilibym teraz rzepę razem z nowymi chłopcami. Albo leżałbym pogrzebany pod polem – mruknął pod nosem, sądząc, że nikt nie słyszy.

Niezależnie od tego, ile do niego dotarło z tej przemowy, śliczny chłopiec zaśmiał się z wyraźnym niedowierzaniem. Toveine jednak ledwie go słyszała. Patrzyła na górującą nad nią sylwetkę mężczyzny. Logain. Fałszywy Smok. Przecież on nie żył! Został poskromiony i stracony! A teraz trzymał ją w swoim siodle niedbałą dłonią. Dlaczego więc nie darła się w niebogłose i nie próbowała go zaatakować? Z tak bliska wystarczyłby zwykły nóż, który nosiła za pasem. A jednak, z jakiegoś powodu wcale nie miała ochoty dotykać rękojeści z kości słoniowej. Mogłaby, zdała sobie sprawę. Krępująca ją macka zniknęła. Mogłaby przynajmniej zeskoczyć z jego konia i spróbować... Na to też nie miała najmniejszej ochoty.

– Coś ty mi zrobił? – zapytała. Spokojnie. Przynajmniej na tyle było ją stać.

Zawróciwszy konia z powrotem ku drodze, Logain wyjaśnił, co jej zrobił, ona zaś wsparła głowę o jego szeroką pierś i zapłakała. I przysięgła sobie w głębi serca, że zmusi Elaidę, by za to zapłaciła. O ile Logain kiedykolwiek jej pozwoli. Ta ostatnia myśl zdała się szczególnie gorzka i brzemienna w skutki.

# ROZDZIAŁ 27

## TARG

Min siedziała z założonymi nogami w ciężkim od pozłoty fotelu z wysokim oparciem i próbowała zagłębić się w lekturę dzieła Herida Fela Rozum i nierozum, którego oprawiony w skórę egzemplarz spoczywał na jej kolanach. Nie było to łatwe. Och, sama książka wywierała niemalże hipnotyczne wrażenie; pisma pana Fela zawsze porwały ją w światy myśli, których istnienia ongiś, pracując w stajni, nawet sobie nie wyobrażała. Do dzisiaj nie mogła się pogodzić ze śmiercią miłego staruszka. W jego książkach miała nadzieję odnaleźć wskazówki co do przyczyn, które doprowadziły do tragedii. Ciemne loki zafalowały, gdy potrząsnęła głową, próbując skupić się na lekturze.

Książka była fascynująca, jednak atmosfery w komnacie nie sposób było określić inaczej jak słowem deprymująca. Niewielka sala tronowa Smoka Odrodzonego w Pałacu Słońca aż ociekała złotem, począwszy od szerokich gzymsów, poprzez wysokie, wiszące lustra, jakimi natychmiast zastąpiono te, które Rand potłukł, dwa rzędy foteli identycznych z tym, na którym sama teraz zasiadała, a skończywszy na wieńczącym je podwyższeniu stanowiącym podstawę Tronu Słońca. Sam tron stanowił przykład największej potworności – stylizowany na modłę obowiązującą w Łzie, jak sobie ją wyobrażali cairhieniańscy rzemieślnicy, siedzisko miał wsparte na dwu Smokach, dwa kolejne służyły za poręcze, jeszcze inne wspinały się na oparcie, pozierając oczyma z wielkich kamieni słonecznych; całość wręcz kłuła oczy pozłotą i czerwoną emalią. Masywna złota tarcza Wschodzącego Słońca z falistymi promieniami osadzona w wypolerowanych płytkach posadzki pogłębiała tylko przytłaczające wrażenie. Przynajmniej w dwu wielkich kominkach tańczyły płomienie, na tyle wysokie, że mogłaby cała się w nich upiec, i one dawały komnacie ciepło, które w zestawieniu z sypiącym za oknami śniegiem tworzyło atmosferę przytulności. Poza tym były to pokoje Randa, sama myśl o tym wystarczała, by nieco rozproszyc ogarniające ją przygnębienie. Jednak uświadomiwszy to sobie, zaraz poczuła kolejny napływ irytacji. Będą to pokoje Randa, jeśli kiedykolwiek zechce do nich wrócić. Bardzo irytująca myśl. Miłość do mężczyzny polegała chyba głównie na nieustannej konieczności przyznawania się przed sobą do rozmaitych irytujących myśli!

Zmieniła pozycję, w próżnym wysiłku usadowienia się wygodniej, znowu powróciła do lektury, jednak wzrok jej wciąż uciekał w stronę wysokich drzwi, również obficie wysadzanych glistami Wschodzących Słońc w pozłocie. Cały czas miała nadzieję, że Rand za chwilę przez nie przejdzie, a równocześnie bała się, że zaraz zobaczy Sorileę lub Cadsuane. Odruchowo wygładziła poły błękitnego kaftana, muskając palcami drobne płatki śniegu wyhaftowane na klapach. Kolejne plecionką zdobiły rękawy i nogawki spodni tak obcisłych, że ledwie dała radę wbić w nie łydki. Ubiór nie różnił się bardzo od strojów, które przez całe życie nosiła. Naprawdę. Jak dotąd, chociaż do woli folgowala sobie w zdobnych haftach, udawało jej się uniknąć konieczności nałożenia sukienki, aczkolwiek obawiała się, że Sorilea w końcu postawi na swoim, nawet gdyby Mądre musiały własnymi rękami zdzierać z niej ulubione ubrania.

Ta kobieta wiedziała o niej i Randzie. Wiedziała wszystko. Min poczuła, jak płoną jej policzki. Sorilea najwyraźniej cały czas zastanawiała się, czy Min Farshaw jest odpowiednią... kochanką... dla Randa al'Thora. Wraz z tym słowem opanowała ją jakaś głupawa frywolność; skarciła się w myślach, nie była przecież żadną pustogłową dziewczoną! A równocześnie wywołało ono w niej poczucie winy i chęć obejrzenia się przez ramię, czy przypadkiem nie ma tu którejś z ciotek, które ją wychowywały. „Nie – pomyślała ze złością – nie masz pusto w głowie. Pustka w porównaniu z tobą może się poszczycić całkiem niezłym rozumem”.

Może zresztą Sorilea chciała się upewnić, czy to Rand jest odpowiedni dla Min, niekiedy tak właśnie cała rzecz wyglądała. Mądre zaakceptowały Min jako jedną z nich, a przynajmniej prawie, niemniej w ciągu ostatnich kilku tygodni Sorilea traktowała ją jak pranie, które należy przepuścić przez wyżymaczkę. Siwowłosa Mądra o pomarszczonej twarzy chciała wiedzieć o niej, jak również o Randzie, wszystko. Chciała nawet dostać proch z dna jego kieszeni! Po dwakroć Min próbowała uniknąć nie końącego się przesłuchania, a Sorilea dwukrotnie wyciągnęła różgę! Ta potworna starucha zwyczajnie przełożyła ją przez blat najbliższego stołu, a kiedy wszystko się skończyło, powiedziała, że być może ten sposób przyczyni się do poprawy jej pamięci. Przy czym żadna z pozostałych Mądrych nie okazała jej nawet śladu współczucia! Światłości, ileż trzeba znosić dla mężczyzny! A na dodatek i tak nie będzie go mogła mieć tylko dla siebie!

Z Cadsuane natomiast było zupełnie inaczej. Pełna niezmiernego dostojeństwa Aes Sedai o włosach tak srebrnych, jak Sorilei były białe, z pozoru nawet na jotę nie dbała o Randa czy Min, a jednak większość czasu spędzała w Pałacu Słońca. Całkowite unikanie spotkania z nią było niemożliwe, najwyraźniej swobodnie spacerowała tam, gdzie tylko zapragnęła. A kiedy Cadsuane spoglądała na Min, choćby tylko przelotnie, ta nie mogła nic poradzić, że zaraz stawała jej przed oczyma kobieta, na której rozkaz byki będą tańczyć i niedźwiedzie śpiewać. Cały czas spodziewała się, że Cadsuane wskaże na nią palcem i oznajmi, że nadszedł czas, by Min Farshaw nauczyła się zonglować piłeczką na nosie. Wcześniej czy później Rand będzie musiał znowu stawić czoło Cadsuane, a na samą tę myśl Min czuła, jak żołądek skręca się jej w ciasny supeł.

Znowu pochyliła się nad książką. A wtedy jedno skrzydło drzwi otworzyło się gwałtownie i do środka wkroczył Rand piastujący Berło Smoka w zagięciu łokcia. Na głowie miał złotą koronę w kształcie szerokiego splotu wawrzynu – to musiała być ta Korona Mieczy, o której wszyscy tyle mówili – nogi nadzwyczaj korzystnie prezentowały się w obcisłych spodniach, haftowany złotem kaftan z zielonego jedwabiu uderzał w oczy pięknym krojem. Cały był piękny.

Założyła miejsce w książce listem, w którym pan Fel określał Min jako „śliczną”, pieczołowicie zamknęła tom i ostrożnie odłożyła na posadzkę obok fotela. Potem zaplotła ramiona na piersiach i czekała. Gdyby stała, pewnie zaczęłaby rytmicznie przytupywać stopą, ale nie pozwolił przecież, by ten mężczyzna pomyślał, że wystarcza sam jego widok, by poderwała się na równe nogi.

Na chwilę zatrzymał się i przyglądał jej z uśmiechem, z jakiegoś powodu szczypiąc płatek ucha – chyba nawet nucił pod nosem! – potem raptownie odwrócił się i spojrzał na drzwi.

– Panny, które strzegą komnaty, nie powiedziały mi, że czekasz. Zresztą, prawie nic nie chciały powiedzieć. Światłości, sprawiały takie wrażenie, jakby na mój widok chciały natychmiast zasłonić twarze.

– Może je zdenerwowałeś – oznajmiła spokojnie. – Może martwiły się, co się z tobą stało. Tak jak ja. Może zastanawiały się, czy nie leżysz gdzieś ranny, chory albo zmarznięty. – „Tak jak ja” – pomyślała z goryczą. Niemniej Rand chyba naprawdę się zmieszał!

– Napisałem do ciebie – powiedział powoli, ale ona tylko parsknęła.

– Dwa razy! Mając Asha’manów, którzy dostarczyliby każdy twój list, napisałeś tylko dwa razy, Randzie al’Thorze. Jeśli można to w ogóle określić mianem listów!

Zachwiał się, jakby mu wymierzyła policzek – nie, jakby go kopnęła w brzuch! – i zamrugał. Wzięła się w garść i na powrót spróbowała rozmościć w fotelu. Okaż mężczyźnie współczucie w niewłaściwym momencie i nigdy nie odzyskasz straconego terenu. Jakaś jej część chciała podbiec i zarzucić mu ramiona na szyję, pocieszyć go, ukoić wszelki ból, położyć balsam na wszystkie rany. Tak wiele ich miał, a nie chciał się przyznać do żadnej. Jednak nie miała najmniejszego zamiaru podrywać się z fotela, biec ku niemu, paplać, zadając pytania, co jest nie tak... Światłości, przecież z

nim musi być wszystko w porządku.

Coś delikatnie ujęło ją pod łokcie i uniosło z fotela. Wierzgając niebieskimi bucikami, frunęła w powietrzu ku niemu. Berło Smoka poleciało na bok. A więc jemu się wydaje, że to jest śmieszne, tak? Myśli sobie, że miłym uśmiechem wszystko załatwi? Otworzyła już usta, chcąc mu powiedzieć, co naprawdę o nim myśli. Zrugać go porządnie! A wtedy wziął ją w ramiona i pocałował.

Kiedy była już w stanie oddychać, spojrzała na niego spod zasłony rzęs.

– Za pierwszym razem... – Przełknęła ślinę, ponieważ głos jej się załamał. – Za pierwszym razem Jahar Narishma wkradł się tutaj, swoim zwyczajem spoglądając na wszystkich, jakby chciał ich przeświecić wzrokiem, podał mi strzęp pergaminu i natychmiast zniknął. Niech sobie przypomnę. Napisane na nim było: „Zgłosiłem swoje roszczenia do korony Illian. Nie ufaj nikomu, póki nie wrócę. Rand”. Trochę zbyt mało, jak na list miłosny, można by rzec.

Znowu ją pocałował.

Tym razem jeszcze dłużej odzyskiwała oddech. Wszystko toczyło się zupełnie inaczej, niż sobie zaplanowała. Z drugiej jednak strony wcale nie było aż tak nieprzyjemnie.

– Za drugim razem Jonan Adley dostarczył skrawek papieru, na którym było napisane: „Wrócę, jak tylko tutaj skończę. Nie ufaj nikomu. Rand”. Adley wszedł, kiedy byłam w kąpieli – dodała – i nawet nie udawał, że odwraca wzrok. – Rand zawsze próbował udawać, że nie jest zazdrosny... jakby istniał na świecie mężczyzna wolny od tego uczucia... jednak doskonale zdawała sobie sprawę, jak chmurnie popatruje na mężczyzn, którzy jej się przyglądali. A potem jego, i tak przecież płomienne, zapały stawały się jeszcze gorętsze. Zastanawiała się wcześniej, jak też będzie wyglądał ten pierwszy pocałunek. Może powinna zaproponować, by przeszli do sypialni? Nie, przecież nie będzie tak bezpośrednia...

Rand postawił ją na posadzce, jego twarz nagle sposepniała.

– Adley nie żyje – powiedział. Korona nagle sfrunęła z jego głowy i wirując wokół własnej osi, przemknęła przez komnatę, jakby ciśnięta w gniewie. W chwili, gdy już pomyślała, że zaraz uderzy w oparcie Tronu Smoka, może nawet przebije je na wylot, szeroka złota obręcz zatrzymała się nagle i opadła powoli na siedzisko tronu.

Min spojrzała na niego i wreszcie odzyskała oddech. Nad lewym uchem lśniła ciemną czerwień krew zlepiająca włosy. Wyciągnęła z rękawa koronkową chusteczkę i wykonała gest ku jego skroni, ale schwycił ją za rękę.

– Ja go zabiłem – powiedział cicho.

Zadrżała, słysząc ton, jakim to powiedział. Pełen takiego spokoju, jaki kojarzy się z grobem. Może jednak z tą sypialnią to najlepszy pomysł. Mniejsza już o czelność, jakiej wymagał. Zmusiła się do uśmiechu – i zarumieniła, kiedy zrozumiała, jak łatwo pojawił się na jej wargach, gdy tylko pomyślała o wielkim łożu – a potem schwyciła przód jego koszuli, gotowa od razu zedrzeć z niego i koszulę, i kaftan.

Ktoś zapukał do drzwi.

Ręce Min jakby same puściły koszulę Randa. Odskoczyła. Któż to może być, zastanawiała się z irytacją. Panny albo anonsowały gości, kiedy Rand był w środku, albo wpuszczały ich bez żadnych ceregieli.

– Wejść – powiedział głośno, obdarzając ją przepraszającym uśmiechem. A ona znowu spłonęła rumieńcem.

W szczelinie drzwi ukazała się najpierw głowa, potem reszta postaci Dobraine; kiedy zobaczył ich stojących razem, szybko zatrzasnął skrzydło. Cairhieniański lord był mężczyzną drobnym, niewiele tylko wyższym pod samej Min, czoło miał wysoko wygolone, reszta długich, w większości

mocno przyprószonej siwizną włosów spływała mu na ramiona. Przęd czarnego prawie, sięgającego bioder kaftana zdobiły białe i błękitne pasy. Jeszcze zanim Rand uczynił zeń swego faworyta, cieszył się szeroką władzą w tym kraju. Teraz, właściwie rzecz ujmując, nim rządził, chyba że Elayne zgłosi pretensje do Tronu Słońca.

– Mój Lordzie Smoku – wymruczał, kłaniając się. – Moja lady ta’veren.

– Taki żart – wymamrotała Min, kiedy Rand spojrział na nią spod uniesionych brwi.

– Może – odparł Dobraine, lekko wzruszając ramionami – wszelako połowa szlachcianek w mieście nosi teraz jaskrawe barwy, naśladując lady Min. Spodnie, które zdradzają kształt nóg, kaftany, które nawet nie zakrywają ich... – Kaszlnął dyskretnie zdając sobie sprawę, że również kaftan Min nie maskuje stosownie linii jej bioder.

Przez moment zastanawiała się nawet, czy nie poinformować go, że sam też ma bardzo zgrabne łydki, szkoda tylko, że pokryte taką liczbą żyłaków, potem jednak zrezygnowała z tej złośliwości. Zazdrość Randa mogła być, kiedy byli sam na sam, jednak nie chciała, by skierował jej zar przeciw Dobraine. A obawiała się, że jak najbardziej byłby do tego zdolny. Poza tym zdawała sobie sprawę, że naprawdę było to przejęzyczenie – lord Dobraine Taborwin nie był człowiekiem zdolnym do bodaj aluzyjnie nieprzyzwoitych żartów.

– A więc ty też zmieniasz świat, Min. – Rand wyszczerzył zęby i palcem dotknął czubka jej nosa. Pogłaskał ją po nosie! Jakby była dzieckiem, które go czymś rozbawiło! Co gorsza, zdawała sobie sprawę, że sama też się do niego przymila, jak jakaś głupia. – I to, jak się wydaje, w przeciwieństwie do mnie, na lepsze – dokończył i ten przelotny, chłopięcy uśmiech rozwiął się niczym dym.

– Czy w Łzie i Illian wszystko w porządku, mój Lordzie Smoku? – dociekał Dobraine.

– W Łzie i Illian wszystko jest w jak najlepszym porządku – odparł ponurym głosem Rand. – Co masz dla mnie, Dobraine? Siadaj, człowieku. Siadaj. – Gestem zaprosił tamtego w kierunku stojących foteli, sam natychmiast zajmując jeden.

– Postępowałem w myśl wszystkich wskazówek zawartych w twoich kolejnych listach – powiedział Dobraine, siadając naprzeciw Randa – ale obawiam się, że niewiele mam dobrych wieści.

– Podam coś do picia – oznajmiła Min nerwowym głosem. Listy? Niełatwo chodzić na palcach w butach na wysokich obcasach... mimo że się do nich przyzwyczaiła, czasami jednak traciła równowagę... doprawdy jest to niełatwe, wszelako dla dostatecznie mocnej złości nie ma żadnych przeszkód. Podeszła więc na palcach do małego połączanego stoliczka pod jednym z wielkich zwierciadeł, na którym stał srebrny dzban i puchary. Zajęła się nalewaniem wina przyprawionego korzeniami, zupełnie nie zwracając uwagi, że je przecież rozlewa. Służący zawsze dbali o to, by pucharów było więcej, na wypadek gdyby miała gości, chociaż prócz Sorilei i gromadki głupich szlachcianek nieczęsto ktokolwiek ją odwiedzał. Wino było ledwie ciepłe, jednak ci dwaj nie zasłużyli sobie na nic lepszego. Otrzymała dwa listy, a gotowa była się założyć, że Dobraine miał w swoim biurku przynajmniej dziesięć! Dwadzieścia! Hałasując dzbanem i pucharami, równocześnie czujnie nadstawiała ucha. Cóż oni knuli za jej plecami, że wymagało to wymiany dziesiątków listów?

– Toram Riatin chyba zniknął na dobre – powiedział Dobraine – aczkolwiek, jeśli wierzyć pogłoskom, wciąż żyje, co oczywiście nie jest kompletne. Według plotek Daved Hanlon oraz Jeraal Mordeth... Padan Fain, jak go nazywasz... opuścili go. Tak na marginesie, przydzieliłem siostrze Torama, lady Ailil, luksusowe apartamenty, ze służbą, która... cieszy się zaufaniem. – Z tonu jego głosu wynikało jasno, że cieszy się jego zaufaniem. Ta kobieta nie będzie w stanie zmienić sukienki, żeby on o tym nie wiedział. – Rozumiem, dlaczego sprowadzono ją tutaj, podobnie jak lorda Bertome



i pozostałych, jednak co tu robią Wysoki Lord Weiramon albo Wysoka Lady Anaiyella? Oczywiście, rozumie się samo przez się, że ich służba również jest godna zaufania.

– Jak poznać, że jakaś kobieta chce cię zabić? – zamyślił się na głos Rand.

– Kiedy wie, jak masz na imię? – Ton głosu Dobraine bynajmniej nie sugerował, że żartuje. Rand w namyśle przekrzywił głowę, a potem przytaknął. Przytaknął! Miała nadzieję, że przynajmniej już nie słyszy żadnych głosów.

Rand wykonał taki gest, jakby odpędzał od siebie kobietę, która chce go zabić. Kiepska sprawa, skoro żadnej prócz niej nie było w pobliżu. Nie chciała go zabić, rzecz jasna, ale nie miałyby nic przeciwko nasłaniu nań Sorilei z jej różgą! Spodnie nie dawały szczególnie dobrej ochrony przed takim zabiegiem.

– Weiramon jest głupcem, który popełnia zbyt wiele błędów – poinformował Rand Dobraine, ten zaś skinął krótko głową. – Ja także mylnie sądziłem, iż uda mi się go wykorzystać. W każdym razie wydawał się dostatecznie uszczęśliwiony, mogąc przebywać w otoczeniu Smoka Odrodzonego. Co jeszcze? – Min podała mu puchar, on zaś uśmiechnął się do niej, mimo że część zawartości wylała się na jego nadgarstek. Może uznał to za przypadek.

– Niewiele więcej, a równocześnie za dużo – zaczął Dobraine, po czym uchylił się gwałtownie, by nie dać oblać się winem, gdy Min podała mu drugi puchar. Krótka kariera służebnej dziewczki z tawerny niewiele ją nauczyła. – Wielkie dzięki, lady Min – mruknął elegancko, ale spoglądał na nią z ukosa, gdy brał puchar. Spokojnie odeszła na bok, po własny puchar.

– Obawiam się, że lady Caraline i Wysoki Lord Darlin przebywają na terenie miasta, w pałacu lady Arilyn – ciągnął dalej cairhieniański szlachcic – korzystając z ochrony Cadsuane Sedai. Być może „ochrona” nie stanowi w tym przypadku najlepiej dobranej słowa. Kiedy chciałem się z nimi zobaczyć, odmówiono mi pozwolenia na wejście, ale słyszałem, że podjęli próbę opuszczenia miasta i zostali na siłę przywiezieni z powrotem. W workach, jak utrzymuje jedna z relacji. Ponieważ miałem przyjemność spotkania Cadsuane, łatwo potrafię w to uwierzyć.

– Cadsuane – mruknął Rand, a Min poczuła, jak przeszywa ją dreszcz. W jego głosie nie słychać było obawy, niemniej dźwięczało w nim coś zblizzonego, może niepokój. – Jak sądzisz, co powinienem zrobić z Caraline i Darlinem, Min?

Min spoczęła wcześniej w fotelu odległym od niego o dwa miejsca, a teraz podskoczyła, zrozumiałwszy, że została włączona do rozmowy. Ze smutkiem wbiła wzrok w plamy od wina na swojej najlepszej kremowej bluzce; na spodniach również były.

– Caralaine poprze roszczenia Elayne do Tronu Słońca – powiedziała ponuro. Jak na grzane wino, wydawało się bardzo zimne, poza tym wątpiła, by plama kiedykolwiek miała zniknąć z bluzki. – Nie wynika to z wizji, po prostu jej wierzę. – Nawet nie zerknęła w stronę Dobraine, on jednak skinieniem głowy potwierdził trafność rady. Obecnie wszyscy już wiedzieli o jej widzeniach. Jedyną bezpośrednią konsekwencją było grono szlachcianek, które koniecznie chciały poznać przyszłość, a potem słusznie się dąsały, kiedy je informowała, że nic im nie powie. Większość nie byłaby zadowolona z tych strzępów, jakie zdołała dostrzec, nic szczególnie złowieszczonego, ale też żadne oszałamiające cuda, którymi karmili swoich klientów wróżbiarze na jarmarkach. – Jeśli zaś chodzi o Darlina, to pomijając już kwestię, że poślubi Caraline, po tym jak ona przepuści go przez wyżymaczkę i powiesi na słońcu, aby wysechł, to mogę powiedzieć tyle, iż pewnego dnia będzie królem. Widziałam koronę nad jego głową, miała na przedzie miecz, nie mam jednak pojęcia, jakiego kraju władzę symbolizuje. Aha, jeszcze jedno. Umrze w łóżku, a ona go przeżyje.

Dobraine zakrztusił się winem, rozbryzgując wokół siebie krople, potem osuszył usta zwykłą lnianą chusteczką. Większość z tych, którzy wiedzieli, nie wierzyła. Bez reszty zadowolona z siebie

Min dopiła resztkę wina. I po chwili już sama krztusiła się i desperacko łapała oddech, wyszarpując z rękawa chusteczkę, by wytrzeć usta. Światłości, musiała nalać sobie samych szumowin z dna!

Rand tylko pokiwał głową, zaglądając do swego naczynia.

– A więc oboje będą żyli, żeby sprawiać mi kłopoty – mruknął. Bardzo cicho, ale słowa brzmiały twardo niczym stukot toczących się kamieni. W ogóle był twardy jak stalowa klinga, ten jej pasterz. – A co mam zrobić z...

Nagle, nie wstając, odwrócił się ku drzwiom. Jedno skrzydło uchyliło się. Miał bardzo dobry słuch. Min nic nie usłyszała.

Poczuła, jak opuszcza ją napięcie, kiedy zobaczyła, że żadna z dwóch wchodzących Aes Sedai nie jest Cadsuane, spokojnie więc odjęła chusteczkę od ust. Kiedy Rafela zamykała drzwi, Me-rana skłoniła się głęboko przed Randem, aczkolwiek Szara siostra zdążyła najpierw objąć wzrokiem i najwyraźniej zdyskwalifikować Min oraz Dobraine; po chwili zaś również obdarzona twarzą niczym księżyc w pełni Rafela szeroko rozpościerała swe ciemnoniebieskie suknie. Żadna nie podniosła się, póki Rand im nie pozwolił, po czym majestatycznie ruszyły w jego stronę, odziane w chłodne opowanie niczym w suknie. Tyle że palce pulchnej Błękitnej siostry na chwilę zacisnęły się na szalu, jakby musiała sobie przypominać, że wciąż ma go na sobie. Min już wcześniej widziała ten gest u innych sióstr, które przysięgły Randowi lojalność. Z pewnością nie było to dla nich łatwe. Aes Sedai słuchały jedynie poleceń z Białej Wieży, jednak teraz Rand wykonał tylko nieznaczny gest palcem, a natychmiast do niego podeszły. Gdyby go wyprostował, wyszłyby bez słowa. Aes Sedai rozmawiały z królami i królowymi jak z równymi sobie, być może nawet z odrobiną wyższości, a jednak Mądre widziały w nich uczennice i oczekiwały po nich dwakroć bardziej skwapliwego posłuszeństwa, niżli Randowi przysłoby do głowy wymagać.

Oczywiście nic z domniemywanych przez Min uczuć nie odbiło się na gładkiej twarzy Merany.

– Mój Lordzie Smoku – powiedziała z szacunkiem. – Właśnie dowiedziałyśmy się o twoim powrocie i uznałyśmy, że być może chcesz poznać rezultaty negocjacji z Atha'an Miere. – Zerknęła obojętnym wzrokiem na Dobraine'a, ten jednak natychmiast się poderwał. Dla Cairhienian było rzeczą oczywistą, że ludzie chcą ze sobą rozmawiać na osobności.

– Dobraine może zostać – grzecznie oznajmił Rand. A może zawahał się lekko? On sam nie wstał. Jego oczy były niczym błękitny lód, wreszcie wyglądał jak Smok Odrodzony w pełni swego majestatu. Min zapewniała go, że te kobiety naprawdę są jego, że może liczyć na lojalność wszystkich pięciu, które towarzyszyły mu na pokładzie statku Ludu Morza, że całkowicie respektują złożoną przysięgę, a tym samym zawsze nagną się do jego woli, jednak najwyraźniej on sam miał trudności z bezwarunkowym zaufaniem Aes Sedai. Rozumiała oczywiście powody, jednak w końcu przecież będzie musiał jakoś ułożyć z nimi stosunki.

– Jak sobie życzysz – odparła Merana, lekko skłaniając głowę. – Rafela i ja zawarłyśmy umowę z Ludem Morza. Dobiłyśmy Targu, jak oni to nazywają. – Różnica była wyraźnie słyszalna. Z dłońmi wciąż spoczywającymi na zielonej sukni z szarymi wstawkami wciągnęła głęboki oddech. – Harine din Togara Dwa Wiatry, Mistrzynie Fal klanu Shodein, przemawiając w imieniu Nesty din Reas Dwa Księżyce, Pani Statków Atha'an Miere, a tym samym wyrażając się wiążąco dla wszystkich Atha'an Miere, obiecała, że okręty, których zażąda Smok Odrodzony, popłyną wszędzie tam, gdzie i kiedy on uzna za stosowne, realizując cele, jakie im zleci. – Kiedy Mądrych nie było w pobliżu, które jej normalnie na to nie pozwalały, Merana stawała się odrobinę pompatyczna.

– W zamian Rafela i ja, przemawiając w twoim imieniu, obiecałyśmy, że Smok Odrodzony nie zmieni żadnych praw Atha'an Miere, jak to uczyniłeś u... – Na moment się zawahała. – Wybacz mi. Zobowiązana jestem do przekazania treści ugody słowami, w których została zawarta. Terminem,

którego użyły było: „przykutych do brzegu”, ale miały na myśli to, co się stało w Łzie i Cairhien. – W jej oczach na chwilę zamigotał pytający wyraz, ale natychmiast zniknął. Być może zastanawiała się, czy z Illian postąpił tak samo. Ostatecznie wyraziła już kiedyś na głos, jak bardzo jej ulżyło, że w jej rodzimym Andorze nic nie zmienił.

– Przypuszczam, że to się da jakoś wytrzymać – mruknął.

– Po wtóre – podjęła Rafela, splatając pulchne dłonie na podołku – musisz ofiarować Atha’an Miere ziemię, kwadrat o boku jednej mili, w każdym mieście położonym nad żeglownymi wodami, które pozostaje pod twoim panowaniem teraz albo w przyszłości znajdzie się na obszarze poddanym twojej władzy. – Przemawiała w sposób odrobinę mniej pompatyczny niż jej towarzyszka, ale tylko odrobinę. Nie była też szczególnie zadowolona z treści głoszonych słów. Mimo wszystko była Tairenianką, a niewiele portów sprawowało bardziej ścisłą kontrolę nad prowadzonym przez nie handlem niż Łza. – Na tym obszarze prawa Atha’an Miere zachowają pierwszeństwo przed prawami lokalnymi. Ugodę tę sygnować muszą również władze odpowiednich portów, aby... – Tym razem to na nią przyszła kolej, by się zawahać.

– Aby ugoda zachowała ważność po mojej śmierci? – zapytał Rand sucho. Udało mu się nawet nieszczercze roześmiać. – To również da się jakoś wytrzymać.

– Chodzi o każde miasto nad wodą? – wykrzyknął Dobraine.

– Czy oni mają na myśli również nasze? – Poderwał się z fotela i zaczął przechadzać się nerwowo, rozlewając jeszcze więcej wina niż przedtem Min. Ale nie zwracał na to uwagi. – Milę kwadratową? Na Światłość, kto kiedy słyszał o tak dziwnym prawie? Podróżowałem już wcześniej na statkach Ludu Morza i naprawdę nie bardzo mi ono do nich pasuje! Nagusów takie rzeczy nie interesują! A co z obowiązkiem celnym, opłatą postojową i... – Nagle odwrócił się do Randa. Najpierw spojrzał spode łba na Aes Sedai, które zupełnie to zlekceważyły, ale przemówił, kierując swe słowa do Randa, tonem graniczącym z niegrzecznością. – W ciągu roku doprowadzą Cairhien do ruiny, mój Lordzie Smoku. Zrujnują każdy port, który im na to pozwoli.

Min skłonna była się zgodzić, jednak nie miała zamiaru stwierdzać tego na głos, za to Rand tylko machnął ręką i znowu się roześmiał.

– Być może tak im się wydaje, ja jednak wiem co nieco na ten temat, Dobraine. Nie zastrzegli sobie, kto będzie wybierał ziemię, a więc nie będzie musiała wcale znajdować się nad samą wodą. Będą musieli kupować od ciebie żywność i żyć zgodnie z twoimi prawami, gdy będą opuszczali swoją domenę, co trochę powściągnie ich arogancję. W najgorszym przypadku będziesz mógł pobierać cło, kiedy towary będą opuszczać ich... suwerenny obszar. A co do pozostałych spraw... Jeśli ja mogę się na nie zgodzić, ty również możesz. – W jego głosie nie było już śladu wesołości, Dobraine więc tylko skłonił głowę.

Min zastanawiała się, gdzie on się tego wszystkiego nauczył. Przemawiał niczym król i to taki, który doskonale wie, co robi. Może Elayne udzieliła mu paru lekcji.

– „Po wtóre” sugeruje więcej – powiedział Rand do dwójki Aes Sedai.

Merana i Rafela wymieniły spojrzenia, nieświadomie muskając dłońmi suknie i szale, i gdy Merana przemówiła chwilę później, w jej głosie nie było śladu pompatyczności. W rzeczy samej stał się nieco nazbyt beztrojski.

– Po trzecie, Smok Odrodzony zgodzi się na instytucję ambasadora wybranego przez Atha’an Miere, który przez cały czas będzie miał do niego dostęp. Harine din Togara na tym urzędzie widziała samą siebie. Będą jej towarzyszyć jej Poszukiwaczka Wiatrów, jej Mistrz Miecza oraz świta.

– Co?! – zawył Rand, podrywając się z fotela.

Rafela jednak nie pozwoliła się zbić z tropu, ciągnęła dalej, jakby w obawie, że może jej przerwać.

– A po czwarte, Smok Odrodzony zgodzi się bezzwłocznie zareagować na wezwanie Mistrzynie Statków, wystosowane wszelako nie częściej niżli dwukrotnie w ciągu trzech najbliższych lat. – Skończyła, nieco się zadyszawszy, starając się, by ostatnie słowa zabrzmiały jak najmniej poważnie.

Berło Smoka uniosło się nad posadzkę za plecami Randa, on zaś nie patrząc, porwał je z powietrza. W jego oczach nie było już śladu lodu. Zastąpił go błękitny ogień.

– Ambasador Ludu Morza, który łązi za mną krok w krok? – wykrzyknął. – Posłusznie zareagować na wezwanie? – Kiedy potrząsał im przed nosem rzeźbionym grotem włóczni, zielonobiały chwost kołysał się dziko. – Czekają tam ludzie, którzy chcą nas wszystkich podbić, i być może są w stanie tego dokonać! Tutaj wciąż gdzieś knują Przekłęci! Czarny czyha! Dlaczego od razu nie obiecałyście im, że uszczelnię smołą kadłuby ich statków?

W normalnych okolicznościach Min starała się jakoś ułagodzić jego wybuchy, ale tym razem potrafiła tylko pochylić się naprzód i wściekłym wzrokiem mierzyć Aes Sedai. W pełni się z nim zgadzała. Żeby sprzedać konia, dołożyły do umowy stodołę!

Rafela aż się cofnęła w obliczu tego wybuchu, Merana natomiast najwyraźniej wzięła się w garść, a na jej obliczu zagościła zupełnie niezła kopia burzy, która szalała na jego twarzy; tylko ogień spojrzenia miał barwę brązową, nakrapianą złotem.

– Krytykujesz nas? – warknęła tonem równie lodowatym, jak gorący był płomień jej oczu. Była taką Aes Sedai, jakie widywały dziewczęce oczy Min, bardziej królewską niż królowe, bardziej władczą niż wszelka władza świata. – Byłeś obecny na początku negocjacji, jesteś ta'veren, więc tańczyły, jak im zagrałeś. Mogłeś je skłonić, żeby ukłękły przed tobą! Ale ty poszedłeś sobie! Bynajmniej nie były zadowolone, kiedy zrozumiały, że ta'veren manipulował nimi jak marionetkami. Gdzie się nauczyły splatać tarcze i zanim jeszcze na dobre opuściłeś statek, Rafela i ja zostałyśmy oddzielone od Źródła. Abyśmy nie mogły skorzystać z przewagi, jaką daje nam Moc, tak powiedziały. Nie raz Harine groziła nam, że zawiśniemy przywiązane za palce i będziemy tak wisieć, póki nie odzyskamy zdrowego rozsądku, i jeśli o mnie chodzi, uważam, że mówiła to całkiem poważnie! Ciesz się, że masz okręty, które chciałeś, Randzie al'Thor, Harine nie dałaby ci ich więcej niż garstkę! Ciesz się, że nie chciała również twoich nowych butów i tego twojego okropnego tronu! Aha, tak na marginesie, formalnie uznała, że jesteś Coramoorem, i udław się tym!

Min patrzyła na nią. Rand i Dobraine też patrzyli, a Cairhienianinowi dosłownie opadła szczęka. Rafela spoglądała, poruszając bezgłośnie ustami. Tymczasem oczy tej, na którą patrzyli, powoli przestawały ciskać pioruny, stając się dla odmiany coraz większe, w miarę jak docierało do niej znaczenie właśnie wypowiedzianych słów.

Berło Smoka zadrżało w garści Randa. Min widywała już eksplozję jego gniewu, i to w sytuacjach znacznie mniej prowokujących. Modliła się, by istniał jakiś sposób na uniknięcie katastrofy, ale nic jej nie przychodziło do głowy.

– Wychodzi na to – powiedział na koniec – że słowa, które siła ta'veren potrafi dobyć z ludzkich ust, nie zawsze są tymi, które chciałby usłyszeć. – W jego głosie brzmiał... spokój; Minomalże gotowa byłaby określić go jako głos trzeźwego człowieka w pełni władz umysłowych. – Dobrze sobie poradziłaś, Merano. Sprezentowałem wam ochłap, jakiego psu bym nie rzucił, a jednak wy dobrze sobie z tym poradziłyście.

Dwie Aes Sedai aż się zakołysały i przez chwilę Min myślała, że z czystej ulgi mogą się roztopić na posadzce niczym dwie świece.

– Przynajmniej udało nam się zataić szczegóły umowy przed Cadsuane – powiedziała Rafela,

niepewnie wygładzając spódnice. – Nie było sposobu na zablokowanie informacji, że zawarłyśmy jakąś umowę, ale wszystkiego z pewnością nie wie.

– Tak – bez tchu oznajmiła Merana. – Próbowała z nas coś wydobyć nawet po drodze tutaj. Trudno jej się przeciwstawić, ale jakoś sobie poradziłyśmy. Zakładałyśmy, że nie chcesz, aby ona... – Urwała, widząc kamienne rysy twarzy Randa.

– Znowu Cadsuane – powiedział głosem bez wyrazu. Spod zmarszczonych brwi popatrzył na rzeźbiony grot włóczni w rękę, potem cisnął go na fotel, jakby już dłużej nie ufał swoim dłoniom. – Ona przebywa w Pałacu Słońca, nieprawdaż? Min, powiedz Pannom za drzwiami, żeby zaniósł wiadomość do Cadsuane. Najszybciej, jak to tylko możliwe, ma się stawić przed obliczem Smoka Odrodzonego.

– Rand, nie wydaje mi się... – zaczęła niepewnie Min, ale Rand przerwał jej. Niezbyt ostro, ale zdecydowanie.

– Proszę, zrób jak mówię, Min. Ta kobieta jest niczym wilk przyglądający się stadu owiec. Mam zamiar przekonać się, o co jej chodzi.

Min wstała, najwolniej jak potrafiła, po czym powlokła się ku drzwiom. Nie była jedyną spośród zgromadzonych, której ten pomysł nie zachwycił. Wiedziała jednak, że zdecydowanie woli znaleźć się gdzie indziej, kiedy dojdzie do konfrontacji Smoka Odrodzonego z Cadsuane Melaidhrin. Dobraine minął ją, kiedy zmierzała do drzwi, pożegnawszy się krótkim ukłonem, i nawet Merana i Rafela zdołały wyjść wcześniej niż ona z komnaty, chociaż jakimś sposobem udało im się zrobić to tak, że nikt nie zauważył ich pośpiechu. W każdym razie póki nie wyszły na korytarz. Kiedy w końcu Min wyściubiła głowę przez drzwi, obie siostry dogoniły już Dobraine'a i gnały przed siebie.

Dziwne, ale grupka sześciu Panien, które strzegły komnaty, kiedy Min wcześniej do niej wchodziła, rozrosła się niepomierne – stały pod obu ścianami korytarza tak daleko, jak tylko mogła w obie strony sięgnąć wzrokiem, wysokie kobiety o twardych obliczach w szarościach, brązach i szarościach cadin'sor, z naciągniętymi na głowy shoufami, od których zwisały długie czarne zasłony. Wiele uzbroiło się we włócznie oraz okrągłe tarcze z byczej skóry, jakby gotowały się do walki. Niektóre grały w grę dłoni zwaną „kamień, nożyce, papier”, pozostałe przyglądały im się w skupieniu.

Oczywiście nie całkowitym, żeby jej nie dostrzec. Kiedy przekazała wiadomość od Randa, zamigotały palcami w mowie dłoni, a potem dwie chude Panny truchtem odbiegły. Pozostałe skwapliwie wróciły do poprzedniego zajęcia, jedne grały, inne patrzyły.

Min podrapała się po głowie, skonfundowana, a potem wróciła do komnaty. Przy Pannach często czuła się nieswojo, jednak te zawsze miały dla niej jakieś słowo, niekiedy odnosiły się do niej z szacunkiem, jak do Mądrej, czasami żartowały z nią, chociaż ich poczucie humoru było co najmniej dziwne. Nigdy dotąd jeszcze nie ignorowały jej tak jak teraz.

Randa znalazła w sypialni. Już same skojarzenia, jakie wiązały się z tym pomieszczeniem, sprawiły, że puls jej przyspieszył. Rand zdjął kaftan, rozwiązał tasiemki śnieżnobiałej koszuli, ściągnął też spodnie. Min usiadła w nogach łóżka, oparła się o jeden z masywnych słupków baldachimu, po czym podciągnęła nogi, krzyżując je w kostkach. Nigdy jeszcze nie widziała, jak Rand się rozbiera, i zamierzała w pełni wykorzystać okazję.

On jednak porzucił tę czynność i zamarł bez ruchu, patrząc na nią.

– Czego Cadsuane może mnie nauczyć? – zapytał znienacka.

– Ciebie i wszystkich pozostałych Asha'manów – odparła. Tyle zobaczyła w jednej z wizji. – Nie mam pojęcia czego, Rand. Wiem tylko, że musisz się tego nauczyć. Wszyscy musicie. – Najwyraźniej nie miał zamiaru zdejmować koszuli. Westchnęła i ciągnęła dalej: – Potrzebujesz jej,

Rand. Nie możesz sobie pozwolić, by ją rozzłościć. Nie możesz dopuścić, by od ciebie uciekła. – Tak naprawdę, to nie sądziła, by pięćdziesięciu Myrddraali i tysiąc trolloków potrafiło zmusić Cadsuane do ucieczki, niemniej sens pozostawał ten sam.

Oczy Randa zapatrzyły się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń, po chwili jednak pokręcił głową.

– Dlaczego miałbym słuchać szaleńca? – wymamrotał, omal niedosłyszalnie. Światłości, czy on naprawdę wierzył, że Lews Therin Telamon przemawia w jego głowie? – Wystarczy, że któreś z nich zrozumie, iż jest ci potrzebne, a już ma nad tobą władzę, Min. To smycz, za którą będzie cię ciągnąć, gdzie zechce. Żadna Aes Sedai nie założy mi kagańca. Nikomu na to nie pozwolę! – Powoli rozprostował zaciśnięte palce. – Ciebie, Min, potrzebuję – oznajmił z prostotą. – Nie dla twoich widzeń, tylko zwyczajnie cię potrzebuję.

„Niech szczenę – pomyślała Min – ten mężczyzna kilkoma słowami potrafi sprawić, że uginają się pode mną nogi”.

Uśmiechając się równie ochoczo jak ona, schwycił obiema dłońmi krawędź materii koszuli i zaczął ją ściągać przez głowę. Min zaplotła palce na brzuchu i przyglądała się mu spokojnie.

Trzy Panny, które weszły do sypialni nie miały już na głowach shouf, wcześniej skrywających w korytarzu ich krótkie włosy. Puste dłonie, przy pasach nie było nawet tych długich noży. Tyle tylko Min zdążyła zauważyć.

Głowa i ramiona Randa wciąż pozostawały uwięzione w koszuli, gdy Somara – jasnowłosa, wysoka, nawet jak na kobietę Aielów – schwyciła białe płótno i związała, nie pozwalając mu się wydostać. Tym samym ruchem kopnęła go między nogi. Z jego gardła wydobył się zdławiony jęk, zgiął się w pół i zachwiał.

Nesair o płomiennie-rudej czuprynie, bardzo piękna mimo białych blizn znaczących oba policzki, wbiła pięść w jego prawy bok, dostatecznie mocno, aby zachwiał nim w drugą stronę.

Min poderwała się z okrzykiem z łóżka. Nie miała pojęcia, jakie też szaleństwo rozgrywa się przed jej oczami, nawet nie chciała się domyślać. Oba jej noże wyszły lekko z rękawów, rzuciła się na Panny, krzycząc:

– Pomocy! Och, Rand! Niech ktoś pomoże! – Przynajmniej tyle chciała krzyknąć.

Trzecia Panna, Nandera, zawróciła niczym atakujący wąż i kopnęła Min w brzuch. Powietrze z sapnięciem uszło z jej płuc. Ostrza wypadły z odrętwiałych dłoni, przekoziółkowała przez podstawioną nogę siwowłosej Panny, lądując na plecach z łomotem, który do reszty pozbawił ją tchu. Próbowwała choć drgnąć, próbowała odetchnąć – próbowała pojąć, co się dzieje! – ale wszystko, na co ją było stać, to leżeć i patrzeć.

Trzy kobiety metodycznie oddawały się swemu zajęciu. Nesair i Nandera tłukły Randa pięściami, podczas gdy Somara pilnowała, by nie wyprostował się i nie uwolnił z fałd koszuli. Wystudiowane ciosy bez przerwy sypały się na twarde brzuch i prawy bok Randa. Min śmiałaby się histerycznie, gdyby była w stanie choć odetchnąć. Próbowwały stłuc go do nieprzytomności, starannie unikając uderzenia w pobliżu wciąż wrażliwej, owalnej blizny w lewym boku, z na poły zagojonym cięciem skroś niej.

Doskonale wiedziała, jak twarde jest ciało Randa, jak silne, ale nikt przecież nie był w stanie długo czegoś takiego wytrzymać. Wreszcie nogi się pod nim powoli ugięły, a kiedy zwałił się na płytki posadzki, Nandera i Nesair odsunęły się odeń. Pokiwały głowami, a Nesair rozprostowała palce zaciśnięte na koszuli. Rand padł twarzą na podłogę. Min słyszała, jak ciężko dyszy, jak zмага się z jękiem, który mimo wysiłków nabrzmiewał w gardle. Soma-ra uklękła i niemal delikatnie ściągnęła z jego głowy koszulę. Teraz leżał z policzkiem wtulonym w posadzkę, z wytrzeszczonymi

oczyma, walcząc o oddech.

Nesair pochyliła się, schwyciła garść jego włosów, szarpnięciem poderwała głowę do góry.

– Wygrałyśmy dla siebie to prawo – warknęła – ale wiedz, że każda Panna chciała położyć na tobie swe ręce. Porzuciłam dla ciebie mój klan, Randzie al’Thor. Nie pozwolę, byś pluł na mnie!

Somara wyciągnęła dłoń, jakby chciała odsunąć włosy z jego twarzy, potem jednak szybko ją cofnęła.

– W taki właśnie sposób potraktowałybyśmy pierwszego-brata, który przyniósłby nam dyshonor, Randzie al’Thor – oznajmiła zdecydowanie. – Za pierwszym razem. Następnym razem użyjemy rzemieni.

Nandera stała nad Randem z pięściami wspartymi na biodrach i obliczem jakby wykutym z kamienia.

– Jesteś powiernikiem honoru Far Dareis Mai, synu Panny – oznajmiła ponuro. – Obiecałeś, że będziemy dla ciebie tańczyć włócznie, a potem wyruszyłeś na wojnę, zostawiwszy nas bez jednego słowa. Po raz drugi już tego nie zrobisz.

Zrobiła krok ponad jego ciałem i ruszyła do wyjścia, pozostałe poszły za nią. Tylko Somara obejrzała się raz, a jeśli w jej oczach błysnął bodaj cień współczucia, nie było go w jej głosie, gdy powiedziała:

– Postaraj się, aby więcej nie było to konieczne, synu Panny.

Zanim Min zdążyła się doń podczołgać, Rand już podparł się dłońmi i kolanami i powoli stanął na czworakach.

– One chyba oszalały – wyskrzeczwała. Światłości, ależ ją bolał brzuch! – Rhuarc im pokaże!... – Nie miała pojęcia, co też Rhuarc może im pokazać. W każdym razie cokolwiek to będzie, na pewno nie wystarczy. – Sorilea. – Sorilea każe im piec się na słońcu! Na początek! – Kiedy jej powiemy...

– Nikomu nie powiemy – powiedział. Głosem z pozoru już normalnym, aczkolwiek oczy wciąż wychodziły mu z orbit. Jak on mógł się na to zdobyć? – Miały rację. Zasłużyły sobie na prawo postąpienia ze mną w taki sposób.

Min aż nazbyt dobrze rozpoznała ten ton głosu. Kiedy mężczyzna postanawiał być uparty, to potrafił usiąść nago w pokrzywach i w twarz ci przeczyć, że kłują go w pośladki! Omalże z zadowoleniem powitała jęk, który wydarł się z jego gardła, kiedy pomagał jej wstać. Cóż, oboje podtrzymywali się wzajem. Jeśli zaś zamierzał być wełnianogłowym idiotą, to zasłużył sobie na kilka siniaków!

Rand położył się na łóżku, plecami na stosie poduszek, ona zaś wślizgnęła się obok. Nie odbyło się to w sposób, o jakim marzyła, ale to jej wystarczało, póki w ogóle mogła się przytulić.

– Nie w ten sposób miałem nadzieję wykorzystać to łóżko – wyszeptał. Ale nie była pewna, czy zostało to przeznaczone dla jej uszu.

Roześmiała się.

– Mnie tam się podoba, kiedy mnie obejmujesz... tak samo jak tamto drugie. – Dziwne, ale uśmiechnął się do niej w taki sposób, jakby wiedział, że kłamie. A przecież jej ciotka, Miren, twierdziła, że jest to jedno z trzech kłamstw, w które mężczyzna zawsze uwierzy kobiecie.

– Jeśli przeszkadzam – odezwał się od drzwi chłodny kobiecy głos – to przypuszczam, że mogę wrócić, kiedy chwila będzie bardziej odpowiednia.

Min odskoczyła od Randa jak oparzona, ale kiedy ją przyciągnął do siebie, przytuliła się znowu. Rozpoznała Aes Sedai stojącą w wejściu – pulchną, niewysoką Cairhieniankę, w ciemnej sukni z cienkimi kolorowymi paskami skroś obfitego łona i białymi rozcięciami. Daigian Moseneillin była jedną z sióstr, które przybyły razem z Cadsuane. I w opinii Min dysponowała równie dominującą

osobowością jak sama Cadsuane.

– Ciekawe, jak na ciebie mówią w domu? – zapytał leniwie Rand. – Kimkolwiek jednak jesteś, czy nikt nie nauczył cię pukać? – Min czuła jednak, że wszystkie mięśnie w ramieniu, którym ją obejmował, sztywne są niczym skała.

Kamień księżycowy na cienkim srebrnym łańcuszku zdobiący czoło Daigian zakołysał się, gdy powoli pokręciła głowę. Najwyraźniej nie była zadowolona z przyjęcia, jakie ją spotkało.

– Cadsuane Sedai otrzymała twoją prośbę o spotkanie – powiedziała, jeszcze bardziej lodowatym tonem niż przedtem – i poprosiła mnie, abym przekazała jej wyrazy ubolewania. Bardzo chciałaby dokończyć tę ręczną robótkę, którą właśnie zaczęła. Być może będzie w stanie spotkać się z tobą innego dnia. Jeśli znajdzie czas.

– Tak właśnie powiedziała? – zapytał groźnym tonem Rand.

Daigian parsknęła lekceważąco.

– Zostawię cię teraz, abys mógł... kontynuować swoje zajęcie. – Min zastawiała się, czy uszłoby jej na sucho spoliczkowanie Aes Sedai. Daigian zmierzyła ją lodowatym spojrzeniem, jakby mogła usłyszeć jej myśli, a potem odwróciła się i majestatycznym krokiem wyszła z komnaty.

Rand usiadł, tłumiąc przekleństwo.

– Powiedz Cadsuane, że może sobie iść do Szczeliny Zagłady! – krzyknął za odchodzącą siostrą. – Powiedz jej, niech zgnije!

– To się na nic nie zda, Rand – westchnęła Min. Okazało się to trudniejsze, niżli sobie pierwotnie wyobrażała. – Potrzebujesz Cadsuane. Ona nie potrzebuje ciebie.

– Czyżby? – zapytał cicho, a Min zadrżała. Przedtem tylko jej się zdawało, że w jego głosie usłyszała groźbę.

Rand starannie się przygotował, odział na powrót w zielony kaftan, posłał Min do Panien z wiadomościami, które miały przekazać dalej. Przynajmniej pod tym względem wciąż można było na nie liczyć. Żebra w prawym boku bolały go prawie tak samo, jak rana w lewym, brzuch dokuczał, jakby bito go po nim deską. Obiecał im. Zostawszy sam w komnacie, pochwycił saidina, nie chcąc, by nawet Min widziała, z jakimi trudem mu to przychodzi. Mógł zapewnić jej bezpieczeństwo, w taki czy inny sposób, czy jednak mogłaby czuć się bezpiecznie, gdyby widziała, że nieomal się przewraca? Musiał być silny, choćby tylko w jej oczach. Kłębek emocji w głębi czaszki, który był Alanną, stanowił nieustanne napomnienia o kosztach nieuwagi. W danej chwili Alanną popadła w ponury nastrój. Musiała nadużyć cierpliwości Mądrych, ponieważ miała kłopoty z siadaniem.

– Wciąż uważam, że to szaleństwo, Randzie al'Thor – powiedziała Min, kiedy on pieczołowicie sadowił Koronę Mieczy na głowie. Nie chciał, by te maleńkie ostrza znowu utoczyły jego krwi. – Słuchasz mnie? Cóż, jeśli jednak zamierzasz przez to przechodzić, idę z tobą. Przyznałeś, że mnie potrzebujesz, a żeby to zrobić, będziesz mnie potrzebował bardziej niż kiedykolwiek! – W pełni doszła już do siebie, pięści wsparła na biodrach, stopą wystukiwała rytm o posadzkę, oczy nieledwie lśniły gniewem.

– Zostaniesz tutaj – oznajmił jej stanowczo. Wciąż nie do końca był pewien, co właściwie zamierza zrobić, i nie chciał, by widziała, jak się zatacza. Bardzo się bał, że mógłby się zatoczyć. Jednak nie oczekiwał, że Min ustąpi bez kłótni.

Spojrzała ha niego spod zmarszczonych brwi, przestała postukiwać nogą. Złe światełka w jej oczach zgasły, ich miejsce zajęło zmartwienie, które jednak wkrótce także zniknęło.

– No cóż, przypuszczam, że jesteś już na tyle dorosły, aby nie trzeba było cię prowadzić za rękę



przez podwórze, pasterzu. Poza tym mam poważne zaległości w czytaniu.

Zanurzyła się w jednym z wysokich złoconych foteli, podwinęła pod siebie nogi i wzięła do ręki książkę, którą czytała przed jego powrotem. Nie minęło kilka chwil, a już bez reszty pochłonęła ją kolejna stronica.

Rand pokiwał głową. Tego właśnie chciał – ona tutaj i bezpieczna. Wciąż jednak nie potrafiła całkowicie zapomnieć o jego obecności.

W korytarzu za drzwiami siedziało w kucki sześć Panien. Popatrzyły na niego pozbawionym wyrazu wzrokiem, żadna się nie odezwała. Wzrok Nandery był ze wszystkich najbardziej pusty. Jednak Somara i Nesair podeszły bliżej. Pomyślał, że skoro Nesair pochodzi z Shaido, będzie musiał bardziej ją mieć na oku.

Asha'mani również czekali – Lews Therin mamrotał o zabijaniu w ciemnościach głowy Randa – wszyscy prócz Narishmy mogli poszczycić się zarówno Smokami, jak i Mieczami wpiętymi w kołnierze. Grzecznie nakazał Narishmie strzec jego apartamentów, tamten zasalutował zdecydowanie, a w jego ciemnych oczach, które zdawały się zbyt wiele rozumieć, błysnął ślad oskarżenia. Rand nie sądził, aby Panny niezadowolone z niego przeniosły na Min, ale wołał nie ryzykować. Światłości, przecież powiedział Narishmie wszystko o zabezpieczeniach, jakie splótł w Kamieniu, kiedy posyłał go po Callandora. Tamtemu musiało się coś śnić. Ażeby szezeł, naprawdę nie trzeba było podejmować tak szaleńczego ryzyka.

„Jedynie szaleniec nigdy nikomu nie ufa”. – W głosie Lewsa Therina brzmiało rozbawienie. I nie tylko kropla szaleństwa. Rany w boku Randa rwały, jakby wzajem wprawiając się w rezonans pulsacją odległego bólu.

– Zaprowadźcie mnie do Cadsuane – rozkazał. Nandera zgrabnym ruchem podniosła się i ruszyła, nawet nie obejrzawszy się za siebie. Poszedł za nią, a pozostali tuż za nim, Dashiva i Flinn, Morr i Hopwil. W marszu wydawał im naprędce zaimprovizowane instrukcje. Flinn, on jeden ze wszystkich, próbował protestować, Rand jednak uciszył go spojrzeniem; nie było czasu na wahania. Posiwały były Gwardzista był ostatnim, po którym Rand czegoś takiego by się spodziewał. Morr albo Hopwil, proszę bardzo. Mimo iż w ich oczach trudno byłoby już znaleźć bodaj ślad niewinnego rozmarzenia, wszak wciąż byli młodzi na tyle, by ich brzytwy przez wiele dni schły po goleniu. Jednak do Flinna się to nie odnosiło. Miękkie buty Nandery nie wydawały żadnych odgłosów na posadzce, ich kroki natomiast odbijały się gromkim echem od łukowato sklepionego sufitu, płosząc wszystkich, którzy mieli choć cień powodów do obaw. Rany w boku Randa tętniły do rytmu.

Teraz już wszyscy w Pałacu Słońca znali Smoka Odrodzonego z widzenia, doskonale zdawali sobie również sprawę, kim są mężczyźni w czarnych kaftanach. Służący w czarnych liberiach kłaniali się, służące dygały i jedni i drudzy spieszyli, by jak najszybciej zniknąć im z oczu. Większość szlachty reagowała równie żywo, starając się zachować jak największy dystans od pięciu mężczyzn, którzy potrafili przenosić, i udając ogromne zaaferowanie jakimiś rzekomo nie cierpiącym zwłoki sprawami. Ailil obserwowała ich przemarsz z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Anaiyella oczywiście uśmiechała się sztucznie, ale kiedy Rand obejrzał się za siebie, zobaczył, że odprowadza go wzrokiem z wyrazem twarzy, którego nie powstydzilaby się Nandera. Bertome uśmiechnął się, kiedy z nim się zrównali, mrocznym grymasem, w którym nie było śladu wesołości czy radości ze spotkania.

Nandera nie odezwała się, nawet gdy już dotarli do celu wędrówki, po prostu wskazała tylko zamknięte drzwi grotem jednej z włóczni, odwróciła się na pięcie i zawróciła w stronę, z której przyszli. Car'a'carn bez choćby jednej Panny, która by go strzegła. Czy one sądziły, że czterech Asha'manów wystarczy, by zapewnić mu bezpieczeństwo? Czy też jej odejście było kolejną oznaką

niezadowolonia?

– Działajcie, jak wam powiedziałem – oznajmił Rand.

Dashiva wzdrygnął się, jakby dopiero teraz odzyskał świadomość, potem pochwycił Źródło. Strumień Powietrza otworzył z łomotem szerokie drzwi rzeźbione w pionowe linie. Pozostali trzej, dzierżąc saidina, weszli do środka w ślad za Dashivą. Mieli ponure oblicza.

– Smok Odrodzony – głos Dashivy brzmiał donośnie, wzmocniony nieznacznie przez Moc – król Illian, Pan Poranka, przybywa spotkać się z kobietą, Cadsuane Melaidhrin.

Rand wszedł do wnętrza, po czym zatrzymał się sztywno wyprostowany. Nie rozpoznał drugiego splotu, jaki utkał Dashiva, jednak powietrze zdawało się aż stężeć od niewypowiedzianych gróźb, jakby coraz bardziej zbliżało się nieznane.

– Posłałem po ciebie, Cadsuane – powiedział Rand. Nie używał żadnych splotów. Jego głos był dostatecznie twardy i groźny bez magicznej pomocy.

Zielona siostra, którą tak dobrze pamiętał, siedziała przy małym stolczku z tamborkiem do haftów w dłoniach, na polerowanym blacie stał otwarty koszyk, z niego zaś wylewała się plątanina jaskrawej przędzy odwiniętej z motków pomieszczonych w licznych przegródkach. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał. Te zdecydowane rysy twarzy zwieńczonej stalowo siwym kokiem, zdobnym w malutkie wisioriki o kształtach złotych ryb i ptaków, gwiazdek i księżyców. Te ciemne oczy, niemal czarne w bladej twarzy. Chłodne, pełne namysłu. Lews Therin zajęczał i umknął na sam jej widok.

– No cóż – powiedziała, odkładając tamborek na blat stoliczka – muszę przyznać, że widywałam lepsze przedstawienia, i to za darmo. Z tego, czego się na twój temat nasłuchałam, chłopcze, wynikało, że powinnam się spodziewać co najmniej łomotu grzmotów, ryku trąb niebieskich, błyskawic rozcinających nieboskłon. – Z całkowitym spokojem przyglądała się piątce potrafiących przenosić męczyzn, na których widok każda Aes Sedai zadrżałaby przynajmniej. Niewzruszenie przyglądała się Smokowi Odrodzonemu. – Mam nadzieję, że przynajmniej jeden z was potrafi żonglować – ciągnęła dalej. – Albo przynajmniej połykać ogień? Zawsze urzekał mnie widok bardów połykających ogień.

Flinn nie zdołał się opanować i wybuchnął głośnym śmiechem, a nawet po chwili, gdy już wziął się w garść, dłonią wciąż przeczesywał resztki włosów na głowie i najwyraźniej zmagął z nabrzmiewającym wewnątrz rozbawieniem. Morr i Hopwil wymienili spojrzenia, obaj nieco zbici z tropu i porządnie rozzłoszczeni. Dashiva uśmiechnął się nieszczerze, splot zaś, który trzymał, zaczął gromadzić Moc, aż w końcu Rand ledwie potrafił opanować przymus obejrzenia się przez ramię, by sprawdzić, czy nic go nie ściga.

– Wystarczy, że masz pewność, kim jestem – poinformował ją Rand. – Dashiva, pozostali, zaczekajcie na zewnątrz.

Dashiva otworzył już usta, jakby chciał zaprotestować. Nie mieściło się to we wcześniejszych instrukcjach Randa, jednak Dashiva zrozumiał, że nigdy nie uda im się zastraszyć tej kobiety, przynajmniej nie w taki sposób. Poszedł więc, aczkolwiek po drodze cały czas mamrotał coś pod nosem. Hopwil i Morr z wyraźną ulgą powitali rozkaz Randa i wyszli, rzucając tylko z ukosa spojrzenia na Cadsuane. Flinn jako jedyny opuścił pomieszczenie z godnością, choć przecież kulał. I wciąż wydawał się niesamowicie rozbawiony!

Rand przeniósł i ciężkie rzeźbione w lamparty krzesło uniosło się ze swego miejsca pod ścianą, a potem popłynęło, wirując i koziółkując w powietrzu, póki wreszcie lekko jak piórko nie opadło na posadzkę przed Cadsuane. Równocześnie ciężki srebrny dzban zawisł nad blatem przykrytego obrusem stołu, a potem poleciał przez pomieszczenie, wydając z siebie protestujący brzęk, kiedy

nagle został ogrzany; z otworu wydobyła się para, dzban zaś zawirował i zakolysał się niczym wolno obracający bąk, przechylił się w tym samym momencie, gdy pod nim znalazł się srebrny pucharek, zręcznie chwytając strugę płynu.

– Zbyt gorące, jak mi się wydaje – powiedział Rand i z wysokich wąskich okien wyleciały szyby. Płatki śniegu lodowatym jęzorem sięgnęły do wnętrza komnaty, a pucharek wyfrunął na zewnątrz przez jedno z okien, po chwili wrócił, trafiając prosto do ręki Randa, który tymczasem zdążył już zająć miejsce w fotelu. Ciekawe, ile spokoju potrafi zachować ta kobieta w towarzystwie szaleńca. Ciemny płyn okazał się herbatą, zbyt mocną, gdy została podgrzana, i tak gorzką, że aż zęby od niej cierpły. Ale temperatura była akurat odpowiednia. Czuł, jak ciarki chodzą mu po skórze od uderzeń lodowatego wichru, z wyciem wdzierającego się do komnaty i łopocącego draperiami, jednak w Pustce było to wrażenie odległe, jakby chodziło o cudzą skórę.

– Laurowa Korona jest piękniejsza od wielu innych koron – powiedziała Cadsuane z bladym uśmiechem. Ozdoby we włosach kołysały się wraz z każdym nowym podmuchem wiatru, a z koczka wysuwały się cienkie pasemka włosów, jednak ona zareagowała tylko tak, że pochwyciła tamborek, zanim sfrunął ze stoliczka. – Wolę tę nazwę. Ale nie możesz oczekiwać, że jakieś korony będą wywierały na mnie wrażenie. Swego czasu stłukłam pośladki dwóm panującym królom i trzem królowym. Żadne nie było w stanie zasiadać na swych tronach, przynajmniej przez dzień lub dwa po tym, jak z nimi skończyłam, niemniej udało mi się zwrócić ich uwagę. Powinieneś więc zrozumieć, dlaczego korony nie wywierają na mnie żadnego wrażenia.

Rand przestał zaciskać zęby. To nie prowadziło donikąd. Spojrzał na nią szeroko rozwartymi oczyma, w nadziei że uda mu się symulować szaleństwo, a nie tylko wściekłość.

– Większość Aes Sedai unika Pałacu Słońca – poinformował ją. – Wyjąwszy te, które zaprzysięgły mi lojalność. I te, które trzymam w niewoli. – Światłości, a cóż z tymi miał począć? Póki jednak Mądre chciały zdejmować z jego głowy ten kłopot, wszystko jakoś szło.

– Aielowie zdają się uważać, że mogę tu wchodzić i wychodzić do woli – powiedziała z roztargnieniem, przyglądając się trzymanemu w dłoniach tamborkowi, jakby się zastanawiała, czy nie wziąć znowu do ręki igły. – Chyba jest tak, bo swego czasu udzieliłam pomocy temu czy innemu chłopcu, pomocy niegodnej nawet wzmianki. Aczkolwiek nie bardzo rozumiem, czemuż to ktokolwiek, poza jego matką, pragnie mi w związku z tym okazywać wdzięczność.

Rand po raz kolejny spróbował nie zgrzytnąć zębami. Ta kobieta uratowała mu życie. A także życie własne, Damera Flinna i wielu innych, nie licząc Min. Wciąż miał dług wobec Cadsuane. Ażeby szczęła.

– Chcę, żebyś została moją doradczynią. Jestem teraz królem Illian, a królowie mają doradczynie wywodzące się z Aes Sedai.

Obrzuciła jego koronę niechętnym spojrzeniem.

– Mowy nie ma. Doradczyni musi uważać i cały czas się zastanawiać, czy któryś jej krok nie spowoduje nadmiernego zamieszania, co nie bardzo mi odpowiada. Poza tym musi słuchać rozkazów, do czego już wyjątkowo się nie nadaję. Może jakaś inna potrafiłaby wywiązać się lepiej z tego zadania? Na przykład Alanna?

Rand usiadł sztywno wyprostowany, zanim zdołał się opanować. Czy wiedziała o więzi zobowiązań? Merana powiedziała, że trudno cokolwiek przed nią ukryć. Później będzie się przejmował tym, co jego „wierne” Aes Sedai mówiły Cadsuane. Światłości, żałował, że Min choć raz nie mogła się pomylić. Jednak prędzej gotów byłby uwierzyć, że da się oddychać pod wodą.

– Ja... – Nie potrafił się zmusić, by jej powiedzieć, że jest mu potrzebna. Żadnej smyczy! – A gdybyś nie musiała składać żadnych przysiąg?

– Przypuszczam, że w takiej sytuacji mogłoby się udać – powiedziała niepewnie, spoglądając na swoją przekłętą robótkę. Potem uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Z namysłem. – Słysząc w twym głosie... niepokój. Nie lubię mówić mężczyźnie, że się boi, nawet gdy taki ma po temu wszelkie powody. Czy ten niepokój wzbudza w tobie siostra, której nie udało ci się zmienić w oswojonego pieska pokojowego, która na ciebie warczy? Zobaczymy. Mogę złożyć ci kilka obietnic; niewykluczone, że dzięki nim odzyskasz nareszcie spokój ducha. Spodziewam się, że będziesz mnie słuchać, to oczywiste... w każdym razie na pewno pożałujesz, jeśli się przekonam, że strzępię język po próżnicy... ale nie dam rady cię zmusić, byś się stosował do mych rad. Rzecz jasna, nie będę tolerowała kłamstw... z pewnością przekonasz się, że jest to moja kolejna wielce niewygodna cecha... ale z drugiej strony nie będę od ciebie wymagała, byś otwierał przede mną najgłębsze podwoje swego serca. Aha, jeszcze coś. Cokolwiek zrobię, będzie to dla twojego dobra, nie dla mojego, nie dla dobra Białej Wieży, dla twojego. Czy nieco rozproszyłam twój strach? Przepraszam, niepokój.

Zastanawiając się, czy nie powinien zaśmiać się w głos, Rand spojrzał na nią.

– Uczyli cię, jak to robić? – zapytał. – To znaczy, jak formułować obietnicę, by brzmiała niczym groźba?

– A więc to tak. Chcesz jasnych reguł. Większość chłopców ich potrzebuje, cokolwiek by głosili wszem i wobec. Skoro tak, to pozwól, że się zastanowię... Otóż, nie znoszę niegrzeczności. A więc będziesz się wobec mnie zachowywał stosownie, jak również wobec mych przyjaciół i gości. Obejmuje to zakaz przenoszenia z zamiarem wyrządzenia im krzywdy, na wypadek gdybyś o tym zapomniał, oraz obowiązek hamowania temperamentu, który, jak sobie przypominam, jest dosyć wybuchowy. Dotyczy to w tej samej mierze twoich... towarzyszy w tych czarnych kaftanach. Szkoda byłoby, gdybyś musiał dostać lanie za coś, co zrobił jeden z nich. Wystarczy? Jeśli chcesz, mogę ciągnąć to dalej.

Rand odstawił pucharek obok krzesła. Herbata zrobiła się zimna i jeszcze bardziej gorzka. Pod oknami śnieg zaczął gromadzić się w nawianych zaspach.

– Ja mam rzekomo oszaleć, Aes Sedai, ty jednak już jesteś szalona. – Powstał i podszedł do drzwi.

– Mam nadzieję, że nie próbowałaś użyć Callandora – oznajmiła miłym głosem za jego plecami. – Słyszałam, że zniknął z Kamienia. Raz ci się udało, ale za drugim razem może być inaczej.

Zatrzymał się jak wryty i obejrzał przez ramię. Kobieta spokojnie kłula tę przekłętą igłą kawałek materiału rozpięty na tamborku! Wiatr zawodził wokół, omiatając ją wirującymi płatkami śniegu, a ona nawet nie uniosła głowy.

– Co masz na myśli, mówiąc: „udało ci się”?

– Co? – zapytała z opuszczonym spojrzeniem. – Ach. Bardzo niewiele, nawet włączając w to kobiety z Wieży, wiedziało, czym jest Callandor, zanim go dobyteś, niemniej jednak niektóre zakamarki Biblioteki Wieży kryją zaskakujące rzeczy. Parę lat temu przeprowadziłam małe śledztwo, kiedy po raz pierwszy powzięłam podejrzenie, że być może dziecko takie jak ty ssie właśnie pierś matki. Tuż przed moją decyzją odejścia na emeryturę. Z dziećmi jest zawsze mnóstwo zachodu, poza tym jakoś nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak cię znaleźć, zanim nie staniesz się dojrzały.

– Co masz na myśli? – zapytał ostro.

Cadsuane spojrzała wówczas na niego. Z tymi rozwianymi włosami i płatkami śniegu osiadającymi na sukni wyglądała jak prawdziwa królowa.

– Powiedziałam ci, że nie zniosę niegrzeczności. Jeśli powtórnie poprosisz mnie o pomoc, spodziewam się, że uczynisz to grzecznie. I liczę na przeprosiny za dzisiejsze zachowanie!

– Co miałaś na myśli, mówiąc o Callandorze?

– Jest uszkodzony – odparła grzecznie – brakuje mu tłumika, który czyni inne sa'angreale bezpiecznymi w użytkowaniu. I najwyraźniej powoduje tylko intensyfikację oddziaływania skazy, przepełniając umysł szaleństwem. Przynajmniej póki używa go mężczyzna. Jedynym bezpiecznym sposobem, abyś mógł posługiwać się Mieczem Który Nie Jest Mieczem, jedynym sposobem korzystania zeń bez ryzyka natychmiastowej śmierci albo spróbowania dokonania Światłość jedna wie jakich rzeczy w szaleństwie, jest połączenie z dwoma kobietami, z których jedna będzie plotła strumienie.

Wyszedł z komnaty, starając się nie garbić. A więc nie tylko dziwaczność saidina wokół Ebou Dar zabiła Adleya. Zamordował człowieka w momencie, gdy wyprawił Narishmę po ten przedmiot.

Ścigał go głos Cadsuane.

– Pamiętaj, chłopcze. Musisz bardzo ładnie poprosić i błagać o wybaczenie. Być może nawet się zgodzę, jeśli twe przeprosiny będą dostatecznie szczere.

Rand ledwie słyszał jej słowa. Miał nadzieję, że znowu użyje Callandora, gdy tylko będzie dostatecznie silny. Teraz został tylko jeden sposób, a na myśl o nim czuł ogarniające go przerażenie. W jego uszach dźwięczały słowa innej kobiety, dawno nieżyjącej kobiety. „Możesz rzucić wyzwanie Stwórcy”.

# ROZDZIAŁ 28

## SZKARŁATNY CIEŃ

Nie przypominało to stosownej scenerii dla wybuchu napiętej sytuacji, którego Elayne cały czas się obawiała. Harlon Bridge było wioską średniej wielkości, z trzema gospodarzami i wystarczającą liczbą domostw, by nikt nie musiał spać na stryszku. Kiedy tego ranka Elayne i Birgitte zeszły po schodach do wspólnej sali, pani Dill, krągła karczmarka, uśmiechnęła się ciepło i skłoniła tak głęboko, na ile pozwalała jej tusza. Nie chodziło tylko o to, że Elayne jest Aes Sedai. Panią Dill do tego stopnia cieszyła gospoda pełna gości – zwłaszcza kiedy drogi całkowicie zasypał śnieg – że kłaniała się prawie każdemu. Na ich widok Aviendha szybko przełknęła resztki chleba i sera, strzepnęła kilka okruszków z zielonej sukni i porwała ciemny płaszcz z zamiarem przyłączenia się do nich.

Na zewnątrz słońce właśnie zerkało ponad horyzont, kreśląc na nim wielką kopułę bladej żółci. Kilka rozproszonych chmur znaczyło piękny błękit nieba, poza tym były białe i puszyste, i nic nie zwiastowało opadów. Dzień wydawał się znakomity na podróż.

Natychmiast jednak doszło do pierwszego zgrzytu – Adeleas już dreptała w ich stronę po zaśnieżonej ulicy, siwowłosa siostra wlokła za rękę jedną z kobiet Rodziny, Garenię Rosoinde. Garenia była kobietą o wąskich biodrach, Saldaeanką która przez ostatnie dwadzieścia była lat kupcem, aczkolwiek wyglądała na parę lat tylko starszą od Nynaeve. W normalnych okolicznościach silnie zakrzywiony nos nadawał jej twarzy nieustępliwy wyraz kogoś, kto z pewnością będzie się ostro targować i na jotę nie ustąpi. Teraz ciemne, nakrapiane oczy ziały w twarzy niczym dwie studnie, a szeroko otwarte usta zamarły w bezsłownym jęku. Za nimi wędrowała powiększająca się z każdą chwilą gromadka Kuzynek, które unosiły spódnice ponad śniegiem, szepcząc coś między sobą, a następne wciąż do nich dołączały, zbiegając się ze wszystkich stron. Reanne i pozostałe członkinie Kółka Dziewiarskiego szły na czele, na wszystkich twarzach zamarł ponury grymas, jedynie Kirstian była spokojna, chociaż znacznie bledsza niż zwykle. Alise była wśród nich również, jednak wyraz jej oblicza pozostawał nieodgadniony.

Adeleas zatrzymała się przed Elayne i pchnęła Garenię tak mocno, że kobieta musiała podeprzeć się rękoma, aby nie upaść w śnieg całym ciałem. W takiej też pozycji zamarła, wciąż niemo krzycząc. Kuzynki zebrały się za nią, ich liczba wciąż rosła.

– Do ciebie przychodzę z tą sprawą, ponieważ Nynaeve jest zajęta – oznajmiła Brązowa siostra, zwracając się do Elayne. Chciała w ten sposób dać do zrozumienia, że Nynaeve korzysta z jednej z nielicznych chwil na osobności z Łanem, jednak po raz pierwszy nawet cień uśmiechu nie zagościł na jej wargach. – Bądź cicho, dziecko! – warknęła na Garenię, która natychmiast posłusznie zamilkła. Adeleas z satysfakcją skinęła głową. – To nie jest Garenia Rosoinde – powiedziała. – W końcu ją rozpoznałam. Ma na imię Zarya Alkaese, jest nowicjuską, która uciekła z Wieży niedługo przedtem, zanim Vandene i ja postanowiłyśmy się wycofać i przystąpić do spisania naszej historii świata. Kiedy jej to zarzuciłam, przyznała się do wszystkiego. Jestem zaskoczona, że Careane nie rozpoznała jej wcześniej, wszak razem odbywały przez dwa lata nowicjat. Prawo stanowi wyraźnie, Elayne. Uciekinierka musi zostać odziana w biel tak szybko, jak to tylko możliwe, i trzymana pod surowym nadzorem, póki nie wróci do Wieży, gdzie poniesie stosowną karę. Po czymś takim odechce jej się raz na zawsze uciekać!

Elayne powoli pokiwała głową, próbując wymyślić jakąś odpowiedź. Niezależnie od tego, czy Garenia – Zarya – planowała nową ucieczkę, nie należało dawać jej okazji. Była bardzo silna, jeśli

szło o władanie Mocą, Wieża nie pozwoliłaby jej odejść, nawet gdyby resztę życia miało jej zabrać zdobycie szala. Elayne jednak przypomniła sobie coś, co ta kobieta powiedziała, gdy spotkały się pierwszy raz. Wówczas sens jej słów nie całkiem do niej dotarł, teraz jednak pojęła, o co chodziło. W jaki sposób Zarya mogłaby przywdziać znowu biel nowicjuszki, po tym jak przez siedemdziesiąt lat żyła jako niezależna kobieta? Co gorsza, szepty wśród Kuzynek zaczynały powoli brzmieć niczym głuchy pomruk grzmotu. Nie zostawiono jej wiele czasu do namysłu, Kirstian bowiem padła zniecka na kolana, jedną dłonią chwytając rąbek spódnicy Adeleas.

– Zdaję się na waszą łaskę – oznajmiła tonem, który pozostawał w zadziwiającej sprzeczności z obliczem, z którego uciekła wszelka krew. – Zostałam wpisana do księgi nowicjuszek prawie trzysta lat temu i uciekłam niecały rok później. Przyznaję się i... błagam o zmiłowanie.

Tym razem to siwowłosa Adeleas wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia. Kirstian twierdziła, że uciekła z Wieży w czasach, gdy ona sama jeszcze była niemowlęciem, jeśli nawet nie przed jej narodzinami! Większość sióstr wciąż nie bardzo wierzyła w wiek, jakim szczyły się Kuzyнки. Kirstian w rzeczy samej wyglądała na kobietę, która dopiero wkroczyła w wiek średni.

Mimo to Adeleas szybko odzyskała panowanie nad sobą. Jakkolwiek stara była tamta kobieta, Adeleas była Aes Sedai dłużej, niżli wynosił żywot normalnego człowieka. Otaczała ją aura dojrzałości i autorytetu.

– Jeśli tak istotnie jest, dziecko – jej głos zdrzął odrobinę przy ostatnim słowie – to obawiam się, że ciebie również musimy odziać w biel. I oczywiście nie unikniesz kary, jednak zapewne zostanie ona złagodzona przez wzgląd na to, że dobrowolnie się przyznałaś.

– Dlatego też tak uczyniłam. – Spokojny ton głosu Kirstian zdrzął w chwili, gdy z wysiłkiem przełknęła ślinę. Była niemal równie silna jak Zarya... żadnej z Kółka Dziewiarskiego nie można było określić mianem słabej... i jej również strzeżono by bardzo starannie. – Wiedziałam, że prędzej czy później dowiecie się, kim jestem.

Adeleas pokiwała głową, jakby cała rzecz była zrozumiała sama przez się, aczkolwiek w jaki sposób ta kobieta miałaby zostać odnaleziona, Elayne nie potrafiła sobie wyobrazić. Szczerze wątpiła, by nazwisko Kirstian Chalwin było tym, pod którym się urodziła. Większość Kuzynek wierzyła wszelako we wszechwiedzę Aes Sedai. Przynajmniej do niedawna.

– Bzdury! – Nad paplaninę Rodziny wzbil się ochryply głos Sarainyi Vostovan. Zbyt słaba, by zostać Aes Sedai, ani też dostatecznie wiekowa, by zapewnić sobie wysoką pozycję wśród Rodziny, wciąż buntowniczo wychylała się ze stada. – Dlaczego miałybyśmy oddać je Białej Wieży? Pomagałyśmy kobietom, które uciekały, i bardzo dobrze zrobiłyśmy! Wydanie ich będzie wbrew naszym zasadom!

– Uważaj, co mówisz! – upomniała ją ostrym tonem Reanne. – Alise, przywołaj Sarinę do porządku, proszę. Wygląda na to, że sama zapomina o zbyt wielu zasadach, których znajomością się szczy.

Alise spojrzała na Reanne, jej oblicze wciąż pozostawało nieodgadnione. Alise, która twardą ręką egzekwowała zasady obowiązujące w Rodzinie.

– Wydanie uciekinierek byłoby sprzeczne z naszymi zasadami, Reanne – oznajmiła. Reanne zachwiała się jak uderzona.

– A jakim niby sposobem masz zamiar tego dokonać? – zapytała w końcu. – Nigdy nie dopuszczaliśmy uciekinierek do siebie, póki nie byłyśmy pewne, że nikt ich już nie ściga, a jeśli zostały wcześniej odnalezione, pozwalałyśmy siostronie je zabrać. Taka obowiązywała zasada, Alise. Jaką jeszcze inną zasadę chcesz złamać? Czy proponujesz może, abyśmy naprawdę sprzeciwiły się samym Aes Sedai? – Jej głos aż ociekał zdumieniem, że komuś mogłaby taka myśl przyjść do głowy,

jednak Alise wciąż patrzyła na nią w milczeniu.

– Tak! – krzyknął jakiś głos w tłumie Kuzynek. – Jest nas wiele, a ich tylko kilka! – Adeleas z niedowierzaniem przyjrzała się tłumowi. Elayne objęła *saidara*, aczkolwiek całym sercem była po stronie tego głosu. Kuzynek było zbyt wiele. Poczowała, że Aviendha również obejmuje Moc, a Birgitte gotuje się do walki.

Alise drgnęła, jakby ją właśnie wyrwano ze snu, a potem zrobiła rzecz znacznie bardziej słuszną, a z pewnością bardziej skuteczną.

– Sarainya – oznajmiła na głos – zgłosisz się do mnie, kiedy dzisiejszego wieczoru zatrzymamy się na noc, z różgą, którą wytniesz sobie, zanim stąd wyruszymy. Ty też, Asra, poznałam twój głos! – A potem, tak samo głośno, rzekła do Reanne: – Kiedy staniemy na spoczynek dziś wieczorem, przyjdę do ciebie, abyś mnie osądziła. Nie widzę, by któraś była gotowa do drogi!

Kuzynki prędko się rozeszły, kierując się na kwatery po swoje rzeczy, jednak Elayne widziała, że kilka naradza się cicho po drodze. Kiedy przejeżdżały przez most nad zamarznętym strumieniem, w którego zakręcie leżała wioska, Nynaeve zaś rozwodziła się z niedowierzaniem nad tym, co straciła, patrząc równocześnie, kogo by tu przywołać do porządku, Sarainya i Asra wiozły ze sobą różgi – podobnie jak Alise – natomiast Zarya i Kirstian pod ciemne płaszcze włożyły pośpiesznie skądś wyciągnięte białe sukienki. Poszukiwaczki Wiatru wytykały je palcami i śmiały się do rozpuku. Jednak wiele Kuzynek zbijało się w grupki, milknąc, kiedy tylko spoglądała na nie jakaś siostra lub inna kobieta z Kółka Dziewiarskiego. A gdy one z kolei patrzyły na Aes Sedai, w ich oczy zakradał się mrok.

Minęło osiem dni przedzierania się przez śniegowe zasy, gdy nie padało i zgrzytania zębami w kolejnych gospodach, gdy zadymka uniemożliwiała podróż. Osiem kolejnych dni zamartwiania się o Rodzinę patrzącą niemiło na siostry, dni, podczas których Poszukiwaczki nadymały się w obecności tak Rodziny, jak i Aes Sedai. Rankiem dziewiątego dnia Elayne zapragnęła, aby wszystkie wreszcie rzuciły się sobie wzajem do gardeł.

Właśnie się zastanawiała, czy ostatnie dziesięć mil dzielących je od Caemlyn minie bez mordy, kiedy Kirstian załomotała do ich drzwi i wparowała do środka, nie czekając na zaproszenie. Jej prosta wełniana sukienka nie miała odcienia bieli właściwego ubiorom nowicjuszek, ona sama zaś jakimś sposobem odzyskała wcześniejszą godność, jakby pewność czekającej ją przyszłości łagodziła bólączki chwili obecnej. Teraz jednak wykonała pośpieszny ukłon, przydeptyjąc sobie połą płaszczka i prawie się przewracając. W jej czarnych oczach lśnił lęk.

– Nynaeve Sedai, Elayne Sedai, lord Lan prosi, abyście natychmiast przyszły – oznajmiła bez tchu. – Nie kazał mi z nikim rozmawiać i was również o to prosi.

Elayne i Nynaeve wymieniły spojrzenia z Aviendhą i Birgitte. Nynaeve warknęła coś pod nosem o mężczyznach, którzy nie potrafią odróżnić spraw prywatnych od publicznych, ale zanim nawet zdążyła się zarumienić, wiadomo było, że sama nie wierzy w to, co mówi. Elayne czuła na sobie skupione spojrzenie Birgitte niczym wypuszczoną już strzałę szukającą celu.

Kirstian nie miała pojęcia, o co Lanowi chodzi, prócz tego, że ma je do niego doprowadzić. Dotarły w końcu do małej chatki obok Brodu Cullena, gdzie Adeleas zabrała Ispan poprzedniego wieczoru. Lan stał na zewnątrz, jego spojrzenie było zimne jak temperatura powietrza, i nie pozwolił Kirstian wejść do środka. Kiedy oczy Elayne już przywykły do półmroku, zrozumiała dlaczego.

Adeleas leżała na boku obok przewróconego stołka, tuż przy jej wyciągniętej dłoni, a na drewnianej podłodze walał się przewrócony kubek. Oczy miała otwarte, a wokół podciętego gardła rozlała się kałuża zaschniętej teraz krwi. Ispan spoczywała na wąskiej prycy, ze spojrzeniem utkwionym w sufit. Rozwarte spazmatycznie usta odsłaniały zęby, w wytrzeszczonych oczach zamarł



grymas ostatecznego przerażenia. I nic dziwnego, z jej piersi bowiem sterczał gruby jak nadgarstek drewniany kołek. Młotek, którego najwyraźniej użyto do wbicia go w ciało, spoczywał obok, na skraju ciemnej plamy, która sięgała pod pryczę.

Elayne jakoś opanowała natychmiastowy odruch wymiotny.

– Światłości – wyszeptała. – Światłości! Kto mógł coś takiego zrobić? Jak ktoś mógł coś takiego zrobić? – Aviendha w zdumieniu pokręciła głową, Lan nawet nie marnował czasu na taki gest. Czujnie rozglądał się we wszystkich kierunkach naraz, jakby oczekując, że sprawca, czy co tam to mogło być, odpowiedzialny za morderstwo zaraz wejdzie przez jedno z dwu maleńkich okienek, albo wręcz prosto przez ścianę. Birgitte wyciągnęła nóż zza pasa, a sądząc po wyrazie jej twarzy, gorąco żałowała, że nie ma przy sobie łuku. To wrażenie goniącej cel strzały jeszcze się nasiliło w głowie Elayne.

Nynaeve początkowo stała bez ruchu, przyglądając się wnętrzu chatki. Niewiele w nim było do oglądania, pomijając oczywiste rzeczy. Drugi stółek na trzech nogach, prowizoryczny stół z mrugającą lampą, zielony czajniczek i kolejny kubek, brzydki kominek z wygasłymi popiołami na palenisku. To wszystko. Chatka była tak mała, że Nynaeve musiała dać tylko jeden krok, aby znaleźć się przy stole. Zanurzyła palec w czajniczku z herbatą, potem posmakowała koniuszkiem języka, splunęła z obrzydzeniem i natychmiast wylała całą zawartość – strugę liści i naparu – na stół. Elayne zamrugła, zdziwiona.

– Co się stało? – zapytała chłodno Vandene, stając w drzwiach. Lan już chciał zagrozić jej drogę, ale powstrzymała go nieznacznym gestem. Elayne natomiast wyciągnęła dłoń, aby ją objąć, jednak potraktowana została w identyczny sposób. Vandene nie spuszczała oczu z siostry, na jej twarzy wciąż trwała maska spokoju Aes Sedai. Ciało martwej kobiety na pryczy równie dobrze mogłoby w ogóle nie istnieć. – Kiedy zobaczyłam, że wszyscy zmierzacie w tę stronę, pomyślałam sobie... – Jej głos również był wcieleniem spokoju, nic dziwnego jednak, skoro tak dobrze potrafiła panować nad wyrazem twarzy. – Co odkryłaś, Nynaeve?

Współczucie dziwnie nie pasowało do twarzy Nynaeve. Odkaszlęła i wskazała liście herbaty, nie dotykając ich jednak. Wśród czarnych kłaczek było zbyt dużo białych wiórków.

– To jest korzeń szkarłatnego ciernia – powiedziała, bez powodzenia próbując nadać swemu głosowi rzeczowe brzmienie. – Jest słodki, a więc możesz nie wyczuć jego smaku w herbacie, póki nie wiesz, czego się spodziewać, zwłaszcza kiedy lubisz ją słodzić dużą ilością miodu.

Vandene pokiwała głową, na chwilę nawet nie spuszczając oczu z ciała siostry.

– Adeleas podczas pobytu w Ebou Dar zasmakowała w słodkiej herbacie.

– W niewielkich ilościach może służyć jako środek przeciwbólowy – wyjaśniła Nynaeve. – W większych... W większych zabija, choć powoli. Wystarczyło nawet kilka łyków. – Wzięła głęboki oddech i dodała: – Przez całe godziny mogły zachowywać przytomność. Niezdolne nawet drgnąć, ale świadome tego, co się wokół nich działo. Albo ten, kto to zrobił, nie chciał ryzykować, że ktoś zdąży podać antidotum... sama jednak nie znam żadnego na napar tak silny... względnie chciał, by jedna bądź druga wiedziała, kto je zabija. – Elayne westchnęła, wyobrażając sobie brutalność takiego czynu, jednak Vandene zwyczajnie pokiwała głową.

– Myślę, że chodziło o Ispan, jej bowiem wyraźnie poświęcono więcej uwagi. – Siwowłosa Zielona najwyraźniej myślała na głos, próbując rozwiązać zagadkę. Podcięcie gardła oczywiście zabierało mniej czasu niż przebicie kołkiem czyjś serca. Jej spokój sprawiał jednak, że Elayne ciarki chodziły po plecach. – Adeleas nigdy nie przyjęłaby nic do picia z rąk nieznanegoj osoby, a zwłaszcza w sytuacji, gdy przebywała tutaj z Ispan. Z tych dwu faktów można wydedukować imię jej zabójcy. To Sprzymierzeniec Ciemności, który należy do naszej grupy. To ktoś z nas. – Elayne czuła

teraz jakby podwójny dreszcz pełznący po kręgosłupie, swój i Birgitte.

– Ktoś z nas – zgodziła się ze smutkiem Nynaeve. Aviendha zaczęła przesuwać kciukiem po ostrzu swego noża, jakby sprawdzała, czy nie stępsiał, i Elayne po raz pierwszy doskonale ją rozumiała.

Vandene poprosiła, aby przynajmniej na kilka chwil zostawiono ją samą z ciałem siostry, potem usiadła na podłodze i objęła Adeleas ramionami, jeszcze zanim na dobre opuścili chatkę. Jaem, nieco przygarbiony ze starości, Strażnik Vandene, czekał na zewnątrz w towarzystwie drżącej na całym ciele Kirstian.

Nagle wewnątrz chatki rozległo się łkanie, szloch z głębi gardła kobiety oplakującej ostateczną stratę. Nynaeve, właśnie ona, odwróciła się, chcąc wrócić, jednak Lan położył jej dłoń na ramieniu, Jaem zaś stanął przed drzwiami, a w oczach nie miał wiele więcej ciepła niż Lan. Nie można było nic zrobić, jak tylko zostawić ich samym sobie – Vandene by wypłakała swój ból i Jaema, aby jej strzegł. I dzielił z nią smutek, zdała sobie sprawę Elayne, czując w głowie ten splątany węzeł uczuć, który był Birgitte. Zadrżała, Birgitte zaś otoczyła ręką jej ramiona. Aviendha przytuliła się do niej z drugiej strony i dała znak Nynaeve, aby do nich dołączyła, co ta po chwili uczyniła. Mord, o którym Elayne myślała wcześniej tak beztrosko, naprawdę się wydarzył, jeden z ich towarzyszy był Sprzymierzeńcem Ciemności, a dzień zdał się zniecka tak zimny, jakby mróz sięgał aż do szpiku kości – jedyne ciepło mogła znaleźć w bliskości przyjaciółek.

Ostatnie dziesięć mil do Caemlyn minęło w pogrzebowych nastrojach i przebycie ich zabrało im dwa dni przez śniegi, przy czym nawet Poszukiwaczki Wiatru spuściły nieco z tonu. Oczywiście nie naciskały na Merilille ani odrobinę mniej. Kuzynki również nie przestały szeptać między sobą i milknąć na widok siostry lub kobiety z Kółka Dziewiarskiego. Vandene, która osiodłała własnego konia okutym srebrem siodłem swej siostry, wydawała się równie pełna spokoju ducha jak wcześniej nad grobem Adeleas, jednak w oczach Jaema zamarła milcząca obietnica śmierci, która z pewnością trawiła również serce Vandene. Elayne byłaby jednak znacznie szczęśliwsza, oglądając mury i wieże Caemlyn, gdyby sam ten widok potrafił jej ofiarować Różaną Koronę i mogła podziwiać go w towarzystwie Adeleas.

Nawet Caemlyn, jedno z największych miast świata, nigdy nie oglądało takiego oddziały jak ich, a kiedy znalazły się wewnątrz pięćdziesięciostopowych murów z szarego kamienia, wokół zaczęły gromadzić się tłumy ciekawskich i tak było przez całą drogę do Nowego Miasta, drogę wiodącą po szerokich ulicach zawalonych na pół stajalym śniegiem, pełnych ludzi, wozów i powozów. Sklepiarze stawali w drzwiach i beczelnie się gapili. Woźnice ściągali wodze zaprzęgów i wbijali w nich spojrzenia. Górujący nad obywatelami Aielowie i Panny przyglądali im się na pozór z każdego kąta. Ludzie nie zwracali na nich uwagi, jednak Elayne nie potrafiła ich w tym samym stopniu ignorować. Kochała Aviendhę jak samą siebie, a nawet bardziej, ale nie mogła pokochać armii uzbrojonych Aielów spacerujących po ulicach Caemlyn.

Widok Wewnętrznego Miasta otoczonego pierścieniem górujących nad nim biało-srebrnych murów, stanowił rozkosz przechowaną w pamięci – Elayne wreszcie poczuła, że oto wraca do domu. Pochyłe ulice biegnące po krzywiznach wzgórz, a za każdym wzniesieniem rozciągał się nowy widok na pokryte śniegiem parki i pomniki – tak usytuowane, by cieszyć oko zarówno spoglądających z góry, jak z dołu – albo wieże o jasnych dachówkach mieniących się setkami odcieni w popołudniowym słońcu. A potem mieli już przed sobą właściwy Pałac Królewski, cudo białych iglic i złotych kopuł oraz zawiłych kamiennych maswerków. Niemal z każdego położonego wyżej miejsca powiewała flaga Andoru, Biały Lew na czerwonym tle. A z pozostałych Sztandar Smoka i Sztandar Światłości.

Przed wysokimi, zdobnymi złoceniami bramami Pałacu, Elayne wysunęła się naprzód, sama, wciąż w ubrudzonej w podróży szarej sukni do konnej jazdy. Tradycja i legenda głosiły jednomyślnie, że kobiety, które po raz pierwszy przybywały do Pałacu w całym swym splendorze, zawsze kończyły źle. Wcześniej jasno dała wszystkim do zrozumienia, że ma zamiar wjechać do wnętrza sama, niemniej teraz prawie żałowała, że Aviendzie i Birgitte nie udało się jej sprzeciwić. Połowę ponad dwudziestu strażników przy bramach stanowili Aielowie i Panny, pozostali mieli na sobie niebieskie hełmy i niebieskie kaftany z czerwono-złotym Smokiem biegnącym skroś piersi.

– Jestem Elayne Trakand – oznajmiła głośno, zaskoczona swoim spokojnym głosem. Niemniej słowa zabrzmiały donośnie, poniosły się po całym wielkim placu i w jednej chwili wszyscy ludzie już nie patrzyli na jej towarzyszy, tylko na nią. – W imię Domu Trakand, prawem dziedzictwa potomkini Ishary, przybywam, by zgłosić swe roszczenia do Tronu Lwa w Andorze, jeśli taka wola Światłości.

Bramy otworzyły się szeroko.

Oczywiście nie wszystko mogło być tak proste. Nawet władza nad Pałacem nie wystarczała, by utrzymać tron całego Andoru. Elayne przekazała swych towarzyszy pod opiekę zdumionej Reene Harfor – równocześnie wyraźnie zadowolona, że siwiejąca Pierwsza Pokojowa, pulchna, za to królewska niczym pierwsza lepsza władczyni, wciąż trzyma Pałac w swych zdolnych dłoniach – oraz licznie zgromadzonej służby w czerwono-białej liberii i pośpieszyła do Wielkiej Sali, komnaty tronowej Andoru. Znowu całkiem sama. Nie było to częścią rytuału, jeszcze nie. Najpierw powinna przebrać się w czerwone jedwabie ze staniczkim obszytym perłami oraz białymi lwami wspinającymi się po rękawach, ale czuła jakiś wewnętrzny przymus, by pójść do komnaty tronowej.

Przeciwległe ściany Wielkiej Sali stanowiły dwie kolumnady, wysokie na dwadzieścia kroków. Sala tronowa wciąż była całkiem pusta. Nie potrwa to jednak długo. Jasne światło popołudnia sączyło się przez wysokie okna i mieszało z barwnymi promieniami wpadającymi przez witraże osadzone w suficie, na których Biały Lew Andoru przeplatał się ze scenami upamiętniającymi wielkie triumfy królestwa i wizerunkami najwcześniejszych królowych tych ziem, począwszy od samej Ishary, smagłej niczym Atha'an Miere i pełnej władczości jak, nie przymierzając, dowolna Aes Sedai. Żadna władczyni Andoru nie mogła zapomnieć o swych powinnościach w obliczu spoglądających na nią antenatek, które wykuły kształt królestwa.

Widoku jednej rzeczy obawiała się najbardziej – ogromnego mebla-potwora, tronu całego w złocene smoki, który widziała w Tel'aran'rhiod, na podwyższeniu w przeciwległym krańcu komnaty. Dzięki Światłości, nie było go tutaj. Tron Lwa zmienił miejsce – nie znajdował się już na wysokim cokole niczym wojenne trofeum, ale wrócił na podwyższenie; masywny, rzeźbiony i pozłacany, a jednak zrobiony dla kobiety. Biały Lew, wykonany z kamieni księżycowych osadzonych na polu z rubinów, będzie wznosił się nad głową każdej kobiety, która zajmie w nim miejsce. Żaden mężczyzna nie mógłby usiąść w nim wygodnie, legenda głosiła bowiem, że w ten sposób przypieczętuje swą zagładę. Elayne jednak sądziła, że najprawdopodobniej twórcy zwyczajnie zadbali o to, by na żadnego po prostu nie pasował.

Wspięła się po białych marmurowych schodach na podwyższenie, wsparła dłonie na poręczach tronu. Nie miała prawa w nim zasiąść, jeszcze nie. Dopiero gdy zostanie ukoronowana. Ale składanie przysięg na Tron Lwa stanowiło obyczaj równie stary jak sam Andor. Musiała tłumić w sobie pragnienie, by zwyczajnie uklęknąć i zapłakać, wtulając twarz w poduszkę wykładającą siedzisko. Gdyby pogodziła się już ze śmiercią matki, może by tak uczyniła. Teraz jednak żadną miarą nie mogła sobie pozwolić na załamanie.

– W imię Światłości, okażę się godna twej pamięci, Matko – powiedziała cicho. – Okażę się

godna pamięci Morgase Trakand i postaram się być godna Domu Trakand.

– Rozkazałam gwardzistom, by ciekawskich i pochlebców trzymali z daleka. Przypuszczałam, że przez jakiś czas zechcesz być tu sama.

Elayne odwróciła się powoli i obserwowała, jak Dyelin Taravin, złotowłosa kobieta, zmierza ku niej przez całą długość Wielkiej Sali. Dyelin była jedną z najdawniejszych poplecniczek jej matki, jeszcze w czasach, kiedy tamta dopiero znajdowała się w drodze do tronu. Obecnie w jej włosach było znacznie więcej siwizny, niżli Elayne zapamiętała, liczniejsze też zmarszczki znaczyły kąciki oczu. Wciąż jednak była bardzo piękna. Silna kobieta. I potężna, czy to jako wróg czy przyjaciel.

Zatrzymała się u stóp podwyższenia, spojrzała w górę.

– Od dwóch dni wiem, że żyjesz, ale aż do tej chwili tak naprawdę nie potrafiłam uwierzyć. Przyjechałaś więc, by przyjąć tron z ręki Smoka Odrodzonego?

– Zgłaszam roszczenia do tronu we własnym imieniu, Dyelin, i z własnej też ręki przejmę władzę. Tron Lwa to nie błyskotka, którą można przyjąć od mężczyzny. – Dyelin pokiwała głową, jakby przytakując oczywistej prawdzie, którą ten fakt był dla każdego Andoranina. – Jakie jest twoje stanowisko, Dyelin? Opowiesz się za Domem Trakand czy przeciw niemu? Po drodze tutaj często słyszałam twoje imię.

– Ponieważ masz zamiar zgłosić roszczenie do tronu we własnym imieniu, to jestem z tobą. – Niewielu ludzi potrafiło przemawiać głosem tak wyzutym z wyrazu jak ona. Elayne usiadła na górnym schodku, a potem dała znak starszej kobiecie, by do niej dołączyła. – Rzecz jasna, istnieje kilka przeszkód – ciągnęła dalej Dyelin, podwijając równocześnie błękitne spódnice. – Już zgłosiło się kilka pretendentek, o czym być może wiesz. Naean i Elenię umieściłam w ustronnym miejscu. Pod zarzutem zdrady, który najwyraźniej znajduje uznanie w oczach ludu. Przynajmniej na razie. Mąż Elenii wciąż aktywnie działa na jej rzecz, aczkolwiek po cichu. Jeszcze Arymilla zgłosiła swe pretensje, ta głupia gęś. Cieszy się pewnym poparciem, ale nie powinno cię to martwić. Prawdziwym przedmiotem twoich zmartwień... pominąwszy Aielów w całym mieście, czekających na powrót Smoka Odrodzonego... są Aemlyn, Arathelle i Pelivar. W chwili obecnej Luan i Ellorien poprą cię, ale mogą zmienić decyzję i przyłączyć się do jednej z frakcji.

Bardzo krótka była ta lista, przedstawiona tonem odpowiednim raczej dla dyskusji nad perspektywami handlu końmi. O Naean i Elenii wiedziała, nawet jeśli nie miała pojęcia, że Jarid wciąż sądził, iż jego żona ma jakąkolwiek szansę zdobycia tronu. Arymilla naprawdę była gęsią, jeśli wierzyła, że zyska poparcie. Ale ostatnie pięć imion mogło oznaczać kłopoty. Każde z nich było silnym poplecznikiem jej matki, podobnie jak Dyelin, i każde miało za sobą silny Dom.

– A więc Arathelle i Aemlyn chcą tronu – mruknęła Elayne. – Nie potrafię uwierzyć, że dotyczy to też Ellorien, że ona go pragnie dla siebie. – Pelivar mógł intrygować na rzecz jednej ze swych córek, ale Luan miał tylko wnuczki, żadna zaś nie była w odpowiednim wieku. – Sugerowałaś, zdaje się, że wszyscy mogą zewrzeć szeregi i poprzeć jeden Dom. Czyj? – To byłoby już śmiertelnie groźne.

Dyelin uśmiechnęła się i wsparła podbródek dłonią.

– Najwyraźniej sądzą, że to ja powinnam zasiąść na tronie. Ale porozmawiajmy lepiej o tym, co zamierzasz począć ze Smokiem Odrodzonym. Wprawdzie od jakiegoś czasu przestał nas odwiedzać, ale wygląda na to, że w każdej chwili może zjawić się niespodzianie.

Elayne na chwilę zacisnęła z całej siły powieki, kiedy jednak je otworzyła, wciąż siedziała na stopniu podwyższenia Wielkiej Sali, a Dyelin dalej się do niej uśmiechała. Jej rodzony brat walczył w armii Elaidy, a przyrodni był Białym Płaszczem. Wprowadziła do Pałacu kobiety, które w każdej

chwili mogą się zwrócić przeciw sobie, nie wspominając o tym, że spośród nich jedna mogła okazać się Sprzymierzeńcem Ciemności, albo wręcz Czarną Ajah. A największa przeszkoda, z jaką mogła mieć do czynienia przy zgłaszaniu roszczeń do tronu, zdecydowanie najsilniejsza, ucieleśniała się w kobiecie, która wcześniej wyraziła jej swe poparcie. Świat chyba zupełnie oszalał. Równie dobrze mogła do tego dorzucić swoje trzy grosze.

– Zamierzam związać go ze sobą jako mego Strażnika – powiedziała i ciągnęła dalej, zanim tamta kobieta zdołała choć zamrunąć z zaskoczenia. – Mam również nadzieję go poślubić. Wszelako nie ma to nic wspólnego z Tronem Lwa. Pierwszą rzeczą, jaką zamierzam uczynić...

I kiedy tak przemawiała, Dyelin wreszcie wybuchnęła śmiechem. Elayne żałowała, że nie ma pojęcia, czy sprawiła to doskonałość jej planów, czy też Dyelin widziała przed sobą coraz bardziej gładką drogę do Tronu Lwa. Ale przynajmniej wiedziała teraz, z czym ma do czynienia.

Wjeżdżając do Caemlyn, Daved Hanlon już sobie wyobrażał, jak wspaniale przeszukiwałoby się to miasto. Podczas lat spędzonych na żołnierce widział już wiele splądrowanych miasteczek i wiosek, a raz nawet, dwadzieścia lat temu, brał udział w plądrowaniu samego Cairhien, po tym jak opuścili je Aielowie. Dziwne, że ci Aielowie zostawili Cairhien właściwie nietknięte. Wtedy też, gdyby nie spalone wysokie wieże Cairhien, można by sądzić, że w ogóle tam nie zawitali; mnóstwo złota i innych kosztownych rzeczy leżało, czekając tylko, aż ktoś je sobie weźmie, i nic dziwnego, że wielu ludzi postanowiło skorzystać z okazji. Stawały mu teraz przed oczami tamte szerokie ulice pełne jeźdźców i pierzchających mieszkańców, grubych kupców wyzbywających się swego złota, jeszcze zanim przystawiono im nóż do gardła, w próżnej nadziei, że darowane zostanie im życie, szczupłe dziewczęta i pulchne kobiety tak przerażone, kiedy ciągnięto je w ciemne kąty, że ledwie zdolne pisnąć, a co dopiero opierać się. Spoglądał na to i sam to robił, i miał nadzieję, że kiedyś znowu będzie mu to dane. Nie w Caemlyn zapewne, musiał z westchnieniem przyznać. Gdyby rozkazy, które wysłały go do tego miasta, były z rodzaju tych, których można nie wypełnić, pojechałby tam, gdzie łupy nie są może równie bogate, ale z pewnością łatwiejsze do zdobycia.

Instrukcje jednak były jasne. Zostawił konia w stajni gospody „Pod Czerwonym Bykiem”, w Nowym Mieście, potem pokonał milę, by dojść do wysokiego budynku z kamienia w bocznej uliczce, domostwa bogatego kupca nie szczycącego się swym bogactwem. Dom był oznakowany jedynie drobnym godłem na drzwiach – czerwone serce w złotej dłoni. Przysadzisty mężczyzna o reumatycznych stawach i ponurym wejrzeniu, który wpuścił go do środka, był służącym kupca. Nie wymieniwszy z nim jednego słowa, poszedł jego śladem w głąb domostwa, potem na dół, do piwnic. W pewnej chwili Hanlon poluzował miecz w pochwie. W życiu spotykał wielu ludzi, i mężczyzn, i kobiety, których porażki wiodły niekiedy do wyszukanych egzekucji. Nie uważał, by sam poniósł porażkę, ale z kolei trudno było jego operację uznać za sukces. Stosował się przecież do rozkazów, co wszelako nie zawsze wystarczało.

W prymitywnej kamiennej piwnicy, oświetlonej jasno licznymi połączanymi lampami, jego spojrzenie początkowo spoczęło na ślicznej kobiecie w sukni ze szkarłatnego jedwabiu, wykończonyj koronką, z włosami ujętymi w koronkową siateczkę. Nie miał pojęcia, kim też jest ta lady Shiaine, ale rozkazy nakazywały mu absolutne posłuszeństwo wobec niej. Ukłonił się więc najlepiej, jak potrafił, i uśmiechnął szeroko. Ona zaś zwyczajnie zmierzyła go spojrzeniem, jakby czekała, czy zauważy, co jeszcze znajduje się w piwnicy.

A nie zauważyć było raczej trudno, ponieważ w pomieszczeniu z wyjątkiem kilku baryłek znajdował się jedynie wielki, ciężki stół, zaiste w dziwny sposób udekorowany. W blacie wycięto

dwa owalne otwory, z jednego wystawały ramiona mężczyzny, którego głowę odciągnięto w tył i unieruchomiono skórzanymi pasami, z jednej strony przybitymi do drewnianej powierzchni, z drugiej zaś przymocowanymi do drewnianego klocka wetkniętego między zęby. Drugą ozdobę stołu stanowiła kobieta, skrępowana w identyczny sposób. Oboje klęczeli w niewygodnej pozycji pod blatem stołu, z nadgarstkami uwiązanymi do kostek. Mężczyzna miał ślady siwizny we włosach i twarz lorda, a jednak dziko przewracał głębooko osadzonymi oczyma, czemu raczej trudno się było dziwić. Włosy kobiety, rozrzucone na blacie stołu, były ciemne i lśniące, jednak twarz miała nieco zbyt pociągłą, jak na gust Hanlona.

W pewnym momencie przyjrzał jej się uważniej i dłoń niemal skoczyła do miecza, zanim zdołał opanować ten gest. Rozluźnienie uścisku na rękojeści wymagało sporego wysiłku, który jednak ze wszystkich sił starał się ukryć. Oblicze należało wprawdzie do Aes Sedai, niemniej Aes Sedai, która pozwoliła się tak związać, nie mogła stanowić żadnego zagrożenia.

– A więc jednak jesteś niegłupi – powiedziała Shiaine. Wnosząc z akcentu, była szlachcianką, z pewnością otaczała ją władcza aura; teraz okrążyła stół i spojrzała w twarz związanego mężczyzny. – Poprosiłam Wielkiego Pana Moridina, aby przysłał mi człowieka, który potrafi myśleć. Nasz biedny Jaichim, którego tu widzisz, nie bardzo się nadawał.

Hanlon zmarszczył brwi i nieomal natychmiast przybrał znowu obojętny wyraz twarzy. Jego rozkazy pochodziły od samej Moghedien. Któż to, na Szczelinę Zagłady, mógł być Moridin? Nieważne. Jego rozkazy pochodziły od Moghedien, i to wystarczy.

Przysadzisty jegomość podał Shiaine lejek, który ona umieściła w otworze przewierconym przez drewniany knebel w ustach biednego Jaichima. Oczy tamtegoomalże nie wyszły z orbit.

– Nasz biedny Jaichim zawiódł doprawdy straszliwie – powiedziała Shiaine, uśmiechając się niczym lis na widok kury. – Moridin chce, aby go ukarano. Biedny Jaichim bardzo lubi swoją brandy.

Odsunęła się trochę tak, by móc wszystko dobrze widzieć, a Hanlon wzdrygnął się, kiedy przysadzisty mężczyzna podszedł do stołu, niosąc jedną z baryłek. Hanlon nie sądził, by sam potrafił bez pomocy ją unieść, tamten jednak zrobił to z wyraźną łatwością. Skrępowany mężczyzna krzyknął raz, a potem strumień ciemnego płynu polał się z baryłki do lejka, zmieniając jego krzyki w bulgotanie. Ostry zapach kiepskiej brandy wypełnił powietrze. Choć związany mężczyzna szarpał się, ciskał w więzach, udało mu się nawet nieco przechylić stół na bok, brandy dalej lała się prosto do jego gardła. W otworze lejka pojawiły się pęcherzyki powietrza, więzień wciąż próbował krzyczeć, a po chwili jego wysiłki osłabły, w końcu znieruchomiał. Rozszerzone szkliste oczy wpatrywały się w sufit, z nosa sączył się strumyczek brandy. Wielkolud nie przestał, póki z opróżnionej baryłki nie wypłynęły ostatnie krople.

– Przypuszczam, że biedny Jaichim ma już dość brandy – powiedziała Shiaine i zaśmiała się rozkosznie.

Hanlon skinął głową. Zgadzał się z nią całkowicie. Zastanawiał się, kim też mógł być.

Shiaine jeszcze nie skończyła. Na jej znak przysadzisty mężczyzna oderwał z gwoźdźcia jeden z pasów mocujących knebel Aes Sedai. Hanlenowi zdało się, że brutalnie wyszarpnięty knebel mógł obluźować kilka wyszczerzonych zębów, niemniej kobieta w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Zaczęła bełkotać, jeszcze zanim tamten wyjął knebel na dobre.

– Będę ci posłuszną! – wyła. – Zrobię wszystko, co rozkaże Wielki Władca! On oddzielił mnie tarczą, która miała rozplynać się z czasem, abym mu była posłuszną! Tak mi powiedział! Daj mi tego dowieść! Będę pełzać! Jestem robakiem, a ty jesteś słońcem! Och, proszę! Proszę! Proszę!

Shiaine zdusiła słowa, ale nie jęki płynące z ust tamtej, zamykając je swoją dłonią.

– Skąd mogę mieć pewność, że nie zawiedziesz powtórnie, Falion? Zawiodłaś już raz, a

Moridin pozostawił ukaranie ciebie mojej decyzji. Dał mi następnego człowieka, czy potrzebuję aż dwojga? Może dam ci jeszcze jedną szansę, Falion... może... ale jeśli tak uczynię, będziesz musiała mnie przekonać. Oczekuję niekłamanego entuzjazmu.

W chwili gdy Shiaine odjęła dłoń od jej ust, Falion zaczęła znowu błagać o łaskę, składając zupełnie nieprawdopodobne obietnice. Wkrótce jednak, gdy knebel wrócił na swoje miejsce, jej słowa przeszły w nieartykułowane krzyki i łkania; po chwili skórzana taśma została przymocowana do gwoźdźca, a lejek Jaichima umieszczony został nad jej rozwartym gardłem. Przsadzisty mężczyzna postawił następną baryłkę na blacie stołu, tuż obok jej głowy. Aes Sedai chyba musiała oszaleć, przewracała wychodzącymi z orbit oczyma, ciskając skrępowanym ciałem z taką siłą, że cały stół się trząsał.

Hanlon był pod wrażeniem. Aes Sedai z pewnością trudniej złamać niż jakiegoś pulchnego karczmarza czy też jego córeczkę o tłustych policzkach. Wychodziło jednak na to, że ona miała do pomocy jednego z Wybranych. Zdał sobie sprawę, że Shiaine patrzy na niego, więc przestał patrzeć z uśmiechem na Falion. W życiu kierował się zasadą: nigdy nie obrażaj tych, których Wybrani postawili nad tobą.

– Powiedz mi, Hanlon – zaczęła Shiaine – jak by ci się podobało, gdybyś mógł położyć swoje ręce na królowej?

Mimowolnie oblizał wargi. Królowa? Tego jeszcze w życiu nie robił.

# ROZDZIAŁ 29

## KUBEK SNU

– Nie zachowuj się jak welnianogłowy idiota, Rand – powiedziała Min. Nie wstając, założyła nogę na nogę i teraz beztrąsko wymachiwała stopą, w jej głosie wciąż jednak pobrzmiwało rozdrażnienie. – Udaj się do niej! Porozmawiaj z nią!

– Po co? – warknął. – Teraz już wiem, któremu listowi wierzyć. Lepiej, że to się tak skończyło. Teraz jest już bezpieczna. Przed każdym, kto będzie chciał uderzyć we mnie. Bezpieczna przede mną! Tak jest lepiej! – Ale nie mógł usiedzieć spokojnie, wędrował w tę i w tę w rozpiętej koszuli, między dwoma rzędami foteli zwieńczonymi Tronem Smoka, z zaciśniętymi pięściami, nasrożony podobnie jak te czarne chmury za oknami, które właśnie zasypywały Cairhien kolejną warstwą śniegu.

Min wymieniła spojrzenia z Fedwinem Morrem, który stał przy drzwiach ozdobionych wizerunkiem słońca. Panny pozwalały teraz swobodnie wchodzić każdemu, kto nie stanowił oczywistego zagrożenia, jednak ci, których Rand tego ranka nie chciał widzieć, zostaliby zawróceni przez tego muskularnego młodzieńca. Przy czarnym kołnierzu nosił Smoka i Miecz, a Min była pewna, że w życiu widział już więcej bitew – więcej grozy – niżli większość mężczyzn trzykroć odeń starszych, jednak dalej był tylko chłopcem. Dzisiaj zaś, kiedy tak rzucał niepewne spojrzenia na Randa, sprawiał wrażenie młodszego niż zazwyczaj. Miecz przy jego pasie w jej oczach wciąż zdawał się trochę nie na miejscu.

– Smok Odrodzony też jest tylko mężczyzną – powiedziała. – A jak każdy mężczyzna, dąsa się, ponieważ sądzi, że pewna kobieta nie chce go więcej oglądać na oczy.

Morr spojrział na nią wytrzeszczonymi oczami i podskoczył, jakby dała mu kuksańca w bok. Rand zatrzymał się, by zmierzyć ją ponurym spojrzeniem. Przed natychmiastowym wybuchem śmiechu powstrzymywała ją tylko wiedza, że on skrywa ból równie rzeczywisty jak każda prawdziwa rana. To oraz pewność, że jeśli ona to zrobi, zrani go równie mocno jak postępek tamtej. Nie chodziło nawet o to, że będzie kiedykolwiek miała okazję zedrzeć jego sztandary, ale sens był ten sam. Rand początkowo był ogłuszony wieściami, które Taim przyniósł o świcie z Caemlyn, ale kiedy tylko tamten wyszedł, przestał wyglądać jak byk mordowany toporem i zaczął się zachowywać... o, właśnie tak!

Wstała i wygładziła bladozielony kaftan, zaplotła ramiona na piersiach, zwróciła się bezpośrednio do niego.

– A o cóż jeszcze może chodzić? – zapytała spokojnie. Cóż, próbowała zdobyć się na spokój i nieomal jej się udało. Kochała tego mężczyznę, jednak po takim poranku chciała już tylko porządnie natrzeć mu uszu. – Nawet dwa razy nie wspomniałeś o Macie i nie masz pojęcia, czy on choćby żyje.

– Mat żyje – warknął Rand. – Wiedziałbym, gdyby zginął. Co masz na myśli, mówiąc, że ja!... – Zacisnął szczęki, jakby nie potrafił się zmusić do wypowiedzenia tego słowa.

– Dąsas się – podpowiedziała. – Wkrótce zaczniesz wydymać wargi. Niektóre kobiety uważają, że mężczyźni robią się ładniejsi, kiedy wydymają wargi. Ja do nich nie należę. – Cóż, dość tego. Twarz mu pociemniała, i to bynajmniej nie od rumieńca. – Czy nie stawałeś na głowie, byle tylko ona odzyskała tron Andoru? Który zresztą należy jej się prawem urodzenia, można by dodać. Czy nie powtarzałeś, że za wszelką cenę chcesz jej ofiarować Andor w całości, nie zaś rozdarty jak Cairhien albo Łza?



– Tak było! – wrzasnął. – A teraz, kiedy już należy do niej, ona chce, żebym się z niego wyniósł! I bardzo dobrze, powiadam! Tylko mi nie mów znowu, żebym przestał krzyczeć! Ja wcale!... – Zdał sobie sprawę, że jednak krzyczy, i z głośnym szczękiem zębów zamknął usta, a z jego gardła dobył się niski pomruk. Morr udawał, że interesuje się wyłącznie jednym ze swoich guzików, który wykręcał we wszystkie strony. Tego ranka dużo uwagi poświęcał swoim guzikom.

Min starała się utrzymywać niewzruszony wyraz twarzy. Nie miała zamiaru go policzkować, a był zbyt wielki, żeby mu spuścić lanie...

– Andor jest jej – powiedziała. Spokojnie. Prawie. – Żaden z Przeklętych nie zainteresuje się nią już, odkąd zdarła z masztów twoje sztandary. – W niebieskoszarych oczach zapaliły się niebezpieczne światełka, jednak postanowiła nie rezygnować. – Tak jak chciałeś. I kręcisz głową, bo ci się wydaje, że sprzymierzyła się z twoimi wrogami. Andor zawsze opowie się po stronie Smoka Odrodzonego, dobrze o tym wiesz. A więc jedynym powodem twojego wzburzenia jest przekonanie, że ona nie chce cię już więcej widzieć na oczy. Udaj się do niej, ty głupcze! – Teraz przyszła kolej na najtrudniejsze. – Rzuci ci się w ramiona, zanim zdążysz powiedzieć dwa słowa. – Światłości, kochała Elayne prawie równie mocno jak Randa... może nawet równie mocno, tylko w inny sposób... jak jednak miała konkurować z piękną złotowłosą królową, która miała cały kraj u swych stóp, i to na jedno skinienie?

– Nie jestem... zły – powiedział Rand napiętym głosem. I znowu zaczął spacerować po komnacie. Min zastanawiała się, czy nie kopnąć go w pośladki. Z całej siły.

Drzwi otworzyły się i do środka weszła pomarszczona, siwowłosa Sorilea, która zwyczajnie odsunęła Morra z drogi, choć ten próbował się dowiedzieć, czy Rand ją przyjmie. Rand otworzył już usta – ze złością, wbrew swoim wcześniejszym zapewnieniom – i wtedy zobaczył pięć kobiet w grubych czarnych szatach, ociekających wodą ze stopniałego śniegu, które wsunęły się do komnaty za Mądram, ze splecionymi dłońmi, spuszczonej oczyma, w głębokich kapturach, które jednak nie do końca skrywały im twarze.

Min poczuła, że włosy jeżą się jej na głowie. Przed oczyma zawirowały obrazy i aury, tańczące wokół sześciu kobiet i otaczające Randa. Wcześniej miała nadzieję, że zapomniał w ogóle o istnieniu tej piątki. Cóż, w imię Światłości, ta paskudna starucha sobie wyobrażała?

Sorilea wykonała pojedynczy gest dłonią, któremu towarzyszył szcęk bransolet ze złota i kości słoniowej, a cała piątka pośpiesznie ustawiła się w rzędzie na Wschodzącym Słońcu osadzonym w kamiennej posadzce. Rand przeszedł wzdłuż szeregu, odrzucając im z głów kaptury i obnażając twarze, w które patrzył zimnym wzrokiem.

Żadna z tych odzianych w czerń kobiet od dawna się nie myła, ich włosy były pozlepiane i tłuste od potu. Elza Penfell, Zielona siostra, skwapliwie spojrzała mu w oczy, na jej twarzy rozblęsnęła dziwna żarliwość. Nesune Bihara, szczupła Brązowa, wpatrywała się w niego tak samo intensywnie jak on w nią. Sarene Nemdahl, piękna mimo pokrywającego ją brudu. Nie sposób więc było uwierzyć, że ta pozbawiona zmarszczek twarz nie jest całkowicie naturalna, zachowywała charakterystyczny dla Białych chłód, ale najwyraźniej z trudem. Beldeine Nyram, zbyt niedawno wyniesiona do szala, aby jej oblicze nabrało typowego braku śladów przeżytych lat, spróbowała niepewnego uśmiechu, który jednak szybko stopniał pod jego spojrzeniem. Erian Boroleos, blada i niemalże równie śliczna jak Sarene, mrugnęła, potem z trudem zmusiła się, by spojrzeć w te lodowate oczy. Ostatnie dwie również były Zielone, a wszystkie pięć należało do sióstr, które porwały go na rozkaz Elaidy. Niektóre nawet torturowały go w drodze do Tar Valon. Rand nawet teraz czasami budził się po nocy, ciężko dysząc i sphywając potem, mamrocząc coś o zamknięciu, o biciu. Min miała nadzieję, że w jego oczach nie widać żądz mordy.

– Oto te, które zostały policzone w poczet da'tsang, Randzie al'Thor – oznajmiła Sorilea. – Moim zdaniem czują teraz swą hańbę aż do szpiku kości. Erian Boroleos była pierwsza, która poprosiła, żeby bito ją tak, jak ciebie bito, o świcie i zmierzchu, ale potem przyszła kolej na pozostałe. Ich błaganiom stało się zadość. Każda prosiła, by jej pozwolono służyć ci w dowolny sposób. Nie są w stanie sprostać toh swej zdrady – w jej głosie zabrzmiały na moment mroczne tony; dla Aielów tanto zdradzieckie porwanie było czymś znacznie gorszym od wszystkiego, co zrobiły potem – ale wiedzą, na czym polega ich hańba i chcą spróbować. Postanowiłyśmy wybór zostawić tobie.

Min zmarszczyła brwi. Jemu zostawiały wybór? Mądre niezmiernie rzadko zostawiały w czyjejkolwiek gestii wybór, którego mogły same dokonać. Sorilea nigdy tak nie postępowała. Żyłasta Mądra obojętnie otuliła szalem ramiona i obserwowała Randa, jakby cała sprawa nie miała żadnego znaczenia. Łypnęła jednak w stronę Min pojedynczym spojrzeniem niebieskiego lodu i nagle Min zrozumiała, że jeśli powie teraz niewłaściwe słowo, to z całą pewnością stara obedrze ją ze skóry. Nie była to kwestia wizji. Po prostu znała już Sorileę lepiej, niżby sobie życzyła.

Z determinacją skoncentrowała uwagę na obrazach, które pojawiały się i znikwały wokół zebranych kobiet. Nie było to łatwe, bo stały blisko siebie, i nie miała pewności, która wizja odnosi się do której kobiety. Dobre i to, że przynależności aury mogła zawsze być pewna. Światłości, żeby tylko potrafiła zrozumieć chociaż część z tego, co widziała!

Rand przyjął deklarację Sorilei chłodno, przynajmniej tak się z pozoru wydawało. Powoli zatarł dłonie, z namysłem wbił wzrok w czaple, którymi ozdobione były jego przedramiona, przyjrzał się kolejno każdej Aes Sedai. Na koniec skupił wzrok na Erian.

– Dlaczego? – zapytał ją delikatnie. – Zabiłem dwóch twoich Strażników. Dlaczego? – Min skrzywiła się. Rand krył w sobie różne oblicza, rzadko jednak bywał delikatny. A Erian była jedną z tych kilku, które były go częściej niż raz.

Błada Illianka wyprostowała się. Obrazy zatańczyły wokół niej, aury rozbłyskały i znikwały. Min niczego nie potrafiła odczytać. Erian o umazanej twarzy, ze splątanymi długimi czarnymi włosami, jakoś zdołała zebrać w sobie powagę Aes Sedai i spojrzała zimno w jego oczy. Odpowiedziała mu jednak prosto i bezpośrednio. – Żle uczyniłyśmy, porywając cię. Długo się nad tym zastanawiałam. Musimy stoczyć Ostatnią Bitwę, w której powinieneś spodziewać się naszej pomocy. Jeśli nie przyjmiesz mojej, zrozumiem, ale jeśli mi pozwolisz, pomogę, jak tylko będę w stanie.

Rand popatrzył na nią spojrzeniem bez wyrazu.

Każdej po kolei zadawał to samo pytanie złożone z pojedynczego słowa, a ich odpowiedzi były tak różne, jak stojące przed nim kobiety.

– Zielone są Bitewnymi Ajah – odrzekła dumnie Beldeine. Mimo smug na policzkach i ciemnych kręgów pod oczyma, naprawdę wyglądała jak Królowa Bitwy. Ale dla saldaeańskich kobiet było to chyba drugą naturą. – Kiedy pójdiesz walczyć w Tarmon Gai'don, Zielone muszą być tam z tobą. Ja też będę walczyć, jeśli mi pozwolisz. – Światłości, ona chyba miała zamiar związać Asha'mana więzią Strażnika! Jak?... Nie, teraz było to nieważne.

– To, co zrobiłyśmy, wydawało się w swoim czasie jedynym logicznym rozwiązaniem. – Zaznaczona lekkim napięciem chłodna niewzruszoność Sarene zamieniła się w otwarte zmartwienie, pokręciła głową. – Powiedziałam to w charakterze wyjaśnienia, nie usprawiedliwienia. Okoliczności się zmieniły. Dla ciebie logiczne może się wydawać postępowanie... – Wciągnęła wyraźnie drżący oddech. Obrazy i aury; burzliwy romans, ze wszystkich możliwych rzeczy! Ta kobieta była czystym lodem, jakkolwiek nie była piękna. I cóż za pożytek z wiedzy, że jakimś mężczyźnie uda się ją stopić! – Sprowadzające się do odesłania nas z powrotem w niewolę –

ciągnęła dalej – albo nawet stracenia nas. Jeśli o mnie chodzi, logika dyktuje, abym ci służyła.

Nesune przekrzywiła głowę, a jej prawie czarne oczy zdawały się chłonać każdy okruch jego wyglądu. Jedna czerwono-zielona aura mówiła o sławie i chwale. Ponad jej głową pojawił się ogromny budynek, a po chwili zniknął. Biblioteka, którą założy.

– Chciałam cię badać – powiedziała po prostu. – Nie bardzo mogę to robić, dźwigając głazy lub kopiąc dziury. Przy tych zajęciach zostaje jednak dużo czasu na myślenie, służba u ciebie zdaje mi się stosowną zapłatą za wszystko, czego się dowiem. – Rand zamrugał, słysząc te słowa, ale poza tym wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

Najbardziej jednak zaskakującej odpowiedzi udzieliła Elza, i to raczej sposób był zaskakujący niżli same słowa. Uklękła, a potem uniosła wzrok i spojrzała na Randa zapalczywymi oczami. Jej cała twarz zdawała się aż promienieć żarliwością. Aury rozbłysły, otoczyły ją kaskady obrazów, z których wszelako nic nie wynikało.

– Jesteś Smokiem Odrodzonym – powiedziała bez tchu. – Musisz dożyć do Ostatniej Bitwy. A ja muszę ci w tym pomóc! Zrobię wszystko, co konieczne! – I padła twarzą na posadzkę, przyciskając usta do wypolerowanych kamieni przed jego butami. Nawet Sorilea wyglądała na wstrząśniętą, Sarene zaś dosłownie opadła szczeka. Morr zagapił się, ale natychmiast powrócił do kręcenia guzikiem. Min zdało się, że zachichotał nerwowo,omalże niesłyszalnie.

Rand zawrócił na pięcie i pokonał połowę drogi do Tronu Smoka, gdzie na jego haftowanym złotem czerwonym kaftanie spoczywały berło i korona Illian. Wyraz jego twarzy pozostawał tak nieodgadniony, że Min chciała natychmiast doń podbiec, nie dbając już, kto ich obserwuje, ale zamiast tego dalej patrzyła na Aes Sedai. I na Sorileę. Wokół tej białowłosej jędzy nie zobaczyła jeszcze nigdy nic użytecznego.

Nagle Rand odwrócił się i podszedł do szeregu kobiet tak szybko, że Beldeine i Sarene aż się cofnęły o krok.

– A czy zgodzicie się, by was zamykano w jakiejś skrzyni? – Jego głos aż zgrzytał, odgłosem jednego zamarniętego kamienia pocieranego o drugi. – Zamykano na cały dzień w skrzyni, a przedtem bito, bito przed zamknięciem i również potem, kiedy będziecie wypuszczane? – To właśnie mu zrobiły.

– Tak! – jęknęła Elza z ustami przyciśniętymi do posadzki.

– Cokolwiek muszę zrobić, zrobię!

– Jeśli tego żądasz – zdołała wykrztusić trzęsącym się głosem Erian, a pozostałe, z obliczami zdjętymi grozą, po kolei kiwały głowami.

Min patrzyła zadziwiona, zaciskając pięści w kieszeniach kaftana. To, że pomyślał o zrewanżowaniu się im w ten sam sposób, wydawało się jak najbardziej naturalne, ale ona musiała mu jakoś przeszkodzić. Znała go lepiej niż on znał sam siebie, wiedziała, w jakich okolicznościach jest twardy jak żelazo, a kiedy łatwo go zranić, niezależnie od jego zapalczawych zaprzeczeń. Nigdy sobie tego nie wybaczy. Ale co tu zrobić? Furia wykrzywiła mu twarz, kręcił głowę w taki sposób, w jaki to zawsze czynił, gdy klócił się z tym wewnętrznym głosem. Otwarcie wymamrotał tylko jedno słowo, które zrozumiała. Ta'veren. Sorilea wciąż stała bez ruchu, przypatrując mu się równie uważnie jak Nesune. Wyglądało na to, że nawet groźba zamknięcia w skrzyni nie potrafiła wstrząsnąć Brązową siostrą. Z wyjątkiem Elzy, która wciąż łkała i całowała posadzkę, pozostałe miały puste spojrzenia, jakby już widziały się związane w pól i zamknięte, jak on niegdyś.

Wśród wszystkich tych obrazów, które wirowały wokół Randa i kobiet, nagle jedna aura rozbłysła szczególnie jaskrawo, błękitna i żółta, nakrapiana zielenią, i objęła wszystkich. I Min wiedziała, co ona oznacza. Westchnęła, na poły z zaskoczenia, na poły z ulgi.

– One wszystkie będą ci służyć, Rand, każda na swój sposób – powiedziała pośpiesznie. – Widziałam to. – Sorilea będzie mu służyć? Nagle Min zwątpiła w to, co właściwie może znaczyć określenie „na swój sposób”. Słowa te całkowicie bezwiednie wyrwały się z jej ust, ale przecież w swych wizjach nie zawsze wiedziała, co same słowa oznaczają. Służyć jednak będą, to było pewne.

Furia zniknęła z twarzy Randa, zaczął się spokojnie przyglądać Aes Sedai. Parę zerkało na Min spod uniesionych brwi, najwyraźniej zdumione, że te kilka słów mogło wywrzeć taki skutek, reszta jednak nie odrywała wzroku od Randa, ledwie oddychając. Nawet Elza uniosła głowę, by nań spojrzeć. Sorilea obrzuciła Min przelotnym spojrzeniem i nieznacznie skinęła głową. Z aprobatą, jak sądziła Min. A więc stara kobieta tylko udawała, że nie obchodzi jej, jak wszystko się skończy?

W końcu Rand przemówił:

– Możecie złożyć mi przysięgę lojalności, tak jak Kiruna i pozostałe. W przeciwnym razie wróćcie do miejsca, gdzie trzymają was Mądre, gdziekolwiek by to było. Nic mniej. – Mimo lekkiej nuty rozkazu w głosie, miał taką minę, jakby on również nie dbał już o całą sprawę, zaplótł ramiona na piersiach, w oczach lśniła niecierpliwość. Przysięga, której się od nich domagał, wylała się z ich ust potokami słów.

Min nie spodziewała się żadnych oporów z ich strony, przynajmniej po tym, co dostrzegła w wizji, ale rezultat nawet ją zaskoczył – Elza podniosła się na klęczki, a pozostałe opadły na kolana. Nierównym chórem pięć kolejnych Aes Sedai przysięgło na Światłość i swoją nadzieję zbawienia, że będą wiernie służyć Smokowi Odrodzonemu do chwili, aż Ostatnia Bitwa rozpocznie się i skończy. Nesune wymawiała słowa, jakby zastanawiając się nad każdym z osobna, Sarene, jakby konstatowała aksjomaty logiki, Elza z szerokim triumfalnym uśmiechem, wszystkie jednak przysięgły. Jak wiele Aes Sedai zgromadzi się w końcu wokół niego?

Odebrawszy przysięgę, Rand z pozoru stracił zainteresowanie.

– Znajdźcie im jakieś rzeczy i umieśćcie wraz z pozostałymi „uczennicami” – nieobecny głosem poinformował Sorileę. Na czoło wypełził mu mars, ale to nie ona ani Aes Sedai były jego przyczyną. – Jak myślicie, ile was w końcu będzie? – Minomalże usłyszała w jego słowach echo własnych myśli.

– Tyle, ile będzie trzeba – sucho odparła Sorilea. – Sądzę, że przybędą kolejne. – Klasnęła w dłonie i wykonała nieznaczny gest, a wszystkie pięć sióstr poderwało się niczym jedna. Tylko Nesune wyglądała na zaskoczoną skwapliwością, z jaką usłuchały. Sorilea uśmiechnęła się, był to, jak na Aiela, uśmiech pełen bezmiernej satysfakcji, i Min nie sądziła, by wywołało go posłuszeństwo tych kobiet.

Rand kiwnął głową i odwrócił się. Zaczynał się znowu przechadzać i gniewać na Elayne. Min na powrót usiadła na krześle, żałując, że nie ma pod ręką jednej z książek pana Fela. Mogłaby ją czytać albo cisnąć w Randa. A najlepiej, jedna książka pana Fela do czytania, druga do rzucania w Randa.

Sorilea wyprowadziła z komnaty odziane w czerń siostry, na koniec zatrzymała się, trzymając jedną dłonią skrzydło drzwi, i spojrzała na Randa, który właśnie, oddalając się od niej, szedł w stronę tronu.

– Ta kobieta, Cadsuane Melaidhrin, będzie dziś znowu pod tym dachem – powiedziała ostatecznie do jego pleców. – Moim zdaniem, ona uważa, że się jej boisz, Randzie al’Thor, bo tak unikasz jej obecności.

Przez dłuższą chwilę Rand stał wpatrzony w tron. Albo może w przestrzeń poza nim. Nagle cały zadrżał i pokonał szybko dystans dzielący go od Korony Mieczy. Już miał ją włożyć na głowę, ale zawahał się i odłożył z powrotem. Wdział kaftan, najwyraźniej postanawiając zostawić koronę i

berło tam, gdzie leżały.

– Mam zamiar przekonać się, o co chodzi Cadsuane – oznajmił. – Przecież nie przychodzi do Pałacu codziennie tylko dlatego, że lubi brnąć w śniegach. Pójdiesz ze mną, Min? Może będziesz miała wizję.

Skoczyła na równe nogi szybciej niżli poprzednio którakolwiek z Aes Sedai. Wizyta u Cadsuane z pewnością będzie równie miła jak odwiedziny Sorilei, ale teraz wszystko wydało się jej lepsze niż to siedzenie w samotności. Poza tym może rzeczywiście będzie miała wizję. Fedwin ruszył za nią i Randem, a w jego oczach zastygł pełen czujności wyraz.

Sześć Panien czekających na wysokim, sklepionym łukami korytarzu natychmiast poderwało się, ale nie poszły za nimi. Somara była jedyną, którą Min знаła; obdarzyła ją przelotnym uśmiechem, Randowi zaś poświęciła pełne dezaprobaty spojrzenie. Pozostałe patrzyły z nie skrywaną wściekłością. Panny zaakceptowały jego wyjaśnienie, dlaczego nie zabrał ich ze sobą, że przede wszystkim chodziło mu o to, by obserwatorzy wciąż wierzyli, że pozostaje w Cairhien, ciągle jednak chciały wiedzieć, dlaczego nie posłał po nie później, a na to pytanie Rand nie umiał znaleźć przekonującej odpowiedzi. Teraz mruknął coś pod nosem i przyspieszył kroku, tak że Min musiała dobrze wyciągać nogi, aby za nim nadążyć.

– Uważnie obserwuj Cadsuane, Min – powiedział. – I ty też, Morr. Ona najwyraźniej ma w zanadrzu typową dla Aes Sedai intrygę, żebym jednak szczęśliwy, jeśli wiem jaką. Nie mam zielonego pojęcia. Musi...

I nagle Min wydało się, że od tyłu uderzyła ją kamienna ściana, że słyszy wycie i szczęk broni. A potem Rand ją odwrócił – leżała na posadzce? – patrząc na nią, i po raz pierwszy odkąd pamiętała, w tych jego niebieskich jak niebo o poranku oczach zobaczyła strach. Zniknął dopiero, gdy usiadła, kaszląc. Powietrze było pełne pyłu! A potem zobaczyła korytarz.

Pod drzwiami komnat Randa nie było już śladu po Pannach. Samych drzwi zresztą też nie było, podobnie jak większej części ściany, przy czym w przeciwniejszej ział prawie równie wielki otwór o poszarpanych brzegach. Mimo wszechobecnego pyłu wyraźnie widziała wewnątrz apartamentów, ich pozostałości. Wszędzie spoczywały masywne zwaly gruzu, a do wnętrza przez wyrwę w suficie zaglądało niebo. Płatki śniegu spływały w dół, prosto w płomienie tańczące pośród tego obrazu zniszczenia. Jeden z masywnych słupków baldachimu łoża sterczał, płonąc, z kupy rozbitego kamienia, ona zaś zrozumiała, że z miejsca, gdzie się znajduje, widzi wszystko na przestrzał, aż do stromych wież za zasłoną śniegu. Jakby gigantyczny młot uderzył w Pałac Słońca. Gdyby byli w środku, zamiast wędrować na poszukiwanie Cadsuane... Min zadrżała.

– Co?... – zaczęła niepewnie, potem zrezygnowała z tego pytania. Każdy głupiec mógł zobaczyć, co się stało. – Kto? – zapytała.

Obsypani pyłem, z potarganymi włosami i w podartych kaftanach, obaj mężczyźni wyglądali tak, jakby tarzali się wśród ruin korytarza i niewykluczone, iż podmuch eksplozji rzeczywiście cisnął nimi. W każdym razie oszacowała, że byli dobre dziesięć kroków dalej od drzwi, niż kiedy widziała ich ostatni raz. Od miejsca, gdzie były drzwi. W oddali podniosły się niespokojne krzyki, niosąc się echem po korytarzach. Żaden z mężczyzn jej nie odpowiedział.

– Czy mogę ci zaufać, Morr? – zapytał Rand.

Fedwin otwarcie spojrzął mu w oczy.

– Choćby zależało od tego twoje życie, mój Lordzie Smoku – odparł po prostu.

– I tak właśnie jest, powierzam ci moje życie – powiedział Rand. Palcami musnął policzek Min, a potem się wyprostował. – Strzeż jej do ostatniej kropli krwi, Morr. – Jego głos był twardy niczym stal. I ponury jak sama śmierć. – Jeśli wciąż są w Pałacu, wyczują, kiedy będziesz próbował

otworzyć bramę, i uderzą, zanim zdążysz skończyć. Nie przenoś więc, chyba że będziesz absolutnie musiał, jednak bądź gotów. Zabierz ją na dół do pomieszczeń służby i zabij każdego, kto będzie chciał ją porwać. Każdego lub wszystko, cokolwiek by to było!

Po raz ostatni na nią spojrział – och, Światłości, w każdej innej sytuacji pomyślałaby, że gotowa jest umrzeć ze szczęścia na widok tego spojrzenia w jego oczach! – a potem odwrócił się i pobiegł, oddalając od sceny zniszczenia. Zostawił ją. Kimkolwiek był zamachowiec, na pewno będzie go ścigał.

Morr poklepał ją po ramieniu dłonią pokrytą grubą warstwą pyłu i uśmiechnął się.

– Nie przejmuj się, Min. Ja się tobą zajmę.

Ale kto zajmie się Randem? Czy mogę ci zaufać, zapytał tego chłopca, który był jednym z pierwszych, którzy poprosili o naukę. Światłości, a kto jemu zapewni bezpieczeństwo?

Za zakrętem korytarza Rand zatrzymał się, wsparł dłonią o ścianę i objął Źródło. Głupie ceregiele z tą troską, by Min nie widziała, jak się zachwiał, po tym jak przed chwilą ktoś próbował go zabić, ale nie potrafił postąpić inaczej. Zresztą nie był to „ktoś”, kto próbował go zabić. To był mężczyzna, Demandred lub może Asmodean – wreszcie po niego przyszli. Niewykluczone zresztą, że obaj naraz, sploty, które dostrzegł, były poniekąd osobliwe, jakby tkane z wielu miejsc naraz. Zbyt późno wyczuł przenoszenie, żeby cokolwiek przedsięwziąć. Zostając na pokojach, zginąłby. Był gotów na śmierć. Ale nie Min, nie, tylko nie Min. Elayne miała rację, zwracając się przeciwko niemu. Och, Światłości, naprawdę miała!

Objął Źródło, a saidin zalał go stopionym mrozem i lodowatym żarem, życiem i słodyczą, paskudztwem i śmiercią. Poczował, jak żołądek skręca mu się w supeł, a przed oczyma zaczęło się dwoić. Przez chwilę zdało mu się, że zobaczył czyjąś twarz. Nie w korytarzu, ale przed oczyma duszy. Twarz mężczyzny, migoczącą i nierozpoznawalną; po chwili zniknęła. Unosił się w Pustce, opróżniony ze wszystkich emocji i pełen Mocy.

„Nie zwyciężysz” – powiedział, zwracając się do Lewsa Therina. – „Jeśli już mam umrzeć, umrę jako ja!”

„Powiniennem być odesłać Ilyenę” – wyszeptał w odpowiedzi Lews Therin. – „Wówczas przeżyłaby”.

Rand odsunął do siebie ten głos, potem sam zdecydowanie odsunął się od ściany i ruszył korytarzami Pałacu tak zręcznie, jak tylko po niedawnych przejściach potrafił, stąpając lekko tuż pod ścianami, omijając po drodze okute złotem kufry, pozlacane gabloty pełne kruchej porcelany i statuetki z kości słoniowej. Wzrokiem szukał napastników. Z pewnością nie zrezygnują, dopóki nie znajdą ciała, ale należało się spodziewać, że do jego apartamentów podejda z najwyższą ostrożnością, na wypadek, gdyby jakieś dziwne zrzędzenie losu sprokurowane przez ta'veren pozwoliło mu przetrwać. Zaczekają, aby zobaczyć, czy jeszcze dycha. We wnętrzu Pustki Moc przesyciała jego istotę tak gruntownie, jak było to możliwe bez całkowitej zatury. We wnętrzu Pustki był jednością ze swoim otoczeniem, jak wówczas, gdy walczył mieczem.

Ze wszystkich stron dobiegały go krzyki i hałasy, ktoś podniesionym głosem pytał, co się stało, inni darli się, że Smok Odrodzony oszalał. Ten kłębek irytacji w głowie, który był Alanną, dostarczał jednak pewnej pociechy. Od wczesnego ranka znajdowała się poza Pałacem, zapewne nawet poza murami miasta. Żałował, że to samo nie odnosiło się do Min. Od czasu do czasu w głębi któregoś korytarza widział mężczyzn i kobiety, głównie była to odziana w czarne liberie służba – biegli, przewracali się, podnosili, by dalej uciekać. Nie widzieli go. Czując jednak pulsującą w sobie Moc,

potrafił usłyszeć każdy szept. Jak również ciche szuranie miękkich butów.

Przywarł plecami do ściany tuż obok długiego stołu zastawionego porcelaną, potem szybko splótł wokół siebie Ogień i Powietrze, a potem stanął całkowicie nieruchomo, spowity w Kokon Światła.

W korytarzu pojawiły się Panny – cała kolumna, z zasłoniętymi twarzami – ale przebiegły obok, nie widząc go. Zmierzały w kierunku jego apartamentów. Nie mógł ich zabrać ze sobą, wprawdzie obiecał, że pozwoli im walczyć, ale nie miał zamiaru poprowadzić ich na rzeź. W starciu z Demandredem albo Asmodeanem mogły tylko oddać życie, a on już musiał nauczyć się kolejnych pięciu imion i dołączyć je do swej listy. Somara z Krzywego Szczytu Daryne już na niej była. Obietnica, którą złożył pod przymusem, której będzie musiał dotrzymać. Już przez sam fakt, że ją złożył, zasługiwał na śmierć!

„Orłom i kobietom tylko wtedy zapewnisz bezpieczeństwo, jeśli pozamykasz je w klatkach” – powiedział Lews Therin takim tonem, jakby coś cytował, a potem zniemacka zaczął płakać, kiedy ostatnie Panny zniknęły Randowi z oczu.

Ten zaś szedł dalej, skręcając to w jeden, to w inny pałacowy korytarz, oddalając się coraz bardziej od swych apartamentów. Podtrzymywanie Kokonu Światła wymagało bardzo niewielkich ilości Mocy – w istocie tak mało, że żaden mężczyzna nie wyczułby korzystania z saidina, póki nie znalazłby się tuż obok dzierżącego sploty – i używał go zawsze, gdy sądził, że ktoś go może zobaczyć. Tamci musieli mieć swoich szpiegów w Pałacu. Być może dzięki ta'veren wyszedł akurat we właściwym momencie ze swych apartamentów, pod warunkiem oczywiście, iż ta'veren zdolny był oddziaływać na siebie samego, a może był to tylko zwykły zbieg okoliczności. Liczył jednak poniekąd na swą zdolność odkształcania Wzoru i ewentualność, iż napastnicy wpadną mu w ręce, wciąż przekonani o jego śmierci lub kontuzji. Lews Therin wyśmiał tę myśl. Rand czuł nieomal namacalnie, jak tamten w oczekiwaniu zaciera ręce.

Po trzykroć jeszcze musiał korzystać z osłony Mocy, kiedy obok przebiegały Panny z zasłoniętymi twarzami, i raz, kiedy zobaczył Cadsuane sunącą korytarzem na czele co najmniej sześciu Aes Sedai, wśród których żadnej nie rozpoznał. Wyglądały tak, jakby na kogoś polowały. Ściśle rzecz biorąc, nie obawiał się siwowłosej siostry. Nie, oczywiście, że nie! Począł jednak, aż ona i jej przyjaciółki na dobre zniknęły mu z oczu, nim uwolnił maskujący splot. Na widok Cadsuane Lewsowi Therinowi jakoś odechciało się śmiać. Milczał jak grób, póki nie zniknęła.

Rand odsunął się od ściany, a wtedy tuż obok otworzyły się drzwi i wyjrzała przez nie Ailil. Nie miał nawet pojęcia, że przydzielono jej kwatery tak blisko jego pokoi. Tuż za nią stała ciemnoskóra kobieta z grubymi złotymi kolczykami w uszach i licznymi medalionami na złotym łańcuszku biegnącym przez lewy policzek do kółka w nosie. Shalon, Poszukiwaczka Wiatrów Harine din Togara, ambasador Atha'an Miere, która wprowadziła się do Pałacu razem ze swą nieomal natychmiast po tym, jak Merana poinformowała ją o ratyfikacji umowy. Spotkanie z kobietą, która być może chciała jego śmierci. Oczy tamtych wyszły z orbit na jego widok.

Postąpił z nimi z całą delikatnością, na jaką było go stać, pamiętając jednak, że najważniejszy jest pośpiech. Kilka chwil po tym, jak otworzyły się drzwi, już umieścił cokolwiek stłamszoną Ailil pod łóżkiem w towarzystwie Shalon. Być może wcale nie uczestniczyły w tym, co się działo. Może. Lepiej teraz zadbać o bezpieczeństwo, niż później żałować. Cztery pary kobiecych oczu patrzyły nań wściekle znad ust wypchanych szalami Ailil, dwa ciała szarpały się w więzach pasów zrobionych z kapy na łóżko, których użył do skrępowania ich nadgarstków i kostek. Podwiązana tarcza, którą oddzielił Shalon od Źródła, obezwładni ją na dzień lub dwa, zanim węzeł sam się nie rozplącze, ale z pewnością ktoś je wcześniej odnajdzie i rozetnie bardziej materialne więzy.

Cały czas przejmując się tą tarczą, uchylił odrobinę drzwi i wyjrzał przez szczelinę – chwilę później wyszedł pośpiesznie na pusty korytarz. Nie mógł pozwolić na to, by Poszukiwaczka Wiatrów zachowała zdolność do przenoszenia, jednak oddzielenie kobiety od Źródła nie było kwestią paru kropel Mocy. Jeśli któryś z napastników był w pobliżu... Ale nawet w głębi krzyżujących się korytarzy nikogo nie zobaczył.

W odległości pięćdziesięciu kroków od pokoi Ailil korytarz wychodził na kwadratowy, otoczony balustradą balkon z błękitnego marmuru, z którego wiodł podwójny szereg szerokich schodów na dół, do kwadratowej komnaty z wysokim łukowym sklepieniem; po drugiej stronie znajdował się identyczny balkon. Długie na dziesięć kroków draperie zwisały ze ścian; przedstawiono na nich ptaki wzbijające się ku niebu, namalowane geometryczną manierą. Pośrodku pomieszczenia stał na czatach Dashiva niepewnie oblizujący wargi. Byli z nim Gedwyn i Rochaid! Lews Therin, zająkując się, zaczął zawodzić o zabijaniu.

– ...mówię ci, że nic nie poczułem – mówił Gedwyn. – On nie żyje!

Ale Dashiva właśnie zobaczył Randa u szczytu schodów.

Jedynym ostrzeżeniem, jakie otrzymał, był nagły grymas, który wykrzywił twarz Dashivy. Tamten przeniósł, Rand zaś nie mając czasu do namysłu, zaczął tkać sploty – i podobnie jak wiek razy wcześniej, nie miał pojęcia, co to będzie. Najwyraźniej coś wydobytego z głębin pamięci Lewsa Therina; nawet nie był do końca pewien, czy sam stworzył sploty, czy też Lews Therin wyrwał mu saidina – Powietrze, Ogień i Ziemia oplotły go w jednej chwili. I wtedy uderzył w niego ogień, który wytrysnął z dłoni Dashivy, strzaskał pobliski marmur, a nim cisnął w głąb korytarza – Rand przeleciał kilka kroków, koziołkując i obracając się w swym ochronnym kokonie.

Ta osłona była w stanie wytrzymać wszystko prócz samego ognia. Ale jednocześnie nie przepuszczała powietrza. Rand zaraz więc uwolnił sploty i dysząc ciężko, sunął po posadzce, a tymczasem echo eksplozji wciąż jeszcze tłukło się po korytarzach, pył wisiał w powietrzu, toczyły się ostatnie fragmenty rozłupanego marmuru. Nim jego ciało zatrzymało się, przeniósł Ogień i Powietrze, ale splecione zupełnie inaczej niż w przypadku Kokonu Światła. Z lewej dłoni wyskoczyły nici czerwieni – rozwidlając się, kiedy przecinały stojący im na drodze kamień, popęzły do miejsca, gdzie stał Dashiva ze współnikami. Po jego lewej stronie wytrysnął strumień ognistych kul, kul Ognia spleczonego z Powietrzem, tak szybko, że nie nadążał ich liczyć, które wypalały sobie drogę przez kamień, zanim eksplodowały w komnacie. Ciągły ogłuszający ryk sprawiał, że Pałac drżał w posadach.

W jednej chwili był już na nogach i biegł z powrotem w kierunku apartamentów Ailil. Człowiek, który zaatakował, a potem czekał w jednym miejscu na reakcję, sam się prosił o śmierć. Wprawdzie sam gotów był umrzeć, ale jeszcze nie teraz. Wykrzywiając wargi w bezdźwięcznym grymasie, przemknął przez następny korytarz, potem zbiegł po wąskich schodach dla służby i dotarł na niższe piętro.

Zachowując jak najdalej posuniętą ostrożność, zmierzał do miejsca, gdzie wcześniej widział Dashię, śmiertelne sploty drżały gotowe do natychmiastowego uwolnienia, gdy któryś bodaj przed nim mignął.

„Powiniennem był pozabijać ich na samym początku” – dyszał Lews Therin. – „Trzeba było zabić ich wszystkich!”

Rand pozwolił mu się wściekać.

Wielka komnata wyglądała jak skąpana w ogniu. Z draperii zostały tylko poczerniałe strzępy strawione przez płomienie, w ścianach i na posadzce widniały szerokie na krok, wypalone bruzdy. Schody, po których Rand chciał parę chwil temu zejść, w połowie drogi ziały dziesięciostopową



szczeliną. Po trzech mężczyznach nie zostało śladu. Płomienie nie mogły przecież bez reszty pochłonąć ich ciał. Zostałyby jakieś szczątki.

Służący w czarnym kaftanie ostrożnie wysunął głowę przez maleńkie drzwiczki znajdujące się obok schodów w przeciwległej ścianie komnaty. Zobaczył Randa, oczy uciekły mu w głąb czaszki i runął nieprzytomny na ziemię. Inna służąca zerknęła z prześwitu korytarza, w jednej chwili zebrała spódnice i uciekła tam, skąd przysła, wrzeszcząc co sił w płucach, że Smok Odrodzony morduje wszystkich w Pałacu.

Rand skrzywił się i po chwili opuścił komnatę. Łatwo przerażał ludzi, którzy nie stanowili dlań żadnego zagrożenia. Bardzo dobrze umiał niszczyć.

„Niszczyć czy zostać zniszczonym...” – zaśmiał się Lews Therin. – „Co za różnica, kiedy i jedno, i drugie jest twoim dziełem?”

Gdzieś w Pałacu jakiś mężczyzna przeniósł dość Mocy, by utworzyć bramę. Dashiva i jego wspólnicy uciekali? Czy zastawili zasadzkę, zakładając, że tak pomyśli?

Wędrował po korytarzach Pałacu, nie starając się już dłużej ukrywać. Inaczej niż wszyscy pozostali. Kilkoro służby uciekło z krzykiem na jego widok. W swych poszukiwaniach przemierzał korytarz za korytarzem, gotów w każdej chwili eksplodować przepełniającym go saidinem, pełen ognia i lodu równie żądnych unicestwienia go jak wcześniej Dashiva, oblepiony od środka skazą, która wdzierала się do jego duszy. Nie potrzebował już szaleńczego śmiechu i zawodzeń Lewsa Therina, przepełniała go własna żądza mordy.

Przed sobą dostrzegł przez moment skrawek czarnego kaftana, a z ręki, która uniosła się sama, trysnął ogień. Wybuch rozerwał róg korytarza. Rand zneutralizował splot, ale go nie wypuścił. Czy udało mu się go zabić?

– Mój Lordzie Smoku – krzyknął ktoś zza obróconego w gruz muru – to ja, Narishma! I Flinn!

– Nie poznałem was – skłamał Rand. – Chodźcie tutaj!

– Coś mi się wydaje, że może krew jeszcze za bardzo wrze w tobie – odpowiedział głos Flinna.

– Może powinniśmy poczekać, aż wszyscy trochę ostygniemy.

– Tak – powiedział powoli Rand. Czy naprawdę próbował zabić Narishmę? Nie bardzo mógł całą winą obciążać Lewsa Therina. – Tak, być może tak będzie najlepiej. Przynajmniej przez czas jakiś. – Odpowiedzi nie było. Czy usłyszał oddalający się tupot butów? Zmusił się do opuszczenia dłoni i ruszył w przeciwną stronę.

Przez całe godziny przeszukiwał jeszcze Pałac i nie znalazł nawet śladu po Dashivie oraz jego wspólnikach. Korytarze, wielkie komnaty, nawet kuchnie były całkowicie opustoszałe. Nie znalazł nikogo i niczego się nie dowiedział. Po chwili zrozumiał, że nauczył się jednej rzeczy. Zaufanie było niczym nóż o rękojeści tnącej jak ostrze.

A potem odnalazł ból.

Maleńkie pomieszczenie o kamiennych ścianach mieściło się w podziemiach Pałacu Słońca. Było w nim ciepło mimo braku kominka, to jednak Min czuła przenikający ją chłód. Trzy pozłacane lampy na drewnianym stolyczku dawały dość światła. Już dawno temu Rand powiedział jej, że z tego miejsca wydobędzie ją zawsze, nawet gdyby cały Pałac obrócił się w gruzy. Obiecał to, wcale nie żartując.

Piastując koronę Illian na podołku, spoglądała na Randa. Patrzyła na niego, a on przyglądał się Fedwinowi. Jej dłonie mimowolnie zacisnęły się na koronie, ale natychmiast rozwarła palce pokłute maleńkimi mieczami, ukrytymi wśród liści wawrzynu. Dziwne, że korona i berło ocalały, podczas

gdy Tron Smoka zmienił się w stos złotych drzazg przemieszanych z gruzem. Obok krzesła, na którym siedziała, leżał duży skórzany tobołek – o który opierał się miecz Randa, w pochwie, przytroczony do pasa – zawierający wszystko, co oprócz wymienionych rzeczy udało mu się ocalić z ruiny. W większości były to dość dziwne rzeczy, gdyby ją kto pytał o zdanie.

„Ty bezmózga idiotko” – pomyślała. – „Nawet jeśli nie będziesz myśleć o tym, co ci się nie podoba, nie sprawisz w ten sposób, aby te rzeczy zniknęły”.

Rand siedział ze skrzyżowanymi nogami na kamiennej podłodze, w podartym kaftanie, wciąż pokryty pyłem i z licznymi skaleczeniami. Jego twarz przypominała oblicze posągu. Zdawał się obserwować Fedwina nieruchomym zupełnie spojrzeniem. Chłopak również siedział na podłodze, z rozrzuconymi nogami. Wsunąwszy język, całkowicie pochłonięty był budową wieży z drewnianych klocków. Min z trudem przełknęła ślinę.

Wciąż pamiętała swoje przerażenie, gdy zdała sobie sprawę, że „strzegący” jej chłopiec zniecka cofnął się w rozwoju umysłowym do stadium małego dziecka. Smutek również jeszcze jej nie opuścił – Światłości, był tylko chłopcem! To nie jest w porządku! – miała jednak nadzieję, że Rand wciąż oddziela go tarczą. Nie było łatwo nakłonić Fedwina, by zajął się zabawą tymi drewnianymi klockami, miast wyrywać Mocą kamienie ze ścian, z których chciał zbudować „wielką wieżę, gdzie ona będzie bezpieczna”. A potem musiała siedzieć, strzegąc jego, póki Rand nie wrócił. Och Światłości, jak bardzo chciało jej się płakać. Nad Randem nawet bardziej niż nad Fedwinem.

– Wychodzi na to, że głęboko się ukryłeś. Dobiegający spod drzwi niski głos nie zdążył nawet dokończyć zdania, kiedy Rand już był na nogach i w jednej chwili stał przed Mazrimem Taimem. Mężczyzna o jastrzębim nosie jak zawsze ubrany był w czarny kaftan z błękitno-złotymi Smokami wyhaftowanymi spiralnie na rękawach. W przeciwieństwie do pozostałych Asha’manów w wysoki kołnierz nie wpinał ani Miecza, ani Smoka. Smagła twarz była równie pozbawiona wyrazu jak wcześniej oblicze Randa. Teraz jednak, patrząc na Taima, Rand aż zgrzytał zębami. Min ukradkowym ruchem poluzowała nóż w rękawie. Zarówno wokół jednego, jak i drugiego wirowały niezliczone obrazy i aury, ale to nie treść wizji sprawiła, że nagle zdwoiła czujność. Widziała już w życiu mężczyznę zastanawiającego się, czy zabić innego mężczyznę, i taki widok pojawił się właśnie przed jej oczyma.

– Przychodzisz tutaj, obejmując saidina, Taim? – zapytał Rand, głosem o wiele za cichym. Taim tylko rozłożył ramiona, Rand zaś dodał: – Teraz jest znacznie lepiej. – Ale nie odprężył się bodaj na jotę.

– Uznałem, że powinienem się zabezpieczyć, na wszelki wypadek – odparł Taim – skoro droga wiodła przez korytarze pełne tych kobiet Aielów, gotowych w każdej chwili dźgnąć każdego. Wydawały się strasznie podniecone. – Nawet na moment nie spuścił wzroku z Randa, Min była jednak pewna, że zauważył, jak sięgała do rękawa. – Jest to oczywiście całkowicie zrozumiałe – ciągnął dalej bez zająknięcia. – Nie potrafię wprost wyrazić, jak się ucieszyłem, znajdując cię żywym po tym wszystkim, co widziałem na górze. Przybyłem złożyć doniesienie na dezertorów. W normalnych okolicznościach sam bym załatwił sprawę, ale są to Gedwyn, Rochaid, Torval i Kisman. Wychodzi na to, że nie spodobały im się wydarzenia w Altarze, nie przypuszczałem wszak, iż posuną się tak daleko. Poza tym nie widziałem jeszcze żadnego z ludzi, jakich zostawiłem tobie. – Przelotnym spojrzeniem objął sylwetkę Fedwina i na chwilę zatrzymał na niej wzrok. – Były jakieś... inne... straty? Jeśli sobie życzysz, zabiorę ze sobą tego człowieka.

– Powiedziałem im, żeby zeszli mi z oczu – powiedział Rand ochryplym głosem. – I sam zajmę się Fedwinem. Fedwinem Morrem, Taim, nie „tym człowiekiem”. – I nie odwracając się do Taima plecami, wycofała się do stoliczka, aby wziąć zeń mały srebrny pucharek, stojący wśród lamp. Min

wstrzymała oddech.

– Wiedząca z mojej wioski potrafiła wszystko wyleczyć – powiedział Rand, klękając obok Fedwina. Jakimś sposobem udało mu się uśmiechnąć do niego, nie spuszczać ani na moment oczu z Taima. Fedwin odpowiedział mu pełnym szczęścia uśmiechem i próbował wziąć kubek z jego dłoni, ale Rand sam mu przysunął go do ust i przechylił. – Wie więcej o ziołach niżli ktokolwiek, kogo w życiu spotkałem. Sam nawet trochę się od niej nauczyłem, wiem przynajmniej, które są bezpieczne, a które nie. – Fedwin westchnął, gdy Rand odjął kubek od jego warg i przytulił go do piersi. – Śpij, Fedwin – wymruczał Rand.

I rzeczywiście wyglądało tak, jakby chłopiec miał zasnąć, bo zamknął oczy, a jego pierś zaczęła się unosić i opadać w wolniejszym rytmie. Póki nie znieruchomiała. Uśmiech nawet na moment nie opuścił jego warg.

– Dodałem coś do wina – wyjaśnił cicho Rand, kładąc ciało Fedwina na podłodze. Min czuła, jak pieką ją oczy, ale ze wszystkich sił tłumiła łzy. Nie będzie płakać!

– Jesteś twardszy, niż myślałem – mruknął Taim.

Rand uśmiechnął się do niego, dzikim, brutalnym uśmiechem.

– Dodaj do listy dezertarów Corlana Dashivę, Taim. Następnym razem, gdy odwiedzę Czarną Wieżę, chcę widzieć jego głowę na twoim Drzewie Zdrajców.

– Dashivę? – warknął Taim, aż wytrzeszczając oczy ze zdumienia. – Stanie się, jak powiadasz, kiedy następnym razem odwiedzisz Czarną Wieżę. – Szybko doszedł do siebie, odzyskując równowagę i znowu wyglądał jak posąg z polerowanego kamienia. Żałowała, że nie potrafi nic wyczytać z otaczających go wizji.

– Teraz wróć do Czarnej Wieży i nigdy więcej się tu nie pojawiaj. – Rand stał już, patrząc tamtemu w oczy ponad ciałem Fedwina. – Zresztą prawdopodobnie przez jakiś czas nie będę siedział na jednym miejscu.

Taim ukłonił się nieznacznie.

– Jak rozkażesz.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Min wypuściła długo wstrzymywany oddech.

– Nie ma sensu marnować czasu i nie ma czasu do marnowania – mruknął Rand. Ukłękł przed nią, wziął z jej ręki koronę i wsunął ją do tobołka wraz z innymi rzeczami.

– Min, dotąd miałem wrażenie, że jestem stadem psów, które ściga jednego wilka po drugim, teraz jednak wychodzi na to, że to ja jestem wilkiem.

– Ażebyś szczeł – szepnęła. Wczepiła obie dłonie w jego włosy, spojrzała w oczy. Raz błękitne, raz szare, niczym niebo poranka tuż przed świtem. I suche. – Możesz płakać, Randzie al’Thor. Korona ci z głowy nie spadnie, jeśli zapłaczesz.

– Na łzy również nie mam czasu, Min – oznajmił łagodnie. – Czasami psom udaje się schwycić wilka, ale potem tego żałują. A czasami on sam je atakuje albo czeka w zasadzce. Ale wilk przede wszystkim musi uciekać.

– Dokąd pójdziemy? – zapytała. Nie odsunęła jednak rąk od jego włosów. Nie miała zamiaru już nigdy go opuścić. Nigdy.

# ROZDZIAŁ 30

## POCZĄTKI

Perrin jedną ręką przytrzymał połę podbitego futrem płaszcza i pozwalał, by Stayer szedł swoim własnym tempem. Południowe słońce nie grzało, a zbity śnieg pokrywający drogę do Abili utrudniał jazdę. On i dwunastka jego towarzyszy byli na drodze właściwie sami, nie licząc dwóch tylko, turkoczających wozów zaprzężonych w woły i garstki wieśniaków w prostych ciemnych wełnach. Wszyscy napotkani na drodze brnęli przez śnieg ze spuszczoneymi głowami, przy każdym silniejszym podmuchu wiatru przyciskając do głów kapelusze lub czapki. Na nic nie zwracali uwagi, tylko wbijali spojrzenia w ziemię.

Usłyszał, jak jadący za nim Neald opowiada przyciszonym głosem wulgarny dowcip, na co Grady mruknął coś niezrozumiale, Balwer zaś parsknął z naganą. Wydawało się, że nic, co widzieli albo słyszeli w ciągu miesiąca, jaki minął od pokonania granicy amadiciańskiej, nie wywarło na żadnym z tej trójki najmniejszego wrażenia, podobnie zresztą jak to, co ich czekało na końcu drogi. Edarra ostro karciła Masuri za to, że tamta pozwoliła, by kaptur zsunął jej się z głowy. Oprócz płaszczy głowy i ramiona Edarry i Carelle dodatkowo chroniły szale, a jednak odmówiły zdjęcia swych suto marszczonych spódnic i zastąpienia ich czymś bardziej odpowiednim do konnej jazdy, dlatego więc nogi, obnażone po kolana, miały odziane tylko w ciemne pończochy. Ziąb zresztą chyba nie bardzo im dokuczał, dziwowały się tylko śniegowi. Carelle zaczęła cichym głosem przestrzegać Seonid, co się stanie, jeśli nie będzie kryła twarzy.

Oczywiście jeśli zbyt wcześnie odstłoni twarz, to porcja pasów będzie z pewnością najłagodniejszą z kar, jakich powinna się obawiać, o czym zarówno ona, jak i Mądre dobrze wiedziały. Perrin nie musiał oglądać się za siebie, by wiedzieć, że trzej Strażnicy zamykający kolumnę, bez swoich charakterystycznych płaszczy, potwierdzają całym swym wyglądem, że są w każdej chwili gotowi do wydobycia ostrzy i wycięcia sobie drogi przez szeregi napotkanych wrogów. Tak wyglądali od czasu, gdy o świcie opuścili obóz. Musnął kciukiem rękawicy topór wiszący u swego pasa, potem znowu zebrał połę płaszcza, zanim nagły poryw wiatru je rozwiął. Jeśli sprawy przybiorą zły obrót, może się okazać, że postawa Strażników stanowi wzór jak najbardziej godny naśladowania.

Po lewej stronie – w pobliżu miejsca, gdzie droga wchodziła na drewniany most wiszący nad zamrzniętym strumieniem, który wił się wokół miasta – z zasp śniegu okrywających wielką kamienną podmurówkę sterczały zwęglone belki. Jakiś lokalny lord, który ociągał się z ogłoszeniem swego poparcia dla Smoka Odrodzonego, i tak miał szczęście, że wykpił się tylko chłostą oraz utratą posiadanych dóbr. Mała grupka strzegących mostu ludzi przyglądała się konnemu oddziałowi, który się do nich zbliżał. Perrin nie dostrzegł żadnego hełmu czy zbroi, jednak każdy z tamtych ścisnął w rękę kuszę równie kurczowo co rozwiane połę płaszcza. Nie rozmawiali ze sobą. Po prostu patrzyli, a mgiełki ich oddechów unosiły się w powietrze. Całego miasta strzegły podobne oddziały, ustawione na każdej wiodącej doń drodze, w każdej szczelinie zwartej zabudowy. To był kraj Proroka, ale armia Białych Płaszczy i króla Ailrona wciąż miała pod swoim zarządem spore części jego terytorium.

– Miałem rację, nie chcąc jej zabierać – mruknął – ale i tak będę musiał za to zapłacić.

– Oczywiście, że będziesz musiał zapłacić – warknął Elyas. Jak na człowieka, który przez większość ostatnich piętnastu lat podróżował dużo i głównie pieszo, zupełnie nieźle radził sobie z myszowatym wałachem. Wygrał w kości od Gallenne'a płaszcz podbity futrem z czarnego lisa. Aram,

jadący przy drugim boku Perrina, mierzył Elyasa mrocznymi spojrzeniami, brodacze jednak ignorował je. Nie układało się między nimi dobrze. – Mężczyzna wcześniej czy później zawsze płaci, odnosi się to do każdej kobiety, czy zawinił wobec niej czy nie. Ale miałem rację, nieprawdaż?

Perrin pokiwał głową. Niechętnie. Nie miał jakoś ochoty słuchać od obcego mężczyzny rad na temat postępowania z własną żoną, nawet jeśli były to rady bardzo dyskretne i wyrażone w oględny sposób. Co prawda okazały się skuteczne. Rzecz jasna, podniesienie głosu na Faile było równie trudne, jak podnoszenie go na Berelain, jednak to drugie przychodziło mu z coraz większą łatwością, a to pierwsze udało mu się osiągnąć nawet kilka razy. Do rad Elyasa stosował się dosłownie. Cóż, mniej więcej. Jak tylko potrafił. Ten kłujący zapach zazdrości wciąż drażnił jego nozdrza, gdy tylko Berelain znajdowała się w pobliżu, za to z drugiej strony, gdy tylko rozpoczęli powolną jazdę na południe, zupełnie zniknęła tamta woń znamionująca poczucie krzywdy. Ale nie było mu z tym wygodnie. Kiedy wtedy zdecydowanie oznajmił jej, że tego ranka nie będzie mu towarzyszyła, nie zaprotestowała nawet jednym słowem! Pachniała wręcz... zadowoleniem! Choć była także zaskoczona. A jakim sposobem mogła być równocześnie zadowolona i rozżalowana? Oczywiście żadnego z tych uczuć nie wyrażała jej twarz, jednak nos nigdy go nie zawiódł. Niemniej czasami myślał sobie, że im więcej dowiaduje się o kobietach, tym mniej o nich wie!

Kiedy kopyta Stayera zadudniły głucho na drewnianych deskach, strażnicy mostu zmarszczyli brwi, a ich palce zabłądziły w stronę spustów broni. Stanowili zwyczajową zbieraninę, z której składały się rzesze wyznawców Proroka: ludzie o brudnych twarzach w jedwabnych kaftanach zbyt wielkich dla nich, uliczni zabijacy o pokrytych bliznami twarzach i różowolicy neofici, wcześniej zapewne rzemieślnicy lub kupcy, których niegdyś przyzwoite odzienie wyglądało tak, jakby od miesięcy nie zdejmowali go nawet na noc. Broń za to mieli w dobrym stanie. Oczywiście niektórzy płonęły gorączką, ale twarze pozostałych były całkowicie bez wyrazu, jakby nawet na chwilę nie mogli sobie pozwolić na okazanie emocji. Oprócz dominującej woni nie mytych ciał, pachnieli skwapliwością, niepewnością, lękiem, zapałem, obawą – wszystko to wymieszane razem.

Nie uczynili najmniejszego ruchu, by zagrozić im drogę, tylko patrzeli, prawie nie mrugając. Z tego, co Perrin wcześniej słyszał, wynikało, że do Proroka ściągają ludzie wszelkiego pokroju – od dam w jedwabiach po żebraków – w nadziei, że osobiste oddanie mu hołdu zapewni im dodatkowe łaski. Albo może dodatkową ochronę. Dlatego właśnie on również zdecydował się na tę drogę, zabierając ze sobą tylko garstkę towarzyszy. W razie konieczności gotów był zagrozić Masemie, o ile Masemę można było czymkolwiek przestraszyć, jednak wydawało mu się, że lepiej postąpi, jeśli spróbuje dotrzeć do tego człowieka, nie staczając wcześniej bitwy. Przez cały czas, gdy znajdowali się na krótkim moście, a potem póki nie zniknęli wśród domostw Abili, za zakrętem wybrukowanej kamieniami uliczki, Perrin czuł na swoich plecach wzrok tamtych. Gdy wreszcie uczucie zniknęło, nie mógł powstrzymać westchnienia ulgi.

Abila była całkiem sporym miasteczkiem z kilkoma wysokimi wieżami strażniczymi, wiele budynków liczyło nawet i po cztery piętra, wszystkie pokrywała dachówka. Tu i tam szczelinę w zabudowie wypełniał stos zwalonych na kupę kamieni i belek, znacząc miejsce zburzonej gospody lub kupieckiego domostwa. Prorok nie pochwalał bogactw zdobytych drogą handlu ani zysków ciągniętych z pijackich zabaw, wreszcie tego, co jego zwolennicy określali mianem „lubieżności”. Nie pochwalał wielu rzeczy i dawał to do zrozumienia nauczkaami nie pozostawiającymi wątpliwości.

Ulice zatłoczone były ludźmi, ale tylko Perrin i jego towarzysze dosiadali koni. Śnieg już dawno zmienił się pod butami przechodniów w na poły zamarznąłą, sięgającą po kostki papkę. Wśród tłumu przesuwały się liczne wozy zaprzężone w woły, niewiele było konnych i właściwie żadnego powozu.

Wyjąwszy tych, którzy mieli na sobie znoszone i wyrzucone przez kogoś, a najpewniej zresztą ukradzione ubrania, reszta odziana była w zgrzebne wełny. Większość najwyraźniej spieszyła za jakimiś sprawami, jednak podobnie jak spotkani na drodze, głowy mieli spuszczone. Natomiast leniwie poruszały się grupki uzbrojonych mężczyzn. Ulice pachniały głównie brudem i strachem. Perrin czuł, jak włosy jeżą mu się na karku. W ostateczności, jeśli już do tego przyjdzie, wydostanie się z miasta nie otoczonego murami; nie będzie to trudniejsze niż wjazd do środka.

– Mój panie... – mruknął Balwer, gdy przejeżdżali obok kolejnej sterty gruzu. Ledwie zaczekał na skinienie głowy Perrina, zanim skręcił swym wierzchowcem o tępych pysku i pojechał w inną stronę, skulony w siodle, ciasno owinięty brązowym płaszczem. Nawet tutaj Perrin nie obawiał się, czy ten wysuszony człowieczek da sobie radę. Jak na zwykłego sekretarza, potrafił dowiedzieć się niezliczonych rzeczy podczas tych swoich wypadów. Teraz chyba również doskonale wiedział, co robi.

Po chwili Perrin przegnał z głowy myśli o Balwerze i zajął się tym, po co tutaj przybyli.

Wystarczyło zadać jedno pytanie, kierując je pod adresem chudego młodzieńca z obliczem pełnym zachwytu, aby dowiedzieć się, gdzie przebywa Prorok, a znalezienie wiadomego domu kupca wymagało tylko trzykrotnego zagadywania o drogę. Dom był okazały – cztery piętra z szarego kamienia zdobione marmurowymi gzymsami i marmurowymi framugami. Masema potępiał gromadzenie bogactw, ale chętnie korzystał z gościny u tych, którzy się parali takim procederem. Z drugiej jednak strony Balwer donosił, że równie często nocował w rozpadających się chatynkach biedaków i też był zadowolony. Masema pił tylko wodę, a dokądkolwiek się udał, zawsze wynajmował biedną wdowę i jadł tylko to, co ona mu ugotowała, dobre czy niesmaczne, bez słowa skargi. Perrin sądził jednak, że człowiek ten przysporzył światu zbyt wielkiej liczby wdów, by jego dobroczynność liczyła się jakoś w ogólnym rozrachunku.

Przed frontem wysokiego domu nie było śladu po ciżbie zapełniającej pozostałe ulice miasteczka, ale liczni uzbrojeni strażnicy – przypominający tamtych na moście – sprawiali, że bynajmniej nie było tu pusto. Jedni patrzyli na Perrina ponuro, inni obraźliwie szczyrzyli zęby. Dwie Aes Sedai kryły twarze w głębokich kapturach, spod których unosiły się białe obłoczki pary. Kątem oka Perrin dostrzegł, że Elyas muska kciukiem rękojeść długiego noża. On sam musiał się mocno hamować, by nie gładzić topora.

– Przybywam z wiadomością dla Proroka od Smoka Odrodzonego – oznajmił. Kiedy żaden z mężczyzn nawet nie drgnął, dodał: – Jestem Perrin Aybara. Prorok mnie zna. – Balwer wcześniej przestrzegł go przed ryzykiem, jakie niosło wymienianie prawdziwego imienia Masemy, albo określanie Randa inaczej jak tylko mianem Lorda Smoka Odrodzonego. A nie przybył tutaj przecież po to, by wzniecać rozruchy.

Twierdzenie o znajomości z Masemą chyba wzbudziły jakąś iskierkę zainteresowania w oczach strażników. Paru wymieniło spojrzenia zdziuczonych oczu, a potem jeden wszedł do środka. Pozostali zaś patrzyli na niego, jakby mieli przed sobą barda co najmniej. Nie minęło dużo czasu, a przed dom wyszła kobieta. Przystojna, o skroniach przyprószonej siwizną, w sukni z niebieskiej wełny z wysokim karczkiem, dobrze skrojonej, choć pozbawionej jakichkolwiek ozdób, mogła nawet być właścicielką tego domu. Masemą tych, którzy oferowali mu gościnę, nie wyrzucał na ulicę, aczkolwiek ich służący lub pomocnicy na farmach zazwyczaj kończyli w szeregach jednej z band, by „szerzyć chwałę Smoka Odrodzonego”.

– Jeśli pozwolisz, panie Aybara – powiedziała spokojnie kobieta – zaprowadzę ciebie i twoich towarzyszy do Proroka Lorda Smoka, oby Światłość opromieniła jego imię. – Może i wydawała się spokojna, jednak przerażenie wyraźnie znać było w zapachu.

Perrin kazał Nealdowi oraz obu Strażnikom zająć się końmi do ich powrotu i wraz z pozostałymi wszedł za kobietą do środka. Ciemne wnętrza domostwa oświetlały nieliczne lampy, było w nim niewiele cieplej niżli na dworze. Nawet Mądre wydawały się przygnębione panującą w nim atmosferą. Nie pachniały strachem wprawdzie, ale, podobnie jak Aes Sedai, czymś do niego zbliżonym, od Grady'ego zaś i Elyasa biła woń czujności, włosów zjezonych na karku i uszu płasko przylegających do czaszki. Co dziwne, Aram aż pałał zapałem. Perrin ufał tylko, że tamten nie wyciągnie miecza, kiedy spuści go na chwilę z oka.

Wielki, wyłożony dywanem pokój, do którego wprowadziła ich kobieta, z ogniami płonącymi w kominkach na przeciwległych ścianach, równie dobrze mógł być gabinetem jakiegoś generała, ponieważ wszystkie stoły i połowę krzeseł zaścielały mapy oraz rozmaite papiery, upał zaś panował w nim tak przemożny, że Perrin odrzucił poły płaszcz, żałując, że włożył tego dnia aż dwie koszule. Jednak jego spojrzenie – niczym opiłki żelaza przyciągane przez magnetyt – natychmiast przykuła sylwetka Masemy, stojącego pośrodku pomieszczenia. Smagły, posępny mężczyzna z ogoloną głową i bladą trójkątną blizną na policzku, w wymiętym szarym kaftanie i butach z popękanej skóry. Głęboko osadzone oczy płonęły czarnym ogniem, zapach zaś... Jedynym słowem, które mogło określić ten zapach – twardy niczym stal i ostry jak klinga, drżący od dzikiej intensywności – jedynym, jakie się Perrinowi nasuwało, było szaleństwo. To właśnie temu człowiekowi Rand chciał założyć kaganiec?

– A więc to ty – warknął Masemą. – Nie sądziłem, że odważysz się tu pokazać. Wiem, do czego zmierzasz! Hari ostrzegł mnie dobry tydzień temu, a od tego czasu otrzymywałem nieprzerwanie informacje. – W kącie pokoju poruszył się jakiś człowiek, o wydatnym nosie i zmrużonych oczach, Perrin zaś złajał się wewnętrznie za to, że nie dostrzegł go wcześniej. Hari miał na sobie kaftan z zielonego jedwabiu, znacznie lepszy od ubrania, które nosił wówczas, gdy się wypierał obcinania innym uszu. Tamten zatarł dłonie i wyszczerzył się paskudnie na Perrina, jednak nie odzywał się słowem, Masemą zaś ciągnął dalej. Z każdym słowem jego przemowa była coraz gorętsza, i to wcale nie z gniewu, tylko jakby z pragnienia, by każda sylaba wypaliła się ogniem w ciele słuchacza. – Wiem o twoich mordercach, którzy przeszli pod sztandar Lorda Smoka. Wiem, że próbujesz wykroić sobie własne królestwo! Tak, wiem o Manetheren! Znam twoje ambicje! Twoją żądzę chwały! Odwróciłeś się plecami do!...

Nagle oczy Masemy wyszły z orbit i po raz pierwszy w jego woni pojawił się ton gniewu. Z gardła Hariego wydobył się zdławiony odgłos, on sam zaś próbował chyba wtopić się w ścianę. Seonid oraz Masuri odrzuciły kaptury i odstłoniły oblicza, chłodne, spokojne, po których wszakże każdy, kto choć raz w życiu widział podobne, mógł z łatwością rozpoznać Aes Sedai. Perrin zastanawiał się, czy ujmują Moc. Gotów byłby się założyć, że Mądre tak właśnie postąpiły. Edarra i Carelle w milczeniu rozglądały się czujnie na wszystkie strony, a pomijając niewzruszone twarze, jeśli kiedykolwiek widział kogoś gotowego do walki, były to właśnie one. A skoro już o tym mowa, to Grady sprawiał takie wrażenie, jakby gotowość otuliła go szczelnie niczym czarny kaftan, niewykluczone, że on również obejmował Moc. Elyas stał oparty o ścianę przy drzwiach, z pozoru równie opanowany jak siostry, roztaczał wokół siebie woń wilka chętnego w każdej chwili skoczyć do gardła. Aram zaś stał, patrząc na Masemę z otwartymi ustami! Światłości!

– A więc to też prawda! – warknął Masema i strużka śliny pociekła mu z ust. – Wszędzie wokół krążą wstrętne plotki, kalające święte imię Lorda Smoka, a ty ośmielasz się pokazywać z tymi... tymi!...

– Zaprzysięgły lojalność Lordowi Smokowi, Masema – wszedł tamtemu w słowo Perrin. – Służą mu! A czy ty mu służysz? Wysłał mnie po to, bym położył kres zabijaniu. I żebym sprowadził cię do niego. – Nikt nie zaproponował mu krzesła, więc zrzucił z jednego stos papierów i usiadł.

Żałował, że pozostali nie zechcą postąpić podobnie, krzyczenie na kogoś w pozycji siedzącej zdawało się bowiem znacznie trudniejsze.

Hari patrzył na niego wytrzeszczonymi oczyma, Masema zaś właściwie cały się trząsał. Ponieważ usiadł bez pozwolenia? Aha. No, tak.

– Zrezygnowałem z imienia, które nadali mi ludzie – oznajmił chłodno Masema. – Jestem po prostu Prorokiem Lorda Smoka, niech Światłość opromienia jego imię i niech świat odda mu należną cześć. – Z tonu jego głosu można było wnosić, że zarówno Światłość, jak i świat gorzko pożałują, jeśli tego nie uczynią. – Tu zostało jeszcze wiele do zrobienia. Ogromna praca. Na wezwanie Lorda Smoka każdy musi stawić się posłusznie, ale zimą podróż zawsze jest uciążliwa. Kilkutygodniowa zwłoka nie sprawi większej różnicy.

– Dzisiaj już możesz być w Cairhien – oznajmił Perrin. – Kiedy tylko Lord Smok z tobą porozmawia, będziesz mógł wrócić w ten sam sposób. – O ile Rand pozwoli mu wrócić.

Słyszając to, Masema aż się skręcił. Obnażył zęby, spojrzawszy płonącym wzrokiem na Aes Sedai.

– Jakież dzieło Mocy? Nie pozwolę, by dotykano mnie Mocą! To bluźnierstwo, gdy parają się nią śmiertelnicy!

Perrinomal nie wytrzeszczył oczu.

– Smok Odrodzony potrafi przenosić, człowieku!

– Błogosławiony Lord Smok nie jest takim samym śmiertelnikiem, jak inni ludzie, Aybara! – warknął Masema. – On jest Światłością wcieloną! Podporządkuję się jego wezwaniu, ale nie pozwolę się unurzać w plugastwie będącym dziełem tych kobiet!

Perrin osunął się w krzesło i westchnął. Jeśli tego człowieka tak bardzo drażnią Aes Sedai, to co robi, gdy się dowie, że Grady i Neald również mogą przenosić? Przez chwilę bawił się pomysłem, by zwyczajnie walnąć Masemę w głowę i... Ale korytarzem wciąż przechodzili jacyś ludzie, którzy zerkali do środka. Wystarczy, że jeden tylko krzyknie, a cała Abila zamieni się w rzeźnię.

– A więc pojedziemy, Proroku – oznajmił kwaśno. Światłości, Rand kazał zachować w tajemnicy całą rzecz, póki Masema nie stanie przed nim. W jaki sposób zorganizować w ogóle tę podróż aż do Cairhien? – Tylko bez żadnej zwłoki. Lord Smok bardzo się niecierpliwi, chcąc z tobą porozmawiać.

– Ja również z niecierpliwością wyczekuję rozmowy z Lordem Smokiem, oby jego imię błogosławione było w Światłości. – Jego spojrzenie na moment objęło dwie Aes Sedai. Próbując je ukryć, naprawdę uśmiechnął się do Perrina. Ale pachniał... ponuro. – Zaiste, z ogromną niecierpliwością.

– Czy moja pani życzy sobie, abym kazała jednemu z sokolników przynieść ptaka? – zapytała Maighdin. Jeden z czterech sokolników Alliandre, mężczyzn smukłych jak ich ptaki, podstawił dłoń chronioną grubą rękawicą pod drewnianą żerdkę przymocowaną przed jego siodłem, skłonił gładkopiórego jastrzębia wytresowanego do łowienia kaczek, który wciąż miał na głowie ozdobiony piórami kaptur, do przejścia na jego rękę, a następnie podał go jej. Sokół o niebiesko zakończonych lotkach skrzydeł siedział już na chronionym zieloną rękawicą nadgarstku Alliandre. Ten ptak był, niestety, zarezerwowany dla niej. Alliandre znała swoje miejsce jako wasala, jednak Faile potrafiła pojąć, czemu nie chce zrezygnować z ulubionego ptaka.

Tylko pokręciła przecząco głową, Maighdin zaś ukloniła się i odprowadziła swą kasztankę na bok, stając w dostatecznej odległości, aby nie przeszkadzać, nadal jednak blisko, na wypadek gdyby



Faile ją zawołała. Pełna godności złotowłosa kobieta dowiodła swej wartości jako pokojówka damy; okazała się tak kompetentna i mądra, jak Faile miała nadzieję. Przynajmniej od czasu, gdy zrozumiała, że niezależnie od tego, jaka była ich pozycja u poprzedniej pani, wśród służących Faile to Lini zajmowała pierwsze miejsce – z tego przywileju zresztą tamta chętnie korzystała. Ku jej zaskoczeniu, nie obyło się bez incydentu z różgą, ale udawała, że o niczym nie wie.

Tylko skończona idiotka wprawiała w konfuzję swoje służące. Oczywiście wciąż otwarta pozostawała kwestia Maighdin i Tallanvora. Była pewna, że Maighdin dzieli z nim łożę i postanowiła, że jeśli znajdzie dowód, to ich ożeni, choćby przez to miała napuścić na nich Lini. Ta sprawa wszelako również była stosunkowo nieistotna i rozmyślaniami o niej nie należało psuć sobie poranka.

Polowanie z ptakiem było pomysłem Alliandre, jednak Faile nie miała nic przeciwko przejażdżce przez rzadki las, gdzie śnieg pokrywał ziemię puszystą powłoką, a białe czapy przysiadły na gałęziach. Zieleń na tych drzewach, które jeszcze zachowały liście, podkreślała tylko urodę kontrastu. Powietrze było rześkie, pachniało świeżością i odnową.

Bain i Chiad nalegały, by jej towarzyszyć, jednak teraz przykucnęły nieopodal, naciągnęły na głowy shoufy i obserwowały ją rozczarowanymi spojrzeniami. Sulin chciała zabrać wszystkie Panny, jednak w obliczu setek plotek o napaściach Aielów, jakie wszędzie krążyły, widok Aiela z pewnością wystarczyłby, aby większość ludzi w Amadicii natychmiast rzuciła się do miecza. Jakieś ziarno prawdy musiały te plotki zawierać, w przeciwnym razie tak wielu nie potrafiłoby rozpoznać Aiela na pierwszy rzut oka, chociaż Światłość jedna wiedziała, kim byli napastnicy, skąd się pojawili. Nawet Sulin przyznawała, że kimkolwiek byli, odeszli na wschód, prawdopodobnie do Altary.

W każdym razie tak blisko Abili dwudziestu żołnierzy Alliandre oraz tyluż Mayenian ze Skrzydlatej Gwardii stanowiło dostateczną ochronę. Proporce na ich lancach, czerwone lub zielone, powiewały niczym wstążki wraz z każdym podmuchem lekkiego wiatru. Jedyłą ciemniejszą plamę stanowiła obecność Berelain. Aczkolwiek przyglądanie się, jak ta kobieta drży w swym obrzeżonym futrem czerwonym płaszczu, grubym dość, by zeń wykonać dwa koce, z pewnością było zabawne. A pogoda przecież była jak podczas schyłku jesieni. W Saldaei w samym środku zimy powietrze porażało odkrytą skórę niczym cios drewnianą pałką. Faile wciągnęła głęboki oddech. Chciało jej się śmiać.

Jakimś cudem jej mąż, jej ukochany wilk, zaczął się zachowywać, jak należy. Zamiast krzyczeć na Berelain i uciekać przed nią, Perrin tolerował obecnie zaloty tej szkapy, zachowując się demonstracyjnie w taki sposób, jakby miał do czynienia z dzieckiem, które bawi się pod jego stopami. A najlepsze ze wszystkiego było to, że nie musiała dłużej tłumić swego gniewu, kiedy potrzebowała dłoń ujęcia. Kiedy krzyczała na niego, on się jej rewanzował. Wiedziała, że nie jest Saldaeaninem, ale to było takie trudne, nie sądzić w najskrytszych głębiach serca, iż on uważa ją za zbyt słabą, aby mogła mu dorównać. Kilka wieczorów temu, przy kolacji, miała nawet zamiar poinformować go o swoim spostrzeżeniu, że Berelain chyba wypadnie ze swej sukni, jeśli choć odrobinę bardziej pochyli się nad stołem. Cóż, tak daleko się nie posunęła, przynajmniej nie w obecności Berelain, a jednak ta nierządnicą wciąż myślała, że będzie go miała dla siebie. A później, rankiem, zaczął jej rozkazywać, milczeniem ucinając wszelkie argumenty i zachowując się dokładnie w taki sposób jak mężczyzna, o którym kobieta wie, że musi być silną, aby nań zasłużyć, aby mu dorównać. Oczywiście będzie musiała trochę go przyhamować. Mężczyzna, który rozkazywał, był cudowny, póki mu się nie wydawało, że może rozkazywać zawsze i wszędzie. Śmiać się? Chętnie by zaśpiewała!

– Maighdin, mimo wszystko sędzę, że jednak... – Maighdin była przy niej w jednej chwili, na jej twarzy zastygł pytający uśmiech. Faile urwała jednak, widząc przed sobą trzech jeźdźców, którzy pędzili przez śnieg tak szybko, jak tylko zdołały nieść ich konie.

– Przynajmniej zajęcy jest tu mnóstwo, moja pani – powiedziała Alliandre, prowadząc swego wysokiego białego wałacha obok Jaskółki – ale miałam nadzieję... Kim oni są? – Jej sokół poruszył się niespokojnie na białej rękawicy, dzwoneczki na pętach zadźwięczały. – Cóż, wyglądają jak twoi ludzie, moja pani.

Faile pokiwała ponuro głową. Ona ich również rozpoznała. Parelean, Arrela i Lacile. Ale co oni tutaj robili?

Wszyscy troje osadzili przed nią konie, z pysków zwierząt dobywały się kłęby pary. Parelean patrzył oczyma tak rozszerzonymi jak u jego srokacza. Lacile, z twarzą niemal skrytą w głębinach kaptura, nerwowo kaszlnęła, a ciemne oblicze Arreli zupełnie zszarzało.

– Moja pani – oznajmił gwałtownie Parelean – przerażające wieści! Prorok Masema nawiązał kontakt z Seanchanami!

– Z Seanchanami! – wykrzyknęła Alliandre. – Z pewnością nie może sędzić, że oni przyłączą się do Lorda Smoka!

– Sprawa może być znacznie prostsza – powiedziała Berelain, zatrzymując swą białą klacz przy drugim boku Alliandre. Ponieważ Perrina tu nie było, miała na sobie całkiem skromną granatową suknię, karczek sięgał aż do podbródka. Dalej jednak drżała. – Masema nie cierpi Aes Sedai, a Seanchanie obracają w niewolnice kobiety, które potrafią przenosić.

Faile z irytacją mlasnęła językiem. Zaiste były to przerażające wieści. Mogła mieć tylko nadzieję, że Parelean oraz pozostali zachowali dość zdrowego rozsądku, by udawać, iż najzwyczajniej podsłuchali przypadkowo cudzą rozmowę. Ale nawet w takiej sytuacji musiała się najpierw upewnić, a potem szybko działać. Perrin mógł już dotrzeć do Masemy.

– Jaki masz dowód, Parelean?

– Rozmawialiśmy z trójką farmerów, którzy widzieli, jak wielki latający stwór wylądował cztery noce temu, moja pani. Przywiózł kobietę, którą następnie zaprowadzono do Masemy i która przebywała z nim trzy godziny.

– Udało nam się wytropić ją aż do miejsca, gdzie Masema zatrzymał się w Abili – dodała Lacile.

– Wszyscy trzej mężczyźni uważali, że stwór był Pomiotem Cienia – wtrąciła Arrela – ale wydawali się raczej godni zaufania. – Jeśli ona mówiła, że mężczyzna, który nie należał do Cha Faile, był raczej godny zaufania, to tak jakby ktoś inny powiedział, iż jego słowa są szczerze niczym dzwon.

– To w takim razie muszę chyba pojechać do Abili – oznajmiła Faile, zbierając wodze Jaskółki. – Alliandre, zabierz ze sobą Maighdin i Berelain. – W każdej innej sytuacji zaciśnięte usta Berelain towarzyszące tej wypowiedzi stanowiłyby naprawdę zabawny widok. – Parelean, Arrela i Lacile pojedą ze mną... – Jakiś mężczyzna krzyknął i wszyscy aż podskoczyli.

Pięćdziesiąt kroków od miejsca, gdzie stali, jeden z odzianych w zielone kaftany żołnierzy Alliandre właśnie zsuwał się z siodła, a chwilę później Skrzydlaty Gwardzista spadł na ziemię ze strzałą sterczącą z gardła. Wśród drzew pojawili się Aielowie, twarze mieli zasłonięte, w biegu naciągali łuki. Padli kolejni żołnierze. Bain i Chiad już były na nogach, czarne zasłony skrywały im twarze aż po oczy; ich włócznie były wsunięte za pasy przytrzymujące futerały łuków na plecach, one zaś gładko naciągały cięciwy, jednak przed strzałem spojrzały na Faile. Wszędzie wokół byli Aielowie, setki, jak się zdawało. Zaciskała się wokół niech wielka pętla okrażenia. Żołnierze, wciąż

siedzący na koniach, opuścili lance, tworząc mur wokół Faile i pozostałych, jednak natychmiast pojawiły się w nim szczeliny, kiedy kolejne strzały Aielów znalazły drogę do celu.

– Ktoś musi przekazać wieści o Masemie lordowi Perrinowi. – Faile zwróciła się do Pareleana oraz dwu kobiet. – Jedno z was musi do niego dotrzeć! Pędźcie jak na skrzydłach wiatru! – Objęła jednym spojrzeniem Alliandre i Maighdin oraz Berelain. – Wszystkie pędźcie jak ogień albo umrzecie tutaj! – Ledwie czekając na potwierdzające skinienia, przeszła od słów do czynów i wbiła obcas w boki Jaskółki, przemykając przez krąg bezużytecznych żołnierzy. – Na koń! – krzyknęła. Ktoś musiał zanieść wieści Perrinowi. – Na koń!

Pochyliła się nisko nad karkiem Jaskółki i pchnęła karą klacz do wytężonego galopu. Śnieg tryskał spod kopyt, kiedy Jaskółka mknęła, lekko jak ptak, któremu zawdzięczała swe imię. Przez jakieś sto kroków Faile sądziła, że uda jej się uciec. A potem Jaskółka zarżała, potknęła się i przewróciła przez kark z towarzyszeniem ostrego trzasku pękającej kości. Faile wyleciała w powietrze, a potem ciężko uderzyła o ziemię, zanurkowała twarzą w śnieżną zaspę, impet uderzenia pozbawił ją tchu. Desperacko chwytając oddech, powstała jakoś i wyciągnęła nóż zza pasa. Jaskółka zarżała, zanim się potknęła, jeszcze zanim złamała nogę.

Przed nią zamajaczyła sylwetka wysokiego zamaskowanego Aiela, który pojawił się jakby znikąd, a potem uderzył ją w nadgarstek wyprostowaną ręką. Nóż wyslizgnął się z odrętwiałych nagle palców, a zanim zdążyła dobyć następnego ostrze, tamten już ją złapał.

Walczyła co sił, wierzgała, biła pięściami, nawet gryzła, ale tamten był tak potężnie zbudowany jak Perrin i co najmniej o głowę wyższy. Wydawał się równie twardy jak Perrin, biorąc pod uwagę wrażenie, jakie wywierały na nim jej ciosy. Gotowa była płakać ze złości wobec poniżającej swobody, z jaką dał sobie z nią radę, najpierw pozbawiając wszystkich noży, które spokojnie wsadził za swój pas i którymi rozciął później jej rzeczy. Zanim zdała sobie sprawę, już leżała naga na śniegu, nadgarstki miała skrępowane za plecami jedną z pończoch, drugą zaś obwiązaną wokół szyi jak smycz.

Nie miała innego wyboru, jak tylko pójść za nim, drżąc i ślizgając się na śniegu. Skóra pierzchła jej z zimna. Światłości, jak mogła nie zauważyć, że ten dzień jest naprawdę mroźny? Światłości, gdyby tylko komuś udało się uciec z wieściami o Masemie! I żeby temu komuś udało się też donieść Perrinowi o jej schwytaniu, aczkolwiek nie wątpiła, że uda jej się jakoś uciec.

Pierwsze ciało, które zobaczyła, należało do Pareleana, spoczywał rozciągnięty na wznak z mieczem w wyprostowanej ręce. Znakomity kaftan z pasami satyny na rękawach cały zalany był krwią. Potem przestała liczyć poległych. Skrzydlaci Gwardziści w czerwonych napierśnikach, żołnierze Alliandre w ciemnozielonych hełmach, jeden z sokolników, nad którym zakapturzony jastrząb trzepotał na próżno skrzydłami, ponieważ tamten wciąż trzymał pęto w zaciśniętej, zeszywniałej w śmierci garści. Postanowiła jednak nie tracić nadziei.

Pierwszymi jeńcami, których zobaczyła, klęczącymi wśród Aielów – mężczyzn i Panien z opuszczonymi na piersi zasłonami – były Bain i Chiad, każda naga, z rękoma spoczywającymi na kolanach. Po twarzy Bain spływała krew, zlepiając jej ognistorude włosy. Lewy policzek Chiad był purpurowy i obrzmiały, szare oczy patrzyły cokolwiek szklście. Klęczały przed tamtymi, prostując plecy, biernie, ale bez wstydu, kiedy jednak wielki Aiel pchnął ją brutalnie, by ukłękła obok nich, powstały.

– To nie jest słuszne, Shaido – niewyraźnie, ze złością powiedziała Chiad.

– Ona nie przestrzega *ji'e'toh* – warknęła Bain. – Nie możesz z niej uczynić *gai'shain*.

– Niech *gai'shain* będą cicho – powiedziała obojętnym głosem jakaś siwiejąca Panna. Bain i Chiad obdarzyły Faile pełnymi skruchy spojrzeniami, a potem na powrót zagłębiły się w milczącym

wyczekiwaniu. Kuląc się i próbując chociaż w ten sposób ukryć swą nagość, Faile nie wiedziała, śmiać się czy płakać. Wybrałaby te dwie kobiety, gdyby trzeba było uciekać z dowolnego więzienia na świecie, ale w obecnej sytuacji żadna z nich nie podniesie nawet ręki, a wszystko przez *ji'e'toh*.

– Powtarzam raz jeszcze, Efałin – mruknął człowiek, który ją pojmał – to głupota. My pełniemy po tym... śniegu. – Słowo to dziwnie zabrzmiało w jego ustach. – Zbyt wielu tu wszędzie uzbrojonych mężczyzn. Powinniśmy pójść na wschód, a nie brać kolejnych *gai'shain*, przez których tylko wędrujemy jeszcze wolniej.

– Sevanna chce mieć więcej *gai'shain*, Rolan – odrzekła siwiejąca Panna. Jednak zmarszczyła brwi, a w jej szarych oczach na moment rozbłysła dezaprobata.

Wciąż drżąc Faile zamrugnęła, słysząc te imiona. Światłości, ależ ziać potrafił osłabiać procesy myślowe. Sevanna. Shaido. Przecież byli na Sztylcie Zabójcy Rodu. Najdalej jak można od tego miejsca bez przekraczania Grzbietu Świata! Najwyraźniej jednak wcale tak nie było. O tym także Perrin powinien się dowiedzieć, kolejny powód do jak najszybszej ucieczki. Teraz wszakże, kiedy tak klęczała na śniegu, zastanawiając się, które członki najpierw sobie odmrozi, szansę na ucieczkę wyglądały marnie. Koło najwyraźniej postanowiło w dwójnasób odpłacić jej za szyderstwa z drżącej Berelain. Naprawdę z tęsknotą zaczęła wyglądać grubych wełnianych szat, w jakie przyodziewano *gai'shain*. Tym, którzy ją schwytali, nie spieszyło się jednak. Najpierw należało poczekać na innych jeńców.

Pierwsza była Maighdin, obdarta z szat i skrępowana jak Faile, która jednak przez cały czas opierała się i walczyła, póki prowadząca ją Panna jednym kopnięciem nie zbiła jej z nóg. Maighdin opadła ciężko i siedziała w śniegu, wytrzeszczając oczy tak mocno, że Faile gotowa byłaby się roześmiać, gdyby nie było jej żal kobiety. Następna była Alliandre, zgięta niemalże w pół w próżnym wysiłku ukrycia swej nagości, po niej przyszła kolej na Arralę, która zdawała się na poły sparaliżowana brakiem odzienia i dwie Panny musiały ją prawie wlec za sobą. Na koniec pojawił się jeszcze jeden wysoki Aiel, który niósł wściekle wierzgającą Lacile pod pachą jak paczkę.

– Pozostali nie żyją albo zdołali uciec – powiedział mężczyzna, ciskając drobną Cairhieniankę na śnieg obok Faile. – Sevanna będzie musiała zadowolnić się tym, co mamy Efałin. I tak za bardzo interesują ją ludzie noszący jedwabie.

Kiedy postawiono ją na nogi i zmuszono do brnięcia przez śnieg na czele pochodu jeńców, Faile już się nie opierała. Była zbyt ogłupiała, by myśleć o walce. Parelean zginął, Arrela i Lacile schwytane, podobnie jak Alliandre i Maighdin. Światłości, ktoś przecież musiał ostrzec Perrina przed Masemą. No właśnie, ktoś. Ta myśl wydała się niczym kropla przepełniająca czarę. Ona tutaj, drżąc i zaciskając zęby, aby nie szczękały, starając się ze wszystkich sił udawać, że nie jest zupełnie naga i związana, że nie wędruje ku niepewnemu losowi w niewoli. A na domiar wszystkiego ma nadzieję, że ta przebiegła lisica – ta nierządnicą o wydętych usteczkach! – że Berelain zdołała uciec i ostrzeże Perrina. To wydawało się ze wszystkiego najgorsze.

Egwene prowadziła Daishara wzdłuż kolumny inicjowanych, na którą składały się siostry na koniach jadące wśród wozów oraz idące pieszo mimo śniegu Przyjęte i nowicjuszki. Słońce świeciło jasno na niebie oznaczonym nielicznymi chmurami, jednak z nozdrzy wałacha dobywały się obłoki pary. Sheriam i Siuan jechały tuż za nią, rozmawiając cicho o informacjach, które docierały do Siuan przez jej siatkę szpiegowską. Płomiennowłosa kobietę Egwene uważała za całkiem kompetentną Opiekunkę, przynajmniej od czasu, gdy tamta pogodziła się z myślą, że nie zostanie Amyrlin, jednak z każdym dniem Sheriam najwyraźniej coraz pilniej przykładała się do swych obowiązków. Za nimi

podążała Chesa, dosiadająca klaczy o wydętych bokach, blisko, na wypadek, gdyby Amyrlin miała jakieś życzenia i znowu mówiła o tym, że Meri i Selame uciekły, dwie niewdzięczne wywłoki, zostawiając jej samej robotę trzech. Kolumna posuwała się powoli, Egwene zaś bardzo uważała, by nie oglądać się na nią zbyt często.

Po miesiącu prowadzenia naboru, po miesiącu od chwili, gdy księga nowicjuszek otwarta została dla wszystkich chętnych, wciąż miała do czynienia z prawdziwą powodzią kobiet nade wszystko pragnących zostać Aes Sedai, kobiet w każdym wieku, przybywających nawet z odległości setek mil. W kolumnie wędrowało prawie dwukrotnie tyle nowicjuszek, co przedtem. Prawie tysiąc! Większość nie miała najmniejszej szansy na wyniesienie do szala, wszyscy jednak wytrzeszczali oczy, słysząc o ich liczbie. Niektóre mogły spowodować drobne kłopoty – przybycie jednej, babci wnukom o imieniu Sharina, dysponującej możliwościami przewyższającymi nawet Nynaeve, z pewnością dogłębnie zaskoczyło wszystkie kobiety – jednak nie chodziło nawet o to, że unikała widoku matki i córki kłócących się, ponieważ córka któregoś dnia stanie się znacznie silniejsza, albo szlachcianek, które powoli zaczynały podejrzewać, że jednak powzięły błędną decyzję, pozwalając poddać się sprawdzianom, wreszcie niepokojąco bezpośrednich spojrzeń Shariny. Siwowłosa kobieta przestrzegała wszystkich ustanowionych zasad i okazywała w każdym calu należyty respekt, jednak swoją wielką rodziną kierowała za pomocą brutalnej siły charakteru i nawet niektóre siostry czujnie obchodziły ją z dala. Egwene nie chciała oglądać młodych kobiet, które przyłączyły się do nich przed dwoma dniami. Dwie siostry, które je przyprowadziły, były jeszcze bardziej zaskoczone, widząc Egwene w roli Amyrlin, jednak ich podopieczne nie chciały za nic uwierzyć własnym oczom – przecież nie Egwene al'Vere, córka burmistrza z Pola Emonda. Nie chciała zarządzać kolejnych kar dla żadnej, jednak będzie musiała, gdy zobaczy raz jeszcze, jak pokazują jej język.

Armia Garetha Bryne'a podążała również w szyku szerokiej kolumny, szeregi kawalerii i piechoty mocno rozciągnięte ginęły aż między drzewami. Blade słońce lśniło na napierśnikach, hełmach i grotach pik. Konie niecierpliwie udeptywały kopytami śnieg.

Bryne wyjechał jej na spotkanie na swym krępym gniadoszu, zanim zdążyła dotrzeć do wielkiej polany, do której zmierzały obie kolumny i gdzie już czekały na swych koniach Zasiadające. Uśmiechnął się do niej zza krat przyłbicy. Uznała, że jest to uśmiech dodający ducha.

– Piękny ranek na to, co mamy przedsięwziąć, Matko – powiedział.

Skinęła głową, a on zajął miejsce u jej boku, obok Suan, która bynajmniej nie zaczęła nań od razu pomstować. Egwene nie była pewna, jaki też kompromis osiągnęła ze sobą ta para, jednak ostatnimi czasy rzadko nań narzekała, przynajmniej w obecności Egwene, a nigdy, kiedy on również był w pobliżu. Egwene była zadowolona, że ma go teraz przy sobie. Zasiadająca na Tronie Amyrlin mogła nie informować swego generała, że potrzebuje jego wsparcia, ale tego ranka odczuwała taką właśnie potrzebę.

Zasiadające stały rzędem na koniach przy skraju lasu, a następne trzynaście sióstr znajdowało się nieopodal, uważnie przyglądając się tamtym. Romanda i Lelaine niemal w jednej chwili spięły swe wierzchowce ostrogami, Egwene zaś ledwie stłumiła westchnienie, widząc, jak nadjeżdżają, z połami płaszczy powiewającymi z tyłu, a śnieg tryska spod kopyt ich koni niczym podczas szarży bojowych rumaków. Komnata była jej posłuszna, ponieważ nie miała innego wyboru. W sprawach obejmujących wojnę przeciwko Elaidzie zaiste były jej uległe, jednak żywe spory budził już choćby taki problem, co do takich zagadnień zaliczyć. Kiedy zaś przestawały wadzić się ze sobą, uzyskanie czegokolwiek od nich było niczym wrywanie zębów kaczce! Czyniąc wyjątek dla Shariny, gotowe były za wszelką cenę udaremnić przyjmowanie kobiet w dowolnym wieku. Wszelako Sharina nawet na Romandzie wywarła odpowiednie wrażenie.

Obie ściągnęły wodze swych rumaków tuż przed nią, zanim jednak któraś zdążyła otworzyć usta, Egwene rzekła:

– Przede wszystkim ważny jest czas, córki, i nie możemy marnować go na puste pogaduszki. Ruszajcie. – Romanda parsknęła, aczkolwiek cicho, Lelaine zaś wyglądała tak, jakby też miała ochotę parsknąć.

Równocześnie zawróciły swe konie, potem przez chwilę spoglądały na siebie z wściekłością. Wydarzenia ostatniego miesiąca tylko pogłębiły ich wzajemną animozję. Lelaine zadarła gwałtownie głowę, jakby coś przyznawała, a Romanda uśmiechnęła się, nieznacznie wyginając wargi. Egwene sama omal się nie uśmiechnęła. Ta wzajemna niechęć wciąż stanowiła jej najważniejszy argument przetargowy w sporach z Komnatą.

– Zasiadająca na Tronie Amyrlin nakazuje wam zaczynać – oznajmiła Romanda, po królewsku unosząc dłonie.

Światło *saidara* zalsniło wokół trzynastu sióstr zgromadzonych niedaleko Zasiadających, obejmując jednocześnie wszystkie, i pośrodku polany pojawiła się gruba pręga srebra, która obróciła się powoli, przekształcając w bramę wysoką na dziesięć kroków i szeroką na sto. Z drugiej strony wpadały przez nią wirujące płatki śniegu. Jeszcze tylko krzyki rozkazów wśród żołnierzy i pierwszy szereg uzbrojonej kawalerii przejechał na drugą stronę. Za bramą śnieg kłębił się tak gęsto, że prawie nic nie było widać, jednak Egwene wyobrażała sobie, iż widzi za jego zasłoną Błyszczące Mury Tar Valon i samą Białą Wieżę.

– Zaczęło się, Matko – powiedziała Sheriam, nieomal zaskoczona.

– Zaczęło się – potwierdziła Egwene. I jeśli Światłość zechce, Elaida wkrótce upadnie. Miała zaczekać, póki Bryne nie będzie miał po drugiej stronie dostatecznej liczby żołnierzy, ale nie potrafiła się powstrzymać. Wbiła obcasy w boki Daishara i przejechała przez kurtynę śniegu na równinę, gdzie na tle białego nieba wznosiła się czernią Góra Smoka; jej wierzchołek wypluwał kłęby dymu.

# ROZDZIAŁ 31

## POTEM

Zimowe wiatry i opady śniegu osłabiły ruch po trasach handlowych na tych ziemiach, na których całkiem jeszcze nie ustał; na każde trzy gołębie, jakie wysyłali kupcy, dwa padały ofiarą jastrzębi lub pogody, jednak tam, gdzie lód nie skuł rzek, statki wciąż pływały, a plotki rozchodziły się z prędkością błyskawicy. Tysiące plotek, z których każda padała w głębę tysiącem ziaren, kiełkujących i wzrastających pod śniegiem jak na żyznej roli.

Pod Tar Valon, powiadały niektóre, starły się ze sobą wielkie armie, ulice miasta spływały krwią, a zbuntowane Aes Sedai zatknęły głowę Elaidy a'Roihan na włóczni. Nie, Elaida wzniosła zaciśniętą pięść, a te z rebeliantek, które przeżyły, pełzały u jej stóp. Nie było żadnych buntowniczek ani podziałów w Wieży. To Czarna Wieża została strzaskana za sprawą intryg Aes Sedai, a Asha'man ścigał Asha'mana po wszystkich krajach świata. Biała Wieża brała udział w zniszczeniu Pałacu Słońca w Cairhien, a sam Smok Odrodzony żył teraz na smyczy przywiązanej do Tronu Amyrlin, jako marionetka i narzędzie Zasiadającej. Według niektórych z opowieści to Aes Sedai zostały z nim związane ciężarem przysięgi, związane także z Asha'manami, niewielu jednak w te historie wierzyło i powszechnie ich zresztą wyśmiewano.

Armie Artura Hawkwinga powróciły, by odtworzyć jego dawno już upadłe imperium, Seanchanie rozbijali w puch wszystkich, którzy stanęli im na drodze, a nawet pokonali w Altarze Smoka Odrodzonego i przepędzili go z tych ziem. Seanchanie przybyli, aby mu służyć. Nie, to on wyparł Seanchan z powrotem na morze, niszcząc ich armię. Porwali Smoka Odrodzonego i uwięzili, aby ukląkł przed ich Imperatorową. Smok Odrodzony zginął, a zdarzenie to obchodzono zarówno z radością, jak i żałobą, wylewając tyleż łez, co śmiejąc się w głos.

Opowieści te spływały na narody niczym pajęcza sieć, pokrywająca inną pajęczą sieć, a mężczyźni i kobiety układali plany na przyszłość, sądząc, że znają prawdę. Planowali więc, a Wzór wchłaniał ich plany, tkając z nich osnowę przepowiedzianej przyszłości.

# GLOSARIUSZ

Nota o datach w poniższym glosariuszu.

Kalendarz Tomański (opracowany przez Tomędur Ahmida) został przyjęty mniej więcej dwa wieki po śmierci ostatniego mężczyzny Aes Sedai i rejestrował lata, które upłynęły Od Pęknięcia Świata (OP). Wiele zapisów uległo zniszczeniu podczas Wojen z Trollokami i pod ich koniec wybuchł spór o poszczególne daty liczone według starego systemu. Opracowany zatem został nowy kalendarz, autorstwa Tiamy z Gazar, którego początkiem był koniec Wojen i który uświetniał wyzwolenie od zagrożenia ze strony trolloków. Każdy odnotowany w nim rok określano jako Wolny Rok (WR). Kalendarz Gazarański wszedł do powszechnego użytku w ciągu dwudziestu lat od zakończenia Wojen. Artur Hawkwing starał się wprowadzić nowy kalendarz datujący swój początek od ufundowania jego imperium (OU), ale dzisiaj znany jest on jedynie historykom. Po tym, jak Wojna Stu Lat przyniosła z sobą ogólną destrukcję, śmierć i zniszczenia, pojawił się trzeci kalendarz, opracowany przez Uren din Jubai Szybującą Mewę, uczoną Ludu Morza, i upowszechniony przez Farede, Panarch Tarabon. Kalendarz Faredański, zapisujący lata Nowej Ery (NE), liczone od arbitralnie przyjętego końca Wojny Stu Lat, jest obecnie w powszechnym użytku.

Asha'man: 1) W Dawnej Mowie „opiekun” albo „obrońca”, z dodatkowym znaczeniem, iż jest to obrońca prawdy i sprawiedliwości. 2) Miano oznaczające zarówno zbiorowość, jak i rangę, nadawane mężczyznom, którzy przybyli do Czarnej Wieży, koło Caemlyn w Andorze, aby tam uczyć się przenoszenia. Ich szkolenie skupia się na metodach wykorzystania Jedynej Mocy w charakterze broni, a kiedy już nauczą się obejmować saidina, czyli męską połowę Prawdziwego Źródła, to wówczas wymaga się od nich, by wykonywali wszystkie swe obowiązki z użyciem Mocy, co stanowi kolejne odejście od zasad przestrzeganych w Białej Wieży. Nowo przyjęty mężczyzna otrzymuje tytuł Żołnierza; nosi prosty czarny kaftan z wysokim kołnierzem skrojony na andorańską modłę. Po wyniesieniu do rangi Oddanego uzyskuje prawo do wpinania w kołnierz kaftana srebrnej szpili zwanej Mieczem. Awans do rangi Asha'mana równa się prawu do wpinania Smoka wykonanego ze złota i czerwonej emalii. Choć wiele kobiet, w tym również żony, ucieka, gdy się dowiadują, że ich mężczyźni potrafią przenosić, to jednak sporo mieszkańców Czarnej Wieży jest żonatych i stosują oni własną odmianę więzi Strażnika, by za jej pomocą łączyć się z żonami. Ta sama więź, przekształcona tak, by narzucać posłuszeństwo, jest ostatnimi czasy wykorzystywana do wiązania pojmanych do niewoli Aes Sedai.

Balwer, Sebban: Oficjalnie były sekretarz Pedrona Nialla, potajemnie jego mistrz szpiegów. Z siebie tylko wiadomych powodów, pomógł Morgase w jej ucieczce przed Seanchanami z Amadoru; obecnie zatrudniony na posadzie sekretarza Perrina t' Bashere Aybara i Faile ni Bashere t' Aybara.

Cha Faile: (1) W Dawnej Mowie „Szpon Sokoła”. (2) Nazwa przyjęta przez młodych Cairhienian i Tairenian, rzekomych wyznawców T-e'toh, którzy przysięgli lojalność Faile ni Bashere t' Aybara. Działają potajemnie jako jej osobista służba zwiadowczo-szpiegowska.

Corenne: W Dawnej Mowie „Powrót”. Termin, jakim Seanchanie określają zarówno flotę złożoną z tysięcy statków, jak i setki tysięcy żołnierzy, rzemieślników i innych osób przewożonych przez te statki, którzy przybędą śladem Zwiastunów, by na powrót przejąć ziemie ukradzione potomkom Artura Hawkwinga. Patrz również: Zwiastuni.

Córy Milczenia: W trwającej trzy tysiące lat historii Białej Wieży zdarzało się, że usunięte z niej kobiety nie chciały pogodzić się ze swym losem i próbowały się zrzeszać. Ugrupowania takie – a



w każdym razie ich większość – Wieża rozpedzała natychmiast po tym, jak się o nich dowiedziała, a ich członkinie były surowo karane, i to publicznie, by posłużyły za przykład. Ostatnia z takich rozwiązanych grup przyjęła nazwę Cór Milczenia (794-798 NE). W jej skład wchodziły dwie Przyjęte, które usunięto z Wieży, oraz dwadzieścia trzy kobiety, które zebrały przy sobie i wyszkoliły. Wszystkie zostały zabrane do Tar Yalon, gdzie je ukarano, z tym że owe dwadzieścia trzy wpisano do księgi nowicjuszek. Jedynie jednej z nich udało się dojść do szala. Patrz również: Rodzina.

da'covale: (1) W Dawnej Mowie „tego kogo się posiada” względnie „osobę która stanowi własność”. (2) U Seanchan jest to termin, jakim często określa się niewolników. Niewolnictwo ma w przypadku tego narodu długą i niezwykłą historię, tym bardziej że niewolnicy mieli u Seanchan prawo do zajmowania wysokich stanowisk i sprawowania władzy również nad ludźmi wolnymi. Patrz również: so'jhin.

der'morat-: (1) W Dawnej Mowie „mistrz tresury”. (2) U Seanchan przyrostek dodawany w celu wyróżnienia doświadczonego, obdarzonego wysokimi umiejętnościami tresera egzotycznych istot, osoby, która szkoli innych treserów, np. der'morat'raken. Der'morat mogą się cieszyć stosunkowo wysoką pozycją społeczną, przy czym najwyższą zajmują der'sul'dam, które szkołą sul'dam zaliczające się do relatywnie wysokich rangą oficerów militarnych. Patrz również: morat.

Fain, Padan: Były Sprzymierzeniec Ciemności, obecnie ktoś jeszcze gorszy niż Sprzymierzeniec i w takim samym stopniu wróg Przeklętych, jak i Randa aFThora, którego nienawidzi całą duszą. Kiedy go ostatnio spotykano, przedstawiał się jako Jeraal Mordeth; udzielał rad lordowi Toramowi Riatinowi podczas rebelii, którą ten wszczął w Cairhien przeciwko Smokowi Odrodzonemu.

Hailene: W Dawnej Mowie „Zwiastuni” albo „Ci Którzy Przybyli Wcześniej”. Miano, jakie Seanchanie nadali wielkiemu korpusowi ekspedycyjnemu wysłanemu na drugi brzeg Oceanu Aryth w celu przeprowadzenia zwiadów na ziemiach, którymi niegdyś władał Artur Haw-kwing. Obecnie Hailene, którymi dowodzi [ Wysoka Lady Suroth i których szeregi uległy znacznemu zwielokrotnieniu dzięki wcieleniu rekrutów z podbitych ziem, dalece powiększyły zakres zadań, wykraczając poza swe pierwotne cele.

Hanlon, Daved: Sprzymierzeniec Ciemności, były dowódca Białych Lwów na służbie u Przeklętego Rahvina, gdy ten, jako lord Gaebriel, władał Caemlyn. Stąd Hanlon zabrał Białe Lwy do Cairhien, powodowany rozkazami, by spotęgować rebelię przeciwko Smokowi Odrodzonemu. Białe Lwy zostały zniszczone przez „bańkę zła”, a Hanlonowi kazano wrócić do Caemlyn z powodów, które jeszcze nie zostały ujawnione.

Hierarchia Ludu Morza: Atha'an Miere, czyli Lud Morza, podlegają władzy Mistrzynie Statków Atha'an Miere, której asystują Poszuki-waczka Wiatru Mistrzynie Statków oraz Mistrz Ostrzy. Niżej od nich stoją klanowe Mistrzynie Fal, którym również asystują Poszukiwaczki Wiatru oraz Mistrzowie Miecza. Podlegają im Mistrzynie Żagli (które są kapitanami statków) ich klanów, z których każda ma pod sobą swoją Poszukiwaczkę Wiatru i Mistrza Cargo. Poszukiwaczka Wiatrów Mistrzynie Statków stoi ponad Poszukiwaczkami Wiatrów Mistrzyń Fal, które z kolei mają władzę nad Poszukiwaczkami Wiatru Mistrzyń Żagli swoich klanów. Podobnie Mistrz Ostrzy pełni władzę nad wszystkimi Mistrzami Mieczy, a ci z kolei nad Mistrzami Cargo swoich klanów. Rangi wśród Ludu Morza nie są dziedziczne. Mistrzynie Statków jest wybierana dożywotnio przez Dwanaście Pierwszych Atha'an Miere, czyli dwanaście najstarszych klanowych Mistrzyń Fal. Z kolei klanowa Mistrzynie Fal jest wybierana przez dwanaście najstarszych Mistrzyń Żagli swego klanu, zwanych po prostu Dwunastoma Pierwszymi, którym to terminem wyróżnia się również najstarsze Mistrzynie Żagli. Taka przywódczyni może być usunięta ze stanowiska drogą głosowania podjętego przez te

same Dwanaście Pierwszych. W rzeczy samej każdy oprócz Mistrzynie Statków może być zdegradowany, nawet do stanowiska majtka pokładowego, za nadużycie władzy, tchórzostwo albo inne przewinienia. Ponadto Poszukiwaczka Wiatru pod Mistrzinią Fal względnie Mistrzinią Statków, która umrze, musi przejść na służbę u kobiety niższej rangą i w ten sposób sama przechodzi na niższe stanowisko. Poszukiwaczka Wiatru Mistrzynie Statków sprawuje władzę nad wszystkimi Poszukiwaczkami Wiatru, a Poszukiwaczka Wiatru klanowej Mistrzynie Fal sprawuje władzę nad wszystkimi Poszukiwaczkami Wiatru swojego klanu. Podobnie Mistrz Ostrzy ma władzę nad wszystkimi Mistrzami Mieczy i Mistrzami Cargo, a Mistrz Mieczy nad Mistrzem Cargo swego klanu.

Ishara: Pierwsza Królowa Andoru (ok. 994-1020 WR). Tuż po śmierci Artura Hawkwinga, Ishara przekonała swego męża, jednego z najwybitniejszych generałów Hawkwinga, by przerwał oblężenie Tar Yalon i towarzyszył jej do Caemlyn z tyloma żołnierzami, ilu zdoła oderwać od armii. I tak w czasach, gdy inni usiłowali przejąć całe imperium Hawkwinga i przegrywali, Ishara ujęła żelazną garścią niewielką część i odniosła zwycięstwo. Obecnie niemal wszystkie arystokratyczne Domy Andoru mają w sobie jakąś domieszkę krwi Ishary i prawo do zasiadania na Tronie Lwa zależy zarówno od tego, czy w danym Domu jest jej bezpośredni potomek, jak i od liczby łączących z nią więzi, jakie da się ustalić.

Kapitan Lansjerów: W większości krajów w normalnych okolicznościach szlachcianki nie prowadzą osobiście swych zbrojnych do bitwy. Zamiast tego najmują zawodowego żołnierza, niemal zawsze wywodzącego się z gminu, który jest odpowiedzialny za szkolenie zbrojnych i jednocześnie nimi dowodzi. W zależności od danego kraju, człowiek taki nosi tytuł Kapitana Lansjerów, Kapitana Miecza, Mistrza Koni względnie Mistrza Lanc. Niejednokrotnie, być może nieuchronnie, rodzą się w związku z tym pogłoski o związkach bliższych niż między lady a sługą. Niekiedy te pogłoski są prawdziwe.

Kapitan Miecza: Patrz: Kapitan Lansjerów.

Konsolidacja: Kiedy armie wysłane przez Artura Hawkwinga pod dowództwem jego syna Luthaira wylądowały w Seanchan, odkryły tam jeden tygiel narodów, często pozostających w stanie wojny ze sobą i gdzie często stery rządów przejmowały Aes Sedai. Te, którym brakowało odpowiednika Białej Wieży, dążyły do przejęcia indywidualnej władzy, posługując się w tym Mocą. Tworzyły niewielkie ugrupowania, bezustannie knując przeciwko sobie. W większej części to właśnie te nieustanne spiski mające na celu osiągnięcie osobistych korzyści i wynikłe z nich wojny angażujące niezliczoną liczbę państw pozwoliły armiom ze wschodniego wybrzeża Oceanu Aryth rozpocząć podbój całego kontynentu, dokończony przez ich potomków. Ów podbój, podczas którego potomkowie pierwotnych armii stawali się Seanchanami, w miarę jak podbijali Seanchan, trwał ponad dziewięćset lat i ostatecznie nazwano go Konsolidacją.

Kółko Dziewiarskie: Zrzesza przywódczyni Rodziny. Żadna z członkiń Rodziny nigdy nie poznała zasady, na podstawie której Aes Sedai tworzą swoją hierarchię – ta wiedza jest przekazywana dalej dopiero wtedy, gdy dana Przyjęta zda swoje sprawdziany do szala – dlatego więc zupełnie nie interesuje ich siła w posługiwaniu się Mocą, przykładają za to wielką wagę do wieku, przy czym starsze kobiety zawsze stoją ponad młodszymi. Kółko Dziewiarskie (wybrano taką nazwę, bo podobnie jak Rodzina brzmi niewinnie) składa się z trzynastu najstarszych Kuzynek mieszkających w Ebou Dar, przy czym na ich czele stoi Najstarsza. Zgodnie z przyjętymi zasadami, wszystkie będą musiały ustąpić ze stanowiska, gdy nadejdzie czas, by zmienić miejsce pobytu, dopóki jednak są mieszkankami Ebou Dar, dopóty sprawują nadrzędną władzę nad Rodziną, w stopniu, którego mogłaby im pozazdrościć dowolna Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Patrz również: Rodzina.

**Krew:** Termin, którym Seanchanie określają swoją arystokrację. Można należeć do Krwi z urodzenia, ale także zostać do niej wyniesionym.

**Legion Smoka:** Duża formacja militarna złożona z samej piechoty, która poprzysięgła lojalność Smokowi Odrodzonemu i jest szkolona przez Davrama Bashere zgodnie z założeniami opracowanymi przez niego i Mata Cauthona, założeniami, które mocno odbiegają od roli, jaką zazwyczaj przypisuje się piechocie. Choć sporo mężczyzn zwyczajnie zgłasza się na ochotnika, wielkie rzesze Legionu są zgarniane przez grupy werbunkowe z Czarnej Wieży, które najpierw gromadzą wszystkich mężczyzn z danego obszaru, którzy chcą się przyłączyć do Smoka Odrodzonego, a potem przenoszą ich przez bramy w okolice Cairhien, gdzie z kolei wylawiają tych, których można uczyć przenoszenia. Pozostałych, których jest znacznie zresztą więcej, odsyła się do obozów szkoleniowych Bashere.

**marath'damane:** W Dawnej Mowie „te które trzeba wziąć na smycz”. Termin stosowany przez Seanchan w odniesieniu do wszystkich kobiet zdolnych do przenoszenia, którym jeszcze nie założono obroży damane.

**Mądra Kobieta:** Tytuł nadawany w Ebou Dar kobietom słynącym z niezwykłych umiejętności uzdrawiania niemal każdej dolegliwości. Zgodnie z tradycją Mądre Kobiety wyróżniają się czerwonymi pasami. Choć zauważono już, że wiele, czy wręcz większość, Mądrych Kobiet z Ebou Dar nawet nie pochodzi z Altary, a tym bardziej Ebou Dar, który to fakt jeszcze do niedawna pozostawał nie znany, to jednak zaledwie nieliczni wiedzą, że wszystkie Mądre Kobiety to w rzeczywistości członkinie Rodziny, które praktykują rozmaite odmiany Uzdrawiania, a swe zioła i maści rozdają jedynie jako przykrywkę. Od czasu ucieczki Rodziny z Ebou Dar, gdy Seanchanie zajęli miasto, nie ma tam już żadnej Mądrej Kobiety. Patrz również: Rodzina.

O ich umiejętnościach w zakresie stosowania ziół i wiedzy medycznej mówi się nawet na Ziemiach Granicznych, uważa się, że ich pomoc jest najlepsza zaraz, po Uzdrawianiu Aes Sedai. Mimo iż Ebou Dar to miasto kosmopolityczne, gdzie do miejskich gildii wstępuje wielu cudzoziemców, zauważono dziwne zjawisko – mianowicie wśród Mądrych Kobiet rzadko kiedy spotyka się kobiety rodem z Ebou Dar.

**Mera'din:** W Dawnej Mowie „Pozbawieni Braci”. Nazwa przyjęta przez tych Aielów, którzy porzucili swój klan i szczep, po czym przyłączyli się do Shaido, ponieważ albo nie potrafili zaakceptować Randa alThora, mieszkańca mokradeł, jako Car'a'carna, albo dlatego, że nie chcieli uznać rewelacji dotyczących historii i pochodzenia Aielów. Opuszczenie klanu i szczepu z dowolnego powodu u Aielów jest występkiem zasługującym na anatemę, dlatego też, odrzuceni przez społeczności wojowników Shaido, zorganizowali się w społeczność „Pozbawionych Braci”.

**Mistrz Koni:** Patrz: Kapitan Lansjerów.

**Mistrz Lanc:** Patrz: Kapitan Lansjerów.

**morat-:** W Dawnej Mowie „treser”. Wśród/Seanchan używa się tego terminu na określenie osób ujeżdżających egzotyczne stworzenia, na przykład morat'raken posiadających rakenów, zwanych również awiatorami. Patrz również: der'morat-.

**Niebiańskie Pięści:** Lekko uzbrojona i odziana w lekkie zbroje piechota seanchańska, którą do bitwy dowożą na swych grzbietach latające stwory zwane to'raken. Są to mężczyźni lub kobiety niskiego wzrostu, głównie ze względu na ograniczenie ciężaru, jaki to'raken może przenieść na jakąś odległość. Uważani za najtwardszych żołnierzy, są wykorzystywani głównie do rajdów, ataków z zaskoczenia na tyły wroga, a także w tych miejscach, gdzie trzeba jak najprędzej dostarczyć żołnierzy.

**Obrońcy Kamienia:** Elitarna formacja wojskowa z Łzy. Obecnym Kapitanem Kamienia (dowódcą Obrońców) jest Rodrivar Tihera. W szeregi Obrońców przyjmowani są jedynie

Tairenianie, przy czym ich kadra oficerska wywodzi się zazwyczaj ze szlachty, aczkolwiek często są to przedstawiciele pośledniejszych Domów względnie bocznych gałęzi najznamienitszych Domów. Do zadań Obrońców należy utrzymywanie Kamienia Łzy, ogromnej fortecy usytuowanej w samym sercu miasta Łza, ochrona miasta oraz pełnienie obowiązków właściwych policji w zastępstwie Straży Miejskiej i innych tego typu formacji. Obowiązki rzadko odciągają ich daleko od miasta, z wyjątkiem okresu wojny. Wówczas to razem z innymi elitarnymi jednostkami stanowią swoisty rdzeń, wokół którego tworzy się armię. Uniform Obrońców składa się z czarnego kaftana z watowanymi rękawami w czarno-złote paski, zakończonymi czarnymi mankietami, polerowanego napierśnika oraz hełmu z wygiętym brzeżkiem i stalową kratownicą. Kapitan Kamienia nosi trzy krótkie białe pióra przy hełmie, a przy mankietach trzy splecione złote warkoczki na białym pasku. Kapitanowie wyróżniają się dwoma białymi piórami i pojedynczym złotym warkoczkiem na białych mankietach, porucznicy jednym białym piórem i pojedynczym czarnym warkoczkiem na białych mankietach, a podporucznicy jednym krótkim piórem czarnej barwy i zwykłymi białymi mankietami. Chorążowie mają złote mankiety, a dowódcy oddziałów mankiety w czarno-złote paski.

Powrót: Patrz: Corenne.

Prorok: Bardziej rozbudowana forma tego miana to Prorok Lorda Smoka. Tytuł, jaki przypisał sobie Masema Dagar, były shienarański żołnierz, który doznał objawienia i stwierdził, że został powołany do szerzenia nauk o Smoku Odrodzonym i jego Powtórnych Narodzinach. Wierzy, że nic – nic! – nie jest ważniejsze niż uznanie, że Smok Odrodzony to ucieleśnienie Światłości, i bycie gotowym na wezwanie Smoka Odrozonego. Głosi ponadto, że on i jego wyznawcy użyją każdej siły, byle tylko zmusić innych, aby opiewali chwałę Smoka Odrozonego. Wyrzekłszy się wszelkich innych imion oprócz „Proroka”, Sprowadził chaos na Ghealdan i Amadicię, których spore obszary znalazły się pod jego kontrolą.

Przekłęci: Przydomek nadany trzynastu najpotężniejszym Aes Sedai, którzy przeszli na stronę Cienia podczas Wieku Legend i dali się schwytać w pułapkę, kiedy na mury więzienia Czarnego zostały nałożone pieczęcie. Chociaż od dawna uważa się, że tylko oni wyparli się Światłości podczas Wojny z Cieniem, w rzeczywistości byli też inni; tych trzynastu to jedynie najwyżsi rangą wśród tych innych. Przekłęci (którzy sami siebie nazywają Wybranymi) zostali od czasu ich przebudzenia zredukowani liczebnie. Wiadomo, że przy życiu zostali Demandred, Semirhage, Graendal, Mesaana, Moghedien oraz dwoje takich, którzy otrzymali nowe ciała i nowe imiona, Osan'gar i Aran'gar. Ostatnimi czasy ujawnił się również mężczyzna zwący się Moridin i niewykluczone, że jest to jeszcze jeden Przekłęty przywołany z grobu przez Czarnego. To samo być może dotyczy kobiety, która przedstawia się jako Cyndane, ale w związku z tym, że Aran'gar to dawniej mężczyzna obecnie wskrzeszony jako kobieta, wszelkie spekulacje w sprawie tożsamości Moridina i Cyndane mogą się okazać jałowe, dopóki nie wyjdą na jaw jakieś bliższe szczegóły.

Rodzina: Nawet podczas Wojen z Trollokami, przed ponad dwoma tysiącami lat (ok. 1000-1350 OP), Biała Wieża w dalszym ciągu przestrzegała swoich standardów, usuwając kobiety, którym nie udało się ich wypełnić. Grupa takich właśnie kobiet, które bały się wrócić do domu w samym środku wojen, uciekła do Barashty (w pobliżu obecnego Ebou Dar), miejsca w owych czasach oddalonego najbardziej od terenu walk. Nazwały swe ugrupowanie Rodziną, a siebie same Kuzynkami, i pozostały w ukryciu, oferując bezpieczną przystań tym, które usunięto z Wieży. Z czasem za sprawą związków z kobietami, którym nakazano opuszczenie Wieży, godzina zaczęła nawiązywać kontakty z uciekinierkami i przyjmować je do swych szeregów, z siebie tylko wiadomych powodów. Dokładały przy tym wielkich starań, by te dziewczęta nie dowiadywały się niczego na temat Rodziny, dopóki się nie upewniły, że Aes Sedai nie zechcą ich odebrać. Jakkolwiek by było,

powszechnie wiadomo, że uciekinierki są prędzej czy później łapane, a Rodzina zdawała sobie sprawę, że musi utrzymywać fakt swego istnienia w sekrecie, bo inaczej spotka ją sroga kara.

Aes Sedai z Wieży, nie znane Rodzinie, wiedziały o jej istnieniu niemal od samego początku, niemniej ciąg wojen nie pozwalał na zajęcie się nimi. Pod koniec wojen Wieża zrozumiała, że niszczenie Rodziny nie leży w jej interesie. Przedtem większości uciekinierek rzeczywiście udało się uciec, niezależnie od tego, co utrzymywała propaganda Wieży, ale od czasu gdy Rodzina zaczęła im pomagać, Wieża wiedziała dokładnie, dokąd kieruje się uciekinierka, i zaczęła przechwytywać dziewięć na każde dziesięć. Jako że Kuzynki wyprowadzały się i wprowadzały do Barashty (a później Ebou Dar), starając się ukryć swoje istnienie i ile ich dokładnie jest, nigdy nie pozostając w jednym miejscu dłużej jak dziesięć lat, o ile ktoś wcześniej nie zauważył, że nie starzeją się w normalnym tempie, Wieża sądziła, że jest ich niewiele, a one z pewnością się nie wychylały. Pragnąc wykorzystywać Rodzinę do chwytania uciekinierek w swoistą pułapkę, Wieża postanowiła zostawić je w spokoju, w odróżnieniu od innych tego typu ugrupowań w historii, oraz utrzymywać fakt istnienia Rodziny w sekrecie, znanym jedynie pełnym Aes Sedai.

Rodzina nie rządzi się ustalonymi prawami, lecz raczej zasadami po części opartymi na regułach obowiązujących nowicjuszek i Przyjęte w Białej Wieży, a po części na konieczności zachowania tajemnicy. Biorąc pod uwagę pochodzenie Rodziny, nie dziwi, że bardzo surowo wymagają ich przestrzegania od wszystkich swoich członków.

Ostatnie otwarte kontakty między Aes Sedai i Kuzynkami, chociaż ograniczone do garstki sióstr, przyniosły rozmaite szokujące rewelacje, między innymi takie fakty, że kobiet z Rodziny jest dwa razy więcej niż Aes Sedai i że niektóre z nich są ponad sto lat starsze nawet od tych Aes Sedai, które urodziły się jeszcze przed wybuchem Wojen z Trollokami. Efekty, jakie owe rewelacje wywarły zarówno na Aes Sedai, jak i na Kuzynkach, stanowią na razie przedmiot spekulacji. Patrz również: Córy Milczenia; Kółko Dziewiarskie.

sei'mosiev: W Dawnej Mowie „spuszczony wzrok”. Wśród Seanchan powieźdzenie o kimś, że „stał się sei'mosiev” oznacza, że „stracił twarz”. Patrz również: sei'taer.

seftaer: W Dawnej Mowie „szczerzy wzrok” albo „równy wzrok”. U Seanchan odnosi się to do honoru albo twarzy, do zdolności spojrzenia komuś w oczy. Można „być” albo „mieć” sei'taer, co oznacza, że ktoś ma honor i twarz, można też „zyskać” albo „stracić” seftaer. Patrz również: sei'mosiev.

Shen an Calhar: W Dawnej Mowie Legion Czerwonej Ręki. (1) Legendarna grupa bohaterów, którzy po dokonaniu wielu bohaterskich wy-

czynów polegli w obronie Manetheren, kiedy owa kraina została zniszczona podczas Wojen z Trollokami. (2) Formacja militarna założona niemal przypadkiem przez Mata Cauthona i zorganizowana zgodnie z założeniami formacji wojskowych przyjętych w okresie uznanym za szczyt rozkwitu sztuki militarnej, to znaczy w czasach panowania Artura Hawkwinga i poprzedzających je wiekach.

so'jhin: Najbliższym tłumaczeniem tego terminu z Dawnej Mowy będzie „szczyt pośród nizin”, aczkolwiek niektórzy tłumaczą ów termin jako „zarówno niebo, jak i dolina”. So'jhin to u Seanchan określenie nadawane dziedzicznym sługom dysponującym wysokimi rangami. Są to da'covale, czyli niewolnicy, aczkolwiek zajmujący wysokie stanowiska, które pozwalają im sprawować władzę nad innymi. Nawet Krew stąpa ostrożnie przy so'jhin rodziny cesarskiej i przemawiają do so'jhin Cesarzowej jak do siebie równych. Patrz również: Krew; da'covale.

Sondowanie: (1) Umiejętność wykorzystywania Jedynej Mocy w diagnozowaniu stanu fizycznego oraz choroby. (2) Umiejętność korzystania z Jedynej Mocy do wyszukiwania rud metali.

Umiejętność ta została dawno temu utracona przez Aes Sedai i być może tym należy tłumaczyć fakt, iż jej nazwę przeniesiono na inną umiejętność.

**Straż Skazańców:** Elitarna formacja militarna Imperium Seanchańskiego, w której służą zarówno ludzie, jak i Ogirowie. Wszyscy ludzie służący w Straży są da'covale, urodzeni jako czyjaś własność i za młodu wybrani do służby na rzecz Cesarzowej, w której posiadanie od tego momentu przechodzą. Fanatycznie lojalni i bezprzykładnie dumni, często chełpią się krukami Wytatuowanymi na ramionach, czyli znakiem da'covale Cesarzowej/Ich hełmy i zbroje są lakierowane ciemną zielenią i krwistą czerwienią, a tarcze czernią; włócznie i miecze zdobione są czarnymi chwostami. Patrz również: da'covale.

**Towarzysze:** Elitarna formacja wojskowa z Illian, obecnie dowodzi nią Pierwszy Kapitan Demetre Marcelin. Towarzysze pełnią straż przyboczną przy Królu Illian oraz strzegą strategicznych punktów na terenie całego kraju. Ponadto zgodnie z tradycją wykorzystuje się ich podczas bitwy do atakowania najsilniejszych pozycji wroga, szukania jego słabych stron, a także, w razie konieczności, do osłaniania ewentualnego odwrotu Króla. W odróżnieniu od innych tego typu elitarnych formacji, cudzoziemcy są w niej nie tylko mile widziani (tzn. z wyjątkiem Tairenian, Altaran i Murandian), ale mogą nawet być awansowani do wysokich rang, podobnie zresztą jak ludzie z gminu, co również jest niezwykle. Uniform noszony przez Towarzyszy składa się z zielonego kaftana, napierśnika ozdobionego Dziewięcioma Pszczołami Illian oraz stożkowatego hełmu. Pierwszy Kapitan nosi na mankietach kaftana po cztery pierścienie ze złotej plecionki i trzy cienkie złote pióra przy hełmie. Drugi Kapitan wyróżnia się trzema pierścieniami ze złotej plecionki oraz trzema złotymi piórami o zielonych czubkach. Mankiety poruczników zdobią dwa złote pierścienie, ich hełmy mają dwa cienkie zielone pióra, podporucznicy dostają jeden złoty pierścień i jedno zielone pióro. Chorążowie noszą dwa przerwane żółte pierścienie i jedno żółte pióro, dowódcy oddziałów jeden przerwany żółty pierścień.

**zbrojni:** Żołnierze, którzy poprzysięgli wierność albo złożyli hołd lenny jakiemuś lordowi albo lady.

**Zwiastuni:** Patrz: Hailene.

# Spis treści

<a href="#">STRONA TYTUŁOWA..</a>	<a href="#">1</a>
<a href="#">PROLOG ZWODNICZE POZORY..</a>	<a href="#">5</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 1 WYWIĄZAĆ SIĘ Z UMOWY..</a>	<a href="#">34</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 2 ROZPLĄTANY SPLOT.</a>	<a href="#">55</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 3 MIŁA PRZEJAŻDŻKA..</a>	<a href="#">72</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 4 CICHE, SPOKOJNE MIEJSCE..</a>	<a href="#">85</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 5 NARODZINY BURZY..</a>	<a href="#">98</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 6 WĄTKI.</a>	<a href="#">117</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 7 ZAGRODA DLA KÓZ..</a>	<a href="#">140</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 8 PROSTA WIEJSKA KOBIETA..</a>	<a href="#">156</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 9 GALIMATIAS.</a>	<a href="#">181</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 10 ZMIANY..</a>	<a href="#">200</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 11 PYTANIA I PRZYSIĘGA..</a>	<a href="#">222</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 12 NOWE SOJUSZE..</a>	<a href="#">238</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 13 NICZYM PŁATKI ŚNIEGU NA WIETRZE..</a>	<a href="#">259</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 14 WIADOMOŚĆ OD M'HAELA..</a>	<a href="#">270</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 15 PRAWO SILNIEJSZE OD SPISANEGO..</a>	<a href="#">284</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 16 DZIWNE NIEOBECNOŚCI.</a>	<a href="#">300</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 17 POŚRÓD LODÓW...</a>	<a href="#">320</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 18 PRZEDZIWNE WEZWANIE..</a>	<a href="#">335</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 19 PRAWO..</a>	<a href="#">346</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 20 DO ANDORU..</a>	<a href="#">363</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 21 ODPOWIEDŹ NA WEZWANIE..</a>	<a href="#">378</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 22 GROMADZĄ SIĘ CHMURY..</a>	<a href="#">392</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 23 ĆMA WOJNY, NAWAŁA BITWY..</a>	<a href="#">405</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 24 CZAS ŻELAZA..</a>	<a href="#">427</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 25 NIEPOŻĄDANY POWRÓT.</a>	<a href="#">460</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 26 DODATKOWY EFEKT.</a>	<a href="#">471</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 27 TARG..</a>	<a href="#">490</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 28 SZKARŁATNY CIEŃ..</a>	<a href="#">514</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 29 KUBEK SNU..</a>	<a href="#">528</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 30 POCZĄTKI.</a>	<a href="#">545</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 31 POTEM...</a>	<a href="#">560</a>
<a href="#">GLOSARIUSZ..</a>	<a href="#">561</a>